

MIKA WALTARI

EGIPCJANIN SINUHE

Przekład Zygmunt Łanowski

KSIĘGA PIERWSZA ŁÓDECZKA Z SITOWIA

ROZDZIAŁ I

Ja, Sinuhe, syn Senmuta i jego żony Kipy, piszę te słowa. Nie po to, by wielbić bogów w krainie Kem, gdyż już dość mam bogów. Nie po to, by wielbić faraonów, gdyż dość już mam ich wielkich czynów. Piszę to tylko dla siebie samego. Nie, by pochlebiać bogom, nie, by pochlebiać królom, i nie z lęku ani też z nadziei na przyszłość. Gdyż za życia doznałem i postradałem tak wiele, że nie dręczy mnie już czczy lęk, a nadzieją na nieśmiertelność jestem znużony, tak jak znużony jestem bogami i królami. Tylko dla siebie samego piszę te słowa i w tym różnię się, jak sądzę, od wszystkich innych pisarzy, zarówno w czasach minionych jak i w przyszłości.

Ja, Sinuhe, syn Senmuta, w dniach starości i rozczarowania mam już jednak dość kłamstwa. Dlatego piszę tylko dla siebie samego i tylko to, co widziałem własnymi

oczywiście lub też zasłyszawszy wiem, że jest prawdą. I w tym różnię się od wszystkich, którzy żyli przede mną, i od wszystkich, którzy będą żyć po mnie. Gdyż człowiek, który pisze słowa na papirusie, a jeszcze bardziej taki, który każe ryc swoje imię i swoje czyny w kamieniu, żyje z nadzieją, że słowa jego będą czytane, że potomni będą je czytać i wielbić jego czyny i jego mądrość. Lecz w moich słowach niewiele można znaleźć chwalby, ani też czyny moje nie są warte uwielbienia, a mądrość jest jak ciera w mojej piersi i nie daje mi żadnej radości. Słów moich dzieci nie będą ryc na glinianych tabliczkach, by ćwiczyć się w sztuce pisania. Moich słów ludzie nie będą powtarzać, aby dzięki mojej mądrości uchodzić za mądrych. Nie, pisząc to wyrzekam się wszelkiej nadziei, że kiedyś ktoś mnie będzie czytać i rozumieć.

Gdyż człowiek w swej złości jest okrutniejszy i bardziej zatwardziały niż krokodyl Rzeki. Jego serce jest twardsze niż kamień. Jego próżność jest lżejsza niż pył. Zanurzę go w wodzie, a gdy odzież jego wyschnie, będzie taki sam jak przedtem. Pogrążę go w trosce i rozczarowaniu, a gdy się znów podniesie, będzie taki sam jak przedtem. Wiele zmian widziałem ja, Sinuhe, za moich dni, ale wszystko jest znowu tak jak dawniej, a człowiek się nie zmienił. Są wprawdzie tacy, którzy mówią, że to, co się dzieje, nie działo się nigdy przedtem, ale to tylko puste słowa.

Ja, Sinuhe, widziałem, jak niedorostek uderzeniem zabijał ojca na rogu ulicy. Widziałem, jak biedacy podnieśli bunt przeciw bogaczom, a bogowie przeciw bogom. Widziałem męża, który przedtem pijał wino ze złotych pucharów, jak w nędzy schylał się, by zaczerpnąć rękami wody z Rzeki. Ci, którzy opływali niegdyś w złoto, żebrali na rogach ulic, a ich żony sprzedawały się za miedziaki wymalowanym Murzynom, aby kupić chleba dla swoich dzieci.

Nic nowego nie wydarzyło się zatem za moich dni, a to, co działo się dawniej, będzie się działo także i w przyszłości. Tak jak człowiek nie zmienił się do dziś, tak też i nie zmieni się jutro. Ci, którzy przyjdą po mnie, będą tacy sami jak ci, którzy żyli przede mną. Jakżeż więc mogliby zrozumieć moją mądrość? I jak mógłbym mieć nadzieję, że będą czytać moje słowa?

Ale ja, Sinuhe, piszę te słowa dla siebie samego, gdyż wiedza zżera mi serce jak ług i cała radość uszła z mojego życia. W trzecim roku wygnania zaczynam tę księgę, nad brzegiem Wschodniego Morza, skąd statki płyną do krainy Punt, w pobliżu pustyni, w pobliżu gór, z których królowie kazali dawniej łamać kamień na swoje posągi. Piszę to, ponieważ nawet wino goryczą spływa w me gardło. Piszę to, bo nie mam już ochoty sycić się kobietami, a ogrody i sadzawki z rybami nie cieszą już moich oczu. W chłodne noce zimowe czarna dziewczyna rozgrzewa mi łożę, ale ja nie mam z niej

żadnej radości. Wypędziłem od siebie śpiewaków, a tony smyczków i fletów są plagą dla moich uszu. Dlatego piszę to ja, Sinuhe, dla którego niczym jest bogactwo i złote puchary, mirra, heban i kość słońiowa.

Gdyż wszystko to posiadam i nic mi nie odebrano. Wciąż jeszcze boją się niewolnicy mojej laski, a strażnicy chylą przede mną głowy i opuszczają dłonie do kolan. Ale przestrzeń dla moich kroków jest odmierzona, żaden statek nie może przybić w przybrzeżnej kipieli. Dlatego ja, Sinuhe, już nigdy nie poczuję woni czarnego mułu w noc wiosenną i dlatego piszę te słowa.

A przecież imię moje było kiedyś wpisane do złotej księgi faraona i mieszkałem w Złoty Domu po prawej stronie króla. Moje słowo znaczyło więcej niż słowo możnych z krainy Kem, dostojnicy ślali mi dary, a szyję moją zdobiły liczne złote łańcuchy. Miałem wszystko, czego człowiek może tylko zapragnąć, ale jako człowiek pragnąłem więcej, niż ktokolwiek może osiągnąć. Dlatego też jestem tu, gdzie jestem. Wygnano mnie z Teb w szóstym roku panowania faraona Horemheba z ostrzeżeniem, że zostanę zabity jak pies, gdybym wrócił, że zmiażdżą mnie jak żabę między kamieniami, gdybym zrobił krok poza obszar przeznaczony mi na mieszkanie. Taki jest rozkaz królewski, rozkaz faraona Horemheba, który kiedyś był moim przyjacielem.

Czegóż jednak innego można oczekiwać od nisko urodzonego, który polecił wymazać imiona królów ze spisu władców i nakazał pisarzom wpisać tam swoich przodków jako szlachetnie urodzonych. Widziałem jego koronację, widziałem, jak mu wkładano na głowę czerwoną i białą koronę. Jeśli liczyć od tej chwili, wygnał mnie w szóstym roku swego panowania. Ale według rachunku pisarzy było to w trzydziestym drugim roku jego rządów. Czyż więc nie jest kłamstwem wszystko, co napisano, zarówno dawniej jak dziś?

Tego, który żył prawdą, miałem w pogardzie przez całe jego życie z powodu jego słabości i przejmował mnie zgrozą z powodu zniszczenia, jakie ściągnął na krainę Kem w imię swojej prawdy. Dziś spadła na mnie jego zemsta, bo sam chcę żyć prawdą, choć nie dla jego bogów, lecz dla siebie. Prawda jest jak patroszący nóż, prawda jest jak nieuleczalna rana w ciele człowieka, prawda jest jak ług żrący serce. Dlatego w dniach swej młodości i siły mężczyzna ucieka od prawdy do domów rozpusty i mami oczy pracą i różnorodną działalnością, podróżami i rozrywkami, władzą i budowaniem. Ale potem przychodzi dzień, gdy prawda przeszywa go jak oszczep i od tej pory nie ma już żadnej radości ze swoich myśli albo z pracy swoich rąk, tylko jest sam. Jest sam pośród ludzi i nawet bogowie nie dają mu lekarstwa na jego samotność. Piszę to ja, Sinuhe, dobrze wiedząc, że postęпки moje były złe, a ścieżki, którymi kroczyłem, kręte,

ale wiedząc także dobrze, że nikt nie wyciągnie z tego nauki, nawet gdyby ktoś kiedyś czytał te słowa. Toteż piszę to wyłącznie dla siebie samego. Niech inni oczyszczają się z grzechów w świętej wodzie Amona. Ja, Sinuhe, oczyszczam się spisując moje postęпки ku własnej pamięci. Niech inni zostawiają kłamstwa swego serca do zważenia na wadze Ozyrysa. Ja, Sinuhe, ważę me serce na trzcinie do pisania. Ale nim zacznę pisać moją księgę, pozwolę sercu wyplakać żal, gdyż tak żali się serce wygnańca, czarne od troski:

Kto raz pił wody Nilu, tęsknić będzie zawsze do Nilu. Jego pragnienia nie zdoła ugasić woda żadnego innego kraju.

Kto urodził się w Tebach, tęsknić będzie zawsze do Teb, gdyż nie ma na ziemi innego miasta, podobnego do Teb. Kto urodził się w ubogim zaułku, tęsknić będzie zawsze do tej uliczki, z pałacu cedrowego tęsknić będzie do glinianej lepianki; od zapachu mirry i drogocennych olejków tęsknić będzie do woni ognisk z bydlęcego nawozu i ryb smażonych na oleju.

Zamieniłbym mój złoty puchar na gliniany dzban biedaka, gdyby stopa moja mogła kiedyś jeszcze raz stąpnąć na miękkim muł krainy Kem. Moje lniane szaty zamieniłbym na niewolniczą oponkę z grubo garbowanej skóry, gdybym jeszcze raz mógł usłyszeć, jak szumi w wiosennym wietrze sitowie nad Nilem.

Nil wylewa, miasta jak drogie kamienie wynurzają się z jego zielonych wód, jaskółki wracają, żurawie brodzą w błocie, ale mnie tam nie ma. Czemuż nie jestem jaskółką, czemuż nie jestem żurawiem, bym mógł na silnych skrzydłach ulecieć moim strażnikom, wrócić do krainy Kem?

Swoje gniazdo zbudowałbym pośród różnobarwnych kolumn Amona, gdzie obeliski płoną ogniem i złoceniami, pośród zapachu kadzidła i tłustych ofiar zwierzęcych. Swoje gniazdo zbudowałbym na dachu glinianej lepianki w ubogim zaułku. Woły ciągną sanie, rzemieślnicy kleją z sitowia karty papirusu, kupcy głośno wychwalają towary, żuki ryją w gnoju na wyłożonych kamieniem ulicach.

Czysta była woda mojej młodości, słodka była moja nierozwaga. Gorzkie i kwaśne jest wino starości i nawet najlepsze miodne ciasto nie zastąpi razowego chleba mojego ubóstwa. O lata owe, zawróćcie, potoczcie się ku mnie, lata minione, popłyń, Amonie, po niebie od zachodu do wschodu, abym jeszcze raz mógł przeżyć młodość! Ani jednego słowa bym nie zmienił, nawet najmniejszego czynu bym nie zmienił na inny. O krucha trzcino, o gładki papirusie, dajcie mi z powrotem moje głupie postęпки, moją młodość i moją lekkomyślność!

Pisał to Sinuhe, wygnaniec, uboższy od wszystkich biedaków w krainie Kem.

ROZDZIAŁ 2

Senmut, którego nazywałem ojcem, był lekarzem biedaków w Tebach. Kipa, którą nazywałem matką, była jego żoną. Dzieci nie mieli. Dopiero w starości przybrali mnie za syna. W swej prostocie nazywali mnie darem bogów, nie przeczuwając zła, jakie ten dar miał im przynieść. Kipa nazwała mnie Sinuhe, imieniem z baśni, bo lubiła baśnie, a nadto, bo jej zdaniem przyszedłem do niej uciekając przed niebezpieczeństwami, jak ów baśniowy Sinuhe, który przypadkiem podsłuchał straszliwą tajemnicę faraona i który potem uciekł i żył przez wiele lat, doświadczając rozmaitych przygód w obcych krajach.

Ale było to tylko naiwne bajanie, płynące z jej dziecinnego usposobienia. Chciała mieć nadzieję, że także i ja zawsze ucieknę przed niebezpieczeństwami i uniknę niepowodzeń. Dlatego nazwała mnie Sinuhe. Lecz kapłani Amona mówią, że imię człowieka to wróżebna zapowiedź. Być może więc, że to moje imię wystawiło mnie na niebezpieczeństwa i przygody i wyгнаło do obcych krajów. Moje imię skazało mnie może na udział w straszliwych tajemnicach, sekretach królów i ich małżonek, tajemnicach, które mogą przyprawić człowieka o śmierć. Moje imię uczyniło ze mnie w końcu banitę i wyгнаńca.

Ale równie dziecinne jak myśl Kipy, gdy mi nadawała to imię, byłoby wyobrazenie, że imię może mieć jakiś wpływ na losy człowieka. Wierzę, że wiodłoby mi się tak samo, gdyby imię moje brzmiało Kepru czy Kafran, czy Mose. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Sinuhe został wyгнаńcem, gdy natomiast Heb, syn sokoła, ukoronowany został czerwoną i białą koroną jako Horemheb na króla Górnego i Dolnego Kraju. Niech więc każdy myśli sobie, co chce, o znaczeniu ludzkiego imienia. W swej wierze jednak znaleźć może pociechę na niepowodzenia i zło życia.

Urodziłem się za panowania wielkiego króla, faraona Amenhotepa Trzeciego. W tym samym roku urodził się ten, który chciał żyć prawdą i którego imienia nie wolno już wymieniać, ponieważ jest to imię przeklęte – jakkolwiek naturalnie wówczas nikt jeszcze o tym nic nie wiedział. Toteż gdy się urodził, w pałacu nastąpiła wielka radość i król złożył liczne ofiary w wielkiej świątyni Amona, którą sam kazał zbudować, a także lud cieszył się nie przeczuwając, co przyszłość przyniesie. Pierwsza królewska małżonka, Teje, czekała bowiem nadaremnie na dziecko płci męskiej, mimo że była wielką królewską małżonką już dwadzieścia dwa lata i imię jej ryto obok imienia królewskiego w świątyniach i na posągach. Dlatego też ten, którego imienia nie wolno wymieniać, obwołany został wśród wielkich uroczystości spadkobiercą władzy królewskiej, gdy tylko kapłani zdążyli dokonać obrzezania.

Lecz on urodził się dopiero na wiosnę, w okresie siewów, natomiast ja, Sinuhe,

przyszedłem na świat już poprzedniej jesieni, gdy wezbrane wody Nilu stały najwyżej. Ale dokładnego dnia swego urodzenia nie znam, gdyż przyplłynąłem z biegiem Nilu w małej łódce z sitowia, uszczelnionej smołą, i moja matka, Kipa, znalazła mnie w nadbrzeżnej trzcinie opodal progu swego domu – tak wysoko podeszły wtedy wody Nilu. Jaskółki właśnie przyleciały i świergotały nad moją głową, ale ja leżałem cicho i Kipa sądziła, że już nie żyję. Zabrała mnie do domu, rozgrzała przy ognisku i chuchała w moje usta, aż zacząłem cichutko kwilić.

Mój ojciec, Senmut, powrócił do domu od swoich chorych, przynosząc dwie kaczki i garniec mleka. Usłyszał moje kwilenie i sądząc, że Kipa wzięła sobie kociaka, chciał jej robić wyrzuty. Ale moja matka rzekła: – To nie jest kot, tylko mamy syna. Ciesz się, mój małżonku, urodził nam się syn!

Ojciec rozzłościł się i zwymyślał ją od głupich, ale Kipa pokazała mu mnie, a moja bezradność wzruszyła serce mego ojca. Przyjął mnie więc za własne dziecko i nawet sąsiadom kazał wierzyć, że urodziła mnie Kipa. Było to naiwne i nie wiem, kto dał temu wiarę. A łódeczkę z sitowia, w której przyplłynąłem, Kipa zachowała i zawiesiła pod pułapem, nad moim łóżeczkiem. Ojciec zabrał najlepszy miedziany kociołek, zaniósł go do świątyni i kazał wpisać mnie do księgi urodzin jako swego syna, zrodzonego z Kipy. Ale obrzezania dokonał na mnie sam, gdyż był lekarzem i bał się noży kapłanów, które zostawiały ropiejące rany. Dlatego też nie pozwolił nikomu z kapłanów mnie dotknąć. Choć może zrobił to także z oszczędności, gdyż jako lekarz biedoty nie był wcale zamożnym człowiekiem.

Co prawda nie pamiętam sam, żebym to wszystko widział czy przeżył, ale matka moja i ojciec mój opowiadali mi tę historię tyle razy tymi samymi słowy, że wierzę w nią i nie widzę żadnego powodu, dla którego mieliby przede mną kłamać. Przez całe dzieciństwo uważałem ich za rodziców i żadna troska nie zaciemniała moich lat dziecinnych. Prawdę powiedzieli mi dopiero po postrzyżynach, gdy stałem się chłopcem. A zrobili to dlatego, że czcili bogów, żyli w bojaźni przed nimi i ojciec nie chciał, żebym przez całe życie żył w kłamstwie.

Kim jednak byłem i skąd pochodziłem, i kim byli moi rodzice, tego nie dowiedziałem się nigdy. Ale zdaje mi się, że to wiem z przyczyn, o których opowiem później, choć może jest to tylko moje mniemanie.

Lecz jedno wiem z całą pewnością, a mianowicie, że nie byłem jedynym, który w uszczelnionej smołą łódce z sitowia nadpłynął z biegiem Nilu. Teby ze swymi świątyniami i pałacami były bowiem wielkim miastem i lepianki biedoty w ogromnej liczbie tłoczyły się wokół świątyń i pałaców. Za czasów wielkich faraonów Egipt

podbił wiele ludów i wraz z potęgą i bogactwem przyszła zmiana obyczajów, a do Teb napłynęli jako kupcy i rzemieślnicy obcy, którzy budowali tam przybytki dla swoich bogów. I równie wielka jak zbytek, bogactwo i przepych w świątyniach i pałacach była też bieda za murami. Niejeden biedak porzucał swoje dziecko, ale również i niejedna żona bogacza, której małżonek znajdował się w podróży, posyłała znak swojej zdrady małżeńskiej w łódeczce z sitowia z biegiem Rzeki. Może więc zostałem porzucony przez żonę żeglarza, która zdradziła męża z syryjskim kupcem. A może byłem dzieckiem cudzoziemca, ponieważ nie byłem obrzezany. Gdy obcięto mi włosy po raz pierwszy i matka schowała dziecinne loki do małej drewnianej skrzyneczki wraz z moimi pierwszymi sandałkami, patrzyłem długo na łódeczkę z sitowia, którą mi pokazała. Łodyżki były żółkłe, popękane i okopcone dymem z naczynia z żarem. Łódka wiązana była węzłami ptasznika, lecz nic innego nie umiała powiedzieć o moich rodzicach. W taki to sposób serce moje zranione zostało po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ 3

Gdy zbliża się starość, dusza ucieka jak ptak, znowu w dni młodości. W dniach starości dzieciństwo moje świeci mi w pamięci jasno i wyraziście, jak gdyby wszystko było wtedy lepsze i piękniejsze niż w świecie dzisiejszym. I w tym nie ma chyba żadnej różnicy między biednym a bogatym, gdyż z pewnością nie ma takiego biedaka, którego dzieciństwo nie miałoby błysków światła i radości, gdy je wspomina na stare lata.

Mój ojciec Senmut mieszkał w górze Rzeki, licząc od murów świątyni, w hałaśliwej i biednej dzielnicy miasta. W pobliżu jego domu leżały wielkie pomosty kamienne, przy których wylądowywano statki z Nilu. W wąskich uliczkach moc było piwiarni i winiarni dla marynarzy i kupców oraz domów rozpusty, do których przybywali w lektykach nawet zamożni z centrum miasta. Naszymi sąsiadami byli poborcy podatkowi, podoficerowie, przewoźnicy oraz kilku kapłanów piątego stopnia. Jak i mój ojciec, należeli do najbardziej szanowanych mieszkańców dzielnicy ubogich, podobnie jak mur, który wznosi się nad poziom otaczającej go wody.

Dom nasz był więc duży i obszerny w porównaniu z glinianymi lepiankami największej biedoty, które żalonymi rzędami wznosiły się po obu stronach wąskich uliczek. Przed domem był nawet ogródek szerokości paru kroków, w którym rósł zasadzony przez ojca sykomor. Ogród oddzielony był od ulicy krzakiem akacji, a sadzawkę zastępowało murowane kamienne koryto, w którym woda zbierała się jednak tylko w okresie wylewów. W samym domu były cztery izby. W jednej z nich matka moja przyrządzała jedzenie. Posiłki spożywaliśmy na werandzie, z której można było także wejść do izby przyjęć mojego ojca. Dwa razy w tygodniu matce, która kochała

czystość, przychodziła pomagać sprzątaczką. Raz w tygodniu praczka zabierała naszą odzież, którą prała nad brzegiem Rzeki.

W tej ubogiej, niespokojnej, rojącej się od cudzoziemców dzielnicy, której zepsucie stało się dla mnie jasne, dopiero gdy wyrosłem na młodzieńca, ojciec mój i jego sąsiedzi reprezentowali tradycje i dawne czcigodne obyczaje. Gdy w samym mieście pomiędzy bogaczami i możnymi obyczaje uległy już rozluźnieniu, on i jego warstwa wciąż z kamienną nieugiętością reprezentowali dawny Egipt, szacunek dla bogów, czystość serca i brak samolubstwa. Tak jak gdyby na przekór swojej dzielnicy i ludziom, wśród których musieli żyć i wykonywać zawód, chcieli swoimi obyczajami i zachowaniem podkreślić, że do nich nie należą.

Ale po cóż mam opowiadać o tym, co dopiero później zrozumiałem. Dlaczego nie wspominać raczej chropowatego pnia sykomoru i szumu liści, gdy u jego korzeni szukałem cienia przed prażącym słońcem. Dlaczego nie wspominać raczej mojej najdroższej zabawki, drewnianego krokodyla, którego ciągnąłem na sznurku po brukowanej kamieniami uliczce i który włókł się za mną klekocząc drewnianą szczęką i otwierając pomalowaną na czerwono paszczę. Zachwycone dzieci sąsiadów gromadziły się, aby go oglądać. Wiele łakoci, wiele błyszczących kamyczków i kawałeczków miedzianego drutu dostałem za to, że pozwalałem innym dzieciom ciągnąć mego krokodyla za sobą i bawić się nim. Takie zabawki miały tylko dzieci dostojników, ale ojciec mój dostał go od królewskiego stolarza za to, że kąpielami wyleczył go z wrzodu, który utrudniał mu siedzenie.

Co rano matka zabierała mnie z sobą na targowisko. Nie miała co prawda zbyt wielu zakupów do zrobienia, ale potrafiła strawić czas upływu jednej miary wodnej na wybranie wiązki cebuli, a zużyć wszystkie poranki całego tygodnia na wybór nowego obuwia. Z jej słów zaś można było mniemać, że jest bogata i chce mieć tylko to co najlepsze. I że jeśli nie kupuje wszystkiego, co cieszy oczy, to jedynie dlatego, że chce mnie nauczyć oszczędności. Mawiała: – Nie ten jest bogaty, kto posiada srebro i złoto, lecz ten kto poprzestaje na małym. – Zapewniała mnie o tym, ale równocześnie jej biedne stare oczy podziwiała barwne wełny z Sydonu i Byblos, cienkie i lekkie jak puch. Jej poczemniałe, stwardniałe od pracy ręce dotykały pieścizliwie strusich piór i ozdób z kości słoniowej. Wszystko to było zbytkiem i próżnością, zapewniała mnie, a pewnie także siebie samą. Ale umysł dziecka buntował się przeciw tym naukom. Bardzo chciałbym mieć małąkę, która zarzucała ramiona na szyję swemu właścicielowi, lub barwnego ptaszka, wykrzykującego syryjskie i egipskie słowa. Nie miałbym też nic przeciw złotym łańcuchom i połączanym sandałom. Dopiero znacznie później

zrozumiałem, że biedna stara Kipa niewypowiedzianie mocno chciała być bogata.

Ale że była tylko żoną ubogiego lekarza, zaspokajała swoje pragnienia baśniami. Wieczorami, przed zaśnięciem, opowiadała mi cichym głosem wszystkie baśni, jakie знаła. O Sinuhe i o rozbitku, który wrócił od króla węzów z niezmiernymi bogactwami. O bogach i o złych duchach, o czarownikach i o dawnych faraonach. Ojciec często burczał i mówił, że ona krzewi w moim mózgu bzdury i puste myśli, ale gdy wieczorami zaczynał chrapać, matka opowiadała dalej, z pewnością tyleż dla własnej przyjemności, co dla zabawienia mnie. Pamiętam wciąż jeszcze te upalne wieczory letnie, gdy łoże parzyło nawet nagie ciało, a sen nie chciał przyjść. Słyszę jej przytłumiony, usypiający głos, jestem znowu bezpieczny w jej ramionach. Rodzona matka nie mogłaby chyba być dla mnie lepsza i czulsza niż ta prosta zabobonna Kipa, u której ślepi i ułomni baśniarze zawsze mogli liczyć na dobry posiłek.

Baśni bawiły mnie, ale jako ich przeciwieństwo istniała żywa ulica, pełna much i niezliczonych woni ulica. Od strony portu wiatr przynosił drażniące zapachy cedru i mirry. Kropla wonnego olejku mogła spaść z lektyki, gdy dostojna dama wychyliła się z niej, aby połajac uliczników. Wieczorami, gdy złota łódź Amona zniknęła za górami na zachodzie, z wszystkich werand i lepianek na całej ulicy unosił się swąd smażonej na oleju ryby, pomieszany z zapachem świeżego chleba. Te wonie ubogiej dzielnicy Teb nauczyłem się kochać jako dziecko i nigdy ich później nie zapomniałem.

W czasie posiłków na werandzie przyjmowałem pierwsze nauki z ust mojego ojca. Zmęczony, wchodził z ulicy do ogródka albo wychodził ze swej izby przyjęć, rozsiewając ostry zapach leków i maści. Matka lała mu wodę na ręce, po czym siadaliśmy na stołkach, by jeść, a ona nas obsługiwała. Bywało, że ulicą przechodzili dużą, hałaśliwą grupą pijani marynarze, krzycząc i nawołując, bębniąc kijami o ściany domów albo też zatrzymując się przy naszych akacjach, aby załatwić potrzebę. Ojciec mój był ostrożnym człowiekiem i nic nie mówił, dopóki się nie oddalili. Dopiero wtedy pouczał mnie:

– Tylko nędzny Murzyn albo plugawy Syryjczyk załatwia się na ulicy. Egipcjanin robi to w ścianach domu.

Albo mówił:

– Używane umiarkowanie, jest wino darem bogów dla ucieszenia serc naszych. Jeden puchar nie szkodzi nikomu, dwa rozwiązują język, lecz ten, kto wypija cały dzban, budzi się pobity i obrabowany w ryszotku.

Niekiedy dolatywało aż do werandy tchnienie wonnych pomad, gdy ulicą przechodziła pieszo jakaś piękna kobieta z ciałem owitym w przezroczyste szaty, o

policzkach, wargach i brwiach barwnie umalowanych, z błyskiem w wilgotnych oczach, jakiego nigdy nie widzi się u kobiet cnotliwych. Gdy oczarowany patrzyłem w ślad za nią, ojciec mój mówił poważnie:

– Strzeż się kobiety, która zwać cię będzie pięknym młodzieńcem i wabić do siebie, gdyż serce jej jest siecią i pętlą, a jej łono palić cię będzie gorzej niż ogień.

Nic dziwnego, że po tych naukach zacząłem w swej dziecinnej duszy bać się zarówno dzbanów wina, jak i piękności wyróżniających się wśród innych kobiet. Ale równocześnie i jedno, i drugie nabrało dla mnie owego niebezpiecznego powabu, którym tchnie wszystko, co nas przeraża.

Mój ojciec pozwalał mi już jako dziecku uczestniczyć w przyjmowaniu chorych, pokazywał swoje narzędzia, noże i naczynia z lekami, opowiadał, jak ich używać. Gdy badał pacjentów, wolno mi było stać obok i podawać mu czarki z wodą, opatrunki, olejki i wino. Matka, jak to kobieta, nie mogła znieść widoku ran i wrzodów i nigdy nie potrafiła zrozumieć mego dziecinnego zainteresowania chorobami. Dziecko nie rozumie męki i choroby, dopóki ich samo nie przeżyje. Otwarcie wrzodu było dla mnie emocjonującym zabiegiem i z dumą opowiadałem innym chłopcom o wszystkim, co widziałem, aby zaskarbić sobie ich szacunek. Gdy tylko przyszedł nowy pacjent, śledziłem uważnie sposób, w jaki ojciec go badał i zadawał pytania, aż wreszcie mówił: – Choroba da się uleczyć – albo też – podejmuję się leczenia. – Ale byli też pacjenci, których leczenie ojciec nie chciał się podjąć. Wtedy pisał na skrawku papirusu kilka wierszy i posyłał chorych do świątyni, do Domu Życia. A gdy taki pacjent odszedł, ojciec wzdychał zazwyczaj, potrząsał głową i mówił: – Biedny człowiek!

Nie wszyscy pacjenci mego ojca byli biedakami. Z domów rozpusty przyprawiano do niego na opatrunki mężczyzn, których szaty uszyte były z najcieńszego płótna, a syryjscy kapitanowie okrętów przychodzili niekiedy dać się zbadać, gdy zrobiły im się wrzody lub gdy cierpieli na ból zębów. Toteż nie byłem wcale zdziwiony, gdy raz przysłała na badanie żona pewnego handlarza korzeni, przybrana w klejnoty i kołnierz iskrzący się od drogich kamieni. Wzdychała i jęczała, i skarżyła się na rozmaite dolegliwości, a ojciec słuchał uważnie. Byłem ogromnie zawiedziony, gdy w końcu wziął skrawek papirusu, gdyż miałem nadzieję, że zdoła ją uleczyć, co przyniosłoby w darze wiele łakoci. Dlatego westchnąłem, potrząsnąłem głową i szepnąłem do siebie samego: – Biedna kobieta.

Chora zadrzała z przerażenia, patrząc niespokojnie na mego ojca. Ale on przepisał na skrawku ze starej rolki papirusu wiersz złożony ze starodawnych znaków pisarskich i obrazków, nalał do miseczki oliwy i wina, zamoczył skrawek w tej mieszaninie,

potrzebał, aż tusz rozpuści się w winie, wylał ciecz do glinianego dzbanka i dał to jako lekarstwo żonie handlarza korzeni, polecając jej brać ten środek natychmiast, gdy zaczną się bóle głowy czy żołądka. Gdy kobieta odeszła, spojrziałem pytająco na ojca. Zmieszał się, kilkakrotnie odchrząknął i powiedział:

– Jest wiele chorób, które można uleczyć tuszem, jeśli został użyty do silnych zamawiań. – Więcej nic nie powiedział, tylko w chwilę później mruknął pod nosem: – Taki środek przynajmniej nie zaszkodzi pacjentowi.

Gdy skończyłem siedem lat, dostałem chłopięcy fartuszek i matka zaprowadziła mnie do świątyni, abym uczestniczył w ofierze. Świątynia Amona w Tebach była wówczas najwspanialszą świątynią w Egipcie. Od świątyni i sadzawki bogini księżycy prowadziła do niej poprzez całe miasto aleja, wzdłuż której stały po obu stronach wykute w kamieniu sfinksy o baranich głowach. Świątynię otaczały potężne mury z cegły. Wraz z wszystkimi budynkami tworzyła ona jak gdyby miasto w mieście. Na głowicach wysokich jak góry pylonów powiewały kolorowe proporce, a olbrzymie posągi królów strzegły miedzianych bram po obu stronach świątynnego obszaru.

Weszliśmy tam przez bramę i sprzedawcy Ksiąg Śmierci zaczęli natychmiast szarpać matkę za suknię i szeptem lub też krzykiem zalecać swój towar. Matka pokazała mi pracownię stolarzy i wystawione tam drewniane podobizny niewolników i sług. Po odmówieniu nad nimi modłów przez kapłanów, figurki te zyskiwały moc trośczenia się na tamtym świecie o swoich właścicieli i pracowania dla nich tak, aby nie potrzebowali nawet ruszyć palcem. – Ale dlaczego opowiadam o tym, co wszyscy wiedzą, skoro i tak wszystko wróciło do dawnego, a serce ludzkie się nie zmienia. – Matka opłaciła datek, którego żądano za prawo przyglądania się ofierze, i zobaczyłem, jak kapłani w białych szatach zręcznymi ruchami zabili i poćwiartowali byka, który w warkoczu z sitowia oplatającym mu rogi nosił pieczęć stwierdzającą, że jest to zwierzę bez żadnej wady i bez jednego czarnego włosa na ciele. Kapłani byli tłuści i pełni namaszczenia, a ich ogolone głowy lśniły od oliwy. Kilkuset widzów wzięło udział w ofierze, a kapłani nie poświęcali im większej uwagi, tylko bez skrepowania rozmawiali podczas całej ceremonii o własnych sprawach. Największy podziw wzbudziły jednak we mnie wojenne sceny na ścianach świątyni i ogrom olbrzymich kolumn. Wcale nie rozumiałem wzruszenia matki, gdy ze łzami w oczach prowadziła mnie z powrotem do domu. Tam zdjęła ze mnie dziecinne treпки i dostałem nowe sandały, które były niewygodne i ocierały mi stopy, dopóki do nich nie przywykłem.

Po posiłku ojciec spoważniał, położył mi na głowie swą dużą doświadczoną rękę i z nieśmiałą pieczytliwością pogładził miękkie chłopięce loki na mojej prawej skroni.

– Masz już siedem lat, Sinuhe – powiedział – musisz postanowić, czym będziesz.

– Żołnierzem – odparłem natychmiast i nie mogłem pojąć wyrazu zawodu na jego dobrym obliczu, gdyż najlepsze zabawy chłopców z mojej ulicy to były zabawy w wojnę. Widziałem też, jak żołnierze mocują się i ćwiczą w używaniu broni przed koszarami, widziałem wozy bojowe, jak trzepotem piór i turkotem kół pędziły na ćwiczenia za miasto. Czegoś wspanialszego i bardziej szlachetnego niż zawód żołnierza nie umiałem sobie wyobrazić. Żołnierz nie potrzebował też umieć pisać, a to było dla mnie najbardziej ważkim powodem, gdyż starsi chłopcy opowiadali przeraźliwe historie o tym, jak trudna jest sztuka pisania i jak niemiłosiernie nauczyciele ciągną uczniów za włosy, gdy ci przypadkiem stłuką glinianą tabliczkę lub gdy trzciniowe pióro złamie im się w niewprawnych palcach.

W młodości ojciec nie był zapewne zbyt utalentowanym człowiekiem, w przeciwnym bowiem razie z pewnością zostałyby czymś więcej niż lekarzem biedoty. Ale był sumienny w pracy i nie szkodził pacjentom, a z biegiem lat zebrał wiele doświadczenia. Wiedział już, jak wrażliwy byłem, i dlatego nie zrobił żadnej uwagi co do mego postanowienia.

Lecz po chwili poprosił matkę o naczynie, poszedł do swej izby i napełnił je tanim winem z dzbana. – Chodź ze mną, Sinuhe – powiedział i zaprowadził mnie na brzeg Rzeki. Zdziwiony szedłem za nim. Na moście zatrzymał się, aby popatrzeć na prom, z którego spoceni tragarze o zgiętych grzbietach wyładowywali zaszyte w maty towary. Słońce zachodziło między górami na zachodzie, za miastem umarłych. Byliśmy po posiłku syci, ale tragarze wciąż jeszcze pracowali, dysząc i ociekając potem. Nadzorca poganiał ich kańczugiem, a pod daszkiem siedział spokojnie pisarz i trzciniowym piórem zapisywał każde brzemię.

– Czy chcesz być takim, jak oni? – spytał ojciec.

Uważałem to pytanie za niemądre i nic nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko zdziwiony na ojca, gdyż takim jak tragarze nie chciał chyba być nikt.

– Harują od wczesnego ranka do późnego wieczora – mówił mój ojciec, Senmut. – Ich skóra stała się szorstka jak skóra krokodyla, ich pięści zgrubiały jak łapy krokodyla. Dopiero gdy zmrok zapadnie, wolno im pójść do nędznych lepianek, a pożywieniem ich jest kęs chleba, kawałek cebuli i łyk kwaśnego podpiwka. Takie jest życie tragarza. Takie też jest życie oracza. Takie jest życie wszystkich, którzy pracują rękami. Czy uważasz, że jest im czego zazdrościć?

Potrząsnąłem przecząco głową i patrzyłem zdumiony na ojca. Chciałem przecież zostać żołnierzem, a nie jakimś tragarzem czy grzebiącym się w błocie chłopcem,

nawadniamcem pól czy brudnym pastuchem.

– Ojciec – powiedziałem, gdyśmy poszli dalej – życie żołnierzy jest wygodne. Mieszkają w koszarach i dostają dobre jedzenie, wieczorami piją wino w domach uciechy, a kobiety patrzą na nich z lubością. Najlepsi spośród nich noszą na szyi złote łańcuchy, choć nie umieją pisać. Z wypraw wojennych przywożą łupy i niewolników, którzy pracują i zarabiają na nich. Dlaczego nie miałbym zostać żołnierzem?

Lecz ojciec nic mi nie odpowiedział, tylko przyśpieszył kroku. W pobliżu wielkiego zsympiska odpadków, gdzie chmary much brzęczały nam koło uszu, pochylił się i zajrzał do zapadniętej w ziemię lepianki.

– Intebie, mój przyjacielu, czy jesteś tam? – odezwał się, a na to wyszedł kulejąc, oparty na kiju, stary, pogryziony przez robactwo mężczyzna, którego prawe ramię kiedyś ucięte zostało przy samym obojczyku i którego fartuch sztywny był od brudu. Twarz jego zeschła i skurczyła się od starości i nie miał wcale zębów.

– Czy... czy to on właśnie jest Intebem? – szepnąłem ojcu do ucha patrząc na starca z przerażeniem. Gdyż Inteb był to bohater, który walczył w kampaniach największego z faraonów, Tutmozisa Trzeciego, w Syrii. I wciąż jeszcze krążyły baśni o nim, o jego bohaterских czynach i o nagrodach, jakie dostał od faraona.

Starzec podniósł rękę na powitanie na sposób żołnierski, a ojciec mój wręczył mu naczynie z winem. Usiedli na ziemi, gdyż staruszek nie miał nawet ławeczki przed swoją budą, i Inteb drżącą ręką podniósł naczynie do ust, uważając, by nie rozlać ani kropelki na ziemię.

– Mój syn, Sinuhe, zamierza zostać żołnierzem – powiedział śmiejąc się ojciec. – Przyprowadziłem go do ciebie, Intebie, ponieważ jesteś jedynym żyjącym z bohaterów wielkich wojen, abyś mu opowiedział o dumnym życiu i czynach żołnierza.

– Na Seta, Baala i inne demony! – wykrzyknął starzec, po czym zaśmiał się przeraźliwie i skierował na mnie spojrzenie krótkowzrocznych oczu. – Czy chłopak oszalał?!

Jego bezzębne usta, zgaszone oczy, zwisający bezwładnie kikut i pomarszczona, pokryta brudem pierś były tak okropne, że schowałem się za ojca i chwyciłem go mocno za rękaw.

– Chłopcze, chłopcze! – powiedział Inteb i zachichotał. – Gdybym miał łyk wina za każde przekleństwo, które miotałem na dni mego życia i na mój nędzny los, co zrobił mnie żołnierzem, mógłbym wypełnić winem jezioro, które faraon kazał zrobić dla rozrywki swojej starej. Co prawda nie widziałem go, bo nie stać mnie na to, żeby kazać zawieźć się łódką na drugą stronę Rzeki, ale nie wątpię, że jezioro wypełniłoby się po

brzegi i że zostałyby mi jeszcze tyle dzbanów wina, iż cała armia mogłaby się nim upić.

I znów pociągnął troszeczkę z czarki.

– Ale zawód żołnierza jest przecież najzaszczytniejszy ze wszystkich – wyjąkałem, a broda mi się trzęsła.

– Zaszczyty i chwała to błoto – przerwał bohater Tutmozisa, Inteb. – Błoto, z którego tylko lęgną się muchy. Przez całe życie opowiadałem wiele kłamstw o wojnie i bohaterskich czynach, aby skłonić rozwierających gęby z podziwu gapiów do raczenia mnie winem.. Ale twój ojciec to człowiek zacny i uczciwy i nie chcę go oszukiwać. Dlatego mówię ci, chłopcze, że spośród wszystkich zawodów rzemiosło żołnierza jest najgorsze i najnędzniejsze.

Wino wygładziło zmarszczki na jego twarzy i wznieciło żar w dzikich oczach starca. Wstał i chwycił się swą jedyną ręką za szyję.

– Patrz, chłopcze! – zawołał. – Tę chudą szyję zdobyło kiedyś pięć rzędów łańcuchów. Faraon zawiesił mi je własnoręcznie na szyi. Kto policzy odrąbane dłonie, których stos usypałem przed jego namiotem? Kto pierwszy wdarł się na mury Kadesz? Kto wtargnął jak szalejący słoń we wraże szeregi? To byłem ja, Inteb, bohater! Ale któż jest mi jeszcze za to wdzięczny? Moje złoto rozeszło się bez śladu, niewolnicy, których dostałem z łupów, uciekli albo nędznie pomarli. Prawą rękę zostawiłem w kraju Mitanni i już od dawna byłbym żebrakiem żebrzącym na rogu ulicy, gdyby dobrzy ludzie nie dali mi od czasu do czasu suszonej ryby i oliwy w zamian za to, że opowiadam ich dzieciom prawdę o wojnie. Jam jest Inteb, wielki bohater, ale spójrz na mnie, chłopcze! Młodość moja została w pustyni, zabrana mi przez głód, trudy i wyrzeczenia. Człowiek topniał tam od żaru, skóra garbowała się jak rzemień, a serce stawało się twardsze od kamienia. A co najgorsze, w bezwodnej pustyni wysechł mi także język i opanowało mnie wieczne pragnienie, jak każdego żołnierza, który zbawiwszy życie wraca z wojennych wypraw do dalekich krajów. Dlatego życie moje stało się jak dolina śmierci od czasu, gdym stracił rękę. Nie chcę nawet wspominać o bólu i o mękach, jakie zadali mi polowi felczerzy nurzając mi kikut we wrzącej oliwie, okroiwszy go wpierw do czysta, jak to dobrze wie twój ojciec. Błogosławione niech będzie twe imię, Sennucie, boś zacny i poczciwy, ale wino się skończyło!

Starzec zamilkł, dyszał przez chwilę, po czym usiadł na ziemi i zmartwiony przewrócił naczynie dnem do góry. W oczach jego płonął dziki żar i znowu był starym, nieszczęśliwym człowiekiem.

– Ale żołnierz nie musi umieć pisać – odważyłem się wyszeptać nieśmiało.

– Hm – chrząknął Inteb i zerknął na mego ojca. A ten zdjął z ramienia miedzianą

bransoletę i wręczył go starcowi. Inteb zawołał głośno i zaraz wyskoczył skądś umorusany chłopak, wziął bransoletę i naczynie i pobiegł do winiarni, by kupić więcej wina.

– Nie bierz najlepszego! – wołał za nim Inteb. – Możesz nawet kupić kwaśne, dostaniesz go najwięcej! – I znowu popatrzył na mnie z namysłem.

– Masz słuszość – powiedział. – Żołnierz nie musi umieć pisać, powinien tylko umieć się bić. Gdyby umiał pisać, byłby dowódcą i dowodziłby najdzielniejszymi żołnierzami, i posyłałby innych przed sobą w bój. Gdyż ten, kto umie pisać, nadaje się do komenderowania żołnierzami, ale gdy się nie umie gryzmolić na papierusie, nie uzyska się dowództwa nawet nad setką żołnierzy. Jakąż radość dają złote łańcuchy i odznaczenia, gdy dowodzi ktoś z piórem trzciniowym w ręku? Ale tak już jest i tak zawsze będzie. Dlatego też, mój chłopcze, skoro chcesz rozkazywać żołnierzom i dowodzić nimi, naucz się wpieryw pisać. Wtedy bić ci będą pokłony odznaczeni złotymi łańcuchami wojacy, a niewolnicy będą cię nosić w lektyce na pole bitwy.

Umorusany chłopak wrócił z dzbanem wina, przynosząc także napełnioną kwartę. Oblicze starca rozjaśniło się radością.

– Twój ojciec, Senmut, dobrym jest człowiekiem – powiedział życzliwie. – Umie pisać i kurował mnie gdy zacząłem widzieć krokodyle i hipopotamy za dni mego powodzenia, kiedy nie brak mi było wina. To mąż zacny, mimo, że jest tylko lekarzem i nie umie napiąć łuku. Niech mu będą dzięki!

Patrzyłem ze zgrozą na dzban wina, z którym Inteb wyraźnie zamierzał się rozprawić, i zacząłem niecierpliwie szarpać ojca za szeroki, poplamiony lekarstwami rękaw, gdyż męczył mnie strach, że upiwszy się winem ockniemy się niebawem pobici na jakimś rogu ulicy. Także Senmut popatrzył na ten dzban wina, lekko westchnął i zabrał mnie stamtąd. Inteb zaczął przenikliwym głosem śpiewać jakąś syryjską piosenkę, a nagi, spalony słońcem chłopiec śmiał się głośno.

Ja zaś, Sinuhe, pogrzebałem moje żołnierskie marzenia i nie opierałem się dłużej, gdy nazajutrz rodzice zaprowadzili mnie do szkoły.

ROZDZIAŁ 4

Ojca nie było naturalnie stać na to, aby posłać mnie do którejś z wielkich szkół w świątyni, gdzie uczyli się chłopcy – a niekiedy i dziewczęta – z rodzin dostojników, bogaczy i wyższego kapłaństwa. Nauczycielem moim został stary kapłan Oneh, który mieszkał o parę ulic od nas i prowadził szkołę na rozlatującej się werandzie swego domku. Jego uczniami były dzieci rzemieślników, kupców, nadzorców portowych i podoficerów, którzy w swej ambicji żywili nadzieję kariery pisarzy dla swych synów.

Oneh prowadził ongiś księgi magazynowe w świątyni u niebiańskiej Mut i nadawał się skutkiem tego bardzo do dawania pierwszych nauk w sztuce pisania dzieciom, które później miały zapisywać wagę towarów, ilość zboża, liczbę bydła czy też rachunki zaprowiantowania żołnierzy. W wielkich Tebach, światowej metropolii, były dziesiątki i setki tego rodzaju małych szkółek. Nauka kosztowała tanio, gdyż uczniowie musieli tylko utrzymywać starego Oneha. Syn handlarza węgla przynosił mu w zimowe wieczory węgiel do kociołka z żarem, syn tkacza zaopatrywał go w odzież, syn kupca zbożowego starał się dla niego o mąkę, mój ojciec zaś doglądał go w wielu starczych dolegliwościach i dawał mu uśmierzające bóle wywary z ziół do zażywania w winie.

Ta zależność czyniła z Oneha nauczyciela łagodnego. Chłopiec, który zdrzemnął się nad tabliczką do pisania, nie był targany za włosy, musiał tylko następnego dnia świsnąć dla staruszka jakiś smakołyk. Czasem syn kupca zbożem przynosił z domu dzbanek piwa i w owe dni słuchaliśmy lekcji uważnie, gdyż stary Oneh wpadał wtedy w natchnienie i opowiadał przedziwne przygody z tamtego świata i baśni o niebiańskiej Mut, o budowniczym wszystkiego Ptahu i innych bogach z nim blisko spokrewnionych. Chichotaliśmy i zdawało nam się, żeśmy go nabrali, by zapomniał na cały dzień o trudnych lekcjach i nudnych znakach pisarskich. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że stary Oneh był sprytniejszym i bardziej wyrozumiałym nauczycielem, niż sądziłem. Poprzez baśni, w które jego dzieciennie pobożna fantazja wlewała życie, zmierzał do określonego celu. Uczył nas prawa i obyczajów dawnego Egiptu. Żaden zły postępek nie pozostawał bez kary. Serce każdego człowieka nieuchronnie kiedyś zostanie zważone przed wysokim tronem Ozyrysa. Człowiek, którego złe czyny wyszły na jaw na wadze boga o głowie szakala, rzucały na pożarcie Pożercy, będącemu zarazem krokodylem i hipopotamem, lecz jeszcze bardziej przerażającemu niż te oba potwory.

Opowiadał też o mrukliwym Wstecz Patrzącym, straszliwym przewoźniku na wodach śmierci, bez którego pomocy nikt nie osiągnął pół błogosławionych. Wiosłując spoglądał on stale za siebie, a nie przed siebie, w kierunku ruchu łodzi, jak ziemscy przewoźnicy na Nilu. Oneh nauczył nas klepać na pamięć formułki, którymi można było zjednać i przekupić Wstecz Patrzącego. Nauczył nas także kopiować je znakami pisarskimi i kreślić z pamięci. Nasze błędy poprawiał łagodnymi upomnieniami wskazując, iż musimy rozumieć, że nawet najmniejszy błąd może unicestwić szczęśliwe życie na tamtym świecie. Gdybyśmy wręczyli Wstecz Patrzącemu list zawierający jakiś błąd, zmuszeni bylibyśmy nieuchronnie wędrować jako cienie przez wieczność nad brzegiem mrocznej, czarnej wody lub – co jeszcze gorsze – dostalibyśmy się do

strasznych otchłani państwa umarłych.

Przez wiele lat chodziłem do szkoły Oneha. Moim najlepszym kolegą był Totmes, o parę lat starszy ode mnie syn dowódcy oddziału wozów bojowych. Od wczesnego dzieciństwa umiał on obchodzić się z końmi i mocować. Jego ojciec, w którego bicz dowódcy wplecione były miedziane druciki, spodziewał się, że syn zostanie wyższym dowódcą, i dlatego chciał, aby nauczył się on sztuki pisania. Lecz imię chłopca, sławne imię Totmes, nie spełniło proroctwa, w którym pokładał nadzieję jego ojciec. Albowiem gdy Totmes zaczął naukę w szkole, nie dbał już o rzucanie oszczepem czy ćwiczenia z wozami bojowymi. Znaków pisarskich uczył się łatwo i podczas gdy inni srodze się nad nimi biedzili, on rysował na tabliczce obrazki wozów bojowych, koni stojących dęba i mocujących się żołnierzy. Przynosił z sobą do szkoły glinę i gdy dzban piwa opowiadał nam baśnie przez usta Oneha, Totmes lepił prześmieszłą figurkę Pożercy, jak niezgrabnie szczerząc szczęki porywa małego łysego staruszka, w którym po zgiętym grzbiecie i małym krągłym brzuszku z łatwością można było rozpoznać Oneha. Ale Oneh nie gniewał się. Nikt nie potrafił się gniewać na Totmesa. Miał on szeroką twarz człowieka z ludu i krótkie, grube nogi, a z oczu jego były zawsze błyski zaraźliwej wesołości, zaś jego zręczne palce lepiły z gliny zwierzęta i ptaszki, które ogromnie nas bawiły. Zabiegałem zrazu o jego przyjaźń, bo wydawał się taki wojowniczy, lecz przyjaźń nasza przetrwała, mimo że później nie okazywał już najmniejszych wojskowych ambicji.

W czasie gdym chodził do szkoły, wydarzył mi się cud. Stało się to całkiem nagle i wciąż jeszcze pamiętam tę chwilę jak jakie objawienie. Był chłodny i piękny dzień wiosenny, ptaszki świergotały w powietrzu, a bociany naprawiały stare gniazda na dachach glinianych lepianek. Woda już opadła i ziemia pokryła się świeżą zielenią. W ogrodach obsiewano grządki i sadzono sadzonki. Był to dzień jakby stworzony na szalone przygody i nie mogliśmy w żaden sposób usiedzieć spokojnie na wałcejsiej się werandzie Oneha, gdzie gliniane cegiełki, z których składały się ściany, pękały na drobne kawałeczki, gdy się w nie uderzyło. Siedziałem roztargniony i kreśliłem nigdy nie kończące się znaki pisarskie, litery do rycia w kamieniu, a obok nich skrócone do pisma na papirusie. Aż nagle, na jakieś już dziś zapomniane słowo Oneha, coś przedziwnego doszło we mnie do głosu i uczyniło dla mnie te litery żywymi. Obrazek stał się słowem, słowo zgłoską, zgłoska literą. Gdy połączyłem obrazek z obrazkiem, powstawały nowe słowa, żywe, dziwne słowa, które nie miały już nic wspólnego z obrazkami. Jeden obrazek pojmie nawet najprostszy nawadniacz pól, ale dwa obrazki obok siebie zrozumie tylko ktoś biegły w pisaniu. Sądzę, że każdy, kto studiował sztukę

pisania i uczył się czytać, wie, jak wielkim przeżyciem jest to, o czym mówię. Przeżycie to było dla mnie przygodą o wiele większą i bardziej kuszącą niż porwanie ukradkiem z kosza sprzedawcy jabłka granatu, słodsze niż suszony daktyl, pysznego jak woda dla spragnionego.

Od tej chwili nie trzeba było mnie napominać. Od tej chwili chłonałem nauki Oneha jak wyschnięta ziemia pije wodę Nilu. Szybko nauczyłem się pisać. Z czasem nauczyłem się także czytać, co inni napisali. W trzecim roku nauki umiałem już przesyłabizować zniszczone rolki papirusu i dyktować innym pouczające baśni.

W ciągu tego czasu zauważyłem też, że nie jestem taki jak inni. Twarz moja była węższa, skóra jaśniejsza, a członki bardziej smukłe niż grube kończyny innych chłopców. Przypominałem bardziej dzieci możnych niż lud, pośród którego żyłem, i gdybym miał taką samą odzież, chyba nikt nie zdołałby odróżnić mnie od chłopców, których noszono w lektykach lub którym towarzyszyli na ulicach niewolnicy. Wywoływało to nawet kpiny. Syn kupca zbożowego chciał mnie obejmować za szyję i nazywał mnie dziewczynką, tak że zmuszony byłem kłuć go rylcem. Z bliska był dla mnie odpychający, bo cuchnął. Chętnie natomiast szukałem towarzystwa Totmesa, ale on nigdy mnie nawet nie dotknął.

Razu pewnego Totmes odezwał się nieśmiało:

– Jeślibyś zechciał mi pozować, zrobiłbym ci figurkę.

Wziąłem go z sobą do domu i na podwórku pod sykomoreem zrobił mi z gliny posążek zupełnie do mnie podobny i rylcem wyrył na nim moje imię literami. Matka moja, Kipa, która przyniosła nam ciastek, zobaczywszy ten posążek bardzo się złąkla i mówiła, że to czary. Ale ojciec powiedział, że Totmes mógłby zostać królewskim artystą, gdyby dostał się do szkoły w świątyni. Na żarty skłoniłem się nisko przed Totmesem i opuściłem dłonie do kolan, tak jak się wita możnych. Oczywiście zalaśniły, ale tylko westchnął i powiedział, że nic z tego nie będzie, gdyż ojciec jego uważa, iż najwyższy czas, by wrócił do koszar i starał się dostać do szkoły podoficerskiej w korpusie wozów bojowych. Umiał już tyle pisać, ile powinien był umieć przyszły dowódca. Ojciec wyszedł z domu i długo jeszcze słyszeliśmy, jak Kipa burczy coś pod nosem w kuchni. A my obaj z Totmesem zajadaliśmy ciastka, smaczne i tłuste, i było nam dobrze, że żyjemy.

Wtedy byłem szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 5

Aż nadszedł dzień, gdy ojciec włożył najlepsze, świeżo wyprane szaty, a na szyję szeroki kołnierz, haftowany przez Kipę. Poszedł do wielkiej świątyni Amona, mimo

że w skrytości nie lubi kapłanów. Lecz bez pomocy kapłanów i ich uczestnictwa nie działa się już teraz nic w Tebach, a nawet w całym Egipcie. Kapłani wymierzali sprawiedliwość i wydawali wyroki, tak że zuchwały mógł nawet od królewskiego trybunału odwoływać się do świątyni, aby zostać uniewinnionym. W rękach kapłanów spoczywało kształcenie, przygotowanie do wyższych urzędów. Kapłani przepowiadali przybór wód i wielkość przyszłych zbiorów i w ten sposób określali podatki w całym kraju. Lecz po cóż mam opowiadać o tym, gdy wszystko i tak wróciło do dawnego i nic się nie zmieniło.

Nie sądzę, by ojcu memu lekko było iść kłaniać się kapłanom. Przez całe życie żył jako lekarz biedoty w ubogiej dzielnicy miasta i bardzo odsunął się od świątyni i Domu Życia. Teraz musiał, podobnie jak to robili inni niezamożni rodzice, stać w kolejce przed wydziałem administracyjnym świątyni wyczekując, aż jakiemuś dostojnemu kapłanowi spodoba się go przyjąć. Do dziś jeszcze jakbym ich widział, wszystkich tych ubogich ojców, siedzących w najlepszych szatach na podwórzu świątyni, pogrążonych w ambitnych marzeniach, że ich synowie mieć będą życie lepsze, niż oni sami mieli. Przybywają do Teb, często po długich podróżach statkiem, Rzeką, z workiem jedzenia, i wydają wszystko, co mają, na łapówki dla odźwiernych i pisarzy, aby dostać się przed oblicze przybranego w złotem haftowane szaty kapłana, namaszczonego drogocennymi olejkami. Ten marszczy z niechęcią nos, bo mu petent nie pachnie i przemawia doń szorstko. Ale Amon potrzebuje wciąż nowych sług. Im bardziej rośnie jego bogactwo i potęga, tym więcej biegłych w sztuce pisania zatrudnia. Lecz mimo to każdy ojciec uważa za łaskę bogów, gdy uda mu się umieścić syna w świątyni, choć w rzeczy samej to on właśnie przynosi w swoim synu do świątyni dar cenniejszy od złota.

Wędrówka mojego ojca uwieńczona została powodzeniem. Czekał zaledwie do południa, gdy nadszedł przypadkiem jego dawny kolega ze studiów, Ptahor. Ptahor został później królewskim trepanatorem. Ojciec mój ośmielił się do niego przemówić i Ptahor obiecał, że we własnej wysokiej osobie odwiedzi nas, aby mnie zobaczyć.

Na wyznaczony dzień ojciec kupił gęś i najlepszego wina. Kipa piekła i kłóciła się z wszystkimi. Smakowity zapach gęsiego smalcu rozchodził się z naszej kuchni, tak że na ulicy przed domem zebrało się wielu żebraków i ślepców, podśpiewujących i brzdąkających na instrumentach, aby wprosić się na ucztę, aż Kipa sycząc ze złości rozdzieliła między nich kawałki chleba umoczone w tłuszczu i skłoniła ich do rozejścia się. Totmes i ja zamietliśmy spory kawałek ulicy przed domem w kierunku miasta, ojciec mój bowiem prosił Totmesa, aby był pod ręką w czasie wizyty naszego gościa, na wypadek gdyby ten chciał także z nim porozmawiać. Byliśmy jeszcze chłopcami,

ale gdy ojciec zapalił kadzielnice i postawił ją na werandzie, poczuliliśmy się w nastroju tak uroczystym jak w świątyni. Pilnie strzegłem konwi z pachnącą wodą i odpędzałem muchy od lśniąco białego lnianego płótna, które Kipa chowała właściwie na swój pochówek, lecz które teraz wydobyto na ręcznik dla Ptahora.

Przyszło nam długo czekać. Słońce zaszło i na dworze zrobiło się chłodniej. Kadzidło na werandzie wypaliło się, a gęś skwierczała smętnie w piecu ziemnym. Zgłodniałem, a Kipie, mojej matce, twarz wydłużyła się i zeszywniała. Ojciec nie mówił nic, ale o zmierzchu nie chciał zapalić lamp. Siedzieliśmy wszyscy na stołkach na werandzie i unikaliśmy patrzenia sobie nawzajem w oczy. Wtedy to zrozumiałem, ile to przykrości i zawodów bogacze i możni z lekkomyślności mogą przysporzyć ludziom skromnym i ubogim.

W końcu jednak na ulicy pojawiły się światła pochodni. Ojciec poderwał się i pośpieszył do kuchni po żar, od którego zapalił obie lampy oliwne. Cały drżący podniosłem naczynie z wodą, a obok mnie dyszał podniecony Totmes.

Królewski trepanator Ptahor przybył w skromnej lektyce, niesionej przez dwóch murzyńskich niewolników. Przed lektyką szedł tłusty służący z chwiejącą się pochodnią. Był wyraźnie pijany. Stękając i wykrzykując wesołe powitania Ptahor wysiadł z lektyki, by pozdrowić ojca, który skłonił się i opuścił przed nim dłonie do kolan. Ptahor położył ojcu ręce na barkach, bądź to, aby pokazać, że nie trzeba go tak uroczyście witać, bądź to, by uzyskać w ten sposób oparcie. Wsparty na ramieniu ojca kopnął nosiciela pochodni i kazał mu przespać się pod sykomorem i wytrzeźwieć. Murzyni cisnęli lektykę w akacyjne krzaki i siedli na ziemi, nie czekając na polecenie.

Wciąż opierając się na ramieniu ojca wstąpił Ptahor na werandę. Mimo protestów polałem mu ręce wodą i podałem ręcznik, ale on prosił, abym mu wytarł dłonie, skorom już je obmył, a gdy to zrobiłem, podziękował mi i powiedział, że ładny ze mnie chłopak. Ojciec zaprowadził go do honorowego krzesła z oparciem, pożyczonego z domu przekupnia korzeni, a on usiadł i rozejrzał się dokoła maleńkimi, ciekawymi oczkami, lśniącymi w blasku olejnych lamp. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem Ptahor chrząknąwszy dla usprawiedliwienia poprosił o coś do picia, gdyż po długiej drodze wyschło mu w gardle. Ojciec uradował się i nalał mu wina, a Ptahor powąchał i posmakował go nieufnie, ale wychylił kubek z wyraźnym zadowoleniem i westchnął z ulgą.

Był to maleńki, krzywonogi mężczyzna z gładko ogoloną głową, z obwisłą pierśią i brzuchem pod lekką tkaniną szat. Kołnierz jego usiany był klejnotami, ale poplamiony jak i reszta odzieży, a sam on śmierdział winem, potem i olejkami.

Kipa podała mu ciasto z korzeniami, smażone w oliwie małe rybki, owoce i gęsinę. Jadł grzecznie, mimo że widać było, iż przybył właśnie po dobrym posiłku. Pokosztował wszystkiego i uprzejmie pochwalił, co wielce ucieszyło Kipę. Na jego prośbę zaniósł jedzenie i piwo także i Murzynom, ci jednak odpowiedzieli na moją uprzejmość beczelnymi okrzykami i dopytywaniem, czy grubas wnet będzie gotów, by wracać do domu. Służący chrapał twardo pod sykomore i nie miałem ochoty go budzić.

Wieczór był bardzo ożywiony, bo i ojciec pił więcej wina niż kiedykolwiek, tak że w końcu Kipa siedziała w kuchni trzymając się ze zmartwienia za głowę i ciężko kołysząc górną częścią korpusu. Gdy zabrakło wina w dzbanie, pili wina lecznicze ojca, a gdy i te wreszcie się skończyły, zadowolili się zwykłym piwem stołowym, ponieważ Ptahor zapewniał, że nie jest wcale wybredny.

Gwarzyli na werandzie o swoich studiach w Domu Życia i coraz to brali się w ramiona kołysząc się na stołkach. Ptahor opowiadał o doświadczeniach królewskiego trepanatora, mówił, że jest to ostatnia specjalność, jakiej lekarz powinien się poświęcać, i że nadaje się ona bardziej do Domu Śmierci niż do Domu Życia. Lecz przysparza tak niewiele pracy – mówił – a on, Ptahor, zawsze był leniwy, co mój ojciec, łagodny Senmut, z pewnością doskonale pamięta. Głowa ludzka – z wyjątkiem zębów, gardła i uszu, które wymagają odrębnych specjalistów – jest jego zdaniem najłatwiejszą specjalnością i dlatego właśnie on ją wybrał.

– Ale gdybym był prawdziwym mężczyzną – ciągnął – zostałbym zwykłym, uczciwym lekarzem i rozdawałbym życie, zamiast by – tak jak dziś – losem moim stało się rozdawanie śmierci starcom i nieuleczalnie chorym, którzy sprzykrzyli się swoim krewnym. Rozdawałbym życie, tak jak ty, mój przyjacielu Senmucie. Byłbym może uboższy, ale prowadziłbym żywot uczciwszy i zdrowszy.

– Nie wierzcie mu, chłopcy – wtrącił mój ojciec, bo i Totmes siedział wraz z nami i też dostał niewielki kubek wina. – Dumny jestem, że mogę nazywać królewskiego trepanatora Ptahora moim przyjacielem. Jest on w swojej specjalności najbieglejszy w całym Egipcie. Czyż nie pamiętam jego cudownych trepanacji, którymi zbawiał życie wielkim i małym i wzbudzał podziw u wszystkich. Wypuszczał z czaszek złe duchy, które wpędzały ludzi w szaleństwo, i wyjmował ich okrągłe jaja z ludzkich mózgow. A wdzięczni pacjenci darzyli go złotem i srebrem, naszyjnikami i pucharami.

– Lecz jeszcze hojniej darzyli mnie wdzięczni krewniacy – rzekł Ptahor bełkotliwie. – Bo jeśli przypadkiem ulecę jednego na pięćdziesięciu, nie, powiedzmy jednego na stu, tym pewniejsza jest śmierć pozostałych. Czyś słyszał o jednym choćby faraonie,

który by żył w trzy dni po otwarciu jego czaszki? Nie, nieuleczalnych i szaleńców posyła się na próbę pod mój kamienny nóż tym chętniej, im są bogatsi i znakomitsi. Moja dłoń uwalnia ich od cierpień, moja dłoń rozdziela spadki, ziemskie posiadłości, trzody i złoto, moja dłoń osadza faraonów na tronach. Dlatego boją się mnie i dlatego nikt nie waży mi się sprzeciwić, bo wiem zbyt wiele. Lecz kto pomnaża swą wiedzę, pomnaża też swoje troski, dlatego jestem bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

Popłakał chwilę i wytarł nos w całun śmiertelny Kipy.

– Jesteś biedny, ale uczciwy, Senmucie – chlipał. – Dlatego kocham cię, bom bogaty, ale zepsuty. Bardzo jestem zepsuty! Po prostu łajno, które wół zostawia na drodze.

Zdjął z siebie naszywany drogimi kamieniami kołnierz i włożył go ojcu na szyję. A potem obaj zaczęli śpiewać piosenki, których słów nie rozumiałem. Lecz Totmes słuchał z zainteresowaniem i mówił, że pieprniejszych piosenek nie śpiewają nawet w koszarach. Kipa zaczęła głośno szlochać w kuchni, a jeden z Murzynów wylazł z krzaków akacji, podniósł Ptahora na nogi i chciał go zaprowadzić do lektyki, bo już dawno była pora kłaść się spać. Lecz Ptahor opierał się, żałośnie jęczał, wołał na pomoc strażę i twierdził, że Murzyn chce go zamordować. Ojciec nie był w stanie udzielić mu pomocy, więc obaj z Totmesem odpędziliśmy Murzyna kijami, a on się rozzłościł i okropnie klnąc odszedł wraz z towarzyszem, zabierając z sobą lektykę.

Ptahor wylał potem na siebie dzban piwa, prosił o olejek do namaszczenia twarzy i chciał się kąpać w ogrodowej sadzawce. Wtedy Totmes szepnął mi do ucha, że powinniśmy położyć staruszków do łóżka, i tak też zrobiliśmy. Ojciec i królewski trepanator zasnęli w małżeńskim łóżu Kipy, obejmując się rękami za szyję i do ostatka zapewniając się nawzajem bełkotliwie o wieczystej przyjaźni.

Kipa płakała, rwała włosy i posypywała głowę popiołem z ziemnego pieca. Mnie zaś męczyły myśli, co też powiedzą sąsiedzi, gdyż zgiełk i śpiewanie słyhać było daleko dookoła w nocnej ciszy. Lecz Totmes był całkiem spokojny i mówił, że widywał większe wybryki w koszarach i w domu swego ojca, gdy woźnicy wozów bojowych gwarzyli o minionych czasach i o karnych ekspedycjach do Syrii i kraju Kusz. Zapewniał mnie nawet, że wieczór był nadzwyczaj udany, gdyż dwaj starzy nie zamówili dla rozrywki muzykantów i dziewcząt z domu rozpusty, by dla nich tańczyły. Udało mu się uspokoić Kipę. Uprzątnąwszy, jak umieliśmy, ślady uczty, poszliśmy spać. Sługa Ptahora chrapał dalej pod sykomorem, a Totmes położył się przy mnie na łóżku, objął mnie ramieniem za szyję i opowiadał mi o dziewczętach, gdyż i on napił się wina. Lecz mnie to nie bawiło, bo byłem o parę lat młodszy od niego, toteż wnet zasnąłem.

Wczesnym rankiem zbudził mnie łoskot i rumor w sypialni. Poszedłem tam i

zobaczyłem, że ojciec wciąż jeszcze śpi jak zabity, w odzieniu i z kołnierzem Ptahora na szyi. A Ptahor siedział na podłodze trzymając się oburącz za głowę i pytał żalonym głosem, gdzie się znajduje.

Pozdrowiłem go z szacunkiem opuszczając przed nim dłonie do kolan i powiedziałem, że wciąż jeszcze jest w dzielnicy portowej, w domu Senmuta, lekarza biednych. To go uspokoiło i zaklął mnie na Amona, żebym mu przyniósł piwa. Przypomniałem mu, że wylał dzban piwa na siebie, co można było poznać po jego odzieży. Wtedy wstał, przeciągnął się, zmarszczył godnie brwi i wyszedł na dwór. Polałem mu wody na rękę, a on jęcząc schylił głowę i prosił, żebym mu poleł wodą także tyse ciemną. Totmes, który też się zbudził, przyniósł mu dzbanek zsiadłego mleka i soloną rybę. Gdy Ptahor to zjadł, poweselał, podszedł do sługi, który spał pod sykomorem, i zaczął go walić kijem, aż ten się obudził i podniósł na nogi, w odzieży poplamionej trawą i z śladami błota na twarzy.

– Ty nędzna świni! – powiedział doń Ptahor i raz jeszcze zdzielił go kijem. – Tak dbasz o sprawy swego pana i nosisz przed nim pochodnię? Gdzie moja lektyka? Gdzie czysta odzież? Gdzie lecznicze zioła? Precz z moich oczu, nędzny złodzieju i wieprzu!

– Jam złodziej i wieprz mego pana – powiedział pokornie sługa. – Co mój pan mi rozkaże?

Ptahor wydał mu polecenie i sługa odszedł, by odnaleźć lektykę. A Ptahor rozsiadł się wygodnie pod sykomorem i oparty o pień wygłosił wiersz, w którym była mowa o poranku, kwiatach lotosu i kąpiącej się w rzece królowej, po czym opowiadał nam najrozmaitsze historie, z rodzaju tych, jakich chłopcy chętnie słuchają. Także Kipa zbudziła się, rozpałała ogień i poszła po ojca do sypialni. Słyszeliśmy jej głos aż na podwórzu, a gdy ojciec w końcu wyszedł w czystych szatach, wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Masz ładnego syna – powiedział do niego Ptahor. – Ma postawę księcia, a oczy jego są łagodne jak oczy gazeli.

Lecz mimo, że byłem jeszcze tylko chłopcem, zrozumiałem dobrze, iż mówi tak, abyśmy zapomnieli o jego wczorajszym zachowaniu. Po chwili dodał:

– Czy syn twój coś umie? Czy oczy jego duszy są równie otwarte jak oczy jego ciała?

Wtedy przyniosłem tabliczkę do pisania, a Totmes też poszedł po swoją. Królewski trepanator patrząc z roztargnieniem na wierzchołek sykomoru podyktował wierszyk, który jeszcze dziś pamiętam. Brzmiał on tak:

*Ciesz się, młodzieńcze, swoją młodością,
gdyż gardziel starości pełna jest popiołu,
a balsamowane zwłoki nie śmieją się
w ciemnościach grobu.*

Staralem się jak najlepiej i zapisałem to najpierw zwykłym piśmem, potem zaś, nakreśliłem to obrazkami, a w końcu napisałem słowa „starość”, „popiół”, „zwłoki” i „grób” wszelkimi sposobami, jakimi można pisać te słowa, tak sylabami, jak i literami. Następnie pokazałem mu tabliczkę, a on nie znalazł ani jednego błędu. Widziałem, że ojciec był ze mnie dumny.

– A ten drugi chłopiec? – spytał Ptahor wyciągając rękę po tabliczkę Totmesa. Totmes siedział z boku i rysował na swojej tabliczce obrazki. Nie zawahał się, pokazał ją, a oczy jego się śmiały. Pochyliwszy się nad tabliczką, zobaczyliśmy, że narysował Ptahora, jak wkłada memu ojcu swój kołnierz na szyję, jak wylewa na siebie dzban piwa, na trzecim zaś obrazku obaj z ojcem śpiewali, obejmując się za szyje, i obrazek ten był tak śmieszny, że niemal widziało się, jakie piosenki śpiewali. Chciało mi się też śmiać, ale nie odważyłem się, bo bałem się, że Ptahor się rozgniewa. Totmes bowiem wcale mu nie pochlebił. Na obrazku Ptahor był mały i łysy i miał takie krzywe nogi i obwisły brzuch jak w rzeczywistości.

Przez długą chwilę Ptahor nic nie mówił, tylko patrzył przenikliwie na przemian na obrazek i na Totmesa. Ten nieco się zląkł i zaczął przestępować z nogi na nogę. W końcu Ptahor zapytał:

– Co chcesz za tę tabliczkę, chłopcze? Kupuję ją!

Lecz Totmes poczerwieniał i rzekł:

– Nie sprzedam tabliczki. Ale przyjacielowi dałbym ją w podarunku.

Ptahor zaśmiał się.

– Zgoda – powiedział – bądźmy przyjaciółmi i tabliczka jest moja.

Jeszcze raz obejrzał ją dokładnie, zaśmiał się znowu i rozbił ją o kamień na drobne skorupy. Wszyscy przeraziliśmy się a Totmes prosił pokornie o przebaczenie, jeśli go czym uraził.

– Czyżbym miał się gniewać na wodę, gdy w niej widzę swoje odbicie? – spytał Ptahor łagodnie. – Lecz ręka i oko rysownika są lepsze od wody. Wiem teraz, jak wyglądałem wczoraj, i nie chcę, by jeszcze ktoś to widział. Dlatego właśnie stłukłem tabliczkę, ale uznaję w tobie artystę.

Totmes podskoczył z radości.

Ptahor zwrócił się następnie do mego ojca, wskazał na mnie i wyrzekł uroczyście prastarą lekarską formułkę obiecującą wyleczenie: – Podejmuję się go uleczyć. – A wskazując na Totmesa dodał: – Zrobię, co w mojej mocy. – I gdy w ten sposób znowu wrócili do zawodowej gwary lekarzy, zaśmiali się obaj z zadowoleniem. A ojciec położył mi rękę na głowie i spytał:

– Synu mój, Sinuhe, czy chcesz zostać lekarzem, tak jak ja?

Łzy mi stanęły w oczach, a gardło ścisnęło się tak, że nie mogłem wymówić słowa, ale skinąłem potakująco głową. Rozejrzałem się dokoła i drogie mi było podwórko, drogi sykomor i droga murowana sadzawka przed domem.

– Synu mój, Sinuhe – powiedział mój ojciec – czy chcesz być lekarzem bieglejszym ode mnie, panem życia i śmierci, któremu ludzie bez względu na stan i godność z zaufaniem powierzać będą życie?

– Lekarzem niepodobnym do niego i niepodobnym do mnie – dorzucił Ptahor prostując się, a oczy jego stały się mądre i bystre – lecz prawdziwym lekarzem. Gdyż prawdziwy lekarz to zawód najszczytniejszy. Przed nim nawet faraon staje nagi, a największy bogacz nie różni się od nędzarza.

– Chętnie zostanę prawdziwym lekarzem – odparłem nieśmiało, gdyż byłem jeszcze chłopcem i nie wiedziałem nic o życiu ani też nie wiedziałem, że starość zawsze chce własne marzenia i rozczarowania włożyć na barki młodości.

Totmesowi zaś Ptahor pokazał złotą obręcz na swym przegubie i powiedział:

– Czytaj!

Totmes przesyłabizował wyryte na obręczy obrazki i przeczytał z wahaniem:

– Pragnę pełnego pucharu! – Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Nie śmieję się, nicponiu – rzekł Ptahor poważnie. – Nie chodzi tu o wino. Lecz jeśli chcesz być artystą, musisz pragnąć, by twój puchar był pełny. W prawdziwym artyście przejawia się sam Ptah, stwórca i budowniczy świata. Artysta to nie tylko woda i zwierciadło, lecz coś więcej. Bezsprzecznie sztuka jest często wodą, która schlebia, i kłamliwym zwierciadłem, ale artysta jest jednak czymś lepszym od wody. Pragnij, by twój puchar był pełny, chłopcze, i nie zadowalaj się wszystkim, co ci będą mówić. Lecz ufaj bardziej swoim bystrym oczom.

Po czym obiecał, że wnet zostanie wezwany do Domu Życia na ucznia i że spróbuje pomóc Totmesowi w dostaniu się do szkoły artystycznej w świątyni Ptaha, jeśli to tylko będzie możliwe.

– Tylko posłuchajcie, chłopcy, uważnie, co wam teraz powiem – dodał jeszcze – i zapomnijcie o tym natychmiast, a przynajmniej zapomnijcie, że powiedział to królewski

trepanator. Dostaniecie się teraz w ręce kapłanów, a ty Sinuhe, zostaniesz w swoim czasie sam wyświęcony na kapłana, gdyż podobnie jak twój ojciec i ja zostaliśmy ongiś wyświęceni na kapłanów najniższego stopnia, tak nie jest nikomu dozwolone wykonywać zawód lekarski, jeśli nie jest kapłanem. Ale kiedy w świątyni znajdziecie się w rękach kapłanów, macie być nieufni jak szakale i przebiegli jak węże, abyście nie zgubili siebie samych i nie dali się zaślepić. A na zewnątrz macie być łagodni jak gołębie, gdyż dopiero po osiągnięciu swego celu mężczyzna może pokazać się takim, jaki jest w istocie. Tak było i tak też zawsze będzie. Pamiętajcie o tym!

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, dopóki nie nadszedł sługa Ptahora z wynajętą lektyką i czystą odzieżą dla swego pana. Własną lektykę Ptahora zastawili jego niewolnicy w pobliskim domu rozpusty, gdzie dotychczas jeszcze spali. Ptahor dał słudze pełnomocnictwo wykupienia lektyki i niewolników, pożegnał się z nami, zapewniając ojca o swej przyjaźni, i udał się z powrotem do dzielnicy możnych.

Tak oto dostałem się do Domu Życia w wielkiej świątyni Amona. A nazajutrz Ptahor, królewski trepanator, przysłał Kipie w darze wyciętego w drogim kamieniu świętego skarabeusza, którego miała ona nosić w grobie na sercu pod całunem. Większej radości nie mógł sprawić mojej matce, toteż wybaczyła mu wszystko i przestała męczyć ojca gderaniem na temat zgubnych skutków wina.

KSIĘGA DRUGA DOM ŻYCIA

ROZDZIAŁ I

W owym czasie kapłani Amona w Tebach uzyskali prawo wszelkiego wyższego nauczania i niemożliwe było osiągnięcie jakiegoś znaczniejszego urzędu bez otrzymania świadectwa od kapłanów. Każdy rozumie, że Dom Życia i Dom Śmierci od zamierzchłych czasów znajdowały się wewnątrz murów świątyni, podobnie jak właściwa wyższa szkoła teologiczna kształcąca na wyższe stopnie kapłańskie. I to też można było zrozumieć, że fakultety matematyczny i astronomiczny podlegały władzy

kapłanów, ale kiedy objęli oni ponadto studia prawnicze i handlowe, zaczęły się wśród ludzi wykształconych budzić podejrzenia, że kapłaństwo miesza się do spraw, które przynależą raczej faraonowi i władzom podatkowym. Co prawda w cechu prawników i kupców nie wymagano wprost święceń kapłańskich, ponieważ jednak Amon władał nad co najmniej jedną piątą roli w Egipcie, a tym samym nad jedną piątą handlu, każdy, kto chciał zostać wielkim kupcem albo też pójść do administracji, postępował rozsądnie, składając także egzamin kapłański najniższego stopnia i w ten sposób podporządkowując się Amonowi jako jego posłuszny sługa.

Największym fakultetem było oczywiście prawoznawstwo, gdyż dawało ono kwalifikacje do wszelkich urzędów, czy to chodziło o pobór podatków, czy o służbę administracyjną, czy też o karierę w armii. Niewielka grupka astronomów i matematyków żyła własnym, obcym dla świata życiem w swojej sali wykładowej, gardząc głęboko karierowiczami, którzy przybiegali tam na wykłady rachunkowości handlowej i miernictwa. A w obrębie odgrodzonym murem na obszarze świątyni wiedli całkiem odrębne życie uczniowie Domu Życia i Domu Śmierci, do których wszyscy pozostali elewi świątyni odnosili się z szacunkiem nie pozbawionym strachu.

Zanim jednak dostałem się do Domu Życia, musiałem złożyć egzaminy na najniższy stopień kapłański na fakultecie teologicznym. Zajęło mi to ponad dwa lata, gdyż równocześnie musiałem z ojcem odwiedzać chorych i czerpać z jego doświadczenia nauki potrzebne w mej przyszłej drodze życiowej. Mieszkałem w domu i wiodłem takie samo życie jak przedtem, ale codziennie musiałem być obecny na jakimś wykładzie.

Ci, którzy mieli złożyć egzamin na najniższy stopień kapłański, podzieleni byli na grupy według studiów, którym mieli się później poświęcić. My, przyszli uczniowie Domu Życia, tworzyliśmy własną grupę, ale pośród moich kolegów nie znalazłem żadnego bliskiego przyjaciela. Dobrze sobie zapamiętałem mądre przestrogi Ptahora i zamknąłem się w sobie, słuchając pokornie każdego rozkazu i udając głupiego, kiedy inni dowcipkowali albo lżyli bogów, jak to zwykle robią chłopcy. Znajdowali się wśród nas synowie wybitnych lekarzy specjalistów, których wizyty u chorych, rady i leczenie miały wagę złota. Byli tam też synowie prostych lekarzy prowincjonalnych, często starsi od nas pozostałych, już na wpół dorośli, niezgrabni i opaleni na brąz młodzieńcy, usiłujący ukryć nieśmiałość i starannie wkuwający lekcje. Byli tam też chłopcy z warstw niższych, którzy chcieli wydzwignąć się z klasy społecznej i zawodu swych ojców i mieli wrodzony głód wiedzy. Ci jednak traktowani byli najsurowiej i wymagano od nich najwięcej, gdyż kapłani żywili naturalną nieufność do takich, którzy nie zadowalali się starym porządkiem.

Ostrożność moja wyszła mi na korzyść, gdyż nawet spostrzegłem, że kapłani mieli wśród nas szpiegów i pomocników. Niebaczne słowo, głośno wypowiedziana wątpliwość czy też żart w kręgu kolegów dochodziły wnet do wiadomości kapłanów i winnych wzywano na przesłuchanie i karę. Niektórych karano chłostą, a byli nawet i tacy, których wyrzucano za świątyni i dla których Domy Życia zarówno w Tebach, jak i gdzie indziej w Egipcie zamknęły się na zawsze. Jeśli byli dość energiczni, mogli udać się do kolonii jako pomocnicy felczerów polowych albo stworzyć sobie jakąś przyszłość w Syrii czy w krainie Kusz, gdyż sława egipskich lekarzy rozeszła się szeroko po świecie. Większość z nich jednak marnowała się i stawiała mało znaczącymi pisarczykami, o ile zdążyli nauczyć się sztuki pisania.

Moja umiejętność pisania i czytania dawała mi dużą przewagę nad wielu kolegami, nawet starszymi ode mnie. Uważałem się już za dojrzałego do wstąpienia w progi Domu Życia, ale moje wyświęcenie opóźniało się, ja zaś nie miałem odwagi zapytać, z jakiego powodu, gdyż byłoby to napiętnowane jako krnąbrność wobec Amona. Trwoniłem czas na pisaniu śmiertelnych tekstów, które sprzedawano w przedsionkach świątyni. Toteż w duchu buntowałem się przeciw temu i byłem przygnębiony, gdyż wielu moich mniej zdolnych kolegów rozpoczęło już studia w Domu Życia. Lecz ja pod kierownictwem ojca uzyskałem może i lepsze niż oni podstawy. Później przyszło mi do głowy, że kapłani Amona byli mądrzejsi ode mnie. Przejrzeli mnie na wylot, widzieli moją krnąbrność i moje wątpliwości i dlatego wystawiali mnie na próbę.

W końcu powiadomiono mnie, że przyszła na mnie kolej czuwania w świątyni. Przez tydzień miałem mieszkać w wewnętrznych pomieszczeniach i w czasie tym nie wolno mi było opuścić obszaru świątyni. Miałem się oczyścić i pościć. Ojciec pośpiesznie obciął mi chłopięce loki i zaprosił sąsiadów na ucztę z okazji osiągnięcia przeze mnie dojrzałości. Od tej pory bowiem, od przyjęcia święceń kapłańskich, miałem być uważany za w pełni dorosłego – bez względu na to, jak prosta i pozbawiona znaczenia ceremonia ta była w rzeczywistości. Sama przez się wywyższała mnie ona nad moich sąsiadów i rówieśników.

Kipa dołożyła wszelkich starań, ale pieczony na miodzie chleb wcale mi nie smakował, a wesołość i grube żarty sąsiadów nie sprawiały mi przyjemności. Wieczorem, gdy goście się rozeszli, przygnębienie moje udzieliło się także Senmutowi i Kipie. Senmut zaczął mi opowiadać historię mego urodzenia. Kipa pomagała, gdy pamięć go zawiodła, a ja przyglądałem się łódeczce z sitowia zawieszanej nad moim łóżkiem. Poczerniałe i połamane łądygi wywołały ból w moim sercu. Prawdziwego ojca ani matki nie miałem więc. Byłem samiutki pod gwiazdami w wielkim mieście.

Może byłem tylko mizernym cudzoziemcem w krainie Kem? Może pochodzenie moje stanowiło jakąś haniebną tajemnicę?

Z raną w sercu szedłem do świątyni, niosąc z sobą strój na ceremonię wyświęcenia, który starannie i z miłością przygotowała dla mnie Kipa.

ROZDZIAŁ 2

Było nas dwudziestu pięciu chłopców i młodzieńców przygotowujących się do święceń. Po kąpeli w świątynnej sadzawce ogolono nam głowy i odziano nas w zgrzebne szaty. Wyświęcał nas kapłan, który nie był drobiazgowo skrupulatny. Według starodawnego zwyczaju mógł on być poddać nas najrozmaitszym upokarzającym ceremoniom. Było jednak pośród nas kilku chłopców z lepszych rodzin i paru prawników, którzy już zdali swoje egzaminy, dorosłych ludzi, wstępujących w służbę Amona dla zapewnienia sobie kariery. Mieli oni z sobą pod dostatkiem jedzenia, a kapłanom dali wina. Kilku z nich wymknęło się w nocy do domu rozpusty, gdyż wyświęcenie nie znaczyło dla nich nic. Ja czuwałem z raną w sercu i gorzko rozmyślałem nad różnymi sprawami. Zadowolilem się kęsem chleba i kubkiem wody, to jest tym, co stosownie do zwyczaju miało być naszym pożywieniem, i oczekiwałem pełen nadziei i mrocznych obaw na to, co nadejdzie.

Byłem bowiem jeszcze tak młodziutki, że bardzo chciałem w coś wierzyć. Mówiono, że w związku z wyświęceniem objawia się Amon i rozmawia z każdym kandydatem na kapłana. Byłoby to dla mnie nieopisaną ulgą, gdybym mógł się wyzwolić od własnego ja i znaleźć we wszystkim jakiś sens. Przed lekarzem nawet faraon staje nagi. Towarzysząc ojcu oglądałem choroby i śmierć już jako mały chłopiec i spojrzenie moje zaostrzyło się tak, że widziałem więcej niż moi rówieśnicy. Dla lekarza nic nie może być święte i nie schyla on głowy przed niczym prócz śmierci. Tego nauczył mnie ojciec. Toteż wątpiłem, a wszystko, co przez trzy lata widziałem w świątyni, zwiększyło moje wątpliwości.

Myślałem jednak, że być może za zasłoną, w ciemności najświętszego przybytku, znajduje się coś, czego nie znam. Może Amon objawi mi się, aby dać spokój memu sercu.

O wszystkim tym rozmyślałem błędząc po korytarzu świątyni, do którego mieli dostęp profani. Oglądałem barwne obrazy święte i odczytywałem święte napisy, które opowiadały o nie zmierzonych darach, jakie faraoni przywozili z wojen Amonowi jako jego część łupu. Nagle spotkałem piękną kobietę, której szaty sporządzone były z tak cieniutkiej tkaniny, że widać było przez nie jej piersi i biodra. Była to kobieta smukła i prosto się trzymająca, wargi, policzki i brwi miała malowane i patrzyła na mnie

ciekawie i bez zawstydzienia.

– Jak ci na imię, piękny chłopcze? – spytała spoglądając zielonymi oczyma na moją szarą opończę, która wskazywała, że przygotowuję się do święceń.

– Sinuhe – odparłem zmieszany, nie ważąc się spojrzeć jej w oczy. Ale tak była piękna i tak przedziwnie pachniał olejek perlący się na jej czole, że zapragnąłem zostać jej przewodnikiem po świątyni, co często przytrafiało się uczniom.

– Sinuhe – rzekła z namysłem, przyglądając mi się bacznie. – Zatem łatwo się przestraszasz i uciekasz, gdy ci powierzyć jakąś tajemnicę.

Uwaga ta tyczyła przygód baśniowego Sinuhe, co mnie ubodło, gdyż opowiadanie to już w szkole dosyć mnie złościło. Toteż uniosłem dumnie głowę i spojrzałem jej prosto w oczy, a jej spojrzenie było tak dziwne, ciekawe i przenikliwe, że policzki me zapłonęły i poczułem ogień w całym ciele.

– Dlaczego miałbym się bać? – spytałem. – Przyszły lekarz nie boi się żadnych tajemnic.

– O! – odezwała się z uśmiechem. – Kurczę piszczy, jeszcze zanim zdołało przebić skorupkę jajka. Ale powiedz, czy nie ma wśród twoich kolegów młodzieńca imieniem Metufer? To syn królewskiego budowniczego.

To właśnie Metufer upił kapłana winem i dał mu złotą bransoletę w darze z okazji wyświęcenia. Coś mnie wewnątrz zabolalo, ale odparłem, że go znam, i ofiarowałem się go przyprowadzić. Pomyślałem, że owa kobieta jest jego siostrą lub inną krewniaczką. Zaraz też zrobiło mi się lżej na duchu, spojrzałem jej śmiało w oczy i uśmiechnąłem się.

– Jakżeż jednak mogę go sprowadzić, skoro nie znam twego imienia i nie potrafię powiedzieć, kto go wzywa? – pozwoliłem sobie zadać jej pytanie.

– On to wie – rzekła kobieta i lekko a niecierpliwie tupnęła kilkakrotnie w kamienną podłogę sandałkiem ozdobionym kolorowymi kamyczkami. Patrzyłem na jej małe, nie powalane pyłem stopy o pięknych paznokciach, pomalowanych na kolor jasnoczerwony. – Już on wie, kto go wzywa – dodała. – Może jest mi coś winien? A może mój małżonek wyjechał w podróż i czekam na Metufera, żeby mnie pocieszył w trosce?

Zrobiło mi się znów ciężko na sercu, gdy pomyślałem, że jest kobietą zamężną. Ale odparłem dzielnie:

– Dobrze, nieznamoma pani! Przywołam go więc. Powiem mu, że wzywa go kobieta młodsza i piękniejsza niż bogini księżycy. Wtedy będzie wiedział, że to ty, bo kto raz cię widział, z pewnością nigdy ciebie nie zapomni.

Przerażony własną śmiałością odwróciłem się, aby odejść, ale ona złapała mnie za rękaw i jak gdyby tknięta jakąś nagłą myślą rzekła:

– Dlaczego tak się śpieszysz? Poczekał trochę, może my dwoje mamy jeszcze z sobą do pomówienia.

Znowu popatrzyła na mnie tak, że serce stopniało mi w piersiach ze wzruszenia i doznałem uczucia, że żołądek ześliznął mi się do kolan. Potem wyciągnęła rękę, ciężką od pierścieni i bransolet, dotknęła mojej głowy i rzekła przyjaźnie:

– Czy nie marznie ta piękna głowa, z której tak niedawno ogolono zdobiące ją loki chłopięce? – I zaraz potem dodała miękko: – Czy istotnie mówisz prawdę? Uważasz, że jestem piękna? Przyjrzyj mi się lepiej z bliska.

Patrzyłem na nią, a szaty jej były z królewskiego płótna i piękna była w moich oczach, piękniejsza niż wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek widziałem. I zaprawdę nie robiła nic, aby ukryć swą piękność. Patrzyłem na nią i zapomniałem o ranie w sercu, zapomniałem o Amonie i o Domu Życia, a bliskość jej paliła mi ciało jak ogień.

– Nie odpowiadasz – rzekła ze smutkiem. – Nie potrzebujesz też odpowiadać, bo w oczach twoich jestem na pewno starą i brzydką kobietą, która nie cieszy twoich pięknych oczu. Idź więc i przywołaj gotowego do przyjęcia święceń młodzieńca Metufera, to się mnie pozbędziesz.

Ale ja nie odszedłem, nie mogłem też nic powiedzieć, choć dobrze wiedziałem, że drwi ze mnie. Między olbrzymimi kolumnami świątyni było mroczno. Słabe światło padające z oddalonej kamiennej kraty odbijało się blaskiem w jej oczach. Nikt nas nie widział.

– Może nie będziesz musiał go sprowadzać – odezwała się kobieta i uśmiechnęła się do mnie. – Może wystarczy, gdy ty mnie rozweselisz i zażyjesz ze mną rozkoszy, bo nie mam nikogo, kto mógłby mi umilić życie.

Wtedy przypomniałem sobie, co mi opowiadała Kipa o kobietach, wzywających ładnych chłopców, by zażyli z nimi rozkoszy. Przypomniałem to sobie tak nagle, że się przeląknęłam i cofnąłem się o krok.

– Czyż nie mówiłam, że Sinuhe się złęknie? – rzekła kobieta idąc za mną. Ale ja przerażony podniosłem rękę, aby ją odepchnąć, i powiedziałem:

– Wiem, kim jesteś. Twój mąż wyjechał, a twoje serce jest jak zdradziecka pętla, twoje łono zaś pali bardziej niż ogień.

Trochę się zmieszala, ale znowu się uśmiechnęła i podeszła do mnie bardzo blisko.

– Tak sądzisz? – spytała łagodnie. – To nieprawda. Moje łono na pewno nie pali jak ogień. Przeciwnie, mówią, że jest bardzo słodkie. Zobacz sam.

Ujęła moją bezwonną rękę i podniosła ją do swego łona, a ja poczułem jej piękność przez cienką tkaninę. Zacząłem cały drzeć i policzki paliły mnie jak ogień.

– Pewnie i tak w to nie wierzysz – ciągnęła z udanym zawodem. – Na pewno przeszkadza ci odzież, ale bądź cierpliwy, odsunę ją.

Rozchyliła szatę na piersiach i wsunęła moją rękę na obnażone łono, a pierś jej była pod moją dłońią miękka i chłodna.

– Pójdź, Sinuhe! – powiedziała całkiem cicho. – Pójdź ze mną pić wino i zażywać razem rozkoszy.

– Nie wolno mi opuścić terenu świątyni – odparłem przerażony, wstydząc się swego tchórzostwa, pożądam i bojąc się jej równocześnie jak śmierci. – Muszę zachować czystość, dopóki mnie nie wyświęcą, bo inaczej zostanę wygnany ze świątyni i nigdy nie dostanę się do Domu Życia. Toteż miej nade mną zmiłowanie!

Powiedziałem tak, bo wiedziałem, że pójdę za nią, jeśli poprosi mnie o to jeszcze raz. Ale ona była doświadczoną kobietą i zrozumiała moje położenie. Rozejrzała się uważnie dokoła. Byliśmy wciąż sam na sam, ale w pobliżu kręcili się ludzie, a jakiś przewodnik hałaśliwie objaśniał przybyłym do Teb wędrowcom godne widzenia osobliwości w świątyni i wyzebrywał od nich miedziaki za pokazanie im nowych cudów.

– Bardzo z ciebie nieśmiały chłopiec, Sinuhe – powiedziała kobieta. – Bogaci i wysoko urodzeni ofiarują mi klejnoty i złoto za to, bym ich wzywała do zażycia ze mną rozkoszy. Ale ty, Sinuhe, chcesz zachować czystość.

– Pewnie pragniesz, abym zawołał Metufera – rzekłem zrozpaczony, bo wiedziałem, że Metufer nie zawaha się uciec na noc z świątyni, choć to na niego przypadała kolej czuwania. Mógł sobie na to pozwolić, bo ojciec jego był królewskim budowniczym, ale chętnie bym go za to zabił.

– Może nie chcę już, byś wzywał Metufera – powiedziała kobieta patrząc mi zalotnie w oczy. – Może chcę, żebyśmy się rozstali jak przyjaciele, Sinuhe. Dlatego powiem ci też moje imię, które brzmi Nefernefernefer, bo uważają mnie za piękną, i nikt, kto raz je wymówił, nie może się oprzeć, by nie wypowiedzieć go po raz drugi i trzeci. Jest też w zwyczaju, że przyjaciele dają sobie nawzajem dary, gdy się rozstają, aby o sobie nie zapomnieli. Toteż pragnę od ciebie prezentu.

Wtedy znowu odczułem gorzko swoje ubóstwo, gdyż nie miałem nic, co mógłbym jej dać. Żadnej ozdoby ani najmniejszego choćby miedzianego pierścionka, choć czegoś takiego i tak nie mógłbym jej ofiarować. Wstydziłem się tak strasznie, że schyliłem głowę nie mogąc wymówić ani słowa.

– Daj mi zatem dar, który orzeźwi moje serce – rzekła, podnosząc moją brodę jednym palcem do góry i przysuwając twarz tuż do mojej twarzy. Gdy zrozumiałem,

czego chciała, musnąłem wargami jej miękkie wargi. Westchnęła lekko i powiedziała: – Dzięki, Sinuhe, to był piękny podarunek. Nigdy go nie zapomnę. Ale pewnie jesteś przybyszem z obcego dalekiego kraju, skoro jeszcze nie nauczyłeś się całować. Bo jak to możliwe, by dziewczęta tebańskie nie wyuczyły cię jeszcze tej sztuki, choć twoje loki chłopięce już zostały obcięte?

Zdjęła z kciuka pierścień, zrobiony ze złota i srebra, z osadzonym pośrodku gładkim zielonym kamieniem, i wsunęła mi go na palec.

– Także i ja dam ci prezent, Sinuhe, abyś o mnie nie zapomniał – powiedziała. – Gdy już zostaniesz wyświęcony i wejdiesz do Domu Życia, każ wyryć na tym kamieniu twoją pieczęć, abyś się upodobnił do bogaczy i możnych. Ale pamiętaj też, że kamień ten jest zielony dlatego, że imię moje brzmi Nefernefernefer i że ktoś raz powiedział, iż oczy moje są zielone jak wody Nilu w letnie upały.

– Nie mogę wziąć twego pierścienia, Nefer – powiedziałem. I powtórzyłem – Nefernefer – a to powtórzenie jej imienia sprawiło mi niewypowiedzianą radość. – Ale i tak nigdy cię nie zapomnę.

– Szalony chłopcze – rzekła. – Zatrzymaj pierścień, bo tak sobie życzę. Zachowaj go dla mego kaprysu, aby kiedyś przyniósł mi wysoki procent.

Pokiwała mi smukłym palcem przed nosem, a oczy jej śmiały się, gdy dodała:

– Pamiętaj także zawsze wystrzegać się kobiet, których łono pali gorzej niż ogień.

Odwróciła się, aby odejść, i nie pozwoliła mi pójść za sobą. Przez wrota świątyni widziałem, jak na dziedzińcu wsiadła do bogato przystrojonej lektyki. Goniec krzykiem torował jej drogę, a ludzie rozstępowali się i poszeptując oglądali się za lektyką. A gdy znikła mi z oczu, ogarnęło mnie takie niewypowiedziane uczucie pustki, jak gdybym rzucił się głową naprzód w ciemną otchłań.

W kilka dni później Metufer zobaczył na mym palcu pierścień, chwycił mnie za rękę i zaczął go z niedowierzaniem oglądać.

– Na wszystkie czterdzieści sprawiedliwych pawianów Ozyrysa! – wykrzyknął. – Nefernefernefer, nieprawdaż? Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

Patrzył na mnie niemal z szacunkiem, choć kapłan kazał mi myć podłogi i wykonywać wszystkie najpodlejsze prace w świątyni, ponieważ nie domyśliłem się, że trzeba mu dać jakiś upominek.

Metufer i jego słowa wzbudziły we mnie wtedy nienawiść tak zaciekle, do jakiej zdolny jest tylko niedojrzały chłopak. Choć chętnie spytałbym go o Nefer, nie zniżyłem się do tego nigdy. Skryłem tajemnicę w sercu, gdyż kłamstwo jest słodsze od prawdy, a marzenie czystsze od ziemskiego stosunku. Spoglądałem na zielony kamień na moim

palcu i wspominałem jej oczy i jej chłodne łono, i zdawało mi się, że wciąż jeszcze czuję zapach jej olejków na moich palcach. Objemowałem ją na jawie i jej miękkie wargi muskały wciąż moje wargi i nosły mi pociechę, gdyż Amon już mi się objawił i wiara moja załamała się zupełnie.

Toteż myśląc o niej szeptałem z palącymi policzkami. – Moja siostró! – A słowo to było jak pieszczota w mych ustach, gdyż od dawien dawna oznacza ono i zawsze oznaczać będzie: „Moja ukochana!”.

ROZDZIAŁ 3

Ale opowiem o tym, jak objawił mi się Amon.

W czwartą noc przyszła na mnie kolej czuwania nad spokojem Amona. Było nas siedmiu: Mata, Mose, Bek, Sinufer, Nefru, Ahmose i ja, Sinuhe, syn Senmuta. Mose i Bek tak jak ja starali się dostać do Domu Życia, więc znałem ich już przedtem, pozostałych natomiast nie znałem.

Byłem osłabiony od postu i wzruszenia. Wszyscy byliśmy poważni i poszliśmy bez uśmiechu za kapłanem – niech imię jego okryje niepamięć – gdy powiódł nas do zamkniętego przybytku w świątyni. Amon w swej łodzi opuścił się już za góry na zachodzie, strażnicy zagrali na srebrnych rogach i wrota świątyni zamknęły się. Kapłan, który nas prowadził, zjadł suty posiłek z mięsa zwierząt ofiarnych, owoców i słodkich ciast, z brody kapała mu oliwa, a policzki zaczerwienione miał od wina. Śmiejąc się w kułak, podniósł zasłonę i pozwolił nam zajrzeć do najświętszego przybytku. W komorze wyrąbanej w jednym olbrzymim kamiennym bloku stał tam Amon, a drogie kamienie na jego kołpaku i kołnierzu lśniły w świetle lamp zielenią, czerwienią i błękitem jak oczy żywego stworzenia. Nazajutrz rano mieliśmy pod kierownictwem kapłana namaścić go i odziać – jak co rano – w nowe szaty. Widywałem go już poprzednio. Widziałem, jak w święto wiosny wynoszono go na zewnętrzny dziedziniec w złotej łodzi i ludzie padali przed nim na twarz. A gdy Rzeka wezbrała, widziałem go, jak płynął po świętym jeziorze na statku z cedrowego drzewa. Ale wtedy, prosty uczeń, oglądałem go tylko z oddali i jego czerwone szaty nigdy nie zrobiły na mnie tak wstrząsającego wrażenia, jak obecnie, w świetle lamp, w niczym nie zakłóconej ciszy najświętszego przybytku. Czerwone szaty noszą tylko bogowie i faraoni i gdy patrzyłem na jego wyniosłe oblicze, odnosiłem wrażenie, jak gdyby płyty kamienne leży mi na piersi całym ciężarem i groziły mi uduszeniem.

– Czuwajcie i módlcie się przed zasłoną – nakazał nam kapłan czepiając się fałdów zasłony, gdyż niezbyt pewnie trzymał się na nogach. – Być może zawoła was, bo ma zwyczaj objawiać się tym, którzy zostają wyświęceni, nazywać ich po imieniu i

przemawiać do nich, zwłaszcza jeśli są tego godni.

Szybko nakreślił ręką święty znak, wymamrotał boskie imiona Amona i zaciągnął zasłonę, nie dbając nawet o to, by się pokłonić opuszczając dłonie do kolan.

Po czym odszedł, a nas siedmiu zostawił samych w mrocznym przedsionku przybytku, którego kamienna podłoga przejmującym chłodem mroziła nasze nagie stopy. Ale gdy tylko odszedł, Mose wydobyl spod naramiennika lampę, a Ahmose z zimną krwią wszedł do najświętszego przybytku po święty ogień Amona, abyśmy mogli ją zapalić.

– Bylibyśmy głupi, gdybyśmy siedzieli w ciemnościach – powiedział Mose i poczuliśmy się od razu pewniej, choć z pewnością wszyscy trochę się bali. Ahmose wyjął chleb z mięsem, a Mata i Nefru zaczęli grać w kości na kamiennej podłodze i tak głośno wywoływali swoje rzuty, że aż echo rozlegało się po przedsionku świątyni. A gdy Ahmose najadł się, przykrył się naramiennikiem i zasnął, napomstowawszy wprawdzie niemało na twarde kamienie posadzki. Sinufer zaś i Nefru położyli się nieco później obok niego, żeby było im w trójkę cieplej spać.

Lecz ja byłem młody i czuwałem, choć dobrze wiedziałem, że kapłan dostał gąsiorek wina od Metufera i zaprosił go oraz paru innych najznamienitszych kandydatów na kapłanów do swej komnaty i że nas nie zaskoczy. Czuwałem, choć z opowiadań innych wiedziałem, że ci, którzy mieli zostać wyświęceni, zawsze po kryjomu jedli, grali w kości i spali. Mata zaczął opowiadać o świątyni Sachmet, bogini o głowie lwicy, gdzie boska córka Amona zwykła objawiać się walecznym królom i otwierać im swoje objęcia. Świątynia ta leżała za świątynią Amona, ale nie cieszyła się już szacunkiem. Od lat nie odwiedził jej faraon i między kamiennymi płytami na dziedzińcu przed świątynią wyrosła trawa. Lecz Mata mówił, że nie miałyby nic przeciwko temu, by tam czuwać i trzymać teraz w ramionach nagą boginię, a Nefru rzucał kości, ziewał i narzekał, że nie przyszło mu do głowy, by zabrać z sobą wino. Potem zaś obaj położyli się spać i niebawem tylko ja jeden czuwałem.

Noc dłużyła mi się bardzo. Tak byłem jeszcze młody, że podczas gdy inni spali, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie i tęsknota i rozmyślałem nad tym, że zachowałem czystość, pościłem i spełniłem wszystkie stare przykazania po to, by Amon zechciał mi się objawić. Powtarzałem wszystkie jego święte imiona i w napięciu wszystkich zmysłów nasłuchiwałem każdego szelestu, ale świątynia była pusta i zimna. Gdy ranek zaczął się zbliżać, zasłonę najświętszego przybytku poruszył przeciąg, nic innego jednak się nie wydarzyło. I kiedy światło zaczęło przenikać do świątyni, zdmuchnąłem lampę, przytłoczony uczuciem niesłychanego rozczarowania, i zbudziłem moich towarzyszy.

Żołnierze zadęli w rogi, na murach zmieniono strażę, a z zewnętrznych dziedzińców zaczął się rozlegać cichy szmer, podobny do szumu dalekiej wody. Wiedzieliśmy, że nastał dzień i praca w świątyni się zaczęła. Wreszcie nadszedł z wielkim pośpiechem kapłan, a z nim, ku memu zdumieniu, Metufer. Od obu zalatywał silny odór wina. Szli trzymając się pod ręce, a kapłan wymachiwał kluczami do świętej formułki, nim się z nami przywitał.

– Adeptci, kandydaci na kapłanów: Mata, Mose, Bek, Sinufer, Nefru, Ahmose i Sinuhe! – powiedział. – Czyście czuwali i modlili się, jak wam kazałem, by stać się godnymi wyświęcenia?

– Czuwaliśmy i modliliśmy się – odpowiedzieliśmy chórem.

– Czy Amon objawił się wam, stosownie do swojej obietnicy? – spytał kapłan i czknął, patrząc na nas błędnym wzrokiem.

Spojrzeliliśmy po sobie i zawahaliśmy się. W końcu Mose odezwał się niepewnie: – Tak, objawił się. – Jeden po drugim moi koledzy powtarzali za nim: – Tak, objawił się. – A ostatni, Ahmose, rzekł pobożnie, pewnym głosem, patrząc kapłanowi prosto w oczy: – Oczywiście, że się objawił. – Tylko ja nie powiedziałem nic i miałem wrażenie, że jakaś pięść ściska mi serce, gdyż słowa moich kolegów wydawały mi się bluźnierstwem.

Metufer rzekł beczelnie:

– Także i ja czuwałem i modliłem się, by stać się godnym wyświęcenia, gdyż w najbliższą noc mam co innego do roboty niż siedzieć tutaj. I mnie objawił się Amon, czego świadkiem kapłan, a postać jego przypominała wielki gąsior wina. Mówił do mnie różne święte rzeczy, których nie wypada mi wam powtarzać. A słowa jego były słodkie jak wino w moich ustach, więc spragniony byłem słuchania ich aż do świtu.

Wtedy Mose nabrał odwagi i powiedział:

– A mnie ukazał on się w postaci swego syna Horusa, usiadł jak sokół na moim ramieniu i rzekł: „Błogosławiony bądź, Mose, i błogosławiona twoja rodzina. Błogosławione niech będzie twoje dzieło, abys kiedyś przebywał w domu o dwóch bramach i rozkazywał licznym sługom”. Tak powiedział Amon!

Także i inni pośpieszyli teraz opowiedzieć, co Amon im powiedział. Mówili z przejęciem, jeden przez drugiego, a kapłan słuchał ich śmiejąc się i kiwając głową. Nie wiem, czy opowiadali to, co im się śniło, czy też kłamali. Wiem tylko, że stałem samotny i opuszczony i nie mówiłem nic.

– A ty, Sinuhe, czyżbyś nie był godny wyświęcenia? Czyż niebiański Amon nie objawił ci się w jakiejś postaci? Nie widziałeś go nawet jako małej myszki? Gdyż może on się objawiać w niezliczonych postaciach.

Szło o przyjęcie mnie do Domu Życia, więc zebrałem odwagę i odparłem:

– O świecie widziałem, jak drgnęła święta zasłona, ale po za tym nie widziałem nic i Amon nie przemówił do mnie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Metufer aż zanosił się od śmiechu i bił się po udach, i powiedział do kapłana: – On jest głupi. – Po czym pociągnął kapłana za rękaw wilgotny od wina i coś mu zaczął szeptać do ucha, wskazując na mnie oczyma.

Kapłan znów spojrział na mnie surowo i powiedział:

– Jeśli nie słyszałeś głosu Amona, nie możesz zostać wyświęcony. Ale wnet temu zaradzimy, gdyż chcę wierzyć, że jesteś prostoduszny i twoje intencje są dobre.

Powiedziawszy to wszedł za zaslonę najświętszego przybytku i znikł nam z oczu. A Metufer podeszedł do mnie i widząc nieszczęśliwy wyraz mojej twarzy uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział: – Nic się nie bój!

Po chwili jednak struchleliśmy wszyscy, gdyż w ciemności przedsionka zadudnił nadprzyrodzony głos, niepodobny wcale do ludzkiego, rozbrzmiewający zewsząd: od pułapu, od ścian, od kolumn, tak że zaczęliśmy się rozglądać dokoła, aby przekonać się, skąd wychodził. Głos ten mówił:

– Sinuhe, Sinuhe, ty marny śpiochu, gdzie jesteś? Stań szybko przed moim obliczem i złóż mi pokłon, gdyż mało mam czasu i nie mogę czekać na ciebie przez cały dzień!

Metufer odchylił zaslonę i wepchnąwszy mnie do najświętszego przybytku, schwycił za kark i przygiął do podłogi, do pozycji w jakiej się pozdrawia bogów i faraonów. Ale ja natychmiast podniosłem głowę i zobaczyłem, że najświętszy przybytek wypełniony jest jasnym światłem, a głos wydobywa się z ust Amona, który mówi:

– Sinuhe, Sinuhe, ty wieprzu i pawianie! Czyś był pijany, żeś spał, gdym cię wzywał? Powinno się ciebie wrzucić do zamulonej studni, żebyś żarł błoto do końca twoich dni. A le ze względu na twoją młodość zmiłuję się nad tobą, choć jesteś głupi, leniwy i brudny, gdyż okazuję miłosierdzie każdemu, kto we mnie wierzy, natomiast innych strącam do otchłani państwa umarłych.

Jeszcze wiele innych przekleństw i obelg wykrzykiwał głos. Ale ja nie pamiętam już wszystkiego i nie chcę nawet wspominać, tak okrutnie upokorzony poczułem się wtedy, gdy uważnie słuchając zdołałem w tych głucho huczących nadprzyrodzonych pogroźkach poznać głos kapłana. Odkrycie to tak mną wstrząsnęło i taką przejęło zgrozą, że nie mogłem już dłużej słuchać. I choć głos ucichł, leżałem plackiem przed posągami Amona, dopóki nie nadszedł kapłan i nie kopnął mnie w bok, bym się podniósł, a koledzy pośpiesznie zaczęli wносить do przybytku kadzidło, olejki, maści i czerwone szaty.

Każdy z nas miał z góry przydzielone funkcje, więc przypomniałem sobie swoje i pobiegłem do przedśionka po naczynie ze święconą wodą i poświęcane chusty do mycia boskiego oblicza, rąk i stóp. Lecz gdy wróciłem, zobaczyłem, że kapłan pluje Amonowi w twarz i wyciera ją do sucha poplamionym rękawem. Potem Mose i Nefru pomalowali bóstwu brwi, policzki i rzęsy, a Metufer namaścił je świętymi olejkami, nacierając nimi, wśród śmiechu, także tłuste oblicze kapłana i własną twarz. W końcu posąg boga rozebrano z szat, osuszono i umyto, jak gdyby załatwił fizyczną potrzebę, namaszczone mu organy płciowe, odziano go w czerwoną fałdowaną spódniczkę, opasano mu biodra fartuchem, a na barki włożono naramiennik, wsuwając w jego rękawy ramiona posągu.

Po dokonaniu tego obrządku kapłan zebrał używane szaty i chusty, których strzępy sprzedawano bogatym przyjeźdnym. Zlał też do naczynia popłuczyny z mycia posągu bóstwa. Te znów sprzedawano jako lek dla tych, którzy cierpieli na wysypki i wyrzuty. Nas zaś zwolnił i wyszliśmy na słońce, na dziedziniec, gdzie mnie chwyciły torsje. Tak samo puste jak mój brzuch były mój mózg i moje serce, gdyż nie wierzyłem już w bogów.

Gdy minął tydzień, namaszczone mi głowę oliwą i wyświęcony zostałem na kapłana Amona. Złożyłem ślubowanie kapłańskie i otrzymałem na to zaświadczenie. Na zaświadczeniu tym widniała pieczęć wielkiej świątyni Amona i moje imię, co dawało mi prawo wstępu do Domu Życia.

Tak to Mose, Bek i ja dostaliśmy się do Domu Życia. Bramy jego otwarły się dla nas i imię moje wpisano do księgi życia, tak jak przedtem wpisano tam imię mojego ojca Senmuta, a przed nim imię jego ojca. Ale nie byłem już szczęśliwy jak dawniej.

ROZDZIAŁ 4

Nauczanie w Domu Życia w wielkiej świątyni Amona nadzorowane było nominalnie przez lekarzy królewskich, z których każdy sprawował pieczę nad swoją specjalnością. Ale widywaliśmy ich tylko bardzo rzadko, gdyż krąg ich pacjentów był duży, dostawali od bogaczy wspaniałe dary za leczenie i mieszkali za miastem w pięknych domach. Lecz gdy do Domu Życia przyszedł pacjent, którego choroba wprawiała w konsternację zwykłych lekarzy lub którego leczenia nie śmieli się oni przy swoich umiejętnościach podjąć, wtedy przybywał lekarz królewski, by wykazać swoje wyjątkowe mistrzostwo wobec studiujących jego specjalność elewów. Najuboższy chory mógł zatem także korzystać z opieki królewskiego lekarza ku chwale Amona.

Gdyż od pacjentów pobierano w Domu Życia dary zależnie od ich zamożności. Wielu spośród nich przynosiło zaświadczenie od lekarzy z miasta, że zwykły lekarz nie potrafi uleczyć ich dolegliwości, lecz najbardziej biedni przychodzili wprost do Domu

Życia i od nich nie wymagano żadnych darów. Wszystko to było piękne i słuszne, ale ja w każdym razie nie chciałbym być ubogim chorym, gdyż na takich próbowali swej sztuki niedoświadczeni lekarze i pozwalano ich leczyć uczniom, aby i ci mieli praktykę. Nie dawano im też środków uśmierających ból, lecz musieli bez znieczulenia znosić obcęgi, nóż i ogień. Toteż z przedsionków Domu Życia, gdzie przyjmowano najuboższych chorych, często rozlegały się krzyki i skargi.

Okres nauki i praktyki lekarskiej był długi nawet dla uczniów bardzo zdolnych. Musieliśmy opanować naukę o lekach, nauczyć się rozpoznawać zioła lecznicze, zbierać je o właściwym czasie, suszyć i robić z nich wyciągi, gdyż lekarz musiał w razie potrzeby umieć sam przygotować swoje leki. Wielu z nas, nie wyłączając mnie, sarkano na to, gdyż napisawszy receptę można było w Domu Życia otrzymać wszelkie znane lekarstwa w gotowych mieszankach i dozach. Lecz później, jak to jeszcze opowiem, niezłe korzyści przyniosła mi ta umiejętność.

Musieliśmy się również nauczyć nazw wszystkich części ciała oraz funkcji i celu różnych ludzkich organów. Uczono nas obchodzić się z nożem i kleszczami do rwania zębów, przede wszystkim jednak dłonie nasze miały przyzwyczaić się wyczuwać ludzkie choroby w najbardziej skrytych miejscach ciała ludzkiego, także i przez skórę, a nawet z oczu człowieka uczyliśmy się odczytywać jego dolegliwości. Musieliśmy umieć pomóc kobiecie przy porodzie w tych wypadkach, gdzie już nie mogła udzielić tej pomocy akuszerka. Musieliśmy umieć wywoływać bóle lub je uśmierzać, stosownie od potrzeby. Musieliśmy się nauczyć rozróżniać cierpienia ciężkie i lekkie dolegliwości, duchowe i cielesne. Powinniśmy byli umieć rozróżniać w słowach pacjentów kłamstwo od prawdy i musieliśmy się dobrze nauczyć zadawać wszystkie potrzebne pytania, aby uzyskać wyraźny obraz choroby.

Toteż łatwo można zrozumieć, że im dalej posuwałem się w studiach, tym jaśniej widziałem, jak mało wiem. Doprawdy tak też i jest, że lekarz dopiero wtedy staje się lekarzem, gdy kornie sam przed sobą wyzna, że nie wie nic. Nie można jednak powiedzieć tego profanom, gdyż najważniejsze z wszystkiego jest to, by pacjent wierzył w lekarza i ufał jego sztuce. To jest właśnie podstawa, na której opiera się wszelka sztuka lekarska. Dlatego też lekarzowi nie wolno nigdy popełnić błędu, bo niepewny lekarz traci dobre imię i szkodzi także reputacji innych lekarzy. Toteż w domach bogaczy, dokąd często po pierwszym lekarzu wzywa się dwóch lub trzech innych, zdarza się, że koledzy po fachu raczej pogrzebią pomyłkę pierwszego, niż ją wyjawiać ku hańbie całego lekarskiego stanu. I dlatego mówi się, że lekarze pomagają sobie nawzajem grzebać swoich pacjentów.

Tego wszystkiego wtedy jeszcze nie wiedziałem, wstąpiłem do Domu Życia pełen szacunku i wiary, że znajdę tam całą ziemską mądrość i dobroć. Pierwsze tygodnie były ciężkie, gdyż ostatni z przyjętych uczniów był sługą wszystkich innych i nie było sługi tak niskiego, by nie stał od niego wyżej i nie mógł mu rozkazywać. Naprzód uczeń musiał nauczyć się czystości i nie było zajęcia tak nieczystego, którego nie kazano by mu wykonywać, żeby – chory z obrzydzenia – w końcu się zahartował. Niebawem nawet wyrwany ze snu każdy wiedział, że nóż jest czysty dopiero wtedy, gdy zostanie oczyszczony w ogniu, a chusta jest czysta dopiero wtedy, gdy zostanie wygotowana w wodzie z sodą.

Wszystko jednakże, co wchodzi w zakres sztuki lekarskiej, zapisane jest w innych księgach, toteż nie będę już o tym mówił. Opowiem tylko o tym, co dotyczy mnie samego, co sam widziałem i o czym inni nie pisali.

Po dłuższym okresie próby nadszedł czas, gdy oczyszczony świętymi ceremoniami zostałem przez innych przyodziany w białe szaty i w przedsionku, gdzie przyjmowano chorych, zacząłem uczyć się rwać zęby silnym mężczyznom, opatrywać ich rany, przecinać wrzody i ujmować w łupki złamane kończyny. Nie było to dla mnie nic nowego. Dzięki naukom ojca robiłem szybkie postępy i wnet powierzono mi pouczanie moich kolegów. Czasem otrzymywałem nawet dary, jakie daje się lekarzom, i kazałem wyrycić swoje imię w zielonym kamieniu, który dała mi Nefernefernefer, abym mógł przykładać pieczęć pod receptą. Poruczano mi coraz trudniejsze zadania. Musiałem czuwać w salach, gdzie leżeli nieuleczalnie chorzy, śledzić kuracje i zabiegi dokonywane przez słynnych lekarzy, pod opieką których dziesięciu pacjentów umierało, lecz jeden był wyleczony. Nauczyłem się też rozumieć, że śmierć jest niczym strasznym dla lekarza, a dla chorego bywa często miłosiernym druhem, tak że twarz człowieka po śmierci niejedenkrotnie ma wyraz większej szczęśliwości niż w ciężkich dniach jego żywota.

Lecz mimo to byłem ślepy i głuchy, dopóki nie przyszedł dla mnie dzień przebudzenia, jak ongiś w dzieciństwie, kiedy to obrazki, słowa i litery nabrały dla mnie życia. Przyszła taka chwila, gdy otwarły mi się oczy i zbudziłem się ze snu, a dusza moja napęczniała rozradowaniem, gdy zadałem sobie pytanie „dlaczego?”. Gdyż wzbudzającym strach kluczem do wszelkiej prawdziwej wiedzy jest pytanie „dlaczego?”. Jest ono silniejsze niż trzcina Tota i ma więcej siły niż kute w kamieniu pismo.

A stało się to tak: Pewna zameżna kobieta uważała się za bezpłodną, gdyż skończyła już lat czterdzieści, a nie miała dotychczas dzieci. Lecz nagle przestała miesiączkować i zląkszy się przyszła strapiona do Domu Życia, podejrzewając, że zagnieździł się

w niej zły duch, który zatrzał jej ciało. Jak to było zalecone, wziąłem garść zboża i włożyłem je w muł. Niektóre ziarna podlałem wodą z Nilu, a inne moczem tej kobiety. Wystawiłem potem muł na słońce i kazałem kobiecie wrócić za kilka dni. Gdy przyszła, stwierdziłem, że zboże zakiełkowało i te kiełki, które były podlewane samą tylko wodą, były maleńkie, podczas gdy pozostałe były zielone i bujne. Prawdą więc było to, co mówiło pismo, i rzekłem do zdziwionej kobiety:

– Ciesz się, niewiasto, gdyż święty Amon pobłogosławił w swej łasce twe łono i urodzisz dziecko, tak jak inne błogosławione kobiety.

Biedaczka rozpląkała się z radości i dała mi w darze srebrną bransoletę wagi dwóch debenów, gdyż od dawna już postradała wszelką nadzieję. A gdy tylko uwierzyła mi w jedno, zapytała zaraz: – Czy to syn? – Wierzyła bowiem, że wiem wszystko. Zebrałem odwagę, spojrzałem jej w oczy i rzekłem: – To syn. – Gdy szanse były jednakowe, a wówczas sprzyjało mi jeszcze szczęście w grze. Kobieta ucieszyła się jeszcze bardziej i dała mi także zdjętą z drugiego ramienia srebrną bransoletę wagi dwóch debenów.

Ale gdy odeszła, zapytałem sam siebie: „Jak to możliwe, że ziarno zboża zdradza to, czego nie może dojrzeć żaden lekarz, i że wie lub widzi to, jeszcze zanim oznaki ciąży stają się widoczne dla oka?”. Zdobyłem się na odwagę i zapytałem mego nauczyciela, dlaczego tak jest, lecz on spojrzał na mnie jak na głupca i powiedział tylko:

– Tak mówi pismo!

Lecz ta odpowiedź nie wystarczyła mi, gdy raz już spytałem „dlaczego?”. Uzbroiłem się więc jeszcze raz w odwagę i zapytałem królewskiego akusзера w domu położnic, dlaczego tak jest:

Powiedział:

– Amon jest królem wszystkich bogów. Jego oko widzi łono kobiety i nasienie w nim rozlane. Jeśli pozwala on na zapłodnienie, dlaczegóż by nie miał sprawić, że ziarno kiełkuje w mule, gdy je podlać moczem zapłodnionej kobiety? – Popatrzył na mnie jak na głupca, ale dla mnie nie było to żadną odpowiedzią na pytanie „dlaczego?”.

Wtedy otworzyły mi się oczy i zobaczyłem, że lekarze w Domu Życia znają tylko pismo i praktykę, lecz nic ponadto. Gdyż kiedy pytałem, dlaczego rozjątrzoną ranę należy przepalać, a zwykłą smarować maściami i opatrywać i dlaczego pleśń i pajęczyna leczą wrzody, odpowiadano mi: „Bo tak robiono zawsze dawniej”. Tak więc nawet i ten, który używa leczącego noża w sposób właściwy, dokonuje stu osiemdziesięciu i dwóch operacji i cięć wyszczególnionych w piśmie i robi to stosownie do swego doświadczenia i zręczności lepiej lub gorzej, szybciej lub wolniej, bardziej bezboleśnie lub też zadając niepotrzebne męki, nic ponadto nie umie zdziałać, ponieważ tylko to zapisane jest w

księgach i ponieważ tylko tak zawsze robiono.

Zdarzali się ludzie, którzy chudli i bledli na twarzy, a lekarz nie umiał znaleźć u nich żadnej choroby ani uszkodzenia. A jednak można było przywrócić ich do życia i uzdrowić, jeśli dało im się zjeść surową wątrobę ze zwierząt ofiarnych, kupioną za wysoką cenę. Dlaczego jednak tak się działo, tego nie można było się dowiedzieć. Zdarzali się ludzie, którzy dostawali bólów brzucha i mieli rozpaloną twarz i ręce. Podawano im środki przeczyszczające i środki uśmierzające ból, lecz niektórzy z nich zostawali wyleczeni, inni zaś umierali, a żaden lekarz nie umiał z góry powiedzieć, kto odzyska zdrowie, komu zaś brzuch spuchnie tak, że umrze. Ale nikt nie pytał, dlaczego jeden zostawał wyleczony, a drugi umierał, i nie wolno było o to pytać.

Szybko bowiem zauważyłem, że pytam zbyt wiele, gdyż zaczęto patrzeć na mnie z niechęcią i tych, którzy przyszli do Domu Życia później niż ja, postawiono wyżej ode mnie i pozwolono im rozkazywać mi. Wtedy zdjąłem z siebie białą szatę, oczyściłem się i wyszedłem z Domu Życia, zabierając z sobą dwie srebrne bransolety, ważące łącznie cztery debeny.

ROZDZIAŁ 5

Gdy tak w środku dnia wyszedłem ze świątyni na miasto, co mi się nie zdarzyło od lat, raz jeszcze otworzyły mi się oczy i zobaczyłem, że podczas gdy pracowałem i uczyłem się, Teby się zmieniły. Widziałem to, gdy szedłem Aleją Baranów i mijałem targowisko, gdyż wszędzie wyczuwało się nowe tętno życia, a szaty ludzi stały się droższe i zbyt kowniejsze, tak że po perukach i marszczonych spódnicach nie można było rozróżnić, kto jest mężczyzną, a kto kobietą. Z winiarni i domów rozpusty rozlegała się krzykliwa syryjska muzyka, a na ulicach słychać było coraz więcej obcej mowy i coraz bezczelniej tłoczyli się między Egipcjanami Syryjczycy i bogaci Murzyni. Bogactwo i potęga Egiptu były niezmierzone i od stuleci żaden wróg nie wkroczył do egipskiego miasta, mężczyźni zaś, którzy nie przeżyli żadnej wojny, zdążyli już osiągnąć wiek dojrzały. Lecz nie wiem, czy to dawało ludziom więcej radości, gdyż z oczu wszystkich wyglądał niepokój i wszyscy bardzo się śpieszyli, i wszyscy czekali na coś nowego i nie zadowolali się tym, co przynosił im dzień.

Szedłem ulicami Teb i czułem się samotny, a serce moje ciężkie było od buntu i troski. Poszedłem do domu i zobaczyłem, że ojciec mój, Senmut, zrobił się stary. Plecy mu się zgarbiły i staruszek nie mógł już rozróżnić liter pisanych na papiirusie. Także i matka moja, Kipa, postarzała się i chodząc dostawała zadyszki, i mówiła już teraz już tylko o grobie. Za swoje oszczędności kupił bowiem ojciec dla nich obojga grobowiec w mieście umarłych, na lewym brzegu Rzeki. Widziałem go. Był to murowany z

glinianych cegiełek, schludny grobik z takimi jak zazwyczaj obrazkami i napisami na ścianach. Obok i wszędzie dookoła leżały setki i tysiące takich grobowców, które kapłani Amona sprzedawali uczciwym i oszczędnym ludziom za wysokie ceny, płacone dla uzyskania nieśmiertelności. Chcąc sprawić radość matce, napisałem dla nich Księgę Śmierci, którą mieli wziąć z sobą do grobu, żeby nie zbłądzić w długiej drodze. A była to bezbłędnie napisana i doskonała księga, choć nie ozdobiły jej malowane obrazki, takie, jak sprzedawano w świątyni Amona.

Matka dała mi jeść, a ojciec pytał o studia, ale nie mieliśmy już sobie dużo do powiedzenia, dom wydawał mi się obcy i ulica wydawała mi się obca, i ludzie z tej ulicy wydali mi się obcy. Toteż serce moje ogarniał coraz większy smutek, dopóki nie przypomniałem sobie świątyni Ptaha i Totmesa, mego przyjaciela, który miał zostać artystą. Wtedy pomyślałem: „Mam w kieszeni cztery debeny srebra. Pójdę do mego przyjaciela Totmesa i zabawimy się razem, i pocieszymy się winem, bo na moje pytania nie dostaję nigdy żadnej odpowiedzi.”

Pożegnałem się z rodzicami mówiąc, że muszę wracać do Domu Życia, i gdy o zachodzie słońca znalazłem świątynię Ptaha, zapytałem odźwiernego o szkołę artystów, a wszedłszy tam spytałem o ucznia Totmesa. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że już dawno został wypędzony ze szkoły. Uczniowie, których pytałem o niego i których dłonie oblepione były gliną, spluwali przede mną na ziemię wymawiając jego imię. A jeden z nich powiedział: – Jeśli szukasz Totmesa, znajdziesz go najpewniej w jakiejś piwiarni lub domu rozpusty. – Drugi powiedział: – Gdy usłyszysz, że ktoś bluźni bogom, to pewny znak, że Totmes jest blisko. – Trzeci zaś rzekł: – Gdy zobaczysz gdzieś bijatykę, guzy i krwawe rany, możesz być pewny, że znajdziesz tam twego przyjaciela Totmesa. – Spluwali przede mną na ziemię, bo powiedziałem, że jestem przyjacielem Totmesa, ale robili to tylko ze względu na obecność nauczyciela, a gdy ten odwrócił się na chwilę tyłem, doradzili mi, żebym poszedł do winiarni pod nazwą „Syryjski Gąsior”.

Znalazłem winiarnię o tej nazwie. Leżała między dzielnicą biedoty a dzielnicą bogaczy i na jej drzwiach znajdował się napis wychwalający wino z winnic Amona i wino z portu. Wewnątrz na ścianach namalowane były wesołe obrazki, na których pawiany pieściły młodzieńskie tancerki, a kozy dęły we flety. Na podłodze siedzieli artyści, pilnie rysujący obrazki na papirusie, a jakiś stary mężczyzna wpatrywał się żałośnie w stojącą przed nim pustą czarkę po winie.

– Na koło, symbol wszystkich garncarzy, toż to Sinuhe! – odezwał się ktoś wstając, aby mnie przywitać, i podnosząc do góry dłoń, aby wyrazić wielkie zaskoczenie.

Poznałem Totmesa, mimo że jego naramiennik był brudny i podarty, oczy nabiegłe

krwią, a na czole miał wielkiego guza. Postarzał się i schudł, a w kącikach ust widać było zmarszczki, choć był jeszcze taki młody. Jednak z oczu wciąż jeszcze biła mu jakaś zaraźliwa hardość i wesołość, gdy patrzył na mnie i pochylił się ku mnie tak, że dotknęliśmy się nawzajem policzkami. Po tym poznałem, że wciąż jeszcze jesteśmy przyjaciółmi.

– Serce moje ciężkie jest od troski, a wszystko wydaje mi się czerce i marne – powiedziałem do niego. – Dlatego odszukałem cię, abyśmy razem ucieszyli nasze serca winem, bo nikt mi nie odpowiada, gdy pytam „dlaczego?”.

Lecz Totmes strzepnął tylko fartuszkiem, aby pokazać, że nie posiada nic, za co by mógł kupić wina.

– Mam cztery debeny srebra na swoich przegubach – rzekłem dumnie. Ale Totmes wskazał na moją głowę, wciąż jeszcze ogoloną, ponieważ chciałem, żeby ludzie wiedzieli, że jestem kapłanem pierwszego stopnia. Bo prócz tego nie miałem przecież nic, z czego mógłbym być dumny. Teraz jednak gniewało mnie to, że nie pozwoliłem włosom odrosnąć. Toteż powiedziałem niecierpliwie:

– Jestem lekarzem, a nie kapłanem. Zdaje mi się, że czytałem nad drzwiami, iż podaje się tu także wino z portu. Skosztujemy, czy jest dobre.

To mówiąc zadzwięczałem srebrem, a gospodarz podbiegł spiesznie i skłonił się opuszczając przede mną ręce do kolan.

– Mam na składzie wina z Sydonu i Byblos, na których pieczęć jest jeszcze nie naruszona, a które słodsze są od mirry – powiedział. – Podaję także w barwnych pucharach wina mieszane. Uderzają do głowy jak uśmiech pięknej dziewczyny i napełniają serce weselem.

Dużo jeszcze paplał jednym tchem, a ja, zakłopotany, pytałem oczami Totmesa o radę. Ten zamówił dla nas mieszane wina, po czym podszedł do nas niewolnik, aby polać nam wodą ręce, i postawił przed nami na niskim stoliczku miskę z palonymi ziarnkami lotosu. Sam gospodarz przyniósł okazałe puchary. Totmes podniósł swój w górę, uрониł na ziemię kroplę wina i powiedział:

– Na cześć boskiego garncarza! I niech zaraza zniszczy szkołę i nauczycieli sztuki!
– Po czym wyliczył imiona nauczycieli, których nienawidził najbardziej.

Także i ja podniosłem do góry puchar i wylałem kroplę wina na ziemię.

– W imię Amona – rzekłem – niech łódź jego przecieka na wieki wieków i niech popękają brzuchy jego kapłanom, i niech zaraza wygubi lekarzy nieuków z Domu Życia. – Ale wyrzekłem te słowa po cichu, oglądając się dokoła, czy nikt obcy nie słyszy.

– Nie obawiaj się – uspokajał mnie Totmes. – W tej oberży porozbijano łby tylu szpiegom Amona, że mają dość podsłuchiwania. My, którzyśmy tu wylądowali, jesteśmy wszędzie wyklęci, i nie zarobiłbym nawet na chleb i kwartę piwa, gdybym nie wpadł na pomysł rysowania książek z obrazkami dla dzieci bogaczy.

Pokazał mi rolkę papirusu, na której rysował, gdy przyszedłem. I nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, gdyż narysował tam twierdzę, w której przerażony, trzęsący się ze strachu kot bronił się przed atakującymi go myszami, a także hipopotama śpiewającego na szczycie drzewa, podczas gdy gołąb mozolnie wspinał się ku niemu po drabinie.

Totmes patrzył na mnie, a jego brązowe oczy śmiały się. Rozwijał dalej rolki, przestał się śmiać, gdy doszedł do obrazka, na którym maleńki łyсы kapłan prowadził dużego faraona na postronku do świątyni, jak bydlę ofiarne. Pokazał mi też obrazek, na którym mały faraon bił pokłony przed potężną statua Amona. Spojrzałem na niego pytająco, a on kiwnął głową i rzekł:

– Czyż tak nie jest? Także i dorośli śmieją się z tych obrazków, ponieważ są one zwariowane. To przecież komiczne, że myszy napadają kota, a również śmieszne jest to, że kapłan prowadzi na sznurze faraona. Ale tym, którzy się połapią, o co tu chodzi, zaczynają wpadać do głowy różne myśli. I dlatego właśnie nie zabraknie mi chleba i piwa, dopóki kapłani nie każą mnie zatłuc w jakimś zaułku. To się już nieraz zdarzało.

– Napijmy się – powiedziałem i napiliśmy się wina, lecz serce moje nie rozweseliło się. – Czy to źle pytać „dlaczego?”.

– Naturalnie, że źle – odparł Totmes – bo ten, który waży się pytać „dlaczego?”, nie ma domowego ogniska ani domu, ani noclegu w krainie Kem. Przecież wiesz, że wszystko ma być tak jak dawniej. Pamiętasz, że drżałem z radości i dumy, gdy się dostałem do szkoły dla artystów. Byłem jak spragniony, który dotarł do źródła. Byłem jak głodny, który sięga po chleb. I uczyłem się bardzo dobrze. Uczyłem się, jak artysta powinien trzymać rylec i jak obchodzić się z dłutem, i jak formować modele w wosku, nim posąg zostanie wykuty w kamieniu, i jak polerować kamień, i jak łączyć z sobą barwne kamyczki w mozaikę, i jak malować alabaster. Ale gdy zapragnąłem przystąpić do dzieła i tworzyć to, o czym śniłem, ku radości swych oczu, napotkałem na mur przeszkód i kazano mi rozrabiać glinę, którą mieli formować inni. Gdyż ponad wszystkim jest formuła. I sztuka ma swoją formułę, podobnie jak ją mają litery, ten zaś, kto ją złamie, jest potępiony. Dlatego każdy ma swój wzór, a kto odbiega od wzorów, nie nadaje się na artystę. Od zarania dziejów ustalone jest, jak się odtwarza człowieka stojącego i człowieka siedzącego. Od zarania dziejów ustalone jest, jak koń podnosi

kopyta i jak wół ciągnie jarzmo. Od zarania dziejów ustanowione jest, jak artysta ma wykonywać swą pracę, i ten, kto od tego się uchyla, nie ma czego szukać w świątyni i odmawia mu się kamienia i dłuta. O Sinuhe, mój druhu, i ja pytałem „dlaczego?”. I dlatego siedzę tu z porozbijaną głową.

Piliśmy wino i robiło nam się jaśniej na duchu, a mnie ulżyło na sercu, jak gdyby pękł mi tam jakiś wrzód, gdyż nie byłem już samotny. A Totmes powiedział:

– Sinuhe, mój przyjacielu, w dziwnych urodziliśmy się czasach. Wszystko jest płynne i zmienia kształt, jak glina na kole garncarza. Zmieniają się stroje i zmieniają się obyczaje, a ludzie nie wierzą już w bogów, jeśli nawet się ich jeszcze boją. Sinuhe, mój przyjacielu, może urodziliśmy się po to, aby żyć przy zmierzchu światła, gdyż świat jest stary i minęło już tysiąc dwieście lat od zbudowania piramid. Kiedy myślę o tym, chce mi się oprzeć głowę na rękach i płakać jak dziecku.

Ale nie płakał, gdyż piliśmy mieszane wino z kolorowych pucharów i za każdym razem, gdy gospodarz napełniał nasze puchary, skłaniał się przed nami i opuszczał ręce do kolan. Od czasu do czasu podchodził też do nas niewolnik, aby lać nam wodę na dłonie. Serce moje zrobiło się lekkie i chyże jak jaskółka u progu zimy i chciało mi się czytać wiersze i brać w ramiona cały otaczający mnie świat.

– Chodźmy do domu uciechy – rzekł Totmes i zaśmiał się – Chodźmy posłuchać muzyki i popatrzeć na tańczące dziewczęta. Niech nasze serca rozweselą się i przestaną pytać „dlaczego?” i obyśmy już więcej nie pragnęli, by nasz puchar był pełny.

Zapłaciłem jedną bransoletą, upominając gospodarza, by obchodził się z nią ostrożnie, gdyż jest jeszcze wilgotna od moczu ciężarnej kobiety. Myśl o tym wielce mnie bawiła, a gospodarz także śmiał się serdecznie i wydał mi jako resztę dużo cechowanego srebra, tak że mogłem dać napiwek niewolnikowi. Ten skłonił się przede mną do samej ziemi, a gospodarz odprowadził nas aż do drzwi i prosił, żebym nie zapomniał o „Syryjskim Gąsiorze”. Powiedział mi też, że zna wiele młodych dziewcząt bez przesądów, które chętnie zawarłyby ze mną znajomość, gdybym do nich poszedł z kupionym u niego dzbanem wina. Lecz Totmes wtrącił, że już jego dziadek spał z tymi syryjskimi dziewczętami, toteż raczej można by je nazwać babkami niż siostrami. Takie żarty przychodziły nam do głowy po winie.

Słońce już zaszło. Wędrowaliśmy po ulicach i poznałem Teby, w których nigdy nie zapadała noc, ponieważ weselący się ludzie uczynili swoją wspaniałą dzielnicę równie jasną w nocy jak za dnia. Przed domami rozpusty płonęły pochodnie a na rogach ulic paliły się lampy na słupach. Niewolnicy biegli z lektykami, a okrzyki pędzących przodem gońców mieszały się z muzyką rozlegającą się z domów i z wrzaskami

pijaków. Zajrzeliśmy do nubijskiej winiarni, gdzie widzieliśmy Murzynów bijących pałkami i rękami w bębny, których przeraźliwe dudnienie rozbrzmiewało daleko wokoło. Współzawodniczyła z nim dzika i dźwięczna muzyka syryjska, której obce tony raziły ucho, lecz której rytm porywał i rozpalał gorączkę we krwi.

Jeszcze nigdy dotąd noga moja nie powstała w domu rozpusty. Toteż trochę się bałem, ale Totmes zaprowadził mnie do domu, który nazywał się „Kot i Winne Grono”. Był to niewielki, schludny lokal, gdzie się siedziało na miękkich dywanach w przyjemnym żółtawym oświetleniu i gdzie młode, na mój gust ładne dziewczęta malowanymi rękami przyklaskiwały do taktu muzyce złożonej z fletów i harf. Gdy muzyka się skończyła, dziewczęta usiadły przy nas prosząc, żeby poczęstować ich winem, ponieważ wyszło im w gardle do cna. Muzyka zaczęła grać na nowo i dwie nagie tancerki wykonały zawily taniec, wymagający niemałej zręczności, taniec, któremu przypatrywałem się z wielkim zainteresowaniem. Jako lekarz przywykłem do oglądania nagich dziewcząt, ale jeszcze nigdy nie widziałem, aby piersi kołysały się, a małe brzuszki i tyłeczki poruszały tak ponętnie jak u tych tancerek.

Lecz muzyka wzbudziła we mnie znów smutek i zacząłem tęsknić, nie wiedząc właściwie do czego. Jakaś ładna dziewczyna wsunęła dłoń w moją i przytuliła się do mnie mówiąc, że mam oczy człowieka mądrego. Ale jej oczy nie były zielone jak wody Nilu w letnie upały, a szaty jej nie były z królewskiego lnu, choć nie zakrywały nagich piersi. Toteż piłem wino nie patrząc jej w oczy i nie czułem żadnej ochoty, by nazwać ją moją siostrą i prosić o zażycie ze mną rozkoszy. Dlatego też moim ostatnim wspomnieniem z domu rozpusty jest gniewny kopniak Murzyna i guz, którego sobie nabiłem na głowie zlatując ze schodów. Sprawdziło mi się wszystko to, co mi przepowiadała Kipa. Leżałem na rogu ulicy bez jednego miedziaka w kieszeni, z porwanym naramiennikiem i guzem na głowie, dopóki Totmes nie podniósł mnie i założywszy sobie moje ramię na silne barki nie poprowadził mnie do mostku, gdzie ugasilem pragnienie wodą z Nilu i umyłem sobie twarz, ręce i stopy.

W ów ranek wróciłem do Domu Życia z podpuchniętymi oczyma, piękącym guzem na głowie i w brudnym naramienniku, nie odczuwając najmniejszej ochoty, by pytać „dlaczego?”. Miałem dyżur na oddziale głuchych i chorych na uszy, toteż szybko się oczyściłem i wdziałem białą szatę lekarską, aby tam się udać. Ale mój lekarz i nadzorca spotkał mnie na korytarzu, spojrzął mi w twarz i zaczął mnie łąać takimi samymi słowami, jakie czytałem w książkach i znałem już na pamięć.

– Co z ciebie będzie – mówił – jeśli biegasz po nocach za mury i pijesz wino nie zachowując żadnej miary?! Co z ciebie będzie, skoro trwonisz czas w domach rozpusty

i walisz kijem o dzbany, i straszysz ludzi?! Co z ciebie będzie, skoro zadajesz krwawe rany i uciekasz strażnikom?!

Ale spełniwszy w ten sposób swój obowiązek, uśmiechnął się pod nosem i westchnął z ulgą, a potem zaprowadził mnie do swojej izby i dał mi napój, który miał mi przeczyszczyć żołądek. Poczujęm się lepiej na duchu i zrozumiałem, że nawet wino i rozpusta są dozwolone w Domu Życia, byle tylko przestać pytać „dlaczego?”.

ROZDZIAŁ 6

Tak to i w mojej krwi rozpalila się gorączka Teb i zacząłem kochać noc bardziej niż dzień, migotliwe światło pochodni bardziej niż promienie słońca, syryjską muzykę bardziej niż jęki chorych, a szepty pięknych dziewcząt bardziej niż znaki pisarskie na pozółkłym papirusie. Ale nikt nie mógł mi z tego robić zarzutu, gdyż nadal dobrze wywiązywałem się ze swoich funkcji w Domu Życia, zdawałem egzaminy i nie straciłem pewności ręki. Wszystko to należało do naszego sposobu życia, niewielu tylko uczniów miało środki na to, by się ożenić i założyć własny dom podczas studiów. Toteż mój nauczyciel dał mi do zrozumienia, że zrobię najlepiej, gdy sobie trochę przytrę rogów, pofolguję nieco ciału i rozweselę serce. Lecz wciąż jeszcze nie tknąłem żadnej kobiety, choć zdawało mi się, że wiem, iż łona ich nie palą jak ogień.

Czasy były niespokojne, a stary faraon chorował. Widziałem jego zwiędłe starcze oblicze, gdy go niesiono do świątyni w święto jesienne, przystrojonego w złoto i drogie kamienie, nieruchomego jak obraz boga, z głową ugiętą pod ciężarem podwójnej korony. Był chory i leki królewskich lekarzy nie mogły go już uleczyć, toteż szły słuchy, że dni jego mają się ku końcowi i że wnet na tronie faraonów zasiądzie jego następca. A ten następca był zaledwie młodzieniaszkiem takim jak ja.

W świątyni Amona składano ofiary i odprowadzano mnóstwo nabożeństw, lecz Amon nie mógł już dopomóc swemu boskiemu synowi, choć faraon Amenhotep Trzeci zbudował mu najwspanialszą świątynię, jaką kiedykolwiek wzniesiono. Mówiono też, że król pogniewał się na egipskich bogów i wysłał gońców do swego teścia, króla Mitanni i Naharani, prosząc o przysłanie z Niniwy cudotwórczej Isztar, by go uleczyła. Lecz to było taką hańbą dla Amona, że na terenie świątyni i w Domu Życia ledwie śmiano o tym szeptać.

Podobizna Isztar przybyła do Teb i widziałem jej krętobrodych kapłanów w dziwnych szkopkach na głowie i grubych wełnianych płaszczach, jak oblani potem nieśli ją przez całe miasto przy dźwiękach metalowych trąb i bębnieniu małych bębenków. Ale ku radości kapłanów Amona także i bogowie z obcych krajów nie zdołali pomóc faraonowi, tak więc gdy Rzeka zaczęła wzbierać, do pałacu wezwano królewskiego

trepanatora.

Podczas pobytu w Domu Życia nie widziałem ani razu Ptahora, gdyż trepanacje były ogromnie rzadkie, a w okresie uczniowskim nie wolno mi było śledzić kuracji i operacji specjalistycznych. Obecnie przyniesiono Ptahora pośpiesznie z jego willi do Domu Życia. Oczyszczył się w przeznaczonym na to pomieszczeniu, a ja postarałem się o to, by znaleźć się w jego pobliżu. Był, jak dawniej, łysy, twarz mu się pomarszczyła a policzki zwisały żałośnie po obu stronach zgorzkniałych ust starca. Poznał mnie, uśmiechnął się i powiedział: – Ty żeś to, Sinuhe? A więc zaszedłeś aż tak daleko, synu Senmuta? – I wręczywszy mi skrzyneczkę z czarnego drewna, w której trzymał swoje narzędzia, kazał mi towarzyszyć sobie. Był to dla mnie nie zasłużony niczym zaszczyt, którego mógł mi pozazdrościć nawet królewski lekarz, i zachowałem się stosownie do tego.

– Muszę wypróbować pewność mojej ręki – powiedział do mnie Ptahor. – Otworzymy najpierw parę czaszek, by zobaczyć, jak pójdzie robota.

Oczy miał wodniste, a dłonie trzęsły mu się trochę. Poszliśmy na salę z nieuleczalnie chorymi, sparaliżowanymi i chorymi z obrażeniami głowy. Ptahor zbadał kilku z nich, obejrzał ich głowy i wybrał jakiegoś starca, dla którego śmierć byłaby wyzwoleniem, oraz mocnego niewolnika, który utracił zdolność mówienia i nie mógł poruszać członkami, oberwawszy kamieniem w głowę w jakiejś ulicznej bójce. Obu chorym podano napój znieczulający i przeniesiono ich do sali operacyjnej oraz oczyszczono. Narzędzia swoje Ptahor sam obmył i oczyścił w ogniu.

Moim zadaniem było ogolić pacjentom głowy najostrożniejszą brzytwą. Następnie umyło im i oczyszczono głowy jeszcze raz, i w skórę na głowie wtarto znieczulającą maść. Ptahor gotów już był do operacji. Naprzód przeciął skórę na głowie starca i odsunął ją na boki nie troszcząc się o obfity upływ krwi. Potem grubym świdrem w kształcie rurki wywiercił szybkimi ruchami dziurkę w ogołoconej czaszce i wyjął kawałek kości. Starzec zaczął jęczeć, a twarz jego posiniała.

– Nie widzę żadnej wady w jego głowie – oświadczył Ptahor, włożył wyjęty kawałek kości z powrotem na miejsce, zeszył kilkoma szwami skórę na czerepie i założył opatrunek, po czym starzec wyzionął ducha.

– Zdaje się, że ręce mi się trochę trzęsą – zauważył Ptahor. – Może ktoś z młodszych przyniesie mi kubek wina.

Prócz lekarzy z Domu Życia operacji przyglądała się cała grupa uczniów, którzy mieli zostać trepanatorami. Gdy Ptahor dostał wina, skierował swą uwagę na niewolnika, który siedział związany i mimo znieczulającego napoju łupał dziko oczyma. Ptahor

kazał związać go jeszcze mocniej, po czym głowę wstawiono w specjalne urządzenie, którym nawet olbrzym nie zdołałby zachwiać. Ptahor otworzył mu skórę na czerepie, lecz tym razem zwracał baczność uwagę na upływ krwi. Żył na brzegach przeciętej skóry przypalono, a krew zatamowano za pomocą leków. Dokonali tego inni lekarze, gdyż Ptahor nie chciał zmęczyć swych rąk. W Domu Życia był co prawda, jak to jest w zwyczaju, tamowacz krwi, prosty, nieuczony człowiek, którego sama obecność sprawiała, że krew po krótkiej chwili przestawała płynąć. Ptahor jednak pragnął zrobić przy operacji wykład, a równocześnie oszczędzał swoje siły dla faraona.

Oczyściwszy powierzchnię czaszki, pokazał obecnym miejsce, gdzie kość została wgnieciona. Przy użyciu świdra, piłki i szczypczyków oddzielił potem kawałek czerepu wielkości dłoni i znowu zademonstrował wszystkim, że między białymi zwojami mózgu zebrała się zakrzepła krew. Niesłychanie ostrożnie usunął skrzepy po kawałeczku i wyjął odprysk kości, który utkwił w mózgu. Operacja zabrała sporo czasu, tak że każdy uczeń mógł obserwować sposób, w jaki Ptahor pracował, i zakarbować sobie w pamięci, jak wygląda żywy mózg.. Następnie Ptahor zamknął otwór w czaszce oczyszczoną w ogniu srebrną płytką, którą tymczasem sporządzono na wzór usuniętej części czerepu, i przymocował ją mocno do czaszki małymi sztyfcikami. Zeszył ranę, założył opatrunek i powiedział: – Zbudźcie go! – Pacjent bowiem już od dawna stracił przytomność.

Niewolnika uwolniono z więzów, wiano mu do gardła wina i dano powąchać silne lekarstwa. Po chwili usiadł i zaczął sypać przekleństwami. Był tu cud, w który trudno uwierzyć, gdyby się samemu nie było tego świadkiem, gdyż przed trepanacją mężczyzna ten pozbawiony był mowy i nie mógł poruszać członkami. Tym razem jednak nie potrzebowalem pytać „dlaczego?”, ponieważ Ptahor wyjaśnił nam, że symptomy te powodowało wgniecenie ciemienia i wylana na powierzchni mózgu zakrzepła krew.

– Jeśli do trzech dni nie umrze, można go uważać za wyleczonego – dodał. – A po tygodniu może już dać ciągły temu, który uderzył go kamieniem. Przypuszczam, że nie umrze.

Po czym podziękował uprzejmie wszystkim, którzy mu pomagali, wymieniając także i mnie, jakkolwiek podawałem mu tylko kolejne narzędzia, których potrzebował. Nie przeczuwałem jednak, jakie były jego zamiary, gdy zlecił mi to zadanie. Wręczając mi bowiem swoją hebanową szkatułkę, wyznaczył mnie tym samym na swego pomocnika w pałacu faraona. Podawałem mu przy dwóch operacjach instrumenty i stałem się dzięki temu fachowcem, z którego przy otwieraniu czaszek mógł mieć większy pożytek niż z królewskich lekarzy. Lecz ja tego nie rozumiałem, toteż nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy powiedział:

– No, tośmy chyba dojrzeli, żeby zabrać się do królewskiego czerepu. Czyś gotów, Sinuhe?

Tak oto wsiadłem w moim prostym lekarskim fartuchu do królewskiej lektyki Ptahora. Tamowacz krwi przycupnął na jednym z drążków i niewolnicy faraona pobiegli z nami w kierunku przystani tak równym krokiem, że lektyka prawie się nie kołysała. Przy brzegu czekał na nas królewski statek faraona, którego wiosłarze byli wyborowymi niewolnikami i wiosłowali w takim tempie, że wydawało się, iż statek raczej fruwa po wodzie niż płynie. Z mostku przystani faraona zaniecono nas pośpiesznie do Złotego Domu. Nie dziwiłem się temu pośpiechowi. Po ulicach Teb maszerowali już żołnierze, zamykano bramy, a kupcy znosili towary do magazynów i zamykali drzwi i okiennice. Można się było z tego domyślić, że wielki faraon niebawem skona.

KSIĘGA TRZECIA GORĄCZKA MIASTA

ROZDZIAŁ I

Mnóstwo ludzi, wysokiego i niskiego stanu, zgromadziło się przy murach Złotego Domu i nawet przy zakazanym dla zwykłych śmiertelników odcinku wybrzeża tłoczyły się statki, drewniane łodzie bogaczy i smołowane łódki z sitowia biedoty. Gdy nas zobaczono, w tłumie dał się słyszeć poszept, jak szum dalekiej wody, i z ust do ust poszła wieść, że nadchodzi królewski trepanator. Ludzie podnieśli wtedy ręce w żalobnym geście, a jęki i białania towarzyszyły nam aż do pałacu. Gdyż wszyscy wiedzieli, że jeszcze żaden faraon nie dożył trzeciego wschodu słońca, od chwili gdy mu otworzono czaszkę.

Przez Bramę Lili zaprowadzono nas do królewskich komnat, a wysocy dworscy dostojnicy byli naszymi sługami i bili pokłony przed Ptahorem i przede mną, bo nieśliśmy w naszych dłoniach śmierć. Urządzono dla nas prowizoryczne pomieszczenie do oczyszczenia się, ale zamieniwszy parę słów z królewskim lekarzem przybocznym, Ptahor podniósł tylko ręce ku górze na znak żałoby i obojętnie poddał się oczyszczającym

ceremoniom. A potem przez szereg wspaniałych królewskich pokoi poszliśmy do królewskiej alkowy, a za nami niesiono święty ogień.

Wielki faraon spoczywał na łożu pod złotym baldachimem, wspartym na słupkach mających postać strzegących go bogów, podczas gdy samo łoże dźwigał na barkach lew. Faraon leżał rozdzielony z wszelkich znaków swej władzy, nagi, z nabrzmiałym ciałem. Zgrzybiały, nieprzytomny, z wychudłą starczą głową przechyloną na bok, leżał ciężko dysząc, a ślina ciekła mu z kącika obwisłych warg. Tak przemijająca i podobna do cienia jest doczesna władza i chwała, że nie można go było odróżnić od starca umierającego w sali przyjęć w Domu Życia. Ale na ścianach komnaty wciąż jeszcze można go było oglądać w królewskim rydwanie zaprzężonym w chyże, piórami przybrane rumaki. Silne ramię faraona napinało cięciwę łuku, a lwy padały mu martwe do stóp, przeszyte jego strzałami. Ściany królewskiej alkowy lśniły czerwienią, złotem i błękitem. A płytki posadzki układały się w wizerunki ryb pływających w rzece, bijących skrzydełkami kaczek, chwiejącego się na wietrze sitowia.

Skłoniliśmy się do ziemi przed umierającym faraonem i każdy, kto znał się na śmierci, wiedział, że sztuka Ptahora nic tu nie pomoże. Ale od zamierzonych czasów ostatniego ratunku szukano w otwarciu czaszki faraona, o ile nie zdążył umrzeć przedtem naturalną śmiercią, więc i teraz musiało się to dokonać i przystąpiliśmy do dzieła. Otworzyłem hebanową szkatułkę, oczyściłem raz jeszcze w ogniu wszystkie noże, świdry i obcążki i wręczyłem Ptahorowi święty nóż z krzemienia. Przyboczny lekarz królewski ogolił już i umył głowę umierającego i Ptahor polecił tamowaczowi krwi, by usiadł na łożu i wziął głowę faraona w ramiona.

Wtedy do łoża podeszła pierwsza królewska małżonka, Teje, i zabroniła mu tego. Stała ona dotychczas pod ścianą z rękami podniesionymi do góry na znak żałoby, nieruchoma jak posąg boga. A za nią stał młody następca tronu Amenhotep i jego siostra Baketamon, ale ja do tej pory nie odważyłem się podnieść na nich wzroku. Teraz, gdy w komnacie wynikło zamieszanie, poznałem ich z królewskich podobizn w świątyni. Następca tronu był w moim wieku, lecz trochę niższy ode mnie. Nosił głowę wysoko, wysuwając naprzód dużą szczękę, a oczy zamknął mocno je zaciskając. Członki jego były chorobliwie wątłe, a powieki i muskuły szczęk drżały. Księżniczka Baketamon miała piękne, dostojne rysy i wielkie owalne oczy. Jej usta i policzki pomalowane były na pomarańczowo, a szaty były z najcieńszego królewskiego lnu, tak że członki widać było przez nie, podobnie jak członki bogów. Lecz okazalsza od tych dwojga była wielka królewska małżonka Teje, mimo że niska wzrostem i tłusta. Cerę miała bardzo ciemną, a kości policzkowe szerokie i wystające. Mówiono, że była ona pierwotnie prostą

kobietą z ludu i miała w żyłach krew murzyńską, ale nie mogę nic pewnego o tym powiedzieć, gdyż słyszałem to tylko. Wiem jedynie, że jeśli nawet jej rodzice nie mieli żadnych zaszczytnych tytułów, to oczy jej były mądre, nieustraszone i przenikliwe, a postać promieniowała siłą. Gdy zrobiła ruch ręką i spojrzała na tamowacza krwi, miało się wrażenie, że jest on marnym pyłkiem pod jej szerokimi, ciemnobrązowymi stopami. Rozumiałem ją, bo tamowacz krwi był to niskiego rodu poganiacz wołów, nie umiejący czytać ani pisać. Stał z pochyloną głową i zwisającymi ramionami, z otwartymi ustami i bezdennie głupim wyrazem twarzy. Nie miał żadnej innej zdolności prócz daru tamowania krwi przez samą swoją obecność i dlatego zabrano go od wołów i pługą i dano mu pensję w świątyni. Mimo wszystkich oczyszczających ceremonii wciąż jeszcze unosił się dokoła niego smród nawozu. On sam nie umiał wyjaśnić, skąd wziął się ten jego szczególny dar. Po prostu miał go, podobnie jak szlachetny kamień można znaleźć w grudce żwiru, daru tego nie można zdobyć ani nauką, ani przez duchowe ćwiczenia.

– Nie pozwalam, żeby on dotknął boga – rzekła wielka królewska małżonka. – Ja sama będę trzymać boską głowę, jeśli tak trzeba.

Ptahor nadmienił, że operacja jest krwawa i nieprzyjemna. Lecz nie zważając na to Teje usiadła na brzegu łoża i ostrożnie uniosła głowę umierającego małżonka na swe łono, nie zwracając uwagi na ślinę kapiącą jej na ręce.

– On jest mój – rzekła królowa. – Niech nikt inny nie ośmieli się go dotknąć. Z moich objęć odejdzie w krainę śmierci.

– Jako bóg, wstąpi do łodzi swego ojca, słońca, i popłynie prosto do kraju zbawienia – rzekł Ptahor i jednym cięciem kamiennego noża rozciął skórę na królewskiej czaszce. – Ze słońca jest on zrodzony i do słońca powróci, a ludzie sławić będą imię jego na wieki wieków. Na Seta i wszystkie demony! Gdzie się wałkoni tamowacz krwi? – Mówił tak celowo, aby odwrócić uwagę królewskiej małżonki od operacji, jak biegły lekarz zawsze przemawia do pacjenta, któremu przysparza cierpienie. Ostatnie słowa jednak syknął pod adresem tamowacza krwi, opartego sennie o framugę drzwi z na wpół zamkniętymi oczyma. Gdyż z głowy faraona zaczęła leniwie sączyć się krew i spływać na łono królowej, która wzdrygnęła się i zrobiła żółtoszara na twarzy. Także i tamowacz krwi ocknął się z zamyślenia. Może odbiegł duchem od swoich wołów i kanałów nawadniających, lecz teraz przypomniał sobie o swym zawodzie, zbliżył się, spojrzął na faraona i podniósł ręce w górę. Krew przestała natychmiast płynąć, a ja obmyłem i oczyściłem głowę faraona.

– Przepraszam, mateczko miła – mówił Ptahor biorąc z mojej ręki świder. – Do

słońca, naturalnie, prościutko do swego ojca w złotej łodzi, niech go Amon błogosławi.

Nie przestając mówić, szybkimi, zręcznymi poruszeniami rąk wprowadził świder w ruch obrotowy, tak że ostrze jego z trzaskiem wwierciło się w kość. Lecz wtedy następcza tronu otworzył oczy, postąpił o krok i z twarzą drgającą rzekł:

– Nie Amon, lecz Re-Horachte niech go błogosławi i Aton, który jest jego objawieniem.

Podniosłem z czcią rękę do góry, choć nie wiedziałem, o czym mówi, któż bowiem mógł znać dobrze wszystkich bogów Egiptu, których było co najmniej tysiąc, zwłaszcza zaś któż z wyświęconych na kapłanów Amona, kto i tak już miał dosyć kłopotu z jego świętą troistością i dziewięciokrotnością.

– Oczywiście, Aton – mruczał Ptahor uspokajająco. – Dlaczegoż by nie Aton, musiałem się przejęzyczyć. – Znow podjął swój krzemienisty nóż i młotek z hebanową rękojeścią i delikatnymi stuknięciami zaczął odłupywać kawałek kości. – Tak jest w istocie, przypominam sobie przecież, że w swej boskiej mądrości wznosił on świątynię Atonowi. Wszak było to zaraz po urodzeniu się księcia, nieprawdaż, piękna Teje? Cierpliwości, jeszcze tylko chwileczkę. – Zerknął zatroskany na następcę tronu, który stał przy łożu z mocno zaciśniętymi pięściami i twarzą drgającą od skurczów. – Właściwie łyk wina dodałby mi pewności ręki, a i księciu by nie zaszkodził. Dobra zaiste okazja, by złamać pieczęć choćby na królewskim gąsiorze. No tak! – Wręczyłem mu cążki, a on wydarł nimi oddzielony od czerepu kawałek kości, że aż trzasnęło w głowie umierającego spoczywającego w objęciach królowej. – Poświęć trochę, Sinuhe!

Ptahor westchnął, bo najgorsze miał już za sobą. Ja również westchnąłem instynktownie i to uczucie ulgi jakby udzieliło się także nieprzytomnemu faraonowi, gdyż członki jego drgnęły, oddech stał się lżejszy i chory zapadł w jeszcze głębsze omdlenie. W jasnym oświetleniu Ptahor oglądał przez chwilę ze skupieniem mózg faraona, odkryty jak na dłoni w otwartej czaszce. Masa mózgowa była szarosina i galaretowata.

– Hm! – bąknął w końcu Ptahor. – Co się zrobiło, to się zrobiło. A reszta należy do Atona, bo to boska, a nie ludzka sprawa. – Lekko i ostrożnie przyłożył kawałek czerepu z powrotem na miejsce, skąd go wyjął, szczelinę pociągnął klejem, po czym naciągnął skórę na czerep i założył na ranę opatrunek. Królewska małżonka złożyła głowę faraona na rzeźbionej w drogocennym drewnie podpórce pod kark i patrzyła na Ptahora. Krew zakrzepła na jej ramionach, ale ona o to nie dbała. Ptahor wytrzymał jej nieustraszone spojrzenie nie kłoniąc się przed nią i rzekł cicho:

– Będzie żyć do świtania, jeśli bóg jego na to pozwoli.

Potem zaś podniósł ręce do góry na znak żałoby, a ja zrobiłem to samo. Gdy jednak Ptahor podniósł dłonie dla wyrażenia współczucia, nie ośmieliłem się pójść za jego przykładem. Kimże bowiem byłem, bym mógł odczuwać współczucie dla członków królewskiej rodziny. Oczyściłem narzędzia w ogniu i włożyłem je z powrotem do hebanowej szkatułki Ptahora.

– Dostaniesz świetne dary – rzekła królewska małżonka dając ręką znak, że wolno nam odejść.

Zastawiono dla nas posiłek w sali królewskiej i Ptahor z radością patrzył na wiele gąsiorów wina stojących pod ścianą. Zbadawszy skrupulatnie pieczęć kazał otworzyć jeden z nich a niewolnicy polali nam wodą dłonie.

Gdy zostaliśmy w cztery oczy, ośmieliłem się spytać Ptahora o Atona, gdyż w rzeczywistości nie wiedziałem, że Amenhotep Trzeci kazał zbudować w Tebach świątynię dla boga tego imienia. Ptahor wyjaśnił mi, że Re-Horachte był bogiem rodzinnym rodu Amenhotepów, ponieważ największy z królów wojowników, Tutmos Pierwszy, miał u stóp Sfinksa na pustyni sen, w którym mu się objawił ten bóg i przepowiedział, iż pewnego dnia Tutmos będzie nosić koronę Obojga Królestw, mimo iż w owym czasie zdawało się jeszcze, że ma on bardzo niewielkie widoki, żeby zostać władcą Egiptu. Zbyt wielu bowiem pretendentów do tronu miało przed nim miejsce w kolej. Była to prawda, gdyż Ptahor sam w swoich młodych i szalonych dniach odbył podróż do piramid i na własne oczy widział świątynię, którą Tutmos na pamiątkę tego wydarzenia kazał zbudować między łapami Sfinksa, jako też tablicę, na której król opowiedział o tym, co mu się objawiło. Od tego czasu ród królewski czcił Re-Horachtego, który mieszkał w Heliopolis w Państwie Dolnym i który objawiał się w Atonie. Ów Aton był to prastary bóg, starszy niż Amon, lecz zapomniany do chwili, gdy pierwsza królewska małżonka urodziła syna po odbyciu pielgrzymki do Heliopolis z modłami do Atona. Dlatego też i w Tebach wzniesiono świątynię Atona, choć w rzeczy samej nie uczęszczał do niej nikt prócz członków królewskiej rodziny. Aton przedstawiony tam był jako byk niosący słońce pomiędzy rogami, a na obrazie znajdował się też i Horus w postaci sokoła.

– Stosownie do tego następcą tronu jest boskim synem Atona – rzekł Ptahor i pociągnął łyk wina. – To przecież właśnie w świątyni Re-Horachte królewska małżonka miała objawienie, po czym urodziła syna. Przywiozła też z sobą stamtąd wielce żądnego władzy kapłana, w którym znalazła upodobanie. Nazywa się on Eje i postarał się, żeby żona jego została mamką następcy tronu. Ma bowiem córkę, imieniem Nefretete, która ssła mleko z tej samej piersi, co następcą tronu, i igrała w pałacu jako jego siostra, łatwo więc sobie wyobrazić, co z tego może wyniknąć. – Ptahor łyknął znowu wina,

westchnął i rzekł: – Och, dla starego człowieka nie ma nic rozkoszniejszego niż wino i paplanie o sprawach, które go nie obchodzą. O synu mój, Sinuhe, gdybyś wiedział, ile tajemnic pogrzebanych jest pod czołem starego trepanatora. Może kryją się tam nawet królewskie tajemnice. Niejeden dziwi się, dlaczego dziecko płci męskiej nie urodziło się nigdy żywe w pałacowym babińcu, gdyż pozostaje to w sprzeczności z wszelkimi prawidłami sztuki lekarskiej. I ten, który leży teraz z otwartym czerepem, nie stronił od kielicha w dniach swojej siły i radości. Był wielkim myśliwym i ma na rozkładzie tysięcy lwów i pięćset dzikich bawołów, a ile dziewic rozłożył pod zasłoną swego posłania, tego nie potrafi zliczyć nawet strażnik haremu. Lecz chłopca miał tylko z królewską Teje.

Ogarnął mnie niepokój, bo i ja piłem wino. Wzdychałem i przyglądałem się zielonemu kamieniowi na moim palcu. Lecz Ptahor ciągnął nieubłaganie:

– Ten, który leży tam w alkowie, znalazł swoją królewską małżonkę na myśliwskiej wyprawie. Mówią, że Teje była wtedy prostą dziewczyną, łowiącą ptaki w sitowiu nad Nilem. Lecz król zrównał ją z sobą dla jej mądrości i żywił szacunek także dla jej prostych rodziców, i wypełnił ich grób najcenniejszymi darami. A Teje nie miała nic przeciw jego rozrywkom dopóki kobiety z haremu nie rodziły chłopców. I w tym sprzyjało jej najbardziej przedziwne szczęście, w które nie można by wprost uwierzyć, gdyby istotnie nie było tak naprawdę. I nawet jeśli to on trzymał w swej dłoni zakrzywione berło, to wielka królewska małżonka kierowała tą ręką i tym ramieniem. Gdy król ze względów politycznych ożenił się z córką króla Mitanni, żeby uzyskać wieczysty pokój i uniknąć wojny z Naharani, krainą rzek płynących pod górę, Teje nakładła mu do głowy, że księżniczka ma kozie kopytko w miejscu, które budzi pożądanie u mężczyzn, i że śmierdzi kozą. Tak przynajmniej opowiadają, zresztą ta księżniczka później oszalała. – Ptahor spojrzał na mnie zezem i obejrzał się dokoła, po czym szybko dorzucił: – Ale ty, Sinuhe, nie wierz nigdy w podobne historie, gdyż są to plotki złośliwych ludzi. Wszyscy znają łagodność i mądrość wielkiej królewskiej małżonki jak również jej umiejętność dobierania odpowiednich ludzi do swego otoczenia i na podpory tronu. Tak i jest. Zabierz mnie stąd, Sinuhe, mój synu, bo jestem już stary i słabe są moje stopy – zakończył.

Wyprowadziłem go na świeże powietrze, a noc już zapadła i na wschodzie światła Teb rozpałały na niebie czerwoną łunę. Piłem wino i czułem znów we krwi gorączkę Teb, a kwiaty w ogrodzie pachniały i gwiazdy migotały nad moją głową.

– Ptahorze – powiedziałem. – Gdy światła Teb rozpalają się na nocnym niebie, jestem spragniony miłości.

– Nie ma miłości – rzekł Ptahor stanowczo. – Mężczyzna jest smutny, gdy nie posiada kobiety, z którą mógłby spać. Ale gdy spał z kobietą, jest jeszcze smutniejszy. Tak było i tak zawsze będzie.

– Dlaczego? – spytałem.

– Tego nie wiedzą nawet bogowie – powiedział Ptahor. – I nie mów do mnie o miłości, jeśli nie chcesz, żebym ci otworzył czaszkę. Zrobię to za darmo i nie będę cię prosił o najmniejszy podarunek, gdyż w ten sposób oszczędzę ci wiele smutku.

Uznałem wtedy, że najlepiej będzie, gdy przyjmę obowiązki niewolnika. Wziąłem go w ramiona i zaniosłem do przeznaczanego dla nas pomieszczenia. Był taki mały i taki stary, że dźwigając go nawet się nie zasapałem. Gdy ułożyłem go na posłaniu, zasnął natychmiast, szukając po omacku pucharu z winem koło swego łoża. Otuliłem go miękkimi skórami, gdyż noc była chłodna, i wyszedłem z powrotem na kwietny taras, ponieważ byłem młody, a młodość nie tęskni do snu w noc, gdy król umiera.

Aż na taras docierał podobny do poszumu wiatru w sitowiu szmer głosów ludzi, którzy nocowali pod murami pałacu.

ROZDZIAŁ 2

Czuwałem w zapachu kwiecia, światła Teb były jaskrawą czerwienią o niebo na wschodzie, a ja wspominałem parę oczu zielonych jak wody Nilu w letnim upale, dopóki nie spostrzegłem, że nie jestem sam na tarasie. Sierp księżycy był wężutki, a światło gwiazd migotliwe i słabe, więc nie mogłem rozróżnić, czy to mężczyzna zbliżał się do mnie, czy też kobieta. Ktoś jednak podszedł i próbował zajrzeć mi w twarz, aby mnie rozpoznać. Poruszyłem się, a przybysz odezwał się dziecinnym, krzykliwym, rozkazującym głosem: – Czy to ty, który jesteś samotny? – Wtedy poznałem po głosie i wysmukłej postaci, że to następca tronu, i skłoniłem się przed nim do ziemi, nie ośmielając się odezwać. Ale on trącił mnie niecierpliwie stopą i powiedział:

– Wstań i nie bądź głupi. Nikt nas nie widzi, więc nie potrzebujesz mi bić pokłonów. Oszczędzaj pokłonów dla boga, którego synem jesteś, gdyż istnieje tylko jeden bóg, a wszyscy inni są formami, w których on się objawia. Czy wiesz o tym? – Nie czekając na moją odpowiedź zastanawiał się przez chwilę i dodał: – Wszyscy inni bogowie z wyjątkiem Amona, który jest fałszywym bogiem!

Zrobiłem gest odżegnywania i powiedziałem – ach! – żeby pokazać, iż boję się takich słów.

– Daj temu spokój – powiedział. – Widziałem, jak stałeś koło mego ojca i podawałeś nóż i młotek temu głupiemu Ptahorowi. I nazwałem cię Samotnikiem. A Ptahorowi matka moja nadała imię Stara Małpa. Te imiona nosić będziecie, gdyby przyszło wam

umrzeć, zanim opuścicie pałac. Lecz twoje imię wymyśliłem ja.

Pomyślałem, że rzeczywiście musi być chory i szalony, skoro mówi takie nierozsądne rzeczy, ale Ptahor twierdził, że musimy umrzeć w razie śmierci faraona, a tamowacz krwi wierzył w to. Toteż włosy mi się zjeżyły na głowie i znów podniosłem rękę gestem odzeganym urok, gdyż nie chciałem umrzeć.

Następca tronu stał przy mnie oddychając gwałtownie i nierówno, poruszając rękami i mruczając pod nosem:

– Jestem niespokojny – mówił – chcę być gdzie indziej, a nie tu, gdzie jestem. Mój bóg objawia mi się, wiem o tym, ale boję się. Bądź za mną, Samotniku, gdyż bóg kruszy moje ciało swą siłą, a język mój jest chory, gdy bóg mój mi się objawia.

Zacząłem drżeć, gdyż myślałem, że zachorował i bredzi. Ale on rzekł rozkazująco: – Chodź! – więc poszedłem za nim. Sprowadził mnie z tarasu i poprowadził dalej, wzdłuż królewskiego jeziora, a za murami jak ponury szmer słychać było szepty pograżonego w żalobie tłumu. Bałem się okrutnie, gdyż Ptahor powiedział, że nie mamy prawa wydalać się z pałacu, dopóki król nie umrze. Ale nie mogłem sprzeciwić się następcy tronu.

Szedł cały napięty jak cięciwa, rączym, posuwistym krokiem, tak że musiałem się dobrze wysilać, żeby za nim nadążyć. Miał na sobie tylko wąską przepaskę i księżyc oświetlał jego jasną skórę, chude nogi i biodra szerokie jak u kobiety. Księżyc rzucał światło na jego odstające uszy i twarz wykrzywioną męką i podnieconą, jak gdyby szedł za jakąś zjawą, której inni nie byli zdolni dojrzeć.

Gdy doszliśmy do brzegu, powiedział:

– Weźmiemy łódkę. Muszę udać się na wschód, by spotkać się z moim ojcem.

Nie wybierając wsiadł do pierwszej lepszej łódki z sitowia, a ja za nim, i zaczęliśmy wiosłować kierując się na drugą stronę Rzeki; nikt nas nie ścigał, choć ukradliśmy łódkę. Noc pełna była niepokoju, po Rzece pływało wiele łodzi i coraz silniej biła w niebo nad nami czerwona luna światła Teb. A gdy dotarliśmy do brzegu, on zostawił łódkę na łaskę prądu i poszedł przed siebie nie oglądając się, jak gdyby już nie raz przedtem kroczył tą drogą. Nie mogąc postąpić inaczej, szedłem za nim z sercem przepełnionym lękiem. Także inni ludzie poruszali się wśród ciemności i strażnicy nie zatrzymywali nas zawołaniami, gdyż Teby wiedziały już, że król ma umrzeć tej nocy.

Zmęczony się marszem, ale podziwiałem wytrzymałość jego słabego ciała, bo jakkolwiek noc była bardzo chłodna, mnie pot lał się po plecach strugami, gdy tak za nim szedłem. Pozycje zmieniły się na niebie i księżyc zaszedł, lecz on wciąż pędził przed siebie. Wyszliśmy z doliny w górę, na płonne piaski pustyni, pozostawiliśmy za sobą Teby, a przed nami wznosiły się na wschodzie trzy górskie szczyty, strażnicy Teb,

czarno odcinające się na tle nieba. Łamałem sobie głowę, gdzie i w jaki sposób zdobędę lektykę, którą moglibyśmy wrócić, przypuszczałem bowiem, że nie będzie miał dość siły, by wracać tą samą drogą pieszo. W końcu dysząc usiadł na piasku i rzekł z lękiem:

– Trzymaj mnie za ręce, Sinuhe, bo mi się trzęsą i serce mi łomocze. Bliska jest oczekiwana chwila, bo świat jest pusty i nie ma tu nikogo prócz ciebie i mnie, ale tam, dokąd pójdę, nie możesz mi towarzyszyć. A jednak nie chcę być sam.

Chwyciłem go za oba przeguby i poczułem, że drży na całym ciele i oblewa się zimnym potem. Dokoła nas było pusto, a gdzieś w dali rozległo się zwiastujące śmierć wycie szakala. Gwiazdy bladły bardzo powoli i przestrzeń dokoła nas stawała się śmiertelnie szara. Wtedy nagle odtrącił moje ręce i wstał podnosząc twarz ku wschodowi, ku góróm.

– Bóg przychodzi – rzekł cicho, a jego rozpalona twarz pełna była nabożeństwa i miała wygląd chorobliwy. – Bóg przychodzi! – powtórzył podnosząc głos. – Bóg przychodzi! – wykrzyknął. W pustyni dokoła nas stało się jaśniej, a góry przed nami rozpały się złotem i słońce wzeszło.

Wtedy krzyknął przenikliwie, padł na ziemię i stracił przytomność. Drgawki wstrząsały jego członkami, usta wykrzywiały się i kopał nogami piasek. Ale ja już się nie bałem, bo podobne krzyki słyszałem na dziedzińcu Domu Życia i doskonale wiedziałem, co trzeba wtedy zrobić. Nie miałem kawałka drewna, by włożyć mu go między zęby, ale oderwałem kawałek swojego fartuszka i zwinąwszy materiał w twardą rolkę, wetknąłem mu ją do ust. Potem zacząłem nacierać jego członki. Wiedziałem, że gdy się ocknie, będzie chory i zamroczony, rozglądałem się więc dokoła, szukając pomocy, lecz Teby zostały daleko za nami, a w pobliżu nie widać było najmniejszej choćby lepianki.

W tejże chwili obok mnie przeleciał z krzykiem sokół. Wychynął prosto z palących promieni wschodzącego słońca i opisał nad nami wielki łuk. Potem obniżył się znów, jak gdyby zamierzał usiąść na czole następcy tronu. Byłem tak zaskoczony, że instynktownie zrobiłem święty znak Amona. Może księżę miał na myśli Horusa mówiąc o swoim bogu, może bóg ten objawia się nam w postaci sokoła. Księżę jęknął, więc pochyliłem się nad nim, by się nim zająć. Gdy znów podniosłem głowę, zobaczyłem, że sokół przybrał postać ludzką. Przede mną stał w promieniach wschodzącego słońca młodzieniec, piękny i do boga podobny. W ręce trzymał oszczep, a na ramionach miał grubą oponicę, z rodzaju tych, jakie noszą biedacy. Nie wierzyłem co prawda w bogów, ale na wszelki wypadek padłem przed nim na twarz.

– Co się stało? – spytał dialektem z Dolnego Państwa, wskazując na następcę tronu.

– Czy chłopiec zachorował?

Zawstydzilem się i podniosłem, aby powitać go w zwyczajny sposób. – Jeśli jesteś rozbójnikiem – powiedziałem – niewiele zdobędziesz na nas łupu. Lecz jest ze mną ten chory młodzieniec, może bogowie będą cię błogosławić, jeśli nam pomożesz.

Zakwilił jak sokół i gdzieś z wysoka, z powietrza, spadł jak kamień sokół i usiadł na jego ramieniu. Pomyślałem, że może lepiej wciąż być ostrożnym, na wypadek gdyby mimo wszystko okazał się bogiem, choćby tylko jednym z najmniej ważnych. Toteż zwróciłem się do niego z szacunkiem i spytałem go grzecznie, kim jest, skąd pochodzi i dokąd zdąża.

– Jam syn sokoła, Horemheb – odparł dumnie. – Rodzice moi to tylko zwykli serowarzy, lecz w dniu moich urodzin wrócono, że będę panować nad wieloma. Sokół wskazał mi drogę, dlatego przyszedłem tu nie znalazłszy noclegu w mieście. W Tebach lękają się oszczepu po zapadnięciu ciemności. Chcę wstąpić w służby faraona jako wojownik, gdyż mówią, że jest on chory, myślę więc, że znajdzie zajęcie dla silnych ramion, które bronić będą jego władzy.

Ciało miał dorodne jak młody lew, a wzrok błyskliwy jak strzała w locie. Z zawiścią pomyślałem, że niejedna kobieta powie mu: „Piękny chłopcze, czy nie chciałbyś pocieszyć mnie w mojej samotności?”

Następca tronu znowu jęknął, podniósł ręce do twarzy i zaczął wierzgać nogami. Wyjąłem mu z ust szmatę, żałując, że nie mam wody, by go ocucić. Horemheb przyglądał mu się ciekawie i spytał zimno:

– Czy on umrze?

– Nie umrze – odparłem niecierpliwie. – On cierpi na świętą chorobę.

Horemheb spojrział na mnie i ścisnął mocniej swój oszczep.

– Nie potrzebujesz mną pogardzać – rzekł – choć chodzę boso i wciąż jeszcze jestem ubogi. Potrafię znośnie pisać i czytać to, co napisane, i będę rozkazywać wielu. Jaki to bóg obrał sobie w nim siedzibę?

Ludzie bowiem wierzą, że bóg przemawia przez tych, którzy cierpią na świętą chorobę, stąd też jego pytanie.

– On ma swego własnego boga – odparłem. – Zdaje mi się, że jest troszkę szalony. Gdy przyjdzie do siebie, pomożesz mi chyba zanieść go do miasta, znaleźć lektykę i zawieźć go do domu.

– On marznie – stwierdził Horemheb i zdjawszy z siebie płaszcz okrył nim następcę tronu. – Ranki w Tebach są chłodne, lecz mnie rozgrzewa moja krew. Znam też licznych bogów i wielu z nich okazało mi swą przychylność. Lecz moim szczególnym opiekunem

jest Horus. Ten chłopak to z pewnością syn bogacza, bo skórę ma białą i cienką i widać, że nie pracował nigdy rękami. A kim ty jesteś?

Mówił dużo i żywo, gdyż był to ubogi młodzian, który przywędrował do Teb z daleka, natrafiając po drodze na nieuprzejmość i upokorzenie.

– Jestem lekarzem – odpowiedziałem mu. – Zostałem także wyświęcony na kapłana pierwszego stopnia w świątyni Amona w Tebach.

– Z pewnością wywiozłeś go na pustynię, aby go uleczyć – wyraził przypuszczenie Horemheb. – Powinieneś być go jednak cieplej przywdziać. Nie żebym chciał krytykować sztukę lekarską – dorzucił zaraz grzecznie.

Chłodny, czerwony piasek rozgorzał w świetle jutrzeńki, grot oszczepu Horemheba błyszczał czerwienią, a sokół kwiląc krążył dokoła jego głowy. Następca tronu usiadł szcękając zębami, jęczał i zamroczony rozglądał się dokoła.

– Widziałem – odezwał się. – Ta chwila była jak stulecie. Byłem bezwieczny, a on wyciągnął nad moją głowę tysiąc błogosławionych rąk i każda z tych rąk wręczyła mi znak wiecznego życia. Czyż nie mam w to wierzyć?

– Mam nadzieję, że nie ugryzłeś się w język – rzekłem zatroskany. – Próbowałem cię od tego uchronić, lecz nie miałem pod ręką kawałka drewna, żeby ci go wcisnąć między zęby.

Lecz słowa moje były dla jego uszu jak brzęczenie muchy. Patrzył na Horemheba, a wzrok jego przejaśniał się, oczy rozszerzyły mu się i piękny był w swym uśmiechniętym zadziwieniu.

– Czy to ciebie zesłał Aton, jedyny bóg? – spytał zdumiony.

– Sokół leciał przede mną, a ja poszedłem za moim sokołem – odparł Horemheb. – Dlatego tu jestem, więc nie umiem ci powiedzieć.

Lecz następca tronu patrzył na oszczep w jego dłoni i zmarszczył czoło.

– Nosisz oszczep – rzekł z wyrzutem.

Horemheb podniósł oszczep i powiedział:

– Drzewce jest z twardego drewna. Kuty w miedzi grot tęskni, by napić się krwi wrogów faraona. Mój oszczep jest spragniony krwi, a imię jego „rozpruwacz gardzieli”.

– Tylko nie krew – rzekł następca tronu. – Krew to okropność dla Atona. Nie ma nic okropniejszego jak płynąca krew.

Jakkolwiek widziałem, że następca tronu mocno zaciskał powieki, gdy Ptahor dokonywał wierceń w głowie faraona, nie wiedziałem jeszcze, że należał on do ludzi, którzy chorują i tracą przytomność na widok płynącej krwi.

– Krew oczyszcza ludzi i czyni ich silnymi – powiedział Horemheb. – Od krwi

bogowie stają się tłusci i dobrze im się wiedzie. Dopóki prowadzi się wojny, dopóty musi płynąć krew.

– Nigdy więcej nie będzie wojny – rzekł następca tronu.

– Ten chłopak jest głupi – zaśmiał się Horemheb. – Wojny zawsze toczono i zawsze będzie się je toczyć, gdyż ludy muszą wciąż wystawiać na próbę swoją tężyznę, aby mogły żyć.

– Wszystkie ludy są jego dziećmi, ludzie wszystkich języków i kolorów, czarny kraj i czerwony kraj – mówił następca tronu wpatrzony w słońce. – Zbuduję mu świątynie we wszystkich krajach i pošlę ich władcom znak życia bo go widziałem. Z niego jestem zrodzony i do niego powrócę!

– On jest szalony – orzekł Horemheb – zwracając się do mnie i potrząsnął głową ze współczuciem. – Teraz rozumiem, że potrzebuje lekarza.

– Jego bóg objawił mu się przed chwilą – rzekłem poważnie, żeby ostrzec Horemheba, bo już go polubiłem. – Święta choroba pozwoliła mu zobaczyć boga i nie naszą jest sprawą osądzać, co mu bóg powiedział. Każdy szuka prawdy w swojej własnej wierze.

– Ja wierzę w mój oszczep i mego sokoła – oświadczył Horemheb.

Lecz następca tronu podniósł dłoń, aby powitać słońce, i twarz jego znów zaczęła grać namiętnością, i stała się piękna, jak gdyby patrzył w inny świat niż nasz. Daliśmy mu skończyć modlitwę, po czym poprowadziliśmy go w kierunku miasta, a on się temu nie sprzeciwiał. Atak osłabił jego członki, tak że jęczał i chwiały się idąc. Toteż w końcu nieśliśmy go między sobą, a sokół leciał przed nami.

Gdy doszliśmy do brzegu uprawnego obszaru, zobaczyliśmy, że czeka tam na nas królewska lektyka. Niewolnicy leżeli na ziemi, a z lektyki wysiadł i wyszedł nam na spotkanie opasły kapłan, którego głowa była ogolona, a ciemna twarz tchnęła ponurym pięknem. Opuściłem przed nim ręce do kolan, gdyż domyśliłem się, że był to ten kapłan boga Re-Horachte, o którym opowiadał mi Ptahor. Ale on nie zwracał na mnie uwagi. Rzucił się na twarz przed następcą tronu i przywitał go jako króla. Zrozumiałem wtedy, że Amenhotep Trzeci zmarł. Następnie niewolnicy spieszenie zajęli się osobą nowego faraona. Obmyto mu członki, namaszczone go i natarto olejkami, odziano w królewskie szaty z najcieńszego lnu, a na głowę włożono mu królewski kołpak.

Tymczasem Eje rozmawiał ze mną.

– Czy spotkał on swego boga, Sinuhe? – zapytał.

– Spotkał swojego boga – odparłem. – Ale czuwałem nad nim, żeby mu się nie stało nic złego. Skąd znasz moje imię?

Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Moim zadaniem jest wiedzieć wszystko, co się dzieje w pałacu, dopóki nie nadejdzie moja ostatnia chwila. Znam twoje imię i wiem, żeś lekarzem. Dlatego mogłem powierzyć go twojej opiece. Wiem także, że jesteś jednym z kapłanów Amona i złożyłeś mi przysięgę.

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym akcentem, jak gdyby z pogroźką. Ale ja zrobiłem gest lekceważący mówiąc: – Cóż znaczy przysięga złożona Amonowi?

– Masz słusność – powiedział. – i nie będziesz tego żałował. Wiedz zatem, że staje się on niespokojny, gdy jego bóg zbliża się do niego. Nic nie może go wtedy powstrzymać i nie pozwala towarzyszyć sobie przybocznej straży. Mimo to byliście bezpieczni przez całą noc i nie groziło wam żadne niebezpieczeństwo, i – jak widzisz – czeka na was królewska lektyka. A ten oszczepnik? – wskazał na Horemheba, który stał opodal i próbował dłonią grotu oszczepu. Sokół siedział na jego ramieniu. – Może byłoby najlepiej, żeby umarł, gdyż tajemnice faraonów nie mogą być dzielone przez wielu.

– Okrył faraona swym płaszczem, gdy było zimno – odparłem. – Gotów jest podnieść swój oszczep przeciw wrogom faraona. Sądzę, że będziesz miał więcej pożytku z niego żywego niż martwego, kapłanie Eje.

Wtedy Eje rzucił Horemhebowi niedbale złotą bransoletę ze swego ramienia i rzekł:

– Przyjdź do mnie któregoś dnia do Złotego Domu, oszczepniku!

Ale Horemheb pozwolił bransolecie upaść na piasek u swoich stóp i spoglądał przekornie na Eje.

– Przyjmuję rozkazy tylko od faraona – oświadczył. – Jeśli się nie mylę, faraonem jest ten, kto nosi królewski kołpak. Sokół przyprowadził mnie do niego, a to znak wystarczający.

Eje nie rozgniewał się.

– Złoto jest cenne i zawsze potrzebne – powiedział podnosząc bransoletę z piasku i wkładając ją z powrotem na ramię. – Złóż więc pokłon swemu faraonowi, ale oszczep w jego obecności odłóż na bok.

Następca tronu podszedł do nas. Twarz jego była blada, wciąż jednak płonęła w niej jeszcze tajemnicza ekstaza, która rozgrzewała mi serce.

– Chodźcie ze mną – powiedział. – Chodźcie wszyscy za mną po nowej drodze, gdyż objawiła mi się prawda!

Poszliśmy za nim do lektyki, Horemheb co prawda mruzcąc pod nosem: „Prawda jest w oszczepie”. Ale zgodził się oddać oszczep biegnącemu przodem gońcowi, po

czym usiedliśmy na drążkach lektyki, a tragarze pobiegli z nią szybko do przystani, gdzie czekała na nas łódź. Wróciliśmy do pałacu tą samą co poprzednio drogą, nie ściągając na siebie uwagi, mimo że lud tłoczył się przed murami.

Następca tronu zabrał nas z sobą do swojej komnaty, gdzie pokazał nam kreteńskie wazy, na których malowane były ryby i inne zwierzęta w ruchu. Chciałbym, żeby mógł je widzieć Totmes, gdyż dowodziły, że sztuka może być inna, niż była w Egipcie. Gdy następca tronu zmęczył się i uspokoił, zachowywał się i rozmawiał rozsądnie, jak nasz rówieśnik, nie żądając przesadnej czci i szacunku. Potem oznajmiono, że matka królewska nadchodzi, aby mu się pokłonić. Wtedy pożegnał się z nami, obiecując, że będzie o nas obu pamiętać. A gdy wyszliśmy, Horemheb spojrział na mnie bezradnie.

– Jestem zmartwiony – powiedział. – Nie mam dokąd pójść.

– Zostań spokojnie tutaj – doradziłem mu. – On obiecał o tobie pamiętać. Dlatego najlepiej, żebyś był pod ręką, gdy sobie ciebie przypomni. Bogowie są tajemniczy i szybko zapominają obietnic.

– Mam więc tu zostać i snuć się wraz z tymi muchami? – powiedział Horemheb pokazując na dworaków, od których roilo się pod drzwiami komnaty następcy tronu.

– Nie, nie, mam wielkie powody do zmartwienia – ciągnął ponuro. – Co stanie się z Egiptem, którego faraon boi się krwi i uważa, że wszystkie ludy, kolory skóry i języki są jednakowo dobre? Urodzony jestem na wojownika i mój rozsądek żołnierza mówi mi, że zapowiada to złe czasy dla wojowników. W każdym razie spróbuję odnaleźć swój oszczep.

Rozstaliśmy się, a ja prosiłem go, aby pytał o mnie w Domu Życia, gdyby potrzebował przyjaciela.

W naszej izbie czekał na mnie Ptahor, zły i z zaczerwienionymi oczyma.

– Nie było cię, gdy faraon wydał o świcie ostatnie tchnienie – łajał mnie. – Wyszedłeś, ja zaś spałem i nikt z nas nie widział, jak dusza faraona podobna do ptaka wyleciała z jego nosa i pomknęła prosto ku słońcu. Jest już na to bardzo wielu świadków. I ja też chętnie bym to zaświadczył, gdyż wielce lubię takie cuda, ale ciebie nie było i nie zbudziłeś mnie. U jakiej dziewczyny spałeś tej nocy? – Opowiedziałem mu, co się wydarzyło tej nocy, a on podniósł ręce, aby wyrazić swoje wielkie zdumienie. – Niech nas Amon strzeże! – powiedział. – Nowy faraon jest więc szalony.

– Nie sądzę by był szalony – rzekłem z wahaniem, gdyż chory młodzieniec, nad którym czuwałem przez całą noc i który był dla mnie życzliwy, dziwnie ujął mnie za serce. – Sądzę, że poznał nowego boga. I gdy rozjaśni mu się w głowie, zobaczymy może różne cuda w krainie Kem:

– Niech nas Amon przed tym broni! – wykrzyknął Ptahor przerażony. – Nalej mi lepiej wina, gdyż gardło moje jest wyschnięte jak proch przy drodze.

Potem zaprowadzono nas do Pawilonu Sprawiedliwości, gdzie w sędziowski krzesle siedział stary strażnik pieczęci, a przed nim leżało czterdzieści zwojów skóry, na których spisane było prawo. Otaczali nas zbrojni żołnierze, tak że nie mogliśmy uciec, a strażnik pieczęci odczytał nam z jednej ze skórzanych rolek przepis prawa, głoszący, że musimy umrzeć, ponieważ faraon nie wyzdrowiał po otworzeniu mu czaszki. Patrzyłem na Ptahora, ale on tylko się uśmiechnął, gdy wystąpił kat z mieczem.

– Niech tamowacz krwi idzie pierwszy – powiedział. – Śpieszy mu się więcej niż nam, gdyż matka jego gotuje już dla niego grochówkę w Kraju na Zachodzie.

Tamowacz krwi pożegnał się z nami, nakreślił święty znak Amona i ukląkł pokornie na podłodze przed skórzanymi zwojami. Kat zamachnął się mieczem robiąc nim łuk na d głową skazańca, aż zaświszczało w powietrzu, ale zatrzymał cios tak, że ostrze miecza tylko całkiem leciutko dotknęło szyi tamowacza. Mimo to padł on na ziemię i sądziliśmy, że stracił przytomność ze strachu, bo na jego karku nie widać było najmniejszej rany. Gdy przyszła kolej na mnie, ukląknęłam bez obawy. Kat zaśmiał się do mnie i dotknął mieczem mego karku nie troszcząc się o to, by mnie straszyc. Ptahor zaś uważał, że jest tak niski, iż nie potrzebuje klękać, kat wywinął mieczem także i nad jego karkiem. W ten sposób ponieśliśmy śmierć, wyrok został wykonany i otrzymaliśmy nowe imiona, wryte na ciężkich złotych pierścieniach. Na pierścieniu Ptahora napisane było „Ten, Który Jest Podobny Do Pawiana”, na moim zaś „Ten, Który Jest Samotny”. Następnie odważono w złocie dary dla Ptahora za jego sztukę lekarską. Także i dla mnie odważono złoto, po czym odziano nas w nowe szaty i po raz pierwszy włożyłem na siebie fałdowaną szatę z królewskiego lnu z kołnierzem ciężkim od srebra i drogich kamieni. Ale gdy słudzy chcieli podnieść tamowacza krwi, aby przywrócić go do przytomności, ten nie zbudził się już do życia, był martwy jak głaz. Widziałem to na własne oczy i mogę potwierdzić, że to prawda. Dlaczego jednak umarł, nie mogę zrozumieć, chyba że stało się to dlatego, iż wierzył, że musi umrzeć. Gdyż mimo swej głupoty miał dar tamowania krwi, a taki człowiek niepodobny jest do innych.

Wśród powszechnej żałoby z powodu zgonu faraona rozeszła się wieść o przedwziewnej śmierci tamowacza krwi. Ci, którzy o tym słyszeli, nie mogli powstrzymać się, by nie ryknąć śmiechem. Zrywali boki i zanosili się od śmiechu, bo wydarzenie to było istotnie komiczne.

Także i ja uważany byłem oficjalnie za zmarłego i od tej pory nie mogłem podpisywać dokumentów bez dodania do imienia Sinuhe słów „Ten Który Jest Samotny”. Na dworze

królewskim znano mnie odtąd tylko pod tym imieniem.

ROZDZIAŁ 3

Gdy powróciłem do Domu Życia w nowych szatach i ze złotym pierścieniem na rękę, skłonili się przede mną moi nauczyciele opuszczając ręce do kolan. Wciąż jeszcze byłem jednak uczniem i musiałem sporządzić dokładny opis trepanacji i śmierci faraona i potwierdzić go moim podpisem. Poświęciłem na to wiele czasu i zakończyłem swoje opowiadanie opisem, jak dusza faraona wyleciała z jego nosa w postaci ptaka i pomknęła wprost ku słońcu. Naprzykrzano mi się dopytywaniem, czy faraon w ostatniej chwili nie odzyskał przytomności i nie westchnął: „Niech będzie błogosławiony Amon!”, o czym zapewniało wielu innych świadków. Po dokładnym zastanowieniu uznałem za najlepsze, że by i to potwierdzić i miałem przyjemność słyszenia, jak moje opowiadanie czytano ludziom codziennie przez całe siedemdziesiąt dni, przez które zwłoki faraona przygotowywano w Domu Śmierci, by przetrwały przez wieczność. W ciągu całego tego okresu żałoby w Tebach zamknięte były domy rozpusty, winiarnie i piwiarnie, tak że można było kupić wina i posłuchać muzyki tylko zakradając się tylnymi drzwiami.

Ale gdy minęło owych siedemdziesiąt dni, oświadczono mi, że jestem już ukończonym lekarzem i że mogę rozpocząć praktykę w tej części miasta, w której tylko zechcę. Gdybym natomiast pragnął dalej studiować i poświęcić się jakiejś specjalności, na przykład zostać dentystą czy lekarzem uszu, położnikiem albo leczącym za pomocą nakładania rąk, czy też nosicielem leczącego noża, względnie zabrać się do któregośkolwiek z czterestu rozmaitych przedmiotów, których nauczano w Domu Życia pod kierownictwem najlepszych specjalistów i pod nadzorem królewskich lekarzy, wtedy wystarczy tylko powiedzieć, który z tych przedmiotów pragnę sobie wybrać. Był to szczególny dowód łaski, który świadczył o tym, jak Amon wynagradza swoje sługi.

Byłem jeszcze młody i nie pociągały mnie już umiejętności, których można było nabyć w Domu Życia. Opanowała mnie gorączka Teb, chciałem stać się bogaty i sławny, wykorzystać czas, kiedy wszyscy znali jeszcze imię: Sinuhe, Ten, Który Jest Samotny. Miałem złoto i nabyłem za nie niewielki domek na skraju dzielnicy bogaczy, urządziłem go stosownie do swoich zasobów i kupiłem niewolnika, który co prawda był chudy i jednooki, ale po za tym nadawał się dla mnie doskonale. Nazywał się Kaptah i sam mnie zapewniał, że dobrze, iż jest jednooki, gdyż będzie mógł teraz opowiadać moim przyszłym pacjentom, że kupiłem go jako zupełnego ślepcę i przywróciłem mu wzrok w jednym oku. Kupiłem go więc. A w poczekalni, gdzie mieli zbierać się pacjenci, kazałem wymalować obrazy. Na jednym z nich bóg lekarzy, mędrzec Imhotep, pouczał mnie, Sinuhego. Byłem przy nim mały, jak to jest w zwyczaju, ale

pod spodem znajdował się napis: „Najmądrzejszy i najbardziej doświadczony z twoich uczniów jest Sinuhe, syn Senmuta, Ten, Który Jest Samotny”. Na innym obrazie składałem ofiarę Amonowi, aby oddać mu to, co mu się należało, i pozyskać sobie zaufanie moich pacjentów. Na trzecim zaś obrazie faraon w postaci ptaka spoglądał na mnie z niebiosów, słudzy zaś jego ważyli dla mnie złoto i odziewali mnie w nowe szaty. Obrazy te kazałem namalować Totmesowi, choć nie był on uznanym artystą i imię jego nie było wpisane do księgi w świątyni Ptaha. Ale był moim przyjacielem. Dlatego też zamówiłem u niego te obrazy i z szacunku dla naszej przyjaźni namalował je on stosownie do starego zwyczaju, rozwijając przy tym ogromną biegłość, płonęły też czerwienią i złotem, bo te farby były najtańsze. Udało mu się więc osiągnąć, że ci, co oglądali te obrazy po raz pierwszy, podnosili ręce na znak zdziwienia i mówili: „Naprawdę napawa zaufaniem ten Sinuhe, syn Senmuta, Ten, Który Jest Samotny. Potrafi on na pewno uleczyć pacjentów dzięki swej biegłości.”

Gdy wszystko już było gotowe, zasiadłem, aby oczekiwać chorych i leczyć ich, ale czekałem długo i żadni chorzy nie przyszli. Gdy nadszedł wieczór, poszedłem do winiarni, by ucieszyć serce winem, bo z darów faraona zostało mi jeszcze trochę srebra i złota. Byłem młody, uważałem się za biegłego lekarza i nie obawiałem się przyszłości. Toteż radowałem serce winem wraz z Totmesem i rozmawialiśmy głośno o sprawach Obu Królestw, gdyż w winiarniach i w domach rozpusty wszyscy rozprawiali wtedy głośno o sprawach Obu Królestw.

Stało się bowiem tak, jak to przepowiadał stary strażnik pieczęci. Gdy zwłoki wielkiego faraona przygotowano, by oparły się śmierci, i złożono w grobowcu w dolinie królewskiej, a drzwi grobowca zamknięto królewską pieczęcią, na tron wstąpiła wielka królewska matka z biczem i zakrzywioną laską w dłoniach i z królewską brodą na szczęce, przepasana królewskim lwim ogonem. A następcy tronu nie ukoronowano jeszcze na faraona, lecz oświadczone, że chce on się oczyścić i modlić do bogów, zanim obejmie władzę. Ale gdy wielka królewska matka wygnała starego strażnika pieczęci i po swej prawicy posadziła nieznanego kapłana Eje, tak że ten przewyższał rangą wszystkich dostojników w Egipcie i zasiadał w Złotym Domu, w Pawilonie Sprawiedliwości, z czterdziestoma skórzanymi zwojami przed sobą, wydając rozkazy poborcom podatków i budowniczym faraona, wtedy w świątyni Amona zaczęło brzęczeć jak w ulu. Widziano tam wiele złych przepowiedni i nie udawały się królewskie ofiary. Zdarzyło się też wiele dziwnych snów, które kapłani wykładali. Wiatry zmieniały kierunek, przez dwa dni pod rząd padał deszcz i w przystaniach uległy zniszczeniu składy towarów, a kopy zboża zgniły. Także w kilku stawach pod Tebami woda przemieniła się w krew i mnóstwo

ludzi szło tam, żeby to zobaczyć. Lecz ludzie nie bali się jeszcze, gdyż takie rzeczy zdarzały się zawsze, gdy kapłani wpadali w gniew.

Dużo było natomiast niepokoju i cichej gadaniny. Lecz najemne wojska faraona w królewskich koszarach, Egipcjanie, Syryjczycy, Murzyni i Szardanie, otrzymali bogate dary od królowej matki, oficerom rozdano na tarasie pałacowym złote łańcuchy i odznaczenia i porządek został zachowany. Nic nie zagrażało potęgze Egiptu, gdyż także w Syrii garnizony troszczyły się o zachowanie porządku, a księżęta Byblosu, Simiry i Gazy, którzy w dzieciństwie żyli u stóp faraona i wychowywali się w Złotym Domu, opłakiwali jego śmierć, jak gdyby stracili rodzonego ojca, i pisali do królowej matki listy, w których zapewniali, że są jak proch pod jej stopami. Lecz w kraju Kusz, w Nubii i na granicy Sudanu od niepamiętnych czasów jest w zwyczaju wszczynać wojnę w chwili śmierci faraona, zupełnie jak gdyby Murzyni chcieli wypróbować cierpliwość jego następcy. Toteż wicekról południowych prowincji, syn boski, dowódca południowych garnizonów, ruszył ze swymi siłami, gdy tylko dowiedział się o śmierci faraona. Wojska jego przekroczyły granice, spaliły wiele wsi i zdobyły wielkie łupy w bydło, niewolnikach, lwich ogonach i strusich piórach, tak że drogi do kraju Kusz znowu były bezpieczne, a wszystkie plemiona zbójckie wielce opłakiwały śmierć faraona, widząc swoich naczelników wiszących głową w dół na murach granicznych warowni.

Także na wyspach na morzu płakano i obchodzono żałobę po śmierci wielkiego faraona, a król Babilonu i król kraju Hatti, który włada nad Hetytatmi, przysłali do królowej matki gliniane tabliczki wyrażając ubolewanie z powodu śmierci faraona i domagając się złota, by mogli mu wznieść pomniki w swoich świątyniach, ponieważ faraon był dla nich jak ojciec i brat. A król Mitanni posłał córkę jako narzeczoną dla przyszłego faraona, jak to uczynił przed nim ojciec i jak to było uzgodnione z niebiańskim faraonem przed jego śmiercią. Tadukhipa, jak nazywała się księżniczka, przybyła do Teb ze sługami i niewolnikami, z karawaną osłów niosących bogate dary. Była jeszcze dzieckiem, które dopiero skończyło sześć lat, i następca tronu pojął ją za małżonkę, ponieważ państwo Mitanni odgradzało bogatą Syrię od krajów północnych i osłaniało wszystkie drogi karawanowe wiodące do kraju dwóch bliźniaczych rzek i do morza. Wtedy skończyła się radość wśród kapłanów niebiańskiej córki Amona, Iwiogłowej Sachmet, a wrzeczadze u wrót jej świątyni zardzewiały.

O wszystkim ty rozmawialiśmy głośno z Totmesem ciesząc nasze serca winem, słuchając syryjskiej muzyki i przypatrując się tańczącym dziewczętom. We krwi miałem gorączkę Teb, a co ranka podchodził do mego łóża mój jedynooki sługa, witał

mnie opuszczając ręce do kolan i podawał mi chleb, soloną rybę oraz kubek piwa. Ja zaś oczyszczałem się i zasiadałem, aby oczekiwać pacjentów, i służyłem ich biadań, i leczyłem ich.

ROZDZIAŁ 4

Znów przyszedł okres wylewu Rzeki i woda wezbrała aż do murów świątyni, a gdy opadła, ziemia pokryła się świeżą zielenią, ptaki zaczęły budować gniazda, lotosy zakwitły w stawach i sadzawkach, a krzaki akacji rozsiewały odurzający zapach.

Pewnego dnia w domu moim zjawił się Horemheb. Odziany był w królewski len i miał na szyi złoty łańcuch, w ręce zaś bicz, na znak, że jest oficerem faraona. Oszczepu już nie nosił. Podniosłem w górę ręce, żeby wyrazić radość, że go widzę, a on również podniósł ręce i uśmiechnął się do mnie.

– Przyszedłem, żeby prosić cię o radę, Sinuhe, Ten, Który Jesteś Samotny – powiedział.

– Nie rozumiem ciebie – odparłem. – Jesteś silny jak byk i dzielny jak lew. Jako lekarz nie mogę ci chyba w niczym pomóc.

– Chcę cię prosić o radę jako przyjaciela, a nie jako lekarza – odrzekł siadając. Mój jednooki sługa Kaptah polał mu dłonie wodą, ja zaś poczęstowałem go ciastkami, które przysłała mi moja matka, Kipa, i drogim winem z portu, gdyż serce moje radowało się z jego widoku.

– Widzę, że awansowałaś – rzekłem. – Jesteś królewskim dowódcą i kobiety pewnie uśmiechają się do ciebie.

Ale on spochmurniał i rzekł sucho:

– Wszystko to tylko błoto!

A potem ożywił się i twarz mu się rozpromieniła.

– W pałacu pełno much, które na mnie paskudzą. Ulice Teb są twarde i nogi mnie bolą od chodzenia po nich, a sandały ocierają mi stopy. – Zrzucił sandały i zaczął rozcierać palce. – Jestem oficerem gwardii przybocznej – mówił – ale tam oficerami są dziesięcioletni chłopcy, którzy noszą jeszcze loczki na czole i którzy z racji swego wysokiego urodzenia szydzą i wyśmiewają się ze mnie. Ich ramiona nie mogą jeszcze napiąć łuku, a ich miecze to ozdobione złotem i srebrem zabawki, nadające się do krojenia pieczeni, lecz nie do zabijania wrogów. Prowadzą wozy bojowe nie umiejąc zachować równego szyku i płaczą się we własnych cuglach oraz zaczepiają kołami swych wozów o koła wozów sąsiednich. Żołnierze piją wino, śpią z niewolnicami pałacowymi i nie słuchają rozkazów. W szkole wojennej wykładają ze starych ksiąg mężowie, którzy nigdy nie oglądali wojny i nigdy nie zaznali głodu, pragnienia czy też

strachu przed wrogiem. – Brzęknął gniewnie złotym łańcuchem, który miał na szyi, i powiedział: – Co znaczą łańcuchy i honorowe odznaczenia, jeśli nie zdobywa się ich w walce, tylko padając na twarz przed faraonem! Królowa matka przywiązała sobie brodę do szczęki i opasała się lwim ogonem, lecz jak może wojownik czcić kobietę jako swego władcę? Wiem, wiem! – dorzucił podnosząc dłoń, gdy chciałem mu przypomnieć o wielkiej królowej, która wysłała okręty do kraju Punt. – Tak jak było dawniej, ma być i teraz. Ale twierdzą, że za czasów wielkich faraonów nie gardzono żołnierzem tak jak dziś. Ludność Teb uważa, że zawód żołnierza jest najbardziej pogardy godny ze wszystkich zawodów i zamyka przed żołnierzem drzwi swoich domów. Czas mój upływa daremnie. Dni mojej siły i młodości marnują się, gdy studiuje sztukę wojenną pod kierownictwem takich, którzy z bekiem uciekliby na dźwięk murzyńskich okrzyków wojennych. Zaiste, pomdleliby ze strachu, gdyby strzała mieszkańca pustyni zaświszczała im koło ucha. Zaprawdę, schowaliby się w fałdach spódnic swoich matek, gdyby usłyszeli łoskot nacierających wozów bojowych. Na mego sokoła, dopiero w walce nabiera żołnierz biegłości i w zgiełku bitwy należy wypróbować męża. Dlatego zamierzam stąd wyruszyć. – Uderzył biczem o stół, tak że puchary przewróciły się, a sługa mój uciekł krzycząc ze strachu.

– Druhu mój, Horemhebie – odezwałem się – widzę, żeś jednak chory. Oczy płoną ci jak w gorączce i cały jesteś zlany potem.

– Czyż nie jestem mężczyzną – rzekł i uderzył się pięścią w pierś. – Potrafię podnieść w każdej ręce silnego niewolnika i roztrzaskać im czaszki uderzając nimi o siebie. Potrafię dźwigać ciężkie brzemiona, tak jak to powinien umieć żołnierz. Przebiegam długie drogi bez zadyszki i nie lękam się ani głodu, ani pragnienia, ani słonecznej spiekoty w pustyni. Ale wszystko to jest w ich pojęciu haniebne i kobiety w Złotym Domu podziwiają tylko takich mężczyzn, którzy nie potrzebują golić brody. Przepadają za mężczyznami o cienkich przegubach, piersiach bez jednego włoska i biodrach jak u dziewczyny. Podziwiają mężczyzn, którzy używają parasolek od słońca, malują sobie wargi na czerwono i szczebioczą miękko jak ptaszki na drzewie. Mną pogardzają, bo jestem silny i słońce spaliło mi skórę, a także dlatego, że po moich rękach widać, iż potrafię nimi pracować.

Umilkł, długo wpatrywał się przed siebie, a potem wychylił swój puchar.

– Jesteś samotny, Sinuhe – powiedział. – I ja też jestem samotny. Bardziej samotny niż inni, gdyż przeczuwam, co nastąpi, i wiem, że stworzony, by rozkazywać wielu i że Oba Królestwa będą mnie kiedyś potrzebować. Dlatego też jestem bardziej samotny niż wszyscy inni, ale nie mogę już dłużej znieść samotności, Sinuhe, bo w sercu mym

iskrzy się płomień, gardło ściska mi się i nie sypiam już po nocach.

Jako lekarz sądziłem, iż wiem coś niecoś o mężczyznach i kobietach. Toteż powiedziałem:

– To z pewnością kobieta zamężna i mąż pilnuje jej surowo.

Horemheb spojrział na mnie, a oczy mu zapłonęły tak, że szybko podniosłem puchar z podłogi i nalałem mu wina. Uspokoił się i chwyciwszy się za pierś i gardło rzekł:

– Muszę opuścić Teby, bo duszę się w tym brudzie i muchy na mnie paskudzą.

– Potem jednak zmiękł i spojrzawszy na mnie rzekł cichym głosem: – Sinuhe, jesteś lekarzem. Daj mi lekarstwo, które pomaga na miłość.

– Łatwo to zrobić – odparłem. – Mogę ci dać zioła, które rozpuszczone w winie uczynią cię silnym i chutliwym jak pawian, tak że kobiety wzdychać będą w twoich ramionach i przewracać oczyma. Łatwo to zrobić, skoro tylko zechcesz.

– Nie, nie! – zaprzeczył szybko. – Źle mnie zrozumiałeś, Sinuhe. Nic mi nie brakuje, jeśli chodzi o siły. Lecz chcę mieć lek, który wyleczy mnie z mego szaleństwa. Chcę lekarstwa, które uspokoi me serce i uczyni je podobnym do kamienia.

– Nie ma takiego leku – odparłem. – Wystarczy jeden uśmiech i jedno spojrzenie zielonych oczu, by wszystkie leki okazały się bezsilne. Wiem o tym sam. Lecz mędrzy mówią, że jednego złego ducha przepędza się drugim. Nie umiem powiedzieć, czy to prawda, ale przypuszczam, że ten drugi może być jeszcze gorszy od pierwszego.

– Co masz na myśli? – zapytał rozniewany. – Dość już mam słów, które mącą w głowie i zawiązują język na supeł.

– Musisz znaleźć jakąś inną kobietę, która wygna tę pierwszą z twego serca – rzekłem. – Tylko to miałem na myśli. W Tebach pełno jest pięknych i powabnych kobiet, które malują twarze i odziewają się w najcieńsze lniane szaty. Może znajdzie się między nimi taka, która zechce się do ciebie uśmiechnąć. Jesteś przecież młody i silny, masz smukłe członki i złoty łańcuch na szyi. Nie rozumiem tylko, co dzieli cię od tej, której pożadasz. Nawet jeśli jest zamężna, nie ma muru tak wysokiego, by mógł stanąć na przeszkodzie miłości, a gdy kobieta pragnie mężczyzny, spryt jej przewycięża wszystkie przeszkody. Świadczą o tym baśnie Dwóch Królestw. Mówią też, że wierność kobiety jest jak wiatr, który pozostaje zawsze taki sam, tylko zmienia kierunek. Mówią również, że cnota kobiety jest jak воск, który topnieje w ciepłe. Hańba nie spada także na tego, kto zdradza, ale kto jest zdradzany. Tak było i tak zawsze będzie.

– Nie jest zamężna – rzekł Horemheb z rozdrażnieniem. – I na próżno mówisz o wierności, cnocie i hańbie. Nawet mnie nie dostrzega, choć wciąż jestem w zasięgu jej spojrzenia. Nie bierze mnie za rękę, choć wyciągam dłoń, by pomóc jej wsiąść do

lektyki. Może myśli, żeś nieczysty, bo słońce spaliło mi skórę na czarno.

– A więc to kobieta wysokiego rodu? – spytałem.

– Bezelowe jest mówić o niej – nastroszył się Horemheb. – Jest piękniejsza niż księżyc i gwiazdy i bardziej dla mnie nie dosięgła niż księżyc i gwiazdy. Doprawdy łatwiej by mi było wziąć księżyc w ramiona niż ją. Dlatego muszę o niej zapomnieć. Dlatego muszę opuścić Teby, bo inaczej umrę.

– Chyba nie zapragnąłeś wielkiej królowej matki – zażartowałem, chcąc go rozśmieszyć. – Zdawało mi się, że jest za stara i za tłusta, żeby mogła przypaść do smaku młodemu człowiekowi.

– Ona ma przecież swego kapłana – rzekł Horemheb pogardliwie. – Myślę, że żyli z sobą jeszcze za życia króla. – Lecz ja podniosłem na te słowa ręce ostrzegająco i rzekłem: – Doprawdy z wielu zatrutych źródeł piłeś już, odkąd przybyłeś do Teb.

Horemheb powiedział:

– Ta, której pożądam, maluje wargi i policzki na żółtoczerwono, a oczy jej są owalne i ciemne, nikt jeszcze nie dotknął jej członków pod królewską lnianą szatą. Imię jej jest Baketamon i w żyłach jej płynie krew faraonów. Tak więc teraz znasz w pełni moje szaleństwo, Sinuhe, lecz jeśli opowiesz to komuś albo przypomnisz mi o tym choćby jednym słowem, odnajdę cię i zabiję, gdziekolwiek będziesz, i obetnę ci głowę, a ciało twe powieszę na murach. Nawet imienia jej nie wolno ci wspomnieć tak, bym to usłyszał, gdyż doprawdy wtedy zabiję cię.

Wielce się przeraziłem, gdyż to było straszne, że ktoś z pospólstwa odważył się podnieść wzrok na córkę faraona i pożądać jej w swym sercu. Toteż powiedziałem:

– Żaden śmiertelnik nie może jej tknąć, a jeśli ktoś ją poślubi, to jej brat, następca tronu, który podniesie ją ku sobie i uczyni pierwszą królewską małżonką. Tak będzie, wyczytałem to w oczach księżniczki przy łożu śmierci króla, gdyż nie patrzyła na nikogo, tylko na swego brata. Bałem się jej, bo jest to kobieta, której członki nie ogrzeją nikogo, a w jej owalnych oczach mieszka pustka i śmierć. Dlatego też i ja ci mówię, ruszaj stąd, Horemhebie, mój przyjacielu, bo Teby nie są dla ciebie.

Lecz Horemheb rzekł niecierpliwie:

– Wszystko to wiem doskonale, lepiej od ciebie, i słowa twoje są w moich uszach jak brzęczenie much. Wróćmy więc raczej do tego, coś przed chwilą mówił o złych duchach, gdyż serce moje jest pijane, a gdy się napiję wina, chcę, by uśmiechała się do mnie kobieta, wszystko jedno jaka. Lecz szaty jej muszą być z królewskiego płótna i musi nosić perukę i malować usta i policzki na żółtoczerwono, i nie zapłonę do niej żądzą, jeśli oczy jej nie będą owalne jak łuk tęczy na niebie.

Również i ja uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Mówisz rozsądnie. Zastanówmy się więc pospół, jak przyjaciele, jak najlepiej postąpić. Ile masz złota?

Horemheb rzekł z przechwałą:

– Nie dbałem o wazenie mego złota, bo złoto jest tylko błotem pod moimi stopami. Ale mam ten łańcuch na szyi i bransolety na ramionach. To chyba wystarczy?

– Może nie będzie trzeba wcale złota – odparłem. – Może i mądrzej będzie, jeśli będziesz się tylko uśmiechał, gdyż kobiety, które odziewają się w królewskie płótno, są zagadkowe i uśmiech twój może którąś z nich rozpalić. Czyż nie ma żadnej takiej w pałacu? Po cóż bowiem masz trwonić złoto, którego możesz jeszcze potrzebować?

– Szczam na mury pałacu! – rzekł z pogardą Horemheb. – Ale znam i inny sposób. Wśród moich kolegów, oficerów, jest niejaki Kefta, Kreteńczyk, którego skopałem, gdy mnie wyśmiewał, i który od tej pory zaczął mnie szanować. Zapraszał mnie dziś, żebym z nim poszedł na wytworne przyjęcie w domu położonym obok świątyni jakiejś bogini o głowie kota, której imienia nie pamiętam, gdyż nie zamierzałem tam pójść.

– Mówisz o Bastet – powiedziałem. – Znam tę świątynię. Miejsce to nadaje się z pewnością do tego celu, bo lekkomyślne kobiety modlą się chętnie do kociogłowej i składają jej ofiary, aby zdobyć bogatych kochanków.

– Ale nie pójde tam, jeśli nie będziesz mi towarzyszył, Sinuhe – zaklął się Horemheb z wyraźnym zakłopotaniem. – Jestem z niskiego rodu i umiem co prawda kopać i wymachiwać biczem, ale nie wiem, jak trzeba zachowywać się w Tebach, a zwłaszcza jak zachowywać się wobec tebańskich dam. Ty zaś jesteś światowym człowiekiem, Sinuhe, urodzonym w Tebach. Dlatego musisz pójść ze mną.

Podpiłem sobie wina i schlebiało mi jego zaufanie, więc nie chciałem się przyznać, że wiem o kobietach równie mało jak on. Wypiłem tyle wina, że posłałem Kaptaha, żeby postarał się dla nas o lektykę i umówił się o zapłatę z tragarzami, podczas gdy Horemheb pił dalej, by nabrać odwagi. Tragarze zanieśli nas do świątyni Bastet, a gdy zobaczyli, że przed domem, do którego mieliśmy wejść, płoną pochodnie i lampy, zaczęły głośno klócić się o zapłatę, aż wreszcie Horemheb uderzył ich parę razy biczem, wtedy umilkli urażeni. Przy wrotach świątyni stały młode kobiety, które uśmiechały się do nas, lecz nie nosiły one królewskiego płótna i miały swoje własne włosy, toteż nie zwracaliśmy na nie uwagi.

Weszliśmy do rzęsiście oświetlonego domu. Szedłem pierwszy i nikt nie dziwił się naszemu przybyciu, a uśmiechnięci słudzy lali nam wodę na ręce. Aż na werandę dochodziły wonie gorących potraw, olejków do namaszczenia i kwiatów. Niewolnicy

przybrali nas kwiatami i weszliśmy do sali, gdyż wino dodawało nam odwagi.

Lecz kiedy znalazłem się na sali, nie widziałem nikogo prócz kobiety, która wyszła nam na spotkanie. Była odziana w najcieńsze płótno, tak że członki jej widać było poprzez materiał, jak członki bogów, gdy tak szła ku nam. Na głowie miała ciężką niebieską perukę, a na sobie wiele czerwonych klejnotów. Brwi jej farbowane były na czarno, a pod oczyma miała zieloną szminkę. Lecz jeszcze bardziej zielone były jej oczy, podobne do wód Nilu w letnie upały, i serce moje utonęło w nich, gdyż była to Nefernefernefer, którą ongiś spotkałem w krążanku wielkiej świątyni Amona. Nie poznała mnie, tylko popatrzyła na nas pytająco i uśmiechnęła się do Horemheba, który podniósł swój bicz na znak powitania. Także ów młodzieniec Kefta, Kreteńczyk, spostrzegł Horemheba i podbiegł do niego, potykając się o stołki i objął go nazywając swoim przyjacielem. Na mnie natomiast nikt nie zwracał uwagi i miałem czas przypatrzeć się siostrze mojego serca. Była starsza niż ta, którą nosiłem w pamięci, i oczy jej nie śmiały się już, lecz były twarde jak zielone kamyczki. Oczy jej nie śmiały się, choć śmiały się jej wargi i przede wszystkim patrzyła na złoty łańcuch na szyi Horemheba. Mimo to jednak kolana drżały pode mną, gdy na nią patrzyłem.

Ściany sali malowane były przez najlepszych artystów, a pułap wspierał się na kolorowych kolumnach w kształcie lilii. Byli tam jeszcze inni goście. Kobiety mężatki i niezamężne, a wszystkie odziane w królewskie płótno, w perukach i zdobne wielu klejnotami. Śmiały się do mężczyzn, którzy je otaczali, młodych i starych, pięknych i brzydkich, a ci mężczyźni także nosili złote ozdoby i kołnierze ich ciężkie były od złota i drogich kamieni. Nawoływali się i chichotali, a na podłodze wały się poprzewracane dzbany od wina, puchary i podeptane kwiaty. A syryjscy muzykanci grali na swych dźwięcznych instrumentach tak, że nie słychać było tego, co mówiono. Widać wypito tam niemało wina, bo jedna z kobiet poczuła się nagle niedobrze, sługa podał jej naczynie za późno, tak że poplamiała sobie szaty i wszyscy się z niej śmieli.

Kefta, Kreteńczyk, uściskał także mnie, smarując mi twarz olejkami i nazywając mnie swoim przyjacielem. A Nefernefernefer spojrzała na mnie i rzekła:

– Sinuhe? Znałam kiedyś pewnego Sinuhe. I on chciał być lekarzem.

– Jestem tym samym Sinuhe – powiedziałem patrząc jej w oczy i zadrżałem, gdym spotkał jej spojrzenie.

– Nie, nie jesteś tym samym Sinuhe – odparła z gestem zaprzeczenia. – Ten Sinuhe, którego znałam, był młodym chłopcem i oczy jego były czyste jak oczy gazeli. Ty zaś jesteś już mężczyzną i masz męskie obyczaje, a między twoimi brwiami widać dwie zmarszczki i twarz twoja nie jest tak gładka jak jego.

Pokazałem jej pierścień z zielonym kamieniem, który nosiłem na palcu, lecz ona potrząsnęła tylko głową, udając zdziwienie, i powiedziała:

– Rabuś dostał się do mego domu, gdyż pewnie zabiłeś tego Sinuhe i skradłeś mu pierścień, który kiedyś zdjąłem z palca i dałem mu na pamiątkę naszej przyjaźni. Także imię jego ukradłeś mu, lecz ten Sinuhe, który mi się podobał, już nie istnieje. – Podniosła ręce na znak żałoby.

Wtedy gorycz przepełniła mi serce i smutek rozlał się po moich członkach. Zdjąłem pierścień z palca, wręczyłem go jej i rzekłem:

– Zabierz więc z powrotem swój pierścień. Zgadzam się na to, aby nie zakłócać twej radości, bo nie chcę cię zranić.

Lecz ona powiedziała:

– Nie odchódź! – Położyła mi rękę lekko na ramieniu, jak niegdyś, i powiedziała jeszcze raz cicho: – Nie odchódź!

A gdy to zrobiła, wiedziałem, że łono jej będzie palić mnie gorzej niż ogień i że nigdy już nie potrafię być szczęśliwy bez niej. Słudzy nalali nam wina i piliśmy, aby rozradować nasze serca, a wino nigdy nie było smakowitsze w moich ustach.

Kobieta, której zrobiło się niedobrze, wypłukała usta i napiła się wina. Potem zdjęła z siebie i odrzuciła poplamione szaty, odłożyła też perukę, tak że została całkiem naga. Ścisnęła rękami piersi i kazała sługom łać pomiędzy nie wino i dawała pić każdemu, kto chciał. Chwiejnymi kroki szła przez salę i śmiała się głośno. Była piękna i młoda, i rozpasana. Zatrzymała się także przed Horemhebem podając mu wino z kielicha swych piersi. On zaś schylił głowę i pił, a gdy znowu ją podniósł, twarz jego była mroczna i patrzył kobiecie w oczy, a potem chwycił jej głowę w obie dłonie i pocałował ją. Wszyscy śmiali się nie wyłączając owej kobiety, która jednak nagle zawstydzila się i zażądała nowej szaty. Słudzy odziali ją, a ona włożyła z powrotem perukę na głowę, usiadła obok Horemheba i nie piła już wina. Syryjscy muzykanci grali na swych instrumentach, a ja czułem we krwi gorączkę Teb i wiedziałem, że się urodziłem, aby żyć u zachodu świata, i że nic nie ma już znaczenia, bylebym tylko mógł siedzieć obok siostry mego serca i oglądać zieloność jej oczu i czerwień jej warg.

W ten sposób z powodu Horemheba spotkałem znowu Nefernefernefer, moją ukochaną, lecz byłoby dla mnie stokroć lepiej, gdybym jej nigdy nie spotkał.

ROZDZIAŁ 5

– Czy to twój dom? – spytałem ją, gdy tak siedziała obok mnie i przypatrywała mi się uważnie zielonymi, obojętnymi oczyma.

– To mój dom – odrzekła. – A także i goście są moimi gośćmi i co wieczór bywają

u mnie, gdyż nie chcę być sama.

– Z pewnością jesteś bardzo bogata – powiedziałem i ogarnęło mnie przygnębienie, bo zląkłem się, że nie jestem jej wart. Ale ona zakpiła ze mnie, jakbym był dzieckiem, i odpowiedziała drwiąco słowami z bajki:

– Jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą. Czego chcesz ode mnie?

Ja jednak nie zrozumiałem, co chciała przez to wyrazić.

– A Metufer? – zapytałem, gdyż chciałem wiedzieć wszystko, nawet gdyby mi to miało sprawić ból. Spojrzała na mnie badawczo i lekko zmarszczyła malowane brwi.

– Nie wiesz, że Metufer nie żyje? – spytała. – Umarł, bo sprzeniewierzył fundusze, które faraon dał jego ojcu na budowę świątyni. Metufer umarł, a ojciec jego nie jest już królewskim budowniczym. Czyżbyś o tym nie wiedział?

– Jeśli to prawda – odparłem i uśmiechnąłem się – mógłbym niemal uwierzyć, że to Amon go ukarał, gdyż urągał jego imieniu. – A potem opowiedziałem jej, jak to kapłan i Metufer pluli posągowi Amona w twarz i myli go śliną, a sami nacierali się świętymi olejkami Amona. I ona też się uśmiechnęła, lecz oczy jej były nadal zimne, a wzrok błędził gdzieś w przestrzeni. I nagle powiedziała:

– Dlaczego więc nie przyszedłeś do mnie, Sinuhe? Gdybyś mnie szukał, znalazłbyś mnie na pewno. Źle zrobiłeś, żeś nie przyszedł do mnie, a chodził do innych kobiet z moim pierścieniem na palcu.

– Byłem tylko chłopcem i bałem się ciebie – odparłem. – Lecz w snach byłaś mi siostrą, o Nefernefernefer, i może wyśmiejesz mnie, ale nigdy jeszcze nie zażyłem rozkoszy z kobietą, gdyż czekałem, że cię kiedyś znowu zobaczę.

Uśmiechnęła się i machnęła ręką protestująco:

– Z pewnością kłamiesz – powiedziała. – W twoich oczach jestem na pewno starą, brzydką kobietą i dlatego bawi cię, że możesz ze mnie drwić i kłamać mi. – Patrzyła na mnie, a oczy jej śmiały się wesoło jak ongiś. Jak gdyby odmłodziła i stała się w moich oczach taka jak dawniej, tak że serce nabrzmiało mi wzruszeniem i czułem w nim ból, spoglądając na nią.

– To prawda, że jeszcze nigdy nie tknąłem kobiety – powiedziałem. – Ale może nie jest prawdą, że czekałem tylko na ciebie, chcę być wobec ciebie uczciwy. Przeszło koło mnie wiele kobiet, młodych i starych, pięknych i brzydkich, mądrych i głupich, lecz ja patrzyłem na nie tylko oczyma lekarza i żadna z nich nie rozpałała mi serca, nie wiem wcale, na czym to polega. – A potem dodałem jeszcze: – Byłoby mi łatwo powiedzieć, że to z powodu tego kamienia, który mi dałaś na znak twojej przyjaźni, i że bez mojej wiedzy zaczarowałaś mnie. Może i zaczarowałaś mnie, gdy dotknąłem wargami twoich

ust, tak były miękkie twoje wargi. Ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Toteż możesz tysiąc razy pytać mnie „dlaczego?”, a ja nie potrafię ci odpowiedzieć.

– Może jako dziecko spadłeś z wózka okrakiem na dyszel, tak że zrobiłeś się smutny i czujesz się dobrze tylko w samotności? – zażartowała dotykając mnie lekko, tak jak jeszcze żadna kobieta mnie nie dotknęła. Ja zaś nie potrzebowałem jej odpowiadając, gdyż sama wiedziała, że to, co mówi, nie jest prawdą. Toteż szybko cofnęła rękę i szepnęła: – Napijmy się wina, aby rozradować nasze serca. Może rzeczywiście zażyję jeszcze z tobą rozkoszy, Sinuhe.

Piliśmy wino, niewolnicy wynieśli kilku spośród gości do lektyk, a Horemheb otoczył ramieniem kobietę, która siedziała obok niego, i nazwał ją swoją siostrą. Kobieta śmiała się i zatykała mu usta dłonią, mówiąc, by nie plótł głupstw, których będzie żałować nazajutrz. Lecz Horemheb podniósł się z pucharem wina w dłoni i zawołał:

– Nigdy nie będę żałował tego, co zrobię, bo od dziś będę stale patrzył naprzód, nigdy zaś za siebie. Przysięgam to na mego sokoła i na tysiąc bogów Dwóch Królestw, bogów, których imion nie potrafię wyliczyć, lecz którzy oby wysłuchali mej przysięgi.

Zdjął z szyi złoty łańcuch i chciał go zawiesić na karku kobiety, ale ta oparła się temu i powiedziała z gniewem:

– Jestem porządną kobietą, a nie jakąś uliczną dziewczyną. – Po czym wstała i odeszła z urażoną miną, ale w drzwiach skinęła nieznacznie na Horemheba, który poszedł za nią, i od tej pory ich już nie widziałem.

Wyjście ich nie zwróciło niczyjej uwagi, gdyż zrobiło się późno i goście powinni już byli od dawna rozejść się do domów. Mimo to wszyscy dalej pili wino, zataczając się i potykając o stołki, i wymachując sistrami zabranymi muzykantom. Obejmowali się nawzajem i nazywali braćmi i przyjaciółmi, by po chwili zacząć się bić i wyzywać od wieprzów i kastratów. Kobiety zdejmowały bezwstydnie peruki i pozwalały mężczyznom pieścić swoje nagie głowy, gdyż odkąd bogate i szlachetne damy zaczęły golić głowy, żadna inna pieszczota nie podniecała mężczyzn tak, jak właśnie ta. Kilku mężczyzn zbliżyło się też do Nefernefernefer, ale ona nie dopuszczała ich do siebie, a gdy stali się natarczywi, deptałem im po nogach, nie zwracając uwagi na ich ranę i stanowisko, bo wszyscy byli pijani winem.

Mnie zaś nie upoiło wino, lecz jej bliskość i dotknięcia jej rąk. Dopiero gdy dała znak i słudzy zaczęli gasić światła, wynosić stoły i stołki, uprzętać podeptane kwiaty i wieńce i znosić do lektyk gości, których sen zmorzył nad dzbanem wina, powiedziałem do niej: – Pewnie muszę już iść! – Lecz każde słowo piekło mnie w sercu, jak pali sól

nasypana na ranę, bo nie chciałem jej stracić, każda zaś chwila, kiedy nie byłem przy niej, wydawała mi się stracona.

– Dokąd chcesz iść? – zapytała mnie z udanym zdziwieniem.

– Pójdę, by czuć tej nocy na ulicy przed twoim domem – odparłem. – Pójdę złożyć ofiary we wszystkich świątyniach tebańskich, by podziękować bogom za to, że cię spotkał, gdyż odkąd cię zobaczyłem, wierzę znowu w bogów. Pójdę zrywać kwiaty z krzewów, by sypać je na twojej drodze, gdy wyjdiesz z twojego domu. Pójdę kupić mirry, by natrzeć nią twoje drzwi.

– Lecz ona uśmiechnęła się i rzekła:

– Lepiej żebyś nie odchodził, bo kwiatów i mirry mam sama pod dostatkiem. Lepiej, żebyś nie odchodził, bo rozgrzany winem mógłbyś zablądzić w ramionach innych kobiet, a na to nie chcę pozwolić.

Słowa jej napełniły mnie radością i chciałem wziąć ją w objęcia, lecz ona broniła się mówiąc:

– Daj spokój! Moi słudzy patrzą, a ja tego nie chcę, bo choć mieszkam sama, nie jestem żadną nędzną kobietą. Lecz skoro chcesz być ze mną uczciwy i ja również chcę być uczciwa wobec ciebie. Toteż nie mówmy jeszcze o sprawie, dla której tu przyszedłeś. Chodź ze mną do ogrodu, a opowiem ci baśń.

Zaprowadziła mnie do ogrodu zalanego światłem księżycy, gdzie pachniały mirty i akacje. Kwiaty lotosu w sadzawce zamknęły na noc swoje kielichy, a brzegi sadzawki obramowane były kolorowymi kamieniami. Słudzy polali nam ręce wodą i podali pieczoną gęś, owoce i miód, a Nefernefernefer rzekła: – Jedz i wesel się ze mną, Sinuhe! – Lecz gardło wyschło mi od pożądania i nie mogłem nic przełknąć. Patrzyła na mnie z drwiącym uśmiechem i jadła chciwie, a ilekroć na mnie spojrzała, w oczach jej odbijało się światło księżycy. Gdy się najadła, powiedziała:

– Obiecałam ci opowiedzieć baśń i opowiem ci ją teraz, bo jeszcze wiele czasu do rana, a ja nie jestem śpiąca. Baśń ta mówi o Setne Cha-em-Wese i kapłance Bastet, Tabubue.

– Znam tę baśń – przerwałem jej, nie mogąc opanować niecierpliwości. – Słyszałem ją wiele razy, moja siostrze. Chodź ze mną, bym mógł wziąć cię w ramiona i żebyś usnęła z głową na moim ramieniu. Chodź, siostrze moja, bo ciało moje chore jest od pragnienia i jeśli nie pójdziesz, poranię sobie twarz o kamienie i krzyknę będę z żądzy.

– Cicho, cicho, Sinuhe – powiedziała dotykając mnie ręką. – Nazbyt jesteś gwałtowny i lękam się ciebie. Dlatego też opowiem ci tę baśń, żebyś się uspokoił. A więc było to tak: Gdy Setne szukał w świątyni tajnych ksiąg Tota, zobaczył tam Tabubue, kapłankę

Bastet, i takim zapałał do niej pożądaniem, że posłał sługę, by ofiarować jej dziesięć debenów złota, jeśli zechce spędzić z nim godzinę i zażyć rozkoszy. Lecz Tabubue odparła: „Jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą. Jeśli pan twój rzeczywiście pragnie tego, o czym mówi, niech sam przyjdzie do mego domu, gdzie nikt nie będzie nas widział, żebym nie potrzebowała zachowywać się jak dziewczyna z ulicy”. Setne uradował się tymi słowy i pośpieszył do domu Tabubue, która przyjęła go serdecznie i poczęstowała winem. A gdy rozweselili serce winem, Setne chciał przejść do sprawy, dla której przyszedł, lecz Tabubue rzekła: „Wolno ci naturalnie wejść do mego domu, gdzie już zresztą przebywasz, ale ja jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą. I jeżeli rzeczywiście pragniesz tego, o czym mówisz, oddaj mi cały twój majątek i wszystko, co twoje, dom, dobra i wszystko, co posiadasz”. Setne popatrzył na nią i posłał po biegłego w prawie pisarza, i kazał mu spisać kontrakt, w którym oddał Tabubue wszystko, co posiadał. Wtedy Tabubue podniosła się, odziała w królewskie płótno, przez które widać było jej członki, podobne do boskich, i przystroiła się w przeróżne ozdoby. Lecz kiedy Setne chciał spełnić to, po co tam przyszedł, Tabubue bronila się i powiedziała: „Zaraz wejdiesz do twego domu, w którym zresztą już przebywasz. Ale ja jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą, i dlatego musisz odprawić z domu żonę, abym nie potrzebowała podejrzewać, że zwrócisz do niej swe serce”. Setne popatrzył na nią i wysłał służbę, żeby wypędziła jego żonę. Na co rzekła Tabubue: „Chodź do mojej komnaty i połóż się na mym łożu, otrzymasz nagrodę”. Setne wszedł z radością do jej komnaty i leżał na łożu, by dostać swą nagrodę, lecz wtedy nadszedł służący, który mu powiedział: „Twoje dzieci przyszły, biadają u bramy i płaczą wołając matki”. Setne udawał, że nie słyszy, i chciał nareszcie zabrać się do sprawy, dla której tam przyszedł. Wtedy Tabubue powiedziała: „Jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą. Toteż przyszło mi do głowy, że dzieci twoje będą spierać się o spadek z moimi. Nie może tak być, musisz mi więc pozwolić zabić twe dzieci”. I Setne pozwolił jej zabić swe dzieci i rzucić je przez okno na podwórze, psom i kotom na pożarcie. I pijąc wino z Tabubue, słyszał wrzaski psów i kotów bijących się o ciała jego dzieci.

Wtedy przerwałem jej, a serce ścisnęło mi się w piersi jak wówczas, gdy słuchałem tej baśni jako dziecko, i powiedziałem:

– Ale wszystko to było tylko snem. Gdy bowiem Setne leżał na łożu Tabubue, usłyszał jej wołanie i zbudził się ze swego snu. I było mu tak, jakby znalazł się w rozpalonym piecu nie mając na sobie strzępka odzieży. Wszystko było tylko snem, snem wywołanym czarami Neneferkaptaha, o którym opowiada inna baśń.

Lecz Nefernefernefer ciągnęła spokojnie:

– Setne śnił i przebudził się, lecz niejednen budzi się ze swoich snów dopiero w Domu Śmierci. Sinuhe, muszę cię ostrzec, że także i ja jestem kapłanką, a nie jakąś nędzną kobietą. I ja również mogłabym nosić imię Tabubue.

Lecz gdy patrzyła na mnie, w oczach jej mieniło się światło księżycy i nie wierzyłem jej. Toteż chciałem porwać ją w ramiona, ona jednak odepchnęła mnie i spytała:

– Czy wiesz, dlaczego Bastet, boginię miłości, przedstawia się w postaci kotki?

– Nie dbam ani o kotki, ani o bogów o odrzekłem sięgając po nią oczyma zasnutymi mgłą żądy. Lecz ona odsunęła moje dłonie i rzekła:

– Już wnet będziesz mógł dotykać moich członków i pozwolę ci chętnie położyć rękę na piersi i na łonie, jeśli cię to uspokoi. Lecz wpierrw musisz mnie wysłuchać i wiedzieć, że kobieta jest podobna do kotki i że także namiętność podobna jest do kotki. Jej łapy są miękkie, lecz kryją drapieżne pazury, które nieubłagane zatapiają się w sercu. Zaiste, kobieta jest podobna do kotki, gdyż także kotce sprawia rozkosz pastwić się nad swą ofiarą i zadawać jej ból pazurami, nigdy nie ma dość tej zabawy. Dopiero gdy ofiara zostanie obezwładniona, kotka pożera ją i wybiera się na poszukiwanie nowej. Wszystko to opowiadał ci dlatego, żeby być wobec ciebie uczciwa, gdyż doprawdy nigdy nie chciałabym ci sprawić bólu. Nie, nigdy nie chciałabym ci sprawić bólu – powtórzyła i ujawszy w roztargnieniu moją rękę położyła ją sobie na piersi, a drugą położyła na łonie, tak że zacząłem drzeć jak liść, a z oczu trysnęły mi łzy. Natychmiast jednak odrzuciła niecierpliwie moją dłoń i rzekła: – Imię moje jest Tabubue, a skoro już o tym wiesz, odejdz ode mnie i nigdy nie wracaj, żeby nie zrobiła ci krzywdy. A jeśli nie odejdiesz, nie będziesz mnie mógł przynajmniej obwiniać, gdyby coś ci się stało.

Dała mi czas na odejście, ale nie poszedłem. Wtedy westchnęła lekko, jak gdyby miała już dość tej zabawy, i powiedziała:

– Niech więc będzie. Muszę ci naturalnie dać to, po coś przyszedł. Ale nie bądź bardzo gwałtowny, bo jestem zmęczona i boję się, że zasnę na twym ramieniu.

Zaprowadziła mnie do swojej izby. Łoże jej było z kości słoniowej i czarnego drzewa. Rozebrała się z szat i otworzyła mi swe ramiona. Miałem uczucie, jak gdyby całe moje ciało i serce, wszystko we mnie spalało się na popiół w jej łonie. Ale po chwili ziewnęła i rzekła:

– Doprawdy jestem śpiąca i już ci teraz wierzę, że nigdy jeszcze nie dotknąłeś kobiety, gdyż bardzo jesteś niezgrabny i nie dajesz mi żadnej rozkoszy. Ale młodzieniec, który po raz pierwszy idzie do kobiety, daje jej nieoceniony dar. Dlatego nie będę prosić cię o jakiś dar w zamian. Idź już jednak i daj mi spać, bo dostałeś to, po coś przyszedł.

A gdy próbowałem wziąć ją znowu w ramiona, broniła się i odpychała mnie, tak że

poszedłem do domu. Ciało paliło mnie jak ogień, wszystko we mnie szumiało i kipiało i wiedziałem, że nigdy nie będę mógł o niej zapomnieć.

ROZDZIAŁ 6

Nazajutrz kazałem memu słudze Kaptahowi odprawić wszystkich pacjentów, którzy przyszli po radę, kazać niecierpliwie, by zwrócili się do innych lekarzy. Sam oddałem się w ręce balwierza, odziałem w piękne szaty, umyłem i natarłem ciało pachnącym olejkiem, po czym zamówiłem lektykę i wezwałem tragarzy, by zanieśli mnie biegiem, gdyż śpiesznie mi do domu Nefernefernefer, a nie chcę zabrudzić sobie odzieży ani stóp pyłem ulicy. Mój jednooki sługa Kaptah patrzył na mnie z troską i trząśł głową, gdyż nigdy jeszcze w środku dnia nie opuściłem swego miejsca pracy, on zaś obawiał się, że dary za leczenie przestaną płynąć, gdy zaniedbam pacjentów. Ja jednak owładnięty byłem jedną tylko myślą i ciało paliło mnie jak ogień. A był to ogień rozkoszny.

Sługa wpuścił mnie i zaprowadził do komnaty Nefernefernefer. Stroiła się w najlepsze przed lustrem i popatrzyła na mnie chłodnymi, obojętnymi oczyma, które były jak zielone kamienie.

– Czego sobie życzysz, Sinuhe? – zapytała. – Nudzisz mnie.

– Wiesz dobrze, czego sobie życzę – powiedziałem próbując ją objąć i mając w pamięci jej czułą miłość z ubiegłej nocy. Ale ona odtrąciła mnie szorstko.

– Czyś głupi, czy też złośliwy, że mi tak przeszkadzasz – rzekła podrażniona. – Nie widzisz, że się stroję, bo z Sydonu przybył kupiec, który przywiózł do Teb królewski diadem znaleziony w jakimś grobie. Wieczorem ktoś mi ten diadem podaruje, gdyż od dawna już pragnę mieć klejnot, jakiego nie miałyby nikt inny. Dlatego muszę się upiększyć i kazać namaścić moje ciało.

Bez wstydu zrzuciła szaty i położyła się na łożu, aby niewolnica mogła namaścić jej członki. Serce skoczyło mi do gardła, a ręce zaczęły mi się pocić, gdy patrzyłem na jej piękność.

– Na co jeszcze czekasz, Sinuhe? – zapytała po odejściu niewolnicy, obojętnie leżąc na swym łożu. – Dlaczego jeszcze nie poszedłeś? Muszę się ubierać.

Wtedy chwycił mnie zawrót głowy i rzuciłem się ku niej, lecz ona broniła się tak zrećcznie, że nie mogłem sobie z nią poradzić i zacząłem płakać w bezsilnej żądzy. W końcu zawołałem:

– Gdyby mnie było na to stać, kupiłbym ci ten diadem, wiesz przecież! Nie pozwolę, żeby dotknął cię ktoś inny. Raczej umrę!

– Rzeczywiście? – powiedziała cicho i przymknęła na wpół powieki. – Rzeczywiście nie pozwoliłbyś, żeby ktoś inny mnie obejmował? A gdybym ofiarowała ci ten dzień?

Co dałbyś mi za to? – Rozwarła ramiona i wyprężyła ciało na łożu, tak że jej gładki brzuch zapadł się jak dołek, a na całym ciele nie było jednego włoska, ani na głowie, ani gdzie indziej, gdzie zazwyczaj rosną włosy. – Co dałbyś mi za to, Sinuhe? – powtórzyła przeciągając się i patrząc na mnie.

– Nie mam nic do dania ci – odparłem patrząc dokoła, gdyż łożo jej było z kości słoniowej i czarnego drewna, podłoga z lazurytu ozdobiona turkusami, a wszędzie stało mnóstwo szczerolotych pucharów. – Nie, doprawdy nie posiadam nic, co mógłbym ci dać w darze – powtórzyłem i kolana ugięły się pode mną i odwróciłem się od niej. Ale ona mnie zatrzymała.

– Żał mi ciebie, Sinuhe – powiedziała cicho i znowu przeciągnęła swe miękkie ciało. – Rzeczywiście dałeś mi już to, co miałeś godnego ofiarowania, choć po wszystkim wydaje mi się, że wartość tego wielce się przesadza. Ale masz jeszcze dom i odzież, i potrzebne lekarzowi narzędzia. Całkiem biedny podobno nie jesteś.

Zadrzałem od stóp do głów, lecz rzekłem:

– Wszystko to jest twoje, Nefernefernefer, jeśli tylko chcesz. Co prawda niewiele to warte, ale dom urządzony jest dla lekarza i jakiś uczeń z Domu Życia mógłby nawet całkiem dobrze za niego zapłacić, jeśli jego rodzice będą sobie mogli na to pozwolić.

– Tak sądzisz? – spytała odwracając się do mnie nagimi plecami i przeglądając w lustrze oraz dotykając smukłymi palcami czarnych kresiek brwi. – Niech więc będzie, jak chcesz. Poszukaj zatem pisarza, żeby spisał na papirusie, że na moje imię przeniesione zostaje wszystko, co posiadasz. Gdyż pomimo, że mieszkam sama, nie jestem jednak jakąś nędzną kobietą i muszę troszczyć się o swoją przyszłość, gdybyś mnie kiedyś porzucił, Sinuhe.

Patrzyłem na jej nagie plecy i w ustach mi zaschło, a serce zaczęło mi bić tak gwałtownie, że śpiesznie odwróciłem się i poszedłem po biegłego w prawie pisarza, który szybko wypisał wszystkie potrzebne dokumenty i posłał je na przechowanie do królewskiego archiwum. Gdy wróciłem, zastałem Nefernefernefer odzianą w królewskie płótno, w rudoczerwonej peruce na głowie. Jej szyja i przeguby, i kostki jej nóg ozdobione były wspaniałymi klejnotami, a przed bramą domu czekała na nią wytworna lektyka. Oddałem jej kwit biegłego w prawie pisarza i powiedziałem:

– Wszystko, co posiadam, jest teraz twoje, Nefernefernefer, wszystko jest twoje, nawet szaty, które noszę na sobie. A więc jedźmy, pijmy, i zażywajmy z sobą rozkoszy dzisiaj, bo nikt z góry nie wie, jaki będzie dzień jutrzejszy.

Wzięła zwój i obojętnie włożyła go do hebanowej szkatułki, po czym powiedziała:

– Bardzo mi przykro, Sinuhe, ale właśnie zauważyłam, że zaczęła się moja

miesięczna słabość. Dlatego nie możesz zbliżyć się do mnie tak jak chciałam. Toteż lepiej, żebyś sobie poszedł i pozwolił mi oczyścić się, jak to jest przepisane zwyczajem, gdyż głowę mam ciężką i boli mnie brzuch. Któregoś innego dnia możesz przyjść znówu, a wtedy dostaniesz to, czego pragniesz.

Patrzyłem na nią i czułem śmierć w piersi, i nie mogłem powiedzieć ani słowa. Zniecierpliwiła się, tupnęła nogą o podłogę i rzuciła:

– Idź już sobie, bo mi się śpieszy! – A gdy chciałem jej dotknąć, powiedziała: Nie rozmaż mi farby na twarzy!

Poszedłem do domu i uporządkowałem swoje rzeczy, by stały gotowe na przyjęcie nowego właściciela. Mój jednooki niewolnik potrząsając głową snuł się za mną krok w krok, dopóki obecność jego nie zaczęła mnie drażnić i rozgniewany nie powiedziałem:

– Nie chodź za mną, bo nie jestem już twoim panem, należysz już do kogoś innego. Bądź mu posłuszny, gdyż kij jego może okazać się twardszy od mojego.

Wtedy skłonił się przede mną do ziemi i wyciągnął ręce nad głową w głębokiej żalobie, płakał gorzko i powiedział:

– Nie odprawiaj mnie od siebie, mój panie, bo moje stare serce przywykło do ciebie i pięknie z troski, jeśli mnie odprawisz. Zawsze byłem ci wierny, choć jesteś bardzo młody i naiwny, i to, co ci ukradłem, kradłem, skrupulatnie rozważając, jakie ty będziesz mieć z tego korzyści i ile godzi się u ciebie kraść. Na moich starych nogach biegałem po ulicach w żarze południa, wywołując twe imię i wychwalając twoją sztukę lekarską, choć słudzy innych lekarzy bili mnie kijami i rzucali za mną łajnem.

Serce miałem jak wypełnione solą, a w ustach smak goryczy, gdy patrzyłem na niego, ale ogarnęło mnie wzruszenie i pochwyciwszy go za ramiona powiedziałem: – Wstań, Kaptahu! – W akcie kupna nosił on bowiem imię Kaptah, jakkolwiek ja nigdy go tak nie nazywałem, żeby nie wzbijał się zanadto w dumę i nie wyobrażał sobie, że staje się mnie równy. Gdy go więc wzywałem, wołałem na niego zawsze „niewolniku”, „durniu”, „niedołęgo” lub „złodzieju”.

Gdy usłyszał z moich ust swe imię, rozplakał się jeszcze żałośnie, dotykając czołem moich rąk i stóp i kładąc sobie moją stopę na głowę, dopóki się nie rozgniewałem, nie skopałem go i nie kazałem mu się podnieść.

– Na nic się już nie przyda płacz – powiedziałem. – Ale może powinieneś wiedzieć, że wcale nie z gniewu oddałem ciebie komuś innemu, bo byłem zadowolony z twoich usług, choć często bezwstydnie okazywałeś swoje humory, trzaskając drzwiami i szczękając garnkami, gdy coś ci się nie podobało. I nawet jeśli mnie okradałeś, nie gniewam się za to, bo takie jest prawo niewolnika. Tak zawsze było i tak też na zawsze

pozostanie. Byłem zmuszony oddać cię pomimo mej woli, bo nie miałem nic innego do ofiarowania. Również i mój dom oddałem, i wszystko, co posiadam, tak że nawet szaty na mym ciele nie są już moje. Toteż na próżno skarżysz się przede mną.

Wtedy Kaptah podniósł się, zaczął rwać włosy i wykrzyknął:

– Nieszczęsny ten dzień! – A potem prawie bez namysłu powiedział: – Choć jesteś młody, wielki z ciebie lekarz i cały świat stoi przed tobą otworem. Toteż najlepiej będzie, gdy zbiorę pośpiesznie najcenniejsze rzeczy i uciekniemy pod osłoną nocnych ciemności, i ukryjemy się na jakimś statku, którego kapitan nie jest zbyt skrupulatny i wybiera się w dół rzeki. Wiele jest miast w Obu Królestwach, gdyby więc szukali cię słudzy prawa lub gdyby rozpoznano mnie na podstawie listy zbiegłych niewolników, zawsze możemy udać się do czerwonych krajów, gdzie nas nikt nie zna. Możemy także wyprawić się na wyspy na morzu, gdzie wino jest orzeźwiająca a kobiety wesołe. Również w kraju Mitanni i w Babilonie, gdzie rzeki płyną w niewłaściwym kierunku, egipska sztuka lekarska w wielkim jest poważaniu, tak że możesz się tam wzbogacić, a ja mogę zostać sługą poważnego pana. Śpiesz więc, mój panie, żebyśmy zdążyli zebrać twoje mienie, nim mrok zapadnie. – Pociągnął mnie za ramię.

– Kaptahu, Kaptahu! – powstrzymałem go. – Nie zwracaj mi głowy tą głupią gadaniną, bo serce moje jest śmiertelnie smutne, a moje ciało nie należy już do mnie. Jestem skuty w kajdany mocniejsze niż miedziane łańcuchy, mimo że nie można ich zobaczyć. Toteż nie mogę uciec, gdyż każda chwila spędzona poza Tebami byłaby dla mnie jak spędzona w płonącym piecu.

Sługa mój usiadł na podłodze, gdyż pełno miał na stopach bolesnych odcisków, które mu niekiedy opatrywałem, gdy miałem na to czas. Powiedział:

– Widocznie opuścił nas Amon, co by mnie wcale bardzo nie zdziwiło, bo rzadko chodzisz składać mu ofiary. Ja natomiast wiernie oddawałem mu piątą część tego, co u ciebie ukradłem, w podzięce za to, że dostałem takiego młodego i naiwnego pana. Ale także i mnie Amon opuścił. Trudno! Musimy zatem zmienić boga i śpiesznie pójść złożyć ofiary jakiemuś innemu, który może odwróci od nas nieszczęście i sprawi, że wszystko znowu będzie dobrze.

– Nie pleć głupstw – powiedziałem żałując już, że nazwałem go po imieniu, ponieważ natychmiast zaczął się spoufalać. – Mowa twoja jest dla moich uszu jak brzęczenie much. Zapominasz, że nie mamy już nic więcej do ofiarowania, bo ktoś inny jest właścicielem wszystkiego, co posiadamy.

– Czy to mężczyzna, czy kobieta? – spytał ciekawie Kaptah.

– Kobieta – odparłem, po cóż bowiem miałbym to przed nim ukrywać. Usłyszawszy

to zaczął znowu biadać, rwać włosy i wołać:

– Bodajbym nigdy nie przyszedł na ten świat! Bodajby matka zadusiła mnie pepowiną już w dniu moich urodzin! Nie ma bowiem dla niewolnika bardziej gorzkiego losu, jak służyć kobiecie bez serca, a bez serca musi być ta, która cię do tego przywiodła. Każę mi pewnie od rana do wieczora biegać i skakać na moich chorych nogach, będzie mnie kłuć szpilkami i walić kijem po moim biednym grzbiecie aż do łez i krzyku. Taki będzie mój los, choć błogosławiłem Amona i składałem mu ofiary za to, że oddał mnie na służbę do młodego i niedoświadczonego pana.

– Ona wcale nie jest bez serca – powiedziałem. Tak bowiem głupi jest człowiek, że chciałem choć ze swoim niewolnikiem mówić o Nefernefernefer, skoro nie miałem nikogo innego, komu mógłbym się zwierzyć. – Naga na swym łożu piękniejsza jest od księżycy, członki jej lśnią od drogocennego olejku, a oczy jej są zielone jak Nil w letnie upały. Pozazdrościć ci, szczęśliwy Kaptahu, że będziesz mógł żyć w jej pobliżu i oddychać tym samym powietrzem.

Lecz Kaptah zaczął biadać jeszcze głośniej i wołał:

– Sprzeda mnie naturalnie na tragarza albo na kamieniarza do łupania kamieni, tak że płuca mi pękną, a krew tryśnie spod paznokci i umrę w gnoju, jak podeptany osioł.

W sercu czułem, że mówi prawdę, bo w domu Nefernefernefer nie znalazłoby się chyba miejsca ni chleba dla takiego jak on. Także z moich oczu polały się łzy, ale nie wiem, czy płakałem nad nim, czy nad sobą. Gdy Kaptah to zobaczył, natychmiast umilkł i patrzył na mnie z przerażeniem. Ale ja oparłem głowę na rękach, wcale nie dbając o to, że mój niewolnik widzi jak płaczę. A Kaptah dotknął szeroką ręką mej głowy i powiedział złamany:

– Wszystko to moja wina, bo powinienem był lepiej strzec mego pana. Ale nie przeczuwałem, że jest biały i czysty jak chusta jeszcze nigdy nie prana. Inaczej bowiem nie potrafię tego wszystkiego zrozumieć. Dziwiłem się co prawda wielce, że pan mój nigdy nie posłał mnie po dziewczynę, gdy nocną porą wracał z winiarni. Te zaś kobiety, które do ciebie posyłałem, żeby się przed tobą obnażały i przywiodły cię do zażywania z nimi rozkoszy, odchodziły nie zaspokojone, wyzywając mnie od szcurów i gnojków. A były wszak pośród nich dość młode i nawet piękne kobiety. Lecz moje starania szły na marne, a ja, głupi, cieszyłem się w głębi serca, bo myślałem, że nigdy nie wprowadzisz do swego domu kobiety, która by tłukła mnie po głowie i wylewała mi wrzątek na nogi, pokłóciwszy się z tobą. O jakież byłem głupi i szalony! Pierwsza żagiew rzucona do szalasu z sitowia spala go do cna.

I mówił jeszcze:

– Dlaczego nie zapytałeś mnie o radę w swym niedoświadczeniu, mój panie, mnie, który wiele widziałem i dużo wiem, choć ty mnie uważasz za głupca. I ja spałem z kobietami, choć było to dawno, i zapewniam cię, że chleb i piwo, i pełny żołądek są lepsze niż łono najpiękniejszej z kobiet. Ach, panie mój, gdy mężczyzna wybiera się do kobiety, powinien brać z sobą kij, bo inaczej kobieta zapanuje nad nim i skuje go w kajdany, które wpijają się w ciało jak cienka przędza i ranią serce, jak kamyk w sandale uwiera stopę. Na Amona, panie mój, powinieneś był brać dziewczęta do swego domu nocną porą, a uniknęlibyśmy tego wszystkiego. Na próżno trwonileś czas w winiarniach i domach rozpusty, jeśli kobieta może cię zrobić swym niewolnikiem.

Dużo jeszcze mówił Kaptah, aż słowa jego stały się w uszach moich jak brzęczenie much. W końcu uspokoił się i przyrzęczał mi strawę, i polał mi wodą ręce. Ale ja nie mogłem nic jeść, bo ciało paliło mnie jak ogień. A gdy nadszedł wieczór, potrafiłem myśleć tylko o jednej jedynej rzeczy.

KSIĘGA CZWARTA NEFERNEFERNEFER

ROZDZIAŁ I

Już wczesnym rankiem nazajutrz udałem się do domu Nefernefernefer, ona jednak jeszcze spała, spali również jej służący, którzy przeklinali mnie i oblewali brudną wodą, gdy ich zbudziłem. Toteż siedziałem przy bramie jak żebrak, dopóki nie usłyszałem w domu ruchu i głosów i nie spróbowałem znowu wśliznąć się do wnętrza.

Nefernefernefer leżała na swym łożu, twarz jej była nieco blada, oczy zaś wciąż jeszcze podkrążone od wina.

– Nudzisz mnie, Sinuhe – rzekła. – Doprawdy okropnie mnie nudzisz. Czego ty właściwie chcesz?

– Chcę jeść i pić, i zażywać z tobą rozkoszy – odparłem z bólem w sercu. – Przecież mi to obiecałaś.

– To było wczoraj, a dziś mamy nowy dzień – odparła, a niewolnica zdjęła z niej

pomietą szatę i zaczęła nacierać i masować jej ciało. Ona zaś przeglądała się w lustrze i malowała sobie twarz, włożyła perukę i wyjąwszy diadem, w którym perły i drogie kamienie oprawione były w stare złoto, włożyła go sobie na czoło.

– Piękny jest mój klejnot – powiedziała. – Z pewnością wart swojej ceny, choć jestem zmęczona i członki mam omdlałe jak po całonocnych zapasach. – Ziewnęła i napiła się wina z pucharu, by się pokrzepić. Również i mnie poczęstowała winem, lecz wino nie smakowało mi wcale, gdy patrzyłem na nią.

– A więc skłamałaś mi wczoraj! – zawołałem. – Wcale nie czułaś słabości, która by przeszkadzała ci w zażyciu rozkoszy ze mną! – Tak mówiłem, lecz serce moje wiedziało to już poprzedniego dnia.

– Pomyliłam się – odrzekła. – Lecz mój okres powinien istotnie już nadejść. Bardzo jestem zmartwiona, gdyż być może zasłam z tobą w ciążę, Sinuhe, bo byłam słaba w twych ramionach, ty zaś obszedłeś się ze mną bardzo gwałtownie. – Ale mówiąc to uśmiechała się i patrzyła na mnie ironicznie, tak że wiedziałem, iż tylko się ze mnie naigrywa.

– Twój klejnot pochodzi z pewnością z królewskich grobów w Syrii – powiedziałem. – Pamiętam, że opowiadałaś mi coś takiego wczoraj.

– O – westchnęła cicho – mój klejnot został wprawdzie znaleziony pod wezgłowiem w łożu syryjskiego kupca, ale nie trzeba, żebyś się tym martwił, bo był to mężczyzna z wielkim brzuchem, opasły jak wieprz i cuchnący cebulą. Dostałam to, co chciałam, i nie zamierzam spotkać się z nim więcej.

Zdjęła z głowy diadem i perukę i obojętnie opuściła je na podłogę przy łożu, po czym znowu wyciągnęła się na posłaniu. Jej głowa, gdy ją przede mną obnażyła, była gładka i piękna, a ona przeciągała się całym ciałem i założyła ręce na kark..

– Jestem słaba i zmęczona, Sinuhe – odezwała się. – Wykorzystujesz moje znużenie przyglądając mi się tak, gdy nie mogę temu przeszkodzić. Powinieneś pamiętać, że nie jestem jakąś nędzną kobietą, choć mieszkam sama, i że muszę strzec swej dobrej sławy.

– Wiesz doskonale, że nie mam już nic, co mógłbym ci dać w darze. Wszystko, co miałem, jest twoją własnością – powiedziałem chyląc głowę na brzeg jej łoża i czując zapach jej pomad i jej skóry. Dotknęła lekko dłonią moich włosów, ale natychmiast ją cofnęła śmiejąc się i trzęsąc głową.

– Jak fałszywi i zdradliwi potrafią być mężczyźni – powiedziała. – Nawet ty kłamiesz przede mną, ale nie mogę nic na to poradzić, Sinuhe, że cię lubię i jestem wobec ciebie słaba. Mówiłeś raz, że łono moje będzie cię palić gorzej niż ogień, ale to nieprawda. Dotknij go, zobacz, jakie jest chłodne i miękkie. Także piersi moje możesz

pieścić dłońmi, bo są zmęczone i tęsknią za pieszczotą.

Ale kiedy chciałem zażyć z nią rozkoszy, odepchnęła mnie, usiadła na łożu i rzekła z rozgoryczeniem:

– Choć jestem słaba i samotna, nie pozwolę, by zbliżył się do mnie nieszczerzy człowiek. Zataiłeś przede mną, że twój ojciec, Senmut, posiada dom w dzielnicy ubogich przy porcie. Dom ten niewiele jest wart, ale grunt, na którym stoi, leży blisko przystani, a za sprzęty można by może też coś dostać, gdyby sprzedać te rzeczy na targowisku. Może gdybyś dał mi ten dom, mogłabym jeść, pić i zażyć rozkoszy z tobą dzisiaj, bo o dniu jutrzejszym nikt z góry nic nie wie, ja zaś muszę czuwać nad swoją dobrą sławą.

– Własność mojego ojca nie jest moją własnością – odparłem przerażony. – nie możesz wymagać ode mnie tego, co nie moje, Nefernefernefer.

Ona jednak przechyliła głowę i popatrzyła na mnie swymi zielonymi oczami, a twarz jej była blada i maleńka, gdy rzekła:

– Własność twego ojca jest twoim prawnym dziedzictwem, Sinuhe. I wiesz o tym dobrze, bo rodzice twoi nie mają córki, która by na równi z synem miała prawo do spadku, lecz ty jesteś ich jedynym dzieckiem. Ukrywasz też przede mną, że twój ojciec jest ślepcem i dlatego powierzył ci swoją pieczęć i dał prawo zawiadywania jego własnością i stanowienia o niej jak o twojej własnej.

Było to prawdą, bo gdy wzrok mego ojca, Senmuta, pogorszył się, oddał mi on swą pieczęć i prosił, żebym zaopiekował się jego majątkiem i ruchomościami w jego zastępstwie, bo on nie widzi już na tyle, by móc nakreślić swoje imię. Oboje z Kipą mawiali też często, że domek trzeba by sprzedać za dobrą cenę, tak aby mogli sobie za to kupić małe gospodarstwo pod miastem i żyć tam, dopóki nie zostaną złożeni w grobie i nie rozpoczną wędrówki do wiecznego żywota.

Nie mogłem wymówić słowa, tak wielka przepełniła mnie zgroza na myśl, że miałbym oszukać ojca i matkę, którzy mi zaufali. Lecz Nefernefernefer przymknęła na wpół powieki i powiedziała:

– Weź moją głowę w swe dłonie i dotknij wargami moich piersi, bo masz w sobie coś, co robi mnie słabą, Sinuhe. Toteż gdy chodzi o ciebie, nie myślę wcale o własnej korzyści i będę przez cały ten dzień zażywała z tobą rozkoszy, jeśli mi oddasz majątek twego ojca, mimo że nie jest on wiele wart.

Wziąłem jej głowę w dłonie i poczułem, jak była gładka i mała, i owładnęło mnie niewypowiedziane podniecenie.

– Niech będzie, jak chcesz – rzekłem i własny mój głos zabrzmiał mi w uszach

fałszywie. Ale gdy chciałem się do niej zbliżyć, powiedziała:

– Zaraz wolno ci będzie wejść do tego domu, gdzie zresztą już jesteś, ale przyprowadź wpierw biegłego w prawie pisarza, aby wypisał wszelkie potrzebne dokumenty stosownie do prawa, bo nie ufam męskim obietnicom, tak są oszukańcze, i muszę dbać o swoje dobre imię.

Pobiegnę po znającego się na prawie pisarza, a każdy krok oddalający mnie od Nefernefernefer był dla mnie męką. Toteż poganiałem pisarza, jak tylko mogłem, odcisnąłem pieczęć ojca na dokumencie i podpisałem go jego imieniem, aby pisarz mógł jeszcze tegoż dnia odesłać dokument na przechowanie do królewskiego archiwum. Nie miałem już jednak ani srebra, ani miedzi, by wynagrodzić pisarza za jego trud, tak że był niezadowolony, lecz zgodził się poczekać na zapłatę, dopóki majątek nie zostanie sprzedany, co też uwidoczniło na papierze.

Ale gdy wróciłem, słudzy powiedzieli mi, że Nefernefernefer śpi i że muszę czekać do późnego wieczoru, aż się zbudzi. W końcu zbudziła się i przyjęła mnie, a ja oddałem jej kwit pisarza, który ona obojętnie włożyła do swojej czarnej szkatułki.

– Bardzo jesteś uparty, Sinuhe – powiedziała. – Ale jestem uczciwą kobietą i zawsze dotrzymuję obietnic. Weź więc to, po co tu przyszedłeś.

Legła na łożu i otworzyła mi swe objęcia, ale wcale nie zażywała ze mną rozkoszy, lecz odwracała głowę na stronę, przeglądała się w lustrze i ręką kryła ziewnięcia, tak że rozkosz, której pożądałem, stała się dla mnie jak popiół. Gdy podniosłem się z jej łoża, powiedziała:

– Dostałeś to, czego chciałeś, Sinuhe, i zostaw mnie teraz w spokoju, bo bardzo mnie nudzisz. Nie dajesz mi żadnej przyjemności, bo jesteś niezdamy i gwałtowny, a twoje dłonie sprawiają mi ból. Nie będę jednak wyliczać moich przykrości z twego powodu, skoro nie potrafisz lepiej, bylebyś tylko wreszcie zostawił mnie w spokoju. Możesz wrócić któregoś innego dnia, ale z pewnością masz już mnie całkiem dość.

Byłem jak skorupka z wydmuchanego jajka i na chwiejących się nogach odszedłem od niej i wróciłem do domu. Chciałem odpocząć w ciemnym pokoju, oprzeć głowę na rękach i wypłakać z serca smutek i zawód, lecz na werandzie oczekiwał mnie gość w plecionej peruce i barwnym syryjskim stroju. Pozdrowił mnie wyniośle i poprosił o lekarską poradę.

– Nie przyjmuję już pacjentów – wyjaśniłem – bo dom ten nie należy już do mnie.

– Mam bolesne guzy na stopach – powiedział mieszając słowa egipskie z syryjskimi.

– Twój roztropny niewolnik Kaptah doradził mi, bym zwrócił się do ciebie, mówiąc, że znasz się na sztuce leczenia odcisków. Uwolnij mnie więc od mego cierpienia, a z

pewnością tego nie pożałujesz.

Był tak uparty, że w końcu zaprowadziłem go do swojej izby i zawołałem Kaptaha, aby przyniósł mi gorącej wody do oczyszczenia się. Ale Kaptaha nie było i dopiero gdy zbadałem stopy Syryjczyka, spostrzegłem, że były to pokryte mozolami koślawe stopy Kaptaha. On zaś zdjął z głowy perukę, odsłonił twarz i głośno się ze mnie naśmiewał.

– Co za głupie żarty? – krzyknąłem i uderzyłem go kijem, tak że śmiech jego wnet przemienił się w lamentowanie. Ale kiedy odrzuciłem kij, powiedział:

– Ponieważ nie jestem już twoim niewolnikiem, lecz należę do kogoś innego, mogę ci spokojnie wyznać, że chcę uciec i dlatego próbowałem, czy mnie poznasz w tym przebraniu.

Przypomniałem mu o karze grożącej zbiegłym niewolnikom i ostrzegłem, że z pewnością zostanie kiedyś złapany, z czegoż bowiem będzie się utrzymywać. On jednak odparł:

– Wypiłem dużo piwa i miałem w nocy sen. W tym śnie ty, panie mój, leżałeś w rozpalonym piecu, ja zaś nadszedłem i zwróciłem się do ciebie w ostrych słowach, po czym chwyciłem cię za kark, wyciągnąłem z ognia i rzuciłem do rwącej wody, która cię z sobą zabrała. Zbudziwszy się poszedłem na targowisko zapytać objaśniacza snów, co to oznacza. A ten wyjaśnił mi, że panu memu grozi niebezpieczeństwo, że dostanę wiele kijów za swoje zuchwalstwo i że mego pana czeka długa podróż. Sen ten jest prawdziwy, bo wystarczy spojrzeć na twe oblicze, panie mój, żeby wiedzieć, że jesteś w wielkim niebezpieczeństwie, kije zaś już oberwałem, dlatego także i koniec snu musi być prawdziwy. Toteż postarałem się o to przebranie, żeby nikt mnie nie mógł poznać, gdyż naturalnie zamierzam ci towarzyszyć w podróży.

– Twoja wierność wzrusza mnie, Kaptahu – powiedziałem usiłując utrzymać się w szyderyczym tonie. – Może to i prawda, że czeka mnie długa podróż, ale jeśli tak i jest, to zaprowadzi mnie ona do Domu Śmierci, a w takiej podróży nie zechcesz mi chyba towarzyszyć.

– Nikt nie zna jutra – odparł Kaptah bezczelnie. – Jesteś jeszcze młody i naiwny, mój panie, niedoświadczony jak cielak, którego matka nie wylizała jeszcze do czysta. Toteż nie śmiem zostawić cię samego na ciężkiej drodze do Domu Śmierci i Kraju na Zachodzie. Przypuszczalnie pójdę z tobą, jeśli będzie trzeba, by pomóc ci moim doświadczeniem, bo serce moje przywiązało się do ciebie mimo twojego szaleństwa, a nigdy nie miałem syna, choć zapewne spłodziłem dużo dzieci. Tylko że nigdy ich nie widziałem, dlatego chcę sobie wyobrazić, że ty jesteś moim synem. A nie mówię tego wcale po to, że by ci uchybić, ale by ci okazać, z jakimi uczuciami na ciebie patrzę.

Jego bezczelność posuwała się za daleko, ale nie mogłem go walić kijem, bo nie był już moim niewolnikiem. Zamknąłem się w swojej izbie, przykryłem się z głową i spałem jak zabity aż do rana, bo gdy wstyd i niepokój są dostatecznie duże, działają jak środek nasenny. Gdy jednak zbudziłem się rano, pierwszą moją myślą były oczy i ciało Nefernefernefer i zdawało mi się, że trzymam w dłoniach jej gładko ogoloną głowę i czuję jej piersi na swojej piersi. Dlaczego tak było, nie umiem powiedzieć, może istotnie opętała mnie w jakiś sposób, którego nie znałem. Ale nie wierzę już zbytnio w czary. Wiem tylko, że oczyściłem się, odziałem i namaściłem sobie twarz, aby pójść do niej.

ROZDZIAŁ 2

Przyjęła mnie w ogrodzie, nad sadzawką z lotosami. Jej oczy były jasne, wesołe i bardziej zielone niż wody Nilu. Gdy mnie zobaczyła, wykrzyknęła;

– O, Sinuhe, a więc wróciłeś do mnie! Może zatem nie jestem jeszcze stara i brzydka, skoro się mną nie znudziłeś. Czego chcesz ode mnie?

Patrzyłem na nią jak głodny patrzy na chleb, ona zaś przekrzywiła głowę, rozniewała się i rzekła:

– Sinuhe, Sinuhe, chyba nie chcesz znowu zażywać ze mną rozkoszy? Co prawda mieszkam sama, ale nie jestem jakąś nędzną kobietą i muszę dbać o swoją opinię.

– Wczoraj oddałem ci cały majątek mego ojca – powiedziałem. – Choć był on dawniej szanowanym lekarzem, został dziś biedakiem i może będzie musiał na starość żebrać o chleb, a matka pracować jako praczka.

– Wczoraj to wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj – powiedziała Nefernefernefer patrząc na mnie przymrużonymi oczyma. – Ale nie jestem wcale wymagająca i chętnie pozwalam ci siedzieć przy mnie, nawet wolno ci trzymać mnie za rękę, jeśli chcesz. Serce moje bowiem raduje się dziś i chciałabym podzielić się z tobą przynajmniej tą radością, choć przypuszczalnie nie odważę się w inny sposób zażyć z tobą rozkoszy. – Spojrzała na mnie zalotnie, uśmiechnęła się i pogładziła lekko po łonie. – Nie pytasz, dlaczego raduje się moje serce – ciągnęła dalej z wyrzutem. – Ale powiem ci to sama. Wiedz zatem, że do miasta przybył możny pan z Dolnego Kraju i przywiózł z sobą złotą czarę wagi prawie stu debenów, na której ścianach wyryte są liczne piękne i wesołe obrazki. Pan ten jest co prawda stary i tak chudy, że jego nogi pewnie obetrą mi lędźwie, myślę jednak, że ta złota czara zdobić będzie jutro mój dom. Nie jestem bowiem wcale jakąś nędzną kobietą i muszę starannie dbać o swoją dobrą sławę.

Gdy nic się na to nie odezwałem, udała, że głęboko wdycha i patrzy marzycielsko na kwiaty lotosu i inne kwiaty w ogrodzie. Potem rozebrała się powoli i weszła do

sadzawki, by zażyć kąpeli. Głowa jej unosiła się nad wodą obok lotosu i była piękniejsza niż wszystkie kwiaty lotosu. Z rękami założonymi za kark wyciągnęła się na powierzchni wody przede mną i powiedziała:

– Bardzo jesteś dziś małomówny, Sinuhe. Chyba nie zrobiłam ci całkiem bezwiednie jakiejś przykrości? Jeśli tylko mogę to naprawić, chętnie to uczynię.

Wtedy nie mogłem się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

– Przecież ty wiesz, czego chcę, Nefernefernefer.

– Twarz ci poczerwieniała, a żyły na skroniach pulsują, Sinuhe – odrzekła: – Czy nie byłoby lepiej, żebyś zrzucił szaty i wstąpił do sadzawki, by ochłodzić się kąpielą wraz ze mną, bo dzień jest dziś istotnie bardzo gorący. Nikt nas tu nie widzi, więc nie potrzebujesz się wahać.

Rozebrałem się i wszedłem do wody, a mój bok dotykał w wodzie jej boku. Ale gdy chciałem ją chwycić, uciekła śmiejąc się i przyskając mi w oczy wodą.

– Wiem aż nadto dobrze, czego chcesz, Sinuhe – chichotała. – Choć zbyt jestem wstydliva, by patrzeć na ciebie. Najpierw jednak musisz mi coś ofiarować, bo dobrze wiesz, że nie jestem jakąś nędzną kobietą.

Popędliwie zawołałem do niej:

– Jesteś szalona, Nefernefernefer! Wiesz przecież, żeś mnie już ograbiła ze wszystkiego. Wstydzę się spojrzeć sobie samemu w oczy i nigdy nie ośmielę się spojrzeć w oczy rodzicom. Ale wciąż jeszcze jestem lekarzem i imię moje wpisane jest do Księgi Życia. Może zarobię jeszcze kiedyś tyle, że będę ci mógł dać godny ciebie podarunek, ale teraz zmiłuj się nade mną, bo nawet w wodzie ciało pali mnie jak ogień i gryzę ręce do krwi patrząc na ciebie.

Przeciągnęła się, unosząc się lekko na wodzie, i piersi jej wynurzyły się jak różowawe kwiaty nad powierzchnią wody.

– Lekarz uprawia swój zawód przy pomocy rąk i oczu, nieprawdaż, Sinuhe? – spytała. – Bez rąk i oczu nie byłbyś już lekarzem, nawet gdyby imię twoje było po stokroć wpisane do Księgi Życia. Może zechciałabym dziś z tobą ucztować i pić, i skosztować rozkoszy, gdybyś dał sobie wykłuć oczy i odciąć ręce, abym mogła je zawiesić na znak zwycięstwa na drzwiach mojej komnaty, żeby goście moi wielce mnie szanowali i wiedzieli, że nie jestem jakąś nędzną kobietą.

Spojrzała na mnie spod pomalowanych na zielono powiek i ciągnęła obojętnie:

– Nie, chyba jednak nie powinno mi tym zależeć, bo nic mi po twoich oczach, a ręce twoje wnet zaczęłyby cuchnąć i ściągać muchy do mojej komnaty. Czy rzeczywiście nie potrafimy już znaleźć nic, co mógłbyś mi dać, Sinuhe, bo robię się przy tobie słaba

i odczuwam dziwny niepokój, widząc cię nago w mojej sadzawce. Jesteś co prawda niezdarny i niedoświadczony, ale myślę, że przez dzień mogłabym nauczyć cię wiele z tego, czego jeszcze nie umiesz, bo znam dużo sposobów zaspokajania mężczyzn, które także i kobietom mogą dać uciechę. Pomyśl trochę nad tym, Sinuhe.

Kiedy jednak sięgnąłem po nią, wyszła szybko z sadzawki, stanęła pod drzewem i otrząsnęła wodę z ramion.

– Jestem tylko słabą kobietą – rzekła. – A mężczyźni są fałszywi i podstępni. Tak, także i ty, Sinuhe; wciąż kłamiesz przede mną. Serce moje smuci się, gdy o tym myślę, i bliska jestem łez, bo widocznie jużem ci się znudziła. Inaczej nie ukrywałbyś przede mną, że rodzice twoi urządzili sobie piękny grobowiec w Mieście Umarłych i wpłacili do świątyni pieniądze potrzebne na to, żeby ciała ich zostały zabalsamowane, by mogły oprzeć się śmierci, i aby otrzymali wyposażenie potrzebne na podróż do Kraju na Zachodzie.

Gdy usłyszałem te słowa, zacząłem rwać paznokciami pierś, aż popłynęła krew, i zawołałem:

– Doprawdy imię twoje jest Tabubue, teraz już w to wierzę!

Lecz ona odparła ze smutkiem:

– Nie przystoi ci na mnie narzekać za to, że nie chcę być nędzną kobietą. Ani też nie prosiłam cię, żebyś do mnie przychodził, lecz przyszedłeś z własnej woli. Dobrze! Wiem teraz, że mnie nie kochasz i przychodzisz tu tylko, aby ze mnie szydzić, skoro pozwalasz, by taka błahostka stawiała między nami.

Łzy zaczęły mi płynąć po policzkach i jęczałem z rozpacz, ale podszedłem do niej, a ona musnęła lekko moje ciało swoim.

– Już sama myśl o tym jest grzeszna i bezbożna – bełkotałem. – Miałebym pozbawić moich rodziców wiecznego żywota i pozwolić na to, by ciała ich rozpląnęły się w nicość, jak ciała niewolników i nędzarzy, i tych, których rzuca się do Rzeki za przestępstwa? Czegoś takiego nie możesz przecież wymagać ode mnie.

Ale ona przytuliła się do mnie swą nagością i rzekła:

– Oddaj mi grób twoich rodziców, a będę ci szeptać do ucha „mój bracie” i łono moje będzie pełne rozkosznego ognia, i nauczę cię tysiąca sztuczek, których nie znasz, a które dają zadowolenie zmysłom mężczyzny.

Nie mogłem się opanować, rozplakałem się i powiedziałem:

– Niech więc stanie się jak chcesz, i niech imię moje przekłute będzie na wieki. Nie umiem ci się oprzeć, tak silnymi związałaś mnie czarami.

Lecz ona odrzekła:

– Tylko nie mów o czarach, bo to mnie bardzo rani, ponieważ nie jestem jakąś nędzną kobietą, lecz mieszkam we własnym domu i dbam o swe dobre imię. Skoro jesteś nudny i w złym humorze, poślę służącego, żeby przyprowadził biegłego w prawie pisarza. My tymczasem możemy zasiąść do uczty i wina i niech weselą się nasze serca, a gdy dokument zostanie wypisany, skosztujemy z sobą rozkoszy. – Zaśmiała się wesoło i pobiegła do domu.

Włożyłem szaty i poszedłem w ślad za nią, a słudzy lali mi wodę na ręce i bili pokłony opuszczając przede mną dłonie do kolan. Za moimi plecami jednak śmiali się i szydzili ze mnie, tak że mogłem to słyszeć, choć udawałem, że ich drwiny są jak brzęczenie much w moich uszach. Zamilkli natychmiast, gdy pojawiła się Nefernefernefer, i znowu zasiedliśmy do uczty. A było tam pięć gatunków mięsiva i dwanaście rodzajów ciast, piliśmy zaś mieszane wino, które szybko idzie do głowy. Tymczasem nadszedł biegły w prawie pisarz i wypisał wszystkie potrzebne dokumenty, w których oddałem Nefernefernefer grób moich rodziców w Mieście Umarłych z całym jego wyposażeniem oraz ich depozyt w świątyni, skutkiem czego utracili żywot wieczny i możliwość pośmiertnej podróży do Kraju na Zachodzie. Przyłożyłem do papirusu pieczęć mego ojca i podpisałem go jego imieniem, a pisarz podjął się jeszcze tego samego dnia odesłać dokument do królewskiego archiwum, aby nabył mocy prawnej. Nefernefernefer zaś oddał kwit na to wszystko, który ona obojętnie włożyła do swej czarnej szkatułki, po czym zapłaciła mu za jego trud, tak że oddalił się bijąc pokłony i opuszczając przed nami dłonie do kolan.

A gdy już odszedł, powiedziałem:

– Od tej chwili jestem przeklęty i zhańbiony przed bogami i ludźmi, Nefernefernefer. Daj mi tedy uczuć, że postępek mój wart był tej ceny.

Ale ona uśmiechnęła się i odrzekła:

– Pij wino, mój bracie, aby rozweseliło się twe serce. – A gdy chciałem ją chwycić w ramiona, wymknęła mi się i nalala mi wina do pucharu. Po chwili zaś spojrzała na słońce i rzekła: Dzień skończył się i wieczór zapada. Czego jeszcze chcesz ode mnie, Sinuhe?

– Doskonale wiesz, czego chcę – odparłem.

Lecz ona spytała:

– Wiesz chyba, która studnia jest najgłębsza i który dół jest bez dna, Sinuhe? Dlatego muszę śpieszyć, by się odziać i pomalować twarz, bo czeka na mnie złoty puchar, który jutro zdobić będzie mój dom. – A gdy chciałem ją objąć, wymknęła mi się, zaśmiała się przenikliwie i zawołała głośno na służących, którzy wpadli do komnaty.

A ona powiedziała do nich: – Skąd ten nieznośny żebrak wziął się w moim domu? Wyrzucie go stąd śpiesznie i nie wpuście go już nigdy w drzwi mego domu, a gdyby się bronił, zbijcie go kijami.

I słudzy wyrzucili mnie na dwór, bezsilnego od wina i z wściekłości, a gdy zacząłem dobijać się i łomotać kamieniem w zamknięte wrota, wypadli znowu i zbili mnie kijami. Kiedy zaś wciąż jeszcze krzyczałem i wołałem, tak że ludzie zaczęli zbierać się na placu przed domem, słudzy Nefernefernefer powiedzieli do nich:

– Ten pijak obraził naszą panią, która mieszka we własnym domu i wcale nie jest jakąś nędzną kobietą. – Potem zaś pobili mnie kijami do nieprzytomności i zostawili leżącego na ulicy, gdzie ludzie na mnie plwali, a psy sikały na moją odzież.

Kiedy przyszedłem do siebie i uprzytomniłem sobie moją nędzę, nie chciało mi się wstawać, lecz przeleżałem bez ruchu na tym samym miejscu aż do rana. Ciemność osłaniała mnie i zdawało mi się, że już nigdy nie potrafię spojrzeć nikomu w oczy. Następca tronu nadał mi imię Ten, Który Jest Samotny i zaiste nocy tej byłem najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. O świecie jednak, gdy ludzie zaczęli znowu krążyć po ulicach, kupcy wynosić towary na pokaz przed kramy, a woły wlec swoje sanie, wtedy podniosłem się, poszedłem za miasto, i kryłem się w sitowiu przez trzy dni i trzy noce nie jedząc i nie pijąc. Ciało moje i serce były jak jedna rana i gdyby w owym czasie ktoś do mnie przemówił, krzyczałbym i wołał głośno i obawiam się, że bym oszalał.

ROZDZIAŁ 3

Trzeciego dnia umyłem twarz i stopy, zmyłem z odzieży zakrzeplą krew i powróciwszy do miasta poszedłem do swego domu. Lecz dom ten nie był już moim i na drzwiach jego wisiał znak innego lekarza. Zawołałem Kaptaha, on zaś przybiegł chlipiąc i objął ramionami moje kolana.

– Mój panie – powiedział – bo w sercu moim ty wciąż jesteś moim panem, bez względu na to kto mi rozkazuje. Sprowadził się tu młody mężczyzna, który uważa się za wielkiego lekarza. Przymierza twoje szaty i śmieje się z radości. Matka jego była już w kuchni i oblała mi stopy gorącą wodą wyzywając mnie od szcurków i gnojzków. Ale twoi pacjenci odczuwają brak ciebie i mówią, że ręka jego nie jest tak lekka, jak twoja i że jego leczenie sprawia im nadmierne męki, a także, że nie zna on ich dolegliwości tak, jak ty.

Długo jeszcze bajdurzył, a jego jedyne zaczerwienione oko pełne było zgrozy, gdy patrzył na mnie, tak że w końcu powiedziałem:

– Powiedz mi wszystko Kaptahu. Serce cięży mi już w piersi jak kamień i nic mnie nie wzruszy.

Wtedy wyciągnął w górę ramiona, by okazać najgłębszą żalobę, i rzekł:

– Swoje jedyne oko dałbym, żeby ci móc oszczędzić tego smutku. Nieszczęsny to dzień i dobrze, że już wróciłeś. Wiedz, że twoi rodzice nie żyją.

– Mój ojciec Senmut i moja matka Kipa! – zawołałem wyciągając ramiona jak wymaga obyczaj, a serce poruszyło mi się w piersi boleśnie.

– Słudzy prawa wyłamali dzisiaj wrota ich domu, zapowiedziawszy im wczoraj, że mają się wynieść – opowiadał Kaptah. – Lecz gdy weszli, oni leżeli na swym łożu i już nie oddychali. Masz więc ten dzień na to, by przenieść ich do Domu Śmierci, bo jutro dom będzie zburzony. Tak bowiem postanowił nowy właściciel.

– Czy rodzice moi wiedzieli, dlaczego tak się stało? Zapytałem nie mogąc patrzeć na mego niewolnika.

– Twój ojciec Senmut przyszedł tu ciebie szukać – odparł Kaptah. – Prowadziła go twoja matka, bo nic już nie widział, a oboje byli starzy i zgrzybiali i trzęśli się idąc. Ja jednak nie wiedziałem, gdzie jesteś. Wtedy ojciec twój powiedział, że tak może nawet i lepiej. I opowiedział, że słudzy prawa wyrzucili go z jego domu i przyłożyli pieczęci na jego skrzyni i na całym jego dobytku, tak że rodzice twoi nie posiadali już nic prócz zniszczonej odzieży na sobie. A gdy ojciec twój pytał, dlaczego tak się dzieje, słudzy prawa śmieli się i powiedzieli, że syn jego, Sinuhe, sprzedał dom, ruchomości i grób rodziców, aby zdobyć złoto na kobietę złych obyczajów. Po długim wahaniu ojciec twój prosił mnie o miedziaka, żeby mieć za co podyktować list do ciebie. Ale w domu twoim był już nowy właściciel i matka jego wyszła właśnie, żeby mnie zawołać, i uderzyła mnie kijem za to, że trwonię czas na rozmowy z żebrakami. Chyba uwierzysz mi, że na pewno dałbym sztukę miedzi twemu ojcu, bo choć nie zdążyłem jeszcze nic ukraść u nowego pana, to jednak mam trochę miedzi i nawet srebra, które ukradłem tobie i moim poprzednim chlebodawcom. Ale gdy znów wyszedłem na ulicę, rodzice twoi już odeszli, a mój nowy pan nie pozwolił mi za nimi pobiec i zamknął mnie na noc w dole piekarskim, żeby mi nie uciekł.

– Ojciec nie zostawił więc dla mnie żadnego zlecenia? – spytałem.

A Kaptah odpowiedział: – Ojciec twój nie zostawił dla ciebie żadnego zlecenia, panie mój!

Serce ciążyło mi jak kamień w piersi, ale już się nie poruszało, myśli moje były jak ptaki w chłodnym powietrzu, jak one jasne i spokojne. Zastanowiwszy się przez chwilę, powiedziałem do Kaptaha:

– Daj mi wszystką miedź i srebro, jakie posiadasz. Daj mi je szybko, a może Amon albo jakiś inny bóg wynagrodzi ci twój postępek, jeśli ja ci go nie zdołam wynagrodzić.

Muszę bowiem zawieźć rodziców do Domu Śmierci, a nie mam już nic, czym mógłbym zapłacić za zabalsamowanie ich ciał.

Kaptah zaczął płakać i biadolić i wznosić wielokroć ręce do góry, na znak największej żałoby, w końcu jednak poszedł w kąt ogródka, a idąc rozglądał się dokoła jak pies, który udaje się na poszukiwanie kości zagrzebanej w ziemi. W kącie ogródka odwalił kamień i wyjął spod niego gałganek, w którym trzymał związane swoje miedziaki i srebro, a nie było tego więcej niż dwa debeny, choć stanowiło to oszczędności niewolnika z całego jego życia. Kaptah oddał mi jednak wszystko, mimo że płakał przy tym i dawał wyraz głębokiej żałobie, i niech będzie za to błogosławiony na wieki wieków, a ciało jego niech zachowa się wiecznie.

Gdyż miałem co prawda przyjaciół, Ptahor czy Horemheb byliby mi może pożyczyli złota, a także Totmes byłby mi może pomógł. Ale byłem młody i zdawało mi się, że hańba moja jest już na ustach wszystkich, i wolałbym umrzeć niż popatrzeć w oczy przyjaciół. Z powodu moich postępów byłem przeklęty przez bogów i ludzi i nie mogłem nawet podziękować Kaptahowi, bo w tejże chwili wyszła na werandę matka jego nowego chlebodawcy i zawołała na niewolnika gniewnym głosem, a twarz jej przypominała pysk krokodyla, w ręku zaś trzymała kij. Toteż Kaptah odbiegł śpiesznie ode mnie i zaczął biadać już na schodkach werandy, nim jeszcze kij zdążył dotknąć jego skóry. I tym razem nie potrzebował udawać, płakał bowiem gorzko nad utratą swojej miedzi i srebra.

Pośpieszyłem do domu mojego ojca i znalazłem drzwi wywalone, a na mieniu pieczęci sług prawa. Na podwórku stali zgromadzeni sąsiedzi i podnosili ramiona w górę na znak żałoby. Nikt nie odezwał się do mnie ani słowem, lecz wszyscy rozstępowali się przede mną ze zgrozą. Wewnątrz leżeli na swym łożu Senmut i Kipa, twarze mieli rumiane, jak gdyby żyli, na podłodze zaś stało jeszcze wciąż tłące się naczynie z żarem. Zasnęli bowiem w czadzie, zamknąwszy szczelnie wszystkie okna i drzwi. Owinąłem ich ciała w całun, nie dbając o pieczęć sług prawa, i znalazłem poganiacza osłów, który zgodził się przewieźć zwłoki. Razem włożyliśmy ciała ojca i matki na grzbiet osła i zawieźliśmy do Domu Śmierci. W Domu Śmierci jednak nie przyjęto ich, nie miałem bowiem dość srebra nawet na najtańsze balsamowanie. Wtedy powiedziałem do obmywaczy zwłok:

– Jam Sinuhe, syn Senmuta, imię moje wpisane jest do Księgi Życia, choć dotknął mnie twardy los, że nie posiadam dość srebra, by zapłacić za pogrzeb rodziców. Dlatego błagam was na Amona i innych bogów Egiptu: zabalsamujcie ciała moich rodziców, by mogły oprzeć się śmierci, a będą służyć wam całą moją sztuką przez czas potrzebny na

zabalsamowanie zwłok.

Klęli mnie za mój upór i obrzucali obelgami, w końcu jednak zżarty zarazą starszy obmywacz przyjął miedź i srebro Kaptaha i zaczepiwszy hak pod szczęką mojego ojca wrzucił zwłoki do wielkiego basenu przeznaczonego dla biedaków. A potem wziął na hak także moją matkę i wrzucił ją do tego samego basenu. Było w Domu Śmierci trzydzieści basenów i co dzień napełniano i opróżniano jeden z nich, tak że zwłoki biedaków leżały w soli i sodzie łącznie przez trzydzieści dni. Poza tym nie robiono nic innego, żeby uchronić je i uodpornić na zniszczenie, o tym jednak jeszcze wtedy nie wiedziałem.

Musiałem wrócić do domu mego ojca, żeby odnieść całun, na którym była pieczęć sług prawa. Starszy obmywacz śmiejąc się szyderczo powiedział:

– Przyjdź z powrotem przed świtaniem, bo jeśli do rana nie wrócisz, aby nam służyć, wywlecemy ciała twoich rodziców z basenu i rzucimy je psom na pożarcie. – Domyśliłem się z tego, że nie wierzy, bym był uprawnionym lekarzem, przypuszczał, że skłamałem.

Powróciłem do domu mego ojca, a serce ciążyło mi jak kamień w piersi, bo zwietrzałe gliniane cegły wołały do mnie ze ścian, przywodząc na myśl dawne lata. Wołała do mnie każda cegielka, wołał do mnie sykomor, wołała do mnie sadzawka mego dzieciństwa. Dlatego poszedłem stamtąd, gdy tylko położyłem całun na miejsce, we wrotach spotkałem pisarza, wykonującego swój zawód na rogu ulicy, obok kramu przekupnia korzeni. Gdy zobaczył mnie, podniósł ręce w górę na znak żałoby i powiedział:

– Sinuhe, synu zacnego Senmuta, ty żeś to?

Odparłem mu:

– To ja!

Pisarz powiedział:

– Nie uciekaj przede mną, ojciec twój zostawił u mnie zlecenie dla ciebie, bo nie zastał cię w domu.

Wtedy osunąłem się na ziemię zakrywając głowę dłońmi, on zaś wydobyl kawałek papirusu i przeczytał mi:

– Senmut, którego imię wpisane jest do Księgi Życia, i jego żona, Kipa, przesyłają to pozdrowienie synowi swemu, Sinuhe, który w domu faraona otrzymał imię Ten, Który Jest Samotny. Bogowie przysłali cię do nas i przez całe nasze życie sprawiałeś nam samą tylko radość, a nigdy smutku, duma zaś nasza z ciebie była wielka. Dziś martwimy się o ciebie, bo spotkały cię niepowodzenia, a my nie mogliśmy ci pomóc,

tak jak chcielibyśmy. Wierzmy, że we wszystkim co zrobiłeś, działałeś słusznie i nie mogłeś postępować inaczej. I nie oplakuj nas, choć musiałeś sprzedać nawet nasz grób, bo na pewno nie zrobiłbyś tego, gdybyś nie miał po temu powodu. Ale sługom prawa śpieszy się, my zaś nie mamy już spokoju, by wyczekać na dzień śmierci, a śmierć będzie przez nas równie mile powitana, jak sen przez zmęczonego, a dach nad głową przez szukającego schronienia. Życie nasze było długie, a jego radości liczne, ale największą radość dałeś nam ty, Sinuhe, któryś przyszedł do nas z Rzeki, choć byliśmy już starzy i samotni. Toteż błogosławimy cię. I nie smuć się, że nie mamy żadnego grobu, gdyż wielka jest marność wszystkiego, co żyje, i dlatego może lepiej, żebyśmy znikli w nicości, nie doświadczając już więcej biedy i niebezpieczeństw w ciężkiej podróży do Kraju na Zachodzie. Pamiętaj zawsze, że śmierć nasza była lekka i że błogosławiliśmy cię przed zgonem. Niech wszyscy bogowie Egiptu chronią cię przed niebezpieczeństwami, niech sercu twemu oszczędzony będzie smutek i obyś miał tyle radości ze swoich dzieci, ile my mieliśmy z ciebie. Tego życzą ci twój ojciec, Senmut, i twoja matka, Kipa.

Serce nie ciążyło mi już jak kamień w piersi, lecz drgało i topniało wzruszeniem i wylało się łzami na zakurzoną ziemię, przede mną. A pisarz dodał:

– Oto ten list. Co prawda nie nosi pieczęci twego ojca, a z powodu ślepoty nie mógł go też podpisać, ale zapewne uwierzysz mi, gdy powiem, że to on go dyktował, ja zaś zapisałem słowo po słowie. Ponadto łzy twojej matki poplamiały tu i ówdzie znaki pisarskie. – Twój ojciec, Senmut, porządnym był człowiekiem, a twoja matka, Kipa, dobrą kobietą, choć czasem rozpuszczała język, jak to jest w zwyczaju u kobiet. Dlatego napisałem to wszystko dla twego ojca, choć nie miał nic, co mógłby mi za to dać, i dlatego daję ci ten papirus, choć jest to dobry papirus i można by go oczyścić i doskonale użyć jeszcze raz.

Pomyślałem przez chwilę i powiedziałem:

– I ja nie mam nic, co mógłbym ci ofiarować, dobry człowieku. Weź więc mój naramiennik, bo choć brudny i pomięty, z dobrego jest materiału.– To mówiąc zdjąłem z siebie naramiennik i dałem mu, on zaś nieufnie pomacał materiał, a potem wzniosł ręce na znak zdziwienia i rzekł:

– Twoja szczodrość jest wielka, o Sinuhe, niech ludzie mówią, co chcą. Nawet gdyby powiedzieli, żeś ograbił rodziców i doprowadził ich, nagich, do śmierci, ja będę cię bronił. Ale twego naramiennika nie mogę wziąć, bo jest z kosztownego materiału. I bez niego słońce spali ci barki jak grzbiet niewolnika, tak że pokryją się całe bolesnymi pęcherzami.

Ja jednak powiedziałem:

– Weź to i niech wszyscy bogowie Egiptu błogosławią cię, i niech ciało twoje zachowa się na wieki, bo sam nie wiesz, jak dobry czyn mi wyrządziłeś.

Wtedy on wziął naramiennik i odszedł niosąc go wysoko nad głową i śmiejąc się z radości. A ja wróciłem do Domu Śmierci, odziany w sam tylko fartuszek, jak niewolnicy i poganiacze wołów, aby służyć obmywaczom zwłok przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy.

ROZDZIAŁ 4

Sądziłem, że jako lekarz widziałem dość śmierci i cierpienia i zahartowałem się na złe wonie oraz dotykaniu wrzodów i ropiejących ran, ale gdy zacząłem swoją służbę w Domu Śmierci, zobaczyłem, że jestem jak dziecko, które nic nie wie. Z biedakami nie miano tam co prawda dużo kłopotu, bo ci leżeli spokojnie w basenach w ostrej woni sody i soli. Szybko nauczyłem się posługiwać hakiem, za pomocą którego przesuвано trupy. Ale zwłoki ludzi z klas wyższych wymagały większej sztuki. Wypłukiwanie z nich wnętrzości, które umieszczano w specjalnych urnach, wymagało zahartowanego ducha. Największego jednak zahartowania trzeba było, by móc patrzeć, jak Amon ograbia ludzi po śmierci jeszcze bardziej niż za życia. Bo cena balsamowania zmieniała się stosownie do zamożności, a balsamiarze kłamali krewnym umarłych i wyliczali dużo kosztownych olejków, maści i innych środków zapewniając, że ich użyli przy balsamowaniu, choć wszystko, co wymieniali, było jednym i tym samym, to jest sezamowym olejem. Tylko ciała możnych przygotowywano z całą biegłością sztuki balsamowania, natomiast do otworów ciała innych ludzi wstrzykiwano olej, który trawił wnętrzości, i wypełniano je sitowiem umoczone w smole. Biedakom jednak nie robiono nawet tego, lecz po wyciągnięciu hakiem z basenu, po trzydziestodniowej kąpieli, pozwalano im obeschnąć, po czym zwracano zwłoki krewnym.

Pieczę nad Domem Śmierci sprawowali kapłani, mimo to jednak obmywacze zwłok i balsamiarze kradli ile się dało, uważając to za swój przywilej. Kradli zioła i kosztowne olejki, i maści, i płócienne opaski, aby je odsprzedawać i znowu podkradać. A kapłani nie mogli temu przeszkodzić, bo ludzie ci, gdy chcieli, dobrze wykonywali swój zawód, niełatwo zaś było dostać pracowników do Domu Śmierci. Tylko przekłęci przez bogów i zbrodniarze zbiegli przed władzami przyjmowali pracę obmywaczy zwłok, gdyż obmywaczy czuć było z daleka, cuchnęli odorem soli i sody, i trupów, którym nasiąkali w Domu Śmierci, i nie wpuszczano ich do winiarń ani do domów uciechy.

Toteż obmywacze zwłok uznali mnie za jednego ze swoich, gdy z własnej woli ofiarowałem się zostać ich pomocnikiem, i nie ukrywali przede mną swych postępków.

Gdyby nie spotkało mnie już coś jeszcze gorszego, przejąłby mnie zgrozą widok tego, jak bezczęścili zwłoki nawet ludzi możnych, okaleczając je, aby odsprzedać czarownicom części ludzkiego ciała, których potrzebowały. Jeśli istnieje jakiś Kraj na Zachodzie, a ze względu na moich rodziców żywię nadzieję, że tak jest, niejeden zmarły wielce się zdziwi, gdy spostrzeże, jak obrany z członków zaczyna swoją ciężką podróż, mimo iż złożył w świątyni pieniądze na pochówek.

Ale najbardziej cieszą się w Domu Śmierci, gdy przyniesiono tam zwłoki młodej kobiety, nie robiło tu różnicy, czy kobieta ta była piękna, czy brzydka. Nie wrzucano jej zaraz do basenu, lecz zostawała przez jedną noc jako towarzyszka łoża obmywaczy trupów, którzy kłócili się i rzucali losy, kto z nich ma z nią spać pierwszy. Tak wielki bowiem wstręt wzbudzali obmywacze zwłok, że nawet najgorsza dziewczka uliczna nie godziła się, by zażywała z nią rozkoszy, choćby dawali jej złoto. Nawet murzyńskie kobiety nie chciały ich przyjmować do siebie i bardzo się ich bały. Dawniej zbierali pieniądze i kupowali sobie młode niewolnice dla wspólnej rozkoszy, bo po wielkich wyprawach wojennych niewolników sprzedawano tanio. Tak okropne jednak było życie w Domu Śmierci, że kobieta, która się tam dostała, choćby nawet niewolnica, szybko traciła rozum, krzyczała wniebogłose i wzbudzała zgorzienie, aż kapłani zmuszeni byli zakazać trzymania niewolnic w Domu Śmierci. Od tej pory obmywacze trupów sami przyrządzali sobie strawę i sami prali odzież, zadowolając się zażywaniem rozkoszy ze zwłokami. A na wytłumaczenie tego opowiadali, że kiedyś, za czasów wielkiego króla, przywieziono do Domu Śmierci kobietę, która wróciła do życia pod rękami obmywaczy trupów, co było wielkim cudem na chwałę Amona oraz radością dla rodziców i męża kobiety. Dlatego też ich zbożnym obowiązkiem było wciąż podejmować próby wywołania cudu i ciepłem swych obrzydliwych ciał rozgrzewać kobiety przywożone do Domu Śmierci, jeśli nie były jeszcze tak stare, że przywrócenie ich do życia nikomu nie sprawiłoby radości. Nie potrafię jednak powiedzieć, czy kapłani wiedzieli o tym, co się tam dzieje, gdyż wszystko odbywało się po kryjomu i w porze nocnej, gdy Dom Śmierci był zamknięty.

Ten bowiem, kto raz wszedł do Domu Śmierci i przyjął służbę obmywacza trupów, wychodził bardzo rzadko na miasto, by się nie narażał na ludzkie szyderstwo. Pędził życie wśród trupów. W ciągu pierwszych dni uważałem wszystkich tych ludzi za przeklętych przez bogów, a mowa ich, gdy urągali zwłokom i bezczęścili je, przerażała me uszy. Ale w ciągu tych pierwszych dni widziałem tylko najbardziej zbrodniczych i niedobrych, którzy mną pomiatali i dla zabawy kazali mi wypełniać najniższe posługi. Potem jednak nauczyłem się rozróżniać, że wśród obmywaczy trupów i balsamiarzy

są tu i biegli fachowcy, których sztukę dziedziczą najlepsi i z których każdy wielce sobie szanuje swoje zadanie i uważa je za najważniejsze ze wszystkich. Gdyż każdy z nich miał swoją specjalność i swoją funkcję, podobnie jak lekarze w Domu Życia. Tak więc jeden zajmował się głową zmarłego, inny brzuchem, trzeci znów sercem, a czwarty płucami, dopóki wszystkie części ciała nie zostały zabezpieczone tak, by trwały wiecznie.

Był pośród nich niejaki Ramose, stary już człowiek, którego zadanie było najtrudniejsze ze wszystkich. Oddzielał on mianowicie mózg trupa i wyjmował go przez nos szczypczykami, po czym przepłukiwał wnętrze czaszki oczyszczającymi olejkami. Zauważył zręczność moich rąk i nie mógł jej się nadziwić. Zaczął mnie więc uczyć i gdy minęła połowa mego czasu w Domu Śmierci, zostałem jego pomocnikiem i pobyt tam stał się dla mnie znośniejszy. Choć wszyscy obmywacze trupów byli w moich oczach przekłęci i podobni do zwierząt, tak że nawet ich myśli i mowa nie były już takie jak u ludzi żyjących w świetle słońca, Ramose przypominał najbardziej zółwia żyjącego wewnątrz swojej skorupy. Jego grzbiet był skrzywiony jak grzbiet zółwia, a ramiona pofałdowane jak u zółwia. Pomagałem mu w jego robocie, najczystszej i najwyżej cenionej w Domu Śmierci, a wpływ jego był tak wielki, że inni nie ośmielali się już straszyć mnie oraz obrzucać wnętrznościami i ekskrementami zwłok. Jak jednak do tego doszło, że miał taką władzę, nie wiem, bo nigdy nie podnosił głosu.

Gdy zobaczyłem, jak wszyscy obmywacze trupów kradną i jak mało robią, by zabezpieczyć ciała biedaków, choć opłaty były duże, postanowiłem pomóc moim rodzicom na własną rękę i ukraść dla nich życie wieczne. Gdyż grzech mój wobec nich był według mego zdania już tak wielki, że kradzież nie mogła go zrobić jeszcze czarniejszym. Ramose pouczył mnie w swej dobroci, co i w jakiej ilości można ukraść trupom ludzi możliwych, bo zajmowałem się teraz tylko zwłokami możliwych będąc jego pomocnikiem. Dzięki temu mogłem wyciągnąć hakiem ciała moich rodziców z basenu i wypełnić otwory ich ciał umoczoną w smole sitowiem, i owinąć je paskami płótna. Więcej jednak nie mogłem dla nich zrobić, bo złodziejstwo miało określone granice, których nawet Ramose nie mógł przekroczyć.

Podczas cichej i powolnej pracy w lochach Domu Śmierci nauczył mnie on ponadto wiele mądrości. Po upływie jakiegoś czasu odważyłem się na zadawanie mu pytań o to i owo, on zaś nie obawiał się pytania „dlaczego?”. W owym czasie nos mój stępsiał już na ostre wonie i smród Domu Śmierci, bo człowiek może przystosować się i przywyknąć do wszystkiego. A mądrość Ramose sprawiała, że zanikał we mnie wstręt, pytałem go więc o wiele rzeczy, kiedy pracowaliśmy w piwnicach Domu Śmierci naszymi

szczypcami i przy naszych dzbanach oliwy.

Najpierw zapytałem go, dlaczego obmywacze trupów bluźnią i biją się o ciała kobiece, i nie potrafią myśleć o niczym innym, jak tylko o żądzy, choć można by przypuszczać, że powinni się byli już zaspokoić spędzając całe życie dzień po dniu z martwymi. Ramose odparł:

– To są ludzie tępi i prości i wola ich obraca się w gnoju, podobnie jak ciało ludzkie jest tylko gnojem, gdy nastąpi jego rozkład. A w gnoju żyje żądza, żądza ta stworzyła zwierzęta i ludzi, stworzyła też, jak wierzę, bogów. Im bliżej jednak śmierci stoi człowiek, tym silniej rozpala się w nim plugawa żądza, jeśli wola jego żyje w gnoju. Dlatego mędrca śmierć uspokaja, natomiast człowieka tępego czyni podobnym do dzikiego zwierzęcia, które tryska jeszcze nasieniem na piasek, nawet gdy zostało już przeszyte strzałą. Także ich serca przebite są jakąś strzałą, inaczej bowiem nigdy nie znaleźliby się w Domu Śmierci. Nie dziw się więc ich zachowaniu, lecz raczej miej dla nich współczucie. Albowiem trupom nie przynoszą oni już ani hańby, ani szkody, ponieważ trup jest zimny i nie czuje nic. Natomiast za każdym razem, gdy wracają do gnoju, szkodzą sobie samym.

Krótkimi obcążkami wyłamywał powolutku i ostrożnie dziurkę w cienkiej kości w głowie jakiegoś możnego, po czym wziął długie, giętkie szczypcy i zaczął wyjmować mózg do czarki z oliwą.

– Dlaczego? – zapytałem, – Dlaczego ciało ludzkie ma być zabezpieczone, by mogło oprzeć się śmierci, choć jest zimne i nic nie czuje?

Ramose zerknął na mnie małymi, okrągłymi oczkami zółwia, wytarł ręce o fartuch i napił się piwa z dzbana stojącego obok czarki z mózgiem.

– Tak było i tak zawsze będzie – powiedział. – Kimże jestem, bym mógł wytłumaczyć to, co działo się na przestrzeni czasów. Mówią jednak, że w grobie będąca dusza człowieka Ka powraca do ciała, zjada pożywienie sobie ofiarowywane i cieszy się kwiatami, które jej przynoszą. Ale Ka spożywa bardzo niewiele, tak mało, że nie można tego zauważyć oczyma. Toteż jedną i tą samą ofiarę można składać dla wielu, a ofiarę królewską wynosi się z grobu króla i składa przed grobami jego krewniaków, w końcu zaś, gdy nadejdzie wieczór, kapłani zjadają dary ofiarne. Natomiast Ba, który jest duchem człowieka, ulatuje w chwili śmierci przez nos, nie umiem jednak powiedzieć, dokąd. Że tak jest, o tym zapewnia wielu świadków od czasów pradawnych. Mówią też, że między Ka a samym człowiekiem nie ma żadnej innej różnicy prócz tej, że Ka nie rzuca cienia w świetle, podczas gdy człowiek ma cień. Poza tym są zupełnie do siebie podobni. Tak mówią.

– Twoje słowa są dla mnie jak brzęczenie much, Ramose – powiedziałem. Nie jestem taki całkiem głupi i nie potrzebujesz mi bajdurzyć starych gadek, które słyszałem i o których czytałem w pismach do znudzenia. Jaka jednak jest prawda?

Ramose łyknął piwa, patrząc z roztargnieniem na mózg, pływający drobnymi kawałeczkami w stojącym obok naczyniu z oliwą.

– Wciąż jeszcze jesteś młody i popędliwy, skoro pytasz o takie rzeczy – odparł z grymasem na twarzy, po czym otarł usta i cicho się zaśmiał. – W sercu twym płonie ogień, skoro tak pytasz. Moje zaś serce jest już stare, bliznami pokryte i nie dopieka mi różnymi pytaniami. Czy jednak człowiek ma jakąś korzyść z tego, że ciało jego zostanie zabezpieczone tak, by mogło oprzeć się śmierci, czy też nie, nie potrafię ci powiedzieć. I nikt inny, nawet kapłani też tego nie potrafią. Ale ponieważ tak robiono i tak się będzie robić zawsze, najpewniej stosować się do zwyczaju, wtedy bowiem nie ponosi się przynajmniej żadnej szkody. Wiem tylko, że z Kraju na Zachodzie nikt jeszcze nie wrócił, by opowiedzieć, jak tam jest. Co prawda niektórzy utrzymują, że Ka ich drogich zmarłych wraca do nich w snach i daje im rady, nauki i przestrogi. Ale sny są snami i rankiem nie ma już snów, rozpraszają się. Jest też oczywiście prawda, że jakaś zmarła kobieta ocknęła się raz w Domu Śmierci i wróciła do swego małżonka i rodziców, po czym długo jeszcze żyła i zestarzała się, zanim znowu umarła. Lecz to mogło się zdarzyć tylko dlatego, że nie była ona – jak uważam – rzeczywiście nieżywa, lecz że ktoś czarami wprowadził ją w stan podobny do śmierci, może po to, by ukraść jej ciało i ovladnąć nim za pomocą swej woli. Takie rzeczy bowiem zdarzają się. I naturalnie kobieta ta opowiadała, że znalazła się w otchłani śmierci, gdzie panował mrok i gdzie napadała ją wiele okropnych stworów, na przykład pawiany samce, które brały ją w objęcia, i potwory o krokodylich łbach, które ją gryzły w piersi. Wszystko to spisano, a opowiadanie to przechowywane jest w świątyni i za opłatą odczytywane tym, którzy sobie tego życzą. Któż jednak wierzyłby słowom kobiety? W każdym razie śmierć zrobiła na niej takie wrażenie, że resztę życia przeżyła pobożnie i zużyła na ofiary swój posąg a także majątek swego męża, tak że dzieci jej zubożały i nie miały środków na zabalsamowanie jej ciała, gdy w końcu naprawdę umarła. Za to świątynia podarowała jej grób i zabezpieczyła ciało. Grób ten pokazują wciąż jeszcze w Mieście Umarłych, o czym może wiesz.

Im więcej jednak mówił Ramose, tym bardziej byłem zdecydowany zabezpieczyć ciała rodziców. Uważałem, że jestem im to winien, choć po okresie spędzonym w Domu Śmierci nie wiedziałem już, czy będą z tego mieli jakąś korzyść, czy też nie. Myśl o tym, że ciała ich trwać będą wieczność, stanowiła dla nich jedyną radość i nadzieję w

dniach starości. Toteż chciałem spełnić tę nadzieję. Z pomocą Ramose zabalsamowałem i owinąłem ich ciała paskami płótna, zostając po to w Domu Śmierci przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, inaczej bowiem nie zdążyłbym ukraść tyle, by zabezpieczyć ciała moich rodziców we właściwy sposób. Nie miałem jednak dla nich żadnego grobu ani choćby drewnianej skrzynki. Toteż zaszyłem ich oboje w jedną skórę wołową, aby razem mogli żyć wiecznie.

Ale kiedy byłem już gotów do opuszczenia Domu Śmierci, zacząłem się wahać i serce drżało mi w piersi. Także i Ramose, który zauważył sprawność moich palców, prosił, żebym został jako jego pomocnik. Jako taki mogłem dobrze zarabiać i dużo kraść, i przeżyć me dni w norach Domu Śmierci nie doznając owych kłopotów, zmartwień i cierpień, które przynosi zwykłe życie, a nikt z moich przyjaciół nie wiedziałby gdzie jestem. Nie zostałem jednak w Domu Śmierci, ale dlaczego tego nie zrobiłem, choć było mi tam dobrze i niczego mi nie brakowało, odkąd przywykłem do jego lochów, nie potrafię powiedzieć.

Obmyłem się i oczyściłem jak najlepiej i wyszedłem z Domu Śmierci, a obmywacze trupów żegnali mnie przekleństwami i szyderstwami. Nie mieli jednak przy tym nic złego na myśli, był to tylko ich sposób rozmawiania z sobą, innego nie znali. Pomogli mi wynieść skórę wołową, w którą zaszyłem zabalsamowane ciała rodziców. Ale choć oczyściłem się, ludzie schodzili mi z drogi, zatykali nosy i robili obraźliwe gesty, tak bardzo przesycony byłem odorem Domu Śmierci. I nikt nie chciał podjąć się przewiezienia mnie przez Rzekę. Poczekałem więc, aż zapadła noc, wtedy nie bojąc się strażników ukradłem łódkę z nadbrzeżnego sitowia i przewiozłem ciała moich rodziców przez Rzekę, do Miasta Umarłych.

ROZDZIAŁ 5

Miasto Umarłych było pilnie strzeżone także nocną porą i nie znalazłem żadnego nie strzeżonego grobu, gdzie mógłbym ukryć ciała moich rodziców, żeby żyli wiecznie i korzystali z ofiar przynoszonych bogaczom i możnym. Zaniósłem więc skórę wołową na plecach w pustynię, a słońce paliło mi grzbiet i wysysało siłę z moich członków, tak że narzekałem i myślałem, że zginę. Mimo to doniosłem skórę wołową przez góry, po karkołomnych ścieżkach, z których odważyli się korzystać tylko obdzieracze trupów, do zabronionej zwykłym śmiertelnikom doliny, gdzie są pochowani faraonowie. Szakale szczekały w ciemnościach, jadowite węże pustyni syczały na mnie, a skorpiony wylaziły na rozgrzane skalne płyty. Ja jednak nie bałem się niczego, bo serce moje zahartowane było na wszelkie niebezpieczeństwa i, choć młody, powitałbym śmierć z radością, gdyby tylko miała na mnie ochotę. Odkąd bowiem wróciłem do światła

słonecznego i ludzi, czułem znowu swą hańbę, gorzką jak soda, a życie nie miało dla mnie żadnego uroku.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że śmierć unika człowieka, który pragnie umrzeć, sięga tylko po takiego, którego serce przywiązane jest mocno do życia. Toteż węże schodziły mi z drogi, skorpiony mnie cięły, słoneczny żar pustyni nie zdołał mnie zdławić, a strażnicy zakazanej doliny byli ślepi i głusi, nie widzieli mnie i nie słyszeli chrobotania kamieni, gdy tam zstępowałem. Gdyby bowiem mnie widzieli, byłiby mnie bez zwłoki zabili i zostawili ciało moje dla szakali. Ale przyszedłem tam nocą i może strażnicy bali się doliny, której pilnowali, bo kapłani zaczarowali królewskie groby najmocniejszymi zaklęciami. Jeśli widzieli mnie w zalewającym dolinę świetle księżyca, jak niosłem na plecach wołową skórę, lub słyszeli chrobot kamieni zsuwających się po zboczach, odwracali może twarze, przykrywali głowy rękawem odzieży i wierzyli, że to umarli chodzą po dolinie. Nie omijałem bowiem nikogo – nawet nie mógłbym tego zrobić, ponieważ nie wiedziałem, gdzie stoją strażnicy – i wcale się nie ukrywałem. Tak więc stała przede mną otworem zakazana dolina, śmiertelnie milcząca i w całej swej pustynności, bardziej majestatyczna w moich oczach, niż byli kiedykolwiek za życia i na tronie sami faraonowie.

Przez całą noc krążyłem po dolinie, aby znaleźć zamurowany otwór grobowca wielkiego faraona, opatrzony pieczęcią przez kapłanów. Skoro bowiem raz już dostałem się aż tutaj, uważałem, że tylko najlepsze nadaje się dla moich rodziców. Chciałem też znaleźć grób faraona, który niezbyt dawno wsiadł do łodzi Amona, żeby ofiary dla niego wciąż jeszcze były świeże, a nabożeństwa w jego śmiertelnej kapliczce nad brzegiem Rzeki uroczyste, bo tylko to, co najlepsze, było dostatecznie dobre dla moich rodziców, skoro nie mogłem im dać ich własnego grobu.

Gdy księżyc zaszedł, wygrzebałem dół w piasku obok wejścia do grobu wielkiego faraona i tam złożyłem wołową skórę, w którą zaszyłem ciała rodziców, i przysypałem ją znowu piaskiem. Daleko w pustyni czekały szakale, wiedziałem więc, że Anubis porusza się po pustyni, opiekuje się moimi rodzicami i towarzyszy im w ostatniej podróży. Wiedziałem także, że serca moich rodziców wytrzymają próbę wagi przed wielkim Ozyrysem, bez kapłańskich Ksiąg Umarłych i wyuczonych na pamięć kłamstw, w których pokładali ufność bogacze. Toteż gdy rękami sypałem piasek na ciała rodziców, duszę moją wypełniała ogromna ulga. Wiedziałem bowiem, że będą żyć wiecznie w bliskości wielkiego faraona i pokornie korzystać ze smacznych ofiar jemu przynoszonych. W Kraju na Zachodzie pływać będą w łodzi faraona, jeść jego chleb i pić jego wino. Dopiąłem tego wystawiając ciało na groty oszczepów strażników

zakazanej doliny, ale nie może mi się to liczyć za zasługę, nie bałem się tych oszczepów, ponieważ śmierć byłaby dla mnie owej nocy bardziej błoga niż mirra.

Gdy zgarniałem piasek, ręka moja natknęła się na coś twardego i znalazł się w niej święty skarabeusz, wycięty w czerwonym kamieniu, z małymi klejnocikami zamiast oczu, cały pokryty tajemnymi znakami. Przeszedł mnie dreszcz i lzy me zaczęły kapać na piasek, bo zrobiło mi się tak, jak gdybym w dolinie śmierci otrzymał znak od moich rodziców, że są zadowoleni i że jest im dobrze. Tak chciałem wierzyć, choć wiedziałem, że skarabeusz całkiem na pewno wypadł z grobu faraona i utonął w piasku.

Księżyc zaszedł i niebo pokryło się bladą szarością. Skłoniłem się nad piaszkowym grobem i wzniosłszy ręce pożegnałem się z moim ojcem, Semutem, i matką, Kipą. Niech ciała ich przetrwają wiecznie i niech żywot ich będzie błogi w Kraju na Zachodzie, tylko bowiem ze względu na nich chciałbym, żeby istniał Kraj na Zachodzie, choć już weń nie wierzę. W dłoni ścisakałem świętego skarabeusza, a moc jego była chyba wielka, bo strażnicy nie widzieli mnie, choć ja ich widziałem, gdy wychodzili z szalasów i rozpalali ogniska, żeby przyrządzić sobie posiłek. Skarabeusz miał wielką siłę, bo noga nie osunęła mi się na skałach, a węże i skorpiony nie zrobiły mi żadnej krzywdy, choć nie niosłem już na grzbiecie wołowej skóry. Tegoż samego dnia dotarłem z powrotem do brzegów Rzeki, napiłem się wody z Nilu i padłszy na ziemię usnąłem w sitowiu. Stopy miałem całe w ranach, ręce zakrwawione i odarte ze skóry, pustynia oślepiła me oczy, a ciało moje spalone było słońcem do czerwoności i pokryte pęcherzami. Lecz żyłem i ból nie przeszkadzał mi spać, bo bardzo byłem zmęczony.

ROZDZIAŁ 6

Rano zbudziłem się na krzyk kaczek w sitowiu. Amon płynął po niebie w złotej łodzi, a poprzez Rzekę dochodził do moich uszu gwar miasta. Po Rzece pływały statki i łodzie o czystych żaglach, a praczki plaskały kijankami, śmiały się i głośno pokrzykiwały przy pracy. Ranek był wczesny i jasny, ale serce moje było puste, a życie jak popiół w moich dłoniach.

Ból cielesny sprawiał mi radość, bo dawał memu życiu jakiś sens. Dotychczas bowiem moim jedynym celem i zadaniem było staranie się o żywot wieczny dla rodziców, o żywot wieczny, z którego ich ograbiłem popychając do przedwczesnej śmierci. Mój uczynek był teraz naprawiony w taki sposób, na jaki było mnie stać, odtąd jednak byt nie miał dla mnie żadnego sensu ani celu. Miałem na sobie tylko zniszczony fartuszek, jak niewolnik. Plecy moje były spalone i pokryte strupami i nie posiadałem nawet najmniejszego miedziaka, by kupić sobie jedzenia. Wiedziałem, że jeśli się poruszę, natknę się zaraz na strażników, a ci przywołają mnie i będą pytać, kim jestem

i skąd przyszedłem. Ja zaś nie mógłbym im nic odpowiedzieć, bo sądziłem, że imię Sinuhe jest przeklęte i zniesławione na wsze czasy. Dlatego nie mogłem także pójść do moich przyjaciół, bo nie chciałem, żeby dzielili moją hańbę, ani też by podnosili ręce gestem odzęgującym i odwracali się do mnie plecami, gdyż zobaczenie mnie napełniałoby ich goryczą. Uważałem, że dość już złego narobiłem.

Rozmyślając nad tym wszystkim zauważyłem, że w pobliżu skrada się jakieś żywe stworzenie, ale nie przyszło mi od razu na myśl, że to może być człowiek, sądziłem, że to jakieś złe widmo. Stwór ten, przeraźliwie chudy, miał uszy obcięte i w miejscu nosa dziurę, ale gdy przyjrzałem mu się bliżej, spostrzegłem, że ma duże i kościste ręce i że ciało jego jest żylaste i pokryte ranami od noszenia ciężarów lub od wpijania się postronków.

Gdy spostrzegł, że go zauważyłem, odezwał się do mnie:

– Co tak mocno zaciskasz w dłoni? – Otworzyłem dłoń i pokazałem mu świętego skarabeusza faraona, znalezionego w piasku w zakazanej dolinie, a on rzekł: – Daj mi go, żeby mi przyniósł szczęście, bo bardzo potrzebuję trochę szczęścia ja, biedak.

Ja zaś odparłem:

– I ja jestem biedny i nie mam nic prócz tego skarabeusza. Chcę go zachować jako amulet, żeby przyniósł mi powodzenie.

A on na to:

– Jestem co prawda biedny i nieszczęśliwy, ale dam ci sztukę srebra, choć to za dużo za taki farbowany kamień. Ale współczuję twemu ubóstwu. Dlatego dam ci sztukę srebra.

Istotnie wygrzebał zza pasa sztukę srebra, lecz ja tym bardziej byłem zdecydowany zachować skarabeusza. Zrodziła się we mnie wiara, że przyniesie mi on pomyślność, i powiedziałem to nieznanemu. Wtedy ten rzekł z gniewem:

– Zapominasz, że mogłem cię zabić podczas snu, bo długo ci się przyglądałem, gdyś leżał, dziwiąc się, co też tak mocno zaciskasz w dłoni. Dlatego zatrzymałem się, aby poczekać, aż się zbudzisz, teraz jednak żałuję, że cię nie zabiłem, bo jesteś niewdzięczny.

Odpowiedziałem mu:

– Sądząc po twoim nosie i uszach jesteś zbrodniarzem zbiegłym z kamieniołomów. Szkoda, że mnie nie zabiłeś. Byłby to dobry uczynek, ponieważ jestem samotny i nie mam dokąd pójść. Ale bądź ostrożny i uciekaj stąd, bo jeśli zobaczą cię strażnicy, złapią cię, zbiją kijami i powieszą na murze głową w dół lub co najmniej odeślą do kopalni, z której zbiegłeś.

On zaś odparł:

– Wciąż jeszcze mógłbym cię zabić, gdybym chciał, bo mimo całej mojej nędzy jestem silnym mężczyzną. Ale nie chcę tego robić dla kawałka kamienia, bo jesteśmy blisko Miasta Umarłych i strażnicy mogliby usłyszeć twoje krzyki. Zatrzymaj więc sobie swego przynoszącego szczęście skarabeusza, bo może istotnie potrzebujesz go bardziej ode mnie. Dziwi mnie tylko, z jakiej przybywasz krainy, skoro nie wiesz, że nie potrzebuję się bać strażników, ponieważ jestem wolnym człowiekiem, a nie jakimś zbiegłym niewolnikiem. Mógłbym nawet pójść spokojnie do miasta, ale nie mam ochoty waleśać się po ulicach, bo dzieci boją się mojej twarzy.

– Jak może być wolnym ktoś, kto skazany został dożywotnio na pracę w kamieniołomach, co widzę po twoim nosie i uszach? – spytałem drwiąco, bo myślałem, że się chełpi.

– Nie gniewam się za twoje słowa, bom człowiek pobożny i bogobojny – powiedział. – Dlatego też nie zabiłem cię, kiedyś spał. Ale czy rzeczywiście nie wiesz, że następca tronu, gdy został ukoronowany koronami Obu Królestw, nakazał, by zdjąć wszystkie kajdany i uwolnić wszystkich skazanych na niewolnictwo z kopalń i kamieniołomów? Ci więc, którzy tam teraz pracują, to ludzie wolni, otrzymujący zapłatę za swoją pracę. – Zaniósł się długim chichotem i dodał: – Dlatego to w sitowiu kryje się teraz wielu silnych chłopców, którzy żyją z ofiar ze stołów bogaczy w Mieście Umarłych, bo strażnicy boją się nas, my zaś z kolei nie boimy się umarłych. Kto był w kopalniach, nie boi się już niczego, bo jak wiesz, nie ma gorszego losu jak zesłanie do kopalni. Wielu z nas nie boi się nawet bogów, ja jednak uważam, że ostrożność jest cnotą, i dlatego jestem człowiekiem pobożnym, choć, jak widzisz, żyłem przez dziesięć lat w kopalni.

Tak to dopiero teraz dowiedziałem się, że następca tronu wstąpił na tron jako Amenhotep Czwarty i uwolnił wszystkich niewolników i więźniów, tak że kopalnie i kamieniołomy na wschodzie, nad morzem, opustoszały, a także puste zrobiły się kopalnie w Synaju. W całym Egipcie nie było bowiem takiego szaleńca, który by dobrowolnie zgodził się do pracy w kopalniach. Pierwszą królewską małżonką była teraz księżniczka Mitanni, która bawiła się jeszcze lalkami, a faraon czcił nowego boga.

– Jego bóg jest z pewnością bardzo dziwnym bogiem – opowiadał były niewolnik – bo skłania faraona do różnych szalonych uczynków. Rabusie i zabójcy chodzą teraz na wolności w Obu Królestwach, a kopalnie są opuszczone i bogactwo Egiptu nie wzrasta już. Nie popełniłem co prawda nic złego i cierpiałem niewinnie, ale to się zawsze zdarzało i zawsze będzie się zdarzać. Szaleństwem jednak jest zdjąć kajdany setkom i tysiącom zbrodniarzy, by mógł zostać oswobodzony jeden niewinny. Ale to sprawa

faraona, nie moja. Niech on za mnie myśli.

Mówiąc to przyglądał mi się, dotykał palcami moich ramion i muskał strupy na moim grzbiecie. Nie odstraszał go odór Domu Śmierci i widocznie czuł dla mnie współczucie z powodu mej młodości, bo powiedział:

– Masz spaloną skórę. Pozwolisz chyba, że wysmaruję cię olejkami. – I namaścił mi plecy, nogi i ramiona, a czyniąc to klął i mówił: – Na Amona, doprawdy nie mam pojęcia, dlaczego to robię, bo jaki mam z ciebie pożytek, mnie nikt nie smarował, gdym leżał pobity i poraniony, przeklinając bogów za niesprawiedliwość, która mnie spotkała.

Wiedziałem już, że wszyscy niewolnicy i skazańcy zapewniają zawsze o swojej niewinności, ale on był dla mnie przyjazny. Toteż i ja chciałem okazać mu życzliwość, a tak byłem samotny, a tak byłem samotny, że bałem się, iż odejdzie i znowu mnie zostawi sam na sam z moim sercem. Dlatego powiedziałem:

– Opowiedz mi o bezprawiu, które cię spotkało, abym mógł płakać wraz z tobą.

– Żalność wychłostano ze mnie kijami już w pierwszym roku pracy w kopalni miedzi – odparł. – Nienawiść była bardziej zacięta, bo trwało pięć lat, zanim i nienawiść ze mnie wytlukli i serce moje zostało ogołoczone z wszelkich ludzkich uczuć. Dłaczegóż jednak nie miałbym opowiedzieć tego wszystkiego, żeby cię zabawić, bo palce moje pewnie sprawiają ci ból, gdy masuję strupy na twoich plecach. Wiedz zatem, że byłem dawniej wolnym człowiekiem, uprawiałem rolę i miałem chatę, woły i żonę, i piwo w swoim dzbanie. Lecz miałem też sąsiada, możnego pana imieniem Anukis, oby ciało jego obróciło się w proch. Posiadłości jego nie można było zmierzyć okiem, a bywała miała jak piasku, tak że ryk jego trzody przypominał huk morskich fal. Mimo to miał on ochotę na mój splacheć ziemi. Toteż robił mi różne przykrości i po każdym wylewie, gdy ziemię mierzono na nowo, przesuowano kamienie graniczne coraz bliżej do mojej chaty i traciłem kawałek gruntu. Nie mogłem nic na to poradzić, bo mierniczowie słuchali jego, a nie mnie, ponieważ dawał im bogate dary. Zatomował również rów nawadniający, nie dopuszczając dopływu wody na moje pola, tak że woły ginęły mi z pragnienia, zboże wysychało, a piwo skończyło się w moim dzbanie. On jednak nie słuchał moich skarg, przebywając w zimie w wielkim domu w Tebach, latem zaś odpoczywając w swoich dobrach, a słudzy jego walili mnie kijami i szczuli psami, jeśli ważyłem się do niego zbliżyć.

Beznosy westchnął głęboko i przez chwilę w milczeniu wcierał oliwę w moje plecy. A potem ciągnął:

– Może mógłbym wciąż jeszcze żyć we własnej chacie, gdyby bogowie nie zesłali na mnie przekleństwa dając mi piękną córkę. Miałem pięciu synów i trzy córki, bo biedak

jest płodny. A gdy dzieci podrosły, były mi wielką pomocą i dużo dawały radości, choć jednego z chłopców ukradł w małości wędrowny kupiec syryjski. Najmłodsza córka była piękna i w mojej głupocie byłem z niej dumny, tak że nie musiała ciężko pracować, nosić wody i spalać sobie skóry na słońcu przy pracy w polu. Ale byłbym zrobił mądrzej, gdybym obciął jej włosy i poczernił jej twarz sadzą, bo sąsiad mój, Anukis, zobaczył ją i zaczął pożądać. Od tej chwili nie miałem już jednak dnia spokojnego. Zaskarżył mnie do sądu i zeznał pod przysięgą, że moje woły stratowały mu pola i że moi synowie złośliwie tamują jego rowy nawadniające i rzucają padlinę do jego źródeł. Przysiągł także, że pożyczyłem od niego zboża w latach nieurodzaju. Wszystko to potwierdzili pod przysięgą jego słudzy, a sędzia wcale mnie nie słuchał. Anukis byłby mi jednak pozwolił zatrzymać moje pole, gdybym mu oddał córkę. Ale ja nie chciałem się na to zgodzić, bo miałem nadzieję, że córka moja przy swej piękności dostanie porządnego męża, który będzie mnie na starość utrzymywać i okaże mi miłosierdzie. W końcu rzucili się słudzy Anukisa na mnie, ja zaś miałem do obrony tylko pałkę, ale tak uderzyłem nią w głowę jednego z nich, że zmarł. Wtedy obcięto mi nos i uszy i zesłano mnie do kopalń, a za nie zapłacony dług sprzedano moją żonę i dzieci na niewolników, najmłodszą zaś córkę zatrzymał sam Anukis. A zażywszy z nią rozkoszy, oddał ją dla uciechy sługom. Dlatego uważam, iż stała mi się krzywda, że mnie zesłano do kopalń. Gdy teraz król po dziesięciu latach mnie uwolnił, wróciłem czym prędzej do domu, ale chata moja była zburzona, na łąkach pasło się cudze bydło, a córka nie chciała mnie znać, lecz lała mi wrzątek na stopy w baraku pastuchów. Dowiedziałem się jednak, że Anukis zmarł, że jego wielki grób znajduje się w Mieście Umarłych koło Teb i ma na drzwiach długi napis. Dlatego przybyłem do Teb, aby ucieszyć serce, usłyszawszy, co tam jest napisane, ale nie umiem czytać i nikt mi tego nie przeczytał, choć znalazłem ten grób, dopytując się o niego.

– Jeśli chcesz, mogę ci ten napis przeczytać – powiedziałem – bo umiem czytać.

– Niech ciało twe przetrwa wieki – odparł – skoro chcesz mi zrobić tę przysługę. Jestem bowiem biednym człowiekiem i wierzę we wszystko, co napisane. Dlatego nim umrę, chcę wiedzieć, co napisano tam o Anukisie.

Natarł mi ciało oliwą i wyprał mój fartuszek. Razem poszliśmy do Miasta Umarłych, a strażnicy nie stawiali nam przeszkód. Wędrowaliśmy między rzędami grobów, dopóki nie odnalazł okazałego grobowca, przed którym stały ofiary, mięsivo i różne ciasta, owoce i kwiaty. Także zapieczętowany gąsior wina pozostawiono przed grobem. Beznosy nasycił głód i dał mi się też najeść, po czym poprosił, żebym mu przeczytał, co napisane jest na grobowcu. Odczytałem mu napis:

– Ja, Anukis, uprawiałem zboże i sadiłem owocowe drzewa, a zbiory moje były bogate, bo żyłem w bojaźni bożej i składałem bogom w ofierze piątą część wszystkich zbiorów. Nil darzył mnie łaską i w moich posiadłościach nikt nie głodował za mego żywota. Nie głodowali też moi sąsiedzi, doprowadziłem bowiem wodę do ich pól i żywiłem ich zbożem w latach nieurodzaju. Ocierałem łzy sierotom i nie grabiłem wdów, lecz darowałem im ich długi, tak że imię moje błogosławiono od jednego końca kraju do drugiego. Temu, kto stracił wołu, dawałem ja, Anukis, nowego wołu. Wystrzegałem się, by nie przesuwac kamieni granicznych, i nie przeszkadzałem wodzie dopływać na pola sąsiadów, i żyłem uczciwie i zbożnie przez całe swoje życie. Wszystko to robiłem ja, Anukis, po to, by bogowie byli dla mnie łaskawi i dali mi lekką podróż do Kraju na Zachodzie.

Beznosy słuchał nabożnie, a gdy skończyłem czytać, zapłakał gorzko i rzekł:

– Jestem biednym człowiekiem i wierzę we wszystko, co napisane. Widzę zatem, że Anukis był człowiekiem bogobożnym i że czczony jest po śmierci. Także i przyszłe pokolenia czytać będą napis na jego grobie i będą go poważać, ja zaś jestem zbrodniarzem i nędzarnem, nie mam ani nosa, ani uszu, tak że hańba moja jest dla każdego oczywista, a gdy umrę, ciało moje zostanie rzucone do rzeki i nic ze mnie nie pozostanie. Czyż zatem nie jest wszystko na tym świecie największą marnością?

Złamał pieczęć na gąsiorze i napił się wina. Strażnik podszedł do niego i pogroził mu kijem, ale on powiedział:

– Anukis zrobił mi wiele dobrego za swego życia. Dlatego chcę uczcić jego imię jedząc i pijąc przy jego grobie. I jeśli podniesiesz rękę na mnie lub na mego przyjaciela, który stoi tu obok i jest człowiekiem wykształconym, to wiedz, że jest nas w sitowiu wielu silnych mężczyzn i że wielu z nas ma noże, i że przyjdziemy tu w nocy i poderzniemy ci gardło. Sprawiłoby mi to jednak przykrość, bo jestem człowiekiem bogobożnym, wierzę w bogów i nie chcę nikomu zrobić krzywdy. Toteż lepiej dla ciebie, jeśli zostawisz nas w spokoju, jakbyś nas wcale nie widział. Tak będzie najlepiej ze względu na ciebie samego.

Wparł oczy w strażnika i wyglądał strasznie w swych lachmanach, beznosy i bezuchy, tak że strażnik mu uwierzył, obejrzał się dokoła i odszedł. Najedliśmy się i napili przy grobie Anukisa, a daszek ofiarny dawał chłodny cień. Gdy beznosy napił się wina, powiedział:

– Teraz rozumiesz, że byłoby o wiele lepiej, gdybym dobrowolnie oddał córkę Anukisowi. Może pozwoliliby mi wtedy zatrzymać moją chatę, a może nawet dałby mi dary, bo córka moja była piękna i nietknięta, choć dziś jest tylko zniszczoną matą sług

Anukisa. Wiem teraz, że na świecie nie ma innego prawa jak prawo bogatego i silnego i że słowa biedaka nie docierają do uszu faraona.

Podniósł dzban w górę, zaśmiał się głośno i dodał:

– Twoje zdrowie, zacny Anukisie, i niech ciało twoje zachowa się na wieki. Nie mam żadnej ochoty towarzyszyć ci do Kraju na Zachodzie, gdzie ty i tobie podobni pędzicie wesóły żywot, nie niepokojeni przez bogów. Moim zdaniem jednak byłoby słusznie, gdybyś dalej świadczył dobrodziejstwa na ziemi i podzielił się ze mną złotymi pucharami i klejnotami, przechowywanymi w twym grobie. Toteż zamierzam odwiedzić cię w najbliższą noc, gdy księżyc schowa się za chmury.

– Co mówisz, Beznosy? – wykrzyknąłem przerażony, robiąc bezwiednie rękami święty znak Amona. – Nie myślisz chyba plądrować grobów, bo to najpodlejsza z wszystkich zbrodni wobec bogów i ludzi.

Lecz rozgrzany winem Beznosy odparł:

– W uczony sposób pleciesz bzdury. Anukis jest moim dłużnikiem, ja zaś nie jestem tak miłosierny jak on, lecz ściągam swoje należności. I jeśli chcesz mi w tym przeszkodzić, skręcę ci kark. Jeśli zaś jesteś rozsądny, pomożesz mi, bo czworo oczu widzi lepiej niż dwoje, razem zaś zdołamy wynieść z grobu więcej, gdy raz się już tam włamiemy, niżbym to potrafił samotnie. Zrobimy to dziś w nocy, jeśli nie będzie księżyc.

– Nie chcę wychłostany wisieć głową w dół na murze – broniłem się przerażony. Ale gdy się zastanowiłem, zrozumiałem, że hańba moja nie będzie już większa, nawet gdyby przyjaciele zobaczyli mnie wiszącego na murze głową w dół, sama zaś śmierć mnie nie przestraszała.

Jedliśmy więc i piliśmy, a opróżniwszy dzban stłukiliśmy go i rozruciliśmy skorupy na pobliskie groby. A strażnicy nie krzyczeli na nas, lecz odwracali się plecami, byli bowiem porażeni strachem. Na noc przysłano do Miasta Umarłych żołnierzy z miasta, by strzegli grobów. Nowy faraon nie dał im jednak darów, jak to było w zwyczaju po koronacji. Toteż żołnierze sarkali i niebawem zaczęli sami rozbijać groby i plądrować, upiwszy się wpięć winem, którego mnóstwo dzbanów stało pod daszkami ofiarnymi przy grobowcach. I nikt nie przeszkadzał Beznosemu i mnie, gdy rozbiliśmy grób Anukisa, wywróciliśmy jego sarkofag i zabraliśmy stamtąd tyle złotych pucharów i innych kosztowności, ile zdołaliśmy unieść. O świecie zjawiała się na brzegu wielka czereda syryjskich kupców, by odkupić zrabowane w grobach przedmioty i wywieźć je na swoich statkach w dół Rzeki. Sprzedaliśmy im nasz łup i dostaliśmy blisko dwieście debenów w złocie i srebrze, którymi podzieliłiśmy się według wagi odbitej na sztukach

złota i srebra. Cena, którą otrzymaliśmy za kosztowności, była jednak tylko niewielką częścią prawdziwej ich wartości, złoto zaś, które dostaliśmy, nie było czyste. Mimo to Beznosy ogromnie się cieszył i mówił:

– Zostanę bogatym człowiekiem, bo doprawdy ten zawód o wiele bardziej się opłaca niż dźwiganie ciężarów w porcie lub noszenie na pola wody z rowów nawadniających.

Ja jednak odparłem:

– Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.

Rozstaliśmy się i wróciłem łodzią jednego z kupców na drugi brzeg, do Teb. Kupiłem nowe szaty, podjadłem sobie i napiłem się wina w winiarni, bo odór Domu Śmierci zaczął mnie już opuszczać. Przez cały dzień jednak słyhać było zza Rzeki, z Miasta Umarłych, dźwięk rogów i szczęk oręża. Wozy bojowe jeździły po ścieżkach między grobami, a gwardia przyboczna faraona z oszczepami ścigała plądrujących groby żołnierzy i zwolnionych z kopalń skazańców, a ich śmiertelne krzyki słyhać było aż w mieście. Wieczoru tego pełno było na murach ciał wiszących głową w dół, a w Tebach przywrócony został spokój.

ROZDZIAŁ 7

Przespawszy jedną noc w gospodzie, poszedłem do swego dawnego domu i wywołałem Kaptaha. Nadbiegł kulejąc, z policzkiem spuchniętym od uderzenia, a gdy mnie zobaczył, zaczął płakać z radości swym jednym okiem i rzuciwszy mi się do stóp powiedział:

– Wróciłem panie, choć już sądziłem, że nie żyjesz! Myślałem bowiem, że gdybyś żył, z pewnością przyszedłbyś po więcej srebra i miedzi. Bo tak już jest, że ten, kto da raz, będzie musiał dawać zawsze. Ale ty nie przychodziłeś, choć kradłem dla ciebie od mego nowego pana, oby ciało jego rozpadło się, tyle, ile mogłem, jak to widzisz po moim policzku i po kolanie, w które mnie wczoraj kopnął. A jego matka, krokodyl, oby rozpadła się w proch, groziła, że mnie sprzeda, toteż żyję w wielkim strachu. Opuśćmy więc co prędzej ten niedobry dom i uciekajmy razem.

Zawahałem się, a on pewnie źle zrozumiał moje wahanie, bo dodał:

– Naprawdę ukradłem tyle, że przez jakiś czas mogę cię wyżywić, mój panie, a gdy moje pieniądze skończą się, mogę dla ciebie pracować, byłeś tylko zabrał mnie stąd i wybawił z rąk matki krokodyla i jej potomstwa.

– Przyszedłem jedynie po to, by ci zwrócić dług, Kaptahu – powiedziałem odliczając mu na dłoń złoto i srebro wartości wielokrotnie większej niż suma, którą mi dał. – Ale jeśli chcesz, mogę cię wykupić od twego pana i dać ci wolność, żebyś mógł pójść, dokąd zechcesz.

Gdy Kaptah poczuł w dłoni wagę złota i srebra, nie posiadał się z radości i choć był już starym człowiekiem, zaczął skakać, zupełnie zapominając o chorym kolanie. Potem jednak zawstydził się i rzekł:

– Co prawda gorzko płakałem, oddając ci moje oszczędności, ale nie miej mi tego za złe. Gdybyś mnie wyzwolił, dokąd że poszedłbym ja, który przez całe życie byłem niewolnikiem. Bez ciebie jestem jak ślepe kocię albo jak jagnię opuszczone przez matkę. Nie uchodzi też, żebyś trwonił cenne złoto na wykupienie mnie, po cóż bowiem miałbyś kupować coś, co już jest twoje? – Mrugał porozumiewawczo swym jednym okiem i robił chytre miny. – Czekaając na ciebie co dnia dowiadywałem się o statki – ciągnął. – Wielki okręt, który wygląda na sprawny do morskiej żeglugi, przygotowuje się właśnie, by odpłynąć do Simiry. Można by się chyba odważyć na jazdę nim gdyby złożyć bogom obfite ofiary. Tak się tylko smutno składa, że jeszcze nie znalazłem żadnego dostatecznie mocnego boga, odkąd porzuciłem Amona, który narobił tyle nieszczęścia. Rozpytywałem się pilnie o rozmaitych bogów i próbowałem nawet nowego boga faraona, którego świątynia jest znowu otwarta i licznie odwiedzana przez ludzi pragnących wejść w łaski u dworu. Opowiadają jednak, że faraon ogłosił, iż bóg jego żyje prawdą, boję się więc, że jest to bardzo zrzędny bóg, z którego chyba nie będę miał pożytku.

Przypomniałem sobie znalezionego skarabeusza i dałem go Kaptahowi mówiąc:

– Oto masz boga, który jest bardzo silny, choć maleńki. Przechowuj go dobrze, myślę, że przyniesie nam szczęście, bo przecież już mam złoto w woreczku. Przebierz się zatem za Syryjczyka i uciekaj, jeśli chcesz, ale nie obwiniaj mnie, jeśli cię złapią jako zbiega. I niech ten mały bóg ci dopomaga, bo może rzeczywiście lepiej oszczędzać naszych środków na zapłacenie podróży do Simiry. W Tebach bowiem, podobnie zresztą jak i gdzie indziej, jak w całym Egipcie, nie mogę spojrzeć nikomu w oczy. Wyjadę więc, bo przecież gdzieś muszę żyć, i nigdy już nie wrócę do Teb.

Ale Kaptah odparł:

– Najlepiej się nie zaklinać, mój panie, bo jutra nie zna nikt, a kto raz pił wodę z Nilu, nie potrafi ugasić pragnienia żadną inną wodą. Poza tym jednak jest twoje postanowienie rozsądne, a twoje myśli mądre. Jeszcze mądrzej zaś postępujesz zabierając mnie z sobą, bo beze mnie jesteś jak dziecko, które samo nie umie zmienić swoich pieluszek. Nie wiem, co złego zrobiłeś, choć spuszczasz oczy, gdy o tym mówisz, ale jesteś jeszcze młody i kiedyś o tym zapomnisz. Uczynek człowieka jest bowiem jak kamień wrzucony do wody. Pluska głośno i robi kręgi na wodzie, po chwili jednak woda znowu jest spokojna, a po kamieniu nie ma śladu. Tak jest też z pamięcią człowieka. Gdy minie

dość czasu, wszyscy zapomną o tobie i twoim uczynku i będziesz mógł wrócić, a ja mam nadzieję, że będziesz wtedy tak bogaty i potężny, iż potrafisz obronić także i mnie, gdyby lista zbiegłych niewolników przypadkiem miała mi zgotować jakieś nieprzyjemności.

– Wyjeżdżam i nigdy nie wrócę – oświadczyłem stanowczo, w tej samej chwili jednak chlebodawczyni Kaptaha zawołała na niego krzykliwym głosem. Odszedłem i czekałem na niego na rogu ulicy. Po chwili nadszedł z koszykiem i niewielkim zawiniątkiem, pobrzękując w garści paru miedziakami.

– Matka wszystkich krokodyli posłała mnie na targ po zakupy – oznajmił z wielką radością. – Co prawda, jak zwykle dała mi tyle co kot napłakał, ale te parę miedziaków też coś znaczy w podróży, bo zdaje się, że Simira leży stąd bardzo daleko.

W zawiniątku miał strój i perukę. Poszliśmy na brzeg, gdzie przebrał się w sitowiu, ja zaś kupiłem mu wspaniałą laskę, jakich używają słudzy i gońcy możnych. Potem udaliśmy się do przystani, gdzie stały syryjskie statki, i odszukaliśmy tam duży trzymasztowiec, na którym od dziobu do rufy biegła gruba jak ciało męża lina i z którego masztu powiewał proporczyk zwiastujący rychłe odpłynięcie. Kapitan był Syryjczykiem i wielce się ucieszył usłyszawszy, że jestem lekarzem, bo bardzo poważał egipską sztukę lekarską, a wielu ludzi z jego załogi chorowało. Skarabeusz przyniósł nam rzeczywiście powodzenie, bo kapitan zapisał nas do okrętowej książki i nie wziął nic za podróż, tak że zapłaciliśmy tylko za posiłki. Od tej chwili Kaptah czcił skarabeusza jak boga, smarował go co dzień olejkami i nosił owiniętego w kosztowny materiał.

Okręt odbił od przystani i niewolnicy zaczęły wiosłować. Po osiemnastu dniach podróży dotarliśmy do granicy Obu Królestw, po dalszych zaś osiemnastu dniach do miejsca, gdzie Rzeką dzieli się na dwoje, by ujść do morza. A gdy minęły jeszcze dwa dni, ujrzeliśmy przed sobą morze. Po drodze mijaliśmy miasta i świątynie, oglądaliśmy pola i trzody bydła. Ale bogactwo Egiptu nie cieszyło mego serca, pragnąłem niecierpliwie, by podróż szła jak najszybciej i żebym nie widział już czarnej ziemi. Kiedy jednak przed nami pokazało się morze, Kaptah zaniepokoił się i zapytał, czy nie lepiej wysiąść na ląd i podróżować do Simiry drogą lądową, choć byłaby to droga trudna i mogli by nas napaść rabusie. Niepokój jego wzrósł jeszcze, gdy wioślarze i żeglarze stosownie do dobrego obyczaju zaczęli biadać i ranić sobie twarze ostrymi kamieniami, nie dbając o zakaz kapitana, który nie chciał straszyć podróżnych, a miał ich wielu. Okręt nasz nazywał się „Karp Nilu”. Kaptah kazał chłostać załogę, ale to wcale nie zmniejszało narzekań. Wielu podróżnych też zaczęło gorzko biadać i składać ofiary swoim bogom.

Egipcjanie wołali na pomoc Amona, a Syryjczycy wyrwali sobie brody i wzywali Baala z Simiry, Sydonu, Byblosu i innych miast, zależnie od tego, skąd pochodzili.

Toteż i ja wezwałem Kaptaha, żeby złożył ofiarę naszemu bogu, skoro się boi, on zaś odwinął i wyjął świętego skarabeusza ze skrawków materiału, rzucił się przed nim na twarz i cisnął do morza sztukę srebra, żeby przebłagać morskich bogów, płacząc tyleż nad sobą, co nad ową sztuką srebra. Żeglarze przestali wykrzykiwać i wciągnęli żagle, okręt zaczął się kołysać i przewalać z boku na bok, a wioślarze dostali piwa i chleba.

Ale gdy okręt zaczął się kiwać, Kaptah poszarzał na twarzy i nic już nie wołał, tylko trzymał się kurczowo liny. Po jakimś czasie odezwał się do mnie jęśliwym głosem, że żołądek podchodzi mu do gardła i że czuje bliską śmierć. Ale nie chce ganić mnie za to, że go zwabił w tę podróż. Przebacza mi w nadziei, że bogowie będą też łagodni dla niego, ma bowiem cichą nadzieję, że woda morska jest dostatecznie słona, by uchronić jego ciało, i że dostanie się do Kraju na Zachodzie, gdy utonie. Żeglarze jednak, którzy słyszeli jego słowa, śmieli się z niego mówiąc, że w morzu pełno jest potworów, które połkną go, zanim nawet zdąży opaść na dno.

Wiatr przybierał na sile i statek przewalał się coraz silniej na boki, a kapitan wypłynął tak daleko na pełne morze, że już wcale nie było widać brzegów. Wówczas i ja zacząłem się niepokoić, bo nie rozumiałem, w jaki sposób znajdzie drogę do brzegu, skoro stracił go z oczu. I nie śmiałem się już z Kaptaha, lecz sam też czułem zawrót w głowie i gnienie w dołku. Po jakimś czasie Kaptah zwymiotował i osunął się na pokład, a twarz jego zrobiła się zielona i nie mówił już ani słowa. Wtedy przeląknęłem się, a gdy zobaczyłem, że także wielu innych podróżnych wymiotuje i zmienia się na twarzy, i skarży się, że śmierć ich nadchodzi, pośpieszyłem do kapitana i powiedziałem mu, że bogowie widocznie przeklęli jego statek, ponieważ mimo całej mojej sztuki lekarskiej na pokładzie wybuchła straszliwa zaraza. Toteż zaklinałem go, żeby zawrócił do brzegu, dopóki jeszcze potrafi odnaleźć jakiś brzeg, bo inaczej nie mogę jako lekarz odpowiadać za następstwa. O wicherze zaś, który szalał koło nas i rzucał statkiem tak, że aż trzeszczało w spojeniach, powiedziałem, że jest okropny, jakkolwiek nie chcę się mieszać do spraw należących do zawodu kapitana.

Lecz kapitan uspokoił mnie i pocieszył, że mamy tylko pomyślny wiatr, który sprawia, że podróż idzie szybko. Toteż nie powinienem kpić sobie z bogów, narzekając na pogodę. Ta zaś choroba, która wybuchła wśród podróżnych, z tego tylko wynika, że zapłaciwszy także za jedzenie podczas podróży jedli ze zbytnią żarłocznością, co przysparzało poważnych strat domowi handlowemu w Simirze, który jest właścicielem

okrętu. Z tej przyczyny armatorzy w Simirze złożyli pewnie ofiary odpowiednim morskim bogom prosząc ich, aby podróżni nie mogli utrzymać pożywienia w żołądku i jak dzikie zwierzęta pustoszyć skromne okrętowe spiżarnie.

Jego wyjaśnienie nie pocieszyło mnie zbyt i odważyłem się zapytać, czy rzeczywiście przypuszcza, że trafimy z powrotem do brzegu, szybko bowiem robiło się ciemno. On jednak zapewnił mnie, że w swojej kajucie kapitańskiej ma całe mnóstwo rozmaitych bogów, którzy pomagają mu odnaleźć właściwy kierunek zarówno w dzień jak i w nocy, jeśli tylko w dzień widoczne jest słońce, a w nocy gwiazdy. Ale pewnie kłamał mówiąc to, bo takich bogów chyba nie ma.

Toteż szydziłem z niego i pytałem, co jest przyczyną, że nie zachorowałem tak, jak inni podróżni. Odparł, że to całkiem naturalne, ponieważ zapłaciłem osobno za wyżywienie na okręcie i skutkiem tego nie przysparzam strat armatorom. O Kaptahu zaś mówił, że inna jest sprawa ze sługami, którzy albo chorują, albo pozostają zdrowi, jak się wydarzy. Ale przysięgał mi na swoją brodę, że każdy podróżny będzie zdrow jak młoda kózka, gdy znowu stanie na stałym lądzie w Simirze, tak że nie potrzebuję się lękać o moją sławę lekarza. Było mi jednak trudno w to uwierzyć, gdy patrzyłem na męki podróżnych.

Dlaczego ja nie rozchorowałem się tak ciężko, niełatwo powiedzieć, chyba że przyczyną tego było, iż natychmiast po urodzeniu kołysałem się na Nilu w łódeczce z sitowia. Żadnego innego wytłumaczenia nie umiem znaleźć.

Próbowałem pielęgnować Kaptaha i innych podróżnych jak się dało, ale gdy chciałem któregoś z nich poruszyć, przeklinali mnie, a gdy częstowałem Kaptaha jedzeniem, żeby się wzmocnił, obracał twarz na bok, mlaszcząc ustami głośno jak hipopotam, aby wypróżnić swój brzuch, choć dawno już w nim nic nie było.

Zapadła noc i w końcu usnąłem, choć przerażało mnie to, że statek giął się i przeraźliwie trzaskały żagle, gdy fale biły o boki okrętu. Tak przeszło kilka dni, lecz nikt z podróżnych nie umarł, przeciwnie, wielu zaczęło znowu jeść i wałęsać się po pokładzie. Tylko Kaptah leżał tam, gdzie padł, i nie przyjmował jedzenia. Ale i on dawał oznaki życia, mianowicie znowu zaczął się modlić do naszego skarabeusza, z czego wywnioskowałem, że i w nim zbudziła się nadzieja, iż mimo wszystko żywy dopłynie do lądu. A siódmego dnia podróży znowu zobaczyliśmy brzeg i kapitan powiedział nam, że dzięki pomyślnemu wiatrowi ominą Joppe i Tyr i wziął kierunek prosto na Simirę. Skąd to jednak wiedział, nie umiałem wtedy wyjaśnić. W każdym razie następnego już dnia Simira ukazała się naszym oczom i kapitan złożył obfite ofiary morskim bogom i bogom w swojej kajucie. Zwinięto żagle, wiosłarze wysunęli wiosła i okręt wpłynął do

portu Simiry.

A gdy znaleźliśmy się na spokojnej wodzie, Kaptah powstał i zaklął się na skarabeusza, że już nigdy nie postawi stopy na pokładzie okrętu.

KSIĘGA PIĄTA HABIROWIE

ROZDZIAŁ I

Opowiem teraz o Syrii i o miastach, w których się znalazłem, a najlepiej zrobię to mówiąc, że w kraju czerwonym wszystko stworzone jest i dzieje się na odwrót niż w czarnym. I tak nie ma tam Rzeki, lecz rzeki padają z nieba na ziemię i zwilżają grunt. Przy każdej dolinie jest góra, a za górą znowu znajduje się dolina, w każdej zaś dolinie mieszka inny lud, rządzony przez samodzielnego księcia, który płaci podatek faraonowi, a w każdym razie robił to w czasach, o których opowiadam. Ludy te mówią różnymi językami i dialektami. Mieszkańcy wybrzeży utrzymują się z morza, bądź to jako żeglarze, bądź jako pływający po morzu kupcy, w głębi zaś kraju żyje się z uprawy roli i rabunku, czemu nie mogą przeszkodzić egipskie garnizony. Odzież ludzka jest tam barwna i kunsztownie tkana z wełny, a ludzie zakrywają całe ciało od stóp do głów, jak przypuszczam dlatego, że w ich kraju jest chłodniej niż w Egipcie, ale również i dlatego, że wstydzą się obnażać ciało, robiąc to tylko wtedy, gdy załatwiają potrzebę naturalną, a czynią to na dworze, co dla Egipcjanina jest okropnością. Noszą też długie włosy i zapuszczają brody, jedzą zawsze pod dachem, a bogowie ich, których mają w każdym mieście własnych, żądają także ofiar ludzkich. Z tego, co powiedziałem, każdy zrozumie już, że w czerwonym kraju jest pod każdym względem inaczej niż w Egipcie, ale dlaczego tak jest, nie umiem powiedzieć, bo sam tego nie wiem.

Toteż każdy także zrozumie, że możni Egipcjanie, którzy w owych czasach wyjeżdżali do miast syryjskich, aby doglądać płacenia podatków faraonowi i dowodzić garnizonami, uważali swoją misję raczej za karę niż za zaszczyt i tęsknili do brzegów Rzeki, z wyjątkiem nielicznych, którzy zniewieścili i których nowe i obce obyczaje

skusiły do zmiany stroju i myślenia i do składania ofiar obcym bogom. Także dziwne obyczaje Syryjczyków i ich ustawiczne intrygi i wybiegi przy płaceniu podatków zatruwały życie egipskim urzędnikom rządowym. Ale i w Simirze była świątynia Amona, a kolonia egipska wydawała przyjęcia, prowadziła życie towarzyskie i obchodziła święta nie mieszając się z Syryjczykami, i zachowała własne obyczaje, dokładając najlepszych starań, by ludzić się, że żyje w Egipcie.

Mieszkałem w Simirze przez dwa lata i w ciągu tego czasu nauczyłem się mowy i pisma babilońskiego, ponieważ mówiono mi, że kto je zna, może objechać cały znany świat i wszędzie porozumieć się z ludźmi wykształconymi. Jak to każdy wie, w Babilonie piszą na glinianych tabliczkach, wyciskając w nich znaki ostrym patyczkiem, cała wymiana listów między królami odbywa się w ten sposób. Dlaczego tak jest, nie potrafię powiedzieć, może przyczyną jest to, że papier może spłonąć, gdy natomiast gliniana tabliczka zachowuje się na zawsze, by opowiadać, jak szybko królowie i władcy zapominają o swoich przymierzach i świętych układach.

Mówiąc, że w Syrii wszystko jest inaczej niż w Egipcie, mam tu także na myśli, że lekarz musi tam sobie szukać pacjentów. Gdyż pacjenci nie zwracają się tam do lekarza. Gdy zachorują zdają się na tego lekarza, który do nich przyjdzie, ponieważ wierzą, że to bóg im go przysłał, właśnie tego. Dają też lekarzowi dary z góry, a nie dopiero wtedy, gdy zostaną wyleczeni, co jest korzystne dla lekarzy, ponieważ pacjent łatwo zapomina o wdzięczności, gdy wyzdrowieje. Jest jednak także w zwyczaju, że możni i bogacze mają własnego lekarza, któremu dają dary, dopóki pozostają przy zdrowiu, natomiast kiedy zachorują, nie dają mu żadnych darów, dopóki ich nie wyleczy.

Miałem zamiar zacząć wykonywać swój zawód lekarski w Simirze całkiem po cichu, Kaptah jednak innego był zdania. Chciał on, abym nie żałował pieniędzy na wspaniałe szaty i płacił wywoływaczom, by szerzyli po mieście moją sławę w miejscach, gdzie zbierają się ludzie. Wywoływacze mieli też głosić, że nie zamierzam odwiedzać chorych, lecz że ci muszą sami do mnie przychodzić, mnie zaś Kaptah nie pozwolił, abym przyjmował kogoś, kto nie przyniesie co najmniej sztuki złota w darze. Mówiłem mu, że szaleństwem jest takie żądanie w mieście, gdzie nikt nie zna mojej sztuki i gdzie zwyczaje są inne niż w czarnym kraju. On jednak stał twardo przy swoim i nie mogłem dojść z nim do ładu, bo gdy Kaptah wbił sobie coś w głowę, był bardziej uparty niż osioł.

Skłonił mnie też do odwiedzenia najbieglejszych lekarzy w Simirze, którym oświadczyłem:

– Jestem egipskim lekarzem i zwę się Sinuhe, a nowy faraon dał mi imię Ten,

Który Jest Samotny. Sława moja jest wielka w mej ojczyźnie. Wskrzeszam zmarłych i przywracam wzrok ślepym, jeśli tak zechce mój bóg, maleńki, lecz silny bóg, którego wożę z sobą w podróźnej skrzyni. Wiedza nie jest jednak wszędzie taka sama ani też choroby nie są wszędzie takie same. Toteż przybyłem do waszego miasta, aby badać choroby i leczyć je, i czerpać korzyści z waszej wiedzy i z waszej mądrości. Wcale nie zamierzam przeszkadzać wam w wykonywaniu waszego szacownego zawodu, kimże bowiem jestem, bym z wami współzawodniczył. Także i złoto jest jak proch pod moimi stopami. Toteż proponuję wam, abyście posyłali mi takich pacjentów, na których gniewa się wasz bóg i których nie możecie wyleczyć, zwłaszcza zaś takich, do których trzeba stosować nóż, jako że wy nie używacie noża. Jeśli z pomocą mojego boga uda się mi wyleczyć takiego pacjenta, oddam wam połowę daru, który mi ofiaruje, bo doprawdy nie przybyłem tu po złoto, lecz po wiedzę. Jeśli zaś nie wyleczę go, wtedy także nie wezmę od niego nic, lecz odeślę go z powrotem do was wraz z jego darem.

A lekarze simirscy, których spotykałem na ulicach i targowiskach, gdzie szukali pacjentów, trzepotali płaszczami, drapali się w brody i mówili do mnie:

– Jesteś wprawdzie młody, ale zaprawdę twój bóg pobłogosławił cię mądrością, bo mowa twoja mile brzmi w naszych uszach. A już szczególnie to, co mówisz o złocie i darach, mądrze jest powiedziane. Także i to, co mówisz o nożu, jest mądre, ponieważ lecząc chorych nie używamy nigdy noża, bo gdy tknąć chorego nożem, umrze jeszcze pewniej, niż gdyby nie dotykać go nożem. Jednego tylko żądamy od ciebie: żebyś nie leczył nikogo czarami, bo nasze czary są bardzo silne i współzawodnictwo na tym polu jest już zbyt wielkie w Simirze i w innych miastach nad morzem.

To co mówili o czarach, było prawdą, bo po ulicach włóczyło się mnóstwo nieuków, którzy nie umieli pisać, ale którzy obiecywali wyleczyć chorych czarami i którym dobrze się wiodło w domach ludzi łatwowiernych, dopóki ich pacjent nie wyzdrowiał lub nie umarł. Także i pod tym względem różnili się oni od Egipcjan. Bo każdemu wiadomo, że w Egipcie można zajmować się czarami tylko w świątyniach i że zajmują się nimi kapłani najwyższych stopni, a wszyscy inni muszą dokonywać czarów po kryjomu i w strachu przed karą.

Następstwem tego wszystkiego było, że przychodzili do mnie chorzy, których inni lekarze nie umieli wyleczyć, i ja ich leczyłem. Tych zaś, których nie mogłem uzdrowić, odsyłałem z powrotem do miejscowych lekarzy. Ze świątyni wzięłem do swego domu święty ogień, aby móc się oczyszczać, tak jak przepisano, i od tej pory ważyłem się także na używanie noża i wykonywanie operacji, którym lekarze w Simirze wielce się dziwowali drapiąc się w brody. Udało mi się też wyleczyć ślepcę, który odzyskał wzrok,

choć lekarze i czarodzieje leczyli go przedtem smarując mu oczy ziemią zmieszaną ze śliną, lecz nie mogli go uzdrowić. Ja zaś uzdrowiłem go igłą, jak się to czyni w Egipcie, i zdobyłem sobie tym wielką sławę, jakkolwiek chory po jakimś czasie znowu utracił wzrok, bo igła nie leczy na trwałe.

Kupcy i bogacze w Simirze wiedli bardzo próżniacze i wystawne życie, byli tłuszciesi od Egipcjan i cierpieli na zadyszkę i dolegliwości żołądkowe. Leczyłem ich nożem, tak że krew płynęła z nich jak z wieprzy, a gdy skończył mi się zapas leków, wiele pożytku dało mi to, że umiał zbierać lecznicze zioła we właściwe dni, stosownie do gwiazd i księżyca. Pod tym bowiem względem wiedza lekarzy z Simiry była tak nikła, że nie ważyłem się wcale polegać na ich lekach. Tłuszciochom dawałem leki, które łagodziły im bóle żołądka i ratowały od zaduszenia, a środki te sprzedawałem po wysokiej cenie, stosownie do zamożności pacjenta. I nie kłóciłem się z nikim, lecz dawałem dary lekarzom i regentom, a Kaptah szerzył moją sławę po ulicach i rozdawał pożywienie żebrakom i baśniarzom, by sławili mnie na placach i ulicach i by imię moje nie popadło w niepamięć.

Zarobiłem mnóstwo złota i wszystko, czego sam nie zużyłem lub nie rozdzieliłem w darze, ulokowałem w domach handlowych w Simirze, które wysyłały okręty do Egiptu i na wyspy, i do kraju Hatti. Miałem więc udziały w wielu statkach, w jednym setną część, w innym znowu pięćsetną, w zależności od moich dochodów w danej chwili. Niektóre z nich nigdy nie wróciły, większość jednak wracała, a wtedy w księgach domów handlowych zapisywano mi moje złoto podwojone lub potrojone. Taki był zwyczaj w Simirze, nieznanym w Egipcie, nawet biedacy tam spekulowali i powiększali w ten sposób swoje mienie, lub też stawali się jeszcze biedniejsi, albowiem dziesięciu lub dwudziestu biedaków mogło złożyć się na zakup jednej tysięcznej jakiegoś statku i jego ładunku. Dzięki temu nie musiałem przechowywać złota w domu i kusić złodziei i rabusiów, lecz całe moje złoto zapisane było w księgach domów handlowych. A gdy wyjeżdżałem do innych miast, takich jak Byblos i Sydon, by leczyć chorych, nie potrzebowałem zabierać z sobą złota, lecz dostawałem glinianą tabliczkę z domu handlowego. Za jej okazaniem otrzymywałem złoto w domu handlowym w Byblos lub w Sydonie, kiedy mi było potrzebne, kiedy chciałem kupić coś szczególnego. Ale często wcale tego nie potrzebowałem, bo złoto dawali mi po uzdrowieniu chorzy, którzy sprowadzali mnie z Simiry, straciwszy zaufanie do lekarzy w swoim własnym mieście.

Tak więc dobrze mi się we wszystkim powodziło, moje dochody rosły, a Kaptah tył i odziewał się w drogie szaty, i namaszczał kosztownymi olejkami, i robił się coraz bardziej krnąbrny wobec mnie, aż wreszcie zbilem go kijem. Ale dlaczego wiedło mi

się tak dobrze, nie umiem powiedzieć.

ROZDZIAŁ 2

Wciąż jeszcze byłem samotny i życie nie sprawiało mi żadnej radości. Nawet wino sprzykrzyło mi się, już nie cieszyło mi serca, bo gdy się napiłem, twarz robiła mi się czarna jak sadza, tak że chciałem umrzeć. Dlatego pogłębiałem swoje wiadomości i uczyłem się mowy i pisma babilońskiego, aby ani przez chwilę nie być w ciągu dnia beczynnym, w nocy zaś spałem jak kamień. Gdy tylko bowiem nie miałem zajęcia, serce pęczyło mi w piersi i gorzej niż soda zżerał mi serce smutek nad sobą samym i nad moimi uczynkami.

Zapoznałem się też z syryjskimi bogami, żeby zobaczyć, czy mają mi coś do powiedzenia. Bogowie są w Syrii – tak jak i wszystko – inni niż w Egipcie. Największym bogiem Simiry był Baal. Było to bóstwo ponure, którego kapłani kastrowali się i które za przychyłność dla miasta żądało ofiar w ludziach. Również i morze domagało się ofiar od mieszkańców Simiry, a Baal żądał od nich małych dzieci; kupcy i książe w Simirze ciągle musieli starać się o nowe ofiary. Toteż w Simirze nie można było zobaczyć niewolnika kaleki, a biedakom groziły surowe kary, za najmniejsze przewinienie. Mężczyzna, który ukradł rybę, aby nakarmić swą rodzinę, ćwiartowany był w ofierze na ołtarzu Baala. Natomiast ten, który oszukał drugiego, fałszując wagę lub też mieszając złoto ze srebrem, nie dostawał żadnej kary, lecz zdobywał dobrą sławę jako szczywany kupiec. Mówiono bowiem: „Człowiek jest po to by go oszukiwać”. Toteż żeglarze i kapitanowie syryjscy kradli dzieci aż w Egipcie i wzdłuż wybrzeży, aby móc składać je w ofierze Baalowi, co poczytywano im za wielką zasługę.

Kobiecym bóstwem Syryjczyków była Astarte, zwana także Isztar, Isztar z Niniwy. Miała ona wiele piersi i odziewano ją co dzień w klejnoty i cienkie szaty, a służebnicami jej były kobiety, które z jakiegoś powodu nazywano dziewicami świątyni, jakkolwiek naprawdę nie były one dziewicami. Wprost przeciwnie – zadaniem ich było dawać rozkosz w świątyni, co uważano za uczynek miły bogini, tym miłszy, im więcej srebra czy złota gość podarował świątyni. Toteż kobiety te współzawodniczyły ze sobą w różnych sposobach przypodobania się mężczyźnie i od dziecka wychowywane były na to, by dogadzać mężczyznom na różne sposoby, tak aby ci ze względu na nie składali Astarte w ofierze wiele złota. Także i z tym było inaczej niż w Egipcie, gdzie skosztowanie rozkoszy z kobietą na terenie świątyni jest wielkim grzechem i gdy kogoś na tym przyłapią, zsyłają do kopalń, a świątynia podlega oczyszczeniu. Własnych kobiet kupcy z Simiry strzegli surowo, trzymając je zamknięte w domach i odziewając od stóp do głów w grube szaty, aby nie kusily obcych swym wyglądem. Sami natomiast mężczyźni

chodzili do świątyni dla urozmaicenia i przypodobania się bogom. Toteż w Simirze nie było żadnych domów rozpusty, jak w Egipcie. Gdy ktoś nie był zadowolony z dziewic świątyni, musiał wziąć sobie żonę lub kupić na targowisku niewolnicę, aby z nią zażywać rozkoszy. Niewolnice wystawiano też na sprzedaż codziennie, bo nieustannie zawiąły do portu w Simirze statki i w mieście znaleźć można było niewolnice różnych kolorów skóry i wielkości, grube i chude, dzieci i dziewczynki, stosownie od różnych upodobań i smaków. Władcy miasta kupowali też po niskich cenach okaleczonych niewolników, aby złożyć ich w ofierze Baalowi, a dokonawszy tego uśmiechali się i bili się w piersi, uważając się za bardzo przebiegłych w oszukiwaniu swego boga. Wszakże gdy niewolnik był bardzo stary, bezzębny, beznogi i śmiertelnie chory, zawiązywano bogu oczy przepaską, aby nie mógł zobaczyć wad ofiary, lecz cieszył się czując w nozdrzach zapach krwi płynącej na jego cześć.

Także i ja składałem ofiary Baalowi, bo był to bóg miasta i najbezpieczniej było znajdować się z nim na dobrej stopie. Ale jako Egipcjanin nie kupowałem ofiar ludzkich, lecz dawałem mu złoto. Czasami chodziłem też do świątyni Astarte, którą otwierano wieczorem, słuchałem muzyki i przyglądałem się, jak kobiety ze świątyni, których nie chcę nazywać dziewicami, tańczą lubieżne tańce na cześć bogini. Ponieważ taki był zwyczaj, zażywałem z nimi rozkoszy i wielkie było moje zdumienie, gdyż uczyły mnie różnych sztuczek, których nie znałem. Ale serce moje nie radowało się nimi, wszystko to robiłem z ciekawości, a gdy mnie już nauczyły tego, co umiały, sprzykrzyły mi się i nie poszedłem już więcej do ich świątyni, i nie ma moim zdaniem nic tak monotonnego, jak ich sztuka.

Kaptah trapił się jednak i często potrząsał głową patrząc na mnie, bo twarz postarzała mi się, a zmarszczki między brwiami pogłębiły i serce moje zamknęło się w sobie. Dlatego chciał on, żebym wziął sobie niewolnicę, z którą mógłbym zażywać rozkoszy w wolnych chwilach, ponieważ nie mogłem wziąć sobie żony z obcego ludu, a nie obcując z egipską kolonią nie mogłem też kosztować rozkoszy z kobietami, których mężowie byli w podróży lub na wojennym odkomenderowaniu w głębi kraju. A że Kaptah prowadził mi gospodarstwo i zarządzał moim złotem, kupił mi pewnego dnia niewolnicę według swojego gustu, wykapał ją, odział i namaścił, i pokazał mi ją wieczorem, gdy zmęczony po całodziennej pracy lekarskiej chciałem w spokoju pójść do łóżka.

Dziewczyna pochodziła z wysp na morzu i skóra jej była biała, a zęby bez żadnej skazy. Nie była też chuda, a oczy jej były krągłe i łagodne jak u jałówki. Patrzyła na mnie z czcią i żywiła lęk przed obcym miastem, do którego się dostała. Kaptah pokazał

mi ją i opisał z przejęciem jej piękność, więc aby mu dogodzić, spróbowałem zażyć z nią rozkoszy. Ale choć dokonywałem największych wysiłków, żeby nie być samotnym, serce moje nie cieszyło się nią i mimo najlepszych chęci nie mogłem jej nazywać moją siostrą.

Jednakże popełniłem błąd będąc wobec niej zbyt uprzejmy, odtąd bowiem zhardziała i wielce mi przeszkadzała, gdy badałem moich pacjentów. Dużo jadła i zrobiła się tłusta, wciąż domagała się różnych ozdób i nowych szat, chodziła wodząc wciąż za mną zatroskanymi oczyma i nieustannie chciała zażywać ze mną rozkoszy. Nie pomagało wcale, że wyjeżdżałem i podróżowałem po wnętrzu kraju i miastach nadbrzeżnych, bo gdy wracałem do domu, ona pierwsza wychodziła mi na spotkanie, płacząc z radości na mój widok, i znów wodziła za mną zatroskanymi oczyma, abym zażył z nią rozkoszy. Nie pomogło też, że w gniewie zbilem ją kijem, bo od tego stała się jeszcze żarliwsza niż przedtem i podziwiała moją siłę, tak że życie stało się dla mnie nie do zniesienia we własnym domu. W końcu chciałem ją oddać Kaptahowi, który wybrał ją według swego gustu, aby skosztować z nią rozkoszy, a ja żebym miał wreszcie spokój. Ale ona gryzła i kopała Kaptaha przeklinając go zarówno w języku Simiry, z którego nauczyła się kilku słów, jak i we własnej swej mowie z wysp na morzu, której nikt z nas nie rozumie. Nie pomogło, że obaj zbiliśmy ją kijami, tym żarliwiej pragnęła zażyć rozkoszy za mną.

Lecz skarabeusz przyniósł mi szczęście. Pewnego dnia przybył do mnie pacjent z wnętrza kraju. Był to król Amurru, który zwał się Aziru i do którego doszły słuchy o mojej sławie. Leczyłem mu żęby i zrobiłem mu z kości słoniowej nowy ząb na miejsce tego, który stracił w wojnie z sąsiadami, inne zaś uszkodzone zęby powlokłem mu złotem. Zrobiłem to wszystko jak najlepiej, a że mieszkał w Simirze i odbywał narady z księżętami miasta w sprawach wynikłych między Amurru i Simirą, odwiedzał mnie codziennie. W taki to sposób zobaczył moją niewolnicę – którą od wysp na morzu nazywałem Keftiu, jako że nie mogłem wymówić jej pogańskiego imienia – i znalazł w niej upodobanie. Aziru był mocny jak byk i miał białą skórę. Broda jego była granatowoczarna i lśniąca, a w oczach miał dumny błysk, tak że Keftiu zaczęła patrzeć na niego z pożądaniem, bo wszystko co obce, pociąga kobiety. Jemu zaś podobała się szczególnie tusza Keftiu, choć dziewczyna była jeszcze młoda. Także szaty, które nosiła na sposób grecki, rozpały bardzo księcia, ponieważ zakrywały szyję, lecz pozostawiały odsłoniętą pierś, on zaś przywykł widzieć kobiety zawinięte od stóp do głów. Z tego powodu nie mógł w końcu oprzeć się żądzy, lecz zaczął ciężko wzdychać i powiedział do mnie:

– Zaiste jesteś mi przyjacielem, Sinuhe, Egipcjaninie. Wyleczyłeś mi zęby i

sprawiłeś, że usta moje błyszczą od złota, gdy tylko je otworzę, skutkiem czego wielka będzie moja sława w kraju Amurru. Za to wszystko dam ci tak bogate dary, że podniesiesz ręce do góry ze zdumienia. Mimo to zmuszony jestem cię zranić, choć wcale tego nie pragnę, bo gdy zobaczyłem kobietę, która mieszka w twoim domu, znalazłem w niej upodobanie i nie mogę się już dłużej oprzeć memu pożądaniu, gdyż szarpie mi ono ciało jak dziki kot i żadna twoja sztuka nie potrafi wyleczyć tej choroby. Tak silne jest bowiem we mnie pożądanie tej kobiety, że uważam to za chorobę. Nie widziałem nigdy niewiasty do niej podobnej, rozumiem więc, że kochasz ją wielce, gdy nocą rozgrzewa cię w łóżku. Mimo to domagam się jej od ciebie, by zrobić z niej małżonkę pośród innych moich żon i żeby nie była już dłużej niewolnicą. Mówię ci to otwarcie, boś moim przyjacielem i prawym człowiekiem, i zapłacę ci za nią, ile tylko zażądaś. Ale powiem ci również otwarcie, że jeśli dobrowolnie z niej nie zrezygnujesz, porwę ją siłą i zabiorę do mego kraju, gdzie nigdy jej nie znajdziesz, nawet gdybyś się odważył tam przybyć, by jej szukać. Także gdybyś uciekł z Simiry z tą kobietą, odszukam cię, a moi wysłannicy znajdą cię choćby na drugim końcu świata, zabiją cię, a ją przywiodą do mnie. Wszystko to mówię ci z góry, ponieważ jesteś mężem prawym i moim przyjacielem i nie chcę rozmawiać z tobą oszukańczo.

Tak mnie zachwyciły te jego słowa, że podniosłem ręce do góry na znak radości, ale Kaptah, który także je słyszał, zaczął rwać włosy z głowy i biadać:

– Nieszczęsny ten dzień i lepiej byłoby memu panu, żeby nigdy się nie urodził, skoro zamierzasz mu zabrać tą kobietę, która cieszy jego serce. Strata ta nie da się niczym wynagrodzić, bo dla pana mego jest ona droższa niż wszystko złoto na świecie i drogie kamienie, i kadzidło. Jest bowiem piękniejsza od księżycy w pełni, a brzuch ma krągły i biały jak kopczyk pszenicy, choć ty go jeszcze nie oglądałeś, księżę, a piersi jej są jak melony, co widzisz własnymi oczyma.

Mówił tak, ponieważ w Simirze nauczył się handlowych zwyczajów i chciał uzyskać najwyższą cenę za dziewczynę, jakkolwiek obaj niczego więcej nie pragnęliśmy, jak pozbyć się jej. Gdy Keftiu usłyszała, o co chodzi, wybuchła płaczem i oświadczyła, że nigdy mnie nie opuści, ale płacząc patrzyła przez palce z zachwytem na księcia i jego kędzierzawą brodę.

Podniosłem ręce, by zamilkli, przybrałem poważną minę i rzekłem:

Księżę Aziru, królu kraju Amurru i mój przyjacielu! Wprawdzie kobieta ta jest droga mojemu sercu i nazywam ją siostrą, ale twoja przyjaźń jest droższa nad wszystko inne. Dlatego daję ci ją na zastaw naszej przyjaźni, nie za zapłatę, lecz jako dar, żebyś się nią nacieszył i robił z nią wszystko, czego pragnie dziki kot w twoim ciele, bo jeśli

się nie myślę, serce jej odwróciło się do ciebie i będzie z tego wszystkiego zadowolona, gdyż i w jej ciele, jeśli ją znam, kryje się wiele dzikich kotów.

Aziru wykrzyknął głośno z radości i powiedział:

– Naprawdę, Sinuhe, choć jesteś Egipcjaninem, a wszystko zło pochodzi z Egiptu, od dziś jesteś moim bratem i przyjacielem i imię twoje błogosławione będzie w całej krainie Amurru. A gdy do mnie zagościsz, siedzieć będziesz po mojej prawicy, przed wszystkimi możliwymi i wszystkimi innymi gośćmi, nawet gdyby gościli u mnie królowie. Przysięgam ci na to.

Powiedziawszy to zaśmiał się tak, że zabłyśły jego złote zęby, popatrzył na Keftiu, która przestała płakać, i spowaźniał. Oczy zaczęły mu płonąć i chwycił dziewczynę w objęcia, tak że melony zakołysały się, i rzucił do lektyki, jak gdyby nie czując jej ciężaru. Potem odszedł zabierając ze sobą Keftiu i nie widziałem go przez trzy dni. Nie widział go też nikt inny w mieście Simirze, bo zamknął się w swej gospodzie na trzy dni i trzy noce. A Kaptah i ja cieszyliśmy się wielce, żeśmy się pozbyli uprzykrzonej dziewczyny. Kaptah ganił mnie jednak, że nie zażądałem za nią darów, choć Aziru byłby mi dał za nią, czegokolwiek bym zechciał. Ale ja odparłem:

– Zapewniłem sobie przyjaźń Aziru dając mu dziewczynę w darze. O jutrze nic z góry nie wiadomo. Choć kraj Amurru jest maleńki, małoznaczny i rodzi tylko osły i barany, to przyjaźń króla jest jednak przyjaźnią króla i może więcej warta jest niż złoto.

Kaptah trząśł głową, ale namaścił naszego skarabeusza mirrą i położył przed nim świeży nawóz w podzięcie za to, że pozbyliśmy się Keftiu.

Nim Aziru wyjechał z powrotem do kraju Amurru, przyszedł jeszcze do mnie, skłonił się do ziemi i powiedział:

– Nie przynoszę ci darów, Sinuhe, bo dałeś mi coś, co nie da się wynagrodzić darami. Dziewczyna jest jeszcze cudowniejsza, niż sądziłem, a oczy jej są jak krynice bez dna i nigdy nie jestem nią znużony, choć wycisnęła już ze mnie nasienie, jak się wyciska oliwę z oliwek. Chcąc być z tobą uczciwym wyznam, że kraj mój nie jest zbyt bogaty i że nie mogę zdobyć złota w inny sposób, jak tylko biorąc daninę od kupców przejeżdżających przez moje ziemie i urządzając wyprawy wojenne na sąsiadów. Wtedy jednak Egipcjanie opadają mnie natychmiast jak bąki i często tracę więcej niż zyskałem. Dlatego nie mogę dać ci darów, jak na to zasługiwałoby twoje postępowanie, i jestem rozgorączkowany na Egipcjan, którzy zniszczyli dawną wolność mego kraju, tak że nie mogę już bez przeszkód prowadzić wojen i plądrować kupców, jak to mieli w zwyczaju moi przodkowie. Ale przyrzekam ci, że kiedykolwiek do mnie przybędziesz i o cokolwiek mnie poprosisz, dam ci, jeśli to tylko będzie w mojej mocy,

bylebyś tylko nie żądał tej kobiety i koni, ponieważ koni mam mało i potrzebuję ich do moich wozów bojowych. Czegokolwiek jednak innego byś zażądał, dam ci to, jeśli będę mógł. A gdyby ktoś cię wprawił w gniew, przyślij mi tylko o tym wiadomość, a moi ludzie zabiją go, choćby to był nie wiem kto. Bo mam swoich ludzi tu w Simirze, choć nie wszyscy o tym wiedzą, a także w innych miastach Syrii mam ludzi, choć spodziewam się, że zachowasz to w tajemnicy. Mówię ci to, żebyś wiedział, że każę zgładzić każdego, kogo tylko zechcesz, i nikt się o tym nie dowie, a imię twoje nie będzie wmieszane w tę sprawę. Tak wielka jest moja przyjaźń dla ciebie.

Uściskał mnie na sposób syryjski i widziałem, że mnie wielce szanuje i podziwia, bo zdjął z szyi złoty łańcuch i powiesił go na mojej szyi – choć musiało to pewnie być dla niego dużym poświęceniem, gdyż ciężko wzdychał, gdy to robił. Toteż i ja zdjąłem z szyi łańcuch, który dostałem od najbogatszego armatora w Simirze, uratowawszy życie jego żonie przy ciężkim porodzie, i powiesiłem mu ten łańcuch na szyi, tak że nie stracił na zamianie, co go ogromnie ucieszyło. Tak rozstaliśmy się.

ROZDZIAŁ 3

Gdy uwolniłem się od tej kobiety, serce moje zrobiło się lekkie jak ptak, oczy zatęskniły, by zobaczyć nowe rzeczy, umysł zaś nappełnił się niepokojem, tak że nie czułem się już dobrze w Simirze. Była znowu wiosna i statki w porcie przygotowywały się do dalekich wypraw, a gdy ziemia zaczęła się zielenić, kapłani wyszli na miasto, żeby odkopać swego boga, Tamuza, którego w jesieni pochowali z wielkim bładaniem i kaleczeniem własnych ciał do krwi.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, poszedłem i ja za kapłanami i tłumem ludzi. Ziemia pokryta była jasną zielenią, drzewa wypuszczały pierwsze listki, gołębie gruchały, a żaby dały się w stawach. Kapłani odwalili głaz przykrywający otwór grobowca, odkopali boga i zaczęli wydawać radosne okrzyki i głosić, że żyje i zmartwychwstał. Także lud wydał radosny okrzyk a zaczął wrzeszczeć i hałasować, łamać gałęzie z drzew i pić wino i piwo przy straganach, które przekupnie w wielkim pośpiechu ustawili koło grobu. Kobiety ciągnęły na wozie wielki drewniany członek męski i wznosiły radosne okrzyki, a gdy zapadła noc, zrzuciły szaty i rozbiegły się po łąkach. I nie było różnicy między mężatkami i niezamężnymi, ludzie brali się jak popadło, aż się roilo na łąkach i na górskich zboczach. Również i w tym wszystkim byli oni odmienni od Egipcjan. Gdy się im przyglądałem, chwyciła mnie zawiść i pomyślałem, że pewnie byłem stary już przy urodzeniu, podobnie jak czarny kraj jest starszy od wszystkich innych krajów, podczas gdy ci tutaj byli ludem młodym i stosownie do tego czcili swoich bogów.

Z wiosną nadeszła też wieść, że Habirowie przyszli z pustyni i splądrowali

syryjskie ziemie nadgraniczne od południa do północy, paląc wsie i oblegając miasta. Ale również i siły zbrojne faraona nadciągnęły przez Pustynię Synajską od Tanis, walczyły z Habirami, brały do niewoli ich wodzów i odpędzały hordy Habirów na pustynię. Tak było co wiosny i działo się tak zawsze, ale tym razem mieszkańcy Simiry zaniepokoiли się, bo Habirowie splądrowali miasto Katna, gdzie stał egipski garnizon, zabili miejscowego księcia i wymordowali mieczami wszystkich Egipcjan, nie wyłączając nawet kobiet i dzieci i nie biorąc nikogo do niewoli dla uzyskania okupu. A coś podobnego nie wydarzyło się jeszcze za ludzkiej pamięci, bo warownych miast Habirowie zazwyczaj unikali.

Tak to w Syrii wybuchła wojna, ja zaś jeszcze nigdy wojny nie widziałem. Toteż pojechałem do wojsk faraona, bo chciałem poznać także wojnę, aby dowiedzieć się, czy wojna ma mi coś do powiedzenia, a także, by studiować rany zadane bronią i bojowymi pałkami. Przede wszystkim jednak udałem się tam dlatego, że dowódcą wojsk faraona był Horemheb, ja zaś w mojej samotności tęskniłem za widokiem twarzy i dźwiękiem głosu przyjaciela. Walczyłem więc sam z sobą, mówiąc sobie w duchu, że może nie zechce mnie już znać, może wstydzi się z powodu moich uczynków. Upłynęło jednak sporo czasu i przez te dwa lata wiele się we mnie zmieniło. Może serce już mi się zahartowało, bo wspomnienie mej hańby nie przerażało mnie już tak bardzo, jak przedtem. Toteż wybrałem się w drogę statkiem wzdłuż wybrzeża, z wybrzeża zaś w głąb kraju udałem się z oddziałami prowiantowymi, których woły ciągnęły sanie ze zbożem, a osły dźwigały dzbany z olejem i winem oraz wory cebuli. Tak dostałem się do małego, położonego na górze i otoczonego murami miasteczka, nazywającego się Jerozolima. Stał tam niewielki egipski garnizon, a Horemheb zrobił to miasto swoją główną kwaterą na dalszy ciąg wojennej wyprawy. Wieści zasłyszane w Simirze przesadziły jednak bardzo siłę armii faraona, gdyż pod rozkazami Horemheba znajdował się tylko oddział wozów bojowych i parę tysięcy łuczników i oszczepników, podczas, gdy hordy Habirów były tej wiosny liczniejsze niż piaski pustyni.

Horemheb przyjął mnie w brudnej lepiance słowami:

– Znałem kiedyś jednego Sinuhe, który też był lekarzem, a był to mój przyjaciel. Przyjrzał mi się, patrząc ze zdziwieniem na syryjski płaszcz, który przyzwyczaiłem się nosić. Zmęźniałem, podobnie jak i on, i twarz mi się zmieniła. Ale poznał mnie i podnosząc na przywitanie przeplatana złotem pletnię dowódcy uśmiechnął się i rzekł: – Na Amona, tyś jest Sinuhe, choć myślałem, że nie żyjesz. – Wyprosił z izby swoich oficerów i pisarzy z mapami i zwojami papirusu, kazał podać wina i zapraszając mnie do picia, powiedział: – Dziwne są drogi Amona, skoro spotykamy się w czerwonym

kraju, w tym brudnym i nędznym miasteczku.

Gdy usłyszałem jego głos, drgnęło mi serce w piersi i wiedziałem, że się za nim stęskniłem. Opowiedziałem, co uważałem za stosowne, o moim życiu i losach, a on rzekł:

– Jeśli chcesz, możesz jako lekarz towarzyszyć naszym wojskom i dzielić ze mną chwałę, bo dam tym parszywym Habiróm takie lanie, że popamiętają moje imię i będą żałować, że przyszli na ten świat. – Po czym ciągnął: – Byłem co prawda dość głupim młodziekiem gdyśmy się spotkali po raz pierwszy, i miałem jeszcze stopy uwalane gnojem. Ty zaś byłeś już wtedy światowcem i dawałeś mi dobre rady. Dużo się od tego czasu nauczyłem i więcej rozumiem, a w rękę trzymam, jak widzisz, złoty bicz dowódcy. Ale zasłużyłem sobie na niego politowania godną służbą w gwardii przybocznej faraona, polując na rabusiów i zbrodniarzy, których w swym szaleństwie zwolnił z kopalń, tak że wiele mieliśmy kłopotu z wybicciem ich. Kiedy usłyszałem o napaści Habirów, prosiłem faraona, by mi dał wojsko przeciw nim. A nikt z wyższych oficerów nie chciał się ze mną ubiegać o dowództwo, bo łatwiej o złoto i odznaczenia w otoczeniu faraona niż na pustyni, Habirówie zaś mają ostre oszczepy, a ich okrzyk bojowy jest straszny, o czym sam już się przekonałem. Tak to pozwolono mi w końcu zdobyć wojenne doświadczenie i wyćwiczyć oddziały w prawdziwym boju, ale jedyną troską faraona jest, żebym tutaj, w Jerozolimie, zbudował świątynię dla jego nowego boga i żebym przegnał Habirów bez rozlewu krwi.

Horemheb wybuchnął śmiechem, uderzając biczem, po nodze. Także i ja śmiałem się, on jednak szybko spoważniał, napił się wina i powiedział:

– Mówiąc uczciwie, Sinuhe, bardzo się zmieniłem od czasu, kiedyśmy się widzieli po raz ostatni, bo człowiek, który żyje w bliskości faraona, zmienia się, czy chce, czy nie chce. Faraon niepokoi mnie, bo dużo myśli i mówi o swoim bogu, który jest odmienny, niepodobny do innych bogów, tak że nawet ja miałem często w Tebach uczucie, jakby w mózgu łążyły mi mrówki, i nie mogłem spać po nocach, jeśli nie napiłem się wina i nie leżałem z kobietami, by rozjaśniło mi się w głowie. Tak osobliwy jest jego bóg. Nie ma on żadnej postaci, choć jest wszędzie. Obraz jego jest okrągły, a swymi wieloma rękami błogosławi on wszystko, co zostało stworzone. W obliczu tego boga nie ma żadnej różnicy między niewolnikiem i możnym. Powiedz mi, Sinuhe, czy to wszystko nie jest gadaniną chorego człowieka? Nie mogę oprzeć się myśli, że gdy faraon był mały, pogryzła go chora małpa. Nikt inny bowiem, tylko szaleniec może sobie wyobrażać, że da się przepędzić Habirów bez rozlewu krwi. Gdy usłyszysz w bitwie ich wycie, zrozumiesz, że mam słuszność. Ale faraon może unyć ręce, jeśli tak sobie życzy.

Chętnie wezmę na siebie grzech przed jego bogiem i skoszę Habirów kołami moich wozów bojowych.

Napił się wina i mówił dalej:

– Moim bogiem jest Horus, nie mam też nic przeciwko Amonowi, bo w Tebach nauczyłem się wielu znakomitych przekleństw związanych z jego imieniem, które robią duże wrażenie na żołnierzach. Ale rozumiem, że Amon stał się nazbyt potężny i że nowy bóg musi dlatego współzawodniczyć z Amonem, żeby umocnić władzę faraona. Powiedziała mi to sama wielka matka królewska i potwierdził to też kapłan Eje, który teraz nosi pastorał po prawej ręce króla. Z pomocą swego Atona zamierzają oni strącić Amona lub przynajmniej ograniczyć jego moc, bo nie uchodzi, żeby kapłani Amona zarządzili Egiptem ponad głowę króla. Jest to słuszne i politycznie mądre i jako żołnierz rozumiem doskonale, dlaczego nowy bóg jest nieodzownie potrzebny. Nie miałbym też nic przeciw temu, gdyby faraon zadowolili się budowaniem mu świątyń i wynagradzaniem kapłanów, którzy mu służą. Ale faraon zbyt wiele myśli i mówi o swoim bogu i o czymkolwiek zacznie się z nim mówić, sprowadza w końcu zawsze, prędzej czy później, rozmowę na swego boga. I robi przez to ludzi, którzy go otaczają, jeszcze bardziej szalonymi, niż jest on sam. Powiada, że żyje prawdą, ale prawda jest jak ostry nóż w rękach dziecka, nóż zaś należy nosić w pochwie i używać tylko, gdy to jest rzeczywiście potrzebne. Tak też jest i z prawdą. Dla nikogo nie jest ona bardziej niebezpieczna, jak dla tego, kto włada i rozkazuje.

Łyknął wina i ciągnął:

– Dziękuję mojemu sokołowi, że mogłem opuścić Teby, bo w Tebach wrze jak w kotle z powodu jego boga, ja zaś nie chce się mieszać w spory między bogami. Także małżeństwo jego wzbudziło niechęć, bo księżniczka Mitanni, która bawiła się lalkami, umarła, a faraon podniósł do rangi pierwszej królewskiej małżonki dziewczynę Nefretete, córkę kapłana Eje. Wprawdzie Nefretete jest piękna i dobrze się ubiera, ale jest bardzo samowolna i we wszystkim podobna do swego ojca.

– Jak umarła księżniczka Mitanni? – zapytałem, bo widziałem to wielkookie dziecko, jak ze strachem patrzyło na Teby, gdy Aleją Baranów niesiono je do świątyni, ubrane i przystrojone jak posąg boga.

– Lekarze mówią, że nie znosiła egipskiego klimatu – odparł Horemheb i zaśmiał się. – To wierutne kłamstwo, bo wszyscy wiedzą, że żaden kraj nie ma zdrowszego klimatu niż Egipt. Sam jednak wiesz, że śmiertelność w domu kobiet faraona jest duża, większa niż w ubogiej dzielnicy Teb, choć nikt by w to nie uwierzył. Najrozsądniej nie wymieniam żadnych imion, ale gdybym śmiał, podjechałbym moim wozem pod dom

kapłana Eje.

Po czym poszliśmy spać do namiotu.

Rano zbudziły mnie dźwięki rogów. Żołnierze zbierali się w oddziały i stawali w szyku, a podoficerowie biegali wzdłuż szeregów szturchając ich i okładając biczami. Gdy wszyscy byli już ustawieni, Horemheb wyszedł z brudnej lepianki ze złotym biczem w dłoni, a sługa niósł nad jego głową parasol i opędzał packą muchy, gdy Horemheb mówił. On zaś powiedział tak:

– Egipcycy żołnierze! A mówiąc „egipcycy żołnierze” zwracam się tak samo do was, śmierdzący Murzyni, co i do was, brudni Syryjczycy, mam na myśli także was, Szardanie i woźnice wozów bojowych, którzy jeszcze najbardziej przypominacie żołnierzy, zwracam się też do Egipcjan w tej beczącej i ryczącej trzodzie bydła. Byłem dla was pobłażliwy i ćwiczyłem was cierpliwie, teraz jednak skończyła się moja pobłażliwość i nie chce mi się nawet wysłać was na ćwiczenia, bo gdy maszerujecie, zaplątujecie się we własne oszczepy, a gdy strzelacie w biegu z łuku, strzały sypią się na wszystkie strony świata, kaleczycie się nawzajem i gubicie strzały, na co nie możemy sobie pozwolić, sława faraonowi, niech ciało jego zachowa się na wieki. Toteż dziś poprowadzę was do boju, bo moi wywiadowcy zameldowali, że Habirowie rozbili obóz po drugiej stronie góry. Nie umiem wam powiedzieć ilu ich jest, bo szperacze uciekli w popłochu i nie zdążyli ich policzyć. Spodziewam się jednak, że będzie ich dostatecznie wielu, by pozabijać was wszystkich, tak żebym wreszcie nie musiał oglądać waszych nędznych ryjów i mógł wrócić do Egiptu, by zebrać armię prawdziwych mężczyzn kochających łup i sławę. W każdym razie pozwolę wam jeszcze spróbować ten ostatni raz.

Popatrzył na żołnierzy, surowo przesywając wzrokiem każdego, i nikt nie ważył się drgnąć, gdy mówił dalej:

– Poprowadzę was do bitwy i niech każdy wie, że w bitwie będę jechał na przedzie i nie zatrzymam się, by zobaczyć, czy ktoś za mną idzie, czy też nie. Jestem bowiem synem Horusa i leci przede mną sokół, i mam zamiar pobić dzisiaj Habirów, choćbym miał to zrobić sam jeden. W każdym razie zapowiadam wam z góry, że bicz mój będzie wieczorem ociekać krwią, bo własnoręcznie wychłostam każdego, kto za mną nie pójdzie. A będę chłostać tak, że chłostany wolałyby się nigdy nie urodzić. I zapewniam, że bicz mój kąsa nie gorzej niż oszczepy Habirów, które są z kiepskiej miedzi i łatwo pękają. Najgorsze w Habirach jest ich wycie, które istotnie jest przeraźliwe, skoro więc ktoś boi się krzyku, niech zatka sobie uszy gliną. Nie będzie z tego żadnej szkody, bo i tak w wrzasku Habirów nie dosłyszycie żadnych rozkazów, każdy niech więc idzie

za swoim dowódcą, a wszyscy niech idą za moim sokołem. Powiem wam jeszcze o Habirach, że walczą bezładnie jak stado bydła, podczas gdy ja was uczyłem nacierać w zwartym szyku, łuczników zaś ćwiczyłem, by strzelali wszyscy równocześnie, na rozkaz albo na znak. Toteż niech Set i jego demony usmażą każdego, kto strzeli przedwcześnie albo wypuści strzałę nie celując. Nie idźcie też do bitwy lamentując jak stare baby, lecz przynajmniej udawajcie, że jesteście mężczyznami, boć nosicie w każdym razie fartuszki, a nie spódnice. Jak pobijecie Habirów, możecie podzielić się ich bydłem i własnością i wzbogacić się, bo zebrali dużo łupu we wsiach, które spalili. Dla siebie nie zamierzam zatrzymać ani jednego niewolnika czy wołu, lecz wszystko podzielicie między siebie. Także ich kobietami podzielicie się i sądzę, że sprawi wam przyjemność pogzić się z nimi wieczorem, bo kobiety Habirów są piękne, ogniste i kochają dzielnych wojaków.

Powiódł wzrokiem po wojsku i nagle ludzie wzniesli okrzyk jak jeden mąż i zaczęli uderzać oszczepami o tarcze i wymachiwać łukami. A Horemheb uśmiechnął się, pomachał obojętnie biczem i powiedział:

– Widzę, że palicie się, aby dostać lanie, jednak musimy wpierw poświęcić świątynię nowego boga faraona, który nazywa się Aton. Z natury swej nie jest on jednak wojowniczy, toteż nie sądzę, byście mieli z niego dużo pociechy. Dlatego też niech siły główne wymaszerują, a straż tylna zostanie tutaj, żeby poświęcić świątynię i przekonać się o łasce faraona wobec nas. Macie bowiem przed sobą długi marsz, bo zamierzam poprowadzić was do boju tak zmęczonych, jak to tylko możliwe, żebyście nie mieli sił uciekać, lecz tym dzielniej walczyli o życie.

Znów machnął niedbale biczem i znowu wojska wzniosły okrzyk pełen zapału i zaczęły wylewać się z miasta w wielkim nieładzie, a każdy oddział szedł za swoim znakiem polowym, niesionym na drążku na czele oddziału. Szli więc za lwimi ogonami, sokołami i łbami krokodyli do boju, lekkie zaś wozy bojowe jechały przed wojskiem, żeby je ubezpieczać. Natomiast najwyżsi oficerowie i tylna straż udali się za Horemhebem do świątyni zbudowanej na wysokiej górze na skraju miasta. A gdyśmy tam szli, słyszałem, jak oficerowie sarkają i mówią do siebie:

– Co to za szyk, w którym dowódcy idą do boju na czele? Wcale nie zamierzamy tak robić, bo zawsze było w zwyczaju, że oficerów nosi się w lektykach za oddziałami. Oni jedni umieją pisać, w jakiż więc sposób ktoś inny mógłby zapamiętać, co robią żołnierze, i ukarać tych co uciekają!

Horemheb słyszał doskonale ich rozmowy, ale tylko trząsał biczem, uśmiechał się i nic nie mówił.

Świątynia była maleńka i pośpiesznie sklecona z drzewa i gliny, inna niż zazwyczaj bywają świątynie, otwarta, pośrodku stał ołtarz. Nie było tam wcale widać żadnego bóstwa i żołnierze rozglądali się dokoła ze zdziwieniem, szukając boga. A Horemheb rzekł:

– Jego bóg jest okrągły i wygląda jak tarcza słoneczna, patrzcie więc na niebo, jeśli oczy wasze to zniosą. Błogosławi on was swymi rozlicznymi rękami, choć podejrzewam, że dziś po marszu palce jego będziecie czuć jak rozpalone szpilki w waszych grzbietach.

Ale żołnierze szemrali i mówili, że bóg faraona zbyt jest daleko. Chcieli boga, prze którym mogliby się rzucić na ziemię, którego można by dotknąć ręką, gdyby się miało odwagę. Zamilkli jednak, gdy wystąpił kapłan, smukły młodzieniec, którego głowa nie była ogolona i który nosił na ramionach biały humerał. Oczy miał jasne i pełne zapału, a na ołtarzu złożył ofiarę z wiosennych kwiatów, oliwy i wina, aż żołnierze zaczęli się głośno śmiać. Odśpiewał też hymn do Atona, ułożony – jak mówiono – przez samego faraona. Hymn był bardzo długi i monotony, a żołnierze słuchali go z szeroko otwartymi ustami, nic nie rozumiejąc.

Następnie kapłan tak odmalował ciemność nocy, lwy wychodzące nocą ze swoich jam i węże, że słuchaczy przejął strach. Potem zaś opisał jasność dnia, zapewniając, że rankiem ptaki rozwijają skrzydła ku czci Atona. Zapewniał także, że ten nowy bóg daje życie płodowi w łonie kobiety i moc zapładniającą męskiemu nasieniu. I gdy się go słuchało, można było uwierzyć, że istotnie nie ma najmniejszej rzeczy na świecie, do której ten Aton by się nie mieszał, bo według kapłana nawet kurczę nie zdołałoby skruszyć skorupki jajka i pisać bez pomocy Atona.

Oświadczył on jeszcze, że to właśnie Aton stworzył zarówno ziemski jak i niebiański Nil, tak że oficerowie zaczęli mrużyć, iż miesza się on do spraw Atona. Aton ustanowił też pory roku i żył w milionach postaci w miastach, wsiach i osadach, w rzekach i na gościńcach.

Żołnierze słuchali grzebiąc stopami w piachu, a gdy pieśń wreszcie się skończyła, wydali z ulgą okrzyk na cześć faraona, bo jedyne, co zrozumieli z hymnu, było, że chodzi tu o wielbienie faraona i okrzyknięcie go synem słońca, co uważali za słuszne i prawdziwe, gdyż tak było zawsze i tak zawsze będzie. Horemheb kazał odejść kapłanowi i zachwycony poklaskiem wojsk młodzieniec poszedł napisać do króla o uroczystości. Mnie się jednak zdaje, że żołnierze nie mieli dużo pociechy z pieśni i zawartych w niej myśli, bo grzebali w piasku nogami i mieli iść w bój, wielu z nich na gwałtowną śmierć.

ROZDZIAŁ 4

Straż tylna wyruszyła w drogę, a za nią pociągnęły zaprzężone w woły sanie i juczne osły. Horemheb pojechał na swoim wozie przodem, a i wyżsi oficerowie udali się w drogę w lektykach, narzekając na upał. Ja zaś zadowolilem się grzbietem osła, podobnie jak mój druh, oficer prowiantowy, i zabrałem z sobą skrzynkę z lekarstwami, przypuszczając, że będzie mi potrzebna.

Wojska maszerowały do wieczora, odpoczywając tylko przez krótki czas, kiedy ludziom pozwolono najeść się i napić. Coraz więcej żołnierzy raniło sobie nogi i zostawało na skraju drogi, nie mogąc się podnieść, choć podoficerowie kopali ich i chłostali. Ludzie na przemian kłęli i śpiewali. A gdy cienie zaczęły robić się coraz dłuższe, z gór po obu stronach drogi zaczęły świszczec strzały i od czasu do czasu ktoś w maszerującej bezładnie kolumnie jęknął i łapał się za bark, w którym tkwiła strzała, lub padał twarzą naprzód na drogę. Ale Horemheb nie zatrzymał się, aby oczyścić przydrożne góry, lecz zwiększył jeszcze tempo marszu, tak że żołnierze na wpół biegli. Lekkie wozy bojowe torowały drogę i niedługo zobaczyliśmy przy skraju gościńca parę trupów Habirów, obdartych z płaszczy, z ustami i oczyma rojącymi się od much. Kilku naszych, chciwych wojennych pamiątek, oderwało się od kolumny, by obszukać trupy, ale nie znaleźli już nic, co można by było zagrabić.

Oficer prowiantowy pocił się na grzbiecie osła i prosił, żebym przekazał jego ostatnie pozdrowienia żonie i dzieciom, bo przeczuwał, że to jego ostatni dzień. Dał mi adres żony w Tebach i błagał, żebym dopilnował, by nikt nie ograbił jego trupa, o ile naturalnie Habirowie nie pozabijają nas wszystkich, nim wieczór zapadnie, co przewidywał, ponuro trzęsąc głową.

W końcu rozpostarło się przed nami rozległe pole, na którym Habirowie rozbili obóz. Horemheb kazał dąć w rogi i ustawił swoje oddziały do ataku, oszczepników w środku, a łuczników na obu skrzydłach. Natomiast z wozów bojowych zatrzymał tylko kilka ciężkich, resztę zaś odesłał, a one odjechały tak wielkim pędem, że kurz unosił się kłębamii wysoko w górę i zupełnie je zakrył. Z dolin położonych za górami unosiły się dymy płonących wsi. Hordy Habirów wydawały się niezliczone i ciągnęły się bez końca na równinie, a ich wycia i nawoływania przepełniały powietrze jak szum morza, gdy zaczęli na nas następować, tarcze zaś i groty oszczepów błyszczały groźnie w zachodzącym słońcu. Lecz Horemheb krzyknął głośno:

– Nie trzęście łydkami, moi kochani wszarze, bo zdatnych do boju Habirów jest niewiele, to zaś, co widzicie, to bydło, kobiety i dzieci! Wszystko to stanie się waszym łupem, nim wieczór zapadnie. W ich kotłach czeka na was ciepła strawa, nacierajmy więc, by się najeść przed nocą, bom głodny jak krokodyl.

Hordy Habirów toczyły się ku nam groźnie, a było ich o wiele więcej niż nas. Groty oszczepów lśniły ostro w słońcu i wojna nie bawiła mnie już wcale. Szyki oszczepników zachwiały się. Zaczęli się oglądać za siebie, podobnie jak ja, ale podoficerowie wywijali biczami i klęli, żołnierze uznali więc pewnie, że zbyt są zmęczeni i głodni, by móc uciec przed Habirami, bo szyki zwarły się na nowo, a łucznicy zaczęli nerwowo przebierać po cięciwach łuków w oczekiwaniu na znak.

Gdy Habirowie zbliżyli się już dostatecznie, wznieśli wojenny okrzyk, a wycie ich było tak przeraźliwe, że krew odpłynęła mi z głowy i nogi zaczęły się pode mną trząść. Równocześnie nacierający zaczęli biec ku nam, strzelając z łuków, i rozległ się świst strzał podobny do brzęczenia much. Nigdy nie słyszałem dźwięku bardziej dokuczliwego, jak „pst! pst!” przelatującej koło ucha strzały. Ale pokrzepiło mnie wielce spostrzeżenie, że strzały te nie robią zbyt wielkiej szkody, bo przelatują nad nami, inne zaś odbijają się od tarcz. Nagle usłyszałem głos Horemheba: – Za mną, wszarze! – Jego woźnice wprawili konie w ostry kłus, wozy bojowe poszły za nim, łucznicy wystrzelili chmurę strzał, a oszczepnicy puścili się biegiem za wozami bojowymi. I z wszystkich gardeł wyrwał się okrzyk jeszcze przeraźliwszy niż wycie Habirów, bo każdy dał się co siły, by zagłuszyć strach, a ja spostrzegłem, że krzyczę na całe gardło, co mi sprawiło wielką ulgę.

Wozy bojowe wpadły ze straszliwym łoskotem w tłum nacierających Habirów, a na przedzie, wśród kłębow kurzu i gradu oszczepów, błyszczał hełm Horemheba przybrany strusimi piórami. Za wozami bojowymi nadbiegli oszczepnicy, trzymając się swoich lwich ogonów i sokołów, a łucznicy rozproszyli się na równinie, zasypując chmurą strzał bezładną kupę Habirów. Odtąd wszystko było jednym straszliwym zamieszaniem, hukiem, łoskotem, wyciem i śmiertelnym jękiem. Strzały świszczały mi koło uszu, a osioł poniósł mnie prosto w największą gęstwę i mimo, że w panice jęczałem i kopałem, nie mogłem go powstrzymać. Habirowie walczyli zajadle i nieustraszenie. Ci, których stratowały konie, leżąc na ziemi wciąż jeszcze kłuli oszczepami przelatujących nad nimi. I niejeden Egipcjanin padł zabity, gdy schylał się, by na znak zwycięstwa odciąć dłoń zwalonemu przeciwnikowi. Odór krwi stawał się silniejszy niż smród ciał żołnierskich i ich potu, a kruki opuszczały się z nieba kołując coraz większymi stadami.

Nagle jednak Habirowie wydali krzyk wściekłości i rzucili się do ucieczki, zobaczyli bowiem, że wozy bojowe, które objechały równinę, wpadły do ich obozu, obległy kobiety i pędziły zrabowane bydło. Nie mogli wytrzymać tego widoku, więc pierzchli, by ratować obóz i kobiety, i to stało się ich zgubą. Albowiem wozy bojowe zwróciły się przeciwko nim i zmusiły ich do rozsypki, resztę zaś załatwili oszczepnicy i łucznicy

Horemheba. Gdy słońce zaszło, równina pokryta była trupami, którym podcinano dłonie, obóz Habirów płonął, a zewsząd rozchodziło się ryczenie rozproszonego bydła.

Upojeni zwycięstwem żołnierze ciągle jeszcze kłuli oszczepami każdego, kto im się nawinął, i zabijali nawet tych, którzy już złożyli broń. Mordowali pałkami dzieci i strzelali jak szaleni z łuków do uciekającego bydła, dopóki Horemheb nie kazał zadać w rogi, a dowódcy i podoficerowie nie opamiętali się i nie spędzili żołnierzy do kupy biczami. Tylko mój zwariowany osioł wciąż jeszcze biegał po pobojowisku, podrzucając mnie jak bezsilny worek na swym grzbiecie, tak że nie wiedziałem, czym żywy, czy umarły. Żołnierze śmiali się i szydzili ze mnie, aż wreszcie jeden uderzył drzewcem oszczepu w pysk osła, który zdziwiony stanął strzygąc uszyna, a ja mogłem zsiąść z jego grzbietu. Od tego czasu w wojsku nazywano mnie Synem Dzikiego Osła.

Jeńców spędzono za ogrodzenia, broń zebrano na kupy i wysłano pastuchów, by spędzili rozpierzchłe bydło. Habirów było tak wielu, że dużej ich części udało się uciec, ale Horemheb był pewny, że będą biegli przez całą noc i długo nie ośmielą się powrócić. W świetle płonących namiotów i stert paszy przyniesiono przed Horemheba skrzynię z boginią, a on wyjął z niej lwioogłową Sachmet dumnie prężącą drewniane piersi w blasku płomieni. Żołnierze wiwatując opryskiwali ją krwią płynącą z ran i rzucali pod stopy Horemheba dłonie odcięte na znak zwycięstwa. Z dłoni tych urósł wielki stos, bo byli tacy, którzy rzucali po cztery, a nawet po pięć. Horemheb rozdawał im złote łańcuchy i bransolety i wynagradzał najdzielniejszych mianując ich podoficerami. Był cały zakurzony i okrwawiony, a jego złoty bicz ociekał krwią, ale oczy jego śmiały się do żołnierzy i nazywał ich swoimi drogimi wszarzami i zabijakami.

Miałem dużo roboty, bo pałki i oszczepy Habirów pozostawiały okropne rany. Pracowałem przy świetle płonących namiotów i jęki rannych mieszały się z piskami kobiet, które żołnierze wlekli i o które rzucali losy, by się nasycić. Obmywałem i zszywałem głębokie rany, wpychałem wypatroszone wnętrzości do rozprutych brzuchów i przymocowywałem z powrotem na swoim miejscu zwisające fałdy rozplątanej skóry. A tym, którzy musieli umrzeć, dawałem piwo i uśmierzające środki, by mogli umrzeć spokojnie w ciągu nocy.

Opatrywałem też Habirów, którzy z powodu ran nie zdołali uciec, i zszywałem ich rany, ale nie umiem powiedzieć, dlaczego to robiłem. Może myślałem, iż jeśli uda mi się ich wyleczyć z ran, Horemheb dostanie za nich lepszą cenę, gdy sprzeda ich jako niewolników. Wielu z nich jednak nie chciało mojej pomocy, lecz na nowo rozrywali rany słysząc płacz dzieci i biadania gwałconych kobiet. Prężyli nogi, zasłaniali twarze odzieżą i umierali z upływu krwi.

Przyglądałem się im i nie byłem już tak dumny ze zwycięstwa, jak zaraz po bitwie, bo był to lud biedny, żyjący na pustyni, więc trzody i zboże z dolin kusiło ich, gdy cierpieli głód. Dlatego przyszli, by splądrować Syrię, a członki mieli wychudłe i wielu cierpiało na choroby oczu. Mimo to bili się dzielnie i wzbudzali w boju postrach, a na ich szlaku unosiły się dymy spalonych wiosek i rozlegały biadania i jęki ludzkie. Nie mogłem jednak nic na to poradzić, że było mi ich żal, gdy widziałem, jak siniały im duże mięsiste nosy, i gdy umierając nakrywali sobie łachmanami głowy.

Następnego dnia poszedłem do Horemheba i prosiłem go, żeby na miejscu bitwy kazał założyć strzeżony obóz, w którym najciężej ranni żołnierze mogliby przyjść do siebie, gdyby bowiem chciał przewieźć ich do Jerozolimy, pomarliby w drodze. Horemheb podziękował mi za pomoc i powiedział:

– Nie przypuszczałem, że jesteś taki mężny, jak to widziałem wczoraj własnymi oczyma, gdy na twym szalonym osie wpadłeś prosto w największy tumult. Z pewnością nie wiedziałeś, że praca lekarza na wojnie zaczyna się dopiero po bitwie. Słyszałem, że żołnierze nazywają cię Synem Dzikiego Osa, i jeśli chcesz, mogę cię w bitwie zabierać do mego wozu, bo szczęście ci sprzyja, skoro wciąż jeszcze jesteś przy życiu, mimo że nie miałeś ani oszczepu, ani pałki.

– Twoi ludzie wielbią twoje imię i przysięgają, że pójdą za tobą wszędzie – powiedziałem, żeby mu pochlebić. – Jak to jednak możliwe, że nawet nie jesteś ranny, choć byłem pewny, że zginiesz, gdy jechałeś na czele pod gradem strzał i oszczepów.

– Mam zręcznego woźnicę – odparł. – Poza tym strzeże mnie mój sokół, bo jestem jeszcze potrzebny do wielkich czynów. Toteż w moim postępowaniu nie ma żadnej zasługi ani dzielności, bo wiem, zem powołany, by wylać dużo krwi. Ale tyłu już nazabijałem, że rozlew krwi nie sprawia mi szczególnej radości, ani też nie cieszy mnie, gdy słyszę jęki tych, którzy dostaną się pod koła mojego wozu. Gdy wojska moje nabiorą większego doświadczenia i przestaną bać się śmierci, każę się nosić w lektyce za nimi, jak to robi rozsądny dowódca. Bo prawdziwy wódz nie brudzi sobie rąk krwawą robotą, którą może wykonać byle niewolnik, lecz pracuje mózgiem i zużywa dużo papirusu, i dyktuje wielu pisarzom rozmaite ważne rozkazy, na których ty, Sinuhe, nic się nie rozumiesz, bo to nie należy do twego zawodu, podobnie jak ja nie znam się na zawodzie lekarza, choć szanuję twoją sztukę. Toteż raczej mi wstyd, że powalałem sobie ręce i twarz krwią złodziei bydła. Ale nie mogłem inaczej postąpić, bo gdybym nie jechał na przedzie, ludzie moi straciliby ducha i padliby na kolana jęcząc i lamentując. Doprawdy bowiem ci egipscy żołnierze, którzy od dwóch pokoleń nie widzieli krwi, to jeszcze nędzniejsza i tchórzliwsza hołota niż Habirowie. Dlatego nazywam ich wszarzami i już

zaczynają być dumni z tej nazwy.

Nie mogłem jednak uwierzyć, że on nie bał się w bitwie o swoje życie, jadąc na czele prosto na wrogie oszczepy. Toteż powiedziałem uczciwie:

– Twoja skóra jest ciepła i płynie pod nią krew, jak u wszystkich innych ludzi. Czy zaczarowałaś sam siebie, jakimś silnym zaklęciem, że nie odnosisz ran? I jak to się dzieje, że się nie boisz?

Odrzekł mi:

– Słyszałem wprawdzie o takich czarach i wielu żołnierzy nosi na szyi woreczki z amuletami, które mają ich chronić. Ale po tej bitwie dużo takich woreczków zebrano z trupów tych, co padli, toteż nie wierzę w te czary, choć oczywiście może być z nich pożytek, gdyż dają człowiekowi nieuczonemu, który nie umie czytać ani pisać, wiarę w siebie i czynią go odważnym w boju. Prawdę mówiąc to tylko błoto, Sinuhe. Ze mną jednak jest całkiem inaczej, bo wiem, że przeznaczeniem moim jest dokonać wielkich czynów, ale skąd to wiem, nie umiem ci powiedzieć. Żołnierz albo ma szczęście, albo go nie ma, mnie zaś ono dopisywało od czasu, gdy sokół zaprowadził mnie do faraona. Wprawdzie mój sokół nie czuł się dobrze w pałacu, odleciał i nie powrócił. Ale gdy maszerowaliśmy przez Pustynię Synajską do Syrii, cierpiąc głód, a zwłaszcza okropne pragnienie – nawet ja cierpiałem razem z moimi żołnierzami, żeby poznać, co odczuwają, i potem umieć nimi dowodzić – zobaczyłem w jakiejś dolinie płonący krzew. Był to żywy ogień podobny do dużego krzaka lub drzewa, nie wypalał się ani nie zmniejszał, lecz płonął dzień i noc, a grunt dokoła wydawał woń, która szła do głowy i czyniła mnie mężnym. Zobaczyłem też płomień jadąc przed moimi wojskami i polując na dziką zwierzynę i nikt inny nie widział go, tylko ja i mój woźnica, który może to poświadczyć. Od tej chwili jednak wiedziałem, że nie trafią mnie ani oszczepy, ani strzały, ani pałki bojowe, dopóki nie wypełni się mój czas. Ale skąd to wiem, nie potrafię powiedzieć, bo to jest ukryte.

Wierzyłem w jego opowiadanie i czciłem go wielce, bo Horemheb nie miał żadnego powodu, by opowiadać mi zmyślane historie, nie sądzę też, żeby potrafił coś takiego wymyślić, gdyż był to człowiek, który wierzył tylko w to, czego mógł dotknąć rękami..

Trzeciego dnia Horemheb podzielił swoje siły i odesłał część z nich z powrotem do Jerozolimy, aby odstawić tam łupy, gdyż na miejsce bitwy nie przybywało dostatecznie wielu kupców, by kupować niewolników, zdobyczne kotły do warzenia stawy i ziarno. Drugą część wojska posłał z bydlęm na pastwiska. Dla rannych urządziłem obóz, do strzeżenia którego została rota żołnierzy. Lecz większość rannych zmarła. Sam Horemheb wyruszył ze swymi wozami bojowymi w pościg za Habirami, bo

przesłuchując jeńców dowiedział się, że uciekającym Habirom udało się zabrać z sobą swego boga.

Mnie wziął z sobą, choć nie chciałem mu towarzyszyć. Stałem w wozie bojowym za nim, obejmując go w pasie, i życzyłem sobie, żebym się nigdy nie był urodził, bo pędził jak szalony i wciąż truchlałem, że wóz się przewróci, a ja zostanę wyrzucony głową naprzód na jakąś kupę kamieni. On jednak śmiał się ze mnie i drwił, że da mi pokosztować wojny, ponieważ przybyłem dowiedzieć się, jak wygląda wojna.

Dał mi poznać wojnę i zobaczyłem, jak jego wozy bojowe spadły niby burza na Habirów, gdy ci śpiewając radośnie i wymachując palmowymi gałązkami pędzili zrabowane bydło do swych kryjówek w pustyni. Jego konie tratowały starców, kobiety i dzieci i otaczał go dym płonących namiotów, a Habirowie uczyli się we krwi i łzach, że lepiej żyć biednie w pustyni i umierać z głodu w swoich norach niż napadać na żyzną i bogatą Syrię, by móc namaszczać spaloną skórę oliwą i tuczyć się kradzionym zbożem. Tak to zakosztowałem wojny, która nie była już wojną, tylko prześladowaniem i mordowaniem, dopóki Horemheb nie miał dość i nie kazał ustawić na nowo powywracanych przez Habirów słupów granicznych, nie troszcząc się nawet o to, by przesunąć je dalej w głąb pustyni, choć mógł to uczynić. Lecz mówił do mnie tak:

– Muszę oszczędzić trochę Habirów, bym miał możliwość ćwiczyć moich żołnierzy w boju. Jeśli bowiem zmuszę ich do pokoju pozbawiając wszystkich życia, nie będzie już na całym świecie miejsca, gdzie mógłbym prowadzić wojnę. Już od czterdziestu lat panuje na świecie pokój i wszystkie ludy żyją z sobą w zgodzie, a królowie wielkich królestw tytułują się w listach do siebie braćmi i przyjaciółmi, a faraon posyła im złoto, żeby mogli mu stawiać złote posągi w świątyniach swoich bogów. Toteż muszę zachować resztkę Habirów przy życiu, bo za kilka lat głód wypędzi ich znowu z pustyni i zapomną, czego się dziś nauczyli.

Także i boga Habirów dopadł Horemheb na swym wozie bojowym i spadł na niego jak sokół, tak że tragarze, którzy go nieśli, cisnęli go o ziemię i pierzchli w góry. Horemheb kazał porąbać posąg boga na szczapy i spalił go przed Sachmet, a żołnierze bili się z dumą w piersi i mówili: – Patrzcie, jak palimy boga Habirów! – Bóg ten miał na imię Jehowa albo Jahwe i Habirowie nie mieli żadnych innych bogów prócz niego. Toteż musieli wrócić na pustynię bez boga i jeszcze biedniejsi, niż stamtąd przyszli, choć już śpiewali radośnie i machali palmowymi gałęzmi.

ROZDZIAŁ 5

Horemheb powrócił do Jerozolimy, gdzie tymczasem zebrali się uchodźcy z pogranicza, i odsprzedał im z powrotem ich bydło, zboże i statki, tak że rwali na sobie

szaty i wołali: – Ten zbój jest jeszcze gorszy od Habirów! – Ale nie mieli trudności z wykupem, bo mogli pożyczyć pieniądze ze swoich świątyń i od kupców, i od władz podatkowych. To zaś, czego nie zdołali wykupić uchodźcy, Horemheb sprzedał kupcom, którzy z całej Syrii zjechali do Jerozolimy. W ten sposób mógł podzielić między żołnierzy łup obliczony w miedzi i srebrze i zrozumiałem teraz, dlaczego ranni przeważnie umierali mimo wszystkich moich wysiłków. Koledzy ich bowiem zyskiwali dzięki temu większy udział w łupie, a ponadto kradli odzież i broń rannych, i całe ich mienie. Nie dawali więc rannym ani wody, ani jedzenia, tak że ci wymarli. Zrozumiałem wtedy, dlaczego niedouczeni felczyerzy tak chętnie idą z wojskami na wojnę i wracają do Egiptu bogaci, choć ich biegłość w zawodzie jest niewielka.

Jerozolima pełna była ludzkiego zgiełku i hałasu dziwacznych syryjskich instrumentów. Żołnierze mieli sporo miedzi i srebra, pili piwo i gziłi się z malowanymi dziewczętami, które przywieźli ze sobą kupcy, kłócili się i bili, zadawali sobie rany i grabili to siebie nawzajem, to kupców, tak że co dzień nowych winowajców wieszano na murach głową w dół. Ale żołnierze wcale się na to nie oburzali, lecz mówili: – Tak było zawsze i tak też zawsze będzie. – Trwonili więc srebro i miedź na piwo i dziewczęta, dopóki kupcy nie powyjeżdżali zabierając z sobą srebro i miedź żołnierzy. Horemheb ściągnął od kupców daninę, gdy przyjechali i gdy odjeżdżali, i stał się bogaty, choć zrezygnował z swojej części łupu na rzecz żołnierzy. Nie sprawiło mu to jednak żadnej radości, bo gdy poszedłem do niego, żeby się pożegnać przed odjazdem do Simiry, powiedział do mnie:

– Ta wyprawa wojenna skończyła się, zanim się jeszcze zaczęła, i faraon gani mnie w liście, że mimo zakazu rozlałem krew. Muszę wracać do Egiptu i zabrać tam z sobą moich wszarzy, rozpuścić oddziały i złożyć ich lwie ogony i sokoły na przechowanie do świątyń. Ale co z tego wyniknie, doprawdy nie umiem powiedzieć, bo to jedyne sprawne wojska w Egipcie, inne zaś nie nadają się do niczego prócz obszczywania murów i ściskania kobiet na placach. Na Amona, łatwo faraonowi pisać w Złotym Domu hymn na chwałę swego boga i wierzyć, że miłością potrafi władać nad ludami. Powinien jednak raz usłyszeć skargi okaleczonych mężczyzn i jęki kobiet w płonących wsiach, gdy nieprzyjaciół wdziera się w granice, a wtedy może myślałby o tym wszystkim inaczej.

– Egipt nie ma żadnych wrogów, a w dodatku jest potężny i bogaty – odparłem. – Twoja sława rozeszła się po całej Syrii i Habirowie nie naruszają już nigdy kamieni granicznych. Dlaczego nie miałbyś rozpuścić oddziałów, bo mówiąc prawdę hałasują po pijanemu jak dzikie zwierzęta, a ich obozowiska cuchną szczynami, ciała zaś roją

się od robactwa.

– Nie wiesz, co mówisz – rzekł wpatrując się przed siebie i czochrając się pod pachami, bo nawet w glinianej rezydencji księcia miasta roiło się od robactwa. – Egipt zapatrzony jest w siebie, a to jest błędem, bo świat jest duży i w ukryciu siane są zarodki pożaru i zniszczenia. Słyszałem, że król Amurejczyków z wielkim zapalem zbiera konie i skupuje wozy bojowe, co mi się wcale nie podoba, bo raczej powinien regularnie płacić daninę faraonowi. Na ucztach u niego głoszą jego możni, że Amurejczycy władali dawniej całym światem, co jest o tyle słuszne, że ostatni Hyksosi mieszkają w kraju Amurru.

– Ten Aziru to mój przyjaciel i człowiek pełen próżności z powodu zębów, które mu pozłociłem – powiedziałem. – Zdaje mi się także, że ma on obecnie co innego do roboty, bo słyszałem, że wziął sobie żonę, która wysysa mu siły z łędźwi i niedługo sprawi, że zaczną się pod nim giąć kolana.

– Wiesz wiele rzeczy – rzekł Horemheb przypatrując mi się uważnie. – Jesteś wolnym człowiekiem i sam stanowisz o swoich sprawach, jeździsz z jednego miasta do drugiego i słyszysz wiele rzeczy, których inni nie słyszą. Gdybym był na twoim miejscu i tak swobodny jak ty, podróżowałbym po wszystkich krajach szukając mądrości. Pojechałbym do kraju Mitanni i odwiedziłbym Babilon, a może nawet zobaczyłbym, jakich wozów bojowych używają obecnie Hetyci i jak ćwiczą swoje wojska. Zwiedziłbym też wyspy na morzu, by zobaczyć, jak wielkie są te ich okręty, o których tyle się teraz mówi. Imię moje jest już jednak głośnie w całej Syrii, może więc mimo wszystko nie dowiedziałbym się tego, co chciałbym wiedzieć. Natomiast ty, Sinuhe, nosisz szaty syryjskie i mówisz językiem, którym ludzie światli mówią we wszystkich krajach. Jesteś też lekarzem i nikt nie posądzi cię, że znasz się jeszcze na czymś innym oprócz swego zawodu. Także i mowa twoja jest prosta i często brzmi dziecinnie w moich uszach, i patrzysz mi prosto w oczy, a jednak wiem, że serce twe jest zamknięte i że nosisz tam coś, o czym nie wie nikt. Czy mówię prawdę?

– Może i mówisz prawdę – odparłem. – Ale czego chcesz ode mnie?

– Co byś powiedział, gdybym ci dał dużo złota i wysłał cię do tych krajów, o których mówiłem, żebyś wykonywał tam swój zawód i szerzył sławę egipskiej sztuki lekarskiej i swoją własną sławę uzdrowiciela, tak by bogacze i możni w każdym mieście wzywali cię do siebie, i żebyś mógł zajrzeć do ich serc, i żeby może także królowie i władcy wzywali cię do siebie, i żebyś zajrzał do ich serc. Wykonując jednak swój zawód byłbyś równocześnie moim okiem i uchem i zapamiętywałbyś wszystko, co zobaczysz i usłyszysz, by opowiedzieć mi o tym po powrocie do Egiptu.

– Nie zamierzam nigdy wrócić do Egiptu – odparłem. – Poza tym zaś to, o czym mówisz, to niebezpieczne sprawy, a ja nie mam ochoty zawisnąć na murze obcego miasta głową w dół.

– Nikt nie wie z góry, jakie będzie jutro – powiedział. – Wierzę, że wrócisz do Egiptu, bo kto raz pił wodę z Nilu, nie potrafi ugasić pragnienia żadną inną wodą. Także jaskółki i żurawie wracają co zimy do Egiptu i nie czują się dobrze w innych krajach. Dlatego mowa twoja jest dla mnie jak brzęczenie much. Także i złoto jest tylko prochem pod moimi nogami i zamienię je chętnie na wiadomości. A to, co mówisz o murach, to też bzdura, bo nie proszę cię, żebyś robił coś szkodliwego czy niedobrego lub też łamał prawa obcych krajów. I czyż wszystkie wielkie miasta nie przyzywają do siebie podróżników, żeby oglądali ich świątynie? I czyż nie urządzają najrozmaitszych uroczystości i rozrywek, żeby zwabić zwiedzających, którzy zostawiają swoje złoto mieszkańcom miasta? W każdym kraju będziesz mile widziany, jeśli przywieziesz z sobą złoto. Również i twoja sztuka lekarska będzie mile widziana w krajach, gdzie starców zabija się siekierą, a chorych wyprowadza na pustynię, by tam umarli, o czym dobrze wiesz. Królowie dumni są ze swojej władzy i często każą żołnierzom defilować, aby cudzoziemcy podziwiali ich potęgę. I nie ma w tym nic złego, jeśli patrząc, jak żołnierze maszerują i jaką mają broń, policzysz wozy bojowe i zapamiętasz sobie, czy są wielkie i ciężkie, czy małe i lekkie, i czy jedzie na nich dwóch czy trzech ludzi, bo słyszałem, że niektórzy oprócz woźnicy używają w boju także tarczownika. Ważne jest również, czy żołnierze są dobrze odżywieni i lśnią od oliwy, czy też chudzi i roją się od robactwa, i cierpią na choroby oczu, tak jak moi wszarze. Opowiadają także, że Hetyci wyczarowali z ziemi nowy metal i że broń wykuta z tego metalu wyszczerbia ostrze nawet najlepszego miedzianego topora, a metal ten jest niebieski i nazywa się żelazo. Nie wiem jednak, czy to prawda, bo może wynaleźli tylko nowy sposób hartowania miedzi i mieszania jej, lecz w takim razie chciałbym wiedzieć, jaki to jest sposób. Najważniejsze ze wszystkiego jednak to wiedzieć, co się kryje w sercach władców i w sercach ich doradców. Spójrz na mnie!

Spojrzałem na niego, a on urósł jak gdyby, w oku zapalił się ponury żar i był podobny do boga, tak że serce mi struchlało i skłoniłem się przed nim opuszczając dłonie do kolan, a on zaś rzekł:

– Czy wierzysz teraz, że mogę ci rozkazywać?

– Serce mówi mi, że możesz mi rozkazywać, ale dlaczego tak jest, nie wiem – odrzekłem, a język wysechł mi w ustach i przejął mnie lęk. – Prawdą jest chyba także, że przeznaczone ci jest rozkazywać wielu, jak powiadasz. Niech więc tak będzie. Zostanę

twoim okiem i uchem, nie wiem jednak, czy będziesz miał pożytek z tego, co zobaczę i usłyszę, bo nie znam się na sprawach, o których chcesz wiedzieć, i tylko jako lekarz jestem lepszy od innych. Zrobię jednak wszystko jak najlepiej. I to wcale nie za złoto, lecz dlatego, że jesteś moim przyjacielem i że bogowie widocznie tak postanowili, o ile w ogóle istnieją jacyś bogowie.

A on powiedział:

– Nie sędzę, żebyś kiedyś żałował, że jesteś moim przyjacielem. Ale w każdym razie dam ci w podróż złota, bo o ile znam ludzi, będziesz go potrzebował. I nie musisz wiedzieć, dlaczego wiadomości, o które cię proszę, są dla mnie cenniejsze od złota. Jedno mogę ci tylko powiedzieć: że wielcy faraonowie wysyłali na dwory do obcych krajów ludzi wytrawnych. Posłowie zaś obecnego faraona to baranie głowy i wiedzą tylko, jak należy fałdować spódniczkę i jak nosić odznaczenia, i w jakiej kolejności kto stoi po prawicy i po lewicy faraona. Nie zwracaj więc na nich uwagi, gdybyś się z nimi spotkał, i niech mowa ich będzie dla ciebie jak brzęczenie much.

Ale gdy się rozstawaliśmy, zapomniał o swojej godności. Pogłaskał mnie po policzku, dotknął twarzą moich ramion i powiedział:

– Ciężko mi na sercu, Sinuhe, bo jeśli ty jesteś samotny, to i ja też jestem samotny i nikt nie zna tajemnicy mego serca. – I sędzę, że gdy to mówił, myślał wciąż jeszcze o księżniczce Baketamon, której piękność go oczarowała.

Dał mi dużo złota, o wiele więcej, niż się spodziewałem, przypuszczam, że dał mi wszystko złoto, które zdobył w czasie kampanii w Syrii. I posłał ze mną eskortę, która odprowadziła mnie do wybrzeża, żeby chronić mnie przed rabusiami. Na wybrzeżu umieściłem złoto w wielkim domu handlowym i zamieniłem je na gliniane tabliczki, które było bezpieczniej wozić z sobą niż złoto, ponieważ złodzieje nie mieli z nich żadnego pożytku. A potem wsiadłem na okręt, by udać się z powrotem do Simiry.

Wspomnę jeszcze tylko, że zanim wyjechałem z Jerozolimy, otworzyłem czaszkę żołnierzowi, który dostał pałką w głowę, gdy po pijanemu wdał się w bójkę koło świątyni Atona. Pękła mu czaszka, był umierający i nie mógł mówić ani ruszać ramionami. Nie wyleczył się jednak, ciało zrobiło mu się gorące, bił wokół siebie rękami i zmarł następnego dnia.

KSIĘGA SZÓSTA

DZIEŃ FAŁSZYWEGO KRÓLA

ROZDZIAŁ I

Zanim rozpocznę nową księgę, muszę pochwalić miniony czas, kiedy to bez przeszkód podróżowałem po różnych krajach i uczyłem się wielu umiejętności, bo czasy takie już chyba nigdy nie wrócą. Podróżowałem po świecie, który od czterdziestu lat nie zaznał wojny, a królewscy strażnicy strzegli karawanowych dróg i chronili kupców, królewskie okręty zaś ochraniały rzeki i morza przed piratami. Granice były otwarte, a kupcy i podróżnicy, którzy przywozili z sobą złoto, mile byli widziani we wszystkich miastach. Ludzie nie lżyli się wzajemnie, lecz kłaniali się sobie i opuszczali dłonie do kolan, i uczyli się nawzajem swoich obyczajów, wielu zaś ludzi oświeconych władało różnymi językami i pisało dwoma rodzajami pisma. Pola były nawadniane i przynosiły bogate plony, a zamiast rzeki spływający z Nieba Nil zwilżał pola w czerwonych krajach. Podróżując widziałem trzody bydła pasącego się bezpiecznie na pastwiskach, a pasterze nie nosili oszczepów, tylko grali na fujarkach i śpiewali wesołe piosenki. Winna latorośl krzewiła się bujnie, a drzewa owocowe ugiwały się pod ciężarem owoców. Kapłani byli tłuści i lśnili od oliwy i pomad, a dymy z niezliczonych ofiar unosiły się ze świątynnych podwórców we wszystkich krajach. Także i bogom wiodło się dobrze i byli łaskawi dla ludzi, i porastali w sadło od obfitych ofiar. Bogacze stawali się coraz bogatsi, możni coraz możniejsi, a biedota coraz biedniejsza, jak to ustanowili bogowie, tak że wszyscy byli zadowoleni i nikt nie sarkał. Tak oto został mi w pamięci ten miniony czas, który prawdopodobnie nigdy już nie powróci, czas, gdy męskość moja była jeszcze młoda i członki nie nużyły mi się podczas długich podróży, a oczy moje chciwe były świata i pragnęły oglądać nowe rzeczy, serce zaś łaknęło wiedzy i chłonęło ją łapczywie.

Jak bardzo uporządkowane i podobne do siebie były w tym świecie wszelkie życiowe sprawy, o tym świadczy najlepiej fakt, że dom handlowy przy świątyni w Babilonie bez wahania wydał mi złoto w zamian za gliniane tabliczki otrzymane w moim domu handlowym w Simirze, jak również i to, że w każdym mieście mogłem kupić wina z portu lub wina z gór, przywożonego z daleka, tak że w miastach Syrii uważano za najlepsze wino z gór Babilonu, w Babilonie zaś płacono złotem za wino syryjskie. Kto tylko miał złoto, mógł sobie kupić niewolników różnej miary, dzieci i mężczyzn, młode dziewczęta, by zażywać z nimi rozkoszy, mógł także wynagradzać płatne sługi. Lecz

ten, kto złota nie miał, musiał pracować, aż skóra mu grubiała i chropowaciała, ręce twardniały, a kark wyginał się w kabłąk. A gdy ktoś chciał włamać się do domu bogacza i skraść złoto, by mieć na wino, przyjemności i kupowanie niewolników, chwymano takiego i wieszano na murze głową w dół, innym ku przestrodze.

Wyraziwszy w ten sposób pochwałę dla minionych czasów, kiedy to nawet słońce świeciło jaśniej i wiatr był łagodniejszy niż w naszych złych dniach, opowiem o moich podróżach i o wszystkim, co widziały moje oczy i słyszały moje uszy. Wpierw jednak opowiem o tym, jak wróciłem do Simiry.

Gdy bowiem wróciłem do swego domu do Simiry, wybiegł mi na spotkanie Kaptah, wołając wielkim głosem i płacząc z radości, i rzuciwszy mi się do nóg powiedział:

– Błogosławiony niech będzie dzień, który sprowadził cię do domu, mój panie! A więc jednak wróciłeś, choć sądziłem, żeś zginął na wojnie, i pewny byłem, że rozpruł cię jakiś oszczep, gdyż nie troszczyłeś się o moje przestrogi, lecz chciałeś koniecznie dowiedzieć się, jak wygląda wojna. Nasz skarabeusz jest jednak naprawdę mocnym bogiem, jeśli zdołał cię ochronić, i dobry jest dzisiaj dzień. Serce moje pełne jest radości, gdy patrzę na ciebie, i radość tryska z moich oczu łzami, gdyż nie mogę się powstrzymać od radości, choć już przypuszczałem, że odziedziczę po tobie całe złoto, któreś złożył w domach handlowych w Simirze. Ale nie żałuję tego straconego majątku, bo bez ciebie jestem jak koźlątko, które odbiło się od matki, i beczalbym rozpaczliwie, i dni moje byłyby mroczne. Ani też pod twoją nieobecność nie okradałem cię więcej niż przedtem, lecz pilnowałem twego domu, majątku i wszystkich interesów, tak że wracasz bogatszy, niż wyjechałeś.

Obmył mi stopy i polał mi ręce wodą, i dogadzał mi na różne sposoby, krzycząc nieprzerwanie, dopóki nie kazałem mu milczeć i nie powiedziałem:

– Przygotuj śpiesznie wszystko do drogi, bo wyruszamy w długą podróż, która być może potrwa wiele lat i pełna będzie trudów i wysiłków, pojedziemy bowiem do kraju Mitanni, do Babilonu i na wyspy na morzu.

Wtedy Kaptah zaczął drzeć się wniebogłoso i zawołał:

– Bodajbym nigdy nie przyszedł na ten świat! Bodajbym nigdy nie utył i nie miał dobrych dni! Im lepiej bowiem wie dzie się człowiekowi, tym trudniej mu zrezygnować z tego, co dobre. Gdybyś udawał się w podróż na miesiąc lub dwa, tak jak to robiłeś przedtem, nic bym nie mówił, lecz pozostałbym spokojnie w Simirze. Ale skoro twoja podróż potrwa lata, możliwe, że nigdy nie wrócisz i że cię już nigdy nie zobaczę. Toteż muszę ci towarzyszyć i zabrać z sobą naszego świętego skarabeusza, bo w takiej podróży potrzebujesz całego swego szczęścia, a bez skarabeusza spadłbyś w przepaść

lub nadziali by cię na oszczepy rabusie. Beze mnie i bez mego doświadczenia jesteś jak cielak, któremu złodziej spętał tylne nogi i wzięwszy na plecy niesie, dokąd chce. Jesteś beze mnie jak człowiek z zawiązanymi oczyma, który na próżno maca przed sobą rękami, beze mnie każdy, z kim się spotkasz, z radością ukradnie ci, co tylko zechce. Ale ja na to nie pozwolę, jeśli już bowiem ktoś ma cię okradać, to lepiej, żebym to był ja, bo robię to z umiarkowaniem i stosownie do twoich dochodów, starannie doglądając twoich korzyści. Najlepiej byłoby jednak dla nas zostać w naszym domu w Simirze.

Kaptah robił się bowiem z roku na rok bezczelniejszy i mówił już o „naszym domu” i o „naszym skarabeuszu”, płacąc zaś za cokolwiek mawiał o „naszym złocie”. Mnie jednak znudziło się słuchać jego biadania, tak że w końcu wzięłem kij i złożyłem mu jego gruby tyłek, by rzeczywiście miał powód do narzekania, po czym powiedziałem:

– Serce mówi mi, że za twoją bezczelność pewnego pięknego dnia zawisniesz na murze głową w dół. Zdecyduj się więc w końcu, czy pojedziesz ze mną, czy zostaniesz tutaj, lecz przede wszystkim skończ wreszcie z twoim wiecznym narzekaniem, od którego uszy mi puchną, gdyż mam się przygotować do dalekiej podróży.

Wtedy Kaptah uspokoił się i pogodził z losem, i zaczęliśmy się gotować do drogi. A że poprzysiągł, iż nigdy nie postawi stopy na pokładzie okrętu, przyłączyliśmy się do karawany zdążającej do północnej Syrii. Albowiem chciałem zobaczyć lasy cedrowe w Libanie, skąd sprowadzano budulec do pałacu faraona i drzewo na świętą łódź Amona. O samej podróży niewiele mam do opowiedzenia, była bowiem monotonna i nie napadli nas żaden rabusie. Gospody były doskonale zaopatrzone, jedliśmy i piliśmy świetnie, a na kilku postojach zgłosili się do nas chorzy, których uleczyłem. Podróżowałem w lektyce, gdyż dość już miałem jazdy na osle. Także i Kaptah nie był zbyt zachwycony osłami, ale nie mogłem go wziąć do lektyki, by nie stracić poważania w oczach innych podróżnych, gdyż był moim służącym. Toteż Kaptah wielce narzekał, życząc sobie śmierci. Wskazywałem mu na to, że mogliśmy odbyć tę podróż szybciej i wygodniej statkiem, ale to nie pocieszyło go zbyt. Suchy wiatr ciął w twarz, tak że bezustannie musiałem smarować skórę olejkami, pył dusił w gardle, a piaskowe pchły dręczyły mnie wielce, uważałem jednak te niewygody za błahostki, a oczy moje cieszyły się wszystkim, co oglądałem.

Widziałem też lasy cedrowe, drzewa tak wielkie, że żaden Egipcjanin nie uwierzyłby mi, gdybym o tym opowiadał, toteż poniecham tego. Muszę jednak zaznaczyć, że zapach w tych lasach jest cudowny i płyną tam strumienie czyste jak łąza, tak że myślałem, iż żaden człowiek, który mieszka w tym kraju, nie może być całkiem nieszczęśliwy. Myślałem tak, dopóki nie zobaczyłem niewolników, którzy

ścinali te drzewa i obciosywali je do transportu w dół górskich zboczy, na brzeg morza. Nędza tych niewolników była ogromna, ich ramiona i nogi pokryte ropiejącymi ranami od zadrapań kory i narzędzi, a grzbiety czarne od much rojących się w pręgach po uderzeniach bicia. I gdy patrzyłem na nich, nie myślałem już tak jak przedtem. Kaptah zaś zabawiał się obliczaniem, jak byłby bogaty, gdyby posiadał wszystkie te drzewa w Egipcie, wyładowane ze statku na pomostach portowych w Tebach. Był zdania, że człowiek niewiele wymagający mógłby za cenę jednego takiego drzewa żywić rodzinę przez całe swoje życie, wykształcić synów na pisarzy i wydać córki za mąż w dobre rodziny. Próbował liczyć drzewa, ale nie było im końca, tak że zakręciło mu się w głowie i zaczynał wciąż liczyć na nowo, aż wreszcie jął narzekać:

– Serce mnie boli, gdy widzę, jak to niezmierzone bogactwo stoi tu, chwiejąc się na wietrze bez żadnego pożytku.

Po czym zakrył głowę rąbkiem szaty, żeby nie widzieć drzew. A ja, słuchając potężnego poszumu cedrowych koron, myślałem, że już tylko po to, by to usłyszeć, opłaciło się wyruszyć w daleką podróż.

W końcu przybyliśmy do miasta Kadesz, gdzie znajdowała się twierdza i wielki egipski garnizon. Ale na murach twierdzy nie było żadnych strażników, a rowy ochronne zarosły trawą, żołnierze zaś i oficerowie wiedli życie w mieście wraz ze swymi rodzinami i przypominali sobie, że są wojownikami, tylko w dni, gdy z magazynów faraona wydzielano im zboże, cebulę i piwo. Zatrzymaliśmy się tam, by Kaptah mógł podleczyć rany, które porobiły mu się na tyłku od jazdy na osle. Leczyłem tam wielu chorych, bo egipscy lekarze w Kadesz byli całkiem do niczego, tak że imiona ich już dawno powinny były zostać skreślone z księgi życia, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam figurowały. Toteż chorzy, jeśli mieli dość pieniędzy, kazali się wozić do kraju Mitanni, by szukać pomocy u lekarzy, którzy nabyli biegłości w Babilonie. W Kadesz oglądałem też pomniki wzniesione przez wielkich faraonów i czytałem na nich napisy, w których faraonowie ci opowiadali o swych zwycięstwach, o nieprzyjaciolach położonych trupem i o polowaniach na słonie. W tymże mieście dałem sobie sporządzić pieczęć wyrytą w drogim kamieniu, a uczyniłem to, by mnie poważano w tych krajach. Gdyż nawet pieczęci są tu inne niż w Egipcie i nie nosi się ich na pierścieniach wkładanych na palec, lecz na tasemce u szyi. Są to bowiem cylindry z wywierconą pośrodku dziurką, toczy się je na glinianej tabliczce tak, aby odcisnęły ślad na glinie. Natomiast biedota i ludzie ciemni odciskają ślad kciuka w glinie, gdy mają do czynienia z glinianą tabliczką.

Kadesz był jednak miastem tak nudnym i smutnym, że nawet Kaptah chciał co prędzej ruszyć w dalszą podróż, choć wielce się bał swego osła. Jedyne urozmaicenie

stanowiły tam karawany z różnych krajów, miasto leżało bowiem na skrzyżowaniu dróg karawanowych. Takie są jednak wszystkie miasta w pogranicznych okolicach bez względu na to, jakiemu podlegają królowi. A dla oficerów i żołnierzy są to miejsca karnego zesłania niezależnie od tego, czy pochodzą oni z Egiptu czy z Mitanni, z Babilonu czy z armii Hetytów. I nigdy nie słyszałem, by żołnierze i oficerowie w mieście nadgranicznym robili co innego, jak tylko przeklinali, że przyszli na ten świat, bili się z sobą, pili kiepskie piwo i zabawiali się z kobietami, które nie dawały im chyba żadnej rozkoszy, lecz raczej pozostawiały po sobie wstręt.

Ruszyliśmy więc w dalszą drogę i przekroczyliśmy granicę w kraju Naharani, i nikt nam w tym nie przeszkadzał, tylko natrafiliśmy tam na rzekę, która płynęła pod górę, a nie w dół, jak Nil. Powiedziano nam, że znajdujemy się w kraju Mitanni, i zapłaciliśmy do królewskiego skarbcza ustanowiony dla podróżnych podatek. Ponieważ jednak byliśmy Egipcjanami, ludzie przyjmowali nas z szacunkiem i podchodzili do nas na drodze mówiąc:

– Bądźcie pozdrowieni, bo serca nasze radują się na widok Egipcjan. Od dawna już bowiem nie widzieliśmy tu żadnych Egipcjan. Toteż serca nasze przepełnione są niepokojem, bo wasz faraon od dawna nie przysłał do naszego kraju żołnierzy ani broni, ani złota. I chodzą słuchy, że narzucił naszemu królowi nowego boga, o którym nic nam nie wiadomo, choć mamy przecież Isztar z Niniwy i mnóstwo innych potężnych bogów, którzy dotychczas nas ochraniali.

Zapraszali mnie też do swoich domów i zaopatrywali w żywność i napoje, również Kaptaha karmili i poili, ponieważ był Egipcjaninem, choć tylko moim sługą, tak że powiedział:

– Dobry to kraj. Zostańmy tu, panie, by wykonywać sztukę lekarską, gdyż wszystko wskazuje na to, że ludzie ci są stworzeni ciemnymi i łatwowiernymi, tak iż łatwo będzie ich oszukiwać.

Król Mitanni przeniósł się z dworem w góry na północy kraju, aby spędzić tam najgorętszą porę lata, ja zaś nie miałem najmniejszej ochoty tam jechać, byłem bowiem niecierpliwym i pragnąłem już ujrzeć wszystkie cuda Babilonu, o których tyle się nasłuchiwałem. Zastosowałem się jednak do poleceń Horemheba i rozmawiałem z ludźmi wysokiego i niskiego stanu, a wszyscy mówili mi to samo, tak że zrozumiałem, iż serca ich są naprawdę pełne niepokojów. Gdyż kraj Mitanni był dawniej potężny, teraz jednak wisiał jak gdyby w powietrzu, otoczony od wschodu przez Babilon, od północy przez dzikie ludy, od zachodu zaś przez Hetytów, których wielce się bano, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że muszę pojechać także i do kraju Hatti. Wpierw jednak

chciałem odwiedzić Babilon.

Mieszkańcy kraju Mitanni byli niewielkiego wzrostu, a kobiety ich były piękne i smukłe, dzieci zaś jak laleczki. Może był to kiedyś lud silny, mówili bowiem, że władali niegdyś nad wszystkimi ludami północy i na południu, na wschodzie i na zachodzie. Ale tak mówią także i inne ludy. Ja zaś nie wierzę, by kiedykolwiek Mitannijczycy zwyciężyli i splądrowali Babilon, choć tak utrzymywali, lecz sądzę, że jeśli tak zrobili, to z pomocą faraonów. Od czasu bowiem wielkich faraonów kraj ten zależny był od Egiptu i od dwóch pokoleń córki ich królów mieszkały jako małżonki w Złotym Domu faraona. Przodkowie Amenhotepów przemierzali w wozach bojowych ten kraj od końca do końca i w miastach wciąż jeszcze pokazywano ich tablice zwycięstw. Gdy słuchałem słów i narzekań mieszkańców Mitanni, zrozumiałem, że kraj ten miał stanowić ochronę dla Syrii i Egiptu przed potęgą Babilonu i przeciw dzikim ludom, że miał on być tarczą dla Syrii i ściągać na siebie oszczepy skierowane na egipskie mocarstwo. Dlatego i tylko dlatego podtrzymywali faraonowie chwiejący się tron ich króla i posyłali mu złoto, broń i najemne wojska. Ale mieszkańcy Mitanni nie rozumieli tego i byli bardzo dumni ze swego kraju i jego potęgi, i mówili: – Córka naszego króla, Tadukhipa, była pierwszą królewską małżonką w Tebach, mimo że była tylko dzieckiem i szybko umarła. I nie rozumiemy, dlaczego faraon nie przysłała nam już złota, choć odkąd pamięć sięga, faraonowie kochali naszych królów jak braci i dla tej miłości posyłali im wozy bojowe, broń, złoto i drogie podarki.

Ja jednak widziałem, że kraj ten był zmęczony i konający i że nad jego świątyniami i pięknymi budowlami leżał już cień śmierci. Oni sami nie rozumieli tego jeszcze i wielce się trąpili o jedzenie, które spożywali przyrządzone na najrozmaitsze przedziwne sposoby, oraz trwonili czas na przymierzanie nowych szat, obuwia o spiczastych i wygiętych czubkach i wysokich kapeluszy. Bardzo starannie wybierali też swoje ozdoby. Ich ramiona były równie smukłe jak ramiona Egipcjan, a płeć ich kobiet tak delikatna, że widać było błękitną krew płynącą w żyłach pod naskórkiem. Wszyscy zaś, zarówno mężczyźni jak kobiety, mówili i zachowywali się wytwornie i od dziecka uczyli się pięknie chodzić. W kraju tym przyjemnie było żyć, a w ich domach uciechy uszy nie pękały od zgiełku i wrzasków, lecz wszystko odbywało się cichutko i wytwornie, tak że przestając z nimi i pijąc wino czułem się wielki i niezgrabny. Ale serce ciążyło mi, gdym na nich patrzył, bo spróbowałem już wojny i jeśli wszystko to, co powiadano o krainie Hatti, było prawdą, to kraj Mitanni skazany był na zagładę.

Ich sztuka lekarska też stała wysoko, a lekarze byli biegłymi fachowcami, którzy znali swój zawód i wiedzieli o wielu rzeczach, o których ja nie wiedziałem. I tak

dowiedziałem się od nich o leku, który wypędzał robaki, sprawiając przy tym mniejsze dolegliwości niż jakiegokolwiek inne znane mi lekarstwo. Umieli też za pomocą igły przywracać wzrok ślepcom i nauczyłem się od nich obchodzić z igłą o wiele zręczniejsze niż poprzednio. Otwierania czaszek nie znali jednak wcale i gdy im o tym opowiadałem, nie wierzyli mi i mówili, że tylko bogowie mogą uleczyć tych, którzy mają uszkodzoną głowę, a jeśli nawet bogowie ich ulecą, to i tak nie będą oni nigdy tacy jak przedtem, lepiej więc, żeby umarli.

Mieszkańcy Mitanni byli ciekawi i przychodzili do mnie przyprowadzając swoich chorych, bo wszystko, co obce, kusiło ich. I tak samo jak ubierali się w cudzoziemskie stroje, jedli obce potrawy, pili wino z portów i kochali się w cudzoziemskich ozdobach, tak też i chcieli, żeby leczył ich cudzoziemski lekarz. Także i kobiety przychodziły i uśmiechały się do mnie opowiadając o swoich dolegliwościach i skarżąc się na to, że mężowie ich są zimni, leniwi i zmęczeni. Doskonale rozumiałem, czego ode mnie chcą, ale wystrzegałem się, by nie ulec ich pragnieniom, bo nie chciałem łamać praw obcego kraju. Zamiast tego dawałem im leki, które mogły po kryjomu rozpuszczać w winie swoich mężów. Od lekarzy w Simirze otrzymałem bowiem lekarstwo, które nawet martwego mogło doprowadzić do skosztowania rozkoszy z kobietą, w tej bowiem dziedzinie syryjscy lekarze byli najbieglejsi w świecie, a środki ich mocniejsze od egipskich. Nie wiem jednak, czy kobiety owe podawały te leki swoim mężom, czy też całkiem innym mężczyznom, choć przypuszczam, że raczej obcym kosztem swoich małżonków, gdyż obyczaj ich był swobodny i nie miały one dzieci, z czego także wysnuwałem wnioski, że cienie śmierci spoczywają już na tym kraju.

Opowiem także, że mieszkańcy tego kraju nie znali już nawet własnych granic, bo kamienie graniczne nieustannie były przesuwane, gdyż Hetyci wozili je w swoich wozach bojowych i ustawiali, gdzie im się tylko podobało. A gdy mieszkańcy Mitanni sprzeciwiali się temu, Hetyci śmiali się z nich tylko i wzywali, by przesunęli kamienie graniczne z powrotem, jeśli mają na to wielką ochotę. Oni jednak nie mieli na to wcale ochoty, gdyż jeśli prawdą było to, co opowiadano o Hetytach, to jeszcze nigdy nie mieszkał na ziemi lud bardziej okrutny i strachem napawający. Według opowiadań mieszkańców Mitanni najmilszą rozrywką Hetytów było słuchanie jęków okaleczonych ludzi i widok krwi płynącej z otwartych ran. Odcinali ono dłonie nadgranicznym mieszkańcom Mitanni, którzy skarżyli się, że hetyckie bydło tratuje ich pola i zżera plony, po czym szyderczo wzywali okaleczonych, by przenieśli kamienie graniczne z powrotem na dawne miejsce. Odcinali im również stopy i wzywali, by biegli do swego króla poskarżyć się, a także nacinali im skórę na głowie i ściągali ją na oczy, żeby nie

widzieli, dokąd przenoszone są kamienie graniczne. Mitannijczycy opowiadali też, że Hetyci bluźnią bogom egipskim, co było wielką obelgą dla całego Egiptu. I już to samo powinno było stanowić dla faraona dostateczny powód do przysłania do kraju Mitanni złota, broni i zaciężnych wojsk, by można było prowadzić wojnę przeciw Hetytom. Mieszkańcy Mitanni nie lubili jednak wojny, mieli tylko nadzieję, że Hetyci ustąpią, gdy zobaczą, że moc faraona wspiera kraj Mitanni. Nie potrafię powtórzyć ani wyliczyć wszystkiego zła, które im wyrządzili Hetyci, jak również hetyckich okrucieństw i haniebnych obyczajów. Mówiono, że gorsi są oni od szarańczy, bo po szarańczy ziemia zieleni się na nowo, tam jednak, gdzie przejechały hetyckie wozy bojowe, nie porośnie już trawa.

Nie chciałem zatrzymywać się dłużej w kraju Mitanni, bo uważałem, że dowiedziałem się już wszystkiego, czego powinienem był się dowiedzieć. Lecz moja godność lekarza dotknięta została wątpliwościami lekarzy z Mitanni, którzy nie wierzyli gdy im opowiadałem o otwieraniu czaszek. Do gospody mojej przyszedł pewien możny pan, który skarżył się, że ustawicznie słyszy w uszach szum morza, że pada i traci przytomność i że cierpi na tak przeraźliwe bóle głowy, iż nie chce dłużej żyć, jeśli go ktoś nie potrafi wyleczyć. Żaden z lekarzy miejscowych nie chciał go leczyć, toteż chory istotnie chciał umrzeć, bo życie stało się dla niego męką. Powiedziałem do niego:

– Możliwe, że cię wyleczę, jeśli pozwolisz mi otworzyć sobie czaszkę. Ale jeszcze bardziej możliwe jest że umrzesz, bo zaledwie jeden na stu przychodzi do zdrowia po otwarciu czaszki.

Odparł:

– Byłbym szalony, gdybym nie zgodził się na twoją propozycję, gdyż w ten sposób mam jedną szansę na sto, że będę żyć, gdybym zaś sam uwolnił swoją głowę od tych cierpień, leżałbym jak długi i już nigdy bym się nie podniósł. Nie wierzę co prawda, że mnie potrafisz uleczyć, ale jeśli otworzysz mi czaszkę, nie zgrzeszę przeciw bogom, co bym zrobił, gdybym własnoręcznie zakończył swoje dni. Gdybyś jednak wbrew przewidywaniom wyleczył mnie z tego, oddam ci z radością połowę wszystkiego, co posiadam, a nie jest to mało. Ale nawet gdybym umarł, nie będziesz żałował, bo dary moje będą wielkie.

Zbadałem go dokładnie, macając ręką każde miejsce na jego głowie, lecz dotknięcie moje nie sprawiało mu żadnego bólu i żaden punkt na jego głowie nie różnił się od innego.

Wtedy odezwał się Kaptah:

– Postukaj go młotkiem po głowie, przecież i tak nie masz nic do stracenia.

Opukałem mu więc głowę młotkiem w różnych miejscach i nie skarżył się na nie, lecz w pewnej chwili jęknął, padł na ziemię i stracił przytomność. Wywnioskowałem z tego, że znalazłem miejsce, w którym byłoby najlepiej otworzyć mu czaszkę. Zawołałem lekarzy z kraju Mitanni, którzy nie wierzyli moim słowom i rzekłem:

– Możecie mi wierzyć lub nie, ale chcę otworzyć czaszkę temu człowiekowi, aby go uleczyć, choć najprawdopodobniej umrze.

Lekarze śmiali się ze mnie szyderczo i mówili:

– Naprawdę chętnie to zobaczymy!

Wziąłem ogień ze świątyni Amona i oczyściłem siebie jak również możnego pana, który był moim pacjentem, a także wszystko, co znajdowało się w izbie. Gdy południowe światło było najjaśniejsze, zacząłem robotę rozcinając skórę na głowie i tamując upływ krwi za pomocą rozżarzonego metalu, choć czułem się bardzo źle na widok mąk, które mu sprawiałem. Ale pacjent mój oświadczył, że męka ta jest niczym w porównaniu z tymi, których co dzień przyczynia mu jego głowa. Dałem mu sporo wina, do którego domieszałem uśmierających środków, tak że oczy wylazły mu na wierzch jak martwej rybie i bardzo był wesoły. Następnie otworzyłem czaszkę tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe za pomocą narzędzi, którymi rozporządzałem. A on nawet nie zemdlał, tylko głęboko wciągnął oddech i powiedział, że poczuł natychmiastową ulgę, gdy uniosłem oddzielony od czaszki kawałek kości. Serce przepełniło mi się radością, gdyż właśnie w tym miejscu, gdzie otwierałem czaszkę, demon względnie duch choroby złożył swoje jaje, jak mnie tego nauczył Ptahor. Było ono czerwone i brzydkie, i duże jak jaskółcze jaje. Z całą zręcznością, na jaką było mnie stać, wyjąłem je, przypalając wszystko, co łączyło je z mózgiem, i pokazałem lekarzom, a ci nie śmieli się już. Czaszkę zamknąłem kawałkiem srebrnej blachy, po czym zszyłem pacjentowi skórę na głowie, a on przez cały czas nie stracił przytomności, a potem podniósł się i zaczął chodzić, i dziękował mi ogromnie, gdyż nie słyszał już przeraźliwego szumu w uszach, a także męki, które cierpiał, ustały.

Ten czyn zjednał mi wielką sławę w całym kraju Mitanni i sława ta poszła przede mną do Babilonu. A pacjent mój pił wino i bawił się. Ciało jego stało się gorące i zaczął majaczyć, aż w malignie uciekł trzeciego dnia z łoża, spadł z muru, skrzył kark i umarł. Wszyscy jednak mówili, że nie była to moja wina, i wielce wychwalali moją sztukę lekarską.

My zaś z Kaptahem wynajęliśmy łódź i wiosłarzy i udaliśmy się w dół rzeki, do Babilonu.

ROZDZIAŁ 2

Kraj, nad którym włada Babilon, wiele nosi nazw. Nazywają go Chaldeą, a także krajem Kasytów, według nazwy ludu, który tam mieszka. Ja jednak nazywam go Babilonem, bo wtedy każdy wie, o jaki kraj chodzi. Jest to kraj żyzny, którego pola, gęsto pocięte kanałami nawadniającymi, rozciągają się na rozległych równinach, inaczej niż w Egipcie, podobnie jak i wszystko inne jest tu odmienne niż w Egipcie aż do tego stopnia, że podczas gdy w Egipcie kobiety miały zboże kłęcząc na ziemi i obracając okrągły kamień, kobiety babilońskie robią to siedząc i trąc dwoma kamieniami o siebie, co naturalnie jest o wiele uciążliwsze.

W kraju tym nie rosną prawie żadne drzewa, jest ich tam tak mało, że uważa się za zbrodnię wobec bogów i ludzi, gdy ktoś zetnie drzewo, i jest to surowo karane prawem. Ten natomiast, kto sadi drzewa, zyskuje sobie przez to łaskę bogów. Mieszkańcy Babilonu są też tłuści i tężsi niż w jakimkolwiek innym kraju i dużo się śmieją, jak to często bywa u grubasów. Jedzą obficie mączne potrawy. Widziałem też u nich ptaka, który nazywa się kura i nie umie latać, lecz mieszka u ludzi i w darze za to znosi im co dzień jajko, mniej więcej tak duże jak jajo krokodyla. Ale wiem, że i tak nikt mi nie uwierzy. Zapraszano mnie, bym skosztował tych jajek, które mieszkańcy Babilonu uważają za wielki przysmak. Lecz nie śmiałem ich tknąć, bo najlepiej jest być ostrożnym, i zadowalałem się potrawami, które znałem lub o których przynajmniej wiedziałem, jak się przyrządza.

Mieszkańcy tego kraju mówili, że Babilon jest największym i najstarszym z wszystkich miast na świecie, w co im jednak nie wierzyłem, wiedząc, że najstarszym i największym miastem są Teby. Powiem też, że wprawdzie nie ma na świecie miasta, które mogłoby się równać z Tebami, jednak Babilon zaskoczył mnie swoim bogactwem i wielkością, bo już same mury miejskie były wysokie jak góry i wzbudzały postrach, wieże zaś, które wznosili dla swoich bogów, sięgały aż do nieba. Domy w mieście miały po cztery, pięć pięter, tak że ludzie mieszkali i wiedli życie jedni nad lub pod drugimi. I nigdzie, nawet w Tebach, nie widziałem tak bogatych i wspaniałych sklepów i takiego mnóstwa towarów, jak w domu handlowym przy świątyni w Babilonie.

Ich bogiem jest Marduk, a ku czci Isztar zbudowali bramę większą niż pylony w świątyni Amona, i pokryli ją kafelkami o barwnej glazurze, ułożonymi w obrazy, które olśniewały oczy w blasku słońca. Od bramy tej wiodła szeroka droga na szczyt Wieży Marduka, zbudowanej piętrzącymi się jeden na drugim tarasami, tak równa i szeroka, że można nią było jechać w kilka wozów obok siebie. Na szczycie wieży mieszkali gwiazdzarze, którzy wiedzieli wszystko o ciałach niebieskich, obliczali ich orbity i ogłaszali dni pomyślne i dni niepomyślne, tak że każdy mógł stosownie do

tego kierować swoim życiem. Mówiono też, że umieli oni przepowiadać przyszłość człowieka, po to jednak trzeba było znać dzień i godzinę urodzenia, skutkiem czego nie mogłem spróbować tej ich sztuki, bo nie znałem dokładnej chwili moich urodzin.

Miałem złota pod dostatkiem, bo mogłem brać go do woli w zamian za moje gliniane tabliczki w pieniężnym kantorze świątyni, toteż zakwaterowałem się obok Bramy Isztar, w dużej gospodzie o wielu piętrach, na dachu której rosły owocowe sady i krzewy mirtu, płynęły strumyki i ryby pluskały w sadzawkach. W gospodzie tej mieszkali moi przybywający do Babilonu ze swoich dóbr, jeśli nie posiadali własnych domów w mieście. Zajeżdżali tam także zagraniczni wysłannicy. Izby wyścielone były miękkimi dywanami, a łoża były miękkie od zwierzęcych skór, na ścianach zaś znajdowały się ułożone z pokrytych glazurą płytek kolorowe, wesołe i frywolne obrazki. Dom ten zwał się Domem Uciechy Isztar i stanowił własność Wieży Marduka, podobnie jak wszystko inne o większym znaczeniu w Babilonie. Gdyby policzyć wszystkie jego izby i pomieszczenia, mieszkańców i służbę, to, jak sądzę, okazałoby się, że w tym jednym tylko budynku jest tylu mieszkańców, co w całej dzielnicy miasta w Tebach, choć nikt, kto tam nie mieszkał, pewnie mi w to nie uwierzy.

W żadnym innym miejscu na świecie nie widzi się tylu rozmaitego rodzaju ludzi co w Babilonie i nigdzie nie słyszy się tylu różnych języków na ulicy jak tam, gdyż sami Babilończycy mówią, że wszystkie drogi prowadzą do ich miasta i że Babilon jest pępkiem świata. Zapewniają oni mianowicie, że kraj ich nie leży na skraju świata, jak to wierzą w Egipcie, lecz że na wschodzie, za górami, znajdują się potężne państwa, skąd czasem przybywają do Babilonu uzbrojone karawany, przywożąc rzadkie towary, materiały i kruche naczynia. Muszę też powiedzieć, że widziałem w Babilonie ludzi, których twarze były żółte, a oczy skośnie osadzone i którzy wcale nie malowali sobie twarzy. Trudnili się oni handlem, sprzedając materiały cieniutkie jak królewskie płótno, lecz jeszcze odeń gładsze i mieniające się wszystkimi możliwymi kolorami, jakie są na świecie.

Mieszkańcy Babilonu są bowiem przede wszystkim kupcami i niczego nie stawiają wyżej ponad handel, tak że nawet ich bogowie handlują ze sobą. Dlatego też Babilończycy nie lubią wojny. Utrzymują wojska zaciężne i wznoszą mury obronne tylko dla ochrony swego handlu i pragną, by drogi były otwarte dla wszystkich ludzi i we wszystkich krajach. Pragną zaś tego przede wszystkim dlatego, że wiedzą, iż są najlepszymi kupcami i że większe osiągają korzyści z handlu niż z prowadzenia wojen. Są jednak dumni ze swych żołnierzy, którzy strzegą miejskich murów i świątyni i co dzień maszerują do Bramy Isztar w hełmach i napierśnikach błyszczących od srebra i

złota. Rękojeści ich mieczy i groty oszczepów pokryte były również srebrem i złotem na znak bogactwa. Mnie zaś pytano: – Czyś widział kiedy, cudzoziemcze, takich żołnierzy i takie wozy bojowe?

Królem Babilonu był wtedy chłopak nie posiadający jeszcze zarostu, musiał przyczepić sobie sztuczną brodę, gdy wstąpił na tron. Nazywał się Burnaburiasz i lubował się w zabawkach i dziwnych opowieściach. Sława moja z Mitanni doszła jeszcze przede mną do Babilonu, tak że gdy zajechałem do Domu Uciechy Isztar, odwiedziłem świątynię i pomówiłem z kapłanami i lekarzami Wieży, dano mi znać, że król wzywa mnie do siebie: Kaptah jak zwykle zaniepokoił się i powiedział:

– Nie idź tam, mój panie, lecz uciekajmy razem co rychlej, nic dobrego nie można bowiem spodziewać się od królów.

Ale ja odparłem mu na to:

– Głuptasie, czyżbyś zapomniał, że mamy z sobą skarabeusza?

Na to on rzekł:

– Skarabeusz skarabeuszem i wcale o tym nie zapomniałem, ale bezpieczeństwo jest zawsze najlepsze, lepsze niż niepewność. Nie powinniśmy też nadużywać cierpliwości skarabeusza. Jeśli jednak stanowczo postanowiłeś iść, nie mogę ci w tym przeszkodzić i pójdę z tobą, abyśmy przynajmniej umarli razem. Gdybyśmy bowiem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, kiedyś wrócili do Egiptu, chcę móc opowiadać, że leżałem na brzuchu przed królem Babilonu. Byłbym zatem głupi, gdybym nie wykorzystał sposobności, która się nadarza. Jeśli jednak mamy już tam się udać, powinniśmy szanować swoją godność. Musisz więc zażądać, aby przysłano po nas królewską lektykę. I nie pójdziemy tam dzisiaj, bo dzień dzisiejszy jest zły według zwyczajów tego kraju, kupcy pozamykali sklepy, a ludzie odpoczywają po domach i nie pracują, gdyż i tak wszystko by im się dzisiaj nie udało, jako że jest to siódmy dzień tygodnia.

Zastanowiłem się nad tym i spostrzegłem, że Kaptah ma słuszość, gdyż nawet jeśli dla Egipcjan wszystkie dni są jednakowe z wyjątkiem tych, które gwiazdy określają jako złe, to może w tym kraju siódmy dzień był także niepomyślny dla Egipcjan. Toteż lepiej było trzymać się tego co pewne. Powiedziałem więc do królewskiej służby:

– Sądzisz pewnie, żem głupi i obcy, skoro w taki dzień żądasz, żebym stanął przed królem. Jutro jednak przyjdę, jeśli twój król przyśle po mnie lektykę, gdyż nie jestem jakimś nędznym człowiekiem i nie chcę stanąć przed nim z oślim nawozem między palcami u nóg.

A na to sługa:

– Obawiam się, parszywy Egipcjanie, że za te słowa doprowadzony zostaniesz przed króla na oszczepach, które będą cię łaskotać w tyłek.

Odszedł, ale nabrał dla mnie szacunku, bo następnego dnia przybyła do gospody królewska lektyka, aby mnie zabrać.

Ale lektyka była zwykłą sobie lektyką, taką, w jakiej noszono do pałacu kupców i innych prostych ludzi, by tam pokazywali ozdoby, pióra i małpki. Toteż Kaptah wielkim głosem skrzyczał tragarzy i gońca:

– Na Seta i wszystkie demony, niech Marduk skarże was skorpionami! Zabierajcie się stąd, bo nie przystoi mojemu panu, by wsiadł do takiego gruchota!

Tragarze zmieszali się, goniec wygrażał Kaptahowi laską, a przed oberżą zebrał się tłum ludzi, którzy śmieli się i wołali: – Zaprawdę, bardzo chcemy zobaczyć twego pana, dla którego królewska lektyka jest za skromna! – Lecz Kaptah wynajął w gospodzie wielką lektykę, do której niesienia trzeba było czterdziestu silnych niewolników i w której noszono posłów wielkich mocarstw w ważnych misjach, a także obnoszono cudzoziemskich bogów, gdy przybyli do Babilonu. I ludzie nie śmieli się już, gdy wyszedłem z mej izby przyodziany w strój, na którym srebrem i złotem wyhaftowane były rozmaite związane z zawodem lekarza figury. A kołnierz mój lśnił w promieniach słońca od złota i drogich kamieni i na szyi dźwięczały złote łańcuchy. Za mną kroczyli niewolnicy z oberży niosąc skrzynie z cedru i hebanu, ozdobione intarsjami z kości słoniowej. W skrzyniach znajdowały się moje leki i lekarskie narzędzia. Nie, ludzie nie śmieli się już, lecz kłaniali przede mną głęboko, mówiąc do siebie: – Ten mąż na pewno dorównuje mądrością mniejszym bogom. Chodźmy więc za nim do pałacu. – I wielkie tłumy szły za lektyką aż do bram pałacu, przed nią zaś Kaptah jechał na białym osle, przy którego czapraku dźwięczały srebrne dzwoneczki. Nie robiłem tego wszystkiego dla własnej korzyści, tylko dla Horemheba, bo dał mi on dużo złota i byłem jego okiem i uchem.

U bram pałacu żołnierze rozpędzili tłum oszczepami i wzniesli tarcze, aby obronić bramę. Utworzyli z nich mur srebrno-złoty, a uskrzydłone lwy stały na straży drogi, po której niesiono mnie w lektyce do wewnętrznych dziedzińców pałacu. Tam wyszedł mi na spotkanie stary mężczyzna z brodą ogoloną, jak to jest w zwyczaju u uczonych. W uszach jego błyszcząły złote obręcze, policzki miał obwisłe, a minę niezadowoloną. Patrząc na mnie gniewnie, przemówił:

– Wątroba mi się przewraca od tego zgiełku i niepotrzebnego hałasu, który wywołałeś twym przybyciem. Władca wszystkich czterech części świata pyta już, kim jest ten człowiek, który przybywa wtedy, kiedy mu się podoba, a nie gdy to odpowiada

królowi, i który ściąga za sobą wrzawę i harmider, gdy nadchodzi.

Odparłem mu:

– Starcze! Mowa twoja jest dla mnie jak brzęczenie much, ale pytam cię, kim jesteś, że tak się do mnie odzywasz?

A on na to:

– Jestem przybocznym lekarzem władcy wszystkich czterech części świata i najwyższym z jego lekarzy. Kim jednak jesteś, oszuście, któryś przybył tu, by swymi sztuczkami wyłudzić od króla złoto i srebro? Wiedz, że gdyby król w swej dobroci dał ci cechowanego srebra lub złota, połowę z tego masz oddać mnie.

Odpowiedziałem mu:

– Twoja wątroba nic mnie nie obchodzi i lepiej byłoby zaiste, gdybyś pomówił z moim służącym, bo jego zadaniem jest przepędzać z mego pobliza wymusicieli i darmozjadów. Chcę jednak być twoim przyjacielem, boś już stary i nie umiesz się lepiej znaleźć. Toteż daję ci te złote obręcze z mego ramienia, aby ci wykazać, że złoto i srebro są jak proch pod moimi stopami i że nie przybyłem tu, by szukać złota, lecz wiedzy.

Dałem mu złote bransolety z moich przegubów, a on wielce się zdziwił i nie wiedział już, co do mnie mówić. Toteż pozwolił także i Kaptahowi towarzyszyć mi i zaprowadził mnie do króla.

Król Burnaburiasz siedział na miękkich poduszkach w przestronnej komnacie, której ściany mieniły się od barwnych, pokrytych glazurą kafelków. Był to jeszcze chłopiec, rozkapryszony i rozpuszczony. Siedział podpierając ręką policzek, a obok niego leżał lew, który na nasz widok głucho ryknął. Starzec rzucił się plackiem na ziemię całując podłogę przed królem, a Kaptah zrobił to samo, lecz kiedy usłyszał pomruk lwa, zerwał się, odbił od podłogi na rękach i nogach, jak żaba, i zaczął piszczeć ze strachu, tak że król wybuchnął śmiechem i przechyliwszy się w tył na poduszki skręcał się ze śmiechu. Kaptah jednak rozgniewał się i krzyknął:

– Zabierzcie to dzikie bydlę, zanim mnie ugryzie, bo przeraźliwszego potwora nie widziałem dotąd w życiu, a pomruk jego jest jak dudnienie wozów bojowych na rynku w Tebach, gdy gwardia faraona, wciąż jeszcze podchmielona po dniu świątecznym, wyjeżdża na ćwiczenia.

Z trudem zdołał usiąść na podłodze, po czym podniósł dłonie obronnym gestem, a lew też przysiadł i ziewnął przeciągle. A gdy zamknął paszczę, zęby zatrasnęły się z takim zgrzytem, jak wieko kasy w świątyni, gdy połyka grosz wdowi.

Król śmiał się tak, że aż łzy płynęły mu z oczu, potem jednak przypomniał sobie o bólu, jęknął i znowu przyłożył rękę do policzka silnie spuchniętego, tak że jedno

oko było na wpół zasklepione. Zmarszczył brwi, a starzec spojrzął z ziemi na niego i śpiesznie rzekł:

– Oto uparty Egipcjanin, który nie przyszedł wtedy, gdyś rozkazał. Rzeknij tylko słowo, a każę żołnierzom rozpruć mu wątrobę uszczepami.

Lecz król kopnął go i rzekł:

– Nie czas teraz pleść bzdury, lecz niech mnie szybko uleczy, bo boli mnie okropnie i boję się, że umrę. Nie spałem przez wiele nocy i nie mogę nic jeść prócz gorącej polewki.

Wtedy starzec zaczął biadać, bić czołem o ziemię i wołał:

– O panie czterech części świata, zrobiliśmy wszystko, żeby cię wyleczyć, i złożyliśmy w świątyniach w ofierze szczęki i zęby, aby odpędzić złego ducha, który usadowił się w twojej szczęce. Nic więcej zaś nie mogliśmy zrobić, żeby cię uleczyć, bo nie pozwoliłeś nam dotknąć swojej świętej szczęki. I nie sądzę, by ten nieczysty cudzoziemiec umiał więcej niż my.

Na co odezwałem się:

– Jestem Sinuhe, Egipcjanin, Ten, Który Jest Samotny, Syn Dzikiego Osla. I nie potrzebuję cię badać, żeby wiedzieć, że trzonowy ząb wywołał spuchliznę na twym policzku, ponieważ nie dałeś go w porę oczyścić czy też wyrwać, co twoi lekarze na pewno ci doradzali. Taki ból to ból dla dzieci i dla strachajłów, a nie dla pana czterech części świata, przed którym nawet lew drży i skłania głowę, jak to widzę na własne oczy. Ale wiem, że twój ból jest wielki, i dlatego chcę ci dopomóc.

Król trzymając się za policzek rzekł:

– Mowa twoja jest zuchwała i gdybym był zdrów, z pewnością kazałbym ci wyrwać twój bezczelny jęzor z ust i rozpruć ci wątrobę. Ale nie czas na to teraz. Wylecz mnie szybko, a zapłata twoja będzie wielka. Lecz jeśli sprawisz mi ból, każę cię natychmiast zabić.

Odparłem mu:

– Niech będzie, jak mówisz. Mam jako obrońcę małego, lecz niezwykle mocnego boga, którego zasługą jest, że nie przyszedłem do ciebie wczoraj, bo przyszedłbym wtedy na próżno. Teraz jednak widzę bez badania, że zło dojrzało, by je otworzyć, i dokonam tego, jeśli chcesz, lecz przed bólem bogowie nie mogą ustrzec nawet króla. Ale zapewniam cię, że ulga będzie tak wielka, iż nie będziesz potem pamiętał o bólu, zapewniam cię też, że zrobię to najdelikatniej, jak to może zrobić człowiek przy całej swojej zręczności.

Król wahał się przez chwilę, przypatrując mi się ze ściągniętymi brwiami, z dłonią

przyciśniętą do policzka. Zdrowy, był on z pewnością pięknym młodzieńcem, choć może bardzo zarozumiałym, i poczułem, że zaczynam go lubić. A on odczuł moje spojrzenie i rzekł w końcu z rozdrażnieniem:

– To, co masz zrobić, zrób szybko!

Starzec zaczął znów biadać i bić czołem w podłogę, ale ja nie zwracałem na niego uwagi, tylko kazałem zagrzać wina, do którego domieszałem usmierzającego leku i dałem to wypić królowi. On zaś po chwili poweselał i powiedział:

– Bóle przechodzą i już teraz nie zbliżysz się do mnie z twoimi obcęgami i nożami!

Ale moja wola była silniejsza od jego woli i zmusiłem go, żeby otworzył usta, i trzymając mocno jego głowę pod pachą otworzyłem wrzód w jego szczęce nożem, który oczyściłem w ogniu przyniesionym przez Kaptaha. Ogień nie pochodził co prawda ze świętego ogniska Amona, gdyż Kaptah w swym niedbalstwie pozwolił tamtemu zgasnąć w czasie podróży Rzeką, lecz ten nowy ogień skrzesał Kaptah w mojej izbie w gospodzie i wierzył w swej głupocie, że skarabeusz jest równie silny jak Amon.

Król jęczał bardzo, gdyż nóż zagłębił mu się w ciało, a lew podniósł się, ryknął i zaczął bić ogonem, a oczy mu pałały. Ale król był zajęty wypluwaniem tego, co wypływało z wrzodu, a ulgę odczuł wielką, ja zaś pomagałem mu naciskając lekko jego policzki. Na przemian pluł i płakał z radości, i znowu pluł, aż w końcu rzekł:

– Sinuhe, Egipcjaninie, bądź błogosławiony, choć sprawiłeś mi ból! – I pluł dalej nieprzerwanie.

Lecz starzec wtrącił:

– Potrafiłbym to zrobić równie dobrze jak on albo i lepiej, gdybyś mi tylko pozwolił dotknąć twojej świętej szczęki. A najlepiej byłby to zrobił twój dentysta.

I zdziwił się, gdy usłyszał, że i ja mówię:

– Ten starzec mówi prawdę, gdyż zrobiłby to równie dobrze jak ja, a najlepiej zrobiłby to twój dentysta. Lecz wola ich nie była tak silna jak moja i dlatego nie mogli cię uwolnić od bólu. Bo jeśli jest to nieuniknione, lekarz musi ważyć się na zadanie bólu nawet królowi, nie bojąc się o siebie i swój los. Oni bali się, a ja się nie bałem, bo jest mi wszystko jedno, i jeśli chcesz, możesz kazać twoim żołnierzom rozpruć mi wątrobę, teraz, kiedy cię już uleczyłem.

Król spluwał, naciskał dłońią policzek, znowu pluł, a policzek nie bolał go już i w końcu rzekł:

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił tak, jak mówisz ty, Sinuhe. Jeśli jest tak, jak powiadasz, to nie oplaca się rozpruwać ci wątroby. Jaki bowiem byłby z tego pożytek, skoro ciebie to nie zmartwi. Sprawileś mi ogromną ulgę, toteż wybaczam

ci twoją bezczelność, także twemu słudze przebaczam, choć widział mnie z głową pod twoją pachą i słyszał, jak jęczałem. Ale wybaczam mu dlatego, że doprowadził mnie do śmiechu swoim komicznym skakaniem. – I zwracając się do Kaptaha dodał: – Zrób to jeszcze raz!

Na co Kaptah obruszył się i odparł:

– To nie licuje z moją godnością.

Burnaburiasz uśmiechnął się i rzekł:

– Zaraz zobaczymy. – Przywabił lwa, a ten podniósł się i przeciągnął całym cielskiem, aż mu zatrzeszczało w stawach, patrzył przy tym na swego pana mądrymi oczyma. Król wskazał na Kaptaha, lew zaczął leniwie zbliżać się wymachując ogonem, a Kaptah cofał się przed nim wpatrując się w niego jak zaczarowany. Nagle lew otworzył paszczę i wydał głuchy ryk. Wtedy Kaptah odwrócił się i uchwyciwszy się wiszącej przy drzwiach draperii wdrapał się po niej na górną framugę drzwi, kwicząc ze strachu, gdy lew wyciągnął za nim łapę. A król śmiał się do rozpuku i mówił: – czegoś równie śmiesznego jeszcze nigdy nie widziałem! – Lew usiadł na podłodze i oblizywał się, a Kaptah siedział na framudze drzwi i trząsł się ze strachu. Król zaś zażądał jadła i napoju oświadczając, że jest głodny. Wtedy starzec zapłakał z radości, że król jest wyleczony. Przyniesiono rozmaite potrawy w srebrnych naczyniach, na których wryte były różne obrazy, oraz wino w złotych pucharach. A Burnaburiasz rzekł: – Jedz ze mną, Sinuhe, jakkolwiek to nie licuje z moją godnością. Ale dziś zapomnę o swojej godności i nie będę myślał o tym, żeś trzymał moją głowę pod pachą i żeś grzebał mi w ustach palcami.

Tak więc jadłem i piłem z królem, i powiedziałem:

– Ból twój jest teraz lżejszy, ale może wrócić w każdej chwili, jeśli nie każesz wyrwać zęba, który go powoduje. Toteż powinienś pozwolić swemu dentyście usunąć ten ząb, gdy tylko spuchlizna ustąpi z twego policzka i będzie to można zrobić bez szkody dla twego zdrowia.

Spochmurniał i rzekł:

– Mówisz zbyt wiele i zakłócasz moją radość, szalony cudzoziemcze. – Ale po chwili namysłu dodał: – Być może, że masz słuszność, bo ból odnawia się zawsze w jesieni i na wiosnę, gdy przemoczę nogi, i sprawia mi wiele cierpienia, tak że nieraz chciałbym umrzeć. Ale jeśli to powinno być zrobione, to musisz to zrobić ty, bo mego dentystry nie chcę widzieć na oczy, tyle niepotrzebnej męki mi przysporzył.

Odparłem:

– Z mowy twojej widzę, że jako dziecko piłeś więcej wina niż mleka. Słodczye też

nie są zdrowe dla ciebie, bo w tym mieście przyrządzają je z daktylowego syropu, który psuje zęby, podczas gdy w Egipcie robi się je z miodu, który bardzo małe ptaszki zbierają dla ludzi w wielkie plastry. Od tej pory jedz tylko słodczyce z portu i pij mleko co rano, gdy się zbudzisz.

A on na to:

– Doprawdy wielki z ciebie dowcipniś, Sinuhe, bo nie wierzę, by małe ptaszki zbierały miód dla ludzi. Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Na co odparłem:

– Twardy jest mój los, bo i we własnym kraju ludzie nazywać mnie będą kłamcą, kiedy im opowiem, że widziałem ptaki, które nie umieją latać i mieszkają pod ludzkim dachem, i w zamian za to co dzień znoszą jajko, wzbogacając w ten sposób swego właściciela. Toteż zapewne lepiej, żebym od tej chwili nic więcej nie mówił, gdyż stracę swoją dobrą sławę i uznają mnie za kłamcę.

On jednak zapalczywie się temu sprzeciwił, domagając się:

– Mów, mów, bo nikt jeszcze nie rozmawiał ze mną tak jak ty.

Wtedy popatrzyłem na niego poważnie i rzekłem:

– Nie myślę wrywać ci zęba. Musi to zrobić dentysta, bo w takich sprawach jest on najbiedniejszy w tym kraju, z pewnością biedniejszy nawet ode mnie, i nie chcę ściągać na siebie jego gniewu. Ale jeśli chcesz, mogę stać przy tobie, trzymać cię za ręce i dodawać ci odwagi, gdy on to będzie robił. Mogę też złagodzić twoje męki sztuką, której nauczyłem się w wielu krajach i u wielu ludów. A wszystko to musi się dokonać za dwa tygodnie od dnia dzisiejszego, bo lepiej ten dzień z góry ustanowić, żebyś się potem nie rozmyślił. Wtedy bowiem twoja szczęka będzie już dostatecznie podleczone, a do tego czasu będziesz też co rano i co wieczór płukać usta środkiem, który ci dam, choć będzie cię to może piekło i budziło odrazę.

Rozgniewał się i spytał:

– A jeśli tego nie zrobię?

– Dasz mi swoje królewskie słowo, że to zrobisz tak, jak powiedziałem, bo swego królewskiego słowa nie może nie dotrzymać pan czterech części świata. A jeśli pozwolisz to sobie zrobić, będę cię zabawiał moją sztuką i zamienię na twoich oczach wodę w krew, i nawet ciebie nauczę to robić, żebyś mógł zadziwiać swoich poddanych. Musisz mi tylko obiecać, że nie wyjawisz tej sztuczki nikomu innemu. Jest to bowiem święta tajemnica kapłanów Amona i nie znałbym jej, gdybym sam nie był wyświęcony na kapłana pierwszego stopnia, tak jak nie śmiałybym ciebie tego nauczyć, gdybyś nie był królem.

W tej chwili Kaptah zaczął wołać z framugi drzwi żalonym głosem:

– Zabierzcie to okropne zwierzę, bo zleżę na dół i zabiję je. Ręce mi już mdleją i tyłek mnie boli od siedzenia na tym niewygodnym miejscu, które nie licuje z moją godnością. Doprawdy zleżę i zabiję je, jeśli natychmiast go stąd nie zabierzecie.

Burnaburiasz śmiał się jeszcze bardziej niż przedtem, słuchając tego odgrażania się, potem jednak udał powagę i rzekł:

– Doprawdy szkoda by mi było, gdybyś zabił mego lwa, bo od małego rósł na moich oczach i stał się moim przyjacielem. Toteż odwołam go, żebyś nie popełnił zbrodni w moim pałacu. – Przywołał lwa do siebie, a Kaptah zszedł po draperii i zaczął rozcierać zeszywniałe nogi, patrząc na lwa z wielkim gniewem, aż król znów się roześmiał i bijąc się po udach powiedział: – Doprawdy komiczniejszego człowieka nie widziałem jeszcze w życiu. Sprzedaj mi go, a zrobię cię bogaczem!

Ja jednak nie chciałem mu sprzedać Kaptaha, a on się przy tym nie upierał. Rozstaliśmy się jak przyjaciele, gdy głowa zaczęła mu się kiwać, a oczy zamykać, bowiem sen zgłosił się po swoje prawa, gdyż z powodu bólu król nie spał przez kilka nocy. Starzec będący jego przybocznym lekarzem wyszedł wraz ze mną z sali i powiedział:

– Z twego zachowania i z twoich słów widzę, że nie jesteś oszustem, lecz zręcznym człowiekiem, znającym swój zawód. Zdumiewa mnie jednak śmiałość, z jaką zwracałeś się do władcy czterech części świata, bo gdyby ktoś z jego własnych lekarzy ośmielił się odezwać do niego w taki sposób, dawno by już spoczywał w glinianej urnie pośród swoich przodków.

Odparłem mu na to:

– Najlepiej, żebyśmy się wspólnie naradzili nad tym, co ma się stać za dwa tygodnie, gdyż będzie to dzień trudny i dobrze by było, żebyśmy przedtem wspólnie złożyli ofiary odpowiednim bogom.

Słowa moje wielce mu się spodobały, gdyż był to człowiek nabożny. Umówiliśmy się więc, że spotkamy się w świątyni, by złożyć ofiarę i odbyć z lekarzami radę w sprawie królewskich zębów. Zanim opuściliśmy z Kaptahem pałac, lekarz królewski kazał nakarmić tragarzy, którzy mnie tam przynieśli, a ci jedli i pili na podwórku i wielce mnie wychwalali. I gdy niesli mnie z powrotem do gospody, śpiewali wielkim głosem a tłumy ludzi szły za mną. Od tego czasu imię moje głośnie było w Babilonie. A Kaptah jechał na białym ośle, bardzo zły, i wcale się do mnie nie odzywał, gdyż został dotknięty w swej godności.

ROZDZIAŁ 3

W dwa tygodnie później spotkałem się z królewskimi lekarzami w Wieży Marduka i złożyliśmy razem owcę w ofierze, a oni kazali zbadać jej wątrobę i sporządzić dla nas wróżbę, gdyż w Babilonie kapłani wróżyli z wątroby ofiarnej i potrafili wyczytać z niej wiele rzeczy niezrozumiałych dla innych. Kapłani powiedzieli nam, że król będzie się wprawdzie bardzo na nas złościć, ale nikt z nas nie straci życia ani też nie dozna trwałego kalectwa. Lecząc króla powinniśmy jednak wystrzegać się pazurów i oszczepów. Prosiłiśmy jeszcze gwiazdziarzy o sprawdzenie w księdze nieba, czy dzień jest pomyślny dla naszego celu. Oni zaś odrzekli, że dzień nie jest nieodpowiedni, jakkolwiek mogliśmy byli wybrać dzień pomyślniejszy. Kazaliśmy dalej kapłanom lać oliwę na wodę i z tego wróżyć przyszłość, ale przyjrawszy się rozlanej oliwie, orzekli oni, że nie widzą tam nic szczególnego, a przynajmniej nic takiego, co byłoby specjalnie złym znakiem. Gdy wyszliśmy ze świątyni, przeleciał nad nami sęp, niosąc w szponach ludzką głowę porwaną z murów, co kapłani wytłumaczyli jako znak korzystny dla naszych zamierzeń, choć znak ten według mego mniemania bynajmniej nie był sprzyjający.

Stosownie do rad wyczytanych w owczej wątrobie odprawiliśmy królewską straż przyboczną, jako też nie pozwoliliśmy lwu pójść z nami, lecz zostawiliśmy go za drzwiami, bojąc się, że król w gniewie mógłby go nas poszczuć, on zaś rozerwałby nas na sztuki, co, jak opowiadali lekarze, nieraz już robił. Król Burnaburiasz przyszedł dzielnie na zabieg, napiwszy się wina, aby – jak to mówią w Babilonie – ucieszyć swoją wątrobę. Kiedy jednak zobaczył krzesło dentysty, które ten kazał przywieźć do pałacu, dotknął go i zrobił się zupełnie błydy, po czym oświadczył, że ma jeszcze do załatwienia ważne sprawy rządowe, o których zapomniał pijąc wino.

Chciał odejść, ale podczas gdy inni lekarze leżeli na brzuchach i wargami dotykali podłogi, ja chwyciłem króla za rękę, dodając mu otuchy, że wnet będzie po wszystkim, jeśli tylko zachowa odwagę. Kazałem lekarzom, by się oczyścili i oczyścili narzędzia w ogniu skarabeusza, i wcierałem w królewskie dziąsło uśmierzającą masć, mówiąc, że policzek zdrętwiał mu, jakby był z drewna, i że nie może poruszać językiem w ustach. Wtedy posadziliśmy go na krzesło i przywiązaliśmy mu mocno głowę do oparcia, a do ust włożyliśmy mu kliny, żeby nie mógł już ich zamknąć. Trzymałem go za ręce i dodawałem mu odwagi, a dentysta wezwał głośno na pomoc wszystkich bogów Babilonu, wsadził do ust kleszcze i wyrwał ząb tak zgrabnie, że nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś równie zręcznie potrafił usunąć chory ząb. Mimo klinów król krzyczał straszliwie i lew zaczął ryczeć za drzwiami i rzucać się na nie, tak że trzeszczały, i drapać o nie pazurami.

Była to okropna chwila, bo gdy uwolniliśmy królowi głowę i wyjęliśmy mu z ust kliniki, zaczął pluć krwią do miski, jęczeć i krzyczeć, a łzy mu ciekły po policzkach. A gdy wypluł krew, zawołał przez łzy, że jego straż przyboczna zabije nas wszystkich, przyzywał swego lwa, przewrócił kopnięciem święty ogień i walił swoich lekarzy kijem, dopóki mu go nie odebrałem prosząc, by zechciał wypłukać usta. Zrobił to, a lekarze leżeli na ziemi u jego stóp trzęsąc się ze strachu, dentysta zaś pewien był, że nadeszła jego ostatnia chwila. Król jednak uspokoił się i napił wina, choć usta miał wciąż jeszcze skrzywione, i poprosił mnie, żebym go zabawił, tak jak mu to obiecywałem.

Przeszliśmy więc do wielkiej królewskiej sali uczt, gdyż izba, w której wrywano mu ząb, zbrzydła mu całkiem i postanowił zamknąć ją na wszystkie czasy i nazwać przekłętą. W sali nalałem wody do naczynia i dałem do skosztowania królowi, a potem także i lekarzom, żeby wszyscy mogli zaświadczyć, że była to zwyczajna woda. Potem zaś przelałem tę wodę powoli do innego naczynia i w miarę tego, jak woda spływała do drugiego naczynia, przemieniała się w krew, tak że król i jego lekarze wykrzykiwali ze zdumienia i wielce się bali.

Potem kazałem Kaptahowi przynieść skrzynkę z drewnianym krokodylem. Wszystkie zabawki sprzedawane w Babilonie zrobione były bardzo zręcznie z gliny, kiedy jednak przypomniałem sobie drewnianego krokodyla, jakim bawiłem się w dzieciństwie, kazałem zręcznemu rzemieślnikowi zrobić według moich wskazówek podobnego. Sporządził go z cedrowego drewna i ze srebra i pomalował oraz przyozdobił tak, że zabawka była podobna do prawdziwego krokodyla. Wyjąłem ją ze skrzynki i zacząłem ciągnąć za sobą po podłodze, krokodyl zaś szedł za mną i poruszał łapami, i kłapał szczękami, jak to robi prawdziwy krokodyl w poszukiwaniu łupu. Dałem go w darze królowi, któremu spodobał się bardzo, bo w rzekach Babilonu nie ma krokodyli, i który bawił się nim na podłodze, zapomniawszy zupełnie o tym, co wycierpiał. Lekarze zaś mrugali do siebie i śmieli się z radości.

Następnie król rozdał lekarzom hojne dary, a dentystę zrobił bogaczem, po czym odesłał ich wszystkich, mnie zaś zatrzymał przy sobie. Wtedy nauczyłem go, jak przemieniać wodę w krew, i dałem mu też trochę tego środka, który należy domieszać do wody, żeby cud się dokonał. Jest to bardzo prosta sztuczka, jak o tym wie każdy, kto ją zna, ale wszelka prawdziwa sztuka jest prosta. Król wielce się zdumiewał i bardzo mnie wychwalał. I dopóty się nie uspokoił, dopóki nie zawołał możnych swego dworu do ogrodu, dokąd przywołano też prostych ludzi z ulic miasta, i tam na oczach wszystkich nie przemienił wody w sadzawce w krew, tak że i możni, i pospólstwo krzyczeli ze strachu i padali przed nim plackiem na ziemię, on zaś ogromnie był zadowolony.

Nie pamiętał już o swoim zębie, lecz rzekł do mnie:

– Sinuhe, Egipcjaninie, wyleczyłeś mnie z wielkiego cierpienia i nacieszyłeś moją wątrobę w najrozmaitsze sposoby. Za to możesz prosić mnie, o co chcesz. Powiedz tylko, czego sobie życzysz, a ja ci to dam, cokolwiek by to było, bo i ja chcę ucieszyć twoją wątrobę.

Wtedy powiedziałem:

– Królu Burnaburiaszu, panie czterech części świata! Jako lekarz trzymałem twoją głowę pod pachą i ścisnąłem cię za ręce, gdyś skarżył się bolejącym głosem. A to nie przystoi, żebym ja, cudzoziemiec, zachował w pamięci takie wspomnienie o królu Babilonu, gdy wrócę do swego kraju, aby opowiadać o wszystkim, co tutaj widziałem. Toteż najlepiej przestrasz mnie, pokazując całą swoją potęgę. Zawieś brodę na szczęce, opasz się lwim ogonem i każ swoim wojownikom przemaszerować przed sobą, tak żebym odczuł twoją moc i pokornie mógł rzucić się przed tobą na ziemię i całować proch u twoich stóp. Niczego innego nie żądam od ciebie.

Prośba moja spodobała mu się, bo powiedział:

– Doprawdy nikt nie mówił do mnie tak jak ty, Sinuhe, toteż spełnię twe żądanie, choć bardzo mnie to nudzi, bo będę wtedy musiał siedzieć przez cały dzień jako król na tronie i zmęczą mi się oczy, i będzie mi się chciało ziewać. Ale niech będzie, jak powiedziałeś. – Rozesłał gońców do wszystkich krańców kraju, by zwołać wojsko, i wyznaczył dzień, kiedy armia miała przed nim przemaszerować.

Odbyło się to przy Bramie Isztar. Król siedział na złotym tronie, a lew leżał u jego stóp, wszyscy zaś dostojnicy królewscy stali uzbrojeni za królem, tak że otaczała go jakby chmura ze złota, srebra i purpury. Poniżej zaś, na szerokiej drodze, przeciągało biegiem wojsko, oszczepnicy i łucznicy po sześćdziesięciu ludzi w szeregu, i przejeżdżały wozy bojowe po sześć w jednym szeregu. I minął cały dzień, zanim wszystko to przemaszerowało przed królem. Koła wozów bojowych dudniły jak burza, a tupot przebiegających stóp i szczęk oręża był jak huk morza w czasie burzy, tak że patrzącemu wirowało wszystko przed oczyma, a nogi drżały od wrażenia.

Szepnąłem do Kaptaha:

– Nie wystarczy, gdy powiemy, że Babilon ma tylu żołnierzy, ile jest ziarenek piasku w morzu czy gwiazd na niebie. Musimy ich obliczyć.

Kaptah jednak sarknął:

– Panie, to jest niemożliwe, bo takich liczb nie ma na świecie.

Ale ja liczyłem tak szybko, jak mogłem, i obliczyłem, że wojska było sześćdziesiąt razy po sześćdziesiąt razy po sześćdziesięciu żołnierzy, a wozów bojowych sześćdziesiąt

razy po sześćdziesiąt. Albowiem sześćdziesiąt jest świętą liczbą w Babilonie, święte są także liczby: pięć, siedem i dwanaście. Ale dlaczego tak jest, nie wiem, bo nie zrozumiałem wyjaśnień kapłanów, którzy mi to tłumaczyli.

Widziałem też, że tarcze królewskiej straży przybocznej lśniły od złota i srebra, że broń była pozłacana i posrebrzana i że twarze żołnierzy błyszcząły od oliwy. Byli oni tak tłusci, że gdy przebiegali przed królem w pełnym uzbrojeniu, zadyszani sapali jak stado wołów. Lecz żołnierzy gwardii było niewiele, oddziały zaś z różnych prowincji były spalone słońcem, brudne i śmierdziały moczem. Wielu żołnierzy nie miało nawet oszczepu, gdyż królewskie wezwanie zaskoczyło ich, muchy obsiadały im oczy, tak więc pomyślałem sobie, iż żołnierze są podobni do siebie we wszystkich krajach. Zauważyłem też, że wozy bojowe były stare i skrzypiące, a u kilku oderwały się koła podczas przemarszu, umocowane zaś przy wozach kosały były zielone od rdzy.

Wieczorem król wezwał mnie do siebie, uśmiechnął się i zapytał:

– Widziałeś moją moc, Sinuhe?

Rzuciłem się przed nim na ziemię, całowałem podłogę u jego stóp i rzekłem:

– Doprawdy nie ma króla potężniejszego od ciebie i nie bez powodu nazywają cię panem czterech części świata. Oczy moje są zmęczone i kręci mi się w głowie, a członki moje bezsilne są od strachu, gdyż żołnierze twoi są jak piasek w morzu i jak gwiazdy na niebie.

A on uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

– Otrzymałeś to, czegoś pragnął, Sinuhe, choć mogłeś być pozwolić przekonać się czymś mniejszym, bo moi doradcy bardzo są źli z powodu tego pomysłu, który pochłonie całoroczny podatek z wielu prowincji. Gdyż żołnierzom trzeba dać jeść i pić, wieczorami zaś hulają po mieście i dopuszczają się różnych wybryków, jak to żołnierze. I jeszcze przez cały miesiąc po tej paradzie drogi będą niepewne z powodu żołnierstwa, toteż nie sądzę, bym to kiedyś powtórzył. Tyłek zdrętwiał mi od siedzenia na złotym tronie, a w głowie mi się kręci. Chodźmy więc napić się wina i ucieszyć sobie wątroby po tym męczącym dniu, gdyż wiele jest rzeczy, o które chcę ciebie wypytać.

Piłem więc wino z królem, a on wypytywał mnie o różne rzeczy, jak to robią dzieci i młodzież, która nie widziała jeszcze świata. Odpowiedzi moje podobały mu się i w końcu zapytał:

– Czy twój faraon ma jakąś córkę? Po tym bowiem, co opowiadasz o Egipcie, postanowiłem zażądać córki faraona za żonę. W moim domu kobiet mam już co prawda czterysta żon, a to aż za dużo. Nie mam bowiem siły na więcej niż na jedną kobietę dziennie, a i to by mnie znużyło, gdyby każda nie była inna. Ale szacunek dla mnie by

się zwiększył, gdyby córka faraona znalazła się pośród moich żon, i ludy, nad którymi panuję, czciły mnie jeszcze więcej.

Przerażony wzniosłem ręce i powiedziałem:

– Burnaburiaszu, nie wiesz, co mówisz. Jeszcze bowiem nigdy jak świat światem córka faraona nie połączyła się z obcym. Córki faraonów wychodzą za mąż tylko za swoich braci, a jeśli nie mają braci, pozostają przez całe życie niezamężne i zostają kapłankami. Toteż słowa twoje są zniewagą dla bogów Egiptu, ale ja ci wybaczam, bo nie wiesz, co mówisz.

Na to on zmarszczył brwi i rzekł:

– Kimże jesteś, żeby mi wybaczać? I czy krew moja nie jest może równie boska jak krew faraona?

– Widziałem, jak płynęła twoja krew, gdyś wypływał ją do dzbanka, który stał koło mnie – przyznałem. – Widziałem też, jak płynęła krew wielkiego faraona Amenhotepa, i mogę ci powiedzieć, że nie ma między wami żadnej różnicy. Ale musisz pamiętać, że mój faraon ożenił się niedawno i nie wiem nawet, czy mu się już urodziły jakieś córki.

– Jestem jeszcze młody i mogę czekać – rzekł Burnaburiasz patrząc na mnie chytrze, był to bowiem król narodu kupców. – Ponadto jeśli twój faraon nie ma córki, którą mógłby mi przysłać, względnie nie chce przysłać mi swojej córki, niech przyśle z Egiptu jakąkolwiek dobrze urodzoną dziewczę, abym mógł ogłosić, że jest to córka faraona. Nikt nie będzie wątpić w moje słowa, a faraon nic na tym nie straci. Jeśli jednak nie zgodzi się na to, pošlę moje wojska, by zabrać córkę faraona, jestem bowiem bardzo uparty i gdy raz sobie coś wbiję w głowę, już mi to z niej nie wychodzi.

Słowa jego przeraziły mnie i powiedziałem, że wojna kosztowała by bardzo dużo i że wielce zakłóciła by światowy handel, a on poniósłby skutkiem tego większe szkody niż Egipt. Powiedziałem także:

– Może najlepiej, żebyś poczekał, dopóki twoi posłowie nie doniosą ci, czy faraonowi urodziły się już córki. Wtedy mógłbyś do niego napisać glinianą tabliczkę w tej sprawie. Jeśli się zgodzi, przyśle ci z pewnością córkę i nie oszuka cię, bo ma on nowego mocnego boga i czci go żyjąc prawdą. Wszelkie kłamstwo jest więc dla niego okropnością.

Lecz Burnaburiasz nie mógł tego zrozumieć i powiedział:

– Nie chcę słuchać o takim bogu i dziwię się wielce, że twój faraon wybrał sobie takiego, każdy bowiem człowiek wie, że prawda często szkodzi człowiekowi i wtrąca go w biedę. Właściwie to wzywam wszystkich bogów, nawet takich, których nie znam, bo ostrożność jest cnotą, a i zwyczaj jest taki. Od tego jednak boga wolę raczej trzymać

się z dala. – I dodał jeszcze. – Wino pokrzepiło mnie i ucieszyło moją wątrobę, a twoje słowa o córkach faraona podnieciły mnie. Pójdę więc teraz do mego domu kobiet. Ale ty chodź ze mną, bo jako lekarzowi wolno ci to zrobić, a ja, jak ci mówiłem, mam żon aż za dużo. I wcale mnie to nie dotknie, jeśli wybierzesz sobie spośród nich którąś, by skosztować z nią rozkoszy, byle tylko nie zaszła z tobą w ciążę, bo to spowodowałyby rozmaite przykrości. Jestem także ciekaw, jak Egipcjanin spółkuje z kobietą, bo każdy lud ma swoje zwyczaje i gdybym ci opowiedział, jakie nawyki mają moje żony przybyłe tu z dalekich krajów, nie uwierzyłbyś mi i wielce byś był zdumiony.

Nie słuchając moich wykrętów zaprowadził mnie do swego domu kobiet, gdzie pokazał mi na ścianach obrazy sporządzone przez artystów z barwnych polewanych kafelków, a przedstawiające mężczyzn i kobiety zażywających z sobą rozkoszy na najrozmaitsze sposoby. Pokazał mi też kilka ze swoich żon, przybranych w klejnoty, drogie ozdoby i cenne szaty. Pośród nich znajdowały się kobiety i młode dziewczęta ze wszystkich znanych mi krajów, a także kobiety dzikich plemion, które przywieźli do Babilonu kupcy. Kobiety te, różnego koloru skóry i różnej budowy, jak małpeczki paplały głośno najrozmaitszymi językami i tańczyły przed królem z obnażonymi brzuchami, starając się zabawić go na najprzeróżniejsze sposoby, wszystkie bowiem współzawodniczyły o jego względy. On zaś wciąż wzywał mnie, żebym sobie wybrał jedną z nich, dopóki mu w końcu nie powiedziałem, że przyrzekłem memu bogu powstrzymać się od kobiet, mam bowiem kogoś uleczyć. Obiecałem bowiem nazajutrz zoperować nożem jednego z jego dostojników i dlatego nie wolno mi zbliżyć się do kobiety i lepiej, żebym się oddalił, by nie ściągnąć złej sławy na moją sztukę lekarską. Król w to uwierzył i pozwolił mi odejść, kobiety były jednak bardzo z tego niezadowolone i okazywały mi swoje niezadowolenie różnymi gestami i okrzykami. Z wyjątkiem królewskich eunuchów nie oglądały jeszcze nigdy w domu kobiet dorosłego mężczyzny, król zaś, młody i wątły, był jeszcze zupełnym gołowąsem.

Lecz nim odszedłem, król śmiejąc się w kułak napomknął:

– Rzeki wylały i wiosna już nadeszła. Toteż kapłani nazaczyli dzień trzynasty od dnia dzisiejszego na święto wiosny i dzień fałszywego króla. Na ten dzień przygotowuję dla ciebie niespodziankę, która, jak sądzę, wielce cię ubawi, a i ja sam spodziewam się z tego wiele rozrywki. Nie chcę ci jednak z góry powiedzieć, co to będzie, aby nie zepsuć sobie przyjemności.

Odszedłem ze złymi przeczuciami, obawiałem się bowiem, że to, co bawiło króla Burnaburiasza, wcale nie będzie bawiło mnie. I wyjątkowo Kaptah był tym razem tego samego zdania.

W ciągu dalszego pobytu w Babilonie zyskałem wiele tajemnych wiadomości, korzystnych dla lekarza, a specjalnie interesowałem się posiadaną przez kapłanów sztuką przepowiadania i wróżenia. Dowiedziałem się od nich, że wszystko, co dzieje się na ziemi, zapisane jest na długo przedtem w gwiazdach, i że nie ma takiego drobiazgu – nie mówiąc już o większych wydarzeniach – którego by nie można było wyczytać z gwiazd, jeśli tylko posiada się dostateczną umiejętność czytania pisma na niebie. Zastanowiłem się poważnie, czy nie zostać w Babilonie, aby się tego nauczyć. Ale gdy zrozumiałem, że trzeba by było na to wiele lat, dziesiątków lat, postanowiłem zrezygnować z tej myśli pocieszając się, że także i to moje postanowienie musiało być zapisane w gwiazdach na długo przed moim urodzeniem. Nauczyłem się natomiast pod kierownictwem kapłanów czytać z owczej wątroby, która wyjawiała wiele różnych ukrytych rzeczy. Poświęciłem także dużo czasu na lanie oliwy na wodę i tłumaczenie sobie figur, które powstawały przy tym na powierzchni wody.

Zanim przejdę do opowiadania o święcie wiosennym w Babilonie i o dniu fałszywego króla, muszę jeszcze opowiedzieć o pewnej dziwnej sprawie, tyczącej się mego urodzenia. Gdy kapłani odczytali mój los w owczej wątrobie i przyjrzeni się oliwie wylanej na wodę, powiedzieli:

– Z urodzeniem twoim związana jest straszliwa tajemnica, której nie potrafimy wytłumaczyć. I to właśnie dlatego w rzeczywistości nie jesteś tylko Egipcjaninem, jak sądzisz, lecz obcym w całym świecie.

Opowiedziałem im wtedy, że nie urodziłem się tak jak inni ludzie, lecz że pewnej nocy przypląnąłem z prądem Rzeki w trzcinowej łódeczce i że matka moja znalazła mnie w sitowiu. Wtedy oni spojrzeli po sobie i skłonili się przede mną głęboko mówiąc:

– Przeczuwaliśmy to. – Po czym opowiedzieli mi, że także ich wielki król Sargon, który podbił wszystkie cztery części świata i którego mocarstwo rozciągało się od morza północnego do południowego, a który panował także i nad wyspami na morzu, przypląnął jako niemowlę z prądem rzeki w smołowanej łódeczce trzcinowej i nikt nie wiedział nic o jego urodzeniu, dopóki jego wielkie czyny nie wykazały, że zrodził się z bogów.

Gdy to usłyszałem, poczułem bojaźń w sercu i próbowałem obrócić to w śmiech mówiąc:

– Nie przypuszczacie chyba, żebym ja, zwykły lekarz, zrodzony był z bogów?

Lecz oni się nie śmiali, tylko mówili:

– Tego nie wiemy, lecz ostrożność jest cnotą i dlatego oddajemy ci cześć.

I znowu skłonili się przede mną głęboko. Miałem tego dość i powiedziałem:

– Skończmy już z tymi żartami i przejdźmy do rzeczy.

Zaczęli więc znowu objaśniać mi labirynty owczej wątroby, ukradkiem jednak patrzyli na mnie z szacunkiem i szeptali coś między sobą.

Od tej chwili myśl o moim pochodzeniu zaczęła mi ciążyć na duszy, a serce robiło mi się jak ołów, gdy pomyślałem, że jestem obcy we wszystkich czterech częściach świata. Miałem wielką ochotę zapytać gwiazdźdźarzy o swoje pochodzenie, ale że nie znałem dokładnej chwili swego urodzenia, nie mogłem ich pytać o nic, a oni też nie mogli mi dać żadnej jasnej odpowiedzi. Na żądanie kapłanów odszukali jednak gliniane tabliczki odnoszące się do owego roku i owego dnia, kiedy prąd przyniósł mnie do moich rodziców. Albowiem i kapłani byli ciekawi mego pochodzenia. Gwiazdźdźarze wiedzieli jednak tylko tyle, że jeśli urodziłem się w takiej a takiej porze doby, miałem w żyłach krew królewską i zrodzony byłem do panowania nad licznymi ludami. Wiadomość ta bynajmniej nie przyniosła mi ulgi, albowiem, jeśli już chciałem myśleć o czymś ze swej przeszłości, dość miałem myślenia o zbrodni, którą popełniłem, i hańbie, którą na siebie ściągnąłem w Tebach. Może jednak – myślałem sobie – gwiazdy przekleły mnie już w dniu mego urodzenia i sprawiły, że łódeczka z sitowia zaniósła mnie do Senmuta i Kipy, abym doprowadził ich do przedwczesnej śmierci, ograbił na starość ze szczęścia i zrabował im nawet ich grób. Gdy o tym pomyślałem, przeszedł mnie dreszcz, gdyż jeśli gwiazdy raz mnie przekleły, nie mogłem już uniknąć swego losu, lecz także i w przyszłości przynosić będę zgubę i cierpienie ludziom, którzy mnie kochają. Toteż przyszłość zaciążyła mi na duszy i zacząłem się jej bać, zrozumiałem, że wszystko, co mi się przydarzyło, miało jakiś cel, a mianowicie ten, żebym odwrócił swe serce od innych ludzi i żył samotnie, bo w samotności nie mogłem ściągać na innych przekleństwa.

ROZDZIAŁ 4

Pozostaje mi jeszcze opowiedzieć o dniu fałszywego króla.

Gdy zboża zakiełkowały, a noce zrobiły się ciepłe, gdy ustąpiły przykre przymrozki, kapłani wyszli z miasta i odkopali swego boga z ziemi obwieszczając, że powstał z grobu. Babilon zamienił się w roztańczony, weselący plac zabawy. Odświętne ubrane tłumy płynęły ulicami, a motłoch plądrował kramiki przekupniów i robił na ulicach zgiełk większy niż żołdactwo przed powrotem do domu po wielkiej paradzie wojskowej. Kobiety i dziewczęta zbierały w świątyniach Isztar srebro na ślubne wiano i kto tylko chciał, zażywał z nimi rozkoszy. I wcale nie poczytywano tego za hańbę, lecz każdy zabawiał się i kosztował rozkoszy stosownie do swych sił i upodobań. A ostatni dzień świątecznych uroczystości był dniem fałszywego króla.

Oswoiłem się już z różnymi zwyczajami w Babilonie, mimo to jednak zdumiałem się, gdy żołnierze przybocznej straży królewskiej, pijani winem, wtargnęli przed świtaniem do Domu Uciechy Isztar, wyłamali przemocą drzwi i waląc drzewcami oszczepów tych, co im wybiegli naprzeciw, wołali na całe gardło:

– Gdzie się chowa nasz król? Dajcie nam prędko naszego króla, bo słońce wszędzie niebawem, a król musi wymierzać sprawiedliwość swemu ludowi!

Rwetes był nieopisany, zapalono lampy i służący z gospody biegali wystraszeni po korytarzach, a Kaptah sądził, że w mieście wybuchło powstanie, i schował się pod moim łóżkiem. Ja jednak wyszedłem żołnierzom na spotkanie, nagi pod wełnianym płaszczem, bo dopiero co wyszedłem z kąpieli, i spytałem:

– Czego chcecie? Strzeżcie się, żebyście mnie nie obrazili, bom jest Sinuhe, Egipcjanin, Syn Dzikiego Osła, i imię moje z pewnością słyszeliście.

Oni zaś krzyczeli:

– Jeśli jesteś Sinuhe, to na pewno wiesz, czego szukamy! – I zdarli ze mnie płaszcz, tak że zostałem całkiem nagi, i dziwowali się pokazując mnie sobie nawzajem, nigdy bowiem nie widzieli mężczyzny obrzezanego. Toteż mówili do siebie:

– Czy możemy pozwolić temu człowiekowi chodzić swobodnie? Jest on niebezpieczny dla naszych kobiet, ponieważ ogromnie lubią wszystko, co nowe i dziwne. – A dalej mówili: – Doprawdy, czegoś dziwniejszego nie oglądaliśmy od czasu, gdyśmy widzieli czarnego mężczyznę o krętych włosach, który przybył tu z wysp na ciepłych morzach i który wetknął sobie w członek kawałek kości i grzechotkę, aby przypodobać się kobietom.

Ponatrząsawszy się tak, puścili mnie i powiedzieli:

– Nie marnuj naszego cennego czasu, lecz daj nam twojego sługę. Musimy prędko zanieść go do pałacu, ponieważ dziś jest dzień fałszywego króla i królewską wolą jest, byśmy śpieszyli z nim do pałacu.

Gdy Kaptah to usłyszał, tak się przeraził, że zaczął dygotać całym ciałem i łożo trzęsło się od jego drżączki tak, że łatwo go znaleźli, wyciągnęli spod łóżka, wzniesli radosny okrzyk i skłonili się przed nim głęboko, mówiąc:

– Wielce radosny jest dla nas ten dzień, albowiem wreszcie znaleźliśmy naszego króla, który schował się i znikł nam z oczu. Teraz jednak oczy nasze cieszą się jego widokiem i mamy nadzieję, że różnymi podarunkami wynagrodzi naszą wierność.

Kaptah patrzył na nich trzęsąc głową i robiąc wielkie oczy ze zdumienia. A oni widząc to śmieli się jeszcze więcej niż przedtem i wołali:

– Zaiste, oto król czterech części świata i znamy jego oblicze. – I głęboko mu się

kłaniali, ci zaś, którzy stali za nim, kopali go w siedzenie, żeby się pośpieszył.

On zaś powiedział do mnie:

– Doprawdy to miasto i cały świat pełne są zepsucia, szaleńców i niegodziwców. I skarabeusz nie potrafi widocznie już dłużej mnie chronić, skoro coś takiego mi się przydarza. Nie wiem już także, co się ze mną dzieje, ale być może, że leżę jeszcze w najlepsze na łożu i śpię, tak że wszystko to jest tylko snem. Bez względu jednak, jak z tym jest, zmuszony jestem iść z nimi, bo są silni. Ty jednak, panie, oszczędzaj swoje życie, jeśli potrafisz, i zdejmij z murów moje ciało, gdy mnie tam powieszają głową w dół, i zabalsamuj je na wszelki wypadek, i nie pozwól, by wrzucono je do rzeki. Bo choć umrę w rękach żołnierzy i dla zachowania chwały Egiptu i choć dzięki temu miałbym prawo natychmiast dostać się do Kraju na Zachodzie, nawet gdyby ciało moje uległo rozkładowi, to jednak pewność jest zawsze najlepsza, toteż dla uniknięcia wszelkich nieporozumień zabalsamuj moje ciało, ponieważ znasz tę sztukę.

Żołnierze ryczeli z uciechy słysząc go, padali pękając ze śmiechu na kolana i bili się nawzajem po plecach, by się nie udusić, i mówili:

– Na Marduka, lepszego króla od tego nie mogliśmy nigdzie znaleźć. To przecież wspaniałe, jak on trzepie językiem!

Tymczasem zaczęło już świtać, więc waląc go drzewcami oszczepów po plecach, by się nie ociągał, zabrali Kaptaha z sobą. Ja zaś ubrałem się szybko i poszedłem w ślad za nim do pałacu i nikt mi w tym nie przeszkadzał, a wszystkie podwórce i przedsionki pałacu pełne były hałasujących ludzi. Toteż byłem pewny, że w Babilonie wybuchło powstanie i że krew niedługo płynąć będzie ściekami, gdy tylko wojska z prowincji zdążą dotrzeć do miasta z odsieczą.

Ale gdy wszedłem za żołnierzami do wielkiej sali tronowej, zobaczyłem, że Burnaburiasz siedzi tam pod baldachimem na swym złotym tronie, opierającym się na lwich łapach, odziany w królewskie szaty, a w rękach trzyma oznaki swej władzy. Dokoła niego zebrani byli w sali najwyżsi dostojnicy państwowi. Ale żołnierze nie zwracali na nich uwagi, tylko pchali naprzód Kaptaha, torując sobie drogę oszczepami, aż wreszcie zatrzymali się przed tronem. Nagle zrobiło się zupełnie cicho i nikt nic nie mówił, dopóki Kaptah nie odezwał się:

– Zabierzcie stąd to okropne stworzenie, bo inaczej sprykrzy mi się ta zabawa i pójdę sobie.

W tejże chwili wpadło do sali światło słońca przez kratownicę na wschodnich oknach. I jak na dany znak wszyscy, kapłani i dostojnicy, królewscy doradcy i żołnierze, zaczęli wołać:

– On ma słuszość! Zabierzcie to stworzenie, mamy bowiem dość rządów gołowąsa. Ten mąż natomiast jest mądry i dlatego zrobimy go królem, aby nad nami panował!

Nie wierzyłem własnym oczom, gdy zobaczyłem, jak popychając się i tłocząc, i śmiejąc, i kłócąc, rzucili się na króla, wyrwali mu z rąk oznaki jego władzy i odarli go z jego królewskich szat, tak że wnet stał równie nagi jak ja, w chwili gdy żołnierze zaskoczyli mnie w gospodzie. Szczypali go w ramiona, obmacywali mięśnie jego ud i naigrywali się z niego mówiąc:

– Widać po nim, że dopiero co został odstawiony od piersi i usta ma jeszcze mokre od matczynego mleka. Toteż najwyższy czas, aby kobiety z babinca zaznały trochę przyjemności, sądzimy, że ten stary hultaj, Egipcjanin Kaptah, potrafi jeździć także i w damskim siodle.

A Burnaburiasz nic nie mówił, tylko śmiał się także, jego lew zaś zupełnie stracił głowę i schował się gdzieś z podkulonym ogonem, wystraszony wielkim tłumem ludzi. I nie wiedziałem, czy śnię na jawie, gdy rzucili się od króla do Kaptaha i odziawszy go w królewskie szaty zmusili, by wziął w dłonie oznaki królewskiej władzy, i posadzili go na tronie, i padali przed nim plackiem scałowując kurz z podłogi. Pierwszy przyczołgał się przed Kaptaha goluteńki Burnaburiasz i zawołał:

– Tak ma być. Niech on będzie naszym królem. Lepszego króla nie moglibyśmy wybrać!

Wszyscy powstali i obwołali Kaptaha swym królem, trzymając się za brzuchy i skręcając ze śmiechu.

Kaptah gapił się na nich, wybałuszając oczy, z włosami zjeżonymi pod królewską przepaską, którą w pośpiechu wcisnęli mu krzywo na głowę. W końcu jednak rozzłościł się i krzyknął donośnie, tak że wszyscy umilkli, aby go usłyszeć. On zaś powiedział:

– Doprawdy, wszystko to jest jak zły sen, który ktoś zesłał na mnie czarami, bo i to się zdarza. Nie mam najmniejszej ochoty być waszym królem, wolałbym być raczej królem pawianów i wieprzów. Ale jeśli rzeczywiście chcecie mnie na króla, nie mogę nic na to poradzić, bo was jest wielu, a ja jeden. Dlatego zaklinam was: powiedzcie mi uczciwie, czy jestem królem, czy też nie.

Wtedy wszyscy razem zawołali: – Ty jesteś naszym królem i panem czterech części świata! Czy nie widzisz i nie rozumiesz tego sam, głuptasie!

I znów skłonili się przed nim, a jeden włożył na siebie lwią skórę, położył się u nóg Kaptaha, mruzczał i ryczał wyginając się komicznie.

Kaptah zastanowił się przez chwilę i stał się niepewny. W końcu powiedział:

– Jeśli rzeczywiście jestem waszym królem, to przydałoby się napić czegoś, aby

oblać tę sprawę. Przynieście więc szybko wina, słudzy, jeśli są tu takowi, bo inaczej mój kij potańcuje na waszych grzbietach, i każę was powiesić na murze, skoro jestem waszym królem. Przynieście dużo wina, bo ci panowie i przyjaciele, którzy zrobili mnie królem, napiją się też ze mną, a ja sam zamierzam dziś skąpać się w winie aż po szyję.

Słowa jego wywołały wielką wesołość. Hałaśliwa tłuszcza porwała go z sobą i zanosła do wielkiej sali, gdzie stało mnóstwo doskonałych potraw i gdzie było dużo wina. Każdy brał to na co miał ochotę, a Burnaburiasz włożył fartuszek służącego i biegł jak zwariowany, wywracając puchary i oblewając sosem gości, tak że wielu kłęło i rzucało weń obgryzionymi kośćmi. Również na wszystkich dziedzińcach pałacu częstowano lud jedzeniem i piciem, które uprzednio przygotowano, ćwiartowano całe woły i owce, a ludzie czerpali wino i piwo z glinianych garów i napychali sobie żołądki do syta kaszą przyprawioną śmietanką i słodkimi daktylami. Gdy słońce podniosło się wyżej, w pałacu panował już tak nieprawdopodobny hałas, zgiełk, wrzask, śmiech i tumult, iż nigdy sobie nie wyobrażałem, by coś takiego było możliwe.

Gdy tylko nadarzyła mi się sposobność, podszedłem do Kaptaha i powiedziałem do niego cicho, tak aby inni nie słyszeli:

– Kaptahu, chodź za mną, schowamy się i uciekniemy, bo z tego wszystkiego nie wyniknie nic dobrego.

Kaptah jednak opity był winem i brzuch mu napęczniał od dobrego jedzenia, więc rzekł do mnie:

– Twoje słowa są jak brzęczenie much w moich uszach. Głupszej gadaniny nigdy jeszcze nie słyszałem. Mamże więc uciekać teraz, gdy ten zacny lud zrobił mnie królem i wszyscy mi się kłaniają? Skarabeusz to sprawił, wiem dobrze, a oprócz skarabeusza także wszystkie moje zalety, które dopiero ten lud potrafił zrozumieć i należycie ocenić. I nie wydaje mi się właściwe, byś w dalszym ciągu nazywał mnie Kaptahem, jak niewolnika lub sługę, i byś odzywał się do mnie tak poufale. Powinieneś kłaniać mi się jak inni.

Ja jednak zaklinałem go mówiąc:

– Kaptahu, Kaptahu, to wszystko żart, za który drogo zapłacisz. Uciekaj, póki możesz, a ja wybaczę ci twoją beczelność.

Ale Kaptah otarł usta z tłuszczy, pogroził mi obgryzioną oślą kością i zawołał:

– Zabierzcie precz tego parszywego Egipcjanina, nim się rozgniewam i wygarbuję mu grzbiet kijem.

Wtedy człowiek odziany w lwią skórę rzucił się na mnie i ugryzł mnie w nogę, obalił mnie na ziemię i podrapał mi twarz pazurami. Mogło się to dla mnie niedobrze

skończyć, gdyby w tej chwili nie odezwały się rogi zwiastujące, że czas, by król zszedł na dół i wymierzał sprawiedliwość ludowi, skutkiem czego o mnie zapomniano.

Kaptah był trochę zaskoczony, gdy go zaprowadzono do Domu Sprawiedliwości, i mówił, że chętnie pozostawi wymiar sprawiedliwości sędziom krajowym, ludziom uczciwym i godnym zaufania. Ale lud sprzeciwił się temu i wołał:

– Chcemy widzieć mądrość królewską, żeby przekonać się, że jest to właściwy król, który zna prawa.

Posadzono więc Kaptaha na tronie sprawiedliwości, położono przed nim oznaki sprawiedliwości, pletnię i kajdany, i wezwano lud, aby występował i przedstawiał swoje sprawy królowi. Pierwszym, który rzucił się do nóg Kaptaha, był mężczyzna w porwanych szatach i z włosami posypanymi popiołem. Nurzał twarz w prochu u stóp Kaptaha, płakał i wołał:

– Nie ma nikogo, kto byłby tak mądry jak nasz król, pan czterech części świata! Dlatego błagam go o sprawiedliwość w mojej sprawie, która jest następująca: Mam żonę, wzięłam ją sobie przed czterema laty. Nie mieliśmy dotąd dzieci, teraz jednak żona moja zaszła w ciążę. Wczoraj dowiedziałem się wszakże, że zdradza mnie z żołnierzem, złapałem ich nawet na gorącym uczynku. Żołnierz był wielki i silny, tak że nie mogłem mu nic zrobić, i wątroba moja jest teraz pełna troski i wątpliwości, skądże bowiem mogę wiedzieć, czy dziecko, które ma urodzić moja żona, jest moim dzieckiem, czy też spłodził je ów żołnierz. Dlatego błagam króla o sprawiedliwość i pewność, czy dziecko jest moje, czy też żołnierza, abym mógł stosownie do tego postąpić.

Kaptah siedział cicho i rozglądał się dokoła niespokojnie, w końcu powiedział stanowczo:

– Weźcie kije i wychłostajcie tego człowieka, tak aby popamiętał ten dzień.

Słudzy trybunału schwycili mężczyznę i wychłostali go tak, że biadał, krzyczał i odwoływał się do ludu, wołając:

– Czy to jest sprawiedliwość?

Lud też zaczął szemrać i domagał się wytłumaczenia. Wtedy Kaptah rzekł:

– Człowiek ten zasługuje na chłostę już choćby dlatego, że zaprzęta mi głowę drobiazgami. Lecz jeszcze bardziej zasługuje on na to z powodu swojej głupoty. Bo czy słyszano kiedykolwiek przedtem, by ktoś, kto pozostawia swoje pole nie obsiane, przychodził się skarżyć, gdy inny z dobroci swej je obsieje, a plon pozostawi do zebrania właścicielowi? I nie jest winą kobiety, gdy zwraca się ona ku innemu mężczyźnie, lecz jest to wina mężczyzny, ponieważ nie potrafi dać kobiecie tego, czego ona pragnie. Ten mężczyzna zasługuje na chłostę.

Gdy tłum usłyszał te słowa, podniósł się krzyk i śmiech i zaczęto wielce wychwalać mądrość królewską. Z kolei wystąpił poważny starszy człowiek, który rzekł:

Wobec tej kamiennej kolumny, na której wypisane jest prawo, i wobec króla domagam się sprawiedliwości, a sprawa moja jest następująca: Kazałem sobie zbudować dom tuż przy ulicy, lecz budowniczy oszukał mnie i dom zawalił się, zabijając przy tym przechodzącego przypadkiem obok mężczyznę. Teraz zaś krewni owego przechodnia skarżą mnie, domagając się odszkodowania. Co mam począć?

Kaptah zastanowił się i powiedział:

– To zawiślana sprawa, która wymaga gruntownego zbadania, i według mojej opinii jest to raczej sprawa dla bogów niż ludzi. Co jednak mówi prawo o czymś takim?

Wystąpili biegli w prawie i odczytali prawo wyjaśniające:

– Gdy zwali się dom z powodu niedbalstwa budowniczego i waląc się zabije właściciela domu, wtedy także i budowniczy ma zostać uśmiercony. Gdyby zaś dom waląc się zabił syna właściciela, wtedy uśmiercony ma zostać syn budowniczego. Nic więcej jednak prawo nie mówi, my jednak wykładamy je tak, że za to, co zniszczy walący się dom, odpowiada budowniczy w taki sposób, iż zniszczeniu ulega odpowiadająca temu część jego własnego mienia. Więcej nie możemy nic powiedzieć.

– Nie wiedziałem, że są tu tacy oszukańczy budowniczowie – oświadczył Kaptah.
– W przyszłości będę ich dobrze pilnował. Według prawa jednak przypadek ten jest bardzo prosty. Niech krewni zabitego przechodnia pójdą do domu budowniczego, zaczną się tam i zamordują pierwszego, kto będzie przechodził obok – w ten sposób prawu stanie się zadość. Jeśli jednak rzeczywiście tak zrobią, sami będą odpowiadać za skutki, gdy krewni owego przechodnia pociągną ich do odpowiedzialności za morderstwo. Doprawdy sprawa ta jest do rozstrzygnięcia raczej dla bogów niż dla ludzi. Największą bowiem winę ponosi według mego zdania przechodzień, który obiera sobie drogę obok walącego się domu, tego bowiem nie zrobi nikt mądry, jeśli bogowie tak nie postanowili. Toteż uwalniam budowniczego od wszelkiej odpowiedzialności i oświadczam, że człowiek, który wniósł tą sprawę, jest głupi, ponieważ nie dopilnował budowniczego, by ten wykonał swą robotę uczciwie. Budowniczy postąpił więc jak najsluszniej, oszukując go. Głupców należy bowiem oszukiwać, by wyciągali naukę ze swoich doświadczeń. Tak było i tak też zawsze będzie.

I znów ludzie chwalili wielce mądrość królewską, a skarżący, zbity z tropu, odszedł z niczym. Z kolei wystąpił opasły kupiec, odziany w drogie szaty. Wyłożył swoją sprawę mówiąc:

– Przed trzema dniami poszedłem pod mury, do Bramy Isztar, gdzie na święto

wiosny zebrały się ubogie dziewczęta z miasta, by, jak to jest w zwyczaju, złożyć bogini w ofierze swe dziewictwo i w ten sposób zebrać pieniądze na wiano. Wśród nich znalazła się dziewczyna, która wielce mi się spodobała. Potargowawszy się z nią przez chwilę, dałem jej garść srebra i dogadaliśmy się w tej sprawie. Kiedy jednak miałem zabrać się do tego, po co tam przyszedłem, chwyciły mnie nagle silne skurcze żołądka, tak że musiałem odejść na stronę, żeby sobie ulżyć. A gdy wróciłem, dziewczyna umówiła się już z innym mężczyzną, otrzymała srebro także od niego i zrobiła z nim to, po co ja przyszedłem. Co prawda ofiarowała się zażyć rozkoszy także ze mną, ale ja odmówiłem, ponieważ nie była już dziewicą. Zażądałem zwrotu swego srebra, ona jednak nie chciała mi go oddać. Toteż szukam obecnie sprawiedliwości u króla, bo czyż nie stała mi się wielka krzywda, gdy straciłem srebro nie dostając nic w zamian za to? Gdy bowiem kupuję dzban, to jest chyba mój, dopóki go nie rozbije, a sprzedawca nie ma prawa zrobić tego sam i ofiarować mi skorup.

Gdy Kaptah to usłyszał, wpadł w gniew, poderwał się z tronu sprawiedliwości wymachując pletnią i zawołał:

– Zaprawdę, nigdzie jeszcze nie widziałem takiej głupoty jak w tym mieście, i chyba ten stary cap kpi sobie ze mnie! Dziewczyna bowiem postąpiła całkiem słusznie biorąc innego, gdy ten dureń nie potrafił wziąć tego, po co do niej przyszedł. Uczyniła też ładnie i szlachetnie, ofiarowując temu mężczyźnie odszkodowanie, na które bynajmniej nie zasłużył. Powinien też być wdzięczny dziewczynie i owemu drugiemu mężczyźnie, że wspólnie dla jego dobra usunęli przeszkodę, z powodu której w tych rzeczach ma się tylko kłopot i trudności. A on przychodzi do mnie by się skarżyć, i bajdurzy o dzbanach. Jeśli przypuszcza, że młode dziewczęta są dzbanami, to skazuję go na to, by od tej chwili zażywał rozkoszy tylko z dzbanami, nie wolno mu natomiast dotknąć dziewczyny.

Ogłosivszy ten wyrok Kaptah dość już miał wymierzania sprawiedliwości, przeciągnął się na tronie i rzekł:

– Dosyć już dzisiaj jadłem, piłem i według mojej opinii pracowałem, wymierzając sprawiedliwość i łamiąc sobie głowę. Niech więc sędziowie zastąpią mnie, gdyby znaleźli się jeszcze jacyś skarżący. Bo ostatnia sprawa przypomniła mi, że jako król jestem także panem domu kobiet, gdzie, o ile wiem, siedzi i czeka na mnie czterysta kobiet. Toteż muszę tam pójść, by sprawdzić, co posiadam, i nie zdziwiłoby mnie wcale, gdybym w czasie pobytu tam rozbił kilka dzbanów, albowiem władza i wino wzmocniły mnie w tak dziwny sposób, że czuję się silny jak lew.

Gdy lud usłyszał te słowa, podniósł się tak potężny krzyk, że zdawało się, iż nigdy się nie skończy. I tłum zaniósł Kaptaha z powrotem do pałacu, i zatrzymał się,

by czekać u drzwi domu kobiet, na dziedzińcu. Lecz Burnaburiasz nie śmiał się już, tylko zacierał niespokojnie dłonie i drapał się stopą jednej nogi w drugą. A gdy mnie zobaczył, podszedł do mnie i rzekł z pośpiechem:

– Sinuhe, tyś jest moim przyjacielem i lekarzem, który może wejść do królewskiego domu kobiet. Idź więc za nim i dopilnuj, by nie zrobił czegoś, czego mógłby potem bardzo pożałować. Doprawdy bowiem każę go żywcem obedrzeć ze skóry i powiesić na murze jego głowę, by wyschła na wietrze, jeśli dotknie moich kobiet. Jeśli natomiast zachowa się przyzwoicie, obiecuję mu łagodną śmierć.

Na to zapytałem go:

– Burnaburiaszu, naprawdę jestem twoim przyjacielem i dobrze ci życzę, powiedz mi jednak, co to wszystko znaczy. Bo wątroba moja jest zatroskana tym, że widzę cię w pozycji sługi, z którego naigrawają się wszyscy.

On zaś odparł niecierpliwie:

– Dzisiaj jest dzień fałszywego króla, o tym wie przecież każdy. Lepiej pośpiesz się i idź za nim, żeby nie stało się jakieś nieszczęście.

Nie usłuchałem go jednak, choć chwycił mnie za ramię, i powiedziałem:

– Nie znam zwyczajów twojego kraju i dlatego musisz mi wytłumaczyć, co to wszystko oznacza.

Wtedy wyjaśnił mi:

– Co roku w dniu fałszywego króla wybiera się na króla najgłupszego i najbardziej zwariowanego człowieka w Babilonie, któremu wolno rządzić od świtu do zachodu słońca. Ma on całą władzę królewską i sam król musi mu usługiwać. I jeszcze nigdy nie widziałem zabawniejszego króla niż Kaptah, którego ja sam wybrałem, bo jest tak ogromnie śmieszny. Nie wie sam, co go czeka, i to jest najkomiczniejsze z wszystkiego.

– A co się z nim stanie? – spytałem.

– O zachodzie słońca zostanie zabity tak niespodziewanie, jak rankiem został ukoronowany – wyjaśnił mi Burnaburiasz. – Jeśli zechcę, mogę kazać go zgładzić w sposób okrutny, ale często daję takim jak on w winie łagodnie działającą truciznę, usypiają, sami nie wiedząc, że mają umrzeć. Nie przystoi bowiem, by człowiek, który przez jeden dzień rządził jako król, pozostał przy życiu. Raz jednak, dawno już temu, zdarzyło się, że prawdziwy król, zadławiwszy się po pijanemu gorącą mięsną polewką, umarł w dniu fałszywego króla, wtedy fałszywy król został przy władzy i rządził w Babilonie przez trzydzieści sześć lat, a nikt nie miał nic do zarzucenia jego rządóm. Toteż muszę bacznie się wystrzegać, żeby dzisiaj nie pić gorącego rosółu. Ale teraz pośpiesz się, żeby twój służący nie narobił jakichś głupstw, których pożałuje, jeszcze

nim wieczór zapadnie.

Nie potrzebowiałem jednak iść po Kaptaha, gdyż sam on wypadł właśnie z królewskiego domu kobiet w wielkim gniewie, trzymając się za oko i za nos, z którego obficie ciekła krew. Głośno narzekał wołając:

– Patrzcie, co oni ze mną zrobili! Podsuwali mi stare babska i tłuste murzynki, ale kiedy chciałem skosztować młodej kózki, ta przemieniła się w tygrysa, podbiła mi oko i wyrznęła w nos pantoflem.

Wtedy Burnaburiasz roześmiał się tak, że aż musiał złapać mnie obiema rękami za ramiona, żeby nie upaść. A Kaptah dalej jęczał i narzekał, i mówił:

– Nie śmiem już otworzyć drzwi tego domu, bo ta młoda kobieta szaleje tam jak dzikie zwierzę, i nie widzę innej rady, jak tylko, żebyś ty, Sinuhe, poszedł tam i otworzył jej czaszkę przy użyciu całej twej sztuki, tak, żeby zły duch wyszedł z niej. Jest ona z pewnością owdładnięta przez złego ducha, jakże bowiem w innym razie ośmieliłaby się dotknąć swego króla, uderzyć mnie w nos pantoflem, tak że krew leje się ze mnie jak z zarzęniętego wołu.

Burnaburiasz trącił mnie i powiedział:

– Idź i zobacz, co się tam stało, Sinuhe, ty, który znasz już ten dom, bo mnie nie wolno tam dzisiaj wejść. Opowiesz mi potem, co to było. Zdaje mi się, że wiem, o kogo tu chodzi, bo wczoraj przywieziono tam z wysp na morzu dziewczynę, po której spodziewam się wiele przyjemności, choć naprzód trzeba ją będzie odurzyć sokiem z maku.

I dopóty mnie nudził, dopóki nie poszedłem do królewskiego domu kobiet, gdzie panowało wielkie poruszenie. Królewscy eunuchowie nie wzbraniali mi wstępu, bo już wiedzieli, że jestem lekarzem. Stare babska, które na ten dzień wystroiły się wspaniale, włożyły klejnoty i umalowały pomarszczone twarze, otoczyły mnie pytając jedna przez drugą:

– Gdzie się podziało nasze kochanie, nasz gołąbek, nasz mały capek, na którego czekamy od samego rana!

Leciwa Murzynka, której piersi czarne jak dno garnka zwiślały aż na brzuch, rozebrana do naga i gotowa jako pierwsza przyjąć Kaptaha, wołała teraz rozpaczliwie:

– Dajcie mi mego ukochanego, żebym go mogła przycisnąć do piersi! Dajcie mi mojego słonia, żeby owinął mnie trąbą!

Lecz eunuchowie powiedzieli do mnie zatroskani:

– Nie zwracaj uwagi na te kobiety, ich zadaniem jest tylko zaspokoić fałszywego króla, wszystkie więc spiły się winem w oczekiwaniu na niego. My jednak potrzebujemy

lekarza naprawdę, bo dziewczyna, którą przywieziono tu wczoraj, oszalała. A jest silniejsza od nas i kopie nas okropnie, tak że nie wiemy, co z tego wszystkiego wyniknie, bo znalazła gdzieś nóż i miota się jak dzikie zwierzę.

Zaprowadzili mnie na dziedziniec domu kobiet, rozżarzony w promieniach słońca, odbijających się od różnokolorowych polewanych kafelków. Pośrodku znajdowała się tam okrągła sadzawka, a w niej, w samym środku, figura delfina, z którego pyska tryskała woda. Na figurę tę wdrapała się szalejąca dziewczyna, prawie naga, gdyż eunuchowie podarli na niej szaty, próbując ją złapać. Mokrzućka siedziała teraz na delfinie w strumieniach wody tryskającej z paszczy zwierzęcia. Jedną ręką trzymała się pyska delfina, by nie spaść, w drugiej zaś miała błyszczący nóż. Woda szumiała, a eunuchowie robili zgiełk i wydzielali się koło mnie, tak że nie słyszałem ani słowa z tego, co wołała dziewczyna. Choć szaty miała porwane, a włosy mokre, wyglądała prześlizgnie, toteż zrodził się we mnie jakiś dziwny niepokój i z gniewem powiedziałem do eunuchów:

– Idźcie stąd precz, żebym mógł porozmawiać z nią i uspokoić ją. Zatrzymajcie też dopływ wody, żeby nie szumiała i żebym mógł usłyszeć jej słowa. Słyszycie przecież, że cały czas coś krzyczy.

Powiedzieli do mnie wystraszeni:

– Tylko nie zbliżaj się do niej, bo ten nóż jest bardzo ostry, o czym niestety mogliśmy się przekonać.

Zatrzymali dopływ wody, by nie szumiała. I z paszczy delfina przestała tryskać woda, a strugi zasłaniające dziewczynę opadły i odsłoniły ją, i widziałem ją calušką. Była zgrabna i ładna, choć wtedy nie miałem czasu pomyśleć. I gdy woda przestała szumieć, usłyszałem, że dziewczyna nie woła, lecz śpiewa, nie rozumiałem jednak słów jej pieśni, bo śpiewała w obcym, nie znanym mi języku. Śpiewała z odrzuconą w tył głową, a na policzkach jej widać było rumieniec podniecenia. Zawołałem do niej z gniewem:

– Dość tego miauczenia, kotko! Odrzuć nóż i chodź tu do mnie porozmawiać, żebym cię mógł uleczyć, bo naprawdę jesteś szalona.

Przestała śpiewać, by mi odpowiedzieć, a mówiła po babilońsku jeszcze gorzej niż ja:

– Skocz do sadzawki, pawianie, i przyplłyn tu do mnie, żebym ci mogła nożem wypuścić krew z wątroby, bo bardzo jestem zła.

Zawołałem do niej:

– Nie chcę ci wcale zrobić żadnej krzywdy!

A ona odkrzyknęła:

– Tak właśnie mówił do mnie niejeden, gdy chciał mi zrobić krzywdę. Nie mogę mieć do czynienia z mężczyzną, choćbym nawet chciała. Jestem bowiem poświęcona bogu i mam przed nim tańczyć. I raczej dam temu nożowi napić się mojej krwi, niż pozwolę, by mnie dotknął mężczyzna. A już w żadnym razie nie może się do mnie zbliżyć ten jednooki demon, który przypominał raczej nadęty skórzany worek aniżeli mężczyznę, gdy wyciągał po mnie ręce.

– Wiec to ty uderzyłaś króla? – zapytałem.

A ona odparła:

– Uderzyłam go pięścią w oko i zgubiłam pantofel, waląc go nim po nosie. Bardzo się cieszę z tego, co zrobiłam, choćby był samym królem. Bo nawet król mnie nie dotknie, jeśli sama nie zechcę, a mój bóg zakazuje mi zbliżyć się z kimkolwiek, ponieważ zostałam wychowana na tancerkę boga.

– Tańcz sobie, ile ci się podoba, szalona dziewczyno – powiedziałem. – Nic mnie to nie obchodzi, ale nóż musisz odłożyć, bo możesz się naprawdę skaleczyć. A to byłoby niedobrze, gdyż eunuchowie mówią, że wydali na ciebie mnóstwo królewskiego złota na targowisku niewolników.

Odpowiedziała mi:

– Nie jestem niewolnicą. Porwano mnie podstępnie, co powinieneś od razu zobaczyć, gdybyś miał oczy w głowie. Ale czy nie mówisz jakimś przyzwoitym językiem, którego by ci tutaj nie rozumieli? Widzę bowiem eunuchów przemykających się między kolumnami z nastawionymi uszami, aby usłyszeć, o czym rozmawiamy.

– Jestem Egipcjaninem – rzekłem w swoim ojczystym języku – i nazywam się Sinuhe, Ten, Który Jest Samotny, Syn Dzikiego Osła. Z zawodu jestem lekarzem i nie potrzebujesz się mnie obawiać.

Wtedy ona zeskoczyła do wody i przypląnęła do mnie z pluskiem, nie wypuszczając noża z ręki, a rzuciwszy się na ziemię przede mną powiedziała:

– Wiem, że egipcjscy mężczyźni są słabi i nie robią kobiecie nic złego, chyba że ona sama tego chce. Toteż ufam ci i mam nadzieję, że mi wybaczysz, iż nie odrzucam tego noża, bo prawdopodobnie jeszcze dziś będę musiała wypuścić sobie nim krew z żył, aby bóg mój nie został zhańbiony w mojej osobie. Jeśli jednak boisz się bogów i dobrze mi życzysz, ratuj mnie i zabierz z tego kraju, choć nie mogę cię wynagrodzić tak, jak by na to zasługiwał twój postępek, bo rzeczywiście nie wolno mi mieć do czynienia z mężczyzną.

– Nie mam najmniejszej ochoty ciebie tknąć – odparłem. – Co się tego tyczy, możesz

być całkiem spokojna. Ale szaleństwo twoje jest naprawdę wielkie, skoro chcesz się wydostać z królewskiego domu kobiet, choć możesz tu smacznie jeść i pić, dostaniesz szaty i klejnoty, i wszystko, czego tylko zapagnie twe serce.

– Mężczyzna mówi o jedzeniu i picciu, szatach i klejnotach, bo nic innego go nie obchodzi – rzekła surowo patrząc na mnie zielonymi oczyma. – Lecz kobieta może tęsknić jeszcze i za czymś innym, czego mężczyzna nie rozumie. Wcale też nie pojmuję tego, co mówisz, że nie chcesz mnie dotknąć, i bardzo mnie to rani. Przywykłam już bowiem do tego, że wszyscy chcą się do mnie zbliżyć, i widziałam to po twarzach i poznałam po oddechu mężczyzn, przed którymi tańczyłam. A najlepiej odczułam to, gdy mężczyźni patrzyli na moją nagość na targowisku niewolników i kazali eunuchom próbować, czy jestem dziewicą. Ale o tym porozmawiamy później, jeśli zechcesz, najpierw bowiem musisz mnie stąd zabrać i dopomóc mi uciec z Babilonu.

Jej bezczelność była tak wielka, że nie wiedziałem, co na to powiedzieć, w końcu jednak ofuknąłem ją:

– Wcale nie zamierzam ci pomagać, byłoby to bowiem przestępstwem wobec króla, który jest moim przyjacielem i który zapłacił za ciebie mnóstwo złota. Mogę ci też powiedzieć, że nadęty bukłak, który przyszedł tu do ciebie, był fałszywym królem, który panuje tylko przez dzisiejszy dzień, a jutro odwiedzi cię prawdziwy król. Jest to jeszcze gołowąs o przyjemnym wyglądzie, który spodziewa się po tobie przyjemności, gdy cię już poskromi. I nie sądzę, by moc twego boga rozciągała się aż tutaj, tak że nic nie stracisz ustępując przed tym, co nieuniknione. Toteż najlepiej dla ciebie, żebyś zaprzestała swych szaleństw, wypuściła nóż z ręki i odziała się oraz przyozdobiła dla niego, bo naprawdę nie wyglądasz dobrze rozczochrana, z rozmazaną na twarzy szminką.

To wywarło wrażenie. Dotknęła włosów i zwilżywszy palec śliną przygładziła nim brwi i przetała wargi. Uczyniwszy to uśmiechnęła się do mnie, a twarz jej była drobna i piękna, gdy patrząc na mnie, powiedziała łagodnie:

– Nazywam się Minea i możesz mówić do mnie po imieniu, bo ty mnie stąd zabierzesz i razem uciekniemy z tego niedobrego kraju.

Podniosłem ręce, rozzłoszczony jej zuchwałością, i śpiesznie odszedłem, lecz twarz jej prześladowała mnie tak, że wróciłem i powiedziałem:

– Mineo, idę, by pomówić o tobie z królem, ale więcej nic nie mogę zrobić. Tymczasem zaś odziej się i uspokój, a jeśli chcesz, dam ci środek, który sprawi, że wcale nie będziesz dbać o to, co się z tobą dzieje.

A ona na to:

– Spróbuj tylko przyjść do mnie z czymś takim, jeśli się odważysz! Skoro jednak chcesz się zająć moją sprawą, daję ci ten nóż, który dotychczas mnie chronił, bo wiem, że gdy ci go dam, ty będziesz mnie ochraniał i nie oszukasz mnie, lecz zabierzesz z tego kraju i uciekniesz wraz ze mną.

Uśmiechnęła się do mnie i włożyła mi do ręki nóż, choć wołałam:

– Nie chcę twego noża, szalona dziewczyno!

Ale ona też nie chciała wziąć z powrotem noża, choć usiłowałam go jej wcisnąć do ręki. Patrzyła na mnie z uśmiechem spod grzywy mokrych włosów, dopóki nie odszedłem od niej z nożem w rękę i wielce zawstydzony. Zrozumiałem bowiem, że była bardziej chytra ode mnie, gdyż dając mi ten nóż związała swój los z moim, tak że nie mogłem jej już uniknąć.

Gdy wróciłem z domu kobiet, wyszedł mi na spotkanie Burnaburisz, bardzo ciekawy, wypytując, co się tam stało.

– Twoi eunuchowie zrobili kiepski interes – powiedziałem do niego. – Minea, dziewczyna, którą dla ciebie kupili, jest wściekła i nie chce mieć do czynienia z żadnym mężczyzną, gdyż zabronił jej tego jej bóg. Toteż lepiej, żebyś zostawił tę dziewczynę w spokoju, dopóki się nie odmieni.

Ale Burnaburisz zaśmiał się wesoło i rzekł:

– Zaprawdę, będę mieć wiele przyjemności z tej dziewczyny, bo znam już takie dziewczęta, które ustępują dopiero przed kijem. Jestem bardzo młody i nie wyrosła mi jeszcze na dobre broda. Toteż często bywam zmęczony kosztując rozkoszy z kobietami i wielką przyjemność sprawia mi, jeśli mogę przyglądać się im i słyszeć ich jęki, gdy eunuchowie chłuszczą je cienkimi różgami. Toteż ta krnąbrna dziewczyna podoba mi się szczególnie, będę bowiem miał powód, by kazać eunuchom wychłostać ją na moich oczach. I przysięgam, że jeszcze tej nocy skóra jej spuchnie tak, że nie będzie mogła leżeć na grzbiecie, a moja przyjemność będzie w ten sposób jeszcze większa.

Odszedł zacierając dłonie i chichocząc jak dziewczyna. Ja zaś patrzyłem za nim i wiedziałem, że nie jest już moim przyjacielem i że nie życzę mu dobrze, a nóż Minei leżał w mojej dłoni.

ROZDZIAŁ 5

Od tej chwili nie mogłem się ani cieszyć, ani śmiać, choć pałac i jego podwórce roiły się od ludzi, którzy żłopali wino i piwo i szaleli w dzikiej radości z powodu wszystkich sztuczek, wymyślanych nieprzerwanie przez Kaptaha. Zapomniał on już bowiem o przykrościach, które go spotkały w domu kobiet, a podbite oko obłożono mu surowym mięsem, tak że przestało go boleć, choć wciąż jeszcze było opuchnięte i siniec

pod nim mienił się wszystkimi kolorami. Nie mogę jednak powiedzieć, co mi właściwie było, bo sam tego nie wiem.

Gdy nadszedł wieczór, poszedłem na wybrzeże i wynająłem łódź z dziesięciu wiosłarzami, którym powiedziałem:

– Dzisiaj jest dzień fałszywego króla i wiem, żeście pijani z radości i od piwa i że niechętnie wyruszacie w drogę. Ale dam wam podwójną zapłatę, bo zmarł mi bogaty wuj, muszę więc zawieźć ciało do jego przodków i muszę zrobić to szybko, zanim jego własne dzieci i mój brat zaczną kłócić się o spadek i pozostawią mnie z pustymi rękami. Toteż dam wam hojne dary, jeśli będziecie wiosłować szybciej niż zwykle, choć droga jest daleka. Moi przodkowie bowiem spoczywają w naszym dawnym majątku, blisko granicy kraju Mitanni.

Wioslarze sarkali, ale kupiłem im dwa dzbany piwa i pozwoliłem pić do zachodu słońca, byleby tylko byli gotowi wyruszyć w drogę, gdy się ściemni. Wtedy sprzeciwili mi się gwałtownie mówiąc:

– Za nic nie będziemy wiosłować w ciemności, bo noc pełna jest rozmaitych wielkich i małych demonów i złych duchów, które wydają przeraźliwe okrzyki i mogą przewrócić łódź albo nas pozabijać.

Ale ja im powiedziałem:

– Pójdę do świątyni złożyć ofiarę, żeby nie stało się nam nic złego w podróży, dźwięk zaś srebra, które wam dam, gdy przybędziemy do celu, pozwoli wam zamknąć uszy na wrzaski demonów.

Poszedłem do Wieży i złożyłem w ofierze owcę. Na dziedzińcu świątyni nie było dużo ludzi, bo cała ludność miasta zebrała się wokół pałacu, by święcić dzień fałszywego króla. Obejrzałem owczą wątrobę, ale taki zamęt panował w moich myślach, że wątroba nie powiedziała mi nic szczególnego. Zauważyłem tylko, że była ciemniejsza niż zwykle i czuć ją było niedobrze, tak że przepęłniły mnie złe przecucia. Upuściłem jednak trochę krwi owczej zbierając ją do skórzanego worka, który zaniósłem pod pachą do pałacu. A gdy wstąpiłem do królewskiego domu kobiet, przeleciała mi koło głowy jaskółka rozgrzewając mi serce i dodając otuchy. Był to bowiem ptak z mojej ojczyzny i pomyślałem sobie, że to dobry znak.

W domu kobiet powiedziałem do eunuchów: – Pozostawcie mnie w spokoju z tą szaloną dziewczyną, żebym mógł wypędzić z niej demona.

Posłuchali i zaprowadzili mnie do małej komnatki, gdzie była Minea. Wytłumaczyłem jej, co ma zrobić, i zostawiłem nóż i skórzaną workę, pełną krwi. Obiecała zastosować się do moich wskazówek, odszedłem więc, zamykając za sobą drzwi, i powiedziałem

eunuchom, żeby nikt jej nie przeszkadzał, bo dałem jej lek, który ma z niej wypędzić demona. Ten zaś, wypędzony, może wejść w każdego, kto otworzy drzwi bez mego pozwolenia. Uwierzyli mi bez zastrzeżeń.

Słońce zachodziło i światło jego czerwieniało jak krew we wszystkich salach pałacu, a Kaptah znowu ucztował i pił, Burnaburiasz zaś obsługiwał go, śmiejąc się i chichocząc jak dziewczyna. Na podłodze w kałużach wina leżeli mężczyźni, moi i pospólstwo, zasnawszy po pijanemu. Powiedziałem do Burnaburiasza:

– Chcę się upewnić, że Kaptah umrze śmiercią bezbolesną, bo jest on moim sługą i odpowiadam za niego, jak pan odpowiada za swoje sługi.

A Burnaburiasz odparł:

– Pośpiesz się więc, bo stary człowiek rozpuszcza już truciznę w winie i Kaptah umrze o zachodzie słońca, jak tego wymaga zwyczaj.

Odnalazłem starego królewskiego lekarza przybocznego, on zaś uwierzył mi, gdy mu powiedziałem, że przysłał mnie król. Śmiał się i paplał:

– Nawet lepiej, żebyś sam domieszał trucizny do wina, bo ręce mi drżą, a oczy zachodzą mgłą, i nic nie widzę, tyle się dziś naśmiałem z konceptów twego sługi.

Wylałem mieszanekę, którą przygotował, i zamiast trucizny domieszałem do wina makowego soku, uważając jednak, by nie wlać go za dużo i nie uśmiercić w ten sposób Kaptaha. Puchar zaniosłem sam Kaptahowi i powiedziałem do niego:

– Kaptahu, możliwe, że już nigdy się z sobą nie spotkamy, bo pycha uderzyła ci do głowy i jutro nie zechcesz mnie już pewnie znać. Wypij zatem ten puchar, który ci podaję, abym wróciwszy do Egiptu mógł opowiadać, że pan czterech części świata był moim przyjacielem. A wypiwszy go wiedz, że zawsze chcę tylko twego dobra, bez względu na to, co nastąpi. I pamiętaj o naszym skarabeuszu.

A Kaptah rzekł:

– Mowa tego Egipcjanina byłaby jak brzęczenie much w moich uszach, gdyby nie szumiało mi w nich już od wina tak, że nie słyszę, co on mówi. Nigdy jednak nie wylewałem, jak wiadomo, za kołnierz, co starałem się dzisiaj wykazać moim podwładnym, w których wielkie znajduję upodobanie. Toteż wypiję i ten puchar, choć wiem, że dzikie osły będą jutro brykać w mojej biednej głowie.

Wychylił puchar i w tejże chwili słońce zaszło, wzniesiono pochodnie i zapalono lampy, a wszyscy podnieśli się i umilkli, tak że w pałacu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. A Kaptah zdjął z głowy przepaskę babilońskiego króla i rzekł:

– Ta przeklęta korona ciąży mi na głowie i już mi się sprzykrzyła. Nogi mi drętwieją, a powieki robią się ołowiane. Najlepiej chyba, żebym poszedł do łóżka.

Naciągnął na siebie cienki obrus, którym był nakryty stół, i ułożył się do snu na podłodze, ściągając ze obrusem ze stołu dzbany i puchary, które pospadały na niego, tak że skąpał się po szyję w winie, jak to rano obiecywał. A królewscy słudzy rozebrali go i w mokre od wina szaty królewskie przyodziali Burnaburiasza, włożyli mu na głowę królewski kołpak i wręczyszy znaki władzy królewskiej posadzili go na tronie.

– To był męczący dzień – rzekł Burnaburiasz. – Ale zauważyłem podczas tej zabawy, że ten i ów nie okazywał mi należytego szacunku, przypuszczalnie w nadziei, że zadławię się gorącym rosołem. Wychłostajcie więc tych, co tu leżą na podłodze, i przepędźcie lud z podwórców, a tego dumia, jeśli już zdechł, wsadźcie do śmiertelnej urny, bo już mi się uprzykrzył.

Odwrócono Kaptaha na wznak i lekarz przyboczny zbadał go rękami drżącymi od wina i z zamglonym wzrokiem, po czym zapewnił:

– Zaiste, człowiek ten martwy jest jak rozdeptany żuk. – Wtedy słudzy wnieśli glinianą urnę, w jakich Babilończycy chowają swoich zmarłych, włożono do niej Kaptaha, po czym zapieczętowano ją gliną. A król kazał zanieść urnę do podziemi pałacu między innych fałszywych królów, jak to było w zwyczaju.

Ale wtedy ja powiedziałem:

– Ten człowiek to Egipcjanin i jest jak ja obrzezany. Dlatego muszę zabalsamować jego ciało według egipskiego zwyczaju, aby mogło ono oprzeć się śmierci. I muszę wyposażyć go we wszystko, co będzie mu potrzebne w podróży do Kraju na Zachodzie, tak aby bez pracy mógł jeść, pić i zażywać rozkoszy po śmierci. Wszystko to trwa dni trzydzieści albo siedemdziesiąt w zależności od rangi, którą dany człowiek miał za życia. Myślę jednak, że z tym oto Kaptahem będę gotów w trzydzieści dni, bo był on tylko moim sługą. Wtedy przyniosę go z powrotem i pochowam pośród jego poprzedników na stanowisku fałszywych królów, w podziemiu pod twoim pałacem.

Burnaburiasz słuchał ciekawie i powiedział:

– Niech będzie, jak chcesz, choć myślę, że trud twój pójdzie na marne, bo duch człowieka, który umarł, błądzi, nie mogąc zaznać spokoju, i żywi się odpadkami na ulicach, jeśli krewni nie przechowują zwłok w swoim domu w glinianej urnie, tak aby duch dostawał swoją część z domowych posiłków. Tak jest z każdym z wyjątkiem mnie, który jestem królem. Bo gdy ja umrę, bogowie wezmą mnie do swego koła i nie będę musiał po śmierci troszczyć się o kaszę i piwo dla siebie, tak jak inni. Ale rób z nim co chcesz, jeśli taki jest zwyczaj w twoim kraju. Ja nie chcę spierać się o zwyczaje, modłę się nawet do takich bogów, których nie znam, i staram się ich przebłagać za grzechy, o których nawet nie wiem, czy je popełniłem, albowiem ostrożność jest cnotą.

Kazałem sługom wynieść Kaptaha w glinianej urnie do lektyki, czekającej w pogotowiu pod murami pałacu. A nim odszedłem, powiedziałem do króla:

– Przez trzydzieści dni nie będziesz mnie oglądać, gdyż w czasie balsamowania ciała nie mogę się pokazywać innym ludziom, aby nie sprowadzić na nich demonów, od których roi się koło zwłok.

A Burnaburiasz zaśmiał się i rzekł:

– Niech będzie, jak mówisz. Jeśli się tu pokażesz, każę sługom wygnać cię kijami, żebyś mi nie naniósł złych duchów do pałacu.

Znalazłszy się w lektyce zrobiłem otwór w glinie, którą zapieczętowana była urna, aby Kaptah miał czym oddychać. Następnie zaś powróciłem do pałacu i poszedłem do domu kobiet, gdzie eunuchowie wielce się ucieszyli na mój widok, bali się bowiem, że król może nadejść w każdej chwili.

Ale kiedy otworzyłem drzwi komnatki, w której zamknąłem Mineę, wybiegłem stamtąd natychmiast, rwąc włosy i wołając z rozpaczą:

– Chodźcie i zobaczcie, co się stało, bo oto leży ona martwa we własnej krwi, a zakrwawiony nóż leży obok niej na podłodze, włosy jej także unurzane są we krwi.

Eunuchowie nadbiegli, aby zobaczyć, co się stało. A zobaczywszy krew, której bardzo się boją, tak się przerazili, że nie śmieli nawet dotknąć dziewczyny. Zaczęli płakać i biadać ze strachu przed królewskim gniewem, ja jednak powiedziałem do nich:

– I wy, i ja jesteśmy teraz w opałach. Przynieście więc szybko jakąś matę, w którą mógłbym zawinąć zwłoki, i zmyjcie krew z podłogi, żeby nikt nie wiedział, co się tutaj stało. Król bowiem spodziewa się dużo przyjemności po tej dziewczynie i gniew jego będzie straszliwy, gdy się dowie, że przez niedbalstwo dopuściliśmy, by umarła, jak tego wymagał jej bóg. Postarajcie się więc szybko o jakąś inną dziewczynę na jej miejsce, najlepiej taką, która pochodzi z dalekich krajów i nie zna tutejszego języka. Ubierzcie ją i przystrojcie dla króla, a gdy będzie się opierać, wychłostajcie na jego oczach, bo sprawia mu to szczególną przyjemność i wynagrodzi was za to sowicie.

Eunuchowie pojęli mądrość moich słów. Potargowawszy się z nimi jeszcze przez chwilę, dałem im połowę kwoty, jaką wedle tego, co mówili, będą musieli zapłacić za drugą dziewczynę, choć dobrze wiedziałem, że okradają mnie w ten sposób, gdyż naturalnie kupią nową dziewczynę za srebro króla, okradając także jego, bo każą sprzedawcy wypisać na glinianej tabliczce cenę wyższą niż ta, którą otrzymał. Taki bowiem był zawsze zwyczaj eunuchów na całym świecie i tak zawsze będzie. Nie chciałem się jednak z nimi spierać. Przynieśli matę, w którą zawinąłem Mineę, i pomogli mi wynieść ją przez ciemne dziedzińce do lektyki, gdzie już leżał Kaptah w

glinianej urnie.

W taki to sposób oszczędłem w ciemną noc z Babilonu jako uciekinier i straciłem dużo srebra i złota, choć mogłem się tam wzbogacić i zyskać jeszcze więcej. A tragarze sarkali:

– Kim jest ten mąż, który zmusza nas, żebyśmy szli bez pochodni w ciemną noc, i który obładowuje naszą lektykę trumnami i królewskimi matami, tak że karki nam się gną jak wołom pod jarzmem, a drążki lektyki obcierają nam barki do krwi. Zaprawdę wątroby nasze są czarne od strachu, bo musimy dźwigać w ciemnościach zwłoki, a z maty kapie nam na karki krew. Za to wszystko musi on nam sownie zapłacić.

Gdy doszliśmy do wybrzeża, kazałem im zanieść do łodzi urnę, sam zaś zaniósłem matę i ukryłem ją pod daszkiem. A do tragarzy powiedziałem:

– Niewolnicy i psi synowie! Gdyby was ktoś pytał, nic tej nocy nie widzieliście i nie słyszeliście. Żebyście zaś pamiętali moje słowa, macie tu po sztuce srebra.

A oni zaczęli z radości wołać:

– Zaiste szlachetnemu panu służyliśmy, uszy nasze są głuche, a oczy ślepe, nic tej nocy nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy!

Pozwoliłem im więc odejść, choć wiedziałem, że spiją się do nieprzytomności, jak to jest w zwyczaju u tragarzy przez wszystkie czasy, i że w zamroczeniu wyapłają wszystko, co widzieli. Nie dało się jednak temu przeszkodzić, bo było ich ośmiu i byli to silni mężczyźni, tak że nie mogłem ich wszystkich zabić i wrzucić trupów do rzeki, choć wielką miałem ochotę.

Po ich odejściu zbudziłem wioślarzy i gdy księżyc wzeszedł, chwycili za wiosła i wywieźli mnie z miasta, ziewając i przeklinając swój los, bo głowy ich ciężkie były od piwa, którego się opili. W taki to sposób uciekłem z Babilonu, dlaczego jednak zrobiłem to wszystko, nie umiem powiedzieć. Chyba że było to już zapisane w gwiazdach na długo przed moim urodzeniem i że nie można było temu przeszkodzić.

KSIĘGA SIÓDMA

MINEA

ROZDZIAŁ I

Udało się nam wydostać z miasta nie zaczepionym przez strażników, gdyż rzeka nie była na tę noc zagrodzona. Wślizgnąłem się pod daszek, by złożyć na spoczynek zmęczoną głowę, bo żołnierze króla, jak o tym opowiadałem, zbudzili mnie przed świtaniem, dzień zaś był niespokojny i pełen zgiełku i zamieszania, tak że nigdy dotychczas nie przeżyłem takiego dnia. Lecz wciąż jeszcze nie znalazłem spokoju, bo Minea rozwinęła się z maty i obmywała się z krwi, czerpiąc dłońmi wodę z rzeki, a światło księżyca migotało w wodzie, która przeciekała jej poprzez palce. Popatrzyła na mnie i nie uśmiechnęła się, tylko rzekła z wyrzutem:

– Słuchając twoich wskazówek strasznie się usmarowałam i cuchnę krwią. Z pewnością nigdy się już nie domyję, a wszystko to twoja wina. A gdy mnie niosłeś zawiniętą w matę, przyciskałeś mnie do siebie mocniej, niż było trzeba, tak że nie mogłam oddychać.

Mnie jednak sprzykrzyło się już słuchać jej gadaniny i bardzo byłem zmęczony. Toteż ziewnąłem i powiedziałem:

– Stul buzię, przekłeta kobieto! Gdy pomyślę, do czego mnie przywiodłaś, boli mnie serce i najchętniej wrzuciłbym cię do rzeki, gdzie woda z pewnością oczyściłaby cię tak, jak tego zdajesz się pragnąć. Albowiem gdyby nie ty, siedziałbym w Babilonie po prawicy króla i kapłani z Wieży uczyliby mnie swej mądrości, nic przede mną nie ukrywając, tak że stałbym się najmądrszym lekarzem na świecie. Także dary, które zdobyłem swoją sztuką lekarską, straciłem z twego powodu, a złoto moje jest na wyczerpaniu nie śmiem zaś skorzystać z glinianych tabliczek, za które mógłbym podjąć złoto w kantorze świątyni. Wszystko to dzieje się przez ciebie i przeklinam zaprawdę ten dzień, kiedy cię zobaczyłem, i co roku będę się w ten dzień ubierać w worek i posypywać głowę popiołem.

Trzymała rękę w wodzie, w blasku księżyca, i palce jej pruły wodę podobną do roztopionego srebra. I odezwała się cicho nie patrząc na mnie:

– Jeśli tak jest, to najlepiej chyba będzie, gdy rzucę się do rzeki, jak tego sobie życzysz. Bo w ten sposób pozbędziesz się mnie.

Podniosła się, aby skoczyć do rzeki, ale ja chwyciłem ją mocno i powiedziałem:

– Zaprzestań już tych szaleństw, bo jeśli skoczysz do rzeki, to wszystko, co zrobiłem, będzie zupełnie daremne, a to byłoby już szczytem szaleństwa. Na wszystkich bogów, jakich znam, pozwól mi wreszcie usnąć spokojnie, Mineo, i nie drażnij mnie twoimi kapryсами, bo bardzo jestem zmęczony.

Powiedziawszy to wpełzłem pod matę, przykrywając się nią, bo noc była chłodna, choć już była wiosna, a w sitowiu klekotały bociany. A ona wślizgnęła się pod przykrycie obok mnie i powiedziała cicho:

– Skoro nie mogę zrobić dla ciebie nic innego, wolno mi chyba ogrzać cię moim ciałem, bo noc jest zimna.

Nie miałem już sił jej się sprzeciwić i zasnąłem, a ona ogrzewała mnie swoim ciałem, ja zaś spałem dobrze, bo była młoda i ciało jej było przy mym boku jak mały piecyk.

Gdy zbudziłem się nazajutrz rano, upłynęliśmy już spory kawał drogi pod prąd, ale wiosłarze sarkali i mówili:

– Łopatki zdrętwiały nam już i są jak z drewna, a grzbiety nas bolą. Czy chcesz nas zamęczyć na śmierć wiosłowaniem? Nie płyniemy przecież do pożaru, by gasić płonący dom.

Ale ja nie dałem się wzruszyć i zagroziłem:

– Ten, kto przestanie wiosłować, zakosztuje mego kija. Postój zrobimy dopiero w południe. Wtedy dostaniecie jeść i pić i dam każdemu łyk palmowego wina, byście się orzeźwili i czuli lekko jak ptaki. A jeśli będziecie na mnie sarkać, wypuszczę na was wszystkie demony. Bo musicie wiedzieć, że jestem kapłanem i czarownikiem i znam różne demony, które chętnie jadają ciało ludzkie.

Powiedziałem tak, by ich nastraszyć, ale słońce świeciło jasno i nie uwierzyli mi, tylko mówili:

– On jest sam, a nas jest dziesięciu! – I najbliższy usiłował zdzielić mnie wiosłem.

Wtem rozległo się łomotanie w urnie na dziobie łodzi. Był to Kaptah, który dobijał się od środka, miotał przekleństwa i wydzierał się ochrypłym głosem. Wiosłarze pobledli ze strachu. Jeden po drugim skoczyli do wody i odpłynęli od łodzi, znikając nam z oczu w bystrym nurcie. Łódź skręciła i prąd zaczął ją znosić, tak że przechyliła się mocno na jeden bok. Udało mi się jednak skierować ją do brzegu i zarzucić kotwiczny kamień. Minea wyszła spod daszka czesząc włosy i w tejże chwili pierzchnął cały mój przestrach, bo była piękna, słońce świeciło i bociany klekotały w sitowiu. Podszedłem do urny i złamałem glinianą pieczęć, wołając wielkim głosem:

– Wstań ty, który tam leżysz!

Kaptah wytknął z urny kudłatą głowę i jął się gapić dokoła. I nigdy nie widziałem człowieka bardziej zdumionego, niż on był w tej chwili.

– Co to za kawały? – spytał zbolalym głosem. – Gdzie moja królewska korona i gdzie schowano mi oznaki mojej władzy, że jestem całkiem nagi i marzną? Także w głowie pełno mam szerszeni, a członki ciężą mi jak ołów, jak gdyby ukąsił mnie jadowity wąż. Miej się na baczności, Sinuhe! nie kpj sobie z króla, bo z królami nie wolno żartować.

Chciałem go ukarać za jego bezczelność z poprzedniego dnia. Toteż udałem, że o niczym nie wiem, i powiedziałem:

– Nie rozumiem, o czym mówisz, Kaptahu. Pewnie wciąż jeszcze jesteś zamroczony winem. Chyba sobie przypominasz, że gdyśmy wyjeżdżali z Babilonu, wypiliśmy za dużo wina i zaczęłeś w łodzi awanturować się i takie plotłeś bzdury, że wiosłarze musieli cię zamknąć w tej urnie, żebyś im krzywdy nie wyrządził. Opowiadałeś coś o królach i sędziach, paplałeś także o różnych innych rzeczach.

Kaptah przymknął oczy i długo się zastanawiał, aż w końcu rzekł:

– Panie mój, już nigdy w życiu nie będę pił wina, bo we śnie przeżywałem straszliwe przygody, tak okropne, że nie mogę ci o nich opowiedzieć. Tyle tylko powiem: zdawało mi się, iż z łaski skarabeusza zostałem królem i wymierzałem sprawiedliwość na królewskim tronie, i wstąpiłem nawet do królewskiego domu kobiet, gdzie wielkiej zaznałem rozkoszy z piękną dziewczyną. Wiele innych jeszcze rzeczy mi się przydarzyło, ale nie mam sił o tym myśleć, bo bardzo mnie boli głowa, i zrobiłbyś mi łaskę, mój panie, gdybyś mi dał jakiś lek w rodzaju tego, który pijący w tym przeklętym Babilonie stosują na drugi dzień po pijaństwie.

Gdy to wypowiedział, spostrzegł Mineę i szybko cofnął się z powrotem do urny, mówiąc jęklwym głosem:

– Panie, z pewnością nie jestem całkiem zdrow albo też wciąż jeszcze śnię, bo zdaje mi się, że na rufie łodzi widzę dziewczynę, którą we śnie spotkałem w królewskim domu kobiet. – Pomacał podbite oko i spuchnięty nos i zaczął głośno narzekać. A Minea podeszła do urny i ciągnąc go za włosy powiedziała:

– Przyjrzyj mi się! Czy to ja jestem tą kobietą, z którą być może skosztowałeś rozkoszy ostatniej nocy?

Kaptah popatrzył na nią ze strachem, zamknął oczy i rzekł jęklwie:

– Wszyscy bogowie Egiptu, zmiłujcie się nade mną i udzielcie mi przebaczenia za to, że uczciłem obcych bogów i składał im ofiary, ale to jesteś ty i wybac mi to, ale był to tylko sen.

Wtedy Minea zdjęła z nogi pantofel i trzasnąwszy go nim w oba policzki, aż klasnęło, krzyknęła:

– Niech to ci będzie karą za twój nieprzyzwoity sen i żebyś wiedział, że teraz już nie śpisz!

Ale Kaptah narzekał jeszcze bardziej i mówił:

– Doprawdy nie wiem już, czy śpię, czy przeżywam to na jawie, bo to samo przydarzyło mi się we śnie, gdy spotkałem to okropne stworzenie w królewskim babińcu.

Pomogłem mu wydostać się z urny i dałem mu gorzki środek przeczyszczający, po czym przywiązałem go linką i skąpałem w wodzie, choć głośno się wydierał, i kazałem mu pływać, żeby przejaśniło mu się w głowie i żeby otrzeźwiał z oparów wina i maku. Ale gdy go wciągnąłem z powrotem do łodzi, zlitowałem się nad nim i powiedziałem:

– Niech ci to będzie nauką za twoje zarozumiałstwo. Wiedz, że wszystko to nie przyszło ci się, lecz jest prawdą, i że bez mojej pomocy leżałbyś teraz martwy w urnie, w podziemiu, gdzie są groby fałszywych królów.

Po czym opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło, i musiałem to powtarzać wiele razy, zanim zrozumiał i uwierzył we wszystko. A ja zakończyłem:

– Życie nasze jest w niebezpieczeństwie, a to, co zaszło, wcale jest niewesołe, bo gdyby król nas dostał w swoje ręce, zawiślibyśmy bez wątpienia na murze głowami w dół i jeszcze gorzej pewnie by się nad nami znęcał. Toteż cenne są teraz dobre rady i ty, Kaptahu, musisz znaleźć sposób, w jaki moglibyśmy z życiem ująć do kraju Mitanni.

Kaptah podrapał się w głowę i długo się zastanawiał. W końcu powiedział:

– Jeśli dobrze rozumiałem twoje słowa, wszystko to wcale mi się nie śniło ani nie byłem pijany winem, lecz była to prawda. A jeśli tak jest, to będę słać ten dzień jako pomyślny, bo w takim razie mogę bez obawy napić się znowu wina, by mi się rozjaśniło w głowie, choć już sądziłem, że nigdy w życiu nie odważę się tknąć wina.

Po czym wlaź do kajuty, złamał pieczęć na dzbanie z winem i pociągnął z niego głęboko, wychwalając wszystkich bogów Egiptu i Babilonu i wymieniając ich po imieniu, i słać także nieznanych bogów, których imion nie znał. A przy każdym bogu, którego wymieniał, przechylał dzban, aż w końcu zwałił się na matę i zaczął chrapać grubo jak hipopotam.

Byłem rozgoryczony jego zachowaniem się i chciałem go strącić do wody i utopić, ale Minea powiedziała:

– Ten Kaptah ma słuszość, bo dość tych trosk na jeden dzień. Dlaczego nie mielibyśmy pić wina i radować się tu, dokąd nas zaniósł prąd. Bo pięknie tu, a sitowie

nas kryje i klekoczą w nim bociany. Widzę też kaczkę, które lecą z wyciągniętymi szyjami, by zbudować sobie gniazdo, woda lśni w słońcu zielenią i złotem, a serce moje jest lekkie jak ptak, bo wyrwałam się z niewoli.

Zastanowiłem się nad jej słowami i znalazłem, że są słuszne, rzekłem więc:

– Skoro oboje jesteście szaleni, dlaczego i ja nie miałbym być taki sam. Doprawdy wszystko jest mi obojętne i wszystko jedno, czy skóra moja zawisnie na murze już jutro, czy dopiero za dziesięć lat, bo wszystko to zostało zapisane w gwiazdach jeszcze przed naszym urodzeniem, jak mnie tego nauczylili kapłani w Wieży. Słońce świeci rozkosznie, a zboża zielenią się na polach. Będę zatem kąpać się w rzece i próbować łapać ryby rękami, jak to czasem robiłem w dzieciństwie, bo ten dzień jest równie dobry jak każdy inny.

Kąpaliliśmy się więc w rzece i suszyliśmy odzież na słońcu, jedliśmy i piliśmy wino, a Minea złożyła ofiarę swemu bogu i tańczyła tańce tego boga przede mną w łodzi, tak że serce ścisnęło mi się w piersi, gdy na nią patrzyłem, i trudno mi było oddychać. Toteż odezwałem się do niej:

– Tylko raz w życiu powiedziałem do kobiety „moja siostrze”, lecz łono jej było dla mnie jak rozpalony piec, a ciało jej jak sucha pustynia, wcale mnie nie rzeźwiło. Dlatego błagam cię, Mineo, wyzwól mnie z tego zaczarowania, jakim skuwają mnie twoje członki, i nie patrz na mnie oczyma, które są jak blask księżycy na powierzchni wody, bo powiem do ciebie „moja siostrze”, a wtedy i ty doprowadzisz mnie do zbrodni i śmierci, jak to zrobiła ta zła kobieta.

Popatrzyła na mnie ciekawie i rzekła:

– Z pewnością miałeś do czynienia z dziwnymi kobietami, Sinuhe, skoro opowiadasz mi takie rzeczy. Ale być może kobiety w twoim kraju są takie. Nie potrzebujesz się jednak martwić, bo wcale nie zamierzam cię skusić do rozkoszy, jak się tego wyraźnie obawiasz. Mój bóg zabrania mi bowiem mieć do czynienia z mężczyzną i gdybym to zrobiła, musiałabym sama umrzeć. Dlatego mam się na baczości i wcale nie zamierzam cię kusić, jak zdaje się przypuszczasz, choć zupełnie nie rozumiem, skąd się w twojej głowie zrodziły takie myśli.

Wzięła moją głowę w dłonie, położyła ją sobie na kolanach i dotykając dłońmi moich włosów i policzków, powiedziała:

– Bardzo głupia jest zaiste ta twoja głowa, skoro mówisz źle o kobietach. Bo jeśli nawet są kobiety, które zatruwają wszystkie źródła, to są z pewnością i takie, które są jak źródło na pustyni albo jak rosa na spalonej słońcem łące. Ale choć głowa twoja jest zakuta i nic nie rozumie, a włosy czarne i niesforne, chętnie trzymam ją w dłoniach, bo

jest w tobie, w twoich oczach i w twoich rękach, coś rozkosznego, co mnie przyciąga. Toteż bardzo jestem zmartwiona, że nie mogę ci dać tego, co byś chciał, i jestem zmartwiona nie tylko ze względu na ciebie, ale i na mnie samą, jeśli może cię cieszyć to moje bezwstydnne wyznanie.

Woda chlupotała o boki łodzi, zielonozłota, i trzymałem dłonie Minei w moich, a były to dłonie silne i piękne. Jak tonący czepiałem się jej rąk i patrzyłem w jej oczy, które przypominały blask księżycy na wodnej tafli i ciepłe były jak pieszczota.

– Mineo, moja siostró! – powiedziałem. – Na świecie jest wielu bogów i każdy kraj ma własnych, a przykazania ich są niezliczone. Obrzydli mi już wszyscy bogowie, których ludzie wielbią, jak sądzę, tylko z powodu własnego strachu. Wyrzeknij się więc swego boga, bo jego wymagania są okrutne i głupie, a najokrutniejsze są one właśnie dzisiaj. Zabiorę cię do kraju, gdzie nie sięga moc twego boga, choćbyśmy nawet musieli podróżować na kraniec świata i żywić się trawą i suszonym mięsem w krajach dzikich ludzi, i spać na sitowiu do końca naszych dni. Gdzieś bowiem musi znajdować się granica, poza którą nie rozciąga się moc twego boga.

Ale ona ścisnęła mocno moje dłonie, odwróciła twarz i rzekła:

– Mój bóg wytyczył sobie granice w moim własnym sercu. I dokądkolwiek się udam, dosięgnie mnie jego moc i muszę umrzeć, gdybym zbliżyła się do mężczyzny. Dzisiaj, gdy patrzę na ciebie, wierzę, że bóg mój jest może okrutnym i głupim bogiem, skoro wymaga czegoś takiego. Ale sama nie mogę nic zdziałać przeciw niemu, a jutro może wszystko znowu będzie inaczej wyglądać, gdy ci się sprzykrzę i zapomnisz o mnie, bo tacy są mężczyźni.

– Dnia jutrzejszego nie zna nikt – odparłem niecierpliwie i wszystko we mnie rozpalilo się do niej, jak gdyby ciało moje było kupką sitowia, które słońce na wybrzeżu przypiekało rok po roku, aż wreszcie jakaś iskra je zażęgła. – Wszystko, co mówisz, to puste wykręty i chcesz mnie tylko dręczyć, jak to jest w zwyczaju kobiet, aby rozkoszować się moją męką.

Ona jednak cofnęła swoje dłonie i popatrzwszy na mnie z wyrzutem powiedziała:

– Nie jestem bynajmniej jakąś ciemną kobietą, bo oprócz swego własnego języka mówię po babilońsku, a także i twoim językiem, i umiem napisać swoje imię trzema rodzajami znaków, zarówno na glinie, jak i na papirusie. Byłam też w wielu wielkich miastach i byłam również z moim bogiem w Egipcie, na wybrzeżu, i tańczyłam przed różnymi ludźmi, którzy zachwycali się moją sztuką, dopóki kupcy nie porwali mnie po zatonięciu naszego statku. Wiem bardzo dobrze, że mężczyźni i kobiety są do siebie podobni we wszystkich krajach, choć kolor ich skóry i język ich są rozmaite. Nie różnią

się też oni zbytnio od siebie w myślach i zwyczajach, lecz rozweselają się winem i nie wierzą już w głębi serca w bogów, nawet jeśli im jeszcze służą, dlatego że ostrożność jest cnotą. Wszystko to wiem dobrze. Od dziecka jednak wychowywałam się w stajniach mego boga, gdzie wtajemniczono mnie we wszystkie jego tajemne obrządki, i żadna moc w świecie ani czary nie mogą mnie z nim rozdzielić. I gdybyś ty sam tańczył przed bykami i w tańcu przemykał między ich ostrymi rogami, i lekką stopą dotykał w igraszce ich ryczących pysków, wtedy wiedziałbyś coś o tym, o czym mówię. Ale nie sądzę, byś kiedykolwiek widział dziewczęta i młodzieńców tańczących przed bykami.

– Słyszałem o tym – odparłem. – I wiem też, że w Dolnym Królestwie uprawia się te igraszki, sądziłem jednak, że wszystko to dzieje się dla rozrywki ludzkiej, choć naturalnie powinienem był się domyślać, że i w tym maczają palce bogowie, jak we wszystkim, co się dzieje i co istnieje na świecie. Także i my w Egipcie służymy bykowi o boskich znamionach, który rodzi się tylko raz na pokolenie. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tańczył między jego rogami, bo byłoby to bluźnierstwem i zraniłoby jego godność. Byk ten posiada bowiem dar wróżebny. I jeśli chcesz mi dać do zrozumienia, że musisz zachować swoje dziewictwo dla byków, to słowa te są w moim mniemaniu czymś niesłychanym, jakkolwiek wiem, że kapłani tajnego kultu Matki Ziemi w Syrii oddają w ofierze capom nietknięte dziewczyny i że dziewczęta te wybiera się z ludu.

Wtedy uderzyła mnie mocno w twarz, w oba policzki, a oczy jej płonęły jak u dzikiego kota w ciemności i zawołała w gniewie:

– Gdy tak mówisz, wiem, że nie ma różnicy między capem a mężczyzną, bo myśli twoje krążą wciąż tylko wokół spraw cielesnych, tak że koza może zaspokoić twoje chuci równie dobrze jak kobieta. Odejdź więc i zostaw mnie w spokoju, i nie męcz mnie twoimi zalotami, bo mówisz o rzeczach, na których nie znasz się lepiej niż wieprz na srebrze.

Słowa jej były gniewne, a uderzenia piekły mnie w policzki, odsunąłem się więc od niej i poszedłem na rufę łodzi. Dla zabicia czasu otworzyłem swoją lekarską szkatułkę i zacząłem czyścić narzędzia i odważać leki. Ona siedziała na dziobie waląc wściekle piętami w dno łodzi, po chwili jednak z gniewem zrzuciła z siebie szaty, namaściła ciało oliwą i zaczęła tańczyć i wirować tak gwałtownie, że aż łódź się huśtała. Nie mogłem się oprzeć, by nie zerkać na nią ukradkiem, bo sztuka jej była wielka i przedziwna. Bez trudu przeginała się do tyłu, opierała na dłoniach i napinała ciało w łuk, po czym stawiała na rękach. Wszystkie mięśnie w jej ciele drżały pod lśniącą od oliwy skórą. Dyszała gwałtownie, a włosy rozsypały się aureolą wokoło głowy, bo taniec ten wymagał wiele siły i sztuki i nigdy czegoś podobnego nie widziałem, choć oglądałem zręczne tancerki

w domach uciechy w wielu krajach.

Gdy się jej przyglądałem, gniew stopniał w mej duszy i nie myślałem już o tym, co straciłem, wykradając tę zagadkową i niewdzięczną dziewczynę z królewskiego domu kobiet w Babilonie. Przypomniałem sobie, że była gotowa przebić się nożem w obronie swego dziewictwa, i zrozumiałem, że postąpiłem niesłusznie i źle, żądając od niej czegoś, czego nie mogła dać. Gdy zmęczyła się tańcem, tak, że pot perlił się na całym jej ciele i każdy mięsień drżał z wyczerpania, przykryła się szatą naciągając ją aż na głowę i posłyszałem, że płacze. Wtedy zapomniałem o moich lekach i o lekarskich narzędziach, podszedłem do niej śpiesznie, dotknąłem jej ramienia i zapytałem:

– Czyś chora?

Ona jednak nic mi nie odpowiedziała, tylko odepchnęła moją dłoń i płakała jeszcze gwałtowniej.

Usiadłem koło niej i odezwałem się sercem ciężkim od troski:

– Mineo, siostrze moja, nie płacz, a przynajmniej nie rób tego przeze mnie, bo naprawdę nie dotknę ciebie nigdy, nawet gdybyś sama o to prosiła. Chcę ci bowiem zaoszczędzić bólu i troski i chcę, żebyś zawsze została taka, jaka jesteś teraz.

Podniosła głowę, otarła z gniewem łzy i ofuknęła mnie:

– Wcale nie boję się bólu ani troski, niech ci się nie zdaje, głuptasie. I wcale nie płaczę z twego powodu, lecz nad własnym losem, który rozdzielił mnie z moim bogiem i zrobił tak słabą, że spojrzenie głupiego mężczyzny sprawia, iż kolana miękną mi jak ciasto. – Lecz mówiąc to nie patrzyła na mnie, tylko uparcie odwracała oczy i mrugała, by ukryć łzy.

Trzymałem ją za ręce i nie wrywała mi ich. Po chwili odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Sinuhe, Egipcjaninie, z pewnością jestem w twoich oczach bardzo niewdzięczna i niedobra, lecz nie mogę na to nic poradzić, bo sama już siebie nie poznaję. Gdybym mogła, chętnie opowiedziałabym ci o moim bogu, żebyś mnie lepiej zrozumiał, ale nie wolno tego opowiadać niewtajemniczonym. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest on bogiem morza i mieszka we wnętrzu góry, w ciemnym domu, i nikt, kto wszedł do jego domu, nie powrócił, lecz żyje z nim wiecznie. Są tacy, co twierdzą, że jest on podobny do byka, choć żyje w morzu, i dlatego nas, dziewczęta i chłopców jemu poświęconych, uczą tańczyć przed bykami. Mówią też, że bóg ten jest podobny do człowieka, choć ma głowę byka, ja jednak byłam w wielu krajach i zwiedziłam dużo wielkich miast, i sądzę, że to bajka. Wiem tylko, że spośród poświęconych jemu losowaniem wybiera się corocznie dwanaścioro, którym wolno wejść do jego domu kolejno, po jednemu w

każdą pełnię księżyca. I dla nikogo z nas nie ma większego szczęścia niż móc wstąpić do domu boga. Także i na mnie padł los, lecz zanim przyszła moja kolej, statek nasz rozbił się, jak to już opowiadałam, i kupcy porwali mnie, żeby sprzedać na targowisku niewolników w Babilonie. Przez całą swoją młodość marzyłam o przedziwnych salach w domu boga i o boskim łożu, i o wiecznym życiu. I wierzę, że życie na ziemi nie może dać nic więcej temu, kto widział boga, bo wybrany losem ma prawo po miesięcznym pobycie u boga powrócić, jeśli zechce, nikt jednak jeszcze dotychczas nie wrócił.

Gdy to mówiła, jak gdyby cień zasłonił mi słońce, wszystko stało się w mojej duszy śmiertelnie szare i przejął mnie dreszcz, bo wiedziałem już, że Minea nie będzie nigdy moja. Jej baśń podobna była do tych, które kapłani opowiadają we wszystkich krajach, ale ona w nią wierzyła i to dzieliło ją na zawsze ode mnie. I nie chciałem już drażnić jej moimi słowami ani smucić, tylko rozgrzewałem jej dłonie w moich i w końcu odezwałem się:

– Rozumiem, że chcesz wrócić do swego boga. Toteż zawiozę cię przez morze z powrotem na Krete, bo teraz wiem, że pochodzisz z wyspy Krety. Przeczuwałem to już wtedy, gdy opowiadałaś o bykach, teraz jednak wiem to, bo mówisz o bogu mieszkającym w ciemnym domu. Opowiadali mi o nim w Simirze kupcy i żeglarze, lecz dotychczas im nie wierzyłem. Mówili co prawda, że kapłani zabijają tych, którzy usiłują wrócić z domu boga, aby nikt nie dowiedział się, jaki jest ten bóg morza. Lecz to jest naturalnie gadanina żeglarzy i innej hołoty, a ty wiesz wszystko lepiej, bo jesteś wtajemniczona.

– Wiesz przecież, że muszę wrócić – rzekła błagalnie. – Nigdzie na ziemi nie znalazłabym spokoju, gdybym nie wróciła, bo od dziecka wychowywałam się w stajniach mego boga. Toteż cieszę się każdym dniem, Sinuhe, który mogę spędzić razem z tobą, i każdą chwilą cieszę się, w której cię jeszcze oglądam. Nie dlatego, że uratowałeś mnie przed złem, lecz dlatego, że nikt nie był dla mnie taki jak ty. I nie tęsknię już do domu boga tak jak dawniej, lecz pójdę tam ze smutkiem w sercu. I jeśli mi się uda, powrócę do ciebie po określonym czasie, ale nie wierzę w to, bo nikt jeszcze nie wrócił. Ale niewiele mamy czasu, a o jutrzejszym dniu nikt nie wie nic, jak powiedziałaś. Cieszymy się więc każdą chwilą, radujmy się kaczkami, które fruwać w powietrzu trzepocąc skrzydłami, cieszymy się rzeką i sitowiem, jedzeniem i winem i nie myślmy o tym, co będzie. Tak jest najlepiej.

Gdybym był innym człowiekiem, zmusiłbym ją, wziął przemocą i zabrał do swego kraju i żył tam z nią do końca naszych dni. Ale ja wiedziałem, że ona mówi prawdę i że nigdy nie miałaby jednego spokojnego dnia, gdyby zdradziła swego boga, dla którego

żyła i wyrosła. I że przyszedłby dzień, w którym by mnie przekłęła i uciekłyby ode mnie. Tak wielka jest siła bogów, gdy ludzie w nich wierzą, na tych jednak, którzy w nich nie wierzą, moc bogów nie rozciąga się. Toteż wierzę, że może istotnie by umarła, gdybym ją dotknął, bo widziałem w Domu Życia ludzi, którzy usychali i marli bez żadnej widocznej rany czy choroby, tylko dlatego, że wykroczyli przeciw jakiemuś bogu, w którego wierzyli.

Wszystko to było zapewne zapisane w gwiazdach jeszcze przed dniem mego urodzenia i nie można było tego zmienić. Jedliśmy więc i piliśmy w łodzi, ukryci w sitowiu, a przyszłość wydawała nam się daleka. Minea schyliła głowę, muskała mi twarz swoimi włosami i uśmiechała się do mnie, a gdy napiliśmy się wina, dotknęła pachnącymi od wina wargami moich warg i ból, który zadawała memu sercu, był rozkoszny, może rozkoszniejszy nawet, niż gdybym był ją wziął, choć wtedy o tym nie myślałem.

ROZDZIAŁ 2

Wieczorem Kaptah zbudził się, wylał spod maty i trąc oczy i ziewając powiedział:

– Na skarabeusza, nie zapominając także o Amonie, głowa moja nie przypomina już kowadła w kuźni. Raczej czuję się znowu pogodzony ze światem, gdybym tylko dostał coś do zjedzenia, bo mam takie uczucie, jakbym w żołądku miał kilka lwów, które długo pościły. – Nie pytając o pozwolenie przyłączył się do nas i zaczął chrupać pieczone w glinie ptaszki i wypluwać kostki za burte.

Jego widok przypomniał mi jednak, w jakich jesteśmy opałach, i wielce przestraszony rzekłem:

– Ty pijany nietoperzu! Miałeś dodać nam otuchy i znaleźć radę, jak uratować się z tych tarapatów, żebyśmy wszyscy troje nie zawiśli niedługo na murze, jedno obok drugiego, głowami w dół. A zamiast tego spiłeś się i leżałeś jak wieprz w gnojówce. Mów prędko, co robić, bo królewscy żołnierze z pewnością już nas ścigają.

Kaptah nie stracił jednak spokoju i odparł:

– Jeśli prawdą jest to, coś powiedział, to król nie spodziewa się zobaczyć ciebie przed upływem trzydziestu dni i obiecał przepędzić cię kijami z swego domu, gdybyś pojawił mu się na oczy przed ustalonym czasem. Dlatego moim zdaniem nic nas nie nagli. Jeśli zaś wszystko poszło na opak i tragarze opowiedzieli o twojej ucieczce albo eunuchowie w domu kobiet pokpili sprawę, nie możemy już na to nic poradzić. Ja jednak ufam dalej skarabeuszowi i moim zdaniem postąpiłeś bardzo głupio wlewając we mnie ten wywar z maku, tak że głowa zrobiła mi się chora, jak gdyby szewc powtykał w nią swoje szydła. Bo gdybyś się nie był pośpieszył, Burnaburiasz z pewnością zadławiłby się

kością albo pośliznął, upadł i skręcił kark, tak że ja zostałem królem Babilonu i panem czterech części świata, a wtedy niczego by nam już nie brakowało. Tak bardzo ufam skarabeuszowi! Przebaczam ci jednak twój postępek, ponieważ jesteś moim panem i nie umiałeś postąpić lepiej. Wybaczam ci też, że wsadziłeś mnie do tej glinianej urny, co wcale nie przystoi mej godności i w której się o mało nie udusiłem. Toteż uważałem, że najlepiej będzie wpięrować porządnie wytrzeźwieć, gdyż rano łatwiej wydobylbyś rękę ze zgniłego pniaka niż z mojej głowy. Teraz natomiast gotów jestem oddać całą moją mądrość na twoje usługi, wiem bowiem dobrze, że beze mnie jesteś jak kozłatko, które odbiło się od matki.

Prosiłem, żeby przestał wreszcie pleść bzdury i powiedział, dokąd jego zdaniem powinniśmy uciekać z Babilonu. Wtedy on podrapał się w głowę i rzekł:

– Ta łódź jest za wielka, by wiosłować w niej we troje pod prąd, i prawdę mówiąc bardzo nie lubię wiosła, bo robią mi się od nich pęcherze na rękach. Dlatego też powinniśmy wysiąść na ląd i ukraść gdzieś parę osłów, na które wjuczmy nasze rzeczy. Aby zaś nie wzbudzać zaciekawienia, najlepiej będzie, jak włożymy na siebie marną odzież i będziemy się targować o każdy grosz w gospodach i po wioskach. Nie będziesz też mówić, że jesteś lekarzem, lecz podasz się za kogoś całkiem innego. Zrobmy się trupą kuglarzy, którzy wieczorami zabawiają wieśniaków na klepiskach, bo kuglarzy nie prześladowuje nikt i nawet rabusie nie uważają, by warto było ich ograbić. Ty możesz wiejskim gamoniom wróżyć z oliwy, jak się tego nauczyłeś, a ja będę im opowiadać wesołe gadki, których, jak wiesz, znam nieskończoną ilość. Dziewczyna zaś będzie zarabiać na chleb tańcem. Równie dobrze jednak możemy nająć wiosłarzy i płynąć tą samą łodzią aż do granicy. Wszystko bowiem zależy w końcu od skarabeusza, on zaś może nas osłaniać jednakowo dobrze na rzece jak i na gościńcu. Ale pewnie będzie podchodzić do sprawy ostrożnie i nie byłoby też ładnie ukraść łódź biednym wiosłarzom, którzy z pewnością czają się gdzieś w sitowiu i czekają zmroku, by nas pozabijać. Dlatego najlepiej będzie, gdy wyruszymy natychmiast, a jeśli wiosłarze spróbują napuścić na nas królewskich strażników, nie sądzę, by ktoś uwierzył ich opowiadaniom. Będą bowiem opowiadać o demonach szalejących w urnach na trupy i o cudach, które widzieli, tak że żołnierze i sędziowie odesłają ich na przesłuchanie do świątyni i nie będą się troszczyć, by sprawdzić ich historie.

Wieczór zbliżał się i musieliśmy się śpieszyć, bo Kaptah miał z pewnością słuszną przypuszczać, że wiosłarze przezwyciężą strach i wrócą, żeby odebrać swoją łódź, było ich zaś dziesięciu silnych mężczyzn przeciw nam trojgu. Toteż wysmarowaliśmy się ich oliwą, pobrudziliśmy twarze i odzież gliną oraz podzieliłiśmy między siebie

resztkę mego złota i srebra, ukrywając je dobrze w naszych szatach i przepaskach. Moją lekarską szkatułkę, której nie chciałem zostawić, owinęliśmy w matę i włożyliśmy na grzbiet Kaptahowi, mimo jego protestów, po czym przeszliśmy w bród do brzegu, zostawiając łódź w sitowiu. W łodzi pozostawiliśmy jedzenie i parę dzbanów wina i Kaptah sądził, że wiosłarze zadowolą się tym i upiją się tak, że nie zechce im się nas ścigać. Gdyby zaś, wytrzeźwiawszy, stanęli przed sędziami, by o nas opowiedzieć, każdy z nich będzie mówił co innego i opowiadania ich będą tak sprzeczne i zagmatwane, że sędziowie przepędzą ich kijami. I ja również miałem nadzieję, że tak będzie.

Tak to zaczęliśmy wędrówkę. Dotarliśmy do okolic uprawnych i znaleźliśmy drogę karawanową, którą szliśmy przez całą noc, mimo że Kaptah sarkał i przeklinał dzień, w którym przyszedł na świat, a wszystko z powodu węzła, który ciążył mu wielce na karku. Rano dotarliśmy do wioski, której mieszkańcy przyjęli nas życzliwie i okazali nam szacunek, bo odważyliśmy się wędrować nocą nie troszcząc się o demony. Dali nam najeść się kaszy gotowanej na mleku i sprzedali nam dwa osły, a gdy odchodziliśmy, wpadli w prawdziwy szał radości na widok zapłaty. Byli to bowiem ludzie prości, którzy od miesiący nie widzieli złotej monety, lecz płacili podatki w naturze i żyli w glinianych lepiankach wspólnie ze swoim bydłem.

Tak wędrowaliśmy dzień po dniu drogami Babilonu, spotykaliśmy kupców i schodziliśmy na brzeg drogi przed lektykami możnych, bijąc przed nimi głębokie pokłony. Słońce spaliło nam skórę na brąz, a odzież nasza zmieniała się w łachmany i przywykliśmy do występowania przed ludźmi na glinianych klepiskach. Łałem oliwę na wodę i wróżyłem im pomyślne dni i bogate zbiory, urodziny chłopców i sowite wiana za dziewczęta, było mi ich bowiem żal z powodu ich ubóstwa i nie chciałem im przepowiadać nic złego. Gdybym miał im wróżyć prawdę, musiałbym mówić o niedobrych poborcach podatków i przekupnych sędziach, o chłostaniu kijami, o głodzie w lata nieurodzaju, o febrze w latach powodzi, o pladze szarańczy i much, o palącej suszy i zgniłej wodzie w porze letniej, o ciężkiej harówce i o śmierci po niej. Takie bowiem było ich życie. Kaptah opowiadał im baśnie o czarownikach, księżniczkach i o obcych krajach, gdzie ludzie chodzą z głowami pod pachą i raz do roku zmieniają się w wilki, oni zaś wierzyli mu i wielce go poważali i karmili. A Minea tańczyła przed nimi na twardych klepiskach, bo musiała co dzień tańczyć, żeby zachować swą sztukę dla boga, oni zaś zdumiewali się nad tą sztuką i mówili: – Czegoś takiego nigdyśmy jeszcze nie widzieli!

Wiele skorzystałem w czasie tej wędrówki, bo zobaczyłem, że tak jak bogaci i możni we wszystkich krajach i wielkich miastach są w gruncie rzeczy wszyscy do

siebie podobni i myślą w taki sam sposób, tak również i biedni we wszystkich krajach są do siebie podobni i myślą jednakowo, choć obyczaje ich są odmienne, a bogowie ich noszą rozmaite imiona. Przekonałem się też, że ubodzy są bardziej miłosierni niż bogacze. Sądząc, że i my jesteśmy biedakami, dawali nam za darmo kaszy i suszonej ryby, tylko z dobrego serca, nie oczekując od nas w zamian niczego, podczas gdy bogacze gardzili biedakami i odpędzali ich od drzwi kijami. Dowiedziałem się, że także biedacy doznają radości i smutku, odczuwają tęsknotę i żalobę i że dziecko biedaka przychodzi na świat takie samo jak dziecko bogacza. Serce moje zmięкло dla ludzi biednych z powodu ich wielkiej prostoty i chętnie leczyłem chorych tam, gdzie ich spotykałem, otwierałem wrzody i oczyszczałem zaropiałe oczy biedaków, wiedząc, że bez mojej pomocy niedługo oślepną. I nie żądałem za to wszystko darów, lecz robiłem to tylko z własnej chęci.

Ale nie umiem powiedzieć, dlaczego robiłem to wszystko i narażałem się na niebezpieczeństwo, że zostanę odkryty. Może serce zmięкло mi z powodu Minei, którą widziałem co dzień i która co noc ogrzewała mnie swoją młodością, gdy leżeliśmy na glinianej polepie, pachnącej słomą i cuchnącej mocnym nawozem. Może robiłem to dla niej, aby udobruchać bogów dobrymi uczynkami. Ale być może też, że chciałem wypróbować swoją sztukę lekarską, by nie stracić pewności rąk i bystrości oczu w badaniu chorób. Im dłużej bowiem żyję, tym lepiej rozumiem, że cokolwiek człowiek czyni, robi to z wielu przyczyn i nie zawsze nawet sam wie, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej. Toteż wszystkie ludzkie postęпки są jak proch pod moimi stopami, nie wiem bowiem, jakie ludzie mieli zamiary i czego chcieli dokonując danego postęпку.

W drodze znosiliśmy rozmaite trudy i ręce mi stwardniały, skóra na podszwach zrobiła się gruba, a kurz oślepiął mnie. Mimo wszystko jednak, gdy teraz pomyślę o tej naszej wędrówce po zakurzonych drogach Babilonu, widzę, że była ona piękna, i nie mogę jej zapomnieć, i dużo dałbym z tego, co przeżyłem i co posiadam na tej ziemi, gdybym jeszcze raz mógł odbyć tę wędrówkę, równie młody jak wtedy i z jednako czujnymi oczyma, i nie męcząc się łatwo, i gdyby Minea szła u mego boku z oczyma błyszczącymi jak księżyc na wodnej tafli. Przez cały czas szła za nami jak cień śmierć i nie byłaby ona lekka, gdyby nas odkryto i gdybyśmy wpadli w ręce króla. Ja jednak nie myślałem o śmierci w owe odległe dni i nie bałem się jej, choć życie było mi wtedy droższe niż kiedykolwiek przedtem, gdy tak wędrowałem u boku Minei i oglądałem ją tańczącą na klepiskach, których polepa zwilżona była wodą, aby nie podnosił się kurz. Dzięki niej zapomniałem o hańbie i zbrodni mojej młodości i co ranka, kiedy budziło mnie beczenie koźląt i ryczenie bydła, kiedy wychodziłem na dwór i widziałem, jak

słońce wstaje i znowu żegluję jak złota łódź na błękitniejącym niebie, serce moje było lekkie jak ptak.

W końcu dotarliśmy do pogranicznych okolic, zupełnie pustynnych. Pasterze pokazali nam drogę, bo sądzili, że jesteśmy biedni, i dzięki temu dostaliśmy się do kraju Mitanni, do Naharani, nie płacąc daniny i uniknąwszy strażników obu królów. Dopiero gdy przyszlismy do wielkiego miasta, gdzie ludzie nie znają się nawzajem, poszliśmy na uliczki przy bazarze i kupiliśmy sobie nową odzież, oczyściliśmy się i przydzielali stosownie do naszej godności, by móc stanąć w gospodzie dla możnych. Złoto moje było na wyczerpaniu, więc zatrzymałem się w tym mieście na jakiś czas, żeby wykonywać swój zawód, i zyskałem wielu pacjentów, i uleczyłem wielu chorych, bo mieszkańcy Mitanni byli wciąż jeszcze ciekawi i lubowali się we wszystkim co obce. Także Minea wzbudziła uwagę swoją pięknnością i wielu proponowało mi, że ją ode mnie odkupi. Kaptah odpoczywał po trudach, tył i spotykał się z licznymi kobietami, które były dlań łaskawe z powodu jego opowiadań. Gdy napił się wina w domu uciechy, opowiadał im, jak to był przez jeden dzień królem Babilonu, a ludzie śmieli się z niego i bijąc po udach mówili: – Takiego kłamczucha jeszcześmy nigdy nie widzieli. Jęzor jego jest długi i wartki jak rzeka.

Tak mijał czas, dopóki Minea nie zaczęła spoglądać na mnie przeciągle i w oczach jej nie zbudził się niepokój. A po nocach nie spała i płakała. W końcu powiedziałem do niej:

– Wiem, że tęsknisz do swojego kraju i do swego boga i że mamy przed sobą długą podróż. Ale wpieryw z powodów, których nie mogę ci wyjawić, muszę jeszcze odwiedzić kraj Hatti, gdzie mieszkają Hetyci. Wypytywałem się u kupców i podróżnych oraz w gospodzie i otrzymałem wiele informacji, które są co prawda z sobą sprzeczne, ale z których wynika, że z kraju Hetytów można popłynąć na Kretę. Nie wiem jednak tego na pewno i jeśli chcesz, zawiozę cię prosto na wybrzeże Syrii, skąd co tydzień odchodzi statek do twego kraju. Ale słyszałem, że niedługo wyruszy stąd karawana, która ma zawieźć coroczne dary od króla Mitanni dla króla Hetytów. Z tą karawaną moglibyśmy podróżować bezpiecznie i zobaczyć oraz dowiedzieć się wielu rzeczy, których jeszcze nie wiemy, a taką okazję miałbym znowu dopiero za rok. Nie chcę jednak stanowić o tym sam, tylko postanów ty według twojej woli.

W głębi serca wiedziałem, że ją oszukuję, bo moje pragnienie odwiedzenia kraju Hatti było tylko pragnieniem zachowania jej dłużej przy sobie, dopóki nie będę musiał z niej zrezygnować dla jej boga. Ale ona rzekła:

– Kimże jestem, żeby zmieniać twoje plany? Pójdę z tobą chętnie, dokądkolwiek

się udasz, boś mi przecież obiecał doprowadzić mnie do mego kraju, wiem też, że na wybrzeżu w kraju Hetytów jest zwyczaj, iż młode dziewczęta i chłopcy tańczą na polu przed dzikimi bykami, toteż nie może być stamtąd daleko do Krety. Zyskam więc sposobność do ćwiczenia się w tańcu, bo już niedługo rok minie, jak nie tańczyłam przed bykami, i boję się, że nadzieją mnie na rogi, gdy nie wyćwiczona stanę, by tańczyć przed nimi na Krecie.

Na to odparłem:

– Nic nie wiem o bykach, ale według tego, co słyszałem, Hetyci to lud fałszywy i okrutny, toteż wiele niebezpieczeństw czeka nas w podróży i nawet śmierć może nas łatwo spotkać. Może zatem najlepiej, żebyś została w Mitanni i czekała, dopóki nie powrócę, ja zaś dam ci złota, żebyś miała za co żyć przez ten czas.

Lecz ona odparła:

– Sinuhe, próżne twe słowa. Tam, dokąd ty pójdziesz, pójde i ja, i jeśli spotka nas śmierć, to smuci mnie to nie ze względu na siebie, lecz na ciebie.

Postanowiłem więc przyłączyć się jako lekarz do poselstwa króla Mitanni, ażeby bezpiecznie podróżować do kraju Hatti, nazywanego także Heta. Ale gdy usłyszał o tym Kaptah, zaczął sypać przekleństwami, wzywać bogów na pomoc i wołać:

– Zaledwie wymknęliśmy się z paszczy jednej śmierci, a mój pan już tęskni do innej! Każdy wie, że Hetyci podobni są do dzikich zwierząt, a nawet gorsi od nich, że jedzą oni ludzkie mięso i wykluwają oczy cudzoziemcom, i każą im obracać swoje wielki młyńskie kamienie. Bogowie pokarali mego pana szaleństwem, a ty, Mineo, jesteś szalona, skoro go popierasz. Byłoby lepiej, gdybyśmy związali naszego pana, posadzili go w zamkniętym pokoju i przystawili mu pijawki pod kolanami, żeby się uspokoił. Na skarabeusza, zaledwie zrobiłem się tłusty jak dawniej, gdy już znów muszę ruszać w uciążliwą podróż bez powodu. Przeklęty niech będzie ten dzień, kiedy przyszedłem na ten świat, by znosić wszystkie szalone zachcianki mego pana.

Wobec tego musiałem znowu złoić mu skórę kijem, żeby się uspokoił, a gdy przycichł, powiedziałem:

– Niech będzie, jak chcesz. Odeślę cię stąd z kupcami prosto do Simiry i zapłacę za twoją podróż. Opiekuj się tam moim domem, dopóki nie powrócę, bo naprawdę wielce mi się już sprzykrzyło twoje bezustanne narzekanie.

Ale Kaptah podskoczył na te słowa i wykrzyknął:

– Co to by miało za sens i czy w ogóle jest do pomyślenia, żebym pozwolił memu panu samemu jechać do kraju Hatti! Równie dobrze bowiem można by wpuścić nowo narodzone kozłátko do psiarni pełnej psów. Serce moje nie przestałoby mnie nigdy

oskarżać o tę zbrodnię. Toteż spytam cię tylko o jedno i proszę, odpowiedz mi otwarcie, stosownie do tego, co wiesz. Czy do kraju Hatti jedzie się morzem?

Odparłem mu, że według tego, co wiem, nie ma żadnego morza między krajem Mitanni i krajem Hatti, choć jeden mówił to, a drugi owo i nikt nie wiedział na pewno, jak długo trwa podróż. Na to Kaptah oświadczył:

– Niech będzie błogosławiony mój skarabeusz, bo gdyby trzeba było podróżować morzem, nie mógłbym ci towarzyszyć, ponieważ z przyczyn, które za długo byłoby tu wyjaśniać, poprzysięgłem bogom, że nigdy nie postawię stopy na statku idącym na morze. Nawet dla ciebie ani też dla tej bezczelnej Minei, która mówi i zachowuje się jak chłopiec, nie mógłbym złamać ślubu złożonego bogom, których imiona mogę natychmiast wyliczyć, jeśli trzeba.

Powiedziawszy to zaczął zbierać nasze rzeczy i przygotowywać się do podróży, ja zaś zostawiłem wszystko w jego rękach, bo w takich sprawach bardziej był doświadczony niż ja.

ROZDZIAŁ 3

Mówiłem już, co w kraju Mitanni opowiadano o Hetytach, od tej jednak chwili będę podawał tylko to, co widziałem własnymi oczyma i o czym wiem, że jest prawdą. Nie wiem tylko, czy ktoś uwierzy w to, co będę opowiadał, tak wielkim strachem napawa cały świat państwo Hetytów i tyle się mówi o ich złych czynach. Ale nawet u nich nie brak rzeczy dobrych, choć jest to lud groźny, którego obyczaje różnią się od obyczajów reszty świata. W kraju tym wcale nie ma takiego zamętu, jak to opowiadają, lecz panuje tam porządek i posłuch, tak że ten, kto otrzymał na to pozwolenie, może w ich górach podróżować bezpieczniej niż w jakimkolwiek innym kraju. I gdy podróżnik poniesie uszczerbek lub zostanie ograbiony, król wynagradza mu jego straty w dwójnasób, jeśli zaś zginie z ręki Hetytów, król wypłaca krewnym grzywnę za jego życie według specjalnego cennika, stosownie do pozycji, jaką zmarły miał za życia.

Toteż podróż nasza była monotonna i niewiele jest o niej do opowiedzenia, bo Hetyci towarzyszyli nam przez całą drogę w wozach bojowych, starając się, żebyśmy mieli jadło i napoje na postojach. Hetyci to lud zahartowany i nie bojący się ani zimna, ani gorąca, ponieważ mieszkają oni w nieurodzajnych górach i od dzieciństwa przywykają do trudów i wysiłków. Są też odważni w walce i nie narzekają na ból i niewygody, gardzą ludami zniewieściałymi i podbijają je, szanują natomiast ludy męzne i nieustraszone i szukają ich przyjaźni.

Podzieleni są na liczne szczepy, nad którymi panują księżęta mający nieograniczoną władzę, a nad księżętami tymi włada z kolei ich wielki król, który mieszka w położonej

w górach stolicy, Hattusas. Jest on ich naczelnym kapłanem i najwyższym wodzem, jako też najwyższym sędzią, tak że w nim skupia się wszelka władza, zarówno ludzka jak boska. I nie wiem, czy władza jakiegoś innego króla jest tak wielka jak jego, choć władzę królewską zawsze nazywa się nieograniczoną. W innych bowiem krajach, a także w Egipcie, kapłani i sędziowie rozstrzygają o postępkach króla w o wiele większym stopniu, niż się to przypuszcza.

Opowiem teraz, jakie jest to miasto wielkiego króla położone w górach, choć wiem, że nikt mi nie uwierzy, gdyby kiedyś ktoś miał czytać moje opowiadanie.

Gdy się podróżuje przez wypalone okolice przygraniczne, pozostające pod władzą oddziałów strażniczych, które zarabiają na żółd rabunkiem w krajach sąsiednich i stosownie do swego upodobania przesuwają kamienie graniczne, w czym nikt się im nie ośmieli przeszkodzić, nie można przeczuwać, jak bogate jest państwo Hetytów. Nie można się tego również domyślić patrząc na ich bezpłodne góry, które w lecie prężone są przez słońce, w zimie zaś pokryte zimnym puchem, jak mi o tym opowiadano, choć sam tego nie widziałem. Puch ten spada mianowicie z nieba na ziemię, pokrywa ją i gdy nadchodzi lato, topnieje zamieniając się w wodę. Tyle cudów widziałem w kraju Hetytów, że wierzę nawet w to, choć nie rozumiem, jak puch może topnieć i zmieniać się w wodę. Ale kilka górskich szczytów pokrytych tym białym puchem widziałem na własne oczy.

Na wypalanej równinie koło granicy syryjskiej leży hetycka twierdza graniczna Karkemisz, której mury zbudowane są z olbrzymich głazów i pokryte rytymi w kamieniu przeraźliwymi obrazami. Twierdza daje im siłę i w oparciu o nią pobierają Hetyci daniny od wszystkich karawan i kupców i gromadzą w ten sposób wielkie bogactwa, bo nakładane przez nich daniny są ciężkie, a Karkemisz leży na skrzyżowaniu wielu dróg karawanowych. Ten, kto o pierwszym brzasku widział tę twierdzę, wznoszącą się groźnie na szczycie góry, pośrodku wypalanej równiny, gdzie kruki obniżają lot, by szarpać bielejące czaszki i kości ludzkie, uwierzy w to, co opowiadam o Hetytach, i nie będzie wątpić w moje słowa. Karawanom i kupcom pozwalają oni przejeżdżać przez swój kraj wyznaczonymi drogami. Wsie położone przy tych drogach są biedne i szare i kupcy widzą tylko niewiele uprawnej ziemi, a gdy któryś z nich zboczy z drogi, którą wolno mu się posuwać, brany jest do niewoli, ograbiany z towarów i posyłany do niewolniczej pracy w kopalni.

Albowiem bogactwo Hetytów wywodzi się, jak przypuszczam, z kopalń, gdzie pracują więźniowie i niewolnicy i skąd oprócz złota i miedzi wydobywa się także nieznan metal, mieniający się szaro i niebiesko, który twardszy jest od wszystkich

innych metali i tak kosztowny, że w Babilonie używa się go na ozdoby. Hetyci jednak używają go do sporządzania broni. Ale w jaki sposób potrafią go kuć czy formować, tego nie wiem, bo w żadnym innym kraju nie umieją go kuć, a także nie topi się on w ciepłe, w którym topi się miedź. Wszystko to sam widziałem. Oprócz kopalń mają oni w górach żyzne doliny i jasne strumyki, i sady owocowe, które pokrywają całe górskie zbocza, a na wybrzeżach hodują nawet wino. Ale ich największym bogactwem, jak każdy może zobaczyć, są wielkie trzody bydła.

Gdy mowa o światowych metropoliach, wymienia się zawsze Teby i Babilon, a czasem dodaje się jeszcze Niniwę, której nie znam i gdzie nigdy nie byłem. Ale jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś wspomniał o Hattusas, stolicy Hetytów i siedzibie ich króla mającego jak orzeł gniazdo w górach, w samym środku swego łowieckiego obszaru. To wielkie miasto można jednak porównywać z Tebami i Babilonem i gdy wspomnę jego straszliwe budowle, wzniesione z ciosanego kamienia i wielkie jak góry, jego mury nie do zdobycia, silniejsze niż wszystkie mury, jakie w życiu widziałem, to zaliczam je do największych miast, jakie oglądałem, może dlatego, że czegoś podobnego nie spodziewałem się w Hatti zobaczyć. Tajemniczość otaczająca to miasto wynika stąd, że król Hetytów zamknął je dla cudzoziemców, tak iż przybywają tam tylko królewscy posłowie, by spotkać się z królem i złożyć mu dary, a nawet ich pilnuje się starannie przez cały czas pobytu w Hattusas. Toteż mieszkańcy tego miasta niechętnie wdają się w rozmowy z cudzoziemcami, choćby nawet znali ich język, a gdy ich o coś spytać, odpowiadają: „Nie rozumiem” albo „Nie wiem” i rozglądają się bojaźliwie dookoła w obawie, by ktoś ich nie zobaczył rozmawiających z obcymi. Nie są jednak nieprzyjaźni, lecz usposobieni życzliwie i lubią przyglądać się cudzoziemcom, zwłaszcza jeśli szaty ich są wspaniałe, i chodzić za nimi po ulicach miasta.

Lecz szaty hetyckich możnych i dostojników są równie wspaniałe jak szaty cudzoziemców i królewskich posłów, bo ubierają się oni w kolorowe stroje, ozdobione obrazkami haftowanymi złotem i srebrem, często przedstawiającymi szczyt muru i podwójny topór, znaki ich boga. Przy uroczystych okazjach noszą też często wizerunek uskrzydłonego słońca. Obuwają się w trzewiki z miękkiej farbowanej skóry, z długimi i zadartymi czubkami, a na głowach noszą wysokie stożkowate kapelusze. Szerokie rękawy zwisają im aż do stóp, a kunsztownie fałdowane spódniczki wloką się po ziemi. Od mieszkańców Syrii, Mitanni i Babilonu różnią się tym, że golą brody na sposób egipski, a niektórzy spośród możnych golą także głowy, zostawiając na ciemieniu kosmyk, który spletają w warkoczyk. Mają grube, mocne szczęki, a nosy ich są wydatne i zakrzywione jak u drapieżnych ptaków. Dygnitarze rządowi i bogacze w miastach są

otyli, a twarze mają tłuste, bo przywykli do życia dostatniego, tak samo jak bogacze w innych wielkich miastach.

Hetyci nie trzymają żołnierzy zaciężnych, jak inne cywilizowane ludy, lecz wszyscy są żołnierzami, a mężczyzn dzieli się na klasy stosownie do ich pozycji, którą mają w wojsku. Tak więc najznakomitszy jest ten, kto ma środki na utrzymanie wozu bojowego, a o randze nie decyduje pochodzenie, lecz zręczność w używaniu broni. Toteż corocznie wszyscy mężczyźni zbierają się na ćwiczenia bojowe pod kierownictwem swoich dowódców i książąt. Hattusas nie jest miastem handlowym, jak wszystkie inne wielkie miasta, lecz jest miastem pełnym kuźni i warsztatów, z których rozlega się ustawiczny dźwięk kucia, bo w warsztatach tych wykuwa się groty do oszczepów i strzały oraz sporządza koła i podwozia do wozów bojowych.

Wymiar sprawiedliwości u Hetytów jest odmienny niż u innych ludów, bo kary są u nich dziwne i śmieszne. Gdy jakiś książę spiskuje przeciw królowi i dąży do zdobycia królewskiej godności, nie zabijają go, lecz wysyłają do krajów pogranicznych, żeby wykazał się zdolnościami i odzyskał zaufanie. I niewiele jest przestępstw, których by nie można okupić grzywnami, bo mężczyzna może zabić mężczyznę nie płacąc za to głową i musi tylko darami wynagrodzić krewnym zabitego szkodę, jaką ponieśli. Także i zdrady małżeńskiej nie karzą, jeśli kobieta znajdzie mężczyznę, który zaspokaja jej żądze, lepiej niż własny mąż, wolno jej opuścić dom i pójść do tego drugiego mężczyzny, ten jednakże musi zapłacić za nią odszkodowanie. Małżeństwa bezdzietne rozwiązuje się publicznie, bo król żąda wielu dzieci od swoich poddanych. Gdy ktoś zabije drugiego na miejscu odludnym, nie potrzebuje płacić tyle samo co w wypadku, gdy zabójstwo nastąpiło w mieście na oczach ludzkich. Uważa się bowiem, że ten, kto sam udaje się na pustkowie, wystawia podstępnie drugiego na pokuszenie, by go zabił, żeby ćwiczyć się w sztuce zabijania. Dwie są tylko rzeczy, za które Hetyci skazują człowieka na śmierć, i z tych kar wynika najlepiej, jak nierozsądni są w rzeczach prawa. Albowiem pod karą śmierci nie wolno rodzeństwu wchodzić z sobą w związki małżeńskie, jako też nikomu nie wolno trudnić się bez pozwolenia czarami, a czarodzieje muszą wykazać swą umiejętność przed urzędnikami i od nich uzyskać pisemne pozwolenie na wykonywanie swego zawodu.

Gdy przybyłem do kraju Hatti, ich wielki król Suppiluliumas panował tam już od lat dwudziestu ośmiu i imię jego wywoływało taki postrach, że ludzie bili pokłony i podnosili ręce do góry, usłyszawszy je, i wydawali głośne okrzyki na jego cześć, bo zaprowadził porządek w kraju Hatti i podbił wiele ludów pod panowanie Hetytów. Mieszkał on w kamiennym pałacu w środku miasta, a o jego urodzeniu i bohaterskich

czynach opowiadano liczne baśnie, jak to zwykle się opowiada o wszystkich wielkich królach. Jego samego nie było mi jednak dane zobaczyć, a także posłowie Mitanni go nie oglądali, lecz musieli zostawić swoje dary w jego sali przyjęć, a żołnierze Suppiluliumasa śmiali się z nich i naigrywali.

Z początku wydawało się, że dla lekarza niewiele będzie do roboty w Hattusas, bo, jak się zorientowałem, Hetyci wstydzieli się choroby i ukrywali ją, dopóki mogli, dzieci zaś kalekie i słabe zabijano natychmiast po urodzeniu, jak również chorych niewolników. Dlatego też. O ile zdołałem to stwierdzić, lekarze ich nie mają większej biegłości, lecz są to ludzie ciemni, którzy nie umieją nawet czytać. Lecz rany i złamania leczyli zręcznie, a także przeciw panującym w górach chorobom mieli dobre lekarstwa, które szybko obniżały gorączkę. I tego nauczyłem się od nich. Gdy jednak ktoś dotknięty został ciężką chorobą, wtedy szukał raczej śmierci niż wyleczenia, bo każdy obawiał się zostać słabym lub kaleką do końca życia. Hetyci nie lękają się bowiem śmierci, jak wszystkie ludy cywilizowane, lecz gorzej od śmierci lękają się cielesnej niemocy.

Wszystkie wielkie miasta są jednak w końcu takie same, a bogacze i możni w każdym kraju też są w końcu jednakowi. Gdy zatem rozeszła się wieść o mnie, do gospody przyszło wielu Hetytów, by szukać pomocy, a ja rozpoznawałem ich choroby i umiałem je leczyć. Najchętniej jednak przychodzili w przebraniu i potajemnie, pod osłoną ciemności, żeby nie stracić twarzy. Dlatego też dawali mi bogate dary, tak że w końcu zarobiłem w Hattusas mnóstwo złota i srebra, choć zrazu sądziłem, że wyjadę stamtąd jak żebrak. Wielce przyczynił się do tego Kaptah, który, wierny swemu zwyczajowi, spędzał czas w piwiarniach, na bazarach i wszędzie, gdzie zbierali się ludzie, i wynosił pod niebiosą mnie i moją sztukę we wszystkich językach, które znał, tak że słudzy opowiadali o mnie swoim panom.

Obyczaje Hetytów były surowe i człowiek możny nie mógł pokazać się pijany na ulicy bez utraty poważania. Ale jak we wszystkich wielkich miastach, możni i bogacze pili wielkie ilości wina, i to nawet szkodliwych mieszanych win, a ja leczyłem wywołane winem dolegliwości i uwalniałem ich dłonie od drzenia, gdy mieli stawić się przed królem. Kilku zaś dopomogłem kąpielami i uspokajającymi lekami, gdyż sądzili, że ciało obgryzają im myszy. Kazałem też Minei tańczyć dla ich rozrywki, a oni podziwiali ją ogromnie i dawali jej cenne dary, nie żądając od niej nic, Hetyci byli bowiem szczerzy, gdy im się coś podobało. W taki sposób zdobyłem ich przyjaźń, tak że odważyłem się pytać ich o rozmaite rzeczy, których otwarcie nie śmiałem dochodzić. Najwięcej dowiedziałem się od królewskiego archiwariusza, który mówił i pisał wielu językami i który zajmował się królewską korespondencją zagraniczną i cieszył się

większą swobodą. Utrzymywałem go w mniemaniu, że zostałem wypędzony z Egiptu i nigdy już tam nie powrócę, że podróżuję po wszystkich krajach, żeby zbierać złoto i powiększać swoje wiadomości, a podróże moje nie mają nic innego na celu. Toteż ufał mi i odpowiadał na moje pytania, gdy tylko częstowałem go dobrym winem i kazałem Minei tańczyć dla niego. Tak więc zapytałem go:

– Dlaczego Hattusas jest zamknięte dla obcych i dlaczego karawany i kupców prowadzi się tylko po oznaczonych drogach, choć wasz kraj jest bogaty, a wasze miasto, jeśli chodzi o osobliwości, może współzawodniczyć z każdym innym? Czy nie byłoby lepiej, żeby inne ludy poznały waszą moc i mogły was sławić, tak jak na to zasługuje wasz kraj?

Skosztował wina i spojrzał pożądliwie na smukłe członki Minei, po czym rzekł:

– Nasz wielki król Suppiluliumas wstępując na tron powiedział: „Dajcie mi trzydzieści lat, a uczynię kraj Hatti najpotężniejszym mocarstwem, jakie ogląda świat”. Ten czas niedługo upłynie i sądzę, że świat dowie się niebawem o kraju Hatti więcej, niż chciałby wiedzieć.

– W Babilonie – wtrąciłem – widziałem sześćdziesiąt razy po sześćdziesiąt razy po sześćdziesięciu żołnierzy maszerujących przed królem, a krok ich, gdy biegli, był jak huk morza. Tutaj zaś widziałem może dziesięć razy po dziesięciu żołnierzy zebranych razem i zupełnie nie rozumiem, co wy robicie z tymi wszystkimi wozami bojowymi, które sporządza się w warsztatach tego miasta. Cóż bowiem można począć z wozami bojowymi w waszych górach? Przecież wozy bojowe są przeznaczone do walki na równinie?

Zaśmiał się i odparł:

– Bardzo jesteś ciekawy jak na lekarza, Egipcjaninie Sinuhe. Może jednak zarabiamy na nasz skromny chleb sprzedając wozy bojowe królom z krajów równinnych? – A gdy mówił te słowa, mrużył oczy i miał bardzo chytrą minę.

– Nie wierzę w to – odrzekłem śmiało. – Jeśli dobrze was znam, równie chętnie wilk pożyczylby zęby zającowi.

On zaś śmiał się i bił po udach, aż wino rozlało się z pucharu, i powiedział:

– Muszę to opowiedzieć królowi. Może jeszcze za twego życia zobaczysz wielkie polowanie na zające, bo prawo Hetytów jest inne niż prawo krajów równinnych. O ile wiem, w waszym kraju bogaci panują nad biednymi, u nas natomiast silni rządzą słabymi. I myślę, że świat pozna nową naukę, jeszcze zanim twoje włosy zdążą posiwieć, Sinuhe.

– Nowy faraon w Egipcie także wynalazł nowego boga – rzekłem udając naiwnego.

– Wiem o tym – powiedział – ponieważ czytam wszystkie listy mego króla. Bóg ten kocha wielce pokój i głosi, że między ludami nie ma sporów, których by nie dało się rozstrzygnąć w zgodzie. I nie mamy nic przeciwko temu bogu, przeciwnie, bardzo go lubimy, dopóki władza w Egipcie i na równinach. Wasz faraon przysłał naszemu wielkiemu królowi egipski krzyż, który nazywa znakiem życia. I z pewnością będzie on mógł jeszcze przez kilka lat zachować pokój, o ile będzie nam przysyłać dużo złota, żebyśmy zebrali więcej miedzi i żelaza oraz zboża i mogli założyć nowe warsztaty i sporządzać jeszcze cięższe niż dotychczas wozy bojowe. Bo na to potrzeba mnóstwo złota, a nasz król zgromadził w Hattusas wszystkich najrzęczniejszych kowali z całego kraju i płaci im sownie. Dlaczego jednak tak czyni, na to, jak sądzę, nawet mądrość lekarza nie potrafi udzielić odpowiedzi.

– Przyszłość, którą przepowiadasz, może cieszyć kruki i szakale – powiedziałem. – Mnie jednak ona nie cieszy i nie widzę w niej nic zabawnego. Oglądałem bowiem w waszych młynach więźniów z wylupionymi oczyma obracających młyńskie kamienie, a o waszych zbrodniach na pograniczu opowiadają w Mitanni rzeczy, których nie chcę powtarzać, żeby nie kaleczyć twoich uszu, bo to, co czynicie, nie przystoi ludziom kulturalnym.

– Co to jest kultura? – zapytał dolewając sobie wina do pucharu. – I my też umiemy czytać i pisać i gromadzimy numerowane gliniane tabliczki w naszym archiwum. To tylko z dobroci wylupiamy oczy naszym więźniom, którzy przez całe życie muszą kręcić młyńskie kamienie, bo praca ta jest ogromnie ciężka i wydawałaby się im jeszcze cięższa, gdyby widzieli niebo, ziemię i ptaki latające w powietrzu. Wzbudzałoby to w nich tylko złudne myśli i byliby zabijani przy próbach ucieczki. A gdy nasi żołnierze w okolicach nadgranicznych odcinają niektórym ręce, innym zaś zdzierają skórę z głowy i naciągają na oczy, to nie dzieje się to bynajmniej z okrucieństwa, sam bowiem widziałeś, że u siebie jesteśmy gościnni i przyjaźni, kochamy dzieci i małe zwierzęta i nie bijemy naszych żon. Celem tego jest wzbudzenie postrachu i lęku wśród wrogich ludów, aby te, gdy nadejdzie pora, poddały się nam bez walki i w ten sposób nie ściągnęły na siebie niepotrzebnie szkód i zagłady. Wcale bowiem nie lubujemy się w niszczeniu, lecz chcemy podbić te kraje i miasta możliwie najmniej spustoszone. Wróg, który się lęka, jest już w połowie pokonany.

– Czyż zatem wszystkie ludy są waszymi wrogami? – zapytałem złośliwie. Nie macie żadnych przyjaciół?

– Naszymi przyjaciółmi są wszystkie ludy, które podporządkują się naszemu panowaniu i płacą nam daniny – odparł pouczająco. – Pozwalamy im żyć według ich

własnych upodobań, nie naruszamy ich zwyczajów ani religii, jeśli tylko nas słuchają. Naszymi przyjaciółmi są na ogół wszystkie te ludy, które nie są naszymi sąsiadami, przynajmniej dopóty, dopóki nie staną się naszymi sąsiadami, wtedy bowiem odkrywamy u nich często wiele odpychających cech, które zakłócają zgodę sąsiedzką i zmuszają nas do wojny z nimi. Tak było dotychczas i być się, że tak będzie i dalej, o ile dobrze znam naszego wielkiego króla.

– A czy bogowie wasi nie mają nic do powiedzenia w tej sprawie? – spytałem. – W innych bowiem krajach bogowie często stanowią, co jest słuszne, a co niesłuszne.

– Co jest słuszne, a co niesłuszne? – zapytał mnie z kolei. – Słuszne jest dla nas to, czego my chcemy, niesłuszne zaś to, czego chcą kraje sąsiednie. To bardzo prosta nauka, która ułatwia ogromnie życie i politykę i moim zdaniem nie różni się wielce od religii z równin. O ile bowiem dobrze zrozumiałem, bogowie z równin uznają za słuszne to, czego chcą bogacze, za niesłuszne zaś to, czego chcą biedni. Jeśli jednak naprawdę chcesz coś wiedzieć o naszych bogach, to ci powiem, że jedynymi naszymi bogami są Matka Ziemia i Niebo i że święcimy ich święto co wiosny, gdy pierwszy deszcz z nieba zapładni ziemię, tak jak nasienie męzczyzny zapładnia kobietę. Na tych świętach folgujemy surowości naszych obyczajów, bo lud musi raz do roku się wyszaleć. Toteż w czasie tych uroczystości płodzi się dużo dzieci, a to dobrze, bo kraj rośnie w siłę od dzieci i wczesnych małżeństw. Lud ma naturalnie także mnóstwo innych bogów, jak to lud zawsze musi mieć, ale ty nie potrzebujesz brać ich w rachubę, bo nie mają oni żadnego znaczenia dla państwa. Nie zaprzeczysz zatem, że nasza religia posiada pewien rozmach, jeśli można to tak określić.

– Im więcej dowiaduję się o bogach, tym bardziej mam ich dość – odparłem przygnębiony.

Tego wieczoru powiedziałem do Minei:

– Dość już dowiedziałem się o kraju Hatti i znalazłem to, czego tu szukałem. Toteż gotów jestem wyjechać z tobą z tego kraju, jeśli bogowie na to pozwolą, bo śmierdzi tu trupem, mnie zaś dusi trupi odór. Naprawdę, dopóki tu jesteśmy, śmierć chodzi za mną jak cień i nie wątpię, że król ich kazałby mnie wbić na pal, gdyby pojął, czego się tu dowiedziałem. I dopóki przebywać będę w obrębie tego kraju, chorować będę na żołądek. A sądząc z tego, czego się dowiedziałem, wolałbym narodzić się na ten świat raczej jako kruk niż jako człowiek.

Z pomocą moich możnych pacjentów udało mi się dostać pozwolenie uprawniające nas do udania się oznaczoną drogą w kierunku wybrzeża, choć pacjenci wielce nad moim odjazdem ubolewali i wzywali mnie, żebym został w Hattusas, zapewniając, że w ciągu

paru lat się wzbogacę. Nikt jednak nie przeszkadzał mi w wyjeździe, ja zaś śmiałem się i obracałem wszystko w żart i opowiadałem im dowcipy, których lubili słuchać, tak że rozstaliśmy się w przyjaźni, a na odjeźdźnym otrzymałem bogate dary. Tak to pozostawiliśmy za sobą straszliwe mury Hattusas, za którymi czyhał przyszły porządek świata, i jechaliśmy na osiołkach obok huczących młyńskich kamieni, obracanych przez oślepionych niewolników, mijając trupy czarowników wbite na pal po obu stronach drogi, bo jako czarowników zabijano w Hattusas wszystkich tych, którzy głosili nauki nie uznane przez państwo, państwo zaś uznawało tylko jedną naukę. Pośpieszyłem w drodze, jak tylko się dało, tak że po dwudziestu dniach przybyliśmy do portu.

ROZDZIAŁ 4

Zatrzymaliśmy się w tym porcie przez jakiś czas, choć było to miasto zgiełkliwe, pełne zbrodni i występku. Bo gdy znaleźliśmy statek udający się na Krete, Minea orzekła:

– Jest za mały i łatwo może się rozbić na morzu, a ja nie mam ochoty jeszcze raz zostać rozbitek. – Kiedy zaś zobaczyliśmy większy statek, powiedziała: – To statek syryjski, a ja nie chcę podróżować syryjskim okrętem. – O trzecim zaś: – Kapitan ma złe oko i boję się, że sprzedaje podróżnych jako niewolników.

Zwlekaliśmy więc z opuszczeniem portowego miasta, a ja wcale tego nie żałowałem, bo miałem tam dość pracy z zaszywaniem ran, oczyszczaniem ich i otwieraniem zmiażdżonych czaszek. Także dowódca straży portowej zwrócił się do mnie o radę, bo cierpiał na portową chorobę i nie mógł zbliżyć się do dziewcząt, gdyż sprawiało mu to wielki ból. Ja jednak znałem tę chorobę z Simiry i potrafiłem go wyleczyć za pomocą leków, których używali simirscy lekarze, a wdzięczność jego była bez granic, bo znów bez dolegliwości mógł kosztować rozkoszy z dziewczętami z portu. Należało to do przywilejów jego stanowiska, każda bowiem dziewczyna, która chciała wykonywać w porcie swój proceder, musiała bez odpłaty zabawiać się z nim i jego pisarzami. Toteż bardzo był niezadowolony, gdy nie mógł korzystać z tego przywileju.

Gdy go wyleczyłem, powiedział do mnie:

– Jaki dar mam ci ofiarować, Sinuhe, w podzięce za twoją wielką biegłość? Czy mam ci dać w złocie wagę tego, co uleczyłeś?

Na co odparłem:

– Nie chcę twego złota. Daj mi nóż, który nosisz przy pasku, a będę ci wdzięczny i zostanie mi po tobie trwała pamiątka.

On jednak sprzeciwił się temu mówiąc:

– Ten nóż jest całkiem pospolity, ostrze ma niczym nie ozdobione, a rękojeść jego

nie jest wykładana srebrem. – Ale mówił tak dlatego, że nóż zrobiony był z nowego metalu Hetytów i noży takich nie wolno było dawać ani sprzedawać cudzoziemcom, tak że w Hattusas nie udało mi się kupić takiej broni, bo nie chciałem zbyt nastawać, żeby nie wzbudzić podejrzeń. W Mitanni noże takie widywało się tylko u najmożniejszych i cena ich równała się dziesięciokrotnej wadze noża, jeśli płatna była w złocie, a czternastokrotnej, jeśli w srebrze, a właściciele nie chcieli ich sprzedawać, bo niewiele było takich noży w znanym ich świecie. Hetyci jednak nie znali wartości tych noży, ponieważ nie wolno było sprzedawać ich cudzoziemcom.

Ale dowódca straży portowej wiedział, że niedługo opuszczę kraj, przyszło mu więc na myśl, że może zużyć swoje złoto lepiej niż dary dla lekarza. Toteż dał mi w końcu ten nóż, który był tak ostry, że bez trudu rozcinał włos z brody, łatwiej niż najlepszy nóż krzemienisty, a ostrzem jego można było szcerbić miedź bez najmniejszej dla niego szkody. Cieszyłem się z niego ogromnie, postanowiłem go posrebrzyć i oprawić w rękojeść ze złota, jak to robili moi w Mitanni, gdy udało im się dostać taki nóż. A i dowódca portowej straży był zadowolony i zostaliśmy przyjaciółmi, bo wyleczyłem go na trwałe z jego dolegliwości. Prosiłem go jednak, żeby przepędził z portu dziewczynę, od której nabawił się choroby zaznając z nią rozkoszy, on zaś odparł, że już ją kazał wbić na pal, bo taka choroba całkiem wyraźnie spowodowana jest czarami.

W mieście tym było też pole, na którym trzymano dzikie byki, jak to wówczas często zdarzało się w miastach portowych, i młodzież ćwiczyła się tam w gibkości i odwadze, walcząc z bykami, wbijając im w karki dzidy i skacząc przez nie. Minea ogromnie była zachwycona widokiem tych byków i chciała popробować swej zręczności. W ten sposób po raz pierwszy zobaczyłem ją tańczącą przed dzikimi bykami i nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego, a serce zamierało mi ze strachu, gdy patrzyłem na nią. Albowiem dziki byk to najstraszniejsze z wszystkich dzikich zwierząt, okropniejszy nawet od słońca, który ma usposobienie pokojowe, gdy się go nie drażni. Rogi byka są długie i ostre jak szydła i rozpruwa nim człowieka z łatwością, wyrzuca go wysoko w powietrze i tratuje kopytami.

Minea tańczyła przed bykami odziana tylko w leciutką suknię i bez trudu im się wymykała, gdy zginały karki i rycząc rzucały się na nią. Rozgrzana tańcem cała płonąła zapalaniem i nawet srebrną siateczkę na włosy odrzuciła, tak że włosy jej rozwiewały się na wietrze. A taniec jej był tak szybki, że oko nie mogło nadążyć za wszystkimi ruchami, gdy przeskakiwała między rogami atakujących byków i łapiąc je za rogi, odbijała się stopami o ich czoła, i wyrzucała się w powietrze, by wywinąwszy kozła spaść znowu stopami na kark byka. Przyglądałem się jej sztuce i świadomość tego, że na nią patrzę,

podniecała ją tak, że dokazywała rzeczy, o których nigdy nie przypuszczałbym, że człowiek może ich dokonać, gdybym sam ich nie widział. Toteż patrzyłem na nią obłany zimnym potem i nie mogłem spokojnie usiedzieć na trybunie dla widzów, choć siedzący za mną kłęli mnie i szarpali za naramiennik.

Gdy wróciła z pola, witano ją uroczyście i włożono jej na głowę i na szyję wieńce kwiatów, młodzież zaś podarowała jej osobliwą czarę, na której czerwienią i czernią namalowane były byki. I wszyscy mówili: – Czegoś takiego nigdyśmy jeszcze nie widzieli! – Kapitanowie zaś, którzy bywali na Krecie, orzekli wydmuchując przez nozdrza opary wina: – Tancerki, która by tak tańczyła przed bykami, nie masz nawet na Krecie. – Ona zaś podeszła i oparła się o mnie, a jej cienka tunika mokra była od potu. Oparła się o mnie całym swoim smukłym, sprężystym ciałem i każdy mięsień drżał ze zmęczenia i dumy, ja zaś powiedziałem do niej:

– Nigdy nie widziałem kogoś, kto tańczyłby tak jak ty. – Ale serce moje było ciężkie od smutku, bo gdy zobaczyłem ją tańczącą przed bykami, uświadomiłem sobie, że kult, któremu służy, rozłącza nas jak złe czary.

Wkrótce potem zawinął do portu statek z Krety, który nie był ani za duży, ani za mały, a jego kapitan nie miał złego oka i mówił jej własnym językiem. Powiedziała więc:

– Ten statek zawiezie mnie bezpiecznie do ojczyzny i do mego boga. Tak więc teraz z pewnością mnie zostawisz z radością w sercu, że się mnie pozbywasz, bo wiele ci sprawiłam przykrości i szkody.

Ja jednak rzekłem:

– Wiesz doskonale, Mineo, że pojedę z tobą na Kretę.

Spojrzała na mnie i oczy jej były jak morze w blasku księżyca, wargi miała umalowane, a brwi jej czerniły się wąskimi kreskami.

– Nie rozumiem, po co chcesz jechać ze mną, Sinuhe – powiedziała. – Przecież statek zawiezie mnie bezpiecznie prosto do mojej ojczyzny i nic złego nie może mi się przydarzyć.

Ja zaś odparłem:

– Rozumiesz to na pewno tak samo dobrze, jak ja, Mineo!

Wtedy wsunęła swoje długie, silne palce w moją dłoń i westchnąwszy powiedziała:

– Wiele przeżyłam z tobą, Sinuhe, i oglądałam najrozmaitsze ludy, tak że ojczyzna zamglona jest w mojej pamięci i stała się tylko pięknym snem, i nie tęsknię już do mego boga tak jak dawniej. Toteż odwlekałam podróż dla błahych przyczyn, dobrze o tym wiesz, kiedy jednak zatańczyłam przed bykami, zrozumiałam znowu, że muszę umrzeć,

gdybyś mnie dotknął.

A ja odparłem:

– Tak, tak, tak. Tak wiele razy już o tym mówiliśmy nadaremnie i nie zamierzam ciebie dotknąć, bo cała ta sprawa chyba niewarta, żebyś dla tego obraziła swego boga. Byle jaka niewolnica może mi dać to, czego ty mi odmawiasz, bo, jak mówi Kaptah, nie ma w tych rzeczach żadnej różnicy.

Wtedy posypały się iskry z jej zielonych oczu jak z oczu kota w ciemnościach, wpiła mi paznokcie w dłoń i syknęła:

– Idź prędko do swojej niewolnicy, bo wstręt mnie ogarnia na twój widok. Biegnij prosto do brudnych portowych dziewczek, skoro tak tego pragniesz, wiedz jednak, że potem nie zechcę ciebie znać i może wytoczę ci krew z żył twoim własnym nożem. Skoro ja się obywam bez czegoś, i ty możesz obejść się bez tego.

Uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem:

– Żaden bóg mi tego nie zakazał.

A ona na to:

– Ja ci zakazuję i spróbuj przyjść do mnie potem, gdybyś to zrobił!

Rzekłem więc:

– Bądź spokojna, Mineo, do cna sprzykrzyły mi się te rzeczy i nie ma nic bardziej nudnego jak zażywanie rozkoszy z kobietą, tak że raz tego spróbowawszy nie odczuwam żadnej ochoty, by odnowić to doświadczenie.

Ona jednak rozżłościła się na nowo i rzekła:

– Twoje słowa głęboko ranią kobietę we mnie i jestem pewna, że nie sprzykrzyłabym ci się, gdyby do tego doszło.

Tak więc nie umiałem powiedzieć nic, co by jej przypadło do smaku, mimo że bardzo się starałem. W nocy nie położyła się koło mnie jak przedtem, lecz wzięła swoją matę, poszła do drugiej izby i przykryła się z głową, żeby spać.

Wtedy zawołałem na nią:

– Mineo, dlaczego nie grzejesz mego boku jak dawniej? Jesteś ode mnie młodsza, a noce są chłodne i trzęsę się z zimna na mojej macie.

Ona zaś rzekła:

– To nieprawda. Jest mi tak gorąco, jakbym była chora, i nie mogę wprost oddychać w tym dusznym powietrzu. Toteż wolę spać sama, a jeżeli marzniesz, zażądaj, żeby ci przynieśli do izby miskę żaru, lub weź sobie kota, by z nim spać, i nie przeszkadzaj mi już.

Poszedłem do niej i dotknąłem jej, a ciało jej było istotnie gorące i drżała pod

przykryciem, tak że powiedziałem:

– Może jesteś chora. Pozwól mi się uleczyć.

Ona jednak skopłała z siebie przykrycie, odtrąciła mnie i powiedziała z gniewem:

– Zabieraj się stąd! Nie wątpię, że mój bóg uleczy moją chorobę. – Ale po chwili odezwała się: – Daj mi jakiegoś leku, Sinuhe, bo inaczej pęknie mi serce i będę płakać.

Dałem jej więc uspokajający środek i w końcu usnęła, ja zaś czuwałem, dopóki portowe psy nie zaczęły ujadać w bladym jak śmierć świetle poranka.

A potem przyszedł dzień naszego wyjazdu i powiedziałem do Kaptaha:

– Zbierz nasze rzeczy, bo wsiadamy na statek, by udać się na morze, na wyspę Keftiu, do ojczyzny Minei.

On zaś odrzekł:

– Przeczuwałem to i dlatego nie drę szat, bo trzeba by je zszywać na nowo. Nie warto też posypywać głowy popiołem dla takiego oszusta jak ty, bo czyś mi nie przysiągł, gdy wyjeżdżaliśmy z Mitanni, że nie będziemy musieli podróżować morzem! Przeczuwałem to, gdy widziałem, jak snujesz się po porcie niby złodziej, i gdy słyszałem, jak szepczesz po kryjomu z tą przekłętą Mineą, która w końcu doprowadzi nas do ostatecznej zagłady, co zresztą przeczuwałem już wtedy, gdy pierwszy raz ją zobaczyłem i gdy mi rozkrwawiła nos pantoflem, choć chciałem tylko jej dobra. Zahartowałem się jednak na duchu i nie mówię nic, a nawet nie płaczę już, żeby nie zepsuć jedyne go oka, które mi zostało. Dość się już bowiem napłakałem z twego powodu w rozmaitych krajach, do których zaprowadziło nas twoje przeklęte szaleństwo. Oświadczam ci tylko, żebyś wiedział to zawczasu, że jest to moja ostatnia podróż, bo tak mi mówi mój żołądek. Ale nawet już nie robię ci wyrzutów, ponieważ sam twój widok i odór leków są mi głęboko wstrętne. Pozbierałem nasze rzeczy i jestem gotów do odjazdu, bo bez skarabeusza nie możesz wyruszać statkiem na morze, ja zaś bez skarabeusza nie potrafię dostać się żywy do Simiry drogą lądową, pójdę więc za skarabeuszem i umrę na statku lub utoną z tobą w morzu. I nie mam nawet żadnej innej pociechy jak świadomość, że już z góry wypisałeś mi to wszystko kijem na tyłku, gdyś mnie kupił na targowisku niewolników w Tebach.

Zdumiewałem się ogromnie ustepliwości Kaptaha, dopóki się nie dowiedziałem, że rozpytywał on żeglarzy w porcie o rozmaite środki na morską chorobę i że za wysoką cenę kupił od nich magiczne talizmany. Przed odjazdem powiesił je sobie na szyi, ścisnął mocno brzuch pasem i napił się upajającego wywaru z ziół, tak że gdy wstąpił na pokład okrętu, oczy wyłaziły mu z głowy jak ugotowanej rybie. Bełkotliwym głosem zażądał tłustej wieprzowiny, bo żeglarze kleli się, że to jest najlepszy środek

na morską chorobę. A potem położył się na swojej koi i zasnął ze świńską łopatką w jednej ręce, drugą ściskając mocno skarabeusza. Dowódca straży portowej odebrał naszą glinianą tabliczkę i pożegnał się ze mną, po czym wiosłarze wysunęli i zanurzyli wiosła i wyprowadzili statek z portu.

Tak to zaczęła się nasza podróż na Kretę. Wyszedszy z portu, kapitan złożył w swej kajucie ofiary bogu morza i innym tajemnym bogom i kazał podnieść żagle. Statek zaczął się przewalać z boku na bok i krajać wodę, a mnie żołądek podszedł do gardła, bo morze roztaczało się przed nam bezkresnie i nigdzie nie było widać brzegu.

KSIEGA ÓSMA CIEMNY DOM

ROZDZIAŁ I

Morze falowało bezkresnie przed nami i wokół nas i nigdzie nie było widać brzegu, ja jednak nie lękałem się, bo Minea była ze mną. Ona zaś odetchnąwszy morskim powietrzem przysła do siebie i w oczach jej znowu pojawił się blask księżyca, gdy stojąc przy rzeźbie zdobiącej dziób statku wychylała się i wciągała głęboko powietrze, jak gdyby własną swą siłą chcąc przyspieszyć ruch okrętu. Niebo nad nami było błękitne, słońce świeciło, a łagodny wiatr napinał żagle równo i wiódł nas we właściwym kierunku. Tak przynajmniej mówił kapitan, a ja nie miałem żadnych powodów, by wątpić w jego słowa. Przywyknąwszy do ruchu statku, nie odczuwałem morskiej choroby. Lęk przed nieznanym ścisnął mi jednak serce, gdy ostatnie morskie ptaki, które krążyły koło nas, unosząc się na białych skrzydłach, drugiego dnia podróży porzuciły statek i odleciały. Zamiast nich zaczął nam towarzyszyć zaprzęg boga morza, delfiny pokazujące białe grzbiety przy wynurzaniu się z wody. Minea wołała do nich wielkim głosem i pozdrawiała je w swej własnej mowie, bo przynosiły jej pozdrowienia od jej boga.

Morze nie było puste, spotkaliśmy na nim kretański okręt wojenny, którego boki lśniły od miedzianych tarcz i który powitał nas proporczykami, gdy załoga spostrzegła,

że statek nasz nie jest okrętem pirackim. Kaptah podniósł się z koi, a stwierdziwszy, że może chodzić, wielce się chełpił przed żeglarzami swoimi podróżami po rozmaitych krajach. A gdy zauważył, że już nie cierpi na chorobę morską, opowiedział o podróży z Egiptu do Simiry i o burzy, która zrywała żagle z masztów, tak że wszyscy leżeli jęcząc na pokładzie i wymiotowali w kierunku wiatru, tylko kapitan i on, Kaptah, jedyni na pokładzie zdolni byli do przełknięcia jedzenia. Opowiadał też o straszliwych morskich potworach strzegących delty Nilu, które połykały całe łodzie rybackie, gdy te ośmieliły się zapuścić zbyt daleko na pełne morze. Oni zaś odpłacali mu tą samą miarką i opowiadali o słupach dźwigających niebo po drugiej stronie morza, o syrenach, kobietach z rybimi ogonami, które czyhają na marynarzy, aby ich oczarować i kusić do zażywania z nimi rozkoszy, oraz o morskich potworach. Historie, od których włosy jeżyły się na głowie Kaptaha, tak że uciekł do mnie szary ze strachu i trzymał mnie mocno za brzeg naramiennika. A świńską łopatkę wyrzucił do morza, bo nie mógł jej zjeść.

Minea robiła się z dnia na dzień bardziej ożywiona. Włosy jej rozwiewały się na wietrze, a oczy lśniły jak blask księżycy na morzu. Była tak gibka i piękna, że serce topniało mi w piersi, gdy na nią patrzyłem i myślałem, że niedługo ją utracę. Powrót do Simiry i Egiptu bez niej wydawał mi się niedorzecznością, gdyż przywykłem do niej i czułem w ustach smak popiołu, gdy myślałem, że przyjdzie czas, kiedy nie będę jej już oglądać i nie będzie kłaść swoich dłoni w moje, i układać się na spoczynek przy moim boku. Dowiedziawszy się, że tańczyła przed bykami i wyciągnęła los, dający jej prawo wejścia do domu boga w czasie pełni, w czym przeszkodziło jej rozbicie statku, kapitan i załoga otaczali ją wielkim szacunkiem. Ale gdy ich próbowałem wypytać o ich boga, nie odpowiadali mi, mówili tylko: – Nie wiemy. – Inni zaś powiadali: – Nie znamy twego języka, cudzoziemcze! – Tylko jednego się dowiedziałem, a mianowicie, że kreteński bóg rządził na morzu i że z wysp na morzu posyłano młodzieńców i dziewczęta, by tańczyli przed bykami.

Aż nadszedł dzień, gdy Kreta wynurzyła się przed nami z morza jak niebieskawa chmurka, załoga podniosła okrzyk radości, kapitan zaś złożył ofiary bogu morza, który dał nam pomyślny wiatr i dobrą pogodę. Góry i strome wybrzeża Kreta, pokryte oliwkami, rozpościerały się przed moimi oczyma i patrzyłem na nie jak na obcy kraj, o którym nic nie wiedziałem, choć miałem pogrzebać w nim swoje serce. Natomiast Minea patrzyła na wyspę jak na swoją ojczyznę i płakała z radości na widok górskich pustkowi i łagodnej zieloności ziemi w objęciach morza. Spuściliśmy żagle, wioślarze wysunęli wiosła, wprowadzili statek do przystani i zatrzymali obok stojących na kotwicy innych

statków, wśród których widać było okręty z wszystkich krajów, a także okręty wojenne. W porcie Kreta stało bowiem tysiąc statków, i gdy Kaptah to zobaczył, wykrzyknął, że gdyby ktoś mu to mówił, nie uwierzyłby, iż na świecie jest aż tyle okrętów. W porcie tym nie było żadnych wież, murów ani umocnień, a miasto zaczynało się w dole, tuż przy porcie. Tak całkowicie panowała Kreta na morzu i tak silny był kreteński bóg.

ROZDZIAŁ 2

Opowiem teraz o Krecie, ale nie będę opowiadał, co myślę o niej i jej bogu. Zamknę swoje serce, by o tym nie mówić, i opowiem tylko to, com widział na własne oczy. Muszę powiedzieć, że czegoś tak pięknego i osobliwego jak Kreta, nie widziałem nigdzie na świecie, choć zwiedziłem wszystkie znane kraje. Tak jak morze pędzi ku lądowi błyskotliwą pianę, a banieczki jej lśnią wszystkimi kolorami tęczy, i tak jak muszelki małży błyszczą perłową macicą, tak lśniła i błyszczała Kreta. Radość życia i uciecha nigdzie nie są tak bezpośrednie, a ludzie tak kapryśni jak na Krecie. Nikt nie godzi się tam, by robić coś innego niż to, co mu się w danej chwili podoba, tak że trudno z nimi wymieniać przyrzeczenia i zawierać układy, ponieważ co chwila decydują się na coś innego. Mowa ich także brzmi pięknie i przyjemnie nawet wtedy, gdy to, co mówią, nie jest prawdą, ponieważ sam dźwięk słów ich upaja. W kraju tym nie znają śmierci i nie zdaje mi się, by nawet mieli słowo na oznaczenie śmierci, bo takie wydarzenia jak śmierć skrzętnie kryją. Gdy ktoś umrze, zabierają zwłoki po kryjomu, żeby inni nie ulegli przygnębieniu. Zdaje mi się nawet, że palą zwłoki swoich umarłych, choć nie wiem tego na pewno, bo przez cały czas mego pobytu na Krecie nie widziałem ani jednego wypadku śmierci ani też żadnych grobów, prócz zbudowanych z wielkich głazów w zamierzchłych czasach dawnych grobów królewskich, które Kreteńczycy obchodzą okrężnymi drogami nie chcąc myśleć o śmierci, jak gdyby w ten sposób mogli jej uniknąć.

Także sztuka ich jest dziwna i kapryśna i każdy malarz maluje, jak mu się podoba, nie troszcząc się o żadne reguły, z zamiłowaniem jedynie do tego, co w jego własnych oczach jest piękne. Malowane przez nich dzbany i czarki pałają płomiennymi kolorami, a na ich ściankach zdają się pływać jak żywe przedziwne zwierzęta i ryby morskie, kwitną kwiaty i trzepoczą w powietrzu motyle, tak że człowiek przywykły do sztuki rządzącej się pewnymi regułami popada w niepokój i zdaje mu się, że śni, gdy patrzy na tę sztukę.

Budowle ich nie są wielkie i potężne jak świątynie i pałace w innych krajach, lecz przy budowie dążą oni do wygody i luksusu, nie dbając o zewnętrzny wygląd swoich budynków. Lubują się w czystości. Okienne kraty wpuszczają u nich powietrze do

wnętrza izb, a w domach są liczne łazienki, gdzie za przekręceniem kranu w lśniące wanny spływa ze srebrnych rur zimna i gorąca woda. Także w ustępach płynie z szumem woda, splukując muszle do czysta. Nigdzie nie widziałem takiego luksusu jak w domach na Krecie, i to nie tylko w domach bogaczy i możnych, ale u wszystkich, którzy nie mieszkają w porcie, gdzie gnieźdzą się cudzoziemcy i robotnicy portowi.

Kobiety ich trwonią bez końca czas na mycie się i usuwanie zbędnych włosów ze swej skóry oraz na pielęgnowanie, upiększanie i malowanie twarzy, tak że gdy zaczynają się stroić, nigdy nie zdążą na czas i spóźniają się na ucztę. Nawet na przyjęcia u swego króla przychodzą, kiedy chcą, i nikt się z tego powodu nie gorszy. Najdziwniejsze są jednak ich szaty, kobiety bowiem odziewają się w obcisłe suknie tkane ze złota i srebra, kryjące ich ciała z wyjątkiem ramion i piersi, które pozostawiają nagie, gdyż szczyca się pięknymi piersiami. A swoje szerokie, fałdowane spódniczki zdobią tysiącnymi haftami i każą artystom malować je w ozdobne figury. Mają też suknie zrobione z setek złotych płytek w kształcie mątw, motyli i palmowych liści, spomiędzy których prześwieca ich skóra. A włosy każą sobie układać w kunsztowne wysokie fryzury i zużywają na to całe dni, te fryzury zdobią małąkami, lekkimi kapelusikami, które umocowują na włosach złotymi szpilkami, tak że chwieją się one nad ich głowami jak motyle gotowe do lotu. Ciała tych kobiet są smukłe i gibkie, a ich biodra wąskie jak u chłopców, tak że trudno im rodzić i, jak mogą, unikają macierzyństwa. Nie uważają za hańbę, gdy nie mają wcale dzieci lub mają jedno czy dwoje.

Mężczyźni noszą ozdobne buty sięgające aż do kolan, ale ich fartuszki są skromne i opasują się nimi obcisłe, bo dumni są ze swych wąskich talii i szerokich barków. Głowy mają niewielkie i piękne, a członki i przeguby wątte; podobnie jak kobiety nie noszą żadnego owłosienia na ciele. Tylko niewielu z nich mówi obcymi językami, bo czują się świetnie u siebie i wcale nie tęsknią do obcych krajów, gdzie nie ma takiej wygody i uciechy jak w ich ojczyźnie. Jakkolwiek całe swoje bogactwo uzyskują z żeglugi i handlu, spotkałem wśród nich takich, którzy wzbraniali się przyjść do portu z powodu panującego tam odoru, i takich, którzy nie umieli dać sobie rady z najprostszyimi obliczeniami i we wszystkim spuszczaali się na swoich administratorów. Toteż zdolni cudzoziemcy szybko wzbogacają się na Krecie, jeśli zadowalają się mieszkaniem w porcie.

Kreteńcy mają też instrumenty do gry, które grają same, bez muzykantów. Utrzymują oni, że umieją zapisywać muzykę tak, że czytając to pismo można odegrać daną melodię, choćby się jej nigdy przedtem nie słyszało. Także Babilońcy twierdzili, że to umieją, i nie chcą zadawać kłamu ani im, ani Kreteńczykom, ponieważ sam nie

znam się wcale na muzyce, a w dodatku instrumenty różnych krajów robią mi mętlik w głowie. Ze względu jednak na to wszystko rozumiem teraz, dlaczego na świecie zwykło się mawiać: „Łże jak Kreteńczyk”.

Nie widać u nich także żadnych świątyń i nie troszczą się zbyt o bogów, lecz zadawalają się służeniem swoim bykom. Robią to jednak tak gorliwie, że nierzadko nie mijają nawet jeden dzień, żeby się ich nie widziało na arenach. Nie wierzę jednak, by działo się to z szacunku dla bogów, raczej z powodu emocji i rozrywki, jaką taniec przed bykami daje widzom.

Nie mogę też powiedzieć, by żywili specjalny szacunek dla swego króla, jest on bowiem im równy, choć mieszka w o wiele większym pałacu niż jego poddani. Obchodzą się oni z królem swobodnie, żartują z nim i opowiadają mu dowcipy, przychodzą na jego przyjęcia, kiedy zechcą, oraz wychodzą, kiedy im się spodoba, gdy się nudzą lub gdy zapragną jakiejś innej rozrywki. Wino piją umiarkowanie, dla rozweselenia, a obyczajnie są bardzo swobodni, lecz nigdy nie upijają się do nieprzytomności, ponieważ uważają to za barbarzyństwo. Toteż nigdy nie widziałem, żeby na ucztach wymiotowali z nieumiarkowania w picciu, jak to się często zdarza w Egipcie i w innych krajach. Natomiast roznamiętniają się łatwo do siebie nawzajem, nie bacząc, czyim kto jest mężem czy żoną, i zażywają z sobą rozkoszy, jak i kiedy im tylko przyjdzie na to ochota. Młodzieńcy tańczący przed bykami są w łaskach u kobiet, tak że wielu możnych ćwiczy się w tańcu przed bykami, choć nie są poświęceni bogu, a robią to dla swej przyjemności, osiągając w tym często biegłość równie wielką jak młodzieńcy poświęceni bogu. Tym ostatnim nie wolno mieć do czynienia z kobietami, podobnie jak wyświęconym dziewczętom nie wolno mieć do czynienia z mężczyznami. Nie mogę jednak pojąć, z czego się to wywodzi, sądząc bowiem z ich obyczajów nie można by oczekiwać, że tak wielką przywiązują do tego wagę.

Wszystko to opowiadam, aby wykazać, że niejednokrotnie bardzo się zdumiewałem, nim się oswoiłem z obyczajami na Krecie, o ile w ogóle kiedykolwiek się z nimi oswoiłem. Kreteńczycy uważają bowiem za punkt honoru ciągle wymyślać coś nowego i zaskakującego, tak że nigdy z góry nie wiadomo, co może się zdarzyć za chwilę. Ale wracam do opowiadania o Minei, choć robi mi się przy tym ciężko na sercu.

Po przybyciu do portu stanęliśmy w gospodzie dla cudzoziemców, najbardziej luksusowej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem, mimo że nie była specjalnie duża, tak że Dom Uciechy Isztar w Babilonie z całym swym zakurczonym przepychem i naiwnymi głupimi niewolnikami wydawał się w porównaniu z tym barbarzyński. Umyliśmy się tam i przyodziali, a Minea kazała ułożyć sobie włosy i kupiła nowe szaty,

by móc się pokazać swoim przyjaciołom. Zdumiałem się, gdy ją zobaczyłem ubraną, bo na głowie miała maleńki kapelusik, który wyglądał jak lampa, a na stopach buciki na wysokich obcasach, na których trudno było chodzić. Ale nie chciałem jej zrobić przykrości jakimiś uwagami na temat szat, więc tylko dałem jej kolczyki i naszyjnik z różnokolorowych kamieni, o których sprzedawca mówił, że są modne na Krecie dzisiaj, bo o jutrzejszym dniu nie umiał nic powiedzieć. Patrzyłem też ze zdziwieniem na jej sterczące ze srebrnej, otaczającej tors pochwy obnażone piersi, których czubeczki pomalowała na czerwono. A ona unikała mego spojrzenia mówiąc zadziornie, że nie potrzebuje się wstydzić swoich piersi i może pod tym względem współzawodniczyć z każdą inną kobietą na Krecie. Przyjrzawszy się bliżej, nie przeczyłem, bo mogła mieć zupełną słusność.

Następnie kazaliśmy się zanieść do miasta, które ze swymi lekkimi domkami i ogrodami stanowiło jakby inny świat po portowym ścisku i tłoku, odorze ryb i zgiełku przekupniów. Minea zaprowadziła mnie do wytwornego starszego pana, który był jej szczególnym opiekunem i przyjacielem i który stawiał na nią w zakładach dokonywanych na arenie, tak że Minea mieszkała w jego domu i uważała go za swój własny. Gdy przyszedliśmy, sprawdzał on właśnie w najlepsze listy byków, robiąc notatki co do zakładów na dzień jutrzejszy. Na widok Minei zapomniał o swych zapiskach i wielce się ucieszył, czule ją uściaskał i powiedział:

– A gdzież ty się podziewała? Tak dawno cię nie widziałem, że już myślałem, iż to na ciebie wypadła kolej pójścia do domu boga. Ale nie wybrałem sobie jeszcze żadnej innej pupilki i twoja kwatery czeka na ciebie jak dawniej, jeśli śludzy nie zapomnieli się o nią zatroszczyć. Chyba że moja żona kazała ją zburzyć i zrobić na tym miejscu sadzawkę, gdyż ostatnio zaczęła hodować rybki i nie potrafi myśleć o niczym innym.

– Helea zaczęła hodować rybki w sadzawkach? – spytała Minea zdziwiona.

– To już nie Helea – odparł starzec z pewnym zakłopotaniem. – Mam nową żonę. Właśnie przyjmuje u siebie jakiegoś jeszcze nie wyświęconego chłopca z areny byków i razem oglądają rybki, toteż nie przypuszczam, żeby była rada, gdybyśmy im przeszkadzali. Ale przedstaw mi swojego przyjaciela, aby został on także i moim przyjacielem i aby ten dom stał się także i jego domem.

– Mój przyjaciel jest Egipcjaninem. Nazywa się Sinuhe, Ten, Który Jest Samotny, i z zawodu jest lekarzem – powiedziała Minea.

– Zobaczymy, jak długo będzie on samotny tutaj – zażartował stary pan. – Ale chyba nie jesteś chora, Mineo, choć masz przy sobie lekarza. Nie bardzo by mi się to podobało, bo mam nadzieję, że jutro zatańczysz przed bykami i przyniesiesz mi szczęście. Mój

administrator z portu skarży się, że moje dochody nie pokrywają już wydatków, czy też na odwrót. Nie wiem, jak to właściwie jest, bo i tak nie znam się na jego zawyżonych rachunkach, które ustawicznie mi podsuwa, co mi się już uprzykrzyło.

– Naturalnie, że nie jestem chora – odparła Minea. – Przyjaciel mój uratował mnie z wielu niebezpieczeństw i podróżowaliśmy przez wiele krajów, żebym mogła wrócić do ojczyzny. Mój statek rozbił się, gdy byliśmy w drodze do Syrii, gdzie miałam tańczyć przed bykami.

– Ach tak? Naprawdę? – powiedział starzec z niepokojem. – Mam jednak nadzieję, że mimo tej przyjaźni uchowałeś się nietknięta, bo inaczej zostałabyś wyłączona z zawodów i, jak sama wiesz, spotkałoby cię jeszcze wiele innych nieprzyjemności. Doprawdy bardzo mnie to martwi, bo widzę, że piersi ci urosły i rozwinęły się w sposób podejrzany, a twoje oczy nabrały wilgotnego blasku. Mineo, Mineo, chyba nie uległeś zepsuciu?

– Nie! – zaprzeczyła rozgniewana Minea. – I kiedy powiadam „nie”, możesz na mnie polegać. I nikt nie potrzebuje sprawdzać moich słów, jak to robiono na targowisku niewolników w Babilonie. Zdajesz się nie rozumieć, że tylko dzięki memu przyjacielowi wyszłam cało z wszystkich niebezpieczeństw i wróciłam do ojczyzny. Sądziłam, że dawni przyjaciele ucieszą się z mego powrotu, ty jednak myślisz tylko o twoich bykach i zakładach. – Zaczęła płakać z gniewu i łzy splamiły jej policzki smugami tuszu do rzęs.

Stary wielce się zmieszał i zasmucił, i rzekł:

– Pewnie bardzo jesteś strudzona po twoich podróżach, bo w obcych krajach nie mogłaś chyba nawet kąpać się codziennie, nieprawdaż? Nie sądzę też, by byki babilońskie można było porównywać z naszymi. To jednak przypomina mi, że od dawna powinienem być u Minosa, o czym zupełnie zapomniałem. Pozwólcie więc, że pójdę tam. Nie będę się nawet przebierał, bo i tak w tłumie nikt nie zwróci uwagi na mój strój. Jedźcie zatem i pijcie, drodzy przyjaciele, a ty, Mineo, spróbuj się uspokoić. A gdy przyjdzie moja żona, powiedzcie jej, że udałem się do Minosa, nie chcąc zakłócać jej uciechy z młodzieńcem od byków. Właściwie to mógłbym równie dobrze udać się na spoczynek, bo i tak nikt nie zauważy, czy byłem na przyjęciu u Minosa, czy też mnie nie było. Ale przyszło mi na myśl, że po drodze mogę zajrzeć do stajen i spytać, jak się miewa nowy byk, ten z łata na jednym boku, chyba najlepiej więc będzie jednak pójść. Bo to zupełnie nadzwyczajny byk. – Pożegnał się z nami w roztargnieniu, ale Minea zatrzymała go i powiedziała:

– Pójdziemy z tobą do Minosa, bo chcę zobaczyć moich przyjaciół. Chcę też, żeby

poznał ich Sinuhe.

Udaliśmy się więc do pałacu Minosa. Poszliśmy tam pieszo. Gdyż stary nie mógł się zdecydować, czy opłaci się brać lektykę na tak krótką drogę, czy też nie. Dopiero gdy przybyliśmy do pałacu, zrozumiałem, że Minos był ich królem i dowiedziałem się, że król ich zawsze nazywał się Minos, dla odróżnienia od innych Kreteńczyków. Nikt jednak nie wiedział, którym z rzędu Minosem był obecny król, nikt nie miał bowiem cierpliwości, by ich liczyć i zapamiętywać. Pewnego pięknego dnia zniknie przecież Minos i zostanie zastąpiony innym Minosem, pod każdym względem podobny do swego poprzednika, i nic się przez to nie zmieni na Krecie.

Pałac składał się z niezliczonej ilości komnat. Na ścianach sali przyjęć falowały morskie algi, a mątwy i meduzy pływały w przezroczystej wodzie. Cała wielka sala wypełniona była ludźmi, z których każdy ubrany był dziwaczniej od drugiego, a wszyscy przechadzali się rozmawiając z sobą żywo i głośno się śmiejąc. Goście popijali z maleńkich pucharków chłodzone napoje, wino i soki owocowe, a kobiety porównywały swe stroje. Minea przedstawiła mnie licznym swoim przyjaciółom, wszyscy byli jednak uprzejmi i roztargnieni. A król Minos powiedział do mnie w moim własnym języku kilka uprzejmych słów i podziękował mi za uratowanie życia Minei dla ich boga i za to, że przywiozłem ją z powrotem na Kretę, tak że przy pierwszej sposobności będzie mogła wstąpić do domu boga, choć wyznaczona jej losom kolejka dawno już minęła.

Minea poruszała się w pałacu jak u siebie w domu, prowadziła mnie z komnaty do komnaty i wydawała okrzyki zachwytu, gdy dostrzegła jakiś znany przedmiot. Witaa się też ze sługami, którzy pozdrawiali ją tak, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżała. Przy tej okazji dowiedziałem się, że na Krecie każdy z ludzi możnych może wyjechać w podróż, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota, nie wspominając o tym przyjaciółom, i nikt nie dziwi się jego nieobecności, lecz gdy wyjeżdżający powróci, łączy się z pozostałymi jakby nigdy nic. W ten sposób także i śmierć stawała się dla nich lżejsza, bo gdy ktoś zniknął, nikt się o niego nie dopytywał i zapominano o nim. I nie dziwiono się, gdy go zabrakło na jakiejś uczcie lub gdy nie przyszedł na umówione spotkanie czy też by zawrzeć kontrakt, bo przecież mogła mu przyjść ochota udać się gdzie indziej.

W końcu Minea zaprowadziła mnie do pięknego pawilonu, położonego na stoku góry, wyżej od reszty budynku, tak że z jego szerokich okien roztaczał się rozległy widok na kwitnące pola, gaje oliwne i podmiejskie plantacje. Powiedziała mi, że ten pawilon to jej mieszkanie i że wszystko znajduje się na swoim miejscu, jak gdyby opuściła go dopiero wczoraj. Tylko stroje w szafach i ozdoby w szkatułkach były już

niemodne i nie mogła już ich teraz nosić. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że pochodzi ona z rodu kreteńskich Minosów, choć powinienem był się tego domyślić już po jej imieniu. Dlatego to nic dla niej nie znaczyło złoto i srebro oraz drogocenne dary, bo od dzieciństwa przyzwyczajona była dostawać, czego tylko zapragnęła. Już jako dziecko jednak poświęcona została bogu i dlatego wychowywała się w domu boga i przebywała tam w okresach, kiedy nie mieszkała w pałacu czy u swego starego opiekuna, lub u jakiejś przyjaciółki, jako że Kreteńczycy mieszkają równie dziwacznie, jak pędzą życie.

Chciałem zobaczyć stajnie byków, wróciliśmy więc do sali przyjęć, by pożegnać się z opiekunem Minei, który ogromnie się zdziwił na mój widok i zapytał uprzejmie, czyśmy się już kiedyś przedtem nie spotkali, gdyż wygląd mój wydaje mu się znajomy. Następnie Minea zaprowadziła mnie do Domu Byków, który okazał się całym miasteczkiem stajen i namiotów, okólników i trybun dla widzów, szkolnych zabudowań i mieszkań kapłańskich. Szliśmy od stajni do stajni w ostrej woni byków i Minea wabiła je pszczotliwymi nazwami, choć usiłowały wziąć ją na rogi poprzez ogrodzenie, ryczały głucho i grzebały w piachu ostrymi racicami, błyskając przekrwionymi ślepiami.

Minea spotkała tam także znajomych młodzieńców i dziewczęta, chociaż ci, którzy tańczą przed bykami, na ogół nie przyjaźnią się z sobą, zawistni o swoją sztukę.

Natomiast kapłani, którzy ćwiczyli byki i wychowywali tancerzy, przyjęli nas życzliwie, a gdy się dowiedzieli, że jestem lekarzem, wypytywali mnie o rozmaite sprawy dotyczące trawienia u byków i mieszania dla nich odpowiedniej paszy, a także połysku ich sierści, choć zapewne wiedzieli o tym znacznie więcej niż ja. Minea była u nich w łaskach, bo natychmiast pozwolili jej wziąć udział w zawodach już nazajutrz i wyznaczyli byka. Paliła się bowiem bardzo, by pokazać mi swoją sztukę, tańcząc przed najlepszymi bykami.

Na koniec Minea zaprowadziła mnie do niewielkiego budynku, gdzie mieszkał samotnie arcykapłan kreteńskiego boga. Co prawda tytułarnie najwyższym kapłanem był Minos, ale z powodu rządowych zajęć nie miał on czasu zajmować się sprawami kultu byków, brał tylko udział w zakładach, tak jak wszyscy inni Kreteńczycy. Podobnie jak król zawsze nazywał się Minos, tak najwyższy kapłan zawsze nosił imię Minotaurus i z jakiegoś powodu był człowiekiem, którego najbardziej obawiano się na Krecie. Toteż nawet jego imię niechętnie wymawiano głośno, lecz nazywano go przeważnie „mężem z małego Domu Byków”. Także Minea lękała się odwiedzin u niego, choć nie przyznała się do tego przede mną. Ale poznałem to po jej oczach, których wymowę nauczyłem się już rozumieć.

Gdy zgłosił się do niego, przyjął nas w mrocznym pomieszczeniu. Gdy go

zobaczyłem, sądziłem, że widzę boga i uwierzyłem we wszystkie baśnie, które opowiadano na Krecie. Ujrzałem bowiem mężczyznę podobnego do człowieka, który jednak w miejsce ludzkiej głowy miał złotą głowę byka. Gdy się przed nim skłoniliśmy, zdjął wszakże z siebie złotą maskę w kształcie głowy byka i odsłonił twarz. Ale choć uśmiechał się do mnie uprzejmie, nie podobał mi się, bo w jego pozbawionej wyrazu twarzy było coś twardego i okrutnego, choć nie umiem wyjaśnić, skąd się brało to wrażenie, gdyż był to mężczyzna piękny, bardzo śniady i urodzony do rozkazywania. Minea nie potrzebowała mu nic wyjaśniać, bo wiedział już wszystko o rozbiciu się statku, na którym jechała, i o jej podróżach. Nie pytał też niepotrzebnie o nic, tylko podziękował mi za życzliwość okazaną Minei, a przez to także Krecie i jej bogu, i powiedział, że w gospodzie czekają na mnie bogate dary, z których jak sądzi, powinienem być zadowolony.

– Nie dbam o dary – rzekłem. – Wiedza jest dla mnie ważniejsza od złota i dlatego właśnie podróżowałem po tylu krajach, żeby zdobyć wiedzę. Znam już teraz Babilon, a nawet bogów hetyckich. Mam nadzieję, że będę mógł poznać także i kreteńskiego boga, o którym słyszałem tyle cudowności i który kocha nietknięte dziewczęta i czystych chłopców, odwrotnie jak bogowie syryjscy, których świątynie są miejscami uciechy i którym służą skastrowani kapłani.

– Mamy wielu bogów, których czci lud – odparł. – W porcie są też świątynie ku czci obcych bogów, tak że, jeśli masz ochotę, możesz tam złożyć ofiarę Amonowi czy Baalowi. Nie chcę cię jednak wprowadzać w błąd. Dlatego też przyznaję, że potęga Krety zależy od tego boga, którego czcimy od niepamiętnych czasów. Znają go tylko wtajemniczeni i nawet oni poznają go dopiero wtedy, gdy się z nim spotkają, a nikt jeszcze nie wrócił, by opowiedzieć, jak on wygląda.

– Bóstwami Hetytów są niebo i ziemia, i deszcz, który spada z nieba i zapładnia ziemię – powiedziałem. – O ile rozumiem, bogiem Krety jest morze, albowiem potęga i bogactwo Krety zależy od morza.

– Może masz słuszość, Sinuhe – odpowiedział uśmiechając się dziwnie. – Wiedzę jednak, że my, Kreteńczycy, czcimy żywego boga, różniąc się tym od ludów z lądu stałego, które czczą bogów martwych i drewniane posągi. Nasz bóg nie jest bynajmniej posągiem, choć byki uważane są za jego symbole. I dopóki nasz bóg żyje, dopóty trwa też potęga Krety na morzu. Tak brzmi przepowiednia i wierzymy w nią, choć polegamy także bardzo na naszych okrętach wojennych, z którymi nie może współzawodniczyć flota żadnego innego narodu żeglarskiego.

– Słyszałem, że wasz bóg mieszka w krętych korytarzach, w ciemnym domu

– ciągnąłem uparcie. – Bardzo chciałbym zobaczyć ten labirynt, o którym tyle się nasłuchałem. Nie rozumiem jednak, dlaczego wyświęceni nigdy nie powracają stamtąd, choć wolno im to zrobić po miesięcznym tam pobycie.

– Największy zaszczyt i najcudowniejsze szczęście, jakie może spotkać kreteńskiego młodzieńca lub dziewicę, to możliwość wstąpienia do domu boga – powiedział Minotauros, powtarzając słowa, które słyszałem już niezliczone razy. – Toteż wyspy na morzu współzawodniczą z sobą w wysyłaniu najpiękniejszych dziewic i najlepszych młodzieńców, by tańczyli przed bykami i mogli potem wziąć udział w losowaniu. Nie wiem, czyś słyszał baśnie o salach boga morza, gdzie życie jest zupełnie inne niż na ziemi. Nikt, kto tam wstąpił, nie chce już wrócić do ziemskich trosk i męki. Czyżbyś bała się, Mineo, wejść do domu boga?

Minea nie odpowiedziała nic, a ja rzekłem:

– Na wybrzeżu w Simirze widziałem trupy utopionych żeglarzy. Twarze ich były nabrzmiałe, brzuchy wzdęte, a rysy nie wyrażały żadnej radości. Oto wszystko, co wiem o salach boga morza, ale wcale nie wątpię w twoje słowa i życzę Minei wszystkiego najlepszego:

Minotauros odparł chłodno:

– Chyba zobaczysz labirynt, bo niewiele już zostało dni do pełni księżyca, a w tę to właśnie noc Minea wstąpi do domu boga.

– A jeśli Minea odmówi? – spytałem gwałtownie, bo słowa jego wzburzyły mnie i zmroziły mi serce poczuciem beznadziejności.

– To się jeszcze nigdy nie zdarzyło – odrzekł Minotauros. – Możesz być spokojny, Sinuhe, Egipcjaninie. Gdy Minea zatańczy przed bykami, wstąpi z własnej woli do domu boga. – Włożył ponownie złotą głowę byka na znak, że mamy się oddalić, i nie widzieliśmy już więcej jego oblicza. Minea wzięła mnie za rękę i wyprowadziła stamtąd. Nie była już wesoła jak przedtem.

ROZDZIAŁ 3

Po powrocie do gospody zastałem tam już Kaptaha, który opił się do syta wina w portowych tawernach. Powiedział do mnie:

– Panie! Dla sług kraj ten jest Krajem na Zachodzie, bo nikt nie bije tu swego sługi kijem i nikt nie pamięta, ile złota ma w woreczku ani też jakie ma klejnoty. Doprawdy, panie mój, to ziemski Kraj na Zachodzie, dla sług, gdy bowiem pan rozgniewa się na sługę i rozkaże mu opuścić swój dom, co jest tu najgorszą karą, słudze wystarczy tylko się ukryć i powrócić następnego dnia, bo pan już wtedy zapomniał o wszystkim. Dla żeglarzy jednak i niewolników w porcie jest to kraj niedobry, bo administratorzy

używają giętkich kijów i są bardzo chciwi, a kupcy oszukują człowieka z Simiry równie łatwo, jak mieszkaniec Simiry oszuka Egipcjanina. Ale przekupnie ci mają małe rybki w oliwie w glinianych naczyniach, które są świętą przekąską do wina. Za pyszny smak tych rybek skłonny jestem wiele im wybaczyć.

Wszystko to Kaptah mówił w zwykły sobie sposób, jak gdyby był z lekka pijany, potem jednak przymknął drzwi i przekonawszy się, że nikt nie podsłuchuje, powiedział:

– Panie, w kraju tym dzieją się dziwne rzeczy. W tawernach gadają, że kreteński bóg umarł i że kapłani w strachu szukają nowego boga. Ale niebezpieczna to gadanina, bo za takie gadki strąca się marynarzy ze skał do morza mątwom na pożarcie. Istnieje bowiem przepowiednia, że potęga Krety zostanie złamana. Gdyby ich bóg umarł.

Wtedy w sercu mym zrodziła się szaleńcza nadzieja i powiedziałem do Kaptaha:

– W pełni księżyca Minea ma wstąpić do domu boga, ale jeśli jej bóg naprawdę nie żyje, a może tak i jest, bo ludzie wiedzą w końcu wszystko, to może Minea wróci z domu boga, skąd nikt dotychczas nie powrócił.

Nazajutrz zająłem dzięki Minei dobre miejsce na arenie, w kręgu dla widzów, którego kamienne ławy wznosiły się stopniami jedna nad drugą, tak że każda następna położona była wyżej od poprzedniej i każdy widz mógł bez trudności oglądać byki. Ogromnie byłem zachwycony tym mądrym urządzeniem i bardzo się nim zdumiewałem. Nigdzie bowiem nie widziałem czegoś podobnego, gdyż w Egipcie na świąteczne procesje bogów i na przedstawienia buduje się specjalnie wysokie pomosty, z których jednak znacznie gorzej widać kapłanów oraz tancerzy.

Byki wypuszczano na arenę jednego po drugim i tancerze kolejno popisywali się swoim tańcem, bardzo trudnym i skomplikowanym, wchodziło doń bowiem wiele rozmaitych sztuczek, które trzeba było wykonać bezbłędnie i w określonym porządku. Najtrudniejszy był skok pomiędzy rogi i podskok z obrotem w powietrzu, po którym tancerz miał znowu spaść równymi nogami na grzbiet byka. I nawet najzręczniejszemu tancerzowi nie zawsze się udawało wykonać to wszystko bez błędu, wiele bowiem zależało także od zwierząt, jak się zatrzymywały, jak skakały i jak zginały karki. Kreteńscy bogacze i możni zakładali się z sobą o każdy nowy taniec, stawiając na swoich faworytów, ja jednak, obejrzawszy kilka tańców, nie mogłem pojąć ich niezmordowanego zapału, bo byki szybko mi się znudziły i nie umiałem rozróżnić jednego występu od drugiego, lecz wszystkie wydawały mi się jednakowe.

Także Minea tańczyła przed bykami i truchlałem o jej życie, dopóki jej cudowna zręczność i gibkość nie oczarowały mnie do tego stopnia, że zapomniałem o niebezpieczeństwie, na które się wystawiała, i radowałem się wraz z innymi. Zarówno

dziewczęta jak i młodzieńcy tańczyli tu przed bykami nago, sztuka ich bowiem była tak zdradliwa, że nawet najmniejsza część odzieży mogła skrępować im ruchy i narazić ich życie na niebezpieczeństwo. Dla mnie najpiękniejsza ze wszystkich była Minea, której ciało lśniło w słońcu od oliwy, choć muszę przyznać, że były tam inne nadzwyczaj piękne dziewczęta, które zdobywały sobie wielki podziw. Ja jednak wpatrzony byłem tylko w Mineę. Po długiej nieobecności była ona wciąż jeszcze niewprawna w porównaniu z innymi i nie zdobyła żadnego wieńca. Jej stary zwolennik, który stawiał na nią przy zakładach, bardzo był z tego powodu rozgoryczony i zły, dopóki nie zapomniał o przegranych srebrze i nie poszedł do stajen, żeby wybrać nowe byki i numery, do czego miał prawo, ponieważ był opiekunem Minei.

Ale kiedy spotkałem się z nią w Domu Byków po przedstawieniu, rozejrzała się dokoła i powiedziała chłodno:

– Sinuhe, nie mogę się z tobą więcej spotykać, bo moi przyjaciele zaprosili mnie na ucztę do siebie. Muszę też przygotować się na spotkanie z moim bogiem, ponieważ pełnia księżycy przypada już pojutrze. Toteż przypuszczalnie spotkamy się dopiero, gdy będę wstępować do domu boga, jeśli naturalnie masz ochotę towarzyszyć mi wraz z innymi moimi przyjaciółmi.

– Niech będzie tak, jak mówisz – odparłem. – Dużo mam tu na Krecie do oglądania, a tutejsze obyczaje oraz stroje kobiece ogromnie mnie bawią. Gdy siedziałem na arenie, wiele twoich przyjaciółek zapraszało mnie do swoich domów i znajdowałem przyjemność w przyglądaniu się ich twarzom i piersiom, bo też są nieco tęższe i bardziej zalotne od ciebie.

Na to ona schwyciła mnie gwałtownie za ramię, z oczu jej posypały się skry i dysząc gwałtownie powiedziała:

– Nie pozwalam ci iść zabawiać się z moimi przyjaciółkami beze mnie. Powinieneś przynajmniej poczekać, dopóki nie odejdziesz, Sinuhe. I nawet jeśli w twoich oczach jestem za chuda, co mi dotychczas nie przyszło do głowy, to możesz zrobić to z przyjaźni do mnie, bo cię o to proszę.

– Żartowałem tylko – odparłem. – Z pewnością nie chcę ci zakłócać spokoju, bo naturalnie masz mnóstwo do roboty, zanim wstąpisz do domu boga. Pójdę zatem do swojej gospody leczyć chorych, bo w porcie jest wielu chorych, którzy potrzebują mojej pomocy.

Odszedłem od niej i jeszcze długo potem w nozdrzach czułem woń byków. Nigdy nie zapomnę tej woni z Domu Byków na Krecie, tak, że gdy widzę stado byków i poczuje ich woń, robi mi się niedobrze i nie mogę nic przełknąć, a serce ściska mi

się w piersi z bólu. Odszedłem więc od niej i przyjmowałem chorych w gospodzie, leczyłem ich i pomagałem im w ich cierpieniach, dopóki nie zapadł wieczór, nie zrobiło się ciemno i nie zapłonęły światła w portowych domach rozpusty. Przez ściany i mury dochodziły do moich uszu dźwięki muzyki, śmiech i bez troskie ludzkie głosy, bo nawet niewolnicy i słudzy na Krecie nauczyli się od swoich panów bez troski i każdy żył tak, jak gdyby nigdy nie musiał umrzeć i jak gdyby na świecie nie było bólu, smutku i tęsknoty.

Ściemniło się, a ja wciąż siedziałem w swojej izbie, Kaptah rozłożył już moje maty do spania, ale nie chciałem, żeby zapalił lampę, i siedziałem w ciemności. Księżyc wzeszedł, wielki i błyszczący, choć nie był jeszcze całkiem w pełni, a ja nienawidziłem go, bo miał mnie rozłączyć z jedyną kobietą, którą w życiu uważałem za swoją siostrę. Nienawidziłem też siebie samego, bo byłem słaby i bojaźliwy i nie wiedziałem sam, czego chcę. Wtedy otworzy się drzwi i weszła bezszelestnie Minea i rozejrzała się dokoła. Nie była już ubrana na sposób kreteński, lecz miała na sobie tę samą skromną i prostą szatę, w której tańczyła dla możnych i pospólstwa w wielu krajach. A włosy miała podwiązane złotą przepaską.

– Mineo – powiedziałem zdumiony – dlaczego przychodzisz do mnie, choć sądziłem, że przygotowujesz się na spotkanie boga?

– Mów ciszej – szepnęła – bo nie chcę, by ktoś nas usłyszał.

Usiadła przy mnie na posłaniu i patrząc na księżyc ciągnęła zagadkowo:

– Nie lubię już mego mieszkania w Domu Byków i nie czuję się pośród moich przyjaciół tak dobrze, jak dawniej. Mimo to nie potrafię w żaden sposób powiedzieć, dlaczego przyszłam właśnie do ciebie i do tej portowej gospody, choć jest to bardzo niewłaściwe. Lecz jeśli chcesz spać, nie będę ci wcale przeszkadzać i pójdę sobie. Nie mogłam zasnąć, odczułam nagle ochotę, żeby raz jeszcze poczuć wokół siebie zapach leków i ziół i żeby uszczypnąć Kaptaha w ucho i za jego pustą gadaninę wytargać go za włosy. Podróże i przebywanie wśród obcych ludów zmieniły pewnie moją duszę, bo nie czuję się już w Domu Byków jak we własnym domu i nie cieszą mnie oklaski na arenie ani też nie tęsknię tak jak przedtem do mego boga. Ludzkie rozmowy przypominają mi bełkot głupich dzieci, radość ich jest jak piana na wybrzeżu, a ich rozrywki nie są dla mnie żadną przyjemnością. Serce moje jest jak ciemna jama, a w głowie mam zupełną pustkę. I nie ma jednej myśli, którą bym mogła nazwać swoją własną, wszystko sprawia mi ból i nigdy nie byłam jeszcze tak przygnębiona. Dlatego proszę cię, weź mnie na chwilę za rękę, jak dawniej, bo nie boję się niczego złego, nawet śmierci się nie lękam, gdy trzymasz moje dłonie w swoich, Sinuhe, choć dobrze wiem, że chętniej patrzysz na

kobiety tęższe i piękniejsze ode mnie i chętniej trzymasz je za rękę.

– Mineo, moja siostró! – odparłem. – Moje dzieciństwo i moja młodość były jak przejrzysty, głęboki strumyk, natomiast mój wiek męski był jak wielka rzeka, która rozlewa się szeroko, pokrywając wiele gruntu, lecz której woda jest płytka, zatrzymuje się w swoim biegu i pleśnieje. Kiedy jednak ty weszłaś w moje życie, Mineo, zebrałaś wszystkie wody, które z radością płynęły w jedno głębokie koryto i wszystko stało się we mnie czyste, świat uśmiechał się do mnie, a wszelkie zło stało się dla mnie znowu podobne do pajęczyny, którą bez trudu można zmieść ręką. Dla ciebie chciałem być dobry i leczyć ludzi, nie patrząc, jakie mi ofiarują dary, a ciemni bogowie nie mieli już mocy nade mną. Tak było, gdy poznałem ciebie. Kiedy jednak odchodzisz ode mnie, wszystko dokoła staje się mroczne, a serce moje robi się podobne do samotnego kruka w pustyni i nie życzy już ludziom dobrze, lecz nienawidzi ich, także bogów nienawidzi i nie chce już o nich słyszeć. Tak to jest ze mną, Mineo, i dlatego mówię ci: wiele jest krajów na świecie, lecz tylko jedna Rzeka. Pozwól mi zabrać cię do czarnego kraju nad brzegiem Rzeki, gdzie kaczkę krzyczą w sitowiu, a słońce codziennie wypływa na niebo w złotej łodzi. Pojedź tam ze mną, Mineo! Stłuczemy razem dzban, zostaniemy mężem i żoną i nigdy się już z sobą nie rozstaniemy. Życie stanie się dla nas lekkie, a gdy pomrzemy, ciała nasze zostaną zachowane, abyśmy mogli spotkać się z sobą w Kraju na Zachodzie i abyśmy tam mogli żyć z sobą wiecznie.

Lecz ona ścisnęła moje ręce w swoich i dotykając koniuszkami palców moich oczu, warg i szyi, powiedziała:

– Sinuhe, nie mogę już z tobą pójść, choćbym nawet chciała, bo nie ma żadnego statku, który by nas wywiózł z Krety i żaden kapitan nie ośmieliłby się nas ukryć. Strzegą mnie już bowiem ze względu na mego boga i naturalnie nie pozwolę, żeby cię zabito przeze mnie. Choćbym więc chciała, nie mogę z tobą pojechać, bo odkąd tańczyłam przed bykami, wola ich silniejsza jest od mojej, choć nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ponieważ trzeba to samemu przeżyć. Toteż muszę w noc pełni księżyca wstąpić do domu boga i żadna moc na świecie nie może mi przeszkodzić w zrobieniu tego. Ale dlaczego tak jest nie potrafię ci wytłumaczyć i być może nie wie tego nikt, prócz samego Minotaura.

Serce ścisnęło mi się w piersi i było jak pusty grób, i odparłem:

– O dniu jutrzejszym nikt nic nie wie przed czasem, ale nie mogę uwierzyć, żebyś wróciła do domu boga, skąd nikt jeszcze dotychczas nie powrócił. W złotych salach boga morza będziesz może spijać z boskiego źródła wieczne życie i zapomnisz o wszystkim, co ziemskie, i zapomnisz także o mnie. Ale ja w to nie wierzę, bo wszystko to są baśnie,

a nic z tego, co w różnych krajach dowiedziałem się o bogach, nie zdołało umocnić mojej wiary w baśnie. Wiedz zatem, że gdybyś nie powróciła w oznaczonym czasie, pójdę za tobą do domu boga i zabiorę cię stamtąd. Zabiorę ciebie, choćbyś nawet sama nie chciała już wrócić. Tak, zrobię to, Mineo, choćby nawet miał to być mój ostatni czyn na ziemi.

Ona jednak położyła mi z lękiem dłoń na ustach i obejrawszy się dokoła rzekła:

– Cicho! Nie wolno ci tego mówić głośno, czy choćby tylko myśleć, bo dom mego boga jest domem ciemności i żaden cudzoziemiec nie znajdzie drogi doń, a gdy wstąpi tam ktoś niewtajemniczony, umiera okropną śmiercią. Nie zdołasz się tam także dostać, albowiem dom boga zamknięty jest miedzianymi wrotami, z czego jestem rada, bo w swym szaleństwie rzeczywiście mógłbyś postąpić tak, jak mówisz, i sam siebie doprowadzić do zguby. Ale wierz mi, powrócę do ciebie z własnej woli, bo mój bóg nie może być taki zły, żeby nie pozwolił mi wrócić do ciebie, skoro tego chcę. Jest to bowiem cudowny, piękny bóg, który strzeże mocy Krety i życzy wszystkim dobrze, i dzięki niemu oliwki rodzą obfity owoc, zboża dojrzewają na polach, a statki żeglują od portu do portu. Zsyła on pomyślne wiatry i steruje statkami we mgle i nic nie przydarzy się tym, którzy są pod jego opieką. Dlaczegoż zatem miałby mnie życzyć źle?

Od dzieciństwa wyrosła w cieniu swego boga i była zaślepiona, ja zaś nie umiałem jej otworzyć oczu, żeby przewidziała, chociaż umiałem leczyć ślepych za pomocą igły i przywracać im wzrok. W szaleństwie bezsilności chwyciłem ją w objęcia i mocno ściskając całowałem ją i pieściłem jej członki. A ciało jej było gładkie jak szkło i była, gdym ją trzymał w ramionach, jak źródło dla wędrowca na pustyni. Nie broniła się, lecz przywarła twarzą do mojej szyi i drżała, a z oczu jej lały się na moją szyję gorące łzy, gdy szeptała:

– Sinuhe, przyjacielu mój, jeśli wątpisz, że wrócę, nie chcę ci odmawiać niczego. Zrób ze mną, co chcesz, jeśli sprawi ci to radość, nawet gdybym z tego powodu musiała umrzeć, bo w twoich ramionach nie boję się śmierci i wszystko wydaje mi się niczym w zestawieniu z tym, że mój bóg rozłącza mnie z tobą.

– A czy tobie sprawiłoby to radość? – zapytałem.

Zawahala się i rzekła:

– Nie wiem. Wiem tylko, że ciało moje jest niespokojne i nie daje się niczym ukoić, gdy nie jestem przy tobie. Wiem tylko, że mgła zaśłania mi oczy i kolana drżą pode mną, gdy mnie dotykasz. Zrazu nienawidziłam siebie za to i bałam się twego dotknięcia. Dawniej bowiem wszystko było we mnie jasne i nic nie mąciło mej radości, i byłam tylko dumna ze swojej sztuki, gibkości swego ciała i z tego, że jestem nietknięta. Teraz

wiem, że dotknięcie twoje jest dla mnie rozkoszą, choćby nawet miało mi przynieść ból. Nie wiem jednak, czy sprawiłoby mi radość, gdybyś zrobił to, czego pragniesz, bo może byłabym potem smutna. Ale jeśli da to radość tobie, nie wahaj się, bo twoja radość jest moją radością i niczego nie pragnę więcej, jak sprawić ci radość.

Wypuściłem ją wtedy z objęć, dotknąłem ręką jej włosów, oczu i szyi i powiedziałem:

– Wystarczy mi, że przyszłaś do mnie taka, jaką byłaś, gdy wędrowaliśmy pospółu na drogach Babilonu. Daj mi złotą przepaskę, którą nosisz we włosach, wystarczy mi to, niczego więcej od ciebie nie żądam.

Ona jednak spojrzała na mnie z powątpiewaniem i gładząc dłońmi swoje biodra rzekła:

– Jestem być może dla ciebie za chuda i sądzisz, że ciało moje nie da ci rozkoszy, pewnie też wolałbyś kobietę zalotniejszą niż ja. Ale jeśli chcesz, spróbuję być frywolną i zrobić wszystko tak właśnie, jak tego chcesz, abyś nie zawiódł się na mnie, chcę ci bowiem dać tyle rozkoszy, ile potrafię.

Uśmiechnąłem się do niej i pieszcząc jej gładkie ramiona powiedziałem:

– Mineo, żadna kobieta nie jest w moich oczach piękniejsza od ciebie i żadna nie mogłaby mi dać większej radości niż ty. Ale nie chcę zbliżyć się do ciebie tylko dla mojej własnej rozkoszy, tobie bowiem nie sprawiłoby to żadnej radości, ponieważ jesteś niespokojna z powodu twego boga. Lecz wiem, co możemy zrobić i co sprawi radość nam obojemu. Stosownie do zwyczajów mego kraju weźmiemy dzban i stłuczemy go razem. Zrobiwszy to. Staniemy się mężem i żoną, choć jeszcze ciebie nie dotknąłem i choć nie ma tu żadnych kapłanów, przed którymi moglibyśmy dopełnić tego aktu i którzy wpisaliby nasze imiona do ksiąg w świątyni. Niech więc Kaptah przyniesie nam dzban, żebyśmy mogli tego dokonać.

Oczy jej rozszerzyły się i błyszczały w blasku księżyca, zaklaskała w dłonie i twarz jej rozjaśnił uśmiech radości. Poszedłem szukać Kaptaha, on jednak siedział na podłodze tuż pod moimi drzwiami i ocierał grzbietem dłoni twarz mokrą od łez, kiedy zaś mnie zobaczył, wybuchnął głośnym płaczem.

– Co się stało, Kaptahu? – zapytałem. – Dlaczego płaczesz?

Odparł bezwstydnie:

– Panie, mam czułe serce i nie mogłem powstrzymać łez słysząc wszystko, co ty i ta dziewczyna o wąskich biodrach mówiliście w swojej izbie. Bo czegoś tak wzruszającego jeszcze nigdy nie słyszałem.

Rozgniewałem się i dałem mu kopniaka mówiąc:

– Masz czelność przyznać się, żeś podsłuchiwał pod drzwiami i słyszałeś, o czym

rozmawialiśmy?

A Kaptah odparł niewinnie:

– Tak właśnie było, bo do twoich drzwi cisnęli się inni podsłuchiawcze, którzy nie mieli do ciebie żadnej sprawy, tylko przyszli tu, aby szpiegować tą dziewczynę. Toteż przepędziłem ich grożąc kijem i siadłem przy drzwiach, aby czuwać nad twoim spokojem, bo pomyślałem, że wcale by cię nie ucieszyło, gdyby ci ktoś przeszkodził w poważnej rozmowie. Ale gdy tak siedziałem, nie mogłem powstrzymać się, by nie słuchać, o czym mówiliście, a wszystko to było tak piękne, że nie mogłem oprzeć się łzom, jakkolwiek to, co robicie, jest bardzo dziecinne.

Na te słowa nie mogłem się już na niego gniewać za jego naiwność, tylko powiedziałem:

– Jeśli słuchałeś, to już wiesz, czego chcę. Idź zatem śpiesznie postarać się o dzban.

– On jednak wykręcał się i pytał: – Jaki dzban chcesz, żebym ci przyniósł, panie? Czy ma to być dzban gliniany, czy kamienny, malowany czy też nie malowany, wysoki czy niski, szeroki czy wąski?

Uderzyłem go kijem, ale nie mocno, bo serce moje przepełnione było dobrocią dla ludzi, i powiedziałem:

– Wiesz doskonale, co mam na myśli, i wiesz, że do tego celu służy jakikolwiek dzban. Nie wykręcaj się więc dłużej, tylko przynieś mi prędko pierwszy lepszy dzban, jaki ci wpadnie w ręce.

– Już biegnę – odparł – pędzę, lecę, a to, co mówiłem ostatnio, powiedziałem tylko, żeby ci dać jeszcze trochę czasu do namysłu nad tym, co zamierzasz zrobić. Bo stłuc dzban współ z kobietą to ważny krok w życiu mężczyzny i nie należy robić tego zbyt pochopnie i bez zastanowienia. Ale naturalnie przyniosę ci dzban, skoro sobie tego życzysz i skoro nie potrafię ci w tym przeszkodzić.

Tak więc Kaptah przyniósł nam stary dzban, który śmierzdział rybą i który stłukliśmy razem z Mineą. Kaptah był nam świadkiem, gdy staliśmy się mężem i żoną, i Kaptah postawił sobie stopę Minei na karku, i rzekł:

– Od tej pory jesteś moją panią i rozkazujesz mi, tak jak mój pan, a może jeszcze bardziej. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz mi wylewać gorącej wody na stopy, gdy wpadniesz w gniew. Mam też nadzieję, że używasz miękkich pantofli bez obcasów, nie lubię pantofli z obcasami, bo zostawiają na mojej głowie szramy i guzy. W każdym razie pragnę służyć ci tak samo wiernie jak mojemu panu, bo z jakiejś dziwnej przyczyny serce moje przywiązało się do ciebie bardzo, choć jesteś chuda i piersi twe są małe, i zupełnie nie rozumiem, co mój pan w tobie widzi. Zamierzam też okradać cię tak samo

z umiarem, jak dotychczas okradałem mego pana, a kradnąc będę się troszczył o twoją korzyść, nie tylko o moją własną.

Powiedziawszy te słowa wzruszył się tak, że znowu zaczął chlipać, przez chwilę nawet zawodził wielkim głosem. A Minea pogłaskała go po plecach i dotknęła dłońią jego tłustych policzków i pocieszała go, aż się uspokoił, po czym kazałem mu pozbierać skorupy dzbana i wypędziłem go z pokoju.

Tej nocy spaliśmy z Mineą, jak dawniej. Usnęła w moich ramionach, oddychała przy mojej szyi, a włosy jej pieściły moje policzki. Ale jej nie dotknąłem, bo radość, która nie dałaby jej radości, nie byłaby też żadną radością dla mnie.. Sądzę nawet, że gdy trzymałem ją w ramionach w taki sposób, nie posiadając jej, radość moja była większa i głębsza, niż gdybym był ją wziął. Nie mam jednak co do tego całkowitej pewności, bo nie wiem, jaka byłaby radość, gdybym ją posiadał. Jedno tylko wiem, że owej nocy chciałem być dobry dla wszystkich ludzi i że w sercu moim nie było jednej złej myśli, i każdy mężczyzna był mi bratem, każda kobieta matką, a każda dziewczica siostrą, zarówno w czarnym kraju, jak i we wszystkich czerwonych krajach pod zalany blaskiem księżyca niebem.

ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz Minea znowu tańczyła przed bykami, a mnie serce ścisnęło się z trwogi o nią, ale nie stało się jej nic złego. Natomiast jeden z młodzieńców ześliznął się z czoła byka i upadł na ziemię, a byk rozpruł mu ciało rogami i stratował go racicami. Widzowie wokół całej areny powstali krzycząc głośno i grozy i zachwytu. Gdy byka odpędzono i ciało tancerza niesiono do stajni, kobiety podbiegały, żeby go zobaczyć, i dotykając jego zakrwawionych członków mówiły głośno dysząc: – Co za widok! – A mężczyźni mówili: – Dawno już nie oglądaliśmy tak udanych zawodów! – I wcale nie martwili się waząc złoto i srebro, żeby wypłacić przegrane zakłady, lecz zaraz zaczęli pić i ucztować w swoich domach, tak że w mieście światła nie gasły do późnej nocy. A żony odłączały się od mężów i zostawały na noc w cudzych łóżach, lecz nikt tego nie ganił, bo takie były ich obyczaje.

Ja jednak leżałem samotnie na swojej macie, bo nocy tej Minea nie mogła już przyjść do mnie. A wczesnym rankiem wynająłem lektykę i wyruszyłem, żeby towarzyszyć jej do domu boga. Wieziono ją tam w złotym powozie, ciągniętym przez przystrojone w pióra konie, a przyjaciele towarzyszyli jej w lektykach lub pieszo, wśród zgiełku i śmiechu i obrzucali ją kwiatami i zatrzymywali się po drodze, by pić wino. Droga była daleka, wszyscy jednak mieli z sobą jedzenie i zrywali gałązki oliwne, by się nimi wzajemnie wachlować, straszili owce biednych rolników i wymyślali najrozmaitsze

inne kawały. Dom boga leżał na pustkowiu, u stóp góry, blisko brzegu morza, i gdy się tam zbliżyli, przycichli, zaczęli rozmawiać z sobą szeptem i już się nie śmieli.

Trudno mi wytłumaczyć, jak wyglądał ten dom boga, gdyż był to niewielki pagórek, na którym rosła trawa i kwiaty i który zmieniał się stopniowo w górę. Wejście na pagórek zamknięte było wielkimi miedzianymi wrotami, przed którymi stała mała świątynka, gdzie odbywała się uroczystość i gdzie mieszkali strażnicy domu boga. Uroczysty pochód dotarł tam wieczorem i przyjaciele Minei wysiedli z lektyk i porzucali się na trawie wokoło, jedli i pili, płatali sobie nawzajem figle, zapomniawszy już o podniosłym nastroju, który owładnął nimi, gdy zbliżali się do domu boga, bo Kreteńczycy o wszystkim zapominają szybko. Gdy się ściemniło, zapalili pochodnie i wesoło paplali z sobą w krzakach, i z mroku słychać było krzyki kobiet i śmiech mężczyzn. A Minea przebywała samotnie w świątyni i nikomu nie wolno było się do niej zbliżyć.

Patrzyłem na nią, gdy tak siedziała w świątyni. Przystrojona była w złoto jak posąg, a na głowie miała wielki złoty kołpak. Próbowła uśmiechnąć się do mnie z daleka, ale w uśmiechu jej nie było żadnej radości. A gdy księżyc wzeszedł, rozebrano ją ze złotych szat i ozdób i otulono w cienką szatę, a włosy ujęto jej w srebrną siateczkę. Następnie strażnicy wyjęli rygle z miedzianych wrót. Otworzyły się z głuchym łoskotem, do otwarcia każdej ich połowy trzeba było dziesięciu ludzi, a za ich skrzydłami ziała ciemność. Nikt nic nie mówił i zrobiło się zupełnie cicho. Minotauros opasał się złotą przepaską, zawiesił u boku miecz i włożył złotą głowę byka, tak że nie przypominał już wcale człowieka. Minei dano do ręki zapaloną pochodnię i Minotauros wprowadził ją do ciemnego domu, gdzie zniknęli, a w chwilę potem znikło też światło pochodni. Wtedy znowu przymknięto dudniące miedziane wrota i zasunięto potężne rygle, do których wsunięcia potrzeba było wielu mocnych mężów, i nie widziałem już Minei.

Wtedy chwyciła mnie niewypowiedziana rozpacz i zdawało mi się, że w sercu mam otwartą ranę, przez którą wycieka mi wszystka krew, i cała moja dusza uszła ze mnie, tak że padłem na kolana i skłoniłem twarz ku ziemi. W chwili tej nabrałem pewności, że już nigdy nie zobaczę Minei, mimo że obiecała wrócić do mnie z domu boga, by spędzić ze mną całe życie. Wiedziałem, że nie wróci, ale nie umiem powiedzieć, skąd to wiedziałem w owej chwili, dotychczas bowiem nie byłem tego pewny i na przemian wierzyłem, bałem się i miałem nadzieję oraz wmawiałem sobie, że bóg kreteński jest odmienny od wszystkich innych bogów i wypuści Mineę ze względu na tę miłość, która wiązała ją ze mną. Teraz jednak nie miałem już nadziei i leżałem z twarzą przy ziemi, a Kaptah siedział przy mnie, kołysał głową opartą na rękach i biadał. Natomiast bogata i można młodzież kreteńska pozapalała pochodnie i skakała koło mnie z pochodniami w

rękach, tańcząc wymyślne tańce i śpiewając pieśni, których słów nie rozumiałem. Gdy zamknięto miedziane wrota, ogarnęło ich wielkie podniecenie, skakali i tańczyli dziko, i biegali do upadłego, a krzyki ich brzmiały w moich uszach jak krakanie kruków z murów miejskich.

Po jakimś czasie Kaptah przestał biadać i powiedział:

– Jeśli mnie wzrok nie myli, a nie sędzę, by tak było, nie wypilem bowiem jeszcze tyle, ile mojemu oku trzeba, by widzieć wszystko podwójnie, rogowłowy wyszedł z wnętrza góry. Nie rozumiem jednak, jak on to zrobił, bo nikt nie otwierał miedzianych wrót.

Mówił prawdę, bo Minotauros rzeczywiście powrócił z domu boga i jego złota bycza głowa lśniła przerażająco w świetle księżyca, gdy wraz z innymi tańczył uroczysty taniec. Gdy go zobaczyłem, nie mogłem się opanować, lecz podniosłem się i podbiegłem do niego, i chwyciwszy go za ramię spytałem:

– Gdzie jest Minea?

Odrzucił moje ręce i potrząsnął byczą głową, a gdy go nie odstępowałem, odsłonił twarz i rzekł z gniewem:

– Nie jest dozwolone, by zakłócać święte rytuały, ale ty z pewnością tego nie wiesz, boś tu obcy, toteż wybaczam ci, jeśli to się już nie powtórzy.

– Gdzie jest Minea? – spytałem ponownie i w końcu odpowiedział mi:

– Zostawiłem Mineę w ciemności w domu boga, tak jak to jest postanowione, i powróciłem tutaj, by tańczyć uroczysty taniec ku czci boga. Czegóż jednak jeszcze chcesz od Minei, jeśliś dostał już dary za to, żeś ją z powrotem tu przyprowadził?

– W jaki sposób mogłeś ty wrócić, skoro ona nie wróciła? – pytałem nacierając na niego, on jednak odepchnął mnie, a tańczący rozdzielili nas. Wtedy Kaptah chwycił mnie za ramię i przemocą uprowadził na bok. Z pewnością dobrze się stało, w innym razie bowiem nie wiem, do czego by doszło. A Kaptah powiedział:

– Jesteś głupi i nieostrożny, zwracając na siebie tak bardzo uwagę, lepiej, żebyś tańczył wraz z innymi, śmiał się i śpiewał, bo inaczej może się to źle dla nas skończyć. Mogę ci powiedzieć, że Minotauros wyszedł przez niewielką furtkę, położoną obok miedzianych wrót, i nie ma w tym nic szczególnego. Sam poszedłem, by na tę furtkę popatrzeć, i widziałem jak jeden ze strażników ją zamknął i zabrał klucz. Chciałbym, żebyś napił się tego wina, mój panie, to cię uspokoi, bo twarz twoja wykrzywiona jest jak u opętanego i przewracasz oczyma jak sowa.

Dał mi się napić wina i usnąłem na trawie w blasku księżyca, mimo że światła pochodni migotały mi przed oczyma, bo w swej obłudzie domieszał mi do wina

makowego soku, widząc, w jakim znajduję się stanie. W ten sposób zemścił się na mnie za to, co zrobiłem w Babilonie, aby uratować mu życie. Ale nie wsadził mnie do glinianej urny, lecz okrył mnie i nie pozwolił tańczącym stratować mnie stopami. Możliwe, że w ten sposób on z kolei uratował mi życie, bo w rozpacz mógłbym może przebić nożem Minotaura i zabić go. Tak więc Kaptah przesiedział przy mnie w milczeniu przez całą noc, dopóki nie wysuszył dzbana z winem do dna, potem zaś zasnął przy mnie, dysząc mi w ucho oparami wina.

Zbudziłem się dopiero późnym rankiem następnego dnia, a lek działał tak silnie, że zrazu nie wiedziałem, gdzie jestem. Gdy sobie przypomniałem, gdzie się znajduję i co się stało, zrobiłem się całkiem spokojny, w głowie mi się rozjaśniło i dzięki lekowi nie szalałem już więcej. Wielu spośród uczestników uroczystego pochodu powróciło już do miasta, niektórzy jednak wciąż jeszcze spali w krzakach, mężczyźni i kobiety pomieszani z sobą, z ciałami bezwstydnie obnażonymi. Wypili bowiem dużo wina i tańczyli aż do rana. Gdy się zbudzili, przebrali się w nowe szaty, a kobiety poprawiały fryzury i chodziły nadąsane, bo nie mogły się wykąpać, a ponieważ przywykły do gorącej wody, która płynęła ze srebrnych kranów w ich łazienkach, woda w strumyku była dla nich za zimna.

Przepłukiwały więc tylko usta i namaszczały twarze, malowały wargi, farbowały rzęsy i ziewając mówiły do siebie: – Kto zostaje, żeby czekać na Mineę, a kto wraca do miasta? – I wesołe igraszki na trawnikach i w krzakach nie bawiły ich już, tak że większość z nich powróciła w ciągu dnia do miasta i tylko najmłodsi i najgorętsi zostali przy domu boga, by się z sobą zabawiać. Jako powód podawali, że chcą oczekiwać na powrót Minei, choć każde z nich wiedziało, że jeszcze nikt nie wrócił z domu boga. Ale robili to dlatego, że w ciągu nocy potworzyły się pary, które się sobie podobały, i żony wykorzystywały sposobność, żeby odesłać mężów do miasta i w ten sposób się ich pozbyć. Zobaczywszy to, zrozumiałem, dlaczego nie ma u nich ani jednego domu rozpusty w całym mieście, z wyjątkiem portu. A gdy widziałem ich igraszki w ciągu tego dnia i następnej nocy, zrozumiałem też, że dziewczętom, które uprawiają rozkosz zawodowo, byłoby bardzo trudno konkurować z kobietami na Krecie.

Nim Minotauros wyruszył w powrotną drogę do miasta, spytałem go:

– Czy mogę tu zostać razem z przyjaciółmi Minei i czekać na jej powrót, choć jestem cudzoziemcem?

On zaś popatrzył na mnie niechętnie i rzekł:

– Nikt ci tego nie broni, ale zdaje mi się, że w porcie stoi akurat statek, który może cię zawieźć do Egiptu. Będziesz czekać na próżno, bo nikt z poświęconych bogu nie

wrócił jeszcze z jego domu.

Ja jednak udawałem naiwnego i nalegałem dalej:

– To prawda, że byłem trochę zakochany w Minei, choć znudziła mi się, bo ze względu na swego boga nie dawała się dotknąć. Ale prawdę powiedziawszy, wcale nie czekałem na jej powrót, tylko mówię tak jak inni, że zostaję, by czekać na Mineę, bo jest wiele uroczych dziewcząt a także mężatek, które zalotnie zaglądają mi w oczy i kuszą, żebym dotykał ich piersi, a czegoś takiego dotychczas jeszcze nie zaznałem. Uczciwie mówiąc Minea była wściekle zazdrosną i hardą dziewczyną, która przeszkadzała mi się bawić, a sama nie dawała się tknąć. Muszę cię też prosić o wybaczenie, jeśli ostatniej nocy bezwiednie cię czymś dotknąłem. Upiłem się do utraty przytomności i nie pamiętam dobrze, jak to było, gdyż głowę mam wciąż jeszcze zamroczoną. Przypominam sobie tylko, że objąłem cię za szyję i prosiłem, żebyś mnie nauczył tego tańca, który tańczyłeś tak pięknie i uroczyście, że nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Jeśli cię jednak obraziłem, proszę cię naprawdę serdecznie o przebaczenie, bo jako cudzoziemiec nie znam jeszcze dostatecznie dobrze waszych obyczajów i nie wiedziałem, że nie wolno cię dotykać, bo jesteś osobą świętą.

Wszystko to bełkotałem mrużąc oczy i skarżąc się na ból głowy, dopóki się nie roześmiał, patrząc na mnie jak na durnia, i nie powiedział:

– Jeśli tak, nie chcę ci przeszkadzać w zabawie, bo my na Krecie jesteśmy wyrozumiali. Zostań zatem tutaj, by czekać na Mineę, jak długo ci się podoba, ale uważaj, żeby któraś z nich nie zaszła z tobą w ciążę, to bowiem byłoby niewłaściwe, bo jesteś cudzoziemcem. Dając ci tę radę, nie chcę cię bynajmniej zranić, lecz mówię ci to tylko jak mężczyzna do mężczyzny, aby wytłumaczyć ci nasze obyczaje.

Zapewniłem go, że będę uważał, i paplałem jeszcze dużo o swoich rzekomych przeżyciach z dziewicami świątynnymi w Syrii i Babilonie, dopóki nie uwierzył, że jestem jeszcze większym durniem, niż zrazu przypuszczał, i znużony mną nie poklepał mnie po ramieniu i odszedł, by wrócić do miasta. Przypuszczam jednak, że kazał strażnikom baczenie mnie pilnować i że prosił także Kreteńczyków, żeby mnie zabawiali, bo w chwilę po jego odjeździe otoczyła mnie gromada kobiet, które wieszały mi wieńce na szyi, zaglądały w oczy i tuliły się do mnie tak, że ich nagie piersi ocierały się o moje ręce. Zaprowadziły mnie one w laurowe krzaki, by tam ucztować i pić wino. W taki sposób poznałem ich obyczaje i ich płochość, bo wcale się mnie nie wstydziły. Ja jednak piłem dużo wina i udawałem pijanego, tak że nie miały ze mnie żadnej pociechy i w końcu znudziły się mną i zaczęły mnie poszturchiwać i nazywać mnie wieprzem i barbarzyńcą. Nadszedł na to Kaptah i odprowadził mnie na bok, trzymając pod ramiona

i głośno mi wymyślając za pijaństwo, im zaś proponując swoje usługi. One śmiały się przyglądając mu się i chichotały między sobą, a młodzieńcy naigrywali się z niego wytykając palcami jego duży brzuch i łyse ciemię. Ale był cudzoziemcem, a to, co obce, kusi kobiety we wszystkich krajach, kiedy więc już się nachichotały do syta, wzięły go do swego towarzystwa, dały mu wina, wtykały do ust owoce i przytulały się do niego nazywając go swoim capem i obruszając się na jego woń, dopóki także i jego odór nie zaczął ich kusić.

Tak mijał ten dzień, aż wreszcie znużyły mnie ich zabawy i lekkie obyczaje i pomyślałem, że nie można sobie wyobrazić nudniejszego życia. Bo niczym nie powściągane zachcianki na dłuższą metę nudzą bardziej niż życie, które ma jakiś cel. Oni zaś spędzili noc tak samo jak poprzednią i nocy tej moje ponure sny zakłócały były krzykami kobiet w zagajnikach, dokąd uciekały, by zwabić tam młodzieńców. A ci biegli za nimi w ciemnościach, łapali je i zdierali z nich szaty. Rano jednak wszyscy byli zmęczeni i zniechęceni, bo nie mogli się wykapać, i większość z nich powróciła tego dnia do miasta, tak że tylko najmłodszy i najgorętszy zostali przy miedzianych wrotach.

Ale trzeciego dnia odeszli także ci ostatni, a ja oddałem im lektykę, która na mnie czekała. Ci bowiem, co przyszli pieszo, nie mieli już siły, by iść z powrotem, chwiali się na nogach od bezsenności i nadużywania rozkoszy. Moim zamiarom zaś bardzo odpowiadało, aby zabrali lektykę i by nikt na mnie nie czekał. Co dzień stawiałem strażnikom wino, toteż nie zdziwili się, gdy i tego wieczoru przyniosłem im dzban wina, lecz przyjęli je z radością, bo mało mieli tam rozrywek w samotności, która trwała przez miesiąc, dopóki uroczysty pochód nie przyprowadził nowej oblubienicy do domu boga. Jeżeli już czemuś się dziwili, to temu, że sam jeden zostałem, by czekać na Mineę. Byłem jednak cudzoziemcem, więc uważali mnie za głupca i pili moje wino. A kiedy zobaczyłem, że i kapłan przyłączył się do nich, poszedłem do Kaptaha i powiedziałem:

– Bogowie postanowili, że musimy się teraz rozstać, bo Minea nie wróciła i nie przypuszczam, by wróciła, jeśli po nią nie pójde. Ale dotychczas jeszcze nikt, kto wszedł do tego ciemnego domu, nie wrócił, toteż należy oczekiwać, że i ja nie powrócę. Dlatego najlepiej będzie, gdy schowasz się w lasku, a jeśli do rana nie wrócę, pójdziesz sam do miasta. Gdyby cię ktoś o mnie pytał, powiesz, że spadłem z urwiska do morza, lub powiesz, co sam uznasz za stosowne, bo potrafisz takie rzeczy wymyślać lepiej niż ja. Jestem tak pewny, że nie powrócę, że skoro chcesz, możesz odejść nawet zaraz. Masz tu tabliczkę glinianą z moją syryjską pieczęcią. Możesz z nią pojechać do Syrii i podjąć tam moje pieniądze z domów handlowych. Jeśli chcesz, możesz także sprzedać mój dom w Simirze. Dokonawszy tego będziesz wolny i będziesz mógł robić, co zechcesz.

A jeśli boisz się, że w Egipcie złapią cię jako zbiegłego niewolnika, zostań w Simirze, zamieszkaż w moim domu i żyj za moje pieniądze, jak ci się podoba. Nie potrzebujesz się nawet troszczyć o zabalsamowanie mojego ciała, jeśli bowiem nie znajdę Minei, obojętne mi będzie, czy ciało moje zachowa się, czy też nie. Byłeś mi wiernym sługą, mimo że nieraz nużyłeś mnie swoim trajkotaniem, i dlatego żałuję, że może zbyt często i zbyt mocno biłem cię kijem. Sądzę jednak, że to było zdrowo dla ciebie, i robiłem to w dobrych zamiarach, toteż myślę, że nie żywisz do mnie urazy. Idź więc i niech skarabeusz przyniesie ci szczęście. Możesz go zabrać z sobą, jako że wierzysz w niego więcej niż ja. Ja bowiem nie przypuszczam, żebym potrzebował go tam, dokąd się udaję.

Kaptah długo milczał i nie patrzył na mnie, a w końcu rzekł:

– Panie, wcale nie mam do ciebie urazy, choć czasem biłeś mnie niepotrzebnie mocno kijem, bo robiłeś to w dobrej myśli i stosownie do swego rozsądku. Częściej jednak słuchałeś moich rad i często także zwracałeś się do mnie raczej jak do przyjaciela niż do sługi i niewolnika, tak że niekiedy martwiłem się o twoją godność, dopóki kij znowu nie przywrócił ustanowionej przez bogów różnicy między nami. Ale ta Minea jest moją panią, ponieważ postawiłem sobie jej małą stópkę na głowie, i ja więc poczuwam się do odpowiedzialności za nią jako jej sługa. Także i w innym razie nie mógłbym ci pozwolić samemu wstąpić do tego ciemnego domu z wielu rozmaitych powodów, których nie chcę tu teraz wyliczać. Jeśli więc jako sługa nie mogę ci tam towarzyszyć, ponieważ rozkazałeś mi stąd odejść, a ja muszę słuchać twoich poleceń, nawet gdy są głupie, to pójdę z tobą jako przyjaciel, ponieważ nie mogę ciebie zostawić samego, a już tym bardziej bez skarabeusza, jakkolwiek tak jak ty uważam, że nawet skarabeusz nie może nam pomóc w tej sprawie.

Mówił to tak poważnie i z takim rozsądkiem, że go nie poznawałem. I już nie narzekał tak jak dawniej. Ja jednak uważałem za szaleństwo, by dwóch szło na śmierć tam, gdzie wystarczał jeden. Powiedziałem mu to i wezwałem, żeby postąpił tak, jak każe, i zaprzestał głupiej gadaniny. Ale on odparł z uporem:

– Jeśli nie pozwolisz mi pójść z tobą, pójdę za tobą, w tym nie możesz mi przeszkodzić. Wolałbym jednak iść z tobą, bo bardzo boję się ciemności. Także i z innych względów lękam się tego ciemnego domu tak bardzo, że gdy o tym pomyślę, robię się cały jak z galarety. Toteż mam nadzieję, że pozwolisz mi zabrać dzban wina, żebym mógł po drodze napić się czasem dla otuchy. Boję się bowiem, że inaczej zacznę krzyczeć ze strachu i będę ci w ten sposób przeszkadzał. Nie warto zaś, żebym brał jakąś broń, bo jestem człowiekiem dobrodusznym i nie cierpię rozlewu krwi. Zawsze

więcej ufałem swoim nogom niż broni, tak, że jeśli zamierzasz walczyć z bogiem, będziesz to musiał załatwić sam, ja zaś będę się przyglądał i dodawał ci otuchy radami.

– Przystań pleść – powiedziałem. – Zabierz dzban wina, jeśli chcesz, ale chodźmy już wreszcie, bo zdaje mi się, że strażnicy pozasypiali, zmożeni winem, do którego domieszałem makowego soku.

Strażnicy spali już istotnie ciężkim snem, także kapłan spał, tak że bez trudności udało mi się zabrać klucz do furtki Minotaura z miejsca, w którym go widziałem w domu kapłana. Wzięliśmy też z sobą miskę żaru i pochodnie, których jednak na razie nie zapalaliśmy, ponieważ w świetle księżycy wszystko dobrze było widać. Mała furtka łatwo dała się otworzyć naszym kluczem, wstąpiliśmy więc do domu boga i zamknęliśmy furtkę za sobą, i w ciemności usłyszałem, jak zęby Kaptaha dzwonią o brzeg dzbana z winem.

ROZDZIAŁ 5

Gdy Kaptah dodał sobie odwagi winem, powiedział ochryłym głosem:

– Panie, zapalmy pochodnię, bo z zewnątrz światła nie widać, ta ciemność zaś gorsza jest od ciemności państwa umarłych, którego nikt nie może uniknąć, podczas gdy tu wstąpiliśmy z własnej woli.

Rozdmuchałem więc żar i zapaliłem pochodnię, i zobaczyliśmy, że znajdujemy się w wielkiej pieczarze, do której wejście zamykały owe miedziane wrota. W pieczarze tej brało początek dziesięć korytarzy, które szły w różnych kierunkach i oddzielone były od siebie potężnymi ceglanymi murami. Ja jednak byłem na to przygotowany, słyszałem bowiem, że król Krety mieszka w labiryncie, a kapłani w Babilonie nauczyli mnie, że labirynt buduje się na wzór kiszek zwierząt ofiarnych. Toteż sądziłem, że powinniśmy znaleźć właściwą drogę, bo niejedną raz oglądałem przy ofiarach kiszki byków i przypuszczałem, że labirynt kreteński z pewnością zbudowano niegdyś na wzór wnętrzości byków. Wskazałem więc Kaptahowi korytarz leżący na samym skraju i powiedziałem:

– Tędy pójdziemy!

Ale Kaptah rzekł:

– Nie musimy chyba specjalnie się śpieszyć, a ostrożność nigdy nie zawadzi. Toteż lepiej upewnić się, że nie zbłądzimy, a przede wszystkim, że znajdziemy powrotną drogę, jeśli w ogóle będziemy wracać, w co wątpię, bo się bardzo boję, że to nam się nie uda. – To mówiąc wy dobył z woreczka kłębek przędzy i przywiązał nić do kawałka kości, który wbił mocno między cegły. Pomysł jego był w swej prostocie tak mądry, że sam nigdy bym na niego nie wpadł. Nie powiedziałem mu jednak tego, żeby nie stracić

w jego oczach godności. Poprosiłem go tylko gniewnie, żeby się pośpieszył, po czym wstąpiłem w kręte korytarze ciemnego domu, odtwarzając w pamięci układ kiszek w brzuchu byka, a Kaptah rozwijał kłębek przędzy, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód.

Krażyliśmy w ciemnościach, bez końca idąc różnymi korytarzami, a przed nami otwierały się wciąż nowe. Czasem zawracaliśmy, natrafiwszy na ścianę, i szliśmy w innym kierunku, aż nagle Kaptah stanął i zaczął węszyć w powietrzu. Zęby mu szczękały, a pochodnia chwiała mu się w dłoni, gdy się odezwał:

– Panie, czy nie czujesz woni byków?

Także i ja czułem wyraźnie wstrętny smród, przypominający woń byków, choć jeszcze okropniejszy. Smród ten zdawał się wychodzić z samych murów, pomiędzy którymi szliśmy, jak gdyby cały labirynt był jedną olbrzymią stajnią byków. Kazałem jednak Kaptahowi iść dalej i nie węszyć, a gdy pociągnął sobie zdrowo z dzbana, ruszyliśmy śpiesznie naprzód. Nagle stopa pośliznęła mi się na czymś, a schyliwszy się zobaczyłem, że jest to zmurszała kobieca czaszka, na której jeszcze były włosy. Ujrawszy to wiedziałem już, że nie zobaczę Minei żywą, ale niedorzeczny pęd, by uzyskać pewność, gnał mnie naprzód, tak że szturchnąłem Kaptaha, by nie jęczał, i poszliśmy dalej rozwijając kłębek przędzy, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód. Wnet jednak znowu natrafiliśmy na ścianę i musieliśmy zawrócić, żeby wejść w nowy korytarz.

Nagle Kaptah zatrzymał się i pokazał na coś przed nami, a rzadkie włosy zjeżyły mu się na głowie, twarz zaś ściągnęła strachem i pobladła. Wtedy zobaczyłem, że na ziemi przed nami walają się wysuszone odchody bydłce. Ale kupa tych odchodów sięgała wysokości człowieka, tak że jeśli je zostawił po sobie jakiś byk, musiał to być byk tak ogromny, że nawet nie można było sobie tego wyobrazić. Kaptah odgadł moje myśli i rzekł:

– To nie mogą być odchody byka, bo taki byk nie zmieściłby się w tych korytarzach. Zdaje mi się, że to kał olbrzymiego węża. – I czym prędzej pociągnął głęboko z dzbana, a zęby dzwoniły mu o brzeg naczynia.

Ja zaś pomyślałem, że te korytarze były istotnie jakby specjalnie przystosowane do ruchów olbrzymiego węża, i przez chwilę miałem ochotę zawrócić. Ale znowu przyszła mi na myśl Minea i ogarnęła mnie beznadziejna rozpacz, ruszyłem więc naprzód, ciągnąc za sobą Kaptaha i ściskając w spoczonej dłoni nóż, choć wiedziałem, że to się na nic nie przyda.

W miarę jak szliśmy naprzód, smród w korytarzach stawał się coraz okropniejszy i bił w nas, jak gdyby odorem z olbrzymiego otwartego grobu, tak że wnet oddychanie

stało się prawie niemożliwe. Ale dusza moja radowała się, bo wiedziałem, że niedługo staniemy u celu. Pędziliśmy naprzód, dopóki w korytarzu nie zrobiło się szarawo, jak gdyby dochodził tam odbłask jakiegoś dalekiego światła. Byliśmy już we wnętrzu góry, a korytarze z murowanych zmieniły się w kute w miękkim kamieniu. Chodnik zniżał się w dół. Potykaliśmy się o ludzkie kości i kupy odchodów jak w gnieździe jakiegoś olbrzymiego potwora. W końcu otwarła się przed nami ogromna pieczara i stanęliśmy nad spadającym w wodę urwiskiem otoczeni ohydny smrodem.

Do pieczary dostawało się światło od morza. W okropnym zielonkawym półmroku mogliśmy bowiem rozejrzeć się dokoła bez pochodni, a gdzieś w oddali słychać było fale dudniące o skały. Przed nami, na powierzchni wody, pływało coś, co przypominało sznur olbrzymich skórzanych worów, dopóki oko przywyknąwszy nie pojęło, że na wodzie leży martwe zwierzę, większe i bardziej przerażające, niż to sobie można wyobrazić, i wydzielające wstrętny odór zgnilizny. Zanurzona w wodzie głowa potwora przypominała istotnie łeb ogromnego byka, korpus zaś był jak ciało straszliwego węża, gdy tak lekko kołysał się na wodzie. Wiedziałem, że oglądam boga Krety, ale wiedziałem również, że ten straszliwy potwór od miesiący już nie żył. Gdzie zatem była Minea?

Zaraz przyszedli mi też na myśl wszyscy, którzy przed nią poświęceni zostali bogu i wstąpili do domu boga, nauczywszy się wprzód tańczyć przed bykami. Pomyślałem o młodzieńcach, którym nie wolno było dotknąć kobiety, i o dziewczętach, które musiały zachować swoje dziewictwo, by móc dostąpić boskiego światła i radości, pomyślałem też o ich czaszkach i kościach walających się w korytarzach ciemnego domu i o potworze, który ścigał ich po chodnikach labiryntu zagradzając im drogę swoim straszliwym ciałem, tak że ani skoki, ani inne sztuczki stosowane wobec byków nie przydawały im się na nic. Potwór żywił się ludzkim ciałem i zadowalał jedną ucztą na miesiąc, a ucztę tę dawali mu w ofierze władcy Krety w postaci najpiękniejszych dziewczic z wyspy i najładniejszych młodzianków, wyobrażając sobie, że w ten sposób potrafią zachować panowanie na morzu. Z jakiejś okropnej morskiej głębin potwór ten z pewnością zapędzony został niegdyś przez burzę do owej pieczary, skąd zamknięto mu drogę odwrotu i gdzie mu zbudowano ten labirynt, w którym karmiono go ofiarami, dopóki nie zdechł. I drugiego takiego potwora nie można już było znaleźć na świecie. Gdzie więc była Minea?

Obłąkany z rozpaczy wołałem jej imię, aż echo rozlegało się w pieczarze, dopóki Kaptah nie wskazał na podłogę, gdzie na kamieniach widać było ślady zaschniętej krwi. Prowadziły w dół i gdy wpatrzyłem się w wodę, zobaczyłem tam ciało Minei, a raczej to, co jeszcze z niej pozostało. Zwłoki poruszały się leniwie na dnie wleczone przez

morskie kraby, które żarłocznie szarpały z niego z wszystkich stron ochłapy, tak że Minea nie miała już twarzy i rozpoznałem ją tylko po srebrnej siateczce na włosach. I nie potrzebowałem szukać rany od miecza w jej piersi, by wiedzieć, że to Minotauros przyprowadził ją tutaj, przebił z tyłu mieczem i rzucił do wody jej zwłoki, aby nikt się nie dowiedział, że bóg Krety nie żyje. Tak samo zrobiono z pewnością z wielu innymi młodzieńcami i dziewczętami przed Mineą.

Gdy zobaczyłem i zrozumiałem to wszystko, z gardła wydarł mi się straszliwy okrzyk, upadłem na kolana i straciłem przytomność. Z pewnością stoczyłbym się z urwiska, gdyby Kaptah nie chwycił mnie w ramiona i nie zawłókł w bezpieczne miejsce, jak mi o tym później opowiedział. Od tej pory wiem bowiem tylko to, co mi opowiadał Kaptah, tak głębokie i miłosierne było omdlenie, które mną owładnęło z lęku, męki i rozpaczy.

Kaptah opowiadał, że długo biadał nad moim ciałem sądząc, że i ja umarłem, że płakał także z powodu Minei, dopóki nie wrócił do rozsądku i pomacawszy moje ciało nie stwierdził, że żyję. Pomyślał wtedy, że choć nie da się już nic zrobić dla Minei, to może przynajmniej uda mu się uratować mnie. Mówił też, że widział trupy zabitych przez Minotaura innych młodzieńców i dziewcząt, z których kraby odarły całe ciało, tak że kości ich leżały gładkie i białe na piaszczystym dnie morskim. Ale może mówił to tylko, aby mnie pocieszyć. Opowiadał, że smród zaczął go dławić, a gdy zmiarkował, że nie potrafi naraz dźwigać mnie i dzbana z winem, wypił rezolutnie resztę wina i wrzucił dzban do wody, a wino dało mu tyle sił, że udało mu się na wpeł dźwigając, a na wpeł wlokąc zaciągnąć mnie do miedzianych wrót. Szedł za nitką przędzy, którą rozwijał za sobą w drodze do pieczary. Aby nie zostawić żadnego śladu naszej bytności w labiryncie, postanowił po namyśle zwinąć tę nitkę w drodze powrotnej. Mówił, że w świetle pochodni widział na ścianach i w rozgałęzieniach korytarzy tajemne znaki, z pewnością porobione tam przez Minotaura, aby można było znaleźć właściwy kierunek i nie zbłądzić. Dzbana od wina wrzucił Kaptah do wody, żeby Minotauros miał się czemu zdumiewać za następnym razem, gdy dokonywać będzie swego katowskiego dzieła.

Świtało już, gdy wyniósł mnie na świat i zamknął za sobą furtkę, a klucz położył na miejscu w domu kapłana. Strażnicy i kapłan wciąż jeszcze spali, odurzeni winem. Zaniósł mnie do kryjówki w zaroślach nad brzegiem strumyka, obmył mi twarz wodą i nacierał mi dłonie, dopóki nie odzyskałem przytomności. Ale i dalej nic sobie nie przypominam, bo – jak mówił Kaptah – byłem zupełnie oszołomiony i nie mogłem mówić, tak że dał mi uspokajający środek. Do pełnej przytomności wróciłem dopiero znacznie później, kiedy znajdowaliśmy się już blisko miasta, dokąd prowadził mnie

podpierając. Od tej chwili przypominam już sobie znowu wszystko.

Nie pamiętam jednak, żebym odczuwał jakąś mękę, i nie myślałem już o Minei, lecz była ona tylko dalekim cieniem w mojej duszy, jak gdybym spotkał ją gdzieś w odległym minionym życiu. Myślałem natomiast o tym, że bóg kreteński nie żyje i że według przepowiedni potęga Krety upadnie. I wcale mnie to nie smuciło, choć mieszkańcy Krety okazali mi życzliwość, ich uciechy perliły się jak piana na brzegu morza, a także ich sztuka grała wszystkimi barwami tęczy jak piana na brzegu morza. Gdy zbliżaliśmy się do miasta, odczułem radość na myśl, że te lekkie, piękne budynki staną pewnego dnia w płomieniach, a rozpustne krzyki kreteńskich kobiet przemienią się w krzyki śmiertelne, że złota bycza głowa Minotaura zostanie splaszczona młotem i powalkowana przy podziale łupów i że nie zostanie nic z potęgi Krety, lecz wyspa zanurzy się w odmętach morza, z których niegdyś wynurzyła się razem z morskim potworem o łbie byka. Myślałem też o Minotaurze i nie życzyłem mu nic złego, bo śmierć Minei była lekka. Nie potrzebowała umykać przed morskim bykiem skacząc i wyteżając całą swoją zręczność, lecz umarła tak, że prawie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Myślałem o tym, że Minotauros był jedynym człowiekiem, który wiedział, że bóg kreteński nie żyje i że Kreta ulegnie zagładzie, i rozumiałem, że niełatwo mu było dźwigać tę tajemnicę. Nie przypuszczam też, by tajemnica ta była dlań łatwa do dźwignania nawet wtedy, gdy potwór jeszcze żył, a on posyłał miesiąc po miesiącu i rok po roku najpiękniejsze dziewczęta i młodzieńców swego kraju do ciemnego domu boga i wiedział, co się tam z nimi działo. Nie, nie myślałem źle o Minotaurze, lecz śpiewałem i śmiałem się głupio, gdym szedł podpierany przez Kaptaha, tak że łatwo mu było mówić spotykanym przez nas przyjaciółom Minei, że wciąż jeszcze jestem pijany i że nie doczekałem się powrotu Minei. A im łatwo to przychodziło zrozumieć, bo byłem cudzoziemcem i nie znałem obyczajów tego kraju dostatecznie dobrze, i nie wiedziałem, jakim barbarzyństwem było pokazywać się po pijanemu w świetle dnia. W końcu Kaptahowi udało się wynająć lektykę, w której zaniósł mnie do gospody, gdzie opilem się wina, a potem zasnąłem głęboko i na długo.

Kiedy się zbudziłem, czułem się bardzo trzeźwy i przytomny, i daleki od wszystkiego, co się wydarzyło. Pomyślałem znowu o Minotaurze i pomyślałem, że mógłbym pójść i zabić go, ale wiedziałem, że nie miałbym z tego żadnego pożytku ani radości. Pomyślałem też, iż mógłbym ludziom w porcie wyjawić, że bóg kreteński nie żyje, tak by mogli spustoszyć miasto ogniem i mieczem, ale i to nie dałoby mi żadnego pożytku ani radości. Myślałem dalej, że opowiadając prawdę mógłbym uratować życie wszystkim tym, którzy już wyciągnęli i w przyszłości wyciągną los, by wstąpić do

domu boga, wiedziałem jednak, że prawda jest jak obnażony nóż w rękach dziecka i że obraca się ona przeciwko temu, kto ją przynosi.

Toteż pomyślałem, że kreteński bóg nie obchodzi mnie, ponieważ jestem cudzoziemcem, i że już i tak nigdy nie odzyskam Minei. Kraby i raki do czysta obgryzą jej drobne kości i będzie spoczywać na piaszczystym dnie morza po wieczne czasy. Pomyślałem, że wszystko to było zapisane w gwiazdach jeszcze przed dniem mego urodzenia i że przyszedłem na świat w okresie zmiernicy, gdy bogowie umierają i wszystko staje się inne niż przedtem, kiedy kończy się jeden rok światowy i zaczyna nowy. Myśl ta przyniosła mi pociechę i dużo o tym mówiłem z Kaptahem. Kaptah jednak twierdził, że jestem chory, i prosił, żebym wypoczywał i z nikim się nie spotykał, gdyż ja chciałem o tych rzeczach rozmawiać także z innymi.

W ogóle Kaptah obrzydł mi wielce w ciągu tych dni, bo nieustannie pchał we mnie jedzenie, choć wcale nie byłem głodny i najchętniej byłbym się zadawał tylko winem. Cierpiałem bowiem na ustawiczne pragnienie, które tylko wino mogło ugasić. I najspokojniejszy, pełen największej wyrozumiałości byłem właśnie w takich chwilach, gdy dzięki winu wszystko dwoiło mi się w oczach. Wiedziałem wtedy, że może nic nie jest takie, na jakie wygląda, bo ten, kto pije wino, widzi wszystko podwójnie, gdy sobie dobrze podpije, i choć wie, że to nieprawda, dla niego jest to prawdziwe. Tak też wyglądała w mojej opinii wszelka prawda, kiedy jednak cierpliwie i z opanowaniem usiłowałem wytłumaczyć to Kaptahowi, on wcale mnie nie słuchał, lecz prosił, żebym dla uspokojenia położył się na wznak i zamknął oczy. Ja jednak uważałem, że jestem zupełnie spokojny i zimny jak martwa ryba w słoju z oliwą, i nie chciałem zamykać oczu, ponieważ wtedy widziałem różne nieprzyjemne rzeczy, jak na przykład objedzone do białości kości ludzkie w zgniłej wodzie i niejaką Mineę, którą znałem kiedyś, tańczącą kunsztowny i bardzo trudny taniec przed wężem o głowie byka. Dlatego nie chciałem zamykać powiek i sięgałem po kij, żeby zbić Kaptaha, bo miałem go już dość, ale ręka moja tak osłabła od wina, że z łatwością wyrwał mi kij z dłoni. Także mój drogocenny nóż, który dostałem w darze od hetyckiego nadzorca portowego, Kaptah ukrył, tak że nie mogłem go znaleźć w chwilach, gdy chętnie byłbym oglądał krew płynącą z moich przegubów.

Kaptah był też tak bezczelny, że nie przywołał do mnie Minotaura, choć wiele razy usilnie go o to prosiłem. Chciałem bowiem rozmawiać z Minoturem i zdawało mi się, iż jest to jedyny człowiek na świecie, który potrafi w pełni mnie zrozumieć i pojąć moje wielkie myśli o bogach, o prawdzie i o złudzeniach. Kaptah nie przyniósł mi też krwawej głowy byka, żebym mógł z nią pogadać o bykach, o morzu i o tańcach przed

bykami. Nawet tak małej prośby nie chciał Kaptah spełnić i dlatego miałem go już powyżej uszu.

Dopiero teraz zrozumiałem, że byłem wówczas naprawdę chory. Nie potrafię nawet zebrać wszystkich myśli, które wtedy przewijały mi się przez głowę, bo także wino odbierało mi przytomność umysłu. Sądzę jednak, że to właśnie miłosierne wino uratowało mnie od utraty rozumu i pomogło przetrwać najgorszy okres, jaki zaczął się, gdy utraciłem na zawsze Mineę i wiarę w bogów i w ludzką dobroć.

Tak to wraz z winem ulatniało się coś ze mnie w taki sam sposób jak wówczas, gdy będąc jeszcze chłopcem zobaczyłem, jak kapłan Amona w najświętszym przybytku pluje w twarz boga i wyciera ją rękawem. Rzeka życia zatrzymała się w swym biegu i rozlała znowu w szeroki staw, piękny na powierzchni i odbijający gwiazdy i niebo, ale o płytkiej wodzie i o dnie pokrytym błotem i brudem, gdy wetknąć w nie łaskę.

Aż przyszedł pewien poranek, gdy zbudziwszy się w gospodzie zobaczyłem, że Kaptah siedzi w kącie i cicho płacze, trzymając się oburącz za głowę. Drżącymi rękami przechyliłem do ust dzban z winem, a napiwszy się powiedziałem gniewnie:

– Dlaczego płaczesz, ty psie? – Po raz pierwszy od wielu dni przemówiłem do niego, tak mi się sprzykrzyła jego opieka i jego głupota. Podniósł głowę i odparł:

– W porcie stoi statek gotowy, by odpłynąć do Syrii, i jest to podobno ostatni statek, który wyrusza tam przed ciężkimi zimowymi burzami. Tylko dlatego płaczę.

– Biegnij więc na twój statek, zanim cię znowu zbiję kijem – burknąłem. – Żebyś już nie widział twego wstrętnego oblicza i nie słyszał twego ustawicznego jęczenia i narzekania. – Ale powiedziawszy to zląkłem się samego siebie i odtrąciłem dzban z winem. Odczułem bowiem ogromną pociechę na myśl, że istniał przynajmniej jeden człowiek zależny ode mnie, choć był to tylko zbiegły niewolnik.

On zaś powiedział:

– Doprawdy, panie mój, także i mnie już obrzydło twoje pijaństwo i upodlenie, tak że wino straciło moc w moich ustach, w co nigdy nie byłbym uwierzył, i nie chce mi się nawet ciągnąć piwa przez trzcinę z dzbana. To, co umarło, nie żyje i nie powróci, i moim zdaniem byłoby najlepiej, żebyśmy się stąd zabrali, dopóki można. Twoje złoto, srebro i wszystko, co zyskałeś w podróży, wyrzuciłeś za okno, do rynsztoka. I nie przypuszczam, żebyś twoimi drżącymi dłońmi potrafił kogoś jeszcze uleczyć, bo ledwie zdołasz utrzymać w nich dzban z winem. Muszę przyznać, że zrazu uważałem za dobre, że pijesz wino, żeby się uspokoić, nawet zachęcałem cię do picia i łamałem wciąż nowe pieczęcie na nowych dzbanach wina, pijąc wraz z tobą. Chełpiłem się też przed innymi mówiąc: „Patrzcie, jakiego mam pana! Pije jak hipopotam i bez wahania topi w winie

złoto i srebro, czerpiąc stąd wiele radości”. Ale teraz już się nie chełpię, lecz wstydę się za mego pana, bo wszystko ma swoje granice i moim zdaniem zawsze we wszystkim przesadzasz. Nie potępiłbym naturalnie człowieka, który upija się na umór, wdaje w bójkę na rogu ulicy i przynosi z niej guza na łbie. Jest to bowiem zwyczaj rozsądny, który wielką przynosi ulgę w najrozmaitszych troskach i zmartwieniach, i sam aż nazbyt często tak postępowałem. Ale przepicie należy leczyć rozsądnie piwem i soloną rybą, a potem wrócić do pracy, jak to postanowili bogowie i jak tego wymaga przyzwoity obyczaj. Natomiast ty pijesz tak, jakby każdy dzień był dniem ostatnim, i lękam się, że pijesz, aby umrzeć. Jeśli jednak chcesz to zrobić, to raczej się utop w beczce z winem, jest to bowiem szybszy a także przyjemniejszy sposób znalezienia śmierci, i nie ściągaj na siebie wstydu.

Zastanowiłem się nad jego słowami i obejrzałem swoje ręce, które były rękami lekarza, a które teraz trzęsły się, jak gdyby żyły swoim własnym życiem i jakbym ja już nie był ich panem. Pomyślałem o całej wiedzy, którą zebrałem w wielu krajach, i zrozumiałem, że wszelka przesada jest głupotą i że równie głupio jest stracić miarę w jedzeniu i picciu, jak w radości i smutku.

Toteż powiedziałem do Kaptaha:

– Niech będzie tak, jak mówisz, ale wiedz, że sam zdaję sobie jasno sprawę z wszystkiego, o czym przed chwilą mówiłeś, i że twoje słowa nie wpłynęły na moje postanowienie, lecz są dla mnie jak nudne brzęczenie much w moich uszach. Zaprzestam picia i przez jakiś czas nie tknę dzbana z winem. Doszedłem bowiem do jasnego zrozumienia siebie samego i chcę wyjechać z Krety i wrócić do Simiry.

Kaptah odszedł bez słowa i tegoż dnia wsiedliśmy na statek. Wioślarze zanurzyli wiosła w wodę i wyprowadzili statek z portu, przepływając obok dziesiątek i setek statków i obok kretańskich okrętów wojennych, których burty obramowane były miedzianymi tarczami. Wyszedszy z portu wciągnęli wiosła, a kapitan złożył w swej kajucie ofiary bogu morza i kazał podnieść żagle. Statek zakołysał się, fale uderzyły z hukiem o jego boki. Popłynęliśmy ku brzegom Syrii, a Kreta zniknęła za nami jak niebieska chmurka albo jak cień czy też sen i dokoła nas był tylko falujący przestwór morza.

KSIĘGA DZIEWIĄTA

OGON KROKODYLA

ROZDZIAŁ I

Tak to stałem się mężczyzną i nie byłem już młody, gdy wracałem do Simiry po trzyletniej tam nieobecności, zebrawszy dobre i złe wiadomości o wielu krajach. Wiatr morski przepędził mi z głowy opary wina, przywrócił na nowo jasność moim oczom i oddał członkom siłę, tak że jadłem i piłem, i byłem taki jak inni ludzie, choć nie mówiłem już tyle co inni, lecz stałem się jeszcze bardziej niż dawniej samotny. No cóż, z wiekiem męskim związana jest samotność, jeśli tak chce los, a ja byłem samotny i obcy na tym świecie od dzieciństwa, od czasu gdy łódka z sitowia przyniosła mnie do brzegu Nilu. Nie potrzebowałem więc przyzwyczajając się do samotności, jak to musi robić wielu, lecz samotność była dla mnie jak własny dom i jak łożo w ciemności.

Ale kiedy stałem na dziobie statku otoczony falującą zielonością morza, a wiatr przeganiał precz wszystkie moje głupie myśli, wciąż jeszcze widziałem gdzieś w dali parę oczu podobnych do blasku księżyca na powierzchni morza, z bardzo daleka słyszałem zagadkowy śmiech Minei. I widziałem, jak w lekkiej przepasce tańczy na glinianych klepiskach przy drogach Babilonu, młoda i smukła jak pęd sitowia. I obraz jej nie był już dla mnie źródłem troski czy przygnębienia, lecz jawiła mi się w duszy jak rozkoszna męka, podobnie jak to bywa, gdy rankiem po przebudzeniu przypomina się nocny sen, piękniejszy niż życie. Toteż myśląc o niej radowałem się, że dane mi było ją spotkać. I nie chciałem, żeby choć jedna z chwil, które z nią spędziłem, nie została przeżyta, bo wiedziałem, że moja miara byłaby o wiele bardziej skąpa, gdybym jej nie spotkał. Galion statku, rzeźbiony w drewnie i pomalowany, miał kształt głowy kobiecej i gdy tak stałem obok niego, twarzą pod wiatr, męskość kipiała we mnie siłą i wiedziałem, że w życiu zbliżę się jeszcze do niejednej kobiety, bo samotnemu zimno jest spać w łożu przez wszystkie swoje noce. Wierzyłem jednak, że wszystkie inne kobiety będą dla mnie tylko jak malowane, zimne drzewo i że obejmując je w ciemności będę tylko szukał w nich Minei. Będę szukał blasku księżyca w oczach, ciepła smukłego ciała, cyprysowego aromatu skóry, które by mi przypominały Mineę. Tak to zęgałem się z Mineą przy galionie mego statku.

W Simirze dom mój stał jak dawniej, choć złodzieje wyłamali okiennice i wynieśli wszystko, co się dało ukraść, a czego przed wyjazdem nie złożyłem na przechowanie

w magazynach domu handlowego. Tak długo mnie nie było, że sąsiedzi zaczęli używać placu położonego przed moim domem jako wysypiska na śmieci i ustępu, tak że smród był tam okropny, a szczury biegały po podłodze, gdy chodziłem po moich izbach zdejmując pajęczynę z drzwi. Sąsiedzi też nie ucieszyli się wcale z mojego powrotu, lecz odwracali się i mówili do siebie: – To Egipcjanin, a wszelkie zło pochodzi z Egiptu. – Toteż zatrzymałem się zrazu w gospodzie i kazałem Kaptahowi doprowadzić dom do takiego stanu, żebym mógł się tam osiedlić. Odwiedziłem też domy handlowe, gdzie miałem złożone pieniądze, albowiem po trzech latach podróży powróciłem do Simiry jako biedak i prócz tego, co sam zarobiłem swoją sztuką, straciłem też wszystko złoto otrzymane od Horemheba, duża część tego złota pozostała u kapłanów w Babilonie w związku z wykradzeniem Minei.

Bogaci armatorzy wielce się zdziwili na mój widok, spuścili nosy i ciągnęli się w zadumie za brody, bo już myśleli, że wszystko po mnie odziedziczą, skoro tak długo się nie zjawiam. Załatwili mi jednak wszystko uczciwie. I choć niektóre statki rozbiły się na morzu, tak że straciłem udział w nich ulokowany, to znów inne przyniosły bogaty zysk, gdy więc zliczono wszystko razem, okazało się, że jestem bogatszy, niż byłem przy odjeździe, i nie muszę się martwić, z czego będę żyć w Simirze.

Moi przyjaciele armatorzy zaprosili mnie jednak potem do siebie i poczęstowawszy winem i miodowym ciastem powiedzieli mi ze zwieszonymi nosami:

– Sinuhe, lekarzu, tyś nasz przyjaciel, ale jesteś Egipcjaninem, a nawet ci, którzy chętnie handlują z Egiptem, niechętnie widzą, gdy Egipcjanie zadomowiają się u nas. Bo lud sarka i żyma się na podatki, które musi płacić faraonowi. Nie wiemy, w jaki sposób to wszystko się zaczęło, ale zdarzały się już wypadki, że Egipcjan kamienowano na ulicy i do ich świątyń wrzucano padłe wieprze, a na ulicach ludzie nie chcą się pokazywać z Egipcjanami. Ty, Sinuhe, jesteś naszym przyjacielem i wysoce ciebie poważamy za twoją zręczność w leczeniu chorych, którą wciąż jeszcze dobrze pamiętamy. Dlatego też mówimy ci o tym wszystkim, żebyś miał się na baczności i stosownie do tego postępował.

Słowa ich wielce mnie zaskoczyły, bo przed moim wyjazdem ubiegano się w Simirze o przyjaźń z Egipcjanami i zapraszano ich do domów. I tak jak w Tebach naśladowano obyczaje syryjskie, tak w Simirze naśladowano obyczaje egipskie. Kaptah potwierdził mi jednak prawdziwość tych słów; wróciwszy wzburzony do gospody powiedział:

– Zły duch wlaź ludziom w Simirze pewnie przez dziurę w tyłku, bo zachowują się jak wściekłe psy i udają, że nie umieją już po egipsku. Wyrzucili mnie z piwiarni, do której wszedłem, gdy w gardle zaschło mi od kurzu, com się go nałykał spełniając

twoje polecenia, panie. Wyrzucili mnie, gdy spostrzegli, że jestem Egipcjaninem, i wykrzykiwali za mną brzydkie słowa, a dzieci rzucały oślim nawozem. Toteż byłem już mądrzejszy, gdym wstąpił do innej piwiarni, bo w gardle mi naprawdę zaschło, jakbym połknął worek otrąb, i tęskniłem za mocnym syryjskim piwem. Nic już tam nie mówiłem, choć trudno mi było zachować milczenie, jak o tym doskonale wiesz, bo język mój jest jak nieposkromione zwierzę, które nie chce zachować spokoju. Ale mądrość wzięła górę, wraz z innymi wetknąłem swoją trzcinę do dzbana z piwem nic się nie odzywając i przysłuchując się tylko ich rozmowie. Mówili, że Simira była dawniej wolnym miastem i nie płaciła nikomu podatków, i mówili, że nie chcą, by ich dzieci rodziły się jako niewolnicy faraona. Takie bzdury pletli, choć każdemu wiadomo, że Egipt osłania Syrię tylko dla dobra samej Syrii i nie ma z tego wielkiego pożytku, lecz niesamolubnie chroni Syryjczyków jednych przed drugimi, bo gdyby ich zostawił własnemu losowi, miasta syryjskie stałyby się jak dzikie kotki związane w worku, spierałyby się z sobą i prowadziły z sobą wojnę, i szarpałyby się nawzajem, tak że hodowla bydła i uprawa roli, i handel bardzo by na tym ucierpiały. Wie o tym każdy Egipcjanin, bo jako dziecko uczył się tego w szkołach, i nawet ja, choć wcale nie chodziłem do szkoły, a tylko siedziałem pod drzwiami szkoły czekając na nieznośnego szczeniaka, syna mego poprzedniego pana, który wiecznie kopał mnie po nogach i kłuł dotkliwie rylcem do pisania. Nie o tym jednak chciałem ci opowiadać, lecz powtarzam tylko to, co słyszałem w piwiarni. Ci Syryjczycy bowiem chępli się tam swoją siłą i rozmawiali o przymierzu wszystkich miast syryjskich, dopóki mnie, jako Egipcjanina, nie zaczęło wielce dławić od tej całej gadaniny, więc gdy gospodarz odwrócił się tyłem, poszedłem w swoją drogę, nie zapłaciwszy za piwo i złamawszy moją trzcinę do picia.

Nie trzeba było dużo chodzić po mieście, żeby stwierdzić, że prawdą było to, co opowiadał Kaptah. Nie napastowano mnie co prawda, bo nosiłem syryjskie szaty, ale ludzie, którzy mnie dawniej znali, odwracali się teraz ode mnie, gdy ich spotkałem, Egipcjanie zaś poruszali się po mieście pod ochroną straży. Mimo to naigrywano się z nich i obrzucano ich zgniłymi owocami i zdechłymi rybami. Ja jednak nie uważałem tego wszystkiego za zbyt groźne, sądząc, że ludzi w Simirze z pewnością rozjątrzyły nowe podatki, a takie wrzenie zazwyczaj szybko się uspokaja. Syria bowiem ciągnęła tyleż korzyści z Egiptu, ile Egipt z Syrii, a jak przypuszczałem, miasta nadbrzeżne nie będą sobie mogły długo dawać rady bez egipskiego zboża.

Toteż kazałem doprowadzić dom do porządku i przyjmowałem tam chorych, a pacjenci dowiedziawszy się, że wróciłem, przychodzili do mnie jak dawniej, bo męczarnie, choroby i bóle nie pytają o narodowość, lecz tylko o biegłość lekarza.

Spierali się jednak ze mną często i mówili:

– Ty, który jesteś Egipcjaninem, powiedz, czy to słuszne, że Egipt pobiera od nas podatki, ciągnie z nas korzyści i tuczy się na naszej biedzie jak pijawka, która wysysa krew. Także i egipski garnizon jest dla nas obelgą, bo potrafilibyśmy sami utrzymać porządek w naszym mieście i bronić się przed przeciwnikami, gdyby nam tylko dano sposobność po temu. Niesłuszne jest również, że nie wolno nam odbudować na nowo naszych murów i naprawić wież, mimo że bardzo tego pragniemy oraz chcemy ponieść koszty z tym związane. Nasi własni władcy potrafią chyba także rządzić nami dobrze i sprawiedliwie i Egipcjanie nie muszą się wtrącać do koronacji naszego księcia i do naszego wymiaru sprawiedliwości. Na Baala, bez Egipcjan kwitnęlibyśmy i powodziłoby się nam świetnie, lecz Egipcjanie żerują na nas jak szarańcza, a ich faraon narzuca nam przemocą nowego boga, przez co tracimy łaski naszych własnych bogów.

Nie miałem ochoty się z nimi spierać, mimo to jednak odpowiadałem:

– Przeciw komu chcecie budować mury i wieże, jeśli nie przeciw Egiptowi? To istotnie prawda, że wasze miasto było wolne w obrębie swoich murów za czasów waszych praojców, lecz wylewaliście krew i ubożeliście w nieskończonych wojnach z sąsiadami, których wciąż jeszcze nienawidzicie, a książęta wasi rządzili samowolnie, tak że ani bogaci, ani biedni nie czuli się wtedy bezpieczni. Dziś bronią was przed nieprzyjaciółmi egipskie tarcze i miecze, a egipskie ustawy zabezpieczają prawa zarówno bogatych, jak i biedoty.

Lecz oni podniecali się, oczy nabiegały im krwią, a nozdrza zaczynały drżeć, i mówili:

Błotem są dla nas wszystkie egipskie ustawy, a egipscy bogowie to dla nas okropność. Jeśli nawet nasi książęta rządzili despotycznie i niesprawiedliwie, w co nie wierzymy, bo to kłamstwo wymyślone przez Egipcjan, żebyśmy zapomnieli o naszej wolności, to jednak byli to nasi własni książęta i serce mówi nam, że niesprawiedliwość w wolnym kraju lepsza jest niż sprawiedliwość w kraju cierpiącym niewolę.

– Nie widzę u was żadnych oznak niewolnictwa – odpowiadałem. – Przeciwnie, opływacie we wszystko i sami się chełpicie, że się wzbogacie kosztem egipskiej głupoty. Gdybyście zaś byli wolni, płądrowalibyście sobie nawzajem statki i wycinali owocowe drzewa, i nigdy nie byłibyście pewni życia w podróżach do obcych krajów.

Oni jednak nie słuchali mnie, tylko ciskali mi do nóg swoje dary i odchodzili mówiąc:

– W sercu jesteś Egipcjaninem, choć nosisz szaty syryjskie. Każdy Egipcjanin to ciemniejąca i człowiek niesprawiedliwy. Jedyne dobre Egipcjanin to martwy Egipcjanin.

Wszystko to sprawiało, że nie czułem się już dobrze w Simirze, lecz zacząłem zbierać swoje mienie i przygotowywać się do wyjazdu stamtąd, bo stosownie do swojej obietnicy miałem spotkać się z Horemhebem i opowiedzieć mu, co widziałem we wszystkich krajach, które zwiedziłem. W tym celu musiałem pojechać do Egiptu. Nie śpieszyłem się jednak do tego, bo chwyciło mnie jakieś dziwne drżenie na samą myśl, że miałbym znowu pić wodę z Nilu. Pozwalałem więc, by czas płynął, a i w mieście trochę się uspokoiło, bo pewnego ranka znaleziono w porcie utopionego egipskiego żołnierza z poderżniętym gardłem i ludzie ogromnie się wystraszyli, i pozamykali w domach, gdy przywracano spokój. Ale kolonialni urzędnicy nie schwycili mordercy i nic z tego nie wynikło, tak że mieszkańcy miasta znowu wyszli z domów i zrobili się jeszcze bezczelniejsi i bardziej pyskaci, i już nawet nie zostawiali Egipcjanom miejsca na ulicach, lecz Egipcjanie musieli ustępować im z drogi i chodzić uzbrojeni.

Pewnego wieczoru, gdy w mroku wracałem do domu ze świątyni Isztar, którą niekiedy odwiedzałem, jak spragniony pije wodę nie bacząc na źródło, z którego ją czerpie, koło murów miasta wyszło ku mnie kilku mężczyzn, mówiąc do siebie: – Ten człowiek to Egipcjanin! Zaliż mamy ścierpieć, by ten obrzezaniec spał z naszymi dziewczycami i hańbił naszą świątynię?

Odpowiedziałem im:

– Wasze dziewice, które można by raczej nazwać całkiem innym imieniem, nie patrzą na ciało ani na narodowość mężczyzny, lecz mierzą dawaną przez siebie rozkosz złotem, które mężczyzna ma w swym mieszkaniu. I wcale ich za to nie ganię, ponieważ sam zwykłem się z nimi zabawiać i zamierzam to robić także i w przyszłości, kiedy mi się tak spodoba.

Wtedy zasłonili połami płaszczy twarze i rzucili się na mnie, obalili mnie na ziemię i zaczęli tłuc moją głową o mur, tak że myślałem, iż zginę. Kiedy jednak ograbili mnie i zaczęli ściągać ze mnie szaty, żeby rzucić moje ciało do wody, któryś z nich spojrzał mi w twarz i wykrzyknął: – Azaliż to nie Sinuhe, egipski lekarz i przyjaciel króla Aziru?! – A ja przyznałem, że jestem Sinuhe, i groziłem, że ich każe pozabijać i rzucić ich ciała psom na pożarcie, bo głowa bolała mnie okropnie i byłem taki wściekły, że zapomniałem o strachu. Wtedy puścili mnie wolno, oddali mi moje szaty i uciekli zasłaniając twarze połami płaszczy, a ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak zrobili, bo nie mieli żadnego powodu bać się moich pogroźek, gdyż byłem całkiem bezsilny i w ich mocy.

ROZDZIAŁ 2

W kilka dni potem na dziedziniec przed moim domem wpadł konny posłaniec, co było widokiem rzadkim i dziwnym, ponieważ Egipcjanin nigdy nie wsiada na konia,

a Syryjczyk robi to bardzo rzadko, i konno jeżdżą tylko dzicy rabusie z pustyni. Koń bowiem to zwierzę wysokie i dzikie, które kopie i gryzie, gdy ktoś próbuje wdrapać się na jego grzbiet, i które zachowuje się zupełnie inaczej niż osioł, przyzwyczajony do wszystkiego. Także zaprzężony do wozu koń jest zwierzęciem niebezpiecznym i nikt inny prócz specjalnie wyćwiczonych żołnierzy nie umie się z nim obchodzić, ci zaś poskramiają go, chwytając mocno za nozdrza. W każdym razie człowiek ów przyjechał przed mój dom na koniu, a koń był spieniony, z pyska ciekła mu krew i okropnie dyszał. Po szatach mężczyzny poznałem, że przybywa z gór, a z twarzy jego było widać, że wielce jest podniecony.

Podbiegł do mnie tak śpiesznie, że ledwie zdążył mi się pokłonić i dotknąć dłonią czoła, aby mnie pozdrowić, i zawołał wzburzony:

– Każ podać sobie lektykę, Sinuhe, i podąż za mną śpiesznie! Przybywa z kraju Amurru i przysłał mnie po ciebie król Aziru. Jego syn jest chory i nikt nie wie, co się chłopcu stało, a król szaleje jak lew na pustyni i łamie kości każdemu, kto mu się nawinie. Zabierz więc swą lekarską szkatułkę i choć ze mną szybko, bo inaczej podetnę ci gardło nożem i głowę twoją toczyć będę przed sobą po ulicy.

– Twój król niewiele będzie miał pożytku z mojej głowy, bo bez rąk nie zdoła ona uleczyć nikogo – odparłem. – Ale ja wybaczam ci niecierpliwe słowa i pójdę za tobą. Nie z powodu twoich pogroźek, ale dlatego, że król Aziru jest moim przyjacielem i chcę mu pomóc.

Kazałem Kaptahowi postarać się o lektykę i udałem się w ślad za posłańcem, ciesząc się w głębi serca, tak bowiem byłem samotny, że radowałem się nawet na spotkanie z Aziru, którego zęby kiedyś przydziałem w złoto. Ale przestałem się cieszyć, gdy dotarliśmy do przełęczy, bo tam wsadzono mnie wraz z szkatułką na wóz bojowy i ciągnięni przez dzikie rumaki popędziliśmy przez kamieniste zbocza i góry, tak że sądziłem, iż połamię wszystkie członki, i głośno się darłem ze strachu. Mój towarzysz został daleko w tyle na zmęczonym koniu i miałem nadzieję, że złamie sobie kark.

Po drugiej stronie góry przerzucono mnie z wozu bojowego do innego wozu, zaprzęzonego w świeże, wypoczęte konie. Nie wiedziałem, czy stoję na nogach, czy na głowie, i mogłem tylko wołać do woźniców: „Padlina! wszarze! gnojki!” i okładać ich pięściami, gdy na równiejszej drodze ośmieliłem się oderwać ręce zaciśnięte na krawędzi wozu. Oni jednak nie zwracali na nic uwagi, tylko szarpali za cugle i strzelali z biczów, tak że wóz skakał po kamieniach, a ja myślałem, że koła się poodrywają.

W ten sposób podróż do kraju Amurru nie trwała długo i jeszcze przed zachodem słońca dotarliśmy do miasta otoczonego nowo zbudowanymi, wysokimi murami.

Na murach przechadzali się żołnierze z tarczami, ale brama stała otworem na nasze przyjęcie i przelecieliśmy pędem przez miasto przy wtórze ryku osłów, lamentu kobiet i dziecięcych krzyków, miażdżąc pod kołami niezliczone dzbany i przewracając kosze z owocami, bo woźnice nie zważali, na kogo wpadają. Kiedy zdjęto mnie z wozu, nie mogłem chodzić, lecz zataczałem się jak pijany, tak że woźnice wnieśli mnie do domu Aziru trzymając pod pachy, zaś niewolnicy z moją lekarską szkatułką ledwie nadążali za nami. Doszliśmy jednak nie dalej jak do przedsionka, w którym pełno było tarcz i napierśników, piór i lwich ogonów wbitych na groty oszczepów, gdy zderzył się z nami Aziru, biegnący na spotkanie i ryczący jak ranny słoń. Podarł on na sobie szaty, we włosach miał popiół, a twarz porała paznokciami w krwawiące rany.

– Gdzieście tak marudzili, łobuzy, gnojki, ślimaki! – krzyczał rwąc kędzierzawą brodę, tak że złote wstążeczki, którymi była przeplatana, fruwały w powietrzu jak błyskawice. Okładał pięściami podtrzymujących mnie woźniców i ryczał przy tym jak dzikie zwierzę. – Gdzieście się włóczyli, podła hołoto, nie wiecie, że mój syn umiera!

Ale oni bronili się mówiąc:

– Zajeździliśmy wiele koni i pędziliśmy przez góry szybciej niż leci ptak. A największą zasługę ma w tym ten lekarz, którego przywieźliśmy, bo aż płonął z zapału, żeby przybyć tu jak najszybciej i wyleczyć twego syna. I zachęcał nas okrzykami, gdy ogarniało nas zmęczenie, i walił nas pięściami po grzbiecie, gdy pęd się zmniejszał. Nigdy nie spodziewalibyśmy się czegoś podobnego po Egipcjaninie, a drogi między Simirą a Amurru nikt nigdy nie przebył w krótszym czasie.

Aziru objął mnie mocno i wyszłochał:

– Wylecz mi syna, Sinuhe, ulecz mi go, a wszystko, co posiadam, będzie twoje.

Na co rzekłem:

– Pozwól mi naprzód zobaczyć twego syna, żebym wiedział, czy potrafię go wyleczyć.

Śpiesznie poprowadził mnie do wielkiej komnaty, gdzie misa z żarem promieniowała ciepłem mimo lata, tak że było tam gorąco i duszno. Pośrodku stała kołyska, a w niej dał się i krzyczał mały, najwyżej roczny chłopaczek, owinięty w wełniane pieluszki. Krzyczał tak, że zrobił się czarnosiny i na twarzyczce perliły mu się krople potu, a miał takie same czarne, gęste włosy jak jego ojciec, choć był jeszcze maleńki. Obejrzałem go i nie stwierdziłem, by mu coś brakowało, gdyby umierał, nie miałby siły tak wściekle się wydierać. Rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem, że na podłodze przy kołysce leży Keftiu, kobieta, którą kiedyś dałem Aziru na żonę. Była jeszcze tłustsza i bardziej biała niż przedtem, a potężne jej ciało kołysało się, gdy w rozpaczę biła głową o ziemię,

biadając i krzycząc. Po kątach komnaty krzyczały i biadały niewolnice i mamki, pokryte sińcami i guzami, które nabił im Aziru, gdyż nie umiały pomóc jego synowi.

– Bądź dobrej myśli, Aziru! – powiedziałem. – Twój syn nie umiera, ale nim go zbadam, chcę się oczyścić. I każ zabrać tę przeklętą misę z żarem, bo tu można się udusić.

Wtedy Keftiu podniosła szybko twarz znad podłogi i rzekła przerażona:

– Dziecko może się przeziębic. – Ale przyjrzawszy mi się uważniej, uśmiechnęła się, usiadła, poprawiła włosy i szaty i uśmiechnąwszy się znowu powiedziała:

– Tyżeś to, Sinuhe?

Aziru zaciskał ręce i mówił:

– Chłopak nie je, a gdy tylko coś zje, wymiotuje. Ciało ma gorące i od trzech dni prawie nic nie przełknął, tylko wciąż płacze, tak że serce mi pęka, gdy słyszę ten płacz.

Kazałem mu wypędzić mamki i niewolnice, a on pokornie mnie usłuchał, zapominając zupełnie, że jest królem. Oczyszcziwszy się, wyjąłem dziecko z wełnianych pieluszek i kazałem otworzyć okiennice, by świeże wieczorne powietrze weszło do komnaty. Dziecko uspokoiło się natychmiast, zaczęło kopać pulchnymi nóżkami i już nie płakało. Obmacałem jego ciało a zwłaszcza brzuszek, aż tknęło mnie jakieś przeczucie; wsunąłem mu palec do buzi. Domysł mój okazał się słuszny. Pierwszy ząbek wykłuwał się w szczęce dziecka jak biała perełka.

Wtedy powiedziałem z gniewem:

– Aziru, Aziru! A więc dlatego kazałeś przywlec tu dzikimi końmi najbiegłego lekarza w Syrii, bo nie chwaląc się mogę powiedzieć, że wiele się nauczyłem w podróży do różnych krajów. Nic nie brakuje twemu dziecku. Jest tylko trochę niecierpliwe i popędliwe jak jego ojciec. Miało może trochę gorączki, ale to już przeszło. A jeśli wymiotowało, to tylko żeby uratować sobie życie, boście je przekarmiali tłustym mlekiem. Czas już, żeby Keftiu skończyła chłopca karmić piersią i przyzwyczaiła do prawdziwego jedzenia. W przeciwnym razie odgryzie sutkę swojej matce, co, jak myślę, bardzo by cię zmartwiło, bo z pewnością wciąż jeszcze pragniesz rozkoszy z twą żoną. Wiedz, że twój syn płakał tylko z niecierpliwości przy wykłuwaniu się pierwszego ząbka, jeśli mi nie wierzysz, zobacz sam.

Otworzyłem dziecku buzię i pokazałem ząbek, a Aziru wpadł w radość, zaczął klaskać w dłonie i tańczyć wokoło, tak że podłoga dudniła pod jego ciężarem. Także i Keftiu pokazałem ząbek chłopca, ona zaś powiedziała, że jeszcze nigdy nie widziała takiego pięknego ząbka w ustach dziecka. A gdy chciała z powrotem je zawinąć w wełniane pieluszki, zabroniłem jej tego i owinąłem je tylko w chłodne płótno, żeby nie

zaziębiło się w wieczornym chłodzie.

Aziru dreptał dokoła nas, tańczył i śpiewał grubym głosem, i wcale nie był zawstydzony, że kazał mnie niepotrzebnie przywleć tu z tak daleka. Chciał koniecznie pokazać ząb swego syna dworzanom i dowódcom, zawołał nawet strażników z muru, żeby go obejrzeni. Cisnęli się koło kołyski chłopca i podziwiali go szczękając oszczepami i tarczami i usiłując wepchnąć brudne kciuki dziecka do ust, by namacać ząbek, dopóki nie przepędziłem ich z komnaty i nie wezwałem Aziru, by przypomniął sobie o swojej godności i żeby się opamiętał.

Zdumiał się i powiedział:

– Być może rzeczywiście straciłem opanowanie i niepotrzebnie narobiłem wiele wrzawy po kilku nocach czuwania przy jego kołysce z sercem ściśniętym z żalu od jego płaczu. Musisz jednak zrozumieć, że to mój syn i moje pierwsze dziecko, mój księżę, moje oczko w głowie, mój klejnot koronny, mój mały lewek, który kiedyś nosić będzie po mnie koronę Amurru i panować nad wielu ludami. Bo zamierzam naprawdę zrobić kraj Amurru wielkim, żeby syn mój miał co po mnie dziedziczyć i żeby sławił imię swojego ojca! Sinuhe, Sinuhe, nie wiesz, jak wdzięczny ci jestem, żeś mi zdjął ten kamień z serca, i naturalnie musisz przyznać, że nigdy jeszcze nie widziałeś takiego wspaniałego chłopca, choć podróżowałeś po wielu krajach. Spójrz choćby tylko na jego włosy, tę czarną lwią grzywę na jego głowie, i powiedz, czyś widział kiedy, by jakiś chłopak miał takie włosy w tym wieku. I sam widziałeś, że ten ząb jest jak perła, lśniący i bez żadnej skazy. A patrz na jego członki, na brzuszek podobny do małej bułeczki.

Miałem powyżej uszu jego gadaniny i odsyłałem go wraz z jego chłopcem do podziemnych otchłani mówiąc, że członki mam powykręcane ze stawów po tej okropnej jeździe i że wciąż jeszcze nie wiem, czy stoję na nogach, czy na głowie. On jednak udobruchał mnie kładąc mi ręce na ramionach i częstując rozmaitymi daniami na srebrnych półmiskach, pieczoną baraniną i kaszą prażoną w tłuszczu, i winem w złotym pucharze, tak że posiliwszy się wybaczyłem mu.

Przez wiele dni zostałem u niego jako gość i dawał mi bogate dary, a także złoto i srebro, bo skarby jego bardzo się powiększyły od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. W jaki jednak sposób jego biedny kraj stał się bogaty, tego nie chciał mi powiedzieć, śmiał się tylko półgębkiem w swoją kręcącą brodę i mówił, że żona, którą mu dałem, przyniosła mu szczęście. Również i Keftiu była dla mnie życzliwa i okazywała mi wielki szacunek – pewnie pamiętała jeszcze kij, którym tylokrotnie wystawiałem na próbę jędrność jej skóry – i chodziła za mną kołysząc okazałym ciałem i dźwięcząc ozdobami, patrząc na mnie przymilnie i uśmiechając się do mnie.

Białość i bujność jej ciała olśniewała także wszystkich wodzów Aziru, bo Syryjczycy w odróżnieniu od Egipcjan lubią tłuste kobiety, podobnie jak we wszystkich innych sprawach mają odmienne niż Egipcjanie obyczaje. Toteż poeci Amurru układali na jej cześć pieśni i śpiewali je na jękliwą nutę, wciąż powtarzając te same słowa, i nawet strażnicy na murach, śpiewali na jej chwałę, tak więc Aziru wielce był z niej dumny. Kochał ją tak gorąco, że tylko rzadko odwiedzał inne swoje żony, a i to robił z grzeczności, ponieważ wziął na żony córki wodzów szczepowych, aby w ten sposób związać wszystkich wodzów ze swoim tronem.

Dużo podróżowałem i znałem wiele krajów, odczuwał więc potrzebę chęłpienia się przede mną swoim królestwem i opowiadał mi rzeczy, których może później żałował. I tak dowiedziałem się, że ludźmi, którzy napadli na mnie w Simirze, aby wrzucić mnie do morza jako Egipcjanina, byli wysłani przez niego do Simiry podżegacze i że właśnie dzięki temu dowiedział się o moim powrocie. Ubolewał ogromnie nad tym wypadkiem, ale mówił:

– Zaiste trzeba rozbić łby wielu Egipcjanom i wielu egipskich żołnierzy wrzucić do morza, zanim Simira, Byblos, Sydon i Gaza wreszcie zrozumieją, że Egipcjanie nie są nietykalni i że także krew Egipcjanina daje się wytoczyć i życie opuszcza go, gdy mu się zrobi nożem dziurę w skórze. Syryjscy kupcy są bowiem irytująco ostrożni, a ich księżęta tchórzliwi, lud zaś leniwy jak woły. Jest zatem sprawą popędliwszych iść na czele i dawać przykład, pokazując, co dla nich korzystne.

– Dlaczego tak musi być i dlaczego tak bardzo nienawidzisz Egipcjan, Aziru? – zapytałem.

A on pogładził swą wijącą się brodę, uśmiechnął się do mnie chytrze i odparł:

– Kto mówi, że nienawidzę Egipcjan, Sinuhe? Przecież nie nienawidzę ciebie, choć jesteś Egipcjaninem. I jako dziecko wzrastałem w Złotym Domu faraona, tak jak przede mną mój ojciec i wszyscy księżęta Syrii. Toteż znam egipskie obyczaje i umiem czytać i pisać po egipsku, choć gdy byłem chłopcem, nauczyciele ciągnęli mnie za włosy i bili trzcina po palcach częściej niż innych swoich uczniów, ponieważ byłem Syryjczykiem. Ale naturalnie nie nienawidzę z tego powodu Egipcjan, bo w miarę jak rósł mój rozsądek, uczyłem się w Egipcie wielu mądrych rzeczy, które w swoim czasie będę mógł obrócić przeciw Egiptowi. Nauczyłem się tam, że ludzie światli uważają wszystkich za równych i że nie ma żadnej różnicy między ludami, a dziecko przychodzi na świat nagie bez względu na to, czy jest syryjskie, czy egipskie. Ani też nie jest jeden lud dzielniejszy lub tchórzliwszy, okrutniejszy czy bardziej miłosierny, sprawiedliwszy czy niesprawiedliwszy od drugiego, lecz we wszystkich ludach są bohaterowie i tchórze,

sprawiedliwi i niesprawiedliwi, tak w Syrii jak i w Egipcie. Ten, kto rządzi i rozkazuje, nie nienawidzi zatem nikogo i nie widzi żadnej różnicy między ludami, lecz nienawiść jest w ręku władcy potężną siłą, silniejszą niż broń, bez nienawiści bowiem ramiona nie mają dość siły, by podnieść broń. Urodzony jestem do rozkazywania, bo w moich żyłach płynie krew królów Amuru i lud mój, Hyksosi, panował ongiś nad wszystkimi ludami od morza do morza. Toteż robię, co tylko mogę, żeby posiać nienawiść między Syrią a Egiptem i żeby rozdmuchać ten żar, który bardzo powoli się rozżarza, ale gdy raz rozpłomieni się w stos, w ogniu jego zniszczona zostanie władza Egiptu w Syrii. Dlatego wszystkie szczepy i wszystkie miasta w Syrii muszą się nauczyć, że Egipcjanie są nędzniejsi, tchórzliwsi, bardziej niesprawiedliwi, bardziej chciwi i bardziej niewdzięczni niż Syryjczycy. Muszą się nauczyć spluwać na każdą wzmiankę o Egipcjanach i muszą się nauczyć traktować ich jak niesprawiedliwych ciemnoców, krwopijców, katów i hańbieli dzieci, aż wreszcie nienawiść ich stanie się dostatecznie silna, by przenosić góry.

– Ale przecież to wszystko nieprawda, jak sam przyznajesz? – zauważyłem.

Wzruszył ramionami i podniósłszy ręce do góry powiedział z uśmiechem:

– Co to jest prawda, Sinuhe? Gdy ich krew przesyci się dostatecznie tą prawdą, którą ja im podaję, będą przysięgać na wszystkich bogów, że jest ona prawdziwa, i nie będą wierzyć, gdy im ktoś powie, że to kłamstwo, lecz wytluką z niego życie jak z oszczerzy. Będą wierzyć, że są silniejsi, dzielniejsi i bardziej sprawiedliwi niż jakikolwiek inny lud na świecie, i będą wierzyć, że kochają wolność więcej, niż boją się śmierci, głodu i biedy, tak że za swoją wolność gotowi są zapłacić każdą cenę. Uczę ich tego i wielu już wierzy w moją prawdę, każdy zaś, kto uwierzy, nawracać będzie innych, dopóki prawda ta jak pożar nie obejmie całej Syrii. Prawdą jest też, że Egipcjanie przyszli niegdyś do Syrii niosąc ogień i krew, i że Egipcjanie zostaną dlatego przepędzeni z Syrii ogniem i krwią.

– Jaka jest ta wolność, o której im mówisz? – zapytałem, a słowa jego przejmowały mnie zgrozą ze względu na Egipt i na wszystkie egipskie kolonie, bo sam byłem Egipcjaninem.

Znowu podniósł ramiona w górę i uśmiechnął się łagodnie:

– Wolność to słowo o wielu znaczeniach i jeden rozumie przez nie to, drugi zaś co innego, ale wszystko to nie ma znaczenia, dopóki wolność nie jest osiągnięta. A żeby uzyskać wolność, trzeba wielu ludzi, ale gdy się wolność już zdobyło, najbezpieczniej jest nie dzielić jej z wieloma, lecz zachować dla siebie samego. Dlatego też ufam, że kraj Amuru nazywany będzie kiedyś kołyską wolności Syrii. Mogę ci też powiedzieć,

że lud, który wierzy we wszystko, co mu się mówi, jest jak trzoda bydła, którą kijami pędzi się przez bramę, albo jako stado owiec, które idą za baranem, nie zastanawiając się dokąd. Może to ja jestem tym, który pędzi trzodę bydła i prowadzi stado owiec.

– Zaiste wielki z ciebie barani łeb – powiedziałem – jeśli mówisz tak niebezpieczne rzeczy. Gdy faraon o tym się dowie, może wysłać przeciw tobie wozy bojowe i oszczepy i zburzyć twoje mury, i powiesić ciebie i twego syna głową w dół na dziobie wojennego okrętu, którym wracać będzie do Teb.

Ale Aziru uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Nie sędzę, żeby faraon był dla mnie groźny, bo przyjąłem z jego ręki znak życia i wzniosłem świątynię dla jego boga. Toteż ufa mi on bardziej niż komu innemu w Syrii i więcej niż swoim własnym posłom i dowódcom garnizonów, którzy czczą Amona. Pokażę ci coś, co z pewnością wielce cię ubawi.

Zaprowadził mnie na mur i pokazał mi wyschłe ciało wiszące na murze głową na dół, pokryte rojem much.

– Jeśli dobrze się przyjrzyysz – powiedział – zobaczysz, że człowiek ten jest obrzezany, prawdą jest też, że to Egipcjanin. Jest to nawet jeden z poborców podatków faraona, który ośmielił się przyjść do mego domu, żeby wywąchać, dlaczego podatki ode mnie od kilku lat zalegają. Moi żołnierze mieli dużo uciechy, nim go powiesili na murze z powodu jego czelności. W ten sposób osiągnąłem to, że Egipcjanie niechętnie podróżują przez kraj Amurru nawet dużymi grupami, a kupcy płacą daniny chętniej mnie niż Egipcjani. Co to znaczy, zrozumiesz, gdy ci powiem, że Megiddo jest w mojej mocy i słucha mnie, a nie egipskiego garnizonu, który chowa się w twierdzy i nie waży się już wychodzić na ulice miasta.

– Krew tego nieszczęsnego człowieka spadnie na twoją głowę! – wykrzyknąłem ze zgrozą. – Straszna będzie twa kara, gdy postępek twój stanie się głośny, bo ze wszystkiego można drwić w Egipcie, ale nie z poborców podatkowych faraona.

– Powiesiłem prawdę na murze, by ją oglądano – ciągnął Aziru z zadowoleniem. – Z powodu tej sprawy zarządzone liczne dochodzenia i z radością zapełniałem bazgraniną papirusy i gliniane tabliczki, aby sprawę wyświecić. Otrzymałem też w związku z nią liczne gliniane tabliczki, które przechowuję starannie ponumerowane, żeby móc z powołaniem się na nie wypisywać nowe gliniane tabliczki, dopóki z tabliczek tych nie zbuduję całego muru dla swojej ochrony. Na Baala, boga Amurru, zagmatwałem już tę sprawę tak, że namiestnik w Megiddo przeklina dzień, w którym się urodził, bo nieustannie dręczę go nowymi glinianymi tabliczkami i domagam się prawa, które ten poborca podatkowy naruszył. Z pomocą licznych świadków udowodniłem też, że

był to morderca i złodziej, który sprzeniewierzył pieniądze faraona. Wykazałem, że napastował on kobiety we wszystkich wioskach i że znieważał bogów syryjskich, a nawet wyszczał się na ołtarz Atona w moim mieście, co zapewnia mi w tej sprawie przychyłność faraona. Widzisz więc, Sinuhe, że prawo pisane na glinianych tabliczkach jest powolne i zawile i staje się coraz bardziej zawile, w miarę jak stos tabliczek piętrzy się przed sędzią, aż wreszcie sam zły duch nie potrafi się wyznać, co jest prawdą. W sprawach tych jestem mocniejszy od Egipcjan, a wnet będę silniejszy i w wielu innych.

Im więcej mówił, tym bardziej przypominał mi Horemheba, bo biła z niego taka sama męska siła i obaj byli urodzonymi wojakami, choć Aziru był starszy i zatruty syryjską polityką. Toteż nie sędzę, by potrafił on rządzić wielkimi ludami, lecz uważam raczej, że myśli jego i plany odziedziczone były po przodkach i zrodzone w czasach, kiedy Syria była jak syczące gniazdo węży, a mnóstwo drobnych królików wiodło z sobą niekończące się spory o władzę i mordowało się nawzajem, póki Egipt nie zaprowadził tam spokoju i synowie syryjskich książąt nie zaczęli się wychowywać w Złotym Domu faraona i nie zrobili się światli. Próbowałem mu wyjaśnić, że nie ma właściwego wyobrażenia o bogactwie i potędze Egiptu, i ostrzegałem go, by zbyt nie nadymał, bo nawet bukłak nabrzmiewa, gdy się go nadmucha powietrzem, ale gdy zrobić w nim dziurę, kłęśnie i traci imponujące rozmiary. Ale Aziru tylko śmiał się ze mnie i pokazując złote zęby kazał przynosić coraz to nowe pieczone jagnięta na ciężkich srebrnych półmiskach, żeby chełpić się swoim bogactwem.

Jego komnata pełna była glinianych tabliczek, tak jak mówił, a posłańcy przynosili mu wciąż listy z wszystkich miast Syrii. Otrzymywał także tabliczki od króla Hetytów i z Babilonu i jakkolwiek nie wyjawiał mi ich treści, nie mógł się oprzeć chęci chełpienia się nimi. Wypytywał mnie ciekawie o kraj Hetytów i o Hattusas. Ale zauważyłem, że wie o Hetytach tyle samo, co ja. Odwiedzali go też posłowie Hetytów, którzy prowadzili rozmowy z jego wojownikami i wodzami. Zobaczywszy to wszystko, powiedziałem do niego:

– Lew i szakal mogą zawrzeć z sobą przymierze i ścigać tę samą zdobycz, ale czyś widział kiedykolwiek, żeby szakal dostał najlepsze kaski?

Zaśmiał się tylko, szczerząc złote zęby, i odparł:

– Moja żądza wiedzy jest ogromna i chcę, tak jak ty, uczyć się wciąż nowych rzeczy, choć z powodu obowiązku władcy nie mogę podróżować po świecie, jak to robisz ty, nie ponosząc za nic odpowiedzialności i będąc wolnym jak ptaki niebieskie. I nie ma chyba nic złego w tym, że hetyccy oficerowie udzielają moim wodzom rad w sztuce wojennej, bo mają oni nowe rodzaje broni i duże doświadczenie, którego nam brakuje.

Jest to tylko z wielkim pożytkiem dla faraona, bo jeśli kiedyś dojdzie do wojny, to Syria od dawna stanowi tarczę dla Egiptu od północy i tarcza ta często była skrwawiona, o czym dobrze będziemy pamiętać, gdy kiedyś wyrównamy rachunki między Syrią i Egiptem.

Gdy mówił o wojnie, znów przypomniał mi się Horemheb i powiedziałem:

– Zbyt długo już korzystam z twojej gościnności i chcę wracać do Simiry, jeśli mi dasz lektykę, bo do twoich okropnych wozów bojowych nie wsiądę już nigdy, raczej każe sobie od razu roztrzaskać czaszkę. Simira jednak już mi obrzydła i jako Egipcjanin zbyt długo już chyba piłem krew z ubogiej Syrii, toteż zamierzam wrócić do Egiptu jakimś nadarzącym się statkiem. Tak więc chyba się już nie spotkamy przez długi czas, a może nawet nigdy, bo smak wody z Nilu wciąż żyje rozkosznie w moich ustach i może zostanie już tam na zawsze, by pić wodę z Rzeki, gdyż napatrzyłem się już dosyć zła na świecie i dodatkowo jeszcze od ciebie otrzymałem wiele nauk w tej dziedzinie.

A on rzekł:

– O dniu jutrzejszym nikt nic nie wie. Mech nie porasta na toczącym się kamieniu, a niepokój, który płonie w twoich oczach, nie pozwoli ci pewnie zatrzymać się dłużej w jakimś kraju. Wybierz sobie żonę, jaką tylko zechcesz, spośród mojego ludu, a zbuduję ci dom w moim mieście i nie będziesz musiał żałować, żeś tutaj został, żeby wykonywać swój zawód.

Lecz ja odparłem kąpiąco:

– Kraj Amurru to najgorszy i najbardziej znieawidzony kraj na świecie. Jego bóg, Baal, jest dla mnie czymś okropnym, a kobiety cuchną tu jak kozy. Toteż wzniosę mur nienawiści między sobą a krajem Amurru i rozbiję łeb każdemu, kto będzie mówił o Amurru, i zrobię jeszcze wiele innych rzeczy, których nie zamierzam teraz wyliczać, ponieważ już ich nie pamiętam. I na licznych glinianych tabliczkach wypisywać będę najrozmaitsze rachunki, w których wykażę, żeś hańbił moją żonę i ukradł moje woły, choć ich nigdy nie miałem, i żeś się trudnił czarami i różnymi innymi gusłami, dopóki nie zawieszysz na murze głową w dół, a ja nie splądruję twego domu i nie zrabuję twego złota, by za nie kupić sto razy po sto dzbanów wina i wypić je na twoją pamiątkę.

Śmiech jego huczał jak grom w salach jego królewskiego domu, a zęby błyszcząły złotem w gęstwie kędzierzawej brody. Takim wspominałem go często, gdy przyszły niedobre dni, ale rozstaliśmy się jako przyjaciele i dał mi lektykę oraz bogate dary, a jego wojownicy towarzyszyli mi w drodze powrotnej do Simiry, żeby nic mi się nie stało w czasie podróży, bo przecież byłem Egipcjaninem.

U bram Simiry jaskółka przemknęła jak strzała koło mojej głowy i ogarnął mnie

niepokój, a uliczny bruk zaczął mnie palić pod stopami. Przybywszy do swojego domu powiedziałem więc do Kaptaha:

– Zabierz nasze mienie i sprzedaj dom, bo wracamy do Egiptu.

ROZDZIAŁ 3

Na nic by się nie przydało opowiadanie o moim powrocie do Egiptu, albowiem podróż ta została mi w pamięci jak jakiś cień lub niespokojny sen. Gdy bowiem znalazłem się wreszcie na statku w drodze powrotnej do czarnego kraju, żeby raz jeszcze zobaczyć Teby, miasto mego dzieciństwa, duszę moją przepełniła bezradna tęsknota z taką siłą, że nie mogłem stać ani siedzieć, ani leżeć, lecz chodziłem tylko tam i z powrotem po ciasnym pokładzie statku, wymijając zwinięte maty i bele towarów. W nozdrzach czułem wciąż jeszcze woń Syrii i z dnia na dzień coraz to niecierpliwiej wyczekiwałem, żeby zamiast górzystego wybrzeża zobaczyć kraj płaski i nizinny, zielony od sitowia. Gdy statek na całe dni zatrzymywał się w portach nadbrzeżnych, nie miałem na tyle spokoju, by te miasta zwiedzać i zbierać o nich wiadomości, lecz w uszach moich ryk osłów na brzegu mieszał się z nawoływaniem przekupniów ryb i szmerem obcej mowy w jeden szum, nie różniący się od szumu morza.

Wiosna rozkwitła znowu w syryjskich dolinach. Oglądane od strony morza góry czerwieniły się jak wino. Wieczorami wiosna zabarwiała wodę kipiącą u brzegu na kolor bladozielony. Kapłani Baala hałasowali i wykrzykiwali przenikliwie w ciasnych uliczkach, raniąc sobie kamiennymi nożami twarze do krwi, a kobiety z płonącymi oczyma i rozczochranymi włosami szły za nimi, popychając swoje drewniane taczki. Ale wszystko to widziałem już nieraz, a ich obce mi obyczaje i brutalne podniecenie wzbudzały we mnie wstręt teraz, gdy przecucie ojczystego kraju majaczyło już przed moimi oczyma. Sądziłem, że serce moje zdrętwiało, sądziłem, że dostosowałem się już do wszelkich religii, że rozumiem ludzi wszelkich kolorów i nikim nie gardzę, że celem moim jest tylko zbieranie wiedzy. Ale świadomość, że wracam do czarnego kraju, jak gorący płomień wymiotła z mego serca całe odrętwienie. Wraz z cudzoziemskimi szatami odłożyłem i cudzoziemskie myśli i znowu w sercu swoim stałem się Egipcjaninem, tęskniłem do woni smażonych ryb, snujących się w zaułkach Teb wieczorami, gdy kobiety rozpalają przed lepiankami ogniska, by gotować strawę. Tęskniłem do smaku egipskiego wina, tęskniłem do wody z Nilu z jej posmakiem żywnego mułu. Tęskniłem za poszumem papirusowej trzciny w wieczornym wietrze, za kielichem lotosu, rozwijającym się nad brzegiem Rzeki, za barwnymi kolumnami i posągami, za obrazkowym pismem w świątyni i za wonią świętego kadzidła. Tak głupie było moje serce.

Wracalem do domu, choc nie mialem zadnego domu i bylem na ziemi obcy. Wracalem do domu i gorzkie wspomnienia nie przyczynialy mi juz wcale bolu, bo czas i zdobyta wiedza przysypaly je jak piasek. Nie czulem juz ani smutku, ani wstydu, tylko niespokojna tesknota przepelniala mi i zzerala serce.

Za nami znikala powoli zyzna i bogata Syria, kipijaca nienawiscia i podnieceniem. Statek nasz plynal obok czerwonych brzegow Synaju i wiatr z pustyni dal nam w twarz, suchy i palacy, mimo ze byla wiosna. I nadszedl poranek, gdy morze znowu stalo sie zolte, a w dali ukazal sie lad jak waziotka zielona wstazeczka. Marynarze zanurzyli w morzu dzban umocowany na skorzanej lince i nabrali wody, a woda ta nie byla slona, byla to woda z wiecznego Nilu i miala posmak egipskiego mułu. Zadne wino nie smakowalo mi nigdy tak rozkosznie, jak ta blotnista woda, ktora czerpano z morza daleko od ladu. A Kaptah rzekl:

– Woda jest i pozostanie zawsze woda, nawet w Nilu. Zaczekaj, panie, cierpliwie do chwili, kiedy znajdziemy sie w jakimś uczciwym szynku, gdzie piwo jest pienne i klarowne i nie trzeba go pic przez trzcinę, zeby uniknac lkania ziaren jeczmienna. Dopiero wtedy poczuję, ze jestem w domu, w Egipcie.

Jego bezbozna i bluzniercza gadanina zranila mnie w owej chwili, tak ze powiedzialem:

– Niewolnik zostaje niewolnikiem, nawet gdy okryja go drogie szaty z wełny. Poczekaj no tylko, Kaptahu, niech dostane do ręki giętki trzcinowy kijaszek, taki, który można sobie wyciąć tylko w sitowiu nad Nilem. Wtedy naprawde poczujesz, ze jesteś w domu.

Ale Kaptah wcale nie poczul sie tym dotkniety. W oczach jego pojawily sie lzy wzruszenia, broda zaczela mu sie trzasc i skloniwszy sie przede mna powiedzial opuszczajac ruce do kolan:

– Zaprawde, panie moj, masz niewiarygodna zdolnosc znajdowania odpowiedniego slowa we wlasciwej chwili. Juz bowiem zapomnialem, jak rozkosznie jest poczul pieszczote cienkiej trzciniki na tylku i nogach. O panie moj, Sinuhe, to wrazenie, jakiego pragnalbym, abyś i ty kiedyś doznal, bo lepiej niz woda i piwo, lepiej niz dym kadzidla w swiatyni i kaczki w sitowiu oddaje ono tresc zycia w Egipcie, gdzie kazdy postawiony jest na wlasciwym dla siebie miejscu i gdzie nic sie nie zmienia z uplywem czasu, lecz wszystko zostaje po staremu. Nie dziw sie wiec, ze placzę ze wzruszenia, bo dopiero teraz czuję, iz wracam do domu, zobaczywszy na szerokim swiecie wiele rzeczy obcych, niepojetych i godnych pogardy. O blagoslawiony trzcinowy kijaszku, który kazdego osadzasz na wlasciwym miejscu i który rozwiązujesz wszystkie sprawy.

Nie masz rzeczy tobie równej!

Przez chwilę płakał ze wzruszenia, po czym odszedł, żeby namaścić skarabeusza, ale zauważyłem, że nie używał już teraz równie kosztownych jak przedtem olejków, bo brzeg był blisko i Kaptah spodziewał się widocznie, że w Egipcie poradzi sobie własną chytrą. Dopiero gdy zawinęliśmy do wielkiego portu w Dolnym Kraju, zrozumiałem, jak niewypowiedzianie obrzydł mi już widok kolorowych szerokich szat, kędzierzawych bród i grubych cielsk. Smukłe biodra tragarzy, ich przepaski, gładko golone policzki, język, który był dialektem Dolnego Królestwa, woń ich potu, zapach mułu i sitowia, woń portu, wszystko to było inne niż w Syrii, wszystko było znajome i bliskie; syryjskie szaty, które miałem na sobie, zaczęły mnie cisnąć, a ciało moje nie mogło już w nich oddychać. Gdy tylko załatwiłem formalności z portowym pisarzem i położyłem swój podpis na różnych dokumentach, poszedłem natychmiast kupić sobie nowe szaty i po wełnie, którą z siebie zrzuciłem, cieniutkie płótno dotykające mej skóry znowu sprawiało mi rozkosz. Lecz Kaptah postanowił nadal występować jako Syryjczyk, gdyż obawiał się, że imię jego wciąż jeszcze znajduje się na liście zbiegłych niewolników, mimo że u władz w Simirze postarał się o glinianą tabliczkę zaświadczącą, iż urodził się jako niewolnik w tym mieście i że tam go prawnie kupiłem.

Następnie wsiedliśmy wraz z rzeczami na statek płynący w górę Rzeki. I w miarę jak mijały dni naszej podróży, przyzwyczajaliśmy się na nowo do Egiptu. Po obu stronach Rzeki obsychały pola i powolne woły ciągnęły drewniane pługi, a chłopci szli z pochylonymi głowami wzdłuż bruzd i rzucali ziarno w miękkie szlam. Nad statkiem i nad wolno toczącą się wodą śmigały z niespokojnym krzykiem jaskółki, by niebawem zakopać się w mule koryta Rzeki na najgorętszą porę roku. Krzywe palmy rosły po obu brzegach Nilu, a wielkie sykomory ocieniały niskie gliniane lepianki w mijanych wioskach. Statek przybijał do przystani w małych i wielkich miastach i nie było portowego szynku, do którego Kaptah nie pobiegłby pierwszy, by zwilżyć gardło egipskim piwem, chełpić się i opowiadać o swoich podróżach i mojej sztuce lekarskiej najprzedziwniejsze łągarstwa, których portowi robotnicy słuchali wśród śmiechu i żartów, nieraz wzywając bogów na pomoc.

Aż zobaczyłem znowu z Rzeki na tle wschodniego nieba trzy szczyty górskie, trzech wiecznych strażników Teb. Zabudowania zrobiły się gęstsze, ubogie wioski złożone z glinianych lepianek ustąpiły miejsca bogatym miejskim dzielnicom, aż wreszcie ukazały się mury potężne jak pasmo gór i ujrzałem dach i kolumny wielkiej świątyni, niezliczone budowle na świątynnym dziedzińcu i święte jezioro. Na zachodzie

rozciągało się miasto umarłych aż do podnóża gór, śmiertelna świątynia faraonów lśniła bielą, odbijając od żółtych górskich zboczy, a kolumnada w świątyni wielkiej królowej dźwigała na sobie wciąż jeszcze gąszcz kwitnących drzew. Za łańcuchem wzgórz leżała dolina królewskich grobów, pełna węży i skorpionów, a w jej piasku, u wejścia do grobu wielkiego faraona, spoczywały wysuszone ciała mojego ojca Senmuta i mojej matki Kipy, zaszyte w wołową skórę i zachowane na zawsze. A dalej na południe, nad brzegiem Rzeki, wznosił się Złoty Dom faraona, powiewny i niebieskawy wśród murów i ogrodów. Zastanawiałem się, czy mieszka tam jeszcze mój przyjaciel Horemheb.

Statek przybił do znajomego kamiennego nadbrzeża nad brzegiem Rzeki. Wszystko było tak jak dawniej i niewiele ulic dzieliło mnie od miejsca, na którym przeżyłem dzieciństwo nie przeczuwając, że jako mężczyzna zniszczę życie moich rodziców. Piaski zapomnienia nawarstwione na gorzkich wspomnieniach zaczęły się poruszać, gdy o tym pomyślałem, i opanowała mnie chęć, by się gdzieś schować i zakryć połą twarz. I nie czułem żadnej radości, choć otaczał mnie portowy gwar wielkiego miasta i choć w oczach ludzi, w ich pośpiechu i niespokojnych ruchach znowu poczułem gwałtowne tętno Teb. Nie robiłem żadnych planów w związku z powrotem, lecz postanowiłem uzależnić wszystko od spotkania z Horemhebem i od jego stanowiska przy dworze. Ale kiedy stopy moje dotknęły znowu kamieni nadbrzeża, nagle zrodził mi się w głowie gotowy plan, który nie wróżył mi lekarskiej sławy, bogactwa i obfitych darów w nagrodę za całą wiedzę zebraną w świecie, jak o tym ongiś marzyłem, lecz który oznaczał życie proste, bezmiennność i ubogich pacjentów. Dusza przepełniła mi się dziwnym spokojem, gdy niby w objawieniu zobaczyłem swoją przyszłość, co znów świadczy, jak mało człowiek zna swoje serce, choć sądziłem, że znam je do głębi. Nigdy przedtem nie myślałem o czymś podobnym, dojrzywało to we mnie nieświadomie jako owoc wszystkich życiowych doświadczeń. Gdy posłyszałem dokoła siebie zgiełk Teb i gdy stopy moje dotknęły rozgrzanych słońcem kamieni nadbrzeża, zdawało mi się, że znów jestem dzieckiem i poważnymi, ciekawymi oczyma przyglądałem się pracy Senmuta, gdy przyjmuje chorych w swojej izbie, toteż odpędziłem tragarzy, którzy hałaśliwie kłócąc się z sobą narzucali mi swoje usługi, i powiedziałem do Kaptaha:

– Zostaw nasze rzeczy na statku i idź spiesznie kupić mi dom, jakikolwiek, byle blisko portu, w dzielnicy ubogich, w pobliżu miejsca, gdzie stał dom mojego ojca, dopóki go nie zburzono. Zrób to szybko, żebym jeszcze dziś mógł się wprowadzić do własnego domu i od jutra zaczął wykonywać swój zawód.

Kaptahowi opadła ze zdziwienia szczeka i na twarzy jego odmalowała się zupełna pustka, sądził bowiem, że na początek osiedlimy się w najlepszej gospodzie,

obsługiwani przez niewolników. Ale po raz pierwszy nie sprzeciwił mi się ani jednym słowem, lecz popatrzwszy mi w oczy zamknął usta i odszedł ze schyloną głową. Tegoż wieczoru wprowadziłem się do dawnego domu odlewacza miedzi w dzielnicy ubogich. Przeniesiono tam ze statku moje rzeczy i tam rozłożyłem na glinianej podłodze swoją matę do spania. Przed lepiankami w zaułkach biedoty płonęły ogniska, na których gotowała się strawa, i woń smażonej na tłuszczu ryby rozchodziła się po całej tej brudnej, nędznej, chorej dzielnicy. A potem przed domami rozpusty zapaliły się światła, w winiarniach zaczęła przeraźliwie rzępolić syryjska muzyka, mieszając się z wizgami pijanych marynarzy, a niebo nad Tebami rozjarzyło się czerwoną luną od niezliczonych światel w środku miasta. Byłem znowu w domu, przewędroważy aż do końca wiele błędnych dróg, uciekając przed sobą samym i zbierając wiedzę w wielu krajach.

ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz powiedziałem do Kaptaha:

– Postaraj się o znak lekarza i zawieś go nad drzwiami mego domu. Ma to być znak prosty, bez ozdób i malowideł. A gdy ktoś będzie o mnie pytał, nie rozpowiadaj o mojej sławie ani o mojej wiedzy, lecz mów tylko, że lekarz Sinuhe przyjmuje chorych, także biedotę, i prosi o takie tylko dary, na jakie kogo stać.

– Także biedotę? – przeraził się Kaptah nie na żarty. – O panie, czy aby nie jesteś chory? Nie napiłeś się chyba wody z bagniska, a może ukłuł cię skorpion?

– Rób, jak ci każe, jeśli chcesz u mnie pozostać – odparłem. – A jeśli nie odpowiada ci ten prosty dom i woń ludzi biednych razi twój wydelikacowany w Syrii nos, pozwalam ci odejść, dokąd ci się podoba. Myślę, żeś nakradł u mnie dość, by móc sobie kupić własny dom i wziąć sobie żonę, jeśli masz na to ochotę. Wcale ci nie będę przeszkadzał.

– Żonę?! – wykrzyknął Kaptah jeszcze bardziej przerażony. – Zaprawdę musisz być chory, panie mój, głowę masz rozpaloną od gorączki. Po cóż miałbym sobie brać żonę, która będzie mnie uciskać i wachać, czym zalatuje mój oddech, gdy wracam z miasta, i która rankiem, gdy się zbudzę z bólem głowy, stać będzie nade mną z kijem w rękę i gębą pełną niedobrych słów. Zaiste, po cóż miałbym sobie brać żonę, skoro najprostsza niewolnica może mi dać to samo? Już ci nieraz o tym mówiłem. Pewnie bogowie ukarali cię szaleństwem i wcale się temu nie dziwię, wiedząc, co myślisz o bogach. Ale ty jesteś moim panem i twoja droga jest moją drogą, i twoja kara jest również moją karą, choć sądziłem, że wreszcie będę mógł spokojnie odpocząć po tych wszystkich okropnych przeprawach, do których mnie zmusiłeś, nie mówiąc już o morskich podróżach, o których nawet nie chcę myśleć. Jeśli mata z sitowia wystarczy jako legowisko tobie, to wystarczy i mnie, a nędza tutaj ma przynajmniej tę dobrą stronę, że piwiarnie i domy

uciechy ma się pod ręką, a winiarnia „Ogon Krokodyla”, o której ci tyle opowiadałem, też jest stąd niedaleko. Myślę, że mi wybaczysz, iż pójde tam dzisiaj i upiję się na umór, bo słowa twe wielce mną wstrząsnęły i muszę w jakiś sposób przyjść do siebie. Co prawda zawsze przeczuwam coś złego, gdy patrzę na ciebie, i nigdy z góry nie wiem, co powiesz czy zrobisz, tego jednak się po tobie nie spodziewałem. Tylko szalenięć ukrywa szlachetny kamień w kupie gnoju, a ty w taki sam sposób zakopujesz swoją sztukę i wiedzę.

– Posłuchaj, Kaptahu – powiedziałem. – Każdy człowiek rodzi się na świat nagi, a w chorobie nie ma żadnej różnicy między biednym a bogatym, Egipcjaninem czy Syryjczykiem.

– Być może, ale między darami, które oni dają lekarzom, jest duża różnica – odparł trzeźwo Kaptah. – Myśl twoja jest jednak piękna i nie miałbym nic przeciw niej, gdyby urzeczywistnić ją postanowił ktoś inny, a nie właśnie ty, i to w chwili, gdy wreszcie po wszystkich trudach uśmiechnęło się do nas powodzenie. Ta twoja idea jest raczej ideą urodzonego w niewoli i dlatego jest dla mnie zrozumiała, bo sam kiedyś, będąc młodszym, snułem takie myśli, dopóki kij nie nauczył mnie rozsądku.

– Abyś już wiedział wszystko, powiem ci, że za jakiś czas, gdy nadarzy mi się opuszczone dziecko, zamierzam wziąć je za swoje i wychować jak własnego syna – dodałem jeszcze.

– I co z tego będzie za pożytek? – spytał Kaptah zdumiony. – W świątyni jest przecież dom dla opuszczonych dzieci i niektóre z nich wychowuje się na kapłanów niższych stopni, inne zaś czyni się kastratami, kastraci zaś wiodą u faraona i u możnych w domach kobiet życie bardziej zbytkowne, niż mogłyby o tym kiedykolwiek marzyć ich matki. Z drugiej strony, jeśli chcesz mieć syna, co samo w sobie jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, to nie ma nic prostszego, jeśli tylko w swej głupocie nie posuniesz się aż do stłuczenia dzbana z jakąś obcą kobietą, z którą mielibyśmy same tylko przykrości. Jeśli nie chcesz kupić sobie niewolnicy, to zawsze możesz uwieść jakąś ubogą dziewczynę, która ci będzie tylko wdzięczna i szczęśliwa, gdy zaopiekujesz się dzieckiem i w ten sposób oswobodzisz ją od hańby. Z dziećmi jednak ma się wiele kłopotów. I radość, którą dają, jest z pewnością wielce przesadzona, choć nie mogę powiedzieć w tej sprawie nic określonego, ponieważ nigdy nie widziałem moich dzieci, jakkolwiek mam powody przypuszczać, że jest ich spora gromadka w różnych częściach świata. Najrozsądniej postąpiłbyś, gdybyś już dziś kupił sobie młodą niewolnicę, która i mnie byłaby pomocą, bo członki moje robią się już sztywne, a ręce mi drżą po wszystkich trudach i wysiłkach, szczególnie rankami. Prowadzenie zaś tego domu i gotowanie posiłków przysparza mi

dużo roboty, zwłaszcza że prócz oprócz tego wszystkiego musze zabiegać o ulokowanie twego majątku.

– Nie pomyślałem o tym, Kaptahu – odparłem. – Nie chcę jednak kupować żadnej niewolnicy, ale możesz za moje pieniądze wynająć służącego dla siebie, boś z pewnością na to zasłużył. I jeśli zostaniesz w moim domu, możesz w zamian za twoją wierność robić, co ci się podoba, i sędzę, że dzięki twemu pragnieniu dowiem się wielu pożytecznych rzeczy. Rób zatem tak, jak ci kazałem, i nie pytaj dłużej, bo postanowienie swoje powziąłem powodowany czymś, co jest silniejsze ode mnie, i nie mogę go już zmienić.

To rzekłszy wyszedłem na miasto, by dowiedzieć się o swoich przyjaciół. Zapytałem pod „Syryjskim Gąsiorem” o Totmesa, lecz był tam nowy gospodarz, który nie umiał nic powiedzieć o ubogim artyście, utrzymującym się z rysowania kotów i obrazkowych książeczek dla dzieci bogaczy. Aby dowiedzieć się o Horemheba, poszedłem do koszar, ale były puste. Na ich dziedzińcu nie było – tak jak dawniej – zapaśników ani żołnierzy ćwiczących się we wbijaniu oszczepów w worki z sitowiem, a w kuchennym szałasie nie stały na ogniu wielkie kotły z parującą strawą, lecz wszędzie było pusto. Nieprzystępny podoficer, Szardan, przyglądał mi się grzebiąc bosą stopą w piachu, a twarz miał wychudłą, kościstą i nie namaszczone oliwą. Ale skłonił się przede mną natychmiast, gdy spytałem o Horemheba, wodza faraona, który przed kilku laty prowadził wojnę przeciw Habirom w Syrii, na granicy pustyni. Horemheb był wciąż jeszcze królewskim wodzem, powiedział mi łamanym egipskim językiem, ale znajdował się już od szeregu miesięcy w podróży, w kraju Kusz, dokąd udał się, by zwinąć garnizony i zwolnić oddziały ze służby, i o jego powrocie nic jeszcze nie było wiadomo. Poruszony jego przygnębieniem, dałem Szardanowi sztukę srebra, a on ucieszył się nią tak bardzo, że zapomniał o swojej godności i uśmiechnął się do mnie, i ze zdziwienia zaklął imieniem jakiegoś nie znanego mi boga. A kiedy chciałem odejść, zatrzymał mnie i pokazując beznadziejnie ręką na pusty dziedziniec koszar powiedział:

– Horemheb wielki wódz, rozumie żołnierzy, sam żołnierz, nie boi się. Horemheb lew, faraon koza bez rogów. Koszary puste, nie ma żołdu, nie ma strawy. Koledzy żebrzą po wsiach. Co z tego będzie, nie wiem. Niech ciebie Amon błogosławi za to srebro, dobry człowieku. Od miesięcy już nie upiłem się porządnie. Troski kamieniem leżą mi na żołądku. Wielu obietnicami zwabiono mnie tu z mojego kraju. Egipcscy werbownicy chodzili od namiotu do namiotu, obiecywali dużo srebra, dużo kobiet, dużo pijaństwa. A co teraz? Ani srebra, ani pijaństwa, ani kobiet! – Splunął dla okazania pogardy i zgrubiałą podeszwą roztałał płwocinę w kurzu. Był to bardzo zgnośćbiony Szardan, a mnie

zrobiło się przykro, bo ze słów jego zrozumiałem, że faraon wymówił żołnierzom służbę i rozwiązał te oddziały, które za czasów jego ojca z takim nakładem kosztów zebrano w obcych krajach i trzymano na żołdzie. Przypomniał mi się stary Ptahor i aby dowiedzieć się, gdzie mieszka, zebrałem się na odwagę i poszedłem do świątyni Amona i do Domu Życia, aby zasięgnąć o nim wiadomości w spisach lekarzy. Ten jednak, który prowadził listy, powiedział mi, że królewski trepanator nie żyje, już minął rok, jak pochowano go w mieście umarłych. Tak więc nie znalazłem w Tebach ani jednego przyjaciela.

Będąc już na terenie świątyni, poszedłem do wielkiej sali kolumnowej i znowu poczułem wokół siebie święty półmrok Amona i woń kadzidła między kolorowymi kolumnami, pokrytymi od góry do dołu świętymi napisami wrytymi w kamieniu. Przez kamienne okratowania okien, wysoko pod kopułą, śmigały szybkie jak strzała jaskółki. Świątynia była jednak prawie pusta i w jej niezliczonych kramach i warsztatach nie panowała już taka gorączkowa działalność jak dawniej. Kapłani w białych szatach, z ogolonymi, błyszczącymi od oliwy głowami, patrzyli na mnie nieśmiało, a ludzie w przedśionku mówili cichym głosem i oglądali się wokół siebie, jak gdyby bojąc się podsłuchujących. Zwyczaj w przedśionku gwar przycichł i zrobiło się tam całkiem cicho, choć dawniej – jak dobrze to pamiętam z lat moich studiów – rozgwar głosów już z oddali przypominał poszum wiatru w sitowiu. Nie kochałem wcale Amona, mimo wszystko jednak ogarnęła mnie jakaś dziwna melancholia, jak to bywa zawsze, gdy człowiek pomyśli o swojej bezpowrotnie minionej młodości, bez względu na to, czy była dobra, czy zła.

Gdy wyszedłem spomiędzy pylonów i olbrzymich posągów faraona, spostrzegłem, że tuż obok wielkiej świątyni wznosiła się nowa świątynia potężnych rozmiarów i tak dziwnie zbudowana, że nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. Nie miała ona murów, a gdy wszedłem do środka, zobaczyłem, że szeregi kolumn otaczają otwarty dziedziniec z ołtarzem, na którym złożono ofiary ze zboża, kwiatów i owoców. Na wielkiej płaskorzeźbie okrągły Aton rozcapierał niezliczone promienie nad składającym ofiarę faraonem, a każdy promień kończył się błogosławiącą dłonią, a w każdej dłoni znajdował się krzyż życia. Biało odziani kapłani nie golili włosów i większość z nich stanowili młodzi chłopcy, których twarze pały ekstazą, gdy śpiewali święty hymn; słowa tego hymnu słyszałem już kiedyś, daleko stąd, w Jerozolimie, w Syrii. Jeszcze większe wrażenie niż kapłani i obrazy wywarło na mnie czterdzieści olbrzymich kolumn, z których patrzył nowy faraon, wykuty w kamieniu w nadnaturalnej wielkości, z ramionami mocno skrzyżowanymi na piersi, z zakrzywioną laską i z królewską pletnią w dłoniach.

Wiedziałem, że te kolumnowe rzeźby przedstawiają faraona, bo poznałem go natychmiast. Poznałem to namiętnie ściągnięte oblicze i to ciało o szerokich biodrach a szczupłych ramionach i nogach. Ogarnął mnie zmieszany ze strachem podziw, gdy pomyślałem o artyście, który umiał i ośmielił się wykuć te posągi. Bo jeśli mój druh, Totmes, tęsknił kiedyś za wolną sztuką, to tutaj mógł ją zobaczyć w okropnej, wynaturzonej formie. Artysta uwypuklił bowiem nadmiernie wszystkie ułomności w ciele faraona, opuchnięte łydki, wątłe kostki, chudą szyję fanatyka, zupełnie jakby to wszystko miało jakąś tajemniczą boską treść. Najbardziej przerażająca była jednak twarz faraona, nienaturalnie wydłużona twarz ze skośnymi brwiami i wystającymi kośćmi policzkowymi i tajemniczym uśmiechem marzyciela i bluźniercy na grubych wargach. Po obu stronach pylonów w świątyni Amona siedzieli wykuci w kamieniu faraonowie, majestatyczne, podobne bogom olbrzymie postaci. Tutaj z czterdziestu kolumn spoglądało w dół na ołtarz Atona to opuchłe, chorowite stworzenie w ludzkiej postaci. Patrzył z tych kolumn jak człowiek, ale wzrok jego sięgał dalej niż wzrok innych ludzi i cała jego zakrzepła w kamieniu postać pełna była napiętego fanatyzmu i skrytego urągania.

Wszystko się we mnie trzęsło i drżało, gdy patrzyłem na te kamienne kolumny, bo po raz pierwszy oglądałem Amenhotepa Czwartego takim, jakim on może sam siebie widział. Spotkałem go już przecież kiedyś, gdy był jeszcze młodzieńcem, chorym, słabym, w szponach świętej choroby. I zbytnio ufny w swą niedojrzałą mądrość patrzyłem na niego wówczas oczyma badającego lekarza i brałem jego słowa tylko za gorączkowe majaczenia chorego. Teraz oglądałem go takiego, jakim go widział artysta, patrząc być może na niego z nienawiścią i miłością zarazem, artysta, który nie miał dotychczas w Egipcie sobie równego pod względem odwagi, gdyby bowiem ktoś przed nim ośmielił się wykuć w kamieniu taki posąg faraona, poćwiartowano by go i powieszono na murze za obrazę króla.

Także i w tej świątyni nie było zbyt dużo ludzi. Kilkoro spośród obecnych tam mężczyzn i kobiet należało – sądząc z królewskiego płótna ich szat, ciężkich kołnierzy i złotych ozdób – do dworu, do możnych. Natomiast prości ludzie słuchali śpiewu kapłanów z wyrazem całkowitego niezrozumienia, gdyż kapłani śpiewali nowe hymny, a zadaniem nad siły było domyślić się, co one oznaczają. Były zupełnie inne niż stare teksty pochodzące z epoki piramid, sprzed paru tysięcy lat. Do słów tamtych hymnów uszy nabożnych przyzwyczaiły się już od dzieciństwa, tak że przyjmowało się je jako znajome i można było je rozumieć sercem, nawet gdy się nie myślało o ich znaczeniu, naturalnie o ile teksty te w ogóle miały jeszcze jakieś znaczenie, tak bardzo

bowiem zostały zmienione i zniekształcone przez to, że całe pokolenia powtarzały je niewłaściwie, a kapłani-pisarze gorliwie kopiowali błędne teksty.

Gdy skończono śpiewać hymn, jakiś starzec, sądząc po odzieży wieśniak, podszedł z czią do kapłanów, by z nimi pomówić i kupić jakiś amulet chroniący oko albo też skrawek papieru ze świętym magicznym tekstem, o ile by cos takiego było do nabycia za umiarkowaną cenę. Kapłani oświadczyli mu jednak, że takich rzeczy nie sprzedaje się w tej świątyni, ponieważ Aton nie potrzebuje żadnych czarodziejskich sztuczek ani papierków, lecz zbliża się do każdego człowieka, który w niego wierzy, bez ofiar i bez darów. Gdy starzec to usłyszał, wielce się obruszył i odszedł mrużąc pod nosem obraźliwe słowa o kłamliwych szaleństwach i widziałem, jak wchodził w stare, znajome mi wrota Amona.

Jakaś staruszka, rybaczka, przystąpiła do kapłanów, patrząc na nich z nabożną życzliwością, i spytała:

– Czy nikt nie składa Atonowi w ofierze kozłów lub wołów, żebyście mieli do jedzenia trochę mięsa, bo tacy jesteście chudzi, biedaczkowie? Jeśli wasz bóg jest tak potężny i mocny, jak to się mówi, a nawet mocniejszy od Amona, choć naprawdę w to nie wierzę, to kapłani jego powinni być tłuści i błyszcząć od dobrobytu. Jestem tylko prostą kobietą i nie znam się na niczym ale z całego serca życzę wam dużo mięsa i tłuszczu.

Kapłani pośmieli się i poszeptali między sobą jak urwisowate chłopaki, aż najstarszy z nich spoważniał i powiedział do kobiety:

– Aton nie pragnie krwawych ofiar i nie wypada również, żebyś w jego świątyni mówiła o Amonie, bo Amon to bóg fałszywy i już niedługo padnie jego tron i zawali się jego świątynia.

Kobieta cofnęła się gwałtownie, splunęła na ziemię i kreśląc dłońmi święty znak Amona rzekła:

– To tyś powiedział te słowa, nie ja, i niech przekleństwo spadnie na ciebie. – Po czym odeszła pośpiesznie, a za nią poszli inni, spoglądając ze zgrozą w stronę kapłanów. Ci jednak śmieli się głośno i wołali za nimi chórem:

– Idźcie sobie, małoduszni, ale Amon jest fałszywym bogiem! Amon to bożek i jego panowanie upadnie wnet jak trawa pod sierpem.

Wtedy ktoś z odchodzących podjął kamień i rzucił nim w kapłanów, trafiając jednego z nich w twarz tak, że połała się krew. Zraniony zakrył twarz rękami i gorzko zabiadał, a kapłani zaczęli wołać na strażników, ten jednak, który rzucił kamień, uciekł już i zmieszał się z ludzkim mrowiem przed pylonami świątyni Amona.

Wszystko to dało mi wiele do myślenia. Podszedłem do kapłanów i rzekłem:

– Jestem co prawda Egipcjaninem, ale długo mieszkałem w Syrii i nie znam nowego boga, którego nazywacie Atonem. Czy nie zechcielibyście mnie oświecić i wyjaśnić, kim on jest, czego żąda i jak się go czci?

Zawahali się i nadaremnie starali się dopatrzeć w mojej twarzy jakiegoś urągawiska. W końcu powiedzieli:

– Aton jest jedynym bogiem. On stworzył ziemię i Rzekę, ludzi i zwierzęta, i wszystko, co istnieje na ziemi i co się porusza. Był zawsze i ludzie czcili go jako Ra w jego poprzednich postaciach, a w naszej erze objawił się jako Aton swemu synowi faraonowi, który żyje tylko prawdą. Od tej chwili Aton jest jedynym bogiem, a wszyscy inni są bożkami. Aton nie odrzuca nikogo, kto się do niego zwraca, bogaty i biedny są przed jego obliczem równi. I co dzień witamy go w słonecznej tarczy, która swymi promieniami błogosławi ziemię i ludzi, dobrych i złych, i wręcza każdemu krzyż życia. Jeśli go przyjmiesz, staniesz się jego sługą, bo istotą jego jest miłość, a jest on wieczny i nieśmiertelny, i wszędzie obecny, tak że nic się nie dzieje bez jego woli.

– Wszystko to jest naturalne piękne i słuszne – rzekłem. – Ale czy to również z jego woli kamień przed chwilą został rzucony w usta chłopca, tak że połała się krew?

Zmieszali się i spojrzeli na siebie, po czym rzekli:

– Błuźnisz.

A chłopiec, który dostał kamieniem w twarz, zawołał do mnie:

– Aton pozwolił na to, abym wyciągnął dla siebie naukę, bo jestem godzien być jego sługą. W głębi serca byłem nazbyt dumny z łaski faraona, ponieważ pochodzę z niskiego rodu i ojciec mój pasał bydło, a matka nosiła wodę z Rzeki, dopóki faraon nie podniósł mnie do swoich łask, ażebym służył jego bogu moim pięknym głosem.

Powiedziałem z udanym szacunkiem:

– Doprawdy, bóg ten musi być potężny, skoro może wynieść człowieka z prochu aż do Złotego Domu faraona.

Odparli jednym głosem:

– Masz słuszność, faraon nie patrzy na postać człowieka czy bogactwo, czy też pochodzenie, lecz tylko na serce, a z mocy Atona widzi serca wszystkich ludzi i dostrzega nawet najtajniejsze ich myśli.

Lecz ja się im sprzeciwiłem mówiąc:

– W takim razie faraon nie jest pewnie człowiekiem, bo nie jest w mocy ludzkiej zaglądać do serc innych ludzi i tylko sam Ozyrys może ważyć ludzkie serca.

Naradzili się pomiędzy sobą i powiedzieli:

– Ozyrys to tylko baśń ludowa, której człowiek już nie potrzebuje, odkąd wierzy w Atona. I nawet jeśli faraon szczerze pragnie być człowiekiem, nie wątpimy ani przez chwilę, że jego istota jest w rzeczywistości boska, o czym świadczą najlepiej jego wizje, w czasie których potrafi w krótkiej chwili przeżyć wiele żyć. Ale o tym mogą wiedzieć tylko ci, których on kocha. Dlatego też i artysta wyrzeźbił go na kolumnach tej świątyni jako mężczyznę i kobietę zarazem, ponieważ Aton jest życiodajną siłą, która daje życie nasieniu mężczyzny i rodzi dzieci z łona kobiety.

Wówczas drwiąco podniosłem ręce w górę, wziąłem się oburącz za głowę i powiedziałem:

– Jestem tylko prostym człowiekiem, podobnie jak ta kobieta, która była tu przed chwilą, i nie umiem w pełni ogarnąć waszej mądrości, zdaje mi się też, że wasza mądrość jest trochę niejasna i dla was samych, ponieważ musicie naradzać się z sobą, zanim mi odpowiecie.

Z zapalem odpowiedzieli:

– Aton jest doskonały, podobnie jak doskonały jest obieg słońca i wszystko, co jest i żyje, i oddycha w nim, jest doskonałe, lecz myśl człowieka jest niedoskonała i podobna jest do mgły, toteż nie możemy cię w pełni oświecić, ponieważ sami nie wiemy wszystkiego i sami co dzień dowiadujemy się czegoś więcej o jego woli, a wolę tę zna tylko faraon, który jest jego synem i żyje prawdą.

Te ich słowa trafiły do mnie, bo wykazywały moim zdaniem, że byli w swych sercach uczciwi, choć odziewali się w cieniutkie płótno i namaszczeni włosy, a przy śpiewaniu hymnów cieszyli się pełnym podziwu spojrzaniem kobiet i śmiali się z ludzi prostych. Na te słowa odezwało się we mnie coś, co bezwiednie dla mnie samego dojrzało, niezależnie od mojej woli i od mojej wiedzy. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może myśl ludzka jest niedoskonała i że może poza nią istnieć coś, czego oko nie widziało i ucho nie słyszało, a dłoń nie może uchwycić. Może faraon i jego kapłani odkryli tę prawdę i nadali imię Aton właśnie temu czemuś nieznanemu poza ludzką myślą.

ROZDZIAŁ 5

Gdy wróciłem do domu, zaczynało się już ściemniać. Nad drzwiami znalazłem prosty znak lekarski, na podwórzu zaś czekało na mnie cierpliwie kilku brudnych pacjentów. Kaptah siedział z niezadowoloną miną na progu, odganiając liściem palmowym z twarzy i z nóg muchy, które przyleciały w ślad za biedotą. Na pociechę miał przy sobie świeżo otwarty dzban piwa.

Kazałem mu wpuścić najpierw matkę z wychudłym dziecięciem w ramionach.

Jako lek wystarczyło jej parę miedziaków, by mogła kupić sobie dość jedzenia, żeby wykarmić dziecko. Potem zrobiłem opatrunek jakiemuś niewolnikowi, któremu żarna zmiażdżyły kilka palców. Złożyłem mu pokruszone kości i nastawiłem stawy oraz dałem mu w winie środek uśmierzający, aby zapomniał o bólu. Udzieliłem też pomocy staremu pisarzowi, który miał na szyi narośl wielką jak głowa dziecka, tak że chodził z głową przekrzywioną na bok i wytrzeszczonymi oczyma i trudno mu było oddychać. Temu dałem lek będący wyciągiem z morskich alg. Lek ten poznałem w Simirze. Nie bardzo jednak wierzyłem, czy zdoła mu on ulżyć w jego chorobie. Pisarz wysupłał z czystego gałganka parę miedziaków i podał mi je, patrząc na mnie błagalnie, zawstydzony z powodu swego ubóstwa. Ja jednak nie przyjąłem datku, lecz powiedziałem mu, że w zamian za poradę przywołam go, gdy będę potrzebował jego pomocy, tak że odszedł wielce uradowany, że zaoszczędził pieniędzy.

Dziewczyna z pobliskiego domu rozpusty przysłała prosić mnie o pomoc, gdyż miała oczy tak zaropiałe, że przeszkadzało jej to w wykonywaniu zawodu. Oczyszcziłem jej oczy i sporządziłem dla niej mieszanekę, którą miała przemywać powieki, aby pozbyć się schorzenia, ona zaś obnażyła się wstydliwie przede mną, by odpłacić za lekarską poradę w jedyny sposób, w jaki było dla niej możliwe. Aby jej nie urazić, powiedziałem, że muszę zachować wstrzeźliwość z powodu ważnej kuracji, do której przeprowadzenia właśnie się przygotowuję, a ona uwierzyła w to, choć nie знаła się na lekarskim zawodzie, i ogromnie podziwiała moje panowanie nad sobą. Aby zaś gotowość jej nie poszła na zupełnie na marne, usunąłem jej nożem z bioder i brzucha kilka szpetnych brodawek, wtarłszy wpierw dokoła nich maść uśmierzającą ból, tak że zabieg był niemal bezbolesny i dziewczyna odeszła ode mnie ogromnie zadowolona.

Pierwszego dnia mojej pracy w charakterze lekarza biedoty nie zarobiłem zatem nawet na sól do chleba i Kaptah pokpiwał sobie ze mnie z tego powodu, podając mi na posiłek tłustą gęś przyrządzoną na sposób tebański, potrawę, której równej nie znają nigdzie na całym świecie. Przyniósł ją z wykwintnej winiarni z miasta i utrzymywał w cieple w dołku do pieczenia. Nalał mi też do pucharu z kolorowego szkła najlepszego wina z piwnic Amona i natrzęsał się przy tym ze mnie i mojej pracy. Mnie jednak było lekko na sercu i wykonana tego dnia praca cieszyła mnie bardziej, niż gdybym uleczył bogatego kupca i dostał za to w darze złoty łańcuch. W związku z tym muszę jeszcze dodać, że niewolnik z młyna przyszedł w kilka dni później znowu, żeby pokazać, że palce jego zaczynają się zrastać, i przyniósł mi cały garniec kaszy, którą ukradł w młynie, aby mi ją ofiarować, tak że i mnie się coś dostało za ten pierwszy dzień pracy.

W końcu i Kaptah zaczął mnie pocieszać mówiąc:

– Przypuszczam, że po dzisiejszym dniu wieść o tobie rozejdzie się po całej dzielnicy i że podwórko wypełni się jutro chorymi od samego świtania, bo już słyszę, jak biedacy mówią do siebie: „Idźcie szybko na róg portowego zaułka do dawnego domu odlewacza miedzi, bo sprowadził się tam lekarz, który leczy chorych bez zapłaty, bezboleśnie i bardzo zręcznie, który daje miedziaki wynędzniałym matkom i dokonuje upiększających zabiegów na niezamożnych ladacznicach, nie żądając w zamian żadnych darów. Śpieszcie do niego, bo ten, kto przyjdzie pierwszy, dostanie najwięcej, gdyż lekarz ten zubożeje niedługo tak, że będzie musiał sprzedać dom i wyprowadzić się stąd, a może nawet zamkną go w ciemnym pomieszczeniu i przystawią mu pijawki na łydkach i pod kolanami”. Ale tu myślą się te półgłówki, bo ty na szczęście masz złoto, ja zaś umieszczę je tak umiejętnie, by pracowało na ciebie, żebyś nigdy w życiu nie musiał cierpieć niedostatku, lecz mógł, gdy zechcesz, co dzień jeść gęś i pić najlepsze wino, a mimo to robić się wciąż bogatszy, jeśli zadowolisz się tym prostym domostwem. Ty jednak nigdy nie postępujesz jak inni ludzie, toteż wcale się nie dziwię, gdy znów pewnego ranka zbudzę się z popiołem we włosach i stwierdzę, żeś wrzucił swoje złoto do studni i sprzedał dom a także i mnie, a wszystko to z powodu nieszczęsnego niepokoju, który nosisz w sercu. Nie, wcale by mnie to nie zdziwiło! I dlatego, panie, byłoby może lepiej, żebyś posłał do królewskiego archiwum papier, że jestem wolny i mogę robić, co mi się podoba, bo słowa zostają zapomniane i znikają, to zaś, co napisane, przetrwa wiecznie, jeśli opatrzone będzie twoją pieczęcią odcisniętą w glinie i jeśli dasz potrzebne dary królewskiemu pisarzowi. Mam szczególne powody, by robić ci taką propozycję, ale nie chcę ci jeszcze tym zawracać głowy i trwonić na to twego czasu.

Był łagodny wieczór wiosenny i przed lepiankami z gliny płonęły trzeszcząc ogniska z suszonego nawozu, a od portu wiatr niósł woń cedrowego drzewa i syryjskich pachnideł. Pachniały akacje i wszystkie te zapachy mieszały mi się w nozdrzach rozkosznie ze swędem ryb smażonych na zjełczałym tłuszczu, rozchodzącym się wieczorami po całej dzielnicy biedoty. Najadałem się gęsiny przyrządzonej na sposób tebański, napiłem wina i czułem się lekki na duchu, bo wino uwolniło moje serce od ciężkich myśli, smutku i tęsknoty, zabierając je ode mnie daleko, jakby za jakąś zasłonę. Kazałem więc Kaptahowi, żeby i sobie nalał wina do glinianego kubka, i powiedziałem do niego:

– Jesteś wolny, Kaptahu, i od dawna już byłeś wolny, jak to dobrze wiesz, bo mimo twojej bezczelności byłeś mi więcej przyjacielem niż niewolnikiem od dnia, kiedyś mi pożyczył swoje miedziaki i srebro, choć sądziłeś, że nigdy już ich nie zobaczysz. Bądź więc wolny, Kaptahu, i niech ci szczęście sprzyja, jutro zaś każemy królewskiemu

pisarzowi sporządzić w tej sprawie odpowiedni dokument, na którym położę moją pieczęć, zarówno egipską jak i syryjską. A teraz opowiedz mi, jak ci się udało ulokować mój majątek i moje złoto, skoro powiadasz, że złoto pracuje dla mnie, nawet jeśli nic nie zarabiam. Czyżbyś nie złożył złota do kasy świątyni, jak cię o to prosiłem?

– Nie, panie! – wykrzyknął Kaptah patrząc na mnie wiernie swoim jednym okiem. – Nie usłuchałem twego polecenia, ponieważ było to polecenie głupie, ja zaś nigdy nie słuchałem twoich niemądrych zarządzeń, tylko działałem według własnego rozsądku, co chyba mogę ci dziś powiedzieć, skoro jestem wolny, a ty piłeś wino umiarkowanie i nie jesteś rozzłoszczony. A że znam twoją gwałtowną i nieopanowaną naturę, której wiek nie zdążył jeszcze zmiękczyć, schowałem też na wszelki wypadek twój kij, o czym ci mówię, żebyś niepotrzebnie nie zaczął go szukać, gdy ci będę opowiadać, co zrobiłem. Tylko osły składają swoje złoto na przechowanie w świątyni, bo świątynia nic przecież za to nie płaci, lecz przeciwnie, wymaga jeszcze darów za przyjęcie złota do swoich skrytek, gdzie strażnicy strzegą go przed złodziejami. Jest to głupie także i dlatego, że władze podatkowe znają wtedy ilość twego złota, skutkiem czego złoto twoje topnieje tylko, leżąc w świątyni na przechowaniu, aż w końcu nie zostaje z niego nic. Zbieranie złota ma sens tylko wtedy, gdy się to złoto zmusza do pracy dla siebie, tak żeby można było potem siedzieć z założonymi rękami i gryźć ziarnka lotosu przypiekane w soli, aby wywołać przyjemne pragnienie. Toteż gdy ty zrobiłeś sobie przechadzkę do świątyni i oglądałeś miasto, ja przez cały dzień biegałem po mieście na obolałych nogach, żeby dowiedzieć się, jakie są najlepsze możliwości ulokowania pieniędzy w Tebach. A dzięki mojemu pragnieniu, gasząc je w szynkach, dowiedziałem się dużo. Dowiedziałem się między innymi, że bogacze nie składają swego złota do podziemi świątyni, ponieważ krążą słuchy, że złoto nie jest tam już bezpieczne, a jeśli tak jest istotnie, to w całym Egipcie nie ma już miejsca, gdzie złoto byłoby bezpieczne. I dowiedziałem się także, że świątynia Amona sprzedaje ziemię.

– Łziesz! – powiedziałem gwałtownie, zrywając się na równe nogi, bo sama myśl taka była zupełnie szalona. – Amon z pewnością nie sprzedaje ziemi, lecz ją kupuje. Przez wszystkie czasy Amon tylko kupował ziemię, aż stał się właścicielem czwartej części wszystkich pól w czarnym kraju, tego zaś, co Amon raz dostał w swoje łapy, nie wypuści nigdy.

– Naturalnie, naturalnie – uspokajał mnie Kaptah dolewając wina do mego pucharu, a nieznacznie dolewając i sobie do glinianego kubeczka. – Każdy rozsądny człowiek wie, że ziemia jest jedyną własnością, która zawsze przetrwa i nigdy nie traci wartości, jeśli tylko jest się na dobrej stopie z mierniczymi i umie się dawać im dary co roku

po wylewie Rzeki. Teraz jednak sprawy stoją tak, że Amon potajemnie i pośpiesznie sprzedaje ziemię każdemu ze swoich wiernych, kto posiada złoto. I ja przeraziłem się wielce, gdy o tym usłyszałem, i postanowiłem zbadać całą sprawę. I rzeczywiście, tak jest istotnie. Amon sprzedaje tanio ziemię, kontrakt kupna zawiera jednak warunek, że Amon ma prawo po jakimś czasie, gdy zechce, odkupić tę ziemię za taką samą cenę. Mimo to jednak kupno takie jest bardzo korzystne, bo obejmuje budynki, narzędzia rolnicze, bydło i niewolników, tak że nabywca ma co roku wielki zysk ze swoich pieniędzy, jeśli tylko uprawia ziemię dobrze. Wiesz sam, że Amon jest właścicielem najżyźniejszych ziem w Egipcie. I gdyby wszystko było tak jak dawniej, nie byłoby nic bardziej pożądanego jak takie kupno, bo zysk jest duży i szybki. W krótkim czasie sprzedał też Amon olbrzymią ilość ziemi i w swoich podziemiach zgromadził niemal całe znajdujące się w obiegu złoto Egiptu, tak że w kraju odczuwa się teraz brak złota i ceny nieruchomości bardzo spadły. Wszystko to jest jednak tajemnicą i nie należy o tym mówić, a i ja nie wiedziałbym o tym, gdyby moje pożyteczne pragnienie nie zetknęło mnie właśnie z właściwymi ludźmi.

– Chyba nie kupiłeś ziemi, Kaptahu? – spytałem przestraszony.

Ale on mnie uspokoił mówiąc:

– Taki szalony jeszcze nie jestem, panie, bo nawet ty powinieneś wiedzieć, że choć jestem niewolnikiem, nie urodziłem się na gnoju, lecz urodzony jestem do życia na ulicach brukowanych kamieniem i w wysokich domach. Nie znam się nic na roli i gdybym kupił ziemię na twój rachunek, każdy wójt i każdy pastuch, każdy niewolnik i każda dziewczka z obory okradaliby mnie, jak tylko by mogli, natomiast w Tebach nikt nie potrafi mnie okraść, lecz przeciwnie, to ja okradam innych. Korzyści z kontraktów z Amonem są tak oczywiste, że musi się za tym kryć jakiś podstęp, o czym świadczy również i nieufność bogaczy co do rękojmi dawanej przez kasę świątyni. Sądzę, że wszystko to dzieje się ze względu na nowego boga faraona. Wiele jeszcze się wydarzy, panie, wiele dziwnych rzeczy się wydarzy, zanim zrozumiemy i zobaczymy, jak to wszystko się skończy. Ale ja, który mam na oku tylko twoją korzyść, kupiłem za twoje złoto dużo dobrych domów w mieście, sklepów i domów mieszkalnych, bo takie dają co roku godziwy zysk. I wszystkie te kontrakty są już zupełnie gotowe, tak że brak na nich tylko twego podpisu i pieczęci. I wierz mi, że kupiłem je tanio, a jeśli sprzedający dają mi dary przy zawarciu umowy, to nic to ciebie nie obchodzi, bo jest to sprawa między mną a sprzedającymi, zależna od ich własnej głupoty. I przy tych kontraktach nie zamierzam ukraść od ciebie nic, ale nie mam nic przeciwko temu, jeśli z własnej woli dasz mi jakieś dary za to, że tak korzystnie dla ciebie przeprowadziłem te zakupy.

Zastanowiwszy się przez chwilę, odparłem:

– Nie, Kaptahu, nie myślę ci dawać żadnych darów, bo pewnie i tak liczyłeś, że nakradniesz niemało przy ściąganiu czynszów i przy umowach z robotnikami, przy corocznych remontach domów.

A on, wcale nie zawiedziony, pogodził się natychmiast z moimi słowami i przyznał:

– Tak sobie właśnie myślałem, bo twoje bogactwo jest moim bogactwem i dlatego twoje korzyści są moimi i muszę we wszystkim dopilnować twego dobra. Ale muszę też przyznać, że gdy usłyszałem o interesach Amona, zacząłem się ogromnie interesować ziemią i poszedłem na giełdę do handlarzy zboża, i z powodu mojego wiecznego pragnienia wędrowałem tam od szynku do szynku, przysłuchując się rozmowom i ucząc wielu różnych rzeczy. Za twoje złoto i za twoim pozwoleniem, panie, chcę kupić na skład zboże na pniu ze zbioru przyszedłego lata, w ten bowiem sposób robi się najlepsze interesy, a ceny są jeszcze zupełnie godziwe. Co prawda zboże jest bardziej nietrwałe niż kamień i budynki, zjadają je szczury i rozkradają niewolnicy, ale tak dzieje się także i w rolnictwie, a jeśli się chce zyskać, trzeba także coś ryzykować. W każdym razie rolnictwo i zbiory są zależne od wylewów i szarańczy, polnych myszy i nawadniających kanałów, i od wielu innych okoliczności, których nie chcę tutaj wyliczać, bo ich nie znam. Chcę tylko powiedzieć, że rolnik więcej ryzykuje niż ja, który, kupując zboże teraz, wiem, że będę je mieć w moich spichrzach w jesieni właśnie za tę cenę. Zamierzam też przechowywać to zboże w magazynach i pilnować starannie, bo mi coś mówi, że ceny zboża pójdą z czasem w górę. Sam to własnym rozumem wywnioskowałem z rolnych transakcji Amona, jeśli bowiem byle dureń będzie mógł zostać rolnikiem, zbiory nie będą tak duże jak dawniej. Dlatego kupiłem budynki składowe na zboże, suche i starannie wymurowane, by, gdy ich już nie będziemy potrzebować, móc je wynająć handlarzom zboża i w ten sposób ciągnąć z nich korzyści.

Moim zdaniem Kaptah zadał sobie niepotrzebnie ogromnie dużo trudu i ściągnął sobie na głowę bardzo wiele kłopotów tymi swoimi planami, ale pewnie go to bawiło, ja zaś nie miałem nic przeciw jego lokatom, bylebym tylko nie musiał sam zajmować się prowadzeniem tych spraw. Tak pomyślałem i tak mu też powiedziałem, on zaś starannie ukrywając wielkie zadowolenie odparł gniewnie:

– Znalazłby się jeszcze jeden bardzo korzystny plan, który chciałbym przeprowadzić na twój rachunek. Jest mianowicie na sprzedaż jeden z największych domów handlowych na targu niewolników, ja zaś sądzę, a nawet mogę śmiało twierdzić, iż wiem wszystko, co tylko można wiedzieć o niewolnikach, bo całe życie sam byłem niewolnikiem. Toteż pewnie szybko bym cię zrobił bogaczem handlując niewolnikami, bo wiem, jak ukrywać

wady i braki niewolnika, i umiem używać kija w odpowiedni sposób, czego ty, panie, wcale nie umiesz, jeśli pozwalasz mi mówić to wszystko teraz, gdy schowałem twój kij. Ale bardzo jestem zmartwiony, bo przypuszczam, że ta korzystna okazja pójdzie na marne, a ty nie zgodzisz się na mój plan, nieprawdaż, panie mój?

– Masz zupełną słuszność, Kaptahu – powiedziałem. – handlem niewolnikami nie będziemy się babrać, gdyż to brudny i godny pogardy proceder, jakkolwiek nie umiem powiedzieć, dlaczego tak jest, bo przecież każdy kupuje niewolników, używa niewolników i potrzebuje niewolników. Tak było i tak też zawsze będzie, cos mi jednak wewnątrz mówi, że nie chcę być handlarzem niewolników i nie chce również, żebyś ty nim był.

Kaptah westchnął lekko i powiedział:

– A więc dobrze znam twoje serce, panie, w ten sposób uniknęliśmy jednak utrapienia, bo zastanowiwszy się dokładnie nad tą sprawą, dochodzę do wniosku, że może poświęciłbym zbyt dużo uwagi niewolnicom przy badaniu ich zalet i w ten sposób niepotrzebnie trwoiłbym siły. A wcale na to nie mogę sobie pozwolić, zaczynam bowiem robić się stary i członki mi sztywnieją, a ręce mocno się trzęsą, szczególnie rano, gdy się budzę, zanim zdążę sięgnąć po dzban z piwem. I teraz, gdy już zbadałem twoje serce, śpieszę powiedzieć, że wszystkie domy, które kupiłem na twój rachunek, to uczciwe domy, zysk z nich jest co prawda niewielki, ale za to pewny. Nie kupiłem ci ani jednego domu rozpusty, nie kupowałem też nędznych lepianek w zaułkach biedoty, które dają lepsze zyski niż o wiele trwalsze domy ludzi lepszych stanów. Co prawda musiałem ciężko z sobą walczyć, aby tak postępować, bo w końcu dlaczego nie mielibyśmy zarabiać w taki sam sposób jak wszyscy inni. Ale serce mówiło mi, że nie zgodziłyś się na to, panie, i dlatego po ciężkich zmaganiach zrezygnowałem z tych moich lubnych nadziei. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

Nagle stracił pewność siebie i zaczął się we mnie wpatrywać swym jedynym okiem, aby wy badać, do jakiego stopnia jestem w łagodnym nastroju. Ja zaś sam mu dolałem wina do kubka i zachęcałem, by mówił, bo nigdy jeszcze nie widziałem Kaptaha tak niepewnym i wywołało to we mnie ciekawość. W końcu powiedział:

– Moje żądanie jest bezczelne i bezwstydne, ale skoro już jestem, jak powiadasz, wolny, ośmielam się je wypowiedzieć w nadziei, że nie będziesz się gniewał, a dla wszelkiej pewności schowałem także twój kij. Chcę mianowicie, żebyś poszedł ze mną do winiarni w porcie, o której tak często ci opowiadałem i która nazywa się „Ogon Krokodyla”. I chciałbym, żebyśmy tam razem wypili miarkę, abyś się przekonał, jak wygląda to miejsce, o którym śniłem na jawie, żłopiąc przez trzcinę mętne piwsko w

Syrii i Babilonie.

Parsknąłem śmiechem i wcale się nie rozgniewałem, bo wino wprawiało mnie w nastrój dobroduszny. Wiosenny wieczór pełen był melancholii, a ja czułem się bardzo samotny. I mimo że było czymś niesłychanym i nie licującym z moją godnością, abym ja, pan domu, szedł z moim sługą do nędznego portowego szynku napić się napoju, który dla swej mocy nazywany był „ogonem krokodyla”, to jednak pamiętałem dobrze, że Kaptah kiedyś, dawno temu, z własnej woli przekroczył wraz ze mną bramę ciemnego domu, choć wiedział, że nikt jeszcze nie wyszedł z tej bramy żywy. Toteż położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem:

– Serce mi mówi, że ogon krokodyla będzie stosowany na zakończenie tego dnia. Chodźmy więc!

Kaptah podskoczył z radości, jak to robią niewolnicy, i zapomniał o sztywności swoich członków. Pobiegł też zaraz wydobyć mój kij z miejsca, gdzie go ukrył, i narzucił mi na barki naramiennik. A potem powędrowaliśmy do portu i poszliśmy do „Ogona Krokodyla”, a nad wodą wiatr niósł woń cedrowego drzewa i urodzajnego mułu.

ROZDZIAŁ 6

Winiarnia „Ogon Krokodyla” leżała w samym środku portu, w ciemnym zaułku wciśniętym pomiędzy dwa wielkie magazyny. Zbudowana była z glinianych cegiełek, a ściany jej były ogromnie grube, tak że w lecie było tam chłodno, w zimie zaś ciepło dobrze się trzymało we wnętrzu. Nad drzwiami, oprócz dzbana na piwo i gąsiora na wino, wisiał ogromny wysuszony krokodyl z błyszczącymi oczyma ze szkła i otwartą paszczą pełną zębów. Kaptah wprowadził mnie z zapalem do środka, zawołał na gospodarza i poszukał dla nas miękkich krzesel. Był tam znany i poruszał się w winiarni jak u siebie w domu, tak że inni bywalcy, którzy zrazu zezowali na mnie podejrzliwie, uspokoili się niebawem i podjęli na nowo swoje rozmowy. Ze zdumieniem zobaczyłem, że podłoga zrobiona była z drzewa. Także ściany winiarni obłożone były drewnem i wisiały na nich różne pamiątki z dalekich podróży, murzyńskie oszczepy i strusie pióra, muszle z wysp na morzu i malowane kreteńskie garnki. A Kaptah z dumą śledził moje spojrzenia i powiedział:

– Pewnie bardzo się dziwisz, że ściany tej izby zrobione są z drewna, jak w domach bogaczy. Wiedz, że wszystkie te deski pochodzą ze starych okrętów, które rozebrano na drewno. I choć niechętnie myślę o morskich podróżach, muszę nadmienić, że ta żółta, przeżarta przez morze deska niegdyś pływała do Puntu, ta zaś brązowa ocierała się o nabrzeża wysp na morzu. Ale jeśli pozwolisz, nacieszmy się najpierw ogonem, który sam gospodarz dla nas przyrządził.

Do ręki włożono mi piękny puchar, odlany w kształcie muszli, tak że można go było unieść na dłoni, lecz zapomniałem o wszystkim dla kobiety, która go podała. Nie była już może całkiem młoda, jak zwykle bywają dziewczęta usługujące w winiarniach, i nie chodziła po sali na wpół naga, żeby podniecać gości, lecz była odziana przyzwoicie, w uchu miała srebrny pierścień, a na wąskich przegubach srebrne bransoletki. Spotkała moje spojrzenie bez lęku i patrzyła mi w oczy, nie spuszczać swoich, jak to robią kobiety. Brwi miała wyskubane i cieniutkie, a z oczu jej wyzierał uśmiech i zarazem smutek. Były to brązowe, ciepłe, żywe oczy i dobrze robiło się na sercu, gdy się w nie patrzyło. Wziąłem z jej ręki puchar i umieściłem go na dłoni, Kaptah zrobił tak samo. Potem, wciąż jeszcze patrząc jej w oczy, zapytałem mimo woli:

– Jak ci na imię, pięknotko?

Odpowiedziała mi niskim głosem:

– Na imię mi Merit i nie jest tu w zwyczaju nazywać mnie pięknotką, jak to robią wstydlivi chłopcy, aby mieć powód dotknięcia po raz pierwszy bioder usługującej dziewczyny. Spodziewam się, że będziesz o tym pamiętał, gdy jeszcze kiedyś zechcesz uczcić ten dom swoją wizytą, lekarzu Sinuhe, Ty, Który Jesteś Samotny.

Poczułem się urażony i odparłem:

– Nie mam najmniejszej ochoty dotykać twoich bioder, piękna Merit. Ale skąd znasz moje imię?

Uśmiechnęła się, a uśmiech ten był piękny na jej brązowej gładkiej twarzy, gdy żartobliwie powiedziała:

– Sława twoja poprzedza cię, o Synu Dzikiego Osła, i gdy cię widzę, wiem, że rozgłos twój nie kłamał, lecz że wszystko jest tak, jak mówiła o tobie twoja sława.

Na dnie jej oczu kryła się jak mgiełka daleka troska, a poprzez jej uśmiech docierał do mego serca jej smutek, nie mogłem się na nią gniewać, lecz powiedziałem:

– Jeśli mówiąc o moim rozgłosie masz na myśli gadaninę tego oto Kaptaha, który siedzi u mego boku, mego byłego niewolnika, którego dziś uczyniłem wolnym człowiekiem, to wiedz, że na jego słowach nie można polegać. Jego język bowiem już od samego urodzenia ma taką wadę, że nie umie rozróżniać kłamstwa od prawdy, lecz kocha oboje równie mocno, a być może nawet kłamstwo bardziej niż prawdę. Wady tej nie potrafiła uleczyć ani moja sztuka lekarska ani mój kij.

– Może kłamstwo jest czasem przyjemniejsze niż prawda – odparła – gdy człowiek jest bardzo samotny, a wiosna jego życia już minęła. Toteż chętnie wierzę w twoje słowa, gdy mówisz: „piękna Merit”, i wierzę we wszystko, co mówi twoja twarz. Czy nie chcesz jednak skosztować ogona krokodyla, który ci przyniosłam, bo bardzo

ciekawam usłyszeć, czy można go porównać z przedziwnymi napitkami we wszystkich przedziwnych krajach, które zwiedziłeś.

Wciąż patrząc w jej oczy podniosłem puchar na dłoni i napiłem się z niego. Ale gdy wychyliłem, przestałem patrzeć jej w oczy, krew uderzyła mi do głowy i zacząłem kaszleć, a w gardle paliło mnie jak ogniem. Gdy znowu złapałem oddech, powiedziałem:

– Doprawdy, cofam wszystko, co przed chwilą powiedziałem o Kaptahu, bo przynajmniej w tej sprawie nie skłamał. Twój napitek jest mocniejszy niż jakikolwiek inny napój, którego kosztowałem, więcej w nim ognia niż w owym ziemnym oleju, który płonie w lampach u Babilończyków, i nie wątpię, że nawet silnego mężczyznę zwała on jak uderzenie ogona krokodyla.

To rzekłszy wsłuchałem się w siebie, ciało moje rozgrzało się ogniem, a w poparzonych ustach trwał wciąż jeszcze smak korzeni i balsamu. Sercu mojemu urosły skrzydła jak jaskółce i powiedziałem do Merit:

– Na Seta i wszystkie demony, nie wiem, z czego składa się ten napitek, i nie wiem, czy to on mnie oczarowuje, czy też twoje oczy, Merit. Ale czar przenika moje członki, a serce moje jest znowu młode i nie zdziw się, jeśli położę rękę na twoich biodrach, bo winien temu będzie ten ogon krokodyla, a nie ja.

U sunęła się ostrożnie na bok i podniosła przekornie ręce, a była smukła i miała szczupłe członki. Uśmiechnęła się i rzekła:

– Nie przystoi ci kłąć, bo to jest przyzwoita winiarnia, a ja nie jestem jeszcze taka stara i wciąż jeszcze prawie nietknięta, mimo, że może oczy twoje w to nie wierzą. O tym napitku mogę ci tylko powiedzieć, że jest to jedyny posag, jaki otrzymałam od ojca, i dlatego właśnie twój niewolnik Kaptah tak gorliwie się do mnie zalecał, żeby wraz ze mną dostać za darmo sztukę przyrządzania tego napoju. Ale jest on jednooki i tłusty, i stary i nie wierzę, żeby dojrzała kobieta mogła mieć z niego pociechę. Toteż musiał kupić tę winiarnię za złoto i zamierza także kupić moją sztukę, choć doprawdy będzie musiał odważyć dużo złota, zanim się w tej sprawie dogadamy.

Kaptah robił różne śmieszne miny, żeby ją skłonić do milczenia, ale ja skosztowałem znowu napoju i ogień rozpałił mi się w ciele, i rzekłem:

– Przypuszczam, że Kaptah jest nawet gotów stłuc z tobą dzban, by zdobyć tajemnicę tego napoju, choć wie, że po weselu zaczniesz mu wylewać wrzątek na stopy. Ale nawet i bez twojej sztuki rozumiem go doskonale, gdy patrzę w twoje oczy, choć powinnaś pamiętać, że to ogon krokodyla przemawia teraz przeze mnie i że może jutro nie będę odpowiadał za te słowa. Czy to rzeczywiście prawda, że Kaptah jest właścicielem tej winiarni?

– Zabieraj się stąd, bezczelna wywłoko! – wykrzyknął Kaptah i dorzucił całą litanie imion bogów, których nauczył się w Syrii. – Panie – ciągnął dalej zwracając się do mnie błagalnie. – To przyszło tak nagle, chciałem cię ostrożnie przygotować na tę wiadomość i prosić cię o pozwolenie, gdyż wciąż jeszcze jestem twoim sługą. Ale to prawda, że nabyłem ten dom od gospodarza i że zamierzam także od jego córki wyłudzić tajemnicę przyrządzania ogona krokodyla, bo ten napitek wślawił tę winiarnię wszędzie nad Rzeką, gdzie tylko zbierają się weseli ludzie, i wspominałem go co dzień, gdy przebywałem daleko stąd. Jak wiesz, okradałem cię przez te lata najlepiej i najrzęcznie, jak umiałem, toteż miałem trudności także z ulokowaniem mojego własnego srebra i złota, bo muszę myśleć o starości, kiedy już nie będę miał siły, by biegać za twoimi niezliczonymi interesami, i kiedy zechcę grzać sobie nogi przy garnku z żarem.

Popatrzył na mnie urażony, bo zacząłem się śmiać na myśl, jakby to wyglądało, gdyby Kaptah spróbował biegać – on, który używał lekytki, kiedy ja szedłem pieszo. Pomyślałem też, że trudno by mu było rozgrzać sobie nogi przy garnku z żarem poprzez grube warstwy tłuszczu, ale przypomniałem sobie, że to z pewnością ogon krokodyla wywołuje u mnie takie myśli. Toteż zaraz przestałem się śmiać i poprosiłem Kaptaha poważnie o wybaczenie oraz wezwałem go, by mówił dalej.

– Jeszcze kiedy byłem młodym niewolnikiem, zawód szynkarza wydawał mi się najbardziej ponętym i godnym pozazdroszczenia spośród wszystkich zawodów – opowiadał Kaptah, bo i jego rozrzewnił ogon krokodyla. – W owym czasie myślałem co prawda głównie o tym, że może on za darmo pić tyle piwa, ile mu się podoba, i nikt go za to nie łąja. Teraz wiem aż nadto dobrze, że szynkarz musi pić umiarkowanie i nigdy nie wolno mu się upić. I wyjdzie mi to tylko na zdrowie, bo od zbyt wielkiej ilości piwa robi mi się czasem dziwnie na duchu i zdaje mi się, że widzę hipopotamy i inne przeraźliwe stwory. Ale szynkarz styka się stale z ludźmi, z których ma pożytek, i słyszy, i wie wszystko, co się dzieje, a to mnie bardzo nęci, bo od samego urodzenia byłem ogromnie ciekawy. Jako szynkarz mieć będę także wielki pożytek z obrotności mego języka i sądzę, że moje opowiadania będą bawić gości, tak że, sami o tym nie wiedząc, będą opróżniać jeden puchar po drugim i zdziwią się dopiero, gdy przyjdzie do płacenia rachunku. Tak więc, gdy wszystko rozważę, widzę, że bogowie już od początku przeznaczili mnie na szynkarza, choć przez pomyłkę urodziłem się niewolnikiem. Ale nawet i to wychodzi mi teraz na korzyść, bo zaiste nie ma chwytu, kłamstwa czy kawału, za pomocą którego gość usiłuje się ulotnić z szynku bez zapłacenia rachunku, którego bym nie znał i kiedyś w życiu nie próbował. I choć może nie wypada tak mówić o sobie, to jednak sądzę, że istotnie znam ludzi i wiem, i serce moje szepce mi, komu

mogę pozwolić pić na kredyt, a komu nie. A to bardzo ważna rzecz dla szynkarza, bo natura ludzka jest taka dziwna, że człowiek dużo pije beztrąsko na kredyt, nie myśląc o dniu zapłaty, jest jednak oszczędny i ostrożny w wydawaniu srebra, gdy musi zapłacić za swój napitek od razu.

Wychylił puchar, oparł głowę na rękach, uśmiechnął się i ciągnął dalej:

– Zawód szynkarza jest moim zdaniem także najpewniejszym i najbezpieczniejszym z zawodów, bo ludzkie pragnienie zawsze zostanie takie samo, bez względu na to, co się stanie. I choćby moc faraona została zachwiana, a bogowie spadli ze swoich tronów, szynki i winiarnie nie opustoszeją od tego. Bo człowiek pije wino w radości i smutku, w powodzeniu cieszy serce winem, a niepowodzenie w winie topi. Mężczyzna pije wino, gdy jest zakochany, i pije je również wtedy, gdy go bije żona. W winie szuka ucieczki, gdy mu się nie powiedzie w interesach, i winem oblewa swoje zwycięstwa. I nawet bieda nie przeszkadza człowiekowi pić wina, tym pilniej pracuje, by swemu ubóstwu dodać kolorów winem. To, co się tyczy wina, tyczy się tak samo i piwa, choć mówiłem o winie, aby być poetycznym i aby słowa moje układały się pięknie. Dziwna bowiem rzecz, ale poeci jeszcze nie napisali żadnych wierszy na chwałę piwa, na co ono chyba bardzo zasługuje, bo gdy trzeba, daje dobre, uczciwe podchmienie i jeszcze lepszy pochmiel. Ale nie chcę cię nudzić wychwalaniem wielu zalet piwa, które je stawiają na równi z winem, lecz wracam do rzeczy i stwierdzam, że zawód szynkarza jest moim zdaniem najpewniejszym z zawodów i dlatego właśnie ulokowałem w tym szynku złoto i srebro, które zaoszczędziłem z biegiem lat. Korzystniejszego i przyjemniejszego zawodu nie mógłbym sobie naprawdę wymyślić, z wyjątkiem może zawodu ładaczniczy, która nie potrzebuje żadnego kapitału zakładowego, lecz stale nosi z sobą swój sklepik i swój magazyn, i która, jeśli jest mądra, spędza starość we własnym domu, zbudowanym pracą jej łędźwi. Wybacz mi, jeśli zapędzam się znowu w mówienie o innych rzeczach, bo naprawdę sam jeszcze nie zdążyłem przywyknąć do ogona krokodyla, który sprawia, że przestają panować nad językiem. Właściwie to chciałem tylko powiedzieć, że ten szynk jest już mój, a jego gospodarz prowadzi go na razie dalej z pomocą tej wiedzy Merit i dzielimy się zyskami, dopóki ja sam nie osiedlę się tutaj, by odpocząć na starość. Zawarliśmy z sobą taką umowę i zaprzysięgliśmy na wszystkich bogów Egiptu, że jej dotrzemy, więc nie przypuszczam, że będzie zbyt młodo okradła przy podziale zysku, bo jest to człowiek pobożny, który w dni uroczyste chodzi do świątyni, by składać ofiary. Co do tego ostatniego sądzę, iż robi to częściowo także i dlatego, że kapłani również zwykli tu przychodzić, a to dobrzy klienci. Jeden czy dwa krokodyle ogony nie zwalają ich jeszcze z nóg, gdyż przyzwyczajeni są spijać dzbanami mocne

wino ze swoich winnic. Ja jednak nie wątpię w jego pobożność i uważam, że słuszne jest, gdy człowiek mądry łączy swoje interesy handlowe z pobożnymi praktykami, ani też... to tak... doprawdy, nie pamiętam już, od czego zacząłem i co miałem powiedzieć, bo jest to dla mnie dzień ogromnie radosny, a najbardziej cieszę się z tego, że ty się na mnie nie gniewasz, lecz jeszcze zatrzymujesz mnie jako swego sługę, choć jestem szynkarzem, co nie wszyscy uważają za zawód uczciwy i godny szacunku.

Po tej długiej przemowie Kaptah zaczął coś bełkotać, po czym zapłakał, złożył głowę w moich ramionach i objął mnie za kolana w wielkim wzruszeniu i zupełnie pijany. Ja zaś wziąłem go za barki i przemocą przywróciwszy do pozycji siedzącej powiedziałem:

– Doprawdy nie sądzę, żebyś mógł być znaleźć zawód odpowiedniejszy dla zabezpieczenia sobie starości, jednej rzeczy tylko nie rozumiem. Skoro szynkarz wie, że jego szynk daje takie dochody, a przy tym posiada jeszcze tajemnicę przyrządzania ogona krokodyla, dlaczegóż zgodził się sprzedać go tobie, zamiast zachować zyski dla siebie samego?

Kaptah popatrzył na mnie z wyrzutem swym załamionym jedynym okiem i powiedział:

– Czyż nie mówiłem ci już tysiąc razy, że masz przedziwny dar zatruwania każdej mojej radości swoim rozsądkiem, bardziej gorzkim niż piołun. Czy nie wystarczy ci, byś sobie powiedział tak jak on, że byliśmy przyjaciółmi od młodości i że kochamy się jak bracia i dlatego chcemy dzielić z sobą naszą radość i nasze zyski? Ale w oczach twoich widzę, że ci nie wystarcza, podobnie jak nie wystarczało i mnie, i dlatego muszę przyznać, że naturalnie i to kupno ma swoją ukrytą stronę. Chodzą mianowicie słuchy o wielkich niepokojach, które mają wybuchnąć, gdy Amon i bóg faraona walczyć będą z sobą o władzę. A jak dobrze wiesz, przede wszystkim szynki ponoszą zawsze straty w niespokojnych czasach. Motłoch wyłamuje w nich okiennice, a gospodarzy bije i wrzuca do rzeki, dzbany wywraca, a urządzenie rozbija, w najgorszych zaś wypadkach podkłada w końcu ogień pod całe domostwo, po wypróżnieniu wpieryw oczywiście wszystkich gąsiorów. Tak bywa tym pewniej jeszcze, gdy właściciel szynku znajdzie się przypadkiem po niewłaściwej stronie, ten zaś szynkarz jest człowiekiem Amona i każdy o tym wie, tak że nie zdąży on już zmienić skóry. Zaczął bowiem wątpić w Amona, dopiero gdy usłyszał, że Amon sprzedaje ziemię, ja zaś naturalnie w odpowiedni sposób podsycam jego wątpliwości, mimo że człowiek, który na zapas boi się tego, co przyjdzie, może równie łatwo pośliznąć się na ulicy na łupinie owocu albo oberwać po głowie dachówką, lub też wpaść pod sanie ciągnięte przez woły.

Zapominasz, panie, że mamy skarabeusza, i nie wątpię, że mimochodem będzie chronił także i „Ogon Krokodyla”, mimo że ma on naturalnie mnóstwo kłopotu z pilnowaniem twoich rozlicznych korzyści.

Zastanowiłem się przez dłuższą chwilę, a w końcu rzekłem:

– W każdym razie muszę przyznać, Kaptahu, żeś wiele zdążył dokonać przez jeden dzień.

On jednak bronił się przed moimi pochwałami mówiąc:

– Zapominasz, panie, że wysiedliśmy na łód już wczoraj. Ale mogę powiedzieć, że się dobrze zwiijałem, i choć to się może wydać zupełnie niewiarygodne, muszę jednak przyznać, że nawet mój język jest zmęczony, skoro jeden ogon krokodyla przyprawia go o bełkot.

Wstaliśmy więc, żeby pójść, i pożegnaliśmy się z gospodarzem, a Merit odprowadziła nas do drzwi i srebrne bransolety dzwoniły na przegubach jej rąk i nóg. W ciemnym przedsionku położyłem dłoń na jej biodrach i poczułem jej bliskość, ona jednak odsunęła moją dłoń stanowczo i szepnęła:

– Twoje dotknięcie mogłoby mi sprawić przyjemność, ale go nie pragnę, bo ogon krokodyla wyraźnie kieruje twą dłonią.

Zdziwiony podniosłem ręce do góry i spojrzałem na nie, a one rzeczywiście przypominały tak żywo łapy krokodyla, że bez słowa poszliśmy z Kaptahem prościutko do domu, rozścieliliśmy maty i spaliliśmy tej nocy ciężkim snem.

ROZDZIAŁ 7

Tak zaczęło się moje życie w dawnym domu odlewacza miedzi w dzielnicy biedoty, w Tebach. Jak to przepowiadał Kaptah, miałem licznych pacjentów, ale nie zarabiałem dużo, lecz raczej traciłem, bo potrzebowalem wielu kosztownych leków. Nie opłacało mi się też leczyć głodujących, jeśli nie dostali jednocześnie pod dostatkiem tłuszczu i kaszy, by odzyskać siły. Dary, które otrzymywałem, nie były cenne, ale sprawiały mi radość, jeszcze zaś większą radością było dla mnie, gdy słyszałem, że biedacy błogosławią moje imię. Co wieczora niebo nad Tebami rozpałało się łuną od lamp w środku miasta, ja jednak zmęczony byłem pracą i wieczorami też myślałem o cierpieniach moich pacjentów, a także o Atonie, bogu faraona.

Kaptah przyjął do prowadzenia gospodarstwa starą kobietę, która mi w niczym nie przeszkadzała i wielce była zmęczona życiem i mężczyznami, co można było wyczytać z jej twarzy. Ale przyrzadzała smaczne jedzenie, nie była gadatliwa i nie stała na progu, by łąać biedaków za ich przykry odór czy też przepędzać ich ode mnie niedobrymi słowami. Szybko przyzwyczailem się do niej i wcale mi nie wadziła, a ze snuła się po

domu jak cień, prawie jej nie zauważałem. Nazywała się Muti.

Tak oto mijał jeden miesiąc po drugim i niepokój robił się w Tebach coraz większy, a o powrocie Horemheba nie było ani słychu. Słońce wypaliło podwórka na żółto i zbliżała się najgorętsza pora roku. Czasem tęskniłem do jakiejś odmiany i szedłem z Kaptahem do „Ogona Krokodyla”, żartowałem z Merit i zaglądałem jej w oczy, choć wciąż jeszcze była mi obca i serce bolało mnie, gdy spojrzałem jej w oczy. Ale nie piłem już mocnego napitku, od którego winiarnia przybrała swoją nazwę, lecz zadawałem się przez cały okres upałów zimnym piwem, które orzeźwiało nie upijając i czyniło mnie lekkim na duchu, gdy siedział w chłodnych glinianych ścianach. Słuchałem rozmów bywalców winiarni i wnet zauważyłem, że nie każdemu dawano miejsce i podawano puchar w tym domu, lecz że gościli tu tylko wybrani. I choć niejeden z nich zdobywał sobie może złoto plądrując groby, a inny znów utrzymywał się z wymuszeń, na progu winiarni zapominali o swoim zawodzie i zachowywali się przyzwoicie. Wierzyłem Kaptahowi, gdy mówił, że w domu tym spotykają się tylko tacy ludzie, którzy mają z siebie nawzajem pożytek. Tylko ja byłem wyjątkiem, bo nikt nie miał ze mnie pożytku i byłem obcy także i tam, choć mnie tolerowano i nikt się mnie nie obawiał, bo byłem przyjacielem Kaptaha.

Niejednego się tam dowiedziałem i słyszałem zarówno przekleństwa, jak i pochwały pod adresem faraona, lecz z jego nowego boga przeważnie się wyśmiewano. A pewnego wieczoru przybiegł do winiarni handlarz kadzidła i rozdarł szaty, i posypał głowę popiołem. Przyszedł tam, by ogonem krokodyla złagodzić swoje zmartwienie, i wołał wielkim głosem:

– Zaprawdę, przeklęty niech będzie na wieki ten fałszywy faraon, ten bękart i fałszywy dziedzic, bo przebrał już wszelką miarę i robi wszystko według własnego widzimisię i niszczy mój uczciwy zawód. Najlepsze zyski osiągałem dotychczas na kadzidłach, które przywożono z krainy Punt, a te wyprawy na wschodnie morze wcale nie są niebezpieczne, co roku bowiem wyposaża się statki do handlowych podróży, następnego zaś roku z każdych dziesięciu statków co najmniej dwa wracają. I nigdy nie spóźnią się więcej jak o jedną wodną miarę, tak że doskonale mogę sobie wyliczyć mój zysk i moje lokaty. Ale czy słyszeliście kiedy o czymś bardziej szalonym? Gdy flotę znowu przygotowywano do odpłynięcia, faraon przybył do portu na kontrolę. Po cóż, an Seta, musi on wszędzie węszyć jak hiena? Ma przecież do tego celu swoich pisarzy i doradców, by pilnowali, żeby wszystko szło dobrze, zgodnie z prawem i dobrymi obyczajami, tak jak to się działo dawniej. W każdym razie faraon zobaczył, że żeglarze biadają na statkach, a ich żony i dzieci płaczą na brzegu i ranią sobie twarze ostrymi

kamieniami, jak tego wymaga dobry obyczaj, gdy mąż wyprawia się na morze, bo każdy przecież wie, że wielu jest żeglarzy, którzy wyprawiają się na morze, niewielu zaś tylko wraca. Tak to już jest, gdy flota płynie do Puntu, i tak też zawsze było od czasów wielkiej królowej, ale wierzcie lub nie wierzcie, ten zwariowany młodzik, ten przeklęty faraon, nie pozwolił statkom odpłynąć i postanowił, że od tej pory nigdy już nie będzie się wyprawiać statków do Puntu. Niech nas Amon uchowa, każdy uczciwy kupiec wie, co to oznacza. Oznacza to zgubę i zagładę dla niezliczonych ludzi oraz głód i ubóstwo dla żon i dzieci żeglarzy. Na Seta! Nikt przecież nie dostaje się na morze, jeśli własnym postępowaniem nie zasłużył na taki los. A człowiek taki zostaje skazany na służbę na morzu tylko przed sądem i w oparciu o prawne dokumenty. I nie dzieje się też szczególnie często, by kogoś niesłusznie i przemocą zesłano na statek, takie rzeczy zdarzają się tylko w lata najlepszych urodzajów, gdy przestępczość się zmniejsza. Przestępczości jednak mamy aż nadto w Egipcie pod panowaniem tego faraona, kiedy ludzie nie boją się już bogów i żyją, jakby każdy dzień był ostatni. Pomyślcie o sumach włożonych w statki i towar, w szklane paciorki i gliniane naczynia. Pomyślcie o egipskich agentach handlowych, którzy teraz na zawsze będą musieli zostać w krainie Punt, opuszczeni przez bogów. Serce mi krwawi, gdy pomyślę o nich i ich płaczących żonach i dzieciach, które już nigdy nie zobaczą swoich ojców, choć to może i prawda, że wielu z nich założyło już tam nowe rodziny i spłodziło dzieci, które podobno rodzą się z kolorową skórą.

Dopiero po trzecim krokodylim ogonie handlarz kadzidła uspokoił się, ucichł oraz poprosił pośpiesznie o wybaczenie, jeśli w swym zmartwieniu i podnieceniu wypowiedział obelżywe słowa o faraonie.

– Ale – dodał – wierzyłem, że królowa Teje, która jest mądrą i rozsądną kobietą, potrafi utrzymać swojego syna w karbach. Także i o kapłanie Eje sądziłem, że to mądry człowiek, lecz wszyscy oni chcą obalić Amona i dlatego pozwalają faraonowi swobodnie rządzić się i urzeczywistniać swoje szalone pomysły. Biedny Amon! Mężczyzna przychodzi zwykle do rozumu, gdy słuchce dzban z kobietą i ożeni się, ale ta Nefretete, ta pierwsza królewska małżonka, myśli tylko o strojach i nieprzyzwoitych modach. Wierzcie mi lub nie, ale kobiety na dworze podmalowują sobie obecnie oczy malachitem na zielono i chodzą z szatami otwartymi od pasa w dół, obnażając pępek przed spojrzzeniami mężczyzn.

Kaptah zaciekawiony przerwał mu:

– Takiej mody jeszcze nie widziałem w żadnym innym kraju, choć zdarzyło mi się już oglądać różne osobliwości, zwłaszcza jeśli chodzi o stroje kobiece. Więc powiadasz,

że rzeczywiście chodzą one z obnażonym sromem, nawet królowa?

Handlarz kadzidła poczuł się urażony i odparł:

– Jestem pobożnym człowiekiem, mam żonę i dzieci. Dlatego nie zniżyłem wzroku poniżej pępka i tobie także bym nie radził robić czegoś równie niewłaściwego.

Wtedy Merit wmieszała się do rozmowy i rzekła z gniewem:

– To twoje własne usta są bezwstydną, nie zaś nowe mody letnie, bardzo przewiewne i w pełni podkreślające piękność kobiety, jeśli tylko jest ona piękna i ma zgrabny brzuch, i jeśli niezręczna akuszerka nie zepsuła jej pępka. Całkiem spokojnie mógłbyś pozwolić swojemu wzrokowi zejść niżej, bo nawet przy otwartych szatach znajduje się na potrzebnym miejscu wąska przepaska z najcieńszego płótna, a to nie może zranić nawet najbardziej pobożnego oka, jeśli tylko kobieta starannie każe usunąć sobie całe owłosienie, jak to robi każda przyzwoita niewiasta.

Handlarz kadzidła byłby jej chętnie coś odpowiedział, ale nie mógł już tego zrobić, bo trzeci ogon krokodyła mocniejszy był od jego języka. Toteż złożył głowę na dłoniach i płakał gorzko nad strojami kobiet dworu i nad żalonym losem Egipcjan, opuszczonych w krainie Punt. Zamiast niego wmieszał się do rozmowy stary kapłan Amona, którego tłuste oblicze i golona głowa lśniły od pachnącego olejku. Podniecony krokodylim ogonem uderzył pięścią w stół i zawołał donośnie:

– Tego już za wiele! Nie mam tu na myśli kobiecych strojów, bo Amon uznaje każdą modę, byle tylko ludzie w dni święte odziewali się na biało, i każdy chętnie ogląda pępek i okrągły brzuch kobiety. Ale faraon posuwa się za daleko, gdy w taki bezczelny sposób, być może nawet skazując na żalony los żeglarzy, pragnie wprowadzić przeszkody dla wszelkiego przywozu pachnących gatunków drzewa z krainy Punt! Amon przyzwyczał się do ich rozkosznego aromatu. Mamyż więc odtąd spalać nasze ofiary na gnoju? Jest to haniebna obelga i umyślne wyzwanie i wcale nie będę się dziwił, jeśli każdy uczciwy człowiek będzie od tej chwili pluł w twarz takim, którzy noszą na swoich szatach haftowany krzyż życia jako znak przeklętego boga, którego imieniem nie chcę zanieczyszczać swoich świętych ust. Zaprawdę, postawiłbym wiele krokodylich ogonów temu, kto dziś w nocy poszedłby do świątyni, którą dobrze znacie, i załatwił swoją naturalną potrzebę na ołtarzu! Świątynia ta jest otwarta i nie posiada murów, ja zaś sądzę, że zręczny człowiek łatwo może zmylić strażników. Zaprawdę zrobiłbym to sam, gdyby mi nie zakazywała tego moja godność i gdyby powaga Amona nie ucierpiała od tego, gdybym tak postąpił.

Potoczył dokoła wzrokiem wyzywająco i po chwili podszedł do niego jakiś człowiek, którego twarz pokryta była plamami wyżartymi przez zarazę. Zaczęli z sobą szeptać,

po czym kapłan zamówił dwa krokodyle ogony, a jego towarzysz odezwał się głośno:

– Zaprawdę, uczynię to, ale nie zrobię tego dla złota, które mi obiecujesz, lecz dla mojego własnego Ka i Ba. Bo chociaż nieraz popełniam grzeszne postęпки i w razie potrzeby nie zawaham się poderznąć komuś gardła, wciąż jeszcze wierzę w to, czego uczyła mnie matka. Amon jest moim bogiem i chcę zasłużyć sobie na jego łaskę, nim umrę, za każdym bowiem razem, gdy choruję na żołądek, wspominam z przykrością wiele niedobrych uczynków, które popełniłem.

– Zaprawdę! – wykrzyknął kapłan, równie jak tamten pijany – twój uczynek będzie twoją zasługą i wiele ci zostanie wybaczone dla niego. A jeśli nawet poniesiesz śmierć w sprawie Amona, wiedz, że wstąpisz prościutko do Kraju na Zachodzie, nawet choćby twoje ciało zgniło na murze. Tak samo dzieje się z żeglarzami, którzy toną w służbie Amona, przywoząc dla niego drogocenne drewno i dobre kadzidło. Wstępują oni prosto do Kraju na Zachodzie, nie potrzebując brodzieć po mokradłach w krainie umarłych. Toteż faraon jest zbrodniarzem, gdy pozbawia ich możliwości utonięcia w służbie dla Amona. – Grzmotnął swoim pucharem o stół i zwracając się do gospodarza zawołał: – Jako kapłan czwartego stopnia posiadam moc uwalniania i krępowania waszego Ka i Ba. Zaprawdę, powiadam wam, każdy postępek, którego dokonacie dla Amona, będzie wam wybaczony, nawet gdyby to było morderstwo, kradzież czy gwałt, bo Amon zagląda do ludzkich serc i sędzi ludzkie uczynki według intencji ich serc: Idźcie po broń, ukryjcie ją pod waszymi płaszczami i...

Krzyk jego załamał się, bo gospodarz podszedł do niego spokojnie i uderzył go po ciemieniu skórzaną pałką, tak że kapłanowi głowa opadła pomiędzy kolana, a słowa uwięzły mu w gardle. Wszyscy wzdygnęli się ze zgrozą, a człowiek z plamami zarazy na twarzy wydobył zza pasa nóż, ale gospodarz winiarni spokojnie oświadczył:

– Ten mój uczynek popełniłem dla Amona i dlatego jest mi on z góry wybaczony, a ten sam kapłan będzie pierwszym, który to przyzna, gdy tylko oprzytomnieje. Bo nawet jeśli przemawiał w imieniu Amona, to równocześnie mówił też przez niego ogon krokodyla, gdyż wołał za głośno. A w tym domu nie wolno krzyczeć i hałasować nikomu oprócz mnie. Przypuszczam, że wszyscy dobrze rozumiecie, co mam na myśli, jeśli jesteście rozsądni.

Wszyscy przyznali, że gospodarz mówi mądrze i słusznie. Człowiek zżarty zarazą zaczął cucić kapłana, a kilku gości szybko wymknęło się i znikło. Także i my z Kaptahem wyszliśmy z winiarni, a przy drzwiach powiedziałem do Merit:

– Wiesz, że jestem sam, ale twoje oczy mówią mi, że i ty jesteś sama. Wiele myślałem o słowach, które ongiś do mnie powiedziałaś, i wierzę, że kłamstwo może

istotnie być przyjemniejsze od prawdy dla tego, kto jest samotny, gdy wiosna jego życia już przeminęła. Toteż chciałbym, żebyś się odziała w taką nową letnią szatę, o jakiej nam opowiadałaś, bo masz piękną figurę i twoje członki są smukłe, a nie przypuszczam też, bym musiał wstydzić się z powodu twego brzucha, gdybym szedł obok ciebie Aleją Baranów.

I tym razem nie odsunęła mojej dłoni ze swoich bioder, lecz przycisnęła ją lekko i rzekła:

– Może zrobię tak, jak mówisz.

Ale obietnica jej nie dała mi żadnej radości, gdy wyszedłem na dwór w gorący portowy wieczór, lecz dusza moja przepełniła się smutkiem, a w ciszy wieczoru skądś, z daleka znad Rzeki, słychać było samotny głos fujarki zrobionej z rozwidlonego kawałka trzciny.

Nazajutrz powrócił do Teb Horemheb przyprowadzając z sobą wojsko. Ale aby opowiedzieć o tym i o wszystkim innym, co się potem wydarzyło, muszę rozpocząć nową księgę. Chcę jednak jeszcze tylko dodać, że gdy leczyłem biedaków, zdarzyło mi się dwukrotnie otwierać czaszki. Jednym z pacjentów był silny mężczyzna, drugim zaś biedna kobieta, która uważała się za wielką królową Hatszepsut. Oboje przeszli operację dobrze i zostali zupełnie wyleczeni, co mi sprawiło dużo zadowolenia, bo wykazało mą żręczność. Ale zdaje mi się, że stara kobieta była szczęśliwsza, gdy się uważała za wielką królową, niż potem, gdy została wyleczona.

KSIĘGA DZIESIĄTA MIASTO NIEBIAŃSKIE

ROZDZIAŁ I

Gdy Horemheb powrócił z krainy Kusz, lato było w zenicie. Jaskółki dawno już znikły i zakopały się w szlamie, woda w położonych wokół miasta stawach pokrywała się pleśnią, a szarańcza i pchły ziemne niszczyły zbiory. Ale ogrody bogaczy w Tebach kwitły, ciemnozielone i chłodne, a po obu stronach obramowanej kamiennymi baranami

wielkiej alei mieniły się wszystkimi kolorami tęczy klomby kwiatów, gdyż świeżej wody brakowało w Tebach tylko dla ubogich i tylko ubogim niszczył pożywienie pył, który jak sieć opadał na wszystko, jak błonką pokrywając liście akacji i sykomorów w dzielnicy biedoty. A na południu, po drugiej stronie Rzeki, wznosił się w słonecznym żarze otoczony murami i ogrodami Złoty Dom faraona, jak sen spowity w błękitniejącą i rozłożoną mgiełkę. I choć była to najgorętsza pora lata, faraon nie wyjechał do swoich pałacyków w Dolnym Kraju, lecz pozostał w Tebach. Toteż wszyscy wiedzieli, że wkrótce coś się stanie, i niepokój przepełniał serca ludzkie, tak jak chmury zasnuwają niebo przed piaskową burzą.

I nikt nie był zdziwiony, gdy już od świtania wszystkimi drogami od południa do Teb zaczęło wmaszerowywać wojsko. Z zakurzonymi tarczami, błyszczącymi miedzią grotami oszczepów i napiętymi łukami maszerowały czarne oddziały ulicami miasta, gapiąc się ciekawie dokoła, a białka oczu lśniły przerażająco w spoconych twarzach. Szli za swoimi barbarzyńskimi znakami polowymi, wkraczali do pustych koszar, gdzie niebawem zapłonęły ogniska, w których podgrzewano kamienie do gotowania stawy w wielkich glinianych kotłach. Równocześnie do mostków przystani przybiła flota i ze statków transportowych wyładowywano wozy bojowe dowódców i przystrojone w pióra rumaki. Również i w tych oddziałach nie widać było Egipcjan, przeważnie składały się z Murzynów z południa i Szardanów z pustyni na północnym zachodzie. Obsadzili oni miasto, na rogach ulic warty paliły ogniska, a Rzeką została zagrodzona łańcuchami. W ciągu dnia stanęła robota w warsztatach i młynach, w kramach i składach. Kupcy pozabierali swoje towary z ulic i pozabijali okna na głucho, a gospodarze w winiarniach i domach uciechy szybko najęli mocnych chłopów, którzy z pałkami w rękach mieli strzec ich lokali. Ludzie przyodziali się na biało i z wszystkich dzielnic miasta, tak biednych jak i bogatych, zaczęły napływać tłumy do wielkiej świątyni Amona, aż wszystkie jej podwórce wypełniły się zbitą masą, a sporo ludzi zostało jeszcze za murami.

Równocześnie rozeszła się wiadomość, że świątynia Atona została w nocy zhańbiona i zbezczeszczone. Na ołtarz rzucono gnijące psie padło, a strażnik znaleziony został z gardłem przetrziętym od ucha do ucha. Gdy ludzie o tym usłyszeli, zaczęli bojaźliwie zerkać dokoła siebie, wielu jednak nie umiało powstrzymać się od ukradkowych złośliwych uśmiechów.

– Oczyszć swoje narzędzia, panie – rzekł do mnie Kaptah poważnie. – Sadzę bowiem, że zanim nadejdzie wieczór, będziesz miał dużo roboty, jeśli mnie przecucie nie myli, może nawet będziesz otwierał czaszki.

Przed wieczorem nie wydarzyło się jednak nic godnego uwagi, tylko pijani murzyńscy żołnierze splądrowali kilka sklepów i zgwałcili parę kobiet. Zostali wprawdzie pojmani przez strażników i publicznie wychłostani, ale ograbieni kupcy i zhańbione kobiety nie miały z tego zbyt wiele pociechy. Dowiedziałem się, że Horemheb jest na statku głównodowodzącego, i poszedłem do portu, żeby się z nim spotkać, choć nie wierzyłem, że zdołam uzyskać rozmowę. Wartownik wysłuchał mnie obojętnie i poszedł zameldować; ku mojemu zdziwieniu wrócił po chwili, aby zaprowadzić mnie do kajuty głównodowodzącego. Po raz pierwszy wstąpiłem na pokład okrętu wojennego, toteż rozglądałem się dokoła z wielką ciekawością, ale tylko uzbrojenie i liczebność załogi różniła ten okręt od innych statków, bo i statki handlowe mogą mieć złocenia na dziobie i kolorowe żagle.

Tak więc znów zobaczyłem Horemheba. Wydał mi się jeszcze bardziej roślejszy i bardziej wyniosły niż przedtem, bary miał szerokie, a mięśnie ramion silne, ale twarz jego pokryły zmarszczki, a nabiegłe krwią oczy zamykały się ze znużenia. Skłoniłem się przed nim głęboko, opuszczając dłonie do kolan, on zaś zaśmiał się i zawołał pełnym rozgoryczenia głosem:

– Patrzcie no, to Sinuhe, Syn Dzikiego Osła, mój druh! Przychodzisz w nader przyjemnej chwili!

Bacząc na swoją dostojność nie wziął mnie jednak w ramiona, lecz zwrócił się do maleńkiego, tłustego oficera, który stał obok niego z wyrazem zdumienia na twarzy, z wybałuszonymi oczyma, ciężko dysząc od upału. Horemheb wręczył mu swoją złotą pletnię dowódcy i powiedział:

– Proszę, weź to i przyjmij odpowiedzialność! – Po czym zdjął z siebie haftowany złotem kołnierz dowódcy i włożył do na szyję tłuszciocha, mówiąc: – Przekazuję ci dowództwo i niech krew ludu spadnie na twoje brudne łapska. – A zwracając się do mnie powiedział: – Sinuhe, mój przyjacielu, teraz jestem wolny i mogę pójść z tobą, dokąd chcesz. I mam nadzieję, że znajdziesz w swoim domu matę, na której będę mógł wyciągnąć kości, bo, na Seta i wszystkie demony, ogromnie jestem zmęczony i znudzony użeraniem się ze zwariowanymi ludźmi. – Jeszcze raz położył ręce na ramionach maleńkiego oficera, którego głowa sięgała mu tylko do ramienia, i dorzucił: – Patrz dobrze, Sinuhe, i zakarbuwaj w pamięci to, co widzisz, masz bowiem przed sobą człowieka, w którego rękach spoczywa dzisiaj los Teb, a być może i los całego Egiptu. To jego faraon mianował moim następcą, gdy mu wprost powiedziałem, że jest szalony. Ale gdyś już zobaczył tego tu człowieka, domyślasz się, że faraon może niedługo będzie mnie znowu potrzebował. – Zaśmiał się przeciągle i uderzył rękami po kolanach, ale

śmiej jego nie wyrażał wcale radości, lecz przeciwnie, nappełnił mnie strachem.

Mały głównodowodzący patrzył na niego z pokorą, a oczy wylażyły mu na wierzch z gorąca i pot spływał mu po policzkach i po szyi na tłuste piersi.

– Nie gniewaj się na mnie, Horemhebie – rzekł piskliwym głosem. – Wiesz, że nie prosiłem o twoją pletnię dowódcy i bardziej Kocham swoje koty i spokój w ogródku niż zgiełk bitwy. Kimże jednak jestem, bym miał powstawać przeciw rozkazom faraona, on zaś zapewnia, że nie będzie żadnego boju, lecz fałszywy bóg upadnie bez rozlewu krwi, tak jak faraon sobie tego życzy.

– On mówi tak, jak chciałby, żeby było – odparł Horemheb. – Jego serce prześciga jego rozsądek, tak jak ptak wyprzedza ślimaka. Dlatego słowa jego nie mają żadnego znaczenia, a ty powinieneś kierować się własnym rozsądkiem i rozlewać krew umiarkowanie i z namysłem, nawet jeśli jest to tylko krew Egipcjan. Ne mego sokoła, zachłosczyć cię własnoręcznie, jeśli pozostawiłeś cały rozsądek przy kłatkach swoich rasowych kotów, bo według tego, co mi opowiadano, za poprzedniego faraona był z ciebie wybitny wojownik i właśnie dlatego faraon wybrał cię do tego przykrego zadania.

Wyrznął nowego głównodowodzącego w plecy tak, że mały człowieczek zakrzusił się i zaczął łapać oddech jak ryba, a słowa, które zamierzał powiedzieć, uwięzły mu w gardle. Horemheb zaś paru szybkimi krokami znalazł się na pokładzie. Żołnierze wyprzężyli się przed nim na baczność i pozdrawiali go z uśmiechniętymi twarzami, podnosząc w górę oszczepy. On zaś kiwnął do nich ręką i zawołał:

– Żegnajcie, moi drodzy wszarze! Słuchajcie tego tłustego rasowego kotka, który teraz na mocy rozkazu faraona nosi pletnię dowódcy. Słuchajcie go tak, jakby był głupim dzieckiem, i uważajcie, by nie wypadł z wozu i nie skaleczył się własnym nożem. – Żołnierze buchnęli śmiechem i wzniesli okrzyk na jego cześć, ale on nagle wpadł w gniew i wygrażając im pięściami zawołał: – Zresztą nie mówię wam „żegnajcie”, tylko „do zobaczenia wkrótce”, bo widzę, jakie pragnienia kryją się w waszych oczach. Dlatego też powiadam wam, trzymajcie swoje łapska w karchach i pamiętajcie o moich rozkazach, bo inaczej, gdy wrócę, posiekam wam grzbiety na strzępy.

Zapytał, gdzie mieszkam, i podał ten adres dowódcy warty, zakazując mu jednakże przesyłać tam swoje rzeczy, bo uważał, że są pod lepszą opieką na pokładzie wojennego okrętu. Potem objął mnie ramieniem za szyję, jak dawniej, i powiedział z westchnieniem:

– Zaprawdę, Sinuhe, jeśli ktoś zasłużył na to, żeby się dziś wieczorem dobrze upić, to ja nim jestem.

Przypomniałem sobie o „Ogonie Krokodyła” i opowiedziałem mu o nim, on zaś tak się tym zainteresował, że odważyłem się go prosić, żeby na wypadek zamieszek

posłał straż dla ochrony winiarni Kaptaha. Wydał zaraz dowódcy warty odpowiedni rozkaz, ten zaś słuchał go tak, jak gdyby Horemheb wciąż jeszcze nosił pletnię głównodowodzącego, i obiecał wybrać do strzeżenia winiarni godnych zaufania weteranów. W ten sposób mogłem wyrządzić Kaptahowi przysługę i nic mnie to nie kosztowało.

Wiedziałem już, że w „Ogonie Krokodyla” było mnóstwo maleńkich pomieszczeń, gdzie rabusie grobów i paserzy załatwiali swoje ciemne interesy i gdzie czasami szlachetne damy spotykały się z silnymi tragarzami z portu. Zaprowadziłem Horemheba do takiej izdebki, a Merit przyniosła mu krokodyli ogon w muszli małża na swej dłoni, on zaś przełknął go jednym łykiem, zakasłał i powiedział: – Oooh! – Potem poprosił o drugi, a gdy Merit Odeszła, by go przynieść, oświadczył, że jest ona piękną kobietą, i zapytał, co mnie z nią łączy. Zapewniłem go, że nic między nami nie ma, ale byłem rad, że Merit nie zdążyła się jeszcze postarać o nowomodną suknię i brzuch miała zasłonięty. Horemheb nie zaczął się jednak zalecać do Merit, lecz podziękował jej z szacunkiem, wziął puchar z jej rąk i skosztował napoju ostrożnie, z głębokim westchnieniem. A potem rzekł:

– Sinuhe, jutro ulicami Teb popłynie krew, a ja nie mogę nic na to poradzić, bo faraon jest moim przyjacielem i kocham go, choć jest szalony. Ongiś okryłem go moim naramiennikiem, a mój sokół związał z sobą nasze losy. Być może, kocham go właśnie dla jego szaleństwa, ale nie mieszam się do tej sprawy, bo muszę myśleć o przyszłości i nie chcę, żeby lud mnie znienawidził. O Sinuhe, mój przyjacielu, dużo wody spłynęło Nilem i Rzeka wezbrała niejednym raz od dnia, gdyśmy się ostatni raz spotkali w śmierdzącej Syrii. Dziś przybyłem z kraju Kusz i stosownie do rozkazu faraona rozpuściłem wszystkie garnizony w krainie Kusz i przywiodłem wojska murzyńskie do Teb, tak że kraj nie jest strzeżony od południa. Jeśli tak dalej pójdzie, wybuch powstania w Syrii jest tylko kwestią czasu. Może wtedy faraon dojdzie wreszcie do rozumu, ale tymczasem kraj ubożeje. Od czasu jego koronacji w kopalniach brak siły roboczej i nie przynoszą one dochodów, bo leniwych nie wolno już chłostać kijem, karze się ich jedynie zmniejszeniem racji żywnościowych. Doprawdy serce moje drży o faraona, o Egipt i o jego boga, choć nie znam się na bogach ani też nie chcę się nimi zajmować, bo jestem żołnierzem. Mówię ci tylko, że wielu, ogromnie wielu ludzi umrze przez jego boga. To przecież szaleństwo, bo bogowie są po to, żeby ludzi uspokajać, a już na pewno nie po to, żeby siać między nimi niepokój.

I dodał jeszcze:

– Jutro Amon zostanie obalony i mnie wcale go nie będzie brakować, gdyż Amon

rozwrócił się zbyt potężnie, by było dla niego w Egipcie miejsce obok faraona. To politycznie mądrze ze strony faraona, że obala Amona, bo dziedziczy jego olbrzymie bogactwa, które mogą go jeszcze uratować. Także i wszystkich innych bogów może faraon mieć po swojej stronie, jeśli będzie postępować mądrze, bo kapłani innych bogów zesłali w cień z powodu Amona i ogromnie mu zazdroszczą. Tak więc faraon może nad nimi władać, podzieliwszy Egipt pomiędzy wielu małych bogów. Ale żaden kapłan nie kocha Atona, a kapłani mają władzę nad sercami ludu, a już szczególnie kapłani Amona. Dlatego wszystko musi się źle skończyć.

– Ale przecież Amon jest bogiem znienawidzonym i jego kapłani dostatecznie długo trzymali lud w ciemności i dusili każdą swobodną myśl. Doszło już do tego, że nikt nie waży się powiedzieć słowa bez zgody Amona. Natomiast Aton obiecuje światłość i swobodę, życie bez bojaźni, a to wielka rzecz, niesłuchanie wielka rzecz, mój przyjacielu Horemhebie.

– Nie rozumiem, co masz na myśli mówiąc o bojaźni – odparł. – Chyba to, że lud trzeba trzymać w karbach bojaźnią, a jeśli bogowie trzymają lud w karbach, nie potrzeba żadnej broni dla podpory rządu. Pod tym względem Amon wywiązał się ze swoich zadań znakomicie i gdyby się zadowolili tym, by być sługą faraona, zasłużyłby w pełni na swoją pozycję. Bo bez bojaźni nie rządzono jeszcze żadnym ludem i bez lęku nie będzie się także i w przyszłości żadnym ludem rządzić. Toteż ten Aton jest ogromnie niebezpiecznym bogiem przez swoją łagodność i swój krzyż miłości.

– Jest on jeszcze większym bogiem, niż przypuszczasz – rzekłem cicho, niemal sam nie rozumiejąc, dlaczego to mówię. – Być może, jest on także i w tobie, bez twojej wiedzy, jak również i we mnie, bez mojej. Gdyby ludzie go zrozumieli, mógłby zbawić wszystkie ludy od lęku i ciemnoty. Ale najprawdopodobniej wielu będzie musiało umrzeć dla niego, tak jak mówisz, bo to, co jest wieczne, można narzucić zwykłym ludziom tylko gwałtem.

Horemheb patrzył na mnie niecierpliwie, jak się patrzy na dziecko, które plecie głupstwa. Ale ogon krokodyla go orzeźwił, tak że znów nabrał dobrego humoru i powiedział:

– Jesteśmy przynajmniej jednego zdania co do tego, że należy zdusić Amona, a jeśli to już musi się stać, to powinno się dokonać tego potajemnie i niespodziewanie, pod pokrywką nocy, i wszędzie, w całym kraju, o jednej godzinie, kapłani najwyższych stopni powinni zostać natychmiast zgładzeni, inni zaś zesłani do kopalń i kamieniołomów. Ale w swym szaleństwie faraon chce wszystko zrobić otwarcie i jawnie, z wiadomością ludu i przy świetle swego boga, bo tarcza słoneczna jest przecież jego bogiem, nieprawdaż, i

w gruncie rzeczy nie ma w tym wszystkim nic nowego. To szaleństwo będzie kosztować mnóstwo krwi i nie wyraziłem swej zgody na przeprowadzenie jego zamiarów, o których mnie nie uprzedzał. Na Seta i wszystkie demony, gdybym zawczasu wiedział o tej sprawie, byłbym to wszystko dobrze uplanował i obalił Amona tak szybko, że on sam ledwie by zdążył spostrzec, co się stało. Teraz jednak wie już o tym każdy ulicznik w Tebach, a kapłani podbechtali lud na podwórcach świątyni i mężczyźni wyłamują w lasach gałęzie na broń, a kobiety idą do świątyni z pałkami ukrytymi w fałdach szat. Na mego sokoła, mam ochotę płakać, gdy pomyślę o głupocie faraona.

Oparł głowę na dłoniach i płakał nad dolą czekającą Teby, a Merit przyniosła mu trzeci ogon krokodyla i patrzyła z takim podziwem na jego silny grzbiet i nabrzmiałe muskuły, że z rozdrażnieniem kazałem jej odejść i zostawić nas samych. Próbowałem opowiadać Horemhbowi, co na jego polecenie widziałem i słyszałem w Babilonie, kraju Hatti i na Krecie, ale zobaczyłem, że krokodyl trzepnął go już ogonem w głowę i że śpi ciężko z twarzą ukrytą w dłoniach. Tak więc spał owego wieczoru w moich ramionach, ja zaś czuwałem nad jego snem i słyszałem przez całą noc żołnierzy hałasujących w winiarni, bo Kaptah i gospodarz uważali za swój obowiązek zabawiać ich, aby z tym większym zapalem strzegli domu, gdy zaczną się rozruchy. Zgiełk nie ustawał przez całą noc i do winiarni sprowadzano ślepych pieśniarzy i tancerki, i zdaje mi się, że żołnierze bawili się dobrze, mnie jednak wcale nie było wesoło, bo myślałem o tym, że w każdym domu w Tebach ostrzą noże i sierpy, obciosują na szpic drewniane koły i objają miedzią kuchenne kopyście. Tak, nie zdaje mi się, by dużo było takich, którzy spali w ową noc w Tebach, a już całkiem na pewno nie spał faraon, lecz Horemheb spał twardo. Może dlatego, że urodził się na żołnierza.

ROZDZIAŁ 2

Przez całą noc czuwały też tłumy na podwórcach świątyni Amona i przed świątynią. Biedota odpoczywała na chłodnych trawnikach, w klombach kwiatów, a kapłani składali obfite ofiary na wszystkich ołtarzach Amona i dzielili między lud ofiarne mięso, ofiarny chleb i ofiarne wino. Wołali do Amona wielkim głosem i obiecywali życie wieczne każdemu, kto wierzy w Amona i dla niego rzuci na szalę swoje życie. Kapłani ci, gdyby chcieli, mogliby zapobiec rozlewowi krwi. Nie potrzebowali zrobić nic więcej, tylko ustąpić i podporządkować się, a faraon byłby im pozwolił odejść w spokoju i nie byłby ich prześladował, ponieważ jego bóg brzydził się prześladowaniami i nienawiścią. Ale władza i bogactwo uderżyły kapłanom Amona do głowy, tak że nawet śmierć już ich nie przerażała. Wiedzieli bowiem doskonale, że ani lud, ani nieliczni strażnicy Amona nie mogą przeciwstawić się uzbrojonej, wprawionej do boju armii i że armia ta zmiecie

lud, jak wzbierająca rzeka zmiata suchą słomę. Ale kapłani chcieli rozlać krew między Amonem a Atonem i zrobić faraona mordercą i zbrodniarzem, który kazał brudnym Murzynom przelać czystą egipską krew. Pożądali ofiar dla Amona, aby ich Amon żył wiecznie w oparach ofiarnej krwi, nawet gdyby jego posąg został obalony, a świątynia zamknięta.

Po długiej nocy weszła w końcu tarcza słoneczna Atona zza trzech szczytów na wschodzie i pałacy żar letniego dnia przegnał od razu nocny chłód. Zagrały rogi na wszystkich ulicach i na wszystkich placach i heroldowie faraona odczytali orędzie, w którym faraon oświadczał, że Amon jest fałszywym bogiem, że usuwa go oraz przeklina na wieki, tak że nawet jego przekłete imię miało zostać usunięte z wszystkich napisów i pomników i nawet z grobów miano je usunąć.

Wszystkie świątynie Amona w Górnym i Dolnym Kraju, wszystkie dobra Amona, jego trzody, niewolnicy, budynki, złoto, srebro i miedź, wszystko to przypadało faraonowi i jego bogu i faraon obiecywał przekształcić świątynie Amona w publiczne miejsca przechadzek, a jego ogrody w publiczne parki, zaś jego święte jeziora w publiczne jeziora, gdzie biednym wolno będzie się kąpać w upalne dni i skąd biedota będzie mogła czerpać tyle wody, ile zechce. A wszystką ziemię Amona obiecywał faraon podzielić między tych, którzy nie mieli wcale ziemi, aby uprawiali rolę w imię Atona.

Lud słuchał zrazu orędzia faraona w ciszy, jak tego wymagał dobry obyczaj, ale w końcu wszędzie, na rogach ulic, na placach i przed świątynią, ludzie podnieśli grzmiący okrzyk „Amon! Amon!”. Okrzyk ten był tak potężny, że zdało się, jak gdyby wołały nawet kamienie z bruku i ze ścian domów. Wtedy murzyńskich żołnierzy obleciał strach, a ich malowane w czerwone i białe pasy twarze zrobiły się szare. Przewracali białkami i oglądali się dokoła, jak gdyby spostrzegli, że mimo wielkiej liczebności było ich niewielu w tym olbrzymim mieście, które widzieli po raz pierwszy w życiu. I mało było takich, którzy poprzez krzyk tłumu dosłyszeli, że faraon, aby usunąć ze swego imienia przekłete imię Amona, przybrał tego dnia imię Echnaton, co znaczy Ulubieniec Atona.

Na ten okrzyk ocknął się nawet Horemheb w zacisznej izdebce w „Ogonie Krokodyla”, przeciągnął członki i powiedział, uśmiechając się do mnie z zamkniętymi oczyma:

– Tyżeś to Baket, ukochana przez Amona, księżniczko moja?! Czy to ty mnie wołasz? – Ale gdy go trąciłem w bok, otworzył oczy i uśmiech opadł z jego oblicza jak stara płachta, i Horemheb pomacawszy głowę powiedział: – Na Seta i wszystkie demony, twój napitek pełen był mocy, Sinuhe, i pewnie mi się coś śniło.

Na co ja odparłem:

– Lud wzywa Amona!

Wtedy on przypomniał sobie wszystko, poderwał się z pośpiechem i poszliśmy do winiarni, potykając się o leżących żołnierzy i gołe nogi dziewcząt. Horemheb porwał z półki chleb, wychylił dzban piwa, po czym pośpieszyliśmy do świątyni ulicami bardziej pustymi niż kiedykolwiek przedtem. Po drodze Horemheb obmył się w źródle przy Alei Baranów, zanurzając twarz w wodzie i parszcząc gwałtownie, bo krokodyle ogony dudniły mu wciąż jeszcze w głowie.

Mały, tłusty, rasowy kot, który na imię miał Pepitamon, ustawił tymczasem swoje oddziały i wozy bojowe przed świątynią. Gdy otrzymał meldunek, że wszystko jest w porządku i że każdy oddział zna swoje zadanie, powstał w złotej lektyce i zawołał piskliwym głosem:

– Egipcscy żołnierze, nieustraszeni mężowie z Kusz i dzielni Szardanie! Idźcie i obalcie posąg przeklętego Amona, stosownie do rozkazu faraona, a nagroda dla was będzie wielka!

Powiedziawszy to uznał, że zrobił już wszystko, czego od niego wymagano, usiadł zadowolony na miękkich poduszkach lektyki i kazał niewolnikom wachlować się, bo zrobiło się już bardzo gorąco.

A przed świątynią aż się roiło od biało odzianych ludzi. Tłoczyła się tam niezliczona chmara mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, która nie cofnęła się, gdy wojsko zaczęło maszerować w kierunku świątyni, a wozy bojowe ruszyły naprzód. Murzyni rozpędzali cizbę drzewcami oszczepów, wiele osób pobili pałkami, ale ludzi było mnóstwo i tłum nie ustępował. Naraz wszyscy wykrzyknęli głośno imię Amona i rzucili się twarzami na ziemię przed wozy bojowe, tak że konie tratowały ich, a koła przejeżdżały po ludzkich ciałach. Wtedy oficerowie spostrzegli, że nie dostaną się do świątyni bez przelewu krwi, i cofnęli swoje oddziały w oczekiwaniu na nowe rozkazy, bo faraon zakazał im rozlewać krew. Lecz krew już się połała po kamieniach placu i pokaleczeni ludzie wołali i biadali, a wielkie podniecenie ogarnęło tłum, gdy zobaczył, że żołnierze wycofują się, i uwierzył w zwycięstwo.

Tymczasem Pepitamon przypomniał sobie, że faraon w orędziu zmienił swoje imię na Echnaton. Postanowił więc śpiesznie sam zmienić imię, by się przypodobać faraonowi, i kiedy oficerowie przyszli, by z nim pomówić i prosić o nowe rozkazy, udał, że ich nie słyszy, tylko wytrzeszczywszy oczy powiedział:

– Nie znam żadnego Pepitamona. Moje imię brzmi Pepitaton, czyli Błogosławiony przez Atona Pepi.

Oficerowie, z których każdy nosił złoty bicz i dowodził tysiącem żołnierzy, bardzo się tym rozsierdzili, a dowódca wozów bojowych rzekł:

– Do licha z Atonem! Co to znów za komedia i co nam każesz zrobić z tłumem, żeby przedrzeć się do świątyni?

A wtedy Pepitamon zaczął się naigrywać z nich i powiedział:

– Czyście stare baby, czy żołnierze? Rozpędźcie ludzi, lecz nie przelewajcie krwi, bo faraon wyraźnie tego zakazał.

Usłyszawszy te słowa oficerowie spojrzeli po sobie i splunęli na ziemię, ale wrócili do swoich oddziałów, bo i tak nie mogli zrobić nic innego.

Podczas tej narady podniecenie ogarnęło tłum i ludzie zaczęli naciskać na cofających się Murzynów, wygrzebywać kamienie z bruku i rzucać na nich, wywijać kopyściami i ułamanymi kijami i głośno wykrzykiwać. Gromada ludzi była wielka i wszyscy podniecali się nawzajem okrzykami, więc dużo Murzynów obalonych wyrwanymi z bruku kamieniami padło na ziemię, nurzając się we własnej krwi. Konie zaprzężone do wozów bojowych spłoszyły się od wrzasków tłumu i zaczęły ponosić, tak że woźnice musieli ściągać wodze z całych sił, aby je okiełznać. Gdy dowódca wozów bojowych powrócił do swego oddziału, zobaczył, że najlepszy i najcenniejszy koń z jego zaprzęgu ma jedno oko wybite i kuleje na nogę, skaleczoną kamieniem. Sprawilo mu to taki ból, że zaczął ryczeć z wściekłości i wołać:

– Moja złota strzała, moja chyża łanio, mój słoneczny promieniu, wybili ci oko i złamali nogę, ale zaprawdę, droższaś mojemu sercu niż cały ten lud i wszyscy bogowie razem wzięci! Toteż pomszczę cię, ale nie rozlewajmy przy tym krwi, bo faraon wyraźnie tego zabronił.

I na czele wozów bojowych wdarł się prosto w tłum, a każdy z jego żołnierzy porwał do wozu największego z krzykaczy, jacy mu się nawinęli pod rękę; wozy tratowały starców i dzieci, a okrzyki tłumu przemieniły się w biadania. Tych zaś, których porwali do wozów, żołnierze zadusili cugłami, aby nie wytoczyć krwi, i zawrócili włokąc zwłoki za wozami, żeby wzbudzić postrach w tłumie. Także i Murzyni odczepili cięciwy od łuków, ruszyli do natarcia i dusili ludzi cięciwami łuków. Nie oszczędzali nawet dzieci, chroniąc się za tarcze przed kamieniami i uderzeniami kijów. Każdego jednak pomalowanego Murzyna, który odbił się od swego oddziału, tłum tratował na śmierć i rozrywał w szaleństwie na strzępy, a z jednego wozu bojowego ludziom udało się ściągnąć woźnicę i wyjąc z podniecenia rozbili mu głowę o bruk.

Obserwowaliśmy to z Horemhebem a Alei Baranów, ale zamieszanie, zamęt, zgiełk i hałas przed świątynią były tak niesłychane, że nie widzieliśmy dokładnie, co się dzieje,

i wszystko stało się dla nas jasne dopiero później. A Horemheb rzekł:

– Nie mam prawa mieszać się do tego, ale zdaje mi się, że mogę się dużo nauczyć patrząc na to.

Po czym wdrapał się na grzbiet jednego z lwów o baranich głowach i przyglądał się stamtąd wszystkiemu, co się działo, żując przez cały czas chleb, który zabrał z sobą wychodząc z winiarni.

W miarę upływu czasu królewski głównodowodzący Pepitaton zaczął się niecierpliwić. Stojący obok niego wodny zegar sączył nieubłaganie wodę, krzyk tłumu zaś wciąż jeszcze docierał do uszu Pepitatona jak szum wzburzonej rzeki. Kazał więc znowu przywołać do siebie oficerów i wyrzucał im gwałtownie opieszalstwo mówiąc:

– Moja sudańska kotka Mimo ma dzisiaj mieć młode i bardzo jestem o nią niespokojny, nie mogąc jej sam przy tym pomagać. Idźcie więc wreszcie w imię Atona i obalcie ten przeklęty posąg, żebyśmy już wszyscy mogli pójść do domu, bo inaczej, na Seta i wszystkie demony, pozrywam wam z szyi łańcuchy i połamię wasze bice, przysięgam.

Gdy oficerowie to usłyszeli, zrozumieli, że tak czy owak po nich, i narodziwszy się z sobą wezwali na pomoc wszystkich bogów królestwa śmierci i postanowili przynajmniej ocalić swoją cześć żołnierską. Uformowali więc swoje oddziały i ruszyli do natarcia roztrącając tłum na boki, jak wezbrana rzeka odrzuca suchą słomę. Oszczepy Murzynów zabarwiły się na czerwono, a krew ludzka płynęła po placu obficie. Sto razy po stu mężczyzn, kobiet i dzieci zginęło tego ranka przed świątynią z powodu Atona. Bo gdy kapłani zobaczyli, że żołnierze rzeczywiście idą do natarcia, kazali zamknąć bramy pylonów i ludzie rozpiechli się na wszystkie strony jak wystraszona trzoda owiec, a pijani krwią Murzyni ścigali ich i razili strzałami, a wozy bojowe pędziły ulicami i każdego uciekającego przebijano oszczepem. Uciekając tłum wtargnął do świątyni Atona, wyrzucił jego ołtarz i pozabijał kapłanów, którzy wpadli mu w ręce, a za tłumem wjechały do świątyni wozy bojowe. Kamienna podłoga świątyni wnet pokryła się krwią i umierającymi. Droga przez mur do świątyni Atona była dla oddziałów Pepitatona niedostępna, bo Murzyni nie przywykli do szturmowania murów, a ich lekkie tarany nie mogły skruszyć miedzianych bram pylonów, choć może gdzieś w dżunglach południa, w kraju żyraf, z łatwością wyłamywały wrota obwarowanych palami wsi. Żołnierze nie mogli zrobić nic więcej jak otoczyć świątynię, z której murów kapłani miotali na nich przekleństwa, a świątynni strażnicy strzelali z łuków i ciskali oszczepami, tak że niejednego pomalowanego w wojenne barwy Murzyn padł pod świątynią bez żadnego pożytku. Z placu przed świątynią unosił się gęsty odór krwi i muchy z

całego miasta zebrały się tam kłębiącą się chmurą. Pepitaton, który kazał się zanieść na plac w złotej lektyce, pobladł od przeraźliwego smrodu, tak że niewolnicy musieli okadzać go kadzidłem, a on płakał i dał szaty na widok niezliczonych trupów. Lecz serce jego przepełnione było niepokojem o sudańską kotkę Mimo, toteż powiedział do swoich oficerów:

– Boję się, że spadnie na nas straszny gniew faraona, bo nie obaliliście posągu Amona, natomiast krew strumieniami spływa z placu w rynsztoki. Ale co się stało, to się stało. Toteż muszę śpiesznie udać się do faraona, żeby mu opowiedzieć o wszystkim, i spróbuję wstawić się za wami. Równocześnie zaś zdążę wpaść do domu, żeby dojrzeć mojej kotki i zmienić szaty, bo smród jest tu tak okropny, że wgryza się w skórę. Uspokójcie tymczasem Murzynów i dajcie im jeść i pić, bo świątyni nie zdołamy dziś zdobyć. Wiem to, bom doświadczony wódz, nie mamy przecież maszyn do kruszenia murów. Ale to nie moja wina, bo faraon nie wspomniał jednym słówkiem, że w grę może wchodzić obleganie świątyni. Toteż niech sam faraon postanowi teraz, co robić.

Co noc szalały teraz w mieście pożary i plądrowano domy, a malowani w bojowe barwy Murzyni pili wino ze złotych pucharów, Szardanie zaś wylegiwali się na miękkich łożach pod baldachimami. Dzień i noc kapłani z murów świątyni miotali przekleństwa na fałszywego faraona i klątwy na wszystkich, którzy wyrzekli się Amona. Ze swych kryjówek wychynęły wszystkie miejskie szumowiny, złodzieje, rabusie grobów i rozbójnicy, którzy nie bali się żadnych bogów, nawet Amona. Pobożnie błogosławili oni Atona i poszli do jego świątyni, którą pośpiesznie oczyszczono, i z rąk kapłanów, którzy przeżyli masakrę, przyjmowali krzyż życia i przywiązywali go sobie u szyi jako ochronny amulet, żeby móc do woli rabować, mordować i grabić w ciemne noce. Po tych dniach i nocach Teby przez wiele lat nie były już takie jak przedtem, a siła i bogactwo wyciekła z nich, jak krew z tłustego ciała wycieka przez liczne rany.

ROZDZIAŁ 3

Horemheb mieszkał w moim domu, czuwał i chudł, a jego oczy robiły się z dnia na dzień bardziej ponure. I nie chciał przyjmować jedzenia, którym Muti częstowała go od rana do nocy, bo bardzo była nim zachwycona i honorowała go więcej nawet niż mnie, który byłem słabym mężczyzną bez mięśni, mimo iż wiedza moja była wielka. Mówił:

– Nic mnie nie obchodzi Amon i Aton, ale ich walka rozbewia moich żołnierzy i robi z nich dzikie zwierzęta, tak że będę musiał wychłostać wiele grzbietów i ściąć wiele głów, by znowu doprowadzić ich do rozsądku. Wielka to szkoda, bo wielu z nich znam po imieniu i wiem, jakie mają zasługi, i są to dobrzy żołnierze, jeśli trzymać ich

w ryzach i wymyślać im jak należy.

Natomiast Kaptah robił się z każdym dniem bogatszy. Twarz lśniła mu od tłuszczu i całe noce spędzał w „Ogonie Krokodyla”, bo szardańscy podoficerowie i dowódcy płacili za trunki złotem, a w tylnych izbach winiarni gromadziły się zrabowane skarby, ozdoby, szkatułki i maty, które żołnierze zamieniali na wino, nie pytając o cenę. Nikt nie napadał na ten dom, rabusie obchodzili go z daleka, bo był strzeżony przez żołnierzy Horemheba, których Kaptah poił od rana do wieczora i od wieczora do rana, tak że wiernie pilnowali domu i wzywali bogów, by błogosławić imię Kaptaha, jednego zaś ze schwytanych na gorącym uczynku rabusiów powiesili nad drzwiami winiarni głową w dół, wichrzycielom na przestrożę.

Już trzeciego dnia skończyły mi się lekarstwa, a nawet za złoto nie można było kupić żadnych leków, tak że sztuka moja stała się bezsilna wobec chorób, które szerzyły się w dzielnicy ubogich z powodu gnijących zwłok i zepsutej wody. Byłem też zmęczony i serce bolało mnie w piersi jak rana, a oczy miałem nabiegłe krwią od czuwania. Toteż miałem dość wszystkiego, miałem dość biedaków i ran, i Atona i poszedłem do „Ogona Krokodyla”, i piłem tam mieszane wina, póki nie zasnęłam, a rano zbudziła mnie Merit i spostrzegłem, że spałem obok niej, a ona spoczywała przy mnie. Bardzo byłem tym zawstydzony i powiedziałem do niej:

– Życie jest jak chłodna noc i ładnie to oczywiście, gdy dwoje samotników ogrzewa się nawzajem w zimną noc, jeśli nawet ich ręce i oczy kłamią sobie ze względu na ich przyjaźń.

Ziewnęła sennie i odparła:

– Skąd wiesz, że moje ręce i oczy kłamią? Naprawdę mam już dość bicia żołnierzy po palcach i kopania ich po nogach, a przy twoim boku, Sinuhe, jest jedyne bezpieczne miejsce w tym mieście, miejsce, gdzie nikt nie odważy się mnie dotknąć. Ale dlaczego tak jest, doprawdy nie rozumiem i jestem niemal obrażona na ciebie, bo mówią o mnie, że jestem piękną kobietą, a także i mój brzuch nie ma żadnej wady, choć nie chciałeś go oglądać.

Napiłem się piwa, którym mnie poczęstowała, aby mi się rozjaśniło w głowie, i nie mogłem jej nic odpowiedzieć. Patrzyła mi w oczy z uśmiechem, choć na dnie jej brunatnych oczu wciąż taił się smutek, jak czarna woda na dnie głębokiej studni. I powiedziała:

– Sinuhe, gdybym umiała, chętnie bym ci pomogła. Wiem, że w tym mieście jest kobieta, która wiele wobec ciebie zawiniła. W tych dniach wszystko się wywróciło, wszystkie drzwi stanęły otworem i wiele starych długów załatwia się na ulicy. Może

dobrze by ci zrobiło, gdybyś i ty zażądał spłaty swego długu, i już nie myślał, że każda kobieta jest jak pustynia, która cię spali.

Oświadczyłem, że wcale nie uważam jej za pustynię, ale gdy od niej odszedłem, słowa jej zaczęły we mnie kielkować, bo i ja jestem tylko człowiekiem i w owych dniach serce moje nabrzmiało od krwi i ran i poczułem smak upojenia nienawiścią, tak że bałem się siebie samego. Toteż słowa jej zaczęły we mnie tlić jak zarzewie płomienia i przypomniałem sobie świątynię kociogłowej bogini i dom obok położony, choć czas jak piasek przyprószył moje wspomnienia. Lecz w owych dniach zgrozy w Tebach wszyscy umarli powstawali z grobów, więc przypomniałem sobie mego czułego ojca Senmuta i moją dobrą matkę Kipę i na myśl o nich poczułem w ustach smak krwi, bo w owych dniach nie było w Tebach nikogo, żadnego bogacza ani możnego, który by chodził zupełnie bezpiecznie, i wystarczyło mi tylko wynająć żołnierzy, by przeprowadzić swoją wolę. Ale jeszcze nie wiedziałem, czego chcę. Toteż poszedłem do domu i robiłem dla chorych, co tylko mogłem zrobić bez lekarstw, i napominałem ludność z dzielnicy ubogich, żeby kopała dla siebie studnie na d brzegiem Rzeki, by woda oczyszczała się przepływając przez szlam.

Piątego dnia zaczęli się bać nawet oficerowie Pepitatonu, bo żołnierze nie słuchali już rogów, lżyli dowódców na ulicach, wrywali im złote pletnie z rąk i łamali na kolanie. Oficerowie poszli więc do Pepitatonu, który także miał już najzupełniej dość niewygodnego życia żołnierza i tęsknił do swoich kotów, i zmusili go, by stanął przed faraonem, powiedział mu prawdę i zdjął z siebie kołnierz królewskiego naczelnego wodza. Dlatego to piątego dnia przybiegli do mego domu gońce faraona, by wezwać Horemheba przed jego oblicze. Horemheb podniósł się jak lew ze swego łoża, umył się, odział i poszedł za nimi wykrzykując po drodze sam do siebie wszystko, co miał powiedzieć przed faraonem, gdyż w owe dni chwiała się już nawet władza samego faraona i nikt nie wiedział, co się stanie nazajutrz. A faraonowi powiedział:

– Echnatonie, czas nagli i nie zdążę ci już przypomnieć, co ci doradzałem. Ale jeśli chcesz, żeby wszystko było jak dawniej, daj mi władzę królewską na trzy dni, a trzeciego dnia oddam ją znowu w twoje ręce i ty nie musisz przecież wiedzieć, co się przez ten czas działo.

Lecz faraon zapytał go:

– Czy obalisz Amona?

A Horemheb odpowiedział:

– Doprawdy jesteś najszałemszym z szaleńców. Po tym wszystkim, co się stało, Amon musi upaść, żeby władza faraona mogła się utrzymać. Toteż obalę Amona, ale

nie pytaj mnie, jak to zrobię.

Lecz faraon rzekł:

– Nie wolno ci tknąć jego kapłanów, bo nie wiedzą, co czynią.

A na to odparł Horemheb:

– Doprawdy powinno ci się otworzyć czaszkę, bo jak widać, nic innego nie może cię uleczyć. Ale usłucham twego polecenia, bo ongiś okryłem twoją słabość swoją szatą.

Wtedy faraon zapłakał i wręczył mu swoją pletnię i pastorał na trzy dni. Jak się to odbyło, sam nie widziałem i znam to tylko z opowiadania Horemheba, który jak to zwykle u żołnierzy zapewne niejedno dodał w swej opowieści. W każdym razie wrócił on do miasta w złotym wozie faraona i przejeżdżał ulicę za ulicą nawołując żołnierzy i wzywając ich po imieniu. A gdy zebrał koło siebie najwierniejszych, kazał zadać w rogi i wezwać wojsko pod znaki, sokoły i lwie ogony. Przez całą noc sprawował sądy i po żołnierskich obozowiskach rozbrzmiewały krzyki i białania, a pułkowi oprawcy zdarli na strzępy mnóstwo trzciniowych różeg, aż ramiona im mślały i skarżyli się, że nigdy jeszcze nie mieli do spełnienia takiego zadania. Najlepszych swoich ludzi wysłał Horemheb na patrolowanie ulic, by łapali każdego żołnierza, który nie usłuchał rogów, i prowadzili na chłostę. Wielu zaś takich, którzy mieli okrwawione ręce i odzież, pozbawiano głów. Gdy wstał świt, tebańskie szumowiny pochowały się w swoich norach jak szczury, każdego bowiem, kogo schwytano na kradzieży lub włamaniu do cudzego domu, przebijano na miejscu oszczepem. Toteż męty uciekały i kryły się, i drżały w swoich kryjówkach ze strachu, i zrywały z szyi i odzieży krzyż Atona bojąc się, że pogrąży on tego, kto zostanie schwytany.

Horemheb zebrał także budowniczych z miasta, zwałił domy bogaczy i porąbał statki, by zdobyć drewno, po czym kazał budowniczym zbudować tarany do rozbijania murów i drabiny szturmowe, tarany do rozbijania bram oraz wieże oblężnicze, tak że w Tebach przez całą noc słychać było uderzenia młotów i huk zbijanych krokwi. Ale jeszcze głośniejsze były unoszące się ku niebu skargi chłostanych żołnierzy murzyńskich i Szardanów, a to były dźwięki przyjemne dla ucha mieszkańców. Toteż z góry wybaczyli Horemhebowi wszystkie jego uczynki i pokochali go, bo najrozsądniejsi z nich mieli już dość Amona i wynikłych z jego powodu spustoszeń i czekali, by Amon został obalony i miasto wreszcie pozbyło się żołnierzy.

A Horemheb nie trwonił czasu na czcze układy z kapłanami, lecz gdy tylko zrobiło się jasno, wydał oficerom rozkazy i przywołał do siebie nawet wszystkich setników, żeby wyjaśnić im ich zadania. W pięciu miejscach podsunęli żołnierze wieże oblężnicze pod mury świątyni, a równocześnie tarany zaczęły walić w bramy, a nikt przy tym

nawet rany nie poniósł, bo żołnierze zrobili z puklerzy dach, który ich osłaniał, kapłani zaś i strażnicy świątyni ufni w to, że oblężenie będzie szło tak opieszale jak dotychczas, nie przygotowali wrzącej wody ani roztopionej smoły do wylewania z murów dla obrony przed napastnikami. Nie potrafili też oprzeć się ostremu natarciu, które planowo przeprowadzono z wielu stron równocześnie, lecz rozbili swoje siły i biegali bezładnie po murach, a lud zaczął krzyczeć ze strachu na wszystkich podwórcach. Gdy kapłani najwyższego stopnia zobaczyli, że bramy ustępują, a Murzyni wdrapują się na mury, kazali dąć w rogi, by przerwać walkę i oszczędzić ludzi, bo ich zdaniem Amon dostał już dość ofiar, a chcieli zachować mu wiernych i na przyszłość. Otwarto więc bramy, a żołnierze stosownie do rozkazu Horemheba pozwolili uciec stłoczonej na podwórcach masie ludzkiej. Ludzie rozbiegli się wzywając Amona na pomoc i chętnie chronili się do domów, bo podniecenie już przeminęło, a czas dłużył się im bardzo w upale na ciasnych świątynnych podwórcach.

Bez godnych wzmianki strat zdobył zatem Horemheb podwórce, magazyny, stajnie i warsztaty świątyni. Opanował także Dom Życia i Dom Śmierci, a lekarzy z Domu Życia wysłał z lekami na miasto, by ratowali chorych, Domu Śmierci zaś nie tknął, bo w Domu Śmierci żyje się poza życiem i jest on pozostawiony w spokoju bez względu na to, co się dzieje na świecie. Lecz kapłani i strażnicy obwarowali się w wielkiej świątyni, by bronić najświętszego przybytku, kapłani zaś omamili strażników dojąc im do picia odurzające środki, by walczyli do śmierci nie odczuwając bólu.

Walka w wielkiej świątyni trwała aż do wieczora, do chwili gdy pozabijano już wszystkich oszołomionych narkotykami strażników i wszystkich kapłanów, którzy stawiali opór z bronią w rękę, i zostało jeszcze tylko kilku kapłanów najwyższego stopnia, którzy skupili się wokół swego boga w najświętszym przybytku. Wtedy Horemheb kazał zadąć w rogi na zakończenie walki i posłał śpiesznie żołnierzy, żeby pozbierali trupy i wrzucili je do Rzeki, sam zaś poszedł do kapłanów Amona i rzekł:

– Nie walczę z Amonem, bo sam służę Horusowi, memu sokołowi. Ale muszę słuchać rozkazów faraona i obalić Amona. Czy jednak nie byłoby najlepiej zarówno dla was, jak i dla mnie, gdyby w najświętszym przybytku nie było w ogóle posągu, który żołnierze mogliby zbezczęścić? Bo wcale nie chcę być bluźniercą, choć ze względu na swoją przysięgę muszę służyć faraonowi. Zastanówcie się nad moimi słowami. Daję wam na to czas jednej wodnej miary. A potem możecie odejść w spokoju i nikt nie podniesie na was ręki, bo nie nastaje na wasze życie.

Były to dla kapłanów słowa miłe, bo przygotowali się już na śmierć. Pozostali za zasłoną w najświętszym przybytku, dopóki jedna miara wody nie wypłynęła z

wodnego zegara. Wtedy Horemheb zerwał własnoręcznie zasłonę i kazał kapłanom odejść, a gdy odeszli, najświętszy przybytek został pusty i nie widać było nigdzie żadnego posągu Amona, bo kapłani szybko rozbili go na kawałki, które zabrali z sobą pod płaszczami, by móc twierdzić, że stał się cud i że Amon wciąż jeszcze żyje. A Horemheb kazał opieczetować wszystkie magazyny sygnetem faraona, podziemia zaś, gdzie przechowywano złoto i srebro opieczetował własnoręcznie. I jeszcze tegoż wieczoru kamieniarze zaczęli pracować przy świetle pochodni, by usunąć z każdego posągu i napisu imię Amona, w nocy zaś Horemheb kazał oczyścić plac z trupów i ugasić pożary, które wciąż jeszcze szalały w wielu częściach miasta.

Gdy tylko jednak bogacze i możni usłyszeli, że Amon został obalony i że przywrócono spokój i porządek, odziali się w najlepsze szaty, zapalili przed swoimi domami lampy i wyszli na ulice, żeby święcić zwycięstwo Atona. Także i dworzanie, którzy uciekli ze Złotego Domu faraona, kazali się teraz przewieźć przez Rzekę i wrócili do miasta, i niebawem niebo nad Tebami znowu żarzyło się czerwoną luną od pochodni i lamp, na ulicach sypano kwiaty, a ludzie krzyczeli, śmiali się i obejmowali nawzajem. Horemheb nie mógł im przeszkodzić w pojeniu winem Szardanów i nie mógł przeszkodzić możnym damom w ściskaniu Murzynów, którzy nosili na grotach oszczepów zatknięte golone głowy pozabijanych przez siebie kapłanów. Bo nocy tej świętowano w Tebach w imię Atona, a w imię Atona wszystko było dozwolone i nie było żadnej różnicy między Egipcjanami a Murzynami. Aby tego dowieść, dworskie damy uprowadzały Murzynów do swoich domów, rozchylały swoje nowe letnie szaty i rozkoszowały się mocą Murzynów i ostrym zapachem krwi, którą byli umazani. A gdy jakiś ranny strażnik świątyni z cienia muru wypełzył na plac przed świątynią i w gorączce wzywał Amona na pomoc, Murzyni roztrzaskali mu głowę o bruk, a możne damy tańczyły radośnie wokół jego trupa. Wszystko to widziałem na własne oczy.

Wszystko to widziałem własnymi oczyma, a zobaczywszy, ująłem głowę w obie dłonie i wszystko stało mi się obojętne, i pomyślałem, że żaden Bóg nie zdoła uleczyć człowieka z jego szaleństwa. Nocy tej wszystko było mi obojętne i dlatego pobiegłem do „Ogona Krokodyla”, a słowa Merit rozпалиły płomień w moim sercu, i wezwałem żołnierzy, którzy pilnowali winiarni, żeby poszli ze mną. Usłuchali mnie, bo widzieli mnie w towarzystwie Horemheba. Ja zaś poprowadziłem ich przez rozbawioną, szaloną noc, obok ludzi, którzy tańczyli na ulicach, do świątyni kociogłowej Bastet i do domu Nefernefernefer. I tam płonęły lampy i pochodnie, dom nie był splądrowany, a zgiełk i krzyki pijanych słyhać było aż na ulicy. Ale gdy tam doszedłem, kolana zaczęły mi się trząść, a żołądek mi się osunął aż do kolan i powiedziałem do żołnierzy:

– To rozkaz Horemheba, mego przyjaciela, królewskiego naczelnego wodza. Wejdźcie do tego domu, a będzie tam kobieta, która nosi głowę wysoko i której oczy są jak zielony kamień. Przyprawdźcie ją do mnie, a gdyby stawiała opór, uderzcie ją drzewcem oszczepu w głowę, lecz nie róbcie jej poza tym nic złego.

Żołnierze radzi weszli do środka i wnet z domu zaczęli uciekać wystraszeni goście na chwiejnych nogach, a słudzy zaczęli przywoływać strażników. Ale żołnierze wrócili szybko, niosąc w rękach owoce, kawałki miodowego ciasta oraz dzbany wina, i przynieśli też Nefernefernefer. Stawiała opór i dlatego uderzyli ją drzewcem oszczepu, tak że jej ogolona głowa była zakrwawiona i spadła z niej peruka. Położyłem dłoń na jej piersi, a skóra jej była gładka jak szkło i gorąca, tak że miałem uczucie, iż dotknąłem skóry węża. Czułem, że serce bije i że nie stało się jej nic złego, ale owinąłem ją w czarny płaszcz, jak się zawija zwłoki, i włożyłem do lektyki, a strażnicy mi w tym nie przeszkadzali, bo widzieli, że mam z sobą żołnierzy. Ci odprowadzili mnie aż do bramy Domu Śmierci, ja zaś siedziałem w kołyszącej się lektyce trzymając w objęciach nieprzytomną Nefernefernefer, a była ona wciąż jeszcze piękna, dla mnie jednak bardziej odrażająca niż gad. Tak niesiono nas przez rozbawioną tebańską noc aż do Domu Śmierci, a u jego bramy dałem żołnierzom złota i odesłałem ich wraz z lektyką. Nefernefernefer zaś wziąłem w ramiona i zaniósłem do Domu Śmierci, gdzie na spotkanie wyszli mi obmywacze trupów, ja zaś powiedziałem do nich:

– Przynoszę wam zwłoki kobiety, które znalazłem na ulicy. Nie znam jej imienia ani jej krewnych, ale sądzę, że ozdoby, które ma na sobie, wynagrodzą wam waszą pracę, jeśli zachowacie jej ciało na wieki.

Obmywacze trupów zaczęli mnie przeklinać mówiąc:

– Szalony, czy myślisz, że w tych dniach nie mamy padliny w nadmiarze? Któż nam zapłaci za naszą fatygę?

Ale gdy odwinęli ciało z czarnej płachty, poczuli, że jest ono wciąż jeszcze ciepłe, a gdy zdjęli z niej szaty i ozdoby, zobaczyli, że jest piękna, piękniejsza niż wszystkie, które kiedykolwiek przyniesiono do Domu Śmierci. Więc nie powiedzieli już nic więcej, tylko położyli ręce na jej piersi i poczuli, że serce jej bije. Wtedy śpiesznie zawinęli ją znowu w czarną płachtę i mrugając do siebie, strojąc miny i śmiejąc się z radości powiedzieli do mnie:

– Idź w swoją stronę, nieznajomy, i niech twój uczynek będzie błogosławiony. Zrobimy, co jest w naszej mocy, by zachować jej ciało na wieki. I gdyby to zależało tylko od nas, zatrzymalibyśmy ją u nas siedemdziesiąt razy po siedemdziesiąt dni, żeby jej ciało rzeczywiście przetrwało.

Tak to odebrałem od Nefernefernefer dług, który miała wobec mnie z powodu mojego ojca i mojej matki. I zastanawiałem się, jakie wywarło to na niej wrażenie, gdy się ocknęła w czeluściach Domu Śmierci, ograbiona z bogactwa i władzy, w mocy obmywaczy trupów i balsamiarzy. Ci bowiem – o ile ich dobrze znam – nigdy nie pozwolą jej wrócić na światło dzienne. Taka była moja zemsta, bo przez nią poznałem Dom Śmierci, ale jak to później stwierdziłem, zemsta ta była dziecinna, choć nie czas jeszcze o tym opowiadać. Powiem tylko, że zemsta być może upaja i ma rozkoszny smak, ale z wszystkich kwiatów życia wędnie najszybciej i spod rozkoszy zemsty szczyrzy zęby trupia czaszka. Bo choć w chwili spełnienia zemsta była dla mnie jak upojenie i jak rozkosz i przeniknęła mnie od stóp do głów, to upojenie to przeminęło natychmiast, gdy opuściłem Dom Śmierci, a na jego miejsce owładnął mną lodowaty chłód i poczucie niedorzeczności, które uczyniło moją głowę pustą jak wydmuchana skorupka jajka. I nie znajdowałem żadnego zadowolenia w myśli, że moim postępkami uratowałem być może niejednego lekkomyślnego młodzieńca od hańby i przedwczesnej śmierci, gdyż zepsucie, hańba i śmierć szły krok w krok za Nefernefernefer. Nie, myśl ta nie dała mi żadnego zadowolenia, bo jeśli wszystko ma swój sens, to i istnienie Nefernefernefer miało sens i kobiety jej typu powinny żyć na świecie, by można było wypróbować serca. A jeśli nic nie ma sensu, to i mój uczynek był równie niedorzeczny i obojętny jak wszystkie ludzkie uczynki, ponieważ moja radość z jego powodu ulotniła się w ciągu krótkiej chwileczki. I jeśli nic nie miało sensu, to lepiej było utopić się w Rzece i pozwolić Rzece unieść swoje ciało.

Poszedłem do „Ogona Krokodyla”, spotkałem tam Merit i powiedziałem do niej:

– Ściągnąłem swoją należność w sposób straszniejszy, niż to kiedykolwiek wymyślił jakiś człowiek. Ale zemsta nie sprawia mi żadnej radości i serce moje jest jeszcze bardziej puste niż przedtem, a członki moje marzną, choć noc jest ciepła.

Napiłem się wina, a wino było w moich ustach jak proch, więc dodałem:

– Zaprawdę niech uschnie mi ciało, jeśli kiedykolwiek dotknę jeszcze dłońią kobiety, bo im więcej myślę o kobiecie, tym bardziej się jej boję, gdyż ciało jej jest jak sucha pustynia, a serce jej to śmiertelna pętla.

Pogładziła moje dłonie, spojrzała mi w oczy swoimi brązowymi oczyma i spytała:

– Sinuhe, czy nigdy nie znalazłeś kobiety, która by ci życzyła tylko dobrze?

A ja odparłem na to:

– Niech wszyscy bogowie Egiptu strzegą mnie przed kobietą, która życzyłaby mi dobrze, bo także faraon wszystkim życzy dobrze, a Rzeką pełną jest trupów kołyszających się na falach z powodu jego dobroci. – Napiłem się wina, zapłakałem i ciągnąłem dalej:

– Merit, masz policzki gładkie jak szkło, a twoje dłonie są ciepłe. Pozwól mi dziś w nocy dotykać ustami twoich policzków i trzymać zimne dłonie w twoich gorących, żebym mógł spać bez majaków, a dam ci wszystko, czego tylko zażadasz.

Uśmiechnęła się smutno i rzekła:

– Podejrzewam wprawdzie, że mówią przez ciebie krokodyle ogony, ale ja się już do tego przyzwyczaiałam i wcale się o to nie gniewam. Wiedz zatem, Sinuhe, że niczego od ciebie nie żądam i że jeszcze nigdy w życiu nie żądałam niczego od mężczyzny ani też od nikogo nie przyjąłam daru o jakiejś wartości. Gdy chcę czegoś, to daję to z serca, i tobie dam chętnie to, czego pragniesz, bo jestem równie samotna jak ty.

Wyjęła mi puchar z trzęsącej się dłoni i rozpostarła swoją matę, żebym się mógł położyć, i sama legła koło mnie, i grzała mi zimne dłonie w swoich gorących. Dotykałem ustami jej gładkich policzków i oddychałem cedrowym aromatem jej skóry i zażyłem z nią rozkoszy. I była dla mnie jak ojciec i jak matka, i była dla mnie jak miska z żarem dla marznącego w noc zimową, jak światło na brzegu, które w burzliwą noc prowadzi żeglarza do domu. A gdy zapadłem w sen, była dla mnie także moją Mineą, Mineą, którą straciłem na zawsze. I spoczywałem przy niej jakby na dnies morza przy Minei, i nie miałem już niedobrych snów, lecz spałem twardo, a ona szeptała mi do ucha słowa, które matki szepczą dzieciom, gdy te boją się ciemności. Od tej nocy była moim przyjacielem i w jej objęciach uwierzyłem znowu, że poza mną samym i moją wiedzą jest jeszcze coś większego ode mnie, coś, dla czego warto żyć.

Nazajutrz powiedziałem do niej:

– Merit, stłukłem dzban z kobietą, która nie żyje, ale wciąż jeszcze przechowuję srebrną przepaskę, którą związywałem jej długie włosy. Ale dla naszej przyjaźni, Merit, gotów jestem stłuc z tobą dzban, jeśli zechcesz.

Ona jednak ziewnęła, przesłoniła usta wierzchem dłoni i rzekła:

– Nie wolno ci już nigdy wypić ani jednego ogona krokodyła, Sinuhe, bo następnego dnia zaczynasz pleść bzdury. Pamiętaj, że wzrosłam w szynku i nie jestem już nietkniętą dziewczyną, która mogłaby uwierzyć w twoje słowa, a także doznać zawodu i wielkiego smutku.

– Gdy patrzę w twoje oczy, Merit, wierzę, że są także dobre kobiety na świecie – powiedziałem dotykając ustami jej gładkich policzków. – Tylko dlatego powiedziałem ci to, żebyś wiedziała, ile dla mnie znaczysz.

Uśmiechnęła się i odparła:

– Zauważyłeś chyba, że zakazałam ci pić krokodyle ogony, bo żeby okazać mężczyźnie, że jej na nim zależy, kobieta zakazuje mu naprzód czegoś, aby poznać

swoją moc. Nie mówmy już o dzbanach, Sinuhe. Wiesz aż nadto dobrze, że miejsce na macie obok mnie czeka na ciebie zawsze, gdy tylko poczujesz się nazbyt samotny i smutny. Ale nie bądź dotknięty, Sinuhe, gdybyś kiedyś spostrzegł, że na świecie są jeszcze inni samotni i smutni mężczyźni prócz ciebie, bo jako człowiek jestem równie wolna jak ty i wolno mi tak samo jak tobie wybierać sobie towarzystwo, i wcale nie chcę wiązać się czymkolwiek. Toteż mimo wszystko podam ci teraz własnoręcznie jeden ogon krokodyla.

Tak dziwna jest natura ludzka i tak mało zna się swoje własne serce, że dusza moja czuła się w tej chwili znowu wolna i lekka jak ptaszek i nie pamiętałem wszystkiego zła, które dokonało się w czasie owych dni. Cieszyłem się, że żyję, i dnia tego nie wypilem już więcej krokodylich ogonów.

ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia zabrałem Merit, by razem z nią przyglądać się tryumfalnemu pochodowi faraona. Choć wzrosła w szynku, była bardzo piękna w letniej szacie, skrojonej według nowej mody, tak że wcale się nie wstydziłem stojąc obok niej w Alei Baranów, na miejscach zastrzeżonych dla ulubieńców faraona.

Tak nieobliczalna jest ludzka natura i do tego stopnia zaślepiła mnie prawda faraona, że nie przeczuwałem nic złego, choć upalny dzień niósł jeszcze dymy z tlących się ruin i smród z rozkładających się w Rzece trupów. Aleja Baranów ozdobiona była barwnymi proporcami, a po obu jej stronach stały niezmierzone masy ludzkie, żeby oglądać faraona. Chłopcy wdrapywali się na przydrożne drzewa, a Pepitaton kazał poustawiać przy drodze niezliczone kosze kwiatów, żeby lud według zwyczaju mógł sypać kwiaty przed lektykę faraona. Dusza moja była lekka i przesycona słoneczną mgiełką, bo przeczuwałem erę wolności i światła dla Egiptu. Z domu faraona otrzymałem złoty puchar, zostałem też mianowany królewskim trepanatorem. Obok mnie stała piękna, dojrzała kobieta, która była moim przyjacielem, i trzymała mnie za ramię, a dokoła nas na zastrzeżonych miejscach widać było samych wesołych ludzi i uśmiechnięte twarze, tak że widziałem oblicza ludu. Było tylko ogromnie cicho, że w Alei Baranów można było słyszeć krakanie kruków na dachu świątyni, bo kruki i sępy zadomowiły się w Tebach i ciężkie od obżarstwa nie miały siły odlecieć z powrotem do swoich gór.

Może był to błąd, że za lektyką faraona szli pomalowani w pasy Murzyni, bo sam ich widok wzniecił gniew ludu. W tłumie mało było bowiem takich, którzy by nie doznali jakiejś szkody w ciągu minionych dni. Wielu straciło domy w pożarze, łyż kobiet jeszcze nie obeschły, rany mężczyzn świerzbiały wciąż jeszcze pod opatrunkami, a uśmiech nie mógł zajaśnieć na ich porozbijanych ustach. Faraon nadciągnął kołyszac się w lektyce

wysoko nad głowami tłumu, widoczny dla wszystkich. Głowę jego zdobiły połączone korony Obu Królestw, korona lili i korona papirusu, korony Dolnego i Górnego Kraju, ramiona miał skrzyżowane na piersi, a dłonie ścisnęły mocno pastorał i królewski bicz. Siedział nieruchomo jak posąg boga, tak jak faraonowie przez wszystkie czasy siedzieli, gdy lud miał ich oglądać, a dookoła było przeraźliwie cicho, jak gdyby na jego widok ludzie zaniemówili. Żołnierze strzegący Alei Baranów podnieśli w końcu w górę oszczepy i wykrzyknęli gromkie przywitanie, a moiżni i bogacze także zaczęli wznosić okrzyki z miejsc na podwyższeniu i rzucać kwiaty pod lektykę. Ale na tle przeraźliwej ciszy tłumu okrzyki te brzmiały słabo i mizernie, jak brzęczenie samotnego komara w noc zimową, tak że wznoszący je wnet ucichli, spoglądając na siebie ze zdziwieniem.

Wbrew wszelkim zwyczajom faraon poruszył się, podniósł pastorał i bicz pozdrawiając lud z pełnym zapału uniesieniem. Tłum cofnął się i nagle z jego gardeł wydarł się okrzyk przeraźliwy jak huk morza bijącego o nadbrzeżne skały w czasie burzy. Masa ludzka zakipiiała i wydała głuchą skargę: – Amon, Amon, oddaj nam Amona, króla wszystkich bogów! – Ciżba kolebała się, a krzyk nabrzmiewał coraz bardziej, tak że kruki i sępy zerwały się do lotu z murów i dachu świątyni i machały czarnymi skrzydłami nad lektyką. A lud wołał: – Przepadnij, fałszywy faraonie, przepadnij!

Krzyk przeraził tragarzy i lektyka przestała się posuwać, a gdy tragarze znowu spróbowali ruszyć naprzód, poganiani przez podnieconych oficerów eskorty, lud wdarł się nie dającą się powstrzymać falą w Aleję Baranów, zmiotł szpaler żołnierzy i rzucił się na ziemię przed lektykę tworząc jakby barykadę na drodze orszaku faraona. I nikt już nie mógł dokładnie śledzić tego, co się działo, bo żołnierze zaczęli bić ludzi kijami i pałkami, żeby utorować drogę dla lektyki, a niebawem musieli zacząć używać oszczepów i noży, żeby bronić własnego życia. Kamienie i kije gwizdały w powietrzu, krew lała się na bruk Alei Baranów, a ponad pomruk tłumu wzbily się przenikliwe krzyki umierających. Tylko na faraona nie poleciał ani jeden kamień, bo był on synem słońca, jak wszyscy faraonowie przed nim. Toteż osoba jego była święta i nietykalna i nikt z ciżby nawet we śnie nie odważyłby się podnieść ręki na niego, choć wszyscy nienawidzili go z całego serca. I sądzę, że nawet kapłani nie ośmieliliby się jeszcze na niego targnąć, bo coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Nie napastowany przez nikogo patrzył więc faraon ze swej wysokości na to, co się działo dokoła. I zapomniawszy o swojej godności powstał i wołał głośno, by powstrzymać żołnierzy, ale w zgiełku nikt nie słyszał jego wołania.

Ludzie rzucali na żołnierzy kamieniami, a żołnierze bronili się i zabili wielu. A tłum wołał bez przerwy: – Amon, Amon, oddaj nam Amona! – Wołano też: – Idź precz,

fałszywy faraonie, przypadnij, nie masz czego szukać w Tebach! – Także i na moźnych rzucano kamieniami i tłum falował wokół zastrzeżonych miejsc tak groźnie, że kobiety rzucały trzymane w rękach kwiaty, gubiły flaszeczki z pachnidłami i uciekały.

Wtedy Horemheb kazał uderzyć w rogi i wozy bojowe wyjechały z podwojek i bocznych uliczek, na których je ukrył, by nie rozdrażniać tłumu. Ruszyły przed siebie i niejedyn człowiek został startowany pod kopytami koni i kołami wozów. Horemheb polecił jednak usunąć kosi z osi wozów, żeby oszczędzić rozlewu krwi. Następnie wozy w zwartym szyku otoczyły lektykę faraona i powiodły ją z sobą, ochraniając także resztę uroczystego orszaku i królewską rodzinę. Ale lud nie rozproszył się, dopóki nie zobaczył, że królewskie statki płyną z powrotem na drugą stronę Rzeki. Wtedy tłum wrzasnął radośnie, a ten krzyk radości był jeszcze bardziej wstrząsający niż krzyk gniewu. A motłoch uderzył na domy bogaczy, rozbijał i rabował, co tylko wpadło mu w ręce, dopóki żołnierze nie przywrócili porządku oszczepami i tłum nie rozszedł się do domów. Zrobił się wieczór i kruki opadły na ziemię, by szarpać trupy walające się na kamiennych płytach Alei Baranów.

Tak to faraon Echnaton stanął po raz pierwszy oko w oko z rozszalałym tłumem i zobaczył, jak krew płynęła dla jego boga. Nie zapomniał nigdy tego widoku i coś się w nim załamało, do miłości jego wsączył się jad nienawiści, a fanatyzm jego wiary przybrał jeszcze na sile, tak że postanowił, iż każdy, kto wymówi głośno imię Amona lub ukrywać będzie to imię wyryte na posążku lub naczyniu, ma zostać zesłany do kopalń. Ludzie nie chcieli jednak donosić w tej sprawie, toteż za wiarygodnych świadków uznano nawet złodziei i niewolników i nikt nie czuł się już bezpieczny przed fałszywym świadectwem, i wielu uczciwych i porządných ludzi zostało niewolnikami w kopalniach i kamieniołomach, bezwzględni zaś i pozbawieni skrupułów objęli w imię Atona ich domy, warsztaty i sklepy. Wszystko to stało się później, ale opowiadam o tym już teraz, aby wyjaśnić, jak do tego doszło. Ale jeszcze tego samego wieczoru przysłano po mnie, żebym śpiesznie udał się do Złotego Domu, bo faraon dostał ataku swojej choroby, a lekarze bali się o jego życie i chcieli, żebym dzielił z nimi odpowiedzialność, gdyż mającąc wzywał mnie po imieniu. Przez wiele miar wody leżał bez przytomności, jak martwy, tak że członki jego kostniały i nie można już było wyczuć tętna. Wrócił jednak do zmysłów, gdy w zamroczeniu pogryzł sobie język i wargi, tak że z ust obficie popłynęła mu krew. A gdy przyszedł do siebie, przepędził wszystkich lekarzy z Domu Życia, bo nie chciał ich oglądać. Zatrzymał przy sobie tylko mnie. Oprzytomniawszy zaś nieco, powiedział:

– Zbierz wioślarzy i każ wciągnąć na statkach czerwone żagle. I każdy, kto jest

moim przyjacielem, niech idzie ze mną, bo wyruszam natychmiast w podróż, a wzrok mój będzie mnie wiódł, dopóki nie znajdę ziemi, która nie jest ziemią żadnego boga ani żadnego człowieka. Ziemię tę poświęcę Atonowi i zbuduję tam miasto, które zwać się będzie imieniem Atona, i nigdy już nie powrócę do Teb. – A potem dodał: – Zachowanie się mieszkańców Teb jest dla mnie najbardziej wstrętne ze wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło, i wstrętniejsze i podlejsze niż wszystko, co spotkało kiedykolwiek moich przodków nawet ze strony obcych ludów. Toteż nigdy już nie postawię stopy mojej w Tebach, lecz wyrzekam się mieszkańców tego miasta i oddaję na łup ich własnej ciemnoty.

Jego podniecenie było tak wielkie, że kazał zanieść się na statek, choć jeszcze był chory, i nie mogłem mu w tym przeszkodzić ani ja, jego lekarz, ani jego doradcy. Horemheb powiedział:

– Tak będzie najlepiej, bo w ten sposób spełni się wola mieszkańców Teb jako też wola Echnatona, tak że obie strony będą zadowolone i spokój zostanie przywrócony w kraju.

Faraon był tak oszołomiony i miał tak błędne spojrzenie, że podporządkowałem się jego decyzji, ponieważ jako lekarz myślałem, że będzie dla niego najlepiej, gdy zmieni miejsce pobytu i znajdzie się w nowym otoczeniu, wśród ludzi, którzy nie żywią do niego nienawiści. Udałem się więc z nim statkiem w dół Rzeki, a był tak niecierpliwy, że nie czekał nawet na królewską rodzinę, lecz popłynął sam, przed innymi. Horemheb zaś kazał okrętom wojennym eskortować nas, żeby faraonowi nie stało się nic złego.

Tak więc statek faraona płynął pod czerwonymi żaglami w dół Rzeki i Teby zostały za nami, ich mury i dachy świątyń, i złożone wierzchołki obelisków ginęły nam stopniowo z oczu, aż wreszcie znikły i trzy górskie wierzchołki, wieczni strażnicy Teb. Tylko wspomnienie Teb nie zniknęło, lecz szło za nami przez wiele dni podróży w dół Rzeki, bo Rzeka roiała się od tłustych krokodyli, bijących głośno ogonami w gnijącą, cuchnącą trupami wodę, a setki wzdętych zwłok wciąż jeszcze płynęły z prądem i nie było kępki sitowia czy łachy piasku, na której nie utknęłyby jakieś trupy, wszystko to z powodu boga faraona Echnatona. On sam jednak nie wiedział o tym nic, bo leżał na swoim statku, w królewskiej kajucie, na miękkich matach, a słudzy namaszczeni go pachnącymi olejkami i palili wokół niego kadzidło, żeby nie poczuł odoru swojego boga.

Ale po dziesięciu dniach żeglugi nurt stał się znowu czysty i faraon wyszedł na dziób statku, żeby rozejrzeć się dokoła. Wokół rozpościerała się spalona na żółto letnim słońcem ziemia. Chłopi zbierali plony z pól, a wieczorem pędzili bydło na brzeg Rzeki

do wodopoju. Pasterze dmuchali w rozdwojone fujarki. Na widok naszego statku ludzie wdziewali białe szaty i biegli na brzeg, by machać na cześć faraona palmowymi gałązkami i wznosić powitalne okrzyki. Lepiej niż wszystkie lekarstwa działał na niego widok zadowolonych twarzy. Czasem kazał przybijać do brzegu, wychodził na ląd i rozmawiał z ludźmi, kładł na nich dłonie i błogosławił kobiety i dzieci, a oni zapamiętywali to na zawsze. Toteż i bojaźliwe owieczki podchodziły do niego trącając go mokrymi nosami i łapiąc pyszczkami za fałdy szat, on zaś śmiał się radośnie jak dziecko. I nie obawiał się tarczy słonecznej, swego boga, choć jest to bóg morderczy w letniej spiekocie, lecz wystawiał obnażone oblicze na słońce, które spaliło mu twarz na czerwono, tak że znów podniosła mu się gorączka i wzrosło jego podniecenie, a niepokój ducha płonął niesamowicie silnym blaskiem w jego oczach, gdy niecierpliwie kazał przyspieszać podróż.

W ciemnościach nocy stanął na przodzie statku, wpatrzony w płonące na niebie gwiazdy, i przemówił do mnie:

– Całą ziemię fałszywego boga rozdzielię między tych, którzy zadowolają się małym i żyją z pracy rąk, żeby byli szczęśliwi i błogosławili imię Atona. Podzielię między nich całą ziemię, bo serce moje raduje się na widok pulchnych dzieciaków i roześmianych kobiet i mężczyzn, którzy wykonują pracę w imię Atona, bez nienawiści do niego i bez lęku przed kimkolwiek.

I ciągnął dalej:

– Serce człowieka jest ciemne, choć nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy. Albowiem jasność moja jest tak świetlista, że nie pojmuję ciemności i gdy promienie światła wpadają do mego serca, zapominam o wszystkich złych sercach. Są jednak naturalnie ludzie, którzy nie mogą zrozumieć Atona, choć widzą go i znają jego miłość, bo żyli oni w ciemności, a oczy ich nie poznają światła, choć je widzą, lecz uważają światło za zło, które męczy ich źrenice. Tych każę zostawić w spokoju, jeśli nie będą szkodzić mnie i moim bliskim. Ale nie chcę wśród nich mieszkać i zbiorę najdroższych mi ludzi wokół siebie, zamieszkać pośród nich i już nigdy ich nie opuszczę, żeby już nigdy nie bolała mnie głowa na widok tych okropności, których nie mogę zapomnieć i które są bluźnierstwem wobec Atona.

Zmrużył oczy, podniósł je ku gwiazdom błyszczącym w ciemności nocy i mówił dalej:

– Noc jest dla mnie okropna, bo nie kocham ciemności, nawet się jej lękam, i nie kocham gwiazd, bo gdy świecą gwiazdy, szakale wyłażą z nor, a lwy opuszczają jaskinie i ryczą z żądzy krwi. Teby są dla mnie taką nocą i dlatego wyrzekam się ich tak,

jak zaprawdę wyrzekam się wszystkiego, co stare i niedobre, i pokładam swą ufność w młodzięży i dzieciach. Bo z młodzięży i dziatwy rozkwita wiosna świata i ten, kto od dzieciństwa przyswoi sobie naukę Atona, wolny będzie od zła, i cały świat zostanie w ten sposób oczyszczony. Toteż wszystkie szkoły zostaną zreformowane, starzy nauczyciele przepędzeni, a dla dzieci opracowane będą nowe teksty do nauki pisania, chcę także zrobić pismo prostszym, niż jest ono teraz, bo nie potrzeba nam żadnych obrazków, żeby zrozumieć pismo. Dlatego każę opracować pismo, którego będzie się mógł nauczyć nawet najprostszy człowiek. I nie będzie już różnicy między biegłymi w piśmie a ludem i lud nauczy się pisać, tak że w każdej najmniejszej choćby wiosce znajdzie się zawsze ktoś znający się na piśmie, by mógł przeczytać, co do nich napiszę. Ja bowiem będę do nich pisać często i dużo o najrozmaitszych sprawach, o których powinni wiedzieć.

Jego słowa przeraziły mnie. Znałem nowe pismo faraona, łatwe do nauczenia się i łatwe do odczytania, lecz nie było to pismo ładne i bogate w treści, jak dawne pismo. I każdy pisarz, który cenił swoją sztukę, pogardzał tym pismem i lżył tego, kto go używał. Toteż powiedziałem:

– Pismo ludowe jest brzydkie i barbarzyńskie i nie jest to pismo święte. Co stanie się z Egiptem, gdy każdy nauczy się pisać! To rzecz niesłychana. Nikt już wtedy nie będzie chciał zajmować się pracą rąk, ziemia będzie leżeć odłogiem, a lud nie będzie miał żadnej pociechy ze sztuki pisania, gdy mrzeć będzie z głodu.

Nie powinienem był jednak tego powiedzieć, bo faraon wielce się oburzył i zawołał:

– A więc ciemnota sięga aż tu, w moje otoczenie! Stoi przy moim boku, w miejscu, gdzie stoisz ty, Sinuhe. Wątpisz tylko i szukasz przeszkód na mojej drodze, ale prawda płynie we mnie jak ogień, moje oczy przenikają przez wszelkie przeszkody jak skroś czystą wodę, aż wreszcie ujrzę świat, który przyjdzie po mnie. W świecie tym nie będzie lęku ani nienawiści, a ludzie podzielą między siebie pracę jak bracia i nie będzie już bogatych ani biednych, lecz wszyscy będą równi i wszyscy będą umieli czytać to, co do nich napiszę. I nikt nie powie drugiemu: „Ty parszywy Syryjczyku” czy „Ty nędzny Murzynie”, ale ludzie staną się sobie braćmi i nigdy już nie będzie wojny. Wszystko to widzę moimi oczyma i dlatego siła i radość rośnie we mnie tak, że obawiam się, iż pęknie mi serce.

Wtedy znowu zdałem sobie sprawę, że jest szalony, i zaprowadziłem go, by odpoczął na macie, i podałem mu uspokajający lek. Ale słowa jego dręczyły mnie i piekły w serce, bo jeszcze wewnątrz nie dojrzałem, by przyjąć jego posłannictwo. Widziałem wiele ludów i wszystkie w istocie niewiele się od siebie różniły. Widziałem dużo miast

i wszystkie były właściwie podobne. I dla prawdziwego lekarza nie powinna istnieć żadna różnica między bogatym i biednym, między Egipcjaninem i Syryjczykiem, lecz zadaniem lekarza jest pomagać wszystkim i każdemu. Toteż powiedziałem sobie w duchu:

Jego szaleństwo jest wielkie i wynika naturalnie z tego, że jest chory, ale równocześnie jest to szaleństwo dobre i zaraźliwe. I chciałbym mieć nadzieję, że jego wizje się urzeczywistnią, choć rozsądek mówi mi, że świat taki, o jakim on mówi, może istnieć tylko w Kraju na Zachodzie. Ale serce moje woła i mówi mi, że prawda jego jest większa od wszelkich innych prawd głoszonych przed nim, serce mówi mi też, że żadna większa prawda nie zostanie wypowiedziana po nim, choć wiem, że krew i zagłada kroczą jego śladami i że doprowadzi on swoje wielkie królestwo do upadku, jeśli dane mu będzie żyć dostatecznie długo.

W ciemnościach nocy patrzyłem na gwiazdy i myślałem:

Ja, Sinuhe, jestem obcy na tym świecie i nie wiem nawet, kto mnie urodził. Moja własna woła uczyniła mnie lekarzem biedoty w Tebach, a złoto nie znaczy dla mnie wiele, jeśli nawet chętniej jem tłustą gęś niż suchy chleb i wolę pić wino niż wodę. Nic z tego jednak nie jest dla mnie tak ważne, żebym nie umiał z tego zrezygnować. Skoro zatem nie mam nic do stracenia oprócz swego życia, dlaczegoż bym nie miał popierać jego słabości i stać przy jego boku, i dodawać mu otuchy miast wątpić. On jest faraonem i posiada władzę, a na świecie nie ma kraju bogatszego i żyźniejszego od Egiptu, może więc Egipt zdoła przetrwać tę próbę nie tracąc życia. Gdyby tak się stało, zrodziłby się doprawdy nowy świat i nastalaby nowa era, w której nie byłoby już bogatych i biednych, a ludzie staliby się sobie braćmi. Nigdy jeszcze nie była żadnemu człowiekowi, tak jak jemu, dana sposobność do urzeczywistnienia prawdy, w którą wierzy, bo on urodził się faraonem. Nie sądzę też, by taka sposobność jeszcze się kiedyś powtórzyła, i jest to chyba jedyna po wszystkie czasy chwila, gdyż prawda jego może zostać urzeczywistniona.

Tak marzyłem na jawie, płynąc Rzeką na kołyszącym się statku, a od brzegów nocny wiatr niósł do moich nozdrzy zapach dojrzałego zboża i glinianych klepek. Ten nocny wiatr chłodził też moje członki, więc i marzenia zgasły wnet w mojej duszy i powiedziałem ze smutkiem do swego serca:

O, gdybyż Kaptah był tutaj i słyszał jego słowa. Bo choć jestem jako lekarz zręczny i potrafię leczyć wiele dolegliwości, to jednak choroba i bieda całego świata są tak wielkie, że wszyscy lekarze na świecie nie zdołaliby ich uleczyć, gdyby nawet umieli, a są przecież takie choroby, na które lekarz nie zna rady. Tak samo on, Echnaton, jest

lekarzem serc ludzkich, nie może jednak być naraz wszędzie, a gdy wychowuje innych na lekarzy serc ludzkich, rozumieją oni jego słowa tylko w połowie i przekręcają jego myśli, każdy na swój sposób i tak, jak mu się podoba, i przez całe swoje życie nie zdąży wychować tylu lekarzy serc, by ci zdołali uleczyć całą ludzkość. Są również serca ludzkie tak czarne i zatwardziałe, że nawet jego prawda nie potrafi ich już uleczyć. Kaptah powiedziała z pewnością: „Nawet gdyby przyszły czasy, kiedy nie będzie już bogatych ani biednych, to zawsze jeszcze będą mądrzy i głupi, chytry i naiwni. Tak zawsze było i tak też pozostanie na zawsze. Silny stawia stopę na karku słabego, a chytry wyłudza od naiwnego jego sakiewkę i każe głupiemu pracować dla siebie, bo człowiek jest zwierzęciem zdradliwym i nawet jego dobroć jest połowiczna, tak że dopiero ten, kto leży na łopatkach i nigdy się już nie podniesie, jest całkiem dobry. I sam widzisz, co już narobiła jego dobroć. Z pewnością błogosławią ją najbardziej krokodyle z rzeki i nażarte padliną kruki na dachu świątyni”.

Tak to przemawiał faraon Echnaton do mnie, a ja do mego serca. I serce moje było słabe i bezsilne, aż wreszcie piętnastego dnia podróży dotarliśmy do ziemi, która nie była ziemią żadnego boga ani żadnego możnego pana. Kraj ten leżał odłogiem i tylko kilku pastuchów pasło trzody na pastwiskach nad Rzeką i mieszkało w szałasach z sitowia na brzegu, skąd rozpościerał się widok na wzgórza, mieniące się złotobrazowo i niebiesko. Wtedy faraon wysiadł na łódź i poświęcił tę ziemię Atonowi, postanawiając zbudować tam nowe miasto, które nazwał Achetaton, Miasto Niebiańskie.

W ślad za nim zaczęły przybywać tam, jeden za drugim, inne statki, a on zebrał swoich budowniczych i architektów i pokazał im, w jakich kierunkach mają biec główne ulice, gdzie mają znajdować się place, jako też wskazał miejsce pod swój Złoty Dom i pod świątynię Atona. W miarę zaś jak przybywali jego ulubieńcy, wskazywał każdemu miejsce pod dom przy którejś z głównych ulic. Robotnicy budowlani przegnali pasterzy i ich trzody i zburzyli lepianki z sitowia oraz zbudowali nabrzeża nad Rzeką. Im także wskazywał faraon Echnaton miejsce na osiedle koło swego miasta. I kazał, by najpierw zbudowali dla siebie gliniane domy, pięć ulic z północy na południe i pięć ulic ze wschodu na zachód. A wszystkie te domy były jednakowo wysokie i w każdym mieściły się dwie jednakowe izby, i w każdym domku dołek do pieczenia znajdował się na tym samym miejscu, i każdy garnek i mata miały to samo miejsce w każdym domku, bo faraon miał najlepsze chęci i pragnął dać wszystkim robotnikom budowlanym jednakowe warunki, żeby byli szczęśliwi we własnym osiedlu koło miasta faraona i żeby błogosławili imię Atona.

Czy jednak istotnie błogosławili oni imię Atona? Nie. Przeklinali je gorzko i w

swym zaślepieniu przeklinali też faraona, bo przesiedlił ich z ich miast na pustynię, gdzie nie było ulic i piwiarni, lecz sam tylko piach i spalona na brąz trawa. I ani jedna gospodyni nie była zadowolona z swego dołka do pieczenia, lecz wszystkie chciały, wbrew zakazowi, palić ogniska przed swoimi domkami i nieustannie przestawiały i przesuwwały swoje garnki i maty, a te, które miały dzieci, zazdrościły bezdzietnym przestrzeni mieszkalnej. Ci, którzy przywykli do polepy ziemnej, skarżyli się, że polepa z gliny jest pełna kurzu i niezdrowa, ci zaś, którzy przywykli do polepy glinianej, mówili, że glina w Achetaton nie jest taka jak gdzie indziej i że jest to z pewnością glina przekłeta, bo pęka przy szorowaniu.

Wszyscy chcieli sadzić sobie warzywa na ulicy przed swoimi domami, jak to zwykli robić dotychczas. I wcale nie byli zadowoleni z działek, które faraon przydzielił im poza miastem, lecz mówili, że nie ma tam pod dostatkiem wody i że nie mają siły nosić nawozu tak daleko. Do suszenia bielizny rozpinali postronki z sitowia w poprzek ulicy i trzymali w izbach kozy, choć faraon zakazał tego ze względów zdrowotnych i ze względu na dzieci. Toteż nigdy nie widziałem ludzkiego skupiska bardziej niezadowolonego i kłótliwego jak osiedle murarzy w Achetaton, gdy budowano tę nową stolicę. Muszę jednak przyznać, że z czasem robotnicy przywykli i przystosowali się do wszystkich trudności i nie lżyli już faraona, tylko z westchnieniem wspominali swoje dawne domy, nie pragnąc w gruncie rzeczy do nich wrócić. Kobiety jednak nadal trzymały po kryjomu kozy w izbach, gdyż nawet faraon nie mógł im w tym przeszkodzić.

Nadszedł wylew Rzeki, a potem zima, lecz faraon nie wrócił już do Teb i uparcie przebywał na pokładzie swego statku i stamtąd rządził krajem. Każdy kamień, który położono przy budowie miasta, każda kolumna, którą postawiono, cieszyły go wielce i często wybuchał śmiechem z przekornej radości, gdy widział wznoszące się wzdłuż ulic piękne i lekkie drewniane domki, gdyż myśl o Tebach żarła jego duszę jak trucizna. Na budowę miasta Achetaton zużył wszystko złoto, które odziedziczył po Amonie, a ziemię Amona kazał we wszystkich prowincjach rozdzielić pomiędzy najbiedniejszych, którzy nie posiadali własnej roli do uprawiania. Rozkazał też zatrzymywać wszystkie statki, które płynęły w górę Rzeki, i kupował ich ładunki, kładąc wyładowywać je w Achetaton. Prócz jego własnych murarzy przybyło do Achetaton także mnóstwo innych robotników, którzy mieszkali nad Rzeką w glinianych dołach i w szałasach z sitowia, wyrabiali cegłę i miesili glinę. Wyrównywali oni ulice i kopali kanały nawadniające, a w parku faraona wykopali święte jezioro dla Atona. Także krzewy i drzewa zwożono na statkach z daleka i po wylewie Rzeki zasadzono je w Mieście Niebiańskim. Nawet zupełnie już wyrosnięte owocowe drzewa zasadzono tam, tak że faraon już następnego

lata drżącymi ze wzruszenia rękami mógł zrywać pierwsze daktyle, figi i jabłka granatu, które dojrzały w jego mieście.

Jako lekarz miałem mnóstwo roboty, bo chociaż zdrowie faraona poprawiło się i czuł się szczęśliwy, widząc, jak miasto jego kwitnie i lekko wystrzela z ziemi kolorowymi kolumnami, to wśród robotników grasowały zarazy, dopóki budowa kanałów nie uczyniła okolicy zdrowszą. Na budowie zdarzały się rozmaite nieszczęśliwe wypadki z powodu pośpiechu. Nim wybudowano nabrzeże, krokodyle napastowały tragarzy pracujących przy wyładunku statków, gdy brodzili w wodzie. Strasznie było słuchać ich krzyków i chyba nie ma okropniejszego widoku, jak mężczyzna szamoczący się i wrzeszczący w paszczy krokodyla, zanim potwór zniknie w swojej jamie i zanieśie ofiarę do gniazda, by tam zginęła. Ale faraon był tak zapatrzonny w swoją prawdę, że nie widział nic z tego wszystkiego i żeglarze wynajmowali za swoje miedziaki poławiaczy krokodyli z Dolnego Kraju, którym stopniowo udało się zmniejszyć liczbę krokodyli w Rzece. Wielu utrzymywało, że krokodyle przyszły do Achetaton za statkiem faraona z Teb, ale nic pewnego nie da się na ten temat powiedzieć, choć wiem, że krokodyl to okropnie mądra i sprytna ryba. Trudno uwierzyć, by krokodyle umiały skojarzyć statek faraona z pływającymi w rzece trupami, ale jeśli istotnie tak było, to krokodyl jest zaprawdę niezwykle mądrym zwierzęciem. Mądrość nie zabezpieczała jednak krokodyli od pętli zakładanych przez poławiaczy z Dolnego Kraju, wynajętych za miedziaki żeglarzy, skutkiem czego wnet uznały za najlepsze zostawić brzegi koło Achetaton w spokoju, co również świadczy o wielkiej mądrości tej dziwnej i strasznej ryby. A wyniósłszy się spod Achetaton, rozłożyły się wyczekująco stadami nad dolnym biegiem Rzeki aż do Memfis, miasta, które Horemheb obrał sobie na główną kwatery.

Muszę bowiem opowiedzieć, że także i Horemheb, gdy tylko rzeka opadła, przyjechał do Achetaton współ z panami z królewskiego dworu, choć nie przybył tam, aby pozostać i osiedlić się, lecz po to, by nakłonić Echnatona do rezygnacji z rozwiązania armii. Gdy faraon polecił mu zwolnić ze służby Murzynów i Szardanów i odesłać ich do ich krajów, lecz Horemheb odwlekał wykonanie rozkazu i grał na zwłokę pod rozmaitymi pozorami, jako że spodziewał się wybuchu powstania w Syrii i chciał tam przenieść te oddziały. Po zamieszkach w Tebach Murzyni i Szardanie byli bowiem tak okropnie zniechęceni w całym Egipcie, że na widok Murzyna lub Szardana ludzie spluwali i rozcierali płwocinę w pyłe stopą. Faraon Echnaton był jednak niezachwiany w swym postanowieniu i Horemheb marnował tylko na próżno czas w Achetaton. Rozmowy ich kończyły się co dzień tak samo i mogę opowiedzieć, jak wyglądały. Horemheb zaczynał:

– W Syrii panuje wielki niepokój i egipskie kolonie są tam słabe. Król Aziru rozdmuchuje nienawiść do Egiptu i nie wątpię, że w odpowiedniej chwili wywoła otwarte powstanie.

Na co faraon Echnaton odpowiadał:

– Czyś widział podłogę w moim pałacu, na której artyści układają właśnie wzory na sposób kreteński, w nadrzeczne sitowia i lecące kaczki? Co do twoich słów, to nie wierzę, by w Syrii wybuchło powstanie, gdyż posłałem wszystkim tamtejszym królom znak życia. Powszechnie wiadomo, że król Aziru jest moim przyjacielem. Przyjął on krzyż i zbudował w Amurru świątynię dla Atona. Oglądałeś chyba kolumnadę świątyni Atona koło mego pałacu. Warto to zobaczyć, mimo że kolumny murowane są tylko z cegły, żeby zyskać na czasie. Odpychająca jest dla mnie także sama myśl, by niewolnicy harowali w kamieniołomach po to, żeby wyłamywać kamień dla Atona. Wracając do Aziru, to nie masz powodu wątpić w jego wierność. Otrzymałem od niego wiele glinianych tabliczek, w których z zapalem wypytuje o nowiny związane z Atonem, jeśli chcesz, moi pisarze mogą ci pokazać te tabliczki, gdy tylko archiwum zostanie uporządkowane.

A na to Horemheb:

– Szczam na jego tabliczki, równie fałszywe i plugawe jak on sam. A jeśli twoim niezłomnym postanowieniem jest rozwiązać armię, pozwól mi przynajmniej wzmocnić wojska straży granicznej. Już bowiem obecnie południowe plemiona, nie bacząc na kamienie graniczne, wypasają trzody na naszych pastwiskach w kraju Kusz i w Syrii i palą wsie naszych czarnych sojuszników, co im zresztą przychodzi bardzo łatwo, bo wsie zbudowane są ze słomy.

Echnaton odpowiadał:

– Nie sądzę, by mieli oni złe zamiary, tylko bieda pędzi ich na nasze pastwiska. Niech więc nasi sprzymierzeńcy dzielą się pastwiskami z południowymi plemionami, ja zaś pošlę krzyż życia także i do nich. Nie wierzę też, by celowo podpalali wsie. Jak sam mówisz, te słomiane wioski łatwo stają się łupem ognia i z powodu kilku pożarów nie oplaca się potępiać całych szczepów. Jeśli jednak chcesz, wzmocnij strażę graniczną w kraju Kusz i w Syrii, bo to twoja sprawa dbać o bezpieczeństwo królestwa, tylko pod warunkiem, że będziesz te oddziały trzymał jako straż graniczną, nie zaś jako stałą armię.

Na co znów Horemheb:

– W każdym razie, mój szalony przyjacielu Echnatonie, musisz mi pozwolić zreorganizować oddziały wartownicze w całym Egipcie, bo rozpuszczeni do domów

żołnierze z biedy plądrują domy i kradną skóry przeznaczone na podatki oraz biją chłopów kijami.

Ale faraon Echnaton pouczał go wtedy:

– Widzisz, Horemhebie, do czego to doszło, dlatego żeś mnie nie słuchał. Gdybyś więcej rozmawiał z żołnierzami o Atonie, nie robiliby czegoś podobnego, teraz jednak serca ich są zamroczone, a pręgi po bitwach na ich grzbietach pieką tak, że nie wiedzą co czynią. Ale, ale, czyś zauważył, że obie moje córeczki już umieją chodzić i Meritaton opiekuje się swoją mniejszą siostrzyczką, i że do towarzystwa w zabawie mają one śliczną gazelę? Wracając do sprawy, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wziął na żołd zwolnionych do domu żołnierzy jako strażników w całym kraju, bylebyś tylko trzymał ich jako oddziały wartownicze, a nie jako stałą armię przygotowaną do wojny. Moim zdaniem byłoby także uzasadnione oddanie na złom wozów bojowych, bo nieufność budzi nieufność, musimy więc przekonać naszych sąsiadów, że Egipt nie posunie się do wojny, cokolwiek się zdarzy.

– Czy nie byłoby jeszcze prościej sprzedać wozy bojowe Aziru albo Hetytom, gdyż płacą oni dobrze za wozy bojowe i za konie – odparł Horemheb szydlerczo. – Rozumiem doskonale, że nie opłaca się utrzymywać porządnej armii, skoro topisz w mokradłach całe bogactwo Egiptu albo przerabiasz je na cegłę.

Tak spierali się dzień po dniu, aż Horemheb dzięki swemu uporowi został mianowany naczelnym wodzem wojsk granicznych i oddziałów strażniczych we wszystkich miastach Egiptu. Ale uzbrojenie strażników określił faraon i mogło się ono składać jedynie z drewnianych oszczepów. Natomiast liczebność tych oddziałów pozostawił on uznaniu Horemheba. Ten kazał więc zwołać dowódców wszystkich okręgów strażniczych do Memfis, ponieważ miasto to leżało w środku Egiptu i na granicy między dwoma królestwami, i sam Horemheb także się tam wybierał. Ale kiedy już miał wsiąść na swój okręt wojenny, przybyła łódź z posłańcem, który przywiózł cały stos wysoce alarmujących listów i glinianych tabliczek z Syrii, i Horemheb znów nabrał nadziei. Listy te i tabliczki wykazywały niezbicie, że król Aziru dowiedziawszy się o niepokojach w Tebach uznał, iż nadeszła odpowiednia chwila, i niespodziewanym napadem przyłączył kilka pogranicznych miast do kraju Amurru. Także w Megiddo, które było kluczem do Syrii, szalały rozruchy, a oddziały Aziru oblegały twierdzę, w której obwarował się egipski garnizon, domagający się szybkiej pomocy od faraona. Lecz faraon Echnaton powiedział:

– Sądzę, że król Aziru ma ważne powody swego postępowania, bo wiem, że jest to mąż porywczy i być może posłowie moi urazili go. Toteż nie chce go potępiać, dopóki

nie będzie miał sposobności bronić swoich postępów. Jest jednak coś, co mogę zrobić od razu, i źle się stało, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Ponieważ w czarnym kraju powstaje właśnie miasto Atona, muszę zbudować miasta Atona także i w czerwonym kraju, w Syrii i w Kusz. Zaprawdę, każę w Kusz zbudować miasto Atona, a także w Syrii zostanie wzniesione miasto Atona i będą one ośrodkami całej administracji. Megiddo leży na skrzyżowaniu wszystkich dróg karawanowych i byłoby dlatego najodpowiedniejszym miejscem na miasto Atona, ale podejrzewam, że obecnie jest tam zbyt niespokojnie, by zaczynać budowę. Ty jednak opowiadałeś mi o Jerozolimie, gdzie zbudowałeś świątynię dla Atona w czasie wojny z Habirami, której nigdy sobie nie daruję. Miejscowość ta nie leży co prawda w środku Syrii tak jak Megiddo, tylko bardziej na południu, ale natychmiast podejmę konieczne kroki, by zbudować miasto Atona w Jerozolimie, tak że stanie się ono centralnym punktem Syrii, choć obecnie jest tylko złożoną z ruder wioską.

Gdy Horemheb usłyszał te słowa, złamał swój bicz i rzucił go faraonowi pod stopy, po czym wsiadł na okręt wojenny i popłynął w dół Rzeki, do Memfis, by zreorganizować siły wartownicze królestwa. Tę tylko korzyść przyniósł jego pobyt w Achetaton, że w ciągu długich wieczorów mogłem spokojnie opowiedzieć mu o wszystkim, co widziałem i słyszałem w Babilonie, Mitanni, kraju Hatti i na Krecie. Słuchał w milczeniu, potakując niekiedy ruchem głowy, jak gdyby to, co opowiadałem, nie było dla niego niczym nowym, i obracając w palcach nóż, który dostałem od hetyckiego nadzorca portowego. Od czasu do czasu wtrącał dziecinne pytania jak na przykład: „Czy żołnierze babilońscy zaczynają maszerować lewą nogą, jak Egipcjanie, czy też prawą, jak Hetyci?” Albo: „Gdy Hetyci używają ciężkich wozów bojowych, czy zapasowe konie biegną obok zaprzężonych, czy też za wozem?” Albo pytał: „Ile szprych mają koła w wozach bojowych Hetytów i czy szprychy te są okute metalem, czy też nie?”

Te dziecinne pytania stawiał mi z pewnością dlatego, że był żołnierzem, a żołnierze interesują się takimi rzeczami, które nie mają żadnego znaczenia, podobnie jak dzieci usiłują policzyć, ile nóg ma stonoga. Wszystko jednak, co mu opowiadałem o drogach, mostach i rzekach, kazał zapisywać, polecił też zapisać wszystkie nazwy i imiona, które wspominałem. Wtedy powiedziałem mu, żeby w tych sprawach zwrócił się do Kaptaha, podobnie jak on dziecinnego, gdy chodziło o zapamiętywanie różnych niepotrzebnych rzeczy. Natomiast wcale nie przejawiał zainteresowania, gdy mu opowiadałem, jak się czyta z wątroby, i gdy wyliczałem mu tysiąc przeróżnych wejść i kanałów wątroby, wcale nie kazał zapisywać ich nazw.

W każdym razie Horemheb odjechał z Achetaton w gniewie, a faraon cieszył się bardzo z jego wyjazdu, bo rozmowy z Horemhebem męczyły go tak, że dostawał bólu głowy już na sam jego widok. A do mnie powiedział:

– Może Aton chce, żeby Egipt utracił Syrię, a jeśli tak, kim jestem, by się sprzeciwiać jego woli, jeśli tylko będzie to z korzyścią dla Egiptu. Bogactwo Syrii przeżarło bowiem serce Egiptu i z Syrii przychodzi tu wszelki zbytek, wszelka słabość, wszelki występki i złe obyczaje. Jeśli stracimy Syrię, Egipt musi natychmiast wrócić do życia surowego i do życia w prawdzie, a to byłoby dla Egiptu najlepsze. Nowe życie musi zacząć się od Egiptu, by mogło rozprzestrzenić się na całym świecie.

Serce moje wzburzyło się przeciw jego słowom i powiedziałem:

– Dowódca garnizonu w Simirze ma syna imieniem Ramzes, żywego chłopaczka o dużych brązowych oczach, który chętnie bawi się ładnymi kamyczkami. Swego czasu wyleczyłem go z wietrznej ospy. W Megiddo mieszka także egipska kobieta, która ongiś, usłyszawszy o moje sławie, przybyła do mnie, do Simiry, bo puchł jej brzuch. A ja rozciąłem jej brzuch nożem i uratowałem życie. Skórę miała miękką jak wełniana tkanina i chodziła pięknie, jak wszystkie egipskie kobiety, mimo że brzuch jej napuchł, a gorączka biła jej z oczu.

– Nie rozumiem wcale, dlaczego o tym mówisz – rzekł faraon i zaczął mi na pasku papirusu rysować obraz swojej świątyni, taki, jaki sobie wymarzył. Wciąż bowiem zasypywał swoich architektów i budowniczych rysunkami i objaśnieniami, choć znali się oni na budownictwie stokroć lepiej od niego.

– Chcę tylko wspomnieć, że widzę w myślach tego młodego Ramzesa. Usta ma zmiażdżone, a loki na czole splamione krwią. Widzę też ową kobietę z Megiddo. Leży naga i pokrwawiona na dziedzińcu twierdzy, a Amurejczycy hańbią jej ciało. Ale przyznaję oczywiście, że myśli moje są małostkowe w porównaniu z twoimi i że władca nie może pamiętać o każdym małym chłopcu i każdej słabej kobiecie, którzy są jego poddanymi.

Wtedy faraon zacisnął dłonie w kułak i podniósł pięści w górę, a ból zamroczył jego oblicze, gdy zawołał:

– Sinuhe! Czy nie rozumiesz, że gdybym musiał wybierać śmierć zamiast życia, wybrałbym raczej śmierć stu Egipcjan niż tysiąca Syryjczyków. Gdybym zaczął prowadzić wojnę w Syrii, by ocalić każdego Egipcjanina, który tam mieszka, to w wojnie tej musiałoby zginąć wielu Egipcjan i wielu Syryjczyków. A Syryjczyk jest człowiekiem tak samo jak Egipcjanin i serce tak samo bije mu w piersi. Syryjczycy także mają żony i jasnookich synów. I gdybym odpierał zło złem, osiągnąłbym tylko

zło. Ale gdy odeprę zło dobrem, wynikające stąd zło będzie mniejsze, niż gdybym odparł zło złem. Nie chcę wybierać śmierci zamiast życia. Dlatego zamykam uszy na twoje słowa i nie mów mi już o Syrii, jeśli moje istnienie jest ci drogie i jeśli mnie kochasz, bo gdy myślę o Syrii, serce moje cierpi wszelkimi cierpieniami tych, którzy umrą, by spełniła się moja wola, a człowiek nie ma siły długo dźwigać cierpień wielu innych ludzi. Daj mi więc spokój przez wzgląd na Atona i na moją prawdę.

Schylił głowę i z oczu, które nabiegły mu krwią, wyjrzał mu ból, a grube wargi trzęsły mu się z męki. Toteż zostawiłem go w spokoju, lecz w moich uszach dudnił huk taranów walących w mury Megiddo i dźwięczały biadania kobiet hańbionych w wełnianych namiotach Amurejczyków. Ale opancerzyłem swoje serce na te dźwięki, bo kochałem go, choć był szalony, a może kochałem go właśnie dla jego szaleństwa, gdyż szaleństwo to było piękniejsze od mądrości innych ludzi.

ROZDZIAŁ 5

Muszę jeszcze opowiedzieć o dworzanach, którzy bez zwłoki przybyli w ślad za Echnatonem do Niebiańskiego Miasta, gdyż całe życie spędzili w Złotym Domu faraona i jedynym sensem ich żywota było przebywanie w bliskości faraona, uśmiechanie się, gdy on się śmiał, i marszczenie czoła, gdy on je marszczył. Tak robili przed nimi ich ojcowie i ojcowie tych ojców, i po nich to dziedziczyli oni królewskie urzędy i tytuły i dumni byli ze swoich stanowisk i rang, o które współzawodniczyli między sobą. Był tam nosiciel królewskich sandałów, który chyba nigdy w życiu sam sobie nie włożył na stopy obuwia, i królewski podczaszny, który nigdy nie brał udziału w winobranii, królewski piekarz, który nigdy nie widział, jak się miesi ciasto, a dalej królewski rzeźnik i wielu innych dygnitarzy. Ja sam zaś byłem królewskim trepanatorem, ale nikt nie oczekiwał ode mnie, żebym otworzył królewską czaszkę, choć w odróżnieniu od innych potrafiłbym wykonać swoje zadanie i może nawet zachować faraona przy życiu.

Wszyscy oni przybyli do Achetaton z radością, śpiewając hymny do Atona, w ozdobionych kwieciami statkach, jak na wycieczkę dla przyjemności, i zabrali z sobą dworskie damy i wiele dzbanów wina. Obozowali na brzegu w namiotach i pod ocieniającymi od słońca daszkami, jedli, pili i cieszyli się życiem, bo Rzeka opadła, nastała wiosna, wiejskie powietrze było świeże jak młode wino, a ptaszki świergotały w gałęziach nowo posadzonych drzew i gołębie gruchały. Do obsługiwania ich trzeba było tylu sług i niewolników, że obozowisko było całym miasteczkiem, bo sami nie umieli nawet umyć rąk czy też namaścić twarzy i bez sług i niewolników byłiby bezradni jak dzieci, które uczą się chodzić.

Mimo to dzielnie towarzyszyli faraonowi, gdy wskazywał miejsca na domy i ulice,

a niewolnicy oceniali im cenne głowy parasolami. Ogarnął ich też zapal pomagania przy budowie domów, bo i faraon niekiedy podjął z ziemi cegłę i położył na właściwe miejsce. Sapiąc nosili więc cegły na rosnące ściany swoich domów i śmiali się, gdy robiły im się pęcherze na dłoniach. A możne panie klękały na gołej ziemi, by ugniatać glinę. Jeśli były młode i piękne, robiły to, by zrzucić z siebie szaty i zatrzymać tylko fartuszek, jak to czynią kobiety z ludu, gdy mielą zboże.

Ale niewolnicy musieli przy tym trzymać nad nimi parasole, żeby słońce nie spaliło na brąz ich starannie wypielęgnowanych członków, i po chwili dworzanie porzucali pracę, zostawiając wszystko w nieładzie, tak że murarze gorzko ich przeklinali i wyrwali cegły wmurowane dostojnymi rękami.

Tylko młodych kobiet murarze nie klęli, lecz chętnie się im przyglądali i udając dumniów poklepywali je oblepionymi gliną rękami, one zaś wykrzykiwały ze strachu i podniecenie. Gdy natomiast podchodziły do nich stare, brzydkie damy dworu, by dodawać im przy pracy otuchy słowami, i z podziwem obmacywały ich mięśnie i gładziły dłońmi umorusane gliną twarze, wciągając przy tym chciwie zapach potu, wtedy robotnicy znowu zaczynali kląć i upuszczali im cegły na stopy, by je wystraszyć i odpędzić.

Dworzanie byli ogromnie dumni z pracy na budowie i chętni się swoim dziełem, przechwalając się, ile który cegieł położył i pokazując faraonowi pokaleczone ręce, by zaskarbić sobie jego łaski.

Ale po pewnym czasie mieli już dość tej zabawy i zaczęli uprawiać ogródki i grzebać się w ziemi jak dzieci. Ogrodnicy wzywali bogów na pomoc i przeklinali panów z całej duszy, bo ci kazali wciąż przesuwać drzewa i krzewy z jednego miejsca na drugie. A pracujący przy kopaniu kanałów nawadniających nazywali ich potomstwem Seta, bo codziennie wynajdowali nowe miejsca na sadzawki dla ryb. Nie sądzę jednak, by dworzanie mieli jakieś złe zamiary, nawet nie przyszło im pewnie na myśl, że sprawiają robotnikom kłopot, i uważali, że bardzo im pomagają. Co wieczora pili wino i chętni się swoimi wyczynami.

Niebawem jednak mieli dosyć i tej zabawy i zaczęli narzekać na nieznośny upał. Maty w namiotach pełne były pcheł, tak że całymi nocami stękali, a rano przybiegali do mnie po maści od ukąszeń. W końcu zaczęli przeklinać Achetaton i wielu z nich wyjechało do swoich dóbr, niektórzy zaś udali się po kryjomu do Teb, by używać życia. Najwierniejsi tylko siedzieli w cieniu namiotów i pili chłodzone wino oraz grali w kości, na przemian to wygrywając to przegrywając całe swoje złoto, szaty i ozdoby, i w tej grze znajdowali pociechę w swym monotonnym życiu. Co dzień jednak rosły wyżej

ściany domów w Achetaton i w ciągu kilku miesięcy miasto ze wspianymi ogrodami wyrosło na pustyni jak w bajce. Nie potrafię określić, ile to wszystko kosztowało. Wiem tylko, że złoto Amona nie pokryło tego, gdyż podziemia Amona były puste, gdy je otwarto po zdjęciu królewskiej pieczęci. Bowiem kapłani spodziewając się burzy rozdzielili mnóstwo złota między ludzi zaufanych, oddając je im na przechowanie.

Muszę też opowiedzieć, że królewska rodzina podzieliła się z powodu Achetaton, bo wielka królewska matka odmówiła pójścia za synem na pustynię. Miastem jej były Teby. To tam wznosił faraon Amenhotep dla swojej ukochanej Teje, ubogiej ptaszniczki z sitowi Dolnego Królestwa, Złoty Dom, którego mury i ogrody mieniły się błękitem, złotem i czerwienią nad brzegiem Rzeki. Toteż Teje nie chciała opuścić Teb, także księżniczka Baketamon została u matki w Tebach, a kapłan Eje rządził tam jako nosiciel królewskiego pastorału po prawej ręce króla i sprawował sądy na królewskim tronie przed skórzanymi zwojami. W Tebach więc było wszystko po dawnemu i tylko nie było tam fałszywego faraona, a jego braku Teby doprawdy nie odczuwały.

Również i królowa Nefretete powróciła do Teb na czas porodu, bo nie śmiała rodzić bez tebańskich lekarzy i murzyńskich czarowników, i urodziła tam trzecią córkę, której nadano imię Anchsenaton i która miała zostać królową. Żeby ułatwić Nefretete rozwiązanie, także i głowę tej córki uformowano z pomocą czarowników tak, że zrobiła się wąska i wydłużona. Kiedy księżniczka podrosła, damy dworu i wszystkie kobiety w Egipcie, które chciały być szykowne i naśladować dworskie mody, zaczęły nosić przyprawiane peruki. Tylko księżniczki chodziły z gładko ogolonymi głowami, bo były dumne z ich pięknego kształtu, a artyści podziwiali je i rzeźbili w kamieniu, rysowali i malowali na obrazach, nie domyślając się, że wszystko to jest wynikiem murzyńskich czarów.

Po urodzeniu córki Nefretete powróciła jednak do Achetaton i osiedliła się w pałacu, który przez ten czas zdążono doprowadzić do stanu mieszkalnego. Pozostawiła tylko w Tebach dom kobiet faraona, bo bardzo była rozdrażniona tym, że urodziła dotychczas trzy córki, i nie chciała, by faraon trwonił męskie siły na matach innych kobiet. A Echnaton nie miał nic przeciwko temu, bo bardzo mu się sprzykrzyły obowiązki, które musiał spełniać w haremie, i nie pragnął innych kobiet, co łatwo było zrozumieć ujrawszy piękność Nefretete. Nawet bowiem trzeci poród nie pozbawił jej urody i wyglądu jeszcze młodziej i bardziej kwitnąco niż kiedykolwiek przedtem. Nie wiem jednak, czy zmianę tę wywarło zamieszkanie w Achetaton, czy też murzyńskie czary.

Tak oto w ciągu jednego roku miasto Achetaton wyrosło z pustyni i dumne korony palm chwiały się na jego wspianych ulicach, w ogrodach dojrzewały i czerwieniły się

jabłka granatu, w sadzawkach zaś kwitły różowe kwiaty lotosu. Miasto było jednym kwitnącym parkiem, drewniane domki były lekkie i kruche jak altanki, a ich kolumnienki z palmy i sitowia wysmukłe i kolorowe. Ogrody sięgały aż do wnętrza domów, bo wymalowane na ścianach palmy i sykomory kołysały się w podmuchach wiecznego wiosennego wiatru, na podłogach rosło sitowie i pływały różnobarwne rybki, a z sitowisk unosiły się do lotu kaczkę o bajecznie kolorowych skrzydłach. W mieście tym nie brakowało niczego, co może cieszyć ludzkie serce, po parkach biegały oswojone gazy, ulicami jeździły lekkie powoziki, ciągnięte przez ogniste konie, przybrane w chwiejące się strusie pióra, a z kuchen rozchodziły się drażniące zapachy korzeni sprowadzanych z całego świata.

Tak więc ukończono budowę miasta Achetaton i gdy znowu nadeszła jesień, a jaskółki wygrzebały się z błota i zaczęły uwijać się nad wezbraną Rzeką niespokojnymi stadami, faraon poświęcił miasto i okolice Atonowi. Ustawił kamienie graniczne tego kraju we wszystkich czterech stronach świata, a na każdym kamieniu Aton błogosławił promieniami faraona i jego rodzinę, w napisie zaś wyrytym w każdym granicznym kamieniu Echnaton przysięgał, że nigdy nie postawi stopy poza krajem Atona. Na uroczystość tę zbudowano brukowane gościńce we wszystkie cztery strony świata, tak że faraon mógł w złotym wozie dojechać do samych kamieni granicznych, a jego królewska rodzina i dworzanie towarzyszyli mu w powozach i lektykach i sypali kwiaty przy dźwiękach fletów i harf na chwałę Atona.

Nawet po śmierci nie chciał faraon Echnaton opuścić miasta Achetaton, lecz gdy było ono już gotowe, posłał swoich budowniczych, by wykuli grobowe nize we wschodnich zboczach gór na obszarze Atona, tak że ludzie ci nigdy nie mogli już wrócić do swoich domów, lecz przez całe życie mieli pracować przy budowie grobów. Budowniczowie nie tęsknili jednak zbyt do swoich dawnych mieszkań, lecz pogodzili się z losem i urządzili sobie życie we własnym osiedlu pod boki faraona, gdyż otrzymali obfite przydziały zboża, oliwy nigdy nie brakło w ich garnkach, a żony ich rodziły zdrowe dzieci.

Gdy Echnaton postanowił zbudować sobie i swoim dostojnikom miasto śmierci w Achetaton i podarować tam groby każdemu możnemu, który wierzy w Atona i zechce zamieszkać wraz z nim w Mieście Niebiańskim, polecił również wybudować poza miastem Dom Śmierci, ażeby ciała tych, którzy zmarli w Achetaton, nigdy nie uległy zniszczeniu, lecz przetrwały na wieki. W tym celu kazał wezwać z Domu Śmierci w Tebach najrzęczniejszych balsamiarzy i obmywaczy trupów, nie pytając ich, w co wierzą, bo obmywacze trupów i balsamiarze przy swoim fachu nie mogą mieć żadnej

wiary i znaczenie ma tylko ich biegłość w zawodzie. Przybyli Rzeką na czarnym statku, a wiatr niósł przed nimi trupi odór, tak że ludzie chowali się w domach, chylili głowy i modlili się do Atona. Ale wielu modliło się także do dawnych bogów i robiło święte znaki Amona, bo gdy poczuli odór obmywaczy trupów, Aton stał się dla nich daleki i przypomnieli sobie swoich starych bogów.

Obmywacze trupów i balsamiarze wysiedli na łód ze swymi narzędziami, mrugając oczyma przywykłymi do ciemności w Domu Śmierci i przeklinając gorzko światło, które zadawało ból ich źrenicom. Szybko weszli w progi nowego Domu Śmierci, by go już nie opuścić, i wnieśli do niego swój odór, tak że stał się ich domem. Był wśród nich także stary Ramose, biegły w pracy szczypczykami, którego zadaniem było oczyszczanie czaszek z mózgu. Spotkałem go w Domu Śmierci, bo kapłani Atona bali się tego miejsca i faraon mnie polecił sprawowanie nad nim nadzoru. Spotkaliśmy się więc z Ramose, a on, przyjrzawszy mi się dłuższą chwilę, poznał mnie i wielce się zdziwił. Ja zaś celowo dałem mu się rozpoznać, by wzbudzić jego zaufanie, bo nieświadomość zżerała mi serce jak robak i chciałem wiedzieć, czy zemsta moja w Domu Śmierci w Tebach dopełniła się. Pomówiwszy więc z nim o sprawach zawodowych zapytałem:

– Ramose, mój przyjacielu! Czy nie zdarzyło ci się stosować twoich zabiegów wobec kobiety, którą przyniesiono do Domu Śmierci w dniach grozy i której imię, o ile wiem, brzmiało Nefernefernefer?

Zgarbiony popatrzył na mnie swymi mrugającymi żółtymi oczkami i odparł:

– Zaprawdę, Sinuhe, jesteś pierwszym możliwym panem, który nazwał kiedyś obmywacza trupów swoim przyjacielem. Wzrusza to moje serce bardzo, a wiadomość, o którą ci chodzi, ma zapewne dla ciebie dużą wagę, skoro nazywasz mnie swoim przyjacielem. Ale to chyba nie ty przyniosłeś ją tam w ciemną noc, owiniętą w czarny całun śmierci, jeśli bowiem to ty byłeś tym człowiekiem, nie możesz zaprawdę być przyjacielem żadnego obmywacza trupów, i gdyby się o tym dowiedzieli, zapuścili by ci swoimi nożami trupi jad w ciało, tak że umarłbyś okropną śmiercią.

Zadrzałem usłyszawszy jego słowa i powiedziałem:

– Ktokolwiek ją tam przyniósł, naprawdę zasłużyła na swój los. Ale z twoich słów domyślałem się, że nie była martwa i zbudziła się do życia pod rękami obmywaczy trupów.

A Ramose odrzekł:

– Istotnie, ta straszliwa kobieta ocknęła się do życia w Domu Śmierci, ale nie chcę zgadywać, skąd ty możesz o tym wiedzieć. Ożyła, bo takie jak ona nigdy nie umierają, a gdyby kiedyś umarła, ciało jej powinno się spalić w ogniu, żeby już nigdy nie mogła

powrócić. Poznawszy ją, daliśmy jej imię Setnefer: Piękność Demona.

Wtedy ogarnęło mnie straszliwe przeczucie i spytałem go:

– Dlaczego mówisz o niej „była” i „była”. Czyżby nie znajdowała się już w Domu Śmierci, mimo że obmywacze trupów mówili, iż zatrzymają ją przez siedemdziesiąt razy po siedemdziesiąt dni?

Ramose szczerknął gniewnie swoimi nożami i cążkami i myślę, że podniósłby na mnie rękę, gdybym nie przyniósł mu dzbanka najlepszego wina z piwnic faraona. Poprzestał więc na tym, że obmacał kciukiem pokrytą pyłem pieczęć dzbanka i rzekł:

– Nie życzyliśmy ci źle, Sinuhe! Byłeś dla mnie jak mój własny syn i chciałem cię zatrzymać w Domu Śmierci na całe życie i nauczyć mojej sztuki. Zabalsamowaliśmy ci też ciała rodziców, tak jak się balsamuje tylko zwłoki możliwych, nie szczędząc najlepszych olejków i gatunków balsamu. Dlaczego więc życzyłeś nam tak źle, żeś przyniósł tę straszną kobietę żywą do Domu Śmierci? Wiedz zatem, że do jej przybycia wiedliśmy życie proste i pracowite i cieszyliśmy nasze serca piwem, i bogaciliśmy się wielce, kradnąc kosztowności zmarłym bez względu na ich stan i płeć oraz sprzedając czarownikom pewne części ciała, których potrzebują oni do swoich czarów. Odkąd jednak ta kobieta znalazła się między nami, Dom Śmierci stał się dla nas jak podziemna otchłań i mężczyźni ranili się nawzajem nożami i walczyli o nią z sobą jak wściekłe psy. Obrabowała nas z całego naszego bogactwa i z wszystkiego złota i srebra, które latami zbieraliśmy i ukrywaliśmy w Domu Śmierci. A nie gardziła nawet miedzią, obdarła nas nawet z odzieży, bo gdy ktoś z nas – tak jak ja – był już stary i bezsilny, tak że nie mogła go do siebie rozpalić, podniecała innych, by go okradali, gdy już przetrwonili na nią wszystko, co mieli. Nie minęło więcej jak trzy razy po trzydzieści dni, a obrała nas do czysta. A kiedy spostrzegła, że nie mamy już więcej nic, co by nam mogła zabrać, wyśmiewała nas i wielce nami pogardzała, i dwóch obmywaczy trupów, którzy się do niej palili, powiesiło się na rzemieniach, gdy się z nich naigrywała. A potem odeszła zabierając z sobą całe nasze bogactwo, my zaś nie mogliśmy jej w tym przeszkodzić, bo gdy jeden stanął jej na drodze, drugi rzucał się na niego, by zdobyć jej uśmiech i pieśczęotę. Tak pozbawiła nas spokoju i bogactwa i zabrała z sobą co najmniej trzysta debenów złota, nie mówiąc już o srebrze, miedzi, lnianych opaskach i maściach, z których latami okradaliśmy trupy według dobrego zwyczaju. Ale obiecała wrócić za rok, żeby nas odwiedzić i zobaczyć, co nam się udało jeszcze przez ten czas nagromadzić. I w Domu Śmierci w Tebach kradnie się dziś więcej niż kiedykolwiek przedtem, a obmywacze trupów nauczyli się okradać nawet siebie nawzajem, nie tylko trupy, tak że nasz spokój przepadł zupełnie. Rozumiesz więc, dlaczego nadaliśmy jej

imię Setnefer, bo zaprawdę jest bardzo piękna, choć piękność jej pochodzi od Seta.

Tak dowiedziałem się, jak dziecinna była moja zemsta, bo Nefernefernefer wyszła z Domu Śmierci bez uszczerbku, bogatsza, niż była przedtem. I o ile wiem, nie wyniosła z pobytu tam innej szkody prócz odoru, który wgrzył się w jej ciało i przez jakiś czas potem przeszkadzał w wykonywaniu zawodu. Z pewnością jednak i tak potrzebowała odpoczynku po pobycie wśród obmywaczy trupów. Zemsta dręczyła więc tylko moje serce, jej wcale nie przynosząc szkody, a gdy się o tym dowiedziałem, nie ogarnął mnie nawet gniew, bo już wiedziałem, że zemsta nie daje żadnej radości, lecz słodycz jej jest krótkotrwała i obraca się przeciw samemu mścicielowi, spalając mu serce jak ogień.

Opowiedziawszy o tym wszystkim, rozpocznę nową księgę, by z kolei opowiedzieć, co się działo w Egipcie i co się działo w Syrii, w czasie gdy faraon Echnaton żył w mieście Achetaton. Opowiem też o Horemhebie, o Kaptahu, o moim przyjacielu Totmesie, a nie wolno mi także zapomnieć o Merit. W tym celu zacznę nową księgę.

KSIĘGA JEDENASTA MERIT

ROZDZIAŁ I

Każdy widział, jak woda upływa z wodnego zegara. W taki sam sposób płynie czas człowieka, ale czasu człowieka nie można mierzyć wodnym zegarem, lecz tylko tym, co się człowiekowi wydarza. Jest to wielka i wzniosła prawda i w pełni rozumie ją człowiek dopiero w dniach starości, kiedy czas jego płynie w nicość i kiedy nic mu się już nie przydarza, mimo że sam myśli, iż dużo się dzieje, i dopiero potem spostrzeża, że nie wydarzyło się nic. Kiedy bowiem człowiekowi przytrafia się dużo i serce jego odmienia się i zmienia kształt, wtedy jeden dzień może być dla niego dłuższy niż rok czy dwa, w ciągu których pracuje i żyje życiem prostym, sam się nie zmieniając. W mieście Achetaton nauczyłem się rozumieć tę prawdę, czas mój bowiem biegł tam jak nurt rzeki i życie było dla mnie jak krótki sen albo jak piękna pieśń, która cichnie w oddali, a dziesięć lat, które przeżyłem w Achetaton u boku faraona Echnatona w

jego Złotym Domu, były dla mnie krótsze niż jeden rok młodości, choć w okresie tym mieściły się także dni pełne wydarzeń i podróże, które trwały dłużej niż rok.

I w ciągu tego czasu nie ulepszałem swojej wiedzy i mojej sztuki, lecz posługiwałem się wiedzą i sztuką, którą w dniach młodości gromadziłem w wielu krajach, podobnie jak pszczoła w zimie zużywa miód, który zebrała w plastrach w okresie kwitnienia. Być może jednak, że czas trawił moje serce, jak wolno płynąca woda trawi kamień, i może serce moje zmieniło się w tym okresie, choć sam tego nie zauważyłem, bo nie byłem już taki samotny jak dawniej. Może też zrobiłem się bardziej cichy niż przedtem i nie rozplęwałem się w pochwałach nad sobą i swoją sztuką tak jak dawniej, ale to nie było pewnie moją własną zasługą, lecz spowodowane było tym, że Kaptah nie mieszkał wraz ze mną, lecz przebywał daleko ode mnie, w Tebach, gdzie zarządzał moim majątkiem, mieszkał w moim domu i pilnował moich interesów i swojej własnej winiarni, która nazywała się „Ogon Krokodyla”.

Muszę też powiedzieć, że miasto Achetaton zamknęło się w sobie, a także w marzeniach i wizjach faraona Echnatona. A dla niego świat zewnętrzny nie znaczył nic, wszystko, co działo się poza granicami miasta Achetaton, było mu równie dalekie i nierzeczywiste, jak blask księżycy na wodzie, jedynie rzeczywiste zaś było to, co działo się w Achetaton. I gdy pomyśleć o tym z perspektywy czasu, było to może jednak niesłuszne i może miasto Achetaton i wszystko, co się tam działo, było tylko cieniem i czczą złudą, prawdą zaś był tylko głód, cierpienie i śmierć poza granicami miasta. Wszystko bowiem, co było faraonowi niemiłe, ukrywano przed nim, a gdy jakaś sprawa nieuchronnie wymagała jego decyzji, owijano ją w miękkie obłonki i zaprawiano miodem i wonnymi korzeniami oraz podawano mu ostrożnie, żeby głowa jego nie stała się od tego chora.

W ciągu tego okresu w Tebach władał kapłan Eje, jako nosiciel pastorału po prawej ręce króla, i w rzeczywistości Teby były nadal stolicą obu Królestw, bo faraon zostawił tam wszystko, co przykre i nieprzyjemne w maszynie rządowej, jak pobór podatków, handel i wymiar sprawiedliwości, i nie chciał o niczym takim słyszeć, lecz zupełnie polegał na Eje, który był jego teściem, ojcem Nefretete, oraz mężem ogromnie żądnym władzy. Tak więc kapłan Eje był właściwie rzeczywistym władcą Obu Królestw, wszystko bowiem, co dotyczyło życia człowieka, czy to chłop, czy mieszkańiec miasta, spoczywało w jego rękach. Po obaleniu Amona nie istniało już nic, co by ograniczało władzę faraona, która była w rzeczywistości władzą Eje, i Eje był z tego zadowolony, bo spodziewał się, że niepokój wokół Amona stopniowo w kraju ucichnie. Toteż nic nie mogło być dla niego przyjemniejsze jak to, że miasto Achetaton trzymało faraona

z dala od Teb, robił więc co tylko możliwe, by zebrać środki na budowę i upiększenie miasta, i posyłał wciąż nowe bogate dary, żeby uczynić Achetaton jeszcze miłszym sercu faraona. W ten sposób kraj mógłby doprawdy zyskać spokój i wszystko byłoby jak dawniej, oprócz władzy Amona, ale faraon Echnaton stał się kijem w szprychach koła Eje, kamieniem, na którym przewrócił się jego wóz.

Obok kapłana Eje rządził Horemheb, siedzący w Memfis, na granicy między Obu Królestwami, i odpowiadający za bezpieczeństwo i porządek, tak że to on w końcu dawał siłę kijom poborców podatków i młotom kamieniarzy, którzy usuwali imię Amona z wszystkich napisów i posągów i wdzierali się nawet do grobów, żeby usunąć to imię. Faraon Echnaton kazał nawet otworzyć grób swego ojca, żeby imię Amona wymazane zostało z napisów tam umieszczonych. A Eje nie sprzeciwiał się temu, dopóki faraon zadawała się tak niewinnym spędzaniem czasu, i uważał, że najlepiej jest, gdy myśli faraona zaprzątnięte są sprawami religijnymi, które nie przeszkadzają ludziom w ich życiu codziennym.

Tak więc, po dniach grozy w Tebach, Egipt przypominał przez czas jakiś spokojną powierzchnię wody, której nie mąci żadna burza. Kapłan Eje rozdzielił pobór podatków między naczelników okręgów, co oszczędziło mu dużo kłopotu. Ci zaś wydzierżawili prawo pobierania podatków poborcom z miast i wsi i wielce się na tym wzbogacili. A poborcy z miast i wsi wydzierżawili to prawo z kolei liczny pomocnikom i niższym poborcom i też się ogromnie wzbogacili, a także niżsi poborcy nie stali się biedniejsi od pobierania podatków, o co troszczyli się już sami za pomocą swoich kijów. Wszystko było zatem na pozór tak jak dawniej i jeśli biedacy skarżyli się na swój los i posypywali głowy popiołem, gdy przychodzili do nich poborcy, to robili tak zawsze, przez wszystkie czasy.

Ale przyjście na świat czwartej córki faraona było w Achetaton większym ciosem, niż gdyby padły Simira i Syria, a królowa Nefretete zaczęła podejrzewać, że rzucono na nią urok, by rodziła tylko dziewczęta, i wyjechała do Teb szukać pomocy u murzyńskich czarowników swojej teściowej. Bo też rzadkością jest, żeby kobieta urodziła cztery dziewczynki jedną po drugiej i ani jednego chłopca. Lecz taki był jej los, urodziła ona Echnatonowi sześć córek i ani jednego syna, i taki był też los faraona Echnatona.

Z biegiem czasu doniesienia z Syrii stawały się coraz bardziej niepokojące i za każdym razem, gdy przybywał goniec, szedłem do królewskiego archiwum, żeby odczytywać z glinianych tabliczek nowe wołania o pomoc. A gdy je czytałem, było mi tak, jakbym słyszał wokoło siebie świst strzał, a w nozdrzach czuł swąd pożarów. I poprzez pełne czci słowa słyszałem śmiertelne krzyki mężczyzn i wołania o pomoc okaleczonych

dzieci, bo Amurejczycy był to lud dziki, w sztuce wojowania zaś doradzali im hetycy oficerowie, tak że ani jeden garnizon w Syrii nie potrafił się im długo oprzeć. Czytałem tabliczki od królów z Byblos i Jerozolimy, którzy powoływali się na swój podeszły wiek i swoją wierność, wzywając pomocy faraona, i odwoływali się do pamięci jego ojca i swojej z nim przyjaźni, aż wreszcie Echnatona tak znużyły te wołania o pomoc, że odsyłał te listy nie czytane prosto do archiwum, tak że pisarze i ja byliśmy jedynymi, którzy je czytali, a pisarze nie przejawiali dla nich innego zainteresowania poza tym, że je numerowali i wciągali do katalogu w porządku, w jakim napływały.

Gdy padła Jerozolima, poddały się też ostatnie wierne Egipcjom miasta, aż po Joppe, i zawarły przymierze z królem Aziru. Wtedy do Achetaton przyjechał z Memfis Horemheb, żeby domagać się armii do prowadzenia wojny w Syrii, nie mógł bowiem bez utraty sławy udać się do Syrii i organizować tam oporu, nie mając wojsk. Dotychczas prowadził on tylko tajną wojnę za pomocą listów i złota, aby uratować dla Egiptu przynajmniej jakiś przyczółek w Syrii. Teraz powiedział do faraona Echnatona:

– Pozwól mi zaciągnąć przynajmniej sto razy po stu oszczepników i łuczników i sto wozów bojowych, a odzyskam dla ciebie całą Syrię, bo zaprawdę, gdy i Joppe się podda, złamana będzie władza Egiptu w Syrii.

Dowiedziawszy się o zniszczeniu Jerozolimy, faraon Echnaton wielce się zasmucił, bo podjął już kroki, żeby zrobić z niej miasto Atona e celu uspokojenia Syrii. Toteż powiedział:

– Ten staruszek z Jerozolimy, nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć jego imienia, był przyjacielem mego ojca. Jako chłopiec widziałem go w Złotym Domu w Tebach i pamiętam, że miał długą brodę. Będę mu więc płacić odszkodowanie z kasy Egiptu, choć wpływy z podatków bardzo się zmniejszyły, od czasu kiedy ustał handel z Syrią.

– Chyba nie będzie miał dużej pociechy z dożywotniej renty i egipskich naszyjników – odparł Horemheb. – Król Aziru kazał bowiem zrobić z jego czaszki piękną czarę, ozdobioną złotem, i posłał ją w darze królowi Suppiluliumasowi w Hattusas, o ile moi szpiedzy nie są całkiem w błędzie.

Twarz faraona poszarzała, a oczy nabiegły mu krwią, ale opanował ból i odparł spokojnie:

– Trudno mi uwierzyć, że król Aziru, którego uważałem za przyjaciela i który przyjął chętnie krzyż życia, mógł tak postąpić. Być może jednak pomyliłem się co do niego i serce jego jest czarniejsze, niż myślałem. Ty jednak, Horemhebie, żądasz niemożliwości, prosząc mnie o oszczepy i wozy bojowe, bo już doszły do mnie sarkania ludu z powodu podatków, a zbiory nie były tak obfite, jak się spodziewałem.

Na co Horemheb odparł:

– Na twego Atona, daj mi przynajmniej dziesięć wozów bojowych oraz dziesięć razy po dziesięciu oszczepników, żebym mógł udać się do Syrii i ratować, co się jeszcze da uratować.

Lecz faraon odpowiedział:

– Nie mogę toczyć wojny ze względu na Atona, bo rozlew krwi to dla niego okropność. Raczej zrezygnuję z Syrii. Niech Syria będzie wolna i stworzy własny związek królestw, a my prowadźmy z nią handel tak jak przedtem, bo bez egipskiego zboża Syria nie potrafi dać sobie rady.

– Czy rzeczywiście sądzisz, że oni się tym zadowolą, Echnatonie? – zapytał Horemheb zaskoczony. – Każdy zamordowany Egipcjanin, każdy obalony mur, każde miasto, które się poddaje, zwiększa ich wiarę w siebie i budzi w nich coraz śmielsze pragnienia. Po Syrii przyjdzie kolej na kopalnie miedzi na Synaju, a jeśli Egipt je utraci, nie będziemy już mogli wykuwać grotów do naszych strzał o szczepów.

– Już przecież powiedziałem, że dla strażników wystarczą oszczepy drewniane – odrzekł faraon Echnaton z rozdrażnieniem. – Dlaczego więc męczysz moje uszy nieustanną gadaniną o oszczepach i grotach strzał, tak że słowa płaczą mi się w głowie, gdy układam hymn dla Atona.

– Po Synaju przyjdzie kolej na Dolne Królestwo – ciągnął Horemheb z goryczą. – Jak sam powiedziałeś, Syria nie może sobie dać rady bez egipskiego zboża, choć wiem, że Syryjczycy dostają teraz zboże z Babilonu. A jeśli nie obawiasz się Syrii, strzeż się przynajmniej Hetytów, bo ich żądza władzy nie zna żadnych granic.

Wtedy faraon Echnaton roześmiał się ze współczuciem, tak jak na jego miejscu roześmiałby się każdy rozsądny Egipcjanin, gdyby usłyszał podobne słowa. I rzekł:

– Jak pamięć sięga, żaden wróg nie postawił stopy na czarnej ziemi i nikt nie ośmielił się tego zrobić, bo Egipt jest najbogatszym i najpotężniejszym królestwem na świecie. Ale żeby cię uspokoić, bo widzę, że majaczysz, mogę ci opowiedzieć, że Hetyci to tylko dziki lud, który pasie trzody w swoich jałowych górach, a nasi sprzymierzeńcy w Mitanni są tarczą chroniącą nas przed nimi. Także i królowi Suppiluliumasowi posłałem krzyż życia oraz, na jego prośbę, posłałem mu złota, żeby mógł w swojej świątyni postawić mi posąg naturalnej wielkości. Dlatego nie zakłóci on spokoju Egiptu, bo przecież dostanie ode mnie złota za każdym razem, gdy zażąda, mimo że lud sarka na podatki, a ja nie chciałbym obciążać go zbyt daninami.

Horemhebowi wystąpiły żyły na twarzy, ale nauczył się już opanowywać i nie powiedział nic więcej, lecz wyszedł za mną, gdy powiedziałem, że jako lekarz nie mogę

mu pozwolić na dłuższe zaprzątanie uwagi faraona. Ale gdy weszliśmy do mego domu, zaczął bić się po udzie swoją złotą pletnią i rzekł:

– Na Seta i wszystkie demony! Z łajna, które krowa zostawia za sobą na drodze, jest więcej pożytku niż z jego krzyża życia. Ale najgłupsze jest to, że gdy spojrzysz mi w oczy i jak przyjaciel położysz rękę na ramieniu, wtedy wierzę w jego prawdę, choć dobrze wiem, że to ja mam słuszość, a nie on. Na Seta i wszystkie demony! On nabiera siły w tym mieście, malowanym i dorodnym jak ladacznica i tak samo pachnącym. Zaprawdę, gdyby można było przyprowadzić przed niego każdego człowieka na ziemi, by z nim pomówił i dotknął go swoimi miękkimi palcami, wierzę, że świat mógłby się zmienić. Ale coś takiego jest niemożliwością.

By go rozbawić, odparłem, że być może nie jest to takie niemożliwe, a on bardzo się do tej myśli zapalił i powiedział:

– Gdyby to było możliwe, opłaciłoby się naprawdę prowadzić wielką wojnę tylko po to, żebym mógł przyprowadzić przed niego każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko na świecie, by wlał w nie swoją siłę i odmienił ich serca. Zaprawdę, gdybym tu dłużej pozostał, sądzę, że i mnie zaczęłyby rósć piersi jak dworzanom i może niedługo mógłbym karmić niemowlęta.

ROZDZIAŁ 2

Gdy Horemheb powrócił do Memfis, słowa jego zaczęły mnie drażnić i robiłem sobie wyrzuty, że jestem dlań złym przyjacielem, a faraonowi złym doradcą. Ale łożo moje było wygodne i miękkie i spałem pod baldachimem, moi kucharze smażyli dla mnie małe ptaszki w miodzie i nie brak było na moim stole pieczeni z antylopy, i woda w moim wodnym zegarze upływała szybko. Druga z córek faraona, Meketaton, zapadła na wyniszczającą chorobę, gorączkowała i kaszlała, na jej dziecięcych policzkach płonęły gorączkowe wypieki i schudła tak, że obojczyki sterczały jej pod skórą. Usiłowałem ją wzmocnić lekarstwami, dawałem jej też do picia rozpuszczone złoto i przeklinałem swój los, że córka faraona musiała zachorować, gdy tylko ustały ataki jego własnej choroby, tak że nie miałem spokoju ani we dnie, ani w nocy. Również faraon był niespokojny, bo kochał ogromnie swoje córeczki, a dwie najstarsze z nich, Meritaton i Meketaton, wychodziły w dni przyjęć wraz z nim na balkon Złotego Domu i stamtąd rzucały honorowe odznaki i złote łańcuchy tym, którym Echnaton z takiej czy innej przyczyny chciał okazać łaskę.

A natura ludzka jest już taka, że właśnie ta chora córeczka była dla faraona przez swą chorobę najdroższa z jego czterech córek. Toteż darowywał jej piłki toczne ze srebra i kości słoniowej i kupił jej małego pieska, który nie odstępował dziewczynki na

krok i strzegł jej snu, śpiąc u stóp jej łoża. Sam faraon też czuwał nad jej snem, chudł z niepokoju i wstawał co nocy po wiele razy, by posłuchać oddechu chorej córeczki, a każde jej kaszlnięcie wstrząsało sercem faraona.

Tak dziwna jest natura ludzka, że ta chora mała dziewczynka znaczyła i dla mnie więcej niż cały mój majątek w Tebach i Kaptah, i rok nieurodzaju w Egipcie, i wszyscy ci ludzie, którzy umierali w Syrii z powodu Atona. Poświęcałem jej całą swoją wiedzę i sztukę i zanieczyściłem dla niej moich możliwych pacjentów, którzy chorowali z obżarstwa i nudy i udawali, że cierpią na bóle głowy, ponieważ faraona męczyły bóle głowy. Cackając się z ich bólami głowy mógłbym zebrać dużo złota, ale sprzykrzyło mi się już złoto i kłanianie się, dlatego często byłem szorstki dla moich pacjentów, tak że ludzie mówili: „Godność królewskiego lekarza uderzyła temu Sinuhe do głowy, ponieważ wyobraża sobie, że król słucha jego słów, nie baczy na to, co inni do niego mówią”.

Tylko gdy myślałem o Tebach i o Kaptahu, i winiarni „Ogon Krokodyla”, dusza moja wzbierała smutkiem, a serce zaczynało łaknąć tak, jak gdybym stale chodził głodny i nic nie mogło tego głodu zaspokoić. Zauważyłem, że włosy coraz bardziej wypadają mi z głowy i ciemiej robi mi się gołe pod peruką. Przychodziły dni, kiedy zapomniałem o moich zadaniach i śniłem z otwartymi oczyma, i znów wędrowałem po drogach Babilonu, i czułem zapach suchego zboża na glinianych klepiskach. Spostrzegłem też, że utylłem i mój sen w nocy był ciężki, i dostawałem zadyszki nawet na krótkich spacerach, choć dawniej nie bywałem zadyszany nawet po długim marszu. Nie mogłem się już teraz obejść bez lektyki.

Myśl o tym, że każdy dzień będzie podobny do poprzedniego i że w moim życiu nie wydarzy się już nic innego jak to, co wydarza się co dzień, stała się dla mnie odpychająca. Tak nierozsądne jest serce ludzkie, że nigdy nie zadowala się swoim losem, lecz czyni wszystko, by zakłócić człowiekowi spokój i zasiać mu w duszy rozterkę. Bardzo już byłem znużony swoim sercem. Ale gdy przyszła jesień i Rzeka wezbrała, a jaskółki znowu wygrzebały się ze szlamu i krążyły w powietrzu na niespokojnych skrzydłach, stan córeczki faraona poprawił się. Zaczęła ona wykazywać oznaki ozdrowienia i śmiała się, nie czując już bólu w piersi. Serce moje rwało się lotem jaskółek, więc wsiadłem na statek, by udać się w górę Rzeki i znowu zobaczyć Teby, a faraon pozwolił mi jechać i przesłał przeze mnie pozdrowienia dla wszystkich osadników nad brzegiem Rzeki, którzy podzielili między sobą ziemię fałszywego boga. Kazał mi też pozdrowić założone przez siebie szkoły i wyraził nadzieję, że gdy wrócę, przywiozę mu dużo dobrych nowin.

Toteż często kazałem przybijać do brzegu i wzywałem do siebie starszych wiosek, by z nimi porozmawiać. Podróż nie sprawiała mi takich kłopotów, jak się obawiałem, na maszcie mego statku powiewał proporzec faraona, łoża w mojej kajucie było wygodne, a gdy wylew minął, na Rzece nie dokuczały komary. Na małym stateczku, który mieścił kuchnię, towarzyszył mi też mój kucharz, a z wszystkich mijanych wiosek przynoszono mi dary, tak że nie cierpiałem na brak świeżego pożywienia. Ale osadnicy, którzy do mnie przychodzili, byli wychudli jak szkielety, a ich żony oglądały się wokół siebie przestraszonym wzrokiem, bojąc się każdego dźwięku, a dzieci ich były chore i miały krzywe nóżki. Pokazywali mi swoje spichrze, nawet do połowy nie wypełnione zbożem, a zboże to pokryte było mnóstwem czerwonych plamek, jak gdyby spadł na nie deszcz krwi. I mówili:

– Z początku sądziliśmy, że nasze niepowodzenia pochodzą z braku umiejętności, bo dawniej nie uprawialiśmy roli. Sądziliśmy, że to z naszej własnej winy zbiory są liche, a bydło nam zdycha. Teraz jednak wiemy, że ziemia, którą faraon podzielił między nas, to ziemia przeklęta, i że także ten, kto ją uprawia staje się przeklęty. Nocą niewidzialne stopy depczą nasze zagony i niewidzialne ręce łamią gałęzie owocowych drzew, które posadziliśmy. Bydło nasze zdycha bez powodu, kanały nawadniające zatykają się, a w naszych studniach znajdujemy padlinę, tak że nie mamy nawet wody do picia. Wielu porzuciło już swoje działki i wróciło do miasta jeszcze uboższymi niż przedtem, przeklinając imię faraona i jego boga. My jednak wytrwaliśmy dotychczas, czerpiąc siłę z naszej nadziei i ufając w czarodziejskie krzyże, które faraon nam przysłał, i w listy, które do nas pisze i które zatykamy na żerdziach na naszych zagonach, żeby bronić ich przed szarańczę. Ale czary Amona są silniejsze niż czary faraona i nic nie pomaga wzywianie na pomoc boga faraona. Toteż wiara nasza zaczyna słabnąć i dłużej już nie wytrzymamy i zamierzamy porzucić tę przeklętą ziemię, żebyśmy wszyscy nie pomarli, jak pomarły już żony i dzieci wielu spośród nas.

Chodziłem też oglądać ich szkoły, a nauczyciele ujrzawszy na moich szatach krzyż Atona skrywali bogobojnie kije i kreślili rękami znak Atona, a dzieci siedziały w kucki w schludnych szeregach i wlepiły we mnie oczy, prawie nie śmiejąc sobie utrzc zasmarkanych nosków. Nauczyciele mówili:

– Wiemy wprawdzie, że nie ma bardziej szalonego pomysłu jak ten, żeby każde dziecko uczyło się czytać i pisać, ale czegoż nie uczynimy, by okazać, że kochamy faraona i że jest on dla nas jak ojciec i matka, i że czcimy go jako syna jego boga. Jesteśmy jednak ludźmi uczonymi i nie przystoi naszej godności siedzieć na klepisku i wycierać nosy zasmarkanym dzieciakom, i kreślić brzydkie znaki pisarskie na piasku,

bo nie mamy nawet tabliczek i trzciny do pisania, te zaś nowe znaki pisarskie nie mogą wcale oddać całej tej uczoneści i wiedzy, którą przyswoiliśmy sobie z wielkim trudem i nakładem kosztów. Także i nasze wynagrodzenie otrzymujemy nieregularnie, a rodzice płacą nam skąpą miarą i piwo, które dostajemy, jest słabe i kwaśne, a oliwa zjełczała. Znosimy to jednak, żeby dowieść faraonowi, że jest niemożliwością uczyć wszystkie dzieci czytać i pisać, bo czytać i pisać uczą się tylko najlepsi, których głowy są dostatecznie pojętne. I jest też naszym zdaniem niedorzecznością, żeby dziewczęta uczyły się pisać, bo czegoś takiego nigdy jeszcze nie było, i przypuszczamy, iż pisarze faraona pomylili się w swoim piśmie, co też dowodzi, jak nieudane i niedoskonałe jest to nowe pismo.

Sprawdzałem ich umiejętności i wcale nie byłem zadowolony z wyników, a jeszcze bardziej martwił mnie widok ich obrzmiałych twarzy i biegających oczu, bo nauczyciele ci byli wykolejonymi pisarzami, których nikt nie chciał już zatrudniać w swojej służbie. Ich umiejętności były nikłe i przyjęli oni krzyż Atona tylko po to, by zapewnić sobie chleb, a gdy znalazł się między nimi ktoś wyjątkowy, kogo mogłem pochwalić, to przecież jedna mucha nie robi z zimy lata. Także osadnicy i starsi wiosek przeklinali gorzko imię Atona i mówili:

– Panie nasz, Sinuhe, wstaw się do faraona, żeby przynajmniej zdjął z nas ciężar utrzymywania tych szkół, bo inaczej nie zdołamy dłużej żyć. Nasi chłopcy przychodzą do domu z sińcami od kijów na plecach i z powyrywaniem garściami włosów, a ich okropni nauczyciele są nienasytzeni jak krokodyle i objadają nas do cna, i nic nie jest dla nich dostatecznie dobre, gardzą naszym chlebem i naszym piwem, wyciskają z nas ostatnie miedziaki i zabierają nam skóry bydłęce, by kupić sobie wina, a gdy pracujemy w polu, przychodzą do naszych domów i zażywają uciechy z naszymi kobietami, mówiąc, że taka jest wola Atona, ponieważ nie ma różnicy między mężczyzną i mężczyzną ani pomiędzy kobietą i kobietą.

Zaprawdę, nie pragnęliśmy żadnej zmiany w naszym życiu, bo nawet jeśli byliśmy biedni w miastach, to byliśmy w każdym razie szczęśliwi i co dzień widzieliśmy coś nowego, tu zaś nie widzimy nic prócz błotnistych rowów i ryczących krów. I słuszność mieli ci, którzy nas ostrzegali mówiąc: „Strzeżcie się każdej zmiany, bo dla biedaka każda zmiana jest tylko zmianą na gorsze, i cokolwiek zmieni się na świecie, można być pewnym, że równocześnie zmniejszy się także miara zboża biedaka i opadnie poziom oliwy w jego dzbanie”.

Serce moje szeptało mi, że być może mają słuszność, i nie chciałem się z nimi spierać, lecz ruszałem w dalszą podróż. Ale ciążyło mi to na sercu ze względu na

faraona i zastanawiałem się, dlaczego wszystko, czego tknął się Echnaton, przynosiło przekleństwo, tak że pracowitych dary jego rozleniwiwały i tylko najpodlejsi gromadzili się wokół Atona jak muchy przy padlinie. Przypomniałem sobie też to, co sam myślałem płynąc z prądem Rzeki, nim zbudowano Achetaton. Myślałem wtedy: „Nie mam nic do stracenia idąc za Atonem”. Czyż więc miałem prawo wyrzucać leniwym, skąpym i podłym, którzy nie mieli nic do stracenia idąc za Atonem i ciągnąc za sobą swoje lenistwo, swoją nędzę i swoją chciwość? Cóż bowiem innego robiłem ja przez wszystkie te minione lata, żyjąc jak pasożyt i tuczne bydło w Złotym Domu faraona? W ciągu jednego miesiąca jako lekarz biedoty w Tebach zrobiłem dla ludzi więcej niż przez wszystkie te złote i syte lata w mieście Achetaton.

I serce moje przeszła myśl przerażająca: Faraon pragnie, by nadszedł czas, kiedy nie będzie biednych ani bogatych, lecz wszyscy będą równi. Ale jeśli istotnie taki jest sens wszystkiego, to najważniejszą rzeczą jest lud pracujący, a wszystko inne jest tylko cienką pozłótką. Może sam faraon i ludzie z jego Złotego Domu, i bogaci, i możni próźniacy, i nawet ja sam w ciągu ostatnich lat – może my wszyscy jesteśmy tylko pasożytami i żyjemy jak robactwo na ludziach, jak pchły w sierści psa. Być może pchła w psim futrze myśli, iż to ona jest najważniejsza, a pies żyje tylko po to, by jej się dobrze wiodło. Może nawet faraon i jego Aton są tylko taką pchłą w sierści psa i sprawiają psu same tylko dolegliwości, nie czyniąc mu nic dobrego, bo pies żyłby dobrze, a może nawet lepiej, bez pcheł.

Tak to zbudziło się moje serce znów jakby z długiego snu i wzgardziło miastem Achetaton. Łuski spadły mi z oczu i nic z tego, co zobaczyłem, nie wydawało mi się dobre. Może powodem tego było, iż czary Amona potajemnie władają w całym Egipcie i jego przekleństwo zmąciło mój wzrok, a Miasto Niebiańskie było jedynym miejscem w Egipcie, dokąd nie sięgała moc Amona. I nie umiem naprawdę powiedzieć, co w tym wszystkim było prawdą, bo nawet jeśli są ludzie, którzy zawsze myślą tak samo i jak żółwie wciągają głowę w skorupę, gdy widzą coś nowego, to moje myśli zawsze zmieniały się stosownie do tego, co widziałem, słyszałem i rozumiałem, a niejedna rzecz, którą widziałem i słyszałem, wpłynęła też na moje poglądy, choć jej nie rozumiałem.

W końcu zobaczyłem trzy wierzchołki górskie na skraju nieba, trzech wiecznych strażników Teb, i przed moimi oczyma wyrosły mury i dach świątyni, lecz wierzchołki obelisków nie płonęły już jak ogień w blasku słońca, bo nikt nie pozłocił ich na nowo. Ale widok ten był luby mojemu sercu i wylałem z pucharu wino do wody Nilu, jak to robią żeglarze, gdy wracają znów do domu po długiej podróży, choć żeglarze leją piwo, a nie wino, ponieważ ich miedziaki nie starczą im na wino, które wypijają chętniej sami,

jeśli je dostaną po powrocie z dalekiej podróży. Zobaczyłem znowu wielkie kamienne przystanie tebańskie i poczułem w nozdrzach woń portu w Tebach, odór zgniłego zboża i stęchłej wody, zapach korzeni i ziół, i smoły, szczególnie miły mojemu sercu.

Ale gdy ujrzałem znowu dawny dom odlewacza miedzi w portowej dzielnicy biedoty, dom ten wydał mi się bardzo maleńki i ciasny, a zaułek, w którym był położony, brudny, śmierdzący i pełen much. Nie ucieszył też moich oczu rosnący na podwórku sykomor, choć to ja sam go posadziłem i choć wyrósł wysoko podczas mojej nieobecności. Tak to bogactwo i zbytek Achetaton zepsuły mnie i zawstydziłem się siebie samego, a serce moje ogarnął smutek, gdyż nie mogłem się już cieszyć swoim domem.

Nie zastałem też tam Kaptaha, a w domu była tylko moja kucharka Muti, która na mój widok wykrzyknęła:

– Błogosławiony niech będzie ten dzień, który sprowadza mego pana do domu, choć izby nie są posprzątane, a pościel jest w praniu i twoje przybycie sprawia mi wiele kłopotu i zmartwienia, mimo że na ogół nie oczekuję od życia żadnej radości. Ale bynajmniej nie jestem zdziwiona twoim nagłym przybyciem, bo takie są już męskie zwyczaje i nigdy od mężczyzn nie należy się spodziewać czegoś dobrego.

Uspokoilem ją mówiąc, że przenocuję na statku, i zapytałem o Kaptaha, ale ona narzekała na schodki, na krzaki na podwórku, na dół do pieczenia i wielce była rozżłoszczona z powodu mojego przybycia, ponieważ przysparzałem jej trudu, a była już stara. Toteż zostawiłem ją i kazałem się zanieść do „Ogona Krokodyla”, gdzie w drzwiach przywitała mnie Merit, która nie poznała mnie w moich wykwintnych szatach i lektyce i spytała:

– Czyś zamówił miejsce na ten wieczór? Bo jeśli nie zrobiłeś tego, nie mogę cię wpuścić do środka.

Przytyła nieco i jej kości policzkowe nie sterczały już w twarzy tak ostro jak przedtem, ale oczy jej były te same co dawniej, gdy w nie zajrzałem, i tylko więcej było dokoła nich maleńkich zmarszczek. Toteż zrobiło mi się ciepło na sercu i położyłem rękę na jej biodrze, i rzekłem:

– Rozumiem, że już mnie nie pamiętasz, skoro na swojej macie ogrzewałaś wielu innych samotnych i smutnych mężczyzn, sądziłem jednak, że w domu twoim znajdę miejsce i puchar chłodzonego wina, jeśli nawet nie śmiem marzyć o twojej macie.

Krzyknęła głośno ze zdziwienia i powiedziała:

– Sinuhe, to ty? – I zaraz dodała: – Błogosławiony niech będzie dzień, który sprowadza pana mego do domu. – Położyła swoje silne, ładne ręce na moich ramionach, spojrzała na mnie uważnie i rzekła: – Sinuhe, coś ty z sobą zrobił? Jeśli przedtem

samotność twoja była samotnością lwa, to dziś jest ona samotnością tłustego pieska pokojowego i masz na szyi obrożę. – Zdjęła mi z głowy perukę i głaszcząc przyjaźnie dłonią moje łyse ciemię powiedziała: – Usiądź, Sinuhe, przyniosę ci chłodzonego wina, bo jesteś przecież zupełnie zdyszany i spocony po ciężkiej podróży.

Ale ja przestrzegłem ją, mówiąc trwożliwie:

– Tylko nie przynoś mi krokodylego ogona, bo mój żołądek z pewnością go już nie zniesie i głowa mnie rozboli.

Dotknęła dłonią mojego kolana i odparła:

– Czyż jestem już taka brzydka i stara, że gdy mnie widzisz po latach, pierwszą rzeczą, o której myślisz, jest twój żołądek? Dawniej nie obawiałeś się, zaiste, że rozboli cię głowa w moim towarzystwie, i nawet aż nadto paliłeś się do łykania krokodylich ogonów, tak że musiałam cię powstrzymywać.

Przygnębiły mnie jej słowa, bo mówiła prawdę, a prawda często przygnębia człowieka. Totez powiedziałem do niej:

– O Merit, moja przyjaciółko, jestem już stary i pożytku już ze mnie mieć nie będziesz.

Ale ona odparła:

– Tylko sobie wmawiasz, że jesteś stary, bo oczy twoje wcale nie są stare, gdy na mnie patrzysz, co mnie wielce cieszy.

A wtedy rzekłem:

– Merit, na naszą przyjaźń zaklinam cię, przynies mi prędko krokodyli ogon, bo boję się, że inaczej zachowam się wobec ciebie zdrożnie, a zdrożność nie przystoi mojej godności królewskiego trepanatora, zwłaszcza w Tebach, w portowym szynku.

Przyniosła napitek i położyła mi na dłoni muszlę małża, a ja podniosłem ją do ust i wypilem. Krokodyli ogon sparzył mi gardło przywykłe do łagodnych win, ale pieczenie to było mi lube, bo miałem blisko przy sobie merit. I powiedziałem do niej:

– Merit, kiedyś mówiłaś mi, że kłamstwo może być przyjemniejsze niż prawda, jeśli człowiek jest samotny, a wiosna jego życia już przekwitła. Powiadam ci, serce moje jest wciąż jeszcze młode i kwitnie, gdy widzi ciebie, a lata, które nas dzieliły, były długie i w ciągu tych lat nie minął ani jeden dzień, żebym nie szeptał twego imienia wiatrowi, i z każdą jaskółką posyłałam ci moje pozdrowienia, gdy jaskółki odlatywały w górę Rzeki, a co ranka budziłem się szepcząc twoje imię.

Spojrzała na mnie. A była w moich oczach wciąż smukła i piękna, i bliska, a na dne jej spojrzenia błyskał uśmiech i smutek, podobnie jak czarna powierzchnia wody mieni się w głębokiej studni. Dotknęła mojego policzka dłonią i powiedziała:

– Pięknie mówisz, Sinuhe, mój przyjacielu. Dlaczegoż więc nie miałabym przyznać, że serce moje tęskniło za tobą bardzo i że ręce moje tęskniły do twoich rąk, gdy nocą leżałam samotnie na mojej macie. I za każdym razem, gdy mężczyźni pod wpływem krokodylich ogonów zaczęli do mnie mówić bzdury, przypominałam sobie ciebie i robiłam się smutna. Ale w Złotym Domu faraona jest pewnie dużo pięknych kobiet, a ty, jako nadworny lekarz, zapewne sumiennie wykorzystywałeś swój wolny czas na to, by je leczyć.

To prawda, że z kilku dworskimi damami, które pędzone nudą przyszły pytać mnie jako lekarza o radę, zażywałam rozkoszy, gdyż skóra ich była gładka jak skórka owocu i miękka jak puch, a zwłaszcza w zimie cieplej jest spać we dwoje niż samotnie. Ale wszystko to tak nie miało żadnego znaczenia i tak było czcze i próżne, że nawet nie zatroszczyłem się, żeby o tym napisać w mojej księdze, ponieważ nie zostawiło to we mnie żadnego śladu. Toteż odparłem jej:

– Merit, nawet jeśli prawdą jest, że nie zawsze spałem samotnie, to jednak ty jesteś wciąż jeszcze jedyną kobietą, która jest moim przyjacielem. – Krokodyli ogon zaczął na mnie działać i ciała moje zrobiło się równie młode, jak moje serce. Rozkoszny żar rozlał się w moich żyłach i rzekłem do niej: – Z pewnością w ciągu tego czasu niejeden mężczyzna dzielił z tobą matę, ale najlepiej zrobisz ostrzegając ich i trzymając z daleka, dopóki jestem w Tebach, bo gdy wpadnę w gniew, robię się gwałtowny. Kiedy walczyłem z Habirami, żołnierze Horemheba nazwali mnie Synem Dzikiego Osła.

Podniosła ręce do góry, jak gdyby przestraszona, i odparła:

– Właśnie tego wielce się obawiałam i Kaptah opowiadał mi o licznych kłótniach i dzikich bójkach, do których doprowadzała cię twoja gwałtowna natura w wielu krajach i z których tylko jego opanowanie i wierność pozwoliły ci wynieść całą głowę na karku. Musisz jednak pamiętać, że mój ojciec trzyma pod stołkiem ukryty sztylet i nie pozwala nikomu na zakłócanie porządku w tym domu.

Gdy usłyszałem imię Kaptaha i pomyślałem o wszystkich beczelnych kłamstwach dotyczących mnie i mego życia w obcych krajach, którymi musiał karmić Merit, serce moje rozpląnęło się w wzruszeniu, łzy strumieniami polały mi się z oczu i zawołałem:

– Gdzie jest Kaptah, mój były niewolnik i sługa, żebym mógł go uścisnąć, bo serce moje wielce odczuwało jego brak, choć nie przystoi mi się do tego przyznawać, gdyż jest on tylko moim byłym niewolnikiem.

Merit rzekła do mnie uspokajająco:

– Widzę istotnie, żeś odwykł od picia krokodylich ogonów, i widzę też, że ojciec mój zerka tutaj gniewnie i szuka noża pod stołkiem, ponieważ robisz dużo hałasu.

Kaptaha nie zobaczysz przed wieczorem, bo jest zajęty wielkimi interesami na giełdzie handlarzy zboża i w winiarniach, gdzie dokonuje się dużych zakupów zboża. I myślę, że ogromnie się zdziwisz, gdy go ujrzysz, bo on już chyba nawet nie pamięta, że był kiedyś niewolnikiem i nosił twoje sandały przewieszzone na kiju przez plecy. Toteż lepiej będzie, jeśli wyprowadzę cię na dwór dla ochłody, żeby krokodyli ogon wywietrzył ci z głowy, nim przyjdzie Kaptah, bo z pewnością chcesz zobaczyć, jak Teby zmieniły się podczas twojej nieobecności, a w ten sposób będziemy też mogli przebywać z sobą sam na sam.

Poszła, by zmienić szaty, namaściła sobie twarz kosztowną maścią i ozdobiła złotem i srebrem, tak że jedynie po dłoniach i stopach można ją było odróżnić od wykwintnych kobiet, choć tylko nieliczne spośród możnych kobiet mają tak jasne i pewne spojrzenie i tak dumne usta, jak ona. Kazałem niewolnikom nieść nas Aleją Baranów, a Teby nie były już takie, jak dawniej. Kwietne plantacje były podeptane, na drzewach sterczały połamane gałęzie, a na niektórych ulicach wciąż jeszcze budowano nowe domy w miejsce tych, które zniszczone zostały przez pożary. Siedzieliśmy przytuleni do siebie w lektyce i wdychałem zapach jej maści, i był to zapach Teb, ostrzejszy i bardziej upajający niż zapach wszystkich kosztownych maści w Achetaton. Trzymałem jej dłoń w swojej i w sercu moim nie było ani jednej złej myśli, lecz czułem się tak, jak gdybym wrócił do domu z dalekiej podróży.

Tak dotarliśmy do świątyni, nad jej pustką krążyły skrzecząc czarne ptaki, które nie powróciły do swoich gór, lecz osiedliły się w Tebach i uwiły gniazda na terenie świątyni, gdyż teren ten był ziemią przeklętą i ludzie unikali go ze zgrozą. Wysiedliśmy z lektyki i wędrowaliśmy po pustych podwórcach, nie widząc ludzi nigdzie z wyjątkiem przedsionków Domu Życia i Domu Śmierci, których przeniesienie gdzie indziej spowodowałoby zbyt wiele trudności i kosztów. Merit opowiadała, że ludzie unikali nawet Domu Życia i większość lekarzy przeprowadziła się do miasta, żeby tam wykonywać swój zawód, walcząc z sobą o pacjentów. Wędrowaliśmy także po świątynnym parku, ale ścieżki jego zarosły trawą, a drzewa porąbano i wykradziono, ze świętego jeziora zaś wyłowiono ościeniem wszystkie prastare ryby. I jedynym, kogo spotkaliśmy w tym parku, uczynionym przez faraona miejscem spacerowym dla ludu i miejscem zabaw dla dzieci, był tylko jakiś obdarty, nieśmiały i brudny włóczęga, który przyglądał nam się spode łba.

Merit odezwała się:

– To niedobre miejsce i serce ściska mi się chłodem, gdy mnie tu prowadzisz. Ale pewnie chroni cię ten krzyż Atona, choć zadowolona jestem, żeś go zdjął z kołnierza,

bo ktoś mógłby rzucić w ciebie kamieniem, a w jakimś ustronnym miejscu mógłby ci ktoś wbić nóż w brzuch, gdyby zobaczył, że nosisz krzyż Atona. Nienawiść jest wciąż jeszcze ogromna w Tebach.

Mówiła prawdę, bo gdy wróciliśmy pieszo na otwartą przestrzeń przed świątynią, ludzie spluwali na ziemię, widząc krzyż Atona na moim kołnierzu. Ogromnie się też zdziwiłem ujrawszy, jak jeden z kapłanów Amona beczelnie kręci się wśród ludzi z głową wciąż jeszcze ogoloną i odziany w białe szaty mimo zakazu faraona. Twarz jego lśniła od tłuszczu, a szaty jego były z najcieńszego płótna i nie widać było po nim żadnej nędzy czy niedostatku, a ludzie ustępowali mu z szacunkiem z drogi. A ponieważ ostrożność jest zawsze najlepsza, przyłożyłem rękę do piersi, żeby ukryć krzyż Atona, gdyż nie chciałem wywoływać niepotrzebnego poruszenia. Nie chciałem bowiem niepotrzebnie ranić ludzkich uczuć, ponieważ w przeciwieństwie do faraona pragnąłem, by każdemu pozostawiono jego wiarę, a może chciałem także uniknąć awantur ze względu na Merit.

Zatrzymaliśmy się pod murem, żeby posłuchać bazarza, który siedział na ziemi, na macie, na sposób bazarzy, z pustą miseczką przed sobą, a ludzie obstąpili go dookoła, najbiedniejsi zaś usiedli na ziemi wokół niego, bo nie potrzebowali się obawiać, że pobrudzą swą odzież. Baśni, którą opowiadał, nie słyszałem jeszcze nigdy przedtem. Mówiła ona o fałszywym faraonie, który żył dawno temu, splodzony przez Seta z łona murzyńskiej wiedźmy, która czarami zyskała miłość dobrego faraona. Z woli Seta pragnął ten fałszywy faraon doprowadzić do zguby lud egipski, żeby oddać go w niewolę Murzynom i dzikusom. Dlatego obalił on posągi Ra, ta że Ra przeklął kraj i ziemia nie przynosiła już wcale plonów, wylewy topiły ludzi, szarańcza zjadała zboże na polach, stawy zmieniały się w kałuże cuchnącej krwi, a żaby wskakiwały do ludzkich łóżek i dziez z ciastem. Ale dni fałszywego faraona były policzone, bo siła Ra jest większa niż siła Seta, choć fałszywy faraon usiłował nazwać moc Seta fałszywym imieniem. Toteż fałszywy faraon zmarł nędzną śmiercią i zmarła również nędzną śmiercią wiedźma, która go urodziła, a Ra powalił wszystkich, którzy się go zaparli, i podzielił ich domy, majątki i pola między tych, którzy w okresie prześladowań trwali mocno przy Ra i wierzyli w jego powrót.

Ta baśń była bardzo długa i pełna napięcia, tak że ludzie przestępowali z nogi na nogę i niecierpliwie podnosili ręce do góry, żeby usłyszeć zakończenie. Nawet ja stałem z otwartymi ustami słuchając jej. Ale gdy baśń się skończyła i fałszywy faraon otrzymał swoją karę, i został strącony do otchłani państwa śmierci, i nawet imię jego było przeklęte, a Ra podzielił domy, pola, bydło i zapasy między swoich wiernych, ludzie

zaczęli skakać i wykrzykiwać z zachwytu i sypali bazarzowi miedziaki do miseczki, a niejeden dawał nawet srebro. Ogromnie byłem tym zdziwiony i powiedziałem do Merit:

– Zaprawdę, nowa to jakaś baśń i nigdy jej przedtem nie słyszałem, choć sądziłem, że jako dziecko słyszałem wszystkie baśni, jakie istnieją, bo matka moja, Kipa, wielce lubiła baśni i sprzyjała bazarzom, tak że ojciec mój, Senmut, groził jej czasem kijem, gdy dawała im jeść w naszej kuchni. Zaprawdę, nowa to baśń i bardzo niebezpieczna, bo gdyby to nie było niemożliwością, sądziłbym, że dotyczy ona faraona Echnatona i fałszywego boga, którego imienia nie wolno nam wymieniać głośno. Toteż opowiadanie tej baśni powinno być zakazane.

A Merit uśmiechnęła się i odparła:

– Kto może zakazać opowiadania baśni? Opowiadają ją w Obu Królestwach, przy wszystkich bramach i murach, i na klepiskach, w najmniejszej nawet wiosce opowiadają tę baśń, a ludzie lubią ją ogromnie. A gdy strażnicy grożą bazarzom kijami, ci mówią, że jest to baśń bardzo stara, i mogą to udowodnić, bo kapłani znaleźli tę baśń w pismach, które liczą sobie wiele setek lat, i mogą to udowodnić. Toteż strażnicy nie mogą nic zrobić bazarzom, choć słyszałam, że Horemheb, który jest okrutny i nie troszczy się o dowody i pisma, powiesił w Memfis na murze kilku bazarzy i rzucił ich ciała na pożarcie krokodylom, oskarżywszy ich nie o opowiadanie baśni, lecz o inne przestępstwa.

Wzięła mnie za rękę, uśmiechnęła się i opowiadała dalej:

– W Tebach krąży też wiele wróżb i gdziekolwiek spotka się teraz dwoje ludzi, opowiadają sobie nawzajem o wróżbach, które słyszeli, i o złych znakach. Jak bowiem wiesz, zapasy zboża kurczą się coraz bardziej i biedota głoduje, a podatki bardzo ciężą zarówno biednym, jak i bogatym. Inne przepowiednie mówią, że nadejdą jeszcze gorsze rzeczy, i zgroza mnie ogarnia, gdy pomyślę o wszystkich tych klęskach, którymi przepowiednie te grożą Egipcjom.

Wtedy wysunąłem rękę z jej dłoni i zrobiła się obca mojemu sercu, a krokodyli ogon już dawno wywietrzył mi z głowy, która mnie rozboleła. Ogarnął mnie ponury nastrój, a jej płytkość i upór nie przyczyniły się do jego poprawy. Bocząc się na siebie, powróciliśmy do winiarni „Ogon Krokodyla” i wiedziałem, że prawdą jest to, co raz mi powiedział faraon Echnaton: „Zaprawdę, Aton odłączy dziecko od matki i mężczyznę od siostry jego serca, dopóki królestwo Atona nie spełni się na ziemi”. Ja zaś wcale nie chciałem rozstawać się z Merit dla Atona i dlatego byłem w bardzo złym nastroju, dopóki wieczorem nie spotkałem się z Kaptahem.

ROZDZIAŁ 3

Nie mógł być w złym nastroju ten, kto ujrzał Kaptaha, wtaczającego się przez drzwi

winiarni, nadętego i ogromnego jak maciora, i tak opasłego, że musiał przepychać się bokiem, by zmieścić się w drzwiach. Twarz jego była okrągła jak księżyc w pełni i błyszcząca od drogich olejków i potu, a na głowie nosił wytworną niebieską perukę, zaś swoje ślepe oko zakrył złotą płytką. I nie nosił już stroju syryjskiego, lecz ubierał się na sposób egipski i miał na sobie najwykwintniejsze szaty, jakie umieli uszyć tebańscy krawcy, a na jego szyi i przegubach, i na grubych kostkach u nóg dźwięczały ciężkie złote obręcze.

Gdy mnie zobaczył, głośno wykrzyknął i podniósł ramiona w górę, by wyrazić zdumienie i radość, i skłonił się przede mną głęboko, po czym opuścił dłonie do kolan, choć brzuch ogromnie mu w tym przeszkadzał.

– Błogosławiony niech będzie ten dzień, który sprowadził mego pana do domu! – zawołał.

A potem pokonało go wzruszenie, zaczął płakać i rzuciwszy się na kolana objął moje nogi i biadał tak głośno, że poznałem starego Kaptaha mimo królewskiego płótna i złotych obręczy, kosztownego olejku i niebieskiej peruki. Toteż podniosłem go i wziąłem w objęcia, i przyłożyłem nos do jego barków i policzków. A gdy go ścisiałem, miałem wrażenie, że ściskam tłustego cielca, a gdy poczułem jego zapach, zdawało mi się, że wącham świeży chleb, tak silnie Kaptah przesiąkł zapachem giełdy zbożowej. Także on obwąchał dwornie moje barki, otarł łzy i śmiejąc się donośnie zawołał:

– Wielce radosny to dla mnie dzień, toteż stawiam jeden ogon każdemu, kto w tej chwili siedzi w moim domu. Ale jeśli ktoś chciałby dostać jeszcze jeden ogon, musi go sobie zapłacić sam.

To powiedziawszy zaprowadził mnie do tylnej części domu, posadził na miękkich matach i pozwolił, żeby Merit usiadła koło mnie, i kazał sługom podać najlepsze potrawy. Jego wino można było porównać z winem faraona, a jego pieczona gęś była tebańską gęsią, której równej nie znajdziesz w całym Egipcie, bo gęsi te karmi się zgniłą rybą, co nadaje ich mięsu niewiarygodnie dobry smak. A gdy się najedliśmy i napiliśmy, powiedział:

– Mój panie i chlebobdawco, Sinuhe, mam nadzieję, że starannie czytałeś wszystkie dokumenty i sprawozdania, które kazałem pisarzom sporządzać dla ciebie i posyłać do twego domu w Achetaton w ciągu tych lat. I może nawet pozwolisz, że i ten posiłek, tę gęś i to wino, wciągnę na listę kosztów reprezentacyjnych, i może zapiszę tam również i te krokodyle ogony, na które z radości zaprosiłem wszystkich kompanów z mojej winiarni. Nie przyniesie ci to żadnej szkody, wyjdzie ci to raczej na korzyść, bo mam wielkie kłopoty z oszukiwaniem poborców podatkowych faraona na twój rachunek, a w

ten sposób będę mógł także ukraść coś niecoś na własny rachunek.

A ja odparłem:

– Twoja mowa jest dla mnie jak szwargot Murzyna, bo naprawdę nie rozumiem z tego ani słowa. Toteż rób, jak sam uważasz za stosowne, bo wiesz przecież, że ufam ci najzupełniej. Czytałem nawet twoje sprawozdania i rachunki, ale muszę przyznać, że niewiele z nich zrozumiałem, ponieważ zawierają mnóstwo cyfr, niemal tyle, ile ich było, gdy pisarz Horemheba usiłował raz wyliczyć, jak długo by trwało, gdyby wszyscy ludzie na świecie stanęli przed obliczem faraona Echnatona, a on mówił z każdym z nich z osobna. Obrachunek ten nie udał się wcale, bo pisarz wyliczył, że we wszystkich krajach nieustannie rodzą się dzieci, które zdążyłyby dorosnąć, zanim przyszłaby na nich kolej rozmawiania z faraonem, i że stale rodziłyby się znowu nowe dzieci, tak że faraon nigdy nie zdążyłby porozmawiać z każdym człowiekiem na świecie, nawet gdyby użył na taką rozmowę z każdym czas nie dłuższy od jednego uderzenia tętna i gdyby rozmawiał od ranka do wieczora i od wieczora do ranka. W taki sam sposób i ja nie mogłem nigdy nadążyć, Kaptahu, sprawdzając sprawozdania i cyfry, które mi przysyłałeś, i zawsze zaczynała mnie boleć głowa, zanim skończyłem z rachunkami.

Kaptah roześmiał się wesoło, a śmiech dudnił w jego brzuchu jak spod miękkiej poduchy, a Merit, która napiła się ze mną wina, też się śmiała i przechyliła się wstecz, splótłszy ręce na karku, żebym mógł zobaczyć, jak pięknie piersi jej wciąż jeszcze uwypuklają się pod szatami. Kaptah roześmiał się więc i powiedział:

– O mój panie i chlebodawco, Sinuhe, ogromnie się cieszę widząc, żeś nadal zachował swoje dziecinne usposobienie i nie rozumiesz się na rozsądnych sprawach codziennych więcej niż wieprz na perłach, chociaż nie chcę cię wcale porównywać z wieprzem i w twoim imieniu kornie dziękuję wszystkim bogom Egiptu za to, że dali ci mnie, bo równie łatwo mogliby ci dać za służę złodzieja lub niedołęgę, który by cię wpędził w biedę, podczas gdy ja zrobiłem cię bogaczem.

Wskazałem mu, że nie potrzebuję za to dziękować bogom, tylko mojemu rozsądkowi, ponieważ kupiłem go za srebro na targowisku niewolników, i to tanio, gdyż jedno oko wybito mu w piwiarni. Wspominając to wzruszyłem się i dodałem:

– Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, jak stałeś uwiązany u słupa i wołałeś nieprzystojne słowa do przechodzących kobiet oraz zebrałeś na piwo u mężczyzn. Pewnie zrobiłem dobrze, kupując ciebie, choć z początku mocno w to powątpiewałem. Nie miałem jednak więcej srebra, bo byłem tylko młodym lekarzem, a ty miałaś wyłupione jedno oko, co, jak dobrze pamiętasz, odpowiadało moim celom.

Kaptah spochmurniał i twarz jego sfałdowała się w mnóstwo zmarszczek.

– Niechętnie wspominam już o takich dawnych i przykrych sprawach – powiedział – bo nie przystoi to mojej godności. – A potem zaczął wielce wychwalać przede mną naszego skarabeusza: – Mądrze zrobiłeś, żeś zostawił skarabeusza u mnie, by czuwał nad twoimi interesami, bo zaiste skarabeusz uczynił cię bogatym, bogatszym z pewnością, niż kiedykolwiek mogłeś marzyć. I to pomimo, że poborcy podatkowi faraona obsiedli mnie jak muchy i musiałem nająć aż dwóch syryjskich księgowych, żeby prowadzili specjalne księgi dla władz podatkowych, jako że na syryjskiej księgowości nie wyzna się nawet Set i wszystkie jego demony. Skoro już mowa o Secie, przychodzi mi na myśl nasz stary przyjaciel Horemheb, któremu, jak wiesz, pożyczyłem twoich pieniędzy. Ale nie będę teraz mówić o nim, choć moje myśli bujają w powietrzu swobodnie jak ptaki z radości, że znowu widzę, panie mój, twoje niewinne oblicze, a może też krążą one tak swobodnie z powodu wina, które każe zapisać na koszty reprezentacyjne. Pij więc, mój panie, pij, ile tylko się zmieści, bo takie wino nie zawsze znajdzie się nawet w piwnicach faraona, a ja nie oszukuję cię zbyttnio na jego cenie. Ach prawda, to o twoim bogactwie miałem z tobą mówić, mimo że ty niewiele z tego rozumiesz. Powiem ci tylko tyle, że dzięki mnie jesteś bogatszy od wielu możnych w Egipcie, jesteś bogaty tak jak najmożniejsi, bo nie jest naprawdę bogaty ten, kto posiada złoto, lecz ten jest bogaty, kto posiada domy i magazyny, statki i przystanie, bydło i ziemię, i drzewa owocowe, woły i niewolników. Wszystko to posiadasz dziś, choć zapewne nawet sam o tym nie wiesz, byłem bowiem zmuszony przenieść wiele z tego na konta naszych sług i pisarzy, i niewolników, żeby przed poborcami podatkowymi ukryć twój majątek. Podatki faraona najczęściej dotyczą bogatych i bogacze muszą płacić większe podatki niż biedacy, tak że gdy biedny płaci faraonowi piątą część swego zboża, bogaty musi oddawać tym przeklętym poborcóm trzecią część, ba, nawet połowę, i mimo to wciąż ma z nimi do czynienia, bo stale krążą nad nim jak sępy. To niesłuszne i najbardziej bezbożne z wszystkich bezprawí, których faraon kiedykolwiek się dopuścił, i czegoś takiego jeszcze nigdy nie było, a podatki ściągane przez faraona i utrata Syrii zubożyły kraj. Najdziwniejsze jednak jest – i jest to pewnie zasługą bogów – że gdy kraj ubożeje, biedacy stają się jeszcze biedniejsi niż przedtem, natomiast prawdziwi bogacze robią się jeszcze bogatsi niż przedtem i na to nie może poradzić nawet sam faraon. Ciesz się zatem, Sinuhe, bo jesteś naprawdę bogaty, i jeśli mam zdradzić ci tajemnicę, która w końcu jest i tak twoją tajemnicą, to bogactwo twoje pochodzi ze zboża.

Powiedziawszy to Kaptah łyknął duży haust wina, tak że polalo mu się kącikami ust, plamiąc szaty. Ale to nie zmartwiło go wcale i wyjaśnił, że każe zapisać koszt splamionych szat w księgach na konto reprezentacyjne albo jako prezent dla pośrednika

zbożowego i że w ten sposób zarobi więcej, niż te szaty kosztowały. Zaczął też chełpić się swoimi interesami zbożowymi i mówił:

– Nasz skarabeusz jest osobliwy, mój panie, bo już pierwszego dnia po naszym powrocie z dalekich podróży zaprowadził mnie do winiarni handlarzy zbożem, gdzie zwykle upijają się oni po dokonaniu wielkich zakupów. Tak to zacząłem i ja kupować zboże na twój rachunek i już pierwszego roku zgarnąłem wielkie zyski, gdy Am... chciałem powiedzieć, gdy pewne wielkie obszary roli pozostały nie zaorane i nie obsiane, jak sam o tym dobrze wiesz. Zboże jest dlatego tak szczególnym towarem, że można je kupować i sprzedawać jeszcze przed wylewem Rzeki i zanim jeszcze nawet ziarno jest w ziemi, a jeszcze dziwniejsze jest to, że cena jego rośnie z roku na rok, jakby przez jakieś czary, tak że człowiek, który kupuje zboże, nigdy nie może stracić, lecz zawsze zyskuje. Toteż ja nie zamierzam obecnie wcale sprzedawać zboża, tylko kupuję je i gromadzę w moich magazynach do czasu, kiedy miarę zboża wymienić będzie można na miarę złota. A jeśli tak dalej pójdzie, z pewnością dojdzie do tego, bo nawet starzy kupcy zbożowi nie chcą wierzyć oczom patrząc na to, co się dzieje, i już teraz rozdierają szaty i płaczą ze zmartwienia na myśl o tych ilościach zboża, które w swej głupocie sprzedali, choć powstrzymując się od sprzedaży mogli byli zyskać wielokrotnie więcej.

Tu Kaptah popatrzył na mnie badawczo i napił się znowu wina, nalewając również mnie i Merit, po czy spoważniał i mówił dalej:

– Ale nie trzeba, żeby człowiek stawiał całe swoje złoto na jeden rzut kości, dlatego też ulokowałem twoje mienie równomiernie, mój panie, i gram na twój rachunek, można powiedzieć, wieloma kośćmi, mój drogi panie. Jesteś więc teraz bardzo bogaty, panie, a ja nie okradam cię więcej niż dawniej, nie kradnę nawet połowy tego, na co sobie u ciebie zasłużyłem swoją mądrością, i nawet trzeciej części tego nie kradnę, tak że czasem sam siebie łąjam za swoją delikatność i za swoją wielką uczciwość i dziękuję bogom, że nie mam żony i dzieci, które nieprzerwanie by mnie ganiły i wyrzucały mi, że nie kradnę więcej, choć nie znam nikogo, kogo łatwiej byłoby okradać niż ciebie, mój drogi i błogosławiony panie, Sinuhe.

Merit przechyliła się w tył i patrzyła na mnie z łagodnym uśmiechem, rozbawiona zdumionymi minami, które robiłem, na próżno usiłując połączyć się w tym, o czym mówił Kaptah. On zaś tłumaczył mi dalej:

– Musisz zrozumieć, mój panie, że gdy mówię o twoim mieniu i bogactwach, mam na myśli czysty zysk i bogactwo, to, co zostaje po odciążeniu wszystkich podatków. Z zysków twoich potraciłem również wszystkie podarunki, które byłem zmuszony

dać poborcóm podatkowym ze względu na moją syryjską księgowość, jako też te bezmierne ilości wina, które musiałem w nich wlewać, żeby oczy ich stawały w ślup, gdy kontrolowali moje cyfry. A nie były to małe ilości, bo są to mężowie wytrzymali i chytry, którzy obrastają w tłuszcz w swoim zawodzie, gdyż czasy obecne są najlepsze dla poborców podatkowych i takiego okresu jak teraz nie mieli jeszcze nigdy przedtem, tak że zaprawdę chciałbym być poborcą, gdybym już nie był Kaptahem, ojcem zboża i przyjacielem ubogich. Od czasu do czasu bowiem każę dzielić zboże między biedaków po to, by błogosławili moje imię, gdyż ostrożność jest cnotą, a w niespokojnych czasach dobrze jest żyć w zgodzie z biednymi. Ale i to potrąciłem z twoich zysków, jest to swego rodzaju premią ubezpieczeniową na przyszłość dla twoich domów, ponieważ doświadczenie wykazuje, że w niepewnych czasach pożary łatwo wybuchają w domach i magazynach zboża nieużytych bogaczy i możnych. Prawdę mówiąc, to rozdzielanie zboża biedakom jest doskonałym interesem, bo faraon w swoim szaleństwie pozwala przy poborze podatków potrącać z zysku zboże rozdane ubogim. Kiedy więc daję biedakowi miarę zboża, każę mu poświadczyć odcisnięciem palca, że dostał pięć miar, bo biedacy nie umieją przecież czytać, a nawet gdyby umieli, byłiby wdzięczni, że dostali miarę zboża, i błogosławiliby moje imię, odciskając palce w glinie pod jakimikolwiek rachunkami.

Opowiedziawszy to wszystko, Kaptah skrzyżował pyszałkowato ramiona i wypiąwszy pierś czekał na pochwały. Słowa jego sprawiły, że myśli zaczęły mi się kłębić w głowie. Zastanowiwszy się głęboko zapytałem w końcu:

– A więc mamy na składzie dużo zboża?

Kaptah potaknął z zapałem i czekał na pochwałę, ale ja powiedziałem:

– Jeśli tak jest, idź do osadników, którzy uprawiają przeklętą ziemię, i rozdziel pomiędzy nich zboże na zasiewy, bo nie mają oni wcale ziarna, a zboże ich jest pokryte plamkami, jakby spadł na nie krwawy deszcz. Rzeka już opadła i nadchodzi czas orki i siewów, o ile znam się na tych sprawach, toteż musisz się śpieszyć.

Kaptah popatrzył na mnie ze współczuciem, potrząsnął głową i rzekł:

– Mój drogi panie, nie łam sobie swojej cennej głowy nad takimi sprawami, których wcale nie rozumiesz, i pozwól mnie myśleć za ciebie. Widzisz, ta sprawa ma się tak, że my, handlarze zbożem, ciągnęliśmy najpierw zyski z pożyczania zboża osadnikom, bo ci w swej biedzie zmuszeni byli płacić nam dwie miary za jedną, a jeśli nie mogli zapłacić, kazaliśmy bić ich bydło i zabieraliśmy skóry za długi. Ale kiedy zboże stawało się coraz droższe, nawet to zrobiło się kiepskim interesem i zysk stał się mały, a dla nas tym korzystniej jest, im więcej ziemi pozostaje na wiosnę nie obsianej, bo tym

bardziej idzie w górę cena zboża. Toteż wcale nie jesteście tak szaleni, żeby pożyczać osadnikom zboże na zasiewy, bo w ten sposób szkodlibyśmy własnym swoim interesom. I gdybym tak zrobił, wszyscy handlarze zbożem staliby się moimi wrogami.

Ale ja byłem nieugięty i rzekłem do niego oschle:

– Rób jak mówię, Kaptahu, bo to zboże jest moje. Wcale nie myślę o zysku, myślę o mężczyznach, którym żebra sterczą przez skórę jak u niewolników, i myślę o kobietach, których piersi zwisają jak puste worki, i myślę o dzieciach, które chodzą nad brzegiem Rzeki na krzywych nóżkach, z muchami w zaropiałych oczach. Dlatego wołam moją jest, żebyś rozdzielił między nich zboże na zasiewy, a także żebyś pomógł im na wszelkie sposoby, by zboże to zostało zasiane. I pragnę, żebyś uczynił to wszystko dla Atona i dla faraona Echnatona, bo go kocham. Ale nie dawaj im zboża w podarunku, bo już się przekonałem, że dary szerzą tylko niedołęstwo i złą wolę, lenistwo i chciwość. Oni dostali przecież w darze ziemię i nawet bydło dostali w darze, a mimo to nie powiodło im się. Nie żałuj więc na nich kija, Kaptahu, gdyby tak było trzeba, i dopilnuj, żeby zboże zostało posiane i zżęte. A gdy będziesz odbierał to, co nasze, nie pozwalam ci brać żadnego zysku, lecz masz odbierać tylko miarę za miarę.

Gdy Kaptah to usłyszał, wykrzyknął głośno i zaczął rozdzierać szaty, jako że nic mu to już przecież nie szkodziło, gdyż szaty te były i tak poplamione winem. I zawołał:

– Miarę za miarę, panie? Toż to szaleństwo, bo z czego ja wtedy będę kraść? Nie mogę przecież kraść z twojego ziarna i kradnę tylko z zysku, jakiego ci przysparzam. Także i z innych względów mowa twoja jest głupia i bezbożna, bo oprócz handlarzy zboża obrócą się przeciw mnie także i kapłani Amona. A wołam jego imię głośno, bo siedzimy w zamkniętej izbie i nikt obcy nas nie słyszy, i nie może na mnie donieść. Wołam jego imię głośno, panie, bo on wciąż jeszcze żyje i moc jego jest jeszcze bardziej przerażająca, niż była kiedykolwiek przedtem, i rzuci on klątwę na nasz dom i nasze statki, magazyny i kramy, i nawet tę winiarnię przeklnie, tak że najlepiej było chyba, żebym natychmiast przepisał ją na imię Merit, o ile Merit na to się zgodzi. I ogromnie się cieszę, że tak duża część twojej własności zapisana jest na obce imiona, bo kapłani nie będą mogli się o tym dowiedzieć i przekląć także tej części, jako że i poborcy podatków nie wiedzą o niej, bo to, co oni pozostawiają, jest gładsze niż ciemień łysego. Mówiąc o łysinie bynajmniej nie chciałem ciebie zranić, panie mój, bo dopiero gdy rozgrzany winem zdjąłeś perukę, widzę, że zrobiłeś się odrobinę łysy. Jeśli chcesz, mogę ci się postarać o sporządzoną przy pomocy szczególnie wymyślnych czarów pomadę na porost włosów, która czyni włosy dłuższymi niż były poprzednio, a równocześnie sprawia, że stają się wijące. Tę pomadę na włosy dam ci w prezencie i nie zapiszę jej do

żadnych ksiąg, bo dostanę ją w naszym własnym sklepiku. Mam wiele świadectw jej cudownego działania, mimo że jeden ze świadków zapewniał, iż na jego łysej głowie wyrosły po tej pomadzie włosy, które były wełniste i kręcone jak u Murzyna, tak że zmuszony był znowu ogolić głowę do czysta. Ale świadek ten stanął przed sędzią pijany i za jego świadectwo nie zapłaciłem tyle, ile za inne.

Rozmaite takie bzdury plótł Kaptah, żeby zyskać na czasie i skłonić mnie, żebym odstąpił od postanowienia. Ale gdy spostrzegł, że postanowienie to jest nieugięte, zaczął przeklinać na czym świat stoi i wzywać na pomoc licznych bogów, których imion nauczył się podczas naszych podróży, i rzekł:

– Czy ugryzł cię wściekły pies albo może uciął cię skorpion, mój panie, bo naprawdę z początku myślałem, kiedy to powiedziałaś, że wyjeżdżasz z kiepskim żartem. Twoje postanowienie zrobi z nas biedaków, ale być może skarabeusz przyjdzie nam z pomocą mimo wszystko. Prawdę mówiąc, także i ja sam niechętnie patrzę na ludzi wychudłych, odwracam od nich wzrok i rad bym, żebyś i ty tak robił, panie, bo czego człowiek nie widzi, tego nie potrzebuję widzieć. Właśnie żeby uspokoić swoje sumienie, dzieliłem zboże między ubogich, jakkolwiek równocześnie ciągnąłem z tego wielkie zyski dzięki zwariowanemu systemowi ściągania podatków przez faraona. A już najbardziej nieprzyjemne dla mnie jest to, że mi każesz wyprawiać się w męczące podróże i brnąć w glinie. Mogę przecież pośliznąć się i wpaść do jakiegoś rowu w czasie moich podróży i ty, panie, będziesz miał moje życie na sumieniu, bo naprawdę jestem już starym i zmęczonym człowiekiem i członki mam sztywne. Brakować mi też będzie wygodnego łoża i zup oraz pieczeni przyrządzanych przez Muti i cierpię na wielką zadyszkę, gdy chodzę, bo jestem już stary i zmęczony.

Ale ja byłem dla niego niemiłosierny i rzekłem:

– Naprawdę kłamiesz jeszcze bardziej niż przedtem, Kaptahu, bo w ciągu tych lat wcale się nie postarzałeś, odmłodziłeś raczej, ręce ci się nie trzęsą jak dawniej, a oko twoje nie było czerwone, gdy przyszedłeś, lecz nabiegło krwią, gdyś wypił za dużo wina. Toteż jako lekarz przepisuję ci tę męczącą podróż i wszelkie trudy z nią związane, bo cię kocham, a ty jesteś stanowczo za tusty i tusza ta nadwęża twoje serce i dławi oddech. Mam nadzieję, że w czasie tej podróży schudniesz tak, że staniesz się podobny do przyzwoitego człowieka, i nie będę się musiał wstydzić z powodu otyłości mego sługi. Czy nie pamiętasz, Kaptahu, jak ongiś cieszyłeś się, gdyśmy wędrowali po zakurzonych drogach Babilonu, i jaką radością napawała cię jazda na osle w górach Libanu, i jak się jednak cieszyłeś, gdy w Kadesz mogłeś zsiąść z grzbietu osła? O, gdybym był młodszy, to jest gdybym nie miał tylu ważnych zleceń faraona, sam

towarzyszyłbym ci w tej podróży, żeby ucieszyć swe serce, bo mnóstwo ludzi będzie błogosławić twoje imię po tej wyprawie.

Nie spieraliśmy się już więcej. Kaptah pogodził się z moim postanowieniem i do późnego wieczoru siedzieliśmy pijąc wino, a Merit też piła z nami obnażając brunatne kolana, żebym mógł dotykać ich wargami. Kaptah opowiadał nam wspomnienia z dróg i klepisk Babilonu i jeśli rzeczywiście zdołał dokonać tego wszystkiego, o czym opowiadał, musiałem wtedy być ślepy i głuchy z powodu mojej miłości do Minei. Bo nie zapomniałem Minei, choć tej nocy leżałem na macie Merit i zażywałem z nią rozkoszy. A robiłem to dlatego, że Merit była moim przyjacielem i serce rozgrzewało mi się przy niej, a samotność moja topniała. Ale swoją siostrą nie nazywałem jej i wszystko to robiłem, bo była moim przyjacielem, a w tym, co mi dawała, tyle było przyjaźni, ile tylko kobieta może okazać mężczyźnie. Toteż gotów byłem stłuc z nią dzban, ale ona nie zgodziła się na to, ponieważ urodziła się w szynku i ja byłem może dla niej za bogaty i za dostojny. Choć myślę raczej, że zachowując swoją swobodę chciała tylko, ażebym pozostał nadal jej przyjacielem.

ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia miałem pójść do Złotego Domu i stanąć przed królewską matką, którą całe Teby nazywały już wiedźmą i murzyńską czarownicą, i nikt nie potrzebował już tłumaczyć, kogo ma na myśli, mówiąc „wiedźma”. Sądzę jednak, że mimo całej swojej mądrości i wszystkich uzdolnień zasłużyła ona sobie na to przezwisko, bo była to okrutna i mściwa stara kobieta, a wielka władza zabiła w niej wszystko, co kiedyś było dobre. Gdy na pokładzie mego statku przydziałem się w królewskie płótno i zawiesiłem na sobie wszystkie oznaki mojej godności, przyszła moja kucharka Muti z dawnego domu odlewacza miedzi i rzekła do mnie gniewnie:

– Błogosławiony niech będzie ten dzień, który sprowadził cię z powrotem do domu, panie, ale czy to wypada, żebyś całą noc włóczył się po domach rozpusty i nawet nie przyszedł zjeść śniadania, choć wiele zadałam sobie trudu, żeby przyrzadzić dla ciebie jedzenie, jakie lubisz, i nie spałam przez calušką noc, piekąc, smażąc i bijąc leniwych niewolników twoim kijem, żeby pośpieszyli się ze sprzątnięciem, tak że prawe ramię boli mnie ze zmęczenia. Jestem już starą i strudzoną kobietą i nie wierzę w mężczyzn, a twoje zachowanie się w ciągu tego wieczoru, nocy i tego ranka nie poprawia mojego mniemania o mężczyznach. Zbieraj się więc i chodź do domu zjeść śniadanie, które ci przygotowałam, i zabierz z sobą tę dziewczkę, jeśli nie możesz obejść się bez niej choćby przez jeden dzień.

Mówiła tak, choć wiedziałem, że bardzo szanuje i podziwia Merit, ale taki już

był jej sposób wyrażania się, a ja przyzwyczaiałem się do niego w czasie, gdy żyłem jako lekarz biedoty w dawnym domu odlewacza miedzi, tak że jej cięte słowa mile dźwięczały mi w uszach i czułem, że jestem w domu. Toteż chętnie za nią poszedłem i posłałem gońca do „Ogona Krokodyla” po Merit. Muti zaś wlokąc się koło mojej lektyki nie przestawała gderać:

– Doprawdy sądziłam, żeś się już uspokoił i nauczył żyć jak inni, kiedy dane ci było mieszkać razem z królewską rodziną. Ale widocznie niczego się nie nauczyłeś i jesteś równie nieokiełzany jak poprzednio, choć zdawało mi się, że czytam w twojej twarzy spokój i pogodę, gdy zobaczyłam cię wczoraj. Serdecznie się też ucieszyłam widząc, że policzki ci się zaokrągliły, bo gdy mężczyzna tyje, robi się spokojniejszy, i naprawdę nie było to moją winą, jeśli tutaj w Tebach chudłeś, lecz winę tego ponosi twoje własne dzikie usposobienie. Bo wszyscy mężczyźni są tacy sami i wszystko zło na świecie pochodzi z tego małego interesu, który mężczyźni kryją pod fartuszkami, ponieważ go się wstydzą, czemu wcale się nie dziwię.

Zrzędziła i gderała bez ustanku, aż przypomniała mi moją matkę kipę i byłbym pewnie rozpląkał się ze wzruszenia, gdybym w końcu na nią nie fuknął.

– Stul gębę niewiasto, bo mowa twoja zakłóca bieg moich myśli i jest dla mnie jak brzęczenie much w uszach!

Wtedy umilkła natychmiast i bardzo była zadowolona, że mnie skłoniła do krzyknienia na nią, bo w ten sposób najpełniej odczuła, że jej pan wrócił do domu.

Doprowadziła dom do porządku, żeby pięknie mnie przyjąć. Do słupków werandy przywiązała bukiety kwiatów, podwórko było uprzątnięte, nawet ulica granicząca z podwórkiem była zamieciona, kocie padło zaś, które rzucono przed moim domem, leżało teraz przed domem sąsiada. Muti najęła też dzieci, które stały na ulicy i wołały: „Błogosławiony niech będzie dzień, który sprowadził pana naszego do domu!” zrobiła to dlatego, że ogromnie ją złościło, iż nie mam własnych dzieci, i bardzo chętnie by widziała, żebym się o nie postarał, bylebym tylko nie brał żony w tym celu. Jak to się miało stać, tego nie umiem wytłumaczyć, ona jednak tak to sobie umyśliła. Dałem dzieciom garść miedziaków, a Muti rozdała im miodowe ciasteczka i odeszły wielce zadowolone. Przybyła także Merit, pięknie odziana, z kwiatami we włosach, tak lśniących od olejków, że Muti pociągała nosem i ucierała go polewając nam ręce wodą. Jedzenie, które przygotowała, było rozkoszą dla mego podniebienia, bo było to jedzenie tebańskie, a w Achetaton zapomniałem, że jedzenie nigdzie nie jest takie jak w Tebach.

Podziękowałem Muti wychwalając wysoko jej sztukę, a ona, choć udawała, że marszczy czoło i fuka, wielce była zadowolona, bo i Merit bardzo ją chwaliła. I choć

nie wiem, czy ten posiłek w dawnym domu odlewacza miedzi był czymś szczególnie godnym wspomnienia, opowiadam o nim ze względu na siebie samego, ponieważ właśnie wtedy czułem się szczęśliwy i mówiłem sobie:

Zatrzymaj się, wodny zegarze, zatrzymaj się, wodo, i przestań się sączyć, bo ta chwila jest dobrą chwilą i nie chcę, by czas płynął dalej, lecz chciałbym, by chwila ta nigdy nie przeminęła.

Podczas naszego posiłku na podwórku zebrali się ludzie. Byli to mieszkańcy dzielnicy ubogich, którzy odziali się w najlepsze szaty, namaścili sobie twarze jak w dzień świąteczny i przyszli mnie przywitać i poskarżyć się przede mną na swoje dolegliwości i choroby. Mówili:

– Bardzo nam ciebie brakowało, Sinuhe, bo dopóki mieszkałeś między nami, nie docenialiśmy cię dostatecznie. Dopiero gdy wyjechałeś, zmiarkowaliśmy, ile dobrego zrobiłeś dla nas, choć sami sobie z tego nie zdawaliśmy sprawy, i ile straciliśmy, tracąc ciebie.

Przynieśli mi również dary, małe i skromne, gdyż z powodu boga faraona Echnatona byli teraz biedniejsi niż kiedykolwiek przedtem. Jeden przyniósł mi miarę kaszy, drugi zaś ptaszka strąconego procą, trzeci suszonych daktyli, czwarty zaś dał mi kwiat, bo nie miał nic innego do ofiarowania. Widząc mnóstwo kwiatów na moim podwórku nie dziwiłem się już, że kwietniki w Alei Baranów były gołe i oskubane. W tłumie znalazł się także stary pisarz, który ku memu zdziwieniu żył jeszcze i chodził z głową przekrzywioną z powodu narośli na szyi. Był tam także niewolnik, któremu wyleczyłem kiedyś palce i który pokazał mi je z dumą, przebierając nimi sprawnie przed moimi oczyma. To właśnie on przyniósł mi w darze kaszę, gdyż wciąż jeszcze pracował w młynie i mógł tam kraść. Przyszła i matka, która pokazała mi swego syna, a syn ten wyrósł na pięknego i silnego chłopca, miał podbite oko i podrapane nogi i chełpił się, że potrafi złoić skórę każdemu ze swoich rówieśników z całego sąsiedztwa. W tłumie znalazła się też ladacznica, której wyleczyłem ongiś oczy i przez którą popadłem w tarapaty, ponieważ przysłała do mnie wszystkie dziewczęta z domu rozpusty, żebym swoim nożem powycinał im szpecące znamiona i brodawki na skórze. I jej powiodło się w życiu, zarobiła w swoim zawodzie sporo pieniędzy i kupiła sobie za to na targowisku publiczny ustęp, z którego można było korzystać za opłatą i gdzie oprócz innych rzeczy sprzedawała także pachnidła i podawała przybyłym na targ kupcom adresy młodych i pozbawionych przesądów dziewcząt. Wszyscy oni przynieśli mi dary i mówili:

– Nie pogardź naszymi darami, Sinuhe, choć jesteś królewskim lekarzem i mieszkasz w Złotym Domu faraona, bo serca nasze cieszą się na twój widok, byłeś tylko nie zaczął

znowu mówić nam o Atonie.

Nie mówiłem więc z nimi o Atonie, lecz przyjmowałem ich po kolei, stosownie do ich chorób, i wysłuchiwałem ich skarg, przepisywałem im środki na ich dolegliwości i leczyłem ich. Merit zdjęła piękne szaty, żeby się nie splamiły, i pomagała mi w pracy, obmywając wrzody i oczyszczając w ogniu mój nóż oraz przyrządzając uśmierzające ból napitki dla tych, którym miałem wyrwać ząb. Mnie zaś przejmowała radość za każdym razem, gdy spojrziałem na nią, a patrzyłem na nią często podczas pracy, bo pięknie wyglądała, ciało jej było pełne, lecz smukłe, a postawa szlachetna i nie wstydziła się rozdziać do pracy, tak jak to robią kobiety z ludu. Lecz żaden z moich pacjentów nie zwracał na to uwagi, tak zajęci byli własnymi dolegliwościami.

Czas płynął mi na przyjmowaniu pacjentów jak dawniej. Rozmawiałem z nimi i cieszyłem się z mojej wiedzy i z mojej sztuki, gdyż mogłem im dzięki temu dopomóc, i cieszyłem się mogąc przy pracy patrzeć na Merit, która była mi przyjacielem. I często wciągałem głęboko oddech i mówiłem sobie:

Zatrzymaj się, wodny zegarze, zatrzymaj się, wodo, i przestań się sączyć, bo tak piękne dla mnie chwile nie mogą chyba trwać dalej.

I zupełnie zapomniałem, że mam odwiedzić Złoty Dom i że moje przybycie zgłoszono wielkiej matce królewskiej. Ale sądzę, że nie pamiętałem o tym, bo nie chciałem o tym pamiętać, gdyż byłem szczęśliwy.

Gdy zaczęły padać długie cienie, podwórko moje w końcu opustoszało. Merit połała mi ręce wodą i pomogła mi się oczyścić, a ja się jej odwzajemniłem i zrobiłem to chętnie, po czym razem odzialiśmy się. Ale gdy chciałem dotknąć dłonią jej policzka i wargami jej ust, odepchnęła mnie i rzekła:

– Śpiesz do swojej wiedzy, Sinuhe, i nie trać czasu, żebyś zdążył wrócić przed nocą, bo zdaje mi się, że moja mata czeka na ciebie niecierpliwie. Tak, na pewno, czuję, że mata w mojej izbie czeka na ciebie z wielką niecierpliwością, choć zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak jest, gdyż twoje członki, Sinuhe, są bardzo miękkie, a ciało obwisłe i pieszczoł twoich także nie nazwałabym szczególnie wyszukanymi. Lecz mimo to zdajesz mi się odmienny, nie taki jak wszyscy inni mężczyźni, i dlatego doskonale rozumiem swoją matę.

Zawiesiła mi znowu na szyi oznaki mojej godności i wsadziła mi na głowę perukę lekarza, pieszcząc mi przy tym dłonią policzki, tak że wcale nie miałem ochoty jej opuszczać i udawać się do Złotego Domu. Ale strach mnie oblatywał na myśl o królewskiej matce, kazałem więc niewolnikom biec z lektyką i poganiałem ich kijem i obietnicami srebra, a także wioślarzy popędzałem kijem i srebrem, gdy podpływaliliśmy

do murów Złotego domu. W ten sposób łódź moja zdążyła przybić do przystani, zanim słońce znikło za górami na zachodzie i nim zapaliły się gwiazdy, tak że nie ściągnąłem na siebie wstydu.

Zanim opowiem o rozmowie z królewską matką, muszę powiedzieć, że w ciągu tych lat odwiedziła ona tylko dwukrotnie miasto Achetaton, żeby spotkać się ze swoim synem, i że za każdym razem ganiła go za jego szaleństwo, czym faraon Echnaton bardzo był przygnębiony, bo kochał matkę i był ślepo oddany, jak to często bywa z synami, nim się pożenią i żony ich otworzą im oczy. Ale Nefretete nie otworzyła Echnatonowi oczu ze względu na swego ojca. Muszę bowiem otwarcie wyznać, że kapłan Eje i królewska matka Teje w owym czasie już zupełnie otwarcie żyli z sobą i wcale nie próbowali ukrywać swojej chuci, pokazywali się razem i szli za sobą krok w krok, jak gdyby pilnując się nawzajem. I nie wiem, czy dom królewski kiedykolwiek był wystawiony na podobny wszem wiadomy wstyd, choć może tak i było, bo takie rzeczy nie zapisują się w pamięci, lecz giną i zostają zapomniane wraz z ludźmi, którzy byli ich świadkami. O pochodzeniu faraona Echnatona wciąż jeszcze nie chcę nic powiedzieć i sądzę, że pochodzenie to było boskie. Gdyby bowiem nie miał w żyłach krwi swego królewskiego ojca, nie miałby w sobie w ogóle krwi królewskiej, gdyż po matce nie odziedziczył jej wcale. I wtedy istotnie byłby fałszywym faraonem, jak to utrzymywali kapłani, a wszystko, co się wydarzyło, byłoby wtedy jeszcze bardziej niesłuszne, nierozumne i szalone. Dlatego też nie chcę wierzyć kapłanom, lecz wierzę raczej własnemu rozsądkowi i sercu.

Matka królewska Teje przyjęła mnie w prywatnej komnacie, gdzie w kłatkach skakały i szczebiotały rozmaite ptaszki z podciętymi skrzydełkami. Wcale bowiem nie zapomniała o zawodzie, który uprawiała w dniach młodości, i wciąż jeszcze chętnie chwyciła ptaki w pałacowym ogrodzie, powlekając klejem gałęzie drzew i zakładając sidła. Gdy stanąłem przed nią, splatała właśnie matę z farbowanego sitowia i gniewnie wyłajawszy mnie za zwłokę zapytała:

– Czy stan mojego syna uległ poprawie, czy też czas już otworzyć mu czaszkę, bo robi zbyt wiele hałasu wokół swego Atona i budzi niepokój w ludzie, do czego obecnie wcale już nie ma powodów, ponieważ fałszywy bóg jest obalony i nikt nie współzawodniczy z nim o władzę.

Opowiadałem jej o stanie faraona i o małych księżniczkach, o ich zabawach, gazelach, pieskach i o przejażdżkach łódką po świętym jeziorze Achetaton, aż wreszcie się udobruchała, pozwoliła mi usiąść i zaprosiła na piwo. Nie ze skąpstwa częstowała mnie piwem, tylko, jak to jest obyczajem ludu, sama wolała piwo od wina. A piwo

jej było mocne i słodkie i mogła go wypić wiele dzbanów dziennie, tak że ciało jej opuchło od piwa, a twarz nabrzmiała i wyglądała odpychająco, i twarz ta naprawdę przypominała twarz murzyńską, mimo że nie była czarna. Nikt z pewnością nie mógłby na jej widok przypuścić, że ta postarzała i obrzękła kobieta kiedyś swoją pięknnością zdobyła miłość wielkiego faraona. Dlatego też lud mówił, że zdobyła łaskę faraona dzięki murzyńskim gusłom, bo jest przecież rzeczą niezwykłą, gdy faraon bierze sobie ptaszniczkę z nad Rzeki i podnosi ją do godności wielkiej królewskiej małżonki.

Napiwszy się piwa zaczęła rozmawiać ze mną poufnie i otwarcie, w czym nie było nic szczególnego, bo byłem lekarzem, a kobiety zawierają lekarzom wiele z tego, czego nigdy nie powierzyłyby innym ludziom, i w tym nie różniła się królowa teje od innych kobiet.

Podniecona piwem mówiła więc do mnie otwarcie:

– Sinuhe, syn mój powodowany głupim kaprysem nadał ci imię Samotny, choć naprawdę wcale nie wyglądasz na samotnego i mogę się założyć, że w Achetaton co noc zażywasz rozkoszy z inną kobietą, gdyż znam kobiety z Achetaton aż nadto dobrze. Ty, Sinuhe, jesteś spokojnym człowiekiem, może nawet najspokojniejszym ze wszystkich, których znam, i twój spokój wprost mnie drażni, tak że chciałabym ukłuć cię miedzianą szpilką, żeby zobaczyć, jak podskakujesz i jęczysz. Wcale nie rozumiem, skąd się bierze ten twój spokój, ale z pewnością w sercu jesteś dobrym człowiekiem, choć nie rozumiem, jaki pożytek ma człowiek z tego, że jest dobry, bo zauważyłam, że dobrymi są tylko głupcy, którzy nie umieją nic innego. W każdym razie twoja obecność dziwnie mnie uspokaja. Chcę ci wyznać, że ten Aton, któremu w swojej głupocie pozwoliłam dojsć do władzy, ogromnie mnie niepokoi. Nie miałam wcale zamiaru dopuścić, by sprawa ta posunęła się aż tak daleko, i wynalazłam Atona tylko po to, żeby obalić Amona i żeby władza moja i mego syna była większa. A właściwie to Eje go wynalazł, mój mąż, jak wiesz, bo czyż byłbyś doprawdy tak naiwny, żeby nawet tego nie wiedzieć? Nazywajmy go moim mężem, choć nie mogliśmy stłuc z sobą dzbana. A więc to właśnie ten przeklęty Eje, który nie ma już w sobie więcej siły jak krowia dójka, sprowadził z Heliopolis Atona i nabił nim głowę chłopcu. Doprawdy nie rozumiem, co mój syn znajduje w atonie, ale śnił o nim na jawie jeszcze jako dziecko i nie mogę sobie tego wytłumaczyć inaczej, jak tylko tym, że jest szalony i że powinno mu się otworzyć czaszkę. Nie rozumiem też, co w nim siedzi, że jego małżonka, piękna córka tego Eje, rodzi mu jedną dziewczynę po drugiej, choć moi drodzy czarownicy robią, co mogą, żeby jej dopomóc. I nie pojmuję, dlaczego lud nienawidzi moich czarowników, bo to złoci ludzie, choć są czarni i noszą w nozdrzach kawałki kości słoniowej, i naciągają

sobie wargi oraz formują czaszki swoich dzieci. Ale ludzie ich nienawidzą, wiem o tym, i muszę trzymać ich w ukryciu, w podziemiach Złotego Domu, inaczej by ich pozabijano. Ja zaś nie mogę się bez nich obejść, bo nikt tak jak oni nie umie łaskotać w podeszwy. Przyrządzają mi też leki, dzięki którym wciąż jeszcze mogę używać życia jako kobieta i kosztować rozkoszy. Ale jeśli sądzisz, że mam jeszcze jakąś pociechę z tego Eje, to wielce się mylisz, i zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak twardo przy nim stoję, choć może byłoby lepiej, gdybym dała mu upaść. To znaczy lepiej dla mnie. Być może jednak, że nie mogłabym mu już pozwolić upaść, nawet gdybym chciała, i to także mnie martwi. Dlatego moi kochani Murzyni są teraz jedyną moją radością.

Wielka królewska matka zachichotała cicho do własnych myśli, tak samo jak praczki w porcie chichocą, gdy się napiją piwa i gdy jest im bardzo wesoło, a chichocząc mówiła dalej:

– Bo ci moi Murzyni to wielcy i zdolni lekarze, Sinuhe, choć ciemny lud nazywa ich czarownikami. Nawet i ty mógłbyś z pewnością się czegoś od nich nauczyć, gdybyś przewyciężył uprzedzenia do ich koloru i woni i gdyby oni zgodzili się nauczyć ciebie swojej sztuki, w co jednak wątpię, bo bardzo są o nią zazdrośni. Kolor ich skóry jest ciepły i czarny, a ich zapach wcale nie jest odpychający, lecz wesoły i podniecający, tak że gdy do niego przywyknąć, nie można już dłużej bez niego żyć. Sinuhe, Sinuhe, ponieważ jesteś lekarzem i nie możesz mnie zdradzić, mogę ci się przyznać, że czasem zabawiam się z nimi, bo mi to przepisują jako lekarstwo, a jakąś przyjemność musi przecież mieć kobieta nawet tak stara jak ja. Ale wcale nie robię tego, żeby dowiedzieć się czegoś nowego, jak owe zepsute dworskie damy, które smakują w Murzynch w taki sam sposób, w jaki ten, kto zaznawszy już wszystkiego i smakiem wszystkiego znudzony utrzymuje, że w miarę zgnię mięso jest potrawą najsmaczniejszą. Nie, to wcale nie z tego powodu kocham moich Murzynch, bo krew mam młodą i czerwoną i nie potrzebuję żadnych sztucznych podniet. Ci Murzyni są dla mnie tajemnicą, która zbliża mnie do gorących źródeł życia, do mułu, słońca i zwierząt. Chcę jednak, żebyś zachował to wyznanie przy sobie i nie opowiadał o nim nikomu, choć nawet gdybyś opowiedział, nic mi to nie zaszkodzi, bo zawsze mogę powiedzieć, że kłamiesz. A znowu lud i tak wierzy we wszystko, co się o mnie mówi, i w więcej jeszcze, tak że jeśli chodzi o lud, moja opinia nie może już ucierpieć i dlatego jest mi obojętne, co opowiesz ludziom. Wolałabym jednak, żebyś to zachował dla siebie, bo jesteś dobry, jaka ja bynajmniej nie jestem.

Wyraźnie spochmurniała i nie piła już piwa, tylko znowu zaczęła pleść matę z barwnych lodyg sitowia, a ja wpatrywałem się w jej ciemne palce, gdy mocno związała

źdźbła, bo nie śmiałem jej spojrzeć w oczy. Gdy milczałem i nic nie obiecywałem, ciągnęła:

– Dobrocią człowiek nie zyska nic, a jedyne, co na świecie ma jakieś znaczenie, to władza. Ci jednak, którzy rodzą się z władzą, nie rozumieją jej wartości, wartość te rozumie tylko taki, kto podobnie jak ja urodził się z stopami umorusanymi gnojem. Znam wartość władzy, Sinuhe, wszystko robiłam dla władzy i żeby zachować ją dla mojego syna i jego syna, by krew moja żyła na złotym tronie faraonów. Przed niczym się nie cofnęłam, aby to osiągnąć. Być może postęпки moje były złe w oczach bogów, ale mówiąc prawdę niezbyt się troszczę o bogów, ponieważ faraonowie stoją ponad samymi bogami. I w końcu nie ma żadnych dobrych czy złych postępków, lecz dobre jest to, co się udaje, złe zaś to, co się nie udaje i wychodzi na jaw. Mimo to serce drży mi czasem i wewnątrz robią mi się jak woda, gdy pomyślę o moich uczynkach, bo jestem tylko kobietą, a wszystkie kobiety są zabobonne. Ale mam nadzieję, że dopomogą mi w tym moi Murzyni. Szczególnie drażni mnie to, gdy widzę, jak Nefretete rodzi jedną dziewczynkę po drugiej. Już cztery razy urodziła córkę i za każdym razem mam uczucie, jak gdybym rzuciła kamień w tył, za siebie, a potem znalazła go na drodze przed sobą. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć i obawiam się, że moje postęпки wywołały przekleństwo, które czai się na mej drodze.

Zamruczała grubymi wargami jakieś zaklęcia, przesuając niespokojnie po podłodze szerokie stopy, a przez cały czas palce jej zręcznie i szybko wiązały matę z kolorowych ździebeł sitowia. Ja zaś patrzyłem na te smagłe palce i zimno przejmowało mi serce. Bo Teje plotła swoją matę węzłami ptasznika, a ja znałem te węzły. Doprawdy, dobrze znałem te węzły, bo były to osobliwe węzły z Dolnego Kraju i jako chłopiec widziałem je w domu mego ojca, w okopconej łódeczce z sitowia, która wisiała nad łóżem mojej matki. Gdy to sobie uprzytomniłem, zdrtwiał mi język i przeniknął mnie lodowaty chłód, bo w noc mego urodzenia wiał łagodny wiatr zachodni i łódeczka z sitowia nadpłynęła z prądem Rzeki w okresie wylewu, a wiatr zapędził ją do brzegu w pobliżu domu mojego ojca. Myśl, która nagle zrodziła się we mnie, gdy się przypatrywałem palcom królewskiej matki, była tak okropna i tak szalona, że nie chciałem jej do siebie dopuścić i mówiłem sobie, że każdy przecież może posługiwać się węzłami ptasznika, splatając łódkę z sitowia. Ale ptasznicy parali się tym zawodem w Dolnym Kraju i nie widziałem, żeby w Tebach ktoś wiązał takie węzły. Dlatego jako dziecko często bacznie oglądałem osmoloną łódeczkę z sitowia i jej popękane źdźbła i zdumiewałem się nad węzłami, które je z sobą zespalały, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak ta łódeczka jest związana z moim losem.

Wielka matka królewska nie zauważyła, że zeszywniałem, ale nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi, bo pogрузyła się w własnych myślach i wspomnieniach:

– Być może – powiedziała – jestem w twoim mniemaniu kobietą złą i odpychającą, Sinuhe, gdy mówię z tobą tak otwarcie. Ale nie sądz mnie zbyt surowo z powodu moich postępów, lecz spróbuj mnie zrozumieć. Biednej ptaszniczce niełatwo jest wejść do domu kobiet faraona, gdzie każdy nią gardzi z powodu jej ciemnej skóry i szerokich stóp i gdzie doznaje ona ukłuc tysięcy szpilek, i nie ma innej ostoi prócz kaprysu faraona i piękności, i młodości swego własnego ciała. Nie zdziwisz się więc chyba, że nie przebierałam w środkach, gdy chodziło o przywiązanie do mnie serca faraona, i noc po nocy przyzwyczajałam go do osobliwych obyczajów murzyńskich, aż nie mógł już żyć bez moich pieścizot, a ja przez niego owaładnęłam Egiptem. Tak to przewyciężyłam wszystkie intrygi Złotego Domu, uniknęłam wszelkich siideł i porwałam wszystkie sieci, które podstępnie zastawiano na mojej drodze, i nie cofałam się przed zemstą, gdy miałam do niej powody. W ten sposób strachem zawiązałam języki wszystkim dokoła i rządziłam Złotym Domem wedle swojej woli, a wolą moją było, żeby żadna inna żona nie urodziła faraonowi dziecka płci męskiej, dopóki ja mu nie urodzę syna. Toteż żadna z żon faraona nie urodziła mu chłopca, a córki, które mu się rodziły, wydawałam za mąż za możnych panów zaraz po urodzeniu. Tak silna była moja wola. Ale sama nie odważałam się jeszcze urodzić, żeby nie zbrzydnać w jego oczach, bo zanim zdołałam usidlić jego serce tysiącem sieci, panowałam nad nim zrazu tylko mocą swego ciała. On jednak zaczął się starzeć, a pieścizoty, za pomocą których nim władałam, czyniły go jeszcze słabszym. I gdy uznałam, iż nadszedł czas na poród, ku swemu przerażeniu urodziłam mu córkę. Była to Baketatton, której jednak nie wydałam natychmiast za mąż, lecz która jest dla mnie jeszcze jedną strzałą w kołczanie, bo mędrzec ma zawsze wiele strzał w swoim kołczanie i nie zdaje się na jedną jedyną. Czas mijał, a ja żyłam w wielkiej trwodze, dopóki mu w końcu nie urodziłam syna, choć miałam z tego syna mniej pociechy, niż się spodziewałam, ponieważ jest szalony. Dlatego też przywiązuję swoje nadzieje do syna mego syna, choć ten się jeszcze nie urodził. Tak wielka była jednak moja moc, że żadna inna żona w Domu Kobiet nie urodziła faraonowi syna przez wszystkie te lata, lecz wszystkie rodziły tylko córki. Czy nie musisz jako lekarz przyznać, Sinuhe, że ta moja sztuka i czary wielce były osobliwe?

Wtedy przeszedł mnie dreszcz i spojrzawszy jej w oczy powiedziałem:

– Twoje czary są bardzo proste i pogardy godne, wielka matko królewska, bo twymi palcami wplatasz je w barwne źdźbła sitowia i każdy może te czary przeniknąć.

Wypuściła z rąk łądyżki sitowia, jak gdyby sparzyły jej palce, i przewracając ze

strachu oczyma nabiegłymi krwią od picia piwa, rzekła:

– Czy i ty jesteś czarownikiem, Sinuhe, skoro mówisz takie rzeczy, czy też sprawa ta jest już powszechnie znana?

A ja odparłem:

– Na dłuższą metę nie można nic ukryć przed ludem i lud wie wszystko, nawet gdyby nikt mu o tym nie powiedział. Może postęпки twoje nie miały żadnych świadków, wielka matko królewska, ale widziała ciebie noc, a nocny wiatr szepnął do ucha o twoich uczynkach, a nie możesz przeszkodzić w mówieniu nocnemu wiatrowi, mimo że umiałaś zawiązać wszystkie ludzkie języki. Mata, którą splatasz, jest bardzo okazala i byłbym ci wdzięczny, gdybyś mi ją podarowała, bo wielce bym ją sobie cenił, z pewnością o wiele bardziej niż ktokolwiek inny, komu mogłabyś ją ofiarować.

Ale podczas gdy mówiłem, ona uspokoiła się i w dalszym ciągu wiązała drżącymi palcami sitowie i popijała piwo. A gdy skończyłem, popatrzyła na mnie chytrze i powiedziała:

– Może dam ci tę matę w podarunku, gdy tylko będzie gotowa, Sinuhe. To piękna i kosztowna mata, bo splatałam ją własnymi palcami, tak że jest to mata królewska. Ale podarunek wymaga w zamian innego daru. Co zamierzasz mi dać za mój podarunek, Sinuhe?

Roześmiałem się i rzekłem obojętnie:

– Dostaniesz w zamian mój język, matko królewska. Ale wolałbym, żebyś mi go pozwoliła zachować w ustach do dnia śmierci. Bo język mój nie ma żadnego interesu, by mówić przeciw tobie. Dlatego darowuję ci go.

Zamruczała coś pod nosem i zezując na mnie rzekła:

– Dlaczego miałabym przyjąć w podarunku coś, co mam już w swojej mocy? Nikt nie mógłby mi w tym przeszkodzić, żeby ci zabrać twój język, a także i twoje ręce, żebyś nie mógł napisać tego, czego nie potrafiłbyś już powiedzieć. Mogłabym też zaprowadzić cię do podziemi na spotkanie z moimi drogimi Murzynami. Być może nigdy byś stamtąd nie wrócił, bo chętnie używają oni ludzi przy swoich ofiarach.

Na co odparłem:

– Widocznie wypijaś nazbyt wiele piwa, matko królewska. Nie pij już więcej dziś wieczorem, bo inaczej będziesz widzieć w snach hipopotamy. Mój język należy do ciebie i mam nadzieję, że dostanę tę matę, gdy będzie gotowa.

Powstałem, by odejść, a ona mi nie przeszkadzała, lecz śmiała się, sapiąc, jak to robią stare kobiety, gdy są pijane, i powiedziała:

– Ogromnie mnie bawisz, Sinuhe, ogromnie mnie bawisz.

Tak ją zostawiłem i nikt mnie nie zatrzymał, i wróciłem do miasta, a Merit dzieliła ze mną matę. Ale nie byłem już w pełni szczęśliwy, bo rozmyślałem o osmolonej łódeczce z sitowia, zawieszanej nad łóżem mojej matki, i myślałem o smągłych palcach, które wiązały sitowie węzłami używanymi przez ptaszników, i myślałem o nocnym wietrze, który bez wioślarzy pędził lekkie łódeczki z sitowia od murów Złotego Domu w dół Rzeki, na drugą stronę, na wybrzeże Teb. O wszystkim tym rozmyślałem i nie byłem już w pełni szczęśliwy, gdyż to, co zwiększa wiedzę, powiększa także troski, a ta troska mogłaby mi zostać oszczędzona, bo nie byłem już młody.

ROZDZIAŁ 5

Oficjalnym powodem mojej podróży do Teb była wizyta w Domu Życia, gdyż już od lat nie odwiedzałem go, choć moje stanowisko królewskiego trepanatora zobowiązywało mnie do tego. Obawiałem się też, że i moja sztuka na tym ucierpiała, bo przez cały ten czas w mieście Achetaton nie było mi dane otworzyć ani jednej czaszki. Toteż udałem się do Domu Życia i odbyłem tam kilka wykładów, pouczając uczniów, którzy wybrali sobie ludzką czaszkę jako specjalność. Dom Życia nie był już taki jak dawniej i znaczenie jego bardzo zmalało, ponieważ ludzie, nawet ubodzy, nie mieli ochoty go odwiedzać i ponieważ najlepsi lekarze odeszli i przeprowadzili się do miasta, żeby tam wykonywać swój zawód. Sądziłem, że nauka wyzwoliła się i poszła naprzód od czasu, gdy uczniowie nie potrzebowali już składać egzaminów kapłana pierwszego stopnia, aby dostać się do Domu Życia, i odkąd nikt im nie wzbraniał pytać „dlaczego?”. Ale doznałem ogromnego zawodu, bo uczniowie byli młodzi i nierozgarnięci i wcale nie mieli ochoty pytać „dlaczego?”. Najwyższym ich pragnieniem było otrzymać całą wiedzę gotową od nauczyciela i uzyskać wpisanie swego imienia do Księgi Życia, aby móc rozpocząć wykonywanie zawodu i zarabiać srebro i złoto za swoje umiejętności.

Pacjentów było tak mało, że minęły tygodnie, zanim miałem sposobność otworzyć trzy czaszki, co sobie postanowiłem jako cel, żeby wypróbować swą biegłość. Tymi operacjami zdobyłem ogromny rozgłos i zarówno lekarze, jak i uczniowie pochlebiali mi i wychwalali pewność i szybkość moich rąk. Po operacjach miałem jednak przygnębiające uczucie, że ręce moje nie są już takie pewne i szybkie jak za najlepszych dni. Także i wzrok mi się przytępił, nie widziałem i nie rozumiałem ludzkich dolegliwości równie pewnie i łatwo jak dawniej, lecz musiałem stawiać liczne pytania i dokonywać długotrwałych badań, żeby osiągnąć pewne rozpoznanie. Toteż co dnia znowu przyjmowałem pacjentów w domu i leczyłem ich nie żądając darów, tylko po to, żeby odzyskać dawną biegłość.

Otworzyłem zatem trzy czaszki w Domu Życia, w tym jedną z litości, ponieważ

chory był nieuleczalny i cierpiał zbyt wielkie męki. Oba pozostałe wypadki były bardzo interesujące i wymagały całej mojej sztuki. W jednym był to mężczyzna, który przed kilku laty uderzył się w głowę spadając na ulicę z dachu, gdzie w letni dzień zabawił się z żoną innego mężczyzny. Upadł uciekając przed mężem, ale odzyskał przytomność bez żadnego widocznego uszkodzenia. Po jakimś czasie jednak zapadł na świętą chorobę i przeszedł wiele kolejnych ataków i nadal cierpiał na ataki choroby, ilekroć pił wino. Halucynacji jednak żadnych nie miał, tylko wołał gniewnym głosem, kopał i gryzł się w język oraz moczył pod siebie. I tak bardzo się obawiał ataków choroby, że przystał na operację, a nawet sam o nią prosił. Zgodziłem się otworzyć mu czaszkę i na prośbę lekarzy tebańskich wziąłem do pomocy przy tym tamowacza krwi, choć nie byłem przyzwyczajony do ich używania i polegałem bardziej na własnej sztuce. Ów tamowacz krwi był jeszcze bardziej leniwy i ospały niż ten, który umarł w Złotym Domu faraona, jak o tym poprzednio opowiadałem, i przez cały czas operacji musiałem go potrząsać i szturchać, żeby nie zasypiał i pamiętał o swoim zadaniu. Mimo to krew wciąż sączyła się z rany. Otworzyłem pacjentowi całe ciemię i zobaczyłem, że mózg w wielu miejscach był czarny od zakrzepłej krwi. Toteż oczyszczenie go trwało długo i nie mogłem oczyścić całego mózgu nie czyniąc szkody pacjentowi. Nie miał on jednak już nigdy ataków świętej choroby, bo umarł na trzeci dzień po operacji, jak to zwyczajnie bywa. Operację tę uważano jednak za szczególnie udaną i moją biegłość wielce wychwalano, a uczniowie zapisywali dla pamięci wszystko, co robiłem i co im pokazywałem.

Drugi wypadek był prosty. Pacjent był młodym jeszcze chłopcem, którego strażnicy znaleźli leżącego bez przytomności na ulicy, ograbionego i konającego z pękniętą czaszką. Przypadkiem byłem wtedy w Domu Życia, gdy strażnicy go tam przynieśli. Nie miał już nic do stracenia, pewne było, że umrze i żaden lekarz nim się nie zajmie. Toteż otworzyłem mu potrzaskaną czaszkę, jak tylko mogłem najszybciej, i powymowałem z mózgu odłamki kości, po czym zakryłem dziurę w głowie płytką z oczyszczonego srebra. Został uleczony i był przy życiu jeszcze w dwa tygodnie później, gdy opuszczałem Teby, ale trudno mu było poruszać ramionami i nie miał wciąż jeszcze czucia w dłoniach i podszwach, gdy go łaskotano piórkiem. Sądziłem jednak, że z czasem wyleczy się zupełnie. To otwarcie czaszki nie wzbudziło jednak równie wielkiego wrażenia jak operacja mężczyzny chorego na świętą chorobę i wszyscy uważali za rzecz zupełnie naturalną i oczywistą, że mi się to udało, i wychwalali mnie tylko za szybkość moich rąk. Wypadek ten był natomiast o tyle osobliwy, że z powodu rany i ze względu na pośpiech nie mogłem pacjentowi ogolić głowy przed otwarciem

mu czaszki, i po zaszcyciu skóry na srebrnej płycie włosy rosły mu na głowie tak jak poprzednio i nikt nie mógł zobaczyć na jego głowie rany pooperacyjnej.

Mimo że w Domu Życia odnoszono się do mnie z szacunkiem z powodu mojej godności, starzy lekarze unikali mnie i nie odważali się rozmawiać ze mną poufnie, bo przybywałem z Achetaton, oni zaś ze strachu byli wciąż jeszcze w mocy fałszywego boga. Nie mówiłem z nimi o Atonie, rozmawialiśmy z sobą tylko o sprawach zawodowych. Dzień po dniu wypytywali mnie o moje poglądy i węszyli, jak pies obwąchuje ziemię, gdy czegoś szuka, aż zacząłem się dziwić ich zachowaniu. W końcu, po trzeciej operacji otwarcia czaszki, przyszedł do mnie lekarz szczególnie mądry i biegły w pracy nożem i powiedział:

– Królewski lekarzu, Sinuhe, z pewnością widziałeś, że Dom Życia bardziej jest pusty niż dawniej i że nie poszukują już naszej wiedzy tak jak przedtem, choć w Tebach jest dziś tyluż chorych co dawniej, a może i więcej. Podróżowałeś po wielu krajach, Sinuhe, i widziałeś wiele ozdrowień, ale sądzę, że nigdy jeszcze nie oglądałeś takich cudownych uzdrowień, jakie obecnie dokonują się ukradkiem w Tebach, bo nie trzeba przy nich ani noża, ani ognia, ani leków czy bandaży. Polecono mi opowiedzieć ci o tych cudownych uzdrowieniach i zapytać, czy nie zechciałbyś ich zobaczyć. Ale musisz obiecać, że nie powiesz nikomu o tym, co zobaczysz. Musisz także pozwolić związać sobie oczy, kiedy będą cię prowadzić do świętego miejsca uzdrowień, ażebyś nie wiedział, gdzie jest ono położone.

Niechętnie przyjąłem jego słowa, bo bałem się, że z tego powodu narażę się faraonowi. Ale ciekawość moja była wielka, toteż powiedziałem:

– Słyszałem co prawda, że w Tebach dzieje się teraz wiele dziwnych rzeczy. Mężczyźni opowiadają baśnie, a kobiety mają objawienia, ale o cudownych uzdrowieniach nie słyszałem nic. Jako lekarz powątpiewam też mocno w cudowne uzdrowienia bez noża i ognia, bez leków i bandaży. Toteż nie chcę zostać wmieszany w oszustwo, żeby imienia mego nie nadużyto do zaświadczenia czegoś, czego nie ma i co jest wymysłem.

Zaprzeczył mi żywo i rzekł:

– Sądziliśmy, że nie masz żadnych przesądów, Sinuhe, bo podróżowałeś po wielu krajach i zebrałeś w nich taką wiedzę, jakiej nie ma nikt w Egipcie. Przecież upływ krwi można zatamować bez noża i ognia. Dlaczegoż by więc nie można było leczyć bez noża i ognia? Imię twoje nie zostanie wmieszane w tę sprawę, zapewniamy cię o tym, bo ze specjalnych powodów chcemy, żebyś właśnie ty widział wszystko, żebyś wiedział, iż przy tych uzdrowieniach nie dzieje się żadne oszustwo. Jesteś samotny, Sinuhe, i bezstronny z ciebie świadek, dlatego potrzebujemy właśnie ciebie.

Jego słowa zaskoczyły mnie i wzbudziły moją ciekawość. Również i jako lekarz chciałem pogłębić moją wiedzę. Toteż zgodziłem się na jego propozycję i po nastaniu ciemności przybył po mnie z lektyką, żeby mnie zabrać z domu, a w lektyce przewiązał mi oczy przepaską, iżbym nie widział, w którym kierunku nas niesiono. Gdy lektyka zatrzymała się, wziął mnie za rękę i poprowadził przez liczne korytarze, schodami w dół i znowu do góry, aż mi się to sprzykrzyło i powiedziałem, że mam już tego dość. Ale on mnie udobruchał i zdjawszy mi z oczu przepaskę wprowadził mnie do sali o kamiennych ścianach, gdzie płonęły liczne lampy. Na podłodze leżało tam na noszach trzech chorych. Podszedł do mnie kapłan z ogoloną głową i twarzą błyszczącą od świętego olejku. Zwrócił się do mnie po imieniu i wezwał, żebym dokładnie zbadał pacjentów i przekonał się, iż nie ma tu żadnego oszustwa. Głos jego był stanowczy i łagodny zarazem, a z oczu biła mu mądrość. Toteż usлуchałem jego wezwania i zbadałem pacjentów, a chirurg z Domu Życia pomagał mi przy badaniu.

Stwierdziłem, że wszyscy trzech byli rzeczywiście chorzy i nie mogli o własnych siłach powstać z noszy. Jednym z pacjentów była młoda kobieta, które miała członki wyschłe, wychudłe i zupełnie pozbawione życia, tak że tylko oczy, ciemne i wystraszone, poruszały się w jej wychudzonej twarzy. Drugim był chłopiec o ciele obsypanym straszliwą wysypką i pokrytym krwawymi strupami. Trzecim w końcu był stary mężczyzna ze sparaliżowanymi nogami, który nie mógł chodzić, i nie było to wcale udane, bo kłułem go szpilkami w nogi, on zaś nie czuł bólu. W końcu powiedziałem do kapłana:

– Zbadałem tych trzech chorych przy użyciu całej mojej sztuki i gdybym był ich lekarzem, nie mógłbym postąpić inaczej, jak tylko posłać ich do Domu Życia. Kobiety i starca nie da się nawet uleczyć nawet tam, ale chłopcu można by złagodzić cierpienia codzienną siarkową kąpielą.

Kapłan uśmiechnął się i poprosił nas obu, lekarzy, żebyśmy usiedli na przeznaczonych dla nas miejscach w ciemnej tylnej części sali i cierpliwie czekali. Potem zawołał niewolników, a ci zanieśli chorych na noszach przed ołtarz i zapalili odurzające kadzidło w kadzielnicy. Z korytarza dał się słyszeć śpiew i przez drzwi sali weszła grupa kapłanów śpiewając święte hymny do Amona. Kapłani otoczyli chorych i zaczęli się modlić, skakać i wykrzykiwać. Skakali i wołali, aż pot spływał im po twarzach, zrzucili z siebie naramienniki, wymachiwali trzymanymi w rękach dzwonekami i ranili sobie piersi ostrymi kamieniami, tak że strumieniami płynęła krew. Podobne rytuały oglądałem już w Syrii i jako lekarz z zimną krwią przyglądałem się ich ekstazie, dopóki nie zaczęli wykrzykiwać głośniejsz niż przedtem i walić pięściami w kamienną ścianę,

która otworzyła się, odsłaniając święty posąg Amona, wznoszący się groźnie w świetle lamp. W tej samej chwili kapłani zamilkli, a cisza była wprost przerażająca po całym tym zgiełku. Oblicze Amona lśniło przed nami z ciemnej niszy, żarząc się niebiańskim światłem. Nagle najwyższy z kapłanów stanął przed chorymi, zawołał każdego z nich po imieniu i rzekł:

– Wstańcie i idźcie, bo wielki Amon pobłogosławił was, ponieważ w niego wierzycie!

Wtedy zobaczyłem na własne oczy, jak chorzy, wszyscy troje, zaczęli chwiejnie podnosić się ze swoich legowisk, wpatrzeni w posąg Amona. Drżąc na całym ciele, unieśli się na kolana i dźwignęli do pozycji stojącej, a stanąwszy zaczęli z niedowierzaniem obmacywać swoje członki, aż wybuchnęli płaczem i zaczęli modlić się i błogosławić imię Amona. Kamienna ściana zamknęła się znowu, kapłani odeszli, a niewolnicy zabrali kadzidło i pozapalali dużo jasnych lamp, żebyśmy my, lekarze, mogli zbadać chorych. Zrobiliśmy to i stwierdziliśmy, że młoda kobieta mogła ruszać członkami i ująć kilka kroków, gdyśmy ją prowadzili, starzec szedł o własnych siłach, a strupy znikły ze skóry chłopca, która zrobiła się znowu czysta i gładka. Wszystko to dokonało się w ciągu kilku wodnych miar czasu i nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego może się przydarzyć, gdybym nie oglądał tego na własne oczy.

Kapłan, który nas przyjął, podszedł uśmiechając się zwycięsko i zapytał:

– I co teraz powiesz, Sinuhe, królewski lekarzu?

Spojrzałem mu bez lęku w oczy i odparłem:

– Rozumiem, że kobieta i starzec cierpieli od czarów, które krępowały ich wolę, i że czary można uleczyć czarami, jeżeli wola czarodzieja jest silniejsza niż wola zaczarowanego. Ale strupy są strupami i nie da się ich wyleczyć czarami, lecz wymaga to wielomiesięcznej opieki i leczniczych kąpiei. Dlatego przyznaję, że jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Popatrzył na mnie i oczy jego zapłonęły, gdy zapytał:

– Przyznajesz zatem, Sinuhe, że Amon jest wciąż jeszcze królem wszystkich bogów?

Na co odparłem:

– Chciałbym, żebyś nie wymawiał głośno imienia fałszywego boga, bo faraon zabronił tego, a ja jestem jego sługą.

Doskonale widziałem, że słowa jego wzburzyły go, ale był to kapłan najwyższego stopnia i wola jego silniejsza była od jego uczuć. Toteż opanował się i rzekł z uśmiechem:

– Nazywam się Hrihor, mówię to, byś mógł zrobić na mnie doniesienie. Nie boję się strażników fałszywego faraona ani też nie lękam się jego bicza i jego kopalń i

leczyć każdego, kto przychodzi do mnie w imię Amona. Nie spierajmy się jednak, ale porozmawiajmy jak ludzie światli. Pozwól, bym cię zaprosił do mojej celi na wino, bo z pewnością jesteś już zmęczony siedzeniem na twardym stołku przez wiele wodnych miar czasu.

Kamiennymi korytarzami zaprowadził mnie do swojej celi, a po dusznym powietrzu poznałem, że jesteśmy pod ziemią, i odgadłem, że znajdujemy się w podziemiach Amona, o których opowiadano rozmaite baśnie, ale których nie widział chyba nikt nie wtajemniczony. Kapłan odesłał lekarza z Domu Życia, byliśmy więc w celi we dwóch. W mieszkaniu jego nie brakowało żadnej z wygód, które mogą cieszyć ludzkie serce. Nad łóżem wznosił się baldachim, skrzynie na rzeczy były z czarnego drewna i kości słoniowej, maty miękkie, a izba pachniała drogimi maściami. Uprzejmie polał mi ręce wonną od pachnideł wodą i poprosił, żebym usiadł, po czym poczęstował mnie miodowymi ciastkami, owocami i bardzo starym, ciężkim winem z winnic Amona, a wino to mieszane było z mirrą. Piliśmy je, a on mówił przy tym do mnie:

– Sinuhe, znamy ciebie i śledziliśmy twoje kroki, i wiemy, że bardzo kochasz fałszywego faraona i że jego fałszywy bóg też nie jest ci tak obcy, jak byśmy sobie tego życzyli. Zapewniamy cię jednak, że bóg faraona nie daje nic nad to, co Amon dawał, bo nienawiść faraona i prześladowania oczyściły Amona i uczyniły go mocniejszym niż przedtem. Nie chcę jednak roztrząsać boskich spraw w rozmowie z tobą, lecz odwołuję się do ciebie jako do człowieka, który nie wymagając darów leczył biednych i który jako Egipcjanin kocha czarny kraj bardziej niż czerwony. Dlatego powiadam ci: faraon Echnaton jest przekleństwem dla biednego ludu i zgubą dla całego Egiptu i musi zostać obalony, zanim zło, które wyrządza, rozrośnie się tak mocno, iż nie będzie go już można uleczyć nawet krwią.

Napiłem się wina i odparłem:

– Bogowie są mi obojętni i dość już mam bogów, ale bóg faraona Echnatona jest odmienny niż wszyscy inni bogowie, jacy kiedykolwiek byli, bo jego bóg nie ma żadnych posągów i wszyscy ludzie są równi przed jego obliczem, i każdy człowiek, niewolnik i biedak, i nawet cudzoziemiec, ma swoją wartość przed bogiem faraona. Dlatego wierzę, że skończyła się jedna epoka i zaczyna nowa. I dlatego mogą się dziać nawet rzeczy niewiarygodne i może stać się coś, co przekracza rozum człowieka. Bo nigdy dotychczas, w żadnej epoce, nie nadarzyła się jeszcze taka sposobność, żeby wszystko na świecie odnowić i uczynić ludzi braćmi.

Hrihor podniósł rękę gestem sprzeciwu, uśmiechnął się i rzekł:

– Widzę, Sinuhe, że śnisz z otwartymi oczyma, choć sądziłem, iż jesteś rozsądnym

człowiekiem. Moje cele są mniejsze. Ja pragnę tylko, żeby wszystko było tak jak dawniej i żeby nawet biedak dostał swoją miarkę pełną, i żeby prawa u trzymane były w mocy. Ja pragnę tylko, żeby każdy człowiek bezpiecznie mógł wykonywać swój zawód i wierzyć w to, w co sam chce wierzyć. Ja chciałbym tylko, żeby zachowane zostało wszystko to, dzięki czemu życie może trwać dalej: różnica między niewolnikiem i jego panem, między sługą i jego chlebodawcą. Ja pragnę, żeby moc i chwała Egiptu pozostały niewzruszone, chcę, żeby dzieci rodziły się w kraju, gdzie każdy ma swoje własne miejsce i gdzie zadanie każdego określone jest z góry i aż do końca życia, i gdzie żaden czczy niepokój nie zżera ludzkich serc. Wszystkiego tego pragnę i dlatego faraon Echnaton musi zostać obalony.

Dotknął prosząco mego ramienia i pochyliwszy się ku mnie rzekł:

– Potulny z ciebie i łagodny człowiek, Sinuhe, i nie chcemy, by stało ci się coś złego. Ale żyjemy w czasach, gdy każdy musi dokonać wyboru i nikt tego wyboru nie może uniknąć. Ten, kto nie jest z nami, jest przeciw nam i będzie kiedyś z tego powodu cierpieć. Bo chyba nie jesteś tak głupi, żeby przypuszczać, iż władza Echnatona może jeszcze trwać długo? Obojętne jest dla mnie, jakim bogom służysz, względnie czy w ogóle służysz jakimś bogom, bo Amon da sobie doskonale radę bez twojej wiary. Ale w twojej mocy, Sinuhe, jest usunięcie przekleństwa, które spadło na Egipt. W twojej mocy jest przywrócić Egiptowi jego dawną potęgę.

Słowa te wznieciły w moim sercu niepokój. Toteż napiłem się wina, a usta moje i nozdrza wypełniły się lubym aromatem mirry. Spróbowałem rozeźmiać się i powiedziałem do niego:

– Pewnie ugryzł cię wściekły pies lub ukąsił skorpion, bo doprawdy niewiele mogądziałać, ja, który nie umiem nawet leczyć tak dobrze jak ty.

Wstał i rzekł:

– Coś ci pokażę.

Wziął lampę i powiodł mnie w głąb jednego z korytarzy, a otworzywszy drzwi zamknięte na wiele zamków i zaświeciwszy lampę wprowadził mnie do celi, która lśniła i żarzyła się od blasków złota, srebra i szlachetnych kamieni i gdzie pełno było złotych naczyń. Tam powiedział:

– Nie obawiaj się. Wcale nie zamierzam kusić cię złotem. Tak głupi nie jestem, choć może i nie szkodzi, gdy zobaczysz, że Amon wciąż jeszcze bogatszy jest od faraona. Nie, złotem nie będę cię kusić, chcę ci pokazać coś innego.

Otworzył jeszcze jedne ciężkie miedziane drzwi i oświetlił lampą maleńką celę, w której na kamiennym posłaniu leżała woskowa figura z podwójną królewską koroną

na głowie. Piersi i skronie tej kukły przekłute były ostrymi kościanymi igłami. Mimo woli podniosłem ręce i wyszeptalem modlitwy chroniące przed czarami, te, których nauczyłem się, nim zostałem wyświęcony na kapłana pierwszego stopnia. A Hrihor przyglądał mi się z uśmiechem i lampa nie drżała w jego ręku.

– Czy wierzysz teraz – zapytał – że dni faraona Echnatona są policzone, gdyż w imię Amona zaklęliśmy tę figurę i przekłuliśmy jego głowę i jego serce świętymi igłami Amona? Ale czary działają powoli i wiele jeszcze złego zdąży się zdarzyć, a niewątpliwie i jego bóg może go do pewnego stopnia chronić przed naszymi czarami. Dlatego też chciałbym jeszcze trochę porozmawiać z tobą teraz, kiedyś już to zobaczył.

Pozamykał starannie wszystkie drzwi i zaprowadził mnie z powrotem do swojej izby. Tam nalał mi znowu wina do pucharu, ale wino rozlewało mi się po brodzie, a puchar szczekało o zęby, bo zdawałem sobie sprawę, że na własne oczy oglądałem czary silniejsze od wszelkich innych, takie, przed którymi żadnemu człowiekowi nie udało się jeszcze obronić. Tak straszliwa była ta magia z woskowymi kukłami, że kapłani Amona nie odważali się mówić o niej głośno nawet we własnej świątyni i wiadomości o niej musiano czerpać ze starych ksiąg. I wielu sądziło, że magii takiej nie praktykowano już od dawna, bo dwa tysiące lat minęło od zbudowania piramid i świat nie był już taki młody i pełen czarów jak wtedy. A Hrihor powiedział:

– Widzisz zatem, że moc Amona rozciąga się aż do Achtetaton. I nie pytaj mnie, w jaki sposób dostaliśmy jego obcięte paznokcie i włosy, by przyprawić je woskowej figurze. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie kupiliśmy jej za złoto, lecz dostaliśmy przez wzgląd na Amona.

Patrzył na mnie badawczo i ważył słowa, a w końcu rzekł:

– Siła Amona rośnie z dnia na dzień, jakieś to widział własnymi oczami, kiedy leczyłem chorych w imię Amona. Z dnia na dzień coraz okropniejsze staje się przekleństwo Amona, które ciąży nad Egiptem. Im dłużej żyje faraon, tym bardziej musi cierpieć lud z jego powodu, a magia działa powoli. Co byś powiedział na to, Sinuhe, gdybym dał ci lekarstwo, które uleczyłoby bóle głowy faraona, tak że nigdy już nie musiałyby cierpieć żadnych mąk?

– Człowiek jest zawsze podatny na męki – odparłem – i tylko martwi nie muszą już cierpieć.

Spojrzał na mnie płonącymi oczyma i wola jego przykuła mnie do miejsca, tak że nie mogłem podnieść dłoni, gdy rzekł:

– Może tak i jest. To lekarstwo nie pozostawia żadnych śladów i nikt nie może cię o nic oskarżyć, i nawet balsamiarze nie zauważą nic niezwykłego w jego wnętrznościach.

A ty wcale nie potrzebujesz wiedzieć o tym wszystkim, podasz tylko faraonowi lek, który uleczy jego bóle głowy. I gdy on przyjmie to lekarstwo, usnie i nie będzie już nigdy cierpieć bólu ani smutku. – Podniósł dłoń, aby mnie powstrzymać, i dodał jeszcze: – Nie przekupuję cię złotem, ale jeśli to uczynisz, imię twoje będzie błogosławione na wieki i ciało twoje nigdy nie ulegnie zniszczeniu, lecz będzie żyć wiecznie. I przez resztę dni twego życia chronić cię będą niewidzialne ręce, i nie ma takiego ludzkiego pragnienia, którego nie mógłbyś zaspokoić i wypełnić. Wszystko to obiecuję ci, bo mam moc ci to obiecać.

Podniósł w górę ręce i patrzył na mnie płonącymi oczyma, a ja nie mogłem oderwać oczu od jego wzroku, a wola jego paraliżowała mnie tak, że nie mogłem się poruszyć ani podnieść rąk, ani powstać. On zaś rzekł:

– Gdy powiem „powstań”, wstaniesz. Gdy powiem „podnieś ręce do góry”, podniesiesz. Ale nie mogę ci nakazać skłonić się przed Amonem, jeśli sam tego nie zechcesz, i nie mogę cię skłonić do wykonania czynów, które są sprzeczne z wolą twego serca. To ogranicza moją władzę nad tobą. Dlatego też zaklinam cię, Sinuhe, dla dobra Egiptu, weź ten lek, który ci daję, i uleczy jego bóle głowy na wielki.

Opuścił ręce i znowu mogłem się poruszać i podnieść puchar do ust bez drżenia. Aromat mirry wypełnił mi usta i nozdrza i powiedziałem:

– Hrihorze, nie obiecuję ci nic, ale daj mi to lekarstwo. Daj mi ten miłosierny lek, bo jest pewnie lepszy niż sok maku, i nadejdzie być może chwila, gdy on sam zapagnie usnąć, by już nigdy się nie zbudzić.

Podał mi lek w kolorowej flaszeczce i powiedział:

– Przyszłość Egiptu spoczywa w twoich rękach, Sinuhe. Nie przystoi bowiem, by ktoś podniósł rękę na faraona, ale nędza i niecierpliwość ludu jest wielka i może nadejść chwila, gdy ktoś przypomni sobie, że nawet faraon jest śmiertelny i że krew jego płynie, gdy mu się przetnie skórę nożem lub oszczepem. To nie powinno się stać, bo wtedy zachwieje się władza faraonów. Dlatego też los Egiptu spoczywa teraz w twoich rękach, Sinuhe.

Wetknąłem flaszeczkę za pas i powiedziałem ironicznie:

– W dniu, w którym się urodziłem, losy Egiptu spoczywały może w czarnych palcach, które wiązały sitowie. Są jednak sprawy, o których nie wiesz nawet ty, Hrihorze, choć zdaje ci się, że wiesz wszystko. W każdym razie biorę teraz ten lek, ale pamiętaj, że nie obiecuję ci nic na pewno.

Uśmiechnął się i podniósł ręce na pożegnanie i rzekł stosownie do zwyczaju: – Nagroda twoja będzie wielka. – A potem odprowadził mnie przez długie korytarze, nie

kryjąc przede mną nic, bo oczy jego docierały w głąb ludzkiego serca i wiedział, że go nie zdradzę. Toteż mogę opowiedzieć, że podziemia Amona leżą pod wielką świątynią, ale jak się do nich wchodzi, nie powiem, bo to nie moja tajemnica.

ROZDZIAŁ 6

W kilka dni potem zmarła w Złoty Domu wielka królewska matka Teje. Umarła od ukąszenia żmijki piaskowej, a wąż ukąsił ją, gdy obchodziła sidła na ptaki w pałacowym ogrodzie. Własnego jej lekarza nie było wtedy pod ręką, jak to zwykle bywa z lekarzami, których nigdy nie ma pod ręką, gdy ich najwięcej potrzeba. Toteż posłano po mnie do mego mieszkania w Tebach, ale gdy przybyłem do Złotego Domu, mogłem tylko stwierdzić, że nie żyje. Jej lekarza nie można wcale o to winić, bo ukąszenie żmii piaskowej zabija zawsze, o ile nie otworzy się rany, nim tętno uderzy sto razy, i nie zwiąże się żył powyżej miejsca ukąszenia.

Stosownie do zwyczaju musiałem zatrzymać się w Złotym Domu, żeby przekazać zwłoki tragarzom z Domu Śmierci. Tak to spotkałem także przy zwłokach ponurego kapłana Eje, a ten dotknął dłonią nabrzmiałych policzków królewskiej matki i rzekł:

– Już był czas, żeby umarła, bo była wstrętną starą wiedźmą i knuła spiski przeciw mnie. Jej własne uczynki potępiły ją i mam nadzieję, że lud uspokoje się po jej śmierci.

Nie sądzę jednak, żeby to Eje ją zamordował, bo tego nie odważyłby się chyba zrobić. Wspólne zbrodnie i ponure tajemnice wiążą bowiem ludzi z sobą silniej niż miłość, ja zaś wiem, że Eje, pomimo swoich nieczułych słów, odczuwał jej brak, gdy umarła, bo z biegiem lat przyzwyczaili się do siebie.

Gdy wiadomość o śmierci królewskiej matki rozeszła się po Tebach, ludzie odziali się w najlepsze szaty i w wielkiej radości zebrali się na placach oraz wylegli na ulice i targowiska. Z ust do ust podawano sobie przepowiednie, a wśród tłumu pojawiły się liczne święte kobiety, które głośno mówiły o złych wróżbach. Mnóstwo ludzi zebrało się też pod murami Złotego Domu, więc żeby uspokoić lud i zaskarbić sobie jego względy, Eje kazał uderzeniami bicia wypędzić z podziemi murzyńskich czarowników królowej Teje. Było ich czterech i jedna wiedźma, brzydka i tłusta jak hipopotam. Strażnicy przepędzili ich biczami za Bramę Papirusu, a tam lud rzucił się na nich i rozerwał ich na strzępy, a ich sztuka czarnoksiężska nie uchroniła ich od zguby. Eje kazał także spalić i zniszczyć w podziemiach wszystkie ich czarodziejskie przybory i leki, jako też święte bębny, czego bardzo żałuję, bo chętnie byłbym zbadał ich leki i czary.

W pałacu nie było nikogo, kto by opłakiwał śmierć królewskiej matki i los czarowników. Tylko księżniczka Baketon podeszła do zwłok matki i dotykając pięknymi rękami jej ciemnych dłoni rzekła:

– Źle zrobił twój mąż, matko, że pozwolił ludowi rozszarpać twoich murzyńskich czarowników. – A do mnie powiedziała: – Ci czarownicy to wcale nie byli źli ludzie, niechętnie przebywali tutaj w pałacu i tęsknili do swoich puszczy i palmowych chat. Nie powinno się było ich karać za postępkę mojej matki.

Tak to spotkałem księżniczkę Baketaton, patrzyła na mnie i mówiła do mnie, ja zaś wielce byłem ujęty jej dumną postawą i podziwiałem jej piękną twarz. Pytała mnie o Horemheba i naśmiewała się z mojego przyjaciela mówiąc:

– Horemheb jest niskiego pochodzenia i mowa jego jest prostacka, ale gdyby wziął sobie żonę, mógłby dać początek możnemu rodowi. Czy nie wiesz, Sinuhe, dlaczego nie wziął on sobie żony?

Odparłem:

– Nie jesteś pierwszą, która o to pyta, księżniczko Baketaton, ale ze względu na twą piękną twarz tylko jedynej opowiem to, czego nie ważyłem się powiedzieć nikomu innemu. Gdy Horemheb jeszcze jako chłopiec po raz pierwszy przybył do pałacu, zobaczył tam przypadkiem księżyc. Od tej chwili nie mógł patrzeć na żadną kobietę ani słuch z nią dzbana. Ale jak to jest z tobą, Baketaton? Nie ma na świecie drzewa, które by wiecznie stało w kwieciu, lecz każde drzewo powinno kiedyś zrodzić owoc. Jako lekarz chętnie widziałbym twoje biodra nabrzmiałe płodnością.

Dumnie odrzuciła głowę w tył i rzekła:

– Wiesz doskonale, Sinuhe, że krew moja jest zbyt święta, by mogła się zmieszać nawet z najszlachetniejszą w Egipcie krwią. Dlatego też byłoby najlepiej, gdyby mój brat wziął mnie za małżonkę stosownie do dobrego zwyczaju, i z pewnością już dawno urodziłabym mu syna. Ponadto, gdybym miała władzę, kazałabym oślepić tego Horemheba, bo haniebna jest dla mnie myśl, że odważył się podnieść oczy na księżyc. Powiem ci też otwarcie, Sinuhe, że już sama myśl o mężczyźnie przeraża mnie, bo dotknięcia mężczyzn są szorstkie i bezwstydne, a ich twarde członki miażdżą wątłą kobietę. Toteż sądzę, że ogromnie się przesadza ową radością, którą mężczyzna może dać kobiecie.

Ale oczy jej rozbłysły z podniecenia i mówiąc te słowa oddychała gwałtownie, i widziałem, że rozmowa taka sprawia jej wielką rozkosz. Toteż podniecałem ją jeszcze bardziej mówiąc:

– Widziałem, jak mój przyjaciel, Horemheb, samym tylko napięciem mięśni rozerwał mocną miedzianą obręcz, którą włożono mu na ramiona. Członki jego są długie i okazałe, a pierś dudni jak bęben, gdy wpada w gniew i bije się w piersi pięściami. A damy dworskie biegały za nim jak kotki i może zrobić, co tylko zechce, z każdą, która

mu się spodoba.

Księżniczka Baketaton spojrzała na mnie ostro, a jej malowane usta drżały i oczy płonęły, gdy rzekła gwałtownie:

– Sinuhe, to, co mówisz, jest mi wstrętne i nie rozumiem, dlaczego wciąż wracasz do tego Horemheba. Jest on w każdym razie kimś, kto urodził się ze stopami umorusanymi gnojem, i nawet samo jego imię jest dla mnie obrzydłe. Doprawdy chciałabym zrozumieć, dlaczego mówisz do mnie o takich rzeczach przy martwym ciele mojej matki.

Nie chciałem jej przypominać, kto pierwszy sprowadził rozmowę na Horemheba. Toteż udałem, że żałuję swoich słów, i rzekłem:

– O Baketaton, pozostań kwitnącym drzewem, bo ciało twoje nie starzeje się i możesz kwitnąć jeszcze przez wiele lat. Powiedz, czy matka twoja nie miała rzeczywiście żadnej zaufanej damy dworu, która by płakała i biadała przy jej zwłokach, dopóki nie zabiorą ich do Domu Śmierci i wynajęte płaczki nie zaczną nad nią łkać i wrywać sobie włosów? Gdybym mógł, płakałbym sam, ale jestem lekarzem i moje łzy dawno już wyschły w zetknięciu ze śmiercią. Życie jest jak upalny dzień, może śmierć jest jak chłodna noc. Życie jest jak płytka zatoka, Baketaton, może śmierć to głęboka, czysta woda.

Odparła:

– Nie mów do mnie o śmierci, Sinuhe, bo życie ma jeszcze miły smak w moich ustach. Ale istotnie hańba, że nikt nie płacze przy zwłokach mojej matki. Sama nie mogę naturalnie tego robić, bo nie przystoi to mojej godności i farba zaczęłaby spływać z moich rzęs, i zniszczyłaby szminki na moich policzkach. Ale przyślę tu jakąś damę dworu, żeby płakała wraz z tobą, Sinuhe.

Obróciłem wszystko w żart i powiedziałem do niej:

– O boska Baketaton, piękność twoja podnieciła mnie, a twoje słowa dołąły oliwy do ognia. Przyślij więc jako płaczkę jakąś starą i brzydką kobietę, żebym w moim podnieceniu nie uwiódł jej i w ten sposób nie ściągnął sromu na dom żałoby.

Pokiwała głową z wyrzutem i odparła:

– Sinuhe, Sinuhe, że też ty się nie wstydzisz tych wszystkich głupstw, które wygadujesz. Nawet jeśli nie boisz się bogów, jak o tobie mówią, to powinienś przynajmniej mieć szacunek do śmierci.

Ale że była kobietą, wcale nie czuła się urażona moimi słowy i odeszła obiecując przysłać dworską damę, żeby płakała przy zwłokach jej matki, dopóki nie przybędą tragarze z Domu Śmierci.

Ja miałem jednak swój cel, gdy tak bezbożnie wyrażałem się przy zwłokach umarłej. Niecierpliwie czekałem na damę dworu, a gdy przyszła, okazało się, że jest o wiele starsza i brzydsza, niż śmiałem się tego spodziewać, bo w domu kobiet królewskiej matki wciąż jeszcze mieszkwały wszystkie żony jej zmarłego małżonka i żony faraona Echnatona, i ich mamki, i damy dworu. Ta, która przyszła, nazywała się Mehunefer i twarz jej świadczyła o tym, że lubi mężczyzn i wino. Zgodnie ze swoimi obowiązkami zaczęła płakać i szlochać, i rwać włosy przy zwłokach wielkiej matki królewskiej. Przez ten czas przyniosłem wina, a gdy już popłakała przez chwilę, zgodziła się napić wina, gdyż jako lekarz zapewniałem ją, że wcale jej to nie zaszkodzi w jej wielkiej żałobie. Gdy piła, zacząłem się do niej zalecać i mówić o jej dawnej piękności. Mówiłem też o dzieciach i o małych córeczkach faraona Echnatona, aż wreszcie na pozór niewinnie zapytałem:

– Czy to istotnie prawda, że wielka królewska matka była jedyną małżonką wiecznego faraona, która urodziła mu syna?

Mehunefer spojrzała na zmarłą z przerażeniem i potrząsnęła głową, by mi przeszkodzić w mówieniu. Zacząłem więc znowu jej pochlebiać i mówić o jej włosach, szatach i klejnotach, a także o jej oczach i wargach, dopóki nie zapomniała zupełnie o płaczu i nie zaczęła mi się przyglądać z zachwytem. Bo w takie słowa kobieta wierzy zawsze, nawet jeśli wie, że to nieprawda, a im bardziej jest stara i brzydka, tym pewniej w to wierzy, gdyż bardzo chce w to wierzyć. Tak więc zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i gdy tragarze z Domu Śmierci przyszli i zabrali zwłoki, ona zaprosiła mnie do swoich komnat w domu kobiet faraona, ogromnie się wdzięcząc, i piliśmy tam dalej wino. Kiedy się upiła, język jej się rozwiązał, wszystkie tamy runęły i zaczęła pieścić moje policzki i nazywać mnie pięknym chłopcem oraz opowiadać mi mnóstwo najbardziej skandalicznych plotek, żeby mnie podniecić. Dała mi także do zrozumienia, że wielka królewska matka często otwarcie zabawiała się z swoimi murzyńskimi czarownikami, a w końcu powiedziała chichocząc:

– To była okropna kobieta. Okropna! Lżej oddycham, odkąd umarła, i wcale nie rozumiem jej gustu, skoro na świecie są tacy ładni egipscy chłopcy o brązowym i miękkim ciele i tak przyjemnie pachnący.

Zaczęła obwąchiwać moje barki i uszy, ale ja trzymałem ją z dala od siebie i powiedziałem:

– Wielka królewska matka, Teje, zręcznie wiązała sitowie, nieprawdaz? Splatowała małe łódeczki z sitowia i puszczała je nocą z biegiem Rzeki? Czy nie tak?

Słowa moje ogromnie ją przeraziły i zapytała:

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – Ale wino sprawiło, że zupełnie straciła rozeznanie i opanowała ją ochota chełpienia się. Powiedziała: – Wiem więcej od ciebie. Wiem, że co najmniej trzech małych nowo urodzonych chłopczyków popłynęło z biegiem Rzeki w małych łódeczkach, jak dzieci największych biedaków, bo przed przyjściem Eje stara wiedźma bała się bogów i nie chciała plamić krwią swoich rąk. To dopiero Eje nauczył ją używać trucizny, tak że księżniczka Tadukhipa z Mitanni umarła, gdy płakała za swoim dzieckiem i chciała uciec z pałacu, żeby szukać chłopca.

– O piękna Mehunefer! – powiedziałem, dotykając dłońmi jej grubo uszmiłkowanych policzków. – Wykorzystujesz z pewnością moją młodość i niedoświadczenie, by wmawiać mi bajki, które wcale nie są prawdziwe. Przecież księżniczka z Mitanni nie urodziła wcale syna, a jeśli to zrobiła, to kiedy to się stało?

– Wcale nie jesteś młody i niedoświadczony, lekarzu Sinuhe – powiedziała chichocząc głośno. – Wręcz przeciwnie, dłonie twoje są podstępne i zdradliwe, a oczy twoje zwodnicze, zaś najbardziej zwodniczy jest twój język, który wypluwa mi gorzkie kłamstwa prosto w twarz. Ale kłamstwa twoje brzmią mile w uszach starej kobiety, Sinuhe, i dlatego nie będę się wstrzymywać, lecz opowiem ci wszystko, co wiem o księżniczce z Mitanni, która mogła zostać wielką królewską małżonką, choć te moje słowa mogłyby mi zacisnąć cienki postronek na szyi, gdyby Teje jeszcze żyła. Widzisz, Sinuhe, księżniczka Tadukhipa była zaledwie małą dziewczynką, gdy przybyła z dalekiego kraju do domu kobiet faraona. Była tylko małą dziewczynką i bawiła się lalkami, i rosła w domu kobiet faraona tak samo jak mała księżniczka, którą wydano za Echnatona i która także umarła. A faraon Amenhotep nie zbliżał się do niej jako mężczyzna, lecz bardzo ją lubił jako dziecko i bawił się z nią lalkami, i darowywał jej złote zabawki. Ale Tadukhipa wyrosła na kobietę i gdy skończyła lat czternaście, zrobiła się piękna. Członki jej były wątłe i wysmukłe, ciemne oczy patrzyły z zadumą, a skóra jej podobna była do jasnego popiołu, jak u wszystkich kobiet z Mitanni. Wtedy wypełnił faraon swój obowiązek wobec niej, tak jak zwykle z przyjemnością wypełniał swoje obowiązki wobec wielu kobiet mimo wszystkich intryg Teje, bo w tych sprawach mężczyznę niełatwo powstrzymać, dopóki nie wyschną korzenie jego drzewa. I tak to jęczmień zaczął zielenić się dla Tadukhipy, a po jakimś czasie jęczmień zaczął zielenić się także dla Teje, która wielce triumfowała, bo urodziła dotychczas faraonowi tylko jedną córkę, właśnie tę krnąbrną i zarozumiałą Baketamon, to jest chciałam powiedzieć Baketaton, ale że jestem tylko starą kobietą, język mi się łatwo płacze.

Pokrzepiła język winem i wcale jej się nie płatał, gdy bardzo płynnie ciągnęła dalej:

– Każdemu, kto coś wie, wiadomo jednak, że jęczmień Teje pochodził z Heliopolis.

O tej jednak sprawie lepiej nic więcej nie mówić. W każdym razie Teje żyła w wielkim niepokoju w okresie ciąży Tadukhipy i próbowała, jak tylko mogła, zepsuć jej ciążę z pomocą swoich murzyńskich czarowników, podobnie jak to robiła z wielu kobietami faraona. Dwa noworodki posłała już w poprzednich latach z biegiem Rzeki w łódeczkach z sitowia, ale z nimi nie było dużego kłopotu, bo byli to synowie mało ważnych, drugorzędnych żon, a te kobiety okropnie się bały Teje, ona zaś wynagrodziła je licznymi darami, więc pogodziły się z tym, iż zamiast chłopców znalazły obok siebie dziewczynki. Ale księżniczka z Mitanni była niebezpieczniejsza jako rywalka, bo pochodziła z królewskiego rodu i miała przyjaciół, którzy ją chronili, w nadziei że jeśli urodzi faraonowi syna, zostanie w miejsce Teje wielką królewską małżonką. Moc Teje była jednak tak wielka, a jej gwałtowność tak przerażająca, gdy jęczmień zazielenił się i dla niej, że nikt nie ośmiewał się jej przeciwstawić, tym bardziej że i Eje, którego przywiozła z Heliopolis, stał po jej stronie. Gdy więc księżniczka z Mitanni miała rodzić, odesłano jej przyjaciół, a ją otoczono murzyńskimi czarownikami, by, jak to się nazywało, złagodzić jej ból. A kiedy chciała zobaczyć swego syna, pokazano jej nieżywą dziewczynkę. Ale Tadukhipa nie uwierzyła Teje i także ja, Mehunefer, wiem, że urodziła ona syna i że syn ten żył i tej samej jeszcze nocy popłynął z prądem Rzeki w łódeczce z sitowia.

Zaśmiałem się głośno i zapytałem:

– Skąd to właśnie ty mogłaś o tym wiedzieć, o piękna Mehunefer?

Uniosła się i wino polało jej się po brodzie, gdy napiła się z pucharu, i syknęła:

– Na wszystkich bogów, to ja własnymi rękami zbierałam sitowie, bo Teje nie chciała brodzić w wodzie z powodu ciąży.

Słowa jej przejęły mnie zgrozą i podniósłszy się gwałtownie, wylałem wino z pucharu na podłogę i roztarłem je stopą na macie, by okazać moją zgrozę. Ale Mehunefer schwyła mnie za dłonie i przyciągnawszy do siebie zmusiła, żebym usiadł, i rzekła:

– Nie miałam naturalnie zamiaru opowiadać ci tego i wyrządzam sobie wielką szkodę mówiąc o tym, ale masz coś w sobie, co działa na mnie tak mocno, że serce moje nie ma przed tobą żadnej tajemnicy, Sinuhe. Toteż wyznaję ci, że sama ścinałam sitowie, a Teje splotła z niego łódeczkę, bo nie ufała żadnym sługom, mnie zaś związała z sobą czarami i mymi własnymi uczynkami. W głupocie młodości popełniłam bowiem postęпки, za które zostałam wychłostana i wygnana ze Złotego Domu, gdyby wyszły na jaw. Któż jednak w Złotym Domu nie popełniał takich postępków? Nie pora opowiadać ci o tym teraz. W każdym razie Teje związała mnie z sobą i weszłam do wody brodząc, i nacięłam sitowia, a ona plotła w mroku łódeczkę i śmiała się sama do siebie, i plotąc mówiła

bezbożne słowa, bo była zadowolona, że w taki sposób pokona księżniczkę z Mitanni. Ja zaś uspokajałam serce myślą, że ktoś przecież z pewnością znajdzie to dziecko, choć wiedziałam, że tak się nie stanie, bo dzieci, które w łódeczkach z sitowia płyną z prądem Rzeki, umierają od upału lub też są porywane przez krokodyle czy drapieżne ptactwo. Księżniczka z Mitanni nie zadowoliliła się jednak dzieckiem, które czarownicy położyli przy niej, bo kolor skóry dziecka był inny niż kolor jej skóry, a także kształt czaszki był inny niż jej, i księżniczka nie wierzyła, by to ona je urodziła. Płeć kobiet z Mitanni jest bowiem gładka jak skórka owocu i ma kolor dymu lub jasnego popiołu, a głowy ich są maleńkie i piękne. Toteż księżniczka zaczęła biadać i okropnie płakać, i rwać sobie włosy, i oskarżać czarowników i Teje, dopóki Teje nie kazała lekarzom dać jej środka nasennego i nie oświadczyła, iż księżniczka straciła zmysły urodziwszy martwe dziecko. I męskim zwyczajem faraon bardziej wierzył Teje niż Tadukhipie. Od tej pory Tadukhipa zaczęła gasnąć, aż umarła, ale przed śmiercią próbowała jeszcze wiele razy uciec ze Złotego Domu, by szukać swego synka, i z tego powodu wszyscy sądzili, że umysł jej uległ zamroczeniu.

Spojrzałam na swoje ręce, które były jasne w porównaniu z sękatymi rękami Mehunefer, a skóra na moich rękach była koloru dymu. Podniecenie moje i zgroza były tak wielkie, że całkiem cichutko spytałam:

– Piękna Mehunefer, czy możesz mi jeszcze powiedzieć, kiedy to wszystko się działo?

Pogładziła mnie po karku swymi ciemnymi palcami i odparła sepleniąc:

– O piękny chłopcze, dlaczego trwonisz czas na takie stare dzieje, skoro mógłbyś go lepiej zużytkować. Ale ponieważ nie mogę ci odmówić niczego, powiem ci, że wszystko to stało się wówczas, gdy wielki faraon panował już przez dwadzieścia dwa lata, i działo się to w jesieni, gdy Rzeką wezbrała najbardziej. A jeśli dziwisz się, że pamiętam to wszystko tak dokładnie, mogę ci na wytłumaczenie powiedzieć, że w tym samym roku urodził się faraon Echnaton, ale dopiero wiosną, w czasie zasiewów, gdy weszła Psia Gwiazda. Dlatego tak dobrze to pamiętam.

Słowa jej przejęły mnie zgrozą i sparaliżowały tak, że nie mogłem się bronić ani nawet nie czułem, gdy mokrymi od wina ustami dotknęła mojej twarzy, zostawiając ceglaste ślady szminki pokrywające jej wargi i policzki. Objęła mnie też ramionami i przycisnęła mocno, nazywając swoim małym byczkiem i swoim gołąbkim. Bronilem się w roztargnieniu, a myśli kipiały we mnie jak morze i wszystko burzyło się gwałtownie przeciw tej okropnej wiadomości. Gdyż jeśli prawdą było to, co mi opowiedziała, to może płynęła w moich żyłach krew wielkiego faraona i byłem przyrodnym bratem

faraona Echnatona, i może też mógłbym być zostać faraonem przed nim, gdyby chytróść Teje nie pokonała miłości mojej zmarłej matki. Wpatrywałem się przed siebie i zdawało mi się, że rozumiem już, dlaczego zawsze byłem samotny i obcy na ziemi, bo królewska krew jest samotna między ludźmi. Sądziłem też, że rozumiem, dlaczego było mi tak dziwnie na duchu w kraju Mitanni i dlaczego uważałem, iż cień śmierci spoczywa na tym pięknym i czarującym kraju.

Ale natarczywość Mehunefer przywiodła mnie znów do przytomności i musiałem napiąć całą swoją wolę, żeby wytrzymać jej słowa i pieszczoty, bo jej ręce i jej mowa były dla mnie wstrętne, jak wstrętne było mi teraz wszystko w Złotym Domu. Rozsądek zmuszał mnie jednak do wytrwania, skłoniłem ją więc do tego, żeby upiła się jeszcze bardziej i zapomniała o wszystkim, co mi opowiedziała. Ale gdy się upiła, zrobiła się zupełnie okropna i w końcu musiałem domieszać jej do wina soku makowego, żeby zasnęła i żebym mógł się jej pozbyć.

Gdy wreszcie opuściłem jej komnatę i dom kobiet, była już noc. Strażnicy i służby w Złotym Domu pokazywali mi sobie palcami chichocząc, nogi chwiały się pode mną, oczy miałem wybałuszone i szaty zmięte. W domu czekała na mnie Merit, niespokojna i trwożna, że się spóźniam, a także pragnęła usłyszeć o śmierci królowej matki. Gdy mnie zobaczyła, podniosła ręce do ust i także Muti przycisnęła ręce do ust, i obie wymieniły ze sobą spojrzenia. W końcu Muti odezwała się do Merit rozgorączkowanym głosem:

– Czyż ci nie mówiłam tysiąc razy, że wszyscy mężczyźni są tacy sami i że nie można na nich polegać?

Ale ja byłem zmęczony i chciałem zostać sam ze swoimi myślami. Toteż powiedziałem do nich z gniewem:

– Miałem dzień męczący i nie mogę ścierpieć waszych fochów.

Wtedy oczy Merit zrobiły się twarde, twarz jej pociemniała od gniewu i podniosłszy mi do oczu srebrne zwierciadło powiedziała:

– Spójrz na swoją twarz, Sinuhe! Wcałe ci nie bronię zabawiania się z obcymi kobietami, ale chciałabym, żebyś to przynajmniej robił po kryjomu, by nie ranić mi serca. A chyba nie możesz w żaden sposób twierdzić, że byłeś sam i spędziłeś w smutku czas od chwili opuszczenia tego domu.

Obejrzałem swoją twarz i okropnie się przeraziłem, bo cała była pokryta plamami szminki Mehunefer, której usta pozostawiły czerwone znaki na moich policzkach, na szyi i na skroniach. Chcąc ukryć swoją brzydotę i liczne zmarszczki, pomalowała ona sobie bowiem twarz tak grubo, że szminka tworzyła jak gdyby warstwę, a w swej próżności smarowała na nowo wargi za każdym razem, gdy napiła się wina z pucharu. Toteż twarz

moja wyglądała jak twarz dotkniętego zarazą i wstydziłem się z całego serca, i szybko ją wytarłem, a Merit bezlitośnie trzymała cały czas przede mną zwierciadło.

Kiedy już zmyłem sobie twarz oliwą, powiedziałem ze skruchą:

– Z pewnością zupełnie źle sobie wszystko tłumaczysz, Merit, moja najdroższa. Pozwól więc, że ci wyjaśnię wszystko.

Ale ona spojrzała na mnie z ukosa i odparła:

– Nie trzeba żadnych wyjaśnień, Sinuhe, i nie chcę, żebyś plugawił sobie usta kłamstwem z mego powodu, bo niemożliwością jest coś zrozumieć, gdy się widziało twój wysmarowany ryj. Z pewnością sądziłeś, że już nie czuвам i nie czekam na ciebie, jeśli nie zatroszczyłeś się nawet o to, żeby zmyć z twarzy ślady rozpusty. A może chciałeś chępić się przede mną podbojami i pokazać mi, że kobiety w Złotym Domu są przy tobie jak słabe trzciny? Albo też całkiem po prostu spiłeś się jak wieprz, tak że już wcale nie zdawałeś sobie sprawy, jak niewłaściwie się zachowujesz?

Z wielkim wysiłkiem starałem się ją uspokoić, a ze współczucia dla niej i Muti wybuchnęła płaczem i przykrywszy twarz wyszła szlochając do kuchni, wielką objawiając pogardę dla wszystkich mężczyzn. Doprawdy więcej miałem trudu z uspokojeniem Merit niż pozbyciem się Mehunefera, tak że w końcu przeklinałem głośno wszystkie kobiety i powiedziałem:

– Merit, znasz mnie przecież lepiej niż ktokolwiek inny i możesz na mnie polegać. Wierz mi zatem, że gdybym chciał, mógłbym ci to wszystko wyjaśnić i na pewno byś mnie zrozumiała. Ale to może nie tylko moja tajemnica, to tajemnica Złotego Domu i dlatego dla twego własnego dobra lepiej będzie, gdy jej nie będziesz znać.

Język jej jednak był ostrzejszy od żądła osy, gdy drwiąco odparła:

– Sądziłam, że cię znam, Sinuhe, ale teraz widzę, że w sercu twoim są czeluście, których nawet nie przeczuwałam. Bez wątplenia dobrze czynisz oszczędzając cześć kobiety i ja też wcale nie jestem ciekawa twojej tajemnicy. Daleka jestem od tego, bo jeśli chodzi o mnie, masz pełną swobodę i możesz robić, co ci się podoba, i dziękuję też wszystkim bogom, że umiałam zachować wolność i nie zgodziłam się na to, by słuc z tobą dzban, jeżeli w ogóle mówiąc o tym istotnie tego chciałeś. Ach, Sinuhe, jaka byłam głupia wierząc twoim kłamliwym słowom. Z pewnością to samo szeptałeś do pięknych uszek przez całą tę noc. Dlatego wolałabym raczej nie żyć.

Próbowałem ją pogłaskać, żeby ją uspokoić, ale cofnęła się i powiedziała:

– Nie dotykaj mnie, Sinuhe, bo jesteś z pewnością bardzo zmęczony od tarzania się przez całą noc na miękkich matach w pałacu. Nie wątpię wcale, że maty te są miększe od mojej, ani też, że znajdujesz tam młodsze i piękniejsze ode mnie towarzyszk zabaw.

Tak to mówiła zadając memu sercu mnóstwo maleńkich piekących ran, aż wreszcie zdawało mi się, że zwariuję. Dopiero wtedy dała mi spokój i odsunawszy mnie odeszła, nie pozwalając nawet odprowadzić się do „Ogona Krokodyla”. Cierpiałbym może jeszcze bardziej, że odeszła, gdyby nie to, iż serce moje szumiało od myśli jak morze i że chciałem zostać sam z moimi rozmyślaniami. Toteż pozwoliłem jej iść i zdaje mi się, że bardzo była zdziwiona, iż jej dałem odejść bez dalszych sprzeciwów.

Nocy tej czuwałem przewracając się bezsennie na macie i borykając się z myślami, które z każdą chwilą mi się przejaśniały i odbiegały coraz dalej, w miarę jak wino wietrzało mi z głowy, a chłód przenikał moje członki, bo nie miałem już przy sobie nikogo, kto by mnie ogrzewał. Wsłuchiwałem się w cichy szum wody szmerzącej w zegarze i upływ jej nie ustawał ani na chwilę, a czas mijał mi bez miary, tak że poczułem się sam sobie daleki. I powiedziałem sobie w sercu:

Ja, Sinuhe, jestem tym, czym zrobiły mnie moje uczynki, i nic innego nie ma znaczenia. Ja, Sinuhe, popchnąłem moich przybranych rodziców do przedwczesnej śmierci dla okrutnej kobiety. Ja, Sinuhe, przechowuję wciąż jeszcze srebrną przepaskę z włosów Minei, mojej siostry. Ja, Sinuhe, widziałem pływające w wodzie padło morskiego byka i widziałem, jak twarz mojej najdroższej poruszała się, gdy morskie kraby szarpały jej martwe ciało. Cóż zatem za znaczenie ma moja krew i pochodzenie, gdy wszystko to było zapisane w gwiazdach jeszcze przed moim urodzeniem, kiedy postanowione zostało, że będę obcym na tej ziemi. Dlatego też spokój Achetaton był dla mnie tylko pozłoconym kłamstwem i trzeba mi było tej straszliwej wiadomości, ażeby serce moje ocknęło się znowu ze swego znieczulenia i żebym wiedział, że zawsze już będę sam.

Ale gdy słońce wstało w potokach złotych blasków za górami na wschodzie, w jednym oka mgnieniu znikły wszystkie mroczne cienie nocy. I tak dziwnie ukształtowane jest serce ludzkie, że śmiałem się gorzko z mar i przywidzeń mego własnego mózgu. Albowiem, mimo że owej nocy płynąłem w dół Rzeki w łódeczce z sitowia i mimo że osmolone tyko łódeczki wiązane było węzłami ptasznika, każdej nocy płynęły w owym czasie w dół Rzeki w łódczkach z sitowia dzieci porzucone przez matki, a z Dolnego Kraju przybywali żeglarze, którzy może uczyli uwiedzione przez siebie kobiety wiązać węzły Dolnego Kraju. I nie było też żadnym dowodem to, że skóra moja była czerwona i jaśniejsza niż skóra zwykłych ludzi, bo lekarz spędza życie pod dachem i parasolem, a skóra jego jest jaśniejsza, niż u innych ludzi. Nie, w świetle dziennym nie umiałem znaleźć żadnego niewątpliwego dowodu mojego pochodzenia.

Toteż umyłem się i odziałem, a Muti podała mi piwo i soloną rybę. Oczywiście były

czerwone od płaczu i wielce mną pogardzała, ponieważ byłem mężczyzną. Kazałem się zanieść do Domu Życia i pracowałem tam badając pacjentów, ale nie znalazłem ani jednego wypadku choroby, w którym wskazane byłoby otwarcie czaszki. Z Domu Życia wyszedłem przez pylony i przechodząc obok opustoszałej świątyni słyszałem, jak tłuste kruki skrzeczą w kamiennych okratowaniach górnych okien, pod listwą dachu.

Jaskółka przefrunęła koło mnie, przelatując w kierunku świątyni Atona, poszedłem tam za nią. Kapłani śpiewali hymny ku czci Atona i składali mu w ofierze kadzidło, owoce i zboże. A świątynia wcale nie była pusta, lecz było tam wiele ludzi, którzy słuchali hymnów Atona i podnosili ręce w górę, by wielbić go, a kapłani pouczali ich o prawdzie faraona. Ale nie miało to szczególnego znaczenia, bo Teby były wielkim miastem i nie było tam miejsca, do którego by ciekawość nie mogła ściągnąć dużo ludzi. Jaskółka leciała przede mną jak strzała, a ja biegłem za nią wzrokiem, przyglądając się scenom wykutym na ścianach świątyni. Z dziesiątek kamiennych kolumn patrzył na mnie faraon Echnaton, a oblicze jego było przerażające w swej namiętności. Znalazłem tam też scenę wykutą według prawideł nowej sztuki, przedstawiającą faraona Amenhotepa, jak siedzi stary i schorzały na tronie, z głową ugiętą pod ciężarem dwu koron, mając u boku królową Teje. Były tam też obrazy przedstawiające całą królewską rodzinę i zatrzymałem się przed jednym, na którym księżniczka Tadukhipa z Mitanni składa ofiarę bogom Egiptu. Ale pierwotny napis został usunięty, nowy zaś głosił, że składa ona ofiarę Atonowi, chociaż za jej życia Atona jeszcze nie czczono w Tebach.

Scena ta wykuta była według prawideł starej sztuki i księżniczka była młodą, piękną kobietą, wciąż jeszcze niemal dziewczynką. Nosiała królewskie przybranie głowy, członki jej były wątłe i smukłe, a głowa piękna i maleńka. Patrzyłem długo na ten obraz, a jaskółki śmigają mi koło głowy szczebiocząc radośnie, aż duszę moją, znużoną bezsennością i myślami, ogarnęło przemożne wzruszenie, tak że schyliłem czoło i zapłakałem nad losem, który spotkał tę samotną dziewczynkę, przybyłą z obcego kraju. To dla niej chciałem być równie piękny jak ona, ale członki moje były grube i obwisłe, a głowa łysa pod lekarską peruką, na czole moim myśli wyżłobiły głębokie zmarszczki, a twarz nabrzmiała mi od dobrobytu w Achetaton. Nie, gdy porównywałem siebie z nią, nie mogłem sobie wyobrazić, że jestem jej synem, lecz mimo to duszę przepełniło mi wzruszenie i płakałem nad jej samotnością w Złotym Domu faraona, a jaskółki fruwały mi dookoła głowy. Wspominałem piękne domy i melancholijnych ludzi w krainie Mitanni, wspominałem też zakurzone drogi i gliniane klepiska Babilonu i czułem, że młodość nieodwołalnie odeszła ode mnie i że moja męskość ugrzęzła w bagienku i stojącej wodzie Achetaton.

Tak minął mi dzień i zrobił się wieczór, gdy wróciłem do portu i poszedłem do „Krokodylego Ogona”, by coś tam zjeść i pojednać się z Merit. Przyjęła mnie szorstko, traktując jak obcego, i podała mi jedzenie stojąc obok mego stołka i patrząc na mnie bardzo chłodno. A gdy zjadłem, zapytała:

– Czy spotkałeś swoją ukochaną?

Odparłem z rozdrażnieniem, że wcale nie chodziłem na spotkania z kobietami, lecz wykonywałem swój zawód w Domu Życia, a potem byłem w świątyni Atona. I aby pokazać jej, jak bardzo jestem dotknięty, opisałem jej dokładnie każdy krok, który zrobiłem tego dnia, ale ona przez cały czas przyglądała mi się z drwiącym uśmiechem. A gdy skończyłem rzekła:

– Wierzę ci, że nie chodziłeś szukać kobiet, boś się zmęczył już wczoraj wieczorem, a że jesteś łysy i tusty, nie możesz już nic więcej zdziałać. Miałam na myśli tylko to, że twoja ukochana była tu, żeby cię szukać, i że skierowałam jej kroki do Domu Życia.

Poderwałem się tak gwałtownie, że wywróciłem stołek, i zawołałem:

– Co to znaczy, szalona kobieto?

Merit poprawiła włosy dłonią, uśmiechnęła się szyderczo i powiedziała:

– Naprawdę, twoja ukochana przyszła aż tutaj, żeby cię odszukać, przybrana jak narzeczona, obsypana lśnięcymi klejnotami i wymalowana jak małpa, a zapach maści, którymi była wysmarowana, rozchodził się aż do Rzeki. Zostawiła dla ciebie pozdrowienia i list, na wypadek gdyby cię nie spotkała, a ja pragnę z całego serca, żebyś trzymał ją stąd z dala, bo jest to uczciwy dom, ona zaś zachowywała się jak stręczycielka.

Podała mi list, który nie był zapieczętowany, ja zaś rozwinąłem go drżącymi dłońmi. A gdy przeczytałem, krew uderzyła mi do głowy, a serce zaczęło mi gwałtownie walić w piersi. Tak bowiem pisała do mnie Mehunefer:

„Lekarza Sinuhe pozdrawia siostra jego serca, Mehunefer, opiekunka skrzynki z przyborami do szycia w Złotym Domu faraona.

Mój mały byczku, mój luby gołąbku, Sinuhe!

Całą noc spędziłam na mojej macie bezsennie i samotnie, z bólem głowy. Lecz jeszcze bardziej bolało mnie serce, bo mata moja była pusta i ciebie nie było przy moim boku, i tylko zapach twoich maści został mi na dłoniach. O, chciałabym być fartuchem na twoich biodrach, balsamem na twoich włosach, winem w twoich ustach, Sinuhe. Szukając ciebie każę się nosić od domu do domu i nie zaniecham trudów, dopóki cię nie odnajdę, bo na samą myśl o tobie biegają mi po ciele mrówki. Oczy twoje są rozkoszą dla moich oczu i wcale nie potrzebujesz się bać przyjść do mnie, chociaż wiem, że jesteś

wstydlivy, bo w Złotym Domu wszyscy już znają moją tajemnicę i sładzy przyglądają mi się przez palce. Śpiesz więc do mnie, gdy tylko będziesz mógł, śpiesz na skrzydłach ptaka, bo serce moje tęskni do ciebie. Jeśli ty nie pośpieszysz do mnie, to ja pofrunę do ciebie szybciej niż ptak.

Siostra twego serca, Mehunefer, pozdrawia cię.”

Przeczytałem kilkakrotnie ten okropny bełkot, nie ośmielając się spojrzeć na Merit, dopóki nie wyrwała mi listu z ręki. Złamała pręt, na który był nawinięty, podarła i podeptała papirus i zawołała gwałtownie:

– Mogłabym cię jeszcze zrozumieć, Sinuhe, gdyby ona była młoda i piękna, ale jest stara i brzydka, i pomarszczona jak bukłak, choć maluje sobie twarz tak, jak się tynkuje ścianę. Wcale nie rozumiem, co sobie myślisz, Sinuhe. A może to blask Złotego Domu tak cię olśnił, że wszystko widzisz na opak? Twoje postępowanie ośmiesza cię w całych Tebach, a także i ze mnie robisz pośmiewisko.

Zacząłem drzeć na sobie szaty i szarpać paznokciami pierś, biadać i wołać:

– Zrobiłem straszne głupstwo, Merit, ale miałem swoje powody po temu i nie przypuszczałem, że zostanę tak okropnie ukarany. Idź, poszukaj moich wioślarzy, zbierz ich i każ im wciągnąć żagle na statku, bo muszę uciekać. Inaczej przyjdzie ta straszna baba i zgwałci mnie, a ja nie mogę się przed nią obronić, bo pisze, że przyleci do mnie szybciej niż ptak, w co wierzę.

Widziała moje przerażenie i strach i sądzę, że w końcu uwierzyła, iż nie miałem do czynienia z Mehunefer, bo nagle zaczęła się śmiać. Śmiała się tak serdecznie, że aż się zanosila od śmiechu, aż przysiadala ze śmiechu. I w końcu powiedziała zadyszana:

– Mam nadzieję, że to cię nauczy być ostrożniejszym z kobietami, Sinuhe, bo my, kobiety, jesteśmy kruchymi naczyniami i, sama dobrze wiem, jakim uwodzicielem jesteś, Sinuhe, mój ukochany. – Drwiła ze mnie niemiłosiernie i z udaną pokorą ciągnęła:

– Przypuszczam, że ta wytworna dama daje ci większą przyjemność niż ja, bo miała co najmniej dwa razy tyle lat na rozwinięcie swojej sztuki miłosnej, tak że wcale nie zamierzam z nią współzawodniczyć i obawiam się, że dla niej okrutnie mnie porzucisz.

Byłem w takich opalach, że zabrałem Merit z sobą do domu należącego dawniej do odlewacza miedzi i opowiedziałem jej wszystko. Opowiedziałem jej tajemnicę swego urodzenia jak też to, co udało mi się wyciągnąć z Mehunefer, i opowiedziałem jej także, dlaczego nie chce mi się wierzyć, by urodzenie moje miało coś wspólnego ze Złotym Domem i księżniczką z Mitanni. Słuchając mnie spoważniała i przestała się śmiać. Długo wpatrywała się przed siebie, a troska kryjąca się na dnie jej oczu stawała się coraz bardziej mroczna. Aż w końcu położyła mi rękę na ramieniu i rzekła:

– Teraz rozumiem wiele, Sinuhe, i rozumiałam w tobie to, czego dotychczas nie rozumiałam, i rozumiem, dlaczego twoja samotność wołała do mnie nie wydając głosu i dlaczego robiłam się taka słaba, gdy na mnie spojrześ. I ja mam swoją tajemnicę i ostatnio nieraz chwyciła mnie pokusa, żeby ci o niej powiedzieć. Ale teraz cieszę się i dziękuję bogom, że ci jej nie opowiedziałam, bo ciężko jest dźwigać tajemnice i bywają one niebezpieczne, toteż lepiej jest dźwigać je samemu niż dzielić ich ciężar między dwoje. Rada jestem, żeś mi wszystko opowiedział. Jak sam mówisz, lepiej nie dręcz sobie serca rozmyślaniami nad tym wszystkim, co może się nigdy nie zdarzyć, lecz zapomnij o tym tak, jak gdyby to był tylko sen, a i ja o tym zapomnę.

Zaciekawilem się i chciałem poznać jej tajemnicę, ale ona nie chciała jej wyjawić i dotknęła tylko ustami moich policzków, objęła mnie ramieniem za szyję i przez chwilę płakała. A w końcu rzekła:

– Jeśli zostaniesz w Tebach, spotka cię coś złego ze strony tej kobiety. Mehunefer będzie cię prześladować swoją namiętnością dzień po dniu, aż życie twoje stanie się nie do zniesienia. Widziałam już tego rodzaju kobiety i wiem, jak okropne być potrafią. Także i ty ponosisz w tym winę, boś jej wmówił najrozmaitsze rzeczy i zrobiłeś to zbyt zręcznie. Dlatego najlepiej chyba będzie, żebyś wrócił do Achetaton, bo dokonałeś już koniecznych operacji otwarcia czaszek i nie masz tu innych ważnych spraw do załatwienia. Ale najpewniej będzie, gdy przed odjazdem napiszesz do niej list i zaklniesz ją, żeby zostawiła cię w spokoju, bo inaczej pójdziesz za tobą i stłucze z tobą dzban, gdy nie będziesz mógł się bronić, a takiego losu nie życzyłabym ci.

Rada jej była dobra, toteż zaraz kazałem Muti pozbierać moje rzeczy i zapakować je w maty i posłałem niewolników, by zebrali moich wioślarzy z portowych piwiarni i domów rozpusty. Tymczasem zaś sam napisałem list, a nie chcąc zranić Mehunefer, napisałem do niej bardzo uprzejmie:

„Królewski otwieracz czaszek, Sinuhe, pozdrawia Mehunefer, opiekunkę skrzynki z przyborami do szycia w Złotym Domu w Tebach.

Droga przyjaciółko!

Żałuję ogromnie, że moje podniecenie wywołało w tobie fałszywe pojęcie o stanie mego serca. Już nigdy nie mogę się z tobą spotkać, ponieważ mogłoby to mnie skusić do grzechu, a serce moje jest już zajęte. Dlatego odjeżdżam i nie zamierzam już nigdy spotkać się z tobą, i mam nadzieję, że zachowasz mnie w pamięci tylko jako przyjaciela. Wraz z tym listem posyłam ci dzban napitku, który nazywają ogonem krokodyla, a który, mam nadzieję, złagodzi smutek, jaki może odczujesz. Ale zapewniam cię, że nie ma czego żałować, bo jestem starym, słabym i zmęczonym życiem człowiekiem, z

którego taka jak ty kobieta nie miałyby żadnej pociechy. Cieszy mnie ogromnie, że w ten sposób uchronię nas oboje od grzechu, i nie zamierzam już nigdy spotkać się z tobą. W nadziei, że tak się stanie, twój szczerze oddany Sinuhe, lekarz królewski”.

Merit przeczytała list, pokiwała głową i orzekła, że ton jego jest zbyt łagodny. Jej zdaniem powinienem był napisać ostrzej i oświadczyć, że Mehunefer jest w moich oczach starym, brzydkim babskiem i że uciekam przed nią, żeby się jej pozbyć. Czegoś takiego nie mogłem jednak napisać do kobiety i po krótkiej sprzeczce Merit pozwoliła mi zwinąć list w rolkę i zapieczętować go, choć wciąż jeszcze złowróźnie potrząsała głową. Posłałem niewolnika z listem do Złotego domu, każąc mu równocześnie zanieść tam dzban wina, żeby upewnić się, że Mehunefer przynajmniej tego wieczoru nie będzie mnie już prześladować. Sądziłem, że w ten sposób pozbyłem się wreszcie Mehunefer, i odetchnąłem z ulgą, jak się później okazało, trochę jeszcze przedwczesną.

Tak bardzo przejęty byłem strachem, że zupełnie zapomniałem o Merit i o tym, jak mi jej będzie brakowało. A gdy list został już wysłany, a Muti zawijała moje skrzynki i szkatułki w maty, spojrzałem na Merit i serce moje przepełniło się niewypowiedzianym smutkiem, gdy pomyślałem, że tracę ją z powodu własnej głupoty, bo inaczej mógłbym jeszcze zostać przez jakiś czas w Tebach. Także i Merit pograżyła się w myślach i niespodziewanie zapytała:

– Czy lubisz dzieci, Sinuhe?

Pytanie zaskoczyło mnie, a ona popatrzyła mi w oczy, uśmiechnęła się i rzekła:

– O, nie bój się, Sinuhe. Nie zamierzam ci urodzić dziecka. Ale moja przyjaciółka ma czteroletniego chłopca i często mówi, jak to by było wspaniale, gdyby dzieciak mógł odbyć podróż Rzeką i zobaczyć zielone łąki i rozkołysane zbożem pola, ptactwo wodne i trzody bydła, zamiast zakurzonych brukowanych ulic tebańskich, kotów i psów.

Ogromnie się przeląknęłam i wykrzyknęłam:

– Chyba nie chcesz, żebym na mój statek zabierał jakiegoś niesforenego malca twojej przyjaciółki, pozbawiając się w ten sposób spokoju i żebym podczas całej podróży musiał ze ściśniętym gardłem pilnować, by dzieciak nie wpadł do wody czy nie wsadził ręki w paszczę krokodyla?

Merit patrzyła na mnie z uśmiechem, ale na dnie oczu pojawił się cień smutku, gdy powiedziała:

– Nie chcę ci naturalnie przysparzać żadnych kłopotów, ale podróż Rzeką zrobiłaby chłopcu doskonale, że zaś ja sama zaniósłam go w ramionach do obrzezania, mam wobec niego pewne obowiązki, co z pewnością dobrze rozumiesz. Oczywiście zamierzam pojechać z chłopcem i czuwać, żeby nie wpadł do wody, a w ten sposób

miałabym powód, żeby towarzyszyć ci w podróży. Ale nie chcę nic robić wbrew twojej woli, toteż najlepiej zapomnijmy o tej sprawie.

Usłyszawszy to wykrzyknąłem z radości i klasnąwszy w dłonie nad głową zawołałem:

– Jeśli tak, możesz z sobą zabrać cały dzieciniec ze świątyni. Doprawdy, wielki to dla mnie i radosny dzień, bo sam jestem tak głupi, że nawet mi na myśl nie przyszło, iż mogłabyś mi towarzyszyć do Achetaton. Również opinia twoja nie ucierpi z mojego powodu, jeśli zabierzesz z sobą dziecko, bo w ten sposób będziesz mieć słuszne powody odbycia podróży Rzeką.

– Właśnie tak myślałam, Sinuhe – powiedziała Merit uśmiechając się przekornie, tak jak uśmiechają się kobiety, gdy mowa o sprawach, których mężczyźni nie rozumieją. – Właśnie tak myślałam, że opinia moja nie będzie zagrożona, gdy zabiorę z sobą dziecko, i że w tym jest moje bezpieczeństwo. A ty to wypowiedziałeś. O jakżeż głupi są mężczyźni, ale ja ci to wybaczam.

Odjazd nasz był pośpieszny, bo ogromnie się bałem Mehunefer, ruszyliśmy więc w drogę o świtaniu, gdy niebo bieleje przed wschodem słońca. Dlatego też Merit zabrała dziecko i przyniosła je na statek jeszcze śpiące i otulone w kołderki, a matka dziecka nie wyszła do przystani, mimo że chętnie byłbym zobaczył kobietę, która ośmieliła się dać swemu dziecku imię Tot, gdyż ludzie rzadko ważą się nadawać dzieciom imiona bogów. Tot jest w dodatku bogiem sztuki pisania i wszystkich ludzkich i boskich umiejętności, tym większa była więc śmiałość tej kobiety. Ale chłopak spał beztrósko w ramionach Merit, nie czując wagi swego imienia, i zbudził się dopiero, gdy upłynęliśmy już spory kawał drogi i strażnicy Teb zginęli nam z oczu, a słońce rzucało na Rzekę złote i gorące promienie. Był to śliczny, tłuściutki i brunatny chłopczyk o czarnych, jedwabistych lokach. Wcale się mnie nie bał, lecz od razu wgramolił mi się na rękę, a ja trzymałem go chętnie w ramionach, bo było to dziecko spokojne. I nie kopał ani nie wrzeszczał w moich ramionach, tylko patrzył na mnie ciemnymi, myślącymi oczkami tak, jak gdyby w małej główce miał rozwiązanie wszystkich ludzkich zagadek. Ogromnie go polubiłem za jego spokój i plotłem mu małe łódeczki z sitowia, i pozwalałem mu się bawić moimi lekarskimi narzędziami i wachać rozmaite leki, bo bardzo lubił zapach leków i chętnie wtykał nosek do wszystkich naczyń.

Chłopczyk wcale nie sprawiał nam kłopotu na statku, nie wpadł nigdy do wody ani nie wsadził ręki w paszczę krokodyla, a także nie łamał mi moich trzcina do pisania. Podróż nasza była słoneczna i szczęśliwa, bo podróżowałem z Merit i co nocy spoczywała obok mnie na macie, a chłopczyk oddychał przez sen spokojnie w pobliżu

nas. Była to szczęśliwa podróż i do śmierci pamiętać będę szum sitowia na wietrze i wieczory, gdy bydło wypędzano do wodopoju na brzeg Rzeki. Były chwile, kiedy serce nabrzmiewało mi szczęściem jak dojrzały owoc sokami i powiedziałem raz do Merit:

– Merit, ukochana moja, stłuczmy z sobą dzban, ażebyśmy już zawsze żyli razem, a może pewnego dnia urodzisz mi syna takiego jak Tot, bo właśnie ty mogłabyś mi chyba urodzić chłopca, który byłby równie łagodny, brunatny i spokojny jak on. Doprawdy, zawsze tęskniłem za dzieckiem, a teraz młodość moja już minęła i krew oczyściła się z namiętności, i gdy patrzę na tego małego Tota, tęsknię za dzieckiem, które mógłbym mieć z tobą, Merit.

Ale ona położyła mi dłoń na ustach i odwracając twarz odparła:

– Nie pleć głupstw, Sinuhe, boć przecież wiesz, że wyrosłam w szynku i pewnie nie mogę już urodzić dziecka. A może też i lepiej jest, żebyś ty, który nosisz swój los w swoim sercu, był samotny i mógł kierować swoim życiem i postępkami nie skrępowany żoną i dzieckiem, bo wyczytałam to w twoich oczach, już gdyśmy się pierwszy raz spotkali. Nie, Sinuhe, nie mów do mnie o takich rzeczach, bo robię się słaba i może zacznę płakać, a nie chcę płakać, gdy przejmuję mnie szczęście. Inni budują sami swój los i wiążą się tysiącami węzłów, ty zaś nosisz swój los we własnym sercu, a los ten jest większy od mego. Ale bardzo lubię tego chłopaczka, a przed sobą mamy wiele jasnych i upalnych dni na Rzece. Wyobraźmy więc sobie, że stłukliśmy z sobą dzban i jesteśmy mężem i żoną, i że Tot jest naszym synem. Nauczę go, żeby nazywał ciebie ojcem a mnie matką, bo jest maleńki i szybko o tym zapomni, i nie poniesie przez to żadnej szkody. W taki sposób ukradniemy bogom maleńki kawałek życia, które będzie nasze w ciągu tych dni. I niech żaden smutek ani obawa przed jutrem nie mroczy nam naszej radości.

Usunąłem więc z duszy wszystkie niedobre myśli i zamknąłem oczy na niedolę Egiptu i na wygłodniałych ludzi w wioskach nadrzecznych i żyłem z dnia na dzień w czasie żeglugi w dół Rzeki. Mały Tot obejmował mnie za szyję i przytulał policzek do twarzy nazywając mnie „tatusiem”, i rozkosznie było przyciskać jego wątle chłopiące ciało do piersi. Co nocy czułem na szyi dotknięcie włosów Merit, która trzymała moje ręce w swoich, oddechem owiewała mi policzek i była moim przyjacielem. I nie dręczyły mnie już żadne koszmary. Jak sen upływały te dni i szybkie jak tchnienie przeminęły, i już ich nie było. Więcej nie chcę o nich opowiadać, bo gdy to czynię, wspomnienia drapią mnie w gardle jak plewy, a rosa z moich oczu zalewa znaki pisma. Człowiek nie powinien nigdy być zbyt szczęśliwy, gdyż nie ma nic bardziej przelotnego i nietrwałego jak ludzkie szczęście.

ROZDZIAŁ 7

Tak to wróciłem do Achetaton, ale nie byłem już taki sam jak wtedy, gdy wyjeżdżałem, i patrzyłem na Miasto Niebiańskie innymi oczyma niż poprzednio. Miasto i jego lekkie domki, lśniąca wszelkimi możliwymi kolorami w złotych promieniach słońca pod ciemnoniebieską kopułą nieba, wydawały mi się tylko pękającą bańką albo przelotną zjawą. Nie w Achetaton żyła prawda, lecz poza Achetaton, a prawdą tą był głód, cierpienie, nędza i przestępstwo, które głód ściągnął z sobą na Egipt. Merit i Tot powrócili do Teb, zabierając z sobą moje serce. Dlatego znowu widziałem wszystko chłodnymi oczyma i bez osłonek, a wszystko, co widziałem, było w moich oczach złe.

Ale nie minęło wiele dni po moim powrocie, gdy prawda przyszła do Achetaton i faraon Echnaton zmuszony był ją przyjąć na tarasie Złotego Domu, i musiał tej prawdzie spojrzeć w oczy. Horemheb przysłał mianowicie z Memfis grupę uchodźców z Syrii w całej ich niedoli, by pomówili z faraonem. Dał im na podróż, a jak przypuszczam, nawet napomniał ich, żeby przesadzili swoją niedolę. Stanowili okropny widok, gdy przybyli do Miasta Niebiańskiego. Dostojnicy dworu pochorowali się i pozamykali w swoich domach, gdy ich zobaczyli, a strażnicy zamknęli przed nimi wrota Złotego Domu. Oni jednak wołali głośno i łomotali we wrota kamieniami oraz rzucali kamienie o ściany Złotego Domu, aż faraon usłyszał ich głosy i kazał ich wypuścić na wewnętrzny dziedziniec.

Wzywali bowiem faraona wołając:

– Wysłuchaj krzyku zgrozy twego ludu, krzyku, który płynie z naszych okaleczonych ust, bo w kraju Kem władza jest już tylko cieniem chwiejącym się nad grobem, a wśród huku taranów i zgiełku pożarów leje się w miastach Syrii krew tych wszystkich, którzy ci zaufali i w tobie pokładali swoją nadzieję. – Podnosili kikuty ku złotemu tarasowi faraona i wołali: – Patrz na nasze ręce, faraonie Echnatonie! Gdzie są nasze dłonie? – I wypychali naprzód mężczyzn, którym wylupiono oczy i którzy występowali z tłumu szukając drogi po omacku, a starcy, którym wydarto z ust język, rozdziawiali usta i gardziele ich wydawały rykliwe dźwięki. Wzywali go wołając: – Nie pytaj o nasze żony i córki, bo los ich w rękach ludzi Aziru i w rękach Hetytów jest gorszy od śmierci. Wylupiono nam oczy i odcięto dłonie za to, że polegaliśmy na tobie, faraonie Echnatonie!

A faraon ukrył twarz w dłoniach i drżał jak liść w swej słabości, i mówił im o Atonie. Wtedy wyśmiali go okropnymi głosy i rzucali nań obelgi mówiąc:

– Wiemy doskonale, żeś wysłał krzyż życia także naszym wrogom. Powiesili go na sztychach swoich koni, a w Jerozolimie poobcinali kapłanom stopy i kazali im wykonywać

radosne skoki ku czci twego boga.

Wtedy faraon Echnaton wydał straszny okrzyk i chwyciła go znowu święta choroba, tak że spadł z tronu na taras, miotany skurczami, i stracił zmysły. Gdy zobaczyli to strażnicy, przerazili się i uderzyli na uchodźców z Syrii, ci jednak stawiali rozpaczliwy opór i krew ich popłynęła po płytach wewnętrznego dziedzińca Złotego Domu, a ciała ich wrzucono do Rzeki. Nefretete i Meritaton, chora Maketaton i mała Anchsenaton przyglądały się temu z tarasu Złotego Domu i nigdy tego widoku nie zapomniały, bo po raz pierwszy widziały wtedy skutki wojny, nędzę i śmierć.

Kazałem zawiązać faraona Echantona w mokre chusty, a gdy odzyskał przytomność, dałem mu środki uspokajające i uśmierzające, atak ten bowiem był tak ciężki, że bałem się, iż umrze. Udało mi się doprowadzić do tego, że usnął, ale gdy się zbudził z twarzą szarą jak popiół i oczyma zaczerwienionymi od bólu głowy, powiedział do mnie:

Sinuhe, mój przyjacielu, to się musi skończyć. Horemheb opowiadał mi, że znasz tego Aziru. Jedź do niego i kup mi pokój. Kup pokój dla Egiptu, nawet gdyby mnie to miało kosztować całe moje złoto i gdyby Egipt stał się potem krajem ubogim.

Sprzeciwiłem mu się gorąco i zaproponowałem:

– Faraonie Echnatonie, poślij twoje złoto Horemhebowi, a kupi ci wnet pokój oszczepami i wozami bojowymi i Egipt nie będzie musiał cierpieć hańby.

Złapał się za głowę i rzekł:

– Na Atona, Sinuhe, zali nie rozumiesz, że nienawiść rodzi nienawiść, a zemsta sieje zemstę, krew zaś rodzi krew, dopóki wszystko nie utonie we krwi. Jakaż korzyść mieć będą cierpiący z tego, że inni będą musieli cierpieć. Mówienie zaś o hańbie to tylko przesady. Toteż rozkazuję ci: jedź do Aziru i kup mi pokój.

Przeraziłem się jego pomysłem i cofnąłem się mówiąc:

– Faraonie Echnatonie, wyłupią mi oczy i wyrwą język z gardła, jeszcze zanim dojdzie do rozmowy z Aziru, i nie będę miał żadnego pożytku z jego przyjaźni, o której on z pewnością już dawno zapomniał. Nie przywykłem też do wojennych trudów i wojna budzi we mnie przerażenie. Członki mam sztywne i podróżowanie nie przychodzi mi już dziś łatwo. Nie umiem też układać słów tak zręcznie, jak to potrafiłyby ktoś szkolony do kłamstwa od dzieciństwa, ktoś, kto służy ci u królów obcych krajów. Toteż jeśli chcesz kupić pokój, poślij kogo innego, ale nie posyłaj mnie.

On jednak powtórzył z uporem:

– Zrób, jak ci rozkazuję! Tak każe faraon.

Ja jednak widziałem uchodźców na pałacowym dziedzińcu. Widziałem ich okaleczone usta i wyłupione oczy, i kikuty ich rąk. Toteż wcale nie miałem ochoty

jechać do Syrii, lecz udałem się do domu, żeby się położyć do łóżka i udawać chorego, dopóki faraon nie zapomni o tym kaprysie. Ale gdy szedłem w kierunku domu, wybiegł mi na spotkanie mój sługa i powiedział ze zdziwieniem:

– Dobrze, żeś przyszedł, mój panie, Sinuhe, bo z Teb przybył właśnie statek, a na nim kobieta imieniem Mehunefer, która twierdzi, że jest twoją przyjaciółką. Oczekuje cię w twoim mieszkaniu w szatach oblubienicy, a cały dom przepojony jest zapachem jej maści.

Wtedy zawróciłem na pięcie, pobiegłem do Złotego Domu i oświadczyłem faraonowi:

– Niech będzie, jak mówisz. Pojadę do Syrii, ale krew moja niech spadnie na ciebie. Jeśli jednak mam jechać, chcę jechać natychmiast, toteż każ pisarzom bezzwłocznie wypisać wszystkie potrzebne gliniane tabliczki, które świadczyć będą o mej randze i mej władzy, bo Aziru ma wielki szacunek dla glinianych tabliczek.

A gdy pisarze wypisywali tabliczki, pośpieszyłem do pracowni Totmesa, a on okazał się moim przyjacielem i nie zawiódł mnie w potrzebie. Nie widziałem go od owego dnia przed moją podróżą do Teb, kiedy Horemheb znalazł się w Achetaton, żeby próbować uzyskać pozwolenie faraona Echnatona na bronienie tego, co jeszcze było w egipskich rękach w Syrii. Po bezowocnej rozmowie z faraonem odwiedziliśmy wtedy razem Totmesa, by znaleźć pociechę w jego dobrej piwniczce i żeby przypomnieć mu jego dawną obietnicę, że zrobi posąg Horemheba, który miał być ustawiony w jego mieście rodzinnym Hetnetsut. Posąg, wykuty w brunatnym piaskowcu według prawideł nowej sztuki, był teraz gotowy. Był on bardzo żywy i oddawał pełną sprawiedliwość Horemhebowi, mimo że moim zdaniem Totmes przesadził trochę grubość mięśni jego ramion i szerokość klatki piersiowej, tak że Horemheb wyglądał na tym posągu raczej na zapaśnika niż na naczelnego wodza królestwa i dostojnika państwa. Ale zwyczajem nowej sztuki było przesadzanie aż do brzydoty wszystkiego, co oczy widziały, ponieważ według nowej sztuki to właśnie było prawdą. Stara sztuka ukrywała brzydotę ludzką i widziała człowieka z jego najlepszej strony oraz ukrywała jego wady, nowa natomiast widziała człowieka z jego najbrzydszej strony, ażeby nie zaniedbać prawdy. Nie wiem jednak, czy jest tak szczególnie zgodne z prawdą przejawianie ludzkiej brzydoty, ale Totmes uważał, że tak jest, a ja nie chciałem mu się sprzeciwiać, bo był moim przyjacielem. Wytarł posąg wilgotną szmatką, żeby pokazać mi, jak pięknie lśni piaskowiec w mięśniach Horemheba i jak świetnie kolor kamienia odpowiada barwie jego skóry, a potem powiedział:

– Chyba pojedę wraz z tobą aż do Hetnetsut i zabiorę z sobą ten posąg, żeby go

postawić w świątyni na miejscu odpowiadającym randze Horemheba, a także i mojej własnej randze rzeźbiarza. Doprawdy, pojedę z tobą, Sinuhe, żeby wiatr na Rzece przegonił mi z głowy opary wina z Achetaton, bo ręce trzęsą mi się od ciężaru dłuta i młotka, a gorączka zżera mi serce.

Pisarze przynieśli mi tabliczki potrzebne w podróży wraz z błogosławieństwem od faraona Echnatona, po czym kazaliśmy zanieść posąg Horemheba na statek faraona i natychmiast odpłynęliśmy w dół Rzeki. A służę mego poprosiłem, żeby oświadczył Mehunefer, że udałem się na wojnę w Syrii i że tam zginąłem. I wcale nie tak bardzo kłamałem mówiąc to, bo doprawdy bałem się, że zginę okrutną śmiercią w tej podróży.

Ale żeby opowiedzieć o mojej wyprawie do Syrii i o wszystkim, co się wydarzyło potem, muszę rozpocząć nową księgę.

KSIĘGA DWUNASTA ZEGAR WODNY MIERZY CZAS

ROZDZIAŁ I

Jako wysłannik faraona zostałem przyjęty w Memfis z wielkimi honorami przez Horemheba. Skłonił się on głęboko przede mną, bo w rezydencji jego przebywało wtedy mnóstwo gubernatorów, którzy puciekali z Syrii, i możnych Egipcjan z syryjskich miast, a także posłów i przedstawicieli obcych krajów, które nie były wmieszane w wojnę, i w ich obecności Horemheb musiał w mojej osobie czcić faraona. Ale gdy znaleźliśmy się w cztery oczy, zaczął bić się po nodze swoim złotym biczem i zapytał mnie niecierpliwie:

– Co to za zły wiatr przyniósł cię tutaj jako wysłannika faraona i co znowu zaległo się w jego chorej głowie?

Opowiedziałem, że moim zadaniem jest pojechać do Syrii i kupić od Aziru pokój za wszelką cenę. Gdy Horemheb to usłyszał, zaklął z goryczą i zaczął obrzucać swoje sokoły rozmaitymi wyzwiskami, po czym zawołał:

– Czyż nie przeczuwałem, że on zepsuje mi wszystkie plany, które zbudowałem

z wielkim trudem i kosztami, bo wiedz, że to dzięki mnie Gaza jest wciąż jeszcze w naszych rękach i Egipt ma w ten sposób wciąż jeszcze w Syrii przyczółek do działań wojennych. Darami i groźbami nakłoniłem także kreteńskie okręty wojenne, żeby osłaniały połączenia morskie z Gazą, ponieważ silny i samodzielny związek syryjski nie da się pogodzić z interesami Krety, lecz zagraża jej panowaniu na morzu. Wiedz także, że Aziru ma pełne ręce roboty z utrzymaniem w ryzach własnych sprzymierzeńców i że po wypędzeniu Egipcjan wiele miast syryjskich walczy między sobą. Syryjczycy, którzy stracili domy i mienie, żony i dzieci, przyłączyli się do wolnych band i od Gazy do Tanis bandy te panują nad pustynią i prowadzą wojnę z oddziałami Aziru. To ja uzbroiłem je egipską bronią i wielu dzielnych mężów z Egiptu przyłączyło się do nich. Mam tu na myśli tych wszystkich byłych żołnierzy jak też rabusiów i zbiegów z kopalń, którzy obecnie ryzykują w pustyni życie, żeby stworzyć mur ochronny dla Egiptu. Jest oczywiście zrozumiałe, że toczą oni wojnę z wszystkimi, pustosząc kraj, w którym prowadzą wojnę, tępiąc tam wszystko, co żyje. Ale lepsze już to, bo sprawiają Syrii więcej trudności i kłopotów niż nam, i dlatego właśnie wciąż jeszcze zaopatruję ich w broń i posyłam im zboże. Najważniejsze jednak, że Hetyci ostatnio całą swoją siłą napadli na Mitanni i że wytępili lud Mitanni, a państwo Mitanni znikło jak cień i już nie istnieje. Tak więc hetyckie oszczepty i wozy bojowe tkwią w Mitanni, a Babilon zaniepokoił się i zbroi wojska do obrony swoich kamieni granicznych, Hetyci zaś nie mają teraz czasu, by udzielić Aziru dostatecznego poparcia. Zresztą Aziru, jeśli jest rozsądny, powinien się teraz – po podboju Mitanni – bać Hetytów, bo nie ma już tarczy dzielącej Hetytów od Syrii. Pokój, który ofiaruje mu faraon, jest więc najlepszym darem, jakiego teraz może pragnąć Aziru, żeby umocnić swoją władzę i rozejrzeć się w położeniu. Ale dajcie mi tylko pół roku lub nawet mniej, a kupię dla Egiptu honorowy pokój i świstem strzał oraz dudnieniem wozów bojowych zmuszę Aziru do bojaźni wobec bogów Egiptu.

Sprzeciwiłem mu się mówiąc:

– Nie będziesz w żaden sposób prowadzić wojny, Horemhebie, ponieważ faraon zakazuje ci tego i nie da ci złota na wojnę.

Odparł:

– Szczam na jego złoto. Zapożyczyłem się na wszystkie strony, żeby móc wyposażyć armię w Tanis. Wprawdzie oddziały te są marne, ich wozy bojowe ciężkie i niezwrotne, a konie kuleją, ale wespół z bandami mogą stanowić grot, który sięgnie serca Syrii, aż do Jerozolimy a nawet do Megiddo, jeśli ja je poprowadzę. Czy nie rozumiesz, Sinuhe, że pożyczylem złota od wszystkich egipskich bogaczy, którzy porastają coraz bardziej

w sadło i nadymają się jak ropuchy, podczas gdy lud cierpi nędzę i jęczy pod ciężarem podatków? Pożyczyłem od nich złota, podając każdemu z nich ilość, której potrzebuję, a oni chętnie dali tę pożyczkę, bo im obiecałem piątą część jako roczny procent. Ale chciałbym widzieć ich miny, gdy kiedyś ośmielą się zażądać swoich procentów i złota ode mnie, bo wszystko to zrobiłem po to, żeby ratować Syrię dla Egiptu, i w ostatecznym rozrachunku właśnie bogacze będą z tego mieli korzyść, ponieważ najbogatsi zawsze ciągną najwięcej korzyści z wojny i łupu, a najdziwniejsze jest to, że bogacze zyskaliby nawet w wypadku, gdybym przegrał. Toteż wcale mi ich nie żal z powodu złota, które stracili.

Horemheb zaśmiał się na całe gardło, uderzając się po udach swoim złotym biczem, po czym położył mi dłoń na ramieniu i nazwał mnie swoim przyjacielem. Ale wnet znowu spoważniał i z mroczną miną powiedział:

– Na mego sokoła, Sinuhe, nie zamierzasz chyba zepsuć mi tego wszystkiego i pojechać do Syrii jako pośrednik pokojowy?

Wyjaśniłem mu, że faraon już ze mną rozmawiał i kazał wypisać dla mnie wszystkie potrzebne do zawarcia pokoju gliniane tabliczki. Pożyteczna jest dla mnie wiadomość, że i Aziru potrzebuje pokoju, o ile prawdą jest, co mówił Horemheb, bo w takim wypadku Aziru gotów byłby tanio sprzedać pokój.

Gdy Horemheb to usłyszał, wpadł we wściekłość, wyrzucił kopniakiem krzesło i wykrzyknął:

– Doprawdy, jeśli kupisz pokój od Aziru na hańbę Egipcjom, każę cię żywcem obdrzeć ze skóry i rzucę cię, gdy powrócisz, na pożarcie krokodylom, choć jesteś moim przyjacielem. Klnę się, że tak zrobię. Gadaj sobie do Aziru o Atonie, udawaj głupca i mów, że faraon w swej niezgłębionej dobroci chce się nad nim zmiłować. Wprawdzie Aziru ci nie uwierzy, bo to chytry człowiek, ale dobrze się zastanowi, zanim cię odeśle z niczym, i będzie się targować do upadłego, tak jak tylko Syryjczyk potrafi się targować, i będzie ci grozić śmiercią, i łgać ile wlezie. W żadnym wypadku nie wolno ci rezygnować z Gazy, a także musisz oświadczyć, że faraon nie może odpowiadać za wolne bandy i ich rozboje. W żadnych bowiem okolicznościach bandy nie złożą broni ani nie będą się oglądać na gliniane tabliczki faraona. Tym ja już pokieruję. Nie musisz naturalnie tego mówić Aziru. Powiesz mu tylko, że to łagodni i cierpliwi ludzie, których oślepiła troska, ale którzy z pewnością z własnej woli zamienią oszczerpy na pasterskie posochy, gdy tylko zawarty zostanie pokój. Ale nie rezygnuj z Gazy, bo wtedy własnoręcznie obłupię cię ze skóry. Tyle się namęczyłem, tyle złota wyrzuciłem w błoto, tylu moich najlepszych szpiegów poświęciłem, zanim bramy Gazy otworzyły

się dla Egiptu.

Sporo dni zabawiłem w Memfis i naradzałem się z Horemhebem w sprawie warunków pokojowych, i bardzo się z nim spierałem. Spotkałem się też z wielkimi posłami z Krety i Babilonu, a także z wielu możnymi, którzy puciekali z Mitanni. Na podstawie ich słów wyrobiłem sobie pogląd na wszystko, co się stało, i ogarnęła mnie żądza sławy i pragnienie zrozumienia przebiegu wypadków. Po raz pierwszy czułem, że jestem ważnym czynnikiem w wielkiej grze, w której stawką były losy miast i narodów.

Horemheb miał słuszość. Pokój był w owej chwili bardziej pożądanym darem dla Aziru niż dla Egiptu. Ale sądząc z wszystkiego, co działo się wówczas na świecie, pokój ten miał być tylko zawieszeniem broni i po utrwaleniu stosunków w Syrii Aziru znowu obróciłby się przeciw Egiptowi. Syria była bowiem kluczem świata i ze względu na własne bezpieczeństwo Egipt nie mógł pozwolić, żeby po spustoszeniu Mitanni przez Hetytów Syria wpadła w ręce nietrwalego i wrogo usposobionego związku, który można było kupić za złoto. Przyszłość zależała teraz od tego, czy Hetyci po umocnieniu swojej władzy w Mitanni zwrócą się przeciw Egiptowi przez Babilon czy też przez Syrię. Rozsądek mówił jednak, że pójdą oni tam, gdzie opór najslabszy, a Babilon zbroił się, podczas gdy Egipt był słaby i bezbronny. Kraj Hatti był niewątpliwie bardzo nieprzyjemnym sprzymierzeńcem dla każdego, ale jako sojusznik Hetytów miał Aziru za sobą siłę, natomiast jako sojusznik Egiptu przeciw Hetytom zagrożony był pewną zagładą, dopóki w Egipcie panował faraon Echnaton i Aziru miał skutkiem tego za plecami tylko lotny piasek.

Rozumiałem to wszystko i wraz z chłodną oceną położenia odpadły i oddaliły się ode mnie wszystkie okropności wojny. Nie myślałem już o dymach płonących miast i ludzkich czaszkach bielejących na pobojuwiskach ani też o uchodźcach, którzy zebrali o chleb w zaułkach Memfis. I nie obchodził mnie los możnych z Mitanni, którzy sprzedawali klejnoty i drogie kamienie, żeby móc się napić wina, i którzy smukłymi palcami dotykali wciąż czarnego mułu z Naharani przyniesionego w węzełkach tułających chust. Horemheb opowiedział mi, że zamierza spotkać Aziru gdzieś pomiędzy Tanis i Gazą, gdzie tamten przy użyciu wozów bojowych walczył z wolnymi bandami. Opowiadał mi też o stosunkach w Simirze, wyliczając domy spalone w czasie oblężenia i nazwiska możnych zabitych w czasie powstania, i wielce byłem zdumiony, że wiedział tak wiele. Wtedy opowiedział mi o swoich szpiegach w miastach syryjskich, którzy towarzyszyli wojskom Aziru jako połykacze mieczów, kuglarze i wróżbici, sprzedawcy oliwy i handlarze niewolników. Mówił jednak, że w taki sam sposób szpiedzy Aziru docierali aż do Memfis i towarzyszyli bandom i wojskom pogranicznym jako kuglarze,

sprzedawcy oliwy i nabywcy łąpu wojennego. Także i dziewice Astarte wynajmował Aziru jako szpiegów i sły słuchy, że one były najniebezpieczniejsze, dowiadywały się bowiem wielu ważnych rzeczy od egipskich oficerów. Na szczęście jednak nie znały się dostatecznie na sprawach wojny. Byli też szpiedzy, którzy służyli zarówno Horemhebowi jak i Aziru, i Horemheb przyznawał, że ci byli najmądrzejsi, ponieważ nie groziło im niebezpieczeństwo z żadnej strony, lecz zachowywali życie, a przy tym zarabiali dużo złota.

Uchodźcy i oficerowie Horemheba opowiadali mi jednak tak okropne rzeczy o Amorytach i bandach egipskich, że serce mi zmiękło, a kolana trzęsły się pode mną, gdy zbliżała się chwila odjazdu. Horemheb oświadczył:

– Wybieraj sam, czy chcesz pojechać łądem, czy morzem. Jeśli pojedziesz morzem, kreteńskie okręty wojenne chronić będą twój statek aż do Gazy. Równie łatwo może się jednak okazać, że wcale nie będą chronić twego statku i uciekną na widok pierwszych okrętów wojennych z Sydonu i Tyru, które strzegą morza w okolicy Gazy. W takim wypadku, jeśli będziesz dzielnie walczyć, statek twój zostanie zatopiony, a ty utoniesz w morzu. Jeśli zaś nie będziesz dzielnie walczyć, statek twój zostanie wzięty do niewoli, a ty zostaniesz wioślarkiem na syryjskim okręcie wojennym i skonasz w ciągu paru dni od ciosów bicia i upału. Ponieważ jednak jesteś Egipcjaninem i do tego możliwym człowiekiem, najprawdopodobniej obedzą cię ze skóry i skórę twoją powieszą na tarczach, żeby wyschła, a potem zrobią z niej torby i sakiewki. Ale wcale nie chcę cię straszyć, bo zupełnie możliwe, że dotrzesz bezpiecznie do Gazy, co udało się ostatnio jednemu statkowi wiozącemu broń, choć statek ze zbożem został zatopiony. W jaki sposób jednak zdołasz wydostać się z obłożonej Gazy i dotrzeć do Aziru, tego doprawdy nie umiem ci powiedzieć.

– Może w takim razie najlepiej, żebyś pojechał łądem – powiedziałem z wahaniem do Horemheba. A on kiwnął głową potakująco i rzekł:

– Z Tanis dam ci eskortę, kilku łuczników i parę wozów bojowych. Jeśli tylko natkną się na oddziały Aziru, zostawią cię samego w pustyni i uciekną w wielkim pędzie. Oczywiście jest możliwe, że ludzie Aziru, gdy zobaczą, żeś Egipcjaninem i do tego możliwym, wbiją cię na sposób hetycy na pal i wyszczą się na twoje gliniane tabliczki. Jest też możliwe, że mimo eskorty wpadniesz w ręce band, a ci rabusie ograbią cię do naga i każą ci obracać żarna, dopóki nie zdołam cię wykupić za złoto. Ale nie przypuszczam, żebyś wytrzymał to długo, bo skóra twoja ma kolor gliny i nie znosi promieni słońca, w dodatku oni sporządzają swoje bicze ze skóry hipopotama. A równie możliwe jest i to, że ograbiwszy cię rozprują ci brzuch oszczepami i zostawią

twoje ciało na pożarcie krukom, co wcale nie jest najgorszym sposobem zakończenia swych dni, gdyż śmierć taka jest dosyć lekka.

Gdy usłyszałem to wszystko, serce zadrżało mi jeszcze bardziej niż przedtem, a moje członki przeszedł zimny dreszcz, mimo że było lato i gorąco. Toteż powiedziałem:

– Bardzo jestem strapiony, że skarabeusz został u Kaptaha, by czuwać nad moim majątkiem, może zdołałby mi pomóc lepiej niż faraon Echnaton, którego moc, jak widać z tego, co mówisz, nie rozciąga się aż do tych bezbożnych okolic. Wszystko jednak wskazuje na to, że szybciej spotkam bądź to śmierć, bądź Aziru, gdy pojedę drogą lądową pod eskortą twoich wozów bojowych. Tak też zrobię. Ale zaklinam cię, Horemhebie, na naszą przyjaźń: gdybyś dowiedział się, że obracam gdzieś żarna jako niewolnik, wykup mnie śpiesznie z niewoli i nie szczędź złota, bo jestem bogatym człowiekiem, bogatszym, niż przypuszczasz, jakkolwiek nie będę ci tu wyliczał całego swego majątku, bo nawet sam nie wiem, ile posiadam.

A Horemheb odparł:

– Znam doskonale twoje bogactwo i pożyczyłem od ciebie podobnie jak od innych egipskich bogaczy poważne ilości złota za pośrednictwem Kaptaha, bom człowiek sprawiedliwy i bezstronny i nie chcę cię pozbawić udziału w tej zasłudze. Mam jednak nadzieję, że ze względu na naszą przyjaźń nie będziesz się upominać o złoto, bo próba taka mogłaby zakłócić naszą przyjaźń a nawet ją zniszczyć. Jedź więc, Sinuhe, mój przyjacielu, jedź do Tanis, weź stamtąd ochronę i ruszaj na pustynię. I niech cię strzeże mój sokół, bo ja nie mogę, gdyż moc moja nie rozciąga się aż na pustynię. A gdybyś dostał się do niewoli, wykupię cię za złoto, gdybyś zaś zginął, pomszczę twoją śmierć. Niech świadomość o tym będzie ci pociechą, gdyby ktoś rozpruł ci brzuch oszczepem.

– Gdybyś usłyszał o mojej śmierci, nie trwoń sił na zemstę – odrzekłem gorzko.
– Dla mojej czaszki, którą kruki oczyszczą dziobami do białości, nie będzie żadną pociechą, gdy zostanie polana krwią nieszczęsnych ludzi. Pozdrów tylko ode mnie księżniczkę Baketaton, bo to piękna i godna pożądanía kobieta, choć bardzo zarozumiała. Wypytywała mnie dużo o ciebie przy łożu śmierci swojej matki.

Wypuściwszy mimochodem tę zatrutą strzałę odszedłem nieco pocieszony i kazałem pisarzom sporządzić i zaopatrzyć we wszystkie potrzebne pieczęci mój testament, w którym pozostawiłem spuściznę po sobie Kaptahowi, Merit i Horemhebowi. Testament ten zostawiłem w królewskim archiwum w Memfis, po czym odpłynąłem do Tanis, gdzie w spalonej słońcem twierdzy na granicy pustyni spotkałem wojska pograniczne Horemheba.

Pili piwo i przeklinali dzień, w którym się urodzili, polowali na antylopy w pustyni

i znów pili piwo. Ich gliniane lepianki były brudne i śmierdziały moczem, a kobiety najpodlejszego gatunku, które nie nadawały się nawet dla żeglarzy w portach Dolnego Królestwa, zabawiały ich rozpustą w ich samotności. Krótko mówiąc, żyli zwykłym życiem żołnierzy na pograniczu, mając szczerą nadzieję, że Horemheb poprowadzi ich na wojnę z Syrią. To bowiem przyniosłoby im jakąś zmianę, lepsze piwo i młodsze kobiety, a jakkolwiek inny los, nawet śmierć, był dla nich lepszy niż przeraźliwie monotonne życie w spalonych słońcem glinianych lepiankach, gdzie piaskowe pchły cięły straszliwie. Dlatego palili się wprost do walki i kleli się, że na czele wolnych oddziałów wtargną jak grot oszczepu aż do Jerozolimy, a nawet do Megiddo, i przepędzą śmierdzące wojska syryjskie, jak rzeka, która wzbierając odrzuca suche sitowie. Tego zaś, co obiecywali zrobić Aziru i Amorytom, i ich hetyckim oficerom, nie mogą nawet powtórzyć, bo mowa ta bardzo była bezbożna.

Tak więc żołnierze płonęli żądzą walki dla chwały Egiptu i przeklinali faraona Echantona, bo w czasach pokojowych mieli jakieś urozmaicenie, gdyż pobierali podatki od karawan przybywających do Egiptu i zażywali rozkoszy z żonami pastuchów. Faraon Echnaton zaś doprowadził z powodu swego boga do tego, że nie było ani wojny, ani pokoju. Karawany od wielu już lat nie przybywały do Egiptu przez Tanis, a pasterze uciekli do Dolnego Królestwa. I jeśli nawet jakaś karawana usiłowała przedostać się z Syrii czy z pustyni do Egiptu, bandy ograbiały ją zazwyczaj po drodze, zanim jeszcze zdążyły to zrobić straż graniczne faraona, toteż pogranicznicy faraona gardzili głęboko ludźmi z band i przezywali ich brzydkimi słowami.

Moja eskorta przygotowywała się do drogi, napełniano wodą bukłaki, łapano konie na pastwiskach, kowale wzmacniali koła wozów bojowych, ja zaś rozglądałem się tymczasem dokoła i dochodziłem przy tym do zrozumienia, co jest tajemnicą wszelkiego wojennego wychowania i co czyni mężczyznę mężczyźni od lwa. Wybitny dowódca trzyma mianowicie żołnierzy w tak straszliwej dyscyplinie i tak ich męczy ćwiczeniami, i czyni ich życie pod każdym względem nie do zniesienia, że jakkolwiek inny los, nawet wojna i śmierć, wydaje im się lepszy niż życie w koszarach. Najdziwniejsze jednak jest, że żołnierze nie nienawidzą za to swego dowódcy, lecz wielce go podziwiają i chwają, i są dumni z wszystkich trudów, które znieśli, i ze znaków kija na własnych grzbietach. Taka dziwna i zaskakująca jest natura ludzka. A gdy o tym myślałem, Achetaton stawało mi się dalekie jak sen czy pustynny omam.

Zgodnie z rozkazem Horemheba dano mi jako osłonę dziesięć wozów bojowych, z których każdy ciągnęły dwa konie, a trzeci siedł na przyprzążkę. Oprócz woźnicy był w każdym wozie jeden żołnierz i jeden oszczepnik. Gdy dowódca mojej eskorty zgłosił się

u mnie, skłonił się przede mną nisko i opuścił ręce do kolan, ja zaś przyjrzałem mu się badawczo, ponieważ powierzałem mu swoje życie. Jego fartuszek był równie brudny i obszarpany jak fartuszki żołnierzy, a słońce pustyni spaliło mu na czarno twarz i całe ciało, tylko przeplatany srebrem bicz odróżniał go od żołnierzy. Ale właśnie dlatego ufałem mu więcej, niż gdyby chodził w kosztownych materiałach i kazał nosić parasol nad swoją głową. Zapomniał o szacunku dla mnie i wybuchnął śmiechem, gdy chciałem z nim mówić o lektyce. Uwierzyłem mu, gdy mi oświadczył, że jedyna gwarancja naszego bezpieczeństwa to szybkość i że dlatego muszę jechać z nim w jego wozie i pożegnać się z lektyką i innymi wygodami, jakie miałem w kraju. Obiecywał, że jeśli zechcę, będę mógł siedzieć na worku z obrokiem, ale zapewniał, że lepiej będzie, jeśli przyzwyczaję się stać wewnątrz wozu i poddawać się miękko jego ruchom, w innym bowiem razie pustynia wytrzęsie ze mnie ducha i połamie mi kości o boki wozu.

Wyprostowałem się dumnie i oświadczyłem mu z góry, że nie pierwszy raz będę jechał w wozie bojowym i że raz już przejechałem drogę z Simiry do Amuru w najkrótszym czasie, tak że nawet Aziru wielce się temu zdumiewał, co prawda byłem wtedy młodszy niż teraz i moja godność wymaga obecnie, żebym poniechał wszelkich przesadnych wysiłków. Oficer, który nazywał się Juju, wysłuchał mnie uprzejmie, po czym powierzył moje życie opiece wszystkich bogów Egiptu. Wsiadłem za nim do pierwszego wozu, on zaś rozwinął proporczyk i krzyknął na konie. Ruszyliśmy na pustynię drogą karawanową. Podskakując na workach z obrokiem trzymałem się oburącz kurczowo ścian wozu, lecz mimo to rozbiłem sobie nos. Biadałem nad swoją niedolą, ale skargi moje tonęły w turkocie kół, a woźnice pędzących za nami wozów wykrzykiwali dziko z radości, że mogli wyjechać na pustynię, być wreszcie z dala od rozpalonego piekła swoich glinianych lepierek.

Tak jechaliśmy przez cały dzień. Noc spędziłem na workach obroku, bardziej martwy niż żywy, przeklinając gorzko dzień, kiedy się urodziłem. Następnego dnia spróbowałem stać w wozie trzymając Juju za pas, ale po chwili wóz najechał na kamień, a ja wyleciałem z niego wielkim łukiem i upadłem głową w piasek, gdzie kolczaste rośliny poraniły mi twarz. Ale już sobie dużo z tego nie robiłem. Kiedy znów stanęliśmy na nocleg, Juju zaniepokoił się stanem mego zdrowia i lał mi wodę na głowę, mimo że z oszczędności nie dawał jej żołnierzom do picia w dostatecznej ilości. Trzymał mnie za ręce i pocieszał mówiąc, że podróż nam się udała i że jeśli następnego dnia nie zaskoczą nas bandy, być może już w czwartym dniu drogi napotkamy zwiadowców Aziru.

O świtaniu zbudziłem się, w chwili gdy Juju brutalnie wyrzucał mnie z wozu na piasek. Zrzucił za mną także moje gliniane tabliczki i podróżną skrzynkę, po czym

zawrócił konie, powierzył mnie opiece wszystkich bogów Egiptu i dodał jeszcze kilka słów otuchy. Odjechał w pełnym galopie, aż koła wozu krzeswały ogień o kamienie, inne zaś wozy bojowe pędziły w ślad za nim.

Gdy przetarłem oczy z piasku, zobaczyłem, że w moim kierunku nadjeżdża spomiędzy gór grupa syryjskich wozów bojowych i że w pędzie formują się one do boju w szeroki wachlarz. Wspomniawszy na moją godność podniosłem się z ziemi i zacząłem na znak pokoju machać nad głową zieloną palmową gałązką, choć gałązka ta zdążyła już uschnąć i skurczyć się w czasie podróży. Ale wozy bojowe przeleciały pędem, nie zwracając na mnie uwagi. Tylko jakaś strzała jak szerszeń gniewnie bzyknęła mi koło ucha i wbiła się w piach poza mną. Wozy ścigały Juju. Zobaczyłem jednak, że Juju i jego ludzie wyrzucili z wozów worki z obrokiem a nawet sakwy z wodą, aby ulżyć ciężarowi koniom. Udało im się więc uciec i tylko jeden wóz pozostał w tyle, ponieważ koń potknął się o kamień, a nacierający w pędzie, nie zatrzymując się, przewrócili wóz, obalili konie i zabili załogę.

Po nieudanym pościgu wozy bojowe Aziru powróciły do mnie i wysiedli z nich woźnice. Zawołałem na nich wymieniając swoją rangę i pokazując im gliniane tabliczki faraona. Ale oni nie zwracali uwagi na moje wołanie, lecz podeszli do mnie obojętnie, a kilku z nich miało za pasem zatknięte ucięte ludzkie dłonie, z których wciąż jeszcze kapała krew. Ograbili mnie ze wszystkiego, otworzyli moją skrzynkę, zabrali z niej złoto, odarli mnie z odzieży i przywiązali za przeguby do wozu bojowego, tak że musiałem biec za nim i gdy pędzili, zdawało mi się, że się uduszę, a piasek ocierał mi skórę z kolan. I wcale nie zwracali uwagi na moje krzyki, mimo że groziłem im gniewem Aziru. Wszystko to musiałem wycierpieć dla faraona Echnatona.

Byłbym naturalnie zginął w czasie tej jazdy, gdyby nie to, że obóz Aziru leżał tuż za górami, po drugiej stronie przełęczy. Na wpół oślepiony zobaczyłem tam mnóstwo namiotów, a między nimi pasące się konie. Dokoła obozu uformowano istny mur z wozów bojowych i sań ciągnionych przez woły. Potem nie widziałem już nic więcej i ocknąłem się dopiero, gdy niewolnicy polewali mnie wodą i nacierali oliwą, bo jakiś umięjący czytać oficer zobaczył moje tabliczki. Od tej chwili spotykałem się z pełnym szacunkiem i oddano mi z powrotem moje szaty.

Gdy znów mogłem chodzić, zaprowadzono mnie do namiotu Aziru, gdzie pachniało łożem, wełną i kadzidłem. Aziru wyszedł mi na spotkanie, pomrukując jak lew i dzwoniąc złotymi obręczami na szyi, z brodą skręconą w loki i ujętą w srebrną siateczkę. Wziął mnie w ramiona i rzekł:

Bardzo mi przykro, że moi ludzie źle cię przyjęli, ale powinieneś był im podać swoje

imię i powiedzieć, że jesteś posłem faraona i moim przyjacielem. I powinieneś był także według dobrego zwyczaju machać nad głową palmową gałązką na znak pokoju. Oni zaś mówią, że rzuciłeś się na nich wymachując nożem i rycząc z wściekłości, tak że z narażeniem własnego życia musieli cię obezwładnić.

Kolana piekły mnie jak ogień, a przeguby u rąk miałem jak połamane. Toteż gorycz żarła mą duszę i powiedziałem do Aziru:

– Spójrz na mnie i powiedz, czy wyglądam na takiego, który może zagrozić życiu twoich ludzi. Połamali moją gałązkę palmową i ograbili mnie do cna, zabierając mi nawet odzież. Urągali mi i deptali gliniane tabliczki faraona. Dlatego też powinieneś ich ukarać, a przynajmniej kilku z nich musisz kazać wychłostać, żeby nauczyli się szacunku dla wysłannika faraona.

Ale Aziru rozdarł szydyczko swoje szaty, podniósł ręce do góry i z udanym zdziwieniem zawołał:

– Musiałeś mieć jakiś zły sen, Sinuhe! Nic nie mogę na to poradzić, że w czasie ciężkiej podróży poraniłeś sobie kolana o kamienie. Doprawdy nie będę też chłostać moich najlepszych ludzi dla jednego marnego Egipcjanina, a słowa wysłannika faraona są w moich uszach jak brzęczenie much.

– Aziru! – rzekłem z mocą. – Ty, który jesteś królem wielu królów, każ wychłostać przynajmniej tego, który w niecny sposób zadał mi mnóstwo kłutych ran w zadek, gdy biegłem za bojowym wozem. Każ wychłostać tego jednego, a ja się tym zadowolę! Wiedz, że przynoszę z sobą pokój w darze dla ciebie i dla Syrii.

Aziru śmiał się głośno i bił pięścią w pierś, a potem odparł:

– Co mnie to obchodzi, że ten nędzny faraon czołga się przede mną w prochu i błaga o pokój. Ale to, co mówisz, jest rozsądne, a że jesteś przyjacielem moim i przyjacielem mojej małżonki i mego syna, każę wychłostać tego, który kłuł cię oszczepem w tyłek, żeby przyspieszyć twój bieg, bo było to wbrew dobrym obyczajom, a jak wiesz, prowadzę wojnę przy użyciu uczciwych środków i chodzi mi o wzniosłe cele.

Tak więc mogłem z zadowoleniem patrzeć, jak mego najgorszego dręczyciela chłostano na oczach wojska zebranego koło namiotu Aziru, a jego towarzysze nie mieli dlań najmniejszego współczucia, lecz szydzili z niego i ryczeli ze śmiechu, gdy narzekał, i wytykali go palcami, bo to byli żołnierze, radzi z każdego urozmaicenia w swoim rzemiośle. Bez wątpienia Aziru kazałby go zachłostać na śmierć, ale gdy zobaczyłem, jak ciało zaczyna się odrywać od jego żeber, a krew leje się strumieniami, podniosłem ręce do góry na znak łaski i darowałem mu życie w przeświadczeniu, że grzbiet śwędzi go już co najmniej tak samo, jak mnie moje kolana i zadek. A widząc jego

niedole, kazałem zanieść go do namiotu, który Aziru dał mi za kwaterę, ku wielkiemu zgorszeniu oficerów, którzy tam wraz ze mną mieszkali. Koledzy wychłostanego z zapalem wykrzykiwali na moją cześć, sądząc, że po chłości będę się tam dalej nad nim znęcać w najwymyślniejsze sposoby. Ja jednak wtarłem mu w grzbiet tę samą maść, za pomocą której wyleczyłem swoje kolana i tyłek i przewiązałem mu rany opatrunkami oraz dałem mu się napić piwa do woli, tak że w końcu zaczął myśleć, że oszalałem, i stracił do mnie cały szacunek.

Wieczorem tegoż dnia zaprosił mnie Aziru do swego namiotu na baranią pieczeń i kaszę prażoną w tłuszczu. Jedliśmy z jego oficerami i z oficerami hetyckimi, którzy znajdowali się w jego obozie, a których płaszcze i napierśniki ozdobione były obrazami podwójnych toporów i uskrzydłonych słońc. Piliśmy razem wino i wszyscy odnosili się do mnie przyjaźnie i życzliwie, bo uważali mnie za dumia, gdyż przyszedłem przynieść im pokój właśnie wtedy, gdy tego pokoju najbardziej potrzebowali. Mówili górnio o wolności Syrii i jej przyszłej potędze oraz o jarzmie ucisku, które zrzucili ze swoich barków. Ale gdy sobie dostatecznie podpili, zaczęli się z sobą spierać i pewien mąż z Joppe dobył noża i wbił go w gardło jednemu z Amorytów, tak że poleła się krew. Nie wynikła z tego jednak żadna większa szkoda, bo nóż nie przebił arterii, tak że mogłem zranionego wyleczyć za pomocą mojej sztuki, za co otrzymałem od niego bogate dary. I także z tego powodu wszyscy uważali mnie za dumia.

Ale równie dobrze mogłem mu pozwolić umrzeć, bo w czasie kiedy jeszcze przebywałem w obozie Aziru, ów Amoryta kazał swemu słudze zakłuć na śmierć męża z Joppe, który go zranił nożem. Za co Aziru kazał Amorytę powiesić na murze głową w dół, żeby zachować porządek w wojsku, i to zanim jeszcze gardło zdążyło mu się zupełnie wygoić. Aziru traktował bowiem własnych ludzi okrutnie i surowiej niż Syryjczyków, ponieważ to oni przede wszystkim zazdrościli mu władzy i knuli przeciw niemu spiski, tak że władzę Aziru można było przyrównać do przesiadywania w mrowisku.

ROZDZIAŁ 2

Po uczcie odesłał Aziru swoich dowódców i oficerów hetyckich, aby kłócili się dalej we własnych namiotach. A gdy zostaliśmy sami, pokazał mi swego syna, który towarzyszył mu w polu, choć miał wtedy zaledwie siedem lat. Był to ładny chłopczyk o policzkach pokrytych meszkiem jak brzoskwinia i oczach czarnych i lśniących. Włosy wiły mu się w loki, kruczoczarne jak broda jego ojca, a czystą cerę odziedziczył po matce. Aziru pogładził go po włosach i powiedział:

– Czyś widział kiedy bardziej dorodnego chłopca? Uzbierałem dla niego wiele

królewskich diademów i będzie on kiedyś wielkim władcą, a państwo jego rozciągać się będzie tak daleko, że prawie nie śmiem o tym myśleć. Swoim małym mieczykiem rozpruł już brzuch niewolnikowi, który go znieważył, i umie czytać i pisać, i nie zna lęku w boju, jako że nawet w bój go z sobą zabieram, choć tylko wtedy, gdy chodzi o ukaranie buntowniczych wiosek i gdy nie potrzebuję się obawiać o jego młode życie.

Gdy Aziru był na wojnie, w Amurru rządziła Keftiu, a Aziru bardzo za nią tęsknił i mówił, że na próżno próbuje zaspokoić pożądanie z kobietami wziętymi do niewoli lub ze świątynnymi dziewicami, które ciągnęły za wojskiem. Ten bowiem, kto raz zasmakował miłości Keftiu, nie mógł jej nigdy zapomnieć, zwłaszcza że z latami rozkwitła jeszcze bardziej i stała się jeszcze pełniejsza i bujniejsza, tak że – jak mówił Aziru – z pewnością nie uwierzyłbym własnym oczom, gdybym mógł ją znowu zobaczyć. Ale syna zabierał Aziru z sobą, ponieważ nie ważył się go zostawiać w Amurru, gdyż ten syn miał kiedyś nosić zjednoczone korony całej Syrii.

W czasie naszej rozmowy z obozu zaczęły dochodzić przeraźliwe krzyki kobiet wołających o pomoc, więc Aziru wielce się rozgniewał i rzekł:

– To hetyccy oficerowie znowu męczą jeńców, mimo że im tego zakazałem. Ale nie mogę nic na to poradzić, bo potrzebuję ich sztuki wojennej. Oni zaś znajdują rozkosz w znęcaniu się nad kobietami i doprowadzaniu ich do skarg, czego ja zupełnie nie mogę zrozumieć. Z pewnością bowiem mężczyzna ma większą przyjemność, gdy doprowadzi kobietę do jęków rozkoszy niż bólu. Każdy jednak lud ma swoje obyczaje i wcale nie mogę im wyrzucać tego, że ich obyczaje są odmienne od syryjskich. Niechętnie bym tylko widział, gdyby nauczyli moich ludzi swoich złych zwyczajów, bo zaprawdę wojna już i bez tego zrobiła z mężczyzn wilki i krwiożercze lwy.

Słowa jego przeraziły mnie, choć znałem Hetytów i wiedziałem, czego się można po nich spodziewać. Toteż skorzystałem ze sposobności i powiedziałem:

– Aziru, królu królów, zerwij z Hetytami, póki jeszcze pora, zanim zmiażdżą korony, które nosisz, a i głowę twoją wraz z koronami, bo Hetytom nie można ufać. Zawrzyj natomiast pokój z faraonem, teraz, gdy Hetyci związani są wojną w Mitanni. Także i Babilon zbroi się przeciw nim, o czym pewnie wiesz, i nie dostaniesz już zboża z Babilonu, dopóki jesteś w przyjaźni z Hetytami. Toteż gdy przyjdzie zima, głód wkradnie się do Syrii jak wygłodniały wilk, którego ciągnie do padliny, jeśli nie zawrzesz pokoju z faraonem, by tak jak dawniej posyłał zboże do twoich miast.

Ale Aziru sprzeciwił mi się:

– To, co mówisz, jest niedorzecznością, bo Hetyci są dobrzy dla przyjaciół, natomiast jako przeciwnicy są straszni. Nie wiąże mnie jednak z nimi żadne przymierze, mimo

że przysyłają mi piękne dary i lśniące napierśniki, na których widnieją zębate blanki murów. Toteż zawsze wolno mi rokować o pokój niezależnie od Hetytów. Hetyci zabrali też, wbrew wyraźnemu porozumieniu, miasto Kadesz i używają portu Byblos jak swego. Z drugiej strony przysłali mi cały statek broni, kutej z nowego metalu, dzięki której ludziom moim nikt nie może się oprzeć w boju. Ja jednak kocham pokój, kocham go więcej niż wojnę i prowadzę wojnę tylko po to, by osiągnąć honorowy pokój, jeśli faraon odda mi gazę, którą zabrał podstępem, rozbroi bandy zbójcekie na pustyni, a także zbożem, oliwą i złotem wynagrodzi wszystkie szkody, które miasta syryjskie poniosły z powodu tej wojny, bo tylko i wyłącznie Egipt jest – jak to pewnie wiesz – winien tej wojnie.

Zmierzył mnie bezczelnym spojrzeniem, śmiejąc się w kułak, a ja napadłem nań gwałtownie:

– Aziru, ty zbójcu i rabusiu bydła, i kacie najniewinniejszych! Czy wiesz, że w całym Dolnym Królestwie w każdej kuźni kuje się groty oszczepów i że liczba wozów bojowych Horemheba jest już większa niż liczba pcheł w twoim obozie, a pchły te ciężko cię pokąsają, gdy tylko zboża dojrzeją? Ten Horemheb, którego sławę znasz, napłuł mi na stopy, gdy mu mówiłem o pokoju, ale faraon ze względu na swego boga chce pokoju i nie życzy sobie rozlewu krwi. Dlatego daję ci ostatnią sposobność, Aziru. Gaza pozostanie egipska, a hordy zbójcekie na pustyni musisz rozpedzić sam, ponieważ Egipt wcale nie ponosi odpowiedzialności za ich czyny i to twoje własne okrucieństwo zmusiło syryjskich mężczyzn do ucieczki na pustynię i prowadzenia wojny przeciw tobie, tak więc jest to sprawa wewnętrzna Syrii. Musisz też zwolnić wszystkich egipskich jeńców i wynagrodzić szkody, które egipscy kupcy ponieśli w syryjskich miastach, jak również zwrócić tym kupcom ich własność.

Ale Aziru rozdarł szaty na piersiach, wyrwał garść włosów z brody i zawołał z goryczą:

– Czy cię ugryzł wściekły pies, Sinuhe, że mówisz takie szaleństwa?! Gaza musi zostać oddana Syrii, egipscy kupcy sami muszą pokryć swoje straty, a jeńców sprzeda się na niewolników, jak tego wymaga dobry obyczaj, co naturalnie nie przeszkadza, by faraon ich wykupił, jeśli ma na ten cel dość złota.

Na co mu odparłem:

– Jeśli uzyskasz pokój, będziesz mógł tak podwyższyć i umocnić mury i wieże twoich miast, że nie będziesz się już potrzebował obawiać Hetytów, a Egipt będzie cię popierał. Doprawdy, kupcy w twoich miastach wzbogacą się, gdy będą mogli handlować z Egiptem nie płacąc mu podatku, a Hetyci nie mogą ci przeszkadzać w

tym handlu, gdyż nie posiadają okrętów wojennych. Wszystkie korzyści będą po twojej stronie, Aziru, jeśli zawrzesz pokój, bo warunki faraona są umiarkowane, ale ja z nich nie mogę ustąpić ani na krok.

Tak to dzień za dniem rozmawialiśmy z sobą walcując sprawę pokoju i wielokrotnie Aziru rozdzierał szaty i sypał popiół na włosy, nazywając mnie bezwstydnym rabusiem, i płakał lejąc łzy nad losem swego syna, który pewnie umrze jak żebrak w przydrożnym rowie, doprowadzony do nędzy przez Egipt. Doszło nawet do tego, że wyszedłem z namiotu wołając, by mi podano lektykę, i wzywając eskortę, by mnie odwiozła do Gazy, zdążyłem wsiąść do lektyki, nim Aziru przywołał mnie z powrotem. Ale sądzę, że on jako Syryjczyk rozkoszował się ogromnie tym frymarczeniem i targowaniem się i uważał, że mnie raz po raz oszukuje i osiąga korzyści, gdy ja robię ustępstwa. Ale nie mógł przypuszczać, że faraon nakazał mi kupić pokój za wszelką cenę, nawet gdyby Egipt miał przez to zupełnie zubożeć.

Toteż zachowywałem pewność siebie i w toku rokowań wygrałem wiele korzyści dla faraona, a czas pracował dla mnie, bo niezgoda wciąż rosła w obozie Aziru i coraz to nowi ludzie odchodzili stamtąd i powracali do swoich miast, a Aziru nie mógł im w tym przeszkodzić, bo władza jego nie była jeszcze dostatecznie ugruntowana. Doszliśmy więc w końcu do tego, że jako ostatni warunek przedłożył mi następującą propozycję: Mury Gazy miały zostać zburzone, a król w gazie miał być wyznaczony przez Aziru, ale przy boku króla mieli zasiadać doradcy mianowani przez faraona. Zarówno syryjskie jak i egipskie statki miały mieć prawo zawijać do gazy i prowadzić tam handel bez opłat. Ale na to nie mogłem się naturalnie zgodzić, bo Gaza bez murów nie miałaby żadnej wartości dla Egiptu i znalazłaby się całkowicie w mocy Aziru.

Gdy sucho odparłem, że nie mogę pójść na tę propozycję i zażądałem eskorty, by odjechać do Gazy, Aziru wielce się rozżłościł i wypędził mnie z namiotu oraz wyrzucił w ślad za mną gliniane tabliczki. Mimo to jednak nie pozwolił mi odjechać, tak że spędzałem czas w obozie na leczeniu chorych i wykupywaniu egipskich jeńców, którzy znosili ogromne męki pracując jako tragarze lub ciągnąc sanie wyładowane ciężarami. Wykupiłem także kilka kobiet, innym zaś dałem lekarstwo, które pozwoliło im umrzeć, bo po torturach zadanych im przez Hetytów śmierć była dla nich lepsza od życia. Tak mijał czas, a bieg jego wychodził mi na korzyść, bo nie miałem nic do stracenia, podczas gdy Aziru miał z dnia na dzień coraz więcej do stracenia, tak że z niecierpliwości zdierał srebrną siateczkę i wrywał z brody czarne kłaki, pieniać się z powodu mojej nieustępliwości i nazywając mnie brzydkimi słowami.

Powinienem tutaj wspomnieć, że Aziru kazał mnie szpiegować i czujnie pilnować

każdego mego kroku, bo sądził mnie po sobie i bał się, że będę knuł przeciw niemu spiski z jego dowódcami, żeby go pozbawić głowy. Byłoby to też całkiem łatwe zadanie, ale nigdy nawet nie przyszło mi to na myśl, bo serce moje było jak serce niewinnego jagnięcia, a on był moim przyjacielem. Mimo to zdarzyło się jednej nocy, że do namiotu Aziru wtargnęło dwóch skrytobójców, którzy zranili go nożami. On jednak pozostał przy życiu i zabił jednego mordercę, a jego mały synek zbudził się i wbił swój mieczyk w plecy drugiemu, tak że i ten zmarł.

Następnego dnia zawołał mnie Aziru do swego namiotu i oskarżył strasznymi słowami, starając się mnie zastraszyć, potem jednak wyraził zgodę na pokój. Tak więc w imieniu faraona zawarłem z nim i ze wszystkimi syryjskimi miastami pokój, mocą którego Gaza pozostała egipska, poskromienie band zostawiono Aziru, a faraon otrzymał prawo pierwokupu przy wykupie egipskich jeńców i niewolników. Z zachowaniem takich to warunków kazaliśmy na glinianych tabliczkach wryć układ o wieczystej przyjaźni między Egiptem a Syrią, potwierdzając go w imię wszystkich bogów Egiptu i wszystkich bogów Syrii, i jeszcze dodatkowo w imię Atona. Aziru kłął przeraźliwie i wzywał na pomoc wszystkich bogów, jakich znał, gdy odciskał swą pieczęć tocząc ją po glinie, a i ja rozdzierałem szaty i gorzko płakałem przykładając na glinie moją egipską pieczęć. Obaj jednak byliśmy zadowoleni i Aziru dał mi bogate dary, a ja również obiecałem przysłać liczne dary dla niego, jego małżonki i jego syna pierwszym statkiem, który w czasie pokoju popłynie z Egiptu do miast syryjskich.

Rozstaliśmy się zatem w zgodzie i Aziru nawet uściskał mnie i nazywał swoim przyjacielem, a ja odjeżdżając podniosłem w ramionach jego małego synka, chwając jego dzielność i dotykając ustami jego różanych policzków. Ale zarówno Aziru jak i ja wiedzieliśmy w głębi serca, że układ zawarty na wieki wieków nie był wart nawet tej gliny, na której został spisany, i że Aziru zawierał pokój dlatego, że musiał, a Egipt zawierał pokój, bo tak chciał faraon Echnaton. Pokój ten wisiał w powietrzu i był lupem wiatrów, bo wszystko zależało od tego, w którą stronę zwrócą się Hetyci po ujarzmieniu Mitanni, a wiele zależało również od odwagi Babilonu i od kreteńskich okrętów wojennych, które zabezpieczały handel na morzu.

W każdym razie Aziru zaczął rozpuszczać wojska do domów i kazał eskorcie odprowadzić mnie aż do Gazy, wydając równocześnie rozkaz, by jego oddziały pod Gazą zaniechały bezowocnego oblężenia miasta. Zanim jednak dotarłem do Gazy, byłem bliski śmierci, a niebezpieczeństwo, w którym się znalazłem, było większe niż kiedykolwiek w czasie tej okropnej podróży. Gdy mianowicie moja eskorta zbliżała się do bram Gazy machając palmowymi gałązkami i wołając, że został zawarty pokój,

egipscy obrońcy miasta pozwolili nam podjechać dostatecznie blisko, a potem zaczęli do nas strzelać z luków i rzucać oszczepami, a ich proce miotają na nas z hukiem wielkiej gązdy, tak że doprawdy sądziłem, iż nadeszła moja ostatnia chwila. Żołnierz, który osłaniał mnie tarczą, trafiony został strzałą w samo gardło i padł na ziemię nurzając się we własnej krwi, a towarzysze jego uciekli. Mnie zaś strach sparaliżował kolana, tak że wpełzłem jak żółw pod leżącą na ziemi tarczę, płacząc i wołając żalosnym głosem. Nie mogąc poprzez tarczę dosięgnąć mnie strzałami, egipscy żołnierze na murach Gazy wylali z wielkiej kadzi roztopioną smołę, która sycząc i pryskając popłynęła w moim kierunku. Na szczęście osłaniało mnie kilka gązów, tak że doznałem poparzeń tylko na rękach i kolanach, zaledwie wygojonych.

Przyglądając się temu żołnierze Aziru śmiali się tak serdecznie, aż padali na ziemię i wili się ze śmiechu. Być może, widok ten był istotnie śmieszny, ale mnie wcale nie było do śmiechu. W końcu dowódca ich kazał zadąć w rogi, a Egipcjanie zmiękli chyba od mego żalosego płaczu, bo zgodzili się wpuścić mnie do miasta. Nie otworzyli jednak dla mnie żadnej bramy, lecz spuścili z murów na linie kosz, do którego musiałem wleźć wraz z moimi glinianymi tabliczkami i palmowymi gałązkami, po czym wciągnięto mnie w tym koszu na mury. Trząsałem się ze strachu tak mocno, że kosz zaczął się kiwać, bo mur był bardzo wysoki – moim zdaniem za wysoki – a żołnierze Aziru śmiali się ze mnie jeszcze bardziej, tak że ich śmiech rozlegał się za mną, jak huk morza uderzającego o skały w czasie burzy.

Za to wszystko robiłem ostre wyrzuty dowódcy garnizonu w Gazie, lecz był to człowiek szorstki i uparty, który mówił, że został już wystawiony na niejedną podstęp i wiarołomstwo ze strony Syryjczyków i nie zamierza nikomu otworzyć bram miasta, dopóki nie dostanie wyraźnego rozkazu od Horemheba. Nie wierzył on też, by pokój został istotnie zawarty, choć pokazywałem mu moje gliniane tabliczki i przemawiałem do niego w imię faraona, bo był to człowiek prosty i uparty. Ale bez jego prostoty i uporu Egipt pewnie już dawno byłby stracił Gazę, nie miałem więc powodów do zbyt ciężkich wyrzutów. A gdy zobaczyłem na murach suszące się skóry zdarte z wziętych do niewoli Syryjczyków, uznałem, że najlepiej siedzieć cicho i nie złościć go, i nie robiłem mu już wymówek, choć godność moja wielce ucierpiała, gdy wciągano mnie na mury na sznurze.

Z Gazy udałem się morzem z powrotem do Egiptu, a na wypadek gdybyśmy spotkali wrogich żeglarzy, kazałem na maszt wciągnąć proporzec faraona i wszystkie proporzyczki pokoju, tak że załoga ogromnie mną gardziła, mówiąc, iż statek kiwa się na falach umalowany i wystrojony jak dziewczka. Ale gdy przybyliśmy do ujścia

Rzeki, na brzegu zebrali się ludzie, wymachując palmowymi gałązkami i wielce wychwalając pokój. Również i mnie wychwalali, ponieważ byłem wysłannikiem faraona i przyniosłem z sobą pokój, tak że nawet załoga zaczęła w końcu odnosić się do mnie z szacunkiem i zapomniała, iż wciągnięto mnie w koszu na mury Gazy. A gdy przybyliśmy do Memfis, dałem im wiele dzbanów piwa i wina, ażeby jeszcze słabiej pamiętali to przykre i uwłaczające mojej godności wydarzenie.

Horemheb przeczytał tabliczki i wielce słaawił moją sztukę prowadzenia układów, tak że bardzo się dziwiłem jego zachowaniu, gdyż wcale nie miał zwyczaju chwalić mnie za moje osiągnięcia, lecz na ogół zawsze był ze mnie niezadowolony. Zrozumiałem go dopiero, usłyszawszy, że kreteńskie okręty wojenne otrzymały rozkaz powrotu na Kretę. Gdyby zatem wojna toczyła się dalej, Gaza wpadłaby po pewnym czasie w ręce Aziru, bo bez dowozu z morza byłaby stracona. A wtedy Horemhebowi nie opłacałaby się nawet próba dotarcia do Gazy z wojskami drogą lądową, bo wojska te zginęłyby w jesieni z pragnienia na pustyni. Z tego powodu Horemheb wielce mnie wychwalał i posłał spiesznie do Gazy liczne statki z wojskiem, żywnością i bronią.

W czasie mojego pobytu u Aziru król Burnaburiasz z Babilonu przysłał do Memfis drogą morską posła, który przyjechał ze świtą i licznymi darami. Zabrałem go na statek faraona, który czekał na mnie w Memfis, i razem popłynęliśmy w górę Rzeki, a podróż ta była przyjemna dla nas obu, gdyż był to czcigodny starzec o spadającej na piersi białej i jedwabistej brodzie i o wielkiej wiedzy. Rozmawialiśmy o gwiazdach i owczych wątrobach i nie brakło nam bynajmniej tematu do rozmów, bo o gwiazdach i owczych wątrobach człowiek może rozmawiać całe życie i nie wyczerpie tego wielkiego tematu.

Ale rozmawialiśmy także i o sprawach państwowych i zauważyłem, że był on ogromnie przerażony wzrastaniem potęgi Hetytów. Mówił jednak, że kapłani Marduka wróżą, iż moc Hetytów nie potrwa nawet stu lat i że z zachodu przyjdzie dziki biały lud, który obali Hetytów, tak że państwo ich zniknie, jak gdyby nigdy nie istniało. Mnie jednak wcale nie pocieszała myśl, że mocarstwo Hetytów zniknie za sto lat, ponieważ urodziłem się, by żyć za ich czasów. Zastanawiałem się też, jak jakiś lud może przyjść z zachodu, bo na zachodzie znajdowały się tylko wyspy na morzu. Ale musiałem wierzyć w to, co mówił, gdyż przepowiadały to gwiazdy, a ja na własne oczy i uszy doświadczyłem tylu cudów w Babilonie, że więcej wierzyłem w gwiazdy niż w swoją własną wiedzę.

Posel wiozł z sobą najlepsze wino z gór, więc cieszyliśmy nasze serca winem, on zaś zapewniał mnie, iż coraz więcej znaków i zapowiedzi w Wieży Marduka w przekonywający sposób wskazuje na to, że zbliża się koniec starej ery. Obaj więc

wiedzieliśmy, że żyjemy u zachodu świata, że przed nami noc i że nastąpi wiele przemian, a ludy zmiotane będą z powierzchni świata, tak jak już zmieciony został z powierzchni świata lud Mitanni, i starzy bogowie będą umierać, dopóki nie narodzą się nowi bogowie i nie rozpocznie się nowy rok świata. On wypytywał mnie z wielką ciekawością o Atona i trząsał głową, i gładził białą brodę, gdy mu opowiadałem, że Aton nie ma żadnych posągów i wszyscy ludzie są przed nim równi, i nie cieszą go ofiary, lecz tylko wzajemna miłość ludzi do siebie, ponieważ wszyscy ludzie, bez względu na kolor skóry i język, są braćmi przed Atonem i nie ma przed nim żadnej różnicy między bogatym a biednym, między moźnym a niewolnikiem.

Poseł babiloński przyznawał, że taki bóg jeszcze nigdy nie pojawił się na ziemi i właśnie dlatego pojawienie się Atona mogło oznaczać początek końca, bo nigdy jeszcze nie słyszano o tak niebezpiecznej nauce. Mówił, że nauka Atona robi z podłogi dach i sprawia, że drzwi otwierają się na zewnątrz, tak że ludzie stoją na głowie i chodzą tyłem. Jego mądrość i wiedza sprawiała, że milczałem, bo przybywał z Babilonu, kołyski wszelkiej ziemskiej i niebieskiej mądrości, i wielce go szanowałem, i nie chciałem, by gardził moją głupotą. Dlatego też nie zdradziłem mu swej myśli, że pojawienie się Atona i wiara faraona Echnatona są może dla wszystkich ludów okazją, która już nigdy się nie powtórzy. A i sam zrozumiałem niedorzeczność tej myśli, powróciwszy z wojny z rękami i kolanami poparzonymi wrzącą smołą i napatrzywszy się na storturowane zwłoki. Gdy bowiem zobaczyłem wszystko, rozsądek powiedział mi, że ludzie wcale nie są sobie braćmi, lecz że człowiek jest dla drugiego człowieka jak żarłoczny wilk.

Tak przybyliśmy do Achetaton po przyjemnej podróży, a po powrocie zdawało mi się, że jestem mądrzejszy, niż byłem, kiedy wyjeżdżałem.

ROZDZIAŁ 3

Podczas mojej nieobecności faraon znów zaczął cierpieć na bóle głowy i niepokój zżerał mu serce, ponieważ czuł, że wszystko, czego się tknie, nie udaje mu się. Ciało jego płonęło i spalało się w ogniu jego przewidzeń, tak że usychał i bladł od rozterki. Ażeby go uspokoić, postanowił kapłan Eje urządzić tej jesieni święto trzydziestolecia panowania, które się miało odbyć po zbiorach, gdy Rzeka zacznie wzbierać. To, że faraonowi Echnatonowi daleko jeszcze było do trzydziestu lat panowania, wcale nie przeszkadzało, gdyż od dawna istniał zwyczaj, że faraon mógł obchodzić trzydziestolecie panowania, kiedy tylko zapragnął. Tak na przykład ojciec jego kilkakrotnie święcił trzydziestą rocznicę swoich rządów. Dlatego obchodzenie tego święta nie pozostawało w żadnej sprzeczności z prawdą faraona Echnatona.

W związku z uroczystością do Achetaton przybyło wielu obcych ludzi i pewnego

ranka, gdy faraon Echnaton przechadzał się na brzegiem świętej sadzawki, rzuciło się na niego dwóch skrytobójców, by go zakłuć nożami. Zdarzyło się, że na brzegu siedział młody chłopak rysując kaczki. Był to uczeń Totmesa, a Totmes nie pozwalał swoim uczniom rysować z wzorów, lecz tylko według tego, co widzieli na własne oczy; było to ogromnie trudne, bo uczniowie musieli rysować to, co widzieli, nie zaś tylko to, co wiedzieli. Chłopiec ów odpierał ciosy noży skrytobójców rylcem do rysowania, dopóki straż przyboczna nie nadbiegła na pomoc i nie uratowała życia faraonowi, który odniósł tylko lekką ranę w ramię. Ale chłopiec zmarł, a krew jego polała się na ręce Echnatona. Tak to śmierć pojawiła się tuż obok faraona, który dotąd nie znał śmierci. Teraz zaś, w jesiennym przepychu pałacowego ogrodu, krew lała mu się na dłonie i widział, jak śmierć pokrywa mgłą oczy umierającego chłopca i skurcz zgonu rozwiera jego szczęki, gdy umierał za faraona.

Wezwano mnie pośpiesznie, żebym opatrzył ranę Echnatona, która jednakże nie była niebezpieczna i szybko się zagoiła. Tak to zobaczyłem obu skrytobójców, z których jeden miał ogoloną głowę i twarz lśniąca od świętej oliwy, drugiemu zaś, który nie mógł patrzeć nikomu prosto w oczy, obcięto kiedyś uszy za jakąś haniebną zbrodnię. Ale jeszcze gdy strażnicy wiązali ich postronkami, pojmani rwali więzy i wykrzykiwali straszliwe przekleństwa w imię Amona, i nie zamilkli, choć strażnicy bili ich po ustach niebieskimi drzewcami oszczepów, aż lała się krew. Niewątpliwie to kapłani tak ich zaczarowali, że nie czuli bólu.

Było to wydarzenie przerażające, bo nigdy przedtem nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś z ludu otwarcie ważył się podnieść rękę na faraona. Nie znaczy to naturalnie, by faraonowie nigdy dotychczas nie umierali inaczej jak naturalną śmiercią w Złoty Domu, ale nie stało się to nigdy otwarcie, lecz zawsze działało się to za sprawą czy to trucizny, czy cienkiego sznura lub też przez uduszenie matą, tak że nie widać było żadnych śladów i wszystko można było ukryć przed ludem. Dość długo już żyłem w Złotym Domu, by wiedzieć, iż takie rzeczy zdarzały się, a czasem może nawet otworzono faraonowi czaszkę wbrew jego woli. Jawnie jednak nikt jeszcze nigdy nie targnął się na życie faraona. I wypadku tego nie można było ukryć, bo zbyt wielu było naocznych świadków, a faraon Echnaton nie chciał zezwolić na zabicie czy zesłanie kogoś do kopalń, aby uciszyć jego język na wieki.

Od tej pory kapłani Amona głosili ludowi i swoim wiernym, że podnieść rękę na fałszywego faraona jest czynem dozwolonym i miłym Amonowi, a ten, kto zabije faraona, zyska życie wieczne nawet bez zabalsamowania ciała. W tajnych kazaniach głosili, że faraon Echnaton jest fałszywym faraonem, skutkiem czego każdy może

podnieść na niego rękę. Na prawdziwego faraona nikt naturalnie nie ośmieliłby się targnąć, bo gdyby jakiś człowiek to zrobił, musiałby wiecznie cierpieć wszystkie męki podziemia w paszczy Pożercy. Tak wierzył lud.

Więźniów przesłuchano w obecności faraona Echnatona, ale wzbranieli się cokolwiek powiedzieć. Dowiedziano się jednak, że przybyli z Teb i poprzedniego wieczoru ukryli się w ogrodzie. Już sama nazwa Teb zdradzała, kto ich posłał, ale oni wzbranieli się mówić, a gdy otwierali usta, to jedynie po to, by głośno wzywać ratunku Amona i przeklinać faraona. I nie milkli, mimo że strażnicy bili ich po twarzy drzewcami oszczepów. A od słuchania imienia przekłętego boga także i faraon Echnaton rozgoryczył się do tego stopnia, że pozwolił strażnikom bić więźniów, aż twarze ich zmasakrowano i zęby powybijano im z ust. Ale więźniowie wzbranieli się mówić i tylko wzywali Amona na pomoc, a faraon nie pozwolił męczyć ich więcej. Wtedy oni zawołali do niego butnie:

– Każ nas męczyć, fałszywy faraonie! Każ nam połamać członki, krajać ciało, palić skórę, bo nie czujemy wcale bólu!

Ta zatwardziałość była tak okropna. Że faraon odwrócił oblicze i stoczył walkę ze swoim sercem. Odzyskał panowanie nad sobą i wstydził się bardzo, że pozwolił strażnikom zmasakrować twarze więźniów. Toteż powiedział:

– Puśćcie ich, bo nie wiedzą co czynią.

Ale gdy strażnicy zdjęli więźniom pęta i puścili ich wolno, ci klęli jeszcze okropniej niż poprzednio, piana ciekła im z ust i jednym głosem wołali:

– Każ nas zabić, przekłety faraonie! Na Amona, obdarz nas śmiercią, fałszywy faraonie, żebyśmy mogli zyskać żywot wieczny!

A gdy zrozumieli, że faraon zamierza ich uwolnić bez kary, wyrwali się z rąk strażników i roztrzaskali sobie czaszki o mur dziedzińca, tak że wkrótce umarli. Tak wielka była tajemna władza Amona nad ludzkimi sercami.

Po tym wypadku każdy mieszkaniec Złotego Domu wiedział, że faraon Echnaton nie był już ani przez chwilę pewny życia. Wierni mu tym usilniej nad nim czuwali i nie spuszczała go już nigdy z oka, choć on sam wciąż jeszcze chciał z powodu żałoby przechadzać się samotnie i bez straży po ogrodzie i nad brzegiem sadzawki. Z pewnością sądził też, że przechadza się samotnie, ale niewidzialne oczy pilnowały od tej pory każdego jego kroku. Ci, którzy wierzyli w Atona, podsycałi w sobie jeszcze płomienniejszą wiarę, ci zaś, którzy przeszli na stronę Atona dla bogactw i wysokich godności, zaczęli truchleć o swoje stanowiska i zwiększyli czujność w służbie faraona. Tak więc zawziętość przybrała na sile w Obu Królestwach, a ludzie podniecali się

równie łatwo z powodu Atona, jak i z powodu Amona i Aton różnił żony z mężami, ojców z synami, a braci z siostrami.

Objawiło się to najszybciej w Tebach, bo na dowód mocy i szczęścia faraona urządzono tam podobne uroczystości i ceremonie jak w Achetaton, by święcić trzydziestolecie panowania. Przywieziono kosze złotego piasku i strusich piór, pantery w klatkach, sprowadzono Rzeką żyrafy, a w pochodzie brały też udział małe małpki i papugi o lśniącym upierzeniu, by lud mógł się napatrzeć na potęgę faraona i wielbić go. Ale lud tebański przypatrywał się pochodowi w milczeniu i bez radości, na ulicach toczono bójki, zrywano krzyże Atona z szat przechodniów, a kilku kapłanów Atona zatłuczono kijami na śmierć, gdy bez strażników ważyli się wmieszać w tłum.

Najgorsze jednak było to, że posłowie obcych mocarstw oglądali pochód i widzieli to wszystko, jak również dowiedzieli się o zamachu na faraona, ponieważ przez jego upór nie dało się tego ukryć. Toteż sądzę, że poseł Aziru miał wiele przyjemnych rzeczy do opowiedzenia swemu panu, gdy wrócił do Syrii. Ponadto zabrał on z sobą liczne wspaniałe dary od faraona dla Aziru. Także i ja posłałem przez posła podarunki dla Aziru i jego rodziny. Synowi jego posłałem całą małą armię wyrzezaną w drewnie, z pięknie pomalowanymi oszczepnikami i łucznikami, końmi i wozami bojowymi, a połowę tego wojska kazałem zrobić Hetytami, połowę zaś Syryjczykami, w nadziei że malec każe im bić się z sobą, gdy będzie się nimi bawić. Takie drewniane figurki można było bowiem tanio kupić, od czasu gdy zamknięto wszystkie świątynie i warsztaty Amona, a świątynni snycerze zostali bez pracy. W każdym razie mój podarunek dla chłopca był zręcznie zrobiony, żołnierze mieli oczy z czarnego kamienia, a oczy oficerów sporządzono z drogich kamieni. Wozy dowódców były pozłoczone, ich małe bicze splecione ze srebra i złota, tak że dar był moim zdaniem królewski i zapłaciłem za niego więcej niż za dary dla Aziru, bo chłopiec był jego sercu bliższy niż własne jego korzyści.

Faraon Echnaton cierpiał wielce w owym czasie i toczył ze swym sercem walkę, a wiele wątpliwości wstrząsało jego wiarą, tak że czasem skarżył się gorzko w nocy, że widzenia jego ustały, a Aton go opuścił. W końcu jednak uczynił samobójczy zamach na siebie źródłem własnej siły i podniecał się wiarą, że posłannictwo jego jest większe niż przedtem, bo tyle jeszcze jest ciemnoty i strachu w Egipcie. Zaznał smaku gorzkiego chleba nienawiści i pił słoną wodę nienawiści, lecz chleb ten nie zaspokoił jego głodu ani woda nie ugasila jego pragnienia. Sam jednak uważał, że robi wszystko tylko z dobroci i miłości, gdy jeszcze surowiej niż przedtem kazał ścigać kapłanów Amona i karać ich oraz posyłać do kopalń ludzi, którzy głośno wymówili imię Amona. Najwięcej od tego

prześladowania ucierpieli naturalnie ludzie prości i biedni, bo tajemna moc kapłanów Amona była wielka, a strażnicy faraona nie wazyli się ich tykać i patrzyli przez palce, gdy chodziło o kapłanów. Toteż nienawiść siała nienawiść i niepokój narastał w Egipcie jeszcze większy niż przedtem.

Aby umocnić swoją władzę, jako że nie miał dotąd syna, wydał faraon Echnaton obie swoje najstarsze córki, Meritaton i Anchsenaton, za mąż za synów możnych i wiernych dostojników dworu. Meritaton stłukła dzban z chłopcem imieniem Sekenre, który piastował godność królewskiego podczaszego w Złotym Domu, żył tam przez całe swoje życie i wierzył w Atona. Był to piętnastoletni zapaleniec, który marzył na jawie, podobnie jak faraon, ale wolę miał słabą, stale przytłoczoną silną wolą faraona, co też było jednym z powodów, dla których był faraonowi miły. Dlatego też faraon kazał ukoronować tego chłopca królewską tiarą i wyznaczył go na swojego następcę, ponieważ nie wierzył już, by mógł mieć kiedyś własnego syna.

Anchsenaton zaś stłukła dzban z dziesięcioletnim chłopcem, który nazywał się Tut i nosił tytuł królewskiego koniuszego i nadzorcy królewskich budowli i kamieniołomów. Był to wąty, chorowity chłopczyk, który chętnie bawił się lalkami, lubił łakocie i był we wszystkim posłuszny i pojętny. Nie było w nim nic godnego wzmianki, ani dobrego, ani złego, wierzył we wszystko, czego go uczono, oraz mówił tymi samymi słowami, które słyszał ostatnio u kogoś innego. Ci dwaj chłopcy należeli do najmożniejszych rodów w Egipcie i wydawszy za nich swe córki faraon Echnaton sądził, że związał z sobą i z Atonem ich możne i potężne rody. Chłopcy ci byli mu także mili, bo nie mieli własnej woli. Gdyż w swoim fanatyzmie nie znosił już faraon Echnaton żadnego sprzeciwu i nie słuchał doradców.

Tak więc wszystko szło na pozór tak jak przedtem, ale zamach na faraona był złym znakiem, a jeszcze gorszym znakiem to, że faraon Echnaton chciał zamknąć uszy na wszystkie głosy ziemskie i słuchać tylko własnych głosów. Toteż życie w mieście Achetaton stało się przytłaczające, ścichły uliczne odgłosy, a ludzie śmieli się mniej niż dawniej i przyciszali głos rozmawiając, zupełnie tak, jakby nad Miastem Niebiańskim ciążyła jakaś tajemna trwoga. I często, gdy w czasie pracy ocknąłem się nagle z myśli na plusk wodnego zegara i wyjrzałem na dwór, zdawało mi się, że cisza śmierci spadła nagle na Achetaton, bo nie było słyhać żadnego dźwięku, ani turkotu kół, ani świergotu ptaków, ani nawoływań służby, tylko plusk wodnego zegara, mierzącego niezmierny czas. W takich chwilach plusk ten był dla mnie dźwiękiem złowróbnym, jak gdyby jakiś z góry wyznaczony czas kończył się, upływał. I nic nie pomagało, że wyrzucałem swemu sercu głupotę i zapewniałem sam siebie, iż czas nigdy się nie kończy i że

woda nigdy się nie wyczerpie w wodnym zegarze. Ale potem znów ulicą koło mego domu przejeżdżały wozy, barwne pióra powiewały nad końskimi łbami, a z wesołym turkotem kół mieszały się krzyki służby skubiącej ptactwo na kuchennym podwórku. Wtedy znowu się uspokajałem i zdawało mi się, iż miałem niedobry sen.

W chłodnych chwilach rozważy miałem jednak uczucie, że miasto Achetaton było tylko piękną łupiną owocu, którego miąższ przeżarły już robaki. Larwa czasu wyzarła już szpik z jego wesołego życia, radość zgasła, a śmiech umarł w Achetaton. Toteż zacząłem w głębi serca tęsknić do Teb i nie musiałem szukać pretekstu, by tam wyjechać, lecz serce moje podsuwało mi szczerze wiele powodów, których wadze faraon Echnaton nie mógł zaprzeczyć. Tak samo było chyba z wielu innymi, bo wielu wyjechało z Achetaton, choć sądzili, że z całego serca kochają faraona Echnatona – jedni po to – by doglądać swoich dóbr, inni na zaślubiny krewniaków, niektórzy do Memfis, niektórzy do Teb. Wielu oczywiście powracało też do Achetaton ze swoich podróży, ale byli i tacy, którzy już nie powrócili i nie bali się, że stracą łaski faraona, lecz więcej ufali w tajemną moc Amona. Ja sam wyjechałem do Teb dla spraw majątkowych, postarawszy się, by Kaptah przysłał mi listy, które zaświadczały, że moja obecność jest tam konieczna, tak że faraon nie mógł mi przeszkodzić w wyjeździe.

ROZDZIAŁ 4

Ale gdy wsiadłem na statek i płynąłem w górę Rzeki, dusza moja jakby wyzwoliła się spod jakiegoś zaklęcia. Znów była wiosna, Rzeka opadła i jaskółki śmigaly z zapalem nad rwącą, żółtą od szlamu wodą, żyzny muł osiadł na polach, a owocowe drzewa kwitły. Ja zaś przyśpieszałem moją podróż z sercem pełnym rozkosznego, wiosennego podniecenia, jakbym był panem młodym śpieszącym do swojej siostry. Bo człowiek jest niewolnikiem swojego serca i zamyka oczy na to, co nie jest dla niego przyjemne, a wierzy w to, na co ma nadzieję. Uwolnione od klątwy i skradającej zgrozy Achetaton serce moje radowało się jak ptak wypuszczony z klatki, bo ciężko jest człowiekowi być związanym wolą drugiego człowieka, a każdy, kto żył w Achetaton, związany był porywczą i ujarzmiającą wolą faraona i wybuchami jego kaprysów. Dla mnie był on tylko człowiekiem, gdyż byłem jego lekarzem, i dlatego niewola była dla mnie cięższa niż dla tych, dla których był faraonem, i dla tych niewielu, dla których był bogiem i których sercom najłatwiej było znosić niewolę.

Radowałem się więc, że znów mogę patrzeć własnymi oczami i słuchać własnymi uszami, i mówić własnym językiem, i żyć według własnej woli. A swoboda taka wcale nie jest szkodliwa dla człowieka. Gdy podróżowałem w górę Rzeki, swoboda ta uczyniła mnie pokornym i stopiła całą gorycz w moim sercu, tak że nawet faraona widziałem

takim, jakim był. Im bardziej oddalałem się od Echnatona, tym wyraźniej widziałem go takim, jakim był, i im dalej odchodziłem od niego, tym bardziej go kochałem i tym lepiej mu życzyłem. A im bardziej zbliżałem się do Teb, tym żywiej pulsowały wszystkie wspomnienia w moim sercu i tym bardziej rósł w mym sercu faraon i jego Aton, pokonując we mnie cienie wszystkich innych bogów i Amona.

Tak więc wierzyłem w to, na co miałem nadzieję, i cieszyłem się wielce w głębi serca z moich myśli, czując się jak człowiek dobry, człowiek lepszy od wielu innych. A jeśli mam być uczciwy wobec siebie samego i żyć w prawdzie, muszę wyznać, że w sercu czułem się człowiekiem lepszym nawet od faraona Echnatona, ponieważ umyślnie nigdy nie wyrządziłem nikomu żadnego zła i nie narzucałem nikomu mojej wiary, a w dniach młodości pielęgnowałem biedaków, nie żądając w zamian za to darów. Kiedy bowiem podróżowałem w górę Rzeki i wieczorem przybijałem do brzegu, by przenocować na statku, wszędzie widziałem ślady boga faraona Echnatona. Choć okres siewów był w całej pełni, połowa pól egipskich leżała nie zaorana i nie zasiana, a na zagonach pleniły się chwasty i osty, i nikt nie czyścił rowów nawadniających ze szlamu, którym je wypełnił wylew Rzeki.

Amon sprawował bowiem władzę nad ludzkimi sercami i przepędzał osadników ze swoich dawnych gruntów, przeklął także pola faraona, tak że niewolnicy i rolnicy uciekali z nich i kryli się po miastach, bojąc się przekleństwa Amona. Nieliczni osadnicy żyli jednak jeszcze w swoich lepiankach w strachu i rozgoryczeniu. Rozmawiając z nimi pytałem:

– Szaleńcy, dlaczego nie orzecie i nie zasiewacie swoich pól? Jeśli tego nie zrobicie, poumieracie z głodu, gdy nadejdzie zima!

Oni jednak patrzyli na mnie wrogo, bo nosiłem szaty z najcieńszego lnu, i odpowiadali:

– Po cóż mamy siał, skoro zboże, które rośnie na naszych polach, daje chleb przeklęty, uśmiercający tego, kto go zje, tak jak to cętkowane zboże uśmierciło już nasze dzieci.

Tak daleko bowiem leżało Achetaton od prawdziwego życia, że dopiero od osadników dowiedziałem się, iż cętkowane zboże zabijało dzieci. Nigdy przedtem nie słyszałem o takiej chorobie, ale szerzyła się ona z dziecka na dziecko. Dziecinne brzuszki obrzmiewały, dzieci umierały wśród żalonych skarg, a lekarze nie umieli im nic poradzić i nawet znachorzy nie umieli nic na to pomóc, choć chłopcy swoim zwyczajem zwracali się o pomoc do znachorów. Uważałem jednak, że choroba ta nie mogła pochodzić ze zboża, i sądziłem, że przyszła ona z wody rzecznej, z której

przychodzą zimą wszystkie zaraźliwe choroby, choć ta była o tyle szczególna, że nie zabijała dorosłych, lecz tylko dzieci. Ale gdy patrzyłem na tych dorosłych, którzy nie ośmielali się zasiać swych pól, lecz woleli raczej zginąć głodową śmiercią, widziałem, że choroba zabiła ich serca. I patrząc na to wszystko nie obwiniałem już faraona Echnatona, lecz oskarżałem Amona, który na polach zatruchiwał ludziom życie, tak że śmierć wydawała im się lepsza od życia.

Płynąc w górę Rzeki, w kierunku Teb, patrzyłem na wszystko otwartymi oczyma. I na urodzajnych gruntach, gdzie orano i obsiewano zagony i gdzie zasiewy wdeptywano w żyzny muł, widziałem niewolników przeklinających swoich panów i służących sarkających na swoich panów, gdyż czoła im ociekały potem i grzbiety poznaczone były uderzeniami kijów. W sercu niesprawiedliwość ta nie wydawała mi się lepsza od nie zaoranych pól Atona i ostów na żyznych zagonach. Niecierpliwość pędziła mnie naprzód i przyśpieszała moją podróż, a pot lał się z czoła moich wioślarzy, którzy z wyrzutem pokazywali mi dłonie, opuchnięte i pełne pęcherzy, tak ich poganiałem. Próbowałem uleczyć ich rany srebrem i gasiłem ich pragnienie piwem, bo chciałem być dobry. Ale słyszałem, jak wiosłując, z biodrami wykrzywionymi od wysiłku, mówili między sobą:

– Dlaczego mamy harować dla tego grubego wieprza, skoro wszyscy ludzie są równi przed jego bogiem? Niech raz spróbuje powiosłować sam, to się przekona, jak smakuje wiosłowanie. Niech wyschnie mu gardło i spuchną garście i niech je potem spróbuje uleczyć srebrem, jeśli potrafi.

Kij przy moim boku przypomniiał mi się niecierpliwie, ale serce miałem przepełnione dobrocią, bo byłem w drodze do Teb. Toteż zastanowiłem się nad ich słowami i zrozumiałem, że mówili prawdę. Zszedłem tedy pomiędzy nich i rzekłem: – Wioślarze, dajcie i mnie wiosło! – I od tej chwili wiosłowałem na równi z nimi, a od twardego drewna wiosła popuchły mi dłonie i porobiły się na nich pęcherze, z których wnet powstały rany. Grzbiet skrzywił mi się od wysiłku i każdy staw palił mnie jak ogień, i zdawało mi się, że pęknie mi kręgosłup, a każdy oddech sprawiał mi ból w piersi. Ale powiedziałem sobie w duchu:

Miałbyś rzucić pracę, którą sam wzięłeś na siebie, żeby twoi niewolnicy mogli się z ciebie śmiać i naigrywać!? Wszystko to, a jeszcze i wiele więcej, muszą oni wytrzymywać codziennie. Zakosztuj więc ich potu i poznaj ból ich spuchniętych rąk do samego dna, żebyś wiedział, jakie jest życie wioślarza. Przecież sam prosiłeś kiedyś, żeby puchar twój napełniony był po brzegi.

I wiosłowałem nie ustając, dopóki omal nie omdlałem, a słudzy musieli mnie

zanieść do łóżka.

Nazajutrz znowu wiosłowałem dłońmi odartymi ze skóry, a wiosłarze już się ze mnie nie śmieli, lecz wzywali mnie, żebym skończył, mówiąc:

– Jesteś naszym panem, a my twoimi niewolnikami. Nie wiosłuj więc, bo podłoga stanie się dachem i będziemy chodzić tyłem i stopami do góry. Doprawdy, nie wiosłuj już więcej, nasz drogi panie, Sinuhe, żebyś nie wyzionął ducha, bo jakiś porządek musi być we wszystkim i każdy człowiek ma swoje miejsce przeznaczone mu przez bogów, a ława wioslarza nie jest miejscem dla ciebie.

Ale aż do samych Teb wiosłowałem na równi z nimi i pożywieniem moim był ich chleb i ich kasza, a moim napojem było cierpkie piwo niewolników. I z dnia na dzień mogłem więcej wiosłować, i z każdym dniem członki moje robiły się sprężystsze, i co dzień bardziej cieszyłem się życiem, gdy spostrzegłem, że już nie dostaję zadyszki od wiosłowania. Tylko słudzy moi wielce byli z mego powodu zaniepokojeni i mówili do siebie:

– Z pewnością jakiś skorpion ugryzł naszego pana albo też oszalał on, jak wszyscy w Achetaton, bo szaleństwo jest zaraźliwe, gdy nie nosi się na szyi ochronnych amuletów. My jednak nie boimy się szaleństwa, bo mamy ukryty w szatach róg Amona.

Ja jednak wcale nie byłem szalony, bynajmniej nie zamierzałem wiosłować dalej niż do Teb i wcale nie chciałem zostać wioslarzem na resztę swego życia, gdyż zawód ten był dla mnie zbyt uciążliwy.

Tak dotarliśmy do Teb. A już na długo przedtem, jeszcze na Rzece, zaczęły mnie dolatywać zapachy Teb, a nie ma rozkoszniejszego zapachu dla tego, kto urodził się w Tebach, i woń ta jest w jego nozdrzach miłsza niż aromat mirry. Kazałem sługom natrzeć mi dłonie gojącymi maściami, obmyć mnie i ubrać w najlepsze szaty, a fartuszek na biodra okazał się teraz za obszerny dla mnie, bo w czasie wiosłowania brzuch mi zmalał tak, że słudzy musieli teraz szpilkami upinać mi fartuszek w pasie i żałośnie narzekali:

– Nasz pan jest chory, bo stracił brzuch, który jest oznaką dostojności, i wstydzimy się przed sługami innych możnych panów, bo nasz pan nie ma już brzucha.

Ja jednak śmiałem się z nich i posłałem ich do dawnego domu odlewacza miedzi, by donieśli Muti o moim przybyciu, nie śmiałem bowiem zjawić się w domu nie zapowiedziany. Wiosłarzom zaś dałem srebro, a nawet trochę złota, mówiąc:

– Na Atona, idźcie i najedzcie się do syta, i rozweselcie sobie serca dobrym piwem, i zażyjcie rozkoszy z pięknymi tebańskimi dziewczętami. Gdyż Aton jest dawcą wesela i kocha proste przyjemności, i kocha biedaków bardziej niż bogaczy, bo ich przyjemności są prostsze niż bogaczy.

Ale wiosłarze usłyszawszy to spochmurnieli. Szurali stopami o deski pokładu, obmacywali srebrne i złote pieniądze i powiedzieli do mnie:

– Wcale nie chcemy cię obrazić, ale czy to srebro nie jest srebrem przeklętym, a złoto przeklętym złotem, skoro mówisz do nas o Atonie? Przeklętego złota nie możemy przyjąć, bo pali nam ono palce i każdy wie, że zmieni się nam w rękach w glinę.

Nigdy nie byliby tego do mnie powiedzieli, gdybym razem z nimi nie wiosłował, lecz teraz mieli do mnie zaufanie.

Uspokoilem ich:

– Jeśli obawiacie się czegoś takiego, śpieszcie wymienić wasze srebro i złoto na piwo. Ale nie martwcie się! Moje złoto nie jest przeklętym złotem i moje srebro nie jest przeklętym srebrem, przecież po stemplach możecie poznać, że jest to stare prawdziwe złoto i srebro, do którego nie domieszano miedzi w Achetaton. Muszę jednak stwierdzić, że jesteście niemądrzy i nie rozumiecie swojego własnego dobra, skoro obawiacie się Atona, bo przed nim nikt nie powinien żywić obawy.

A oni odrzekli:

– Wcale nie boimy się Atona, bo któż by się bał bezsilnego boga. Dobrze wiesz, kogo się obawiamy, panie nasz, choć ze względu na faraona nie śmiemy powiedzieć głośno jego imienia.

Kipiałem z niecierpliwości i nie chciałem się już dłużej z nimi spierać. Toteż pozwoliłem im odejść, oni zaś poszli do portu skacząc z radości, śmiejąc się i śpiewając swoje wiosłarskie pieśni. Także i mnie chciało się skakać, śmiać się i śpiewać, ale skakanie nie przystało mojej godności, a śpiew brzmiałby w moim gardle chrapliwie. Dlatego poszedłem prosto do „Ogona Krokodyla”, bo zniecierpliwiło mnie czekanie na lektykę. W taki to sposób ujrzałem znowu Merit po długiej rozłące, a widok jej nie sprawił zawodu mojej tęsknocie, była w moich oczach jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Muszę jednak przyznać, że miłość zaślepia człowieka, tak jak każda inna namiętność, i że Merit nie była już wcale młoda. Lecz w najpiękniejszej dojrzałości lata swego życia była moim przyjacielem i nikt na świecie nie był mi bliski w taki sposób jak Merit.

Gdy mnie ujrzała, skłoniła się przede mną głęboko i podniosła w górę ręce, ale potem podeszła do mnie, dotknęła dłońmi moich ramion i policzków, uśmiechnęła się i rzekła:

– Sinuhe, Sinuhe, co się z tobą stało? Oczy twoje są tak jasne i w drodze zgubiłeś brzusek!

Odparłem:

– Merit, najdroższa moja, czy mam jasne od pragnienia ciebie i od miłosnej gorączki, a brzuch zmalął mi od smutku i zgubiłem go po drodze, śpiesząc do ciebie, moja siostrzo.

A ona otarła oczy i powiedziała:

– O Sinuhe, o ile milsze jest jednak kłamstwo od prawdy, gdy człowiek jest samotny, a wiosna jego życia przekwitła nadaremnie. Ale gdy przychodzisz, wiosna zakwita dla mnie na nowo i wierzę w baśnię, mój przyjacielu!

Więcej nie chcę mówić o moim spotkaniu z Merit, bo muszę opowiedzieć także o Kaptahu. Jego brzuch wcale się nie zmniejszył, przeciwnie, był jeszcze potężniejszy niż poprzednio i jeszcze więcej niż dawniej ozdób i obręczy dźwięczało mu na szyi, na przegubach rąk i u nóg, a w złotą blaszkę, która zasłaniała jego ślepe oko, kazał wprawić drogie kamienie. Gdy mnie zobaczył, zaczął płakać i wykrzykiwać z radości: – Błogosławiony niech będzie ten dzień, który sprowadza cię do domu, mój panie! – A potem zaprowadził mnie do osobnej izby i usadowił na miękkiej macie. Merit zaś podała nam wszystko, co „Ogon Krokodyla” miał najlepszego, i radowaliśmy się wszyscy razem. A Kaptah złożył mi sprawozdanie z mojego bogactwa:

– Mój panie, Sinuhe, mądrzejszy jesteś od wszystkich, chytrzejszy niż handlarze zboża, a niewielu dotychczas zdołało ich przechytrzyć. Lecz ubiegłej wiosny ty wywiodłeś ich w pole swoją chytrością, choć zapewne i skarabeusz ma swój udział w tym wszystkim. Jak sobie przypominasz, kazałeś mi rozdzielić zboże między osadników, żądając od nich zwrotu tylko miary za miarę. Mówiłem wtedy, żeś szalony, i miarę rozsądku przykładając był to istotnie postępек szaleńca. Ale wiedz, że dziś dzięki twojej chytrości bogatszy jesteś, niż byłeś dawniej, dwa razy tak bogaty, jak byłeś wtedy, tak że nie mogę już pomieścić w głowie całego twojego bogactwa i ciężkie mam życie z poborcami podatków faraona, bo ich chciwość i bezczelność jest jeszcze bardziej nienasycona niż poprzednio. Ceny zboża spadły bowiem natychmiast, gdy tylko handlarze zboża usłyszeli, że osadnicy dostaną zboże na zasiewy. A gdy rozeszły się słuchy o pokoju, ceny zboża spadły jeszcze bardziej, wszyscy bowiem sprzedawali zboże, żeby pozbyć się swoich zobowiązań, i handlarze zboża ponieśli ciężkie straty, i wielu z nich stało się biedakami. Gdy zboże potaniało, zacząłem je kupować i magazynować, kupowałem go nawet więcej niż przedtem, choć kłosa nie były jeszcze dojrzałe ani też zboże żęte. A w jesieni zebrałem także i to zboże, które rozdzieliłem między osadników, miara za miarę, tak jak mi kazałeś, i w ten sposób odzyskałem także dawne zapasy zboża. I mogę ci powiedzieć, mój panie, całkiem poufnie, że to kłamstwo, gdy się mówi, że zboże osadników jest pokryte plamami, jest ono bowiem

równie czyste jak każde inne zboże i wcale nie jest szkodliwe. Sądzę, że to kapłani i ich wyznawcy po kryjomu skrapiali zboże w sásokach krwią, tak że stało się cętkowane i zaczęło cuchnąć. Niebezpieczne to jednak słowa i mam nadzieję, że nie powtórzysz ich nikomu, zresztą nikt by ci nie uwierzył, gdyż wszyscy są przekonani bez żadnej wątpliwości, że zboże osiedleńców jest przeklętym zbożem, a ich chleb chlebem przeklętym. A to przekonanie wyszło także i tobie, mój panie na korzyść. Gdy bowiem nadeszła zima, ceny zboża zaczęły znowu iść w górę, zwłaszcza od chwili gdy Eje po zawarciu pokoju zaczął w imieniu faraona wysyłać statki ze zbożem do Syrii, żeby z rynków syryjskich wyprzeć zboże babilońskie. Zboże zrobiło się wtedy droższe niż dawniej, nigdy jeszcze ceny zboża nie były tak wysokie jak obecnie, a nasze zyski są niezmiernie i im dłużej zatrzymamy zboże w magazynach, tym bardziej wzrosną. Gdyż w jesieni głód wkradnie się do Egiptu, bo pola osadników są nie zaorane i nie obsiane, a z pól faraona uciekają niewolnicy, chłopci zaś chowają swoje zboże, żeby go im nie zabrano i nie wywieziono do Syrii. Za to wszystko muszę pod niebiosa wychwalać twój wielki spryt, o panie, bo w handlu zbożem jesteś chytrzejszy ode mnie, choć sądziłem, żeś szalony.

Kaptah ogromnie się rozpałił i ciągnął dalej:

– Błogosławię te czasy, które czynią bogacza jeszcze bogatszym i które nieustannie wzbogacają człowieka, nawet gdy sam tego nie pragnie. Także i handlarze zboża znów się radują i uczują od rana do wieczora i od wieczora do rana, a na ucztach ich wino płynie strumieniami, bo każdy, kto kupuje zboże na skład, wzbogaca się nic nie robiąc. Zaiste dziwne to czasy, bo złoto i srebro płynie teraz także z niczego do moich skrzyń i szkatuł. Wiedz, że sprzedając puste dzbany zarobiłem tyleż, co na zbożu, i nie jest to wcale jakieś próżne gadanie, lecz szczerą prawdą, mimo że nikt nie chce w to wierzyć. Po całym Egipcie krążą bowiem tacy, którzy skupują puste używane dzbany i zadawalają się byle jakimi, tak że piwowarnicy i hodowcy wina narzekają i rwą sobie włosy z głowy, gdyż dla nich nie starcza dzbanów. Dziwne to zaiste czasy, gdy człowiek wzbogaca się z niczego, ale gdy się o tym dowiedziałem, zdążyłem wykupić wszystkie próżne dzbany w Tebach i wynająłem setki niewolników do kupowania i zbierania dzbanów. Rzecz nie do wiary, ludzie oddawali moim niewolnikom używane dzbany za darmo, tylko po to, by ci pozabierali cuchnące naczynia z ich podwórek. I jeśli powiem, że zimy tej sprzedałem tysiąc razy po tysiąc pustych dzbanów, to może przesadzę, ale nie tak znowu wiele. Nie opłaca mi się też kłamać, bo ta prawda o dzbanach jest bardziej niewiarygodna od moich najlepszych kłamstw.

– Cóż za głupiec skupuje puste dzbany? – spytałem.

Kaptah mrugnął chytrze swoim zdrowym okiem i powiedział:

– Kupujący utrzymują, że w Dolnym Kraju wynaleziono nowy sposób przechowywania ryb w soli i wodzie, ale ja zbadałem tę sprawę i wiem, że dzbany idą do Syrii. Wielkie transporty tych dzbanów wylądowano w Tanis i karawany zabierają je stamtąd do Syrii, a także i do gazy idą transporty dzbanów, skąd wysyła się je dalej statkami do Syrii. Nikt jednak nie może zrozumieć, co Syryjczycy robią z pustymi dzbanami, choć pytałem o to wielu mądrych ludzi. I nikt nie może pojąć, dlaczego płacą tyleż za używane dzbany co za nowe, ani też, na co im są potrzebne te puste dzbany.

Opowiadanie Kaptaha o dzbanach było zaskakujące, ale ja nie zaprzętałem sobie tym głowy, bo sprawa zboża wydawała mi się ważniejsza. Wysłuchawszy sprawozdania Kaptaha, powiedziałem więc:

– Sprzedaj wszystko, co masz, gdyby było trzeba, i kupuj zboże, Kaptahu! Kupuj zboże na skład, ile tylko zdołasz dostać i nie troszcz się o cenę. Ale nie kupuj zboża, które jeszcze nie zakiełkowało w ziemi, kupuj tylko takie, które będziesz mógł obejrzeć na własne oczy i przesypywać własnymi palcami. Rozważ też, czy nie mógłbyś odkupić z powrotem części zboża, które wysłano statkami do Syrii, bo chociaż faraon stosownie do układu pokojowego musi posyłać zboże do Syrii, to jednak Syria dostaje zboże także z Babilonu, nie potrzebuje aż tyle zboża. Zaprawdę, w jesieni głód zakradnie się do Kraju Kem i dlatego niech będzie przeklęty ten, kto ze spichrzów faraona sprzedaje zboże do Syrii, by współzawodniczyć tam z Babilonem w dostawie zboża.

Gdy wyrzekłem te słowa, Kaptah znów zaczął wychwalać moją mądrość:

– Słusznie mówisz, mój panie, bo będziesz najbogatszym człowiekiem w Egipcie, gdy te transakcje zostaną szczęśliwie zakończone. Sądzę, że udami się kupić trochę zboża, choć będę pewnie musiał zapłacić za nie lichwiarską cenę. Człowiek, którego przeklinasz, ten głupi kapłan Eje, sprzedał zboże faraona do Syrii, gdy było jeszcze tanie po zawarciu pokoju, i sprzedał tego zboża tyle, że starczyłoby na zapotrzebowanie Syrii w ciągu wielu lat. A zrobił to dlatego, że Syria płaciła za zboże natychmiast i w złocie, on zaś potrzebował niezmiernych ilości złota na święto trzydziestolecia panowania faraona. I Syryjczycy nie chcą odsprzedać tego zboża z powrotem, mimo że handlarze zboża rozpytywali już o to. W okresie zimy przewieźli je statkami do Syrii i nie chcą sprzedać ani ziarenka, bo Syryjczycy to mądrzy kupcy i czekają – jak sądzą aż ziarno zboża będzie w Egipcie na wagę złota. Dopiero wtedy sprzedadzą nam z powrotem nasze własne zboże i zgarną w zamian w swoje skrzynie całe złoto Egiptu, to złoto, oczywiście, którego nie zdołamy zebrać my, panie, i ty, i ja.

Ale ja już zapomniałem o zbożu i nędzy, która groziła Egipcjom, jak też o

przyszłości, pogrążonej w mroku, od czasu, gdy zachód słońca rzucił swój krwawy cień na Achetaton. Spojrzałem w oczy Merit i serce przepełniło mi się zachwytem nad jej pięknnością. Była dla mnie winem w moich ustach i balsamem na moich włosach. Rozstaliśmy się z Kaptahem, a ona rozścieliła dla mnie swoją matę, żebym spoczął, ja zaś nie wahałem się już dłużej nazywać ją moją siostrą, choć kiedyś zdawało mi się, że już nigdy nie potrafię nazwać żadnej kobiety siostrą. I po całej gorączce i wszystkich zawodach miłości przyjaźń Merit była dla mnie jak chleb i wino, które syci zgłodniałego, a dotknięcie jej ust upajało mnie silniej niż wszystkie wina z portów i gór. A kiedy nasyciłem głód i pragnienie jej ciała, ona trzymała w ciemności nocy moje dłonie w swoich, oddychając lekko przy mojej szyi, i rozmawialiśmy z sobą, a serce moje nie miało przed nią żadnych tajemnic, lecz mówiłem z nią bez fałszu i obłudy. Jej serce jednak zachowało swoją tajemnicę, choć ja tego nie przeczuwałem. Ale tak pewnie było napisane w gwiazdach jeszcze przed dniem mego urodzenia i gorycz z tego powodu nie zatruwa pamięci o niej.

Tak więc upoiła mnie moja miłość i czułem się silniejszy w wieku męskim, niż byłem w młodości, bo młodość błądzi i miłość jej pełna jest mąk z powodu nieświadomości, i młodość nie zna własnej siły, lecz uważa ją za rzecz naturalną i zupełnie oczywistą, nie wiedząc, że siła rok za rokiem wycieka z członków mężczyzny, gdy nadchodzi starość. Ale dziś, w dniach starości, chwałę mimo to młodość na równi z wiekiem męskim, może bowiem głód jest lepszy niż sytość i może pragnienie nadaje ludzkim myślom więcej ognia, niż go ma umysł zadowolony winem. W owym jednak czasie, kiedy przebywałem w Tebach, wyobrażałem sobie, że mój wiek męski silniejszy jest niż młodość, choć pewnie było to tylko złudzenie, jakim życie często mamy człowieka. To złudzenie czyniło wszystko pięknym w moich oczach i nie życzyłem nikomu nic złego, lecz wszystkim życzyłem tylko dobrze. I gdy spoczywałem u boku Merit, nie czułem się już obcy na tym świecie, a łono jej było dla mnie domem, a usta jej szałowywały moją samotność. Ale także to wszystko było tylko przelotną złudą, którą musiałem przeżyć, żeby wypełniła się moja miara.

W „Ogonie Krokodyla” spotkałem znowu małego Tota i widok jego rozgrzał mi serce. On zaś zarzucił mi rączki na szyję i mówił do mnie „tatusiu”, a ja nie mogłem oprzeć się wzruszeniu, że mnie pamiętał. Merit opowiedziała mi, że matka Tota umarła, Merit wzięła więc dziecko do siebie, bo nosiła je w ramionach niemowlęciem i dała obryzgać, a zatem według dobrego obyczaju jej obowiązkiem było troszczyć się o jego wychowanie, gdyby rodzice nie mogli się o to zatroszczyć. Tot czuł się też w „Ogonie Krokodyla” jak w domu, a goście rozpieszczali go, przynosili mu podarki i zabawki,

żeby przypadła się Merit. Także i ja bardzo lubiłem chłopca i na czas pobytu w Tebach zabrałem go do siebie, do dawnego domu odlewacza miedzi, co wielce ucieszyło Muti. A gdy patrzyłem na jego zabawy u stóp sykomora i słyszałem, jak igra i spiera się z dziećmi na ulicy, przypominały mi się moje własne lata chłopięce w Tebach i pozazdrościłem Totowi. On zaś tak się zadomowił u mnie, że także noce spędzał w moim domu. Dla własnej przyjemności zacząłem udzielać mu pierwszych nauk, choć za wcześnie jeszcze było, by oddać go do szkoły. Widziałem, że to mądry chłopczyk, który szybko uczy się obrazków i znaków pisma, postanowiłem więc opłacić dla niego miejsce w najlepszej szkole w Tebach, do której chodziły dzieci możnych, a Merit bardzo się cieszyła z mego postanowienia. Muti zaś była niez mordowana, gdy chodziło o pieczenie dla chłopca miodowych ciast i opowiadanie mu baśni, bo postawiła przeciw na swoim: w moim domu był syn, lecz nie było żony, która by przeszkadzała i wylewała jej wrzątek na stopy, jak to robią żony ze służącymi, gdy pokłóca się z mężami.

Tak więc właściwie nie brakowało mi nic do szczęścia, ale w Tebach panowało w owym czasie ogromne podniecenie i nie mogłem na to zamykać oczu. Nie mijał bowiem ani jeden dzień, żeby na ulicach i placach nie doszło do bójek. Ludzie zadawali sobie rany i rozbijali głowy, kłócąc się z sobą o Amona i Atona. Strażnicy faraona mieli mnóstwo roboty, a sądy nie ustawały w pracy. I co tydzień w porcie zbierano ludzi – mężczyzn i kobiety, starców a nawet dzieci – związanych sznurami, by ich wysłać do robót przymusowych na polach i w kamieniołomach faraona, a nawet do kopalń, z powodu Amona. Nie odpływali jednak bynajmniej jak niewolnicy i przestępcy. Tłumy zbierały się na przystani, żeby ich żegnać, tak że pomosty bieleły się od ludzi. Pozdrawiano zesłańców okrzykami i rzucano im kwiaty, nie troszcząc się wcale o strażników. Skazańcy zaś podnosili w górę związane ręce i wołali: – Niedługo wrócimy! – A niektórzy mężczyźni potrzęsali gwałtownie spętanymi rękami i wołali gorzko: – Zaprawdę, wnet wrócimy, żeby pokosztować krwi Atona! – Tak wołali, a ze względu na tłumy strażnicy nie ważyli się ich uciszać, bili ich kijami dopiero wtedy, gdy statki odpłynęły już w dół Rzeki.

W taki sposób ludzie w Tebach poróżnili się z sobą z powodu Atona i syn występował przeciwko ojcu, a żona przeciw mężowi. Tak samo jak zwolennicy Atona nosili na odzieży lub na szyi krzyż życia, róg Amona był oznaką jego wiernych. Także oni nosili róg Amona nie ukrywając go, na szatach lub na szyi, i nikt nie mógł im w tym przeszkodzić, ponieważ róg był przez wszystkie czasy dozwoloną ozdobą szat. Nie wiem jednak, dlaczego obrali sobie róg jako swój znak. Może róg ten był baranym rogiem Amona, ale również jedno z licznych boskich imion Amona pisało

się jak słowo „róg”, może więc kapłani wygrzebali to słowo z zapomnienia i dali je ludowi jako znak. W każdym razie ci, którzy nosili róg, wywracali kosze przekupni ryb, wybijali okna w domach i zadawali napotkanym ludziom krwawe rany, wołając: – Zakłujemy Atona rogami, rozprujemy Atona rogami! – Natomiast czciciele Atona nosili pod odzieżą obnażone noże, wykute na kształt krzyża życia. Nożami tymi bronili się i wołali: – Zaprawdę, nasz krzyż ostrzejszy jest od waszego rogu i krzyżem życia wwiercimy w was wieczne życie! – Prawdą jest też, że tymi nożami wielu wyprawili do Domu Śmierci, by zostali tam przygotowani na wieczne życie. A strażnicy wcale ich nie ścigali, przeciwnie, chronili, choć ludzie ci niejednokrotnie na widok samotnego nosiciela rogu napadali na niego, zabijali go i zostawiali na bruku ciało odarte z szat.

Moc Atona przybrała bowiem, ku memu zdumieniu, bardzo na sile w Tebach w ciągu minionego roku. Zrazu nie mogłem zrozumieć, na czym to polegało. Wielu osadników uciekło z powrotem do Teb, a straciwszy wszystko, biedniejsi niż byli kiedykolwiek przedtem, przynieśli w rozgoryczeniu Atona z sobą i zaczęli oskarżać kapłanów, że zatruli im zboże, i możnych, że zatkali im kanały nawadniające i pozwolili bydłu stratować ich pola. Wielu innych, którzy nauczyli się nowego pisma i chodzili do szkół Atona, wypowiadało się także z zapałem za Atonem, jak to młodzież zawsze wypowiada się z zapałem przeciw staremu. Podobnie zebrali się także portowi tragarze i niewolnicy i powiedzieli sobie:

– Nasza miara skurczyła się do połowy i nie mamy już nic do stracenia. Wobec Atona nie ma panów ani niewolników, gospodarzy i sług, Amonowi zaś musimy płacić za wszystko.

Najzapałczywiej jednak opowiadali się za Atonem złodzieje, obdzieracze zwłok i oszuści, którzy ogromnie się wzbogacili jako donosiciele i obawiali się pomsty. Tak samo trwali mocno przy Atonie wszyscy ci, którzy w ten lub inny sposób zarabiali na chleb dzięki Atonowi i chcieli zachować łaski faraona. Tak więc lud tebański podzielił się, a spokojni i uczciwi ludzie znużeni tym wszystkim przestali już wierzyć w bogów i tylko skarżyli się gorzko: – Obojętne nam, Amon czy Aton, byleśmy tylko mogli żyć w spokoju i wykonywać swoją pracę, i żeby miara nasza była pełna. Tymczasem rozrywani jesteśmy na dwie strony i już nie wiemy, czy stoimy na nogach, czy na głowie. – najgorzej bowiem było w owym czasie temu, kto chciał zachować oczy otwarte i pozwolić każdemu mieć swoją własną wiarę. Takiego bowiem obrzucali obelgami wszyscy, zarzucając mu, że jest gnuśny i obojętny, głupi i zatwardziały, uparty i wiarołomny, dopóki umęczony nie porwał na sobie szat, nie zamknął oczu i nie wziął bądź to krzyża, bądź rogu, w zależności od tego, skąd spodziewał się mniejszej szkody.

Tak więc wiele domów miało swój znak i całe dzielnice miały swój znak, i winiarnie oraz piwiarnie a nawet domy rozpusty miały swój znak, i „rogi” piły wino we własnych winiarniach, a „krzyże” piwo we własnych szynkach. A ladacznice, które uprawiały swój zawód przy murach miasta, zawieszały na szyi krzyż albo też róg zależnie od tego, co się podobało ich klientom. Co wieczora jednak wyznawcy krzyża i rogu wyruszali pijani na ulice, by tłuc lampy i gasić pochodnie, wstrząsając okiennicami domów i bić się z sobą do rozlewu krwi, tak że już nie umiałem powiedzieć, kto gorszy, „krzyże” czy „rogi”, obie strony wzbudzały we mnie zgrozę.

Także i „Ogon Krokodyla” zmuszony był wybrać znak, choć Kaptah wcale nie chciał wybierać żadnego, lecz pragnął trzymać z każdym, z kogo można było ciągnąć srebro. Nie pozwolono mu jednak swobodnie wybrać znaku, lecz na ścianach szynku kreślono co nocy krzyż życia otoczony nieprzyzwoitymi rysunkami. Było to zupełnie naturalne, bo handlarze zbożem gorzko go nienawidzili, ponieważ doprowadził ich do nędzy rozdzielając zboże między osadników, i nic nie pomagało, że w spisach podatkowych kazał zapisać winiarnię na imię Merit. Utrzymywano też, że w jego winiarni znieważano kapłanów Amona.

Mnie nie odważył się nikt prześladować, ponieważ byłem królewskim lekarzem i wszyscy w portowej dzielnicy miasta znali mnie i moje uczynki. Toteż na moich ścianach nie rysowano żadnych krzyży ani sprośnych obrazków i nie rzucono mi padliny na podwórko, a nawet pijani awanturnicy unikali mego domu, gdy wieczorami ciągnęli ulicami wykrzykując imię Amona, aby drażnić strażników. Wciąż jeszcze ludzie mieli we krwi szacunek dla tych, którzy nosili znak faraona, mimo że kapłani robili wszystko, żeby wpoić ludziom wiarę, że faraon Echnaton jest fałszywym faraonem.

Ale w pewien upalny dzień mały Tot wrócił do domu ze swoich zabaw pobity i ochłostany, a krew ciekła mu z noska i wybito mu z buzi jeden ząbek, choć nie mógł sobie pozwolić na tę stratę, bo jego buzia już przedtem wyglądała bardzo śmiesznie, gdyż właśnie w najlepsze zmieniał ząbki. Wrócił do domu pochlipując, choć próbował być bardzo dzielny, a Muti ogromnie się wystraszyła i płakała z gniewu obmywając mu twarzyczkę. A gdy go już obmyła, nie mogła się powstrzymać, lecz chwyciła kopyść do prania w sękatą garść i zawołała: – Wszystko jedno, czy to Amon, czy Aton, ale szczeniaki koszykarza gorzko za to zapłacą! – Wybiegła, zanim zdołałem ją zatrzymać, a po chwili na ulicy dał się słyszeć pisk chłopców i wołanie o pomoc, i przekleństwa dorosłego mężczyzny. Przestraszeni wyjrzelśmy z Totem przez bramę i zobaczyliśmy, że Muti w imię Atona wali pięciu chłopców koszykarza i jego żonę, i nawet jego samego, tak że daremnie próbował zasłonić głowę rękami, a krew zaczęła mu się lać z nosa.

Wróciła po chwili, wciąż jeszcze dysząc ze złości, a gdy próbowałem ją zganić i wytłumaczyć, że nienawiść rodzi tylko nienawiść, a zemsta sieje zemstę, niewiele brakowało, żeby i mnie także uderzyła kopyścią. W ciągu dnia zaczęły ją jednak męczyć wyrzuty sumienia, upiekła miodowych ciasteczek i włożywszy je do koszyczka wraz z dzbanem piwa i nie używanym fartuszkim zaniósła to do koszykarza i zawarła pokój z nim i jego rodziną mówiąc:

– Trzymaj w ryzach twoich malców, podobnie jak ja trzymam mojego, to jest chłopca mojego pana. Nie wypada, żeby dobrzy sąsiedzi zaczęli się wodzić za łby z powodu rogu i krzyża, bo doprawdy wypinam tyłek na każdego boga, który spuszcza lanie mojemu chłopcu i rozbija mu nos do krwi.

Po tym wydarzeniu koszykarz zaczął ogromnie szanować Muti i używać darowanego mu fartuszka w dni świąteczne, a jego chłopcy stali się przyjaciółmi Tota, łasowali miodowe ciasteczka w naszej kuchni i tłukli się zarówno z chłopcami rogu, jak z chłopcami krzyża, którzy zapędzali się na naszą ulicę, by urządzić brewerie. A Tot bił się wspólnie z nimi, tak że sam Set nie potrafiłby rozróżnić, czy przynależał do rogu, czy do krzyża. Ale serce ścisnęło mi się trwogą o niego za każdym razem, gdy wychodził bawić się na ulicę. Nie chciałem mu jednak w tym przeszkadzać, bo musiał uczyć się o własnych siłach i wyczerpać swoją miarę. Ale co dzień powtarzałem mu: – Słowo jest silniejsze niż pięść! Wiedza jest potężniejsza od niewiedzy, wierzaj mi!

ROZDZIAŁ 5

Niewiele więcej mam do opowiedzenia o tym moim pobycie w Tebach. Nadszedł czas, gdy faraon Echnaton znowu zaczął o mnie pytać, bo jego bóle głowy stały się dokuczliwe, i nie mogłem już dłużej odwlekać mego wyjazdu. Pożegnałem się więc z Merit i z małym Totem, gdyż ku mojemu żalowi nie mogłem ich zabrać z sobą w podróż w dół Rzeki, ponieważ faraon nakazał mi wracać szybko, nie miałoby więc żadnej przyjemności w tak pośpiesznej podróży. Ale powiedziałem do Merit:

– Jedźcie ze mną, ty i Tot, by zamieszkać w moim domu w Achetaton i żebyśmy byli z sobą szczęśliwi.

A ona odparła:

– Zabierz kwiat z jego miejsca na pustyni, posadź go w żyznym mule i podlewaj co dzień, a mimo to zwiędnie i umrze. Tak byłoby ze mną w Achetaton, a i twoja przyjaźń do mnie zwiędłaby i umarła, gdybyś porównywał mnie z kobietami dworu i gdyby one zaczęły wytykać palcami wszystko, czym się od nich różnię. Znam bowiem kobiety i zdaje mi się, że znam także mężczyzn. Nie przystałoby też twojej godności, żebyś w domu swoim trzymał kobietę, która wyrosła w szynku i której bioder pijani mężczyźni

dotykali rok po roku.

Więc rzekłem do niej:

– Merit, moja ukochana, powrócę do ciebie, gdy tylko będę mógł, bo każda chwila, której nie spędzam przy tobie, jest dla mnie głodem i pragnieniem. Wielu opuściło już Achetaton, by nie wrócić. Być może i ja przybędę wnet do ciebie, by już nie wracać do Achetaton.

Odrzekła na to:

– Mówisz więcej, niż twoje serce może dotrzymać, Sinuhe. Znam ciebie i wiem, że nie przystoi twej godności, żebyś porzucił faraona, gdy inni go porzucają. Może w jego dobrych dniach mógłbyś go jeszcze opuścić, ale w złych chwilach nie możesz tego w żaden sposób uczynić. Takie jest twoje serce, Sinuhe, i może właśnie dlatego jestem twoim przyjacielem.

Słowa jej wywołały w moim sercu bunt i ścisnęły mi gardło, gdy pomyślałem, że może ją utracę. Teraz powiedziałem gwałtownie:

– Merit! Na świecie jest wiele krajów i Egipt nie jest jedynym, w którym można żyć. Zmęczony już jestem sporami bogów i szaleństwem faraona. Ucieknijmy więc gdzieś daleko i żyjmy tam razem, ty, ja i mały Tot, nie troszcząc się o dzień jutrzejszy.

Lecz ona uśmiechnęła się i smutek rozlał jej się w oczach ciemną smugą, gdy odparła:

– Czczą jest twoja mowa i sam wiesz, że to nieprawda. Lecz kłamstwo twoje jest mi mimo to przyjemne, bo dowodzi, że mnie kochasz. Nie sądzę jednak, żebyś mógł żyć szczęśliwie gdzieś poza Egiptem, bo już raz tu wróciłeś, a i ja nie potrafię żyć szczęśliwie gdzie indziej niż w Tebach. Ty wiesz: kto raz pił wodę z Nilu... Nie, Sinuhe, nikt nie ucieknie przed swoim sercem i każdy musi wyczerpać swoją miarę do dna. Z czasem gdy zrobię się stara i brzydka, i tłusta, znużysz się mną i zaczniesz mnie nienawidzić za wszystko, czego przeze mnie nie mogłeś doznać w życiu. A ja tego nie chcę, raczej wolę z ciebie zrezygnować.

– Ty jesteś moim domem i moim krajem, Merit – powiedziałem do niej. – Ty jesteś chlebem w mojej dłoni i winem w moich ustach, sama wiesz o ty doskonale. Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, w którego towarzystwie nie czuję się samotny, dlatego ciebie kocham.

– Tak właśnie jest – rzekła Merit trochę gorzko. – Jestem pewnie tylko powłóczką na twoją samotność, kiedy nie jestem twoją wytartą matą. Ale tak też i ma być i nie wymagam niczego innego. Dlatego też nie opowiem ci tajemnicy, która zżera mi serce i którą być może powinieneś znać, lecz zachowam ją dla siebie, choć już raz w mojej

słabości chciałam ci ją opowiedzieć. Ale i dla twego własnego dobra ukrywam ją przed tobą, Sinuhe, tylko dla twego własnego dobra.

I nie opowiedziała mi swojej tajemnicy, bo była bardziej dumna niż ja i może jeszcze samotniejsza ode mnie, choć ja tego wtedy nie rozumiałem i we wszystkim myślałem tylko o sobie. Tak robią, jak sądzę, wszyscy mężczyźni, gdy kochają, choć nie jest to naturalnie żadną obroną. I jeśli mężczyźni sądzą, że myślą o czym innym niż tylko o sobie samych, gdy kochają, to jest to tylko złudzenie, tak jak i wiele innych rzeczy na tym świecie jest tylko złudzeniem.

Wyjechałem więc znowu z Teb i wróciłem do Achetaton, i od tej pory mam już tylko same złe rzeczy do opowiedzenia.

KSIĘGA TRZYNASTA KRÓLESTWO ATONA NA ZIEMI

ROZDZIAŁ I

Gdy wróciłem do Achetaton, faraon Echnaton był istotnie chory i potrzebował mojej pomocy. Policzki mu wychuły, a kości policzkowe sterczały z twarzy, szyja zaś zrobiła mu się jeszcze dłuższa niż przedtem i przy uroczystych okazjach nie mogła już unieść ciężaru obu koron, lecz głowa wyginała mu się w tył. Uda obrzimały mu, nogi zrobiły się cienkie jak patyczki, a oczy miał sino podkrążone i podpuchnięte od ustawicznego bólu głowy. Nie patrzył też już nikomu prosto w oczy, lecz wzrok jego błądził gdzieś w innych światach i dla swojego boga zapominał często o ludziach, z którymi rozmawiał. Stan swój pogarszał jeszcze bardziej, spacerując po dziedzińcu w sam żar południa bez królewskiego kołpaka lub parasola, żeby wystawiać głowę na błogosławione promienie słońca. Ale promienie Atona nie dawały mu wcale błogosławieństwa, lecz zatrwały go, tak że bredził i widział złe zjawy. Jego bóg był może taki sam jak on, bo także dawał swoją dobroć i miłość zbyt szczerą ręką, zbyt obficie i gwałtownie, tak że następstwa dobroci były złe, a miłość jego siała dokoła zgubę.

Ale w jasnych chwilach, gdy przykładałem mu na głowę zimne okłady i gdy udało

mi się uśmierzyć jego cierpienia łagodzącymi lekami, patrzył na mnie posępnym i smutnym spojrzeniem, jakby jakieś niewypowiedziane rozczarowanie wkradło mu się do duszy, a wzrok jego wzruszał moje serce tak, że znowu kochałem go w jego słabości i dużo ofiarowałbym, żeby oszczędzić mu zawodów. A on mówił do mnie:

– Sinuhe, czy moje widzenia mogą być kłamstwem i wywodzić się tylko z chorej głowy? Jeżeli tak, życie jest okropniejsze, niż mogę sobie wyobrazić, a świat nie jest rządzony przez dobroć, lecz przez bezmiernie zło. A tak przecież być nie może i dlatego widzenia moje muszą być prawdziwe. Czy słyszysz, Sinuhe, uparty i przekorny? Moje widzenia muszą być prawdziwe, choć słońce Jego nie świeci mi już w sercu, a moi przyjaciele kalają moje łoże. Nie jestem ślepy i patrzę ludziom w serce. Także i w twoje serce patrzę, Sinuhe, w twoje miękkie i słabe serce, i wiem, że uważasz mnie za szaleńca, ale wybaczam ci, bo światło świeciło kiedyś w moim sercu.

– Sinuhe, nad chorym zwierzęciem litują się, zadając mu pałką cios łaski, a oszczep wyzwala zranionego lwa, ale nad człowiekiem nikt nie ma miłosierdzia. Bardziej gorzko jest mi zaznać zawodu śmierci, bo światło Jego przenika do mego serca i ciało moje może umrzeć, ale mój duch żyć będzie na wieki wieków i w Nim świecić nad całym światem. Ze słońcam zrodzony, Sinuhe, i do słońca powrócę, a doznawszy tyłu zawodów tęsknię już do tego powrotu.

Tak mówił do mnie, gdy był chory, i nie wiem, czy sam wiedział, co mówi. Ale gdy nadeszła jesień, zdrowie jego zaczęło się poprawiać dzięki moim zabiegom, choć może byłoby lepiej, gdybym go nie pielęgnował, lecz pozwolił mu umrzeć. Lekarz nie może jednak pozwolić swemu pacjentowi umrzeć, jeśli sztuka jego jest dość wielka na to, by go uleczyć. I to jest często przekleństwem lekarza, ale nie może on na to nic poradzić i musi leczyć złych i dobrych, sprawiedliwych i niesprawiedliwych, nie robiąc między nimi różnicy. Gdy nadeszła jesień, stan zdrowia faraona poprawił się, a gdy poczuł się lepiej, zamknął się w sobie i nie mówił już ani do mnie, ani do innych, lecz oczy jego stały się twarde i był bardzo samotny.

Ale prawdę rzekł mówiąc, że przyjaciele kalają jego łoże, bo po urodzeniu mu pięciu córek królowa Nefretete znużyła się nim i zaczęła go nienawidzić, i nie myślała już o tym, co robi, lecz chciała go zranić na wszystkie sposoby. Gdy zatem jęczmień po raz szósty zazielenił się dla Nefretete, dziecko, które żyło w jej łonie, było już z imienia tylko z krwi faraona, bo dopuściła, by obce nasienie wlało się do jej łona. Kiedy zaś już raz przekroczyła granicę, nie знаła potem żadnych granic, lecz zażywała rozkoszy z każdym, kto w danej chwili przypadł jej do gustu, i nawet mój przyjaciel Totmes zażył z nią rozkoszy. A nie potrzebowała wcale długo szukać towarzyszy łoża, bo piękność

jej wciąż jeszcze była królewska, choć jej wiosna już przekwitła, a w spojrzeniu jej jak również w drwiącym uśmiešku kryło się coś, co ujarzmiło mężczyzn jak czary, tak że nie umieli się opanować. I celowo zarzucała swoje sieci na wiernych faraonowi ludzi, czyniąc ich obcymi Echnatonowi przez zażywanie z nimi rozkoszy, tak że ochronny krąg miłości wokół faraona Echnatona robił się coraz cieńszy, rozpraszał się i nikł.

Wola jej była silna i rozsądek przerażająco ostry, a kobieta jest niebezpieczna, gdy zła wola łączy się u niej z mądrością i pięknnością, jeszcze niebezpieczniejsza jest zaś, gdy z wszystkim tym łączy jeszcze dodatkowo władze pierwszej królewskiej małżonki. Przez wiele lat też sama Nefretete sama siebie krępowała twardymi więzami. Przez nazbyt wiele lat zadowalała się uśmiechem i rządzeniem za pomocą swojej piękności, klejnotami i winem, poematami i pochlebstwem. Ale coś w niej pękło pewnie, gdy urodziła piątą dziewczynkę, i uwierzyła, że nigdy już nie będzie mogła urodzić syna, i przypisała winę tego Echnatonowi. I prawdą jest, iż było to na przekór wszelkiemu porządkowi natury i mogło zamącić umysł kobiety. Trzeba jednak pamiętać, że w żyłach jej płynęła czarna krew kapłana Eje, krew chciwa kłamstwa, oszustwa i niesprawiedliwości, nie było więc nic dziwnego w tym, że stała się taką, jaką się stała.

Ale na jej obronę trzeba powiedzieć, że poprzednio, w ciągu wszystkich tych lat, nie można było o niej rzec złego słowa i nie opowiadano o niej żadnych brudnych plotek, gdyż była wierna i otaczała faraona całą czułością kochającej kobiety, broniąc jego szaleństwa i wierząc w jego widzenia. Toteż wielu zdumiewało się nad tą nagłą zmianą, uważając i to za znak przekleństwa, które ciążyło nad Echnatonem jak duszący cień. Gdyż rozpusta jej była tak wielka, że opowiadano, jakoby zażywała rozkoszy nawet ze sługami, Szardanami i grabarzami, choć ja nie chcę w to uwierzyć. Gdy ludzie dobiórą się do czegoś, o czym można plotkować, przesadzają i wyolbrzymiają chętnie wszystko, co się wydarzyło, nawet gdy nie ma już miejsca na wyolbrzymianie, a zło jest dostatecznie wielkie samo przez się.

W każdym razie faraon Echnaton zamknął się w swojej samotności, a pożywieniem jego stał się chleb biedaków, napojem zaś woda z Nilu. Chciał bowiem oczyścić swoje ciało, aby odzyskać jasność widzenia, a sądził, że mięso i wino zaciemniły mu spojrzenie.

Także z zewnętrznego świata nie dochodziły już do Achetaton żadne radosne nowiny. Z Syrii słał Aziru do faraona liczne gliniane tabliczki z rozmaitymi skargami. Pisał, że jego ludzie chcą wracać do domów, by paść owce i doglądać bydła, uprawiać ziemię i zażywać rozkoszy ze swoimi żonami, bo to ludzie spokojni i kochają pokój. Ale z pustyni Synaju wdzierają się nieustannie do Syrii bandy zbójcekie, nie zważając

na prawnie ustawione kamienie graniczne, i pustoszą kraj. A te bandy zbójckie są uzbrojone w broń egipską, dowodzone przez egipskich dowódców i używają egipskich wozów bojowych. Stanowią one stałe niebezpieczeństwo dla Syrii, więc Aziru nie może pozwolić, by jego ludzie wrócili do domów. Także i wojskowy komendant w Gazie zachowuje się bardzo niestosownie i wbrew duchowi i literze układu pokojowego, bo zamyka bramy Gazy przed spokojnymi kupcami i karawanami i wedle swego uznania wybiera tych, których wpuszcza do Gazy, by prowadzili tam handel. Jeszcze i inne skargi wysuwał Aziru i nie było tym jego skargom końca, i – jak pisał – ktoś inny na jego miejscu już dawno by stracił cierpliwość, lecz jego cierpliwość jest wielka, ponieważ kocha on tylko pokój. Jakiś jednak koniec trzeba położyć temu wszystkiemu, bo w przeciwnym razie on nie dopowiada za następstwa.

Także Babilon czuł się bardzo dotknięty, bo Egipt rywalizował z Babilonem na syryjskich rynkach zbożowych, a król Burnaburiasz bynajmniej nie był zadowolony z darów otrzymanych od faraona, lecz uważał je za niewystarczające i wliczał całe mnóstwo żądań, które faraon musi spełnić, jeśli chce zachować jego przyjaźń. Stały poseł Babilonu w Achetaton wruszał ramionami, rozkładając ręce, i rwał brodem mówiąc:

– Mój pan jest jak lew, który niespokojnie podnosi się w jamie, rozdyma nozdra i węszy, co niesie wiatr. Związał on nadzieje z Egiptem, a jeśli Egipt rzeczywiście jest tak biedny, że nie może posłać dostatecznej ilości złota, by pan mój mógł zbudować wozy bojowe i przyjąć do swej armii za żołd silnych mężczyzn z barbarzyńskich krajów, to nie wiem, co się stanie. Z silnym i bogatym Egiptem pan mój zawsze chce być w przyjaźni, taki sojusz zapewniłby światu pokój, ponieważ Egipt i Babilon są dostatecznie bogate, nie potrzebują więc prowadzić wojny, przeciwnie, ze względu na swoje bogactwo chcą zachować wszystko po dawnemu. Ale przyjaźń słabego i biednego Egiptu nie znaczy nic dla mego pana, stanowi dlań tylko brzemię, i mogę stwierdzić, że pan mój wielce był zdziwiony i zgorszony, gdy Egipt z powodu swojej słabości zrezygnował z Syrii. Każdemu jest najbliższe jego własne dobro i Babilon musi myśleć o sobie. I choć bardzo kocham Egipt, i życzę mu wszystkiego najlepszego, dobro mojego własnego kraju jest jednak dla mnie ważniejsze niż dobro Egiptu i wcale bym się nie dziwił, gdybym niebawem musiał stąd wyjechać i wrócić do Babilonu, choć byłoby mi z tego powodu bardzo przykro.

Tak mówił poseł Babilonu i nikt rozsądny nie mógł jego słowom odmówić mądrości.

Do Achetaton przybyło natomiast poselstwo hetyckie, w skład którego wchodziło wielu możnych wodzów. Mówili, że przyjechali, aby potwierdzić tradycyjną przyjaźń

między Egiptem i krajem Hatti i żeby zarazem zapoznać się z egipskimi obyczajami, o których słyszeli dużo dobrego, i z egipską armią, w której wyszkoleniu i uzbrojeniu chcieli znaleźć wzór dla siebie. Zachowywali się uprzejmie i karnie i przywieźli z sobą wielkie dary dla możnych u dworu. Młodemu Tutowi, zięciowi faraona Echnatona, dali między innymi nóż z niebieskiego metalu, ostrzejszy i mocniejszy niż wszelkie inne noże, tak że chłopak bardzo był zachwycony i nie wiedział wprost, jak im się odwdziaczyć. Ja jeden w całym Achetaton miałem podobny nóż, który ongiś dostałem od hetyckiego nadzorca portowego za to, że go wyleczył, jak już o tym opowiadałem. Doradziłem też Tutowi, żeby kazał swój nóż pokryć złotem i srebrem na sposób syryjski, tak jak to dałem zrobić ze swoim w Simirze. W ten sposób nóż ten stał się wspaniałym okazem broni, a Tut był nim ogromnie zachwycony i powiedział nawet, że chce go zabrać kiedyś z sobą do grobu. Był to bowiem chłopak słaby i chorowity, który więcej myślał o śmierci, niż to zazwyczaj robią dzieci w jego wieku.

Ci hetyccy wodzowie byli doprawdy gładkimi i wykształconymi ludźmi, a na piersiach ich i na płaszczach promieniały wizerunki podwójnych toporów i uskrzydłonych słońc. Duże, okazałe nosy Hetytów, ich zdradzające się woli szczęki i nieposkromione oczy dzikich zwierząt ogromnie oczarowały damy dworu, które, jak to kobiety, kochały wszystko, co nowe. Zyskały więc sobie wielu przyjaciół w Achetaton. Od rana do wieczora i od wieczora do rana podejmowano ich w pałacach możnych, dopóki wielce zmęczeni nie zaczęli się z uśmiechem skarżyć na ból głowy i z uśmiechem mówić:

– Wiemy, że o naszym kraju opowiada się mnóstwo okropności, które wymyślili zawistni sąsiedzi. Toteż cieszymy się bardzo, że możemy się wam pokazać, abyście własnymi oczami zobaczyli, że jesteśmy ludźmi świątymi i że wielu z nas umie czytać i pisać. I wcale nie jadamy surowego mięsa, i nie pijemy krwi dziecięcej, jak to o nas opowiadają, lecz umiemy jeść zarówno na sposób syryjski, jak i egipski. Jesteśmy też spokojnymi ludźmi i nie pragniemy wojny, lecz dajemy wam najrozmaitsze dary, za które nic od was w zamian nie chcemy, chcemy tylko dowiedzieć się czegoś, co może nam się przydać w naszych wysiłkach, zmierzających do coraz szybszego rozwoju wiedzy i oświaty u naszego ludu. Szczególnie zaś interesuje nas sposób, w jaki władają bronią wasi Szardanie, i podziwiamy ogromnie wasze zgrabne i ozdobione złotem wozy bojowe, z którymi nie mogą się równać nasze własne, ciężkie, brzydkie i niezgrabne. Nie powinniście też wierzyć plotkom, które szerzą o nas uchodźcy z Mitanni, bo przez usta ich mówi rozgoryczenie, ponieważ w panice uciekli ze swego kraju zostawiając całe mienie. Możemy was zapewnić, że nie stałoby się im nic złego, gdyby pozostali

u siebie, i wciąż jeszcze doradzamy im, by wrócili do kraju i żyli z nami w zgodzie. I wcale nie żyjemy do nich urazy z powodu plotek, które o nas rozpuszczają, bo rozumiemy doskonale ich rozgoryczenie. Ale i wy musicie zrozumieć, że kraj Hatti jest krajem ciasnym, my zaś mamy dużo dzieci, ponieważ wielki król Suppiluliumas bardzo jest rozkochany w dzieciach. Dlatego potrzebujemy miejsca dla naszych dzieci i nowych pastwisk dla naszych trzód, a w Mitanni mamy miejsce, bo kobiety Mitanni rodzą jedno, najwyżej dwoje dzieci. Ponadto nie mogliśmy przyglądać się spokojnie uciskowi i niesprawiedliwości, panującym w krainie Mitanni. A prawdę mówiąc, sami mieszkańcy Mitanni wezwali nas na pomoc, tak że wkroczyliśmy do ich kraju jako oswoobodziciele, a nie jako zdobywcy. Obecnie mamy w Mitanni dość miejsca dla nas samych, dla naszych dzieci i dla naszych trzód i nawet nie śnimy o jakichś nowych podbojach, bo jesteśmy ludem spokojnym, chcieliśmy tylko mieć dosyć miejsca dla naszej ludności, a gdy już to osiągnęliśmy, jesteśmy zupełnie zadowoleni.

Podnosili puchary i wielce wychwalali Egipt, a kobiety patrzyły pożądliwie na ich mocne karki i oczy dzikich zwierząt, oni zaś mówili:

– Egipt to wspaniały kraj i my go kochamy, ale może i w naszym kraju znalazłoby się coś pouczającego dla was, i myślimy, że nasz król chętnie by opłacił podróż i pobyt u nas tym możliwym Egipcjanom, którzy nam sprzyjają i chcą się nauczyć naszych obyczajów. Może też dałby im ponadto dary, bo bardzo lubi Egipcjan i kocha dzieci. Co się tyczy dzieci, król nasz chce, żeby kobiety rodziły ich wiele, ale piękne damy Egiptu nie potrzebują wcale żywić obaw przed nami, bo możemy naturalnie zażywać z nimi rozkoszy na sposób ludzi oświeconych i nie przyprawimy ich o ciężę, ale będziemy zażywać z nimi rozkoszy po egipsku, tak jak i jemy tutaj po egipsku.

Tak to mówili w Achetaton wiele pięknych słówek możliwym i nikt nie krył nic przed nimi, ale mnie się zdawało, że przynieśli z sobą do Achetaton odór trupi, i przypomniał mi się ich nieurodzajny, surowy kraj i wbici na pal czarownicy przy drogach tego kraju. Toteż wcale się nie smuciłem, gdy wyjechali z Achetaton.

A Achetaton nie było już takie jak poprzednio. Gorączka ogarnęła jego mieszkańców i nigdy przedtem nie ucztowano i nie pito tyle, nie uprawiano tyle rozpusty i nie bawiono się tak gorączkowo w Achetaton, jak w owym czasie. Od wieczora do ranka płonęły pochodnie przed domami możliwych i od ranka do wieczora rozlegał się śmiech i muzyka, a gorączka użycia ogarnęła nawet służbę i niewolników, tak że w biały dzień zataczała się po ulicach pijana zgraja nie okazując nikomu szacunku i nawet razy kija nie pomagały. Ale cała ta radość życia była chorobliwa i nie zadowalała ludzi, lecz spalała ich jak wyniszczająca gorączka, bo chcieli się radować, żeby zapomnieć o przyszłości. Pośród

wesołości, śpiewu i upojenia winem na Achetaton spadała nagle głucha śmiertelna cisza, śmiech wiązał w krtaniach i ludzie patrzyli na siebie ze strachem, zapominając słów, które właśnie mieli wypowiedzieć. W mieście rozchodził się też dziwny, wstrętny i odrażający odór, którego przyczyny nie znał nikt, a którego nie mogły usunąć z ludzkich nozdrzy pachnidła ani kadzidła. Odór ten czuło się najwyraźniej wczesnym rankiem i wieczorami, gdy zachodziło słońce, a nie napływał on z Rzeki czy rybich sadzawek ani ze świętego jeziora Atona. I nie ginął, choć rozkopano i oczyszczono rowy ściekowe, tak że wielu mówiło, że jest to przekleństwo i odór Amona.

Także i artystów ogarnęła ta dziwna gorączka, rysowali, malowali i rzeźbili gorliwiej niż kiedykolwiek przedtem, jak gdyby czując, że czas wymyka się im z rąk, jak gdyby chcąc wyczerpać całą swoją sztukę, zanim ich czas się skończy. Fantastycznie przejawiali prawdę, tak że stawała się pod ich dłutami i rylcami obrazem zniekształconym, i współzawodniczyli z sobą w wynajdywaniu dla niej coraz dziwniejszych i bardziej przesadnych form, posuwając się aż do twierdzenia, że potrafią oddać rys czy ruch człowieka za pomocą paru tylko linii i plamek. Dla oddania marzycielstwa w oku ludzkim zadowalali się jedną linią falistą, a faraona Echnatona przedstawiali na obrazach tak, że moim zdaniem tylko ktoś, kto go gorzko nienawdził, mógł go tak rysować. Sami oni jednak bardzo byli dumni ze swoich osiągnięć, rzeźb i obrazów i mówili: – Zaprawdę, nigdy jeszcze tak nie rysowano i nie rzeźbiono. Taka jest prawda.

Ja jednak powiedziałem do mego przyjaciela Totmesa:

– Faraon Echnaton podniósł cię z prochu i zrobił swoim przyjacielem. Dlaczego zatem rzeźbisz jego posąg tak, jakbyś go gorzko nienawdził, i dlaczego kalasz jego łożo i plamisz jego przyjaźń?

A on odparł:

– Nie mieszaj się do spraw, których nie rozumiesz, Sinuhe. Być może nienawidzę go, ale jeszcze bardziej nienawidzę siebie samego. Płonie we mnie gorączka tworzenia, a dłonie moje jeszcze nigdy nie były tak zręczne jak teraz. Być może, że gdy artysta jest nie zaspokojony i nienawidzi siebie samego, tworzy lepiej niż wtedy, gdy jest zadowolony i pełen miłości. Wszystkie kolory i kształty stwarzam z siebie samego i wielość form stwarzam z siebie samego, i w każdej rzeźbie rzeźbię siebie samego w kamieniu, żeby żyć wiecznie. Toteż nikt z ludzi nie jest mi równy, jestem lepszy od innych ludzi i nie ma dla mnie żadnych praw, których nie mógłbym złamać, bo w sztuce swojej stoję nad wszystkimi prawami i jestem bardziej bogiem niż człowiekiem. Gdy stwarzam kolory i kształty, współzawodniczę z jego Atonem i przewyższam jego

Atona, bo wszystko, co stwarza Aton, jest przejściowe, to zaś, co ja stwarzam, trwać będzie wiecznie.

Ale mówił to pod działaniem wina, które pił od rana, i wybaczyłem mu jego słowa, bo na twarzy jego widniała męka, a z oczu jego poznałem, że jest bardzo nieszczęśliwy.

Tymczasem z pól zebrano plony. Rzeka znowu wezbrała i opadła i przyszła zima, a wraz z nią głód wkradł się do Egiptu i nikt już nie wiedział, jakie nieszczęście przyniesie dzień jutrzejszy. Z nadejściem zimy rozeszły się wieści, że Aziru otworzył większość miast syryjskich Hetytom i że lekkie wozy bojowe Hetytów przebyły pustynię Synaj, napadły Tanis i spustoszyły Dolne Królestwo w okolicach Tanis aż do Rzeki.

ROZDZIAŁ 2

Gdy rozeszły się te wieści, do Achetaton przybył Eje z Teb i Horemheb z Memfis, żeby naradzić się z faraonem Echnatonem i ratować to, co jeszcze da się uratować. Na naradzie tej byłem obecny jako lekarz, ponieważ obawiałem się, że faraon wpadnie w gorączkę i znowu rozchoruje się z powodu wszystkich złych wieści, które będzie musiał wysłuchać i przełknąć. Ale on był zamknięty i chłodny i nie stracił panowania nad sobą, lecz słuchał, co Eje i Horemheb mieli mu do powiedzenia.

Kapłan Eje mówił pierwszy i powiedział tak:

– Spichrze faraona są puste, a z kraju Kusz nie przysłano w tym roku podatków, tak jak to czyniono dawniej, choć całą nadzieję pokładałem właśnie w tych podatkach. Wielki głód panuje w kraju, ludzie wygrzebują z mułu korzenie wodorostów i zjadają je, jedzą szarańczę, żuki i nawet żaby. Mnóstwo już umarło i wielu jeszcze umrze, bo nawet przy najsurowszym podziale zboża faraona nie starczy dla wszystkich, a zboże kupców jest za drogie, żeby biedacy mogli je sobie kupować. Ogromny niepokój zawładnął ludzkimi umysłami, wieśniacy uciekają do miast, a mieszkańcy miast na wieś, i wszyscy mówią: „To klątwa Amona, cierpimy z powodu nowego boga faraona”. Toteż faraonie Echnatonie, pojednaj się z kapłanami i oddaj Amonowi jego dawną władzę, żeby ludzie modlili się do niego, składali mu ofiary, bo tylko w ten sposób można ich uspokoić. Oddaj Amonowi z powrotem jego ziemię, bo lud nie waży się obsiewać roli Amona, a także i twoje grunty leżą odłogiem, ponieważ ludzie wierzą, że i ta ziemia jest przeklęta. Pojednaj się więc z Amonem, zrób to póki czas, inaczej umyвам ręce i nie mogę dłużej odpowiadać za następstwa.

A Horemheb rzekł:

– Burnaburiasz kupił sobie pokój z Hetytami, a Aziru ugiął się pod ich naciskiem i otworzył im swoje miasta oraz połączył się z nimi. Liczba ich żołnierzy w Syrii niezliczona jest jak ilość piasku w morzu, a ich wozy bojowe są tak liczne jak

gwiazdy na niebie. To już jest koniec Egiptu, bo w swej przebiegłości wzięli z sobą na pustynię wodę w dzbanach, gdyż nie mają floty. Zabrali w tych dzbanach na pustynię nieprzebraną ilość wody, tak że gdy nadejdzie wiosna, nawet wielka armia będzie mogła maszerować przez pustynię bez obawy, że zginie z pragnienia. A wielką część tych dzbanów kupili w Egipcie, kupcy, którzy w swej chciwości sprzedawali im puste dzbany, sami wykopali sobie grób własnymi rękami. Wozy bojowe Aziru i Hetytów dokonały też połączonych z gwałtami zwiadów w kierunku Tanis i na terytorium Egiptu i w ten sposób złamały pokój. Co prawda te naruszenia pokoju są nieznaczne, a szkody nimi spowodowane niewielkie, ja jednak kazałem rozpuścić wiadomości o strasznym zniszczeniu i o okrucieństwie Hetytów, tak że lud dojrzał do wojny. Jeszcze jest czas, faraonie Echnatonie. Każ zadać w rogi, rozwinąć proporce i wypowiedz wojnę. Zbierz wszystkich zdalnych do noszenia broni na placach ćwiczeń, każ zebrać całą miedź, jaka jest w kraju, na oszczepy i groty strzał, a władza twoja zostanie uratowana. Ja ją uratuję dając Egiptowi wojnę, jakiej jeszcze nie było. Pobję Hetytów i odzyskam Syrię. Dokonam tego, jeśli wszystkie środki i całe zboże Egiptu zostanie oddane do dyspozycji armii. Wtedy głód nawet tchórzy uczyni wojownikami. Wszystko mi jedno, czy Amon, czy Aton, bo lud zapomni o Amonie, gdy mieć będzie wojnę, a w czasie wojny niepokój jego wyładuje się na zewnątrz, zwycięstwo zaś uczyni twoją władzę mocniejszą niż przedtem. Obiecuję ci zwycięską wojnę, Echnatonie, bom Horemheb, syn sokoła, stworzony jestem do wielkich czynów, a to jest moja chwila, na którą czekałem przez całe życie.

Gdy Eje to usłyszał, zagadnął śpiesznie:

– Nie wierz Horemhebowi, faraonie Echnatonie, mój drogi synu, bo mówi przez niego fałsz i jest on bardzo żądny władzy. Pojednaj się z kapłanami Amona i wypowiedz wojnę, ale nie oddawaj bynajmniej dowództwa Horemhebowi, lecz oddaj je komuś ze starych, wypróbowanych wodzów, którzy uczyli się sztuki wojennej za czasów wielkich faraonów i na których możesz całkowicie polegać.

A Horemheb rzekł:

– Gdybyśmy nie stali przed obliczem faraona, kapłanie Eje, rozbiłbym pięścią twój brudny pysk. Mierzysz mnie swoją własną miarą i przemawia przez ciebie zdrada, bo potajemnie przeprowadziłeś już rokowania z kapłanami Amona i pogodziłeś się z nimi za plecami faraona. Ale ja nie odstąpię tego chłopca, którego słabość niegdyś odkryłem swoim naramiennikiem w pustyni, koło gór pod Tebami. A celem moim jest tylko wielkość Egiptu i jedynie ja mogę zbawić Egipt.

Faraon zapytał:

– Skończyliście?

A oni odparli jednym głosem:

– Skończyliśmy!

Wtedy on rzekł:

– Muszę czuwać i modlić się, zanim postanowię. Ale jutro zwołajcie cały lud, zwołajcie wszystkich, którzy mnie kochają, wysokich i niskich, panów i sługi, zwołajcie nawet grabarzy z ich osiedla, bo chcę przez nich wszystkich przemówić do mego ludu i objawić im moje postanowienie.

Zrobili tak, jak im kazał, i zwołali lud na dzień następnym. Eje w przekonaniu, że faraon pojedna się z Amonem, a Horemheb w przeświadczeniu, że Echnaton wypowie wojnę Aziru i Hetytom. A faraon całą noc czuwał i modlił się, wędrując bez wytchnienia po swoich komnatach, nie przyjmując żadnego pożywienia i nie odzywając się do nikogo, aż byłem o niego niespokojny jako lekarz. Nazajutrz zaniesiono go przed lud i siadł przed ludem na tronie, a twarz miał jasną i promieniejącą jak słońce, gdy podniósł w górę ręce i przemówił ze swego tronu do ludu:

– To moja słabość sprawiła, że panuje dziś głód w kraju egipskim, i z powodu mojej słabości wróg zagraża granicom Egiptu. Bo wiedzcie, że Hetyci przygotowują się, by przez Syrię napaść na Egipt, i stopy nieprzyjaciół depczą już czarną ziemię. Wszystko to dzieje się skutkiem mojej słabości, ponieważ nie dość jasno pojąłem głos mego boga i nie zsiściłem jego woli. Teraz jednak mój bóg objawił mi się, Aton objawił mi się i prawda jego płonie w moim sercu, tak że nie jestem już słaby i przestałem się wahać. Obaliłem fałszywego boga, lecz w słabości swojej pozwoliłem, by u boku Atona wciąż jeszcze władali inni egipscy bogowie. To ich cień padł mrokiem na Egipt. Toteż niech w tym dniu padną wszyscy starzy bogowie w kraju Kem i niech jasność Atona rządzi w krainie Kem jako jedyne światło. Niech w tym dniu runą wszyscy starzy bogowie i niech się zacznie królestwo Atona na ziemi.

Gdy tłum usłyszał te słowa, zaczął kipieć ze zgrozy. Wielu wyciągnęło ramiona w górę, a wielu padło plackiem na ziemię przed faraonem. A faraon Echnaton podniósł głos jeszcze wyżej i wołał donośnie:

– Wy, którzy mnie kochacie, idźcie i obalajcie wszystkich starych bogów w kraju Kem, niszcźcie ich ołtarze, druzgocźcie ich posągi, rozlewajcie ich święconą wodę, burzcie ich świątynie, zacierajcie ich imiona na wszelkich napisach i wtargnijcie aż do grobów, by zatrzeć te imiona, czyncie to, by Egipt mógł zostać zbawiony! Dowódcy, chwycicie za pałki, artyści, zamieńcie dłuta na topory, budowniczo, porwijcie za młoty i idźcie na wszystkie strony kraju, do wszystkich miast i wsi, obalać starych

bogów i zacierać ich imiona! Tak oczyszczę Egipt od panowania zła!

Wtedy wielu uciekło w przerażeniu, lecz faraon wciągnął głęboko dech i twarz jego płonęła podnieceniem, gdy wołał:

– Niech się stanie królestwo Atona na ziemi! I niech odtąd nie będzie już niewolników i panów, gospodarzy i sług; niech wszyscy ludzie będą równi i wolni przed Atonem i niech nikt już nie będzie zmuszony do uprawiania ziemi drugiego, i niech nikt nie musi obracać cudzych żaren, i niech każdy człowiek swobodnie wybiera sobie pracę według swojej woli, swobodnie przychodzi i odchodzi, jak mu się spodoba. Faraon przemówił!

W tłumie już nie wrzało, lecz wszyscy stali niemi i wpatrywali się w niego, a na Achetaton spadła śmiertelna cisza i poczułem w nozdrzach trupi zapach. Lecz gdy ludzie wpatrywali się w faraona Echnatona, on rósł im w oczach, a uniesienie promieniujące z jego twarzy oslepiało ich i siła jego przechodziła w nich, tak że zaczęli krzyczeć z uniesieniem i wołać do siebie:

– Jeszcze nigdy nie wydarzyło się nic podobnego! Zaiste to jego bóg mówił przez niego i musimy go słuchać!

Tłum rozpięchł się w podnieceniu, a ludzie, spierając się między sobą, zaczęli się okładać pięściami i wierni faraonowi zabijali na rogach ulic Achetaton tych, którzy mówili przeciw niemu.

Gdy tłum się rozproszył, kapłan Eje powiedział do faraona:

– Echnatonie! Odrzuć koronę i złam pastorał, który dzierżysz w dłoni, bo słowami, któreś wypowiedział, obaliłeś swój tron!

A faraon Echnaton odrzekł mu:

– Słowa, które wypowiedziałem, zapewniły mojemu istnieniu nieśmiertelność i królestwo moje żyć będzie w ludzkiej pamięci na wieki wieków.

Wtedy Eje zatarł dłonie, splunął na ziemię przed faraonem i roztarł stopą ślinę w prochu, i rzekł:

– Jeśli tak, umyвам ręce i postąpię tak, jak to uznam za najlepsze, bo wobec szaleńca nie poczuwam się już do odpowiedzialności za swoje postęпки.

Chciał odejść, ale Horemheb złapał go za ramię i za kark i zatrzymał bez trudu, choć Eje był to mąż wielki i silny. I rzekł Horemheb:

– To twój faraon i masz spełniać jego rozkazy, Eje, i nie zawieź go, bo jeśli to zrobisz, przewiercę ci brzuch, choćbym nawet za własne środki musiał zbierać wojsko, żeby to przeprowadzić. Ja ci to mówię, a zazwyczaj nie kłamię. Co prawda szaleństwo jego jest wielkie i nie sędzę, by przyniosło nam coś dobrego, ale nawet w jego szaleństwie kocham go i stoję wiernie przy jego boku, ponieważ przysięgałem mu wierność i

osłoniłem ongiś jego słabość swoim naramiennikiem. A jest też i iskra rozsądku w jego szaleństwie, bo gdyby tylko obalił wszystkich starych bogów, oznaczałoby to wojnę domową, ale uwalniając jednocześnie niewolników od żaren i niewolników z pól zepsuł grę kapłanom i pozyskał sobie lud, choć następstwem tego może być zamęt gorszy niż dotychczas. To wszystko jest mi jednak zupełnie obojętne, ale co zrobimy z Hetytami, faraonie Echnatonie?

Faraon siedział z rękami opuszczonymi na kolana i nic nie odpowiedział. A Horemheb ciągnął:

– Daj mi złoto i zboże, broń i wozy bojowe, konie i prawo zaciągania żołnierzy, i prawo powoływania strażników z wszystkich miast Dolnego Królestwa, a sądzę, że uda mi się odeprzeć napad Hetytów.

Wtedy faraon podniósł na niego nabiegłe krwią oczy i żar zgasł mu w twarzy, gdy się odezwał:

– Zakazuję ci wypowiadać wojnę, Horemhebie. Ale jeśli lud chce bronić czarnej ziemi, nie mogę mu w tym przeszkodzić. Zboża i złota nie posiadam, nie mówiąc już o broni, a gdybym i posiadał, też bym ci nie dał, ponieważ nie chcę odpowiadać złem na zło. Możesz organizować obronę Tanis, jak ci się podoba, ale nie rozlewaj krwi i broń się tylko, gdyby cię napadnięto.

– Niech będzie tak, jak mówisz – odparł Horemheb. – Wszystko jest błotem. Zginę zatem w Tanis na twój rozkaz, bo bez zboża i złota nawet najdzielniejsza i najbieglejsza armia nie może się długo bronić. Ale precz z wahaniem, faraonie Echnatonie! Będę się bronił według własnego rozumu. Bywaj zdrów!

Odszedł, a Eje także opuścił faraona, zostałem więc w cztery oczy z Echnatonem. Spojrzał na mnie niewypowiedzianie zmęczonymi oczyma i rzekł:

– Kiedy powiedziałem to, com myślał, opuściły mnie siły, Sinuhe, ale mimo to jestem szczęśliwy nawet w mojej słabości. Co zamierzasz począć, Sinuhe?

Słowa jego zaskoczyły mnie i spojrzałem na niego zdziwiony.

Uśmiechnął się blado i spytał:

– Czy kochasz mnie, Sinuhe? – A gdy przyznałem, że go kocham nawet w jego szaleństwie, rzekł: – jeśli mnie kochasz, to wiesz chyba, co masz zrobić, Sinuhe.

Buntowałem się w duchu przeciw jego woli, choć w głębi duszy dobrze wiedziałem, czego chciał ode mnie. W końcu powiedziałem z rozdrażnieniem:

– Sądziłem, że potrzebujesz mnie jako lekarza, ale jeśli tak nie jest, odchodzę. Jestem co prawda słaby, gdy chodzi o obalanie posągów bogów, i z trudem potrafię udźwignąć młot, ale niech się dzieje wola twoja. Ludzie obędą mnie z pewnością żywcem ze

skóry i rozbiją i czerep kamieniami, po czym powieszą mnie na murze głową w dół, ale to ciebie mało wzrusza. Jadę więc do Teb, bo tam jest dużo świątyń i tam mnie znają.

Nic mi już nie odpowiedział i rozstałem się z nim w gniewie, ponieważ moim zdaniem wszystko to było wielkim szaleństwem.

Następnego dnia Horemheb wsiadł na statek, żeby udać się do Memfis a stamtąd do Tanis. Przed jego odjazdem obiecałem mu pożyczyć tyle złota, ile zdołam dostać w Tebach, a także posłać mu połowę zboża, które było w moim posiadaniu. Drugą połowę zboża zamierzałem użyć na własne cele. Może ta właśnie słabość rozstrzygnęła o całym moim życiu. Połowę dałem Echnatonowi, a połowę Horemhbowi, lecz całosci nie dałem żadnemu z nich.

ROZDZIAŁ 3

Pojechaliśmy z Totmesem do Teb i już na długo przed przybyciem do miasta spotkaliśmy trupy płynące z prądem Rzeki. Nabrzmiałe spływały w dół Rzeki, kołysząc się na falach, i widać było wśród nich golone głowy kapłanów, ludzi wysokiego i niskiego stanu, strażników i niewolników. Po ich włosach, skórze i odzieży można było poznać, czym każdy z nich był w ostatnich dniach swego życia, oczywiście tylko dopóki zwłoki nie szerniały, nie uległy rozkładowi lub nie zostały pożarte przez krokodyle. A krokodyle nie potrzebowały płynąć w górę Rzeki do Teb po żer z ludzkiego mięsa, bo to samo działo się wszędzie nad Rzeką, w miastach i po wsiach. Mnóstwo ludzi straciło życie w owych dniach i ciała ich wrzucono do Rzeki, tak że krokodyle zrobiły się wybredne. Bowiem krokodyle to mądre ryby, które wolą miękkie mięso kobiet i dzieci i tłuste ciała możnych od łykowatego mięsa tragarzy i niewolników. I jeśli krokodyle mają rozum, a tak z pewnością jest, to sądzę, że w owych dniach wielce chwaliły sobie Atona.

Cała Rzeką cuchnęła śmiercią i w ciemnościach nocy wiatr przynosił do naszych nozdrzy ostry swąd dymu. Totmes powiedział drwiąco:

– Zaiste, wygląda na to, jak gdyby królestwo Atona już zeszło na ziemię.

Ale je ukrzepiłem swoje słabe serce i odparłem:

– Totmesie, czegoś podobnego jeszcze nigdy nie było i świat nigdy już nie będzie miał takiej jak teraz okazji. Nie można upiec chleba nie pokruszywszy ziaren. Żarna Atona miały teraz zboże, wypieczemy tę mąkę na chleb, zróbmy to dla faraona Echnatona, a doprawdy świat zmieni się i w końcu wszyscy ludzie będą braćmi przed Atonem.

Ale Totmes pił wino, żeby przepędzić trupi odór z nozdrzy, i mówił:

– Wybacz mi, że pokrzepiam moją słabość winem, bo uczciwie mówiąc jestem w

wielkim strachu i kolana robią mi się jak woda na myśl o tym, co jeszcze nas czeka. Toteż w takiej chwili najprościej jest upić się na umór, ponieważ człowiek po pijanemu nie myśli o niepotrzebnych rzeczach, a życie i śmierć, ludzie i bogowie mają dlań wtedy jednaką wartość.

Gdy przybyliśmy do Teb, miasto płonęło w wielu miejscach i nawet w Mieście Umarłych podnosiły się słupy ognia, bo lud plądrował groby i palił w ogniu balsamowane ciała kapłanów. Z murów obsypano nasz statek strzałami, nawet nie spytawszy wprzód, czego chcemy, a gdy przybyliśmy do brzegu, rozwścieczeni wyznawcy krzyża wrzucali właśnie do wody zwolenników rogu tłukąc ich żerdziami, dopóki nie zatonęli. Widząc to przypuszczaliśmy, że dawnych bogów już obalono i Aton zwyciężył.

Poszliśmy prosto do „Ogona Krokodyla” i spotkaliśmy tam Kaptaha. Zdjął on kosztowne szaty, zatarł błotem ślady balsamu we włosach i przebrał się w szarą odzież biedaka. Usunął też ze swego ślepego oka złotą blaszkę i podawał teraz usługę napoje obdartym niewolnikom i uzbrojonym portowym tragarzom, zagadując do nich:

– Cieszcie się i radujcie, bracia moi, bo to dzień wielkiej radości. Nie ma już panów czy niewolników, wysokich czy niskich, lecz wszyscy ludzie są wolni i mogą przychodzić i odchodzić wedle swojej woli. Pijcie zatem to wino na mój rachunek, a mam nadzieję, że będziecie pamiętać o mojej winiarni, gdy szczęście uśmiechnie się do was i będziecie łupić srebro lub złoto w świątyniach fałszywych bogów albo w mieszkaniach złych panów. Bo jestem niewolnikiem tak jak wy i urodziłem się jako niewolnik, na dowód czego możecie obejrzeć moje oko, który okrutny pan wykłuł mi rylcem, gdy zgniewał się na mnie za to, że wypiliśmy piwo z dzbana i napełnił go własnym moczem. Ale taka niesprawiedliwość nie zdarzy się już nigdy i nikt nie poczuje na sobie kija dlatego tylko, że jest niewolnikiem, lecz wszystko będzie samą tylko radością i weselem, tańcem i uciechą, na zawsze.

Dopiero skończywszy swą przemowę zauważył mnie i Totmesa, trochę się zawstydzili i, zabrawszy nas do zamkniętego pomieszczenia, powiedzieli:

– Byłoby może rozsądniej, żebyście się przebrali w skromniejsze szaty i pobrudzili sobie twarze i ręce błotem, bo niewolnicy i tragarze ciągną ulicami wielbiąc Atona i w imię Atona walą kijami każdego, kto ich zdaniem jest zbyt tłusty i nigdy nie pracował rękami. Mnie wybaczyli moją tuszę, bo sam jestem byłym niewolnikiem i dzieliłem między nich zboże, i pozwalałem im pić za darmo. Ale powiedzcie, jaki zły los przysłał was do Teb właśnie teraz, bo w tych dniach Teby są strasznym miastem dla możnych.

Pokazaliśmy mu nasze topory i młoty, mówiąc, że przybyliśmy obalać posągi fałszywych bogów i usuwać ich imiona ze wszystkich napisów. A Kaptah pokijał

chyttrze głową i rzekł:

– Plan wasz jest może mądry i spodoba się ludziom, bylebyście tylko uważali, żeby lud nie dowiedział się, kim jesteście, bo wiele zmian może nastąpić i „rogi” będą się na was mścić, gdy znowu dojdą do władzy. Nie sądzę, by taki stan mógł trwać długo, bo skąd niewolnicy wezmą zboże, by żyć. A w swym rozjuszeniu dopuścili się też uczynków, które doprowadziły nawet wielu zwolenników krzyża do wątpliwości i przechodzenia na stronę „rogów” dla przywrócenia porządku. Nakaz faraona Echnatona uwalniający niewolników jest jednak bardzo mądry i dalekowzroczny, bo dzięki temu mogę pozbyć się wszystkich swoich do niczego niezdatnych i leciwych niewolników, którzy zjadają tylko moje drogie zboże i oliwę nie przynosząc żadnego pożytku. Nie potrzebuję już za cenę dużych kosztów dawać niewolnikom dachu nad głową i wyżywienia, lecz mogę wynagradzać ich pracę, kiedy zechcę, i odprawiać ich, kiedy zechcę. I nie jestem z nimi związany, lecz mogę sam sobie wybierać pracowników i płacić im, ile mi się spodoba. Zboże jest dziś droższe, niż było kiedykolwiek przedtem, a gdy byli niewolnicy ockną się ze swego upojenia, będą się na wyścigi zgłaszać do pracy, a praca ich będzie mnie kosztowała taniej niż praca niewolników, bo zgodzą się na wszelkie warunki, byle tylko dostać chleba. Gdy dawniej niewolnik kradł, należało to do dobrego obyczaju i pan nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko go wychłostać. Ale gdy ukradnie człowiek najęty do pracy, skazuje się go na wynagrodzenie kradzieży pracą, a przedtem można mu jeszcze obciąć uszy i nos za kradzież. Biorąc to wszystko pod uwagę, wielbię ogromnie faraona Echnatona za jego mądrość i sądzę, że i inni będą go wielbić, gdy zdążą zastanowić się nad tą sprawą i zrozumieją, jakie płyną z tego korzyści.

– Wspomniałeś o zbożu, Kaptahu – przerwałem mu. – Wiedz zatem, że obiecałem połowę naszego zboża Horemhebowi, żeby mógł prowadzić wojnę z Hetytami, i zboże to masz bez zwłoki wysłać morzem do Tanis. Natomiast drugą połowę każ zemleć na mąkę i wypiec z niej chleb i rozdzielić między głodnych we wszystkich miastach i wsiach, gdzie zboże to jest zmagazynowane. A gdy służy twój będą rozdawać chleb, nie wolno im brać zapłaty, lecz niech mówią: „To chleb Atona, jedzcie w imię Atona, błogosławiąc faraona Echnatona i jego boga”.

Usłyszawszy to Kaptah porwał na sobie odzież, bo była to tylko odzież niewolnika i rozdarcie jej nie przyniosło mu wielkiej szkody. Rwał też włosy, tak, że zaschłe na nich błoto unosiło się tumanem pyłu, i wołał gorzko:

– To cię doprowadzi do nędzy, mój panie, i skąd ja potem wezmę mój zarobek? Zaraziłeś się szaleństwem faraona, stoisz na głowie i chodzisz tyłem! Biada mnie nieszczęsnemu, że muszę przeżyć ten dzień! Nawet skarabeusz nic nam już nie pomoże,

bo za rozdawanie chleba nikt cię nie będzie błogosławił, a ten przeklęty Horemheb odpowiada bezczelnie na moje listy z upomnieniami i wzywa mnie, żebym sam sobie odebrał od niego złoto, które mu pożyczyłem w twoim imieniu. Jest gorszy od rozbójnika ten twój przyjaciel Horemheb, bo rozbójnik zabiera tylko to, co zabiera, on zaś obiecuje płacić odsetki od tego, co zabiera, i dręczy w ten sposób swoich wierzycieli prózną nadzieją, tak że wątroba pęka im w końcu z oburzenia. Ale po twoich oczach widzę, że mówisz poważnie, i dlatego nic tu nie pomogą moje skargi, lecz muszę spełnić twoją wolę, choć zrobi to z ciebie biedaka.

Opuściliśmy Kaptaha, żeby mógł dalej przymilać się niewolnikom i w tylnych izdebkach winiarni dobijać targu o święte naczynia i inne drogocenneści zrabowane w świątyniach przez tragarzy. Ulice były puste. Porządni ludzie pozamykali się w swoich domach i zabili na głucho drzwi. Kilka świątyń, w których zabarykadowali się kapłani, podpalono i wciąż jeszcze płonęły. Wchodziliśmy do splądrowanych świątyń, by usuwać imiona bogów ze świątych napisów, i spotkaliśmy tam innych zwolenników faraona przy tej samej robocie, i pracowaliśmy naszymi toporami i młotami z takim zapałem, że aż iskry leciały z kamienia. Tak to usiłowaliśmy przekonać siebie samych, że wykonujemy wielce ważną robotę i że nasze młoty torują drogę nowej epoce w Egipcie. I kuliśmy, aż drętwiały nam przeguby, a pięści bolały od rękojści młota. Robiliśmy to dzień po dniu, nie mając chwili wytchnienia na jedzenie czy sen, bo pole naszej pracy było niezmierzone. Niekiedy wdzierały się tłumy pobożnych prowadzone przez kapłanów, by nam przeszkadzać, obrzucały nas kamieniami i groziły kijami, my jednak przepędzaliśmy ich młotami. A raz w podnieceniu Totmes rozłupał głowę staremu kapłanowi, który chciał osłonić swego boga. Gdyż z dnia na dzień ogarniał nas coraz gorętszy zapał i pracowaliśmy, żeby móc zamknąć oczy na wszystko, co działo się dookoła.

Lud bowiem cierpiał głód i nędzę. A gdy niewolnicy i tragarze nacieszyli się już przez czas jakiś wolnością, postawili w porcie niebieskie i czerwone słupy, przy których się zbierali, i stworzyli własne oddziały strażnicze, które chodziły plądrować domy „rogów” i możnych i dzielić ich zboże, oliwę i bogactwa między lud. Kaptah najął wprawdzie ludzi, by męli zboże i piekli chleb, ale tłum zabierał chleb jego sługom mówiąc: – Ten chleb został zrabowany biedakom, toteż słuszne jest, by dzielić go między biedaków. – I nikt nie błogosławił mego imienia z powodu zboża, które rozdzieliłem, choć doprowadziłem się tym do ubóstwa w ciągu jednego miesiąca.

Gdy w taki sposób minęło czterdzieści dni i czterdzieści nocy, a zamęt w Tebach przybierał tylko na sile, i gdy mężczyźni, którzy dawniej ważyli złoto, stali teraz żebrząc

na rogach ulic, a ich żony sprzedawały niewolnikom swoje klejnoty, by kupić chleb dla dzieci, pod osłoną nocy przyszedł do mojego domu Kaptah i powiedział:

– Panie mój, czas, żebyś uciekał, bo już bardzo niedługo upadnie królestwo Atona i nie przypuszczam, by któryś uczciwy człowiek żałował jego upadku. Powróci prawo i porządek, powrócą starzy bogowie, zanim to jednak nastąpi, będzie się karmić krokodyle. I tym razem będą one karmione jeszcze obficie niż poprzednio, bo kapłani chcą uwolnić Egipt od złej krwi.

Zapytałem go:

– Skąd to wiesz?

Odparł niewinnie:

– Czyż nie byłem zawsze wiernym „rogiem” i nie modliłem się potajemnie do Amona? Pożyczyłem też dużo złota kapłanom, bo płacą oni czwartą część, a nawet połowę jako odsetki i zastawiają ziemię Amona za złoto. Żeby uratować własne życie, Eje dogadał się z kapłanami, a ci mają przecież strażników po swojej stronie. Także wszyscy bogacze i możni Egiptu uciekają się pod opiekę Amona, a kapłani wezwali Murzynów z kraju Kusz w wzięli na żołąd Szardanów, którzy dotychczas rabowali na prowincji. Zaprawdę, Sinuhe, niedługo zaczną żarna obracać się i zboże kruszyć, ale chleb, który upiecze się z tej mąki, nie będzie chlebem Atona, lecz Amona. Bogowie powrócą, stary porządek wróci i wszystko będzie tak jak przedtem, dzięki niech będą Amonowi, bo już zmęczył mnie ten chaos, mimo że przyniósł mi duże bogactwo.

Słowa jego bardzo mnie wzburzyły i zawołałem:

– Faraon Echnaton nigdy się na to nie zgodzi!

Ale on uśmiechnął się chytrze, potarł wskazującym palcem swoje ślepe oko i rzekł:

– Oni nie pytają już faraona o pozwolenie. Miasto Achetaton jest skazane na zagładę i każdy, kto tam pozostanie, zginie. Gdy wezmą władzę w swoje ręce, zamkną wszystkie drogi, które tam wiodą, i zagrodzą też Rzekę, tak że każdy, kto pozostanie w Achetaton, umrze z głodu. Żądają bowiem, żeby faraon powrócił do Teb i ukorzył się przed Amonem.

Wtedy rozjaśniło mi się w głowie i zobaczyłem przed sobą twarz Echnatona, a w oczach jego malowała się rozpacz gorsza od śmierci. Toteż zawołałem:

– Nie wolno dopuścić do tej hańby, Kaptahu! Wiele dróg zdeptaliśmy razem, ty i ja. Kroczy więc razem i tą drogą, aż do końca. Choć ja jestem już biedny, bo rozdałem swoje zboże, to jednak ty wciąż jeszcze jesteś bogaty. Kup więc broń, oszczepy i strzały, kup tyle pałek, ile zdołasz dostać, i złotem przeciągnij strażników na swoją stronę. A broń tę rozdzielisz między niewolników i tragarzy z portu, strażników zaś przekonasz,

że mają bronić faraona. Nie wiem, co z tego wszystkiego wyniknie, Kaptahu, ale świat jeszcze nigdy nie przeżywał takiej sposobności, by zrobić wszystko inaczej, niż było przedtem. Gdy ziemia zostanie podzielona i gdy podzielone zostaną bogactwa możnych, a ich domy przydzielą się biednym, by w nich mieszkali, ogrody zaś staną się miejscami zabaw dla dzieci niewolników, wtedy lud uspokoi się z pewnością i każdy trzymać się będzie tylko swego, i każdy pracować będzie dobrowolnie, i wszystko będzie lepiej niż przedtem.

Ale Kaptah zaczął drżeć i odparł:

– Panie, wcale nie myślę na starość zaczynać pracować rękami, a oni już postawili możnych do obracania młyńskich kamieni i biją ich kijami. A żony i córki możnych muszą obsługiwać niewolników i tragarzy w domach rozpusty. To wcale przecież nie jest dobre, to jest złe. Panie mój, Sinuhe, nie żądam, żebym wstąpił na tę drogę, bo gdy o tym pomyślę, przypomina mi się mroczny dom, do którego ci kiedyś towarzyszyłem, choć przysięgałem sobie nigdy o tym z tobą nie mówić, a tera zmówię, bo muszę. Panie, znowu postanowiłeś wkroczyć do ciemnego domu i nie wiesz, co cię tam czeka. A gdy doń wejdiesz, zobaczysz może, że czeka tam na ciebie gnijący potwór i cuchnąca śmierć. Sądząc bowiem z tego wszystkiego, cośmy już widzieli, ten bóg faraona Echnatona jest równie straszliwy jak bóg Krety i zmusza najlepszych i najbardziej uzdolnionych ludzi w Egipcie, by tańczyli przed bykami, i wprowadza ich do ciemnego domu, skąd nie ma powrotu, choć wchodzi tam radując się i tańcząc. Ufni w swą sztukę, i sądzą, że znajdują tam ową błogość, która jest tylko w Kraju na Zachodzie. Nie, panie, do domu Minotaura już nigdy z tobą nie pójdę.

Nie płakał i nie narzekał jak dawniej, lecz mówił poważnie i zaklinał mnie, żebym odstąpił od swego zamierzenia, a w końcu rzekł:

– Jeśli nie myślisz o sobie ani o mnie, pomyśl przynajmniej o Merit i o małym Tocie, którzy cię kochają. Zabierz ich stąd i ukryj w bezpiecznym miejscu, bo gdy Amon zacznie swoje mlewo, nikt już nie będzie tu pewny życia.

Ale moja zapalczywość zaślepiła mnie, a jego ostrzeżenia wydały mi się szalone, więc odparłem butnie:

– Kto by prześladował kobietę i małego chłopca? W moim domu są bezpieczni, bo Aton zwycięży, Aton musi zwyciężyć! Inaczej nie warto by było żyć. Lud ma przecież swój rozsądek i lud wie, że faraon chce tylko jego dobra. Jakżeby to było możliwe, żeby lud chciał wrócić pod panowanie strachu i ciemnoty? To właśnie dom Amona jest owym ciemnym domem, o którym mówisz, a nie dom Atona. Kilku przekupionych strażników i kilku wystraszonych możnych nie zdoła obalić Atona, gdy ma on za sobą

cały lud.

A Kaptah rzekł:

– Powiedziałem już, co miałem do powiedzenia, i nie chcę tego więcej powtarzać. Lecz zółć aż się we mnie gotuje z ochoty, żeby ci zwierzyć jedną małą tajemnicę, ponieważ jednak tajemnica ta nie jest moja, nie mogę ci jej opowiedzieć. A zresztą może nie wywarłoby to na tobie i tak żadnego wrażenia, gdy ogarnęło cię twoje szaleństwo. Nie rób mi więc wyrzutów, o panie, gdy będziesz potem w rozpaczy rozdierał sobie twarz i kolana do krwi o kamienie. Nie obwiniaj mnie, gdy potwór cię połknie. Dla mnie niewielka to różnica, co się stanie, bo jestem tylko byłym niewolnikiem i nie mam dzieci, które by opłakiwały moją śmierć. Toteż będę ci towarzyszył, panie, także i na tej ostatniej drodze, choć wiem, że to wszystko na próżno. Wstąpimy więc razem do ciemnego domu, panie, tak jak to już raz uczyniliśmy, pójdę i ja z tobą, ale jeśli pozwolisz, znowu zabiorę dzban wina na drogę.

Tegoż dnia Kaptah zaczął pić i pił od rana do wieczora i od wieczora do rana, ale choć pijany, wykonywał moje polecenia. Kazał swoim sługom rozdzielać broń w porcie, przy niebieskich i czerwonych słupach, wzywał dowódców straży potajemnie do „Ogona Krokodyla” i przekupywał ich, żeby szli z biedotą przeciw bogaczom. A w swym pijaństwie nie różnił się zbyt od innych ludzi, bo inni pili wtedy nieprzerwanie, pił Totmes i niewolnicy przepijali zrabowane łupy, a bogacze sprzedawali ostatnie klejnoty, żeby kupić wina, i wszyscy mówili: – Pijmy i jedzmy, bo nikt nie wie, co jutro nam przyniesie.

Bo głód i podniecenie panowały w Tebach w owych dniach, gdy królestwo Atona urządzano na ziemi, i jakiś powszechny zawrót głowy ogarnął ludzi, tak że byli jak pijani, nawet jeśli nie pili wina. I nie było już nawet różnicy, kto nosił krzyż, a kto nie, lecz jedyne co się liczyło, to broń i twarda pięść, i silny głos, bo słuchano tego, kto umiał krzyżeć najgłośniej. A gdy ktoś zobaczył na ulicy chleb w ręce drugiego, wrywał mu go ze słowami: – Oddaj mi twój chleb, bo przecież wszyscy jesteśmy braćmi przed Atonem i nie godzi się, żebym głodował, gdy mój brat napycha sobie brzuch chlebem. – A gdy ktoś napotkał drugiego, odzianego w cienkie płótno, mówił: – Daj mi twoją szatę, bo jesteśmy przecież braćmi w Atonie i nie uchodzi, żeby brat odziewał się lepiej od brata. – A gdy znaleziono róg na czyjejsz szyi lub na czyjejsz szacie, kazano mu obracać młyńskie kamienie, karczować korzenie albo rozbierać wypalone domy, niektórych zaś zabijano, a innych znów wrzucano do wody na pożarcie krokodylom. Gdyż krokodyle czyhały już przy mostkach tebańskich przystani i nikt im nie przeszkadzał, a szczękaniem ich paszcz i plaskaniem ogonów mieszało się z głosami ludzi, którzy spirali się z sobą

przy niebieskich i czerwonych słupach.

I nie było już żadnego ładu, bo ci, którzy krzyczeli najgłośniejszym głosem, mówili: – Musimy utrzymywać porządek i karność w imię Atona. Zbierzmy więc wszystko zboże i podzielmy między siebie. I nikomu już nie wolno rabować na własną rękę, lecz my, którzy jesteśmy najsilniejsi, będziemy rabować wspólnie i dzielić łup między pozostałych. – Najwięksi krzykacze zbierali się więc w gromady i tłukli kijami tych, którzy próbowali plądrować na własną rękę, i rabowali jeszcze więcej niż przedtem, zabijając każdego, kto stawiał im opór. Jedli do syta, odziewali się w królewskie płótno, nosili srebro i złoto na szyi i na przegubach dłoni. Byli wśród nich mężczyźni, którym obcięto uszy i nosy za czyny haniebne i którzy mieli na rękach blizny po kajdanach, a na grzbietach blizny po kijach. Ale wielce pysznili się tymi bliznami i obnażali swoją hańbę przed ludźmi mówiąc: – Wszystko to wycierpieliśmy dla Atona, czyż więc nie zasługujemy na zadośćuczynienie? – I nie można ich było odróżnić od tych, których zesłano do kopalń i kamieniołomów jako „rogi” i którzy powracali teraz jako „krzyże”, mieszając się z ludem. Tylko Złotego Domu po drugiej stronie Rzeki nie tknął nikt, bo był to dom faraona, a Eje wciąż jeszcze dzierżył pastorał i bicz faraona i chronił tam kapłanów Amona.

Tak upłynęło dwa razy po trzydzieści dni – dłużej królestwo Atona na ziemi nie przetrwało, rozpadło się w pył, bo oddziały murzyńskie, które wysłano statkami z kraju Kusz, i wzięci przez Eje na żołąd Szardanie otoczyli miasto i zamknęli wszystkie drogi i zagrozdzi również Rzekę, tak że nikomu nie udało się uciec. „Rogi” podniosły się wszędzie w mieście do powstania, a kapłani dzielili między nich broń wydobytą z czeluści świątyń Amona. A w braku broni zwolennicy rogu hartowali w ogniu końce kijów, okuwali miedzią kuchenne kopyści i wałki do chleba i przekuwali na groty strzał ozdoby swoich żon. „Rogi” podniosły się do powstania, a z nimi wszyscy, którzy chcieli dobra Egiptu, nawet ludzie spokojni, cierpliwi i cisi przyłączyli się do nich mówiąc: – Chcemy, żeby wrócił dawny porządek, bo nowego mamy już po samo gardło i Aton dość już nas ograbił.

ROZDZIAŁ 4

Lecz ja, Sinuhe, mówiłem do ludzi:

– Być może, wiele zła stało się w ciągu tych dni i może bezprawie podeptało prawo, a niejeden niewinny ucierpiał za złoczyncę, lecz nie na darmo Amon jest bogiem strachu i ciemności i rządzi ludźmi przez ich głupotę. Aton jest jedynym bogiem, ponieważ żyje w nas samych i dokoła nas, i nie ma innych bogów prócz Atona. Walczcie zatem w obronie Atona, wy wszyscy, niewolnicy i biedacy, tragarze i słudzy, bo nie macie już

nic do stracenia, a jeśli Amon zwycięży, pokosztujecie dopiero niewolnictwa i śmierci. Walczcie o sprawę faraona Echnatona, bo nikt jemu podobny nie urodził się jeszcze nigdy na świecie i przez usta jego mówi bóg, a takiej sposobności do odnowienia świata nigdy jeszcze nie było i sposobność taka nigdy po nim się nie nadarzy.

A niewolnicy i tragarze śmiali się ze mnie głośno i wołali:

– Nie pleć nam bzdur o Atonie, Sinuhe, bo wszyscy bogowie są tacy sami i wszyscy faraonowie są tacy sami. Ty jednak jesteś dobrym człowiekiem, Sinuhe, choć bardzo jesteś naiwny, opatrywałeś nasze połamane ręce, leczyłeś nasze pogruchotane kolana, nie wymagając od nas darów. Toteż odłóż pałkę, którą trzymasz w dłoni, bo i tak nie masz siły, by nią wywijać, i nigdy nie będzie z ciebie wojownik, a „rogi” zabiją cię, gdy cię zobaczą z pałką, my zaś nie chcemy, by stało ci się coś złego. Dla nas natomiast niewielka to różnica, gdy umrzemy, bo splamiliśmy sobie ręce krwią i przeżyliśmy dobre dni, wylegując się pod lśniącymi baldachimami i pijąc ze złotych pucharów, choć sami nie wiemy, czy to było warte takiego zachodu. W każdym razie nasze święto skończone i zamierzamy umrzeć z bronią w ręku, bo odkąd zakosztowaliśmy wolności, niewola nam już nie smakuje. Lecz nasze rany, staraj się złagodzić nasze cierpienia, jeśli chcesz, ale nie pętaj się między nami z pałką w garści, bo ten widok jest tak zabawny, że skręcamy się ze śmiechu i oszczepy wypadają nam z dłoni, tak że stajemy się łatwym łupem dla Murzynów i Szardanów, i „rogów” Amona.

Słowa ich tak mnie zawstydziły, że odrzuciłem pałkę i wziąwszy z domu lekarską szkatułkę poszedłem do „Ogona Krokodyla”, by leczyć ich rany. Trzy dni i trzy noce walczone w Tebach i mnóstwo ludzi zmieniło krzyż na róg i przyłączyło się do „rogów”, jeszcze więcej zaś złożyło broń i pochowało się w domach i piwnicach, spichrzach i w pustych koszach stojących w porcie. Ale niewolnicy i portowi tragarze walczyli do ostatka, najdzielniej zaś walczyli ci, którzy mieli poobcinane nosy i uszy i dlatego wiedzieli, że ich i tak rozpoznają. Trzy dni i trzy noce walczone w Tebach, niewolnicy i tragarze podpalali domy i bili się przy łunie pożarów, a Murzyni i Szardanie też podpalali domy i rabowali, zwalając na ziemię każdego, kogo napotkali, bez względu na to, czy był „krzyżem”, czy też „rogiem”. Ich głównodowodzącym, tym, który oblegał miasto, był ten sam Pepitaton, który kazał zabijać ludzi w Alei Baranów. Lecz imię jego brzmiało teraz Pepitamton, a Eje wybrał go na wodza, ponieważ miał on wysoką rangę i był najbardziej uczony spośród dowódców faraona.

Ja, Sinuhe, opatrywałem niewolnikom rany i leczyłem ich rozbite głowy w „Ogonie Krokodyla”. Merit pocięła na opatrunki dla nich wszystkie moje szaty, jak również odzież Kaptaha i swoją, a mały Tot podawał wino tym, którym trzeba było ulżyć w

męce. Kto mógł, powracał mimo ran do walki i w ostatnim dniu bój toczył się już tylko w porcie i w dzielnicy biedoty, a zaprawieni w boju Murzyni i Szardanie kosili ludzi jak zboże, tak że krew lała się wąskimi ulicami i spływała z mostków przystani do Rzeki. I śmierć jeszcze nigdy nie zebrała tak obfitego żniwa w kraju Kem, jak w owym dniu, bo gdy ktoś upadł i leżał na ziemi nie mogąc się podnieść, Murzyni i „rogi”, rozpruwali go oszczepami, a niewolnicy i tragarze to samo robili z „rogami”, którzy wpadli w ich ręce. O wszystkim tym jednak niewiele wiedziałem, bo przez cały czas opatrywałem rany nie wystawiając nosa z winiarni Kaptaha, a robiłem to dla faraona Echnatona – tak mi się przynajmniej zdaje, choć nie wiem na pewno, gdyż człowiek nie zna swojego własnego serca.

Tragarze i niewolnicy wybrali najsilniejszych i najbardziej krzykliwych spośród siebie na przywódców i przywódcy ci przychodzili do „Ogona krokodyla” w czasie walki, by orzeźwić się winem. Pijani krwią i gorączką walki śmieli się ze mnie, bili mnie po plecach twardymi pięściami i mówili:

– Przygotowaliśmy dla ciebie w porcie wygodny kosz, w którym możesz się ukryć, Sinuhe, bo chyba nie chcesz wieczorem wisieć obok nas na murze głową w dół? Czy nie czas, żebyś się schował, Sinuhe, bo na próżno opatrujesz rany, które natychmiast rozrywane są na nowo.

Ale ja im odpowiadałem:

– Jestem królewskim lekarzem i nikt się nie ośmieli podnieść na mnie ręki.

Na te słowa śmieli się ze mnie jeszcze bardziej, pili mnóstwo wina i wracali do boju.

W końcu przyszedł do mnie Kaptah i powiedział:

– Twój dom płonie, Sinuhe, a „rogi” rozpruły nożami Muti, ponieważ groziła im kopyścią, gdy podpały dom. Już czas, żebyś odział się w najlepsze szaty i włożył wszystkie znaki twojej godności, by się uratować. Zostaw więc tych rannych niewolników i rabusiów i chodź ze mną do wewnętrznej izby, gdzie się obaj przebierzemy, żeby stosownie do naszej godności przyjąć dowódców kapłana Eje. Schowałem przed tymi zbójami kilka dzbanów wina, żeby móc ugłaskać kapłanów i oficerów i dalej prowadzić swój uczciwy zawód.

Także Merit objęła mnie za szyję i błagała:

– Ratuj się, Sinuhe, jeśli nie dla siebie samego, to ze względu na mnie i małego Tota.

Bezsensowność, rozpacz, śmierć i zgiełk walki zamroczyły mnie do tego stopnia, że nie znałem już własnego serca i odparłem:

– Co mnie obchodzi mój dom, życie, ty i Tot? Krew, która płynie, to krew moich braci przelana za Atona i nie chcę żyć, jeśli królestwo Atona upadnie.

Ale sam nie wiem, dlaczego mówiłem takie szaleństwa, bo było to tak, jakby mówił przeze mnie ktoś inny, a nie moje słabe serce. Nie wiem też, czy zdążyłbym jeszcze uciec lub coś uratować, bo w chwilę potem Szardanie i Murzyni wyłamali drzwi winiarni i wtargnęli do wnętrza, prowadzeni przez kapłana o ogolonej głowie, którego twarz lśniła od świętej oliwy. Zaczęli dobijać rannych leżących pokotem na podłodze, a kapłan wydłubywał im oczy świętym rogiem, zaś pomalowani w pasy Murzyni wskakiwali na leżących obu stopami, tak że krew tryskała z ran. Kapłan wołał: – To gniazdo Atona, oczyścmy je ogniem! – I w moich oczach rozbili główkę małemu Totowi, zakłuli oszczepem Merit, która chciała go ukryć w ramionach, a ja nie mogłem bronić moich najdroższych, bo kapłan uderzył mnie w głowę rogiem, tak że krzyk zamarł mi w gardle i nie wiedziałem już, co się dzieje.

Przyszedłem do przytomności w zaułku przed „Ogonem Krokodyla” i zrazu nie wiedziałem, gdzie się znajduję, lecz zdawało mi się, że śnię lub już umarłem. Kapłan gdzieś znikł, a żołnierze odłożyli oszczepy i popijali wino, którym częstował ich Kaptah, oficerowie zaś poganiali ich swymi przeplatanymi srebrem biczami, żeby szli dalej walczyć. „Ogon Krokodyla” płonął przed moimi oczyma jasnym płomieniem, bo urządzenie jego było z drewna i płonęło jak suche sitowie nad brzegiem Rzeki. Wtedy przypomniałem sobie wszystko i spróbowałem wstać, lecz siły mnie zawiodły. Nie mogąc podnieść się na nogi, zacząłem czołgać się na rękach i kolanach w kierunku płonących drzwi i wczołgałem się w ogień, żeby pójść do Merit i Tota. Wpełzłem w ogień tak, że opaliły mi się moje rzadkie włosy i zajęły szaty, poparzyłem sobie ręce i kolana, aż Kaptah nadbiegł z krzykiem i biadaniem, wyciągnął mnie z ognia i taczając mnie w popiele ugasił ogień na moich szatach. Na ten widok żołnierze zaczęli się śmiać hałaśliwie i bić po udach, Kaptah zaś mówił do nich:

– On jest pewnie troszkę szalony, bo kapłan uderzył go w głowę rogiem, za co pewnie spotka go później kara. Bo to królewski lekarz i nikomu nie wolno podnieść na niego ręki. Jest on także kapłanem pierwszego stopnia, choć musiał przebrać się w nędzne szaty i ukryć znaki swojej godności, żeby ująć przed wściekłością tłumu.

Siedziałem w prochu ulicy trzymając się za głowę poparzonymi rękoma, łzy mi ściekały z osmalonych oczu i wołałem, i biadałem:

– Merit, Merit, moja Merit!

Lecz Kaptah szturchnął mnie z gniewem i szepnął do ucha:

– Milcz, szaleńcze! Czyś już nie ściągnął na nas wszystkich dość nieszczęścia swoją głupotą? – A gdy nie chciałem zamilknąć, przysunął twarz blisko do mojej i szeptał z goryczą: – Oby to wszystko przywiodło cię do rozumu, panie mój, bo teraz naprawdę

miara twoja wypełniła się, i to bardziej, niż sam przypuszczasz. Wiedz, choć już poniewczasie, że mały Tot był twoim synem i że to z twego nasienia zrodził się on do życia, gdy pierwszy raz spałeś z Merit i trzymałeś ją w objęciach. Mówię ci to, żebyś odzyskał rozum, bo ona nie chciała ci tego wyznać, ponieważ była dumna i samotna, a ty ją odsunąłeś dla Achetaton i dla faraona. Z twojej krwi był ten mały Tot i gdybyś nie był zupełnie szalony, zobaczyłbyś w jego oczach twoje własne i w zarysie jego ust własne usta. Dałbym za niego życie, ale z powodu twego szaleństwa nie mogłem go uratować, a Merit nie chciała cię opuścić. Z powodu twego szaleństwa zginęli oboje i dlatego mam nadzieję, że teraz zmądrzejesz, panie.

Usłyszawszy to wpatrzyłem się w niego oniemiały, a potem spytałem: – Czy to prawda? – Ale gdy przebiegłem myślą wszystko, nie potrzebowałem jego odpowiedzi, by wiedzieć, że to była prawda. Siedziałem w prochu ulicy i już nie płakałem, i nawet nie czułem bólu, lecz wszystko zamarło i zastygło we mnie i nawet serce mi się zamknęło, tak że już wcale nie dbałem o to, co mnie spotkało.

Przedemną płonął jasnym płomieniem „Ogon Krokodyla”, sypiąc na mnie dymem i sadza, a w nim płonęło małe ciało Tota i urodzive ciało Merit. Ciała ich obojga płonęły wspólnie ze zwłokami pomordowanych niewolników i tragarzy, a ja nie mogłem nawet zachować ich, by żyły wiecznie. Tot był moim synem, a jeśli prawdą było to, co przypuszczałem, w żyłach jego płynęła święta krew faraonów, tak jak i w moich żyłach. Gdybym był to wiedział, może wszystko ułożyłoby się inaczej, bo dla syna człowiek może zrobić wszystko, czego by nigdy nie zrobił dla siebie samego. Teraz jednak było już za późno i jego święta krew płonęła wraz z krwią niewolników i tragarzy, i już nie było Tota, a ja wiedziałem, że Merit ukrywała to przede mną może także z powodu mojej straszliwej tajemnicy, a nie tylko z powodu swojej własnej dumy i samotności. I siedziałem w prochu ulicy, wśród dymu i iskier, a płomienie spalające ich ciała osmalały mi twarz.

Co było potem, pamiętam jak przez mgłę. Pozwoliłem Kaptahowi prowadzić mnie, dokąd chciał, i szedłem za nim bez oporu. Zaprowadził mnie do Eje i Pepitama, bo walka się skończyła, i podczas gdy dzielnica biedoty wciąż jeszcze płonęła, oni zasiedli, by sądzić, na złotych tronach na kamiennych nadbrzeżach w porcie, a żołnierze i „rogi” przyprowadzali przed nich jeńców. Każdego napotkanego z bronią w ręku wieszano na murze głową w dół, a każdego, u kogo znaleziono zrabowane dobro, rzucano do wody krokodylom na pożarcie. Każdego, kto na odzieży czy na szyi nosił krzyż Atona, chłostano i posyłano do przymusowych robót, kobiety oddawano żołnierzom i Murzynom dla rozpusty, a dzieci przekazywano Amonowi na wychowanie w świątyni.

Tak grasowała śmierć nad brzegiem Rzeki w Tebach, a Eje nie znał litości, bo chciał sobie zyskać względy kapłanów, i mówił: – Oczyszczam kraj egipski ze złej krwi.

Także i Pepitamon był bardzo rozwścieczony, bo niewolnicy i tragarze splądrowali mu dom, pootwierali kocie klatki i zjedli strawę kotów oraz zabrali dla swoich dzieci przeznaczone dla kotów mleko i śmietankę, tak że koty Pepitamona zdziczały z głodu. Toteż i on nie znał żadnego zmiłowania. Tak więc w ciągu dwóch dni mury miasta pokryły się mężczyznami zwisającymi głową w dół.

A kapłani wśród radosnych okrzyków ustawili znów posąg Amona w świątyni i składali mu wielkie ofiary.

Eje mianował Pepitamona namiestnikiem Teb i udał się śpiesznie do Achetaton, by nakłonić faraona Echnatona do zrzeczenia się władzy i by umocnić swoją władzę z pomocą następcy Echnatona. A do mnie powiedział:

– Jedź ze mną, Sinuhe, bo mogę potrzebować rady lekarza, by nagiąć fałszywego faraona do mej woli.

Ja zaś odparłem:

– Naturalnie, że pojedę z tobą, Eje, bo chcę, by się wypełniła moja miara.

On jednak nie zrozumiał, co chciałem przez to powiedzieć.

ROZDZIAŁ 5

Tak więc płynąłem w towarzystwie Eje z powrotem do Achetaton, do przeklętego faraona. Ale i Horemheb usłyszał w Tanis, co się stało w Tebach i co działo się wszędzie nad Rzeką, więc co rychlej obsadził wojskiem okręty wojenne i popłynął w górę Rzeki do Achetaton. A w miarę tego, jak posuwał się w górę Rzeki, spokój powracał do miast i wsi nadbrzeżnych, otwierano na nowo świątynie i ustawiano na swoich miejscach posągi bogów. I sądzę, że krokodyle znowu wielce błogosławiły jego imię. On jednak śpieszył się, żeby zdążyć do Achetaton równocześnie z Eje, by współzawodniczyć z nim o władzę, więc ułaskawił wszystkich niewolników, którzy złożyli broń, i nie karał nikogo, kto dobrowolnie zamienił krzyż Atona na róg Amona. Toteż lud sławił go wielce z powodu jego miłosierdzia, choć nie płynęło ono z serca, lecz z chęci oszczędzania ludzi zdatnych do noszenia broni. Także i kapłani wielce go chwalili, bo wszędzie nad Rzeką, gdzie przepływały jego wojenne okręty, Horemheb otwierał na nowo zamknięte świątynie i ustawiał obalone posągi bogów na starych miejscach, a czasem, gdy przypadkiem był w dobrym humorze, składał bogom ofiary.

Miasto Achetaton stało się obszarem przeklętym, kapłani i „rogi” strzegli wszystkich dróg do niego wiodących i zabijali każdego, kto stamtąd uciekał, jeśli nie zgadzał się zamienić krzyża na róg i złożyć ofiary Amonowi. Również i Rzekę zagrodzono

miedzianymi łańcuchami, tak że nikt nie mógł uciec tą drogą. Większość uciekających z miasta składała jednak chętnie ofiary Amonowi i przeklinała Atona, bo mieszkańcy Achetaton dość już mieli Atona. I nie poznałem Achetaton, gdy ujrzałem to miasto ze statku, gdyż panowała tam śmiertelna cisza, w parkach zwiędły kwiaty, a zielona murawa żółkła, bo nikt nie podlewał ogrodów i trawników. Ptaki nie śpiewały już w gałęziach uśmierconych przez słońce drzew, a w mieście szerzył się ohydny, przeraźliwy odór przekleństwa, którego przyczyny nikt nie znał. Moźni opuścili swoje domy, a słudzy ich uciekli pierwsi. Budowniczości i kamieniarze porzucili swoje osiedle, zostawiając nawet naczynia do gotowania, bo nikt nie ważył się brać z sobą czegokolwiek z przeklętego miasta. Psy, nadaremnie nawzywawszy wyciem pomocy, wydychały w klatkach, a konie, którym uciekający słudzy poprzecinali pęciny, poginęły z głodu w stajniach. Tak to rozkoszne Achetaton było martwe i zionęło śmiercią, już w chwili gdy tam przybyłem.

Ale faraon Echnaton przebywał wciąż jeszcze w Złotym Domu a Achetaton, a wraz z nim przebywała tam i jego rodzina oraz najwierniejsi słudzy, którzy pozostali przy nim i przy Atonie. Pozostali też przy nim najstarsi dworzanie, którzy nie umieli sobie wyobrazić życia gdzie indziej niż u faraona, ponieważ cały żywot spędzili w Złotym Domu. Nikt nie wiedział nic o tym, co się stało w świecie, bo od miesiąca nie przybył do Achetaton żaden goniec. I nawet jadło skończyło się w Złotym Domu, tak że pożywieniem wszystkich był, z woli faraona Echnatona, twardy chleb i kasza, jaką jedzą biedacy. Najbardziej przedsiębiorczy jednak łowili ryby w Rzece, zabijali ptactwo z procy i zjadali po kryjomu.

Kapłan Eje mnie pierwszego wysłał do faraona, ażebym opowiedział o wszystkim, co zaszło, bo Echnaton ufał mi, gdyż byłem jego przyjacielem. Tak więc stanąłem znów przed faraonem, ale wszystko we mnie zastygło i nie czułem już żalu, ani radości, i serce moje było dla niego zamknięte. Podniósł ku mnie szarą i wynędzniałą twarz, a jego ręce bezwładnie spoczywały na kolanach, popatrzył zamglonym wzrokiem i spytał:

– Sinuhe, czy jesteś jedynym, który do mnie powrócił? Gdzie są wszyscy moi wierni? Gdzie są wszyscy, którzy mnie kochali i których ja kochałem?

Odparłem:

– Starzy bogowie znowu rządzą w Egipcie i w Tebach kapłani składają ofiary Amonowi przy radosnych okrzykach tłumu. Ludzie przeklęli ciebie, faraonie Echnatonie, i przeklęli twoje miasto, przeklęli na wieki twoje imię i już usuwają je z wszystkich napisów.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką i płomień namiętności rozpalił się znowu w jego

twarży, gdy odrzekł:

– Nie pytam, co się stało w Tebach, lecz pytam, gdzie są moi wierni, gdzie wszyscy, których kochałem?

Odparłem:

– Jest z tobą wciąż jeszcze twoja piękna małżonka, Nefretete. Także i twoje córki są przy tobie. Młody Sekenre łowi ryby w Rzece, a Tut bawi się w pogrzeb swoimi lalkami, tak jak dawniej. Cóż cię obchodzą inni?

A on rzekł:

– Gdzie jest mój druh, Totmes, który był także i twoim przyjacielem i którego tak kochałem? Gdzie jest on, artysta, którego dłonie nadawały kamieniom wieczne życie?

– Umarł dla ciebie, faraonie Echnatonie – odrzekłem. – Murzyni nadziali go na oszczep i wrzucili jego ciało do Rzeki, na żer krokodylom, bo był ci wierny. Możliwe, że kalał twoje łożę, ale nie myśl o tym teraz, gdy szakał szczeka w jego pustynnym warsztacie, a uczniowie jego uciekli, porzuciwszy jego narzędzia i powywracawszy rzeźby, które miał uczynić wiecznymi.

Faraon Echnaton przesunął ręką po twarzy, jakby z niej zdejmował pajęczynę. Potem wyliczył długi szereg imion ludzi, których kochał, a przy niektórych mówiłem: – Umarł dla ciebie, faraonie Echnatonie! – W końcu powiedziałem: Panowanie Atona zostało skruszone, faraonie Echnatonie. Nie ma już królestwa Atona na ziemi, lecz znowu rządzi Amon.

Wpatrywał się przed siebie mętnymi oczyma i wykonując niecierpliwie ruchy bezkrwistymi rękami mówił:

– Tak, tak, wiem o tym! Moje wizje mi to powiedziały. Królestwo wieczne nie mieści się w ziemskich granicach. Wszystko ma być tak jak przedtem i światem ma rządzić strach, nienawiść i bezprawie. Dlatego byłoby lepiej, żebym umarł, a najlepiej byłoby może, gdybym się nigdy nie urodził, by patrzeć na zło, które dzieje się na ziemi.

Jego ślepotą doprowadziła mnie do wściekłości i rzekłem gwałtownie:

– Nie widziałeś ani odrobiny zła, które stało się z twego powodu, faraonie Echnatonie. Krew twego syna nie popłynęła ci po rękach i serca nie zmroziła ci śmiertelna skarga ukochanej. Dlatego twoja mowa jest czcza, faraonie Echnatonie.

A on rzekł zmęczony:

– Odejdź więc ode mnie, Sinuhe, skoro jestem tak z gruntu niedobry. Odejdź ode mnie, żebyś nie musiał cierpieć jeszcze więcej z mego powodu. Odejdź ode mnie, bo męczy mnie widok twojej twarzy i męczy mnie widok wszystkich ludzi, gdyż spoza wszystkich ludzkich twarzy szczyrzy kły dzikie zwierzę.

Ale ja usiadłem na podłodze przed nim i powiedziałem:

– Nie, faraonie Echnatonie, ja nie odejdę od ciebie, bo chcę, by wypełniła się moja miara. Właśnie po to przyszedłem pewnie na ten świat i było to zapisane w gwiazdach na długo przed moim urodzeniem. Wiedz zatem, że kapłan Eje przybywa do ciebie, a u północnych granic miasta Horemheb kazał dąć w rogi i przerwał miedziane łańcuchy zagradzające Rzekę, żeby płynąć do ciebie.

Uśmiechnął się przelotnie, rozłożył ręce i rzekł:

– Eje i Horemheb, zbrodnia i oszczep, są to zatem jedyni wierni, którzy do mnie przychodzą.

A potem nie odezwał się już do mnie ani słowem i ja nie mówiłem nic do niego, słuchaliśmy tylko cichego szmeru wodnego zegara, dopóki kapłan Eje i Horemheb nie stanęli przed faraonem. Spierali się z sobą po drodze gwałtownie i twarze ich były ciemne od gniewu, dyszeli ciężko, a gdy się znaleźli przed obliczem faraona, mówili jeden przez drugiego, nie zwracając już uwagi na jego godność:

Eje oświadczył:

– Musisz zrzec się władzy, faraonie Echnatonie, jeśli chcesz zachować życie. Niech Sekenre rządzi zamiast ciebie i niech wróci do Teb i złoży ofiary Amonowi, a kapłani namaszczą go na faraona i włożą mu na głowę białą i czerwoną koronę.

A Horemheb rzekł:

– Mój oszczep zachowa dla ciebie koronę, faraonie Echnatonie, jeśli powrócisz do Teb i złożysz ofiary Amonowi. Kapłani będą może zrazu szemrać, ale ja ich uspokoję moim biczem, tak że zapomną o sarkaniu, gdy ogłoszę świętą wojnę w celu odzyskania Syrii dla Egiptu.

Martwy uśmiech pojawił się na wynędzniałej twarzy faraona Echnatona, gdy przyglądał się im obu:

– Żyłem i umrę jako faraon – powiedział. – Nigdy nie podporządkuję się fałszywemu bogu i nigdy nie zgodzę się na wypowiedzenie wojny, by krwią zbawić moje panowanie. Faraon rzekł.

To powiedziawszy zakrył twarz rąbkiem szaty i odszedł, zostawiając nas samych w wielkiej sali, w której trupi odór raził nozdrza.

Eje rozłożył bezradnie ręce i spojrzał na Horemheba. Także i Horemheb rozłożył ręce i patrzył na Eje. Ja siedziałem na podłodze, bo nie miałem siły wstać, i przyglądałem się im obu. Nagle Eje uśmiechnął się chytrze i rzekł:

– Horemhebie, oszczep jest w twoim ręku i tron jest twój. Włóż więc na swoją głowę obie korony, jak tego pragniesz!

Ale Horemheb wydrwił go mówiąc:

– Nie jestem taki głupi. Zatrzymaj sobie sam te parszywe korony, jeśli pragniesz, bo oszczepy rozprują mi tyłek, gdy spróbuje usiąść na ich szpicach, nie mając na poparcie krwi królewskiej. Wiesz aż nadto dobrze, że nic nie może wrócić do starego po tym, co zaszło, i że Egipcjowi grozi głód i wojna. I gdybym teraz wziął koronę, lud obwiniałby mnie o wszystko zło, które przyjdzie, i łatwo by ci było mnie obalić, gdybyś uznał, że czas dojrzał do tego.

Eje rzekł:

– A więc niech to będzie Sekenre, jeśli się zgodzi wrócić do Teb. A jak nie on, to Tut zgodzi się na pewno. Ich małżonki są z krwi świętej. Niech więc dźwigają nienawiść ludu, dopóki nie przyjdą lepsze czasy.

– Zamierzasz zatem panować w ich cieniu – stwierdził Horemheb.

Lecz Eje odparł:

– Zapominasz, że masz w rękę armię i że to ty musisz odeprzeć Hetytów. Jeśli zdołasz tego dokonać, nie będzie w kraju Kem nikogo silniejszego od ciebie.

Tak się z sobą spierali, dopóki nie zrozumieli, że losy ich były z sobą związane i że nie mogli dojść do żadnego rozwiązania jeden bez drugiego. Toteż w końcu Eje oświadczył:

– Przyznaję otwarcie, że jak tylko mogłem, starałem się ciebie obalić, Horemhebie, teraz jednak wyrosłeś mi ponad głowę i nie mogę już obejść się bez ciebie. Jeśli bowiem Hetyci napadną na Egipt, nie będę miał żadnej radości z mojej władzy, gdyż wcale się nie łudzę, że jakiś tam Pepitamon potrafi prowadzić wojnę z Hetytami, choć nawet wcale dobrze nadaje się do upuszczania krwi ludowi i na kata. Niech więc dzień dzisiejszy będzie dniem naszego przymierza, Horemhebie, bo wspólnie możemy rządzić Egiptem, natomiast poróżnieni obaj pójdziemy na dno. Beze mnie jest twoja armia bezsilna, a bez twojej armii Egipt zginie. Złożmy więc sobie przysięgę na wszystkich bogów Egiptu, że od dziś będziemy trzymać się razem. Jestem już starym człowiekiem, Horemhebie, i pragnę zaznać słodczy władzy, ty zaś jesteś jeszcze młody i możesz poczekać.

– Nie pożądam koron, lecz pragnę dobrej wojny dla moich wszarzy – odrzekł Horemheb. – Ale na wszystko, coś powiedział, chcę mieć jakąś porękę, Eje, bo inaczej zdradzisz mnie przy pierwszej sposobności. I nie staraj mi się tłumaczyć, że tak nie jest, bo znam cię doskonale.

Eje rozłożył ręce i powiedział:

– Jakąż porękę mogę ci dać, Horemhebie? Czyż armia nie jest jedyną poręką, która ma jakąś wartość?

Twarz Horemheba pociemniała. Rozejrzał się zakłopotany po ścianach i zaczął skrobać sandałem kamienną posadzkę, jak gdyby chciał zagrzebać palce stóp w piasku. A potem rzekł:

– Chcę za małżonkę księżniczkę Baketatona! Chcę stłuc z nią dzban, choćby nawet niebo i ziemia się waliły, i ty nie możesz mi w tym przeszkodzić!

A Eje wykrzyknął:

– Ach tak! Teraz rozumiem, do czego zmierzasz! Chytrzejszyś, niż myślałem, tak że wielce cię szanuję. Ona zmieniła już imię na Baketamon i kapłani nie mają nic przeciwko niej, a w żyłach jej płynie święta krew wielkiego faraona. Zaiste, gdy ją poślubisz, zyskasz słuszne prawo do korony, Horemhebie, większe niż małżonkowie córek Echnatona, bo za nimi stoi tylko krew fałszywego faraona. Zaiste, dobrześ to sobie wyliczył, Horemhebie, lecz ja nie mogę się na to zgodzić, przynajmniej na razie, bo byłbym wtedy zupełnie w twoich rękach i nie miałbym już nad tobą żadnej władzy.

Lecz Horemheb zawołał:

– Zatrzymaj sobie swoje parszywe korony, Eje. Bardziej niż koron pragnę jej, pożądam jej od chwili, gdy pierwszy raz ujrzałem jej piękność w Złotym Domu. Pragnę zmieszać swoją krew z krwią wielkiego faraona, żeby z lędźwi moich wyszli królowie Egiptu. Weź je więc obydwie, gdy przyjdzie na to czas, a mój oszczep wesprze twój tron. Lecz daj mi księżniczkę, a będę panować dopiero po tobie, nawet gdybyś żył bardzo długo, bo jak sam powiedziałeś, mam czas, mogę czekać.

Eje otarł usta dłonią i długo się zastanawiał z coraz bardziej zadowoloną miną, spostrzegł bowiem, że znalazł haczyk, na który będzie mógł brać Horemheba, jak mu się spodoba. A ja przysłuchiwałem się ich rozmowie i zdumiewałem ludzkim sercem. Gdyż oto dzielili między siebie koronę, choć faraon Echnaton jeszcze żył i oddychał w sąsiednim pokoju. W końcu Eje odezwał się.

– Długo już czekasz na swoją księżniczkę i możesz chyba poczekać jeszcze trochę, bo najpierw musisz stoczyć zacieklą wojnę, a wojna nie godzi się z przygotowaniami do wesela. Wymaga też czasu uzyskanie zgody księżniczki, która wielce tobą gardzi, bo się urodziła z gnojem na stopach. Ale ja i tylko ja jeden mam sposób, by usposobić ją przychylnie do ciebie, i przysięgam ci na wszystkich bogów Egiptu, że w dniu gdy włożę białą i czerwoną koronę na moją głowę, własnoręcznie stłukę dzban między wami i dostaniesz księżniczkę.

A Horemheb nie miał już cierpliwości dłużej się targować i rzekł:

– Niech będzie i tak! Doprowadźmy więc całą tę brudną sprawę do pomyślnego końca. Nie sądzę, żebyś się chciał wykręcić, bo wielce pożądasz tych koron, które w

rzeczy samej są tylko zabawkami dla dzieci.

W zapale zapomniał zupełnie o mnie i gdy rozejrzawszy się dokoła uświadomił sobie moją obecność, bardzo był zaskoczony i powiedział:

– Sinuhe, wciąż jeszcze tu jesteś? To niedobrze, bo słyszałeś rzeczy, których nie powinny słyszeć niegodne uszy. Dlatego myślę, że muszę cię zabić, choć niechętnie to zrobię, bo jesteś moim przyjacielem.

Słowa jego ogromnie mnie rozśmieszyły, bo pomyślałem, że obaj oni, Eje i Horemheb, dzielili korony między siebie, choć nie byli ich godni, podczas gdy ja siedziałem na podłodze u ich stóp, choć może ja jeden byłem godny tronu, jako jedyny męski spadkobierca wielkiego faraona, i w żyłach moich płynęła święta krew. Toteż nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, zasłoniłem usta dłonią i chichotałem jak stara baba. Aż Eje wielce tym zgorzony powiedział:

– Nie wypada, żebyś się śmiał, Sinuhe, bo to poważne sprawy i nie czas teraz na śmiech. Nie zabijemy cię jednak, choć zasługiwałeś na to, może i lepiej się stało, żeś słyszał wszystko i możesz nam posłużyć jako świadek. Ale nie wolno ci nigdy nikomu powiedzieć, co tu dzisiaj usłyszałeś, bo jesteś nam potrzebny, i zwiążemy cię z sobą czymś silniejszym niż wszystkie przysięgi. Rozumiesz bowiem dobrze sam, że najwyższy czas, by faraon Echnaton umarł. Toteż ty, jako lekarz, otworzysz mu jeszcze dziś czaszkę i dopilnujesz, żeby twój nóż wtargnął dostatecznie głęboko do jego głowy, tak by faraon umarł według starego dobrego obyczaju.

A Horemheb szybko dorzucił:

– Nie mieszam się do tego, bo ręce moje są już dość brudne, od chwili gdy dotknęły rąk Eje. Ale to prawda, co Eje mówi. Faraon Echnaton musi umrzeć, aby Egipt można było uratować. Nie ma żadnego innego wyjścia.

Znów zachichotałem przykrywając dłonią usta, a uspokoiwszy się powiedziałem:

– Jako lekarz nie mogę otworzyć mu czaszki, bo nie mam po temu dostatecznych powodów i wiązą mnie tu moje zawodowe obowiązki. Bądźcie jednak spokojni, jako przyjaciel przyrzadzę mu dobre lekarstwo. Gdy się go napije, uśnie i nie zbudzi się więcej, a ja zwiążę się w ten sposób z wami i nigdy nie będziecie się musieli bać, że będę o was źle mówił.

To powiedziawszy wyjąłem zgrabne naczynko, otrzymane niegdyś od Hrihora, i domieszałem leku do wina w złotym pucharze, a napój ten nie miał nieprzyjemnego zapachu. Wziąłem puchar do ręki i wszyscy trzej udaliśmy się do komnaty faraona Echnatona. Zdjął z głowy korony i odłożywszy bicz i pastorał spoczywał na swym posłaniu, twarz miał szarą i krwią nabiegłe oczy. Eje podszedł, by ciekawie dotknąć

koron i zważyć w dłoni złoty bicz, po czym rzekł:

– Faraonie Echnatonie, twój przyjaciel Sinuhe przygotował dla ciebie dobre lekarstwo. Wypij je, a wyzdrowiejesz i jutro będziemy mogli na nowo pomówić o wszystkich tych smutnych sprawach.

Faraon usiadł na posłaniu, wziął puchar do ręki i powiódł po nas oczyma po kolei, a jego zmęczone spojrzenie przeniknęło mnie tak, że wszystko się we mnie zatrzęsło od siły jego wzroku. A potem przemówił do mnie:

– Nad chorym zwierzęciem litują się zadając mu cios pałką. Czy litujesz się nade mną, Sinuhe? Jeśli tak, dziękuję ci za to, bo smak mego zawodu jest bardziej gorzki niż śmierć, a śmierć jest mi dziś miłsza niż zapach mirry.

Wypij, faraonie Echnatonie – powiedziałem. – Wypij za twego Atona!

Także Horemheb odezwał się:

– Wypij, Echnatonie, mój przyjacielu. Wypij, żeby można było uratować Egipt. Moim naramiennikiem przykryję twoją słabość, jak to już raz zrobiłem na pustyni, koło Teb.

Faraon przechylił puchar do ust, ale dłoń tak mu się trzęsła, że wino rozlało się po brodzie. Wtedy chwycił puchar oburącz i wypił go do dna, po czym wyciągnął się znów na posłaniu opierając kark o podpórkę. Długo patrzyliśmy na niego wszyscy trzej, a on nie powiedział do nas nic więcej, tylko mętnymi, krwią nabiegłymi oczyma wpatrywał się w swoje wizje. Po pewnym czasie ciało jego zaczęło drżeć, jak gdyby marzył. Wtedy Horemheb zdjął z siebie naramiennik i rozpostarł go na nim, a Eje chwycił korony i próbował oburącz wcisnąć je sobie na głowę.

Tak umarł faraon Echnaton i to ja podałem mu śmierć do wypicia, on zaś wziął ją z mojej dłoni. Ale dlaczego tak zrobiłem, nie wiem, bo człowiek nie zna własnego serca. Nie zdaje mi się jednak, żebym to zrobił dla Egiptu, raczej z powodu Merit i małego Tota, który był moim synem. I zrobiłem to nie tyle z miłości do niego, ile z nienawiści i goryczy wywołanej złem, do którego doprowadził. Ale przede wszystkim z całą pewnością zrobiłem to dlatego, że w gwiazdach było napisane, iż miara moja musi się wypełnić, a gdy widziałem, jak on umiera, sądziłem, że miara moja wypełniła się. Człowiek nie zna jednak własnego serca, a serce człowieka jest nienasycone, bardziej nienasycone niż krokodyl w Rzece.

Gdy umarł, opuściliśmy Złoty Dom, zakazując sługom przeszkadzać mu, bo śpi. Dopiero nazajutrz rano znaleźli jego zwłoki i podnieśli wielkie biadanie. Płacz i skargi wypełniły Złoty Dom choć sądzę, że wielu odczuło ulgę na wieść o śmierci Echnatona. Tylko królowa Nefretete stała przy marach nie uroniwszy ani łzy, a wyrazu jej twarzy

nikt nie umiał sobie wytłumaczyć. Swymi pięknymi dłońmi dotykała szczupłych palców faraona i gładziła policzki, gdy przybyłem, by zgodnie z moim obowiązkiem dopilnować przywiezienia ciała do Domu Śmierci. Dom Śmierci i Złoty Dom były bowiem jedynymi domami w Achetaton, które jeszcze żyły. Tak więc towarzyszyłem faraonowi Echnatonowi do Domu Śmierci i powierzyłem jego zwłoki obmywaczom zwłok i balsamiarzom, ażeby zachowali jego ciało na wieczność.

Teraz więc młody Sekenre był według prawa i dobrego obyczaju faraonem, on jednak nie posiadał się z rozpacy i szeroko rozwartymi oczyma rozglądał się dokoła, nie mogąc powiedzieć jednego rozsądnego słowa, bo przywykł był wszystkie myśli przejmować od faraona Echnatona. Eje i Horemheb mówili do niego i tłumaczyli mu, że jeśli chce zachować korony na swej głowie, musi śpiesznie jechać do Teb, żeby złożyć ofiary Amonowi. Ale on nie wierzył im, gdyż był jeszcze dzieckiem, które śniło z otwartymi oczami. Toteż oświadczył:

– Będę głosił jasność Atona wszystkim ludom i zbuduję świątynię ojcu memu, Echnatonowi, i będę go czcił jak boga w jego świątyni, bo nie był podobny do innych ludzi.

Opowiadano, że tenże Sekenre był tak dziecinny, iż gdy oddziały strażnicze w zwartym szyku uciekały z przeklętego miasta, on biegł za nimi płacząc i prosił, i zaklinał żołnierzy, żeby wrócili ze względu na faraona. Tłumaczył im:

– Przecież nie możecie tak zostawić waszych domów, żon i dzieci!

Ale Szardanie i Syryjczycy drwili z niego i natrząsali się, a jeden z szardańskich podoficerów obnażył członek i pokazując mu go wołał:

– Tam, gdzie jest ten przyrząd, tam są nasze domy i nasze żony, i nasze dzieci!

Tak więc dziecinny Sekenre ściągnął hańbę na swoją królewską godność, żebrząc i prosząc najemnych żołnierzy, by wrócili.

Gdy Eje i Horemheb spostrzegli, jak głupi był Sekenre, odstąpili go. I gdy następnego dnia Sekenre wybrał się z oszczepem łowić ryby w Rzece, jego łódka z sitowia przewróciła się i krokodyle pożarły ciało chłopca. Tak przynajmniej opowiadają, ale jak było naprawdę, nie wiem. Nie sądzę jednak, by Horemheb kazał go zabić, przypuszczam, że zrobił to raczej Eje, któremu śpieszyło się, by wrócić do Teb i objąć władzę.

Z kolei poszli Eje i Horemheb do małego Tuta, który jak zwykle bawił się na podłodze swojej komnaty w pogrzeb, a z nim bawiła się jego małżonka Anchsenaton. Horemheb zwrócił się do niego:

– Słuchaj, Tut, czas już, żebyś wstał z tej brudnej podłogi, bo teraz ty jesteś faraonem.

Tut podniósł się natychmiast posłusznie z podłogi, usiadł na złotym tronie i powiedział:

– Jestem faraonem? Wcale mnie to nie dziwi, bo zawsze czułem się lepszy od innych. Zupełnie słusznie więc zostałem faraonem. Moim biczem będę karać złoczyńców, a pastorałem prowadzić będę jako pasterz ludzi dobrych i bogobojnych.

Na co Eje rzekł:

– Nie pleć bzdur. Będziesz robić wszystko tak, jak ci powiem, i nie waż mi się szemrać z tego powodu. Przede wszystkim urządzimy uroczysty wjazd do Teb, gdzie pokłonisz się przed Amonem w jego wielkiej świątyni i złożysz Amonowi ofiary, a kapłani namaszczą cię i włożą ci na głowę białą i czerwoną koronę. Zrozumiałeś?

Tut zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

– Czy jeśli pojadę do Teb, zbudują tam dla mnie taki grobowiec, jak dla wszystkich wielkich faraonów? I czy kapłani napełnią mój grób zabawkami i złotymi tronami, i wspaniałymi łożami? Bo grobowce w Achetaton są ciasne i ponure, a ja chcę mieć w moim grobie nie tylko malowidła na ścianach, ale i prawdziwe zabawki. A także mój wspaniały niebieski nóż, który dostałem od Hetytów, chcę zabrać z sobą do grobu.

– Naturalnie, że kapłani zbudują ci piękny grobowiec – zapewnił go Eje. – Rozsądny z ciebie chłopiec, Tut, że przede wszystkim myślisz o grobowcu godnym faraona. Mądrzejszy nawet, niż sam przypuszczasz. Tutanchaton nie spodoba się kapłanom Amona, niech więc imię twoje będzie od dziś Tutanchamon.

Tut wcale się temu nie sprzeciwiał, chciał tylko nauczyć się pisać swoje nowe imię, nie znał bowiem znaków, którymi pisało się imię Amona. Tak to po raz pierwszy w Achetaton napisane zostało imię Amona.

Gdy Nefretete zobaczyła, że Tutanchamon został faraonem, a o niej zupełnie zapomniano, odziała się w najpiękniejsze szaty, kazała sobie namaścić włosy i ciało pachnącymi maściami, choć była wdową w żałobie, poszła na okręt Horemheba, i powiedziała do niego:

– To przecież śmieszne, by nieletni chłopiec został faraonem, a mój przeklęty ojciec Eje odbierał mi z rąk jego wychowanie i rządził Egiptem w jego imieniu, choć to ja jestem pierwszą królewską małżonką i królewską matką. Mężczyźni wciąż jeszcze patrzą na mnie poządliwym wzrokiem i nazywają mnie piękną kobietą. Nazywano mnie nawet najpiękniejszą kobietą Egiptu, choć to oczywiście przesada. Przyjrzyj mi się więc, Horemhebie, choć żałoba przygasiła moje oczy i pochylili grzbiet. Przypatrz mi się, Horemhebie, bo czas jest drogi. Oszczepcy są po twojej stronie i wspólnie moglibyśmy może uradzić to i owo z wielkim pożytkiem dla Egiptu. Mówię ci tak otwarcie o tym

wszystkim, bo chcę tylko dobra Egiptu, a wiem, że mój ojciec, ten przeklęty Eje, to człowiek chciwy i głupi, który wyrządzi Egiptowi wiele szkody.

Horemheb patrzył na nią, a ona rozwarła przed nim szaty, skarżąc się na gorąco w kajucie. Nic bowiem nie wiedziała o tajemnym układzie Horemheba i Eje, a jeśli nawet jako kobieta domyślała się, że Horemheb pożąda Baketamon, sądziła, że swoją pięknnością łatwo pokona niedoświadczoną i hardą księżniczkę i zajmie jej miejsce w sercu Horemheba. Gdyż przywykła do odnoszenia w Złotym Domu łatwych zwycięstw przez to, że pozwalała obcym kalać łożę faraona.

Uroda jej nie wywarła jednak żadnego wrażenia na Horemhebie, który patrzył na nią zimno i rzekł:

– Już aż nadto dałem się wciągnąć w błoto w tym przeklętym mieście i nie mam ochoty jeszcze bardziej upaść się z tobą, piękna Nefretete. Ponadto zaś muszę dyktować moim pisarzom listy w sprawach wojny, tak że nie zdążę zabawić się z tobą.

Wszystko to opowiedział mi Horemheb później i pewnie trochę przesadził, ale sądzę, że taki musiał być istotnie sens tego, co powiedział, bo od tego dnia Nefretete sztraszliwie nienawidziła Horemheba. Robiła też wszystko, żeby mu zaszkodzić i oczernić go, a w Tebach zaprzyjaźniła się z księżniczką Baketamon, z wielką dla Horemheba szkodą, jak o tym później opowiem. Ale Horemheb nie chciał płwać na zwłoki Echnatona, bo jakkolwiek to się może wydać dziwne, Horemheb wciąż jeszcze kochał faraona, choć kazał usunąć jego imię i jego podobiznę z wszystkich napisów i posągów i zburzył świątynię Atona w Tebach. Jako dowód na to muszę wyjawić, że to właśnie Horemheb kazał swoim zaufanym przenieść zwłoki Echnatona z jego grobu w Achetaton i ukryć je potajemnie w grobie jego matki, w Tebach, ażeby ciało faraona nie wpadło w ręce kapłanów. Kapłani bowiem chcieli spalić zwłoki Echnatona i rozsypać jego popioły na Rzece, by skazać jego Ka na wieczne błąkanie się po czeluściach państwa umarłych, lecz Horemheb temu zapobiegł. Wszystko to stało się jednak znacznie później.

ROZDZIAŁ 6

Gdy tylko Eje uzyskał zgodę Tutanchamona, natychmiast kazał przygotować statki. Cały dwór wsiadł na nie i opuścił miasto Achetaton, tak że nie zostało tam ani jedno żywe stworzenie z wyjątkiem obmywaczy trupów i balsamiarzy z Domu Śmierci, którzy balsamowali ciało faraona Echnatona, żeby zachować je na wieczność i złożyć w grobie, wykutym ongiś z jego polecenia w górach na wschodzie. Tak to uciekli ostatni mieszkańcy z Miasta Niebiańskiego, a uciekali tak śpiesznie, że nikt się nawet nie obejrzał. W Złotym Domu zostawiono na stołach naczynia z resztkami nie dokończonego posiłku, a zabawki Tuta pozostały rozrzucone na podłodze, by na wieki

udawać orszak pogrzebowy.

Pustynny wiatr wyrывał okiennice z okien i deszcz piasku padał na podłogi, gdzie lśniące kaczkę latały w wiecznie zielonych sitowiacz, a kolorowe rybki pływały w chłodnej wodzie. Pustynia wracała do ogrodów Achetaton, rybne sadzawki wysychały, rowy nawadniające zamulały się, a drzewa owocowe umierały. Na ścianach domów wietrzała gliniana polepa, dachy zapadały się i miasto Achetaton przemieniało się w ruiny, gdzie szakale czekały w pustych komnatach i słały sobie gniazda na miękkich łozach pod lśniącymi baldachimami. Tak umarło miasto Achetaton, a śmierć jego była równie szybka, jak szybko wola faraona Echnatona tchnęła w nie życie i wzniosła je na pustyni.

Ludność Teb wydawała radosne okrzyki na cześć Amona i na cześć nowego faraona, choć był on jeszcze dzieckiem. Tak głupie jest bowiem serce człowieka, że pokłada zawsze nadzieje i ufność w przyszłości, nie wyciągając nauki z błędów i omyłek i wyobrażając sobie, że dzień jutrzejszy będzie lepszy od tego, który jest. Toteż lud wypełnił trawniki po obu stronach Alei Baranów i plac przed świątynią, i wszystkie podwórce i witał nowego faraona okrzykami radości, i sypał kwiaty na jego drodze. A gdy ktoś nie wznosił okrzyków, lecz stał milcząc ponuro, żołnierze Eje i Horemheba uczyli go oszczepami, komu zawdzięcza swój spokój.

Lecz w porcie i w dzielnicy biedoty wciąż jeszcze tliło się w ruinach i unosił się ciepki, gryzący dym, a Rzeka cuchnęła od krwi i obfitości trupów. Na dachach świątyni wyciągały kracząc krwawe szyje kruki i sępy tak syte, że nie miały nawet siły unieść się do lotu, a krokodyle w Rzece tak były obżarte, że nie zadawały sobie nawet trudu, by bić ogonami, lecz leżały jak kłody na brzegu, przeciągając się z otwartymi paszczami, i pozwalały małym ptaszkom czyścić sobie zęby i wybierać z nich resztki straszliwej strawy. Tu i ówdzie w ruinach i między wypalonymi domami snuły się wystraszone kobiety i dzieci, grzebiąc w gruzach na miejscu swoich dawnych domostw w poszukiwaniu domowych naczyń. A dzieci wymordowanych niewolników i tragarzy szły za wozami bojowymi faraona, by szukać nie strawionych ziaren zboża w odchodach faraonowych koni, bo w Tebach panował wielki głód. Ja, Sinuhe, chodziłem po nabrzeżach, które wciąż jeszcze cuchnęły zakrzepłą krwią, oglądałem puste kosze i nie załadowane statki, a kroki moje zawiodły mnie do ruin „Ogona Krokodyla”, bo myślałem o Merit i o małym Tocie, którzy umarli z powodu Atona i z powodu szaleństwa mojego serca.

Kroki moje zaprowadziły mnie do ruin „Ogona Krokodyla” i myślałem o Merit, która mówiła do mnie: „Może jestem tylko powłoczka na twoją samotność, jeśli nie

jestem twoją zużytą matą”. Myślałem też o małym Tocie, który był moim synem, choć ja o tym nie wiedziałem. Widziałem go przed sobą, jego członki i policzki były po chłopięcemu wątle i obejmował mnie ramieniem za szyję, przytulając swój policzek do mojego. Z cierpkim zapachem dymu w nozdrzach brodziłem w portowym pyłe, mając wciąż przed oczyma przebite oszczepem ciało Merit i maleńkiego Tota z rozbitym do krwi noskiem, z miękkimi chłopięcymi włosami klejącymi się od krwi. Miałem ten obraz w duszy i myślałem, że śmierć faraona Echnatona była bardzo lekka. Myślałem, że na świecie nie ma nic niebezpieczniejszego i bardziej okropnego niż marzenia faraonów; ponieważ sięją one krew i śmierć i tylko krokodyle karmią. Tak myślałem wędrując po opustoszałym porcie, a z dala, od świątynnego placu, niosły się radosne okrzyki ludu. Przytłumione, dochodziły do moich uszu okrzyki, którymi ludzie witali faraona Tutanchamona, wyobrażając sobie, że ten zakłopotany chłopak, który marzył tylko o pięknym grobowcu, zdoła wypenić bezprawie i przywrócić spokój i dobrobyt w kraju Kem.

Tak wędrowałem, dokąd wiodły mnie stopy, i wiedziałem, że znowu jestem sam i że krew moja w Tocie połała się na próżno i nigdy już nie powróci. Nie żywiłem żadnej nadziei na nieśmiertelność czy życie wieczne, śmierć wydawała mi się podobna do wypoczynku, do snu, wydawała mi się ciepłym promieniującym z miski żaru w chłodną noc. Bóg faraona Echnatona pozbawił mnie wszelkiej nadziei i całej radości i wiedziałem już, że wszyscy bogowie mieszkają w ciemnych domach i że z domów tych nie ma żadnego powrotu. Faraon Echnaton poniósł śmierć z mojej ręki, ale to mi nie dało żadnego zadośćuczynienia. Wraz ze śmiercią wypił on miłosierne zapomnienie. Ja jednak żyłem i nie mogłem zapomnieć. Toteż gorycz żarła mi serce jak soda i odczuwałem niechęć do wszystkich ludzi i do tego tłumu, który jak trzoda bydła ryczał przed świątynią, równie głupi i naiwny jak przedtem, jak gdyby ciężkie doświadczenia niczego go nie nauczyły.

Port, cały w ruinach, pusty był pustką śmierci, lecz ze stosu koszów wyłoniła się jakaś ludzka postać i wypełzła mi na spotkanie, wlokąc się na rękach i kolanach. Był to mały, chudy mężczyzna, którego członki powykrzywiały się ze złego odżywiania jeszcze w dzieciństwie. Zwilżył usta czarniawym językiem i wpatrując się we mnie dzikim wzrokiem wyczarzał:

– Czyś ty nie Sinuhe, lekarz królewski, który opatrywał rany biedaków w imię Atona? – Zaśmiał się strasznym głosem, podniósł się z ziemi i wskazując na mnie palcem ciągnął: – Czyś ty nie Sinuhe, który dzielił między ludzi chleb i mówił: „To chleb Atona. Bierzcie i jedzcie w imię Atona”? Jeśli tak jest, daj mi na wszystkich bogów podziemia

kawałek chleba, bo od wielu dni kryję się przed oczyma strażników i nie śmiem nawet udać się do Rzeki, by napić się wody. Na wszystkich bogów podziemia, daj mi kawałek chleba, bo ślina wyschła mi już w ustach, a w żołądku aż ssie mnie od czczości.

Lecz ja nie miałem chleba, by mu dać, i on też wcale tego nie oczekiwał, podszedł do mnie tylko, by mnie wydrwić i wylać na mnie własne rozgoryczenie. Powiedział:

– Miałem chatkę, a choć była to nędzna lepianka, cuchnąca zepsutą rybą, to jednak była to moja chata. Miałem żonę, a choć była brzydka, wynędzniała i chuda, to jednak była to moja żona. Miałem dzieci, a choć cierpiały w moich oczach głód, to jednak były to moje dzieci. Gdzie jest teraz moja chata, gdzie jest moja żona i gdzie są moje dzieci? Twój bóg zabrał mi je, Sinuhe! Aton, niszczyciel wszystkiego, zabrał je, został mi teraz tylko gnój w rękach. Wcale mnie to nawet nie smuci, bo niedługo umrę.

Usiadł przede mną na ziemi, gniotąc pięściami wydęty brzuch i wpatrując się przed siebie dzikimi oczyma, i wyszeptał:

– Sinuhe, a może jednak nasza zabawa warta była takiej ceny, bo choć umrę, a moi towarzysze już umarli, to może pamięć o nas żyć będzie w ustach ludu? Pamięć o nas zostanie może w sercach tych, którzy pracują rękami, na których grzbiety spadają baty? Oni będą pamiętać o nas jeszcze wtedy, gdy twój Aton dawno już będzie zapomniany, a imię twojego przeklętego faraona usunięte będzie ze wszystkich napisów. Może niejasna pamięć o nas zostanie w duszach ludu, a dzieci ssać będą wiadomość o nas wraz z gorzkim mlekiem swoich matek i uczyć się będą z naszych błędów. Wtedy wiedzieć będą już od urodzenia to, czego my musieliśmy się dopiero nauczyć. Będą wiedzieć, że nie ma różnicy między człowiekiem a człowiekiem i że skóra bogaczy i możnych łatwo pęka, gdy ciąć ją nożem, i że krew jest krwią bez względu na to, czy płynie z serca głodnego, czy nasyconego. Będą wiedzieć, że niewolnicy i biedacy nie powinni ufać ani faraonom, ani królewskim lekarzom, ani prawom, ani słowom możnych, lecz tylko sile swoich pięści, i że sami powinni ustanawiać swoje prawa. Ten, kto nie będzie z nimi, będzie przeciw nim, i w tym nie ma żadnego zmiłowania ani żadnej różnicy między ludźmi. W sercu moim bowiem nawet ty, Sinuhe, nie byłeś z nami. Dlatego byłeś przeciw nam, choć dawałeś nam chleb i w zawyżonych słowach mówiłeś nam o faraonie Echnatonie. Wszyscy bogowie są tacy sami i wszyscy faraonowie są tacy sami, i wszyscy możni są tacy sami, choć nie przyznają tego. Mówię ci to ja, Meti, czyściciel ryby, i nie żałuję moich słów, bo niedługo umrę, ciało moje rzucą do Rzeki i już mnie nie będzie. Cos jednak ze mnie zostanie na ziemi. Żyć będę jako niepokój w sercach niewolników i tajemny żar w ich oczach i jako cierpkość mleka wychudłych matek, gdy karmić będą swoje wynędzniałe niemowlęta. Ja, Meti, czyściciel ryby, zatruję moim

kwasem wszystko, aż wszystko skwaśnieje i wypieczone zostanie ostatnie wielkie ciasto.

Wpatrywał się we mnie płonącymi od gorączki oczyma i ścisnął mi kolana chropawymi od blizn rękoma. Wtedy padłem w prochu przed nim i podniósłszy ręce do góry zawołałem:

– Meti, czyścicielu ryby, widzę, że ukrywasz nóż w twoich łachmanach. Zabij mnie więc, skoro twoim zdaniem jestem winien. Zabij mnie, Meti, czyścicielu ryby, bo dość już mam sennych majaków i nic mnie już nie cieszy. Zabij mnie, jeśli przez to możesz odzyskać spokój ducha. Bo żadnej innej przysługi nie mogę ci już oddać.

Wyjął nóż do czyszczenia ryb zza pasa i próbując go na pokrytej bliznami dłoni patrzył na mnie, aż oczy mu zmętniały, i odrzuciwszy nóż rzekł:

– Na nic nie przyda się zabijanie, teraz to rozumiem. Nic się nie zyskuje zabijając, bo nóż uderza ślepo zarówno w winnych jak i w niewinnych. Nie, Sinuhe, zapomnij o moich słowach i wybac mi moją złość, bo wbijając nóż w drugiego człowieka człowiek wbija nóż w swojego brata. Być może, my biedacy i niewolnicy, wiedzieliśmy to w głębi serc i dlatego nie mogliśmy zabijać. I to może my w końcu zwyciężyliśmy, a ci, którzy nas pozabijali, nie zwyciężyli, lecz przegrali, i zabijając innych zgubili siebie samych. Sinuhe, mój bracie, może przyjdzie dzień, gdy człowiek patrzeć będzie na człowieka jak na brata i przestanie zabijać. Póki ten dzień nie nadejdzie, niech mój płacz będzie dziedzictwem dla innych braci, gdy umrę. Niech płacz czyściciela ryb, Meti, wkradnie się do snów biedaków i niewolników, gdy już umrę. Niech przy moim płaczu matki usypiają do snu swoje chude niemowlęta. Niech płacz mój łka w huku młyńskich kamieni przez wszystkie czasy, tak by każdy, kto go sercem usłyszy, widział dokoła siebie tylko braci.

Poklepał mnie po policzkach pokiereszowaną dłonią i łyzy gorące polały się z jego oczu na moje ręce, a otaczający go ostry odór czyściciela ryb wypełnił moje nozdrza, i Meti powiedział:

– Idź teraz, Sinuhe, mój bracie, żeby nie znaleźli cię tu strażnicy i żebyś nie ucierpiał przeze mnie. Idź, lecz niech mój płacz towarzyszy ci na każdym kroku, dopóki nie otworzą ci się oczy, byś widział to, co ja teraz widzę, tak by moje łyzy stały się dla ciebie wkrótce cenniejsze niż perły i drogie kamienie. W tej chwili bowiem nie płacę sam, lecz płacze we mnie ród pokonanych i zniewolonych wszystkich czasów i epok. Moje łyzy są łzami milionów, świat robi się od nich starszy i poorany łzami. Woda, która płynie w Rzece, to łyzy tych, którzy żyli przed nami, a woda, która spływa z deszczem na ziemię w obcych krajach, to łyzy tych, którzy po nas przyjdą na świat. I gdy to wiesz,

Sinuhe, nie jesteś już sam!

Osunął się na ziemię grzebiąc zakrzywionymi palcami w prochu nabrzeża, a łzy jego toczyły się w pyłe jak szare perły. Ale ja nie rozumiałem jego słów, choć gotów byłbym umrzeć z jego ręki, uciekłem więc, ocierając o naramiennik dłońe mokre od jego łez, a jego odór uparcie czepiał się mych nozdrzy. Potem zapomniałem o nim i poszedłem, gdzie mnie poniosły stopy, a gorycz żarła mi serce jak soda, bo własny mój smutek i samotność wydawały mi się w duszy większe niż smutek i samotność wszystkich innych ludzi. I nogi zaprowadziły mnie do ruin dawnego domu odlewacza miedzi, a po drodze wciąż spotykałem wystraszone dzieci, które kryły się na mój widok, i grzebiące w ruinach w poszukiwaniu domowych sprzętów kobiety, które zakrywały twarz, gdy mnie zobaczyły.

Dom odlewacza miedzi spłonął i jego gliniane ściany czerniały okopconymi ranami, sadzawka w ogródku wyschła, a gałęzie sykomora sterczały czarne i bezlistne. A wśród ruin ktoś zbudował szałas, pod którym widać było dzban z wodą, i wyszła mi stamtąd Muti, kulejąca, z grudami błota w siwiejących włosach, tak że cofnąłem się na jej widok, sądząc, iż mam przed sobą jej Ka. Ona jednak skłoniła się przede mną, chwiejąc się na nogach, i rzekła szyderczo:

– Błogosławiony niech będzie dzień, który sprowadza mego pana do domu!

Więcej nie zdołała powiedzieć, bo gorycz ścisnęła jej gardło tak, że usiadła na ziemi i zakryła twarz rękami, żeby mnie nie oglądać. Wyznawcy rogu zadali wiele ran jej chudemu ciału, ale rany te już się zabiłiżniły i nie mogłem już jej w niczym dopomóc, choć próbowałem ją zbadać, mimo że starała mi się w tym przeszkodzić. Zapytałem ją:

– Gdzie jest Kaptah?

A ona odparła:

– Kaptah nie żyje. Mówią, że zabili go niewolnicy, zobaczywszy, że ich zdradził i dawał wino ludziom Pepitamona.

Ale ja nie wierzyłem jej słowom, wiedziałem doskonale, że Kaptah nie mógł umrzeć, że żyć będzie zawsze, bez względu na to, co się stanie. Bardzo była rozgoryczona, widząc moje niedowierzanie, i powiedziała:

– Pewnie, łatwo ci się teraz śmiać, Sinuhe, gdy postawiłeś na swoim i zobaczyłeś triumf twójego Atona. Bo wy, mężczyźni, jesteście wszyscy tacy sami i to od was pochodzi wszystko zło na świecie. Mężczyźni nigdy nie stają się dorośli, zawsze pozostają chłopcami, obrzucają się kamieniami, biją się kijami i rozbijają sobie nosy do krwi, a ich największym pragnieniem jest sprawić smutek tym, którzy ich kochają i chcą ich dobra. Czyż nie chciałam zawsze twójego dobra, Sinuhe, i co za to dostałam w

zapłatę? Kulawą nogę i rany od rogów na ciele oraz garść zgniłego jęczmienia na kaszę. Ale nie skarzę się ze względu na siebie. Chodzi mi o Merit, była dla ciebie tak dobra, a ty świadomie doprowadziłeś ją do śmierci tak pewnie, jak gdybyś sam jej rozpruł serce nożem. Wylałam także oczy do cna z powodu małego Tota, którego kochałam jak własnego syna i dla którego piekłam miodowe ciasteczka, próbując jak się dało łagodnością poskromić jego gwałtowną naturę. Ale ciebie to wszystko nie obchodzi. Przychodzisz do mnie ogromnie zadowolony, poturbowany i z twarzą w strupach, roztraciwszy całe twoje bogactwo, żeby wypocząć pod tym dachem, który z wielkim trudem i wysiłkiem zbudowałam na ruinach twego domu, i żebym cię żywiła. Mogę się założyć o bóg wie co, że jeszcze nim zapadnie wieczór, będziesz skrzeczał, żeby ci dać piwa, a jutro rano zbijesz mnie kijem, że nie służę ci dość skwapliwie, i zapędzisz mnie do roboty, żebyś sam mógł leniuchować, bo taka jest męska natura. I wcale się nie zdziwię z tego powodu, bo już przywykłam do wszystkiego i nie będę zaskoczona niczym, co jeszcze możesz wymyślić.

Tak przemawiała do mnie i robiła mi gorzkie wyrzuty, nie dobierając słów, aż jej gderanie tak bardzo przypomniało mi dom, że stanęły mi w pamięci jak żywe Kipa i Merit i serce moje przepełniło się niewypowiedzianym smutkiem, a łzy zaczęły mi płynąć z oczu strumieniami. Gdy Muti to zobaczyła, bardzo się przestraszyła i zagadała:

– Chyba rozumiesz, Sinuhe, człeku o gorącym sercu, że nie mam nic złego na myśli mówiąc te słowa, lecz mówię to tylko dla nauki. Mam jeszcze gdzieś schowaną garść jęczmienia, który natychmiast zmielę i zgotuję ci dobrej kaszy, z suchego sitowia przygotuję ci posłanie w ruinach, a z czasem może będziesz mógł znowu zacząć wykonywać swój zawód, tak że będziemy mieli z czego żyć. Ale nie martw się o to zupełnie, bo chodzę do prania w domach bogaczy, gdzie jest teraz mnóstwo okrwawionej odzieży, i zawsze mogę w ten sposób trochę zarobić. Myślę też, że uda mi się pożyczyć dzban piwa w domu rozpusty, gdzie wojsko stoi na kwaterze, tak że będziesz mógł rozweselić sobie serce.

Słowa jej sprawiły, że zawstydziłem się moich łez. Uspokoilem się i powiedziałem:

– Nie przyszedłem tu, by ci być ciężarem, Muti. Niebawem odejdę i może długo nie wrócę, jeśli w ogóle kiedykolwiek powrócę. Dlatego chciałem przed odjazdem zobaczyć dom, w którym byłem szczęśliwy, i raz jeszcze dłonią pogładszyć chropawy pień sykomora, i dotknąć kamiennego progu mego domostwa, wytartego stopami Merit i małego Tota. I nie rób sobie z mego powodu żadnego kłopotu, Muti, twego ziarna nie będę jadł, gdyż wiem, że w Tebach panuje wielki głód. Spróbuję przysłać ci trochę złota, jeśli mi się uda, żebyś sobie mogła jakoś dawać radę podczas mojej nieobecności.

Błogosławię cię za twoje słowa, Muti, jak gdybyś była moją rodzoną matką, pocziwa bowiem z ciebie kobieta, choć nieraz słowa twoje kłują jak osy.

Muti zaczęła chlipać i wycierać nos grzbietem szorstkiej dłoni i nie pozwoliła mi odejść. Roznieciła ogień i przyrządziła mi jedzenie ze swoich skąpych zapasów, a ja musiałem jeść, żeby jej nie urazić, choć każdy kęs stawał mi w gardle. A ona przyglądała się, jak jem, trzęsła głową, pociągała nosem i mówiła:

– Jedz, Sinuhe, zjadaj uparciuchu, choć może jęczmień jest trochę zgniły, a strawa, którą przygotowałam, nieudana. Nie rozumiem, co mi się dzisiaj stało! Ledwie zdołałam rozniecić ogień i chleb mój pełen jest popiołu. Ale jedz, Sinuhe, bo dobre jedzenie leczy wszystkie troski, dobre jedzenie krzepi ciało i cieszy serce i nie ma nic lepszego niż dobre jedzenie, gdy człowiek dużo płakał i czuje się samotny. Przypuszczam, że znowu wybierasz się w podróż, by wsadzić twoją głupią głowę we wszystkie sieci i pętle, które znajdują się na twojej drodze, ale nie mogę na to nic poradzić i nie mogę ci w tym przeszkodzić. Dlatego jedz, żebyś miał siły, Sinuhe, i wróc kiedyś, a będę błogosławić dzień, w którym powrócisz, mój panie, i będę wiernie czekać na ciebie. I nie troszcz się o mnie, jeśli, jak sądzę, mało masz srebra, bo przecież wydałeś całe twoje bogactwo na chleb dla biednych i niewolników, którzy wcale cię za to nie wychwalali, lecz drwili z twojej głupoty. Nie obawiaj się o mnie, bo chociaż jestem już stara i kuleje, to jednak bardzo jestem twarda i zarobię praniem i pieczeniem na chleb, dopóki w Tebach będzie można dostać chleba, bylebyś kiedyś wrócił, mój panie.

Aż do zmierrchu siedziałem pośród ruin domu, który należał ongiś do odlewacza miedzi, a ognisko Muti paliło się samotnie w smolistej czeluści. A przecież miejsce to było jedynym domem, jaki miałem na świecie. Toteż gładziłem dłonią chropawy pień sykomora myśląc, że prawdopodobnie nigdy tu już nie wrócę, i gładziłem wytarty próg mojego domu myśląc, że z pewnością nigdy już tu nie powrócę, i dotykałem kościstej matczynej ręki Muti myśląc, że na pewno byłoby najlepiej, żebym już nigdy nie wrócił, bo zawsze tylko ściągam troski i nieszczęście na tych, którzy mnie kochają. Toteż najlepiej byłoby dla mnie, gdybym żył i umarł samotnie, tak jak samotnie przypłynąłem Rzeką w uszczelnionej łódce z sitowia w noc mego urodzenia.

Gdy zapaliły się gwiazdy i strażnicy w zrujnowanych portowych zaułkach zaczęli bić drzewcami oszczepów o tarcze, żeby wystraszyć stamtąd ludzi, pożegnałem się z Muti i odszedłem z domu odlewacza miedzi, leżącego w dzielnicy biedoty, w Tebach, by raz jeszcze powrócić do Złotego Domu faraona. A gdy szedłem do brzegu Rzeki, niebo nad Tebami znowu jarzyło się czerwienią, światło z wielkich ulic było łuną w ciemność nocy, a drażniące dźwięki muzycznych instrumentów niosły się do moich

uszu ze środka miasta, bo ta noc była nocą wstąpienia na tron faraona Tutanchamona i świętecznie obchodzono tę uroczystość w Tebach.

ROZDZIAŁ 7

Tej samej nocy kapłani w świątyni Sachmet pracowali gorliwie, wrywając trawę, która wyrosła między kamiennymi płytami podłogi, ustawiając lwiogłowy posąg na jego dawnym miejscu i odziewając go w czerwone płótno oraz zdobiąc w godła wojny i zniszczenia. Bo gdy Eje ukoronował już Tutanchamona koronami Obu Królestw, czerwoną i białą koroną, koroną lilii i koroną papirusu, rzekł do Horemheba:

– Teraz nadeszła twoja chwila, synu sokoła. Każ dąć w rogi i obwieść, że wojna się zaczęła. Niech krew jak oczyszczająca fala spłucze krainę Kem, ażeby wszystko było znowu jak dawniej i żeby lud zapomniał o fałszywym faraonie.

Następnego dnia, gdy Tutanchamon wraz z swoją królewską małżonką bawił się w Złotym Domu lalkami w orszak pogrzebowy i gdy kapłani Amona, pijani władzą, palili w wielkiej świątyni wonne kadzidło, przeklinając bez przerwy imię faraona Echnatona na wieki wieków, Horemheb kazał uderzyć w rogi na skrzyżowaniach wszystkich ulic, a miedziane wrota świątyni Sachmet otwarły się na oścież. Na czele wybranych oddziałów w świątecznym pochodzie ruszył Horemheb Aleją Baranów, żeby złożyć ofiary bogini. Dostali już swoje kapłani, bo dłuta kamieniarzy łupały kamień we wszystkich świątyniach, by na wieczne czasy usunąć przeklęte imię Echnatona z wszystkich napisów i żeby pamięć jego została zapomniana. Dostał swoje faraon Tutanchamon, bo królewscy budowniczości naradzali się już z sobą co do miejsca, w którym stanie jego grobowiec. Dostał swoje Eje, bo siedząc po prawicy faraona rządził krajem Kem i stanowiąc o podatkach, wymiarze sprawiedliwości, darach, dowodach łaski i polach faraona. Teraz przyszła kolej Horemheba i także on dostał swoje. Towarzyszyłem mu do świątyni Sachmet, bo chciał mi pokazać całą swoją moc i potęgę, gdy wreszcie osiągnął tę wojnę, nad którą pracował i dla której knuł intrygi przez całe życie.

Muszę jednak na chwałę Horemheba przyznać, że w chwili zwycięstwa pogardził wszelkim zewnętrznym przepychem i chciał wyrzucić na ludziach wrażenie prostotą swego zachowania. Pojechał do świątyni w mocnym wozie bojowym i strusie pióra nie powiewały nad głowami jego koni, a złoto nie lśniło w osiach kół. Natomiast po obu stronach wozu cięły powietrze szybko obracające się ostre kosy miedziane, a za wozem maszerowali równymi szeregami łucznicy i tupot ich bosych stóp o bruk Alei Baranów był miarowy i potężny jak huk morza o przybrzeżne skały. W czasie przemarszu Murzyni bili w bębny obciążane ludzką skórą.

W milczeniu i z cichym drżeniem patrzył lud na rosnącą postać Horemheba, sunącą

w wozie bojowym ponad głowami tłumu, i na jego oddziały lśniące od dobrobytu w czasie, gdy cały kraj cierpiał biedę. W ciszy patrzył lud na pochód Horemheba do świątyni Sachmet, jak gdyby mimo trwającego jeszcze odurzenia świątecznej nocy przeczuwał już, że jego cierpienia dopiero teraz się zaczną. Przed świątynią Horemheb wysiadł z wozu i wszedł do wnętrza, a za nim szli jego dowódcy. Kapłani zaś przyjęli ich, a twarze, ręce i szaty ich poplamione były świeżą krwią, i zaprowadzili przed posąg Sachmet odzianej w czerwoną szatę, zwilżoną krwią ofiar i ściśle przylegającą do kamiennego ciała bogini. Kamienne, ociekające krwią piersi Sachmet sterczały dumnie spod czerwonej szaty i w półmroku świątyni wydawało się, że jej lwia głowa porusza się, a oczy z drogich kamieni wpatrują się żywym spojrzeniem w Horemheba, gdy ten przed ołtarzem rozdarł rękami gorące serce ofiary, prosząc boginie o zwycięstwo. Kapłani z radosnymi okrzykami skakali wokół niego i raniąc sobie twarze nożami wołali jednym głosem:

– Wracaj jako zwycięzca, Horemhebie, synu sokoła! Wracaj jako zwycięzca, a bogini żywa zstąpi do ciebie i obejmie cię swoją nagością.

Lecz Horemheb nie dopuścił, by skoki i okrzyki kapłanów zakłóciły spokój jego ducha. Z chłodną godnością dokonał czynności przepisanych rytuałem, po czym opuścił świątynię. W czasie gdy składał ofiarę, na podwórzu i na placu przed świątynią zebrały się niezmierzone masy przerażonych ludzi, zwołanych dźwiękiem rogów. A Horemheb wyszedłszy na dwór podniósł w górę okrwawione ręce i przemówił do ludu:

– Słuchajcie mnie, wszyscy w kraju Kem, słuchajcie mnie, bom Horemheb, syn sokoła, i w moim ręku niosę zwycięstwo i nieśmiertelną sławę dla wszystkich, którzy chcą ze mną pójść na świętą wojnę. W tej chwili wozy bojowe Hetytów turkoczą w pustyni Synaju, a ich straże przednie pustoszą Dolny Kraj. Nigdy jeszcze kraina Kem nie była zagrożona takim niebezpieczeństwem jak obecnie, bo w porównaniu z Hetytami dawne panowanie Hyksosów było łagodne i miłosierne. Hetyci nadciągają, a liczba ich jest niezmierna i okrucieństwo ich jest plagą dla wszystkich ludów. Spustoszą wasze domy i wyklują wam oczy, pohańbią wasze żony i uprowadzą w niewolę wasze dzieci, by obracały młyńskie kamienie. Zboże nie wyrośnie już tam, gdzie przejadą ich wozy bojowe, a ziemia przemieni się w pustynię, gdy stratują ją kopyta ich koni. Dlatego wojna, którą ogłaszam, jest wojną świętą, bo jest to wojna o wasze życie, o bogów kraju Kem, o wasze dzieci i o wasze domy. A jeśli wszystko pójdzie dobrze, pokonawszy Hetytów odzyskamy Syrię i bogactwo powróci do kraju Kem, powróci do nas dawny dobrobyt i miara każdego wypełni się po brzegi. Już dosyć długo obcy hańbili kraj Kem, już dosyć natrzęsano się z naszej słabości i śmiano z pohańbienia naszego oręża.

Nadeszła chwila, w której przywrócę wojenną chwałę kraju Kem. Każdemu, kto pójdzie ze mną dobrowolnie, obiecuję jego miarę zboża i jego udział w łupie, a łup ten będzie tak wielki, że ci, którzy wrócą ze mną w dniu zwycięstwa, powrócą bogatsi, niż mogli to sobie wymarzyć. Ten zaś, kto nie pójdzie ze mną dobrowolnie, pójdzie pod przymusem, dźwigając na zgiętym karku żołnierskie tobołki i znosząc wstyd i szyderstwo bez prawa do udziału w łupie. Toteż wierzę i spodziewam się, że każdy mężczyzna w Egipcie, który ma w piersi męskie serce i który zdoła unieść oszczep, pójdzie ze mną dobrowolnie. Cierpimy na brak wszystkiego i głód idzie za nami trop w trop, ale po zwycięstwie przyjdą dni obfitości, a każdy, kto zginie w walce o kraj Kem, pójdzie prosto na pole zbawionych i nie będzie się musiał troszczyć o balsamowanie swego ciała, bo zaopiekują się nim bogowie Egiptu. Tylko wyteżając wszystkie siły można wszystko wygrać. Dlatego też splatajcie, kobiety Egiptu, swoje włosy na cięciwy i z radością wysyłajcie waszych mężów i synów na świętą wojnę. A wy, mężowie Egiptu, przekujcie wasze ozdoby na groty strzał i chodźcie ze mną, a dam wam wojnę, jakiej jeszcze nikt na świecie nie oglądał. Duchy wielkich faraonów wstaną, by walczyć po naszej stronie. Wszyscy bogowie Egiptu z wielkim Amonem na czele walczyć będą po naszej stronie. Wyrzucimy Hetytów z czarnego kraju, jak fala odrzuca żdźbło słomy. Odzyskamy bogactwa Syrii i zmyjemy krwią hańbę Egiptu. Słuchajcie mnie wszyscy! Horemheb, syn sokoła, zwycięzca, powiedział!

Zamilkł i opuszczył zakrwawione ręce, a jego potężna pierś dyszała z wytężenia, bo wołał bardzo głośno. A gdy skończył, uderzono w rogi i żołnierze zaczęli bić drzewcami oszczepów o tarcze i tupać o ziemię, a tu i ówdzie podniosły się w tłumie głosy, które stopniowo zamieniły się w burzę okrzyków. Wszyscy krzyczeli z radości i wyciągali ręce w górę. Ludziom krew uderzyła do głowy, tak że krzyczeli coraz głośniej, choć sądzę, że wielu nie wiedziało, dlaczego krzyczą. Horemheb uśmiechnął się i wsiadł do swego wozu bojowego. Żołnierze otworzyli mu drogę, a nieprzytomne z radości masy ludzkie po obu stronach Alei Baranów pozdrowiały go dzikimi krzykami. Wtedy zrozumiałem, że dla ludzi wielką radością jest, gdy mogą wspólnie krzyżeć, i że nie stanowi dla nich żadnej różnicy, co krzyczą, lecz krzycząc wraz z innymi każdy czuje się mocny i uważa sprawę, w imię której krzyczą, za jedynie słuszną.

Horemheb, bardzo zadowolony, z dumą wyciągał ramiona, by pozdrowiać tłumy. Potem pojechał prosto do portu i wsiadł na swój okręt wojenny, by śpiesznie odpłynąć do Memfis, bo zbyt długo zabawił w Tebach, według zaś ostatnich wiadomości Hetyci paśli już konie w Tanis. Wsiadłem wraz z nim na okręt i nikt mi nie przeszkodził zbliżyć się do niego i powiedzieć:

– Horemhebie, faraon Echnaton nie żyje, a ja nie jestem już królewskim otwieraczem czaszek, teraz jestem wolny, mogę przychodzić i odchodzić, kiedy mi się podoba, i nic mnie nie wiąże. Toteż zamierzam ci towarzyszyć i jechać z tobą na wojnę, ponieważ jest mi wszystko jedno i nic mnie już nie cieszy. Chcę bowiem zobaczyć, jakie błogosławieństwo przyniesie ta wojna, o którą się dobijasz przez całe twoje życie. Zaiste, chcę to zobaczyć, chcę też widzieć, czy twoje panowanie będzie lepsze niż Echnatona, czy też światem rządzą duchy podziemia.

Horemheb bardzo się ucieszył i odparł:

– Uważam to za dobry znak, bo nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że ty, Sinuhe, będziesz pierwszym, który zgłosi się dobrowolnie na wojnę. Nie, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał, ponieważ wiem, że bardziej kochasz wygody i miękkie łóżko niż wojenne trudy. Myślałem wprawdzie, że będziesz pilnował moich interesów w Tebach, gorliwie wykorzystując swoje stosunki w Złotym Domu, ale może tak i lepiej, bo jesteś prostoduszny i każdy łatwo może wodzić cię za nos i wmawiać ci rozmaite historie. Jeśli zaś pojedziesz ze mną, to przynajmniej będę miał przy sobie biegłego lekarza, a przypuszczam, że będę tego potrzebować. Naprawdę, Sinuhe, słusznie moi żołnierze nazwali cię Synem Dzikiego Osła, gdy razem walczyliśmy z Habirami, widocznie jesteś synem dzikiego osła, skoro nie boisz się Hetytów.

Gdy mówił to do mnie, wiosłarze odepchnęli okręt od brzegu, zanurzyli wiosła w wodzie i popłynęliśmy w dół Rzeki z rozwiniętymi proporcami. Nabrzeża tebańskie czerniły się od ludzi i ryk tłumu huczał jak burza w naszych uszach. Horemheb głęboko odetchnął, uśmiechnął się i rzekł:

– Jak widzisz, moja mowa zrobiła wrażenie na ludziach. Ale chodźmy do mnie, bo muszę obmyć ręce z tej boskiej krwi.

Poszedłem za nim do jego kajuty głównodowodzącego, a on wypędził za drzwi pisarzy i zmył krew z rąk, po czym obwąchał je i rzekł zimno:

– Na Seta i wszystkie demony, nie przypuszczałem, że kapłani Sachmet wciąż jeszcze składają ofiary z ludzi. Ale starszankowie widocznie bardzo się podniecili, boć wrota świątyni Sachmet nie otwierały się od czterdziestu lat. Dziwiłem się, gdy zażądali ode mnie na tę ceremonię jeńców hetyckich i syryjskich, uczyniłem jednak zadość im żądaniom. – Na te słowa przejęła mnie taka zgroza, że kolana ugięły się pode mną, lecz Horemheb ciągnął obojętnie: – Gdybym znał powód, chyba bym na to nie pozwolił. I możesz mi wierzyć, Sinuhe, że byłem zaskoczony, gdy przed ołtarzem wciśnięto mi do rąk krwawe i gorące ludzkie serce. To dlatego tak mi się śpieszyło, żeby obmyć ręce, ale jeśli Sachmet nakłoni to do życzliwości dla naszego oręża, nie warto tego żałować.

Naprawdę bowiem potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką mogę uzyskać, a nawet jeszcze więcej, choć kilka dobrze wykutych i zahartowanych oszczepów byłoby może lepszą i pewniejszą pomocą niż błogosławieństwo Sachmet. Dajmy jednak kapłanom to, na czym im zależy, a będziemy mieli spokój z ich strony.

Znowu zaczął chełpić się swoją mową do ludu. Miał nadzieję, że i ja będę chwalił jego krasomówstwo, ale odparłem, że przemówienie, które wygłosił do swoich żołnierzy w Jerozolimie, bardziej mi się podobało niż dzisiejsze. Poczuli się tym bardzo dotknięty i oświadczył:

– To dwie różne rzeczy mówić do ludu, a mówić do żołnierzy. Jeszcze mnie usłyszysz przemawiającego do żołnierzy, jeśli tylko będzie na to czas. Mowa, którą wygłosiłem dziś przed świątynią Sachmet, przeznaczona była dla przyszłych pokoleń, gdyż mam podstawy do przypuszczeń, że zostanie ona wryta w kamieniu i przekazana przyszłym czasom. W takich wypadkach trzeba inaczej dobierać słowa, niż gdy się mówi do żołnierzy przed bitwą, i trzeba wplatać do mowy wiele pięknych i wielkich zwrotów, które jak kadzidło idą ludowi do głowy i zaślepiają oczy, tak że to, co czarne, wydaje się ludziom białe.

– Horemhebie – zapytałem – czy nie ma dla ciebie nic świętego?

Zastanowił się przez chwilę i powiedział:

– Wielki wódz i władca powinien przenikać każde słowo i obraz i musi sam umieć używać słów i opisów jak broni w swej ręce. Przyznaję, Sinuhe, że to bardzo przykre i że to życia nie ułatwia, ale świadomość, że się swoją wolą panuje nad ludźmi i skłania do wykonywania wielkich czynów, może niekiedy zastąpić inne radości. Gdy byłem młodszy, ufałem mojemu oszczepowi i mojemu sokołowi. Teraz ufam mojej woli i wiem, że wola moja jest moim losem. Ale wyniszcza mnie ona tak, jak szlifierski kamień ściera nóż. Toteż nie mam chwili spokoju we dnie ani w nocy, na jawie ani we śnie i gdy chcę przez chwilę odpocząć, nie znajduję inne go wyjścia, jak upić się do nieprzytomności. Gdy byłem młodszy, wierzyłem w przyjaźń, sądziłem także, że kocham pewną kobietę, której pogarda i opór przyprawiały mnie o szaleństwo. Dziś jednak wiem, że nikt i nic nie stanowi dla mnie celu samo w sobie, lecz że każdy człowiek jest dla mnie tylko środkiem do celu i nawet ta kobieta jest dla mnie teraz tylko środkiem do celu. Ja, Horemheb, jestem ośrodkiem wszystkiego, ze mnie wychodzi wszystko i do mnie wszystko powraca. Ja jestem Egiptem i ludem. I dlatego, gdy czynię znowu Egipt wielkim i potężnym, czynię wielkim i potężnym siebie samego.

Jego słowa mogły może wywrzeć wrażenie na kimś innym, kto go nie znał, ja jednak pamiętałem go jako chełpliwego młodzieńca, a w Hetnestsut widziałem jego

rodziców, którzy śmierdzieli serem i oborą, mimo że ich podniósł z gnoju i zrobił ludźmi możnymi. Toteż nie mogłem go brać poważnie, choć mówiąc te słowa starał się wyraźnie wyrosnąć w moich oczach na boga. Ukryłem jednak przed nim swoje myśli i zacząłem mu opowiadać o Baketamon, która czuła się wielce urażona, że nie otrzymała – jej zdaniem – dostatecznie godnego miejsca w uroczystym pochodzie Tutanchamona. Horemheb słuchał mnie chciwie i częstował winem, ażebym opowiadał mu więcej o księżniczce. Tak więc przy winie płynęliśmy w dół Rzeki, do Memfis, podczas gdy wozy bojowe Hetytów pustoszyły Dolne Królestwo.

KSIĘGA CZTERNASTA ŚWIĘTA WOJNA

ROZDZIAŁ I

Podczas gdy Horemheb ściągał wojska i sprzęt bojowy do Memfis, wezwał do siebie wszystkich bogaczy Egiptu i przemówił do nich tak:

– Jesteście wszyscy bogaczami, ja zaś jestem tylko pastuchem urodzonym w gnoju. Ale Amon pobłogosławił mnie, a faraon powierzył mi prowadzenie wojny, wróg zaś, który zagraża krajowi, jest okrutny i straszny, jak o tym doskonale wiecie. Z wielką radością słyszałem was pompatycznie oświadczających, że wojna wymaga ofiar od każdego, twierdzących, że dlatego właśnie obniżyliście miarę zboża swoim niewolnikom i chłopom oraz podwyższyliście ceny na wszystkie towary w całym Egipcie. Z waszych uczynków i słów wnioskuję, że i wy sami stosownie do swego stanowiska gotowi jesteście do wielkich ofiar. To dobrze i bardzo mnie to cieszy, bo żeby uzyskać środki na prowadzenie wojny, na żołąd dla wojska i na budowanie wozów bojowych, i na wiele innych rzeczy, na których się nie znacie, postanowiłem pożyczyć od was część waszej własności. W tym celu zasięgnąłem ze spisów podatkowych informacji o waszym stanie majątkowym. Ale nie zadowolilem się wyłącznie tym, kazałem dostarczyć sobie także i innych informacji i, jak mi się zdaje, wiem wszystko o waszych bogactwach, nawet tych, które udało wam się ukryć przed poborcami za czasów fałszywego faraona. Teraz

jednak panuje prawdziwy faraon w imię Amona i nie potrzebujecie już nic ukrywać, możecie otwarcie i z dumą poczynić ofiary na prowadzenie wojny. Toteż każdy z was pożyczycy mi bezzwłocznie połowę swego majątku. Jest mi zupełnie obojętne, czy dacie mi tę część w złocie, srebrze czy zbożu, w bydle, koniach czy wozach, byleście to zrobili szybko.

Gdy egipcjscy bogacze to usłyszeli, wybuchnęli głośnymi skargami, zaczęli rozdzierać szaty i wołać:

– Fałszywy faraon już nas doprowadził do nędzy, już nam prawie nic nie zostało, a wiadomości, które o nas zebrałeś, są kłamliwe. Jaką porękę nam dasz, jeśli pożyczymy ci połowę majątku, i jaki zamierzasz nam płacić procent?

Horemheb popatrzył na nich życzliwie i rzekł:

– Moją poręką jest zwycięstwo, które postaram się możliwie najszybciej osiągnąć z waszą pomocą, drodzy przyjaciele. Jeśli bowiem nie zwyciężę, przyjdą Hetyci i obdadzą was ze wszystkiego. Moja poręka wydaje mi się więc zupełnie wystarczająca. Co zaś do procentów, to zamierzam się w tej sprawie ugodzić z każdym z osobna i mam nadzieję, że moje warunki spodobać się każdemu z was. Ale zbyt wcześnie zaczęliście narzekać, jeszcze nie skończyłem mówić. Bezzwłocznie żądam zatem połowy waszego majątku jako pożyczki, tylko jako pożyczki, moi złoci! Po upływie czterech miesięcy znowu pożyczycie mi połowę tego, co jeszcze będziecie mieli, a po roku połowę tego, co wam wtedy pozostanie. Sami potraficie obliczyć najlepiej, ile będziecie mogli zatrzymać dla siebie, ale jestem pewny, że dość tego będzie, żeby napęłnić wasze garnki do końca życia. Wcale was więc w ten sposób nie ograbiam.

Wtedy bogacze biadając padli mu do stóp, gorzko płacząc tłukli czołami o podłogę i wołali, że chętniej oddaliby się Hetytom. Na co Horemheb z udanym zmieszaniem:

– Jeśli tak, to oczywiście postąpię według waszej woli! Ale sądzę, że moi żołnierze, którzy ryzykują na wojnie zdrowie i życie, będą ogromnie rozżłoszczeni, gdy się dowiedzą, że nie chcecie ponieść żadnych ofiar na rzecz wojny. Prawdę mówiąc zdaje mi się, że już teraz czekają oni za wszystkimi drzwiami, mając w pogotowiu postronki, żeby was związać, zaprowadzić na statki i oddać w ręce Hetytów, jeśli sami tego chcecie. Aż mnie mdli, gdy o tym pomyślę, i wcale nie rozumiem, jaką radość będziecie wtedy mieli ze swego majątku, który zostanie przecież tutaj i który obejmę ja, podczas gdy wy z wyłupionymi oczyma będziecie obracać kamienie młyńskie u Hetytów. Ale skoro chcecie tego sami, najlepiej będzie oznajmić żołnierzom waszą wolę.

Wtedy bogacze zakrzyknęli ze strachu i obejmując go rękami za kolana zgodzili się na wszystko, czego żądał, gorzko go przy tym przeklinając. Lecz on cieszył się ich

słowami:

– Wezwałem was do siebie, ponieważ wiedziałem, że kochacie Egipt i gotowi jesteście do wielkich ofiar dla Egiptu. Jesteście też najbogatszymi ludźmi w Egipcie, a każdy z was dorobił się majątku własną głową. Toteż jestem pewien, że wnet znowu będziecie bogaci, bo bogacz staje się wciąż jeszcze bogatszy, nawet gdy czasem wydusić z niego nadmiar soku. Wy, moi złoci, jesteście moim cennym ogrodem, który ogromnie kocham. Jeśli nawet czasem ściskam was w garści jak jabłko granatu, tak że pestki tryskają mi między palcami, to jednak jako dobry ogrodnik nie chcę uszkodzić drzewa, które rodzi owoce, lecz zadawałam się tym, że od czasu do czasu zbieram plon. Powinniście też pamiętać, że daję wam wielką wojnę, większą, niż mogliście sobie wymarzyć, i że w czasie wojny człowiek bogaty staje się wciąż jeszcze bogatszy, i to tym bogatszy, im dłużej trwa wojna, i nie potrafi temu przeszkodzić żadna moc na świecie ani nawet poborcy podatkowi faraona. Toteż raczej powinniście mi być wdzięczni za to, co dla was robię, ja zaś daję wam moje pełne błogosławieństwo odsyłając was do domów. Idźcie więc w spokoju i znowu pilnie obrabujcie w tłuściz jak spalone robactwo, bo nikt temu nie może przeszkodzić. I nie mam też nic przeciwko temu, żebyście mi czasem przysyłali dary prócz tego, czego od was wymagam, bo powinniście pamiętać, że zamierzam odzyskać Syrię, a wiecie dobrze, co to oznacza dla Egiptu, a szczególnie dla was samych, jeśli będę o was życzliwie pamiętał, gdy ją zdobędę. Narzekajcie więc, jeśli chcecie i jeśli wam to sprawia ulgę, bo chętnie słucham waszych biadań, gdyż mają one w moich uszach dźwięk złota.

Z tymi słowami odprawił bogaczy, oni zaś poszli jęcząc i biadając oraz drąc szaty na sobie, ale gdy tylko znaleźli się za drzwiami, przestali jęczeć i zaczęli gorliwie obliczać swoje straty i planować, w jaki sposób je sobie powetują. A Horemheb powiedział do mnie:

– Dałem im wojnę w podarunku i od tej chwili mogą oskarżać Hetytów o wszystko zło, które dzieje się, gdy bogacze ograbiają lud, tak samo jak faraon może na Hetytów zrzucać winę za głód i nędzę, które wojna ściąga na kraj Kem. W ostatnim bowiem rozrachunku lud naturalnie będzie musiał zapłacić za wszystko, bogacze zaś wyduszą z ludu wielokrotnie więcej, niż mi pożyczą. Niedługo będę mógł ich znowu przycisnąć tak, że popłynie tłuszczyk. Taka metoda bardziej mi odpowiada niż nakładanie wojennych podatków, bo gdybym ściągał z ludu podatki na wojnę, lud przeklinałby moje imię, kiedy jednak zdzieram z bogaczy, by pokryć koszty wojny, lud błogosławi moje imię i zwie mnie sprawiedliwym. A ja muszę pilnie dbać o swoją sławę ze względu na wysokie stanowisko, do którego zmierzam.

Tymczasem kraj w delcie Rzeki stał w płomieniach wojny, a hetyckie zagony paliły wie i karmiły konie zbożem na pniu. Do Memfis przybywały tłumy uchodźców, którzy opowiadali przeraźliwe historie o hetyckim szale niszczenia, tak że strach przepelniał mi serce, a członki zaczynały drżeć, gdy tego słuchałem, i zaklinałem Horemheba, żeby się śpieszył. On jednak uśmiechał się spokojnie i mówił:

– Egipt musi najpierw zakosztować Hetytów, ażeby ludzie jasno zdali sobie sprawę, że nie ma gorszego losu niż niewola u Hetytów. Byłbym szaleńcem, gdybym wyruszał w drogę z nie wyćwiczonymi wojskami i bez wozów bojowych. Nie niepokój się jednak, Sinuhe. Gaza jest wciąż jeszcze nasza. Gaza to kamień węgielny, na którym opieram tę wojnę. Hetyci nie osmielą się wyruszyć ze swymi siłami głównymi na pustynię, dopóki Gaza nie znajdzie się w ich rękach, gdyż nie mają panowania na morzu. Mam też ludzi na pustyni, by trzymać w szachu rabusiów i bandy, i wcale nie jestem taki bezczynny, jak ci się zdaje, choć w twojej niecierpliwości obwiniasz mnie o to. Jakieś szczególnie wielkie niebezpieczeństwo nie grozi bowiem Egipcjom, dopóki Hetytom nie uda się przeprowadzić piechoty przez pustynię do czarnego kraju. Ich sztuka wojenna opiera się na użyciu wozów bojowych, ale w czarnym kraju wozom bojowym utrudniają poruszenia kanały nawadniające i Hetyci muszą trwonić czas na to, żeby pokonując przeszkody jeździć z jednego miejsca na drugie, niszczyć nie mające żadnego znaczenia wioski i tratować pola. Im mniej zboża będzie w kraju, tym chętniej wstępować będą egipcscy mężowie pod lwie ogony, gdyż każdy wie, że tam dostanie pełną miarkę zboża i oliwy.

Z wszystkich stron Egiptu przybywali też istotnie do Memfis mężczyźni. Głodni mężczyźni i mężczyźni, którzy z powodu Atona stracili domy i rodziny i nie dbali już o życie, a także mężczyźni, którzy pragnęli łupu i przygody. Nie dbając, co powiedzą na to kapłani, Horemheb ułaskawiał tych, którzy brali udział w zbudowaniu królestwa Atona, i uwalniał więźniów z kamieniołomów, by brać ich do wojska. Tak więc Memfis zaczęło niebawem przypominać wielki wojskowy obóz i życie zrobiło się tam niespokojne, a w domach rozpusty i w piwiarniach dochodziło co wieczór do bójk, w których goście zadawali sobie rany. Spokojni mieszkańcy zamykali się w swoich domach i żyli w strachu i bojaźni. W warsztatach i kuźniach słychać było nieustanny huk i szcęk młotów, gdyż kowale kuli groty strzał i ostrza oszczepów. A tak wielka była nienawiść do Hetytów, że nawet ubogie kobiety oddawały swoje ozdoby, by je przekuto na broń.

Z wysp na morzu i z Krety przychodziły wciąż jeszcze statki do Egiptu, a Horemheb z powodu wojny kupował je przemocą i brał na swój żołądź żeglarzy i kapitanów. Nawet

kreteńskie okręty wojenne zajmował i zmuszał ich załogi do służby Egipcjom, bo okręty te, rozsiane po morzu, pływały z portu do portu nie chcąc wracać na Kretę i nie wiedząc, co się tam dzieje. Opowiadano mianowicie, że na Krecie wybuchło powstanie niewolników i że miasto możnych na płaskowyżu przez całe tygodnie płonęło jak pochodnia widoczna daleko na morzu. Nikt jednak nie wiedział nic pewnego o wydarzeniach na Krecie, a kreteńscy żeglarze zgodnie z kreteńskim obyczajem kłamali tak, że nie wierzono ich opowiadaniom. Niektórzy twierdzili, że na Kretę napadli Hetyci, lecz jak to mogło się stać, skoro Hetyci nie byli ludem żeglarskim, przekracza moją możliwość zrozumienia. Inni znów opowiadali, że z północy przyszedł na statkach przez morze jakiś nieznany jasnoskóry lud, by zniszczyć i splądrować Kretę, i że lud ten pokonał kreteńską flotę, gdyż większa jej część była na morzu, by pilnować morskich dróg wiodących do wybrzeży Syrii. Wszyscy jednak Kreteńczycy zgodnie twierdzili, że powodem katastrofy było to, iż bóg Krety nie żył. Toteż Kreteńczycy chętnie szli na służbę egipską, choć okręty, które udały się do Syrii, poszły na żołąd Aziru i Hetytów.

W każdym razie Horemheb miał z tego wielkie korzyści, bo na morzu panował zupełny chaos i wszyscy walczyli przeciw wszystkim, by zdobywać dla siebie okręty. Również i w Tyrze wybuchło powstanie przeciw Aziru, a powstańcy, którzy zdołali uratować życie, zbiegli morzem do Egiptu i wstąpili na służbę Horemheba. Tak więc Horemheb mógł zebrać flotę i postawić ją na stopie wojennej z pomocą doświadczonych załóg, ale nawet w przybliżeniu nie próbuję wyliczyć, ile to wszystko kosztowało, bo budowanie i uzbrajanie okrętów jest droższe i pochłania więcej pieniędzy niż wszelka wojna na lądzie.

Tymczasem Gaza opierała się wciąż jeszcze wrogom w Syrii, a gdy zebrano plon i Rzeka zaczęła wzbierać, Horemheb wyruszył ze swymi wojskami z Memfis. Zarówno drogą lądową jak i morską posyłał, poprzez pierścień oblegających, posłańców do gazy. Statek, który pod osłoną nocy zdołał się przedrzeć do portu w Gazie z ładunkiem zboża, przywoził też posłanie Horemheba: „Gazo, trzymaj się! Gazo, trzymaj się za wszelką cenę!”. Gdy tarany biły o bramy Gazy, a dachy budynków w mieście płonęły, tak że nikt nie nadążał z ich gaszeniem, strzała świszcząca przynosiła naraz posłanie: „Horemheb rozkazuje: Gazo, trzymaj się!”. A gdy Hetyci w zamkniętych glinianych dzbanach przrzucali przez mury jadowite węże, zdarzało się, że pęknięty dzban zawierał zboże i posłanie Horemheba: „Gazo, trzymaj się!”. W jaki sposób gaza potrafiła wytrzymać oblężenie połączonych sił Aziru i Hetytów, to więcej, niż mogę zrozumieć, lecz gniewny komendant twierdzy, który widział, jak z wielką hańbą wciągano mnie w koszu na mury, zasługiwał z pewnością na sławę, jaką sobie zdobył utrzymując Gazę dla Egiptu.

Gdy rzeka zaczęła wzbierać, Horemheb wyruszył z Memfis, kazał swoim wojskom szybko maszerować w kierunku Tanis i zamknął oddział hetyckich wozów bojowych w zakręcie Rzeki, gdzie Hetyci paśli konie w przekonaniu, że Rzeką chroni ich z trzech stron. Ale pod osłoną nocnej ciemności wojska Horemheba pogłębiły wyschnięte w czasie letniej spiekoty kanały nawadniające, a wzbierająca Rzeką wypełniła je. I rankiem Hetyci spostrzegli, że są zamknięci na pagórku, otoczonym ze wszystkich stron wodą, tak że ich wozy bojowe były całkiem bezużyteczne. Gdy to stwierdzili, zaczęli niszczyć wozy i zabijać konie, co wprawilo w wielką wściekłość Horemheba, który dokonał tego wszystkiego li tylko po to, by dostać nie uszkodzone wozy i konie w swoje ręce. Toteż kazał trąbić do natarcia i uderzył na Hetytów, a nie wyćwiczone oddziały egipskie z łatwością pokonały i pozabijały Hetytów, gdy wysiedli ze swych wozów i zmuszeni byli walczyć pieszo. Tak to Horemheb zdobył setkę wozów bojowych i ponad dwieście koni i spiesznie kazał wymalować na wozach znaki egipskie oraz napiętnować konie piętnem egipskich koni bojowych. Więcej jednak niż łup znaczyło zwycięstwo, bo od tej chwili Egipcjanie nie uważali już, że Hetyci są nie do pokonania.

Po bitwie Horemheb zebrał wszystkie wozy bojowe i konie i na ich czele pomknął do Tanis, kazał powolnym oddziałom piechoty i karawanom taborów ciągnąć za sobą. Dziki ogień płonął w jego twarzy, gdy mówił do mnie: – Jeśli już raz decydujesz się atakować, atakuj pierwszy i uderzaj mocno! – Toteż pomknął do Tanis ze swoimi wozami bojowymi, nie troszcząc się o hordy hetyckie, które grasowały w Dolnym Kraju, a z Tanis poleciał dalej prościutko na pustynię i rozbił hetyckie oddziały wartownicze pilnujące składów dzbanów z wodą, zdobywając jeden skład po drugim. Hetyci bowiem zmagazynowali na pustyni tysiące i setki tysięcy dzbanów z wodą dla swojej piechoty, ponieważ nie będąc ludem żeglarskim nie wazyli się na próbę wtargnięcia do Egiptu drogą morską. Nie szcędząc koni pędził Horemheb naprzód ze swymi wojskami, tak że mnóstwo koni padło ze zmęczenia podczas tej dzikiej jazdy, ale ci, którzy widzieli go, jak nacierał, opowiadali, że setki wozów bojowych pędzących przez pustynię podnosiły tuman kurzu sięgający aż do nieba, że Horemheb leciał jak trąba powietrzna. Co nocy zapalały się nowe ogniska sygnałowe na grzbietach górskich Synaju, czego skutkiem było, że wolne bandy wychynęły ze swych kryjówek i zniszczyły hetyckie straże i składy w różnych miejscach pustyni. Tak to powstała legenda, że Horemheb gnał przez pustynię Synaj do Syrii jak chmura w dzień i jak słup ognisty w nocy. Po tej wyprawie wojennej sława jego tak urosła, że zaczęto opowiadać o nim legendy, jak się opowiada legendy o bogach. Legendy te opowiadali nie tylko Egipcjanie, ale i Syryjczycy – ci zaś mieli naprawdę powody do tego.

Horemheb zdobywał więc w Synaju jeden skład wody po drugim i zupełnie zaskoczył Hetytów, którzy, znając słabość Egiptu, nie mogli sobie wyobrazić, że odważy się on atakować na pustyni w czasie, gdy ich oddziały pustoszyły Dolny Kraj. Wojska ich nie były też skoncentrowane, lecz pozwolono im rozsypać się po miastach i wsiach Syrii w oczekiwaniu na poddanie się Gazy, ponieważ okolice Gazy i skraj pustyni nie mogły wyżywić olbrzymiej armii, którą Hetyci zebrali w Syrii, żeby zagarnąć Egipt pod swoje panowanie. Hetyci byli bowiem bardzo pedantyczni w prowadzeniu wojny i szli do natarcia dopiero będąc pewni swojej przewagi, a ich dowódcy mieli na glinianych tabliczkach oznaczone każde pastwisko i każdy wodopój, jak też każdą najmniejszą wioskę na obszarze, który zamierzali napaść. Takie przygotowania opóźniły ich natarcie i atak Horemheba zupełnie ich zaskoczył, ponieważ nigdy nikt się nie ośmielił pierwszy ich atakować i ponieważ sądzili, że Egipt nie ma dość wozów bojowych do tak wielkiego uderzenia. Toteż byli ogromnie zbici z tropu, gdy wozy bojowe Horemheba pojawiły się na skraju pustyni w Syrii, i stracili dużo czasu na szpiegowanie i próby dowiedzenia się o liczebności jego sił i o celu natarcia.

Lecz celu tego nie znał nikt prócz Horemheba, a nawet on sam nie wyznaczył go sobie jeszcze w pełni. Później opowiadał mi, że zamiarem jego było zrazu w najpomyślniejszym wypadku tylko zniszczyć hetyckie zapasy wody na pustyni, by w ten sposób przeszkodzić im w natarciu i odsunąć je o rok, a przez ten czas w spokoju móc ćwiczyć swoje oddziały i zbroić je na wielką wojnę. Niespodziewany sukces upoił go jednak, a jego woźniców wozów bojowych oślepiły łatwe zwycięstwa. Toteż popędził jak orkan prosto do Gazy, uderzył na oblegających od tyłu, rozproszył ich i zniszczył wojenne maszyny oraz podłożył ogień pod ich obóz. Ale do samej gazy nie dotarł, bo gdy oblegający zdali sobie sprawę z małej liczebności jego wozów bojowych, zwrócili się przeciw niemu, a gniewny i hardy dowódca Gazy – w ogromnym zamieszaniu, jakie tam wówczas panowało – nie chciał otworzyć bram twierdzy nawet dla niego.

Horemheb byłby zatem zgubiony, gdyby oblegający mieli do rozporządzenia wozy bojowe, ale wozy Hetytów i Aziru były podzielone na małe oddziały w Syrii, ponieważ przy oblężeniu Gazy nie były potrzebne, a oni chcieli dać koniom odpoczynek i świeżą paszę przed wielkim natarciem na Egipt. Horemhebowi udało się więc przedostać z powrotem na pustynię i zdążył tam zniszczyć składy wody na skraju pustyni w Syrii, zanim rozwścieczeni Hetyci zdołali zebrać przeciw niemu dość wozów bojowych. Jako ostrożni wojownicy nie chcieli oni ryzykować swoich cennych wozów w małych grupkach, pragnęli mieć pewność zwycięstwa, toteż zwlekali, aby zebrać przeciw Horemhebowi duże siły, choć już setka wozów mogłaby rozproszyc wojska egipskie

zmęczone bojami i długimi marszami.

Z tego powodu Horemheb zupełnie słusznie mniemał, że jego sokół mu sprzyja, i przypomniawszy sobie płonący słupek, który ongiś zobaczył na górze Synaj, posłał gońców po oszczepników i łuczników i kazał wojskom forsownymi marszami maszerować na pustynię zbudowaną przez Hetytów drogą, przy której w tysiącach i setkach tysięcy dzbanów dość było wody na zaopatrzenie nawet wielkich sił piechoty. Tak więc zamierzał on prowadzić wojnę w pustyni, mimo że pustynia była terenem wygodnym dla wozów bojowych, a główna siła Hetytów leżała właśnie w tych wozach. Nie sądzę jednak, by miał jakieś inne wyjście, bo gdy udało mu się uciec przed rozwściezonymi Hetytami z powrotem na pustynię, i on, i jego ludzie tak byli wyczerpani, iż prawdopodobnie nie zdołaliby żywi dostać się do Dolnego Kraju. A Horemheb nie chciał opuścić swoich wszarzy, lecz postanowił zostać z nimi na pustyni, i dlatego ściągnął na pustynię całą armię, co nie zdarzyło się jeszcze nigdy przedtem, bo gdy wielcy faraonowie prowadzili wojny w kraju Naharani, zawsze jesienią przewozili swoje wojska statkami do miast Syrii i dopiero stamtąd zaczęli natarcie lądem. W owych czasach jednak Syria była jeszcze pod panowaniem Egiptu, podczas gdy obecnie Horemheb miał tylko Gazę i nie rozporządzał przewagą na morzu.

Wszystko, co opowiadał o pierwszym uderzeniu Horemheba na Hetytów, wiem z jego własnych słów i z tego, co mówili jego ludzie, jako też z legend o tym natarciu, które później powstały, bo sam z nim nie byłem i pewnie bym już nie żył, gdybym był. Udziałem moim było tylko z lektyki oglądać ślady tego natarcia w pustyni, gdy forsownymi marszami zdążyłem wraz z piechotą za Horemhebem w upale, słonecznym skwarze i tumanach kurzu. I sam nie widziałem nic prócz rozsianych tu i ówdzie trupów żołnierzy, którzy powypadali z wozów bojowych i skręcili kark, i sępów pustynnych, rwących wnętrzości z czerniejących brzuchów zwłok. Nie widziałem nic prócz wyschłego padła zajeżdżonych na śmierć koni, prócz porozbijanych dzbanów, z których woda wyciekła w piasek, i trupów hetyckich wartowników, których rabusie z band grasujących na pustyni natychmiast po przemarszu Horemheba odzierali do naga, ćwiartowali i na znak zwycięstwa wbijali na pale dokoła składów wody. Toteż jest rzeczą zrozumiałą, że mogę opowiadać nie tyle o nieprzemijającej chwale i upojeniu zwycięstwem, co o cierpieniu i śmierci.

Po dwutygodniowej bardzo wyczerpującej wędrówce przez pustynię, mimo że dzięki Hetytom u kresu każdodziennego marszu dość było wody, zobaczyliśmy pewnej nocy słupek ognisty unoszący się z góry, daleko w pustyni, i wiedzieliśmy, że to Horemheb czeka tam na nas ze swymi wozami bojowymi. Owa noc w pustyni pozostała mi w

pamięci na zawsze, ponieważ czuwałem nie mogąc spać, a cały czas słup płomieni w oddali na górkim szczycie płonął, miotając dym i iskry i łuną swoją przytłumiając światło gwiazd. Po upalnych dniach nocą robi się na pustyni zimno, a żołnierze, którzy tygodniami maszerowali boso po piasku pełnym kolczastych roślin, krzyczeli i narzekali przez sen, jakby męczyły ich złe duchy. To pewnie dlatego ludzie wierzą, że pustynia pełna jest demonów. Już o świtanium uderzono w rogi i ruszyliśmy w dalszy pochód, mimo że wielu nieprzywykłych do marszu i do dźwigania ciężkich brzemion waliło się na ziemię nie mogąc się ruszyć. Lecz znaki ogniste Horemheba nawoływały nas do wielkiego pośpiechu i z wszystkich stron pustyni zbiegały się ku nim niewielkie grupki obdartych, spalonych słońcem na czarno rabusiów i ludzi z band, zezując chciwymi oczyma na nasz rynsztunek, oszczepy i sanie zaprzężone w woły. Nie mieszały się oni z nami, słuchali tylko znaków ognistych Horemheba, ale przypuszczam, że równie chętnie napadliby i ograbili nas, jak napadali Hetytów.

Kiedy zbliżyliśmy się do obozu Horemheba, zobaczyliśmy, że cały horyzont pustyni tonie w chmurze pyłu, bo Hetyci nadciągali, żeby odzyskać swoje składy wody. Ich szperacze uwijali się w pustyni małymi grupkami na wozach bojowych i napadali na nasze straże przednie, napędzając wielkiego strachu ludziom nieprzywykłym do walki z wozami bojowymi i takim, którzy w ogóle jeszcze nigdy dotąd nie walczyli oszczepem u łukiem, nigdy nie zabijali. Tak więc w naszym wojsku zapanowało wielkie zamieszanie i wielu żołnierzy rozbiegło się, uciekło w popłochu na pustynię, gdzie Hetyci przebijali ich strzelając z wozów. Na szczęście Horemheb wysłał ze swego obozu te wozy bojowe, które jeszcze zdadne były do boju, żeby nam pomogły. A tak wielki był respekt Hetytów przed Horemhebem, że zostawili nas w spokoju i cofnęli się. Może być jednak, że stało się to nie z respektu, a dlatego że dostali rozkazy, by tylko rozpoznawać i przeszkadzać nam w marszu, nie wdając się w walkę.

W każdym razie odwrót ich wywołał wielkie podniecenie wśród naszej piechoty i oszczepnicy zaczęli wołać w ślad za nimi, wymachując oszczepami, a łucznicy wypuścili bez żadnego pożytku mnóstwo strzał za cofającymi się wozami bojowymi. Wszyscy jednak ukradkiem zezowali ku horyzontowi, gdzie pył unosił się jak chmura, choć dodawali sobie nawzajem otuchy mówiąc o Horemhebie: – Nic nam nie grozi, bo jego silne ramię nas chroni. Nic nam nie grozi, bo on uderzy jak sokół na Hetytów, wyłupi im oczy i oślepi ich!

Ale jeśli sądzili, że będą mogli odpocząć, gdy dotrą do obozu Horemheba, wielce się pomylili. A jeśli myśleli, że on ich będzie chwalił za szybki marsz i za to, że pozdzierali sobie stopy do krwi w piasku pustyni, bardzo się przeliczyli. Horemheb bowiem przyjął

nas z oczyma nabiegłymi krwią ze zmęczenia i z wściekłością na twarzy i wymachując złotym biczem poplamionym krwią i kurzem wołał:

– Gdzieście się wałkonili, gnojki? Gdzieście się podziewali, nieczyste nasienie? Doprawdy, chętnie bym widział wasze czaszki bielejące w piasku już jutro, tak bardzo się za was wstydzę. Przychodźcie wlokąc się jak żółwie, a cuchniecie potem i gównem, aż muszę zatykać nozdrza, podczas gdy moi najlepsi ludzie krwawią z niezliczonych ran, a szlachetne konie zdychają dysząc z wyczerpania. Bierzcie się natychmiast do łopat, kopcie ile sił, ta robota najlepiej będzie wam odpowiadać, bo przywykliście dłubać w gnoju przez całe wasze życie. Jeśli już nie dłubaliście brudnymi paluchami w nosie lub w tyłku.

A niedoświadczeni żołnierze egipscy wcale się nie gniewali za te słowa, przeciwnie, cieszyli się nimi i powtarzali je sobie nawzajem ze śmiechem, a gdy patrzyli na Horemheba, każdy z nich miał uczucie, że znalazł ochronę przed zasadzkami straszliwej pustyni. Zapomnieli o obdartych ze skóry stopach i wyschniętych na kość językach i stosownie do wskazówek Horemheba zaczęli kopać w ziemi głębokie rowy i wbijać drewniane pale między kamienie, rozpinąć między palami postronki z sitowia i staczać, i ściągać na dół z przełęczu górskich wielkie głazy.

Zmordowani żołnierze z wozów bojowych Horemheba powyłazili ze swoich jaskiń i namiotów i przywlekli się kulejąc, żeby nowo przybyłym pokazywać rany i chełpić się swymi czynami. Nawet umierający wstawali, żeby to robić i w ten sposób dodawać odwagi kopaczom, oszczepnikom i łucznikom i wzbudzać w nich zazdrość. Rankiem bowiem, gdy ujrzeli nadciągających jak trąba powietrzna Hetytów, pewni byli wszyscy że umrą. Przybycie piechoty dodało im otuchy, zawsze jest bowiem milej zginąć w wielkiej gromadzie niż samemu. Oddziały wozów bojowych nie miały zaś już więcej jak pięciuset zdatnych do boju ludzi z tych dwóch i pół tysiąca, które wyruszyły z Horemhebem, a konie ich potykały się z wycieńczenia i zwieszały głowy, tak że pyski wlokły się im w piachu.

W ten sposób wielka część armii dotarła tego dnia w niezłamanym szyku do obozu Horemheba, a każdego nowo przybyłego Horemheb natychmiast posyłał do kopania rowów i budowania na pustyni przeszkód, którymi chciał zamknąć drogę wozom bojowym Hetytów. Na tyły zaś, do spóźniających się i wyczerpanych marszem oddziałów, słał gońców z ponagleniem, że wszyscy w ciągu nocy muszą znaleźć się w umocnionym obozie, ci bowiem, których świt następnego dnia zastanie na pustyni, zginą okrutną śmiercią z rąk Hetytów, jeśli hetyckim wozom bojowym uda się przedrzeć przez pustynne przejścia. Przybywających nikt nie liczył, Horemheb na to nie pozwolił,

nie przyniosłoby to zresztą żadnego pożytku, gdyby ktoś znał ich liczbę, która w każdym razie była mała w porównaniu z całą potęgą wojskową Hetytów.

Mimo to egipscy żołnierze wzmogli się bardzo na duchu widząc własną liczebność w sercu martwej pustyni. Ślepo też ufali Horemhebowi i wierzyli, że uratuje ich i pobije Hetytów. Budując przeszkody i przeciągając liny między palami oraz tocząc kamienie widzieli jednak nadciągające hetyckie wozy bojowe spowite w chmury pyłu i słyszeli okrzyki bojowe Hetytów. Wtedy ciarki im chodziły po skórze, rozglądali się dokoła i wielce truchleli przed wozami bojowymi i ich przeraźliwymi kosami.

Ale noc już zapadła i Hetyci nie zamierzali nacierać. Chcieli tylko rozpoznać teren przed sobą i liczebność sił Horemheba. Toteż rozbili obóz na pustyni, wyprzęgli konie, by napasy się kolczastymi krzewami, i rozniecili obozowe ogniska, tak że pustynia w nocy mieniła się światłami jak okiem sięgnąć. I przez całą noc szperacze hetyccy podjeżdżali lekkimi wozami pod przeszkody, zabijali wartowników i staczali potyczki na całym froncie, który Horemheb kazał rozciągnąć szeroko w obie strony pustyni. Na obu skrzydłach zaś, tam gdzie już nie można było zbudować przeszkód, Hetytów zmienacka napadali rabusie i ludzie z band i pod osłoną nocy ściągali ich z wozów bojowych celnymi rzutami kamieni, zabierali im wozy i konie, tak że niewielu tylko ze szperaczy, którzy zjechali z drogi wybudowanej przez Hetytów, powróciło z dalekich zwiadów w pustyni.

Noc była pełna turkotu wozów, śmiertelnych skarg, świstu strzał i szczęku oręża. Nieprzywykłe do wojny oddziały ogromnie się bały, nikt nie zmrużył oka. A Horemheb pocieszał żołnierzy mówiąc:

– Śpijcie dobrze, błotne szczury, śpijcie i odpoczywajcie, i nasmarujcie sobie poranione podeszwy oliwą, bo ja czuwam nad waszym snem i osłaniam was!

Ja jednak nie spałem, lecz całą noc chodziłem po obozie i leczyłem rany żołnierzy z wozów bojowych Horemheba, a on dodawał mi otuchy mówiąc:

– Lecz ich, Sinuhe, użyj całej twojej sztuki, bo dzielniejszych żołnierzy świat jeszcze nigdy nie oglądał i każdy z nich jest wart tyle, co stu lub nawet tysiąc tych gnojków. Lecz ich, bo bardzo kocham tych moich wszarzy. Oni umieją ujarzmić konia i trzymać wodze, ja zaś nie mam wyszkolonych ludzi, których bym mógł postawić na ich miejsce, i od tej pory każdy dopiero w boju będzie się musiał uczyć panowania nad końmi i wozami bojowymi. Toteż dam ci dzban złota za każdego, którego uleczysz tak, żeby był zdatny do boju.

Ale ja byłem ogromnie rozdrażniony uciążliwą podróżą przez pustynię, mimo że odbyłem ją siedząc w lektyce. Gardło miałem wyschnięte od gorzkiego pyłu pustyni i

wielce złościła mnie myśl, że przez głupi upór Horemheba muszę umrzeć z rąk Hetytów, choć nie bałem się śmierci. Toteż odpowiedziałem mu z gniewem:

– Zachowaj swoje złoto dla siebie lub podziel je między twoich zmizerowanych wszarzy, żeby przynajmniej na chwilę przed śmiercią poczuli się bogaci. Gdy jutro umrzemy bez wątpienia wszyscy, boś nas wprowadził w pułapkę tej straszliwej pustyni. Jeśli próbuję gorliwie uleczyć tych twoich wszarzy, to robię to tylko dla siebie samego, gdyż według mnie oni jedynie z całej armii potrafią się bić, natomiast inni, a szczególnie ci, którzy tu przyszedli ze mną, stracą głowę i jęcząc uciekną, gdy tylko zetkną się oko w oko z Hetytą. Widziałem bowiem, jak ze strachem podrywali się na chrzęst złamanej gałęzi w mroku, i słyszałem, jak wielkim głosem wzywali na pomoc wszystkich bogów Egiptu, gdy zając wyskoczył zza kamienia w pustyni i pokicał przez drogę. Bez wątpienia są oni dość dzielni, by rozbijać sobie nawzajem łby na ulicach Teb, a w wielkiej gromadzie odważyli by się może poderznąć gardło samotnemu wędrowcowi, by mu zrabować trzos, ale w pustyni są jak niewinne jagnięta, które ty prowadzisz na ubój, i idą za tobą pokornie pobekując, żeby w następnej chwili rozpierchnąć się i uciekać na oslep. Toteż tylko dla siebie samego lecę twoich wszarzy, w nadziei że dzięki jakiemuś nieprawdopodobnemu zrządzeniu ich odwaga uratuje nam życie. Najmądrzej byłoby jednak, żebyś wybrał najszybsze konie, wsiadł do najlżejszego wozu i wziął mnie z sobą. W ten sposób uszlibyśmy z życiem do Dolnego Kraju, gdzie mógłbyś zebrać nową, lepszą armię.

Horemheb tarł nos dłonią i patrząc chytrze na mnie odparł:

– Rada twoja jest warta twej mądrości, Sinuhe, i bez wątpienia dawno już byłbym według niej postąpił, gdybym był mądry. Ale ja wielce kocham tych moich wszarzy i nie mógłbym zostawić ich w pustyni na niechybną śmierć, choć z łatwością mógłbym uciec sam, zniszczywszy przedtem składy wody, co odsunęłoby wojnę do następnego roku. I doprawdy nie wiem, dlaczego nie uciekłem, bo tak zrobiłby każdy rozsądny człowiek na moim miejscu. Później zaś mógłbym zbudować moim wszarzom pomnik, wyryć ich imiona w kamieniu i w ten sposób ich uwiecznić. Ale ja tak nie zrobiłem i dlatego nie mamy teraz innej rady, jak pokonać Hetytów tu, na pustyni. Zwycięzymy ich właśnie dlatego, że nie mamy innego wyjścia. Może właśnie bardzo mądrze zrobiłem wzywając moją armię na pustynię, bo tutaj nie ma miejsca na ucieczkę, wszyscy muszą się bić o swoje życie, czy chcą, czy nie chcą. I myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdę i spocznię teraz w moim wozie i napiję się wina, tak żebym jutro był przepity, bo bardzo wtedy jestem zły i biję się lepiej niż przy trzeźwej głowie.

Poszedł do swoich wozów i widziałem, jak przechylił dzban wina do ust, i słyszałem

chlupanie wina w nocnej ciszy, dopóki znowu gdzieś w oddali nie rozległ się turkot hetyckich wozów bojowych i jęki Egipcjan, którzy krzycząc ze strachu uciekali zza przeszkód na oślep w ciemność. Ludzie przyglądali się zazdrośnie Horemhebowi, a on podawał dzban każdemu, kto przechodził obok, i kazał pić z tego dzbana, z którego pił sam. A podając dzban żołnierzom kłął i wymyślał im:

– Macie brzuchy jak worki bez dna i wysuszyście mi dzban do czysta, tak że się nawet rzetelnie nie upiję! I paskudzicie mi dzban swoimi brudnymi ryjami!

Walił ich pięścią po plecach, nazywając każdego po imieniu, i przypominał im ich czyny pod Gazą, kiedy to tak się zaplatali we własnych cuglach, że kopały ich własne konie.

Tak minęła noc i rano wstał z pustyni jak śmiertelnie blady upiór, przynosząc z sobą trupi odór i sępy. Na ziemi przed przeszkodami leżały końskie trupy i powywracane wozy bojowe, a sępy wydziobywały oczy Hetytom, którzy wypadli z wozów. Gdy rozwidniło się, Horemheb kazał zatrąbić w rogi i zebrał u stóp góry swoje wojska, by do nich przemówić.

ROZDZIAŁ 2

Podczas gdy Hetyci na całej pustyni, jak okiem sięgnąć, gasili piaskiem obozowe ogniska, siodłali konie i ostrzyli broń, Horemheb przemawiał do swoich wojsk oparty o chropawą skałę, żując równocześnie twarde chleb i zagryzając trzymaną w dłoni cebulą. Tak mówił:

– Gdy patrzycie przed siebie, oglądacie wielki cud, bo zaiste Amon oddał nam Hetytów w ręce i dokonamy dzisiaj niemałych czynów. Jak widzicie, piechota hetycka nie zdążyła jeszcze nadejść. Zatrzymała się na skraju pustyni, bo nie ma pod dostatkiem wody, a wozy bojowe muszą jej utorować drogę i zdobyć składy wody, jeśli Hetyci chcą dalej nacierać na Egipt. Już teraz jednak konie ich cierpią z pragnienia i braku paszy, bo spaliłem wszystkie składy i młotem skruszyłem wszystkie dzbany z wodą od tego miejsca aż do granic Syrii. Toteż Hetyci muszą dzisiaj otworzyć sobie drogę natarciem swoich wozów bojowych lub też muszą wrócić do Syrii, albo rozbić obóz w oczekiwaniu na nowe zapasy, nie mogąc jednak wdawać się w bój. Gdyby byli mądrzy, zaniechaliby walki i wróciliby do Syrii. Lecz oni są chciwi, a całe złoto i srebro syryjskie wpakowali w dzbany, które napełnione wodą stoją tu, za naszymi liniami, i Hetyci nie zrezygnują z tych dzbanów bez boju. Dlatego też mówię, że Amon wydał ich w nasze ręce, bo gdy na nas uderzą, konie ich zapłaczą się w przeszkodach i Hetyci nie będą mogli uderzyć całą siłą, która zwykle czyni nieodpartymi ataki wozów bojowych. A rowy, które tak pilnie kopaliście, kamienne bloki i rozpięte liny złamią ostrze ich uderzenia.

Wypluł łupkę cebuli, ugryzł znowu kęs twardego chleba i żuł go, dopóki wojska nie zaczęły tupać i wołać z wielkim zapalem, jak dzieci, które chcą dalej słuchać baśni. Wtedy Horemheb zmarszczył czoło i ciągnął:

– Na Seta i wszystkie demony, czyżby piekarze zapiekli szczurze łajno w moim chlebie, czy też to tylko z przepicia wszystko smakuje mi w ustach jak łajno? Musicie bowiem wiedzieć, moje błotne szczurki, że w nocy nie mogłem sobie tego odmówić, by się nie upić do upadłego z radości na myśl, jak to Hetyci w swojej głupocie znaleźli się w zasięgu naszych oszczepów. Najwięcej mnie jednak niepokoi, czy wy, niedołęgi, nie wypuścicie ich z rąk. Toteż muszę wam zwrócić uwagę, że te patyki, które trzymacie w rękach, to oszczepy, i że ostrza ich przeznaczone są do wypruwania Hetytom flaków z kałdunów. Łucznikom zaś chcę napomknąć, że pewnie uważają się za wielkich bohaterów, gdy każą śpiewać cięciwom i wypuszczają strzały wysoko w powietrze, pokrzykując jak dzieci: „Patrzenie, jak wysoko leci moja strzała!”. Ale to w Hetytów musicie celować! A gdybyście byli prawdziwymi żołnierzami i umieli mierzyć jak żołnierze, tobyście swoimi strzałami trafiali Hetytów w oko. Zupełnie niepotrzebnie jednak dawałbym wam takie rady, toteż wzywam was tylko, żebyście mierzyli w konie, bo konie stanowią większy cel, a wy i tak nie zdołacie trafić w człowieka stojącego w wozie. Im bliżej pozwolicie podejść koniom, tym pewniej je traficie mimo waszej niezgrabności. I radzę wam podpuścić konie bardzo blisko, bo każdego, który wypuści na marne jedną strzałę, wychłostam własnoręcznie tak, że lepiej byłoby dla niego nigdy nie urodzić się na ten świat, by być przeze mnie chłostanym. Nie możemy sobie bowiem pozwolić na zmarnowanie ani jednej strzały. Pamiętajcie, że wasze groty wykute są z napierśników egipskich kobiet i z obręczy zdobiących kostki ladacznicy, jeśli świadomość tego może was ucieszyć. Oszczepnikom w końcu chcę powiedzieć: gdy zbliżą się konie, macie oprzeć oszczepy drzewcem o ziemię i trzymając je oburącz skierować ostrze w końskie brzuchy. W ten sposób wam samym nie będzie grozić żadne niebezpieczeństwo, bo łatwo zdązycie odskoczyć na bok, zanim koń zwali się na was. Gdybyście wszakże upadli na ziemię, przecinajcie wówczas nożami końskie pęciny, bo to jedyny sposób uratowania się i zapobieżenia temu, by koła wozów przetoczyły się przez was i połamały wam kości. Tak to jest, moje błotne szczurki znad Nilu!

Powąchał z obrzydzeniem chleb trzymany w ręce, odrzucił go i podniósłszy do ust dzban wypił tęgi łyk wody, by przemóc swój pochmiel. A potem mówił dalej:

– Właściwie, to chyba całkiem niepotrzebnie do was mówię i trwonię dla was moje rady, bo gdy tylko usłyszycie okrzyki bojowe Hetytów i turkot ich wozów, i tak zaczniecie płakać i chować głowy w piasek, jako że nie macie tu matczynej zapaski, by

się pod nią schować. I na ten wypadek muszę wam powiedzieć, że jeśli hetyci przebiją się i dopadną zapasów wody, znajdujących się poza naszymi liniami, to każdy z was będzie zgubiony i martwy, jeszcze zanim zapadnie wieczór. W najlepszym razie skóra wasza zawisnie za jakiś miesiąc na ramieniu kobiet w Byblos i w Sydonie w postaci torby na zakupy, jeśli nie będziecie jęczeć na murach z połamanymi członkami lub z wylupionymi oczyma obracać w obozach Aziru młyńskich kamieni. Tak się stanie, jeśli Hetyci przełamią nasze linie, bo wtedy zostaniemy otoczeni, nie będziemy mieli żadnej drogi ucieczki i wszyscy będziemy zgubieni. Chcę jednak wskazać wam, że i teraz nie ma drogi ucieczki, gdybyśmy bowiem porzucili zbudowane przez nas zapory i zaczęli maszerować z powrotem, hetyckie wozy bojowe rozproszyłyby nas jak rzeka suchą słomę. Mówię wam to na wypadek, gdyby komuś wpadło do głowy uciekać w pustynię na łeb na szyję. Żeby się wam jednak nie pomyliło, z której strony znajdują się wrogowie, postawię za wami w odpowiedniej odległości pięciuset moich dzielnych wszarzy, aby raz mogli naśmiać się do syta, widząc was walczących, bo naprawdę dobrze sobie na ten śmiech zasłużyli. Każdego zaś, kto się pomyli co do kierunku, zabiją oni swoimi nożami lub też dokonają na nim tego malutkiego cięcia, które z najdzikszego zwierza czyni powolnego pociągowego wołu. Wiedźcie zatem, że jeśli śmierć być może majaczy przed wami, to z tyłu za wami czeka was jeszcze pewniejsza śmierć. Przed sobą macie jednak przede wszystkim widoki zwycięstwa i chwały, gdyż nie wątpię, że dziś pokonamy Hetytów, jeśli każdy zrobi, co do niego należy. Bo widzicie, moje kochane błotne szcurki, siedzimy wszyscy w tym samym saku i nie mamy innej rady, jak pokonać Hetytów, a żeby ich pokonać, nie ma innego wyjścia, jak uderzyć na nich i otworzyć im skórę rozmałą bronią, którą wam dano w ręce, i upuścić im krwi. To jedyny sposób. I dlatego ja sam pójdę z wami i będę walczył razem z wami z moim biczem w ręce. Nie będzie moją winą, jeśli bicz mój częściej będzie chłostał was niż Hetytów, lecz wszystko to będzie zależeć wyłącznie od was samych, moje dzielne błotne szcurki!

Ludzie słuchali go jak zaczarowani, nikt nawet z nogi na nogę nie przestąpił, zapomnieli nawet o Hetytach. Muszę przyznać, że zacząłem się już niepokoić, bo hetyckie wozy bojowe zbliżyły się do zapór z wszystkich stron jak daleka chmura pyłu, przypuszczam jednak, że Horemheb celowo zwlekał, żeby zarazić wojsko własnym spokojem i żeby oszczędzić mu przynębiającego wyczekiwania na atak. W końcu rzucił ze swego wysokiego miejsca spojrzenie na pustynię i podniósłszy ręce rzekł:

– Nasi przyjaciele, Hetyci, nadciągają już, za co dziękuję wszystkim bogom Egiptu, bo zaiste Amon zaślepił ich i zbyt nio są dufni w swoją siłę, a Amon jest po naszej

stronie. Idźcie zatem, błotne szczury znad Nilu, i każdy niech zajmie miejsce sobie wskazane, z którego potem nikomu nie wolno ustępować. Wy zaś, moi drodzy wszarze, idźcie za tymi zającami i ślimakami i dopilnujcie ich, i kastrujcie ich jak barany w razie potrzeby, gdyby chcieli uciekać. Mogę wam tylko powiedzieć: walczcie za bogów Egiptu, walczcie za czarny kraj, walczcie za wasze żony i dzieci! Ale to niepotrzebna gadanina, wy gotowi bylibyście wyszczać się na twarz waszym żonom, gdybyście tylko mogli uciec z życiem. Toteż mówię wam tylko: egipskie błotne szczury, walczcie za was samych, walczcie o własne życie i nie ustępujcie, bo nie ma innego ratunku. I pędźcie teraz, chłopcy, biegnijcie szybko, bo inaczej Hetyci zdążą przed wami do zapor i walka będzie skończona, zanim jeszcze zdąży się zacząć!

Rozpuścił ludzi, którzy pobiegli żywo ku zaporom, głośno krzycząc w biegu, ale czy krzyczeli z uniesienia, czy ze strachu, tego doprawdy nie umiem powiedzieć, nie sądzę też, żeby oni sami to wiedzieli. Horemheb szedł za nimi wolnym krokiem, ja natomiast siedziałem dalej na stoku góry, by przyglądać się walce z bezpiecznej odległości, ponieważ byłem lekarzem i życie moje było cenne.

Hetyci podjechali wozami bojowymi na równinę przed pagórkami i ustawili się tam w szyku bojowym. Barwne proporce i lśnienie uskrzydłonych słońc na ich wozach, proporczyki powiewające z końskich głów i kolorowe derki wełniane, chroniące końskie grzbiety przed strzałami, wszystko to tworzyło widok wspaniały i przerażający. Było oczywiste, że zamierzają skierować cały ciężar natarcia i wszystkie siły przeciw otwartemu terenowi, przez który szła droga do składów wody i który Horemheb w pośpiechu zagroził słabymi tylko zaporami. Nie myśleli zwracać się przeciw ciasnym przejściom po obu stronach między pagórkami ani też rozsypywać się szerzej w pustyni, gdzie bandy i rabusie ślaniali oba skrzydła Horemheba. Gdyby bowiem rozciągnęli się dalej w pustyni, droga do zapasów wody byłaby dla ich koni za daleka. Cierpieli bowiem na brak wody i paszy dla koni, a pokładali ufność w swojej sile i sztuce wojowania, której nie zdołał się dotychczas oprzeć żaden lud stojący na ich drodze. Ich wozy bojowe walczyły w grupach po sześć, a dziesięć grup po sześć wozów tworzyło pułk. I jak mi się zdaje, było tych pułków hetyckich sześćdziesiąt przeciw nie wyćwiczonym wojskom Horemheba, bo Hetyci był to lud dokładny i lubiący wyraźne cyfry. A środek ich frontu tworzyły ciężkie wozy bojowe, każdy zaprzężony w trzy konie i z załogą trzech ludzi. Gdy patrzyłem na te ciężkie wozy, nie mogłem zrozumieć, jak wojska Horemheba zdołają wytrzymać ich natarcie, ponieważ poruszały się one powoli i ciężko jak okręty w pustyni, miażdżąc wszystko na swojej drodze.

Hetyci zatrąbili w rogi, dowódcy ich podnieśli w górę swoje proporczyki i wozy

bojowe ruszyły nabierając coraz to większej szybkości, a gdy zbliżyły się do zapór, zobaczyłem, ku memu zdziwieniu, że pomiędzy nimi pędziły pełnym galopem konie wierzchowe, a na każdym z nich siedział żołnierz uczepony grzywy, bijąc piętami konia, by wydobyć z niego większą szybkość. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wysyłali swe zapasowe konie niczym nie osłonięte przed front, dopóki nie spostrzegłem, że jeźdźcy, zwisając z końskich grzbietów i trzymając się mocno za grzywy, schylali się aż do ziemi, by nożami i toporami przecinać liny, rozpięte między palami przy ziemi po to, by konie wozów bojowych plątały się w nich i potykały. Inne znów konie pędziły dalej prosto pomiędzy zapory, nie wdając się jednak w walkę i nie obawiając się egipskich strzał i oszczepów, a ich jeźdźcy unosili się na końskich grzbietach i rzucali oszczepy. Lecz nie ciskali ich na Egipcjan, tylko tak, by wbiły się w ziemię, a na każdym oszczepie, który utkwiał w ziemi, powiewał barwny proporczyk. Wszystko to stało się błyskawicznie szybko, szybciej nawet, niż ja to opowiadam, i nie mogłem pojąć celu, jaki w tym mieli, bo gdy poprzecinali liny i zatknęli oszczepy w ziemi, zawrócili konie i popędzili cwałem z powrotem, chroniąc się między wozy bojowe. Zatrzymali się dopiero za nimi, choć kilku jeźdźców spadło z koni, przeszytych strzałami, a wiele koni upadło i zostało na przedpolu, wijąc się i dziko kopiąc z okropnym rżeniem.

Ale gdy lekkie wozy bojowe Hetytów ruszyły do natarcia, ujrzałem dziwny widok, bo oto Horemheb, który był przy swoich oddziałach, wypadł pomiędzy zapory i popędził samotnie naprzód, naprzeciw huczącym wozom bojowym, a dobrze go mogłem rozpoznać, bo był o głowę wyższy niż niscy na ogół mężczyźni znad Nilu. Gdy to zobaczyłem, zerwałem się na równe nogi i zaciskając pięści zacząłem głośno krzyżeć, on jednak wyrwał z ziemi hetycki oszczep, na końcu którego powiewał barwny proporczyk, i odrzucił go daleko w bok, gdzie znów wbił się i drżąc utkwiał w piasku. Żołnierski rozum Horemheba był szybszy niż rozum wszystkich innych i przed wszystkimi innymi zrozumiał on znaczenie tego oszczepu z proporczykiem. Hetyci bowiem wysłali przed natarciem swoich najbardziej wytrawnych żołnierzy na wierzchowych koniach, żeby oszczepami z proporczykiem oznaczyli te miejsca, gdzie zapory były najsłabsze i gdzie przerwanie frontu mogło udać się najlepiej.

Pośród Egipcjan jeden tylko Horemheb to zrozumiał i miał na tyle przytomności umysłu, by odrzucić oszczep ze znakiem w złym kierunku dla zmylenia Hetytów. Kilku żołnierzy, którzy poszli za jego przykładem i wybiegli przed zapory, wyrwało tylko oszczepy z ziemi i powróciło do swoich z proporczykami jako znakiem zwycięstwa. Ale nawet i to przyczyniło się do zamieszania w natarciu Hetytów i sądzę, że tylko dzięki szybkiej orientacji Horemheba Egipski został owego ranka uratowany. Gdyby bowiem

Hetyci zdołali skoncentrować cały straszliwy ciężar pierwszego natarcia w punktach oznaczonych przez swoich wywiadowców, Egipcjanom z pewnością nie udałooby się ich odeprzeć.

Wtedy jednak jeszcze tego wszystkiego nie wiedziałem i bieg Horemheba przeciw nacierającym kolumnom wozów bojowych wydawał mi się bezmyślnym wybrykiem chłopca i ganiłem go za to, sądząc, że chciał tylko swoim przykładem dodać odwagi żołnierzom. Ale bez względu na to, co nim kierowało, nie ma chyba większej odwagi na świecie, jak samemu w otwartym terenie biec naprzeciw nacierającym wozom bojowym. Z pewnością jednak doświadczony bojownik może to zrobić nie narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, jeśli tylko potrafi ocenić swoją siłę i zręczność jako też szybkość nacierających wozów bojowych i zdąży wrócić między swoich, zanim wozy bojowe go zmiążdżą. Tak więc Horemhebowi nie groziło zbyt wielkie niebezpieczeństwo, lecz całe wojsko zakrzyknęło głośno na widok jego czynu i zapomniawszy o zagrożeniu sławiło go wielce za jego męstwo.

W każdym razie gdy Horemheb zdążył schronić się między swoje oddziały, lekkie wozy bojowe Hetytów docierały już także do zapór i wbijały się w nie licznymi klinami, kierując się znakami na wbitych w ziemię oszczepach. To pierwsze starcie odbywało się z tak ogromnym zgiełkiem i hałasem, a kurz unosił się tak gęsto spod końskich kopyt i kół wozów, że już nie mogłem z mego stanowiska śledzić przebiegu bitwy. Zdążyłem tylko zobaczyć, że strzały łuczników zwały kilka koni przed samymi zaporami, Hetyci jednak zręcznie wyminęli wywrócone wozy i dalej atakowali. Później spostrzegłem, że lekkie wozy bojowe w kilku miejscach przedostały się przez wszystkie zapory, choć Hetyci ponieśli przy tym wielkie straty. Wozy te nie poszły jednak dalej do natarcia, lecz zatrzymały się grupami, a część załogi wyskoczyła z nich, żeby odtoczyć na bok kamienne bloki i utorować drogę dla ciężkich wozów bojowych, które stały przed zaporami poza zasięgiem strzał i czekały na swoją kolej.

Widząc te sukcesy Hetytów, każdy doświadczony żołnierz uznałby, że wszystko stracone, ale niedoświadczone błotne szczury Horemheba widziały tylko konie wijące się w śmiertelnych mękach przed zaporami lub wpadające tu i ówdzie w doły. Widzieli, że Hetyci ponieśli ciężkie straty i zostali zatrzymani w natarciu, i sądzą, że to oni własnym męstwem i zręcznością tego dowiedli. Rycząc z zapału i ze strachu rzucili się więc z podniesionymi oszczepami na wozy, które się zatrzymały, czołgali się po ziemi z nożami w zębach, żeby przecinać pęciny koniom, ściągali z wozów woźniców, a łucznicy szyli z luków do toczących kamienie Hetytów. Horemheb pozwolił im na wszystko, a liczebna przewaga zrobiła swoje, tak więc zdobyli wiele wozów bojowych

i dysząc z podniecenia oddali je wszarżom Horemheba, ponieważ sami nie umieli ich używać i wystraszeni wisieli u końskich pysków, bojąc się wleźć na wozy, boby z nich pospadali. Horemheb wcale im też nie wyjaśnił, że walka skończy się, gdy nadejdą ciężkie wozy bojowe, lecz ufał w swoje szczęście i w głęboki rów, który kazał wykopać w środku doliny, za linią wojsk, i przykryć krzakami i chrustem. Do rowu tego nie dotarły lekkie wozy bojowe Hetytów, którzy sądzili, że minęli już wszystkie przeszkody.

Utorowawszy dostatecznie szeroką drogę do ciężkich wozów bojowych ci Hetyci, którzy pozostali przy życiu, wsiedli do wozów i śpiesznie odjechali ku swoim, co wzbudziło wielką radość u ludzi Horemheba. Sądził oni, że już zwyciężyli, i śpieszyli się z przebijaniem oszczepami koni, które powpadały w doły i połamaly sobie nogi, i zabijaniem Hetytów, którzy spadli z wozów i pełzając usiłowali schronić się między głazami. Lecz Horemheb kazał szybko dąć w rogi i z powrotem toczyć głazy na ich dawne miejsce oraz wbijać w piasek oszczepy z ostrzami skośnie skierowanymi przeciw nacierającemu. Nic innego nie dało się już bowiem zrobić. Musiał też cofnąć swoje siły na boki w miejscach, gdzie przeszkody zostały sforsowane, żeby uniknąć niepotrzebnego trwonienia ludzi, gdyż wielkie kosy ciężkich wozów bojowych, poruszające się wraz z ruchem kół, skosiłyby jego wojsko jak dojrzałe zboże.

Zrobił to w ostatniej chwili, bo ledwie zdążył upłynąć okres niepełnej miary wodnej, jeszcze nim opadły tumany pyłu w dolinie, ciężkie wozy bojowe Hetytów, kwiat i duma ich armii, z dudnieniem i szczęką nadszedły, miażdżąc wszystko przed sobą. Ciągnęły je ciężkie, duże konie, o miarę większe od koni egipskich, z głowami chronionymi przez metalowe maski z bokami osłoniętymi grubym wełnianym pancerzem. Koła samym swym ciężarem odrzucały na bok nawet cięższe kamienne bloki, a Hetyci parli prosto przed siebie, okryci tumanem pyłu. Konie ich siłą swoich piersi kruszyły zatknięte w ziemię oszczepy, tak że drzewce pękały jak suche sitowie. Wielki jęk i biadanie podniosło się w dolinie, gdy wozy Hetytów ruszyły naprzód. Usłyszawszy straszliwe wycia ludzi miażdżonych przez koła i przecinanych na pół kosami, znów poderwałem się z ziemi i rozejrzałem dokoła, lecz nigdzie nie otwierała się przede mną droga ucieczki.

Wtedy właśnie z nabrzmiałej dudnieniem chmury pyłu, wiszącej nad doliną, wynurzyły się wielkie wozy bojowe Hetytów. Ich konie w kolorowych wełnianych pancerzach kłusowały naprzód jak jakieś dziwne, nierealne potwory z długimi, spiczastymi brązowymi rogami, sterczącymi z osłaniających ich łby masek. Jedną długą kolumną parły ze szczęką naprzód i wydawało mi się, że żadna moc na świecie nie potrafi powstrzymać ich natarcia, a przed nimi nie widać było żadnych przeszkód i

Egipcjanie nie stali im na drodze do składu wody na pustyni, gdyż na rozkaz Horemheba wycofali się z doliny na zbocza wzgórz po obu jej stronach. Hetyci podnieśli głośny okrzyk i pędzili naprzód, a za nimi unosiły się kłębiące chmury pyłu i zasłaniały widok. Wtedy rzuciłem się twarzą na ziemię, płacząc gorzko nad Egiptem, nad bezbronny Dolnym Krajem i nad wszystkimi tymi, którzy muszą teraz zginąć z powodu głupiego uporu i głupich pomysłów Horemheba.

Hetyci nie dali jednak zaślepić się zwycięstwu, lecz opuścili hamulce wozów, by ryły piasek, i znowu wysłali przodem lekkie wozy bojowe na rozpoznanie. Byli to bowiem ostrożni i doświadczeni żołnierze, którzy bardzo się wystrzegali wszelkich niespodzianek, choć niezbyt wielkie mieli wyobrażenie o Egipcjanach i nie znali jeszcze egipskiej chytrności. Ale trudno zatrzymać natarcie ciężkich wozów bojowych raz wszczęte, bo olbrzymie rumaki w rozpędzie gnają bez przerwy dalej, rwą wodze i rozbijają wozy, gdy się je zbyt gwałtownie hamuje. Dlatego też woźnice uzbrojeni są w oszczepy z szerokim ostrzem, którymi w skrajnej potrzebie, gdy wóz trzeba koniecznie zatrzymać, mogą przeciąć koniom pęciny.

Tym razem jednak nie uważali, by trzeba było to zrobić, i pozwolili koniom kłusować dalej szeroką kolumną, nie przeczuwając nic złego, dopóki ziemia nagle się pod nimi nie ugięła i nie wpadli wraz ze swymi wozami do olbrzymiego rowu, wykopanego i zamaskowanego krzakami i chrustem przez błotne szczury znad Nilu. Rów ten ciągnął się przez całą szerokość doliny, ciężkie wozy bojowe wpadły doń z rozpędu i wiele dziesiątków tych wozów zważyło się tam jeden na drugi, zanim oszołomieni woźnice zdążyli zawrócić konie i skierować je w obie strony brzegiem rowu, tak że nacierająca kolumna rozdzieliła się na dwoje. Gdy usłyszałem krzyki Hetytów, oderwałem głowę od ziemi. Widok, który ujrzałem, był przerażający, po chwili jednak wszystko utonęło w kłębach pyłu.

Gdyby Hetyci byli dostatecznie opanowani i gdyby pojęli swoją porażkę, mogliby jeszcze uratować przynajmniej połowę wozów i potem zadać Egipcjanom wielką klęskę. Jadąc brzegiem rowu mogli bowiem zawrócić konie pełnym galopem i wypaść z powrotem na równinę przez przerwane zapory. Oni jednak nie rozumieli, że ponieśli klęskę, bo nie przywykli do porażek i nawet sami przed sobą nie chcieli przyznać, że mogą przegrać. Toteż nie przyszło im do głowy, by uciekać przed pozbawionymi wozów egipskich piechurami, skierowali tylko konie na strome zbocza pagórków by wozy zatrzymały się na stoku. Potem zaś odwrócili się, żeby rozpoznać teren, i wysiedli z wozów, chcąc zbadać, jak można przedostać się przez rów, a także uratować towarzyszy, którzy do tego rowu wpadli, oraz żeby przeczekać, aż chmura pyłu opadnie

i można będzie wymierzyć Egipcjanom następne uderzenie.

Ale Horemheb wcale nie myślał stać bezczynnie i czekać, aż Hetyci otrząsną się z oszołomienia, lecz kazał dąć w rogi i obwieścił wojskom, że to jego czary zatrzymały wozy bojowe Hetytów, którzy są teraz bezsilni. Potem posłał łuczników na zbocza pagórków, żeby niepokoiili Hetytów strzałami z łuków, innym zaś kazał zamiatać ziemię gałęziami i krzakami, żeby wznieść jeszcze więcej pyłu w powietrze. Potrzebne mu to było, by przeszkadzać Hetytom, ale również i po to, by własni jego ludzie nie zauważyli, jak przeraźliwie dużo hetyckich wozów bojowych było jeszcze nie uszkodzonych i zdatnych do boju. Równocześnie części swoich oddziałów wydał rozkaz, by staczały ze stoków wzgórz na dół kamienie i znowu zamknęły zapory w miejscach, gdzie zostały one przerwane, a to w tym celu, by dopełnić swego zwycięstwa i dostać hetyckie wozy bojowe całe w swoje ręce.

Tymczasem hetyckie pułki lekkich wozów bojowych rozłożyły się na równinie, żeby napoić konie, poprawić uprząż i wzmocnić popękane osie kół. Załogi ich widziały chmury pyłu unoszące się między wzgórzami i słyszały zgiełk i szcęk oręża, ale sądziły, że to ciężkie wozy hetyckie ścigają Egipcjan po całym polu i tępią ich jak szczury.

Pod osłoną chmury pyłu posłał Horemheb swoich najdzielniejszych żołnierzy do rowu, żeby przeszkadzali Hetytom w wyciąganiu towarzyszy i w zasypywaniu rowu. Resztę zaś wojsk posłał przeciw wozom bojowym, każąc żołnierzom toczyć przed sobą ciężkie kamienie i wlec głązy na zaprzężonych w woły saniach, żeby zamknąć Hetytów na ciasnej przestrzeni bez możliwości poruszania się i w miarę możliwości odciąć ich wozy od siebie. Ze zboczy pagórków potoczyły się niebawem na hetyckie wozy bojowe wielkie głązy, bo Egipcjanie zawsze byli biegli w obchodzeniu się z kamieniami, a w wojskach Horemheba było aż nadto takich, którzy nauczyli się tego w kamieniołomach.

Hetytów zaskoczyło ogromnie to, że kurz nie opadał i że nie mogli nic dokoła siebie zobaczyć, a strzały zwały ich, gdy stali w wozach starając się rozeznąć. Dowódcy spirali się z sobą, bo czegoś podobnego nigdy jeszcze nie doświadczyli, nie wiedzieli więc, jak w takim położeniu postąpić. Toteż trwonili czas na jałowe spory i wysłali kilka wozów w chmurę pyłu, by rozpoznały stanowiska Egipcjan, lecz wozy te nie powróciły, bo konie potknęły się na kamieniach, a oszczepnicy Horemheba ściągnęli woźniców na ziemię i zaatakli pałkami. W końcu dowódcy Hetytów kazali dąć w rogi, chcąc zebrać wozy i ruszyć do natarcia, by znaleźć się z powrotem na równinie i tam na nowo uszykować swoje wojska. Kiedy jednak Hetyci natarli tą samą drogą, którą przyszli, tylko w odwrotnym kierunku, nie poznali jej już. Konie potykały się na linach i wpadały w sidła, a ciężkie wozy wywracały się o kamienie, tak że w końcu musieli

zejść z koni i walczyć pieszo. Byli to ludzie mężni i doświadczeni wojownicy, więc też zabili wielu Egipcjan, nie przywykli jednak do walki pieszo, lecz zwykli byli walczyć z wozów, górując ponad innymi. Toteż zostali pokonani przez oddziały Horemheba, choć bitwa ta trwała aż do wieczora.

Pod wieczór nadleciał wiatr z pustyni i rozwiął chmury pyłu w dolinie, odsłaniając pole bitwy i straszliwą porażkę Hetytów. Gdyż stracili oni większość swoich ciężkich wozów bojowych, z których wiele nie uszkodzonych wpadło wraz z końmi w ręce Horemheba. Mimo to żołnierze Horemheba ogromnie byli przerażeni, gdy wyczerpani i podnieceni walką, odurzeni bólem z ran i wonią krwi, zobaczyli własne straty. W dolinie leżało bowiem kilkakrotnie więcej zabitych Egipcjan niż Hetytów i ci, którzy przeżyli bitwę, mówili do siebie ze zgrozą:

– Straszliwy to był dzień i dobrze, że nie widzieliśmy nic w czasie walki, bo gdybyśmy widzieli liczebność Hetytów i liczbę naszych własnych zabitych, to pewnie serce wyskoczyłoby nam gardłem i nie walczylibyśmy jak lwy, jak to robiliśmy.

Ale kiedy ostatni żyjący Hetyci, którzy jeszcze bronili się pod osłoną wozów bojowych i pozabijanych koni, zobaczyli rozmiary swojej klęski, wybuchnęli płaczem wołając:

– Nasze ciężkie wozy, kwiat i duma naszej armii, stracone! Niebo i matka ziemia nas opuściły! Ta pustynia nie jest już polem matki ziemi, lecz polem demona. Próżna jest dalsza walka i nie pozostaje nam nic, jak złożyć broń.

I wbili oszczepy w ziemię, wypuścili z rąk broń i podnieśli dłonie w górę, a Horemheb kazał ich związać postronkami, jak się wiąże jeńców. A szczury błotne znad Nilu podchodziły do nich, by się nadziwić, dotykać palcami ich ran i zdejmować z ich hełmów i odzieży znaki uskrzydłonych słońc i podwójnych toporów.

Podczas całego tego okropnego zamieszania Horemheb chodził od oddziału do oddziału, klnąc strasznymi słowy i przyjaźnie strzelając ze złotego bicza, nazywając po imieniu tych, którzy w jego oczach odznaczyli się w boju, nazywając ich swoimi dziećmi i drogimi błotnymi szczurkami. Kazał też rozdać ludziom wino i oliwę i pozwolił im obedrzeć wszystkich zabitych, zarówno Hetytów jak i Egipcjan, ażeby żołnierzom się zdawało, że zdobyli trochę łupu. Najcenniejszym łupem jednak były ciężkie wozy bojowe i ocalałe konie, które gryzły i kopały dokoła siebie w szaleństwie, dopóki nie dano im pod dostatkiem wody i paszy i dopóki ci spośród ludzi Horemheba, którzy obcy byli z końmi, nie zagadali do nich łagodnie i nie namówili do służenia Egiptowi. Bo koń jest mądrym, choć strasznym zwierzęciem i rozumie ludzką mowę. Toteż konie zgodziły się służyć Horemhebowi, otrzymawszy pod dostatkiem wody i paszy. Jak

jednak mogły one zrozumieć po egipsku, skoro przywykły słyszeć tylko niezrozumiałą mowę Hetytów, tego nie mogą pojąć. Ludzie Horemheba zapewniali mnie jednak, że konie te rozumiały wszystko, co do nich mówiono, a ja musiałem im wierzyć widząc, jak te duże i dzikie zwierzęta poddawały się opiece żołnierzy i pozwalały im zdjąć z siebie ciężkie i rozparzone pancerze wełniane.

Jeszcze tej samej nocy wysłał Horemheb gońców do rabusiów z band na pustyni, czyhających na obu skrzydłach jego wojsk, i wezwał wszystkich dzielnych mężczyzn, by zaciągali się do służby przy wozach bojowych wraz z jego wszarzami, bo ludzie z pustyni umieją się obchodzić z końmi lepiej niż Egipcjanie, którzy się koni boją. Wszyscy, którzy lubili konie, usłuchali z radością jego wezwania i bardzo się cieszyli z ciężkich wozów bojowych i wspaniałych rumaków. Tak samo cieszyły się wilki i szakale z pustyni, i sępy, które nadleciały wielkimi stadami, żeby rwać trupy, nie robiąc w tym różnic między Egipcjanami i Hetytami.

Nie było jednak wtedy czasu, by o tym wszystkim myśleć, bo miałem mnóstwo roboty z leczeniem rannych, zszywaniem ran i nastawianiem wykręconych członków oraz otwieraniem czaszek rozbitych bojowymi maczugami Hetytów. Mimo że miałem wielu pomocników, którzy obcinali członki i szyli rany, trwało jednak trzy dni i trzy noce, zanim wszystkie rany zostały opatrzone, a przez ten czas zdążyli także umrzeć ci, których rany zbyt były ciężkie, by można je było wyleczyć. Pracy tej nie mogłem bynajmniej wykonywać w spokoju, ogłuszony ustawicznym zgiełkiem bitewnym, bo Hetyci nie wierzyli jeszcze wciąż w swoją klęskę. Już następnego dnia poszli znów do natarcia lekkimi wozami, żeby odzyskać te, które utracili, i jeszcze trzeciego dnia próbowali przerwać zapory, nie śmieli bowiem wracać do Syrii, by swemu głównodowodzącemu donieść o wielkiej porażce.

Trzeciego dnia jednak Horemheb nie zadowolił się już tylko obroną, lecz kazał otworzyć zapory i wysłał w bój swoich wszarzy na zdobyczych wozach, a ci odparli i rozpedzili lekkie wozy hetyckie, z wielkimi jednak własnymi stratami, bo Hetyci byli szybsi i bardziej przywykli do walki na wozach bojowych, tak że znowu miałem mnóstwo roboty. Straty te jednak były nieuniknione, jak mówił Horemheb, bo tylko w walce mogli jego żołnierze nauczyć się obchodzić z końmi i wozami, a lepiej było ćwiczyć ich, gdy nieprzyjaciel był słabszy i porażony strachem, niż gdyby wypoczęty i dobrze uzbrojony natarł na Egipt.

– Nigdy nie zdobędziemy Syrii, jeśli nie będziemy mieli wozów bojowych, by je przeciwstawić wozom bojowym tamtej strony – mówił Horemheb. – Cała ta wojna pod osłoną zapór jest tylko dziecinną zabawką i nic tym nie zyskamy, choć przeszkadzamy

w ten sposób Hetytom w napaści na Egipt.

Żyłwił on też nadzieję, że Hetyci wyślą do walki z nim na pustynię także i piechotę, bo na pustyni, bez dostatecznych zasobów wody, byłaby dla niego łatwym łupem. Hetyci byli jednak mądrzy, nauczeni klęską zatrzymali swoje wojska w Syrii, spodziewając się ze swej strony, że Horemheb zaślepiony zwycięstwem, wyśle wojsko z pustyni do Syrii, gdzie ono znów stałoby się łatwym łupem dla wypoczętych i doświadczonych hetyckich oddziałów i wozów bojowych. Ale klęska Hetytów wzbudziła w Syrii wielki niepokój i wiele miast powstało przeciw Aziru, i zamknęło przed nim swoje bramy, mając dość jego żądzy władzy i chciwości Hetytów i spodziewając się zjednać sobie łaski Egiptu oraz marząc o jego szybkim zwycięstwie. Miasta syryjskie były bowiem zawsze z sobą skłócone, a szpiedzy Horemheba rozdmuchiwali niepokój w miastach i rozsiewali straszne i przesadzone wieści o wielkiej klęsce Hetytów na pustyni.

A Horemheb pozwalał swoim wojskom odpoczywać przy górze zwycięstwa, naradzał się ze szpiegami, knuł nowe plany i wysyłał znowu do oblężonej Gazy wszystkimi możliwymi drogami posłanie: „Gazo, trzymaj się!”. Wiedział bowiem, że Gaza nie wytrzyma już długo oblężenia, aby zaś odzyskać Syrię, musiał mieć punkt oparcia na wybrzeżu. Podczas tego oczekiwania kazał wojsku opowiadać o bogactwach Syrii i o kapłankach świątyni Isztar, które w sposób niezwykle wymyślny darzą rozkoszą dzielne wojska. Nie wiedziałem, na co czeka, dopóki pewnej nocy wygłodniały i ginący z pragnienia człowiek nie przekradł się przez zapory z tej części pustyni, która rozciągała się w stronę Syrii, nie oddał się w niewolę i nie poprosił, by pozwolono mu mówić z Horemhebem. Żołnierze szydzili z niego i z jego bezczelności, ale Horemheb go przyjął, a on stanąwszy przed Horemhebem skłonił się głęboko, opuścił dłonie do kolan, choć strój jego był syryjski, po czym zakrył dłonią jedno oko, jak gdyby go zapiekło. Gdy Horemheb to spostrzegł, rzekł:

– Patrzcie no, to chyba nie żuk kałużnik ukłuł cię w oko?

Przypadkiem byłem w jego namiocie podczas tej rozmowy i wszystko to wydało mi się pustą gadaniną, ponieważ żuk kałużnik to stworzenie niegroźne i nigdy jeszcze nikogo nie ukłuł. Ale ginący z pragnienia człowiek w syryjskim stroju odparł:

– Zaiste, to właśnie żuk kałużnik ukłuł mnie w oko, bo w Syrii jest dziesięć razy po dziesięć kałużników, a wszystkie bardzo jadowite!

Na co Horemheb:

– Witam cię dzielny mężu! Możesz mówić otwarcie, bo ten lekarz w moim namiocie to człowiek naiwny, który i tak nic nie rozumie.

Gdy szpieg to usłyszał, powiedział:

– Panie mój, Horemhebie, siano już przybyło!

Nie rzekł nic więcej, ale z jego słów domyśliłem się, że jest jednym ze szpiegów Horemheba. A Horemheb wyszedł śpiesznie z namiotu i kazał zapalić ognie sygnałowe na całym górskim paśmie. Po chwili na wszystkich górskich szczytach, od góry zwycięstwa aż do Dolnego Kraju, płonęły sygnałowe ogniska. W ten sposób Horemheb wysłał do Tanis rozkaz, by flota wyszła na morze i podpłynęła do gazy oraz wdała się w bój z flotą syryjską, jeśli nie da się uniknąć walki.

Nazajutrz Horemheb kazał dać w rogi i armia pomaszerowała przez pustynię w kierunku Syrii, a wozy bojowe jechały na przedzie jako oddziały zwiadu i oczyszczały drogę z nieprzyjaciela oraz wybierały miejsca na obozowiska dla wojska. Nie mogłem zrozumieć, jak Horemheb ważył się wdawać w walkę z Hetytami na otwartym terenie. Lecz wojsko szło za nim chętnie, marząc o bogactwach Syrii i o sutym łupie, choć mnie się zdawało, że na każdej ludzkiej twarzy widzę piętno śmierci. Niemniej wsiałem do swojej lektyki, by im towarzyszyć. Zostawiliśmy za sobą górę zwycięstwa, zostały za nami kości Hetytów i Egipcjan, żeby w dobrej zgodzie bieleć w zamkniętej zaporami dolinie.

ROZDZIAŁ 3

Opowiem teraz o wojnie w Syrii, ale niewiele mam o tym do opowiedzenia, bo nie rozumiem się na sprawach wojny i wszystkie bitwy są w moich oczach takie same, i tak samo wyglądają w moich oczach wszystkie płonące miasta i plądrowane domy, lamentujące kobiety i okaleczone zwłoki, bez względu na to, gdzie je spotkam. Toteż opowiadanie moje byłoby niezmiernie monotonne, gdybym opowiadał wszystko, co widziałem, bo wojna w Syrii trwała trzy lata i była wojną okrutną i bezlitosną, w której zginęło nader dużo ludzi, tak że wsie syryjskie opustoszały, w syryjskich ogrodach niewiele zostało owocowych drzew, a miasta syryjskie wyludniły się.

Najpierw jednak muszę opowiedzieć o chytrości Horemheba. Bez bojażni kazał on swoim wojskom przekroczyć granicę Syrii i usunąć kamienie graniczne ustawione przez Aziru. Pozwolił też żołnierzom grabić wioski i zażywać rozkoszy z syryjskimi kobietami, żeby dać im przedsmak zwycięstwa. Szedł prosto na Gazę, a gdy dla Hetytów stały się jasne jego zamiary, skoncentrowali wojska na równinie w pobliżu Gazy, żeby odciąć mu drogę i zniszczyć go, bo równina ta doskonale nadawała się do walki przy użyciu wozów bojowych, nie wątpili więc w swoje zwycięstwo. Zima jednak posunęła się już tak daleko, że Hetyci musieli karmić konie suchym sianem i paszą kupowaną od syryjskich kupców. I oto przed bitwą konie zaczęły ich chorować, chwiały się w uprzężach, a końskie odchody zrobiły się zielone i wodniste, a wiele koni

padło. Toteż Horemheb mógł walczyć z Hetytami jak z równym sobie przeciwnikiem, a przepędziwszy ich wozy bojowe łatwo rozproszył zdjęta strachem piechotę. Jego oszczepnicy i łucznicy dokończyli dzieła zaczętego przez wozy bojowe, tak że Hetyci ponieśli większą porażkę niż kiedykolwiek przedtem i na równinie zostało tyleż trupów hetyckich i syryjskich co egipskich, skutkiem czego nazwano ją Równiną Ludzkich Kości. A gdy Horemheb wtargnął do obozu Hetytów, kazał przede wszystkim podłożyć ogień pod składy z paszą, bo pasza ta była zatruta, domieszano do niej trujących roślin, które przyprawiły hetyckie konie o chorobę. Jak jednak Horemheb tego dokazał, jeszcze wtedy nie wiedziałem.

Tak więc Horemheb dotarł do Gazy i rozpedził oblegających, a Hetyci i Syryjczycy w całej południowej Syrii pierzchali przed nim do umocnionych miast i większych garnizonów. Równocześnie wpłynęła do portu w Gazie egipska flota, bardzo poturbowana, wiele okrętów wciąż jeszcze płonęło po bitwie morskiej, jaką przez dwa dni toczyły na morzu u wejścia do Gazy. Bitwa ta nie została rozstrzygnięta, bo flota egipska uciekła do portu w Gazie, a wiele okrętów porozbijało się na przeszkodach, którymi port ten był zamknięty, zanim ostrożny dowódca Gazy kazał otworzyć zapory. Ale flota hetycka i syryjska również uciekła do Tyru i Sydonu, żeby naprawić swoje uszkodzenia, a ponieważ obie strony uciekły, bitwa była nie rozstrzygnięta. Horemheb mógł jednak odtąd posyłać do Gazy statkami prowiant i wojsko, jako też uzupełniać uzbrojenie oraz odsyłać rannych i inwalidów z powrotem do Egiptu.

Dzień, w którym bramy niezdobytej Gazy otworzyły się przed Horemhebem, obchodzony jest wciąż jeszcze jako święto w całym Egipcie. Ten dzień zimowy poświęcony jest Sachmet i mali chłopcy biją się wtedy z sobą drewnianymi pałkami i oszczepami, bawiąc się w oblężenie Gazy. Nigdy chyba żadne miasto nie było bronione dzielniej niż Gaza i z pewnością dowódca Gazy zasługuje w pełni na rozgłos, który osiągnął broniąc swego miasta. Toteż wymienię tu jego imię, choć ku mojemu wielkiemu upokorzeniu widział, jak wciągano mnie sznurami na mury Gazy w koszyku. Jego imię brzmi Roju.

Jego żołnierze nazywali go Byczym Karkiem i nazwa ta moim zdaniem trafnie oddawała jego wygląd i charakter, bo bardziej upartego i podejrzliwego człowieka nie spotkałem nigdy. Po zwycięstwie musiał bowiem Horemheb przez caluśki dzień na próżno dąć w rogi pod murami Gazy, zanim wreszcie Roju uwierzył mu i kazał otworzyć bramy. I jeszcze wtedy pozwolił najpierw tylko samemu Horemhebowi wejść przez bramę, żeby się przekonać, czy to on, bo podejrzewał, że Horemheb to przebrany Syryjczyk. A gdy w końcu zrozumiał, że Horemheb pokonał Hetytów i że Gaza nie

jest już zagrożona, a oblężenie zostało przerwane, wcale nie okazywał z tego powodu nadmiernej radości, lecz był dalej tak samo gniewny jak przedtem i wcale nie przypadło mu do gustu, że Horemheb jako głównodowodzący był wyższy od niego rangą i mógł mu rozkazywać, bo przez wiele lat oblężenia przywykł być tym, który rozkazywał wszystkim.

Muszę chyba jeszcze trochę opowiedzieć o tym Roju Byczym Karku, bo był to człowiek bardzo dziwny, który przez swój upór stał się sprawcą wielu powikłań w Gazie. Myślę, że był on na wpół szalony i że miał chorą głowę, gdyby jednak taki nie był, Hetyci i wojska Aziru pewnie dawno by już zajęli Gazę. I nie przypuszczam, by mógł on mieć sukcesy na jakimś innym stanowisku, w Gazie jednak bogowie jakimś dziwnym zrządzeniem umieścili go właśnie na tym miejscu, które odpowiadało jego cechom. Pierwotnie został on tam zesłany za swoją przekorę i ustawiczną kłótniowość, ponieważ Gaza jak i inne syryjskie miasta była niewielką miejscowością bez większego znaczenia, prawdziwym miejscem zesłania, dopiero późniejsze wydarzenia uczyniły ją ważnym punktem. Ściśle biorąc, właśnie dzięki owemu Roju miasto to stało się tak ważne, gdyż nie oddał go Aziru wtedy, kiedy wszystkie inne miasta syryjskie się poddały.

Najpierw jednak opowiem o naszym przybyciu do Gazy i o tym, jak Gaza wyglądała, kiedy tam przybyliśmy. Już opowiadałem o jej murach, które były tak wysokie, że kiedy ów Roju kazał mnie wciągnąć w koszu na linie, poparzywszy mi najpierw ręce i kolana płonąca smołą, bardzo się bałem, iż skrucę kark. Te mury uratowały Gazę. Były zbudowane z olbrzymich bloków kamienia, podstawę ich wzniesiono w zamierzonych czasach, nikt już nawet nie wiedział, kto ją zbudował, choć lud przypisywał to olbrzymom. Toteż nawet Hetyci nie mogli skruszyć tych murów, ale o ich zręczności w prowadzeniu wojny świadczy to, że udało im się katapultami zburzyć część murów, podkopując się zaś pod mury pod osłoną przykrytych tarczami rowów zburzyli też jedną z wież strażniczych.

Stare miasto, które leżało wewnątrz murów, w większej części spłonęło, ani jeden dom nie miał całego dachu. Nowe miasto, położone za murami, kazał Roju Byczy Kark spalić i zniszczyć natychmiast, gdy się dowiedział o powstaniu Aziru. Zrobił to z własnej inicjatywy i tylko dlatego, że wszyscy jego doradcy sprzeciwiali się temu, a mieszkańcy miasta podnieśli wielki lament i grozili mu zemstą, jeśli każe zniszczyć ich dzielnicę. Czynem tym Roju, sam nic o tym nie wiedząc, doprowadził syryjską ludność Gazy do powstania, zanim jeszcze była ona dostatecznie zorganizowana i gotowa do walki, bo zamiarem Aziru było, żeby miasta, w których stały egipskie garnizony, wzniecały

powstania dopiero wtedy, gdy jego wojska i wozy bojowe pojawią się pod murami. Tak więc Roju własnymi siłami zdołał poskromić powstanie nie wzywając niczyjej pomocy i uśmierzył je tak krwawo oraz napędził mieszkańcom miasta takiego stracha, że już nikt więcej nie ważył się przeciw niemu buntować.

Gdy bowiem ktoś został złapany z bronią w rękę i poddał się prosząc o łaskę, Roju mówił: „Uderzcie tego człowieka pałką, urąga mi prosząc o łaskę”. Gdy znów ktoś poddał się nie prosząc o łaskę, Roju mówił: „Uderzcie tego opornego buntownika pałką w głowę, bo odważa się zadzierać nosa przede mną”. Gdy kobiety przychodziły do niego z dziećmi, żeby błagać o życie mężów i ojców, kazał je bezlitośnie zabijać mówiąc: „Zabijcie całą tę syryjską hołotę, która nie rozumie, że wola moja jest nad nimi wysoko, jak niebo nad ziemią”. Nikt więc nie zdołał trafić mu do przekonania, Roju węszył obrazę i sprzeciw w każdym słowie doń skierowanym. A gdy go ostrzegano przed faraonem, który nie pozwala na rozlew krwi, mówił: „W Gazie ja jestem faraonem!” Tak straszna była jego pycha, ale muszę przyznać, że powiedział to dopiero wtedy, gdy wojska Aziru oblegały Gazę.

Oblężenie miasta przez Aziru było jednak zaledwie dziecinną igraszką w porównaniu z okrutnym i systematycznym oblężeniem prowadzonym przez Hetytów. Hetyci bowiem rzucali dzień i noc ogień do twierdzy i do domów, ciskali do miasta jadowite węże, zamknięte w dzbanach glinianych, które pękały uderzywszy o bruk miejski, miotali do Gazy trupy i wrzucali tam i wrzucali tam związanych Egipcjan, którzy roztrzaskiwali się o mury. W Gazie niewielu już było żywych mieszkańców, gdyśmy przyszli, a z lochów pod spalonymi domami wypełzło nam na spotkanie zaledwie kilka kobiet i starców przeraźliwie wychudłych, wyglądających jak cienie. Wszystkie dzieci wymarły w Gazie, a wszyscy mężczyźni wyzionęli ducha pod biczem Roju naprawiając uszkodzenia murów. I nikt z tych, którzy przeżyli, nie okazywał radości na widok egipskiej armii wmaszerowującej przez otwarte bramy, przeciwnie, kobiety groziły nam kościstymi pięściami, a starcy nas przeklinali. Horemheb kazał rozdać między nich zboże i piwo i wielu z nich zmarło jeszcze tej samej nocy w ciężkich męczarniach, bo po raz pierwszy od miesiący mogli najeść się do syta, a ich wygłodzone żołądki nie zniosły tego. Myślę też, że w czasie oblężenia tyle się nacierpieli ze zgrozy i bezsilnej nienawiści, że nie mogli już doznawać żadnej radości życia.

Gdybym umiał, opisałbym Gazę taką, jaką ją widziałem w dniu zwycięstwa, gdy wmaszerowaliśmy do niej przez otwarte bramy. Chciałbym opisać wysuszone ludzkie głowy, wiszące na murach, i poczerniałe ludzkie czaszki, dziobane przez sępy. Chciałbym opisać grozę spalonych domów i opalone kości zwierzęce w zaułkach

zasypanych gruzem zburzonych ścian. Chciałbym oddać straszliwy odór oblężonego miasta, odór śmierci i zarazy, który sprawiał, że żołnierze Horemheba zatykali palcami nosy. Wszystko to chciałbym przedstawić, żeby dać wyobrażenie o wielkim dniu zwycięstwa, a także żeby wyjaśnić, dlaczego w głębi serca nie umiałem się cieszyć w ten upragniony dzień zwycięstwa.

Chciałbym również opisać żołnierzy Roju, Byczego Karku, którzy przeżyli oblężenie, ich chude ciała i opuchnięte kolana, ich grzbiety porane od ciosów bicia. Chciałbym oddać wyraz ich oczu, które nie przypominały już ludzkich, lecz lśniły zielonymi błyskami w cieniu murów jak ślepie dzikich zwierząt. Podnosili oszczepy w pozbawionych siły rękach, krzycząc żałosnym głosem na cześć Horemheba. Wołali do niego: „Gazo, trzymaj się! Trzymaj się, Gazo!” I nie wiem, czy robili to dla drwiny, do czego wcale nie mieli powodu, czy też dlatego, że żadna inna ludzka myśl nie znajdowała już miejsca w ich udręczonych mózgach. Nie byli oni jednak w tak żałosnym stanie jak mieszkańcy miasta, mogli jeść i pić, Horemheb kazał więc bić dla nich bydło, żeby się najedli świeżego mięsa, i rozdzielił między nich piwo i wino, które miał w nadmiarze, odkąd wojska jego splądrowali obóz Hetytów i magazyny oblegających. A oni nie czekali, aż mięso ugotuje się w kotłach, lecz rwali krwawe kawały gołymi rękami i gryźli surowe mięso, i upijali się pierwszymi łykami piwa, tak że zaczęli śpiewać nieprzyzwoite piosenki i chełpić się swoimi czynami.

A mieli wiele powodów do chełpienia się, w pierwszych dniach nikt z żołnierzy Horemheba, nawet jego weterani, wszarze, nie chcieli współzawodniczyć z nimi w przechwałkach, wszyscy bowiem wiedzieli, że załoga tej twierdzy dokonała nadludzkich czynów utrzymawszy Gazę dla Egiptu. A oni chwalili wielce Horemheba, który dał im się upić do nieprzytomności i w czasie oblężenia przysyłał im pełne otuchy posłania, a nocami poprzez łańcuchy oblegających Gazę okrętów słał do nich syryjskie ziarno w małych łódeczkach. Chwalili też wielce chytryść Horemheba, bo gdy już zboże się skończyło i żołnierze polowali na szczury, żeby mieć coś do jedzenia, na twierdzę zaczął padać deszcz glinianych dzbanów zawierających zboże. Hetyci sami rzucali na Gazę zamknięte dzbany ze zbożem, a prócz zboża w każdym dzbanie przychodziło posłanie Horemheba: „Gazo, trzymaj się!” Te nadprzyrodzone wydarzenia dodawały im otuchy w niedoli, tak że uważali Horemheba za człowieka równego bogom.

Każdemu z ocalałych obrońców Gazy Horemheb dał złoty łańcuch, co wcale nie było zbyt wielkim wydatkiem, bo nie więcej jak dwustu zdatnych do boju ludzi ocalało. Toteż był to istny cud, że zdołali utrzymać gazę. Horemheb dał im też syryjskie kobiety, wzięte do niewoli w obozie Hetytów, żeby zażyli z nimi rozkoszy i zapomnieli

o przebytych cierpieniach, lecz okrutnie wyposzczeni i żałośni żołnierze z gazy nie mogli już zażywać rozkoszy z kobietami. Kłuli je tylko oszczepami, rznęli nożami i rozkoszowali się ich jękami na sposób hetycki. W czasie oblężenia nauczyli się bowiem od Hetytów wielu nowych obyczajów, jak na przykład odzierania jeńców żywcem ze skóry i wieszania ich skór na murach. Sami jednak mówili, że kłują te syryjskie kobiety nożami dlatego, że są to Syryjki, i dodawali:

– Nie pokazujcie nam żadnych Syryjczyków na oczy, bo gdy widzimy Syryjczyka, rzucamy mu się do gardła i dusimy go gołymi rękami!

Rojemu Byczemu Karkowi dał Horemheb naszyjnik z zielonych kamieni w złocie i emalii i złoty bicz i kazał wojsku wznosić okrzyki na jego cześć, aż mury Gazy trzęsły się w posadach, a wszyscy krzyczeli z wielkim i szczerym podziwem dla Roju, który otrzymał Gazę. Gdy umilkły okrzyki, Roju dotknął nieufnie palcami nowego naszyjnika i zapytał:

– Czy mnie bierzesz za konia, Horemhebie, skoro zdobisz mnie złotą uprzężą, i czy ten bicz spleciony jest z litego złota czy też tylko z syryjskiej mieszanki? – I dodał: – Wyprowadź swoich ludzi z miasta, bo ich mrowie bardzo mi przeszkadza, nocami nie mogę zasnąć w mojej wieży z powodu zgiełku, jaki robią, choć przedtem spałem dobrze przy huku taranów o mury i przy trzasku pożarów. Wyprowadź stąd swoich ludzi, bo w Gazie ja jestem faraonem i gdy się rozgniewam, każę moim napaść na twoich i pozabijać ich, jeśli nie przestaną hałasować i przeszkadzać mi we śnie.

Okazało się, że Roju Byczy Kark rzeczywiście nie może spać nocami, od czasu kiedy ustało oblężenie, i że nie pomagają mu nawet usypiające leki i nawet wino nie sprowadza nań snu, bo gdy się napił wina, spał jeszcze gorzej. Leżał na swoim posłaniu i wertował w myślach inwentarze zapasów twierdzy, które znał na pamięć, próbując sobie przypomnieć i ustalić, na co każdy przedmiot został zużytkowany. Usiłował przypomnieć sobie każdy wyrzucony oszczep i próbował odtworzyć w pamięci najrozmaitsze inne głupstwa, aż w końcu wcale już nie mógł spać. Przyszedł więc pokornie do Horemheba i powiedział:

– Ty jesteś moim panem i wyższyś ode mnie rangą. Każ mnie zatem ukarać, bo mam obowiązek składać faraonowi sprawozdanie ze wszystkiego, co mi powierzył, a nie mogę już tego wykonać. Spisy moje spłonęły, gdy Hetyci rzucili płonące garnki do mojej izby, a pamięć moja nie może już odtworzyć wszystkiego, bo bardzo jest osłabiona od czuwania i kiepskiego snu. Zdaje mi się, że wszystko inne sobie przypominam, ale w magazynach powinno być jeszcze czterysta podogoni dla osłów, a ja nie mogę ich nigdzie znaleźć i nie mogę ich znaleźć moi pisarze, choć chłoszczę

ich codziennie tak, że już nie mogą siedzieć ani chodzić, tylko biegają po podłodze na czworakach. Horemhebie, gdzie się podziało tych czterysta oślich podogoni? Osły już ich nie potrzebują, gdyż wszystkie osły w twierdzy dawnośmy zjedli. Na Seta i wszystkie demony, Horemhebie, każ wychłostać mnie przed tłumem i ukarz mnie za te osłe podogonia, bo gniew faraona ogromnie mnie przeraża i nie ośmielę się nigdy stanąć przed jego obliczem, jeśli nie odnajdę tych podogoni dla osłów.

Horemheb próbował go uspokoić i mówił, że chętnie mu podaruje czterysta podogoni dla osłów, żeby mu się zgodziły jego księgi magazynowe i stan zapasów. Ale ta propozycja tylko jeszcze bardziej rozdrażniła Roju, który mówił:

– Wyraźnie usiłujesz nakłonić mnie do oszustwa wobec faraona, bo jeśli przyjmę od ciebie te podogonia, to wcale to nie będą to te same podogonia, które mi powierzył faraon, gdy oddawał Gazę pod moje dowództwo. Ale ty pewnie chcesz to zrobić, żeby mnie obalić i żeby móc mnie oskarżyć o oszustwo wobec faraona, ponieważ zazdrościsz mi sławy i sam chcesz zostać dowódcą w Gazie. Może nawet kazałeś swoim nieokiełznanym żołnierzom ukraść te podogonia z mojego magazynu, żeby móc oskarżyć mnie przed faraonem i wziąć Gazę pod swoje dowództwo. Toteż nie zgadzam się na twoją podstępą propozycję i nie przyjmę tych podogoni, które mi ofiarowujesz, bo utrzymam Gazę z moimi ludźmi do końca życia i do ostatniego tchu, a te czterysta podogoni dla osłów wygrzebię spod ziemi, choćbym miał po to zburzyć całą Gazę, kamień po kamieniu.

Gdy Horemheb to usłyszał, zaniepokoił się o jego rozsądek i poradził mu, żeby wyjechał do Egiptu, by odpocząć po trudach oblężenia przy żonie i dzieciach. Ale nie powinien był mu tego proponować, bo od tej chwili Roju był już zupełnie pewny, że Horemheb sięga po jego władzę i chce go pozbawić Gazy. Toteż odparł:

– Gaza jest moim Egiptem, mury Gazy są moją żoną, a wieże Gazy moimi dziećmi. Ale zaprawdę, rozpruję brzuch mojej żonie i odetnę głowy moim dzieciom, jeśli nie znajdę tych zaginionych podogoni!

Bez wiedzy Horemheba kazał stracić magazyniera, który przy jego boku wytrzymał wszystkie trudy oblężenia, i rozkazał swoim ludziom łomami i oskardami rozwalić podłogę w wieżach, żeby odszukać zaginione podogonia. Gdy Horemheb zobaczył to spustoszenie, kazał go zamknąć w jego izbie pod strażą i mnie jako lekarza zapytał o radę. Porozmawiawszy przyjaźnie z Roju, który jednak nie wierzył, że jestem jego przyjacielem, i podejrzewał raczej, iż chytrze dążę do tego, by zostać dowódcą w Gazie, powiedziałem do Horemheba:

– Ten człowiek nie uspokoi się dopóty, dopóki ty z wojskami nie wymaszerujesz z

Gazy, a on nie będzie mógł zamknąć bram twierdzy i rządzić Gazą jak faraon stosownie do swego upodobania!

Lecz Horemheb odparł mi na to:

– Jakżeż na Seta i wszystkie demony mogę to zrobić, nim z Egiptu przyjdą statki z posiłkami i prowiantem, tak że będę mógł rozpocząć wyprawę na Joppe? Do tego czasu mury Gazy są moim jedynym zabezpieczeniem i gdybym z wojskiem wyszedł poza nie, wystawiłbym na szwank wszystko, com dotychczas wygrał.

Zawahałem się przez chwilę, po czym rzekłem:

– Dla niego samego byłoby może najszczęśliwiej, gdybym mu otworzył czaszkę i w ten sposób próbował go wyleczyć. Dopóki bowiem tu zostaniesz, on będzie wielce cierpiał i trzeba go będzie trzymać przywiązanego do łoża, gdyż w innym razie może zrobić coś złego sobie albo tobie.

Lecz Horemheb nie chciał pozwolić, by otworzyć czaszkę najślawniejszemu mężowi w Egipcie, ponieważ mogłoby zaszkodzić jego opinii, gdyby Roju zmarł, ja zaś nie mogłem dać zapewnienia, że zostanie on przy życiu. Otwarcie czaszki jest bowiem zawsze operacją trudną i niepewną. Toteż Horemheb posłał mnie do Roju i z pomocą kilku silnych ludzi udało mi się przywiązać go do łoża i mogłem mu dać środki usypiające. Ale czy jego wciąż mieniły się na zielono w mroku łoża, jak u dzikiego zwierza, i rzucał się na posłaniu, z pianą na ustach mówiąc do mnie:

– Czyż nie jestem dowódcą Gazy, ty szakalu Horemheba?! Przypominam sobie teraz, że w lochach twierdzy znajduje się syryjski szpieg, którego dostałem w swoje ręce, nim przyszedł tutaj twój pan, i którego z powodu moich rozlicznych zajęć zapomniałem powiesić na murze. Szpieg ten to bardzo chytry człowiek i teraz rozumiem, że tylko on mógł skraść czterysta oślich podogoni. Przyprowadźcie go więc do mnie, żebym wydusił z niego te przekłete podogonia i znowu mógł spać spokojnie.

Bez ustanku mówił o owym syryjskim szpiegu, aż w końcu miałem tego dość, kazałem zapalić pochodnie i zszedłem na dół, do lochów twierdzy, gdzie mnóstwo nadźartych przez szczury trupów siedziało przykutych do ściany, w kajdanach. Strażnikiem więzienia był starszek, który ośleplę spędziwszy życie w lochach Gazy i który umiał poruszać się tam bez światła pochodni i znał każdy korytarz. Zapytałem go o syryjskiego szpiega, wziętego do niewoli przed końcem oblężenia, on jednak zaklinał się i zapewniał, że wszyscy jeńcy dawno już wymarli, ponieważ najpierw brano ich na męki przy przesłuchaniu, potem zaś, stosownie do rozkazów Roju, zostawiano bez jedła i wody. Ja jednak znałem się na ludziach i zachowanie się starucha wzbudziło moje podejrzenie. Toteż naciskałem go i groziłem mu, dopóki nie padł przede mną na twarz

i nie zawołał płacząco:

– Oszczędź mnie, panie, bo przez całe życie wiernie służyłem Egipcjom i w imię Egiptu dręczyłem jeńców i kradłem ich jedzenie. Ten szpieg to nie jest zwykły człowiek i ma dziwny język, który gwizdże jak słowik. Obiecał mi wielkie bogactwa, jeśli mu dam jeść i zachowam go przy życiu do przybycia Horemheba, obiecał mi nawet przywrócić wzrok, jeśli mu uratuję życie. Bo, jak mówił, sam był też ślepy, lecz pewien wielki lekarz sprawił, że przewidział na jedno oko. Obiecywał, że i mnie zaprowadzi do tego lekarza, żeby to samo zrobił ze mną i żebym mógł mieszkać w mieście, pomiędzy ludźmi, i cieszyć się swoimi bogactwami. Jest mi już winien więcej niż dwa miliony debenów złota za chleb i wodę, które mu dawałem, nie powiedziałem mu dotąd, że oblężenie się skończyło i Horemheb jest w Gazie, chcąc, by jeszcze bardziej zadłużył się u mnie za chleb i wodę, które mu co dzień przynoszę. Żądał bowiem, żebym natychmiast po przybyciu Horemheba zaprowadził go po kryjomu do niego, i przysięgał mi, że Horemheb go uwolni i da mu złote łańcuchy, a ja wierzę jego słowom, bo nikt nie potrafi się oprzeć gruchaniu jego języka. Ale zamierzam zaprowadzić go do Horemheba dopiero wtedy, gdy będzie mi winien trzy miliony debenów złota. To sumka okrągła i łatwa do zachowania w pamięci.

Gdy staruch zaczął pleść, kolana zdrząły pode mną i serce stopniało mi w piersi na wodę, bo zdawało mi się, że wiem, o kim mówi. Ale szybko się opanowałem i rzekłem:

– Starcze, tyle złota nie ma chyba w całym Egipcie wraz z Syrią. Z twoich słów wnioskuję, że ten człowiek to wielki oszust i zasługuje na karę. Przyprawdź go więc natychmiast przed moje oblicze i módl się do wszystkich bogów, żeby nie stało mu się coś złego, bo mimo swej ślepoty głową odpowiadasz za niego.

Gorzko płacząc i wzywając na pomoc Amona staruch zaprowadził mnie do małej nory, w tyle za innymi lochami, zamkniętej kamieniami i odgradzonej od reszty podziemi, żeby ludzie Roju nie mogli jej znaleźć. Gdy poświeciłem pochodnią, zobaczyłem, że przykuty do ściany siedzi tam człowiek w porwanej syryjskiej odzieży, o poranionym grzbiecie, z zapadłym brzuchem, którego fałdy zwisały mu między kolanami. Jedno jego oko było ślepe, drugie zaś, widzące, podniósł na mnie przesłaniając je dłonią od blasku, gdyż światło sprawiało mu ból po tygodniach siedzenia w ciemności.

– Czy to ty, mój panie, Sinuhe? – zapytał. – Błogosławiony niech będzie dzień, który sprowadza cię do mnie, ale każ kowalom czym prędzej zdjąć mi te kajdany i każ mi przynieść dzban wina, żebym zapomniał o moich cierpieniach, i każ niewolnikom namaścić mnie najlepszymi maściami, bom przywykłem do wygody i życia w zbytku, a te ostre kamienie podłogi starły mi skórę z tyłka. Nie mam też nic przeciwko temu,

żebyś kazał przygotować dla mnie miękkie łoże i przysłał mi kilka dziewcz Izstar do towarzystwa, bo brzuch nie przeszkadza mi już w rozkoszach miłości, choć przez kilka dni zjadłem chleba za ponad dwa miliony debenów złota, jeśli nawet nie zechcesz w to uwierzyć.

– Kaptahu, Kaptahu! – zawołałem padając przy nim na kolana i obejmując jego pogryzione przez szczury ramiona. – Jesteś niepoprawny. W Tebach mówiono mi, że nie żyjesz, ale ja w to nie wierzyłem, bo moim zdaniem ty nigdy nie możesz umrzeć, a najlepszym dowodem tego jest, że znajduję cię tutaj, w tym lochu śmierci, żyjącego i w dobrym zdrowiu, pośród trupów, choć może wszyscy ci, którzy pomarli w kajdanach wokół ciebie, byli przyzwoitsi i miłsi bogom niż ty. Dlatego wielce się raduję, że odnalazłem cię przy życiu.

A Kaptah odparł:

– Widocznie wciąż jesteś takim samym niepoprawnym gadułą jak dawniej, panie mój, Sinuhe! Nie mów mi o bogach, bo w mojej niedoli wołałem do wszystkich bogów, jakich znam, nawet do bogów Babilonu i do bogów hetyckich, lecz ani jeden z nich mi nie pomógł, musiałem doprowadzić się do nędzy, by uzyskać jedzenie od chciwego strażnika. Tylko nasz skarabeusz mi pomógł, przyprowadzając cię do mnie, bo dowódca tej twierdzy to szaleniec i nie wierzy w rozsądne słowa. Kazał swoim ludziom ograbić mnie ze wszystkiego i łamać moje ciało kołem, tak że ryczałem jak byk, gdy mnie naciągali na kole. Ale na szczęście udało mi się zachować naszego skarabeusza. Widząc, co się święci, ukryłem go w takim miejscu na moim ciele, gdzie wprawdzie nie godzi się przebywać bogom, które jednak musiało być dla niego przyjemne, skoro przyprowadził cię do mnie. Tak przedziwne wydarzenie może bowiem zdarzyć się tylko dzięki świętemu skarabeuszowi.

Pokazał mi skarabeusza, który wciąż jeszcze był zabrudzony z powodu nieprzyjemnego miejsca przechowywania. Ja zaś kazałem niewolnikom natychmiast zdjąć Kaptahowi kajdany i zaprowadzić go do twierdzy, do mego mieszkania, gdyż bardzo był słaby i całkiem ślepy, póki jego oko znowu nie przyzwyczało się do dziennego światła. U siebie kazałem niewolnikom obmyć go i namaścić, i odziać go w najcieńszy len oraz w pożyczony ode mnie złoty łańcuch, bransolety i inne ozdoby, żeby mógł występować stosownie do swojej godności. Kazałem mu też ogolić brodę i uczesać włosy. A przez cały czas, gdy niewolnicy go myli i ubierali, Kaptah zjadał mięso i żłopał wino, aż mu się odbijało. Tymczasem za drzwiami płakał i narzekał strażnik więzienia, drapał i kopał w drzwi wołając, że Kaptah jest mu winien dwa miliony trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy debenów złota za uratowanie życia i jedzenie,

które dostawał w lochach. I nie chciał z tej sumy ustąpić ani jednego debena, ponieważ twierdził, że ryzykował życie ratując Kaptaha i kradnąc dla niego jedzenie ze skąpych zapasów twierdzy. Słyszając to zrozumiałem, że w Gazie oprócz głównodowodzącego Roju byli jeszcze i inni szaleńcy. W końcu zmęczyły mnie krzyki i jęki starucha i powiedziałem do Kaptaha:

– Horemheb jest już ponad tydzień w Gazie i stary cię oszukał, toteż nie jesteś mu nic winien. Każę żołnierzom ochłostać go, a jeśli będzie trzeba, utnę mu łeb, bo to złośliwy staruch, który jest winien śmierci wielu więźniów.

Ale Kaptah wzdygnął się ze zgrozy na moje słowa i na przemian pokrzykując i pijąc mieszane wino mówił:

– Daleko jestem od tego, bom człowiek uczciwy i jako kupiec muszę dotrzymać zobowiązań, żeby zachować swoją dobrą opinię. Nie chcę też nikogo oszukać, choć być może w całym Egipcie nie ma tyle złota, ile jestem już winien temu staruchowi. Sądziłem bowiem, że umrę z powodu wielkiej głupoty dowódcy Gazy, i dlatego żartowałem ze starego obiecując mu, co tylko chciał, bo myślałem, że nie dożyję chwili, gdy trzeba to będzie zapłacić. Gdybym przeczuwał, że zostanę przy życiu, byłbym naturalnie sporo utargował z jego żądań, ale gdy czułem zapach chleba w jego dłoni, nie mogłem się wcale targować, taki byłem głodny.

Otarłem oczy i czoło i popatrzywszy na niego z przerażeniem zapytałem:

– Tyżeś to rzeczywiście, Kaptahu? Nie, nie mogę w to uwierzyć, zdaje się, że w głazach tej twierdzy kryje się jakieś przekleństwo i każdy, kto zabawi tu dostatecznie długo, robi się szalony. I ty również oszalałeś i nie jesteś już dawnym Kaptahem. Czy rzeczywiście chcesz zapłacić staruchowi wszystko, co mu jesteś winien? I skądże na to weźmiesz, skoro od chwili upadku królestwa Atona jesteś, o ile wiem, równie biedny jak ja i bogactwo twoje przepadło.

Ale Kaptah pijany winem upierał się:

– Jestem człowiekiem pobożnym, czczę bogów i zawsze dotrzymuję słowa. Toteż zamierzam do ostatniego debena zapłacić mój dług staruchowi, naturalnie musi on udzielić mi pewnej zwłoki w zapłacie. Nie sądzę nawet, by w swej głupocie wiedział, ile jestem mu winien, będzie pewnie zadowolony, gdy odważę mu parę debenów, bo jeszcze nigdy w życiu nie trzymał w palcach miękkiego złota. Naprawdę, sądzę, że wylezie ze skóry z radości, gdy dostanie ode mnie jeden deben złota, lecz to nie uwalnia mnie wcale od mego słowa i mego długu. Zupełnie nie wiem, skąd wezmę tyle złota, bo naprawdę straciłem dużo w czasie powstania w Tebach i musiałem uciekać z Teb w nędzny sposób, zostawiając mój majątek na pastwę losu. Niewolnicy i tragarze chcieli

mnie zabić, ponieważ zdawało im się, że ich zdradziłem dla Amona. Potem jednak wyświadczyłem Horemhebowi wielkie przysługi w Memfis, bo nienawiść niewolników dosięgła mnie i tam, wyświadczyłem Horemhebowi jeszcze większe przysługi w Syrii, gdzie żyłem jako kupiec i sprzedawałem zboże i paszę Hetytom. Toteż obliczam, że Horemheb jest mi już winien co najmniej pół miliona debenów złota, a może i więcej, bo byłem zmuszony zostawić wszystkie moje interesy i uciekać do Gazy na małym stateczku, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo morskiej podróży. Hetyci byli bowiem ogromnie wzburzeni, gdy konie ich pochorowały się zjadłszy paszę, którą im sprzedałem. Sam jednak o tym nie wiedząc wystawiłem się na jeszcze większe niebezpieczeństwa uciekając do gazy, bo szalony dowódca gazy kazał mnie uwięzić jako syryjskiego szpiega i wziąć mnie jako szpiega na męki, i pewnie kazałyby powiesić na murze moją skórę, gdyby ten zwariowany staruch nie ukrył mnie, mówiąc, że umarłem w lochach. Toteż muszę zapłacić dług, jaki mam wobec niego.

Gdy powiedział to wszystko, otworzyły mi się oczy i zrozumiałem, że to właśnie Kaptah był najlepszym sługą Horemheba w Syrii i przywódcą jego szpiegów. Dlatego to spragniony człowiek, który nocą przybył do obozu Horemheba przy górze zwycięstwa, przykrył jedno oko dłonią, żeby pokazać, że został wysłany przez jednookiego. Gdy to zrozumiałem, pojąłem też, że nikt inny nie potrafiłby dokazać w Syrii tego, co Kaptah, bo nie było nikogo, kto by dorównał Kaptahowi w chytrłości. A do niego powiedziałem:

– Być może, że Horemheb jest ci winien dużo złota, ale raczej ściskając w dłoni kamień wyciśniesz z niego złoto, niż wydostaniesz go od Horemheba. Wiesz doskonale, że nigdy nie płaci on swoich długów!

– To prawda – odparł Kaptah. – I wiem doskonale, że Horemheb to człowiek niewdzięczny i o twardym sercu, a jeszcze bardziej niewdzięczny jest ten zwariowany dowódca Gazy, dla którego kazałem Hetytom rzucać tu zboże w zamkniętych dzbanach. Oni oczywiście sądzili, że dzbany pełne są jadowitych węży, które z wielkim wysiłkiem i trudnościami zebrałem w pustyni. Żeby im to udowodnić, kazałem rozbić jeden dzban, a węże pogryzły trzech hetyckich żołnierzy, tak że zmarli przed upływem jednej miary wody, po czym Hetyci nie mieli już ochoty otwierać dzbanów, w których było zboże, i dobrze mi za to zapłacili. Za każde ziarno wrzucone w tych dzbanach do gazy zapłaci więc Horemheb wagę tegoż ziarna w złocie, a może i więcej, bo to ziarno warte jest swojej ceny, a niecny sposób, w jaki traktował mnie dowódca Gazy, czyni je jeszcze droższym. Naturalnie nie wyobrażam sobie, że wydostanę z Horemheba cały jego dług w złocie, będzie jednak musiał mi oddać prawa portowe oraz wszystkie daniny w zdobytych miastach syryjskich, jako też cały handel solą w Syrii i wiele jeszcze innych

rzeczy, w ten sposób odbiorę od niego moje należności.

Mówił mądrze, mimo to jednak wielce dziwiłem się jego słowom i spytałem:

– Chcesz więc sterać swe siły i pracować przez całe życie, żeby zdobyć złoto na zapłacenie długu temu szalonemu staruchowi, który awanturuje się pod moimi drzwiami?

Kaptah napił się wina i mlasnął językiem, a potem rzekł:

– Doprawdy, opłaci się leżeć przez parę tygodni w ciemnym lochu na twardych kamieniach i pić zepsutą wodę, żeby potem prawdziwie ocenić miękkie siedzenia, dobre światło i smak wina w ustach. Nie, Sinuhe, wcale nie jestem taki szalony, jak myślisz. Ale słowo dane jest słowem i dlatego nie widzę innego wyjścia, jak to, że musisz stosownie do mojej obietnicy wyleczyć staruchowi oczy i przywrócić mu wzrok, żebym mógł go nauczyć grać ze mną w kości. Był on bowiem kiedyś zapalonym graczem w kości, nim oślepl z powodu stałej ciemności, w której musiał żyć. Zamierzam grać z nim w kości, a nie mogę naturalnie nic na to poradzić, jeśli grając ze mną przegra, i nie muszę cię chyba zapewniać, że chcę grać z nim w kości o duże stawki.

I ja widziałem, że był to jedyny sposób, by Kaptah mógł z honorem pozbyć się swego ogromnego długu, był on bowiem zręcznym graczem w kości i zwykł był używać kości wybranych przez siebie samego. Toteż obiecałem mu, że użyję całej mej sztuki na przywrócenie staruchowi wzroku na tyle przynajmniej, by mógł rozróżnić oczka kości. Kaptah zaś w zamian za to obiecał posłać Muti tyle srebra, żeby mogła odbudować dawny dom odlewacza miedzi w Tebach i dać sobie radę podczas mojej nieobecności. Dogadawszy się w tej sprawie, przywołaliśmy starucha i Kaptah zapewnił go, że zapłaci dług, jeśli uzyska pewną zwłokę, ja zaś zbadałem jego oczy i stwierdziłem, że ślepotą wcale nie pochodzi z przebywania w ciemności, lecz z zadawnionej i nie leczonej choroby oczu. Nazajutrz uleczyłem mu oczy za pomocą igły, metodą, której nauczyłem się w Mitanni. Na jak długo jednak przywróciłem mu wzrok, tego nie umiałem powiedzieć, bo oczy leczone igłą łatwo się znów zablźniają i potem nie można ich już uleczyć.

Zaprowadziłem też Kaptaha do Horemheba, a ten wielce był rad z jego widoku, ścisnął go, nazywał dzielnym i zapewniał, że cały Egipt jest mu wdzięczny za wielkie czyny, których dokonał dla Egiptu w tajemnicy i nie wymagając podzięk. Ale gdy Horemheb mówił, Kaptahowi wydłużyła się twarz, zaczął płakać i narzekać:

– Patrz na mój brzuch, który wychudł i zrobił się jak pokurczony worek w czasie męczącej służby dla ciebie. Patrz na mój poraniony tyłek i na uszy, które szczury z lochów Gazy pogryzły na strzępy przez ciebie, Horemhebie. Mówisz do mnie tylko

o wdzięczności Egiptu, ale wdzięczność nie przyniesie ani ziarenka zboża memu brzuchowi i wdzięczność nie zwilży mi gardła winem! Nigdzie nie widzę worków złota, któreś mi obiecywał za moje czyny, choć mocno wierzyłem, żeś odłożył dla mnie część łupu już przez siebie zdobytego. Nie, Horemhebie, ja nie proszę cię o wdzięczność, lecz proszę, żebyś uczciwie i jak mężczyzna spłacił swój dług wobec mnie, bo sam też muszę spłacić długi zaciągnięte wobec innych, a z twego powodu wpadłem w niesłychanie wielkie długi, większe, niż możesz sobie wyobrazić.

Gdy jednak Horemheb usłyszał o złocie, zmarszczył brwi, zaczął niecierpliwie uderzać się po nogach złotym biczem i rzekł:

– Twoja mowa jest dla mnie jak brzęczenie much w moich uszach, Kaptahu! Mówisz do mnie jak głupiec, a usta twoje są parszywe. Wiesz dobrze, że nie mam żadnego łupu, by dzielić się z tobą, i że wszystko złoto, jakie mogę zdobyć, łożę na wojnę z Hetytami, sam zaś jestem biednym człowiekiem i tylko chwała jest mi jedyną zapłatą. Toteż mam nadzieję, że wybierzesz bardziej odpowiednią chwilę, by rozmawiać ze mną o złocie, choć naturalnie mogę to zrobić dla ciebie, że każę uwięzić ludzi, którym jesteś winien, oskarżę ich o najrozmaitsze przestępstwa i powieszę na murach, żebyś pozbył się długów.

Kaptah jednak nie chciał uwalniać się od długów w tak niecny sposób, choć Horemheb wyśmiewał go i bijąc się złotym biczem po nogach, mówił gniewnie:

– Każdy bogacz jest zbrodniarzem, bo człowiek może zebrać dużo złota tylko wbrew sumieniu, wymuszeniem i obdzieraniem biedoty. Naprawdę tam, gdzie jest dużo złota, zawsze można uprząść sieć potrzebnych oskarżeń i nikt nie może mnie nazwać złym sędzią, a oskarżony sam wie, że jest winien. A teraz chcę cię spytać, Kaptahu, jak to było możliwe, że ten Roju, dowódca Gazy, kazał cię łącać kołem jako syryjskiego szpiega i zamknąć cię w lochach? Bo mimo że to człowiek szalony, to jednak jest dobrym żołnierzem i musiał mieć jakieś powody takiego postępowania.

Wtedy Kaptah rozdarł szaty na znak swojej niewinności, co wcale nie było z jego strony jakąś ofiarą, bo szaty należały do mnie i ja ponosiłem całą szkodę. Bijąc się w piersi, wołał wielkim głosem:

– Horemhebie, Horemhebie, czy to ty mówiłeś przed chwilą o wdzięczności, by teraz robić mi fałszywe zarzuty? Czyż nie otrułem koni Hetytów i nie posyłałem zboża do Gazy w zamkniętych dzbanach? Czyż nie najmowałem mężnych ludzi, żeby zbierali ci w pustyni wiadomości o hetyckich oddziałach, i nie podkupywałem niewolników, by nożami przecinali worki z wodą umieszczone w wozach bojowych, gdy Hetyci wyruszali przeciw tobie na pustynię?! Wszystko to robiłem dla ciebie i dla

Egiptu, nie myśląc o własnej nagrodzie, toteż było chyba zupełnie słuszne, że także Hetytom i Aziru świadczałem usługi, które tobie nie przyniosły wielkiej szkody. Dlatego gdy uciekałem do gazy przed rozwścieczonymi Hetytami, którzy obwiniali mnie o to, że konie ich zachorowały, i o porażkę na Równinie Ludzkich Kości, miałem przy sobie glinianą tabliczkę od Aziru jako przepustkę. Mądry człowiek zabezpiecza się bowiem na wszystkie strony i nie zadowala się jedną strzałą, lecz nosi ich wiele w swym kołczanie, a ja nie przyniósłbym tobie ani Egipcjowi najmniejszej korzyści, gdyby skóra moja wisiała schnąc na murach. Hetyci bowiem mogliby zdobyć Gazę przed twoim nadejściem. Toteż musiałem zabrać z sobą list Aziru na wypadek, gdyby przyszło mi zdradzić i wydać gazę Hetytom, w razie gdybyś ty zanadto zwlekał, bo oni i tak dostaliby ją wtedy w swoją moc. Glinianą tabliczkę Aziru schowałem starannie w zanadrzu, ale ten Roju to człek podejrzliwy, rozdarł moje szaty i znalazł tabliczkę, mimo że próbowałem zakrywać oko i mówić o jadowitych syryjskich żukach kałużnikach, tak jakeśmy się umówili. A znalazłszy przy mnie tę glinianą tabliczkę, Roju nie wierzył już w hasła, lecz kazał mnie łać kołem, dopóki ja, rycząc jak byk z bólu, nie przyznałem się, że jestem szpiegiem Aziru. Gdybym tego nie zrobił, powyrywałby mi członki z ciała, a bez członków byłbym dla ciebie zupełnie bezpożyteczny, prawda, Horemhebie? Czy też może mówię nieprawdę?

Ale Horemheb śmiał się z niego i rzekł:

– To, coś zniósł, możesz zatrzymać jako swoją nagrodę, drogi Kaptahu. Znam ciebie, a i ty mnie znasz, nie kłóć się więc już ze mną o złoto, bo bardzo mnie to drażni i wprawia w gniew.

Kaptah upierał się jednak i skłonił w końcu Horemheba do przyznania mu wyłącznego prawa skupu i sprzedaży całego wojennego łupu w Syrii. Tak więc tylko on miał od tej pory prawo kupować od żołnierzy lub za piwo, wino, kości i kobiety wymieniać łup podzielony między nich w obozie hetyckim na Równinie Ludzkich Kości i w obozie oblegających Gazę, jak też łup należący do Horemheba lub też wymieniać go na towary potrzebne wojsku. Już samo to prawo zrobiłoby go bogaczem, bo do gazy przybywało mnóstwo kupców z Egiptu, przyjeżdżali także kupcy z miast syryjskich, którzy nie troszcząc się o Aziru i Hetytów, pędzili żądzą zysków, chcieli robić interesy przy skupie łupów i kupnie jeńców na niewolników, a którzy odtąd nie mogli prowadzić tego handlu, nie opłaciwszy wpiertw Kaptahowi jego części od każdego zakupu. Kaptah nie zadowolili się jednak tym, lecz zażądał takiego samego prawa odnośnie wszystkich łupów, które armia Horemheba zdobędzie w przyszłości w Syrii, a Horemheb zgodził się na to po krótkim oporze, ponieważ obietnica ta nic go nie kosztowała, a on sam nie

był kupcem, Kaptah zaś obiecał mu bogate dary za to swoje prawo.

ROZDZIAŁ 4

Po nadejściu drogą morską posiłków z Egiptu i doprowadzeniu do porządku wozów bojowych oraz po zebraniu w Gazie koni z Dolnego Kraju i odbyciu ćwiczeń Horemheb wydał orędzie, w którym zapewniał, że przychodzi do Syrii jako oswobodziciel, a wcale nie jako zdobywca. Pod łagodną opieką Egiptu – głosił – miasta syryjskie korzystały zawsze z wolności i handlu i całkowitej swobody, każde rządzone przez swego własnego króla. Lecz straszliwa zdrada Aziru oddała wszystkie miasta Syrii pod jego panowanie. To Aziru pozbawił królów ich dziedzicznych koron oraz nałożył na miasta ciężkie podatki. Z chciwości sprzedał również Syrię Hetytom, a dowody ich okrucieństwa i strasznych obyczajów Syryjczycy co dzień oglądają własnymi oczyma. Syryjczycy nie mogą też spodziewać się pod panowaniem Hetytów niczego prócz niewolnictwa, jakkolwiek Hetyci nie odsłonili być może jeszcze całkowicie swojej natury, chcąc najpierw podbić Egipt. Dlatego właśnie on, Horemheb, niezwykłony syn sokoła, przychodzi do Syrii, żeby ją oswobodzić, żeby uwolnić wszystkie miasta spod jarzma niewoli, żeby przywrócić wolność handlu i z powrotem osadzić na tronach dawnych królów oraz zwrócić im ich prawa, tak by Syria pod ochroną Egiptu mogła znowu się podnieść i stać bogatą i kwitnącą. Obiecywał dalej całkowite bezpieczeństwo od grabieży, wolność i niepodległość każdemu miastu, które wypędzi Hetytów i zamknie swoje bramy przed Aziru. Miastom natomiast, które dalej będą się opierać, groził spalaniem, splądrowaniem i zniszczeniem, groził też, że uprowadzi ich mieszkańców w niewolę i zburzy ich mury na wieczne czasy.

Orędzie takie wydał Horemheb, gdy z armią i wozami bojowymi ruszył na Joppe, posyłając równocześnie flotę wzdłuż brzegu, by zamknęła port Joppe. Z pomocą swoich szpiegów rozpowszechnił je i przekazał do wiadomości wszystkich miast, wywołując tym niemały niepokój i niepewność w Syrii i doprowadzając do wewnętrznego poróżnienia między swymi wrogami, co też było jedynym celem orędzia. Ale Kaptah, jako człowiek ostrożny, został jednak w murach Gazy, bo Hetyci i Aziru zebrali wielkie siły wewnątrz kraju. Jako powód podawał, że nie może wytrzymać trudów uciążliwego pochodu po wszystkich cierpieniach, które zniósł w lochach Gazy, zatrzymał w Gazie także i mnie, żebym wyleczył go z jego dolegliwości.

Roju Byczy Kark poczuł do Kaptaha wielką przyjaźń, ten bowiem przyczynił się do jego wyzdrowienia opowiedziawszy mu, że to właśnie żołnierze Roju, zmuszeni głodem, potajemnie zabrali i zjedli czterysta oślich podogoni z magazynu uprzęży, gdyż były one z miękkiej skóry i można je było żuć, gdy głód doskwierał. Gdy Roju to

usłyszał, uspokoił się i można było go uwolnić z więzów. Robił ostre wyrzuty swoim towarzyszom, przebaczył im jednak to przewinienie z powodu męstwa, jakie okazali przy obronie Gazy. Powiedział do żołnierzy:

– Co prawda winien jestem faraonowi sprawozdanie z tych oślich podogoni, teraz jednak mogę je złożyć ze spokojnym sumieniem, ponieważ wiem, gdzie się podziały. Nie karzę was więc, choć zasłużyliście na karę, bo ku radości mojej słyszę, żeście w zaułkach miasta obili wielu wszarzy Horemheba, porozbijali im łby i stłukli ich do krwi, by dać im nauczkę, jak należy się sprawować w Gazie. Dlatego uwalniam was od wszelkiej kary z powodu tych przeklętych oślich podogoni i zapłacę za nie faraonowi z własnego mieszka, byleście tylko dalej prali każdego z wszarzy Horemheba, jeśli nadęty wlezie wam w drogę. Walcie ich pałkami i kłujcie ostrymi kijami, zabierajcie im dziewczęta i wrzucajcie im do piwa owcze bobki, żebym miał się z czego cieszyć i znowu mógł spać spokojnie.

Tak to Roju zupełnie się wyleczył i mógł znowu spać, ale żołnierze jego przyczynili Horemhebowi mnóstwo kłopotów, bo Horemheb uważał, że nie może karać bohaterów Gazy za ich swawole, choć niemożliwie zatrawali życie jego własnym żołnierzom. Gdy Horemheb w końcu pomaszerował z armią na Joppe, Roju kazał zamknąć bramy Gazy i poprzysiągł, że nigdy już nie wpuści do Gazy żadnych wojsk. Co uczyniwszy oddał się picciu wina w towarzystwie Kaptaha i przyglądaniu się jego grze w kości z więziennym strażnikiem. Do chwili bowiem odmarszu Horemheba Kaptah wygrał zaledwie pół miliona debenów złota od starucha, którego oczy wyleczyłem, by mógł znowu rozróżniać oczka kości.

Pili więc wino i grali w kości od rana do wieczora, kłócąc się z sobą i rzucając sobie czasem kości w twarz, plując w dłonie i znowu wyrzucając kości z pucharu, tak że toczyły się po podłodze, bo staruch był ogromnie chciwy i chciał grać tylko o małe stawki, płakał i narzekał na swoje straty, jakby złoto, które przegrywał, było jego własnym złotem, a nie urojeniem tylko. Ale kiedy Horemheb ruszył na Joppe, poprawiło się zdrowie Kaptaha i skłonił on starucha do podwyższenia stawek, a kiedy przybył goniec z wieścią, że Horemheb zrobił szturmowe wyłomy w murach Joppe, Kaptah ograł starucha w paru kolejkach tak doszczętnie, że ten został mu jeszcze winien blisko sto tysięcy debenów złota. Kaptah był jednak szlachetny i podarował staruchowi dług, ponieważ ten uratował mu życie i nie dał zginąć z głodu w lochach Gazy. Toteż Kaptah dodał mu jeszcze trochę nowej odzieży i kilka garści srebra, a stary płakał z radości, błogosławił go i nazywał dobroczyńcą.

Czy jednak Kaptah grał fałszywie i znaczonymi kośćmi, nie umiem powiedzieć.

Wiem tylko, że grał on bardzo zręcznie i że miał niewiarygodne szczęście w grze w kości. Słuchy o tej grze, której stawką były miliony debenów i która trwała przez wiele tygodni, rozeszły się po całej Syrii. A staruch, który niebawem znowu oślepił, żył do późnej starości pod murami Gazy w maleńkiej lepiance. Przybywali do niego podróżnicy z innych miast, żeby go zobaczyć, on zaś opowiadał im o swojej grze i jeszcze po latach pamiętał każdy rzut, bo ślepcy mają dobrą pamięć. Najdumniejszy zaś był, gdy opowiadał, jak w ostatnim rzucie przegrał sto pięćdziesiąt tysięcy debenów złota, bo o tak wysokiej stawce nigdy przedtem nie słyszano, a on nie wierzył też, by i po nim ktoś ważył się grać równie wysoko. Tak więc żył bardzo szczęśliwie w swej chatce u bram Gazy, a podróżnicy przynosili mu dary, by skłonić go do opowiadania, tak że nigdy nie cierpiał niedostatku, lecz żył lepiej, niż gdyby Kaptah dał mu utrzymanie na starość. Tak wielka jest władza urojenia nad ludzkimi sercami.

Gdy Horemheb zdobył Joppe, Kaptah pojechał tam śpiesznie, a ja mu towarzyszyłem i po raz pierwszy widziałem wtedy bogate miasto w rękach zdobywców. Co prawda, gdy Horemheb wtargnął przez wyłomy w murach, najdzielniejsi w Joppe podnieśli powstanie przeciw Hetytom i Aziru, chcąc w ten sposób uratować swoje miasto i ustrzec je od splądrowania. Ale Horemheb nie oszczędził Joppe i pozwolił wojskom grabić je przez dwa tygodnie. Kaptah zebrał tam olbrzymią fortunę, bo żołnierze kupowali srebro i wino za drogie dywany i bezcenne meble, i posągi bogów, których nie mogli z sobą zabrać. A piękną, roslą kobietę syryjską można było kupić w Joppe za parę miedzianych bransolet.

Doprawdy, dopiero w Joppe zobaczyłem, jakimi dzikimi zwierzętami są ludzie dla ludzi, nie było bowiem okropieństwa, które by się nie wydarzyło, w czasie gdy pijani żołnierze grabili i palili miasto. Podpalali oni mianowicie domy dla przyjemności, nie dbając wcale, by potem ugasić pożar, podpalali je także, by w nocnej ciemności móc grabić i zabawiać się rozpustą z kobietami, i torturować kupców, zmuszając ich w ten sposób do wyjawienia, gdzie ukryli swoje skarby. Byli tacy, którzy dla zabawy tylko stawali na rogu ulicy i pałką lub oszczepem uśmiercali każdego syryjskiego przechodnia, bez względu na to, czy był to mężczyzna, czy kobieta, starzec czy dziecko. W Joppe serce stwardniało mi od widoku ludzkiego zła. Wszystko, co wydarzyło się w Tebach z winy Atona, było błahostką w porównaniu z tym, co działo się w Joppe z winy Horemheba. Horemheb bowiem celowo dał wolną rękę swoim żołnierzom, by związać ich z sobą jeszcze mocniej. Kto bowiem brał udział w plądrowaniu Joppe, ten nigdy tego nie mógł zapomnieć. W czasie tego plądrowania żołnierzom Horemheba weszła w krew gorączka grabieży, tak że nic już nie mogli ich powstrzymać w boju,

nie bali się nawet śmierci, spodziewając się takich samych rozkoszy, jakie przeżyli w Joppe. Także w inny sposób związał Horemheb żołnierzy z sobą, pozwalając im w tak okrutny sposób splądrować Joppe, gdyż po tym, czego się dopuścili, nie mogli się już spodziewać łaski u Syryjczyków, ludzie Aziru każdego wziętego do niewoli obdzierali żywcem ze skóry, jeśli brał udział w plądrowaniu Joppe. Żeby oszczędzić sobie losu Joppe, wiele mniejszych miast nadbrzeżnych wznieciło powstanie i wypędziło Hetytów dla Horemheba.

Nie chcę już mówić o tym, co działo się w Joppe w ciągu dni i nocy plądrowania, bo gdy o tym opowiadam, serce zamienia mi się w piersi w kamień i ręce mi drętwieją z zimna. Toteż powiem tylko, że gdy Horemheb uderzył na miasto, było tam prócz garnizonu Aziru i żołnierzy hetyckich blisko dwadzieścia tysięcy mieszkańców, kiedy zaś ze swoimi wojskami opuszczał Joppe, nie zostało tam nawet trzystu żywych.

Tak to Horemheb prowadził wojnę w Syrii, a ja mu towarzyszyłem, leczyłem rany i patrzyłem na wszystko zło, które człowiek potrafi wyrządzić człowiekowi. Wojna trwała trzy lata. Horemheb pobił Hetytów i Aziru w wielu bitwach, dwukrotnie zaś wojska jego zaskoczone zostały w Syrii przez wozy bojowe Hetytów, które siały wielkie spustoszenie i zmusiły go do wycofania się pod osłonę murów zdobytych przez niego miast. Zdołał jednak utrzymać połączenie morskie z Egiptem, a flota syryjska nie pokonała jego floty, która nabrała z czasem wojennego doświadczenia. Tak więc po porażkach mógł otrzymywać posiłki z Egiptu i zbierać siły do nowych uderzeń, a miasta Syrii obracały się w ruinę, ludzie zaś kryli się jak dzikie zwierzęta w górskich pieczarach. Cały kraj został spustoszony, a niszczycielskie hordy niszczyły uprawy i ścinały owocowe drzewa, by nieprzyjaciel nie mógł wyżywić się w podbitym kraju. Tak ginęło w Syrii bogactwo i kwiat męczyzn Egiptu, a Egipt był jak matka, która rozdziera szaty i posypuje włosy popiołem widząc, jak umierają jej dzieci, bo nad Rzeką, od Dolnego do Górnego Kraju, nie było już wioski ani miasta, brzegu czy szałas, który nie straciłby mężów i synów w Syrii dla wielkości Egiptu.

Trzy lata prowadził Horemheb wojnę w Syrii i przez te lata postarzałem się bardziej niż w ciągu wszystkich poprzednich, tak że włosy wypadły mi z głowy, grzbiet mi się zgiął, a twarz pomarszczyła się jak wysuszony owoc. Od wszystkiego, na co musiałem patrzeć, zrobiły mi się worki pod oczyma, zamknąłem się w sobie, zrobiłem się zły i opryskliwy wobec ludzi, do chorych mówiłem ostro, jak to robi wielu lekarzy, gdy się postarzejają, choć na początku swojej drogi chcieli tylko robić dobrze. Pod tym względem nie różniłem się od innych lekarzy, choć widziałem w życiu o wiele więcej niż inni.

Trzeciego roku wojny do Syrii przysłała zaraza, bo śladami wojny zawsze kroczy

zaraza, a powstaje ona z wielkiej ilości rozkładających się trupów na jednym miejscu. Zaiste, cała Syria była też w trzecim roku wojny podobna do dołu z rozkładającymi się trupami, całe ludy i szczepy wyginęły w toku tej wojny, tak że ich mowa i obyczaje poszły w niepamięć na wieczne czasy. Zaraza zabijała tych, których oszczędziła wojna, a w armii Horemheba i w armii Hetytów zaraza zabijała tylu ludzi, że wstrzymano działania wojenne i wojska uciekły w góry i na pustynie, dokąd zaraza nie dotarła. Zaraza ta nie robiła różnicy między wysoko i nisko urodzonymi, bogatymi i biednymi, zabijała bez wyboru, każdego. Nie pomagały na nią żadne zwyczajne leki, a ten, kto na nią zapadł, zasłaniał głowę szatą, kładł się na posłaniu i umierał w ciągu trzech dni. Tym zaś, którzy wyzdrowieli, zostały na zawsze straszliwe blizny pod pachami i w pachwinach, bo tamtędy wydostawała się z nich choroba.

Równie zagadkowa jak wtedy, gdy zabijała, była zaraza wtedy, gdy oszczędzała, bo wcale nie wychodzili z niej cało ludzie najsilniejsi i najzdrowsi, lecz niejednokrotnie właśnie najslabsi i najbardziej wygłodzeni, jakby choroba nie miała w ich ciałach dostatecznej pożywki, by nabrać siły zabijania. W końcu więc pielęgnując chorych na zarazę postępowałem tak, żeby ich osłabić, upuszczałem im tyle krwi, ile się tylko odważyłem, i nie pozwalałem im dawać żadnego jedzenia, dopóki trwała choroba. Tak też wyleczyłem wielu dotkniętych zarazą, ale równie wielu umarło na moich rękach mimo opieki i leczenia, tak więc nie wiem, czy leczenie to było słuszne. W jakiś jednak sposób musiałem leczyć chorych, żeby zachowali wiarę w moją sztukę, bo chory, który straci wiarę w wyzdrowienie, straci zaufanie do sztuki lekarza, umiera jeszcze pewniej niż taki, który ufa swojemu lekarzowi. Mój sposób leczenia zarazy był także i dlatego lepszy od innych sposobów, że był tani.

Statki przyniosły zarazę do Egiptu, ale w Egipcie nie zabiła tylu ludzi co w Syrii, siła jej osłabła i liczba tych, którzy wyzdrowieli, była większa niż tych, co umarli. Jeszcze w tym samym roku po wylewie zaraza znikła z Egiptu, a zima zabrała ją także z Syrii, tak że Horemheb znowu mógł zbierać wojska i dalej prowadzić wojnę. Tej wiosny przeszedł on ze swymi oddziałami przez góry na równinę koło Megiddo i pobił Hetytów w wielkiej bitwie, po której Hetyci poprosili o pokój. Kiedy bowiem Burnaburiasz, król Babilonu, zobaczył sukcesy Horemheba, nabrał na nowo odwagi i przypomniał sobie o przymierzu z Egiptem. Zrobił się szorstki wobec Hetytów, kazał swoim wojskom wkroczyć do kraju Mitanni i przepędził Hetytów z pastwisk Naharani. Toteż Hetyci widząc, że w spustoszonej Syrii nie mogą myśleć o zwycięstwie, zaproponowali pokój Horemhebowi. Byli to bowiem mądrzy wojownicy i ludzie oszczędni i nie chcieli dłużej dla cześć chwały ryzykować swoich wozów bojowych, których potrzebowali

dla poskromienia Babilonu.

Horemheb wielce się ucieszył z osiągnięcia pokoju, bo siły jego bardzo się skurczyły, a wojna zubożyła Egipt, on zaś chciał zacząć odbudowywać Syrię, żeby ożywić handel i ciągnąć z Syrii korzyści. Ale jako warunek pokoju stawiał oddanie mu przez Hetytów Megiddo, które Aziru zrobił swoją stolicą i otoczył niezdobytymi murami i wieżami. Dlatego też Hetyci pojмали w Megiddo Aziru i jego rodzinę i zrabowali wszystkie olbrzymie bogactwa z całej Syrii, które Aziru tam zgromadził, po czym oddali Horemhebowi Aziru, jego obu synów i jego żonę Keftiu zakutych w kajdany. Jako zastaw pokoju i żeby wykazać swoje dobre zamiary, posłali do obozu Horemheba Aziru i jego rodzinę w kajdanach, sami zaś zwlekali z oddaniem Megiddo, dopóki nie zdążyli go splądrować i przepędzić trzody bydła i owiec Aziru na północ, z kraju, który stosownie do warunków pokoju miał pozostać pod zarządem egipskim. A Horemheb ich nie ścigał, lecz kazał odtrąbić zakończenie wojny, wydał ucztę dla hetyckich książąt i wodzów i pił z nimi przez całą noc wino, chępiąc się swoimi czynami. Następnego zaś dnia wobec całego zebranego wojska i przed oczyma hetyckich dowódców miano stracić Aziru i jego rodzinę na znak wiecznego pokoju, który od tej chwili panować miał między Egiptem i krajem Hatti.

Dlatego też nie chciałem brać udziału w uczcie i pod osłoną nocnego mroku poszedłem do namiotu, gdzie w kajdanach trzymano Aziru. Strażnicy nie wazyli mi się w tym przeszkodzić, ponieważ byłem lekarzem Horemheba, żołnierze znali mnie już i wiedzieli, że ostre i gryzące słowa potrafię zwrócić nawet przeciw Horemhebowi, jeśli mi się tak spodoba. Do Aziru zaś poszedłem dlatego, że nie miał on już w całej Syrii ani jednego przyjaciela, ponieważ człowiek, który jest uwięziony, stracił majątek i został skazany na haniebną śmierć, nie ma przyjaciół. Poszedłem do niego, bo wiedziałem, że wielce kochał życie, i chciałem – na podstawie tego wszystkiego, co widziałem – zapewnić go, że życie nie jest warte, by go żałować. Chciałem mu też jako lekarz powiedzieć, że śmierć jest lekka, lżejsza niż męki życia, troski i cierpienia. Życie jest jak płomień, który piecze, a śmierć jest ciemną wodą zapomnienia. Wszystko to chciałem mu powiedzieć, bo miał następnego ranka umrzeć, a wiedziałem, że i tak nie śpi, bo bardzo kochał życie. Gdyby zaś nie chciał słuchać moich słów, zamierzałem usiąść cicho koło niego, żeby nie był sam. Łatwo jest może bowiem żyć bez przyjaciół, ale trudno umierać bez jednego choćby przyjaciela, zwłaszcza gdy w ciągu życia rozkazywało się wielu i nosiło na głowie królewskie korony.

Toteż poszedłem w ciemności nocy do namiotu, gdzie Aziru trzymany był w kajdanach, bo w świetle dziennym nie chciałem mu się pokazywać, schodziłem mu z

drogi, gdy wraz z rodziną w pohańbieniu sprowadzono go do obozu Horemheba, a gdy żołnierze urągali mu i obrzucali go błotem i końskim łajnem, zakrywałem twarz skrajem szaty. Był to bowiem człowiek bardzo dumny i z pewnością nie chciałby, żebym go widział w ponizeniu, ja, który widziałem go w najlepszych dniach jego siły i potęgi. Toteż w dzień unikałem go i dopiero w ciemnościach poszedłem do jego namiotu, a strażnicy podnieśli oszczepy i powiedzieli do siebie:

– Wpuśćmy go, bo to Sinuhe, lekarz, i przychodzi z pewnością w dozwolonych sprawach. A jeśli go nie wpuścimy, może nas zwymyślać lub zaczarować, tak że stracimy męskość, bo to człowiek niedobry i język jego kłuje gorzej niż skorpion.

W mroku namiotu odezwałem się:

– Aziru, królu Amurru, czy przyjmiesz przyjaciela w noc przed swą śmiercią?

On zaś westchnął ciężko w ciemności i jego kajdany zadźwięczały, gdy odparł:

– Nie jestem już królem i nie mam przyjaciół, lecz tyżeś to naprawdę, Sinuhe, bo poznaję twój głos nawet w ciemnościach?

A ja na to:

– Tak, to ja, Sinuhe!

On zaś ciągnął:

– Na Marduka i wszystkie demony podziemia, jeśli to rzeczywiście ty, Sinuhe, przynieś światło, bo zmęczyło mnie już leżenie w mroku, a niebawem będę leżeć w ciemnościach po wszystkie czasy. Co prawda ci przekłęci Hetyci poszarпали me szaty i połamali mi członki na torturach, tak że nie będę pięknym widokiem dla twoich oczu, ale jako lekarz przywykłem pewnie do jeszcze gorszych widoków, ja zaś niczego się nie wstydzę, bo przed śmiercią nie warto już wstydzić się swojej nędzy. Przynieś więc światło do namiotu, Sinuhe, żebym mógł widzieć twoje oblicze i trzymać twoją dłoń w mojej, bo boli mnie wątroba i woda leje mi się z oczu na myśl o mej małżonce i chłopcach. A gdybyś jeszcze postarał się o mocne piwo, żebym mógł zwilżyć sobie gardło, opowiem jutro w krainie śmierci bogom o wszystkich twoich dobrych uczynkach, Sinuhe. Sam nie mogę już zapłacić nawet za łyk piwa, bo Hetyci ograbili mnie z ostatniego miedziaka.

Poprosiłem strażników, żeby przynieśli lampkę oliwną, bo gorzki swąd pochodni gryzł mnie w oczy i sprawiał, że ciekło mi z nosa. A gdy przynieśli i zapalili lampę, wziąłem od nich dzban syryjskiego piwa, który schowali, gdy nadchodziłem, a z którego przedtem pociągali przez trzcinki, wiedząc, że Horemheb wydaje tej nocy ucztę, i sądząc, że obchodzący warty będą dlatego patrzeć na wszystko przez palce. Jęcząc i narzekając podniósł się Aziru, by usiąść, a ja pomogłem mu wziąć do ust trzcinkę i

dałem mu pociągnąć z dzbanka syryjskiego piwa, które jest mętne od jęczmienia i słodu. Gdy chciwie chłopał w siebie piwo, przyglądałem mu się w drżącym świetle lampy i widziałem, że włosy jego były skudłone i szare, a wspaniałą brodę wyrwali mu Hetyci na mękach wraz z wielkimi kawałami skóry. Palce miał zmiążdżone, a zębra połamane, jęczał więc przy oddychaniu i pluł piwem i krwią, napiwszy się. A gdy już skończył pić i spluwać, rzekł patrząc w płomień lampy:

– O, jak łagodne i jasne jest światło lampy dla mych zmęczonych oczu po ciemnościach, w których leżałem. Ale jak płomień lampy migoce i kiedyś zgaśnie, tak samo migoce i gaśnie ludzkie życie. Dziękuję ci jednak, Sinuhe, za światło i piwo. Chętnie dałbym ci coś w zamian, ale wiesz doskonale, że nie mam już nic, co bym ci mógł ofiarować, bo moi hetyccy przyjaciele w swojej chciwości wyłamali mi nawet zęby, które mi kiedyś pozłociłeś.

Łatwo być człowiekowi mądrym poniewczasie. Dlatego nie chciałem mu przypominać, że go ostrzegał przed Hetytami, natomiast wziąłem jego zmiążdżoną dłoń w swoją, on zaś schylił dumną głowę między moje dłonie i płakał tak, że gorące łzy lały mi się na ręce strumieniem z jego podpuchniętych i podbitych sińcami oczu. Gdy skończył płakać, rzekł:

– Nie wstydzilem się przed tobą mego triumfu i śmiechu w dniach radości i siły, dlatego bym miał się wstydzić łez w chwilach żałoby. Ale wiedz, Sinuhe, że wcale nie płaczę ze względu na siebie czy z powodu utraconych bogactw lub koron, choć zawsze byłem chciwy władzy i ziemskich dóbr. Płaczę z powodu mojej żony Keftiu i z powodu mego dużego, wspaniałego chłopca, i z powodu mego maleńkiego chłopaczka, płaczę, bo oni także muszą ze mną umrzeć jutro rano.

– Aziru, królu Amurru – powiedziałem do niego – pamiętaj, że cała Syria jest jak rozkładający się grób z powodu twojej żądzy władzy. Niezliczeni są ci, którzy musieli umrzeć przez ciebie, Aziru. Toteż słusznie i sprawiedliwie jutro umrzesz, boś przegrał, słuszne jest może także, że umrze z tobą twoja rodzina. Wiedz jednak, że prosiłem Horemheba o życie dla twojej żony i synów ofiarowując mu wielkie dary, on jednak nie zgodził się na moją prośbę. Horemheb nie zgodził się, bo chce wyplenić twoje nasienie i twoje imię, i nawet twoją pamięć z Syrii. Dlatego nie będziesz mieć nawet grobu, Aziru, lecz zwłoki twoje rozszarpią dzikie zwierzęta. Horemheb nie chce bowiem, żeby mężowie Syrii po wszystkie czasy gromadzili się przytwoim grobie, by składać na twoje imię niedobre przysięgi, Aziru.

Gdy Aziru to usłyszał, ogromnie się przeraził i rzekł:

– Na boga mego, Baala, Sinuhe, zaklinam cię, złoś za mnie po mojej śmierci ofiarę

z napoju i ofiarę z mięsa przed Baalem, bogiem Amurru, bo inaczej będę musiał, głodny i spragniony, wiecznie błąkać się po ciemnych przestworzach królestwa umarłych. Wyświadczyć tę samą usługę także Keftiu, którą kiedyś kochałeś, choć z przyjaźni dla mnie odstąpiłeś mi ją, oraz moim synom, ażebym mógł umrzeć ze spokojem ducha, nie martwiąc się o ich losy. Nie chcę ganić Horemheba za jego postanowienie, bo to samo zrobiłbym prawdopodobnie z nim i z jego rodziną, gdybym go dostał w swoje ręce. Prawdę mówiąc, Sinuhe, choć płaczę, cieszę się równocześnie, że rodzina moja umrze wraz ze mną i krew nasza popłynie wspólnie, bo w królestwie śmierci dręczyłaby mnie nieustannie myśl, że ktoś inny obejmuje moją Keftiu i dotyka jej wspaniałego ciała. Ma ona bowiem licznych wielbicieli i pieśniarze opiewali przy lirach chwałę jej bujnej urody. Lepiej też, że moi synowie umrą, bo urodzili się na królów, w kołysce już nosili diademy, nie chcę więc, by poszli do Egiptu w kajdanach cierpieć w niewoli.

Znów pociągnął piwa, które uderzyło mu trochę do głowy, osłabłej w jego niedoli, i zdrapując z siebie zmiążdżonymi palcami brud i łajno, którym obrzucali go żołnierze, mówił dalej:

– Sinuhe, mój przyjacielu, niesłusznie mnie obwiniasz twierdząc, że to przeze mnie Syria przypomina dziś rozkładający się grób. Moim błędem było tylko to, że przegrałem w walce i dałem się oszukać Hetytom. Doprawdy, gdybym wygrał, wszystko zło, które się działo, położono by na karb Egiptu, a imię moje otoczone byłoby sławą. A że przegrałem, mnie obciąża się wszystkim złem i cała Syria moje przeklina imię.

Upił się mocnym piwem i rwąc skutymi rękami siwiejące włosy wołał głośno:

O, Syrio, o, Syrio, moja męko, moja nadziejo, moja miłości! Dla twojej sławy dokonałem wszystkich moich czynów, dla twojej wolności wznieciłem powstanie, a ty w dniu mojej śmierci odrzucasz mnie i przeklinasz moje imię! O wspaniałe Byblos, kwitnąca Simiro, chytry Sydonie, silna Joppe, o wy, miasta, które jak jasne perły błyszczwałyście w mojej koronie, dlaczegoście mnie opuściły?! Ale zbyt was kocham, żebym mógł was znienawidzić z powodu waszego odstępstwa! Bo kocham Syrię właśnie za to, że jest taka, jaka jest, wiarolomna, okrutna, zagadkowa i gotowa do zdrady. Przemijają rody, ludy powstają i giną, zmieniają się królestwa, a sława i chwała uciekają jak cienie, ale wy pozostajcie! Pozostańcie, moje dumne miasta, błyszczcie nad brzegiem morza waszymi białymi murami u stóp czerwonych gór, świećcie z epoki na epokę, a moje prochy przyniesione wiatrem pustyni przylecą, by was obejmować!

Gdy tak mówił, dusza moja przepelniała się smutkiem i spostrzegłem, że wciąż jeszcze jest on więźniem swoich marzeń. I nie chciałem mu burzyć tych marzeń, ponieważ były dla niego pociechą w noc przed śmiercią. Toteż trzymałem jego

okaleczone dłonie w moich, on zaś ścisnął jęcząc moje ręce i mówił:

– Sinuhe, nie żałuję mojej śmierci i nie oplakuje klęski, bo tylko ten, kto waży się na wiele, może wiele wygrać, a zwycięstwo i wielkość Syrii miałem już niemal w ręku. Przez wszystkie dni swego życia byłem silny w miłości i silny w nienawiści i nie umiem sobie wyobrazić innego życia, i nie chciałbym zmienić jego biegu ani też nie żałuję żadnego uczynku, choć uczynki moje spłoty się w silny powróż, który spętał mnie i powiedzie mnie na haniebną śmierć, a ciało moje rzucone będzie na pożarcie szakalom. Zawsze byłem ciekawy, Sinuhe, i mam w sobie krew kupca, jak wszyscy Syryjczycy. Jutro muszę umrzeć, śmierć budzi we mnie wielką ciekawość i chciałbym wiedzieć, czy istnieje jakaś możliwość przekupienia jej i oszukania bogów, bo bardzo ponura wydaje mi się myśl o drugim świecie i o wiecznej wędrówce cieni w wiecznym mroku. Ty, Sinuhe, w sercu swoim zebrałaś mądrość wszystkich krajów. Zdradź mi więc sposób, w jaki mógłbym przekupić śmierć.

Ale ja potrząsnąłem głową i odparłem:

– Nie, Aziru! Wszystko inne człowiek może przekupić i oszukać. Można kupić sobie miłość i władzę, można kupić dobro i zło, można przekupić własną głowę i własne serce, ale urodziny i śmierć są nieprzekupne. Ale powiem ci dziś, w tę noc, kiedy płomień twojej lampy migoce: nie trzeba się obawiać śmierci, Aziru! Śmierć jest dobra. Wobec wszystkiego zła, które dzieje się na świecie, śmierć jest człowiekowi najlepszym przyjacielem. Jako lekarz nie wierzę już zbyt w krainę śmierci, a jako Egipcjanin nie wierzę w Kraj na Zachodzie i w zachowanie ciała, lecz śmierć zdaje mi się długim snem i chłodną nocą po upalnym dniu. Naprawdę, Aziru, życie jest gorącym pyłem, a śmierć chłodną wodą. W chwili śmierci zamykają się twoje oczy i nic już nie widzisz. W chwili śmierci ucisza się twoje serce i przestaje się skarżyć. W chwili śmierci drętwieją twoje dłonie i nie rwą się do czynu, w chwili śmierci nużą się twoje stopy i nie tęsknią już do kurzu bezkresnych dróg. Taka jest śmierć, Aziru, mój przyjacielu! Ale w imię naszej przyjaźni złożę chętnie za ciebie i za twoją rodzinę ofiarę z mięsa i napoju przed Baalem Amurru. Dla twojej królewskiej godności złożę ofiarę za ciebie i twoją rodzinę, jeśli przyniesie ci to pociechę, choć sam nie wierzę zbyt w ofiary. Ostrożność jest jednak cnotą i dlatego złożę za ciebie tę ofiarę, żebyś nie potrzebował cierpieć z głodu i pragnienia w krainie śmierci, nawet jeśli kraina taka nie istnieje.

Aziru zapalił się wielce usłyszawszy moje słowa i rzekł:

– Gdy będziesz składał ofiarę, weź owcę z Amurru, bo są to najtłustsze z wszystkich owiec i mięso ich rozplywa się w ustach. I nie zapomnij złożyć w ofierze owczej nerki, bo to mój przysmak. Możesz też ofiarować wino z Sydonu z domieszką mirry, bo krew

moja zawsze lubiła ciężkie wina i tłuste jedzenie. Chciałbym też, żebyś złożył w ofierze wygodne i mocne łoże, które wytrzymałoby nawet gwałtowne miłosne zapalenia, bo zaiste godności mojej jako króla nie przystoi leżeć w trawie na sposób pasterzy, choć trawa nie trzeszczy tak, jak nawet najmocniejsze łoże trzeszczy pod ciężarem Keftiu.

Wyliczył jeszcze mnóstwo innych rzeczy i cieszył się jak dziecko na myśl o tych wszystkich dobrych rzeczach, które zabierze z sobą do królestwa śmierci. W końcu jednak posmutniał i westchnąwszy głęboko oparł okaleczoną głowę na rękach i powiedział:

– Jeśli chcesz zrobić to wszystko dla mnie, Sinuhe, jesteś naprawdę moim przyjacielem. Nie rozumiem jednak, dlaczego miałbyś to uczynić, bo wyrządziłem ci wiele zła, tak jak wszystkim Egipcjanom. Mówiłeś też do mnie pięknie o śmierci i być może jest tak, jak mówisz, i śmierć jest tylko długim snem i chłodną wodą. Ale mimo to żal ściska mi za serce, gdy pomyślę o gałęzi kwitnącej jabłoni z Amurru i przypomnę sobie beczenie owiec i jagnięta hasające na górskich zboczach. A szczególnie boli mnie serce, gdy pomyślę o wiośnie w kraju Amurru i przypomnę sobie beczenie owiec i jagnięta hasające na górskich zboczach. A szczególnie boli mnie serce, gdy pomyślę o wiośnie w kraju Amurru, o kwitnieniu lilii, o ich żywicznym i balsamicznym zapachu, bo lilia to kwiat królewski, który dobrze się zgadza z moją osobą. Gdy myślę o tym wszystkim, boli mnie serce, bo wiem, że już nigdy więcej nie ujrzę kraju Amurru, ani na wiosnę, ani w jesieni, w letnim upale czy zimowych chłodach. Ale ta męka mego serca jest mi miła gdy myślę o kraju Amurru.

Tak rozmawialiśmy przez całą długą noc w namiocie, gdzie więziony był Aziru, i przypominaliśmy sobie nasze spotkania, kiedy jeszcze mieszkałem w Simirze i kiedy obaj byliśmy jeszcze młodzi i krzepcy. Aziru opowiadał mi też różne wydarzenia ze swego dzieciństwa, ale nie czas tu mówić o jego dzieciństwie, ponieważ dzieciństwo wszystkich ludzi jest jednakowe i wspomnienia z dzieciństwa mają dlatego wartość tylko dla wspominającego. O świecie przynieśli nam moi niewolnicy posiłek, a strażnicy nie przeszkadzali im, bo dostali również część tego posiłku. Niewolnicy przynieśli nam gorącej, tłustej baraniny i kaszy prażonej w tłuszczu i napełnili nasze puchary mocnym winem z Sydonu mieszanym z mirrą. Kazałem im też obmyć Aziru z brudu, którym go obrzucono, uczesać mu włosy i przykryć poszarpaną brodę siatką utkana z złotych nitek. Jego porwane szaty i kajdany przykryliśmy królewskim płaszczem, kajdan tych nie można już było zdjąć, gdyż Hetyci zakuli go w miedziane łańcuchy, tak więc nie mogłem ubrać go w nowe szaty. Taką samą przysługę oddali moi niewolnicy również Keftiu i obu jego synom, lecz Horemheb pozwolił Aziru spotkać się z żoną i synami

dopiero na miejscu stracenia.

Gdy nadeszła ta chwila i gdy Horemheb wyszedł przed swój namiot wraz z pijanymi hetyckimi książętami, opierając się na ich barkach i śmiejąc głośno, podszedłem do niego i powiedziałem:

– Horemhebie, wyświadczyłem ci wiele usług i być może uratowałem ci życie wyciągnąwszy ci pod Tyrem z uda zatrutą strzałę i wyleczywszy cię z rany. Zrób mi więc ty teraz przysługę i pozwól temu Aziru umrzeć bez hańby, bo był on jednak królem Syrii i walczył dzielnie. Twoja sława wzrośnie, jeśli pozwolisz mu umrzeć bez hańby, a twoi hetyccy przyjaciele już go dość namęczyli i połamali mu członki, by wymusić zeznanie, gdzie ukrył swoje skarby.

Horemheb spochmurniał na moje słowa, wymyślił bowiem wiele chytrych sposobów, by przedłużyć walkę Aziru ze śmiercią, i wszystko było do tego przygotowane. Cała armia już od świtania zebrała się u stóp pagórka, gdzie miało się odbyć stracenie, dochodziło do bijatyk o miejsca, z których można było najlepiej widzieć, bo każdy chciał mieć przyjemny dzień. A Horemheb zarządził tak nie dlatego, by lubił długą walkę ze śmiercią lub też chciał rozkoszować się mękami Aziru, lecz po to, żeby dać rozrywkę żołnierzom i rzucić postrach na całą Syrię, aby nikt nie ważył się śnić o powstaniu po strasznej śmierci Aziru. Muszę to stwierdzić na chwałę Horemheba, bo nie był to człowiek z natury okrutny, jak o nim opowiadają. Był on wojownikiem i śmierć była tylko bronią w jego ręku. Pozwalał jednak chętnie, by w legendach przesadzano jego okrucieństwo, żeby napędzać strachu swoim wrogom i zdobywać szacunek ludzki. Wierzył bowiem, że lud bardziej czci władcę okrutnego niż łagodnego i że łagodność uważa u władcy za słabość.

Toteż Horemheb wysłuchał mnie z ponurą miną i zdjawszy rękę z szyi księcia Szubattu stał przede mną kołyszając się i bijąc po nogach swoim złotym biczem. I rzekł:

– Ty, Sinuhe, jesteś mi wiecznym cierniem w oku i zaczynam już mieć ciebie dość, bo odwrotnie niż wszyscy rozsądni ludzie jesteś wciąż rozgoryczony i kąśliwymi słowy łżysz każdego, kto odnosi sukcesy i wznosi się ku bogactwu i sławie, ale gdy ktoś upadnie zwyciężony, jesteś pierwszym, który się nad nim lituje i go pociesza. Wiesz doskonale, że z wielkimi trudnościami i nakładem kosztów kazałem tu dla tego Aziru sprowadzić najzręczniejszych oprawców z całej Syrii i że już samo ustawienie tych wszystkich urzędzeń do łamania i przypiekania na wzgórzu widocznym dla całej armii kosztowało mnie kupę srebra. Nie mogę teraz, w ostatniej chwili, pozbawiać moich błotnych szczurów przyjemności, bo wycierpieli wiele trudów i krwawili z wielu ran przez Aziru.

Hetycki książę Szubattu klepnął go po plecach, zaśmiał się i zawołał:

– Dobrze mówisz, Horemhebie! Nie zamierzasz chyba pozbawić nas przyjemności, bo żeby zachować coś i dla twojej uciechy, nie odrywaliśmy mu mięsa od kości i tylko troszkę dręczyliśmy go obcęgami i świdrami.

Ale Horemhebowi nie spodobały się – w jego próżności – te słowa Szubattu, nie był też zadowolony z tego, że książę go poklepał. Toteż zmarszczył brwi i rzekł:

– Pijanyś, Szubattu, i nie rozumiesz, że jeśli chodzi o Aziru, zmierzam tylko do tego, by pokazać całemu światu, jaki los czeka każdego, kto zaufa Hetytom. Ponieważ jednak zostaliśmy tej nocy przyjaciółmi i wychyliliśmy niejeden puchar na znak braterstwa, oszczędzę tego twego sprzymierzeńca, Aziru, i ze względu na naszą przyjaźń obdaruję go lekką śmiercią.

Szubattu wpadł na te słowa w taką wściekłość, że pobladł i twarz skurczyła mu się z gniewu, bo Hetyci pilnie strzegą swojej czci, choć wszystkim wiadomo, że zdradzają i sprzedają swoich sprzymierzeńców bez skrupułów, gdy nie mają już z nich żadnej korzyści, a mogą więcej zyskać na zdradzie. W taki sposób postępuje wprawdzie każdy lud i każdy mądry władca, lecz Hetyci robią to bezczelniej niż inne ludy, nie troszcząc się o wynajdywanie tłumaczeń i wyjaśnień, które upiększają sprawę i nadają jej pozory słuszności. Szubattu rozgniewał się jednak, ale towarzysze jego zatkali mu usta rękoma, odciągnęli go od Horemheba i trzymali mocno, dopóki z bezsilnej wściekłości nie zwymiotował wypitego wina i nie uspokoił się.

Horemheb kazał, by Aziru wyprowadzono z namiotu więziennego, i zdziwił się wielce ujrawszy, że Aziru staje wobec tłumu z podniesioną głową i dumny jak król, w królewskim płaszczu na ramionach. Aziru bowiem, podjadłszy tłustego mięsiwa i napiwszy się mocnego wina, zadzierał buńczucznie nosa i śmiał się głośno idąc na stracenie, i obrzucał obelgami i strażę Horemheba. Włosy miał uczesane i ufryzowane, twarz jego lśniła od oliwy i wołał do Horemheba ponad głowami żołnierzy:

– O Horemhebie, ty parszywy Egipcjaninie! Nie bój się mnie już, bo jestem pobity, nie potrzebujesz się już chować za oszczepami twoich żołnierzy. Chodź no tu, żebym mógł otrzeć stopy z brudu o twój płaszcz, bo doprawdy bardziej niechlujnego obozu nie widziałem w życiu, a chcę stanąć przed moim Baalem z czystymi stopami.

Horemhebowi ogromnie się spodobały te słowa, zaśmiał się głośno i zawołał do Aziru:

– Nie mogę do ciebie podejść, bo robi mi się niedobrze od twego syryjskiego smrodu, mimo że udało ci się gdzieś ukraść płaszcz, żeby przykryć twoje brudne cielsko. Ale niewątpliwie jesteś dzielnym człowiekiem, Aziru, skoro drwisz ze śmierci. Dlatego też

dla mojej własnej chwały podaruję ci lekką śmierć.

I posłał po niego swoją straż przyboczną, każąc, by nie pozwalała żołnierzom obrzucać go błotem, a wszarze otoczyli Aziru i drzewcami oszczepów bili w usta każdego, kto próbował go łyć, bo już nie czuli do niego nienawiści z powodu cierpień, jakich im przysporzył, lecz podziwiali jego odwagę. Także i Keftiu, i obu synów Aziru odprowadzili na miejsce stracenia, a Keftiu wystroiła się na sposób kobiet i pomalowała sobie twarz na białą i czerwono, chłopcy zaś szli na miejsce stracenia dumnie, jak przystało na królewskich synów, i starszy prowadził za rączkę młodszego. A gdy Aziru ich zobaczył, osłabł i zawołał:

– Keftiu, Keftiu, moja biała klaczy, żrenico mego oka i moja miłości! Bardzo jestem zgnębiony, że musisz iść ze mną na śmierć, bo życie mogłoby jeszcze być dla ciebie bardzo rozkoszne.

Ona zaś odparła:

– Nie martw się z mego powodu, królu mój, bo chętnie pójdę z tobą do krainy śmierci. Jesteś moim małżonkiem i silny jesteś jak byk, tak że nie sądzę, by jakiś inny mężczyzna mógł jeszcze zadowolić mnie po twojej śmierci. Przez całe życie odsuwałam od ciebie wszelkie inne kobiety i związałam cię z sobą. Dlatego nie pozwolę ci pójść samemu do krainy śmierci, bo tam czekają na ciebie piękne kobiety, które żyły przede mną. Toteż lepiej być ostrożnym i poszłabym za tobą, nawet gdyby mi pozwolono żyć. Naprawdę, zadusiłabym się własnymi włosami, mój królu, bo byłam tylko niewolnicą, ty zaś zrobiłeś ze mnie królową i urodziłam ci dwóch dorodnych synów.

Aziru ucieszył się wielce jej słowami i nabrawszy otuchy z radością powiedział do synów:

– Moi śliczni chłopcy! Przyszliście na świat jako królewscy synowie. Umrzyjcie też jako królewscy synowie, żebym nie potrzebował się za was wstydzić. Wierzcie mi, śmierć nie boli więcej niż wyrwanie zęba. Bądźcie więc mężni, moi urodziwi chłopcy!

Powiedziawszy to ukląkł na ziemi przed katem, zwrócił się znowu do Keftiu i rzekł:

– Mam już dość widoku tych śmierdzących Egipcjan dokoła siebie i mam już dość oglądania ich okrwawionych oszczepów. Obnaż zatem dla mnie twoje bujne piersi, Keftiu, żebym mógł patrzeć na ich piękno, gdy będę umierał, a umrę tak szczęśliwy, jak szczęśliwy żyłem z tobą.

Keftiu obnażyła przed nim swoje dorodne piersi, a kat podniósł ciężki miecz i jednym cięciem oddzielił mu głowę od ciała. Głowa ta padła do stóp Keftiu, a krew Aziru trysnęła z jego ciała z taką siłą ostatnich uderzeń tętna, że splamiła szaty jego synów, którzy cofnęli się przestraszeni, a młodszy zaczął drżeć. Lecz Keftiu podniosła

z ziemi głowę Aziru, pocałowała jego nabrzmiałe wargi i pieściła poszarpane policzki, przyciskając tę głowę do swoich miękkich piersi, i powiedziała do synów:

– Śpieszcie się, moi dzielni chłopcy, idźcie bez lęku za waszym ojcem, moi maleńcy, bo matka wasza czeka niecierpliwie, by pójść za nim.

Malcy ukłękli więc grzecznie, a starszy wciąż trzymał młodszego za rączkę opiekuńczo. Kat z łatwością ściał ich główki z wątych chłopięcych karków, potem zaś ściał również jednym cięciem tłustą, białą szyję Keftiu, tak że wszyscy mieli lekką śmierć. Zwłoki ich kazał Horemheb rzucić na pożarcie dzikim zwierzętom.

ROZDZIAŁ 5

Tak umarł mój przyjaciel Aziru, nie próbując przekupić śmierci, a Horemheb zawarł pokój z Hetytami, choć równie dobrze jak Hetyci wiedział, że pokój ten był tylko zawieszeniem broni, bo Sydon, Simira, Byblos i Kadesz wciąż jeszcze pozostawały we władaniu Hetytów, którzy zrobili z Kadesz wielką twierdzę i silny punkt oparcia dla swego panowania w północnej Syrii. Lecz zarówno Horemheb jak i Hetyci byli już zmęczeni wojną i Horemheb wielce się cieszył, że może zawrzeć pokój, bo musiał dopilnować swoich interesów w Tebach oraz przywrócić porządek w kraju Kusz i wśród Murzynów, którzy zdziczeli na wolności i nie chcieli już płacić podatków Egipcjom.

W latach tych w Egipcie panował faraon Tutanchamon, ale choć był to tylko młody chłopaczek, który nie miał żadnych innych zainteresowań prócz budowania własnego grobowca, lud winił go za wszelkie spowodowane wojną cierpienia i straty i wielce go nienawidził mówiąc:

– Czego można spodziewać się po faraonie, którego małżonka jest z krwi przeklętego faraona!

Eje zaś wcale nie tłumił nienawiści ludu i kazał rozpowszechniać wciąż nowe historie o bezmyślności i chciwości Tutanchamona, który usiłował zebrać wszystkie skarby Egiptu, by mieć je w swoim grobowcu. Nałożył nawet na lud podatek grobowy, żeby uzyskać środki na budowę grobowca, tak że każdy, kto umarł w Egipcie, musiał płacić faraonowi podatek za zachowanie ciała na wieczne czasy, pomyśl ten jednak podsunął mu Eje, ponieważ wiedział, że wywoła to gniew ludu.

Przez cały ten czas nie odwiedzałem Teb, lecz towarzyszyłem armii znosząc trudy i wyrzeczenia, bo armia potrzebowała mojej sztuki lekarskiej. Ale ci, którzy przybywali z Teb, opowiadali, że faraon jest wąty i chorowity i że jakaś tajemnicza choroba trawi jego ciało. Mówili też, że wyglądało to tak, jak gdyby wojna w Syrii podkopała siły faraona, bo za każdym razem, gdy przychodziły wieści o zwycięstwach Horemheba, faraon ulegał atakowi choroby, natomiast gdy przychodziła wiadomość o porażce, stan

jego zdrowia się poprawiał i faraon wstawał z łoża. Mówili też, że to z pewnością czary i że każdy, kto odważy się mieć oczy otwarte, wyraźnie może zobaczyć, jak stan zdrowia faraona Tutanchamona zależy od wojny w Syrii.

Z biegiem czasu Eje robił się coraz to niecierpliwszy i raz po raz posyłał gońców do Horemheba.

„Skończ wreszcie tę wojnę i daj Egiptowi pokój, bo jestem już stary i dość mam czekania. Zwycięz więc wreszcie, Horemhebie, i daruj Egiptowi pokój, żebym mógł dostać moją nagrodę stosownie do naszego układu, a ja postaram się, żebys i ty mógł dostać swoją.”

Toteż wcale się nie zdziwiłem, gdy po zakończeniu wojny, kiedy płynęliśmy w górę Rzeki uroczystym orszakiem wojennych okrętów z powiewającymi proporczykami, dosięgła nas wiadomość, że faraon Tutanchamon wstąpił w złotą łódź swego boskiego ojca Amona, by popłynąć do Kraju na Zachodzie. Musieliśmy ściągnąć proporce i pobrudzić twarze sadzą i popiołem. Opowiadano, że faraon dostał silnego ataku swojej choroby tego samego dnia, kiedy przyszła do Teb wiadomość o zdobyciu Megiddo i zawarciu pokoju. A lekarze w Domu Życia spierali się między sobą, na jaką chorobę umarł. Chodziły bowiem słuchy, że brzuch jego poczerniał od trucizny, nikt jednak nie wiedział nic pewnego i lud mówił, że faraon umarł ze złości, iż wojna się skończyła, gdyż jego największą radością było oglądanie cierpień Egiptu. Ja jednak wiem, że gdy Horemheb odciskał swoją pieczęć w glinie pod traktatem pokojowym, zabił faraona równie niechybnie, jak gdyby własnoręcznie wbił mu nóż w serce. Bo Eje czekał tylko na pokój, by usunąć Tutanchamona z drogi i wstąpić na tron jako ten, który niesie pokój.

Dlatego musieliśmy pobrudzić twarze i opuścić na okrętach barwne proporczyki. A Horemheb, bardzo rozgoryczony, kazał wrzucić do Rzeki syryjskich i hetyckich dowódców, których na wzór wielkich faraonów powiesił na dziobie swego okrętu głowami na dół. Swoich błotnych szczurków zostawił w Syrii, by wprowadzali pokój do tego kraju i tuczyl się tłustością Syrii po wszystkich trudach wojny. Wszarzy natomiast zabrał Horemheb z sobą do Teb, by nacieszyli się zwycięstwem. Oni także byli rozgoryczeni i przeklinali Tutachamona, z którego nie mieli żadnej pociechy za jego życia, a który jeszcze po śmierci psuł im radość.

Tak to wróciłem do Teb i postanowiłem już nigdy stąd nie wyjeżdżać, bo oczy moje napatrzyły się dość ludzkiego zła i nie miały już do zobaczenia nic nowego pod starym słońcem. Toteż postanowiłem zostać na zawsze w Tebach i żyć w ubóstwie w dawnym domu odlewacza miedzi, w dzielnicy biedoty, bo wszystkie dary, jakie dostałem w Syrii za moją sztukę lekarską, zużyłem na grobowe ofiary dla Aziru, gdyż nie chciałem

zachować nic z tego bogactwa. W moich nozdrzach miało ono bowiem woń krwi i nie czułbym żadnej radości, gdybym był je zużył dla siebie. Toteż podarowałem Aziru wszystko, co zebrałem w jego kraju, i wróciłem do Teb ubogi.

Jeszcze jednak nie wypełniła się miara mojego życia, bo było mi jeszcze sądzone zadanie, którego sobie nie życzyłem i które mnie przerażało, lecz którego nie mogłem uniknąć. Aby go dokonać, musiałem raz jeszcze wyjechać z Teb i to już po kilku dniach pobytu. Kapłanowi Eje i Horemhebowi zdawało się bowiem, że tkają swoją sieć bardzo mądrze i przeprowadzają swoje plany bardzo chytrze, i sądzili, że mają już władzę w rękę, lecz władza ta wysliznęła im się z rąk, zanim to przeczuli, i losy Egiptu zaczęły zmierzać w zupełnie nowym kierunku z powodu kobiecego kaprysu. Toteż opowiedzieć o królowej Nefretete i księżniczce Baketamon, zanim będę mógł skończyć swoją opowieść i wreszcie zażyć spokoju. Żeby jednak o tym opowiedzieć, zacznę nową księgę i niech będzie ona ostatnią z tych, które piszę, a piszę ją dla siebie samego, żeby wyjaśnić, dlaczego ja, który byłem stworzony na uzdrowiciela, zostałem mordercą.

KSIĘGA PIĘTNASTA HOREMHEB

ROZDZIAŁ I

Stosownie do porozumienia z Horemhebem regent Eje gotów był włożyć na swoją głowę korony faraonów, gdy tylko zakończone zostaną ceremonie pogrzebowe. W tym celu przyśpieszał balsamowanie zwłok Tutanchamona i jego pogrzeb i zakończył budowę jego grobowca, każąc zrobić go małym i niepozornym w porównaniu z grobami innych faraonów i zachowując na własny użytek wielką część skarbów, które Tutanchamon zamierzał zabrać z sobą do grobu. Ale stosownie do tego porozumienia Eje miał również skłonić księżniczkę Baketamon, by zgodziła się zostać małżonką Horemheba. Jako jej małżonek Horemheb mógłby prawnie domagać się koron Egiptu po śmierci Eje, choć urodził się ze stopami uwalanymi w gnoju. Toteż Eje umówił się z kapłanami, że księżniczka Baketamon ukaże się Horemhebowi w postaci bogini

w świątyni Sachmet, gdy Horemheb będzie tam obchodził święto zwycięstwa po zakończeniu uroczystości żałobnych, i że odda się ona Horemhebowi w świątyni Sachmet, żeby związek ich uzyskał błogosławieństwo bogów i żeby także Horemheb stał się boski. Tak ułożył to Eje z kapłanami, ale księżniczka Baketamon knuła własny plan i przygotowała go starannie, ja zaś wiem, że do planu tego popchnęła ją królowa Nefretete, która nienawidziła Horemheba i liczyła na to, iż jeśli plan ten się powiedzie, ona zostanie najpotężniejszą kobietą w Egipcie obok Baketamon.

Plan ich był tak bezbożny i straszliwy, że tylko chytryść rozgoryczonej kobiety może wymyślić coś podobnego, i tak niewiarygodny, że właśnie z powodu samego nieprawdopodobieństwa bliski był udania się, ponieważ nikt nie mógłby sobie czegoś podobnego wymyślić, a gdyby wymyślił, uważałby to za niemożliwe do spełnienia. Dopiero gdy go wyjawiono, stało się zrozumiałe, dlaczego Hetyci tak szczerze ofiarowywali pokój i odstąpili Megiddo i kraj Amuru, i poszli na różne ustępstwa. Hetyci byli to bowiem ludzie rozsądni i chowali w swoim kołczanie strzałę, o której nie mieli zupełnie pojęcia Horemheb i Eje. Tak więc Hetyci zawierali pokój w przekonaniu, że nic nie tracą na swoich ustępstwach. Już sama ich gotowość zawarcia pokoju powinna była wzbudzić podejrzenia Horemheba, ale wojenne powodzenia zaślepily go i sam pragnął pokoju, żeby umocnić swoją władzę w Egipcie i zdobyć wreszcie księżniczkę Baketamon na małżonkę, zbyt wiele lat bowiem czekał na Baketamon, a czekanie spotęgowało jego pragnienie krwi królewskiej, tak że żądza stała się dlań nie do zniesienia. Toteż nie chciał nic podejrzewać i nie widział chytryści Hetytów.

Po śmierci małżonka, gdy Nefretete zmuszona była złożyć ofiarę Amonowi, nie mogła ścierpieć myśli, że jest zupełnie odsunięta od rządów w Egipcie i że każda kobieta w Złotym Domu jest jej równa. Wciąż jeszcze była bardzo piękna mimo swojego wieku, choć uroda jej była pięknnością zużytą i wiele razy odświeżaną i wymagała dla swego zachowania wiele pielęgnacji i środków upiększających. Ale pięknnością tą zdobyła ona dla siebie wielu egipskich możnych, którzy spędzali życie w Złotym Domu, krążąc jak bezużyteczne trutnie wokół nic nie znaczącego faraona. Z pomocą mądrości i podstępności udało jej się także zostać przyjaciółką księżniczki Baketamon. Podsyciała wrodzoną dumę księżniczki aż do płomiennego ognia, który trawił jej serce, tak że pycha Baketamon stała się w końcu bardziej szaleństwem niż wrodzonym naturze ludzkiej uczuciem. Księżniczka zrobiła się tak pyszna z powodu swojej świętej krwi, że nie pozwalała nawet żadnemu zwykłemu człowiekowi, by dotknął jej czy choćby tylko musnął jej cień. Przez całe życie zachowała się dumnie nietknięta, uważała bowiem, że w Egipcie nie ma mężczyzny, który byłby jej godny, bo

w żyłach jej płynie krew wielkich faraonów. Baketamon miała więc już za sobą wiek, w którym zwykle wychodzi się za mąż, i sędzę, że dziewictwo uderzyło jej na mózg i zrobiło chorym jej serce, choć przypuszczam, że dobre łożo małżeńskie mogło by ją jeszcze uleczyć. Była ona wciąż jeszcze piękna, a duma czyniła tę jej piękność odporną na bieg czasu i Baketamon pielęgnowała ją troskliwie, choć żadnemu niewolnikowi nie wolno było dotknąć jej ciała.

Nefretete podsycala jej pychę, jak tylko umiała, wmawiając jej, że jest urodzona do wielkich czynów i że powinna zbawić Egipt z rąk władców niskiego rodu. Opowiadała jej o wielkiej królowej Hatszepsut, która przyczepiła sobie do szczęki królewską brodę i opasana lwim ogonem rządziła Egiptem na tronie faraonów. Chodziły razem do wzniesionej na skale świątyni Hatszepsut, błyszczącej białymi kolumnami, na porośnięty mirtem taras świątyni, i oglądały posągi wielkiej królowej, a Nefretete wmawiała Baketamon, że piękność jej dorównuje piękności Hatszepsut.

Mówiła też do niej bardzo źle o Horemhebie, tak że Baketamon w swej dziewiczej dumie zaczęła truchleć przed Horemhebem, który jako człowiek niskiego stanu był mocniej zbudowany i o głowę wyższy od możnych Egiptu. Nie mogła pogodzić się z myślą, że Horemheb będzie ją posiadał i zada jej gwałt w brutalny żołnierski sposób, i pohańbi jej świętą krew. Serce ludzkie jest jednak zagadkowe i pełne sprzeczności, toteż sędzę, że zaczęła nienawidzić Horemheba przede wszystkim dlatego, iż jego siła i dzikość potajemnie ją nęciły, a gdy Horemheb przyszedł jako młodzieniec do Złotego Domu, za dużo go widywała i rozpalala się od jego spojrzeń, choć nigdy się do tego nie przyznała nawet przed sobą.

Łatwo więc było Nefretete wywierać wpływ na Baketamon, w czasie gdy plany Eje i Horemheba stawały się coraz bardziej oczywiste, a faraon Tutanchamon gasł, w miarę jak wojna w Syrii zbliżała się ku końcowi. Nie sędzę nawet, by Eje krył się ze swoimi planami przed Nefretete, bo Nefretete była jego rodzoną córką. Toteż nietrudno jej było odgadnąć grę o wysoką stawkę, w którą Eje i Horemheb grali potajemnie. Lecz Nefretete nienawidziła swego ojca, bo wykorzystawszy jej stanowisko, odsunął ją na bok i trzymał w zapomnieniu w Złotym Domu, gdyż była małżonką przeklętego faraona, nie pozwalając jej nawet brać udziału w dworskich zabawach. Myślę, że były też inne przyczyny, dla których Nefretete nienawidziła swego ojca Eje, ale nie chcę o nich wspominać, bo nie jestem ich zupełnie pewny i nie wierzę we wszystkie plotki szeptane w Złotym Domu, choć wiem, że Złoty Dom to dom mroczny, który kryje w swoich ścianach najrozmaitsze straszne sprawy. Powiem tylko, że piękność w połączeniu z mądrością u kobiety, która ma serce z kamienia, są bardziej niebezpieczne niż obnażone

noże i ranią gorzej niż miedziane kosy wozów bojowych. I nie sądzę, by na tym świecie było coś bardziej zgubnego niż kobieta piękna i mądra, lecz bez serca. Dowodzi tego najlepiej plan, który uknuła Nefretete i dla którego pozyskała księżniczkę Baketamon.

Ten chytry plan wyszedł na jaw, dzięki temu, że Horemheb natychmiast po przybyciu do Teb, miotany niecierpliwością, zaczął krążyć koło siedziby księżniczki Baketamon, żeby ją zobaczyć i móc z nią porozmawiać, choć ona nie chciała go przyjąć i odmawiała prośbom o zobaczenie się z nią. Horemheb zauważył przy tym przypadkiem hetyckiego posła, który przyszedł na rozmowę z Baketamon, i zaczął się zastanawiać, po co Baketamon przyjęła tego posła i dlaczego tak długo u niej zabawił. Na własną rękę i nikogo nie pytając kazał więc uwięzić Hetytę, ten zaś w swojej bucie zaczął mu grozić używając słów, które może wypowiedzieć jedynie ktoś pewny swej siły.

Horemheb opowiedział o wszystkim Eje i w nocy obaj wtargnęli gwałtem do siedziby Baketamon, zabili broniących im dostępu niewolników i znaleźli ukryte w popiele w misce z żarem listy. A gdy przeczytali te gliniane tabliczki, ogromnie się przerażili, zamknęli Baketamon w jej izbie i kazali pilnować jej i Nefretete. I jeszcze tej samej nocy przyszedł do mnie, do dawnego domu odlewacza miedzi, który Muti kazała odbudować na nowo po pożarze za srebro posłane jej przez Kaptaha. Przybyli w mroku nocy, w prostej lektyce, kryjąc twarze. Muti nie poznała ich, ale wpuściła, gniewnie sarkając, bo domagali się, żeby mnie zbudzić. Ja jednak nie spałem, bo od powrotu z Syrii sypiałem źle, gdyż dręczyły mnie wspomnienia tego, co widziałem tam w czasie wojny. Toteż słysząc gderanie Muti wstałem z łóżka, zapaliłem lampy i przyjąłem gości pewny, że potrzebują mojej pomocy lekarskiej. Poznawszy ich, wielce zdumiony, kazałem Muti podać nam wina i odesłałem ją z powrotem do łóżka, choć Horemheb tak był wystraszony, że chciał zabić Muti, bo widziała ich twarze i mogła podsłuchać naszą rozmowę. Nigdy jeszcze nie widziałem Horemheba tak przestraszonego i sprawiło mi to wielkie zadowolenie. Toteż powiedziałem:

– Nie pozwolę, żebyś zabił Muti! Musisz chyba mieć niedobrze w głowie, skoro wygadujesz takie rzeczy. Staruszka źle słyszy i śpi chrapiąc jak krokodyl. Jeśli chwilę poczekasz, usłyszysz niebawem jej chrapanie. Pij więc wino i bądź pewien, że nie potrzebujesz żywić żadnych obaw, jeśli chodzi o tę starą.

On jednak odparł niecierpliwie:

– Nie przyszedłem do ciebie, by gadać o chrapaniu, Sinuhe. Jedno ludzkie życie więcej czy mniej – to obojętne, bo Egipt jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i ty musisz go ocalić.

A Eje potwierdził jego słowa:

– Naprawdę, Sinuhe, Egipt jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i mnie też ono grozi! Tak wielkie niebezpieczeństwo nigdy jeszcze nie groziło Egipcjom. Dlatego też zwracamy się w naszej biedzie do ciebie, Sinuhe.

Śmiałem się z nich gorzko, rozkładając bezradnie ręce, lecz Horemheb wyjął gliniane tabliczki króla Suppiluliumasa i dał mi je przeczytać, dał mi też do przeczytania kopie listów, które Baketamon wysłała do Hattusas, do króla Hetytów, przed zakończeniem wojny. Gdy je przeczytałem, odeszła mnie ochota do śmiechu, a wino straciło smak w moich ustach, bo Baketamon tak pisała do króla Hetytów:

„Jestem córką faraona i w żyłach moich płynie święta krew, a w całym Egipcie nie ma nikogo, kto byłby mnie godny. Słyszałam, że masz wielu synów. Poślij jednego z nich do mnie, żebym stłukła z nim dzban, a syn twój będzie przy moim boku władać nad krajem Kem”.

List ten był tak niewiarygodny, że ostrożny Suppiluliumas zrazu nie uwierzył w niego i przez tajnego posła wysłał do Baketamon bardzo chytrze sformułowaną glinianą tabliczkę pytając o jej warunki. Ale Baketamon nowym listem potwierdziła swoją propozycję zapewniając, że możni egipscy stoją po jej stronie i że ma za sobą także kapłanów Amona. List ten przekonał Suppiluliumasa o rzetelności zamiarów Baketamon. Toteż pośpieszył on zawrzeć pokój z Horemhebem i przygotowywał się w najlepsze do wysłania do Egiptu swego syna Szubattu. Było postanowione, że Szubattu pomyślnego dnia wyjedzie z Kadesz z mnóstwem podarunków dla Baketamon, a sądząc z ostatniej glinianej tabliczki znajdował się on już w drodze do Egiptu wraz ze świętą.

– Na wszystkich bogów Egiptu! – wykrzyknąłem. – W jaki sposób mogę wam pomóc? Jestem przecież tylko lekarzem i nie potrafię nakłonić szalonego kobiecego serca do przychylności dla Horemheba!

– Raz już nam dopomogłeś – odparł Horemheb. – A kto raz chwycił za wiosło, musi wiosłować dalej, czy chce, czy nie chce. Pojedziesz na spotkanie księcia Szubattu i dopilnujesz, żeby nie dotarł do Egiptu. Jak tego dokażesz, nie wiemy i nie chcemy wiedzieć. Mówię ci tylko, że nie możemy zamordować go otwarcie w czasie podróży, bo to by wywołało nową wojnę z Hetytami, ja zaś chcę sam wybrać chwilę rozpoczęcia tej nowej wojny.

Słowa jego przeraziły mnie tak, że kolana zaczęły się trząść pode mną, serce drżało mi ze strachu, a język plątał mi się w ustach, gdy zawołałem:

– Choć to prawda, że już raz wam dopomogłem, jednak uczyniłem to wtedy tak samo dla siebie, jak dla Egiptu. Ten książę zaś nie zrobił mi nic złego i widziałem go tylko raz w życiu, przed twoim namiotem, w dniu śmierci Aziru. Nie, Horemhebie, raczej

umrę, niż zostanę skrytobójcą, bo nie ma haniebniejszej zbrodni jak skrytobójstwo. Jeśli nawet podałem Echnatonowi śmiertelny napój, uczyniłem to dla jego dobra, bo był chory, a ja byłem jego przyjacielem.

Horemheb zmarszczył brwi i zaczął uderzać się biczem po nogach, a Eje rzekł:

– Jesteś mądrym człowiekiem, Sinuhe, i doskonale rozumiesz, że nie możemy dopuścić do zguby królestwa w łóżnicy kapryśnej kobiety. Księżę musi umrzeć w drodze do Egiptu, nie obchodzi mnie, czy umrze skutkiem nieszczęśliwego wypadku, czy skutkiem choroby, byle tylko umarł. Toteż wyjedziesz mu na spotkanie do Synaju, jako wysłannik Baketamon i jako lekarz, żeby zbadać, czy jest zdolny do wykonywania obowiązków małżeńskich. On w to uwierzy bez zastrzeżeń, przyjmie cię dobrze i będzie cię dużo wypytywał o Baketamon, bo nawet księżęta są ludźmi i przypuszczam, że musi być bardzo ciekawy, z jaką to wiedźmą Egipt chce go związać. O, Sinuhe, zadanie twoje będzie łatwe i nie do pogardzenia są dary, które przyniesie ci jego spełnienie, bo gdy je wykonasz, będziesz bogatym człowiekiem.

A Horemheb dodał:

– Wybieraj szybko, Sinuhe, bo wybierasz życie lub śmierć. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli odmówisz, musisz umrzeć usłyszawszy to wszystko, nawet gdybyś po tysiąckroć był moim przyjacielem. Tajemnica ta jest bowiem tajemnicą faraona i nie może o niej wiedzieć nikt. Imię, które nadała ci twoja matka, złym było znakiem, bo już i tak znasz zbyt dużo tajemnic faraonów. Powiedz zatem tylko słowo, a przetrznę ci gardło od ucha do ucha, choć uczynię to niechętnie, bo jesteś naszym najlepszym sługą i nie możemy tej sprawy powierzyć nikomu innemu. Ty bowiem jesteś z nami związany wspólną zbrodnią, a także tę nową zbrodnię chętnie z tobą podzielimy, jeśli oczywiście zbrodnią jest w twoim mniemaniu ratowanie Egiptu przed Hetytami i przed panowaniem szalonej kobiety.

Tak więc znalazłem się w sieci utkanej z własnych moich uczynków, a sieć ta była mocna i trzymała mnie spletanego tak, że nie mogłem rozedrzeć ani jednego jej oka. Moje własne czyny były powrozem, który mnie związał, i to ja sam splotłem ten powróż, którego początek leżał daleko za mną w czasie i sięgał aż do nocy śmierci wielkiego faraona, do wizyty Ptahora w domu mojego ojca, do rzeki, po której płynąłem w łódce z sitowia w noc mego urodzenia. W chwili gdy podałem faraonowi Echnatonowi śmiertelny napój, ostatecznie związałem swoje losy z losami Horemheba i Eje, choć w trosce i gorczy nie wiedziałem wtedy o tym.

– Wiesz dobrze, że nie boję się śmierci, Horemhebie – powiedziałem, na próżno usiłując wykrzesać z siebie odwagę, bo choć dużo mówiłem o śmierci i przywoływałem

ją do siebie, to jednak była ona dla mnie wstrętnym i zimnym gościem w ciemną noc i nie chciałem, by tępy nóż przeciął mi gardło.

Piszę to wszystko dla siebie samego, nie próbując nic upiększać, i dlatego przyznaję ku mojej hańbie, że myśl o śmierci owej nocy napełniła mnie wielkim przerażeniem, najbardziej może dlatego, iż śmierć przyszła do mnie tak nagle i niespodziewanie, że nie zdążyłem się przygotować na jej przyjęcie. Może gdybym się na nią przygotował, nie bałbym się jej tak bardzo. Ale pomyślałem o szybkich jak strzała jaskółkach nad Rzeką i o portowym winie, o gęsi przyrządzanej przez Muti na sposób tebański i o tym, że Echnaton musiał umrzeć, żeby Egipt mógł żyć i żeby Horemheb mógł siłą zbrojną odeprzeć napaść Hetytów. A przecież Echnaton był moim przyjacielem, ten zaś książę z obcego ludu był mi zupełnie obcy i z pewnością swoimi czynami w czasie wojny zasłużył po stokroć na śmierć. Dlaczegoż miałbym się wahać, dlaczego nie miałbym zamordować go dla uratowania Egiptu, skoro już raz dałem Echnatonowi śmiertelny napój, żeby uratować Egipt? Poczulem wielkie zmęczenie i tłumiąc ziewanie odezwałem się do nich:

– Odlóż ten nóż, Horemhebie, bo widok tępego noża bardzo mnie drażni. Niech będzie tak, jak mówisz. Uratuję więc Egipt przed władaniem Hetytów, ale jak zdołam tego dokonać, nie wiem jeszcze doprawdy, bo niewątpliwie Hetyci zabiją mnie, gdy książę umrze. Nie dbam już jednak zbytnio o życie i nie chcę, żeby Hetyci panowali w Egipcie, nie zrobię więc tego dla darów czy pięknych obietnic, lecz dlatego, że czyn ten zapisany był w gwiazdach jeszcze przed moim urodzeniem i nie mogę go uniknąć. Weźcie więc wasze korony i błogosławcie moje imię, bo ja, skromny lekarz, czynię z was faraonów.

Gdy to powiedziałem, ogarnęła mnie ogromna ochota do śmiechu, bo pomyślałem, że może w żyłach moich płynie święta krew i to ja jestem jedynym godnym spadkobiercą władzy faraonów, gdyż Eje był zrazu tylko nic nie znaczącym kapłanem słońca, a rodzice Horemheba śmierzdlieli oborą i serem. Zakryłem usta dłonią i chichotałem głośno jak stara baba, śmiejąc się z samego siebie na myśl, że gdybym miał twardość Horemheba lub zimnokrwistą chytrość Eje, mógłbym może wykazać swoje pochodzenie i sam zasiąść na tronie faraonów. W czasie tak wielkich przemian wszystko było możliwe, lecz władza przerażała mnie i bałem się krwawych koron faraonów, a w żyłach moich krew słonecznego Egiptu zmieszała się z rozrzedzoną krwią Mitanni, krwią zachodu słońca. Toteż chichotałem z dłonią przy ustach, nie mogąc powstrzymać tego śmiechu, bo gdy jestem podniecony, zawsze śmieję się, a kiedy się czegoś boję, robię się senny. I w tym, jak mi się zdaje, różnię się od wielu innych ludzi.

Chichot mój rozniewał Horemheba, który zaczął marszczyć brwi i bić się po nogach złotym biczem. Ale Eje nie zwracał na mój śmiech uwagi, bo był już stary i nie dbał o śmiech ani o płacz ludzki, lecz tylko o siebie samego. W owej chwili widziałem ich obu takich, jakimi byli, bez barwnych piórek ułudy, i patrzyłem na nich jak na rabusiów obdzierających konające ciało Egiptu i jak na dzieci, które chcą się bawić koronami i symbolami władzy. I pojąłem, że ich pragnienia i żądze skuwają ich tak, że nigdy nie będą szczęśliwi. Toteż wnet śmiech zamarł mi w gardle i wybiegłszy duchem w przyszłość rzekłem do Horemheba:

– Horemhebie, mój przyjacielu, ciężko jest nosić koronę. Poczujesz to, gdy upalny dzień chylić się będzie ku wieczorowi, było iść będzie do wodopoju, a głosy wokół ciebie będą cichnąć.

Lecz on odburknął mi niecierpliwie:

– Zabieraj się szybko do drogi, bo statek czeka i musisz spotkać Szubattu w pustyni Synaj, jeszcze zanim dotrze on ze świtą do Tanis.

Tak więc nagle w środku nocy, znowu wyruszyłem do Teb. Horemheb dał mi swój najszybszy statek, ja zaś kazałem zanieść na pokład moją lekarską szkatułkę i resztki gęsiny przyrządzonej na sposób tebański, którą Muti uraczyła mnie na obiad. Kazałem też zabrać wina, żeby mieć rozrywkę w podróży, bo nie dbałem już zbytnio o to, co się ze mną stanie.

ROZDZIAŁ 2

Na statku miałem dużo czasu na rozmyślenia, a gdy wszystko przemyślałem, przyspieszałem podróż, jak tylko mogłem, popędzając wiosłarzy kijem i obiecując im obfite dary. Im dłużej bowiem rozważałem wszystko, tym jaśniej rozumiałem, jak szalone niebezpieczeństwo grozi Egipcjom, niby czarna chmura piasku unosząca się znad pustyni. Łatwo by mi było upiększyć moje postęпки i powiedzieć, że wszystko to zrobiłem dla Egiptu, ale uczynki ludzkie nie są tak proste do wytłumaczenia i wino ludzkich czynów nie jest czyste i klarowne, lecz zawsze z czymś zmieszane. Piszę to wszystko dla siebie i dlatego przyznaję, że być może nie podjąłbym tego czynu, gdybym owej nocy w moim domu nie zląkł się nagłej śmierci. Ale kiedy się go już podjąłem, upiększałem to, co miałem zrobić, na wszystkie sposoby, przybierając w piękne piórka złudzeń, dopóki sam nie uwierzyłem, że czynem moim ratuję Egipt. Dziś, w mej starości, już w to nie wierzę, wtedy jednak, gdy na szybkim statku mknąłem z prądem Rzeki, śpieszyło mi się i gorączka czynu paliła mnie tak, że puchły mi powieki i nie mogłem zaznać spokoju nawet we śnie.

Znów byłem sam, bardziej samotny niż inni, bo przed nikim nie mogłem otworzyć

serca i nikogo prosić o pomoc w moim dziele. Tajemnica moja była tajemnicą faraonów i gdyby wyszła na jaw, oznaczałoby to znowu śmierć tysięcy, setek tysięcy. Toteż musiałem być przebiegły jak węź, by nie dać się zdemaskować, i nie miałym bodźcem była tu myśl, że gdyby mnie przyłapano, umarłbym w rękach Hetytów straszną śmiercią.

Wielka też była pokusa, by wszystko zostawić, uciec i schować się gdzieś daleko, jak to zrobił ów legendarny Sinuhe, mój imiennik, dowiedziawszy się o tajemnicy faraona. Miałem ogromną chęć zbiec i pozwolić losowi przetoczyć się przez Egipt. Gdybym uciekł, bieg wydarzeń byłby może inny i świat inaczej by dzisiaj wyglądał, choć nie umiem powiedzieć, czy byłby lepszy, czy też gorszy. Postarzawszy się jednak, zrozumiałem, że wszyscy władcy są właściwie tacy sami, a wszystkie ludy do siebie podobne i niewielka to w końcu różnica, kto panuje i który lud uciska inne ludy, ponieważ ostatecznie i tak cierpi biedota. Toteż może byłoby obojętne, gdybym wszystko zostawił i uciekł. Ale gdybym tak postąpił, nie miałbym już nigdy jednej szczęśliwej chwili, co nie znaczy, żebym teraz był szczęśliwy, bo dni mego szczęścia minęły wraz z młodością.

Nie uciekłem, bo byłem słaby, a człowiek słaby raczej pozwala się prowadzić woli innego człowieka, nawet jeśli go ona wiedzie do czynów straszliwych, niż sam wybiera drogę. Gdy człowiek jest słaby, pozwoli się raczej zaprowadzić na śmierć, niż spróbuje przeciąć powróż, na którym go prowadzą, i sędzę, że nie ja jeden, lecz wielu ludzi jest takich.

Księżę Szubattu musiał umrzeć. Siedząc na statku pod złotym baldachimem, z dzbanem wina koło siebie, wysilałem cały spryt i wszystkie umiejętności, żeby znaleźć taki sposób zabicia go, by czyn mój nie wyszedł na jaw i Egiptu nie pociągnięto za mnie do odpowiedzialności. Było to zadanie niełatwe, bo hetyckiemu księciu towarzyszyła z pewnością w drodze świta odpowiednia do jego rangi, a Hetyci byli podejrzliwi i na pewno dobrze czuwali nad jego bezpieczeństwem. Gdybym go nawet spotkał samotnie w pustyni, nie mógłbym zabić go strzałą i oszczepem, choćby nadarzyła mi się do tego sposobność, bo strzały i oszczepy zostawiają ślady i zbrodnia wydałaby się. Rozważałem, czy nie mógłbym go skusić, by udał się ze mną na poszukiwanie pustynnego bazyliuszka o oczach z zielonego kamienia, i strącić go z skalnej rozpadliny, a potem opowiadać, że powinęła mu się noga i skręcił sobie kark. Plan ten był jednak dziecinny, bo wiedziałem, że jego towarzysze nie spuszczą go z oka w pustyni, ponieważ odpowiadają za jego życie przed ojcem jego, wielkim Suppiluliumasem. Z pewnością nie dadzą mi z nim nawet rozmawiać w cztery oczy. Dla ochrony zaś przed trucizną w jedzeniu i napojach mieli Hetyci podczaszych, którzy kosztowali jedzenia i próbowali

napojów, tak że nie mogłem go otruć w zwykły sposób.

Przypominały mi się opowiadania o tajemnych truciznach kapłanów i o truciznach w Złotym Domu. Wiedziałem, że istnieją sposoby zatruwania owoców na drzewie, jeszcze w zawiązku, tak że ten, kto je zerwał dojrzałe, zjadał w nich śmierć. Wiedziałem też, że istniały zwoje papirusu, które przynosiły powolną śmierć temu, kto je rozwinął, i kwiaty spreparowane przez kapłanów, których zapach mógł zabić. Wszystko to jednak stanowiło tajemnice kapłanów i ja ich nie znałem, sądzę też, że wiele z tych opowieści było tylko baśnią. A nawet gdyby były one prawdziwe, nie mogłem przecież zacząć hodować drzew owocowych w pustyni i doskonale wiedziałem, że hetycki książe nie rozwija sam zwoju zawierającego list, lecz oddaje go swemu pisarzowi. Hetyci nie mieli też zwyczaju wążania kwiatów, ścinali ich łądźki i deptali je stopami.

Im więcej zastanawiałem się nad tym wszystkim, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, jak trudne jest moje zadanie, i coraz bardziej odczuwałem brak pomocy i chytrności Kaptaha. Nie mogłem jednak wtajemniczać go w tę sprawę, a poza tym przebywał on wciąż jeszcze w Syrii, by ściągać swoje należności, i wcale nie śpieszył się do Egiptu, gdyż wciąż jeszcze uważał powietrze Syrii za zdrowsze dla siebie niż powietrze Egiptu. Wyteżyłem więc całą pomysłowość i rozważyłem wszystkie możliwości, jakie dawała mi moja sztuka lekarska, bo lekarz powinien być oswojony ze śmiercią i swoimi lekami może przynieść pacjentowi zarówno życie, jak śmierć. Gdyby książe Szubattu był chory i ja bym go doglądał, mógłbym z całym spokojem leczyć go, aż by umarł według wszelkich prawideł sztuki lekarskiej, i żaden szanujący się lekarz nie miałby mi nic do zarzucenia, bo cech lekarski we wszystkich czasach grzebie umierających wspólnie. Ale Szubattu był zdrow, a gdyby zachorował, kazałby się leczyć hetyckiemu lekarzowi i nie wzywałby Egipcjanina.

Przedstawiłem tak szczegółowo, jak się wtedy głowiłem, żeby wykazać, jak ciężkie zadanie dał mi Horemheb, ale nie będę się już dłużej na tym zatrzymywać, tylko opowiem, co uczyniłem. W Domu Życia w Memfis uzupełniłem swój zapas leków i nikt się temu nie dziwił, bo to, co dla zwykłego człowieka może być śmiertelną trucizną, dla lekarza jest tylko środkiem leczniczym. Potem ruszyłem bezzwłocznie w dalszą podróż do Tanis, gdzie wsiadłem do lektyki i gdzie z garnizonu dano mi dla ochrony kilka wozów bojowych, by towarzyszyły mi w podróży do Syrii wielką wojskową drogą. Chciałem bowiem, jako lekarz i człowiek przywykły do wygod, podróżować lektyką, ażeby przesadnym pośpiechem nie wzbudzić podejrzeń mojej świty i Hetytów.

Wiadomości, które Horemheb otrzymał o podróży Szubattu, były prawdziwe, bo spotkałem księcia i jego świtę o trzy dni drogi od Tanis przy obmurowanym przydrożnym

źródółku. Również i Szubattu podróżował w lektyce, by oszczędzić swoich sił, i prowadził z sobą mnóstwo osłów objuczonych ciężkimi jukami i cennymi darami dla księżniczki Baketamon. Chroniły go ciężkie wozy bojowe, a lekkie wozy rozpoznawały drogę przed karawaną, bo król Suppiluliumas kazał mu być przygotowanym na wszelkie niespodzianki, dobrze wiedząc, że wyprawa Szubattu nie przypadnie do smaku Horemhebowi. Toteż Horemheb nic by nie zyskał wysyłając swoje hordy rabusiów, by zamordowały hetyckiego księcia w pustyni, bo żeby pokonać eskortę Szubattu, trzeba by było oddziały regularnego wojska, wspartego wozami bojowymi, to zaś oznaczałoby wojnę.

Wobec mnie jednak i mojego skromnego orszaku Hetyci okazali się szczególnie grzeczni i uprzejmi, jak zawsze są grzeczni i uprzejmi, gdy spodziewają się dostać za darmo to, czego nie zdołali zdobyć zbrojnie. Przyjęli nas w obozie rozłożonym na nocleg. Pomogli egipskim żołnierzom ustawić nasze namioty oraz otoczyli nas licznymi strażami, by – jak mówili – chronić nas przed rabusiami i lwami z pustyni i żebyśmy mogli spać spokojnie. Ale gdy księżę Szubattu usłyszał, że jestem wysłannikiem księżniczki Baketamon, nie mógł poskromić ciekawości i kazał wezwać mnie do siebie, żeby ze mną pomówić. Tak to zobaczyłem go w jego namiocie. Był to mąż młody i dorodny, a oczy miał wielkie i jasne, gdy nie był pijany, jak wówczas, kiedy go widział po raz pierwszy przed namiotem Horemheba w ów poranek koło Megiddo, gdy umierał Aziru. Radość i zaciekawienie dodały kolorów jego śniadej twarzy, z której wydatny i dumny nos sterczał jak dziób drapieżnego ptaka i w której błyszcząły bieluśkie jak u drapieżnika zęby, gdy zaśmiał się wesoło na mój widok. Oddałem mu list od księżniczki Baketamon, sfalszowany przez Eje, i opuściłem przed nim ręce do kolan na znak czci, tak jakby już był moim władcą. Ubawiło mnie wielce, że na moje przyjęcie ubrał się na sposób egipski i czuł się nieswojo w szatach, do których nie był przyzwyczajony. Powiedział do mnie:

– Widzę, że moja przyszła królewska małżonka ma do ciebie zaufanie i że jesteś królewskim lekarzem, nie będę więc nic krył przed tobą. Uważam, że księżę zeniąc się wiąże się ze swoją małżonką, toteż kraj mojej małżonki będzie moim krajem, a obyczaje Egiptu moimi. I będę się starał stosować do nich według moich najlepszych możliwości, ażebym nie był już człowiekiem obcym, gdy przybędę do Teb. Płonę też z niecierpliwości, by zobaczyć wszystkie cuda Egiptu, o których tyle się nasłuchałem, i żeby zawrzeć znajomość z potężnymi bogami Egiptu, którzy są teraz także moimi bogami. Ale najbardziej niecierpliwie się, by ujrzeć moją pierwszą królewską małżonkę, bo mam płodzić z nią dzieci i założyć w Egipcie nową dynastię. Opowiedz mi zatem

wszystko o niej, o jej wzroście i budowie ciała, i o szerokości jej bioder, tak jakbym już był Egipcjaninem. I nie kryj przede mną nic przykrego, co o niej wiesz, lecz możesz mi w pełni zaufać, tak jak ja ufam tobie jak swemu bratu.

Zaufanie swoje okazywał mi w taki sposób, że z tyłu poza nimi stali jego dowódcy z obnażoną bronią, a uzbrojeni żołnierze, strzegący wejścia do namiotu, trzymali ostrza oszczepów skierowane w mój grzbiet. Ale ja udawałem, że tego nie widzę, i skłoniwszy się przed nim do ziemi odparłem:

– Moja władczyni, księżniczka Baketamon, jest jedną z najpiękniejszych kobiet Egiptu. Z powodu swojej świętej krwi zachowała się nietknięta, choć jest starsza od ciebie o kilka lat. Lecz piękność jej nie podlega prawom czasu i twarz jej jest jak księżyc, a oczy jak kwiaty lotosu. Jako lekarz mogę cię też zapewnić, że choć biodra ma wąskie, jak wszystkie kobiety egipskie, może rodzić dzieci. I to z tego właśnie powodu wysłała mnie na twoje spotkanie, żeby się przekonać, czy jesteś godny jej świętej krwi i czy cieleśnie wypełnisz wszystkie wymagania, jakie można stawiać małżonkowi, i nie zawiedziesz jej pod tym względem, bo czeka na ciebie niecierpliwie, gdyż jeszcze nigdy nie dotknął jej mężczyzna.

Książę Szubattu wypiął pierś, naprężył mięśnie ramion i wykrzyknął:

– Ramiona moje napną najtwardszy łuk, a udami mogę wyprzeć ducha z osła. Twarzy mojej, jak sam widzisz, też nic nie brakuje i nie pamiętam, kiedy ostatnio chorowałem.

A na to ja:

– Jesteś z pewnością jeszcze bardzo niedoświadczonym młodzieńcem i nie znasz obyczajów Egiptu, skoro sądzisz, że egipska księżniczka to łuk, który się napina, lub osioł, którego się tłamsi między udami. Wcale tak nie jest i muszę widocznie dać ci kilka lekcji sztuki miłosnej Egiptu, żebyś nie ściągnął na siebie wstydu przed księżniczką. Władczyni moja zrobiła, jak widać, dobrze, posyłając ci mnie na spotkanie, żebym jako lekarz wtajemniczył cię w egipskie obyczaje.

Słowa moje bardzo zraniły księcia, bo był to młodzian dumny i jak wszyscy Hetyci pysznił się swoją męską siłą. Jego dowódcy wybuchnęli śmiechem, co ubodło go jeszcze bardziej, tak że pobladł z wściekłości i zaciął zęby, aż zgrzytnęły. Przede mną jednak chciał się okazać łagodny na sposób egipski i zmuszając się do spokoju syknął:

– Nie jestem taki niedoświadczony, jak myślisz, a dzida moja rozpruła już niejeden bukłak i nie sądzę, by twoja księżniczka była niezadowolona, gdy nauczę ją sztuki kochania kraju Hatti.

Ja zaś odparłem:

– Chętnie wierzę w twoją siłę, mój władco, ale pewnie pomyliłeś się mówiąc, że nie

możesz sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio byłeś chory, bo jako lekarz poznaję z twoich oczu i policzków, że jesteś chory, i wiem, że dokucza ci biegunka.

Już tak jest, że nie ma człowieka, który by nie poczuł się chory, gdy się go o tym długo i uparcie zapewnia, on zaś zaczyna się w siebie wsłuchiwać. Każdy ma bowiem wewnętrzną potrzebę roztkliwiania się nad sobą samym i pragnienie, by się nim opiekowano, a lekarze wiedzieli o tym zawsze i bardzo się dzięki tej wiedzy wzbogacali. Miałem przy tym nad nim jeszcze i tę przewagę, że wiedziałem, iż źródła pustyni zawierają sodę i przyprowadzają biegunkę każdego, kto nie przywykł do wody z pustyni. Toteż książe Szubattu wielce był zaskoczony moimi słowami i zawołał:

– Z pewnością się mylisz, Egipcjaninie Sinuhe, bo doprawdy wcale nie czuję się chory, choć muszę przyznać, że mam biegunkę i jak dzień długi wciąż muszę kucać przy skraju drogi. Nie rozumiem jednak, skąd ty to możesz wiedzieć. Widocznie musisz być zdolniejszym lekarzem niż mój własny lekarz, który nie zwrócił wcale uwagi na moją dolegliwość. – Wsłuchał się w siebie, przyłożył dłoń do oczu i do czoła i powiedział: – Oczy mnie pieką, bo przez cały dzień wpatrywałem się w czerwony piasek pustyni, czoło mam gorące i wcale nie czuję się tak dobrze, jakbym sobie tego życzył.

Odparłem:

– Najlepiej byłoby, żeby twój lekarz dał ci jakiś lek na żołądek i na dobry sen. Choroby żołądkowe na pustyni są bowiem ciężkie i sam widziałem, jak mnóstwo Egipcjan zmarło w pustyni na choroby żołądka, gdy armia maszerowała do Syrii. Nikt też nie wie, skąd te choroby się biorą, jedni mówią, że z zatrutych wiatrów pustyni, inni zaś, że z wody, a jeszcze inni obwiniają o nie szarańczę. Nie wątpię jednak, że jutro znowu będziesz zdrowy i będziesz mógł dalej podróżować, jeśli twój lekarz przyrzędzi ci dzisiaj skuteczne lekarstwo.

Na te słowa zaczął się namyślać, przymrużył oczy i zezując na swoich dowódców powiedział do mnie, uśmiechając się jak mały chłopiec:

– To ty, Sinuhe, przyrzędz mi dobre lekarstwo, ty, który z pewnością znasz dziwne choroby tych pustyń lepiej niż mój lekarz.

Ale ja nie byłem taki głupi, jak on sądził. Podniosłem ręce odzegnując się od jego propozycji i zawołałem:

– Nie zwracaj się z tym do mnie! Nie odważyłbym się przygotować dla ciebie lekarstw, bo gdyby ci się od tego pogorszyło, oskarżyłbyś mnie, że jako Egipcjanin źle ci życzę. Twój lekarz pomoże ci tak samo dobrze jak ja, a nawet i lepiej, bo zna twój organizm i twoje poprzednie choroby, zwłaszcza że wystarczy dać ci prosty lek na uregulowanie żołądka.

Szubattu uśmiechnął się do mnie i rzekł:

– Może rada twoja jest i dobra, bo chcę dziś ucztować i pić z tobą, żebyś mi opowiadał o mojej królewskiej małżonce i o egipskich obyczajach, i nie myślę w toku naszej rozmowy wciąż biegać i kucac za namiotem.

Kazał wezwać swego lekarza, nasepionego i podejrzliwego Hetytę, z którym porozmawiałem jak z kolegą. Gdy zmiarkował, że nie zamierzam z nim konkurować, nabrał do mnie zyczliwości i idąc za moją radą zrobił je szczególnie mocne, a miałem w tym swój cel. Przygotowawszy lekarstwo Hetyta upił najpierw sam łyk z pucharu, który wręczył potem księciu, by w ten sposób pokazać, że lek jest nieszkodliwy. Ze sposobu, w jaki mieszał medykamenty, i ze środków, które dobierał, poznałem, że był to lekarz zręczny. Oszołomiły go jednak moje słowa, przypuszczam też, że uważał mnie za lekarza zdolniejszego od siebie i dlatego dla dobra swojego pacjenta posłuchał mej rady.

Ja zaś wiedziałem, że księciu nic nie jest i że byłby się obszedł i bez lekarstwa. Chciałem jednak, by świta jego wierzyła, że jest chory, pragnąłem też wywołać u niego zaparcie, ażeby jad, który mu zamierzałem podać, nie opuścił jego ciała przedwcześnie. Przed ucztą, którą księżę kazał przygotować na moją cześć, poszedłem do swego namiotu i opilem się jadalnej oliwy, mimo że trudno mi było ją przełknąć. Pokonując mdłości napełniłem nią sobie żołądek, żeby uratować swe życie. Udając się na ucztę wziąłem z sobą mały dzban wina, do którego domieszałem trucizny i który potem znów opieczętowałem, a dzban ten był tak mały, że zawierał tylko dwa puchary wina. Poszedłem z nim do księcia, usiadłem przy nim na macie, jadłem potrawy, które podawali niewolnicy, i piłem wina, które podczaszowie rozlewali nam do pucharów, i choć przez cały czas miałem silne mdłości, opowiadałem wiele dosadnych historii o egipskich obyczajach, żeby doprowadzić do śmiechu księcia i jego dowódców. A księżę Szubattu śmiał się tak, że aż błyskał zębami i klepał mnie ręką po grzbiecie mówiąc:

– Wesoły z ciebie człowiek, Sinuhe, choć jesteś Egipcjaninem. Gdy się już zadamowię w Egipcie, wezmę cię do swojej świty i uczynię królewskim lekarzem. Doprawdy duszę się ze śmiechu i zapominam o moim chorym żołądku, gdy mi opowiadasz o egipskich obyczajach małżeńskich. Ale obyczaje te są zniewieściałe, mimo że macie z nich wiele przyjemności, i przypuszczam, że Egipcjanie wymyślili je po to, żeby nie mieć dzieci. Toteż zamierzam nauczyć Egipt wielu hetyckich obyczajów. Zamianuję moich dowódców naczelnikami okręgów i sądzę, że wyjdzie to Egiptowi szczególnie na dobro, a uczynię to, gdy tylko oddam księżniczce, co się jej należy.

Bił się rękami po kolanach i pijany winem śmiał się, i wołał:

– Doprawdy chciałbym, żeby księżniczka leżała już wyciągnięta na mojej macie, bo twoje opowiadania, Sinuhe, bardzo mnie podnieciły i gdy tylko przybędę na miejsce, sprawię, iż będzie jęczeć z rozkoszy. Na święte niebo i wielką matkę ziemię! Sprawię, że cały Egipt jęczeć będzie z rozkoszy, bo gdy kraj Hatti i Egipt połączą się w jedno, nie będzie na świecie państwa, które mogłoby się oprzeć naszej mocy, i podbijemy wszystkie cztery części świata, tak że panowanie nasze rozciągać się będzie na wszystkie kraje od morza do morza. Wprzód jednak Egipt będzie musiał nabrać żelaza w swoje członki i ognia do swego serca, tak by każdy Egipcjanin wierzył, iż śmierć jest lepsza od życia. Wszystko to stanie się, i to stanie się szybko.

Podniósł puchar i napił się wina, a napiwszy się złożył za swego pucharu ofiarę matce ziemi i prysnął winem w powietrze, by także i niebu dać ofiarę, tak że puchar opróżnił się do dna. Wszyscy Hetyci byli już trochę pijani, a moje swawolne historie rozproszyły ich nieufność. Wykorzystałem więc tę sposobność i rzekłem:

– Nie chcę bynajmniej obrażać ciebie i twego wina, Szubattu, ale widocznie nie kosztowałeś jeszcze wina Egiptu, bo gdybyś raz skosztował egipskiego wina, wszelkie inne wydawałoby ci się pozbawione smaku i byłoby w twoich ustach jak woda, i nie dbałbyś już o inne wina. Wybacz mi zatem, że się napiję swego własnego wina, bo tylko ono idzie mi do głowy. Dlatego też zawsze zabieram z sobą własne wino na przyjęcie u obcych.

Wstrząsnąłem swoim dzbanem, złamałem pieczęć na jego oczach i udając z lekka zamroczonego nalałem sobie wina do pucharu, tak że polało się na ziemię, wypilem je i zawołałem:

– Ach, to jest dopiero wino, wino z Memfis, wino spod piramid, warte swojej wagi w złocie, mocne, pyszne i odurzające wino egipskie, które nie ma sobie równego na całym świecie.

Wino było rzeczywiście mocne i doskonałe, a ja domieszałem jeszcze do niego mirry, tak że gdy otworzyłem dzban, cały namiot wypełnił się zapachem, ale ja nawet poprzez aromat wina i mirry czułem smak śmierci. Toteż pijąc rozlewałem wino po brodzie, ale Hetyci myśleli, że robię to, bom pijany. Książę Szubattu zaciekawiał się i wyciągając do mnie puchar powiedział:

– Nie jestem już dla ciebie kimś obcym, jutro będę twoim panem i faraonem. Daj mi więc skosztować tego wina, bo jeśli mi go nie dasz, nie uwierzę, że jest tak wyśmienite, jak mówisz.

Ale ja przyciskałem dzban do piersi i zajadle wzbraniałem się go oddać mówiąc:

– Tego wina nie starczy dla dwóch, a ja nie mam więcej tego pysznego wina,

dzisiaj zaś chcę się upić, bo wielki to dzień radości dla całego Egiptu, dzień wiecznego związku Egiptu z krajem Hatti! – Hiihaa! – zarząłem jak osioł, ściskając dzban z winem w objęciach, i wołałem dalej: – Moja siostrzyczko, moja narzeczone, moja maleńka ukochana, gardło moje jest twoim domem, mój żołądek jest twoim miękkim gniazdkiem i nie pozwolę nikomu obcemu dotknąć ciebie!

Hetyci ryczeli ze śmiechu zginając się w pałąk i bijąc się dłońmi po kolanach, ale Szubattu przywykł dostawać wszystko, czego zapragnął. Wyciągnął więc do mnie puchar prosząc i zaklinając, żebym mu dał skosztować mego wina, aż w końcu z płaczem nalałem mu puchar po brzegi, opróżniając mój dzban do dna. Nietrudno mi było przy tym płakać, tak wielki był mój strach w owej chwili.

Ale gdy Szubattu dostał wina, rozejrzał się dokoła, jakby ostrzegło go jakieś przecucie, i na sposób hetycki podał mi swój puchar ze słowami:

– Poświęć mój puchar skoro jesteś moim przyjacielem, a ja wyświadczę ci taką samą przysługę.

A zrobił tak dlatego, że nie chciał mi okazać nieufności, każąc skosztować wina swemu podczaszemu. Upiłem spory łyk z jego pucharu, po czym on wychylił go do dna, mlasnął i wsłuchując się w siebie z przekrzywioną głową rzekł:

– Doprawdy, mocne jest to twoje wino, Sinuhe, idzie jak dym do głowy i pali w żołądku jak ogień, ale zostawia w ustach smak cierpki i ten egipski posmak chcę spłukać winem z gór. – Napełnił znowu puchar swoim własnym winem, a ja wiedziałem, że jad podziąła dopiero nazajutrz, bo książę miał zaparcie i najadł się obficie.

Piłem ile mogłem, i udawałem, że jestem zupełnie pijany, i żeby nie wzbudzić podejrzeń Hetytów, przeczekałem jeszcze pół miary wody, nim kazałem odprowadzić się do swego namiotu. Dopiero zatem po dłuższej chwili wróciłem do swego namiotu, cały czas przyciskając do siebie kurczowo mój pusty dzban po winie, żeby go nie zostawić i żeby nie można było sprawdzić jego zawartości. Ale gdy Hetyci przy wtórze rubasznych dowcipów położyli mnie do łóża i zostawili samego, śpiesznie wstałem, wsadziłem palec do gardła i zwymiotowałem truciznę wraz z chroniącą mój żołądek oliwą. A strach mój był tak wielki, że śmiertelny pot lał mi się po ciele, kolana mi się trzęsły, choć może to jad też zdążył w pewnym stopniu na mnie podziąłać. Toteż przepłukałem sobie żołądek wielokrotnie i wziąłem środki wymiotne i wymiotowałem raz po raz, aż wreszcie robiłem to już z samego strachu, bez pomocy leków.

Gdy byłem zupełnie wyczerpany, jak mokra ścierka, wypłukałem dzban i rozbiłem go na drobne kawałki, które zakopałem w piasku. A potem leżałem bezsennie na moim posłaniu, a z ciemności patrzyła na mnie przez całą noc roześmiana twarz Szubattu. I

nie mogłem tej twarzy zapomnieć czuwając w mroku nocy, i nie mogłem zapomnieć jego dumnego, beztroskiego śmiechu i jego lśniących białych zębów.

ROZDZIAŁ 3

Z pomocą przyszła mi znowu hetycka duma, bo gdy ksiązę Szubattu poczuł się następnego dnia rano niedobrze, nie przyznał się, że jest chory, i nie przerwał podróży, żeby wypocząć, lecz wsiadł do lektyki nie okazując, jak cierpi na ból żołądka, choć musiało go to kosztować wiele. Nie przerwaliśmy więc podróży przez cały dzień, a gdy przechodziłem koło jego lektyki, machał do mnie ręką i usiłował się uśmiechać. W ciągu dnia lekarze podawali mu jeszcze dwukrotnie środki uśmierzające bóle i wiążące, pogarszając w ten sposób jeszcze bardziej jego chorobę i sprawiając, że trucizna działała z pełną siłą, bo silne wypróżnienie rano może jeszcze uratowało mu życie.

Ale po południu Szubattu popadł w długotrwałe omdlenie i oczy przewróciły mu się białkami do góry, a twarz zapadła się i pożółkła, tak że jego lekarz ogromnie się przeraził i wezwał mnie na pomoc. Także i ja bardzo się wystraszyłem jego okropnym stanem, nie potrzebowalem nawet udawać lęku, bo trzęsłem się ze strachu przez cały dzień, a z powodu trucizny sam też nie czułem się zupełnie zdrowy. Powiedziałem jednak, że rozpoznaję objawy choroby, że Szubattu zapadł na chorobę pustynną, przed którą ostrzegałem go poprzedniego wieczoru i której oznaki widziałem w jego twarzy, choć on mi nie wierzył. Karawana zatrzymała się, a my zaczęliśmy go badać w lektyce, daliśmy mu środki otrzeźwiający i przeczyszczający oraz kładliśmy mu gorące kamienie na brzuch. Przez cały czas jednak pilnie uważałem, żeby hetycki lekarz sam przyrządzał wszystkie leki i podawał je księciu, rozwierając mu zaciśnięte zęby. Wiedziałem, że Szubattu umrze, i chciałem moimi radami w miarę możliwości złagodzić jego cierpienia i uczynić mu śmierć lekką, skoro nie mogłem zrobić dla niego nic innego.

Wieczorem przenieśliśmy księcia do jego namiotu, a Hetyci zaczęli przed namiotem głośno biadać, rozdierać szaty i posypywać sobie głowy popiołem oraz ranić ciało nożami, bo wszyscy bali się ogromnie o własne życie, wiedząc, że król Suppiluliumas nie będzie ich oszczędzał, gdyby ksiązę umarł na ich rękach. Ja zaś czuwałem przy łożu Szubattu wraz z hetyckim lekarzem, a dym pochodni wyciskał mi łzy z oczu, gdy patrzyłem, jak ten dorodny młodzieniec, który jeszcze wczoraj był silny, zdrow i szczęśliwy, powoli dogorywa i staje się na moich oczach brzydki i trupiosiny.

Umierał z uśmiechem na ustach, bo śmierć po wielkich męczarniach przychodzi czasem jak uśmiechnięta błogość, a jego gasnące oczy wywrócone w słupek oglądały przedziwne zjawy. Patrzyłem na niego z drżeniem i widziałem w nim już tylko człowieka, mego bliźniego. Nie myślałem już o jego pochodzeniu, mowie i kolorze

skóry, lecz tylko o tym, że umiera z mojej ręki i z powodu mojego zła, choć jako człowiek jest moim bratem. I mimo że serce miałem zahartowane na wszelką śmierć, której dużo widziałem w życiu, drżało mi w piersiach, gdym patrzył, jak umiera księżę Szubattu. Łzy ciekły mi po policzkach aż na dłonie i darłem na sobie szaty wołając: – Człowieku, bracie mój, nie umieraj!

Ale śmierci jego nikt już nie mógł zapobiec. Gdy skonał, Hetyci włożyli jego ciało do mocnego wina i miodu, by zawieźć zwłoki do Hattusas, do skalistego grobu królów hetyckich, gdzie orły i wilki strzegą wiecznego królewskiego snu. Byli bardzo przejęci moim wzruszeniem i szczerymi łzami i na moją prośbę poświadczyli mi chętnie na glinie, że w żaden sposób nie ponoszę winy za śmierć księcia Szubattu, przeciwnie, wyteżyłem wszystkie siły i umiejętności, żeby go uratować. Świadectwo to napisali mi na glinie hetyckimi znakami pisańskimi i wycisnęli pod nim swoje pieczęcie i królewską pieczęć księcia Szubattu, żeby w Egipcie nie padł na mnie żaden cień z powodu śmierci ich pana. Oceniali bowiem Egipt według własnych swoich obyczajów i sądzili, że księżniczka Baketamon każe mnie zabić, gdy wrócę do Egiptu, żeby opowiedzieć o śmierci księcia.

Tak to czynem moim uratowałem Egipt przed panowaniem Hetytów. I powinienem był odczuwać zadowolenie z dokonanego dzieła, ale wcale nie byłem zadowolony, miałem raczej uczucie, że śmierć depcze mi po piętach, dokądkolwiek pójdę. Zostałem lekarzem, żeby leczyć ludzi moją sztuką i nieść życie w miejsce śmierci, ale ojciec mój i matka umarli z powodu mojego zła, Minea umarła z powodu mojej słabości, a Merit i małeńki Tot umarli z powodu mojej ślepoty, faraon Echnaton zaś umarł z powodu mojej nienawiści i przyjaźni, i dla dobra Egiptu. Wszyscy, których kochałem, zginęli przeze mnie gwałtowną śmiercią. Także i księżę Szubattu umarł przeze mnie, choć pokochałem go, gdy umierał, i nie życzyłem mu już śmierci. Toteż zacząłem się bać swoich własnych oczu i wróciwszy do Tanis ze zgrozą oglądałem swoje ręce i wierzyłem, że przekleństwo idzie za mną, dokądkolwiek pójdę.

Wróciłem do Tanis, a z Tanis popłynąłem do Memfis, z Memfis zaś do Teb. W Tebach kazałem przycumować mój statek w przystani Złotego Domu i poszedłem do Eje i Horemheba. A gdy mnie przyjęli, powiedziałem:

– Waszej woli stało się zadość. Księżę Szubattu zmarł w pustyni Synaj i żaden cień nie pada na Egipt z powodu jego śmierci.

A oni ucieszyli się wielce z moich słów, Eje zdjął z szyi złoty łańcuch nosiciela berła królewskiego i włożył mi go na szyję, Horemheb zaś rzekł:

– Opowiedz to również księżniczce Baketamon, bo nam nie uwierzy, gdy jej to

powiemy, i będzie sobie wyobrażać, że to ja kazałem zamordować hetyckiego księcia z zazdrości o nią.

Stanąłem więc przed księżniczką Baketamon, a ona przyjęła mnie z twarzą i ustami pomalowanymi żywą czerwiecią, lecz w jej owalnych, ciemnych oczach czaiła się śmierć. Powiedziałem do niej:

– Twój wybraniec, ksiązę Szubattu, uwolnił cię przed śmiercią od twego przyrzeczenia. Umarł na pustyni Synaj, na pustynną chorobę żołądka, a ja nie mogłem go uratować całą moją sztuką, ani też nie umiał go uratować lekarz hetycki.

Wtedy ona zdjęła z przegubów złote bransolety i włożyła mi je na ręce mówiąc:

– Dobrą wiadomość przynosisz, Sinuhe, i dziękuję ci za nią, bo już zostałam wyświęcona na kapłankę Sachmet, a mój czerwony strój uszyty jest na święto zwycięstwa. Tę egipską chorobę żołądka zaczynam jednak poznawać aż nadto dobrze i wiem, że również mój brat Echnaton, który był faraonem i którego kochałam jak siostra, umarł na tę samą chorobę. Bądź więc przeklęty, Sinuhe, bądź przeklęty na wieki, i niech będzie przeklęty twój grób, a imię twoje niech będzie na zawsze zapomniane, albowiem tyś uczynił tron faraonów igraszką rabusiów i w mojej osobie zbeczczyłeś świętą krew faraonów.

Skloniłem się przed nią głęboko, opuściłem ręce do kolan i rzekłem: – Niech się stanie, jak mówisz! – A potem odszedłem od niej, ona zaś kazała niewolnikom zamieść po mnie podłogę aż do progu Złotego Domu.

ROZDZIAŁ 4

Tymczasem przygotowano zwłoki faraona Tutanchamona, by wiecznie oparły się śmierci, i Eje polecił kapłanom, by śpiesznie przeniesiono je do grobu, wykutego w górach na zachodzie, w dolinie królewskich grobowców. Zmarły dostał mnóstwo darów, ale skarbów, które zabrał z sobą, było nie tak wiele, bo Eje dużo mu ukradł. A grób Tutanchamona był nader niepozorny w porównaniu z grobami wielkich królów, tak że po śmierci zmarły znaczył równie mało, jak za życia pośród zabawek w Złotym Domu. Gdy tylko wejście do grobowca opieczętowano, Eje zakończył okres żałoby i kazał wciągnąć triumfalne proporce na słupy w Alei baranów, a Horemheb wysłał wozy bojowe, żeby obsadziły wszystkie place i skrzyżowania ulic w Tebach. Nikt jednak nie zerwał się do buntu, gdy Eje ukoronowany został na faraona, bo lud był już wycieńczony jak zwierzę, które popędza się szpicem oszczepu na niekończącej się drodze. I nikt nie spytał, jakie prawo ma Eje do korony, i nikt nie oczekiwał od niego niczego dobrego.

Tak to Eje został ukoronowany na faraona, a kapłani, których przekupił niezmiernymi darami, namaścili go świętymi olejkami w wielkiej świątyni i włożyli

mu na głowę białą i czerwoną koronę, koronę lili i koronę papirusu, korony Górnego i Dolnego Kraju. Nieśli go na oczach tłumu w złotej łodzi Amona, a lud wznosił okrzyki na jego cześć, bo Eje kazał rozdać ludziom chleb i piwo, chleb i piwo zaś były wielkim darem dla mieszkańców Teb, tak bardzo zubożał Egipt. A ja wiedziałem, wiedziało też wielu innych, że władza Eje jest tylko urojeniem i że prawdziwym władcą Egiptu jest od tej pory Horemheb, bo ma za sobą oszczepy. I wielu zastanawiało się w cichości, dlaczego Horemheb sam nie wziął władzy w ręce, lecz pozwolił wstąpić na tron faraonów staremu, znienawidzonemu Eje.

Horemheb jednak wiedział aż nadto dobrze, co robi, bo gniew ludu nie wygasł jeszcze do szczętu i cierpienia Egiptu nie skończyły się, a niepokojące wieści z kraju Kusz wzywały go na wojnę przeciw Murzynom. Nie zapomniał, że gdy umocni władzę Egiptu na południu i ustawi na nowo kamienie graniczne po drugiej stronie wodospadów, czeka go niedługo jeszcze jedna wojna z Hetytami o Syrię. Toteż wołał, żeby lud obwiniął Eje o wszystkie cierpienia i biedę i żeby kiedyś wielbiono jego, Horemheba, jako zwycięzcę, odnowiciela pokoju i jako dobrego władcę.

Eje nie myślał o tym, władza i blask koron zaślepiały go i chętnie spełnił swoją część umowy zawartej z Horemhebem w dniu śmierci Echnatona. Dlatego też kapłani zaprowadzili w uroczystym pochodzie księżniczkę Baketamon do świątyni Sachmet i odziali ją w czerwoną szatę bogini, przystroili ozdobami bogini i postawili na ołtarzu Sachmet. A Horemheb przybył z wojskami do świątyni i święcił triumf nad Hetytami i oswobodzenie Syrii. Całe Teby wznosiły okrzyki na jego cześć, a on rozdał przed świątynią złote łańcuchy i honorowe odznaczenia swoim żołnierzom, po czym pozwolił im rozejść się po mieście. Następnie sam wszedł do wnętrza świątyni, a kapłani zamknęli za nim miedziane wrota. Bogini Sachmet ukazała mu się w postaci księżniczki Baketamon, a on ją wziął, bo był wojownikiem i czekał na tę chwilę dłużej.

Nocy tej Teby święciły święto Sachmet i niebo nad miastem płonęło czerwoną luną od blasku lamp i pochodni, a wszarze Horemheba pili we wszystkich winiarniach i piwiarniach do upadłego, rozbijali bramy domów rozpusty i napastowali piszczące dziewczęta na wszystkich ulicach Teb. Dużo ludzi musiało owej nocy znieść razy i obelgi, a rozswawoleni żołnierze podłożyli ogień pod kilka domów, nie wyrządzając tym jednak większych szkód. A o świcie znowu zebrali się przed świątynią Sachmet, żeby zobaczyć Horemheba po nocy spędzonej w świątyni. Klnąc w wielu językach wznosili głośno okrzyki dziwienia, gdy ujrzeni, jak miedziana brama świątyni otwiera się i wychodzi z niej Horemheb. Gdyż Sachmet była wierna swemu objawieniu w postaci lwicy i twarz, ramiona oraz barki Horemheba pokrywały krwawe szramy, jak

gdyby lew podrapał go pazurami. Rozbawiło to ogromnie jego żołnierzy i kochali go z tego powodu jeszcze więcej niż przedtem. A księżniczkę Baketamon kapłani zabrali w zamkniętej lektyce na brzeg Rzeki, skąd wróciła do Złotego Domu nie pokazując się tłumowi.

Po jej odejściu do świątyni wdarli się żołnierze i zebrawszy z podłogi kawałki jej czerwonej szaty podzielili je między siebie na pamiątkę, by używać jej jako talizmanu do czarowania kobiet stawiających im opór. Taka to była noc poślubna mego przyjaciela Horemheba. Nie wiem, ile miał on z niej radości, bo wkrótce potem zebrał swoje wojska przy pierwszym wodosпадzie na południu na wojnę w kraju Kusz. Podczas tej wojny kapłanom Sachmet nie brakowało ofiar, tyli i puchli od nadmiaru mięsa i wina w swojej świątyni.

A kapłan Eje zaślepiony swoją władzą triumfował i mówił do mnie:

– Nie ma już nade mną nikogo w kraju Kem i obojętne, czy żyję, czy też umrę, bo faraon nie umiera nigdy, lecz żyje wiecznie, a gdy umrę, wstąpię do złotej łodzi mego ojca Amona i popłynę po niebie prosto do Kraju na Zachodzie. Dobrze, że tak jest, bo nie chciałbym, żeby Ozyrys zważył moje serce na swojej wadze, a ławnicy jego trybunału, sprawiedliwe pawiany, mogli skierować do mnie ostre oskarżenia i rzucić moje Ba do paszczy Pożercy, bo jestem starym człowiekiem i nocną porą często się zdarza, że moje uczynki patrzą na mnie z mroku nocy. Toteż ogromnie jestem rad, że zostałem faraonem i nie potrzebuję już obawiać się śmierci.

Tak mówił do mnie, bo moje uczynki związały nas z sobą i nie mogłem mówić o nim źle, nie mówiąc źle także o sobie samym. Był to już stary i zmęczony człowiek, a kolana ugięły się pod nim, gdy chodził, twarz miał pomarszczoną i woskowobłądą, a jego czarne włosy posiwiwały. Toteż czuł się samotny i zwracał się do mnie, bo połączyły nas wspólne zbrodnie i przede mną nic nie ukrywał. Ale ja śmiałem się gorzko z jego słów i drwiłem z niego:

– Jesteś starym człowiekiem i doprawdy sądziłem, żeś mądrzejszy. Chyba nie przypuszczasz, że śmierdząca oliwa kapłanów nagle uczyniła cię wiecznym? Zaprawdę, z królewską koroną na głowie jesteś wciąż takim samym człowiekiem, jakim byłeś bez korony, i wnet dosięgnie cię śmierć i już ciebie nie będzie.

Wtedy usta zaczęły mu drżeć, a z oczu wyjrzał mu strach. Głośno jęczał i wołał:

– Czyż więc na próżno popełniłem wszystkie moje złe uczynki i nadaremnie siałem dokoła siebie śmierć przez wszystkie dni życia? Nie, na pewno nie masz słuszności, Sinuhe! Kapłani uchronią mnie od czeluści królestwa śmierci i zachowają moje ciało, by trwało wiecznie. Bezsprzecznie ciało moje jest boskie, bo jestem teraz faraonem,

także czyny moje są boskie i nikt nie może mnie obwiniać za moje uczynki, ponieważ jestem faraonem.

Tak to umysł jego zaczął się zaciemniać i Eje nie miał już żadnej radości ze swej władzy. Z niczego już nie miał radości, bo w okropnym strachu przed śmiercią wciąż myślał o swoim zdrowiu. Nie odważał się nawet pić wina, pożywieniem jego był suchy chleb i gotowane mleko. Nazbyt już był sterany wiekiem, by mógł zażywać rozkoszy z kobietami, gdyż w dniach męskiej siły zatruwał się najrozmaitszymi lekami, żeby spotęgować swoją chuć i w ten sposób zdobyć łaski królowej Teje. Z biegiem czasu zaczął się też coraz więcej bać skrytobójców, mijały więc dni, kiedy nie ważył się tknąć jedzenia, nie śmiał nawet zrywać owoców w ogrodzie Złotego Domu z lęku, że zostały zatrute jeszcze w zalążku. Tak to na stare lata zaplątał się Eje w sieć własnych uczynków i ze strachu zrobił się tak podejrzliwy i okrutny, że dworzanie stronili od niego, a niewolnicy uciekali na jego widok i Złoty Dom opustoszał, gdy on zamieszkał tam jako faraon.

Jęczmień zaczął się zielenić dla księżniczki Baketamon, bo kapłani zrecznie wyliczyli jej czas na korzyść Horemheba. W bezsilnym gniewie psuła swoje ciało i wyniszczała piękność, żeby zabić dziecko w swym łonie, ale życie kielkujące w jej ciele było jednak silniejsze od śmierci i gdy nadszedł czas, powiła Horemhebowi syna z wielkimi bólami, bo biodra jej były wąskie, a chłopiec duży. Lekarze i niewolnicy musieli ukryć przed nią dziecko, żeby nie zrobiła mu nic złego. O dziecku tym i o jego urodzeniu opowiadali ludzie później rozmaite legendy, utrzymywano, że urodziło się z lwią głową, to znów że z hełmem na głowie. Ja jednak mogę zaświadczyć, że wszystko u tego chłopca było normalne i że było to dziecko zdrowe i silne, a Horemheb przysłał posłańca z kraju Kusz i kazał wpisać je do złotej księgi życia pod imieniem Ramzes.

Horemheb prowadził bowiem wciąż jeszcze wojnę w kraju Kusz, a jego wozy bojowe buszowały po pastwiskach kraju Kusz i wyrządzały Murzynom wielkie szkody, ponieważ Murzyni nie przywykli do prowadzenia wojny przeciw wozom bojowym. Horemheb palił ich wioski i słomiane chatynki i wysyłał kobiety i dzieci do Egiptu jako niewolników, a mężczyźni wcielał do swojej armii i szkolił na żołnierzy, oni zaś stawali się dobrymi żołnierzami, bo nie mieli już domów ani żon, ani dzieci. Prowadząc wojnę w kraju Kusz Horemheb zbierał więc równocześnie nową armię przeciw Hetytom, bo Murzyni byli świetnymi żołnierzami i nie bali się śmierci, gdy przed pójściem w bój podniecili się do szaleństwa, bijąc w święte bębny i skacząc dokoła nich długim korowodem.

Horemheb wysyłał więc do Egiptu wielu niewolników, by uprawiali ziemię, i kazał

pędzić z kraju Kusz wielkie trzody bydła, tak że zboże znowu zaczęło bujnie rosnąć w kraju Kem, dzieciom nie brakowało mleka, a kapłanom zwierząt ofiarnych i mięsa. Za to w kraju Kusz całe szczepy opuszczały swoje siedziby i uciekały do dżungli za egipskimi kamieniami granicznymi, do krainy słoń i żyraf, tak że kraj Kusz na długie lata opustoszał. Egipt nie poniósł jednak przez to żadnej szkody, bo kraj Kusz od czasów Echnatona nie płacił mu już daniny, choć za czasów wielkich faraonów było to główne źródło bogactwa Egiptu, bogatsze od Syrii.

Po dwuletniej wojnie w kraju Kusz powrócił Horemheb do Teb, prowadząc mnóstwo bydła, i rozdzielił dary między ludność, i poświęcił zwycięstwo przez dziesięć dni i dziesięć nocy, tak że w Tebach ustała wszelka praca, a pijani żołnierze czołgali się po ulicach becząc jak kozy, kobiety tebańskie zaś w swoim czasie urodziły ciemnoskóre dzieci. A Horemheb kołysał swego syna w ramionach i uczył go chodzić, mówiąc z dumą:

– Patrz, Sinuhe, oto z moich lędźwi wyszedł nowy ród królewski i w żyłach mego syna płynie święta krew, choć ja urodziłem się ze stopami uwalanymi gnojem!

Poszedł też do Eje, ale ten zamknął przed nim drzwi swojej komnaty, przerażony zabarykadował je górą stołków i łóżek, wołając zza drzwi piskliwym starczym głosem:

– Idź precz, Horemhebie, bo jestem faraonem i dobrze wiem, że przyszedłeś, aby mnie zabić i włożyć sobie korony na głowę!

Lecz Horemheb śmiał się tylko z niego, rozwalił kopnięciem drzwi, wyrzucił barykadę sprzętów i trzęsąc nim do utraty tchu, mówił:

– Bądź spokojny! Nie zamierzam cię zabić stary lisie! Nie chcę ci zabierać życia, mój kochany rajfurze, bo jesteś dla mnie czymś więcej niż teściem, twoje życie jest mi bardzo drogie. Co prawda świszczy ci już w płucach i ślina cieknie ci z ust, a kolana uginają się pod tobą, ale musisz się jeszcze trochę trzymać, Eje! Przez jeszcze jedną wojnę musisz się trzymać, ażeby Egipt miał faraona, na którego mógłby wylewać swoją nienawiść podczas mojej nieobecności.

Eje nie wierzył jednak w jego słowa, lecz gorzko płakał i obejmował go trzęsącymi się ramionami za kolana, błagając o życie. Wtedy Horemhebowi zrobiło się żal starego i odszedł, lecz kazał mieć na niego oko i osadził swoich ludzi na najwyższych stanowiskach, każąc im czuwać, żeby Eje nie robił jakichś szaleństw pod jego nieobecność. Czas Eje już się bowiem skończył i był on tylko głupim siwowłosym starcem, który z trudnością dźwigał korony na trzęsącej się od strachu głowie podczas uroczystych ceremonii wobec ludu.

Dla swojej małżonki Baketamon przywiózł Horemheb bogate dary – złoty piasek

w plecionych koszach, skóry lwów zabitych przez siebie z łuku, strusie pióra i żywe małpy – ale Baketamon nie chciała nawet patrzeć na jego podarunki i powiedziała do niego:

– Może być, że w oczach ludzi jesteś moim małżonkiem i urodziłam ci syna. Zadowol się więc tym, bo wiedz, że jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, splugawię twoje łożo i zdradzę cię tak, jak żadna kobieta jeszcze nie zdradziła swego męża. Żeby cię pohańbić, będę uprawiać rozpustę z niewolnikami i tragarzami i będę spółkować z poganiaczami osłów na tebańskich targowiskach, i nie będzie w Tebach dla mnie człowieka zbyt niskiego stanu, żebym z nim nie zażyła rozkoszy po to, by ciebie pohańbić, jeśli jeszcze raz ośmielisz się mnie dotknąć. W moich oczach bowiem nie ma w całym Egipcie człowieka tak nędznego jak ty, twoje dłonie cuchną krwią i całe twoje ciało cuchnie krwią, tak że mnie mdli, gdy się do mnie zbliżasz.

Ale jej opór podniecał jeszcze bardziej żądzę Horemheba, gdy patrzył na jej pociągłą twarz, wąskie biodra i wzdurliwie usta, zaczynał gwałtownie dyszeć i trudno mu było zapanować nad rękami. Toteż przyszedł do mnie i skarżył się gorzko:

– Sinuhe, dlaczego tak się dzieje i co złego zrobiłem, że moja żona unika mego łoża? Wiesz sam, ile się natrudziłem, żeby ją zdobyć i żeby stać się jej godnym stosownie do mojej sławy, i wiesz, że nieczęsto dotykałem pięknych kobiet, które przyprowadzano mnie do namiotu jako moją część łupu, lecz oddawałem je dla uciechy moim wszarcom. Doprawdy, na palcach mogę policzyć kobiety, z którymi zażyłem rozkoszy przez wszystkie te lata, i nie miałem też z tego wielkiej przyjemności, bo trzymając je w ramionach myślałem tylko o niej, o Baketamon, tylko Baketamon była dla mnie czarowna jak księżyc. Co to za czary, które zasępiają mi duszę i zatruwają me ciało jak jad żmii?

Odparłem:

– Nie dbaj o szalona kobietę, bo ona cierpi więcej niż ty z powodu swej dumy. Teby pełne są pięknych kobiet i nawet najskromniejsza niewolnica może ci dać to samo, co ona.

Lecz on rzekł na to:

– Mówisz wbrew swemu sercu, Sinuhe, bo wiesz doskonale, że miłości nie można nakazać.

Ostrzegłem go więc:

– Dlatego nie próbuj nakazywać jej miłości, bo wyniknie z tego tylko zło!

Ale Horemheb mi nie wierzył i mówił:

– Sinuhe, daj mi jakiś lek, żeby usnęła i żebym przynajmniej w czasie snu mógł

zażyć z nią rozkoszy, bo doprawdy ta kobieta winna mi jest dużo rozkoszy.

Ja jednak wzbraniałem się dać mu taki lek, ale on zwrócił się do innych lekarzy, a ci dali mu niebezpieczne środki, które czynią kobiety szalonymi i rozpalają ich łona tak, że zdaje im się, iż płonie w nich ogień. Takie to leki podał Horemheb potajemnie Baketaton, ale gdy podniósł się z jej objęć, nienawidziła go jeszcze bardziej niż przedtem i mówiła:

– Pamiętaj, co ci powiedziałam, i pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Horemheb był jednak zaślepiiony i szalony w swej bezmiernej żądzy, dał jej wina i usypiających środków, żeby usnęła i nie zbudziła się na jego dotknięcia, i nie mogła już stawiać oporu, gdy zażywał z nią rozkoszy. Ile rozkoszy jednak zaznał z nią Horemheb, nie mogę powiedzieć, sądzę jednak, że rozkosz ta miała gorzki posmak i że miłość stała się dla niego cierpka. Toteż niebawem wyjechał do Syrii, żeby przygotowywać wojnę przeciw Hetytom, bo mówił:

– W Kadesz postawili wielcy faraonowie kamienie graniczne Egiptu i nie spocznę, dopóki moje wozy bojowe nie wjadą do Kadesz.

A gdy księżniczka Baketamon spostrzegła, że jęczmień znowu zaczyna się dla niej zielenić, zamknęła się w swoich komnatach i nie chciała widzieć nikogo, lecz samotnie przemyśliwała nad swoim poniżeniem. Słudzy i niewolnicy musieli jej zostawiać posiłki pod drzwiami, a jadła tak mało, że lekarze w Złotym Domu obawiali się, iż umrze. Gdy zbliżał się jej czas, kazali ją potajemnie nadzorować, bo bali się, że zechce urodzić bez pomocy i posłać dziecko w łódeczce z biegiem Rzeki, jak to robiły matki, które rodząc musiały się lękać sromu. Ona jednak nie zrobiła nic takiego, lecz gdy nadszedł jej czas, wezwała lekarzy, a bóle porodowe wywoływały uśmiech na jej usta. Wydawała radosne okrzyki w swoich mękach, po czym urodziła Horemhebowi syna, któremu nadała imię Setos, nie pytając Horemheba. Tak bardzo nienawidziła tego swojego dziecka, że nadała mu imię Seta i nazywała je zrodzonym z Seta.

A gdy już podniosła się po rozwiązaniu, kazała sobie namaścić ciało i umalować twarz, odziała się w królewski len i kazała niewolnicom przewieźć się łódką na drugą stronę Rzeki, i samotnie poszła na Rybi Targ w Tebach. Tam zwróciła się do poganiaczy osłów, nosicieli wody i czyścicieli ryb ze słowami:

– Jestem księżniczką Baketamon i małżonką Horemheba. Urodziłam mu dwóch synów, ale to mężczyzna nudny, gnuśny i cuchnący krwią, tak że nie mam z niego żadnej uciechy. Chodźcie więc zażyć ze mną rozkoszy, ażebym miała z was uciechę, bo bardzo lubię wasze zgrubiałe pięści i zdrowy odór gnoju, jaki wydziela wasza skóra, a nawet lubię smród ryby.

Ludzie z Rybiego Targu wielce się zdziwili jej słowami i zląkszy się schodzili jej z drogi, ona jednak szła za nimi uparcie i kusiła ich swoimi słowami, i obnażała przed nimi swoją piękność mówiąc:

– Czyż nie jestem dostatecznie piękna, czemuż się wahacie? Być może, że jestem już stara i brzydka, ale nie żądam w zamian nic prócz małego kamienia od każdego z was! Jako zastaw swojej rozkoszy niech każdy da mi taki kamień, jaki chce, lecz niech daje tym większy kamień, im większą rozkosz zdołam mu zgotować, a wiercie mi, że zrobię, co tylko będę mogła, dla waszej uciechy.

Nic podobnego nie przytrafiło się jeszcze nigdy mężczyznom na Rybim Targu i sądzę, że coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy w całym Egipcie. Toteż patrzyli na nią z pożądaniem i oczy rozpały im się na widok jej piękności, królewski len jej szat kusił ich, a zapach jej pachnideł szedł im do głowy. Mówili między sobą:

– Coś takiego nigdy jeszcze się nie zdarzyło i pewnie jest to bogini, która się nam objawia, bo znajduje w nas upodobanie. Toteż na pewno źle byśmy zrobili sprzeciwiając się jej woli, bo nie jest podobna do ziemskich kobiet, jakie znamy, i rozkosz, którą na ofiaruje, jest z pewnością uciechą boską.

A niektórzy mówili:

– Przynajmniej uciecha nasza będzie tania, bo taniej nie sprzedają się nawet murzyńskie dziewczyny, które żądają co najmniej miedziaka za rozkosz, jaką dają. To pewnie kapłanka, która zbiera kamienie na nową świątynię Bastet, i dlatego zrobimy czyn miły bogom, gdy spełnimy jej wolę.

Tak to wahali się mężczyźni z Rybiego targu i mówili to i owo, idąc za nią na brzeg Rzeki, w sitowia, dokąd zawiodła ich, żeby być zasłoniętą od ludzkich spojrzeń. Czyściciele ryb mówili co prawda:

– Nie idźmy za nią, bo może ona sama wyszła z wody i prowadzi nas do wody, może jest to sama Kociogłowa i głowa jej zrobi się kocią głową, a tylnymi kończynami wyszarpie nam naszą męskość, gdy weźmiemy ją w ramiona, żeby zażyć z nią rozkoszy. – Lecz mimo to szli za nią, oczarowani jej pięknnością i miłym zapachem, a poganiacze osłów śmieli się z nich mówiąc: – Niech jej głowa będzie nawet rybią głową, a jej tylnych kończyn wcale się nie boimy, byleśmy tylko mieli z nią swoją uciechę.

Tak to Baketamon przez cały dzień w nadbrzeżnym sitowiu oddawała się rozpuście z mężczyznami z Rybiego Targu i nie oszukiwała ich, jeśli chodzi o ich uciechę. Robiła dla nich, ile tylko mogła, tak że z radości znosili dla niej kamienie, które kupuje się u kamieniarzy za wysoką cenę, tak wielce cenili rozkosz, jaką im dawała. A między sobą mówili:

– Doprawdy, takiej kobiety jeszcześmy nigdy nie spotkali. Bo usta jej są jak płynny miód, a jej piersi jak dojrzałe jabłka, jej łono zaś jest gorące jak warstwa żaru, na której piecze się rybę. – I namawiali ją, żeby niebawem wróciła na Rybi Targ, obiecując zbierać dla niej kamienie, dużo kamieni i wielkie kamienie, ona zaś uśmiechała się do nich skromnie, dziękując im za życzliwość i za wielką radość, którą jej sprawili. A gdy wieczorem wracała do Złotego Domu, musiała na brzegu wynająć większą łódź, żeby móc zabrać z sobą wszystkie kamienie, które zebrała w ciągu tego dnia. Toteż nazajutrz wybrała się większą łodzią i kazała niewolnicom zawieźć się do Teb, gdzie zostawiła je, by czekały na nią na brzegu, sama zaś poszła na Targ Warzywny. Tam zwracała się do wieśniaków, którzy z wołami i osłami przybyli o świtanu do Teb ze swoich pól i których pięści twarde były od mułu, a skóra szorstka i wygarbowana wiatrem. Zwracała się też do zmiataaczy ulic i do czyścicieli wychodków oraz do strażników, którzy drewnianymi oszczepami wskazywali każdemu jego miejsce na targowisku, i mówiła do nich:

– Jestem księżniczką Baketamon, małżonką Horemheba, wielkiego egipskiego wodza. Ale to mężczyzna nudny i gnuśny i nie ma już dość siły, tak że nie może mi sprawić żadnej rozkoszy. Traktuje mnie też źle. Zabrał mi dzieci i wygania mnie z moich komnat, tak że nawet nie mam dachu nad głową. Chodźcie więc zażyć ze mną rozkoszy! Chciałabym mieć z was uciechę, a w zamian nie żądam nic więcej tylko małego kamienia od każdego. Nie sądzę, żebyście mogli mieć w Tebach rozkosz taniej nawet z kobietami murzyńskimi.

Wieśniacy, czyściciele ulic i czarni strażnicy ogromnie się dziwili jej słowom i żywo z sobą rozmawiali:

– Niemożliwe, żeby to była księżniczka, bo jeszcze nigdy żadna księżniczka nie zachowywała się w taki sposób.

Ona jednak kusiła ich słowami i obnażała przed nimi swoją piękność, i szła przed nimi, wiodąc ich do nadbrzeżnych sitowi, tak że opuścili swoje stopy jarzyn, woły o osły, zostawili nie sprzątnięte ulice i poszli za nią. A nad Rzeką mówili między sobą:

– Takiego kaska biedak nie dostaje co dzień. Skóra jej nie przypomina czarnej skóry naszych żon, szaty jej są szatami możnych, cerę ma delikatną, pachnie tak, jak pachną możni. Toteż bylibyśmy szaleni, gdybyśmy nie wzięli rozkoszy, którą nam ofiaruje. I my ze swej strony zrobmy, co w naszej mocy, żeby sprawić jej rozkosz, której jej tak brakuje, bo tak bardzo jest zaniedbywana w małżeństwie.

Zażywali więc z nią rozkoszy i znosili dla niej kamienie. Chłopi przynosili jej kamienne progi z szynków, a strażnicy kradli dla niej kamień z budowli faraona, żeby

móc zażyć z nią rozkoszy. A gdy już się nasycili, zaczęli się naradzać i mówili między sobą:

– Jeśli to rzeczywiście małżonka Horemheba, Horemheb zabije nas, gdy się o tym dowie, bo jest on straszniejszy od lwa. Jest to mąż próżny i dbały o swoją cześć, choć nie potrafi sprawić rozkoszy swojej żonie. Ale jeśli będzie nas dostatecznie dużo, nie będzie mógł zabić wszystkich, bo nie będzie mógł zabić całych Teb z powodu swej małżonki. Toteż wyjdzie to nam tylko na korzyść, jeśli ona dostanie dużo kamieni.

Wrócili więc na Targ Warzywny i opowiadali o rozkoszy, jaką przeżyli, przyjaciółom i znajomym, i prowadzili ich do nadbrzeżnych sitowisk, tak że dnia tego wydeptano w sitowiu szeroką ścieżkę, a wieczorem wyglądało tam tak, jak w miejscu, gdzie tarzają się hipopotamy. A na Targu Warzywnym panował ogromny nieład, wiele towaru pokradziono, osły rżały z pragnienia na rogach ulic, woły ryczały, a gospodarze piwiarni biegali po ulicach płacząc i rwąc sobie włosy z głowy, ponieważ pokradziono im cenne kamienne progi. Wieczorem zaś księżniczka Baketamon podziękowała wstydliwie mężczyznom z targu Warzywnego za ich wielką dla niej życzliwość i za rozkosz, którą jej sprawili. A oni pomogli jej załadować kamienie na łódź, która tak była tymi kamieniami obciążona, że bliska była zatonięcia i niewolnicom trudno było wiosłować, gdy płynęły przez Rzekę do przystani Złotego Domu.

Tego wieczoru całe Teby wiedziały już, że Kociogłowa we własnej osobie objawiła się ludowi i zażywa z mężczyznami rozkoszy. Po mieście krążyły najdziwniejsze pogłoski, bo ludzie, którzy nie wierzyli już w bogów, wynajdywali inne wytłumaczenia tego zdarzenia. Mówili mianowicie:

– Być może, że w czasach piramid bogowie objawiali się ludziom, ale świat jest już stary i bogowie nie objawiają się od dawna. Toteż musi to być jakaś można kobieta i musi ona być bardzo można, skoro waży się postępować w taki sposób.

Następnego dnia udała się księżniczka Baketamon na Targ Drzewny i uprawiała tego dnia rozpustę z mężczyznami z Targu Drzewnego. Wieczorem zaś sitowia nad Nilem były wydeptane i zaśmiecone, a kapłani wielu małych świątynek biadali gorzko, bo mężczyźni z Targu Drzewnego byli to bezbożnicy, którzy nie zawahali się wyrwać głazów ze ścian świątynnych, żeby płacić nimi za swoją rozkosz. Oblizywali się oni szeroko, chępnili się i mówili między sobą:

– Doprawdy pokosztowaliśmy boskiego przysmaku! Wargi jej topniały w naszych ustach, piersi paliły nam dłonie jak rozżarzone główne, nie wiedzieliśmy dotychczas, że taka rozkosz istnieje na świecie.

Gdy w Tebach rozeszła się wieść, że bogini po raz trzeci objawiła się ludowi, w

mieście zrodził się wielki niepokój. Nawet szanowni mężowie uciekali od swoich żon do winiarni i zabierali nocą kamienie z budowli faraona, tak że każdy mężczyzna w Tebach chodził następnego dnia z targowiska na targowisko z kamieniem pod pachą, niecierpliwie czekając, by objawiła mu się Kociogłowa. A kapłani zaniepokoiли się i wysłali swoich strażników, żeby schwytali ową kobietę, która doprowadza do takiego zamętu i częściej gadaniny.

Dnia tego księżniczka Baketamon nie pojechała jednak do Teb, lecz odpoczywała po trudach w Złotym Domu, uśmiechała się do wszystkich, którzy się z nią stykali, uprzejmie rozmawiała, przeciągała się wstydliwie i przysłaniała dłonią usta, by ukryć ziewanie. Cały dwór wielce się dziwił jej zachowaniu, bo nikt jeszcze nie przeczuwał, że to ona była ową tajemniczą kobietą, która objawiała się ludowi w Tebach i uprawiała rozpustę z zamiataczami ulic i czyścicielami ryby.

A księżniczka Baketamon przyglądała się kamieniom różnej wielkości i koloru, które zgromadziła, i przywoławszy do swego ogrodu budowniczego królewskich obór przyjęła go uprzejmie i powiedziała:

– Zebrałam te kamienie na brzegu i są one dla mnie święte, a z każdym z nich związane jest dla mnie radosne wspomnienie, tym radośniejsze, im większy jest kamień. Zbuduj mi więc z tych kamieni pawilon, żebym miała dach nad głową, bo małżonek mój mnie zaniedbuje i wygania z moich komnat, jak o tym dobrze wiesz i pewnie słyszałeś. Ale zbuduj mi pawilon przestronny i niech ściany jego będą wysokie, i zacznij budować zaraz, a ja zbiorę dla ciebie jeszcze więcej kamieni, w miarę jak ich będziesz potrzebował, nie musisz się więc niepokoić, że ci zabraknie kamieni.

Budowniczy obór był to człowiek prosty, w fartuszkach szarym od kamiennego pyłu, o barkach pokrytych guzami od dźwigania kamieni, nieprzywykły do rozmawiania z wysoko postawionymi kobietami. Z zakłopotaniem grzebał stopą w ziemi przed księżniczką i spuściwszy oczy rzekł pokornie:

– Wysoka księżniczko Baketamon, boję się, że to co umiem, nie wystarczy, żeby zbudować pawilon godny ciebie, zwłaszcza że kamienie te są różnych rozmiarów i rozmaitego koloru, tak że ich zespolenie z sobą sprawi wielką trudność i wymaga nadzwyczaj artystycznego smaku. Wezwij zatem do tego zadania jakiegoś znakomitego budowniczego świątyni czy artystę, bo obawiam się, że swoją niezdarkością zmarnuję twoją piękną myśl, a te liczne kamienie, które zgromadziłaś, pójdą na marne.

Ale Baketamon dotknęła skromnie dłonią jego pokrytych guzami barków i odparła:

– O, kamieniarzu budujący obory, jestem tylko biedną kobietą, mój małżonek zaniedbuje mnie i nie mam środków na to, żeby nająć znakomitych budowniczych.

Również i tobie nie mogę dać za tę budowę daru tak godnego, jakbym chciała, ale gdy pawilon będzie gotowy, obejrzę go razem z tobą i jeśli uznam, że jest dobry, obiecuję ci, że zażyjesz tam ze mną rozkoszy. Nie mam bowiem nic innego, co bym ci mogła ofiarować, lecz odrobinę uciechy mogę ci wszakże sprawić, bo jeszcze nie jestem całkiem stara i brzydka, niech więc to będzie twoją zapłatą. A sądzę, że i ty możesz mi dać wielką radość, bo jesteś silny i masz mocne ramiona, ja zaś jestem małą kobietą i tęsknię do rozkoszy, bo nie mam żadnej pociechy z mego męża, jak pewnie o tym dobrze wiesz.

Budowniczego obór królewskich wielce podnieciły jej słowa i dotknięcie, wpatrzony w jej piękność przypomniał sobie wszystkie baśnie, w których księżniczka zakochuje się w prostym człowieku i zażywa z nim rozkoszy. Bał się bardzo Horemheba, ale żądza była silniejsza niż strach, a słowa Baketamon schlebiały mu wielce. Toteż zaczął budować pawilon z kamieni, które zebrała, i użył przy tej budowie całej swojej sztuki, śniąc z otwartymi oczyma i kamieniami wbudowując swoje sny w ściany pawilonu. Jego żądza i miłość uczyniły go wielkim artystą, bo oglądał księżniczkę Baketamon codziennie, a serce płonęło mu i pod spojrzzeniami migdałowych oczu księżniczki spalało się na popiół jak suche sitowie. Pracował jak szaleniec, chudł i bladł od pracy i pożądania, aż wreszcie z kamieni rozmaitych wielkości i różnego koloru zbudował pawilon, któremu podobnego nikt nigdy dotychczas nie oglądał.

Ale w czasie budowy wnet skończyły się kamienie, które zgromadziła Baketamon, i musiała ona postarać się o nowe. Toteż znowu kazała zawieźć się do Teb i zbierała kamienie na wszystkich targowiskach, w Alei Baranów i na dziedzińcach świątyń, tak że w końcu nie było w Tebach miejsca, gdzie by Baketamon nie zbierała kamieni. Mężczyźni, którzy jej kamienie przynosili, ukrywali ją przed strażnikami, w końcu jednak została ujęta przez strażników kapłanów i faraona, którzy chcieli ją uwięzić i zaprowadzić przed sędziów z powodu jej postępowania. Wtedy zadarła dumnie głowę do góry i rzekła do strażników:

– Jestem księżniczką Baketamon i chcę widzieć takiego, kto by się ośmielił mnie sądzić, bo w żyłach moich płynie krew święta i jestem spadkobierczynią władzy faraonów. Nie ukarzę was jednak za waszą głupotę, lecz chętnie zażyję rozkoszy także z wami, bo jesteście silni i dorodni. Ale każdy z was musi mi za to przynieść kamień. Weźcie te kamienie z murów sądu albo świątyni, a im większy kamień mi który przyniesie, tym większą dam mu rozkosz. I nie zawiodę was, lecz uczynię, co w mojej mocy, a nabyłam już w tych sprawach bardzo wielkiej biegłości.

Strażnicy popatrzyli na nią i zarazili się szaleństwem tebańskich mężczyzn. Poszli,

by oszczepami wyłamać wielkie bloki kamienne z bram sądu i z przedsionków świątyni Amona, po czym zanieśli je do Baketamon, ona zaś szczerze spełniła swoją wobec nich obietnicę. Muszę jednak na jej chwałę powiedzieć, że zbierając kamienie nigdy nie zachowywała się wyuzdanie, lecz po rozpuszcie z mężczyznami otulała się zawsze wstydliwie w swoje szaty, spuszczała oczy ku ziemi i nie pozwalała nikomu więcej się dotknąć. Po tym wypadku jednak musiała szukać schronienia w domach rozpusty i zbierać kamienie po kryjomu. Przychodziła do wielu takich domów w dzielnicy biedoty, żądając za rozkosz, którą dawała, tylko jednego kamienia od każdego kto chciał z nią zażyć rozkoszy. Toteż gospodarze domów rozpusty mieli z niej wielką korzyść i chętnie przyjmowali ją w gościnę, ale żeby uniknąć strażników i zbiegowiska, musiała co dzień udawać się do innego domu rozpusty.

W owym czasie wszyscy już wiedzieli, czym para się Baketamon, i dworzanie zbierali się w ogrodzie, żeby ukradkiem przyglądać się pawilonowi, który budowniczy obór wznosił z kamieni przez nią przyniesionych. Gdy dworskie damy zobaczyły wysokość ścian pawilonu i ilość wielkich i małych kamieni w jego ścianach, przyłożyły dłonie do ust i wydały okrzyki zdumienia. Księżniczce jednak nikt nie ważył się nic powiedzieć i nikt się nie ośmielił jej ostrzec, a Eje, który władzą faraona mógłby może ją powstrzymać, cieszył się ogromnie w szaleństwie swej starości, gdy słyszał o jej postępowaniu, bo myślał, że sprawi to Horemhebowi dużo zmartwienia, radowało go zaś wszystko, co było troską Horemheba.

Horemheb prowadził tymczasem wojnę w Syrii, zdobył na Hetytach Sydon, Simirę i Byblos i posyłał do Egiptu mnóstwo łupów i niewolników oraz wielkie dary dla swojej małżonki. Wszyscy w Tebach wiedzieli już, co się dzieje w Złotym Domu ale nie było nikogo tak odważnego, żeby ośmielił się powiadomić o tym Horemheba, jego zaś własni stronnicy, którym nadał wysokie godności, zamykali oczy na postępowanie Baketamon i mówili między sobą:

– To sprawy rodzinne i mądrzej jest włożyć nos między dwa młyńskie kamienie niż mieszać się do waśni między mężem a żoną. Ten bowiem, kto się do tego miesza, ma przeciwko sobie oboje.

Toteż Horemheb nie dowiedział się o tym, co się działo w Tebach, w czasie gdy prowadził wojnę w Syrii. Sądzę, że tak też było najlepiej dla dobra Egiptu, bo gdyby wiedział o postępowaniu Baketamon, zakłóciłoby mu to z pewnością ogromnie spokój ducha potrzebny do prowadzenia wojny.

ROZDZIAŁ 5

Dużo opowiadałem o tym, co się działo z innymi w czasie, gdy kapłan Eje rządził

w Egipcie, o sobie samym jednak nie opowiedziałem nic. Ale to ma swoją przyczynę w tym, że niewiele mam do opowiedzenia o sobie. Rzeka mojego życia nie rwała już bowiem wartko, lecz płynęła powoli i spokojnie, rozlewając się znowu w zamuliska. Rok za rokiem żyłem pod opieką Muti w dawnym domu odlewacza miedzi, który Muti odbudowała po pożarze, i stopy moje znużone były wędrówką po rozmaitych zakurzonych drogach, o oczy zmęczone oglądaniem niepokoju świata, serce zaś próżnością tego wszystkiego, co się na świecie działo. Toteż zamykałem się w moim domu i nie przyjmowałem już nawet chorych, tylko od czasu do czasu leczyłem dolegliwości sąsiadów, a czasem leczyłem też najbiedniejszych, ponieważ nie mieli darów, by zwrócić się do innych lekarzy. Kazałem na podwórku wykopać nową sadzawkę, wpuściłem do niej kolorowe rybki i siadywałem całymi dniami w ogrodzie pod pnem sykomoru, słuchając rżenia osłów na ulicy przed domem i dziecinnych zabaw i przyglądając się rybkom, które spokojnie pływały w chłodnej wodzie. Opalony w pożarze sykomor zaczął znowu wypuszczać zielone listki, a Muti opiekowała się mną dobrze, przyrządzała smakowite jedzenie i pozwalała mi w miarę napić się wina, gdy miałem na to ochotę, oraz doglądała, żebym dobrze spał i zbyt nie przemęczał.

Ale jadło straciło smak w moich ustach, a wino nie dawało mi żadnej radości, przeciwnie, z nadejściem chłodnych wieczorów przywodziło mi na myśl wszystkie moje złe uczynki i wywoływało przede mną umierającą twarz faraona Echnatona i młodą twarz księcia Szubattu. Toteż nie chciałem już leczyć ludzi moją sztuką, bo ręce moje były przeklęte i siały tylko śmierć, choć pragnąłem, żeby ręce te były dobre. Dlatego też przyglądałem się tylko rybkom w mej sadzawce i zazdrościłem im, że krew ich jest zimna a namiętności chłodne i że spędzają życie w wodzie, nie oddychając gorącym ziemskim powietrzem.

Gdy tak siedziałem w moim ogrodzie i przyglądałem się rybkom, rozmawiałem często z sobą samym, mówiąc do swego serca:

– Uspokój się głupie serce, bo nie twoja to wina. Wszystko, co dzieje się na świecie, jest szalone, dobro czy zło nie mają żadnego znaczenia, tylko chciwość, nienawiść i żądza władają światem. Nie twoja wina, Sinuhe, bo człowiek zostaje zawsze taki sam i nigdy się nie zmienia. Lata mijają, ludzie się rodzą i umierają, a życie ich jest jak gorący powiew i nie są szczęśliwi w życiu, lecz szczęśliwi są tylko w śmierci. Toteż nie ma większej marności niż życie ludzkie, a wina w tym nie twoja, gdyż człowiek zostaje taki sam przez wszystkie czasy. Na próżno zanurzasz go w rzece czasu. Serce jego się nie zmienia i gdy z niej wychodzi, jest taki sam jak wtedy, gdy w nią wstępował. Na próżno doświadczasz człowieka wojną i niedolą, zarazą i pożarem, bogami i oszczepem, bo

od gorzkich doświadczeń człowiek robi się tylko bardziej zatwardziały, aż staje się wreszcie gorszy od krokodyla. Tylko martwy człowiek jest dobrym człowiekiem.

Ale serce moje sprzeciwiało mi się:

– Siedź sobie i przyglądaj się rybkom, Sinuhe, ale ja i tak nie dam ci spokoju, dopóki będziesz żyć, każdego dnia twego życia powiem ci, że to właśnie ty jesteś winien, i co nocy będę ci bębnić we śnie, że to ty, Sinuhe, jesteś winien, bo ja, twoje serce, bardziej jestem nienasycone niż krokodyl i chcę, żeby wypełniła się twoja miara.

Bardzo byłem obrażony na moje serce i powiedziałem doń:

– Nierozsądne z ciebie serce i bardzo mam już ciebie dość, ponieważ przysparzasz mi tylko zmartwień i trudności, trosk i kłopotów przez całe moje życie. Wiem dobrze, że rozum mój jest mordercą i że mam nieczyste sumienie, ale przestępstwa moje są małe w porównaniu z innymi, które dzieją się na świecie, i nikt nie może mnie o nie oskarżyć. Toteż nie rozumiem, dlaczego wciąż zrzędzisz o mojej winie i nie dajesz mi spokoju. Kimże bowiem jestem, bym miał poprawiać świat i zmieniać ludzką naturę?

Ale serce mówiło mi:

– Nie mówię o twoich morderstwach i nie obwiniam cię o nie, choć dzień i noc w świadomości twej tętni słowo „winien”, „winien”. Setki i tysiące ludzi umarło z powodu ciebie, Sinuhe! Umarli od głodu i zarazy, od broni i ran, umierali pod kołami wozów bojowych i ginęli w marszach na pustyni. Z twego powodu umierały dzieci w łonie matek, z twego powodu sypały się kije na zgięte grzbiety, z twego powodu bezprawie depcze sprawiedliwość, z twego powodu chciwość zwycięża dobro, z twego powodu rabusie panują nad światem. Doprawdy, ludzi bez liku umarło z twego powodu, Sinuhe! różnego koloru była ich skóra i różnymi mówili językami, ale umarli niewinnie, Sinuhe, bo nie mieli twojej wiedzy. A wszyscy, którzy umarli i którzy wciąż jeszcze umierają, są twymi braćmi i umierają z twego powodu, i to jedynie ty jesteś winien. Dlatego słyszysz teraz ich płacz w twoich snach, Sinuhe, i dlatego płacz ten zabija smak jedzenia w twoich ustach i obraca wniwecz wszelką twoją radość.

Ja jednak w swojej zakamieniałości upierałem się:

– Rybacy są moimi braćmi, bo nie umieją prawić próżnych słów! Wilki na pustyni są moimi braćmi i lwy dzikiej głuszy są moimi braćmi, ale nie człowiek, bo człowiek wie, co robi.

Lecz serce moje drwiło ze mnie:

– Czy rzeczywiście człowiek wie, co robi? Ty wiesz dosyć, ty masz wiedzę i dlatego pozwalałam ci cierpieć aż do dnia twej śmierci. Ale inni nie wiedzą. Dlatego ty, ty jeden jesteś winien, Sinuhe.

Wtedy zakrzyknąłem głośno i rozdzierając szaty zawołałem:

– Niech będzie przeklęta cała moja wiedza, przeklęte niech będą moje ręce, przeklęte niech będą moje oczy, ale najbardziej przeklęte niech będzie moje szalone serce, które nie daje mi spokoju przez całe moje życie i zmyśla przeciw mnie fałszywe oskarżenia. Przynieście mi natychmiast wagę Ozyrysa, żeby zważyć moje kłamliwe serce, i niech czterdzieści sprawiedliwych pawianów wyda na mnie wyrok, bo więcej ufam im niż memu nieszczęsnemu sercu.

Muti przybiegła śpiesznie z kuchni, zmoczyła fartuch w wodzie sadzawki i owinęła mi nim głowę, chłodząc mi równocześnie czoło zimnym dzbanem. Robiła mi gwałtowne wyrzuty i położyła mnie do łóżka oraz dawała mi najrozmaitsze leki o przebrzydłym smaku, dopóki się nie uspokoiłem. Długo chorowałem. A leżąc w chorobie bredziłem o wadze Ozyrysa i prosiłem Muti o wagę do mąki, opowiadałem jej o Merit i o małym Tocie. Pielęgnowała mnie wiernie i sądzę, że bardzo była zadowolona mogąc mnie trzymać w łóżku i karmić. A potem zakazała mi surowo siadywania w ogrodzie na słońcu, bo włosy powypadały mi i moja łysa głowa nie znosiła już jadowitych promieni słońca. Ja jednak wcale nie siedziałem w promieniach słońca, lecz w chłodnym cieniu sykomoru, przyglądając się rybkom, które były moimi braćmi, ponieważ nie umiały mówić.

Z czasem przyszedłem do zdrowia a po wyzdrowieniu stałem się cichszy i spokojniejszy niż poprzednio i nawet z sercem swoim się pojednałem, tak że nie męczyło mnie już teraz tak okropnie. I nie mówiłem już do Muti o Merit i o małym Tocie, lecz schowałem pamięć o nich w głębi serca i wiedziałem, że musieli umrzeć, by moja miara wypełniła się po brzegi i żebym został sam, bo gdyby byli ze mną, byłbym szczęśliwy i zadowolony i serce moje milczałoby. Musiałem bowiem zawsze być samotny, według miary, którą mi wymierzono, i dlatego już w noc mego urodzenia samotnie płynąłem w dół Rzeki w wylanej smołą łódeczce z sitowia.

Przyszedłszy do zdrowia przywdziałem potajemnie grube szaty biedaka i zdjawszy ze stóp sandały odszedłem z dawnego domu odlewacza miedzi, by już tam nigdy nie wrócić. Poszedłem do portu, na kamienne pomosty, dźwigałem z tragarzami ciężary, aż rozboleł mnie krzyż i skrzywiły mi się łopatki. Poszedłem na Targ Warzywny i zbierałem sobie na pokarm zepsute jarzyny, poszedłem na Drzewny Targ, by deptać stopami miechy wypalaczy węgla i kowali. Wykonywałem pracę niewolników i pracę tragarzy, jadłem ich chleb, piłem ich piwo i mówiłem do nich:

– Nie ma żadnej różnicy między ludźmi, każdy człowiek przychodzi na świat nagi i serce ludzkie jest jedyną miarą różnic między ludźmi. Człowieka nie można mierzyć

według koloru skóry czy według języka, nie wolno go oceniać według jego odzieży czy ozdób, które nosi, ani też według jego bogactwa czy biedoty, lecz tylko według jego serca. Dobry człowiek lepszy jest od złego, sprawiedliwość lepsza niż niesprawiedliwość. Nie wiem nic innego, a to jest wszystko, co wiem.

Tak przemawiałem do nich przed ich lepiankami w zmierzchu wieczoru, gdy żony ich rozniecały na bruku ogniska, a swąd smażonej ryby unosił się w powietrzu i rozchodził po całej dzielnicy biedoty. Śmieli się ze mnie i mówili:

– Szalony jesteś, Sinuhe, skoro wykonujesz pracę niewolników, choć umiesz czytać i pisać. Ale pewnie wmieszałeś się w jakąś zbrodnię i chcesz się między nami ukryć, a to, co mówisz, przypomina nieco naukę Atona, którego imienia nie wolno nam wymawiać. Nie wydamy cię jednak strażnikom, lecz ukryjemy pomiędzy sobą, żebyś nas bawił swoją zwariowaną gadaniną. Ale nie porównuj nas z parszywymi Syryjczykami i nędznymi Murzynami, bo choć tylko niewolnicy i tragarze, to jednak jesteśmy Egipcjanami i jako Egipcjanie dumni jesteśmy z naszej skóry i naszej mowy, naszej przeszłości i naszej przyszłości.

A ja spierałem się z nimi:

– Niemądra to mowa, bo dopóki człowiek jest z siebie dumny i uważa się za lepszego od innych, dopóty śladem ludzkości idą kajdany i razy kija, oszczepy i kruki. Dlatego człowieka należy oceniać tylko według jego serca, a wszystkie serca ludzkie mają jednakową wartość, serce jednego nie jest lepsze od serca drugiego, bo wszystkie łyż są z takiej samej wody i jednakowo słone są łyż czarnych i brązowych, łyż Syryjczyków i Murzynów, łyż biedaków i możnych.

Oni jednak wyśmiewali mnie głośno i bili się po kolanach mówiąc:

– Doprawdy, jesteś szalony i pewnie nie widziałeś nic w życiu, lecz wzrosłeś zakutany w worku. Bo człowiek nie może żyć, jeśli nie czuje się lepszy od innego człowieka, i nie ma człowieka tak nędznego, żeby pod jakimś względem nie mógł się czuć lepszy od drugiego. Jeden dumny jest ze zręczności swoich rąk, inny z siły swoich barków, złodziej dumny jest ze swej chytryści, sędzia z mądrości, chciwiec z oszczędności, rozrzutnik ze szczodrości, żona ze swej cnoty, a ładacznica z wyzbytej przesądów natury. I nic nie sprawia człowiekowi większego zadowolenia jak świadomość, że pod jakimś względem lepszy jest od innych. Toteż i my czujemy się ogromnie radzi, że jesteśmy mądrzejsi od ciebie i bardziej kuci od ciebie, choć jesteśmy tylko biedakami i niewolnikami, a ty umiesz czytać i pisać.

Lecz ja nie ustępowałem:

– A jednak dobry człowiek jest lepszy od złego, a sprawiedliwość lepsza jest niż

niesprawiedliwość.

Oni zaś z rozgoryczeniem odpowiadali:

– Co to jest dobro, a co jest zło? Jeśli zabijemy złego pana, który dręczy nas kijami, kradnie nam strawę i pozwala naszym żonom i dzieciom głodować, to czyn nasz jest dobrym postępkem, a jednak strażnicy prowadzą nas przed sędziów faraona, obcinają nam uszy i nosy i wieszają na murze głową w dół. Taka jest sprawiedliwość, bo sprawiedliwość zależy od ciężarków którymi jest ważona, nazbyt często sprawiedliwość nie jest dla nas niczym innym jak niesprawiedliwością, ponieważ nie wolno nam położyć własnych ciężarków na wagę sprawiedliwości, a ciężarki sędziów faraona są odmienne od naszych.

Dawali mi zjeść ryby usmażonej przez ich żony, piłem ich cienkie piwo i mówiłem:

– Zabójstwo to najnędzniejsza zbrodnia, jakiej może dopuścić się człowiek, i równie podłą rzeczą jest zabijać w dobrej sprawie, jak w złej, bo człowieka nie należy zabijać, lecz trzeba go leczyć z jego zła.

Wtedy przykładali dłonie do ust, oglądali się dokoła siebie i wykrzykiwali:

– Wcale nie chcemy nikogo zabijać, bo chłosta i kije nauczyły nas pokory i znosimy wszystkie kopniaki, upokorzenia i obrazy już bez zabijania kogokolwiek. Ale jeśli chcesz leczyć ludzi z ich zła i stawiać prawo w miejscu bezprawia, a słusność w miejsce krzywdy, wtedy musisz, zaiste, iść do możnych i do bogaczy, i do sędziów faraona i pomówić z nimi o tych rzeczach, bo naszym zdaniem znajdziesz u nich więcej zła i niesprawiedliwości niż u nas. – Tak mówili i śmiali się w kułak, trącali łokciami i mrugali na siebie. Ja zaś odpowiadałem:

– Wolę mówić do was, bo wy jesteście ludem. Was jest jak piasku i gwiazd i od was pochodzi wszelkie zło i niesprawiedliwość, lecz także i wszelkie dobro. Nie jesteście też niewinni, bo gdy wam powiedzą „idźcie”, idziecie i robicie wszystko, co wam każą. Przychodzą też do was często werbownicy faraona, dają wam miedziaki i sztuki materiału, wkładają w ręce oszczepy i wiodą na wojnę. A jeśli nie pójdziecie za nimi, nakładają na was postronki i kajdany i skutych prowadzą na wojnę. A na wojnie zakłuwacie i zabijacie ludzi, waszych bliźnich. Rozpruwacie waszym braciom brzuchy i bardzo jesteście dumni ze swoich czynów. A przecież wszelkie zabijanie jest nędzną zbrodnią i krew wylana spada na wasze głowy. Dlatego też naprawdę nie jesteście niewinni.

Niektórzy z nich zastanawiali się nad moimi słowy i odpowiadali wzdychając:

– To prawda, że nikt z nas nie jest bez winy, ale urodziliśmy się w niedobrym świecie i rozpoczęliśmy życie płaczem, wychodząc z łona matek. Dlatego płacz

towarzyszy nam na wszystkich drogach naszego żywota i niewola jest naszym wiecznym przeznaczeniem, a kapłani wiążą nas czarami, żebyśmy jeszcze po śmierci musieli pracować dla naszych panów, dając nasze imiona drewnianym figurkom, które towarzyszą naszym panom do grobów. Idź więc także do bogaczy i do możnych i pomów z nimi o tych sprawach, bo naszym zdaniem zło i niesprawiedliwość pochodzi od nich, gdyż do nich należy władza. Ale nie obwiniaj nas, jeśli z powodu twoich słów obetną ci uszy i ześlą do kopalń lub powieszą na murze głową w dół, bo słowa, które mówisz, to słowa niebezpieczne. Gdyby to któryś z nas mówił takie słowa, nie ważylibyśmy się ich słuchać, choć ciebie słuchamy, bo najwidoczniej jesteś człowiekiem szalonym i niegroźnym. Najniebezpieczniejsze zaś ze wszystkiego, co mówisz, jest to, co powiadasz o wojnie, bo zabijać na wojnie jest chwałą mężczyzny i Horemheb, nasz wielki wódz, kazałby cię na pewno zabić, gdyby słyszał, jak przemawiasz do ludu, choć w innych sprawach jest zupełnie bezsilny i nie umie nawet zadowolić swojej małżonki.

Posłuchałem ich rady i odszedłem stamtąd. Wędrowałem wielkimi ulicami Teb boso i odziany w szare szaty biedaków, przemawiałem do kupców, którzy dosypywali do mąki piasku, i do właścicieli młynów, którzy sztabkami zamykali niewolnikom usta, by ci nie mogli zjadać zboża, które męli, i do sędziów którzy rabowali mienie sierot i wyrokowali niesprawiedliwie, gdy otrzymali wielkie dary. Mówiłem do nich wszystkich, ganiłem ich za ich postęпки i z powodu ich zła, a oni słuchali moich słów wielce zdziwieni i mówili między sobą:

– Kim właściwie jest ten lekarz, Sinuhe, który głosi śmiało słowa, choć nosi tylko odzież niewolnika? Bądźmy ostrożni, bo to pewnie szpieg faraona, gdyż w innym razie nie ważyłby się mówić do nas tak śmiało.

Dlatego słuchali mnie nie okazując zniecierpliwienia, a kupcy zapraszali mnie do swoich domów i proponowali dary, a właściciele młynów dawali mi wina, sędziowie zaś pytali mnie o radę i wydawali wyroki stosownie do moich rad. Skutkiem tego sądzili na korzyść biedaków i przeciw bogaczom, mimo że otrzymywali od tych ostatnich wielkie dary, co wywoływało duże niezadowolenie, a w Tebach mówiono:

– Nie można już dzisiaj ufać nawet sędziom faraona, bo bardziej są oszukańczy od złodziei, których sądzą.

Ale gdy poszedłem do możnych, ci natrzęsali się ze mnie, szczuli mnie psami i kazali swoim sługom wypędzać mnie z dziedzińców, tak że hańba moja była wielka i biegłem ulicami Teb w porwanej odzieży, z nogami ociekającymi krwią, mając przy piętach goniące mnie psy. Ludzie śmieli się ze mnie i bili się po kolanach, a kupcy i sędziowie faraona ujrawszy moją hańbę nie wierzyli już moim słowom, lecz odpędzali

mnie od siebie i wzywali strażników, żeby bili mnie drzewcami oszczepów. I mówili do mnie:

– Jeśli jeszcze raz się tu pokażesz z fałszywymi oskarżeniami, każemy cię skazać jako oszczercę i podżegacza, a kruki szarpać będą twoje ciało na murach.

Wtedy wróciłem we wstydzie do dawnego domu odlewacza miedzi w ubogiej dzielnicy Teb, bo zobaczyłem, że cały mój trud był daremny, a śmierć moja nie przyniosłaby nikomu korzyści i dałaby tylko uciechę krukom.

I znów siadałem pod sykomorem w moim ogrodzie, żeby przyglądać się niemym rybkom w sadzawce, i bardzo koilo mi dusze, gdy tak siedziałem i przypatrywałem im się, a osły ryczały na ulicy przed moim domem i dzieci bawiły się w wojnę, rzucając w siebie oślim łąjnem. Także Kaptah odwiedził mnie tam, bo wrócił do Teb nie bojąc się już niewolników i tragarzy, którzy znowu spokornieli na duchu. Przybył do mnie z wielką pompą, a jego ozdobną malowaną lektykę niosło osiemnastu czarnych niewolników, on zaś siedział w niej na miękkich matach, a kosztowne maści lały mu się z czoła na oblicze, żeby nie czuł zapachu dzielnicy biedoty. Znowu poważnie utył i syryjski złotnik zrobił mu w miejsce ślepego oka nowe ze złota i drogich kamieni, z czego Kaptah był bardzo dumny, choć ocierało mu ono oczodół tak bardzo, że wyjął je, gdy siedział u mnie pod sykomorem i gdy nikt nas nie widział.

Naprzód jednak uściskał mnie i płakał z radości na mój widok, a ciężki był jak góra, gdy oparł szerokie dłonie na moich barkach, stołek zaś, który podała mu Muti, rozleciał się na kawałki pod jego tuszą, tak że Kaptah podwinął fałdy szaty i usiadł przede mną na ziemi. Opowiedział mi, że wojna w Syrii zbliża się ku końcowi i że wozy bojowe Horemheba dotarły aż do Kadesz, lecz nie zdołały zdobyć tego miasta, chełpił się swoim bogactwem i wielkimi interesami, które robił w Syrii, i opowiadał, że zakupił stary pałac w dzielnicy możnych i wynajął setki niewolników do jego przebudowy, chcąc, by ten pałac stał się godny jego bogactwa, ponieważ nie licowało z jego zamożnością prowadzenie portowej winiami.

– Słyszałem, że źle o tobie mówią, panie mój, Sinuhe – ciągnął – i twierdzą, że podżegasz lud przeciw Horemhebowi, a sędziowie i możni są bardzo na ciebie rozłoszczeni, że ich oskarżasz o najrozmaitsze bezprawie. Radzę ci być ostrożnym, bo jeśli będziesz dalej głosił takie niebezpieczne rzeczy, zesłają cię do kopalni. Mogą co prawda nie odważyć się ciebie skazać, ponieważ jesteś w łaskach u Horemheba, ale dom twój już raz spłonął i może się zdarzyć, że znowu tu przyjdą w ciemną noc, zabiją cię i spalą twój dom, jeśli nie zaprzestaniesz tych przemówień i dalej będziesz podjudzać biedaków przeciw bogaczom. Powiedz mi więc, co ci właściwie jest i co ci

przyszło do głowy, żebym ci mógł dopomóc, jak dobry sługa powinien pomagać swemu panu.

Skłoniłem przed nim głowę i opowiedziałem mu wszystko, co myślałem i co zrobiłem, i opowiedziałem mu o męce mego serca. On zaś słuchał mnie kręcąc głową, aż trzęsły mu się grube policzki, a gdy skończyłem mówić, rzekł:

– Wiem dobrze, że jesteś samotny i szalony, panie mój, Sinuhe, ale wyobrażałem sobie, że szaleństwo twoje będzie się z wiekiem zmniejszać. Zdaje się jednak, że stało się ono jeszcze gorsze, choć na własne oczy widziałeś wszystko zło, jakie się dokonało z powodu Atona, i nawet twoje własne szczęście Aton unicestwił. Może być, że w Achetaton zaraziłeś się chorobą Echnatona, ale zdaje mi się, że twoja choroba pochodzi z beczynności i że te szalone pomysły przychodzą ci do głowy dlatego, iż nic nie robisz. Toteż byłoby lepiej, żebyś znowu zaczął wykonywać swój zawód i używać twojej wiedzy do badania ludzkich czaszek i do leczenia ludzkich chorób, bo uleczywszy jednego chorego więcej zrobisz dobrego niż całą twoją gadaniną, szkodliwą dla ciebie samego i dla tych, których nią skusisz. Jeśli jednak nie wykonujesz zawodu, możesz zużyć swój czas na jakieś pożyteczne zajęcie, jak to robią próżnujący bogacze. Nie sądzę, żebyś chciał polować na hipopotamy, może nie podoba ci się także odór kotów, choć mógłbyś zapewne zjednać sobie sławę hodowcy rasowych kotów, podobnie jak Pepitamon. A może miałbyś ochotę zbierać przedmioty i ozdoby wyrzynane i kute jeszcze za czasów piramid? Mógłbyś też zbierać syryjskie instrumenty muzyczne lub murzyńskie posążki bogów, sprzedawane przez żołnierzy, którzy wrócili z wojny z kraju Kusz. Doprawdy, Sinuhe, na świecie jest wiele sposobów, w jakie człowiek może spędzać wolny czas, tak aby czcze myśli nie zakłócały mu spokoju. Kobiety i wino nie są bynajmniej najgorszym sposobem zabijania czasu, gra w kości zaś szybko rozprasza zły humor, mimo że jest to rozrywka niebezpieczna dla człowieka słabego, jakim ty jesteś, panie mój, Sinuhe, jeśli pozwolisz mi to sobie powiedzieć. Ale na Amona, graj w kości, trwój złoto na kobiety, pij do upadłego, rób co chcesz, bylebyś tylko nie skazywał się na zagładę szalonymi słowami, bo kocham cię wielce, panie mój, Sinuhe, i nie chcę, żeby ci się przytrafiło coś złego.

I ciągnął dalej:

Nic na świecie nie jest doskonałe. Brzegi każdego bochenka chleba są przypalone, a każdy owoc ma dziurki wydrążone przez robaki, kiedy zaś człowiek napije się zdrowo, musi potem cierpieć od przepicia. Toteż nie ma również doskonałej sprawiedliwości. Każda sprawiedliwość zawiera niesprawiedliwość, nawet dobre uczynki mogą mieć złe następstwa, a najlepsze zamiary mogą prowadzić do śmierci i zagłady, jak cię tego

nauczył przykład Echnatona. Ale spójrz na mnie, panie mój, Sinuhe, który zadowolam się swoim skromnym losem i obrastam w tłuszcz w zgodzie z bogami i ludźmi, a sędziowie faraona kłaniają się przede mną, ludzie zaś sławią moje imię, gdy natomiast tobie, Sinuhe, psy sikają na nogi. Uspokój się więc, Sinuhe, panie mój, bo to nie twoja wina, że świat jest taki, jaki jest, ani też nie jest twoją winą, że zawsze tak było i będzie.

A ja patrzyłem na jego duszę i bogactwo i bardzo mu zazdrościłem jego spokoju ducha, ale odrzekłem:

– Niech więc będzie tak, jak mówisz, Kaptahu. Uspokoję się i znowu zacznę wykonywać swój zawód, ale powiedz mi, czy ludzie pamiętają jeszcze Atona i czy wciąż go jeszcze przeklinają, skoro wymieniłeś jego imię, mimo że wzbronione jest je wymieniać i mimo że imię jego posyła ludzi do kopalń i na mury, gdzie się ich wieszają głową w dół?

A Kaptah odparł:

– Atona zapomniano, gdy tylko obalone zostały kolumny i rozpadły się ściany Achetaton, a podłogi w domach pokryły się piaskiem. Ale znam jeszcze kilku artystów, którzy rysują obrazy na sposób Atona i istnieją jeszcze baśniarze, którzy opowiadają niebezpieczne baśnie, a niekiedy widzi się krzyż Atona nakreślony w piasku na targowisku czy też na ścianach publicznych ustępów, tak więc Aton nie umarł być może jeszcze całkiem.

– Niech więc będzie, jak mówisz – obiecałem mu. – Uspokoję się i będę wykonywać swój zawód, a dla spędzenia czasu będę też trudnić się zbieraniem, jak mi to doradzasz. Ale żeby nie małpować innych, zamierzam zbierać coś, czego jeszcze nie zbiera nikt, zamierzam gromadzić ludzi, którzy pamiętają Atona.

On jednak myślał, że żartuję, i śmiał się z moich słów jak z dobrego dowcipu, bo widział równie dobrze jak ja, ile nieszczęścia ściągnął Aton na Egipt, a także na mnie samego. Potem gawędziliśmy w zgodzie o rozmaitych sprawach, a Muti przyniosła nam wina i piliśmy pospołu, dopóki nie przyszli jego niewolnicy i nie pomogli mu podnieść się, bo z powodu otyłości było mu teraz trudno samemu stanąć na nogi. Opuścił mój dom niesiony w swej lektyce, następnego zaś dnia przysłał mi bogate dary, które uczyniły moje życie dostatnim i wygodnym, tak że niczego mi nie brakowało do szczęścia, gdybym umiał się jeszcze radować.

ROZDZIAŁ 6

Tak więc znowu kazałem wywiesić nad drzwiami mego domu lekarską wywieszkę i zacząłem wykonywać swój zawód, żądając od chorych darów stosownie do ich majątku. Ale od biedaków nie żądałem nic, skutkiem czego na podwórku moim od ranka do

wieczora pełno było chorych i nie ciągnąłem zbytnich korzyści z mojej sztuki. Przy leczeniu wypytywałem pacjentów ostrożnie o Atona, bo nie chciałem ich wystraszyć i nie życzyłem sobie, żeby rozsiewali o mnie pogłoski, które mogłyby zaszkodzić mojej opinii, i tak już dostatecznie kiepskiej w Tebach. Ale z czasem spostrzegłem, że Aton był zapomniany i nikt go już nie rozumiał. Pamiętali go tylko buntownicy i ci, którzy doznali niesprawiedliwości i w duszy zachowali go jako symbol wycierpianych krzywd, a krzyż Atona używany był jako zły znak do szkodenia ludziom.

Gdy wylew cofnął się, umarł kapłan Eje. Opowiadano, że zagłodził się na śmierć, bo ze strachu przed trucizną nie odważał się już nawet jeść chleba ze zboża, które sam męł, wyrabiał i wypiekał w Złotym Domu, ponieważ sądził, że zboże zostało dla niego zatrute jeszcze na pniu. Wtedy Horemheb zakończył wojnę w Syrii i pozwolił Hetytom zatrzymać Kadesz, ponieważ nie mógł go zdobyć, wrócił z triumfem płynąc w górę Rzeki do Teb i poświęcił tam wszystkie swoje zwycięstwa. Nie uważał on bowiem Eje za prawdziwego faraona i nie odbył po jego zgonie żadnej żałoby, lecz obwieścił po śmierci Eje, że był to fałszywy faraon, który nieustannymi wojnami i złym poborem podatków ściągnął na Egipt same tylko cierpienia. A kończąc wojnę i każąc zamknąć bramy świątyni Sachmet natychmiast po śmierci Eje, Horemheb osiągnął to, że lud uwierzył, iż on nie chciał wcale wojny, był tylko zmuszony słuchać złego faraona. Toteż lud bardzo radował się z powrotu Horemheba i wychwalał go, a także jego żołnierzy.

Po przybyciu do Teb Horemheb wezwał przede wszystkim mnie i tak do mnie przemówił:

– Sinuhe, przyjacielu mój, jestem dziś starszy, niż gdyśmy się rozstawali, i bardzo mi ciężą na duchu twoje słowa i oskarżenia, że człowiek krwawy i szkód tylko przysparzam Egipcjom. Dziś dostałem już to, czego chciałem, i przywróciłem Egipcjom moc, tak że nie grozi mu żadne zewnętrzne niebezpieczeństwo. Złamałem ostrze hetyckiego oszczepu i memu synowi Razesowi pozostawiam już odzyskanie Kadesz, gdyż sam dosyć mam wojny i chcę mu zbudować silne królestwo. Egipt jest wprawdzie obecnie zapuszczony jak stajnia biedaka, ale zobaczysz, jak niebawem zacznę wyrzucać stąd gnój, postawię prawo na miejsce bezprawia i wymierzę każdemu odpowiednią dla niego miarę, pracowitemu według jego zabiegliwości, leniuchowi wedle lenistwa, złodziejowi wedle złodziejstwa, a złoczyńcy wedle jego przewinienia. Doprawdy, przyjacielu mój, Sinuhe, wraz ze mną wrócą do Egiptu dawne czasy i wszystko będzie tak jak dawniej. Dlatego też zamierzam skreślić z listy władców nędzne imiona Tutanchamona i Eje, tak jak skreślone już zostało imię Echnatona, jak gdyby czasów tych w ogóle nie było, i liczyć będę moje panowanie od nocy śmierci wielkiego faraona,

kiedy to przybyłem do Teb z oszczepem w dłoni, prowadzony przez mojego sokoła.

Rozrzewnił się i oparł głowę na dłoniach. Wojna pobruzdziła mu twarz zmarszczkami i w oczach jego nie było już żadnej radości, gdy ciągnął:

– Zaiste świat jest teraz inny, niż wtedy kiedy byliśmy chłopcami i biedak dostawał swoją miarę pełną i kiedy nie brakło tłuszczu i oliwy nawet w glinianych lepiankach. Ale dawne czasy wrócą ze mną, Sinuhe, i Egipt będzie znów żyzny i bogaty, i pošlę moje statki do Puntu, i znowu podejmę pracę w kamieniołomach i opuszczonych kopalniach, żeby budować świątynie jeszcze większe niż dawniej i żeby zbierać złoto, srebro i miedź w skarbcach faraona. Doprawdy, za dziesięć lat nie poznasz Egiptu, Sinuhe, bo gdy mi dacie dziesięć lat, nie będzie już żebraków ani kalek w kraju Kem. Słabi bowiem będą musieli ustąpić miejsca zdatnym do życia, oczyszczę Egipt ze słabej i chorej krwi, tak że lud egipski znowu stanie się ludem silnym, który synowie moi będą mogli prowadzić na wojnę, żeby podbić cały świat.

Ale ja nie cieszyłem się z jego słów, brzuch opadł mi na kolana, a serce ścisnęło mi się chłodem. Toteż nie uśmiechnąłem się do niego, lecz stanąłem przed nim bez słowa. A on rozgniewał się, zmarszczył brwi jak dawniej, zaczął bić się po nogach swoim złotym biczem i rzekł:

– Jesteś równie kwaśny jak dawniej, Sinuhe. Jesteś jak jałowy i ciernisty krzak w moich oczach i nie rozumiem, dlaczego myślałem, że bardzo się ucieszę na twój widok. Właśnie ciebie pierwszego wezwałem do siebie, zanim jeszcze wzięłem na ręce moich synów i zanim objąłem moją małżonkę Baketamon. Wojna bowiem uczyniła mnie samotnym i władza uczyniła mnie samotnym, tak że nie miałem w Syrii ani jednego człowieka, z którym mógłbym dzielić radość i troski, gdy z kimś rozmawiałem, musiałem zawsze ważyć słowa i układać swoje postępowanie stosownie do celu, który chciałem przez rozmowę osiągnąć. Ale przez ciebie nie chcę nic zyskać, pragnę tylko twojej przyjaźni. Wygląda jednak na to, że przyjaźń twoja wygasła i że nie ucieszyłeś się na mój widok.

Skłoniłem się przed nim głęboko, a moja dusza rwała się do niego i rzekłem:

– Horemhebie, z przyjaciół mojej młodości ty jeden jesteś przy życiu po wszystkim, co zaszło. Toteż zawsze będę cię kochać. Władza jest teraz twoja i wnet włożysz na głowę korony Obu Królestw i nikt już nie może cię pozbawić władzy. Dlatego błagam cię, Horemhebie, przywróć Atona! Ze względu na naszą straszliwą zbrodnię, przywróć Atona, żeby wszyscy ludzie byli między sobą braćmi i żeby nie było już różnicy między człowiekiem a człowiekiem, i żeby nigdy już nie było wojny.

Gdy Horemheb to usłyszał, potrzęsął współczująco głową i odparł:

– Jesteś równie szalony jak przedtem, Sinuhe. Czy nie rozumiesz, że Echnaton rzucił kamień do wody i plusk był wielki, ale ja znowu uspokoję powierzchnię wody, tak jak gdyby go nigdy nie było. Czy nie rozumiesz, że mój sokół zaprowadził mnie do Złotego Domu w noc śmierci wielkiego faraona po to, żeby Egipt nigdy nie zginął, lecz zachował się po jego śmierci, ponieważ bogowie nie chcą zagłady Egiptu. Dlatego też przywrócę wszystko do dawnego, bo z tego, co jest dzisiaj, człowiek nigdy nie jest zadowolony, i tylko to, co minione, dobre jest w jego oczach, dobra jest też w jego oczach tylko przyszłość. Będę dusił bogaczy, którzy nazbyt się obłowili, będę też dusił bogów, którzy zanadto obrośli w tłuszcz, ażeby w moim królestwie bogacze nie byli zbyt bogaci, a biedacy zbyt biedni, i żeby żaden bóg ani człowiek nie współzawodniczył już ze mną o władzę. Ale na próżno mówię o tym do ciebie, bo i tak nie rozumiesz moich myśli, a twoje własne są myślami człowieka słabego i bezsilnego. Słabi zaś i bezsilni nie mają prawa żyć na świecie, lecz stworzeni są, by ich zdeptali silni, słuszne też jest, iż zostają zdeptani. Tak zdeptane zostają także i słabe ludy pod stopami silnych, a wielcy zabierają żywność od ust małym. Zawsze tak było, tak też zawsze pozostanie.

Tak rozstaliśmy się z Horemhebem i nie byliśmy już przyjaciółmi jak dawniej. A gdy go opuściłem, poszedł do swoich synów, podniósł ich w silnych ramionach i podrzucił z radości w powietrzu. Od nich zaś poszedł do komnat księżniczki Baketamon i powiedział do niej:

– Moja królewska małżonko, jak księżyc świeciłaś mi w duszy przez wszystkie minione lata i tęsknota moja była wielka. Teraz jednak skończyłem moje dzieło i zostaniesz wielką królewską małżonką przy moim boku, do czego daje ci prawo twoja święta krew. Wiele krwi rozlałem dla ciebie, Baketamon, miasta płonęły dla ciebie, a skargi ludzkie wznosiły się do niebios wszędzie, dokąd tylko dosięgła moja moc. Czyż więc nie zasłużyłem sobie na nagrodę?

A Baketamon uśmiechnęła się do niego czule, musnęła dłonią wstydliwie jego ramię i odparła:

– Doprawdy, zasłużyłeś sobie na nagrodę, Horemhebie, wielki wodzu egipski. Dlatego też kazałam w ogrodzie zbudować pawilon, jakiego nikt jeszcze dotychczas nie oglądał, ażeby móc cię tam przyjąć tak, jak na to zasłużyłeś. A każdy kamień w jego ścianach zebrałam sama w mojej wielkiej tęsknocie, gdy czekałam na ciebie. Chodźmy więc do tego pawilonu, żebyś w moich objęciach otrzymał swoją nagrodę i żebym mogła ci sprawić radość.

Horemheba zachwyciły jej słowa, ona zaś ujęła go skromnie za rękę i poprowadziła do ogrodu. Dworzanie kryli się i uciekali, i wstrzymywali oddech ze zgrozy na myśl,

co teraz nastąpi. Nawet niewolnicy pouciekali, tak że Złoty Dom zupełnie opustoszał. Tak to Baketamon zaprowadziła Horemheba do swego pawilonu, a gdy, niecierpliwym, sięgnął po nią, żeby wziąć ją w ramiona, broniła się czule:

– Poskrom jeszcze na chwilę swoją męską naturę, Horemhebie, żebym ci mogła opowiedzieć, z jakim wielkim trudem zbudowałam ten pawilon. Mam nadzieję, że pamiętasz, co ci opowiedziałam, gdy ostatni raz brałeś mnie gwałtem w ramiona. Przypatr się więc dokładnie tym kamieniom i wiedz, że każdy kamień w ścianach i w podłodze – a jest ich niemało – to pamiątka mojej uciechy w ramionach jakiegoś mężczyzny. Z uciech zbudowałam ten pawilon na twoją cześć, Horemhebie. Ten wielki biały kamień przyniósł mi pewien czyściciel ryb, który bardzo był mną zachwycony, ten zaś zielony kamień dostałam od czyściciela ustępów na Targu Drzewnym, a tych osiem brązowych dał mi pewien handlarz warzyw, nienasycony w moich ramionach, który wielce chwalił moją sztukę. Jeśli tylko zdobędziesz się na cierpliwość, Horemhebie, opowiem ci historię każdego kamienia, a mamy przecież sporo czasu, Horemhebie. Mamy przed sobą wiele lat i spędzimy wspólnie dni starości, myślę, że opowiadania o tych kamieniach, za każdym razem, gdy mnie będziesz brał w ramiona, wystarczą aż do starości.

Horemheb nie wierzył zrazu jej słowom, wziął je za szalony żart, a skromne zachowanie się Baketamon zwiódło go do reszty.

Kiedy jednak spojrzął w jej migdałowe oczy, ujrzał tam nienawiść straszniejszą od śmierci i wtedy uwierzył w jej słowa. Gdy wszystko zrozumiał, oszalał z gniewu, chwycił za swój hetycki nóż, żeby zamordować Baketamon, która w tak straszliwy sposób zraniła jego męskość i jego próżność. A ona ochoczo obnażyła przed nim pierś i drwiąco zawołała:

– Uderz, Horemhebie! Strąć tym nożem korony z swojej głowy, bo jestem świętej krwi kapłanką Sachmet i jeśli mnie zabijesz, nie będziesz miał już prawa do tronu faraonów.

Słowa jej przywiodły Horemheba do opamiętania. Musiał zachować zgodę z Baketamon, gdyż tylko małżeństwo z nią dawało mu prawo do koron faraonów. Był wobec niej bezsilny i nic jej nie mógł zrobić. Zemsta jej była całkowita, nie ważył się nawet zburzyć jej pawilonu, który co dzień rzucał mu się w oczy, gdy wyjrzał ze swoich okien. Rozważywszy wszystko, co zaszło, nie znalazł bowiem innego wyjścia, jak udawać, że nic nie wie o postępowaniu Baketamon. Gdyby zaś kazał burzyć pawilon, zdradziłby, że wie, iż Baketamon pozwoliła całym Tebom splugawić jego łożę. Toteż wolał cierpieć śmiech ludzki za swoimi plecami niż otwarcie wydawać się na pastwę

hańby. Od tej pory jednak nie tknął Baketamon, w niczym jej nie przeszkadzał, lecz żył samotnie. A na pochwałę Baketamon trzeba powiedzieć, że i ona nie wszczęła nowych robót budowlanych, lecz zadowolila się swoim pięknym pawilonem.

Tak wiodło się Horemhebowi i nie sądził, żeby miał on wiele radości ze swoich koron, gdy kapłani namaścili go i włożyli mu na głowę czerwoną i białą koronę, korony Górnego i Dolnego Królestwa, koronę lilii i koronę papirusu. Zrobił się podejrzliwy, nie ufał już nikomu, sądził, że każdy śmieje się z niego za plecami z powodu Baketamon. Tak to na zawsze cień utkwiał mu w lędźwiach, a serce jego nie miało już spokoju. Nie mógł też zażywać rozkoszy z innymi kobietami, bo obraza, której doznał, zbyt była okrutna, żeby mógł jeszcze kiedyś cieszyć się jakąś kobietą. Toteż zagłuszał swoją troskę i gorycz pracą. Zaczął wyrzucać gnój z Egiptu, żeby przywrócić wszystko do starego i postawić prawo w miejsce bezprawia.

ROZDZIAŁ 7

Ażeby być sprawiedliwym, musze opowiedzieć także i o dobrych uczynkach Horemheba. Lud słał wielce jego imię i miał go za dobrego władcę. Już za najwcześniejszych lat jego rządów lud zaliczał go do wielkich egipskich faraonów. Dusił on bogaczy i możnych i nie dopuszczał, żeby ktoś stawał się bogaty lub zbyt możny w Egipcie, ażeby nikt nie mógł współzawodniczyć z nim o władzę – a to podobało się ogromnie ludowi. Karał złych sędziów i oddawał biednemu jego prawo, zreorganizował pobór podatków i wypłacał ze skarbcza faraona stałe wynagrodzenie poborcom podatkowym, tak że nie mieli już oni władzy wyciskania podatków z ludu, by się wzbogacić.

Ustawicznie, bez wytchnienia i wypoczynku, jeździł po całym kraju, od prowincji do prowincji i od wsi do wsi, żeby badać nadużycia. Drogę jego znaczyły obcięte uszy i krwawiące nosy nieuczciwych poborców podatkowych, a uderzenia kijów i echo skarg słychać było daleko wokół miejsc, gdzie odbywał swe sądy. Nawet najbiedniejsi mogli wytaczać sprawy bezpośrednio przed nim samym, a jego urzędnicy nie wazyli się wzbraniać im dostępu do niego on zaś wymierzał ludziom nieprzekupną sprawiedliwość. Wysyłał znowu statki do Puntu, żony i dzieci marynarzy płakały na pomostach w przystani i raniły sobie twarze kamieniami według dobrego obyczaju, a Egipt robił się bardzo bogaty, bo z dziesięciu statków trzy co roku powracały przywoząc wielkie skarby. Budował też nowe świątynie i oddawał bogom to, co im się należało, według rangi i praw, które mieli, nie sprzyjając szczególnie żadnemu z nich, z wyjątkiem Horusa, i nie darząc szczególnie przywilejami żadnej świątyni, z wyjątkiem świątyni Hetnetsut, gdzie lud czcił jego własny posąg jak boga i składał mu woły w ofierze. Za

wszystko to ludzie błogosławili jego imię i wielce go chwalili oraz opowiadali o nim liczne przedziwne legendy jeszcze za jego życia.

Również Kaptahowi powodziło się bardzo dobrze i stawał się on z roku na rok bogatszy, tak że w Egipcie nie było w końcu nikogo, kto mógłby mierzyć się z nim na bogactwo. Nie miał on bowiem żony ani dzieci, dlatego uczynił swoim spadkobiercą Horemheba, żeby móc spokojnie dożyć swoich dni i wciąż zbierać jeszcze większy majątek. Z tego powodu też Horemheb nie dusił go tak mocno jak innych egipskich bogaczy i nie pozwalał, żeby poborcy podatkowi zanadto mu dokuczali.

Kaptah zapraszał mnie często do swego domu, który leżał w dzielnicy możnych i którego ogrody rozciągały się szeroko dokoła, tak że Kaptah nie miał żadnego sąsiada, który by mu zakłócał spokój. Jadał na złotych półmiskach i w domu jego woda płynęła na sposób kretański ze srebrnych kranów, wanny były ze srebra, w ustępie zaś siedzenie sporządzone było z hebanu, a ściany z kosztownych kamieni, ułożonych w ucieszne obrazki. Częstoował mnie rzadkimi potrawami i winem spod piramid, kiedy zaś spożywał posiłki, zabawiali go grajkowie i śpiewacy, a najładniejsze i najrzęczniejsze tancerki Teb wykonywały dla jego rozrywki najbardziej wymyślne tańce.

Wydawał też wielkie uczyty, a egipscy bogacze i możni chętnie odwiedzali jego dom, choć urodził się jako niewolnik i w swoim zachowaniu przejawiał wiele z obyczajów niewolnika, smarkał na przykład w palce i czał głośno przy jedzeniu. Ale był szczodrym gospodarzem i rozdawał swoim gościom cenne dary, a jego rady w sprawach handlowych były chytne, tak że wszyscy mieli pożytek z jego przyjaźni. Jego gadki i opowiadania były prześmieszne, a żeby bawić gości, przebierał się często w odzież niewolnika i opowiadał im najrozmaitsze kłamstwa na sposób niewolników. Zbyt był bowiem bogaty, żeby się jeszcze bać z powodu swojej przeszłości, pysznił się więc przed możnymi Egiptu, że niegdyś był niewolnikiem. I mówił do mnie:

– Panie mój, Sinuhe! Tak dziwny jest porządek świata, że gdy człowiek jest dostatecznie bogaty, nie może już stać się biednym, lecz stale robi się bogatszy, nawet jeśli nie dba o to, żeby się bogacić. Ale moje bogactwo wyszło od ciebie, Sinuhe, i dlatego uznaję cię zawsze za mego pana i niczego ci nie zabraknie przez całe życie. Lepiej dla ciebie, że sam nie jesteś bogaty, bo nie umiałbyś używać swego bogactwa dobrze, siałoby ono tylko niepokój i wyrządzało mnóstwo szkody. Dlatego lepiej stało się, że roztrwoiłeś swoje bogactwo za złych dni fałszywego faraona, bo ja będę pilnie czuwać nad twoimi korzyściami i doglądać, żeby ci nie brakowało niczego, czego mógłbyś rozsądnie zapragnąć.

Popierał też artystów, a oni rzeźbili go w kamieniu, czyniąc go wytwornym i

szlachetnym. Robili jego członki smukłymi, dłonie i stopy małymi, a kości policzkowe wysokimi, na rzeźbach widział na oba oczy i siedział na skrzyżowanych nogach, pogrążony w myślach, ze zwojem do pisania na kolanach i rylcem w dłoni, choć nigdy nawet nie próbował nauczyć się czytać i pisać, jego pisarze czytali, pisali i obliczali dla niego wielkie sumy. Te posągi wielce bawiły Kaptaha. A kapłani Amona, którym po powrocie z Syrii zaczął dawać niezmierzone dary, żeby żyć w zgodzie z bogami, kazali ustawić jeden jego posąg w wielkiej świątyni, koszty zaś tego zapłacił on sam.

Kazał też zbudować sobie wielki grobowiec w mieście umarłych, a artyści wymalowali tam na ścianach liczne obrazy z jego codziennego życia i sceny jego rozrywek, a przedstawili go na tych obrazach jako człowieka widzącego i wykwiniego, bez brzucha. Chciał bowiem oszukać bogów i przybyć do Kraju na Zachodzie takim, jakim chciałby być, a nie takim, jakim był, choć za dni swego życia raczej wolał być takim, jakim był, gdyż sprawiało mu to mniej kłopotu niż wykwinność. W tym samym celu kazał sobie też przygotować do grobu Księgę Śmierci, najbardziej wyszukaną i zawilą, jaką kiedykolwiek widziałem. Obejmowała ona dwanaście zwojów z obrazkami, napisami i zaklęciami, w celu zjednania duchów podziemia i wyposażenia wagi Ozyrysa w fałszywe odważniki, a także w celu przekupienia sprawiedliwych pawianów. Wszystko to kazał przygotować z ostrożności, bo ostrożność była jego zdaniem cnotą, choć poza tym nie myślał chętnie o śmierci i czcił naszego skarabeusza bardziej niż jakiegokolwiek innego boga.

Nie zazdrościłem Kaptahowi jego bogactwa i powodzenia, podobnie jak i innym nie zazdrościłem ich radości i zadowolenia. I nie chciałem już odbierać ludziom ich urojeń, jeśli urojenia te dawały im szczęście. Życie ludzkie bowiem jest na rozmaite sposoby utkane z marzeń. Dlatego prawda jest zła i gorzka dla człowieka i dla wielu lepiej jest, gdy ginie prawda, niż gdy się rozwiewają ich sny. Dlatego nie chciałem odbierać ludziom marzeń, jeśli byli szczęśliwi w swoich snach i jeśli dla swoich snów nie dopuszczali się zła, lecz zadowalali się snami.

Ale mojego czoła nie chłodziły żadne sny i żadna radość nie dawała ukojenia mojemu sercu, a praca nie przynosiła mi spokoju, chociaż w ciągu tych lat pracowałem dużo, wyleczyłem wielu chorych i kilkakrotnie otwierałem ludzkie czaszki, a tylko trzech chorych po otworzeniu czaszki umarło, pozostałych zaś uleczyłem, tak że zdobyłem sobie wielki rozgłos. Mimo to byłem wiecznie niezadowolony, być może nauczyłem się goryczy od Muti i zaraziłem się jej wiecznym gderaniem, tak że nieustannie ganiłem wszystkich, z którymi się zetknąłem. Kaptaha ganiłem za jego obżarstwo, a biedaków za ich lenistwo, bogaczy za samolubstwo, a sędziów za obojętność, z nikogo nie byłem

zadowolony, z wszystkiego byłem nierad i wszystkich gorzko łąjałem. Tylko chorych i dzieci nie łąjałem. Chorych starałem się leczyć bez wyrządzania im niepotrzebnego bólu, a Muti kazałem rozdawać miodowe ciasteczka między malców z ulicy, których oczy przypominały mi jasne oczka Tota.

Ludzie mówili o mnie:

– Ten Sinuhe to nudziarz i człowiek zgorzkniały. Ma spuchniętą wątrobę i żółć pieni mu się z ust, gdy mówi, także postarzał się przedwcześnie i nie umie się już cieszyć życiem. Ściągają go też jego złe uczynki i nie może spać po nocach. Bądźmy więc dla niego przyjaźni i nie dbajmy o to, co mówi, bo język jego kłuje bardziej jego samego niż innych.

Tak też i było istotnie, bo gdy się nagderałem, odczuwałem ból z powodu własnego zgorzknienia, płakałem, rozdawałem zboże próżniakom i zdejmowałem z siebie szaty, ażeby okryć pijaka, błagałem bogaczy o przebaczenie za obelgi i wierzyłem w niezawodność sędziów. Tak działo się, ponieważ wciąż jeszcze byłem słaby i nie umiałem zmienić swojej natury.

Mówiłem źle także o Horemhebie i wszystkie jego uczynki były w moich oczach niedobre, a najbardziej utyskiwałem na jego wszarzy, których utrzymywał z magazynów faraona i którzy prowadzili próżniacze życie, w piwiarniach i domach rozpusty chełpili się swoimi czynami i hańbili córki biedaków, tak że żadna kobieta nie była bezpieczna na ulicach Teb. Gdyż Horemheb wybaczał swoim wszarzom wszelkie wybryki i tłumaczył zawsze wszystkie ich postęпки na dobre. A gdy biedacy zwracali się do niego ze skargą w sprawie swoich córek, oświadczał im, że powinni być dumni, iż żołnierze płodzą silne dzieci dla Egiptu. Horemheb nie cierpiał bowiem kobiet, uważał, że nadają się tylko do rodzenia dzieci, i nie przyznawał im żadnej godności.

Z biegiem czasu Horemheb robił się coraz bardziej podejrzliwy, aż wreszcie nadszedł dzień, gdy strażnicy przyszedli do mojego domu, drzewcami oszczepów przepędzili chorych z mojego podwórka, kazali mi włożyć sandały i otulić się szatą, żeby zaprowadzić mnie przed jego oblicze. Była znów wiosna i Rzeka opadła, a jaskółki fruwały niespokojnie, śmigając lotem strzały tam i z powrotem nad powierzchnią wody ciężkiej od żółtego szlamu. Zawiedli mnie przed Horemheba. Postarzał się on przez te lata i kark mu się zgiął, a mięśnie sterczały jak guzy na jego chudym, długim ciele. Popatrzył mi w oczy spojrzeniem, w którym nie było już radości, i przemówił do mnie tak:

– Sinuhe, wielokroć ostrzegałem cię, ale ty nie dbasz o moje ostrzeżenia. Wciąż jeszcze mówisz do ludzi, że zawód żołnierza jest najbardziej pogardy godny i

najnędnniejszy z wszystkich zawodów, i twierdzisz, że lepiej dla dzieci, by marły w łonach matek, niż żeby rodziły się na żołnierzy. I głosisz, że wystarczy, gdy kobieta ma dwoje czy troje dzieci, i że nie potrzebuje rodzić ich więcej, bo lepiej, żeby była szczęśliwa wychowując troje dzieci, niż żeby była nieszczęśliwa i cierpiała nędzę wychowując dziewięcioro lub dziesięcioro. Mówiłeś też, że wszyscy bogowie są tacy sami, a wszystkie świątynie są domami ciemnoty, i powiedziałeś, że bóg fałszywego faraona był większy od wszystkich innych bogów. Człowiek nie powinien też – twoim zdaniem – kupować ani sprzedawać innego człowieka jako niewolnika. Twierdziłeś też, że ci, którzy orzą, sięją i zbierają plon do stodół, są właścicielami ziemi, którą obsiewają i stodół, w których gromadzą plony, choćby ziemia ta była ziemią faraona czy też bogów. Twierdziłeś dalej, że moje panowanie nie różni się zbytnio od władztwa Hetytów i wiele jeszcze bardziej szalonych rzeczy mówiłeś, tak że kto inny za dużo mniejsze przewinienia już dawno zostałyby zesłany do kopalń, by tam łamać kamień i słuchać kija. Ja jednak byłem dla ciebie pobłażliwy, Sinuhe, bo kiedyś byłeś moim przyjacielem i dopóki żył kapłan Eje, potrzebowałem ciebie, ponieważ byłeś moim jedynym świadkiem przeciw niemu. Teraz jednak nie potrzebuję cię już, póki żyjesz, możesz mi raczej przynieść szkodę, bo za dużo o mnie wiesz. Gdybyś był rozsądny, trzymałbyś język za zębami i żył spokojnym życiem, zadowolony ze swego losu, bo doprawdy niczego ci nie brakowało. Ale ty obrzucasz mnie błotem, a tego już dłużej cierpieć nie mogę.

Wpadł w gniew i zaczął się bić złotym biczem po chudych nogach, zmarszczył brwi i ciągnął:

– Doprawdy, jesteś dla mnie jak piaskowa pchła między palcami stóp i jak giez na łopatce, nie cierpię w moim ogrodzie krzaków, które nie dają owoców, wypuszczając tylko jadowite kolce. Znowu jest wiosna w kraju Kem i w miarę jak opada woda, jaskółki zaczynają się wygrzebywać z mułu na lato, gołębie gruchają, a akacje rozkwitają kwieciami. To czas niedobry, bo wiosna zawsze rodzi niepokój i czężą gadaninę, a podnieconym wyrostkom przesłania oczy czerwona mgła, tak że podnoszą z ziemi kamienie i obrzucają strażników, zdarzyło się nawet, że moje posągi w świątyni upačkano błotem. Toteż muszę wygnać cię z Egiptu, Sinuhe, i nigdy już nie zobaczysz kraju kem, bo jeśli ci pozwolę zostać, przyjdzie dzień, w którym będę musiał ciebie zabić, a tego nie chciałbym zrobić, gdyż byłeś kiedyś moim przyjacielem. Twoje szalone słowa bowiem mogą być iskrą, która zapali suche sitowie, a gdy sitowie raz zajmie się ogniem, płonie, póki nie spali się na popiół. Dlatego też złe słowa są czasem bardziej niebezpieczne niż oszczep. Oczyszczę kraj Kem ze złych słów, jak

dobry ogrodnik plewi chwasty ze swoich grządek. Dobrze rozumiem Hetytów, którzy wbijają czarowników na pale przy drogach, i nie pozwolę, żeby kraj Kem jeszcze raz stanął w płomieniach – ani ze względu na ludzi, ani na bogów. Dlatego wydalłam ciebie, Sinuhe, ponieważ nigdy z pewnością nie byłeś Egipcjaninem, lecz jesteś dziwnym płodem mieszanej krwi, tak że chore myśli lęgną się w twojej chorej głowie.

Może miał słuszność. Może cała męka mojego serca pochodziła stąd, że święta krew faraonów zmieszała się w moich żyłach z krwią ginącego Mitanni, zbladła od zachodu słońca. Nie mogłem jednak oprzeć się, by nie zachichotać, z grzeczności tylko przykryłem dłonią usta, żeby ukryć uśmiech. Byłem bowiem bardzo przerażony jego słowami. Teby były moim miastem, w którym urodziłem się i wyrosłem, nie chciałem żyć gdzie indziej, tylko w Tebach. Śmiech mój rozgniewał jednak bardzo Horemheba, który oczekiwał, że rzucę się przed nim na twarz i będę go błagać o łaskę. Toteż trzasnął z bicia i wykrzyknął:

– Niech więc tak będzie! Wydalłam cię z Egiptu na wieczne czasy, a kiedy umrzesz, także twoje ciało nie może być przywiezione do Egiptu dla pochowania, jakkolwiek zezwalam, by stosownie do dobrego obyczaju zachowane zostało tak, by oparło się śmierci. Ciało twoje zostanie pogrzebane na brzegu wschodniego morza, skąd płynie się do kraju Punt. Tam też ciebie wydalłam, bo do Syrii nie mogę cię wygnać, gdyż Syria wciąż jeszcze jest kupą tłącego się żaru i nie potrzebuje miecha. Nie mogę też wygnać cię do kraju Kusz, ponieważ utrzymujesz, iż kolor ludzkiej skóry nie ma żadnego znaczenia, a Egipcjanie i Murzyni są warci tyle samo, mógłbyś więc posiać szalone myśli w głowach Murzynów. Na brzegu morza jednak jest pusto i głucho i możesz tam sobie gadać do wiatrów pustyni, i możesz głosić kazania szakalom, krukom i wężom. Strażnicy odmierzają obszar, na którym wolno ci się będzie poruszać, i zabiją cię oszczepami, gdybyś przekroczył granice przez nich wytyczone. Poza tym jednak nie będzie ci niczego brakowało, łoże twoje będzie wygodne, a strawa obfita, to czego w granicach rozsądku zażadasz, będzie ci posłane, bo zesłanie i samotność będą dla ciebie wystarczająco wielką karą i jeśli tylko uda mi się w ten sposób osiągnąć swoje zamiary i pozbyć się twego szalonego gadania, nie chcę nakładać na ciebie jeszcze większej kary, gdyż byłeś kiedyś moim przyjacielem.

Ja jednak nie bałem się samotności, bo przecież całe życie byłem samotny i zrodziłem się, żeby być samotnym. Ale serce moje ścisnęło się smutkiem, gdy pomyślałem, że już nigdy nie zobaczę Teb i nigdy nie poczuję pod stopami miękkiej ziemi czarnego kraju, i nigdy już nie będę pić wody z Nilu. Toteż powiedziałem do Horemheba:

– Niewiele mam przyjaciół, bo ludzie stronią ode mnie z powodu mojego zgorzknienia

i ostrości języka, ale pozwolił mi chyba pożegnać się z moimi przyjaciółmi. Chciałem też bardzo pożegnać Teby i raz jeszcze przejść Aleją Baranów, poczuć woń dymów ofiarnych wśród kolorowych kolumn wielkiej świątyni i swąd smażonej ryby wieczorem w dzielnicy ubogich, gdy żony rozpalają ogniska przed lepiankami, a mężowie wracają zmęczeni z pracy.

Horemheb zgodziłby się z pewnością na moją prośbę, gdybym płakał i rzucił się przed nim na twarz, bo był to mąż bardzo próżny i główną przyczyną jego niechęci do mnie była z pewnością świadomość, że go nie podziwiam i w głębi serca nie uznaję za prawego faraona. Ale choć byłem człowiekiem słabym i miałem serce jagnięcia, nie chciałem się przed nim upokorzyć bo wiedza nigdy nie powinna upokarzać się przed siłą. Dlatego znowu przyłożyłem dłoń do ust, żeby ziewnięciem ukryć strach i przerażenie, bo zawsze robiłem się ogromnie senny, gdy najwięcej się bałem, i tym, jak sądzę, różnię się od wielu innych ludzi. A wtedy Horemheb powiedział:

– Nie zezwalam na żadne niepotrzebne pożegnania i ceregiele, sam jestem żołnierzem i człowiekiem prostym i nie lubię roztkliwiania się. Dlatego ułatwię ci rozstanie wysyłając cię w drogę natychmiast, bo nie życzę sobie żadnych zamieszek ani wystąpień z twego powodu. Jesteś w Tebach znany, i to bardziej znany, niż może sam przypuszczasz. Toteż wyślę cię w zamkniętej lektyce, ale gdyby ktoś chciał ci towarzyszyć do miejsca zesłania, zezwalam na to. Osoba ta jednak będzie musiała zostać tam z tobą do końca twoich dni, a nawet i po twojej śmierci, i sama też będzie musiała tam umrzeć. Niebezpieczne myśli są bowiem jak zaraza, łatwo przenoszą się z jednego człowieka na drugiego. Toteż nie chcę, żeby zaraza, którą nosisz, wróciła do Egiptu z kimś innym. A jeśli mówiąc o swoich przyjaciółach masz na myśli pewnego niewolnika z młynów, który ma zrosnięte palce, i pewnego zapijaczonego artystę, który maluje boga kucającego przy skraju drogi, i paru Murzynów, z którymi przestawałeś w swoim domu, to nie warto próbować się z nimi pożegnać, bo wyjechali w daleką podróż, z której już nigdy nie wróci.

W tej chwili znenawidziłem Horemheba, ale jeszcze bardziej nienawidziłem samego siebie, ponieważ ręce moje wciąż jeszcze siły śmierć, choć ja tego nie chciałem, i ponieważ przyjaciele moi musieli cierpieć z mego powodu. Nie wątpiłem już bowiem, że Horemheb kazał zabić lub też zesłał do kopalń miedzi w Synaju tych niewielu przyjaciół, których skupiłem wokół siebie, dlatego że wciąż jeszcze pamiętali Atona. Nie powiedziałem już nic więcej, tylko skłoniłem się przed nim opuszczając dłonie do kolan i odszedłem prowadzony przez strażę.

Dwukrotnie otwierał jeszcze usta, żeby się do mnie odezwać, zanim się oddaliłem, i

nawet zrobił krok za mną, lecz zatrzymał się i uderzając biczem po nogach rzekł:

– Faraon powiedział!

Strażnicy zamknęli mnie w lektyce, wyprowadzili z Teb, a potem poszliśmy obok trzech tebańskich gór na wschód, na pustynię, wykładaną kamieniem drogą, którą kazał zbudować Horemheb. Towarzyszyli mi przez dwadzieścia dni, aż doszliśmy do portu, gdzie zabierały i wyładowały ładunek statki odpływające raz w roku do Punt, a przybywające tam wpierw z Teb z biegiem Rzeki, a potem kanałem łączącym Rzekę ze wschodnim morzem. Przy porcie było osiedle, poszliśmy więc dalej wzdłuż brzegu, o trzy dni drogi od portu, do opuszczonej wioski, gdzie niegdyś mieszkali rybacy. Tam strażnicy wymierzyli mi obszar dla moich kroków i zbudowali dom, w którym mieszkałem przez wszystkie lata, aż do dziś, kiedy jestem już starym i znużonym człowiekiem. I nie brakowało mi tam nic z tego, czegom sobie życzył, i żyłem w tym swoim domu życiem człowieka bogatego, miałem przybory do pisania i najlepszy papirus, i szkatułki z czarnego drzewa, w których przechowywałem księgi napisane przez siebie i moje lekarskie narzędzia. To jednak jest ostatnia księga, którą piszę, piętnasta z tych, które napisałem. I nie mam nic więcej do opowiedzenia, i jestem już zmęczony pisaniem, a ręka moja jest strudzona i oczy mam znużone, tak że prawie nie mogę rozróżnić znaków na papirusie.

Sądzę, że nie miałbym siły żyć, gdybym nie pisał i w czasie pisania nie przeżywał mego życia na nowo, jeśli nawet niewiele dobrego miałem do opowiedzenia o moim życiu. Wszystko to bowiem napisałem dla siebie samego, żeby mieć siłę żyć i żeby wyjaśnić sobie samemu, po co żyłem. Ale po co żyłem, tego wciąż jeszcze nie wiem. W chwili gdy kończę tę księgę, wiedza moja o tym jest jeszcze mniejsza, niż kiedy zacząłem pisać. Pisanie bardzo mnie jednak pocieszało przez wszystkie te lata, bo co dzień morze rozciągało się przede mną bezkresnie i co dzień oglądałem je, czerwone i czarne, zielone w dzień i bielejące w nocy, a w upalne dni bardziej niebieskie niż niebieskie kamienie. I miałem już dość patrzenia na morze, bo jest ono zbyt wielkie i zbyt przerażające, żeby człowiek mógł na nie patrzeć przez całe swoje życie, głowa robi się chora od patrzenia na wielkość morza, a serce opada jak na dno studni na widok morza o zmierzchu.

Przez wszystkie te lata patrzyłem też wciąż na otaczające mnie czerwone góry i badałem piaskowe pchły, a skorpiony i węże oswoiły się ze mną tak, że już nie uciekają przede mną, lecz słuchają moich słów, gdy do nich przemawiam. Sądzę jednak, że węże i skorpiony nie są dobrymi przyjaciółmi dla człowieka. Toteż mam ich równie dość, jak wszystkich toczących się po morzu bałwanów, którym nie ma końca.

Powinienem jeszcze wspomnieć, że pierwszego roku mojego pobytu w tej wiosce bielejących kości i rozpadających się chat, gdy znowu odpływały statki do Punt, przybyła do mnie z Teb Muti z jedną z karawan faraona. Przyszła do mnie i opuściła przede mną dłonie do kolan, pozdrowiła mnie i gorzko się rozplakała, widząc nędzny stan, w jakim się znajdowałem. Bo policzki me zapadły się, a brzuch skurczył i nic nie miało już dla mnie znaczenia. Spędzałem czas wpatrując się w morze, dopóki nie zaczynało mi się kręcić w głowie. Niebawem jednak Muti uspokoiła się, zaczęła mnie lajać i ostro na mnie gderać.

– Czyż nie ostrzegałam cię tysiącne razy, Sinuhe, żebyś nie kładł głowy w pętlę? Ale mężczyźni są bardziej głusi niż kamienie. Wszystko to urwisy, które muszą w końcu rozbić sobie głowę o ścianę, choć ściana nawet przy tym nie drgnie. Doprawdy, już dość natłukłeś głową o ścianę, mój panie, Sinuhe, i czas, żebyś się ustatkował i żył życiem człowieka rozsądnego.

A gdy ją strofowałem, mówiąc, że nie powinna była przyjeżdżać z Teb do mnie, ponieważ już nigdy nie będzie mogła wrócić do Teb, że przybywając tutaj związała swoje życie z moim, z życiem wygnańca, na co bym nie pozwolił, gdybym znał jej zamiary, odpowiedziała mi długą burą:

– Wprost przeciwnie, to, co cię spotkało, jest najlepsze ze wszystkiego, co ci się kiedykolwiek przytrafiło. Uważam, że faraon Horemheb, który cię wysłał do tego spokojnego miejsca na dni twej starości, jest twoim prawdziwym przyjacielem. I ja miałam już dosyć gorączki Teb i kłótliwych sąsiadów, którzy pożyczali naczyń, lecz ich nie oddawali, i którzy wylewali nieczystości na moje podwórko. Gdy dobrze o tym pomyślę, widzę, że dom odlewacza miedzi nigdy już nie był taki jak przed pożarem, dołek do pieczenia przypalał moje pieczenie, a oliwa jęczała w dzbanach, od podłogi wiało, a okiennice nieustannie trzeszczały. Natomiast tutaj możemy wszystko zbudować od nowa i według swego upodobania. Już sobie upatrzyłam pyszne miejsce na ogródek, gdzie będę hodować warzywa i twoje ulubione przyprawy do sosów, mój panie. Dam ja robotę tym leniwym wałkoniom, którym faraon kazał pilnować cię przed rabusiami i złoczyńcami. Będą musieli co dnia upolować dla ciebie świeżego mięsa i nałapać w morzu ryb, i nabierać krabów i małżów na brzegu, choć podejrzewam, że morskie ryby i małże nie są równie smaczne jak te, które łowi się w Rzece. Zamierzam także wybrać sobie odpowiednie miejsce na grobowiec, jeśli zezwolisz mi na to, mój panie, bo gdy już raz tutaj przybyłam, zaiste więcej stąd nie wyjadę. Bardzo już bowiem jestem zmęczona tym włóczęnictwem się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu ciebie i podróże przerażają mnie, bo nigdy przedtem stopa moja nie powstała poza granicami Teb.

Tak to Muti pocieszyła mnie i wskrzesiła do życia swoim gderaniem i sądzę, że jej to tylko zasługa, iż znowu przywiązałem się do życia i zacząłem pisać, bo postąpiłbym wobec niej nieuczciwie, gdybym umarł i pozostawił ją na starość samą w miejscu mego wygnania. Zachęcała mnie do pisania, tak że pilnie pracowałem rylcem, choć sama nie umiała czytać i jak przypuszczam, po cichu uważała moje pisanie za puste brednie.

Ale chciała, żebym miał pracę, która by dała treść mojemu życiu na wygnaniu. I pilnowała, żebym nie pisał późno wieczorami i nie psuł sobie oczu, lecz żebym pisał umiarkowanie i odpoczywał w przerwach oraz cieszył się wszystkimi smacznymi potrawami, które mi przyrządzała. Stosownie bowiem do swojej obietnicy zapędziła strażników faraona do roboty, zatruwając im życie tak, że bardzo ją przeklinali za jej plecami i nazywali czarownicą i krokodylem. Ale nie śmieli jej się sprzeciwić, bo gdy próbowali, lajała ich niedobrymi słowami, a język jej był ostrzejszy niż kolec, którym kłuje się woły, by ciągnęły sanie.

Myślę też, że wpływ Muti był zdrowy dla strażników, bo trzymała ich w ustawicznym ruchu, tak że czas im się nie dłużył przy pilnowaniu mnie. Nie mieli też czasu na przeklinanie mnie i na plany zabicia mnie, żeby się mnie w ten sposób pozbyć i móc powrócić do Teb, lecz błogosławili krótkie chwile odpoczynku. A Muti wynagradzała ich wypiekając im smaczny chleb i warząc dla nich w wielkich dzbanach mocne piwo. Z jej warzywnego ogródka dostawali też świeże jarzyny i nauczyła ich urozmaicać sobie posiłki, tak że nie chorowali od jednostajnego jedzenia, które im przydzielano jako część żołdu. Co roku, gdy statki odpływały do Punt, Kaptah przysyłał nam stosownie do wskazówek Muti całe karawany osłów z najrozmaitszymi towarami z Teb, kazał też swoim pisarzom pisać do nas długie listy i opowiadać o wszystkim, co się w Tebach wydarzyło, tak że nie żyłem jak zaszyty w worku. Wszystko to przynosiło wielką korzyść moim strażnikom, bo pilnując mnie uczyli się od Muti różnych umiejętności i bogacili się moimi darami, tak że nie odczuwali zbyt wielkiego pragnienia, by wrócić do Teb.

Ale jestem już znużony pisaniem i oczy mam znużone. Także koty Muti wskakują mi na kolana i trą głowami o rękę trzymającą rylce, tak że nie mogę już pisać. Serce mam zmęczone wszystkim, co opowiadałem, członki moje są strudzone i tęsknią do wiecznego spoczynku. Nie jestem może szczęśliwy, ale nie jestem też bardzo nieszczęśliwy z powodu mojej samotności. Im bardziej samotny i daleki ludziom się stawałem, tym wyraźniej widziałem ludzi, ich uczynki i próżność ich postępków. Bardzo próżne są bowiem wszystkie ludzkie uczynki w ciągu życia człowieka.

Błogosławię papirus i błogosławię mój rylce, one bowiem pozwoliły mi poczuć

się znowu małym dzieckiem, które płynie w smołowanej łódce z sitowia z prądem Rzeki, nie znając jeszcze życiowych trosk i męki, jaką kryje wiedza. Byłem znowu małym chłopcem w domu mego ojca Senmuta i gorące łyzy czyściciela ryb Meti spadały na moje dłonie. Wędrowałem drogami Babilonu z Mineą. Piękne ramiona Merit oplatały się dokoła mej szyi. Płakałem z cierpiącymi i rozdawałem zboże biedakom. Wszystko to chcę zachować w pamięci, lecz nie chcę pamiętać moich złych uczynków ani też goryczy porażek.

Wszystko to spisałem ja, Sinuhe, Egipcjanin, dla siebie samego. Nie dla bogów i nie dla ludzi, i nie po to, by zachować swoje imię na wieki, tylko dla mego własnego, biednego i zasmuconego serca, którego miara się wypełniła. Nie mogę bowiem mieć nadziei, że imię moje zachowa się w tym, co napisałem, bo dobrze wiem, że strażnicy zniszczą to wszystko, gdy kiedyś umrę. Zniszczą wszystko, co napisałem, i zburzą ściany mego domu stosownie do rozkazu Horemheba. Nie wiem nawet, czy bardzo mnie to martwi, bo po tym, co przeżyłem, nie pragnę już zbytnio nieprzemijalności dla mego imienia.

Przechowuję jednak starannie te piętnaście ksiąg, które napisałem, a Muti spłotła z palmowego łyka mocny pokrowiec na każdą z nich i zamknięte w pokrowcach wkładam te księgi do szkatułki z twardego drzewa, a drewnianą szkatułkę zamykam w miedzianej skrzynce, tak jak niegdyś boskie księgi Tota zamknięto w skrzynce, którą spuszczone na dno Rzeki. Czy jednak księgi te w ten sposób unikną zniszczenia i czy Muti będzie mogła schować je w moim grobie, nie wiem i niezbyt nawet o to dbam.

Bo ja, Sinuhe, jestem człowiekiem i jako człowiek żyłem w każdym człowieku, który istniał przede mną, i jako człowiek żyć będę w każdym człowieku, który przyjdzie po mnie. Żyję w ludzkim płaczu i radości, w ludzkim smutku i lęku, w dobroci człowieka i jego złości, w sprawiedliwości i niesprawiedliwości, w słabości i sile. Jako człowiek żyć będę wiecznie w człowieku i dlatego nie pragnę ofiar na moim grobie i nieśmiertelności dla mego imienia.

Słowa te napisał Sinuhe, który żył samotnie przez wszystkie dni swego żywota.